

HORYZONTY



ZDARZEŃ

MARCIN SERGIUSZ

PRZYBYŁEK



ORZEL BIAŁY



REBIS

HORYZONTY



ZDARZEN

MARCIN SERGIUSZ
PRZYBYŁEK

ORZEŁ BIAŁY



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

*Bohaterom tej powieści dedykuję
Autor*

*Dziękuję Łukaszowi „Orthezie” Matuszkowi
za namalowanie orkowego totemu.
Łukasz, znowu stworzyłeś historię.*

Podczas pisania niniejszej powieści nie ucierpiał ani jeden bóbr, jeź też nie, a wszelkie sugestie, jakoby autor molestował te poczciwe zwierzęta, są podłymi kłamstwami tudzież manipulacją medialną i fotoszopem.

Dramatis Personae

BATALION „ORZEŁ BIAŁY”

Piechota

Porucznik Gabriel „Deckard” Graboń
Sierżant Mardok „Dziki” Jary
Sierżant Monika „Zdzira” Frenkiel
Sierżant Ewelina „Runa” Wiechucka
Sierżant Żegota „Żmij” Birkowski
Porucznik Gabriel „Deckard” Graboń

Zbrojowiec

Chorąży Dariusz Samul

Szpieg

Chorąży Thomas „Fraydey” Piatkovsky

Oko

Sierżant Alicja Pawłowska
Sierżant Mateusz „Wampir” Gadziński
Sierżant Cezariusz Gorzkowski
Plutonowa Zuzanna „Zadra” Poniadowska

Tur (Smok)

Major Sergiusz „Orzeł” Orłowski
Porucznik Karol Szczyrkowski
Sierżant Łukasz „Tygrys” Kowalkowski

Echo

Sierżant Mariusz „Farin” Kubala
Szeregowy Dawid „Ktara” Zgud
Ursula Scorsese
Magdalena Stawniak

Perun (Wilczur)

Kapitan Mariusz „Junior” Podgrudny
Porucznik Kamil „Wolf” Tyszkiewicz

Rujewit

Porucznik Anna „Gollumka” Podgórska
Plutonowy Wiesław „Młotek” Krawczyk
Plutonowy Mariusz „Jastrząb” Wojteczek

Daźbog (Obcy)

Porucznik Klaudia „Ripley” Heintze
Sierżant Joanna „Kalina” Malik
Kapral Lenny „Choina” Hadder

Swaróg (Kocur)

Porucznik Małgorzata „Kicia” Gwara
Sierżant Radek „Flaszka” Raczkiewicz
Sierżant Sebastian „Sokół” Sokołowski
Kapral Kamil „Tygrzyk” Muzyka

Marzanna (Szalony Pączek)

Porucznik Maciej „Tata Malki” Mikołajczak
Podporucznik Dana „Ciocia” Banecka
Sierżant Arkadiusz „Dragon” Grzeszczak

Mor (Kostusia)

Kapitan Małgorzata Miktus
Porucznik Paweł „Machaj” Mikołajczyk
Sierżant Aleksandra „Skrzacik” Mikołajczyk

Mech (Transformers)

Porucznik Michał „Grubens” Chudoliński
Porucznik Szymon „Skarpeta” Kosikowski

Jaryło (Gejtofhell)

Major Witold „Szaman” Siekierzyński
Sierżant Jacenty Gdaniec
Sierżant Piotr „Diabeł” Swatowski
Sierżant Wojciech „Mojżesz” Swatowski

Lubawa

Sierżant Krystyna „Kawa” Bochenek
Sierżant Matylda „Tylda” Pacholczyk
Sierżant Tycjan „Góral” Gucwa

DOWÓDZTWO PIĄTEJ BRYGADY

Generał Robert „Wiedźmin” Woźniak

GOŚCIE SPECJALNI
(Najpierw kobiety. Jesteśmy w Twierdzy).

Ewa Białołęcka
Gata Kinga Kowalewska
Dominika Węclawek

(I faceci).

Bartek Biedrzycki
Michał Cholewa
Jakub Ćwiek
Witold Jabłoński
Radosław Kot
Justyn Łyżwa
Arkady Saulski
Robert Szmidt (Aapokalipsa!)

* * *

I wielu, wielu innych cudownych bohaterów,
których nie możemy tutaj ujawniać,
bo byłby to za duży spoiler.
Świątovid nam świadkiem!

POLEGLI PODCZAS MISJI „ATOM”

Kapitan Mariusz „Niania” Krawczyk
Porucznik Krzysztof „Baczyński” Kietzman
Porucznik Karol „Hantel” Prostrelczuk
Sierżant Andrzej „Andrus” Jarota
Plutonowa Alicja „Alka” Górniak
Kapral Arkadiusz „Dziad” Brzeziński

POLEGLI PODCZAS OBRONY PAŁACU TWIERDZY

Królowa Magdalena Kozak
Kapitan Borys Zajączkowski
Porucznik Krzysztof Lech
Chorąży Bogusław Tobiszowski
Kapral Adam Ochwat
I wielu innych dzielnych wojów.

Nigdy nie zapomnimy.

Niech czuwa nad Wami Perun Niebieski!

Sztandar 1

Dwudziesty dziewiąty czerwca 2057 roku był dniem pochmurnym i gorącym, zwiastującym nieuchronną burzę. W takie dni ludzie są spoceni i rozdrażnieni. Takie dni nie nadają się na majówkę, orzeźwiająca kąpiel w krystalicznie czystej Wiśle czy spacer pośród kwitnących róż. Takie dni człowiek chce po prostu przetrwać, nie pamiętając o tym, że żyje, a tym bardziej nie chcąc wspominać poległych przyjaciół, których okryte purpurowymi całunami urny zjeżdżają do wąskich żołnierskich grobów pośród cichego łopotu flag batalionu „Orzeł Biały”, formacji POLOM, Stalowego Orła i na szybko wydrukowanego na grubym płótnie nowego symbolu Twierdzy, czyli umieszczonego w błękitnym polu kołowrotu na tle miecza z szerokim jelmem.

W takiej właśnie aurze odbywał się pogrzeb plutonowej Alicji „Alki” Górniak, sierżanta Andrzeja „Andrusa” Jaroty, kaprała Arkadiusza „Dziada” Brzezińskiego, kapitana Mariusza „Niani” Krawczyka oraz poruczników Krzysztofa „Baczyńskiego” Kietzmana i Karola „Hantla” Prostrelczuka z formacji POLOM, czyli tych dzielnych wojów, którzy polegli w czasie rajdu mającego na celu zlikwidowanie niemieckiej wytwórni bomb atomowych.

Gdy urny z prochami zjechały już do mogił, rodziny poległych otrzymały ciasno złożone flagi Twierdzy, Arkady „Wikary” Saulski zaniósł modlitwę do Jahwe, a Witelon Jabłoński do Mora i Marzanny, Ewa Jarota, wdowa po zawsze wesołym Andrusie, podeszła z synem do Thomasa „Fraydeya” Piatkovskiego, który stał sztywno ze wzrokiem wbitym w kłębiące się nad pałacem chmury. Thomas zerknął na nich i zamrugał, jakby budził się ze snu. Ewa, blondynka o niebieskich oczach i cerze bladej od troski, skinęła na Mateusza, który przypominał dzielnego ojca posturą i spojrzeniem. Chłopak wyciągnął przed siebie szablę schowaną w czarnej pochwie i owiniętą w sztandar batalionu.

– Należała – Ewa chrząknęła – należała do Andrzeja. Podobno byłś z nim, kiedy...

Wdowa pochyliła głowę. Nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Wyręczył ją syn:

– Tata podobno bronił się bagnetem...

– Tak – chrypnął Piatkovsky. – Robił to doskonale. Był mistrzem fechtunku. I gdyby nie zdradziecki strzał...

Ewa pokiwała szybko głową.

– Często cię wspominał. Mówił, że znasz się na szermierce.

– Tak, proszę pani.

– Myślę, że chciałby, żebyś... miał to przy sobie.

Mateusz uniósł szablę, a Thomas popatrzył na nią, jakby wahał się, czy przyjąć podarunek. Zamrugał, odetchnął i wyciągnął w nabożnym geście ręce, po czym powoli zacisnął długie palce na orężu. Twarde okucia zdawały się szeptać do niego tajne zaklęcia i poczuł Piatkovsky w żyłach niezrozumiałą moc.

– Zetnij – Ewa spojrzała na niego ostro – zetnij tą szablą tyle orkowych łbów, ile zdołasz, Thomas. Dla Andrzeja. Dla mnie.

– I dla Twierdzy – dopowiedział Mateusz.

Fraydey przełknął ślinę.

– Ma pani moje słowo, pani Ewo.

Scenie tej przyglądali się członkowie rodzin innych poległych, król Justyn Łyżwa z asystą, pozostały przy życiu, okutany w bandaże skład wiadomego batalionu, stojący w karnym szeregu Grunmorzy, grający właśnie capstrzyk oddział reprezentacyjny Gwardii Królewskiej oraz kotłujące się nad Powązkami czarne chmury, z których kiwali głowami i cmokali z aprobatą polegli czuwający nad Twierdzą. Żywi także kiwali głowami, po części akceptując przekazanie oręża Fraydeyowi, po części zaś zgadzając się, że zemsta jest trunkiem bogów.

A potem umilkła muzyka, nastąpiła cisza pieszczona jedynie szelestem sztandarów i wszyscy bez słowa żegnali dzielnych wojaków, a każdy wspominał ich na swój sposób.

Była jednak w Warszawie istota, która nie żegnała i nie opłakiwała zmarłych Różowych, przeciwnie – zastanawiała się, jak by tu... ale nie uprzedzajmy faktów.

Był to Robert Schmidt, dumny Überwunder Hordy Południowo-Wschodniej, który dzięki niekłamanemu intelektowi zmarłego Blitzza Worlöcka, prawdziwego orkowego geniusza, odzyskał najpierw świadomość, a potem nieco sił. Zorientowawszy się, że przebywa w jakichś podziemiach – tak naprawdę laboratoriach pałacu – zastanawiał się nie nad tym, jak z nich uciec, bo na tyle rozum mu jeszcze nie wrócił, lecz jak nabrać trochę energii. Bo rozumiecie, były niemiecki pisarz dopiero co był jakby martwy. Nawet zupełnie nieżywy. Jego tkanki dopiero rozpoczynały rozruch. Były zimne, słabe, odtlenione i niedożywione. Skóra na całym ciele potwora była podziurawiona, poobcierana, w kilku miejscach widać było białe kości. Łeb miał Robert z lekka potrzaskany po drobnej obcierce pociskiem czołgowym, a prawe jego oko wydłubała celnym strzałem Kasia „Joe” Rakowska. Zatem ogólnie, chociaż lepiej oczywiście żyć, niż nie żyć, wcale tak cudownie z nim nie było.

– Aaapokalipsa – jęknął nie wiadomo który już raz i powoli wstał z marmurowej leżanki.

Obok spoczywały oskórowane zwłoki Ixiego. Lukasa Ixena trudno było rozpoznać z wiadomych względów, dlatego niegdysiejszy pisarz miał niejake kłopoty z rozeznaniem, do kogo należy to gigantyczne cielsko.

– Grmmm... – mruknął Schmidt, zerkając to na potężne uda byłego programisty, to na jego mięśnie kapturowe. – Bauer czy Ixi? Wygraliśmy czy przegraliśmy? Gdzie ja, donnerwetter, jestem?

Przypomnijmy, że podczas ataku na pałac króla Schmidt pierwszy oddał ducha, nie znał więc dalszych losów ani Ixiego, ani Hermanna Bauera, ani tym bardziej Dzedaja, nic nie wiedział o fatalnym (z naszego punktu widzenia) strzale, który rozsadził czaszkę królowej, i w ogóle mało co kumał, głównie z powodu swojego stanu, że tak powiemy, zdrowotnego. Patrząc na leżący obok zewłok, za nic w świecie nie potrafił zatem wykoncypować, czy tkwiący przed nim połec mięsa należy do byłego boksera, czy byłego programisty, przy okazji melomana amatora.

– Grmmm – warknął Robert, obwąchując komilitona.

Mięsko zdążyło już elegancko skruszeć, a nie zaczęło się jeszcze psuć, bo nie pozwalała na to zbyt niska temperatura w pomieszczeniu. Zapach szynki tudzież polędwicy i ligawy nie był co prawda tak zniewalający jak aromat podrobów Różowych, którymi Robert pożywiał się przed zgonem, ale swoista inteligencja Überwundera podpowiadała mu, że garnażeryjne przysmaki leżące przed nim niczym na suto zastawionym stole wciąż są jadalne. Do skołowanego mózgu zombi dotarło w końcu, że musiał zostać uznany za martwego i przetrzymywany jest w jakichś parszywych podziemiach, z pewnością w celach naukowych. Przypomniał sobie Worlöcka i jego

kapsułkę z niebieskim płynem. To on przywrócił go do żywych.

– Worlöck, sukinsynu – wysapał Schmidt. – Dzięki, bracie. Uściskam cię, jak wrócę. – Rozejrzył się. – Gdzie ja jestem? Grmmm...

Nie miał jeszcze sił, by dokładnie spenetrować pomieszczenie, lecz był już na tyle przytomny, by zrozumieć jedną prostą rzecz: z klatki trzeba się wyrwać, a by to zrobić, potrzebna będzie cała nadgrünowa siła.

– Entschuldigung, przyjacielu – mruknął. – Muszę cię zjeść i tym bardziej mi przykro, że nie mam pojęcia, czy zreć będę Bauera czy Ixiego. – Były pisarz podparł pięścią masywną szczękę i popadł w zadumę niczym *Mysliciel* Rodina, ale zaraz potrząsnął łbem, mlasnął i orzekł: – Zatem... Hmm... Guten Appetit! – Chrząknął, wyciągnął poranioną łapę, oderwał z niej jakimś wysiłkiem z nogi Ixiego kawał mięcha i władowawszy zimny polec do gęby, zaczął z wysiłkiem żuć. – Mmmm... coś jak lody z wkładką mięsną. – Mlasnął, przeżuł jeszcze raz, znowu mlasnął i przełknął.

Taaaak...

Historycy twierdzą, że Gojira pożarł Ixiego praktycznie do szczętu, nie licząc kości, bo te nawet dla mocarnych szczęk Schmidta były za twarde. Wyssał także mózg towarzysza przez oczodoły, co było czynem wyjątkowym, niemieckie orki bowiem nie miały takiego zwyczaju (tak w każdym razie donosi profesor Łukasz Urbańczyk, badacz zachodnich hord), a te niewielkie jamy przy olbrzymiej zuchwie tudzież kłach Überwundera nijak nie ułatwiały zadania. Aby dokonać tej sztuki, Schmidt musiał najpierw porządnie czachę Ixiego wytrząść, żeby mózg zamienił się w papkę, a potem wlał przez dziury po ślepiach spirytus salicylowy ze sporego baniaka stojącego w rogu. Tak przygotowany szejek przeszedł jakoś przez szczeliny i nasycił naszego bohatera, dodając mu przy okazji etanolowego animuszu.

Po trwającej nieco ponad pół godziny uczcie Schmidt podziękował koledze za wspólny posiłek, poklepał się po powiększonym brzuchu i odnotował nieznaczne rozjaśnienie umysłu, o ile o takim fenomenie w przypadku Gojir można w ogóle mówić. Wtedy to właśnie skonstatował ze zdziwieniem, że widzi tylko na jedno oko, jest całkiem nagi, zalany posoką i podziurawiony. Ogólnie rzecz biorąc, zaniedbany, nawet jak na orkowe standardy.

Rozejrzył się po pomieszczeniu. Pod ścianami stała aparatura kontrolująca wilgotność i temperaturę powietrza, w rogu tkwił obszerny stół, a na nim zamknięte autoklawy, na jednej ze ścian zaś królowały oświetlone na czerwono stalowe drzwi. Uśmiechnął się zmartwychwstaniec i podszedł, pochylając nieco swoją trzymetrową sylwetkę, do stołu z autoklawami. Podważywszy ułamanym pazurem wieko pierwszego pojemnika, z przyjemnością skonstatował, że zawiera skalpele, kochery oraz peany. Wszystkie te narzędzia były dla jego palców niczym zapalki w rękach dorosłego człowieka, ale jak mawiają, lepszy skalpel w garści niż kałasznikow na dachu. Überwunder podważył wieko drugiego autoklawu i znalazł tam gaziki.

– Tampony? – mruknął. – Hmm, w sumie i tak lepsze to od pampersów w razie przeciężeń – skonstatował i wsadził sobie jeden głęboko w dupę. – No – mlasnął ukontentowany – jestem zabezpieczony...

Gdyby ktoś zapytał byłego pisarza, dlaczego zrobił coś tak kuriozalnego, ten nie potrafiłby logicznie odpowiedzieć. Rozumiecie, Gojira nie był jeszcze do końca zdrowy. O, daleki był od zdrowia, zwłaszcza psychicznego. Kto by nie był po wielu godzinach śmierci klinicznej i z litrem spirytusu w żołądku? Dopiero co zaczęło na nowo bić jego serce, mózg zaledwie się

rozgrzewał, układy logiczne próbowały przecierać zabłocone szlaki, a pamięć nie odkryła jeszcze tego, co dusza zobaczyła w zaświatach, więc dzielny nasz, zaiste niezniszczalny Überwunder, jadąc po linii pierwszych skojarzeń i wspomnień, uznał, że najważniejsze to nie zesrać się podczas akcji. I trzeba przyznać, był w tym jakiś sens.

Spojrzał na stalowe drzwi i ocenił ich grubość.

– To nie przeszkoda dla wielkiego Schmidta – warknął, podszedł do nich energicznie i już miał na nie naprzeć, ale ponownie zlustrował swoją porażającą, paskudną nagość i coś się w nim złamało.

– No nie, nie mogę tak wyjść do ludzi – jęknął i rozejrzał się jeszcze raz po pomieszczeniu.

Na leżankach spoczywały zielone, sztywne prześcieradła. Na podłodze obok stołu, na którym leżał szkielet Ixiego, wały się brezentowe pasy w tym samym kolorze.

– Grmmm... – mruknął były pisarz, zwizualizował swój przyszły strój i zabrał się do roboty.

Gdy uznał, że lepiej już wyglądać nie może, jego biodra owinięte były podwójnym brezentowym pasem, z którego zwisały prześcieradło oraz kilka woreczków ze skalpelami i innymi chirurgicznymi narzędziami. Krocze osłonięte zostało ni mniej, ni więcej tylko czaszką Ixena oderwaną wraz z częścią kręgosłupa, którym to odcinkiem szyjnym wielki łeb o potężnej szczęce zaczepiony został o brezentowy pas i chronił teraz przyrodzenie olbrzyma, szczerząc wielkie kły i strasząc ślepymi oczodołami.

– Uk, uk, w ten sposób jakbyśmy wciąż byli razem, co, Ixi? Czy tam Bauer? – warknął olbrzym.

– *Tak, no taaak...*

Schmidt poczuł zawrót głowy. Napiął olbrzymie mięśnie i rozejrzał się w poszukiwaniu źródła dźwięku, ale pomieszczenie było puste, jeśli nie liczyć bezgłowego szkieletu, teraz jakoś zupełnie pozbawionego ducha.

– Jest tu kto, donnerwetter?

Odpowiedział mu jedynie cichy pisk aparatury kontrolującej temperaturę.

– Verfluchte... – mruknął i poprawił na mięśniach piersiowych dwa autoklawy zawieszane na krzyżujących się, zsuwających nieco pasach.

Spojrzał raz jeszcze na szkielet komilitona i wspomniawszy, jak niebywale twarde są jego kości, a więc być może przydatne, podszedł do kościotrupa, chwycił poły prześcieradła i dźwignął cały ten bałagan na ramię, czemu towarzyszył nielichy łoskot.

– Nie zostawię cię tak, kolego – mruknął.

Wziął wielki wdech, zakaszłał, wyrzucając z gardzieli obłok kurzu, i z całej siły napał na stalowe drzwi. Futryna jęknęła, zawiasy zaprotestowały i strzeliły z głośnym brzękiem, a zamek wygiął się i z niejakim zdziwieniem wysunął z blokującej szczeliny. Skąd zdziwienie zamka? No cóż, gdyby potrafił mówić, z pewnością oznajmiłby Schmidtowi, że od środka drzwi można otworzyć bez żadnego trudu, naciskając klamkę. No ale, jak wszyscy wiemy, przedmioty martwe mówić nie potrafią...

Odrzwia opadły na podłogę z niemożliwym hukiem.

– Nadchodzi wujcio Schmidt! – zagrzemiał Überwunder, próbując chrapliwie się zaśmiać.

– *Może troszku ciszej?* – rozległo się, a on znowu się rozejrzał. – *Może uciekać wypada?* Ztqd?

– Kto to, donnerwetter, mówi?!

Tym razem Überwunder zatrwożył się nie na żarty i odruchowo poprawił czaszkę na kroczu. Lecz znowu nikt mu nie odpowiedział.

– Może i racja – mruknął. – Zmykać, trzeba nam zmykać z... – Rozejrzał się bezradnie. – Z tego niegościnnego kraju. I powietrza trochę łyknąć, uk, uk, bo mi się mąci we łbie, a ten Ixi chyba mi zaszkodził...

Beknął potężnie spirytusowym basem, ponownie rozsiewając obłok kurzu, i istotnie, poczuł w gębie, oprócz etanolu, smak pęcherza moczowego tudzież jelita grubego byłego towarzysza broni.

– Podrobów nie musiałem konsumować. – Skrzywił się, potrząsając łbem.

Wtedy jego lewe oko dostrzegło stojące po prawej stronie stalowego pomieszczenia olbrzymie akwarium. Schmidt zamrugnął i złapał ostrość. W wielkim przeziernym sześcianie pływały dziwne zielone stworzenia, de facto ślimaki morskie z gatunku *Elysia chlorotica*. Niezwykłe te organizmy podobne są do liści i aktywnie korzystają z chlorofilu, który to barwnik, zaabsorbowałszy odpowiednie geny od zjadanych alg, potrafią same wytwarzać. Naukowcy Twierdzy intensywnie badali te stworzenia, starając się zrozumieć niezwykłą biegłość orków w asymilacji różnych metabolizmów tudzież ciał obcych. Poza tym kolor, rozumiecie...

Widząc pływające w wodzie liście, Schmidt przełknął ślinę i mruknął:

– Przydałaby się jakaś sałatka, to poprawia trawienie...

Podszedł do pojemnika, zerwał pokrywę, wsadził wielkie łapy do ciepłej toni i wyłowiwszy kilkadziesiąt sztuk leniwych mięczaków, władował je sobie do gęby.

– Mmm... – mruknął, żując słonawe glutu. – Wicehrabio, jak dzisiaj pogoda?

Roześmiał się, bo wyobraził sobie, że jest arystokratą na przyjęciu, podczas którego podają owoce morza.

– A, piękna, kurwa, piękna – odpowiedział sobie. – Piękna, kurwa...

Szukał bardziej wykwintnych zdań, ale nic oprócz „piękna, kurwa” mu do głowy nie przychodziło.

– *Skończ może już wpierdalać i zmywaj się, kurwa...*

Skóra ścierpła mu na karku. Napiął mięśnie, pochylił się, poprawił worek ze szkieletem na ramieniu i energicznie się rozejrzał. Ale jak wcześniej, gdy do jego zmysłów docierały tajemnicze słowa, nikogo nie dostrzegł.

Ruszył więc, grzmocąc gołymi stopami o stalową posadzkę, do kolejnych drzwi. Te były uchylone i wpadł wojownik Überlandu do pomieszczenia pełnego stołów sekcyjnych, szaf, akwariów i klatek.

– Co to, verfluchte...?

Podszedł do najbliższej stojącego pokaźnego terrarium osłoniętego siatką. Na płaskiej stalowej powierzchni tkwiły tam, jakby ukrzyżowane, duże pająki. Nici z ich odwłoków były ciągnięte przez leniwie obracające się kołowrotki i nawijane na nie jak włóczka.

– Barbarzyńcy! – warknął Schmidt. – Tak męczyć zwierzęta...

Zerwał siatkę, sięgnął pazurami do metalowej blachy, wyrwał ją z dna klatki, po czym zgarnął jej zawartość do gęby, łącznie z kołowrotkami.

– Nom – mlasnął, chrupiąc strawę. – Owady są podobno pożywne...

– *Pajęczki... nie owady som* – rozległ się głos.

– Donnerwetter! – wrzasnął Schmidt. – Kto tu jest?! Kto się ze mną bawi?!

Rozejrzał się, skulił, wyciągnął przed siebie mocarną łapę zwiniętą w pięść i obrócił się na pięcie. Jednak nikogo nie zobaczył, tylko kolejne akwarium, w którym pływały podługowate

czarne ryby.

– Zdrowe są rybki – stwierdził Schmidt, wyprostował się, podszedł dziarsko i zerwał z akwarium pokrywę.

Włożył łapę do wody, lecz zaraz ją cofnął, czując uderzenie prądu.

– Ha! – roześmiał się. – Tego mi było trzeba!

Wyciągnął elektrycznego węgorza i jął się nim owijać, chichocząc, ilekroć biedne stworzenie próbowało się bronić, rażąc go różnicą potencjałów. Jednak olbrzym nic sobie z tej samoobrony nie robił, przeciwnie, z upodobaniem przykładał zwierzę do czaszki, bo miał wrażenie, że w jakiś sposób rażony mózg zaczyna żwawiej pracować.

I nagle...

Ogarnęła go...

Jasność.

Przypomniawszy sobie dzielny zmartwychwstaniec, co się z nim działo, gdy nie żył, ale wciąż istniał.

A była to nie lada przygoda.

Oto bowiem kilkanaście godzin wcześniej, gdy doktor Halszka Wysocka wraz z doktorem Maciejem Matuszewskim orzekli zgon Gojiry, a jego serce przestało bić, dusza byłego pisarza opuściła zewłok, ujrzawszy zaś świat wielowymiarowo, zachwyciła się tym stanem. Niektórzy historycy, w tym Zachariasz Smętny, twierdzą wręcz, że Robert stał się wtedy znowu jakby człowiekiem, chociaż opinie innych znawców orkowej psychiki temu przeczą. Tak czy owak, zacny nasz Schmidt popfrunął nad swoje ciało, zobaczył zniszczony pałac, wzleciał niczym skowronek nad łąki Überlandu, zwiedził inne części globu, aż wreszcie podążył za światłem, wiedziony coraz słodsza muzyką i wszechogarniającą miłością.

I stanął przed olbrzymim ametystowym tronem, na którym siedział wielki, mocarny...

Ork.

Bóg bogów. Mocarz mocarzów. Jebak jebaków.

Gott.

Rozstawione nogi jego były jak kolumny świątyń.

Fujara jego, stojąca niczym maczuga Herkulesa, była niczym... maczuga Herkulesa.

Ramiona jego kostropate były umięśnione tak gęsto, że przypominały węzowiska.

A oczy jego świeciły mądrością przedwiecznych i wyklętych.

I przemówił do niego głosem najśłodszy z słodkich, a głębokim niby studnia grawitacyjna:

– JEBAKU KARABURA FITĄGIEW BORAKA.

Zachłysnął się najpierw Schmidt mową boga, a potem zrozumiał, że... nic nie rozumie.

– Eee... że co, mości Gotcie? – zapytał skonfundowany. – Że ja niby jestem... jebakiem?

– DUPA SRAKA EBARARA FURA – odparł wielkim głosem Gott.

– Nooo... dupa sraka rozumiem, ale dalej już nie – stęknął były pisarz.

– JABA CHYRA BURA SUKA – rzekł Gott, nieco już zniecierpliwiony.

– Chrm... – Schmidt potarł spocone czoło. – Panie Gotcie, znowu mamy przerwy na łączach, bo pojąłem tylko burą sukę.

– JIBA SOBIE KURWA JEĞA?! – wrzasnął rozeźlony już Gott i wychylił się do rozmówcy, ale tylko nieznacznie, bo przeszkadzała mu w tym wielka, stojąca fujara.

– No... kurwa jeğa, jeğa, skoro Gott tak mówi...

– AAAARRRGH!!! – ryknął Gott i tupnął nogą. – WYP KURGARA JOBA SMOKA!

Po czym wstał, poruszając galaktykami i wzniecając kosmiczny wiatr, a następnie zasadził

Schmidtowni tak straszliwego kopa, że Überwunder poleciał w kierunku Ziemi i wpadł w swoje pokiereszowane, ukryte w podziemiach pałacu ciało. Wtedy to właśnie wypowiedział pierwsze pośmiertne „aaapokalipsa”.

Wspomnienie to na chwilę zamroczyło Überwundera, który w tym momencie nie zwracał uwagi ani na wijącego się w jego łapach węgorza, ani na słabnące wyładowania ryby.

– Gott... ist... grün – szepnął dzielny nasz Gojira, a potem powtórzył: – Gott... ist... grün. Bóg jest zielony! Ma rację Zakhausen! Mam misję! Mam misję! Zmartwychwstałem... Tak jak Jezus... Tak jak powiedział Worlöck... O. Ja. Pierdolę...

Schmidt nie przyznawał się przed sobą, że nie ma zielonego, nomen omen, pojęcia, jaką misję zlecił mu Gott, ale czuł powołanie, czuł boską siłę... Aby podkreślić tę mesjanistyczną rolę, władował sobie węgorza do gęby i schrupał go entuzjastycznie, potem pożarł jeszcze jednego, a wreszcie ostatniego z akwarium, notując z rozkoszą elektryczne wstrząsy dochodzące z wnętrza wypukłego, zadowolonego brzucha i interpretując je jako boskie sygnały.

– Gott ist grün, Gott ist grün. Mam misję, tylko jaką, tylko, donnerwetter, jaką... – szeptał.

– *Wypierdalaj stąd może, co?*

– Aaaaaargh! – wrzasnął i upadł na kolana. – Gotcie! Wreszcie zrozumiałem! Mówisz do mnie prostym językiem! Dziękuję! Dziękuję, Gotcie!

– *Proszę, kurwa, bardzo. Spierdalaj.*

– Tak, tak, oczywiście – charknął Überwunder, dźwignął się, podszedł do kolejnych stalowych drzwi, otworzył je i ruszył korytarzem, pochylając wielką sylwetkę.

– Misja, mam misję, cudownie, donnerwetter – mamrotał. – Mam misję, zaaajebicie. Zakhausen, popaprańcu, miałeś rację. Gott mit uns, mam misję, aaaaapokaliipsaaaa!!!

Nagle poczuł znajomą woń. W pobliżu znajdował się jakiś... Grün! I Różowi! O tak, Róóóóóowi!!! Zmysły olbrzyma wybuchły niczym podczas wielokrotnego orgazmu. Nagle jego zmartwychwstałą psyche owładnęła wizja, że otacza go karuzela ślicznych, odzianych jedynie w zwiewne szaty ludzi płci obojga i wystarczy wyciągnąć łapę, by chwycić ją albo jego i posilić się pożywnym Hertzburgerkiem...

Zombi przełknął głośno ślinę, kaszlnął, wyrzucając kolejną porcję kurzu, przetaił lewe oko i zwiększył tempo. Na końcu korytarza było lepiej oświetlone pomieszczenie. Zamajaczyła tam mała kobieca sylwetka odziana w biały fartuch. Najpierw znieruchomiła, potem przytknęła dłonie do czoła, jakby oslepiało ją słońce, a następnie przysiadła i chrypnęła:

– O kurwa!

Finezją wypowiedzi niewiele się różniła od naszego bohatera podczas konsumpcji ostryg, znaczy ślimaków, nieprawdaż? Ale w sumie należy ją zrozumieć, bo któż z nas zachowałby się inaczej? Kobieta postanowiła salwować się ucieczką i potykając się o własne nogi, wrzasnęła:

– Swarogu! Gojira zmartwychwstał!

– Co?! – odpowiedziało jej kilka głosów.

– Nie wiem! Nie rozumiem! Pędzi tutaj!

– Kto?!

– Go-kurwa-jira!

– Dzedaj siedzi w klatce, nie widzisz, idiotko?!

Idiotką tą była młoda laborantka, magister Agnieszka Rogińska, w zasadzie stażystka, ale podobno bardzo uzdolniona, również plastycznie, i nawet niezła w sztukach walki. Szczegóły na jej temat wciąż są dostępne w historycznych opracowaniach, ale cóż z tego, cóż z tego? Nie bacząc na protesty koleżanek i kolegów, rzuciła się do drzwi pokaznej windy po prawej stronie

sali.

W tym czasie Schmidt zbliżał się do końca korytarza i coraz wyraźniej czuł, że w pomieszczeniu znajduje się jeszcze co najmniej pięciu Różowych.

– Ja pierdolę, ja pierdolę... – szeptała Agnieszka, drepcząc przy pancernych drzwiach windy. Wciskała raz za razem wielki czerwony przycisk, a w końcu, niczym ogarnięta furia, zaczęła grzmocić w niego, jakby mogło to w jakikolwiek sposób przyspieszyć przybycie kabiny.

Pozostali laboranci, w tym magister Mariusz Lemke, kolega Agnieszki jeszcze ze szkoły podstawowej, nie mogli już lekceważyć dudniących kroków i także pojawili się w wylocie korytarza. Widząc olbrzyma z dyndającą orkową czachą między nogami, z autoklawami zamiast pancerza i z łoskoczącym zielonym workiem na plecach, zaczęli wrzeszczeć, podskakiwać, zderzać się ze sobą i przepychać do windy, która – zgodnie z zasadą złośliwości rzeczy martwych – wciąż nie zjeżdżała. Gdy Schmidt wtargnął wreszcie do obszernego pomieszczenia, ku swojemu olbrzymiemu zdziwieniu zobaczył po lewej stronie wielką klatkę z niebywale grubych stalowych prętów, w której spokojnie siedział...

– Dzedaj!!! – wrzasnął. – To ty?! Paulus... – Przez chwilę szukał w steranej pamięci nazwiska komilitona. – Wäsel! Wäsel! To naprawdę ty?

– Schmidt? – Olbrzym w klatce odwrócił się i spojrzał z niedowierzaniem na towarzysza. – Myślałem, że zginąłeś!

– Nie, brachu! A teraz mam misję! Od Gotta! Wyciągnę cię stąd! – zawołał Überwunder i począł szarpać wielkie sztaby.

Te jednak były z naprawdę solidnego stopu, a średnicą odpowiadały nodze Gojiry.

– To na nic, Robert – sapnął Dzedaj. – Nie dasz rady. Ratuj się. I zjedz coś. Koszmarnie wyglądasz.

– Nie zostawię cię, na Gotta! To musi się jakoś otwierać...

Schmidt znowu szarpnął wielkie pręty.

– Daj spokój – mruknął Dzedaj, po trosze zdumiony zmartwychwstaniem Überwundera, po trosze zadowolony, że olbrzym nie jest w stanie ruszyć krat.

Pacyfistycznie nastawiony Yoda nie chciał uciekać, chociaż z drugiej strony miał ochotę wydostać się z klatki, obawiając się, że były pisarz może rozpętać piekło, a temu pragnąłby zapobiec.

– Jak to się stało, że się odłączyłeś? – sapnął zombi, próbując pazurami podważyć nity mocujące klatkę do podłoża. – Może we czwórkę dalibyśmy radę?!

– Długa historia, przyjacielu.

– Ale wygraliśmy? Zabiliśmy króla?

Dzedaj nie wiedział, bo nawet jeśli laboranci opowiadali o ataku w jego obecności, nie znał języka Mickiewicza tudzież Skargi.

– Nie wiem. Nie wiem.

– Ktoś przeżył? Ixi? Bauer?

– Też nie wiem, Schmidt. Ratuj się. Nie marnuj sił. Wyglądasz jak trup.

– Zabiją cię tu! – Überwunder kaszlnął, wyrzucając z płuc nieco już mniej obfity obłok kurzu.

– Nie, to dobrzy ludzie.

Wielka szczeka Roberta opadła, a lewe oko wytrzeszczyło się.

– Chyba żartujesz! Dobrzy to Różowi są podsmażeni, upieczeni i na surowo!

– Robert, nie wydostaniesz mnie. Uciekaj. Co ty masz w tym worku?

– Bauera. Albo Ixiego.

- Też żywego?
- Trochę odchudzonego. – Schmidt zgrzytnął zębami.
- Po co ci on?
- Jeszcze nie wiem... Mam misję...
- *Właśnie. Może byś wreszcie zwał z tego miejsca?* – usłyszał zombi boski głos.
- O, znowu Gott mnie wzywa...

Dżedaj pokręcił głową, widząc obłęd w oku kolegi.

Tymczasem spanikowani naukowcy tłoczący się przy windzie i z przerażeniem obserwujący dwóch szwargoczących ze sobą gigantów z ulgą usłyszeli gong, po czym hurmem ruszyli do kabiny.

– Masz transport – oznajmił Dżedaj. – Tylko windą stąd uciekniesz, a bez takiej, wiesz, karteczki, którą noszą Różowi, nie uruchomisz jej. Ładuj się i bądź wolny.

Robert zerknął najpierw na windę i znikającego w jej wnętrzu magistra Mariusza Lemkego, a potem na komilitona.

– Dżedaj!

Paulus pokręcił wielkim łbem.

– Rób, co ci mówię, przyjacielu.

Schmidt miał ochotę potrwać trochę w rozdarciu i smakować chwilę niezdecydowania, ale jego czaszkę rozsadził boski głos:

– *Spierdalaj do windy, tłumoku!*

Mrugnął więc do więźnia, co miało wystarczyć za rozdzierające pożegnanie, dostrzegł przyzwalające spojrzenie Dżedaja, po czym podbiegł do windy, w której tłoczyli się laboranci, i patrząc w ich blade oblicza, spytał:

– Państwo w górę?

Mesjasz Gotta i były pisarz Robert Schmidt wyszedł z windy, której ściany ociekały karmazynem, wyprutymi jelitami tudzież z trudem dającymi się zidentyfikować podrobami, ufetowany, rozanielony i natchniony. Rozłożył szeroko wielkie łapy, czując, jak po jego jeszcze parę godzin temu martwych członkach rozlewa się życiodajna energia. O, jakże różniła się od tej mroźnej fali, którą poczuł po zeżarciu komilitona w ciemnym, zimnym lochu! W jego oku pojawiły się wesołe iskierki, a w mózgu jakby się rozjaśniło.

Znajdował się w rozległym hallu, z którego rozchodziło się kilka korytarzy. Rozejrzał się i niuchnął w poszukiwaniu świeżego powietrza. Orki zawsze miały doskonały węch, to jest żywe orki, a nie ożywieńcy tacy jak Schmidt. Nawet jednak budzące się do życia receptory węchowe zombi wychwyciły świeży powiew od strony trochę lepiej oświetlonego korytarza na prawo. Überwunder ruszył w tamtym kierunku, zastanawiając się, jak ma ewakuować się z centralnej Polen i nieść radosną nowinę w Überlandzie, bo rozumiał, że nie może ponownie toczyć boju ze zbyt licznymi Różowymi. O, nie. Wróci tu, ale potem. Najpierw święta misja.

Jaki jest zatem najszybszy transport? Nie będzie biegł do ojczyzny, bo to za daleko. Do samochodu się nie zmieści...

– *Lotniczy* – odpowiedział święty głos i Schmidt, chciał nie chciał, musiał się z nim zgodzić.

– Ja, Gotcie! – warknął, stając u szczytu pokrytych czerwonym dywanem schodów i widząc pałacowy plac za szerokim wyjściem znajdującym się u ich podnóża. – Ja, ja! Nareszcie wolność, verfluchte!

Wybił się i wylądował tuż przy drzwiach, wzniesając obłok pyłu. Wybiegł, głośno charcząc, i chociaż było pochmurno, w oko uderzył go blask dnia.

Historycy twierdzą, że nie cały orszak króla towarzyszył monarsze podczas pogrzebu wojów batalionu „Orzeł Biały” i formacji POLOM. O ile byli z nim Witelon Jabłoński, Arkady Saulski, Magdalena Stawniak i Radosław Kot, o tyle Maciej Matuszewski i Halszka Wysocka – naczelnicy naukowcy Twierdzy – już nie. Oni jak zwykle pracowali ku chwale Twierdzy, akurat tego dnia starając się rozgryźć tajemnicę metabolizmu Gojir, konkretnie Ixiego i Schmidta, których próbki tkanek oglądali pod mikroskopami w podziemiach pałacu.

Doktor Matuszewski, odziany w lekki egzozkielet wspomagający pracę mizernych mięśni, przeglądał preparat za preparatem, nie mogąc nadziwić się prostocie i jednoczesnej maestrii, z jaką zbudowane były Gojiry.

– Wiesz – mruknął do Halszki – gdy oglądam ich komórki, zaczynam wierzyć, że są to twory dużo bardziej złożone, niż na początku uważano...

– Orki?

– Nie. – Matuszewski zachichotał. – Komórki. Mam wrażenie, że pojedyncza komórka umie, wiesz, myśleć, czuć, dążyć do czegoś, ale bardziej świadomie. Słowem, że to nie tylko tropizmy...

– Marzysz – prychnęła Halszka.

Jednak doktor Matuszewski wcale nie zraził się jej komentarzem, bo znał wredny charakter koleżanki.

– I że, rozumiesz – ciągnął – Gojiry to takie roje samoświadomych komórek. Albo prawie samoświadomych. Dlatego tak się regenerują. Wiesz, jak te mrówki, które potrafią zachować kształt: wyglądają jak poduszka czy mostek, a choćbyś je wrzuciła do wody, i tak zachowują formę...

– Podejrzewasz komórki Gojir o świadomość? – przerwała mu Wysocka z kpiarskim uśmiechem. – To ma sens. Inteligencja właścicieli przeszła w inteligencję komórek.

Halszka wychyliła się za Matuszewskiego, by wziąć kolejny preparat. Gdy to robiła, jej drobne, acz sprężyste piersi otarły się o chude plecy współpracownika.

– O kurwa – szepnęła.

– Panie doktorze... – powiedziała Halszka.

– O kurwa, pani doktor!

– Musisz kląć w laboratorium?

– Moje komórki ożyły!

Kobieta uśmiechnęła się krzywo.

– Czy mam to traktować jako nieudolny podryw?

– Nie, słowo honoru! Komórki Schmidta! Ożyły!

Tu wypada wyjaśnić, że kamery śledzące Gojiry podczas bitwy o pałac wychwyciły ich rozmowy i stąd wszyscy wiedzieli, który olbrzym jakie nosił miano.

– Bredzisz, Matuszewski.

– Ależ skąd! Proszę spojrzeć!

Halszka zerknęła na naukowca z kwaśną miną, szukając na jego twarzy śladów wskazujących na spożycie substancji psychoaktywnych. Jednak ujrzała tylko zdumienie.

– Jeśli to jakiś dowcip... – ostrzegła.

– Ależ nie, niech pani spojrzy!

Kobieta bała się, że padnie ofiarą głupiego żartu, jednak asystent nie wyglądał na skorego do psikusów. Przewyciężając opór racjonalnej części swojego umysłu, nachyliła się i zajrzała w okular mikroskopu.

I wtedy jej ciemne, wygięte w łuk brwi powędrowały wysoko na jasne czoło, bo to, co zobaczyła, przeczyło zdrowemu rozsądkowi.

Komórki Gojiry zaczęły, niczym pchnięte niezrozumiałą mistyczną mocą, naprawiać błony, regenerować się, a nawet dzielić.

– Jakim... cudem? – chrypnęła.

W tym samym mniej więcej czasie Schmidt wyzwała się z podziemi pałacu. Naukowcy nie słyszeli jednak ani ryku ożywieńca, ani krzyków konsumowanych w windzie laborantów, ani grzmotu posadzki, gdy olbrzym pędził ku wyjściu z budynku, znajdowali się bowiem na innym piętrze innej części podziemi. Niewątpliwie usłyszeli natomiast sygnał telefonu strażnika. Widząc, jak Schmidt ląduje z hukiem przed wschodnim wyjściem z pałacu, Arkadiusz Halicki, zwany ze względu na wyjątkowo flegmatyczny charakter Alojzym, schował się za wysoki kontuar i wybrał numer laboratorium. Dlaczego najpierw laboratorium, a nie Gwardii Królewskiej? Zdecydował odruch, Halicki bowiem dzwonił najczęściej do tej właśnie komórki służb pałacowych: kurierzy ciągle coś tam przywozili, odwozili i wymieniali, ruch w laboratoriach był największy. Strażnik szybko dostrzegł swój błąd i powziął solenne postanowienie, że jak tylko skończy rozmowę z doktor Wysocką lub doktorem Matuszewskim, powiadomi gwardię.

– Laboratorium – warknęła Halszka, nie lubiła bowiem, gdy ktokolwiek przeszkadzał jej w pracy. A przeszkadzał każdy, kto dzwonił.

– Pani... doktor... – wysapał strażnik.

– Alojzy?

– Tak, to ja. Pani doktor...

– Wysłowisz się wreszcie? Co tak dukasz? Mamy tu ważne sprawy!

– Ja właśnie... Gojira...

– Co Gojira?!

– Uciekł...

– Dzedaj?!

– Nie, pani doktor, nie Dzedaj. Ten wygląda jak jakaś...

Halszka Wysocka usłyszała w słuchawce grzmiące „Aaapokaliiipsaaa!”, następnie straszny ryk bestii, a w końcu terkot broni maszynowej.

– Maciuś! – krzyknęła do Matuszewskiego. – Zdaje się, zdaje się, że... Kurwa, sama w to nie wierzę! Schmidt zmartwychwstał!

– Jak?!

Wysocka zerknęła na mikroskopy.

– Tak jak jego komórki. Na rany Swaroga, przeoczyliśmy coś!

Matuszewski zerwał się z fotela.

– Ale nie wydostanie się! Musiałby windą...

– Jest już na zewnątrz! Alojzy go widział!

– Jest stary, może mu się przywidziało?

Halszka przyłożyła palec do ust, nakazując asystentowi milczenie.

– Słyszysz? – syknęła.

I wtedy do uszu doktora doszły stłumione dźwięki kanonady.

– Na Peruna – jęknął Matuszewski – rozwali pałac do końca i nas pogrzebie.

Wysocka podbiegła do jednego z laboratoryjnych stołów i chwyciła leżący tam karabin. Rzuciła go koledze, a sama wzięła drugi.

– Zatem wyjdziemy z pałacu – odparła. – Jeśli potworowi została odrobina rozumu, będzie próbował uciec.

– Zdaje się, że już próbuje.

– Celną uwagę, Matuszewski. Skoro tak, będziemy chcieli wiedzieć, dokąd się udał.

Maciej przyjrzał się broni. Był to miotacz pluskiew.

– Rozumiem, pani doktor...

Kapitan Mariusz Podgrudny zwany Juniorem, młody, nadzwyczaj drobny żołnierz o pociągłej twarzy okolonej gęstym zarostem, zdał egzamin na pilota Peruna niecały rok temu. Zrobił to tylko po to, by jego ojciec, także Mariusz Podgrudny, ale major, dowódca batalionu „Stalowy Sokół”, dał mu wreszcie spokój. Junior od zawsze marzył o entomologii i arachnologii, z akcentem na tę drugą specjalność, ojciec zaś koniecznie chciał go widzieć w mundurze, i to nie byle jakim. Dlatego nawet gdy jego synowiec w końcu się złamał i zaczął latać jako drugi pilot Radogosta, stary był wciąż niezadowolony. Na nieszczęście Juniora okazało się, że ma niezwykle wyczucie maszyn latających, być może ze względu na zamiłowanie do owadów, a szczególnie talent wykazywał do prowadzenia śmigłowców, co ojca napełniało dumą, a naszego bohatera – rozpaczą. Jednak nieszczęście zamieniło się w pasję, gdy poznał niejaką Kalinę Podgóorską, pracującą w TYKAC-u programistkę, która pewnego dnia w jego obecności wyznała koleżance, że ma słabość do pilotów Perunów. Junior wiedział, że to niebezpieczny fach i że stanowisko drugiego pilota Radogosta, które pełnił przed egzaminem, było dokładnie tym, czego od życia wymagał jego nie do końca żywiołowy temperament. Podgrudny chciał niewiele – dobrego piwa, dobrej muzyki, spokoju, tego, by jego ulubiona pajęczycza Tekla codziennie dostała jedzenie, i... miłości. Z czterema pierwszymi składnikami egzystencjalnego równania radził sobie nieźle, nawet spokój był osiągalny w targanej wichrami wojen Twierdzy. Tylko miłość wymykała się z wąskich rąk pilota, bo ilekroć uchwycił jej barwny ogon, uciekała niczym spłoszony żarptak. Zielone oczy Kaliny spowodowały jednak, że pilot postanowił wyżyć wszystkie siły, by okazać się na tyle dobrym pilotem, by przyjęto go do Gwardii Królewskiej. Chciał w ten sposób przekonać drobną, śliczną blondynkę, że jest godzien jej uczucia, chociaż za każdym razem, gdy się spotykali, omijała go wzrokiem, jakby był za niski i za drobny, by go dostrzec. Junior zaparł się wszakże i korzystając ze swojego daru, przeszedł wszystkie testy, w tym bojowe, na froncie wschodnim wykazał się znakomitą skutecznością i w końcu jego podanie zostało przyjęte. Wkrótce zaczął odbywać loty patrolowe wokół pałacu i dzięki temu mógł kontaktować się z Kaliną, która je teraz obsługiwała. Czy chciała zatem czy nie, musiała z nim rozmawiać, a to zwiększało szanse drobnego kapitana...

Ostatnio coś zaczęło szwankować w fotelu jego Peruna, szedł więc właśnie pałacowym placem do swojej „Blondi”, jak nazwał helikopter, na cześć Kaliny oczywiście. Zgodnie z sugestią mechanika, porucznika Sławka Folkmana, zamierzał sprawdzić, czy dopiero co zamontowany nowy fotel będzie lepiej pasował do jego niepozornych gabarytów. Nagle usłyszał

krzyk biegnących w stronę pałacu Zbrojowców, których pomalowane w czerwień i biel Trojany błysnęły mu przed oczami, potem rozległ się huk ich Marchołów, a w końcu doszedł go dziwny ryk. Mariusz nie brał udziału w akcji, która rozegrała się tu trzy dni wcześniej. Przebywał na poligonie w Czerwonych Borach. Widział jednak przypominające koniec świata filmy i przyznawał sam przed sobą, że w sumie dobrze się stało, że nie było go w tym czasie w stolicy. Spojrzał teraz w kierunku wejścia pałacu i zobaczył apostoła śmierci, emisariusza Ragnaroku, piewcę Armagedonu, słowem, żywego Gojirę błyskającego srebrem na piersi i szczerzącego kły z krocza.

Obok Podgrudnego, jak w zwolnionym tempie, znowu przebiegli Zbrojowcy.

– Startuj! Startuj! Z góry go załatwisz! – krzyknęli.

Pilot obrócił głowę na dźwięk rotującego działka typu Smok, które było obsługiwane przez znanych mu Dragona i Tygrysa...

Arkadiusz „Dragon” Grzeszczak i Łukasz „Tygrys” Kowalkowski myśleli dokładnie to samo: „Po cholere wczoraj zachlaliśmy?!”.

Przyczyna libacji była jednak prosta i boleśnie logiczna.

– Łuchniaczku – perorował poprzedniego wieczoru Tygrys, trącając kieliszeczek Roberta Łuchniaka, starego druha z lat szkolnych, u którego regularnie się spotykali celem odbycia rozmów egzystencjalnych. – Takiatak, proszę ciebie, takiatak, jaki był, wiesz, sałkiem, tego, nieddawno, wiesz, tych wielkoludów...

– King Kongów – pomógł Łuchniaczek.

– Nie King Kongów, ale Godzilli.

– Gojir – poprawił Dragon, usiłując nadziać na widelec jajo na twardo.

– Mówięprzesiesz – odparł Tygrys. – Takkiatak zdarza się raznamillenniumm...

– Falcon – dodał Dragon, wciąż walcząc z jajem.

– So? – spytał Łuchniaczek.

– Jy – ciągnął Tygrys, nie zwracając uwagi na pytanie druha – wzwiąskustym terass możemy piś! Zwłaszsza że nasz Smok ubijał je jak ulęgałki.

– Bitą śmietanę – poprawił Dragon, który w tym momencie postanowił pomóc sobie drugą ręką.

Pochwycił śliski owal w pięść i z sadystyczną satysfakcją wbił w niego widły sztućca.

– Wkurwiasz mię ostatnio tym poprawwianiem – oświadczył Tygrys i wychylili kolejną pięćdziesiątkę. – Bojattylko zaznaszszamm, że milleniumm i potem jużnie! Jużnie! Stolysa jest bezpieszszna...

– A Skywalker? – spytał Łuchniaczek.

– Dżedaj – poprawił go Dragon, smarując jajo majonezem.

– Pierdolnij go – poprosił Łuchniaczek Tygrysa.

– Terasss – odezwał się Tygrys – Dżedajj jesniegrożny, bo spółprassuje. Dobry chłop!

– To może być gagent – oświadczył Robert.

– Nawet jesły – odparł Tygrys – niewydosstanie sięsklatki. Zaduże prrrty.

– Się zgadzam – oświadczył Dragon, łykając jajo w całości.

Teraz, widząc koszmarną sylwetkę ożywieńca wyłaniającą się z otoczonego dźwigami,

ciężarówkami i spychaczami pałacu, Dragon i Tygrys marszczyli czoła i przecierali oczy, które nie chciały zaakceptować tego widoku.

Arkadiusz odbezpieczył Perperunę, a Łukasz namierzył bestię.

– Dragon – szepnął Kowalkowski przez ściśnięte gardło – bo tak ogólnie to ludzie widzą białe myszki i tak dalej... Ja widzę Gojirę zombi. Dobrze widzę? Powiedz, proszę, że źle widzę i że masz coś na napierdalanie głowy.

– Dobrze widzisz, a prochów nie mam. I nie kręć mi się nad głową, a tym bardziej – warknął – nie puszczaj metanu!

– Pos... postaram się.

Arkadiusz skrzywił się na myśl, że za chwilę jego głowę rozsądzi straszny wrzask działa. Mimo to dzielnie ścisnął manipulatory i wdusił kciukiem spust.

„Rany Swaroga, startować, startować, startować! – myślał spanikowany Junior Podgrudny, biegnąc do śmigłowca. – Ale jak to się stało? Jak to możliwe? Dżedaj wyrwał się z klatki? Jakim cudem?” Zerknął przez ramię i przez ułamek sekundy widział poznaczonego zielenią i karmazynem, wiszącego w powietrzu olbrzyma wykonującego jakby baletowy skok. „Nie, to nie Dżedaj, to nie Dżedaj. Więc kto? Jakiś eksperyment w pałacu się nie udał? Podobno szukają ochotników do przemiany...”

Potknął się, przetoczył po ziemi, pozbierał na nogi i znowu ruszył biegiem, zakładając wielki hełm z wymalowanym na nim czarnym pajakiem.

– *Niesportowo, niesportowo* – usłyszał Schmidt boski zew na widok salw, którymi kropiły do niego biało-czerwone Ritterassy kryjące się pośród stojących na placu pojazdów. Strzelało też wielkie, kopulaste działo znajdujące się w północno-wschodnim rogu placu. Olbrzym wyprostował nogi po tym, jak wykonał wielki baletowy sus, podczas którego ułożył łapy na kształt łabędzich skrzydeł, i zaciągnął się zniewalającym stołecznym zapachem.

– Zjadłbym Hertzburgerka, ale aktualnie jestem najedzony – powiedział.

Jego uwagę zwróciła wielka hałda gruzu po prawej, dźwigi i spychacze. Spojrzał w górę i zobaczył zrujnowaną południową fasadę pałacu.

– Aaa! – mruknął. – Więc jednak jakoś się nam udało! Ale nie pamiętam tego, nie pamiętam... Czyli co? Mission completed? Hmm...

– *Nie pierdol i rusz się, bo ci Ritterassy zrobią z dupy durszlak. I to działo też. Widzisz tego pilota?*

– Co, Gotcie? A tak, widzę – odparł gigant, patrząc na drobną sylwetkę mknącą do jednego ze śmigłowców.

– *To twoja droga do wolności. I może ma w radyjku jakąś fajną muzykę...*

– To co? Lecieć do niego?

– *Jak wiatr, donnerwetter, jak wiatr.*

– Nie zbliżać się! – krzyknął major Wojciech Skupień, dowódca królewskich Zbrojowców, widząc, jak jego podopieczni niebezpiecznie skracają dystans. – Cofnąć się! Cofnąć się i rozproszyć! Kryć się za pojazdami!

Machnął wielką łapą, nakazując podopiecznym utworzenie tyraliery. Doskonale pamiętał, jak przez podobnego stwora został zmasakrowany cały oddział odzianych w Trojany wojów, i zdawał sobie sprawę, że nie mają szans z olbrzymem. Nie mogli powtórzyć błędu majora Krawczyka!

- Szerzej! Szerzej! Celować w łeb i spierdalać, jeśli zechce się zbliżyć!
- Ale... – próbował zaprotestować porucznik Bogumił Nowak.
- Zawrżeć ryje i wykonać!

Salwy z Marchołów dosięgły piersi olbrzymia, czy raczej jego autoklawów, które rozpadały się na drobne, skrzące się kawałki. Przed strzałami z działa Überwunder uchylił się, wykonując baletowy skłon, po którym wyprysnął do przodu, robiąc szpagat w powietrzu.

– Ha! – wrzasnął były pisarz po udanym lądowaniu i chwycił wiszącą w kroczu czachę, by wykonać obsceniczny gest, a następnie ruszył drobnymi kroczkami, jakby tańczył na pointach, w stronę śmigłowca.

Znowu odezwało się wielkie działo w rogu placu. Tego Schmidt szczególnie nie lubił, bo pamiętał, że jego pociski wgryzają się w skórę wyjątkowo kąśliwie. Uskoczył w bok, wyginając wdzięcznie głowę w przeciwnym kierunku, i świetlista seria przemknęła obok jego lewego ramienia. Grün wykonał piruet, skupił się, spojrzał na ten fragment placu, gdzie stał śmigłowiec, i wybił się w powietrze. Przez chwilę leciał, chłonąc zapachy i dźwięki miasta, punktowane gęstymi salwami otaczającymi go niczym świetliste wachlarze, po czym wylądował z głośnym grzmotnięciem szerokich stóp tuż przy śmigłowcu. Strzały umilkły. Był za blisko pilota. Spojrzał na bladego Różowego, który sadowił się właśnie w kabinie, uśmiechnął się do niego radośnie, obiegił tępy dziób Peruna i wskoczył do luku pasażerskiego z tyłu maszyny. Podwozie jęknęło od nagłego obciążenia. Pilot chciał już wyskoczyć, ale najpierw zatrzymały go pasy bezpieczeństwa, a potem gigantyczna łapa Gojiry.

Junior odwrócił się i popatrzył przerażony na wielką gębę stwora. Była pokiereszowana, odrapana, pozbawiona prawego oka i w wielu miejscach skóry. Spod ogromnej zuchwy wyłoniła się druga łapa bestii, a jej palec wskazał sufit pojazdu.

– Hoch – rozkazał olbrzym głosem tak niskim, że zegary Peruna zarzęziły, a moszna pilota uległa, jak twierdzą historycy, zagęszczeniu. – Hoch, donnerwetter. Fliege. Jetzt, ja?

Pilot wskazał drążek sterowniczy i wydukał:

- Lecieć? Mam lecieć? Up in the air? – Wskazał palcem w górę.
- Ja. Up. Fliege. Aus Polen.
- Co, kurwa? – jęknął przerażony woj. – Nicht verstehen...

Kapitan odruchowo połączył się z TYKAC-em, który w przypadku pałacu pełnił także funkcję wieży kontroli lotów.

- TYKAC? Jesteście tam?
- Jesteśmy, Podgrudny, znamy sytuację – odparła Kalina Podgórska, a Mariusz poczuł, jak słodycz zalewa mu serce.
- Kalina?
- To ja, Mariusz.
- Pamiętasz moje imię?
- Mam wysświetlone. Alfa, Mike, Foxtrot. „Blondi”.
- Co mam robić?!

– Jest w twoim Perunie? – rozległ się głos Pokorskiego.
– Jak chuj w... Przepraszam – zmiłgował się. – Co mam robić?!
– A co mówi? – spytała Podgórska.
– Jakieś, kurwa... Przepraszam, to ze zdenerwowania...
– Możesz kląć, ile chcesz – powiedziała.
– Dziękuję, bo się trochę stresuję...
– To naturalne.
„Jaka ona słodka!” – pomyślał Junior.
– No mówi... – podjął.
– Aus Polen! – warknął Schmidt.
– Dobra, wiem – odezwała się Kalina. – Chce wylecieć z Polski.
– Nie, kurwa! Khm, przepraszam...
– Nic nie szkodzi, kapitanie.
– Poważnie? Mam lecieć?
– Tak, leć – odparł Pokorski.
– Dokąd, kurrrwa, przepraszam...
– Nic, nic – rzuciła Kalina. – Stres. Mam to samo przy miesiączce.
– Ja pierd... Ale nie wypada przy kobiecie...
– Wypada, pilocie. Leć na wschód – zarządziła Podgórska.
– Dlaczego? To nie jest Niemiec?
– Zgadza się z Kaliną – odezwał się Pokorski. – Leć na wschód. Nad... Serpelice. A potem prosto na Ostromeczewo na Białorusi. Doleć do... Kobrynia. To pięćdziesiąt kilometrów od granicy, od Warszawy dwieście dwadzieścia. Wystarczy ci wachy.

– A potem co? – stęknął Podgrudny, czując, że na jego ramieniu ląduje pazur niecierpliwiejszego się Gojiry.

A było czym się niecierpliwieć, bo na placu roiło się już od Ritterassów starających się zająć jak najdogodniejszą pozycję strzelecką, a i woje ubrani tak jak pilot zaczęli wysypywać się z pałacu.

– Rauss! – syknął olbrzym.
– Wyląduj i powiedz mu „Auf wiedersehen” – rzucił Pokorski.
– Żartujesz?!
– Niestety nie.
– Poderwijcie inne śmigłowce!
– Robimy to, Junior – zapewniła Kalina. – Startuj.

„Jak ona słodko to powiedziała” – pomyślał Junior, rozglądając się panicznie po kokpicie i notując z przerażeniem, że wielki jak ludzka dłoń szpon Gojiry coraz głębiej wbija mu się w prawe ramię. Na północy przecięła niebo błyskawica i kapitan podskoczył ze strachu.

– Spokojnie – mruknął Überwunder – to tylko piorunek...

Woj zerknął na wielką gębę, przez chwilę zastanawiając się, co przed chwilą powiedziała, a potem przesunął kilka dźwigni i wcisnął guzik zapłonu. Silnik zaskoczył, śmigłowiec zadrżał, a rotory zaczęły się obracać przy wtórze rozlewającego się po placu dźwięku odległego gromu. W tym czasie do pojazdu zbliżyli się Zbrojowcy i chowając się za Dażbogami, Swarogami i śmigłowcami, wycelowali w Gojirę swoje Marchoły. Nie śmieli jednak strzelać ze względu na kapitana – rozdrażniony potwór z pewnością by go zabił. Sam Podgrudny rozumiał to i przez chwilę rozpatrywał bohaterskie „Strzelajcie! Ja się nie liczę!”, ale ostatecznie stwierdził, że

jednak się liczy, bo ma wywieźć paskudę z Twierdzy. Jeśli zginie, rozegra się tu masakra podobna do ostatniej...

Śmigła nabrały prędkości i maszynę otoczyła kopała huk.

Matuszewski i Wysocka wyskoczyli z pałacu, słysząc wzmagający się dźwięk rotorów śmigłowca.

- TYKAC! – wrzasnęła doktor do interkomu.
- Tak? – usłyszała głos Typrowicza.
- Niech pilot jeszcze nie startuje!
- Gojira go zabije, pani doktor.
- Dobra, niech startuje, ale powoli, okej? Niech zawiśnie na chwilę!
- Przekazuję...
- Dzięki!

Wysocka gnała w lewo, ciągnąc Matuszewskiego, który de facto mógłby ciągnąć ją, bo jego egzozkielet dostarczał więcej dżuli niż mięśnie kobiety. Ta jednak nie zwracała w tym momencie uwagi na dylematy energetyczne. Za wszelką cenę chciała okrążyć śmigłowca, by mieć widok na luk pasażerski. Obok niej i Matuszewskiego biegli piloci i strzelcy Perunów. Zwoływali się i domykali klamry kombinezonów. Jeden statek powietrzny miał już załogę i uruchamiał systemy. Działa typu Smok w rogach pałacowego placu śledziły szykującego się do lotu Peruna i tylko biedny drobny pilot ukryty za szybą, która odbijała groźne burzowe chmury, nie mógł zrobić niczego oprócz powolnego wciskania dźwigni gazu.

Perun Alfa Mike Foxtrot uniósł się, zgromadzeni zaś dookoła niego Zbrojowcy wciąż celowali z Marcholtów, w razie gdyby Gojirze przyszło jednak do łba ewakuować się z pojazdu. Wysocka minęła stojącego w pobliżu Dażboga, śmignęła wzdłuż stojącej dalej betoniarki, przebiegła przy martwym Swarogu i wreszcie, obok kolejnego Dażboga, uznała, że jest w dogodnym do strzału miejscu. Pochyliła się, wystawiając szczupłe łopatki, i chrzypnęła do kolegi:

– Oprzyj gnata i strzelaj!

Matuszewski mruknął coś niezrozumiale, widząc plecy pani doktor tudzież wypięte w jego stronę sprężyste pośladki. Słumiwszy jednak skojarzenia, oparł na kobiecie broń, zastanawiając się tylko przez ułamek sekundy, czy kanciasty dwójnóg nie uwiera jej za bardzo w żebra. Wziął histeryczny, przerywany wdech i skupił wzrok na optycznym celowniku. Perun wznosił się, hałasując niemilosiernie, dudnienie łopat targało chudą pierś pracownika naukowego i miotało na wszystkie strony czarnymi włosami Halszki, których wachlarze co chwila przesłaniały widok w lunecie karabinu.

- Strzelaj wreszcie! – ponagliła go Wysocka.
- Niech pani przytrzyma włosy – odkrzyknął Matuszewski. – I się nie rusza!
- Co?
- Włosy, kurwa! – wrzasnął Maciuś i zląkł się swojej buty.
- To co nic nie mówisz?! – Wysocka ściągnęła czarne pukle na ramię.

Matuszewski napiął mięśnie i starał się utrzymać szeroki bok Gojiry w celowniku. Nie było to proste. Halszka, chcąc nie chcąc, oddychała, więc karabin pływał w górę i w dół, a z Macieja strzelec był taki jak z Halszki tancerka go-go, więc trafienie w trzymetrową ruchomą tarczę z odległości pięćdziesięciu merów nie było rzeczą prostą. Mężczyzna zerknął na stojący obok transporter piechoty, by sprawdzić, czy nie da się oprzeć broni o jakiś jego element, ale burta

Dażboga była za wysoka, a skośny dziób nie dałby dobrej podpory.

– Noż kurwa, strzelaj! – zeźliła się kobieta.

Wtedy Maciuś przytknął mocniej kolbę do ramienia i pociągnął za spust.

Pluskwa wyskoczyła z lufy i pokonując opór powietrza oraz wicher generowany przez łopaty śmigłowca, nieuchronnie zbliżała się do celu. Matuszewski chybiłby i pocisk ugodziłby w sufit kabiny, gdyby nie pomogła sama fizyka. Pluskwa jest lekka, energia wyrzutu z lufy niewielka, podmuch łopat Peruna spory, więc ostatecznie pocisk nie wzleciał nad uchem Gojiry, ale ugodził go w bok, tuż nad brezentowym pasem. Potwór nie poczuł ukłucia, zaferowany wznoszeniem się pojazdu.

– Trafiliś?! – krzyknęła Wysocka.

– Chyba tak!

– Jeszcze raz! Krop ile wlezie!

– A jak go rozdrażnię?!

Tego Halszka nie wzięła pod uwagę.

– To krop tak, żeby nie rozdrażnić!

– W co?

– W dupę, kurwa!

– W dupę nie poczuje?!

– A skąd mogę wiedzieć?! Celuj tam, gdzie ma skórę!

Niebo za Perunem rozdarła oślepiająca błyskawica.

– Ja pierdolę! – warknął Matuszewski, przyłożył oko do lunety i znowu pociągnął za spust.

Tym razem pluskwa wbiła się w udo olbrzyma, a towarzyszył temu ogłuszający trzask gromu.

– Co robisz, kretynie?! – Maciej poczuł na ramieniu potężną dłoń Zbrojowca.

Był to wpatrujący się w niego karcącym wzrokiem major Skupień.

– Strzelamy pluskwami! – zawołał Matuszewski, przekrzykując silniki startujących Perunów.

– Będziemy go śledzić!

– Z niczego nie strzelajcie! Chcecie go rozdrażnić?

– Właśnie – mruknął doktor pod nosem.

– Co tam mruczysz? – krzyknął Zbrojowiec.

– Ja pierrrdolę! – warknęła Halszka, wyrывая się spod karabinu Matuszewskiego.

Przytknęła celownik do oka i sama złożyła się do strzału.

– Pani doktor! – krzyknął major, ale zdążyła już dwa razy pociągnąć za spust.

Gdyby ktoś znalazł się blisko Peruna, zobaczyłby, że jedna z pluskiew odbiła się od spodniego pancerza statku i spadła, smętnie rotując, na plac, a druga dźgnęła Gojirę w żuchwę.

– O tym właśnie mówiłem – jęknął przerażony Zbrojowiec na widok potwora, który pociera mordę i patrzy groźnie dookoła.

Coś Schmidta zaswędziało. Skrobnął wielkim pazurem w szczękę i strzepnął z niej jakiś okruch.

– Co, donnerwetter, sypię się?! – warknął. – Żeby mi zaraz brwi nie odpadły. Jednak ten preparat Worlöcka nie był taki dobry...

Spojrzał na zmniejszający się pod Perunem plac, na którym Ritterassy i gromada innych Różowych mierzyli do niego, ale nie strzelali. Wznosiły się z niego za to cztery inne śmigłowce groźnie połyskujące pancernymi szybami.

– Możecie se lecieć – mruknął. – Nikt tu nie strzeli, bo ukatrupię waszego pilocika. – No jazda

- warknął do niego. – Leć, kolego, bo mi tu niewygodnie.
- Powietrze koło ucha potwora syknęło i coś zabzyczało w kabinie.
- Jednak strzelają? – zdziwił się. – Czym? Gzami?
- Podgrudny – odezwała się Kalina w słuchawkach pilota. – Leć już, bo robi się gęsto i cymbał cię ukatrupi.
- Roger... – jęknął pilot i położył śmigłowiec w zakręt.
- Pałac, dźwigi, plac budowy oraz otaczające go pojazdy pochyliły się w prawo i uciekły do tyłu.
- *Coś mi się zdaje, że on źle leci* – usłyszał Schmidt w głowie.
- Jak źle, Gotcie? – spytał na głos olbrzym, odruchowo obmacując lewą łapę, na której przed akcją miał kompas.
- *Jakby nie w tym kierunku...*
- Jak to?
- *Nie jestem pewien...*
- No to dobrze czy niedobrze, donnerwetter?!
- *Niech będzie* – odparł niebiański głos. – *Zapytaj go, czy misja się udała.*
- Przysłuchujący się temu mamrotaniu Junior zaczął się poważnie zastanawiać nad zdrowiem psychicznym Gojiry. Gigant wyraźnie nie mówił do niego, bo to było słycać w jego powarkiwaniach. Gadał z kimś innym, ale, do diabła, z kim?! „Nie dość, że mam na pokładzie zmartwychwstałą zagładę, to jeszcze posiadającą niewidzialnego przyjaciela?!” – pomyślał.
- Ja pierdołękurwadżizus, ten schizofrenikkurwadżizus mnie zabije – szepnął.
- Co mówisz, pilocie? – spytała Kalina.
- Oj, przepraszam, że tak klnę...
- To nic, Mariuszk, uspokój się...
- „Mariuszku! Powiedziała Mariuszk!” – zakrzyknął w myślach pilot i jego spięta stresem twarz rozplynęła się w ekstazie.
- *No spytaj go* – ponaglił Schmidta głos Gotta.
- Oczywiście, święty – odparł Überwunder i stuknął kapitana w ramię. – Wygraliśmy? Kogo ukatrupiliśmy? Widzę, że wasz pałacyk się rozpuknął, więc jednak wam zaszkożdziłmy, co nie? Uk, uk...
- Kalina, co on mówi? – zatrwożył się Podgrudny.
- Eee, strasznie niewyraźnie gada i silnik przeszkadza...
- Pyta o wynik ich akcji – odezwał się Pokorski.
- O co?
- O to, co wskórali, atakując pałac.
- Co mam mu powiedzieć?! Nie umiem po niemiecku!
- Gdyby ktoś teraz znalazł się w siedzibie TYKAC-a, zobaczyłby Cezara Pokorskiego, Tymoteusza Typrowicza, Kalinę Podgóorską oraz innych programistów oświetlonych blaskiem monitorów i patrzących na siebie z konsternacją.
- Pokorski stęknął.
- Nie ma co go wkurzać – szepnął do pozostałych.
- Zgadza się – poparł go Typrowicz.
- Cholera, gdzie jest król? – spytała Kalina.
- Na pogrzebie – odparł Cezar.
- To może go zapytać?

– Nie ma czasu – zawyrokował Typrowicz, a Pokorski pokiwał głową. – Blondi – odezwał się do mikrofonu. – Powiedz mu, że zabili króla i królową. Że ich akcja się udała.

– Ale jak to będzie po niemiecku? – rozległ się drżący głos.

– König und Königin sind tot. Bravo – nadał Pokorski, po czym powtórzył dla pewności.

Junior przełknął ślinę, spojrział we wpatrzone w niego oko olbrzyma i wydukał:

– König... und... Königin sind tot. Good work.

Oko bestii rozszerzyło się, a wielkie wargi rozciągnęły w sardonicznym uśmiechu.

– Ha! – zagrział Gojira. – No to poprawiłeś mi humor, brachu! Aaapokalipsa!

– *Spytaj pilota, czy nie ma tu dobrej muzy!*

– Słusznie! – zagrział Schmidt i stuknął Różowego. – Masz tu muzykę? – spytał.

– Du hast Musik hier? – usłyszał kapitan i przez chwilę zastanawiał się, czy dobrze zrozumiał.

– Muzyka? Chcesz posłuchać muzyki? – spytał, pochylając dziób maszyny, by ją rozpędzić.

– Ja. Musik – zagrział Schmidt, a jego pysk rozświetliła błyskawica.

– Japierdolękurwadżizus – jęknął Podgrudny.

Muzykę akurat miał. Zawsze nosił pendrive z ulubionymi składankami. Kiedy dzielni woje wsiadali do Peruna i zaczynał pracować rotor, dla rozluźnienia atmosfery puszczał jakiś dynamiczny kawałek i prawil: „Witamy na pokładzie linii Junior i spółka! Proszę zapiąć pasy, palić ile wlezie i opowiadać plugawe dowcipy! Muzykę dostarczy wam dzisiaj In Strict Confidence!”, albo wymieniał nazwę innego mało znanego zespołu, bo tych popularnych nie lubił.

Głośniki wygenerowały agresywną, ale melodyjną ścianę dźwięku.

– *Och, ja!* – zachwyił się Gott. – *Vootum.*

– Co to za kapela? – spytał potwór stwórcę.

– *Polska. Ale genialna!*

– Słuchasz polskiej muzyki, Gotcie?!

– *Ja!*

– Dziwne. Mein Gott rozmiłowany w polnische Musik? Ale nie jesteś Polakiem?

– *Nein* – zapewnił Gott. – *Ich bin Deutsche, przyjacielu. Nür Deutsche. W sumie to ciekawe...*

Grube krople deszczu uderzyły w szybę śmigłowca. Chmury nad nimi przeciął kolejny piorun. Strzelił grom.

– Co ciekawe? – spytał Schmidt i wtedy zobaczył, jak jego prawa łapa sama nieznaczenie się unosi. Były pisarz skontrolował ruch, niemniej był wstrząśnięty tym wydarzeniem.

– Donnerwetter, co mi robisz?

– *Ha! Umiem przejąć władzę nad twoim ciałem!*

– Och, mein Gott!

Schmidt otworzył szeroko oczy, a jego wielka żuchwa opadła. Gdyby ktoś zajrzał do Peruna przez przeciętą liniami kropel przednią szybę, nie wiedziałby, kto ma bardziej przerażony wyraz twarzy – pędzący w nieznane pilot czy jego pasażer.

Wszystkie te wydarzenia rozegrały się tak szybko, że wieść o ucieczce Gojiry dotarła do króla oraz pozostałych żałobników dopiero wtedy, gdy kapitan Podgrudny wraz z kłopotliwym pasażerem i czterema osłaniającymi go Perunami ciął gęste strugi deszczu nad Wesołą. Pierwsze krople zaczęły znaczyć intensywniejszymi barwami sztandary, gdy Justyn Łyzwa wykrzykiwał obecnym nowinę, biegnąc z obstawą do pancерnej Syreny, a członkowie batalionu oraz POLOM-

i, pożegnawszy się pospiesznie z rozpinającymi czarne parasole rodzinami zmarłych, ładowali się do Dażbogów i z dygotem opon ślizgających się po asfalcie odjechali w kierunku pałacu.

Na miejscu mogli jednak tylko obejrzeć w gęstniejących strumieniach deszczu łuski po pociskach Marchołów tudzież nowe dziury w murach pałacu świecące w błyskach piorunów niczym oczodoły kościotrupów. Łyżwa przez chwilę zastanawiał się, czy jest sens ścigać Peruna innym śmigłowcem lub Radogostem, ale porzucił tę myśl. Juniora, w sumie żółtodzioba, chociaż utalentowanego, osłaniali doświadczeni piloci i niewiele więcej dało się zrobić. Pobiegli zatem do siedziby TYKAC-a, by nawiązać łączność z kapitanem i śledzić rozwój wydarzeń.

Wpadli, parujący mokrymi mundurami, do tymczasowego centrum informatycznego przeniesionego z pierwotnego, zrujnowanego miejsca i po krótkiej rozmowie z Typrowiczem, Pokorskim i Podgórską zorientowali się, gdzie w tym momencie znajduje się Perun.

Za prawą szybą śmigłowca migotały światła Mińska Mazowieckiego, błyskawice dzieliły świat na poszarpane fragmenty, gromy zlewały się z rykiem silnika maszyny, a Gojira siedzący tuż za fotelem pilota coraz mocniej machał łbem w rytm bębnow, basów i gitarowych riffów wydobywających się z głośników Peruna.

– Gute Musik – pochwalił Schmidt. – Jaki to tytuł?

– Over the roofs – odparł pilot. – Good, yes?

– Sehr – zagrzmiał Überwunder i wykonał łapą gest podkręcenia głośności.

– Louder? – spytał Junior.

– Ja, ja!

Pilot pokręcił gąłką i nie wiadomo już było, co jest głośniejsze: rotor maszyny, burza czy metalowa muzyka.

– Jaaa... jaaa... – mrucał rozanielony Schmidt, coraz mocniej machając łbem, od czego podrygiwał cały śmigłowiec. – Nie ma to jak dobra muzyka po sutym posiłku!

– *Dobrze mówisz, Schmidt, będą z ciebie ludzie* – potwierdził Gott.

– TYKAC do Podgrudnego – rozległ się w słuchawkach głos Kaliny. – Jak sytuacja? Żyjesz, Junior?

– Żyję, TYKAC. Dobrze cię słyszeć, Kalina.

– Znasz moje imię?

– Nie żartuj, kur... Przepraszam, to przez stres.

– Nic nie szkodzi. Chyba się rozluźniłeś?

– Tak, to dzięki muzyce.

– Gojira lubi muzę?

– Najwyraźniej...

Perun śmignął nad szczytami sosen i leciał teraz nad lasem.

– Blondi, poderwij trochę – odezwał się kapitan Sambor ze śmigłowca lecącego z lewej strony. – Nie szarżuj.

– Tajest – odparł Junior i podniósł dziób maszyny.

Weszli nieco wyżej i Mariusz wyrównał lot. Przełączył częstotliwość na TYKAC-a.

– Słuchaj, Kalina... – Przełknął ślinę. – W sumie nie wiem, czy wrócę z tego lotu...

– Nie mów tak, Mariusz – usłyszał jej stwardniały głos.

– Wiesz, że tak może być.

– Nie mo...

– Może. Więc na wypadek gdybym nie wrócił, muszę ci zadać to pytanie...

Porucznik Kalina Podgórska zacisnęła usta. Nie chciała o tym rozmawiać. Temat był zbyt drażliwy, a sytuacja napięta. Stojący przy niej król, jego orszak, POLOM-i i członkowie batalionu „Orzeł Biały” spojrzeli najpierw na nią, a potem na siebie.

– Nie pytaj, kapitanie – odparła. – Nie pytaj, bo nie ma na to czasu.

– Mylisz się, Podgórska – usłyszeli głos pilota. – Najprawdopodobniej ten potwór zabije mnie przy lądowaniu.

– Nie zabije.

– Zabije. Więc chcę wiedzieć...

– Podgrudny.

– Chcę wiedzieć, kurwa! – krzyknął pilot. – Chcę wiedzieć, czy miałbym u ciebie szansę!

Bo...

– Kapitanie...

– Nie przerywaj mi. Bo zostałem pilotem Peruna... Czekaj, słyszą mnie inni?

Kalina rozejrzała się.

– Tak – usłyszał Junior w słuchawkach. – Jest tu król, orszak, Grunmorzy, „Orzeł Biały”, no i obsada TYKAC-a.

– Sporo – mruknął Mariusz.

– No sporo.

Pilot westchnął, zerknął na pędzące w pobliżu Peruny i rozanielonego Gojirę.

– I w dupie to mam – syknął. – Muszę to wiedzieć. Miałbym szansę?

Zgromadzeni w pomieszczeniu pod pałacem patrzyli na Kalinę w wielkim napięciu. Rozumieli, że odpowiedź dziewczyny jest bardzo ważna. Jeśli odpowie „Nie”, może pogorszyć morale pilota, a ono było tu niezwykle ważne. Każdy myślący człowiek odpowiedziałby w tej sytuacji „Tak” – dla dobra misji, dla dobra sytuacji, dla dobra Twierdzy.

– Nie – odparła twardo. – Nie miałbyś szans, Junior. Na początku chciałam cię okłamać, mówiąc, że jestem lesbijką, ale nie jestem. Spotykam się z Pokorskim i wszyscy teraz, kurwa, to wiedzą. Dziękuję ci bardzo.

Cezar rozejrzał się z głupim uśmiechem i spiekł takiego raka, że jego policzki mało nie trysnęły posoką.

Pilot zamarł. Leci na śmierć, na rozbitcie ryja, a ona próbuje w nim wzbudzić poczucie winy, bo „wszyscy teraz, kurwa, to wiedzą”?! On za chwilę zginie! Rozstanie się z bezsensownym życiem, które niepotrzebnie naraził, zdobywając licencję pilota śmigłowca! Mógł zostać w bezpiecznym Radogoście, a teraz, a teraz...

– Kuuurrrwaaa!!! – wydarł się na całą kabinę.

Schmidt aż podskoczył i spojrział na niego zdziwiony.

– Kuuurrrwaaa!!! – wrzasnął Podgrudny jeszcze raz, ścigając drążek i szarpiąc się z nim, na

co Perun zareagował jak delfin wyskakujący z wody i nurkujący z powrotem do oceanu.

- Pojebało go? – spytał lecący obok pilot.
- Uspokój się, Blondi! – ostrzegł Sambor.

– Ja pierrrdole! – wydarł się Junior z głośników w centrum TYKAC-a. – Strasznie cię przepraszam, że musiałaś zdradzić swój jebany sekret, w mordę Peruna! Jebany pilot Mariusz Podgrudny ma jednak nieco, kurwa, ważniejszą misję. Rozumiesz, muszę wywieźć chodzącą apokalipsę...

Usłyszawszy znajome słowo, Schmidt uśmiechnął się i ryknął:

– Uk, uk!

– Rozumiesz?! – ciągnął kapitan. – Muszę ją wywieźć za jebaną granicę i pewnie pożegnam się z życiem! Ale nie! Ważniejsza jest twoja kurewska dyskrecja!

– Pilocie – rozległ się nagle w słuchawkach głos króla – uspokój się. Masz misję. Skup się na robocie, a nie na swoim fiucie.

Podgrudny wyszczerzył zęby w niedobrym uśmiechu, zupełnie jakby się już witał z kostuchą.

– Miłość może być zredukowana do fiuta tylko przez fiuta, mości królu – warknął.

– Uwa...

Kapitan przerwał połączenie, nie chcąc się zastanawiać, jaką konsternację w siedzibie TYKAC-a musiało wywołać jego oświadczenie.

– Spierdalaj. Spierdalajcie wszyscy, kurwa! – chrypnął.

– Gute Musik – pochwalił Schmidt kolejny utwór.

Junior spojrzał na niego dzikim wzrokiem.

– Gut, gut! – charknął i przekręcił gałkę głośności do oporu. Deska rozdzielcza i szyby Peruna zaczęły drżeć od mocarnych basów.

Gigant pokiwał mocniej łbem i uśmiechnął się, obnażając większość swoich dziwacznych zębów.

Pilot pochylił tymczasem dziób maszyny i z dzikim zapamiętaniem obserwował, jak do śmigłowca zbliżają się dachy niewielkiego sioła.

– Ej, uważaj – warknął Überwunder. – Ja nie zginę, ale ty na pewno.

Podgrudny myślał o tym samym. Jego śmierć będzie mimo wszystko bezsensowna. Nie dowiezie przesyłki, Schmidt zrobi rozpierduchę. Nie. Trzeba go dostarczyć.

– Alfa Mike Foxtrot, pull up! Pull up! – napominał go Sambor.

– Spierdalaj! – odwarknął Junior, zgrzytając zębami.

Perun, oświetlany przez błyskawice, gnał tuż nad dachami i drzewami, a siedzący w nim człowiek i ork upajali się brzmieniem metalowej kapeli, niebacznymi wrzaskami osłaniających ich pilotów, przerażone twarze mieszkańców Twierdzy patrzących na nich przez okna domów i nieme mruganie diody połączenia z TYKAC-a.

Sztandar 2

Elektroniczna mapa śmigłowca pokazała, że mijają po prawej Kobryń. Piloci czterech osłaniających ich Perunów informowali o tym samym. Ich głosy, domagające się, by kapitan pozbył się „towaru”, były tak nieznośne, że Podgrudny wyłączył radio i zdjął słuchawki. Wyłączył też muzykę. Deszcz ustał. Burza przetoczyła się na zachód. Pod nimi błyszczał zielenią mokry i gęsty las, a w uszach dzwonił już tylko dźwięk silnika.

Pilot dostrzegł pośród gęstych drzew polanę i wskazał ją ręką.

– Hier, okay? – rzekł do olbrzyma.

– Ja – odparł basem Gojira.

Junior spojrzął na pysk pasażera i ze zdziwieniem stwierdził, że większość koszmarnych ran się wygoiła, zielona skóra pokryła całą w zasadzie mordę, w uszkodzonym zaś oczodole połyskuje nowa, jeszcze nieco za mała gałka oczna. Gdyby kapitan miał na to czas i ochotę, doceniłby niezwykle właściwości ciała Überwunderów, ale czasu nie miał. Zwrócił więc wzrok na polanę i nie bacząc na otaczające go śmigłowce, obniżył lot.

Historycy twierdzą raczej zgodnie, że proces obniżania pułapu był dla Mariusza Podgrudnego bodaj najcięższym testem woli. Pilot wiedział bowiem, że zbliża się nie tylko do mokrego szmaragdowego gruntu, ale i do kresu życia. Ziemia oznaczała dla niego śmierć. Dlatego lądował długo i niechętnie, ciągle zadając sobie pytanie, czy nie lepiej by było spaść z impetem i zabić się w żalosnym akcie kamikaze. Zastanawiał się też, czy nie dałoby się wyrzucić Gojiry z helikoptera, pochylając mocno maszynę, ale znał potworną siłę giganta tudzież jego wagę i wiedział, że ten nie dość, że utrzymałby się, to jeszcze zdestabilizował śmigłowiec do tego stopnia, że maszyna nie mogłaby wrócić do lotu poziomego.

– *Co on tak wolno zlądowuje?* – usłyszał Schmidt głos Gotta.

– Boi się, donnerwetter.

– *Czego?*

– *Że go zeżrę.*

– *Zeżremy go?*

– Jeszcze nie wiem, Gotcie. Pachnie cokolwiek nieświeżo, a nazarłem się za wszystkie czasy.

Podgrudny rzeczywiście pachniał nie najcudniej, a to z powodu strachu, i nie tylko, lecz spuścmy na to zasłonę milczenia przez szacunek dla nader dzielnego oficera. Pilot sapał, pocił się i walczył z dzierzącą drążek sterowniczy ręką, która, stężała niczym kamień, nieustępliwie zmuszała płatowiec do lądowania.

I nastał wreszcie moment, gdy solidnie napompowane koła Peruna dotknęły mokrych żdzbeł, a amortyzatory ugięły się pod ciężarem maszyny. Rotor wciąż mełł powietrze, ale śmigłowiec twardo spoczywał na zielonym gruncie niby przywierający do niego żółw.

Kapitan spojrzął na Schmidta, a ten na niego.

– Herzlichen Glückwunsch zum Geburtstag – wydukał pilot.

Było to jedyne zdanie po niemiecku, jakie znał, a nauczył się go z jakiegoś starego podręcznika, dawno temu, w bibliotece.

Schmidt wybałuszył ślepią, a potem roześmiał się tak gromko, że zatrzęsł się od tego cały śmigłowiec, pilota zaś szarpnęło w pasach.

– Nie zeżrę cię – powiedział – bo śmierdzisz i dowiozłeś mnie do Überlandu, gdzie mam zanieść świętą misję od Gotta. Überwunderzy mają, donnerwetter, swój honor.

– Ładnie powiedziane – potwierdził Gott.

– Dziękuję.

Junior spojrzął spłoszony, bo potwór znowu gadał ze sobą. Tymczasem olbrzym pogrzebał w worku ze szkieletem Lukasa i wyjął z niego paliczek. Kciukiem wydrapał na hełmie pilota pojedynczą krechę, po czym wykonał łapskiem dzierżącym kość potężny zamach, przebił siedzisko fotela i zręcznym ruchem ulokował kość Ixiiego centralnie w dupie pilota.

– Czuj się namaszczony – zagrzmiął uroczyście. – Jako mesjasz Gotta nakazuję ci, byś niósł radosną nowinę, która brzmi DUPA SRAKA. Tak mi sam Gott powiedział. Pamiętaj też, pilocie, że podczas akcji niedobrze jest się zesrać, dlatego ulokowałem w twym ciele świętą relikwię mojego towarzysza.

– Kurwa, mój palec mu dajesz?! – rozeźlił się Gott.

– Nie twój, tylko dzielnego Überwundera – odparł Schmidt.

– A tak, tak – rzekł Gott i zamilkł.

Wewnętrzną tę rozmowę obserwował Podgrudny wybałuszonymi oczami, modląc się, by wytrzymać straszliwe napięcie zwieraczy. Tylko wytrzymać, myślał, tylko wytrzymać, pies z dupą, życie ważniejsze...

W tym czasie Gojira wyskoczył ze śmigłowca, na co maszyna zareagowała radosnym podrygiem teleskopów, a Junior żałosnym spazmem pokiereszowanego siedziska. Patrzył, jak olbrzym prostuje olbrzymią sylwetkę, rozmasowując krzyż, i bał się przez chwilę, że zaryje łbem o płyty, ale na szczęście Perun od kół do śmigieł mierzył trzy i pół metra, więc czerep Gojiry miał pięćdziesiąt centymetrów swobody.

– Żeby się tylko nie przeciągnął – stęknął z przestachem.

Na szczęście Überwunder nie był na tyle głupi, by to zrobić.

Zerknął na pilota, mrugnął do niego porozumiewawczo, podszedł do dziobu maszyny i...

– Co on, kurwa?! – jęknął kapitan, gdy spod dziobu helikoptera ze straszonym chrzęstem Gojira oderwał potężne działko typu Kikimora.

– Rozumiesz – krzyknął gigant – muszę mieć jakąś broń. W dzisiejszych czasach mężczyźnie nie wypada...

– Ja pierrrrdoleję... – jęknął Podgrudny i nie słuchając już i tak niezrozumiałych porykiwań bestii, poderwał maszynę.

Schmidt patrzył z rozbawieniem na unoszący się śmigłowiec, bawiąc się ciężkim i zupełnie bezużytecznym działkiem.

– I co tak zmykasz, namaszczony? – spytał. – A, rozumiem. Radosna nowina...

W tym czasie kapitan Karol Sambor, wciąż będący w kontakcie z TYKAC-em i maksymalnie zdenerwowany na Podgrudnego za to, że ten wyłączył komunikator, rozważał razem z bazą i pozostałymi pilotami ostrzelanie zombi. Cztery Kikimory mogły nieźle zaszkodzić Gojirze, ale przeciwko rozwiązaniu siłowemu przemawiały dwa argumenty.

– Zaraz schowa się w lesie i straciecie go z oczu – stwierdził król i miał rację.

– Jeśli mogę coś zauważyć – odezwał się Pokorski – jest tylko pięćdziesiąt kilometrów od

granicy. Pamięta kierunek, z którego przyleciał. Jeśli go rozdrażnimy...

– Wróci – wyręczyła go Magdalena Stawniak, królewska bibliotekarka. – Wciąż jest otumaniony naszym zapachem i może go mocno ciągnąć do granicy, więc...

– Lepiej nie strzelać? – usłyszeli głos Sambora.

Justyn Łyżwa wziął głęboki wdech, nie zważając na to, że naciąga szwy rany w boku.

– Nie. Niech idzie w swoją stronę. I tak się wkurzy, gdy się zorientuje, gdzie trafił...

Schmidt spojrział na pięć maszyn, które majestatycznie odwróciły się do niego ogonami, pochyliły dzioby i z basowym gđakaniem potężnych silników, przy akompaniamencie szumu gęstych drzew oddaliły się nach Polen.

– No – sapnął ukontentowany. – Porządni, powiem ci, Gotcie, ci Polacy. Poczęstowali Grüna, dowieźli na miejsce, nie chcieli zapłaty. Donnerwetter, i tak nie mam papierosów ani sznapsa...

– *Ale coś na ząb mogłeś wziąć.*

– Co na przykład?

– *Rączkę albo nóżkę.*

– Nóżki są fajniejsze – mlasnął gigant.

– *Sq. Najlepszy jest jednak dobrze wysmażony Hertzburgerek.*

– Wysmażony? Nie próbowałem.

– *A, to strata. Powinieneś. W liściu łopianu. No, wystarczy tego. Wejđż w las, bo jeszcze nas dopadną i pogonią.*

– Racja, racja. I trzeba nieść święte słowo. I relikwie...

Na to dictum Gott jakby ciężko westchnął, Schmidt zaś ochoczo wstąpił w knieję. Ledwie jednak to zrobił, z gałęzi pobliskiego dębu zerwał się wielki, niezwykle barwny ptak o długim, ognistym ogonie.

– Co to jest?! – wrzasnął olbrzym, gdy skrzeczące głośno ptaszysko staranowało go, uderzając skrzydłami w pierś, odleciało w lewo, ale zaraz zawróciło w prawo, przy czym machało skrzydłami, jakby było zupełnie pokręcone...

– *O ja cię – szepnął Gott – on ma dwie głowy. Ten żarptak.*

Schmidt przyjrzał się kreaturze i rzeczywiście, stwór jednym łbem patrzył w lewo, drugim w prawo. Głowy najwyraźniej nie potrafiły się dogadać, darły się na siebie i dziobały wzajemnie w szyje. W efekcie coś, co – sądząc po rozstawie skrzydeł – mogłoby szybować pod obłokami, objało się o pnie oraz gałęzie, toczyło po runie leśnym i znowu wzlatywało, by zderzyć się z kolejną przeszkodą.

– Drób – stwierdził rzeczowo Schmidt, wyskoczył, spadł tuż przy ptaszysku i jednym ciosem wydusił z niego życie.

Podczas skromnego poczęstunku były pisarz powstrzymał się przed zeżarciem piór, bo Gott upierał się, że są zbyt ładne. Istotnie były piękne: metalicznie zielone, złote i czerwone. Überwunder oddał ze swojej kiecki wąski pas zielonego brezentu, następnie zaś, szarpiąc kuper ptaka tudzież końcówki tego, co zostało ze skrzydeł, wyjmował co okazalsze lotki i przekłwał twardymi dudkami materiał. Po kwadransie w brezentowy pas wetkniętych było kilkadziesiąt piór. Ukontentowany Schmidt dzwignął ozdobę i opasał nią łeb.

– Muszę pięknie wyglądać. Pewnie jak Manitu, co?

- *Z pewnością* – odparł Gott. – *Zastanawia mnie jedno...*
- No?
- *Skąd tu taki ptak?*
- *Że niby... co?*
- *Nigdy nie widziałem takiego ptaka.*
- Ty, Gotcie?
- *Znaczy w Überlandzie.*
- Aaa. No to właśnie zobaczyliśmy.

W czasie, gdy Robert Schmidt, były pisarz, ożywieniec należący do dumnej kasty Überwunderów, nowo pomazany mesjasz Gotta przybrany w pióropusz, brezent, roztrzaskane autoklawy i czaszkę Ixiego, rozmawiał ze stwórcy, w cieniu drzew skrywali się dzielni wojownicy niewielkiej ordy Matseya Gienrikowicza Liteona. Jołop, jak zwano Liteona z powodu olbrzymiej siły fizycznej, dosiadał gigantycznego zielonego niedźwiedzia Griszy, a jego ludzie zerkali na siebie znacząco, zastanawiając się, o co tu, bliat, chodzi.

– Admirale – odezwał się szeptem Martyn Andriejewicz Gojnackij zwany Kapitanem Bombą – ten swierch* jest z innej galaktyki.

Jołop spojrzął z wysokości na Kapitana. W czarnych oczach atamana błysnęło politowanie. Martyn był kiedyś Polakiem. Dawno temu. Pojechał z przyjaciółmi na wycieczkę i zapił w Berlinie, napruwszy się przedtem narkotykami i naoglądawszy Kapitana Bomby w internecie. W tym czasie łyknął też dawkę N-Geny. Wrócił z kumplami do Polski i spotkał w Sosnowcu Żyrinowa, któremu wisiał niezły grosz. Gangster zwinął go na Ukrainę do uprawy haszu, a tam Martynowi (wtedy jeszcze Marcinowi) zaczęło, jak wszystkim po N-Genie, odbijać i uwierzył, po pierwsze, że jest Kapitanem Bombą, po drugie zaś, że żyje w galaktyce Kurvix, a wszyscy Różowi – których Ukraińcy, Białorusini i Rosjanie ochrzcili „Bliadymi”, co było połączeniem słowa „błady” i przekleństwa „bliat” – to Kurvinoxy. Aby dać świadectwo swoim przekonaniom, zespawał sobie z blach hełm kreskówkowego kapitana i szybko próbował mocować, ale co mocował, to się odklejała, a przez celofan mało było widać. Mechanik ordy zaspawał mu więc okienko innym kawałkiem metalu, jednak wtedy Kapitan wpadł w panikę, zaczął drzeć mordę, że go połyka czarna dziura, i strzelał na oślep z kałacha, w związku z czym najpierw Griza uspokoił go potężnym grzmotnięciem łapy w hełm, potem kask z głupiego łba zdarto, a „szybkę” oderwano.

Jołop zatem patrzył na adiutanta i kiwał powoli głową. Lubił Bombę, bo ten nazywał go „admiralem”, co lechtalo ego Kozaka, poza tym był świetnym, szalenie odważnym żołnierzem, choć czasami jego wariactwo wydawało się przesadzone, nie mówiąc już o tym, że nie wiedział, czym, suka, jest ta „galaktyka”.

- Tak – szepnął. – Ten swierch jest z innej galaktyki.
- Nie z Kurvixa.
- Nie.
- I jest jakiś duży, admirale.
- Duży jest.
- I, powiem szczerze, zajebicie ubrany. Wygląda jak skonał barbarzyńca.
- Kto?
- Skonał.
- Konan – poprawił go Jołop.
- Nie konał, tylko skonał.

– Taaa...

– I gada sam ze sobą.

– Nooo. A ty uważasz, że latamy w kosmosie.

Martyn spojrział zdziwiony na atamana.

– A ty, admirale, gdzie jesteś, jak nie w kosmosie?

Jołop uznał, że nie ma sensu rozmawiać z podwładnym na tematy światopoglądowe, i spojrział na Alessę Radziejewską, chudą jak patyk orczycę, która z puszek po napojach energetycznych zrobiła sobie zbroję, a do wąskiego łba wbiła, że dzięki temu jest nadorkiem obdarzonym olbrzymią energią. Power Girl, jak kazała się nazywać, świetnie się uzupełniała z Martynem. Oboje byli z innej galaktyki.

– Jak myślisz, Alessa? – spytał.

Popularną strawą w oddziale Jołopa były koreczki, które dzielono na kilka rodzajów. Koreczek tradycyjny składał się z dębowej dzidy, na którą nadziane były bóbr, norka, bóbr, borsuk i na koniec bóbr. Koreczek ekologiczny składał się z dzidy, bobra, kapusty, borsuka, kapusty i bobra, koreczek rybny z dzidy, tołpygi, łososia, jesiotra, tołpygi, a wszystko to przetykane liśćmi dębu i dzikim koperkiem, wersja dietetyczna zaś składała się z dębowej dzidy. Power Girl była na diecie Dukana i żarła wyłącznie koreczki dietetyczne. Skończyła ogryzać nędzny patyk, odrzuciła go i zaproponowała:

– Wzlecę ponad knieję i rozpoznam teren z góry.

– Nie. Wezmę cię do Orzeła i razem polecimy – rzekł Bomba.

– Ja pierdołę – szepnął do siebie Jołop, zastanawiając się, czy dobrze wybrał zastępców. – Ile razy mam powtarzać, że ty, Alessa, nie umiesz latać, a twój Orzeł, Martyn, działa tylko wtedy, gdy girami po gruncie przebierasz jak jaskiniowiec?

– Co? – spytał Martyn.

Matsey westchnął i machnął łapą.

– Mniejsza.

Power Girl i Bomba spojrzeli zdziwieni na atamana, a potem na siebie. Ich pyski wskazywały wyraźnie, że to wódz się myli, a nie oni.

– Pytam, co sądzicie – ponowił Kozak, bawiąc się długim czarnym warkoczem wyrastającym z łysej zielonej czaszki – to jakiś podstęp Bliadych, współpraca Ruskich z Bliadymi czy co innego?

– Inwazja! – zawyrokował Kapitan.

W tym momencie Liteon zrezygnował z konsultacji i syknął do całego oddziału:

– Śledzimy tego giganta. Tylko cicho!

– Da, ataman – odparli członkowie oddziału i ruszyli za wodzem.

Tymczasem Schmidt, nieświadomy, że nie znajduje się w świętych borach Überlandu, lecz w przerażających, dzikich kniejach Białorusi, parł przed siebie, próbując przypomnieć sobie boskie przesłanie.

– Jak to było? Dupa sraka, bura suka... i kurwa. Tyle pamiętam. Jaki wstyd, donnerwetter, jaki wstyd... Gotcie, tak to było?

– *Tak, to moje święte przesłanie* – odparł Gott.

– Ale dobrze pamiętam?

– *Dobrze.*

- I co jeszcze było?
- *Nieważne.*
- Ale co to oznacza?
- *To tajemnica wiary.*

Zatroskał się nieco Robert Schmidt, bo takie wyjaśnienie nie do końca mu odpowiadało, ale co było robić? Z Gottem się nie dyskutuje. Rozpogodził się więc w końcu i znowu nabrał wiary w świętą misję. Zanucił *Deutschland, Deutschland über alles* i zaczął się zastanawiać, kogo pierwszego spotka na swojej drodze: członków hordy Zakhausena (przypomnijmy, że Überwunder nie mógł wiedzieć, iż dzielny wódz Hordy Południowo-Wschodniej szczeł – według oficjalnej linii historycznej oczywiście) czy może kogoś z Hordy Północno-Wschodniej. Tych drugich Grünów praktycznie nie znał i miał gorącą nadzieję, że jednak natknie się na któregoś z kamratów. A przede wszystkim na Zakhausena! Powie mu wtedy: „Miałeś rację, Zakhausen! Gott mit uns!”.

– *Mission accomplished!* – odezwał się wtedy Gott w jego głowie.

– Taaak – rozanielił się Schmidt. – Król i królowa ukatrupieni. W sumie ciekawe, kto ich ukatrupił. Nie pamiętam...

– *Ja też* – rzekł Gott.

Überwunder zatrzymał się.

– Jak to, Gotcie? Ty nie pamiętasz? Jak to?!

– *Eee... niezbadane są ścieżki moje* – odparło bóstwo niezbyt pewnie.

Jednak tej niepewności w głosie boga Schmidt nie odnotował zbyt pochłonięty myślą, że nie wiadomo.

– Hm... Zatem nie wiadomo? – spytał.

– *Nie wiadomo* – odparł nostalgicznie Gott.

– Może Ixi...

– *O, na pewno on!* – ożywiło się bóstwo.

– Przed chwilą mówiłeś, że nie pamiętasz – zauważył były pisarz.

– *Już sobie przypomniałem!* – oznajmił Gott.

– Czyli to był Ixi?

– *Oczywiście!* – zapewnił Gott. – *Przywalił królowej tak, że jej flaki wyleciały w powietrze i tak leciały i leciały, aż się skończyły.*

– Co się skończyło?

– *Flaki. I wtedy opadły. A królowi urwał łeb i zjadł. I kurna... zjadł. Zjadł, proszę ciebie, tak strasznie, że Różowi klaskali.*

– Klaskali?

– *No tak.*

– Naprawdę tak było?

– *Naprawdę, mój mesjaszu. Byłem przy tym i okiem boga widziałem. Własnym okiem.*

– Hmm. No to dzielny był Ixi – powiedział Schmidt bez przekonania.

– *Dzielny ci on był.*

– Przyznam, że trochę go nie doceniałem – mruknął Überwunder. – Prędzej podejrzewałbym Bauera.

– *Bauer też był dzielny. Pomagał Ixiemu.*

– Razem walczyli?

– *Poślad w poślad. I razem zdetonowali raketę Bauera.*

- I wtedy zginęli?
- *Bohatersko, że aż... ha. Że aż ha.*
- Ech, szkoda, że mnie z nimi nie było... – rozmarzył się Schmidt.
- *Teraz zanieśiesz radosną nowinę do Zakhausena.*
- Racja!
- *I świętą misję!*
- Racja!
- *Ruszaj, mój mesjaszu!*

Gęba Schmidta rozpromieniła się. Überwunder oparł działko Kikimora na ramieniu, uważając, by nie uszkodzić pióropusza, drugą łapą zarzucił na plecy worek z kośćmi i przyspieszył.

- Ruszam, Gotcie!
- *Ale przedtem się wysikaj. Bo mnie uwiera.*
- Co cię uwiera?!
- *Pęcherz. I jeszcze coś od dupy strony.*
- Nie chcesz chyba powie...
- *Obżarłeś się, to sraj.*
- Jeszcze mi się nie chce!
- *Mówię, że tak.*
- To moje ciało i ja będę...
- *To nasze ciało, mesjaszu.*

– Aaaargh!!! – wrzasnął Schmidt, jakby chciał sobie wyciągnąć mózg na wierzch. Po części uczynił to ze świętego uniesienia, po części jednak z jakiejś niezrozumiałej trwogi.

- *Sikaj, mój sługo* – odezwał się Gott.

I Grün, chciał nie chciał, rozejrzał się, zszedł z wytyczonego szlaku i odłożywszy działko oraz worek, pogmerał przy czaszce Ixiego i ulżył pęcherzowi.

- *Ooo* – westchnął Gott. – *Od razu lepiej. Teraz namber tu.*
- Że co?
- *Gównno.*
- Nie. Za nic. Do tego potrzebuję intymności.
- *O tym zapomnij. Jesteśmy w tym we dwóch i tylko dwaj możemy...*

Überwunder wybałuszył oczy, zaczynając rozumieć, z czym powiązany jest mesjanizm.

- *Donnerwetter!* Na zawsze razem? Będziesz, Gotcie, patrzył, jak robię te wszystkie rzeczy?
- *Nie inaczej.*
- *Nigdy! Nigdy!*
- *Dawaj!*
- Nie! Nie chce mi się jeszcze!

Dzielny nasz Überwunder zacisnął wszystkie mięśnie na znak protestu i w końcu Gott odpuścił.

- *Niech ci będzie. Ale wróćmy do tego tematu.*
- Na Gotta!
- *Na mnie w rzeczy samej.*

Schmidt chwycił bagaże i wznowił marsz, zastanawiając się, czy to naprawdę taki zaszczyt mieć ciągły kontakt ze Stwórcą. Od czasu do czasu przydałoby się zerwać tę więź, tu jednak nie miał na to co liczyć.

Na szczęście odezwał się jego żołądek, znowu jakby pusty, i wspomniął Überwunder, jak

cudownie gryźć Pedigree Pala i gwarzyć przy ognisku z towarzyszami wojennych potyczek. Wykrzywił mordę w uśmiechu na tę myśl i znowu zaczął dywagować, kogo najpierw spotka i komu opowie o brawurowej, zaiste bohaterskiej misji trzech Überwunderów w sercu jądra wroga. Wylazł dzielny nasz ork na niewielką polanę i ujrzał tam...

– Verfluchte! – charknął i zatrzymał się, jakby rażony piorunem.

I groza nagle ogarnęła jego duszę i święty akord usłyszał uchem umysłu, oto stał bowiem przed nim...

– Zobaczyl totem Ruskich – odezwał się szeptem Kapitan Bomba do Jołopa.

– No – potwierdziła Alessa.

Przed Schmidtem wznosił się wysoki na trzy i pół metra, wykonany z drewna i metalu posąg. Bez wątpienia sporządzony orkową łapą, wyglądał jak osadzona na krzepkim pniu wrzeszcząca Grüna morda o wielkich żelaznych kłach i gorejących oczach, nakryta olbrzymim okrągłym hełmem. Z czerepu tego wystawały jakby kolce, promienie uczynione z różnych przedmiotów, nierzadko powiązanych sznurami lub zespawanych. Były tam miecze, halabardy, jakieś rury, gałęzie, znaki drogowe, jednym z promieni była wygięta lufa czołgu, innym zużyta bazooka. Blisko szczytu tkwiła nadziana na krótkie ostrze orkowa czaszka przewiązana czerwoną kokardką, a pod nią widniał skreślony cyrylicą napis „Osip”. Zdziwił się niepomiernie Schmidt, widząc litery naszych wschodnich sąsiadów, ale że za ludzkiego życia był także tłumaczem, doskonale rozumiał ten napis, chociaż go nie rozumiał, rozumiecie.

– Co jest? – szepnął. – Giselle znowu coś wymyśliła? Albo Żyrinow?

Spojrzał w paszczę wielkiego totemu. Żarzyły się w niej polana brzozy, a dym unosił się oczodołami i uszami potwora.

– Piękny obraz Gotta, piękny – zachłysnął się. – Niemal dokładnie tak wyglądał ten, który jest, a którego widziałem w zaświatach. Ale czegoś brakuje... Świadectwa, świadectwa brakuje...

Odłożył Kikimorę i worek z kośćmi, po czym pogrzebał w jednej z sakw przyczepionych do pasa. Wyciągnął słoiczek z jodyną. Zgniół go w potężnej łapie, zanurzył paluch w cieczy i namalował z pietyzmem po prawej stronie hełmu napis następującej treści:

GOTT
IST
GRÜN

I dodał na końcu wykrzyknik.

Gdy skończył zbożne dzieło, oddalił się na kilka kroków i z ukontentowaniem przyglądał to napisowi, to artystycznej całości, raz zachwycając się potęgą bijącą z niemej, acz krzyczącej gęby, raz zachodząc w głowę, kto też w Überlandzie mógł skonstruować takie cudo i kiedy to zrobił. Worlöck? Blatz? Pewnie ten drugi, ale kiedy, ale jak? A może to jednak ktoś z Północno-Wschodniej? Cmokał tak i mlaskał z umysłowego wysiłku, gdy nagle z kniei po lewej stronie

totemu doszło go dzikie wycie i w światło dnia wyskoczyło kilkunastu wielkich, przybranych w zielone spodniczki Grünów. Co ciekawe, chociaż darli się dość wyraźnie, do uszu Überwundera nie doszedł ani jeden wyraz mowy Grassa czy Jaspersa, tylko – co wielce go zdumiało – słowa, które mógłby z siebie wyrzucić jedynie Puszkina, Gogol czy, nie przymierzając, Bułhakow!

– Zabić sukinsena! – wrzeszczał największy z nich, wyglądający na Wundera olbrzym w szarym kapeluszu. W łapie ścisnął maczugę nabijaną ćwiekami, a do czoła miał przytwierdzoną gwoździem żółtą gumową kaczkę. U jego ramion dyndało kilka przewieszonych chyba tylko dla ozdoby karabinów AK, biodra zaś ozdabiała parę kowbojskich pasów z rewolwerami i skórzanymi sakwami.

– Jakaś wataha Grabarza? – zdumiał się Schmidt, a potem przybrał bojową postawę, zbierając pięty razem i ustawiając stopy na zewnątrz.

Jedną łapę ułożył dłonią do góry na wysokości czaszki Ixiego, drugą, dzierzącą działko Kikimora, uniósł niczym miecz. Zadarł zgrabnie podbródek, patrząc w bok, po czym wyskoczył, wykonał piruet i grzmotnął największego orka prosto w krzywą pysk nasadą działka, generując sferyczną falę uderzeniową i grom, od których położyły się okoliczne drzewa, a z listowia zerwały się do lotu czyżyki i sójki, niektóre z pojedynczymi głowami. Te właśnie poleciały prosto, pozostałe zaś zataczały się w powietrzu i wpadały na siebie tudzież drzewa, czyniąc niesłychany rejwach. Postępek Schmidta wywołał niebywałe zdumienie zarówno wśród atakujących go Zielonych, jak i obserwujących tę scenę ukraińskich Kozaków, nikt bowiem w tych stronach nie znał takiej sztuki walki.

– To jakieś kung-fu, admirale? – spytał Kapitan Bomba, a Jołop nie odpowiedział, tylko pokręcił łbem i poklepał uspokajająco Griszę, który aż przysiadł na zadzie i także potrząsał łepetyną w niepomiernym zdziwieniu.

Tymczasem z kniei wypadało coraz więcej swierchów, a każdy miał na sobie śliczną spodniczkę z sosnowych gałęzi. Z bombkami. I kaczuszki przypięte do czoła calowymi gwoździami. Gdy dzielny nasz Überwunder pokonał już pięciu, a to robiąc skłon czarnego łabędzia, a to piruet z *Dziadka do orzechów*, a to wyskok z *Borysa Godunowa*, a to grzmocąc sprawiedliwie raz pięścią, raz Kikimorą, raz piętą, a raz z bańki, przybrane w choinki orki zatrzymały się. Odciągnęły rannych i dysząc, patrzyły to na Schmidta, to na totem, w którym dopalał się ogień, to na siebie, bo nie bardzo wiedziały, co dalej robić. W końcu żaden już nie śmiał podejść do giganta, zwłaszcza po tym, co spotkało jego ostatnią ofiarę. Nawojkę Drabika zwanego Psołnikiem. Olbrzym przytrzymał go, przejechał po jego czole długim pazurem, wyorując głęboką seledynową bruzdę, pogrzebał w worku, który spoczywał obok, i władował nieszczęśnikowi całkiem sporą kość centralnie od drugiej strony.

– Czuj się namaszczony, kaczy pomazańcu – mruknął Schmidt, wypuścił opasłego Nawojkę i potoczył wzrokiem po napastnikach, nie zwracając uwagi na to, że pomazaniec oddala się zyzgakiem, cicho popiskując.

Olbrzym był o wiele za olbrzymi, to dotarło wreszcie do napadywców, a że znali już podobnych gigantów, wiedzieli, iż bój z nimi jest trudny i niewolny od poświęceń. Nie umknęło też ich uwagi, że sztuka walki, jaką prezentował Indianin przybrany piórami żarptaka i straszący kłami w okolicach intymnych, jest w tych rejonach zupełnie nieznaną.

– Może to kumpel Krisznamutrieego? – szeptali między sobą.

Ale nie – gigant był sam i nie należał raczej do Wielkiej Floty. Więc może białoruski albo litewski terrorysta?

Trzeba w tym momencie wyjaśnić czytelnikowi, że oddział przybrany w choinkowe gałęzie wchodził w skład Wielkiej Floty Wszechrusi, olbrzymiej siły grasującej od Kaukazu do Mińska, a dążącej do... Khm, nie uprzedzajmy faktów. Tak czy owak, wyżej wymienione orki zrozumiały, że zielone monstrum, które nie wiadomo dlaczego zbecześciło posąg cudownie rozmnożonego Rasputina, raz jest – prawie niezniszczalne, dwa – stanowi zagadkę. Właśnie ta myśl nawiedziła czaszkę szefa oddziału, gdy odzyskał przytomność po potężnym ciosie Kikimorą.

– Ty kapitalisto – zaczął oględnie, rozmasowując przestawioną szczękę – skąd jesteś, suka?

Schmidt znowu usłyszał tajemniczą rosyjską mowę.

– Czego się, donnerwetter, wygłupiacie? – spytał po niemiecku. – Od Żyrinowa jesteście? Od Giselle?

– *Dla mnie to oni popaprani są* – oświadczył Gott. – *Mają bożonarodzeniowe bombki na tych spódniczkach. I gender uprawiają.*

– Co on gada, admirale? – spytał Kapitan Bomba.

– Nic nie rozumiem – odparł Jołop.

Überwundera nie zrozumiał też herszt choinkowego oddziału.

– Po jakiemu ty gadasz? – spytał przybysza.

– Dewizowiec – rzucił stojący obok niego Zielony machający łapami tak, jakby chciał się wznieść w powietrze.

W tym momencie były pisarz i tłumacz zrozumiał, że nie porozumie się w języku Goethego, i zaczął po rosyjsku:

– A teraz mnie rozumiecie, jełopy? Skąd się wziął oddział ruskich kretynów w Überlandzie?

– Gdzie, bliat? – zapytał jeden z nich.

– Kretynów?! – obruszył się wódz. – Jesteśmy dumnymi członkami...

– Nie przesadzaj – zaprotestował stojący obok niego ork, machający łapami i nie wiedzieć czemu wciąż podskakujący jak bokser na ringu.

– ...członkami, powtarzam, Klanu Krwawych Łabędzi! – dokończył herszt, wskazując gumową kaczuszkę przyczepioną do czoła.

– Co? – odparł Schmidt. – Co wy macie przybite do tych łbów?

– To jest krwawy łabędź – oznajmił herszt.

– Ędź – poprawił go ork zaopatrzonego w liczne bombki.

– Ta kaczka? – Schmidt wybałuszył oczy.

– Nie kaczka, tylko Łabędź. Krwawy.

– Ale dlaczego wzięliście jako symbol gumową...

– Bo w sklepie z zabawkami nie było innych i skończmy na tym. Jestem Krwawy Łabędź.

– Ędź – skorygował ten sam mały ork.

– Ja pier... – Schmidt nie zdążył wyrazić swojego zdumienia, gdyż przerwał mu ten furkoczący:

– Latające Turkawki. Jesteśmy Latające Turkawki – oświadczył, rozpościerając łapska i machając nimi tak, że powietrze wokół grubych paluchów zaczęło warczeć.

Rozpędził się niczym samolot na lotnisku, mordę rozdziawił i zaczął generować dźwięk startującego F-16.

– *Dobry jest* – stęknął w podziwie Gott.

– Nie! Jesteśmy Klan Spadających Bomb! – zaprotestował kolejny Zielony, wywijając gwiazdę, podczas którego to aktu zafurkotał moszną z przyległościami, po czym opadł

w szeleście świerkowych igieł z rozanielonym uśmiechem.

Schmidt stwierdził, że istotnie, ten Grün ma na sobie najwięcej bombek. Musiały być z solidnego plastiku, bo szklane by przy takich harcach nie przetrwały. Stwierdził też, że ci, którzy na niego napadli, są ciut za bardzo popieprzeni jak na niemieckie orki, i ogarnęło go złe przecucie. Tymczasem Zieleni, którzy padli od jego ciosów, zbierali się z murawy, a ich kamraci otwierali pękate manierki i dawali im z nich pić. Nie trzeba było geniuszu, by poczuć, że to czysty spirytus, tak intensywny zapach położył się na łące. Po chwili Klan Krwawych Łabędzi podszedł do totemu z naręczem chrustu oraz większych gałęzi i, zupełnie jakby nie doszło do żadnej bójki, zaczął wkładać suche paliwo prosto w gębę potwora.

– Teraz będzie się znowu hajcowało – rzucił jeden.

– No i pomazał, szuja, świętość – skwitował herszt, patrząc z niesmakiem na napis. – Co to w ogóle znaczy?

– Bóg jest wielki – odpowiedział Schmidt. – Znaczy zielony.

– Zielony?

– Widziałem Gotta – oznajmił gigant. – Przekazał mi święte przesłanie.

– Gdzie widziałeś?! – spytał ten z bombkami.

– W zaświatach.

– Jakie przesłanie?! – zapytał F-16.

– Bura suka dupa sraka.

– Co?

– To słowa boga.

– Jaaaa chromole!!! – Na polanę wpadł kolejny ork, większy od herszta, przystrojony tu i ówdzie w gałęzie świerków, ale poza tym ubrany elegancko w strzępy szarego garnituru i biały kask motocyklowy bez gardy, za mały na wielki łeb, więc naciągnięty w zasadzie na jedno tylko ucho. Dookoła pasa i piersi miał kilkanaście skórzanych pasów, a z każdego zwisał jakiś gadżet: a to manierka, a to butelka, a to bukłaczek, a to piersióweczka.

Był to Terebka. Marucha „Terebka” Ścieszkij, zwany Terebką z powodu bukłaczków zatkniętych w każdym zakamarku dziwacznej upręży.

Olbrzym wtoczył się na polanę, zmierzył Schmidta pijanym wzrokiem, zerknął na czachę Ixiego dyndającą w jego kroku, zarechotał, a potem spojrzął na wciąż nie do końca wyrosnięte oko Überwundera i zarechotał po raz drugi. Trzeci raz zarechotał, oceniając pióropusz mesjasza. A potem zobaczył Kikimorę w pięści Überwundera i jakby spoważniał.

– Ja chromole – warknął i splunął pod nogi. – Moi kamraci, w tym Góretskij, znaczy herszt, do końca, widzę, zmiękli na tym łez padole.

Klan Krwawych Łabędzi zdawał się w ogóle na Terebkę nie zwracać uwagi, pochłonięty rozniecaniem ognia w gębie totemu i pogawędkami światopoglądowymi.

Terebka tymczasem zaczął okrążyć Schmidta, poprawiając mimochodem dwie żółte gumowe kaczuszki wbite okazałymi ćwiekami z obu stron w zieloną czachę.

– Co on taki zielony? – zastanawiał się. – Co on taki zielony?

– Zielony jak my – odparł obwieszony bombkami tancerz.

– Nie pitol, Adon – zaoponował Terebka. – Zieleńszy jest niż, piździec, Dziadek Mróz...

– Znaczy kto? – Adon z Klanu Spadających Bomb wciąż nie patrzył na Terebkę, tylko mocarnie dmuchał w ogień. – Bo moim zdaniem Dziadek Mróz jest białyj...

– Znaczy łon! – W tym momencie Terebka wybił się wysoko, aby spaść na Schmidta i ugodzić go dwiema pięściami wielkimi jak bochny rosyjskiego chleba.

Überwunder był przygotowany na ten atak, bo olbrzym w motocyklowym kasku zanadto się afiszował ze swoimi zamiarami. Przybrał Gojira pozycję wyjściową Szeherazady z Nikołaja Rimskiego-Korsakowa i już wyobrażał sobie, jak zdzieli wroga Kikimorą w bok szczęki, gdy zrozumiał, że popełnił straszliwy błąd.

Spowolnijmy nieco taśmę historii i przyjrzyjmy się tym wydarzeniom klatka po klatce. Klan Krwawych Łabędzi, łamane przez Spadające Bomby, łamane przez Latające Turkawki, wcale nie zrezygnował z chęci powalenia Überwundera. Zrozumiawszy jednak, że nie ma z nim szans w klasycznej walce, zastosował stary rosyjski manewr zasmażki. Na czym ów manewr polega? Asasyni nagle tracą zainteresowanie napadaną osobą, udają, że właśnie coś smażą, pieką, rozpalają ogień lub go gaszą, zaczynają gwarzyć o dupie Marynie, generalnie rozłążą się, jakby szukali grzybów czy dowodów na istnienie UFO. Cel ich napaści traci rezon i czujność. Tak właśnie Krwawe Łabędzie otaczały Schmidta niby od niechcienia, ot, aby napalić w gębie wielkiego totemu. Terebka – głupi i złośliwy, ale rozumiejący zasmażkowy manewr – ściągnął na siebie jego uwagę i na umówiony znak wszyscy spod znaku gumowej kaczki skoczyli na wroga.

A skoczyli tak, że ozwały się pod niebem cudowne akordy *Katuszy* Matwieja Błantera. Oto bowiem Adon zwany Bomberem rzucił się na szerokie plecy Schmidta i chwycił go od tyłu za gardło, ten, który twierdził, że jest Latającą Turkawką, czyli Poborczyk zwany Gamoniem lub F-16, złapał prawą łapę olbrzyma, a towarzyszył mu sam Mikołaj Góretskij, były agent rosyjskiego wywiadu, co chwila poprawiający spadający ze łba kapelusz i zsuwający mu się na oko wizerunek Krwawego Łabędzia. Z drugiej strony rzuciły się na nogi olbrzyma inne orki, pozostałe, wrzeszcząc wniebogłosy „sudba” oraz „bliat”, uchwyciły lewą łapę giganta, a najcięższy z nich, Nawojka Drabik zwany Psotnikiem, tak, ten namaszczony, zwałił się Überwunderowi dupą na twarz, zupełnie zasłaniając widok, i pierdnął przy tym tak potwornie, że otworzyły się wrota piekieł, a dzielny nasz Schmidt znowu miał wizję.

Zobaczył w niej ognie Hadesu i kotły olbrzymie, a w nich niektórych kamratów wrzeszczących z uciechy i nacierających się wonnymi wątróbkami Różowych. I zobaczył Wielkiego Szatana, diabła rogatego, którego skórę miał zieloną, tak jak sam Überwunder, i zrozumiał prorok Gotta, że nie tylko Gott ist grün, ale również Teufel, i pojął, że wcale nie taki straszny ów Teufel, skoro u niego taka uciecha i nastrój niczym w heavymetalowym klubie.

Zobaczył byłego pisarza władca piekieł, charknął, splunął ognistą płwociną i oznajmił:

– ZADURA JUPAĆ GÓWNO MISTRZA.

– Ale... że jak? – spytał nieśmiało Schmidt, wiedział bowiem, że bóstwa łatwo rozgniewać, gdy nie rozumie się natchnionego przesłania.

– RYPAĆ JAWNO SIĘBISTRO KUPA.

– No, kupę i gówno mistrza łapię, ale ogólnego przesłania...

Władca piekieł spojrzał na niego złym okiem, warknął i ścisnął swój trójząb tak mocno, że zaskrzypiał boski naskórek na dębowym polerze.

– JEDYPAĆ URWISKO ZOFITEL DUPAWA?

– No i się posrało – stęknął umęczony wysiłkiem umysłowym Schmidt, bo z tych szatańskich wersetów nie mógł już odcyfrować nawet słowa.

– JURWA BURWA DUPISZON WKURZONY! – ryknął szatan i powstał z tronu, a towarzyszące mu biesy, najwyraźniej coś w rodzaju straży przybocznej, wymierzyły w stropionego mesjasza swe straszliwe widły.

– Proszę się nie denerwować – zaprotestował Robert, ale było już za późno.

Otoczyły go wściekle diabły, wbiły w ciało biednego Schmidta tuzin widłowych zębów i poczuł były pisarz prąd elektryczny palący wnętrzności.

– Zum Teufel!!! – wrzasnął na całe gardło, odzyskując przytomność, lecz prąd nie przestał biec przez jego ciało!

Przeciwnie, otaczały go błyskawice, wijące się węże wyładowań, których on sam boleśnie nie odczuwał, lecz jego przeciwnicy już tak, bo właśnie – chociaż zdążyli go powalić na ziemię – odskakiwali, drąc się wniebogłosy i trzymając za łby, ramiona oraz mięśnie pośladkowe.

Powstał wtedy z ziemi straszliwy zombi, wciąż otoczony koroną wyładowań, spojrzął na swoje łapy, po których pełgały niebieskie iskry, i trawę wypaloną w miejscu, gdzie leżał. Zmierzył wreszcie gniewnym wzrokiem przeciwników, którzy krzywiąc gęby, rozmasowywali popalone części ciała.

– Ja pierdziu! – stęknął Mikołaj Góretskij, czyli herszt, drapiąc się po osmalonej gębie i sięgając do sakwy po cygaro. – Jak ty to zrobiłeś, bliat, że tak zagawariu?

– Ale naprawdę po niemiecku się nie dogadamy? – odpowiedział były pisarz po rosyjsku, próbując strząsnąć z siebie błyskawice.

– *Zum Teufel* – jęknął w jego głowie Gott. – *Jak ty to zrobiłeś, kolego?*

– Myślałem, że ty mi powiesz, Gotcie – odparł cicho, bojąc się, że przeciwnicy uznają go za wariata.

– *To szatańska sprawka.*

– No, suka, jak po niemiecku? – jęknął Góretskij. – Masz ognia?

Herszt wyciągnął do niego paluchy dzierzące trzy cygara. Zbliżył do nich ostrożnie pysk i zaczął pykać.

– No strzel iskierką, bo mi zapałki zamokły – zachęcił.

– Donnerwetter – przeklął olbrzym, zupełnie rozmontowany schizofrenią orków, z którymi przyszło mu toczyć bój. Raz zachowują się jak najgorsi psychopaci Zakhausena, a za chwilę proszą o ogień?

Skupił się, wyciągnął palec i... strzelił wyładowaniem, od którego zajęły się zarówno cygara Góretskiego, jak i pół jego gęby. Herszt Łabędzi zacisnął oczyska i wykrzywił paszczę, ale wytrzymał ból. Pyknął raz, pyknął drugi, puścił dym, odchylił się tak, jakby siedział na krześle w sali przesłuchań, i uśmiechnął się, mierząc wzrokiem przybysza.

– No ładna... Maładiec... Co my tu mamy, a?

– Gdzie. Ja. Verfluchte. Jestem? – jęknął Schmidt, czując, że potrzebuje jasnej i uspokajającej odpowiedzi pachnącej überlandowymi gajami i Pedigree Palem.

– Pojebało go, admirale – szepnął Kapitan Bomba do Jołopa, a Alessa, najwyraźniej podniecona bójką, zaczęła zjadać drugi dietetyczny koreczek. – Nie wie, gdzie jest.

– Jak to gdzie? – odparł Adon Bomber, wywijając gwiazdę za gwiazdą i furkocząc wiadomo czym. – Białoruś tu jest, bracie!

– Nie Białoruś, tylko Ruś – poprawił go Terebka, który usiłował lepiej dopasować motocyklowy kask na łbie.

– Wszechruś – nie zgodził się Turkawka, wznawiając lot po łące.

– Wszech-Bliat-Ruś – oznajmił Góretskij mocnym głosem, zaciągając się trzema cygarami naraz. – Ruś jest, bracie, wszędzie. Wszędzie była, wszędzie jest i wszędzie będzie. I to jest nasze... Nawojka, co to jest nasze?

– Przesłanie! – rzucił Psotnik, wyciągając sobie kość z anusa.

– Tak jest – cmoknął Góretskij, ponownie delektując się cygarami i nie zwracając uwagi na to,

że gęba Schmidta sztywnieje coraz bardziej. – Poniesiemy kulturę w świat, drugi mój.

Przenieśmy teraz kamerę do obserwujących zajście Jołopa, Kapitana Bomby, Power Girl i reszty kozackiego oddziału. Liteon od dłuższego czasu zgrzytał zębiskami, a Grisza, jakby rozumiał, co się dzieje na łące, cicho pomrukiwał z gniewu.

– Ja mu dam Ruś – warczał Jołop – ja mu dam Ruś! Zabrali nam Ukrainę, zabrali Krym, zabrali czarnoziemi i wolność, a teraz zachowują się tak, jakby wszystko do nich należało.

– Uch, admirał, z lasera by trzeba – warknął nie mniej rozeźlony Kapitan.

– Wzlecę – ofiarowała się Alessa.

– Nigdzie. Nie. Wzlecisz! – warknął Jołop.

I być może na obserwacji wroga by się skończyło, ale nagle wszyscy – zarówno Kozacy, jak i Rosjanie – usłyszeli Kozaka Jewgienija Wietskigo zwanego Alienem, który wrzasnął:

– Żyźń proklataja! Sudba czeławieka!

Wypada w tym momencie wyjaśnić, dlaczego Alien wrzasnął to, co wrzasnął. Żeby zrozumieć jego zachowanie, trzeba przede wszystkim być Ukraińcem i tutaj w zasadzie wyjaśnienia można by zakończyć... Historycy badający wschodnie rubieże Europy, w tym profesor Ryszard Pepłoński, twierdzą, że Jewgienij był przed przemianą nadzwyczaj przystojnym mężczyzną. Modelem w sensie metaforycznym i dosłownym, chadzał bowiem śliczny nasz Jewgienij Wietskij po wybiegach Lwowa, Kijowa, Mińska i Moskwy, zachwycając urodą swoich oczu czarnych jak węgle, włosów wybrylantynowanych niczym zaczes hollywoodzkich gangsterów, mięśniami jak spod żelazka, długimi nogami i elegancką linią ramion. Miał Jewgienij urok maładca, w jego ruchach, spojrzeniu i uśmiechu było coś wielkiego, by nie powiedzieć – boskiego. Twarz jego gościła na dziesiątkach okładek, a tors gładko wydepilowany i naoliwiony świecił na plakatach i billboardach. Kochały się w Jewgieniju kobiety, kochali się mężczyźni i Jewgienij także kochał sam siebie miłością szczerą i odwzajemnioną. Gdy nadeszły czasy N-Genu, Wietskij, choć w rozkwicie kariery, zachwycony był i radosny, bo zrozumiał, że już nigdy nie będzie się musiał obawiać przeminięcia swej urody. To było jak wygrana na loterii: mieć atrakcyjne ciało, sławę, pieniądze, i to już... na zawsze! I teraz proszę sobie wyobrazić to, co przecież, jak wiemy, było nieuniknione: chorobę, zzielenienie i przepoczwarczenie się z Jewgienija boskiego w Jewgienija orka. Wypada powiedzieć, że jak na Zielonego, Wietskij był wciąż bardzo przystojny: wysoki, rozłożysty, umięśniony jak należy i tak dalej, ale żadna dziewczyna nie chciałaby już z nim chodzić, chyba że ksenofilka jakaś, ale takiej nigdzie nie było, bo nie było już w ogóle Bliadych. Znaczący się byli na Zachodzie, ale oni jedynie do Jewgienija strzelali, kobiety także! Nienawidził nowych czasów nasz model bardzo, lecz ciągle nosił w sobie nadzieję, że jeśli będzie bardzo chciał, zamieni się z powrotem w Bliadego. Miał więc przy sobie lustro i spoglądał w nie w każdej wolnej chwili, ale to, co w nim widział, nazywał obcym. Alienem. Gdy Jołop, Power Girl i Bomba obserwowali Ruskich, Alien, zgodnie ze swoim zwyczajem, zamiast obserwować otoczenie, by nie wpaść w zasadzkę, wyciągnął przybrudzone różowe lustro i powoli, z nieśmiałością, zaczął weń zaglądać, szepcząc do siebie:

– Lustreczko, powiedz przecie...

Ledwo jednak Jewgienij zobaczył skraj zielonego czoła, zdjęła go straszna rozpacz, bo przecież dzień był tak piękny i po burzy pachnące powietrze, a tu wciąż ten głupi zielony ryj!

Wrzasnął zatem Alien „Żyźń proklataja, sudba czeławieka”, co znaczy „Życie przeklęte, los człowieka”, wycelował AK, zwane też AK-47, prosto w swój łysy łeb zakończony długim, czarnym kosmykiem włosów (tak Jołop kazał mu się zgolić i tak uczesać, za co nienawidził

atamana z całej duszy), pociągnął za spust i oddał serię prosto w czachę. Pociski jednak zrykoszetowały po kości i pomknęły w cyjanowe niebo. No tak. Jewgienij wiedział, jak strzelać sobie w łeb, żeby się nie zabić. Rozpacz rozpacz, ale życie życiem, czyż nie?

– Idiota znowu popełnia samobójstwo – skwitowała Alessa, widząc słaniającego się Jewgienija.

Ten upadł na kolana, podparł się łapami, potrząsnął łbem, po czym oznajmił grobowym głosem:

– Suka, znowu pudło.

Że niby, wiecie, dobrze celował. Już nikt nie wierzył, że naprawdę chce się zabić, ale żeby nie robić mu przykrości, wciąż udawali, że się przejmują, przynajmniej ci przebywający bliżej podczas tych prób.

Podźwignął się wreszcie żalosny nasz narcyz, ścisnął lusterko w jednej garści, automat zaś w drugiej i wrzasnął:

– Na pohybel Russskiiiiim!!!

Widząc, że oddział Krwawego Łabędzia podrywa się na dźwięk AK oraz wrzasku Aliena, Jołop uznał, że nie ma już miejsca na dywagacje ani pertraktacje. Spiął więc Griszę ostrogami i dobywając długiej szabli, wrzasnął:

– Na nich! Nie będzie Rusłan pluł nam w twarz!

Niedźwiedź Liteona warknął tak nisko, że zadrżała ziemia, a Kozacy wyciągnęli z drapiącym uszy zgrzytem szable z pochew i z rykiem tudzież szczękiem przeładowywanych kałasznikowów ruszyli ku łące.

To, co się potem stało na polanie okalającej totem, jest doprawdy trudne do opisanie i nawet skrybowie najbieglejsi w sztuce kreślenia epickich scen taktycznych rozkładają przy tych wydarzeniach ręce. Wiadomo tylko, że niedźwiedź Grisz z Jołopem na grzbiecie gonił w tę i nazad przybranych w bombki i świerkowe gałęzie orków, że Schmidt raził piorunami, nie bardzo wiedząc kogo i za co, a wrzeszczał przy tym nieprzytomnie: „Ruś?! Jaka, donnerwetter, Ruś?!”, że Kapitan Bomba taranował swoim stalowym hełmem orka za orkiem, wykrzykując coś o Kurvinoxach i galaktykach, że Alessa, nie zjadłszy do końca dietetycznego koreczka, waliła nim gdzie popadnie, zatrzymywała się, by uszczknąć kęs celulozy, i wracała do walenia, starając się co chwila, niczym rasowa Power Girl, wznieść się nad pole bitwy (a wtedy dołączał do niej F-16, zapominając, że są wrogami), że Adon Bomber walił gwiazdę za gwiazdą, trzaskając wroga to stopą, to moszną, że Góretskij wywijał maczugą, poprawiając przy tym a to niesforny kapelusz, a to kaczuszkę na czole, że Nawojka Psoтник najwyraźniej wpadł w berserk, bo machał łapami jak szalony, a pysk rozdziawiał tak strasznie, że nawet swoi się go bali, i że strzały z AK padały gęsto niczym deszcz, a orki zarówno rosyjskiej, jak i ukraińskiej strony co chwila wrzeszczały „sudba!” albo „bliat” i „kurwa mać” też wrzeszczały.

Kiedy opadł bitewny pył, Schmidt, wciąż mierzący się ze zgrozą zawartą w słowie „Ruś”, zbaraniał do imentu, widząc, jak orki, które jeszcze przed chwilą ze sobą walczyły, podciągają ciała poległych, układają je niczym ławy i stoły, siadają na nich, z pleców trupów strzepują kurz, od ich pośladków odcinają zgrabne kawały mięcha i grzecznie zakaszają, grają w karty. A co już zupełnie zbiło go z tropu, co chwila wybuchają diabelskim śmiechem.

Bomber odciął kawał szynki z zielonego tyłka padłego komilitona, nadział ją na ostruganą gałąź i podbiegł z takim różnem do ust totemu, w których ostro już buzował ogień.

– Przepieczona dupka lepsza od surowej – uświadomił Überwundera, który przyglądał mu się z niegasnącym zdumieniem. – Nigdy nie próbowałaś? – zdziwił się, wyciągnął z płomieni trochę już osmalony kawałek półdupka i podsunął byłemu pisarzowi pod nos.

Jadło, owszem, pachniało miło, lecz szok, w jakim Robert się znajdował, był zbyt wielki.

Widząc zdziwienie olbrzyma, Adon obejrzał mięsiwo i pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Aaa, że bez soli?

Wyszarpnął zza pazuchy kryształową solniczkę i ze znanstwem, wykonując spiralne ruchy, posolił pieczeń.

– Tera lepsza będzie – rzekł i znowu podsunął gościowi jadło pod pysk.

– Trafiłem do piekła – szepnął Schmidt, machinalnie odsuwając łapą poczęstunek.

– *W piekle już byłeś* – odezwał się Gott.

– Racja, racja. No to do domu wariatów.

– *Nie inaczej.*

Adon wraził z powrotem mięso do ognia, dzieląc uwagę między obracanie posiłku a zdziwienie tym, że Schmidt coraz intensywniej gada do siebie. Stwierdził, że chociaż przybysz zachowuje się niecodziennie, bliższy jednak ciału pieczony gluteus, i ostatecznie skupił się na rożnie, a inne orki poszły jego śladem. I tak za chwilę przed mordą orkowego boga była już zielona czereda gwarząca o tym, jak dobrze będzie smakować mięsko i że fajnie, że ten grill niejaki Osip tu jakiś czas temu postawił.

– Jeszcze trochę pietruszki – rozmarzył się jeden.

– Albo rozmarynu.

– To. Jest. Grill?! – warknął Schmidt, z trudem powstrzymując nagle omdlałe kolana przed rymsnięciem na mokrą murawę.

– Ano grill. Papuśny, co? – odparł F-16.

– Co za świętokradztwo – charknął były pisarz. – Co za...

– *Coś mi to przypomina* – szepnął Gott.

Zombi chrząknął, potrząsnął łbem, usiłując uporać się z wewnętrznym rozbiciem, cofnął się o krok i spytał sam siebie:

– A teraz, tak dla jasności, rozmawiam z Gottem czy Teuflem?

– *W sumie wszystko jedno, kolego, bo jestem i jednym, i drugim.*

– Jak to?!

– *Tak to.*

– Aha. Dobrze. Nie. Niedobrze. Nie rozumiem.

– *Nie musisz.*

– Gotcie-Teufłu, gdzie ja jestem? Naprawdę na Rusi?

– *Na mój gust to w dupie.*

– Ładna odpowiedź! Czy ty w ogóle cokolwiek wiesz?!

– *Nie bluźnij!*

I Schmidt poczuł, jak nad jego członkami zyskuje kontrolę Gott-Teufel. Uniósł łapy, a potem je opuścił. I znowu wzniósł. I zatańczył.

– Przestań, Gotcie! – wrzasnął, ściągając na siebie uwagę biesiadujących.

– *No to kto jest Gottem i Teuflem?*

– Ty! Ty jesteś Gottem i Szatanem w dwojcy jedynym!

– *Na pewno?!* – spytał Gott, po czym kazał jednej łapie Schmidta zwinąć się w pięść i walnąć go solidnie w pysk.

– Łaaa! – wrzasnął Schmidt.

– Ajć – zawtórował mu Gott. – *Głupi pomysł.*

Rosjanie i Ukraińcy, zarówno ci grający w karcie, jak i ci stojący przy totemie, patrzyli na ten dziwny popis i zaczęli do siebie szeptać, kiwając głowami.

– Klon Rasputina – mruknął Góretskij do Jołopa.

Obaj, jako wodzowie, nie musieli osobiście pilnować różni, bo dla byłego agenta robili to Nawojka pospołu z F-16, a rusztem Jołopa zajmował się Kapitan Bomba.

Grisza, który także grał z nimi w karty, pokiwał łbem.

– To musi być jego nowy klon – potwierdził Liteon, trzymając wysoko jedną z ręcznie malowanych kart.

I wtedy las zdrzął od potężnego gromu, ptactwo uleciało pod chmury z głośnym krzykiem, kilka drzew przewróciło się z trzaskiem i szumem igliwia, a orki poderwały się i ustawiły w bojowych pozach, przy czym tylko Schmidt odruchowo przybrał pozycję z *Borysa Godunowa*.

– Co, do cholery!?! – wrzasnął Góretskij, ale za chwilę jego gniewna ciekawość została zaspokojona.

Oto bowiem z mrocznej białoruskiej kniei, przy której Mickiewiczowskie mateczniki byłyby parkowymi zagajnikami, z szarpiącym płuca graniem potężnych cylindrów diesla wyjechał wielki jak góra, wstrząsający całą polaną swymi kanciastymi oponami ciemnozielony transporter dźwigający olbrzymią raketę międzykontynentalną. Przed nim, na domontowanej do podwozia ogromnej łyżce podniesionej nad poziom kabiny, spoczywało kilkadziesiąt ton ziemi. Pojazd zakołysał się, łycha z jękiem się obróciła i, jakby z ulgą, pozbyła ładunku, który pokrył hałdą czarnoziemiu kilkadziesiąt metrów kwadratowych polany. Obok pojazdu siedziała na olbrzymiej zielonej bestii z grubsza przypominającej konia orczyca odziana w połamany, ale wciąż rozpoznawalny pancerz szturmowca z *Gwiezdnych wojen*.

– Ktoś coś mówił o klonach Rasputina?! – wrzasnęła straszliwym głosem, a jej koń, czy co to tam pod nią było, ryknął razem z nią.

– Waleria – szepnęły orki i bładny strach padł na wszystkich biesiadników.

– Co tu, suka, się wyrabia?! – wrzasnęła kamandirka, patrząc z góry na Ukraińców i Rosjan. – Nasi z wrogami odwiecznymi samogon ciągną?

– Tak toćna, kamandirka – odpowiedział Góretskij.

– Aha! – zawrzała Waleria, maskując tym okrzykiem fakt, że nie bardzo wie, co dalej powiedzieć.

No bo tak – fenomenalne entrée już zaliczyła, biesiadników postraszyła, koniem zielonym zwanym Anatolem szaspanowała, kilka orków na jej widok z lekka popuściło... a teraz co? Nie miała zbyt dobrej pamięci. Nie po przemianie. Waleria „Kobyła” Repnin za ludzkiego życia była lekarzem weterynarii, i to z zamiłowania. Wolą towarzystwo zwierząt od ludzkiego, bo ludzie ją onieśmielali, chociaż nie była ani brzydka, ani głupia. Może działało się tak, gdyż rodzina wciąż wywierała na nią presję – na dobre wyniki na studiach, na stypendium, na każdy aspekt jej życia łącznie, jak się spodziewała, z zamążpójściem i ciężami. Gdy jeden z ruskich mafiosów, oczywiście bajecznie bogaty i przy okazji posiadacz pokaźnej stadniny pod Wilnem, widząc, że Walka ma wiedzę i smykałkę do zwierząt, zachęcił ją do zaopiekowania się stadem swych rasowych ogierów i klaczy, rodzice byli zachwyceni. Waleria z kolei była przerażona, nie tylko ze względu na reputację nowego pracodawcy, ale także dlatego, że zagustował w niej Rusłan, jego syn. Jednak nie potrafiła się przeciwstawić ani synkowi, ani jego ojcu, ani tym bardziej rodzicom. Gdy sprawy przybrały naprawdę zły obrót, bo Rusłanek zaczął się do niej brutalnie

przystawiać, rodzice nie chcieli słyszeć jej skarg, a mafioso zacierał ręce, widząc, że jego syn sobie używa, pojawił się N-Gen i odwrócił na chwilę uwagę zarówno Rusłana, jak i ojca. Na dodatek gangster, który za kołnierz nie wylewał, kazał po nieliczej libacji podać specyfik swoim koniom, psom, królikom, niedźwiedziowi i kilkunastu innym stworzeniom, które stanowiły jego miniaturowe zoo. Waleria specyfik, chcąc nie chcąc, podała i z naukowym zacięciem obserwowała przemianę zwierząt w wersje dorodniejsze i silniejsze. W tym czasie Rusłan, zapewne pod wpływem N-Genu, jurniejszy niż kiedykolwiek, tak się zaczął do niej zalecać, że przy drugiej próbie gwałtu Waleria uciekła do domu. Wrócić do mafiosa nie chciała i tak minęło kilka miesięcy nalegań, wrzasków, wizyt to Rusłana, to jego ojczulka Matwieja i stanowczego oporu dziewczyny, w której wraz z działaniem N-Genu coś się odblokowywało i rosło. Coś, co było zawsze nią, ale dotąd chowało się głęboko pod grubym płaszczem niewiary we własne siły. Gdy doszło do przemiany, a doszło praktycznie jednocześnie u niej, tatusia i mamusi, rodzice poznali wreszcie, co znaczy „Nie” w wykonaniu Walki Repnin. Och, poznali. Pożarła Walka otca, pożarła mać i wycierając pysk świętecznym obrusem, półprzytomna z ekstazy, pomknęła do jedyne go przyjaznego jej miejsca, czyli stajni Matwieja. Podróż zajęła jej kilka dni, zresztą biedaczka błądziła w malignie, od czasu do czasu pożywiając się albo Bliadym, albo drobiem, albo korą z drzew. W gospodarstwie mafiosa jednak nie było już żywego ducha. Zewłoki, owszem, polegiwały tu i ówdzie, i to całkiem licznie, ale żywych ludzi nie było. Mogła się jedynie domyślać, co zaszło na farmie: Matwiej po przemianie zrobił wielką rozpierduchę i być może z synalkiem też się starł. Zielone cielsko tego ostatniego, tkwiące dupskiem do góry na kuchni gazowej marki Siemens, nasza bohaterka poznała po leżącym obok magazynie „Playboy”, który to wytwór konsumpcyjnej kultury młokos zawsze nosił przy sobie. Zresztą gazetę tę zabrała na pamiątkę, a potem, gdy stanął grill na wiadomej polanie, przybiła do niego rozkładówkę na znak swojego sponiewierania. Walka zobaczyła trupy Zielonych i Bliadych ochroniarzy, gosposi, żony Matwieja, a w końcu, w otwartych wrotach stajni, pokiereszowany korpus samego mafiosa, którego zmasakrowały przemienione w potwory konie. Bestie były agresywne i ujrawszy kolejnego Zielonego, już ruszały, by się nim zająć, lecz w ostatnim momencie rozpoznały opiekunkę i kierując się swoistą zwierzęcą logiką, poddały się jej rozkazom, podobnie jak wszystkie zmutowane stworzenia z zoo Matwieja.

Od tamtej pory nikt Walce nie podskoczył, bo otaczały ją najstraszniejsze stwory na Litwie, po przemianie jakby rozumniejsze, ale i bardziej krwiożercze. Nawet ozdobne kury – zwłaszcza Cipcipka, jak ją ochrzciła Repnin – stały się czempionami wydłubanych oczu i urwanych uszu tych, którzy próbowali się z ich panią konfrontować. Nie upłynęło dużo czasu, nim nasza bohaterka zyskała miano „Kobyły”, a co znaczniejsi wodzowie tworzących się ord zaczęli się do niej zgłaszać z prezentami i prośbami o odsprzedanie tej lub innej bestii. Nie wiedzieli, że Walka ma znaczny zapas N-Genu (spekulować lekiem zamierzał Matwiej i Kobyła odkryła jego skład), a że rozumu do końca nie straciła, zaczęła prowadzić regularną hodowlę i tresurę zielonych mutantów, otaczając przejęte po mafiosie gospodarstwo coraz liczniejszą gwardią przyboczną złożoną z co rozumniejszych Zielonych. Było zresztą czego pilnować, bo Repnin, dzięki licznym podarkom, stała się bogata, za rzeką zaś znajdowało się zoo... Co prawda pieniądze z dnia na dzień straciły wartość, ale alkohol, papierosy, amunicja i broń wciąż były cenne, a i piękne przedmioty wrażliwym wschodnim duszom ciągle się podobały. I tak to właśnie z zahukanej i tłamszonej pani weterynarz wyrosła jedna z potęg wschodnich terenów, Waleria „Kobyła” Repnin, przed której imieniem drżał każdy swierch, czy był Ukraińcem, Białorusinem, Rosjaninem czy Litwinem.

I wszystko toczyło się dobrze do momentu, gdy farmę nawiedziła Flota Wszechrusi. Ech, co to była za masakra. Wszystkich zwerbowali, część zwierząt ukradli, inne się rozpierzchły i tak dumna Waleria stała się jedną z podwładnych straszego Rasputina...

Jołop, którego Grisza pochodził z hodowli Kobyły, stał na baczność i pilnie wpatrywał się to w przybraną w plastikową zbroję orczycę, to w jej przerażającego konia, to w pysk niedźwiedzia, który rozpoznawszy była właścicielkę, rozciągnął mordę w jowialnym uśmiechu, odłożył karty i podbiegł do Anatola, by się przywitać. Widząc ten manewr, Walka rozejrzała się nerwowo, poklepała giganta po łbie, po czym usiłowała go odgonić, brutalnie grzmocąc szeroką stopą w wielki łeb, ale niedźwiedź nie rozumiał.

Zrozumiał za to dziwną tę scenę Mikołaj Góretskij, zerknął szybko na przestraszonego Jołopa, pociągnął z trzech cygar naraz, poprawił kapelusz tudzież kaczuszkę, uśmiechnął się i mruknął:

– Nu daaaa...

Waleria spojrzała na niego wściekłym wzrokiem.

– Co, bliat, „nu da”?

Ale Góretskij nie dał się zastraszyć.

– Kamandirka z elementem wrogim handluje? – rzucił, wypuszczając wielkie kłęby gryzącego dymu. – Niedźwiedzionka sprzedaje?

– Dla twojej informacji, debilu, nad moimi zwierzętami ma teraz pieczę Roch Siemianowski. Więc jego pytaj, a ponadto zważ...

Miała coś dodać, z pewnością coś straszego, bo jej oczy, ledwie widoczne pod białym czerepem rozpołowionego hełmu, zwęziły się i złowrogo błysnęły, gdy z głośnym skrzypieniem wielkich zawiasów z kabiny potężnego Topola-M, szesnastokołowca dźwigającego międzykontynentalną raketę dalekiego zasięgu SS-27, wyskoczył skulony, rozglądający się podejrzliwie ork. Miał brudną bródkę barwy blond, paluchy, które nieustannie gmerały albo przy niej, albo przy uszach, albo przy kroku, i nosił na zgarbionym korpusie olbrzymią kamizelę pełną wystających z kieszeni kluczy i innych wichajstrów. Był to Mordechaj Majselbaum, jeden z tych nielicznych orków, które faktycznie kumały coś z technologii przodków, w zasadzie we Flocie niezastąpiony.

– Majselbaum! – zagrzmiała Waleria, a kulący się i przetaczający co chwilę ork oglądający wielką hałdę ziemi i łychę, która rzeczoną hałdę zrzuciła, podtoczył się do niej, bacznie mierząc wzrokiem zastygłe orki. – Wszystko sprawne?

– Tak, baronowo – odparł technik nadzwyczaj ładnym barytonem i wszyscy na polanie pokiwali głowami, bo wschodni ork, nawet najdzikszy, duszę ma artysty i łka, słysząc piękną głos, męski także. – Zadziała, zadziała, zadziała, zadziała.

– Nie zacinaj się! – warknęła Waleria.

– Tak, bliat, zadziała! – wrzasnęła pokraka, która wytoczyła się za Majselbaumem z pancерnej kabiny pojazdu.

Stwór na pierwszy rzut oka przypominał kupę śmieci zgniecioną byle jak i rzuconą na grunt, by się toczyła byle gdzie i byle po co. Jednak gdy owa kupa się wyprostowała, ujrzeli roślą orczycę przybraną w nieprawdopodobną liczbę instrukcji obsługi rozmaitych pojazdów byłej armii rosyjskiej. Niektóre karty powiewały luzem przyszyte do strzępów odzieży, niektóre podręczniki dyndały przywiązane sznurami do licznych pasów, jeszcze inne wystawiały wypłowiałe grzbiety z kilku skórzanych toreb i jednej aktówki, którą Jekaterina Humelt, tak bowiem orczyca się nazywała, niosła w grabie zupełnie tak, jak modystki noszą swoje drogocenne torebki.

– Zadziała, kurwa, twój wichajster, a nie ta kupa złomu!

Sapiąc, orczyca stanęła przy Majselbaumie, ten zaś zaczął się nerwowo rozglądać, jakby szukał bazooki, którą mógłby ewentualnie urwać Jekaterinie paskudny łeb.

– Katia, nie przy kamandirce...

– Sramandirce, Żydzie w rzyć jobanyj.

– Ależ ty jesteś wulgarna, Katia.

– Srur... Srugarna – odparła Humelt wściekła, że nie potrafiła zgrabnie zamienić słowa „wulgarna” na coś dowcipnego. – Będzie trzeba ze trzydzieści Topoli, żeby zrobić robotę, a ta rakietka w dupę polecą Dziadkowi Mrozowi, a nie, suka, do Bliadych.

– Co do liczby, mam podobne zdanie.

– Sranie.

– A rakietka to ozdoba.

– Srozdoba.

Waleria przyglądała się tej scenie z rosnącym niezadowoleniem.

– Zamkniecie mordy?! – wrzasnęła, a Anatol zmierzył obie pokraki krwawym wzrokiem, zadając sobie niebezpieczne pytanie: Lepsi będą z miętą czy z bazylią?

– Zatem zadziała? – powtórzyła Repnin.

– Eee, zadziała, hrabino – odparł Majselbaum, a Jekaterina, nieco się za niego chowając, dodała niczym echo:

– Sradziała.

– Nie nazywaj mnie tak, Majselbaum – warknęła Waleria, najwyraźniej rozdrażniona przez dziwną parę.

– Dobrze, królowo.

– Zamknij się, Mordechaj.

– On tak zawsze, Żyd jobanyj – skrzeknęła Humelt.

– Napletek mi odrósł po N-Genie – zauważył Mordechaj śpiewnym barytonem, a orki ponownie pokiwały głowami. Na to Katusza skrzeknęła:

– I teraz wali od ciebie na...

– Zawrzcć ryje!!! – ryknęła Waleria, Anatol zaś, wyczuwając wściekłość swojej pani, ryknął razem z nią.

Widząc to, Grisza, wciąż przymilający się do Repnin, ryknął także, tylko trochę później, ale, ku rozpaczy Jołopa i Walerii, nie oddalił się do nowego właściciela.

– Zawrzcć, bliat, mordy i pomierzyć tu wszystko elegancko, w rzyć pierdzieleni recydywiści Żydzi i inni popaprańcy, żeby była pewność, że się nie potopimy! I kamuflaż przerobić, bo jeszcze nie pasuje do reszty! A ja, jeśli pozwolicie, wypierdu i wypierdu, sprawdzę, co tu się bliat, wyrabia! I ani mru-mru, bo Anatol robi sobie z was paszę treściwą tudzież objętościową!

Mordechaj spojrział na Katuszę, a ona na swojego partnera, oboje bowiem nie pojmowali, czym się różni pasza objętościowa od treściwej. Zamilknąwszy, odtoczyli się więc w szumie ściółki leśnej w stronę hałdy i natychmiast zaczęli ją mierzyć wzwyż, wszerz i wzdłuż.

Waleria, wciąż na granicy wybuchu, spojrziała groźnie na Góretskiego i już miała coś powiedzieć, gdy zgromadzeni na polanie usłyszeli dochodzący zza jej pleców gwar, chrzęst łamanych gałązek oraz szum ocieranych liści paproci, a z lasu wyskoczyła czereda niebywale rozgadanych orków ubranych w szczątki białych plastikowych zbroi. Każdy z nich zaopatrzone był w AK i, co nieco stropiło Góretskiego, bazookę. I wciąż gadały, zagłuszając wszystko i wszystkich.

– Klony Rasputina – szepnął Jołop.

– No wreszcie – charknęła Waleria, patrząc na żołnierzy. – Szary, wszystko w porządku?

Wojownik noszący sterany wojskowy mundur, zamiast plastikowego hełmu gwieźdnowojennego zaś prawdziwy, piechociarski, z drugiej wojny światowej, był rzeczywiście bardziej szary niż zielony. I choć, jak wiemy, orki się nie starzeją, wyglądał leciwie. Co więcej, nie widać było jego oczu, bo miał je zawiązane białą szmatką, na której ktoś przyczepił na wysokości nasady nosa gwiazdę, najwyraźniej zdjętą z czapki czerwonoarmisty. Szary miał na szyi żelazną obręcz, do której przymocowano łańcuch. Koniec tego łańcucha trzymał w garści Gorim, milczący olbrzym o gębie zupełnie i bezwarunkowo nieinteligentnej.

Ujrawszy to, Schmidt zdziwił się, ale zjawiska tego nie skomentował.

– Tiiiiiszynaaa, psubraty!!! – krzyknął Szary głosem niezwykle melodyjnym, wręcz śpiewnym, i klony, spojrzawszy na niego, umilkły.

Repnin przestała patrzeć na Siemiona Jurijewicza „Szarego” Żakiewicza, ten zaś, usłyszawszy, że klony się uciszyły, wydał hipnotyzującą komendę i wojownicy rozstawili się wokół polany, znowu wszczynając rozmowy, ale znacznie ciszej.

Nie zwracając uwagi na kłamor coraz bardziej rozgadanych orków, Waleria spojrzała złym okiem na Góretskiego.

– Coś chciałeś powiedzieć, kochanieńki?

Kamandir kaczobombkowego klanu zamrugnął, jeszcze raz wciągnął dym z trzech cygar i zastanawiał się swoim nie za dużym orkowym mózgiem, jak zareagować na to pytanie. Klony już rozstawiły się dookoła polany i stanowiły nie byle jaki argument. Kobyła, nie miał co do tego wątpliwości, istotnie handlowała z Ukraińcami i był na to dowód. Stanowiła jednak we Flocie niemałą siłę, chociaż nigdy nie zadeklarowała wierności Trójcy. On z kolei, co wypada w tym momencie wyjaśnić, przed przemianą zajmował się likwidacją politycznej opozycji jedynie słusznej władzy, miał sieć kontaktów, ruble tudzież dolary na koncie i strach w oczach oponentów. Po kolapsie stracił to wszystko łącznie z dużą częścią rozumu, nie stracił jednak zdolności tworzenia sieci orkowych znajomości. Na przykład Wielki Sygnalista Floty, generał Siemion „Szary” Żakiewicz był jego kamratem. Może nie za wielkim, może nie za wiernym, ale nieraz samogon pociągnęli, a i w karty do Szarego Mikołaj często przegrywał. Ale teraz Siemion stał za daleko, a mrugnąć do niego nie było można...

Nagle, jak za machnięciem magicznej wierzbowej witki, zrobiło się na łące dużo kurzu, mnóstwo zamieszania i jeszcze więcej hałasu, przez dłuższą chwilę nic nie było widać, a po dłuższej chwili, gdy opadł już pył, na polanie zostali tylko Rosjanie, Schmidt oraz kilka orkowych trupów, zarówno ukraińskich, jak i rosyjskich, a wszystkie z pożartymi dupami.

Waleria westchnęła, pierwsza bowiem zorientowała się, co zaszło.

– I tak oto – zagrzmiała – mieliśmy okazję obserwować słynny kozacki manewr skwarczany...

Historycy są zgodni co do tego, że skwarek był manewrem analogicznym do rosyjskiej zasmażki, a oznaczał pozorne zaprzyjaźnienie się z wrogiem, potem zaś nagły atak lub odwrót, w zależności od sytuacji. W tym przypadku oczywistą strategią była rejterada, co dzielni Kozacy ochoczo uczynili, pozostawiając kurz i bałagan po kartach oraz zakąskach. Co godne odnotowania, trunki zabrali, a i Grisza gdzieś zniknął, zapewne skuszony przez Jołopa kawałkiem szynki.

Odnotowawszy fakt, że wielki niedźwiedź wreszcie zniknął oraz że ma przewagę taktyczną nad oddziałem Łabędzi, Waleria zgrzytnęła zębiskami i zastanawiała się, czy porachować się

z Górejskim już teraz czy później, swierch ten bowiem nie raz i nie dwa usiłował podważyć jej władzę. Było to co prawda trudne przy jej pozycji, wciąż więc mu się nie udawało, nie oznaczało to jednak, że nie był groźny. Oj był, ten agent zaszczytyj, był. Chociaż Ukraińcy nieco odwrócili uwagę od sytuacji, napięcie ciągle było na tyle duże, że mogła się pozbyć Mikołaja i nikt by nie pisał – nawet Majseibaum czy ta Katiusza, która razem z Żydem hałasowała przy mechanizmach Topola. Władzę nad kaczkami przejąłby Bomber, Psotnik albo F-16, jeden większy idiota od drugiego swoją drogą, i byłoby po sprawie... Spojrzała na Górejskiego, który, wyczuwszy zagrożenie, przestał się bezczelnie na nią gapić i gasił swoje śmierdzące cygara w oczodołach jednego z poległych. Bliat, gdyby nie ten stojący przy grillu gigant, który patrzył na nią z wielkim zaciekawieniem, już byłoby po Mikołaju.

– Kto to jest? – spytała, wskazując obcego. – Nie Ukrainiec?

Mikołaj, wciąż czujny, lecz rad, że Kobyła przestała mierzyć go morderczym wzrokiem, obejrzał się, machnął na giganta, żeby podszedł bliżej, i poczekał, aż heros przybrany w pióra żarptaka, wielką orkową czaszkę w kroku tudzież jakieś zielone szmaty, pasy i strzępy autoklawów zbliży się do niego przy akompaniamencie niezbyt głośnych, ale odczuwalnych stęknień gruntu.

– Państwo wybaczą – odezwał się Górejskij – nie przedstawiłem. – Tu skłonił się kamandirce, uchylając szarego kapelusza. – Ten tu niszczyciel nazywa się...

– Schmidt – zagrzmiął olbrzym. – Robert Schmidt. Überwunder Hordy Południowo-Wschodniej niezrównanego Zimona Zakhausena!

– No tak właśnie imć Schmidt pierdoli i nikt nie wie, o co mu chodzi. Mnie się wydawało, że to klon Rasputina, bo objawy ma podobne.

Waleria mierzyła wzrokiem przybysza, jej ucho zaś bez trudu wychwyciło, że mowa Gogola nie jest pierwszym jego językiem.

– Gdyby był z Floty, raczej bym o tym coś słyszała – mruknęła. – Chociaż z Putinem nigdy nic nie wiadomo...

– Kamandirka nazywa Rasputina Putinem. – Górejskij uśmiechnął się szelmowsko i wyciągnął z sakwy kolejne trzy cygara.

Nie wiedział, biedaczysko, że właśnie wbił w swoją trumnę ostatni gwóźdź, bynajmniej nie ten trzymający gumową kaczuszkę. Każdy wiedział, że Sylwester „Rasputin” Bartnitskij zabija każdego, kto nazwie go Putinem. Gdyby dowiedział się o czynie Walerii, spotkałby ją ten sam los, zatem Górejskij, stary szpion i aferzysta, nie mógł opuścić tej polany żyw...

Waleria nie dała jednak tego po sobie poznać, tylko machnęła niedbale łapą i spojrzała ze szczerym zainteresowaniem na przybysza.

– Skąd pochodzisz, przystojniaku? I dlaczego masz jedno oko mniejsze od drugiego?

Schmidt westchnął.

– Z Überlandu, donnerwetter. A oko mi odrasta. Utraciłem je podczas bitwy.

– Überland? To na południu? Na północy?

– Niemcy. Niemcy, proszę pani.

Na to dictum klony Walerii przestały gadać, a Krwawe Łabędzie, Majseibaum i Katiusza, ba, nawet Anatol i Szary głośno gwizdnęli i pokręcili głowami.

– No to cię wywiało, synku – odparła Repnin.

– Czy to prawda, co tu usłyszałem? – Schmidt potoczył ręką. – Prawda to, że znajduję się na Białorusi? We Wszechrusi?

Kobyła dłuższą chwilę kiwała tylko głową, a potem powoli odrzekła:

– Prawda, kochanieńki. Powiedzże mi, coś ty taki zielony.

Były pisarz wzruszył ogromnymi ramionami.

– No zielony jak zielony...

– Nie. Terebka – spojrzała na orka w białym motocyklowym hełmie – stań obok niego.

– Ale niby po co?

– Po gówno, kochanieńki. Stań, jak mówię, albo Anatol zeżre ci jajo.

– Już, kamandirka, już...

Terebka stanął obok Schmidta i nagle to, co mogło się wydawać błahe, stało się widoczne dla wszystkich z wyjątkiem tych klonów, którym widok zasłaniały źle dopasowane hełmy.

Zieleń Terebki była zgaszona, przetarta, coś między khaki a barwą przepalonych dębowych liści. Schmidt zaś wyglądał jak szmaragd, świeżo skoszona trawa tudzież liście topoli. Był zielony jak, nie przymierzając, Hulk.

– O bliat – zachłysnął się Nawojka Drabik zwany Psootnikiem i puścił straszliwego bąka, od którego Schmidt z pewnością znowu doznałby apokaliptycznych wizji, gdyby stał bliżej, Nawojka bowiem jakimś trafem puszczał wyłącznie bąki halucynogenne, zwłaszcza po muchomorach. – Zielony jak świerkowe igliwie – powiedział.

– Poetycko to ująłeś. – Adon Bomber uśmiechnął się krzywo.

Wtedy Schmidt także zobaczył, że barwa jego skóry się zmieniła. Nigdy nie była tak soczysta jak teraz.

– To z pewnością dar od Gotta – mruknął do siebie.

– *Tak, to dar ode mnie, donnerwetter* – odparł Gott. – *Fajnie wyglądasz, przezielony.*

– Powiedz, kulturysto, jakim cudem dostałeś się aż tutaj przez kraj Poliaczków? – spytała Repnin.

Überwunder westchnął.

– Miałem misję. Dolecieliśmy raketami do pałacu króla, a potem zabiliśmy i jego, i królową.

Usłyszawszy tę nowinę, orki spojrzały po sobie i wybałuszyły oczy. Klony zaczęły głośno gadać.

– Powiedz jeszcze raz, śliczny mój – odezwała się Waleria. – Co zrobiliście?

– Ukatrupiliśmy władców Polen. Król i królowa nie żyją.

Tego już zgromadzeni przy totemie wytrzymać nie mogli, wyrzucili w górę ręce, a z nimi manierki i inne chwilowo zbędne przedmioty, po czym gromko zawołali:

– Urrrrraaaaaa!!! Urrrrraaaaaa!!! Urrrrraaaaaa!!!

I kto wie, jak długo jeszcze by tak darli mordy, pociągając obowiązkowo z bukłaczków, gdyby Waleria nie uciszyła ich gestem.

– Tiszyna, swołocz! – Spojrzała na Schmidta. – Prawdę mówisz, przystojniaku?

– Najprawdziwszą. Gott i Teufel mi ją przekazali.

Tu Waleria lekko się zdziwiła.

– Znaczy kto?

– Bóg i Szatan w dwójcy jedyńcy – odparł gigant bez cienia wahania, co mocno zaniepokoiło panią Repnin.

– Czekaj, kochany, bo nie rozumiem – powiedziała. – Zabiliście króla i królową Bliadych czy Bóg ci przekazał tę radosną nowinę? Bo to, rozumiesz, dwie różne sprawy...

– Nie, radosna nowina była inna.

Waleria potarła brwi, coraz bardziej skonfundowana, ignorując dobiegającą od strony Topola skrzekliwą uwagę Katuszy:

- On pojebany jest.
- Czyli jaka była ta radosna nowina? – spytała spokojnie.

Schmidt wziął głęboki wdech i wyrecytował:

- Bura suka dupa sraka, a od Szatana...

Usłyszawszy to, zgromadzeni dookoła zaczęli albo parskać ze śmiechu, albo chować się za innych, bo przekaz był zaiste godny uwagi, jednak Robert tego nie widział, gdyż skrobiąc się w czaszkę, zdał sobie sprawę, że zapomniał, jak brzmiało przesłanie Teufla.

- Kupa mistrza... Nie pamiętam – zagrział.
- To właśnie przekazał ci Bóg? – upewniła się Repnin, przekrzykując gwar.
- Oto słowo Pana – odparł poważnie potwór.
- Piękne przesłanie – powiedziała Waleria, zamykając Anatolowi pysk, bo koń najwyraźniej zamierzał się uśmieć.

W tym czasie Majselbaum przerwał pracę przy transporterze i zaczął się toczyć po murawie, a Katusza razem z nim, okropnie przy tym hałasując. Klony też znowu zaczęły perorować.

- Ale jak to było z królem i królową? – krzyknęła Repnin do Schmidta.

Ten próbował odpowiedzieć, ale rejwach był już taki, że orczyca wyciągnęła wielki rewolwer z kabury przypiętej do szyi Anatola i wypaliła w powietrze. Grom rozszedł się po łące i orki nieco struchlały.

- Tiszyna, parchy! Kamandirka przeprowadza śledztwo!

- Tak toćna, tak toćna – dało się słyszeć z różnych stron.

- Więc jak to było? – ponowiła pytanie Waleria, nachylając się nad szyją wierzchowca.

– Walczyłem dzielnie – odparł gigant – ale poległem, zanim to się stało. Biło się wraz ze mną dwóch towarzyszy: Ixi i Bauer. To Ixi razem z Bauerem zabił władców Polen, a potem także obaj polegli. Kości jednego z nich noszę w worku.

- Czekaj. Powiadasz, że zginąłeś? I oni też polegli?

- Tak.

– Po tobie polegli? To skąd o tym wiesz? I jakim cudem najpierw zginąłeś, a teraz chodzisz i gadasz?

- Pojebany – wyjaśniła za jej plecami Katusza.

- Zmartwychwstałem, aby nieść dobrą nowinę – odparł gigant.

- Jaką?

- Bura suka dupa sraka.

Orki znowu wybuchnęły śmiechem, a po szmaragdowej skórze Schmidta zaczęły pełzać niebieskie wyładowania.

– To jest jakiś mesjasz, kamandirka – stęknął Góretskij. – Zielony, wielki jak Stalin i piorunami razi.

- Jak to razi?

- Nie widzisz? Już nas popieścił, jak go prawie mieliśmy!

- Potwierdzam – odezwał się Nawojka. – Nawet moja hipnoza nie pomogła.

– Bliat, człowieku! – rzuciła Waleria trochę do Góretskiego, trochę do Schmidta. – To się kupy nie trzyma!

- I grilla nam pomazał – poskarżył się Bomber.

Repnin potarła czoło i raz jeszcze spojrzała na Schmidta.

- Naprawdę walisz piorunami?

- To łaska Gotta. Jestem jego świętym niosącym...

- Tak, wiem. Dupa, suka, bura coś tam.
- To nie do końca taka kolejność...
- Rozumiem. Po coś tu przylazł, mości... Jak masz na imię, bo zapomniałam?
- Robert. Robert Schmidt.
- Robercie drogi, po coś tu przyszedł? Nie lepiej było do domu wracać?
- Kiedy właśnie...

I tu Robert Schmidt, dzielny Überwunder Hordy Południowo-Wschodniej, do której coraz bardziej było mu tęskno, opowiedział Walerii Repnin historię swojego zmartwychwstania, podniebnej podróży i podstępu polnische Rose, którzy zamiast do świętych ostępów wiecznej Rzeszy przenieśli go, nie wiedzieć czemu, na wschód.

- I ja tego pilota namaściłem...
- *A powinieneś był go przekąsić* – odezwał się Gott.
- Srekaścić – odparł na głos Überwunder.
- Z kim rozmawiasz? – spytała Repnin.
- Z Gottem. Mam z nim stały kontakt.
- Hm... Powiadasz, z Gottem?
- Jak najbardziej.

Wtedy Waleria podrapała się w nos, a potem wyciągnęła łapę i wskazała Schmidtowi klony Rasputina, które, wyczuwszy rozluźnioną atmosferę, znowu zaczęły gadać. Olbrzym spojrział na otaczających go wojowników i ze zdziwieniem stwierdził, że nie rozmawiają ze sobą, ale gadają do siebie.

- Widzisz podobieństwo, drug Schmidt? – spytała Repnin.
- No widzę...

– Wszyscy oni siorbnęli z rury zatopionej w mózgu natchnionego Rasputina, przedtem zalanego spirytusem. Rasputin ma we łbie dużo rur, oby panował wiecznie. Jażń wodza obudziła się w głowach wszystkich, którzy spożyli mózgoszejka. Odtąd mówi do nich w ich głupich łbach i kontroluje poczynania. Panimajesz, drug? A teraz powiedz mi, kochanieńki, nie żarłeś ostatnio mózgu jakiegoś kamrata?

Oczy Schmidta rozszerzyły się w nagłym błysku zrozumienia, sięgnął łapskami do gęby i wydarł się:

- Ixiiiiiiiiiii!!! Ty popaprańcu!!! Wyrwę cię ze łba, skurwysynu!!!

Na to odparł Gott, który w istocie był Ixenem:

– *Ty się nie denerwuj, Schmidt. Ty się tylko nie denerwuj, bo, rozumiesz, jak ty się denerwujesz, to ja też.*

W tym momencie dzielny nasz Überwunder opadł w iście hollywoodzkim stylu na szerokie kolana i w nie mniej hollywoodzkim stylu ryknął pod niebiosy:

- Neeeeiiiiinnnn!!!

* Według badaczy wschodnie orki zazwyczaj nazywały siebie „swierchami” od „swierchczelowiek”, czyli „nadczałowiek”.

Sztandar 3

W tym momencie statystyczny czytelnik, choć oczywiście ciekaw losów Gojiry Schmidta dzielącego mózg z Gojirą Ixim, zaczyna coraz częściej tęsknić za Warszawą i zastanawiać się, co się tam dzieje. Bo przecież zostawiliśmy w pałacu całą dobrze nam znaną ekipę, prawda?

Zatem gdy Überwunder, nieświadomy jeszcze niespodzianki, którą sprawili mu Polacy, brnął przez lasy Białorusi, przekonany, że zbliża się do ugrupowań swoich kamratów, do stolicy wracało pięć Perunów, w tym maszyny kapitana Karola Sambora i nieszczęsnego kapitana Podgrudnego, który w trakcie lotu wyjął sobie z wiadomego miejsca namaszczenie Schmidta i dumął nad tym, co powie królowi, jak spojrzy w oczy Kalinie i jak zareaguje na kpiny kolegów. Historycy twierdzą, że miał z tym potężny zgryz. Nakrzyczał w końcu na miłość swego życia, dowiedział się, że nie ma u niej szans, nazwał króla fiutem (czy chujem, wśród badaczy historii nie ma co do tego zgody), a teraz wracał do bazy z dziurą w mundurze. Nie do końca zresztą czystym. Przełykał więc drobny kapitan grudę goryczy za grudą i nie bardzo wiedział, co ma dalej robić. Leciał jednak w szyku, odrętwiały i niezdolny do jego złamania, a uszkodzona od dziobu strony „Blondi” cięła umyte burzą powietrze, nieodwołalnie zbliżając się do Warszawy i lądowiska przed pałacem.

Wzrok kapitana przyciągnęła migająca dioda wyłączonego radia. Pilot zerknął na lecącą najbliżej maszynę Karola Sambora. Pilot machał do niego, stukał w słuchawki hełmu i coś krzyczał.

No tak.

Mariusz nie chciał włączać radia, bo spodziewał się wrzasku, przekleństw i ogólnowojskowego opierdolu. Od innych pilotów i z bazy. Wyobraził sobie, jak mijają Mińsk, potem Wesołą i widzi dumne zabudowania Warszawy. Potem pałac i lądowisko. Uzmysłowił sobie, że tak jak miał ogromne opory przed lądowaniem na białoruskiej polanie, nie będzie chciał również lądować na polskiej ziemi. Bo czekały go tam drwiny i brak zrozumienia. Zapragnął na zawsze pozostać w powietrzu, z dala od ocen i reprimend tych, którzy pozwalają sobie na nie tylko dlatego, że mają o jedną gwiazdkę czy belkę więcej na pagonach. Jeden pieprzony, haftowany srebrną nicią szlaczek.

– Ja pierdołę! – warknął i ustawił częstotliwość na rozmowy pilotów, po czym szarpnął przełącznik radia.

– Junior, do kurwy nędzy, zgłoś się wreszcie! – nadawał Karol.

– Czego się drzesz, Sambor? – odparł.

Kapitana lecącego obok Peruna na chwilę zatkało.

– To ty, Junior?

– Tak, kurwa, ja.

– No wreszcie, bracie! Już myśleliśmy, że ci Gojira rozwalił radio!

– Nie, wyłączyłem.

– Po chuj?!

– Potrzebowałem... ciszy.

– Przecież my tu martwimy się o ciebie!
– Jak to?
– I ogólnie gratulacje, kapitanie! – w słuchawkach rozległ się głos porucznika Sebastiana Dominiaka, strzelca Sambora.
– Za co, kurwa?
– Za kilka rzeczy, Podgrudny – odparł Sambor i spojrzął na niego ze swojej kabiny, szczerząc kły. – Po pierwsze, za to, żeś przeżył lot z Gojirą na pokładzie.
– No, nie do końca.
– Ranny jesteś?!
Kapitan westchnął.
– W pewnym sensie...
– Co ci zrobił?! Potrzebujesz medyka?
– Kilka szwów i będzie po problemie.
– Ale co ci zrobił, na Swaroga?!
Podgrudny przełknął ślinę i wypalił:
– Wsadził mi w dupę jebaną kość. Chyba Gojiry, bo wielka jest. – Zerknął na siedzenie pilota, na którym tkwił feralny paliczek.
Najpierw w słuchawkach panowała cisza, a potem Sambor powiedział sztucznie spokojnym głosem:
– Junior, powtórz.
– Wsadził mi w dupę, przez materiał, kość swojego kamrata. Zdaje się, że to u nich obrządek religijny, bo on w ogóle jakiś nawiedzony był.
– Wyjąłeś to sobie?
– Tak.
Podgrudny usłyszał rechot strzelca Sambora, a potem innych pilotów. Wreszcie Karol oznajmił:
– No to jesteś pierwszym, który dostał pamiątkę od Zielonego!
– I to bardzo osobistą! – zauważył drugi pilot.
– Intymną! – dodał trzeci.
– To musi być miłość – rzucił czwarty i towarzystwo zaniosło się śmiechem.
– Bardzo. Kurwa. Śmieszne – skwitował to Podgrudny.
Lecieli chwilę przy odgłosach cichnącej uciechy, aż odezwał się Sambor, mocno odchrząknąwszy, tak ubawiły go słowa drobnego kapitana.
– Lądujemy – oznajmił.
– To znaczy? – zdziwił się Junior.
– Nie wyjdiesz z pojazdu z dziurą w dupie. Lądujemy. Opatrzmy cię, przebierzemy, umyjemy.
Kapitan spojrzął na lecący obok niego helikopter. Pilotujący go żołnierz patrzył poważnie i kiwał głową.
– Na... naprawdę? – szepnął.
– Chyba, kurwa, żartujesz. Jesteś jednym z nas. My możemy się z ciebie śmiać, ale inni – nigdy. Ta polana. – Sambor wskazał niewielką połąć mokrej trawy w ciemnym lesie. – Lądujemy.
I załapa biednego kapitana fala wdzięczności. Gdy koła śmigłowca dotknęły gruntu, Mariusz wiedział, że wita go życzliwa ziemia współczucia i zrozumienia, nie zaś śmierci czy drwiny.

Obsady Perunów wywlekły biedaka z kabiny, zdarły z niego pobrudzone ubranie, umyły go i opatrzyły, a jeden z pilotów oddał mu swój kombinezon, twierdząc, że ma w schowku drugi. Potem wyczyścili siedziska „Blondi” i opatrzyli, jak mogli, uszkodzony płatowiec. Dali Podgrudnemu kawę z termosu i żołnierski batonik. Gdy pilot, oszołomiony i oniemiały z wdzięczności, żuł twardy miodowy sezam, Sambor skontaktował się z bazą i wyjaśnił, że Podgrudny jest w szoku, dlatego ma wyłączone radio. Oznajmił, że zdecydowali się na krótkie lądowanie celem opatrzenia rannego i dokonania przeglądu maszyny. Gdy skończył i wyszedł z kabiny, powiedział, że nikt w bazie nie komentował ani romantycznej sceny z Kaliną, ani obelgi pod adresem króla. Kapitan Podgrudny stał tymczasem, niczym dziecko, z batonikiem w jednej i kubkiem parującej kawy w drugiej ręce. Pogryzając i popijając, z ulgą stwierdził, że dupna rana nie jest zbyt poważna, bo raz, Gojira dobrze wycelował, a dwa, już go praktycznie nie boli.

Sambor podeszedł do niego i zapytał cicho:

– Chcesz, żebym poprowadził twoją maszynę? Sebastian może mnie zastąpić w mojej.

Junior spojrzał na niego.

– Sam wystartowałem i sam wrócę.

– Jesteś pewien?

Kapitan wziął głęboki wdech.

– Jak, kurwa, nigdy w życiu.

– Justynem się nie przejmuj – podeszedł do niego strzelec Sambora – brakuje mu akcji i mu odpierdala.

– Nie, dobrze mu powiedział – do rozmowy włączył się inny pilot, wycierając ręce w szmatę, bo wykorzystał lądowanie i oczyścił port ładowniczy.

– Kto komu? – spytał Karol.

– Justyn Mariuszowi. Chciał go przywołać do porządku. Ja to rozumiem. Facet panikował.

– A Mariusza?

– Co Mariusza?

– Jego rozumiesz?

– A Mariusza – pilot uśmiechnął się – ucałuję.

Podeszedł do Podgrudnego i, chociaż kapitan bronił się nieporadnie ręką, w której trzymał kubek, cmoknął go w policzek, drapiąc zarostem.

– Jesteś, bracie, jedynym chyba żołnierzem w Twierdzy, oprócz świętej pamięci Kozak, który powiedział królowi, że jest fiutem.

– To było dobre – potwierdzili inni lotnicy.

– Nie martw się. – Sambor klepnął go w ramię. – Nie powie o tym ani słowa.

– A może i awansuje – rzucił Dominiak.

– Na to bym nie liczył – rzekł Karol i spojrzał Podgrudnemu w oczy. – Za twardy charakter trzeba płacić, kapitanie. Na twoim miejscu spodziewałbym się... relokacji.

Tymczasem w siedzibie TYKAC-a król ze świtą, POŁOM-ami oraz członkami „Orla Białego” śledzili radary i dyskutowali o przerwaniu łączności przez Juniora, miejscu zrzutu Gojiry i o tym, że markery, które potwór miał na sobie, przestały być widoczne wkrótce po tym, jak gigant opuścił pałac.

– Zasięg pluskiew to maksymalnie pięćdziesiąt kilometrów – wyjaśniała doktor Halszka

Wysocka – pod warunkiem że ma się aparaturę dostrojoną do pluskwy, a to nie jest standardowe wyposażenie ani naszych pojazdów, ani sztabów.

– Czyli nie wiemy, gdzie on w tej chwili jest? – spytał król.

– Nie może się przemieszczać zbyt szybko – zauważyła Stawniak. – Poza tym z pewnością zaraz natknie się na miejscowe orki.

– To mnie martwi. – Łyżwa podrapał się w łysinę. – Trzeba wzmocnić garnizon w... – Zerknął na interaktywną mapę wbudowaną w blat stołu, pochylił się nad nią i powiększył ruchem palców obszar, na którym białoruskie ziemie wbijały się w Twierdzę ostrym klinem. – Starym Bublu?

Towarzystwo roześmiało się.

– To nie żart – przerwał im król. – Jest taka wieś. Mamy tam, z tego, co widzę, całą brygadę. I wzmocnimy ją. Jeśli Gojira wróci, nie będzie w dobrym humorze.

– Może by umieścić przy granicy zwiadowców z czujnikami? – zaproponowała Stawniak.

Łyżwa westchnął.

– Brakuje mi doradcy wojskowego. Ech, Madzik... Gdzie jesteś, gdy cię potrzebuję? Kogo mam prosić o radę? Peruna? Swaroga? – Król spojrział bezradnie w sufit. – Gdzie są generałowie Wiechucki i Woźniak?

Sanitariuszka Orłów, usłyszawszy nazwisko ojca, zeszywniała.

– Mieli się stawić dopiero na odprawie – poinformowała Stawniak. – Generał Wiechucki nadzoruje projekt „Pajęcza Nić”, a generał Woźniak prawdopodobnie szykuje się dopiero do podróży. Wciąż przebywa na froncie zachodnim.

– A inni doradcy?

– Generał Lityński testuje dzielność Mora, generał Wypartowicz jest na poligonie w Czerwonych Borach, a pani generał Wyciślak została przez was, królu, znaczy się przez króla i... królową, oddelegowana do stoczni w Gdyni, żeby...

– Tak, tak, już pamiętam. Wciorności. Czyli jestem sam. Tak się przyzwyczaiłem, że Gwiazdeczka zawsze jest obok, że zapomniałem. Zawsze powinien tu być jakiś...

– Jeśli mogę wejść w słowo – odezwała się Stawniak, dotykając palcem słuchawki, którą zawsze trzymała w uchu – do pałacu przyleciał przed chwilą i, zdaje się, właśnie tutaj maszeruje generał Sawicki.

– El General? – spytał bogobojnie Pokorski.

– El General Magnifico? – szepnęła Heintze. – We własnej osobie?

O generale Andrzeju Sawickim krążyły w Twierdzy legendy. Jedni mówili, że „El General”, jak go pokątnie nazywano, pochodzi ze słonecznej Hiszpanii i stąd jego przydomek, lecz przeczyły temu jasne spojrzenie staruszka i jego włosy, które, zanim stały się srebrne, były koloru pszenicy. Inni utrzymywali, że El General specjalizował się w grach wojennych, gdy istniała wciąż Unia Europejska tudzież NATO, a ksywka wzięła się właśnie z rozgrywek, w których zawsze zwyciężał, bo umysł miał ostry jak brzytwa. Jeszcze inni twierdzili, że Sawicki pamięta drugą wojnę światową, a żyje nadal, bo zażył N-Gen, ale lek zadziałał tylko na tyle, by przedłużyć mu bytowanie, nie zaś odmłodzić. Tak czy owak, gdy generał wszedł do mrocznej siedziby TYKAC-a, Orłowski, Mardok i Zdzira, którzy stali najbliżej trzymającego się prosto niskiego i lekko zaokrąglonego staruszka, zdziwili się, że można wyglądać tak staro i jeszcze chodzić. Sawicki tymczasem nie tylko chodził, ale wzrok miał bystry, a ucho czujne.

– Słyszę, mości królu – zaczął lekko uroczystym tonem, bo tak miał w zwyczaju mówić – że znowu się posrało!

I to także było charakterystyczne dla El General: łączenie kwiecistego stylu z przekleństwami. Justyn podszedł do niego i uściskał jak ojca.

– Andrzej! Cieszę się, że cię widzę! Chodź, zobacz, mamy problem...

– Twoim problemem jest to, że zamiast doradcami otaczasz się przebierańcami – Sawicki popatrzył z dezaprobatą na Radosława Kota, Magdę Stawniak, Witelona i Saulskiego – i jeszcze klechę ciągniesz za sobą.

– To nie klecha, lecz cywil.

– Ale ubiera się jak katabas.

– Taki ma styl, Andrzej, skup się.

– Dwunastu braci, wierząc w sny, zbadało mur od marzeń strony – przerwał mu generał pierwszym wersem *Dziewczyny Leśmiana*, wskazał kostropatym palcem obszar na północ od Kobrynia na terenach byłej Białorusi i dodał: – Zrzuciłeś King Konga poza zasięgiem wzroku i oczy wypatrujesz, a ślicznotka za murem.

– Piękniej bym tego nie ujął – rzekł król.

– On... zawsze mówi tak, jakby recytował? – szepnął Zgud do Mardoka.

– Zawsze, młokosie – odparł Sawicki. – Słuch też mam jeszcze dobry. A kogo cytowałem?

Zgud przełknął ślinę.

– Khm... Tuwima?

– Ten Żyd miał kapitalny talent, ale Leśmian, też Żyd, nie gorszy. Uzupełnić wykształcenie, odma... A nie, to cząstka „Orła Białego”? – Spojrzał pytająco na Łyżwę.

Ten skinął głową.

– To zostań, młody człowieku, i słowa nie roń, bo nie czas ku temu.

– Tak... tak jest, panie generale.

– Wychowany przynajmniej – skwitował El General. – To dobrze. Wracając do tematu – spojrzał na króla – Stawniak ma rację. Trzeba tam wysłać najlepszych zwiadowców. Ze ściany wschodniej. Pani doktor? – Spojrzał na Halszkę. – Ile waży urządzenie rejestrujące sygnał pluskowy?

– Trzy kilogramy – uprzedził odpowiedź koleżanki Maciej Matuszewski.

– To pestka. Bezgłośnie?

– Tak – powiedziała Halszka.

– Bateria wystarcza na...?

– To oszczędne urządzenie – odparła kobieta. – Siedem dób. Potem można doładować przez panele słoneczne.

– Bosko, że się tak katabasicznie wyrażę. – El General mlasnął z ukontentowaniem. – Trzeba zwiadowców ubrać w pochłaniacze zapachów.

– Są pochłaniacze zapachów? – Flaszka nie wytrzymał i wychylił się nad ramieniem Runy.

– Są, mości Raczkiwicz, są...

Flaszka zamrugał i obmacał potężną pierś, jakby zamierzał wyciągnąć zza pazuchy piersiówkę, jednak opanował się i tylko zabębnił grubymi paluchami o masywny mięsień piersiowy.

– Przepraszam, panie generale – stęknął – ale skąd pan to wszystko wie? Wie pan, o czym rozmawialiśmy, jak się nazywamy...

Generał spojrzał na niego bystro, a w spojrzeniu tym dostrzegł woj coś bardzo

niebezpiecznego.

I wiecznego.

– Kurwa, to prawda z tym N-Genem? – spytał szeptem Tygrzyk Lenny’ego.

– Prawdą – odpowiedział generał – jest to, co nosisz w sercu.

Wszyscy wybałuszyli oczy. Przez chwilę panowała cisza, bo nikt nie wiedział, co odpowiedzieć na takie dictum, aż wreszcie stary woj parsknął śmiechem rad, że wszystkich nabrał. Sierżant Radek „Flaszka” Raczkiewicz nie dawał jednak za wygraną, bo pamiętał, jak strasznie się męczył w orkowej maskownicy.

– Panie generale, są pochłaniacze zapachów? Od kiedy?

Sawicki oparł krótką, pomarszczoną dłoń o blat interaktywnego stołu.

– Są, sierżancie. Ale tobie nic by nie dały. W tych kombinezonach łatwo się przegrzać, co przy twojej tuszy byłoby pewne, to raz, a dwa, sprawdzają się tylko na wyjątkowych osobach.

– To znaczy?

– Nie wiemy do końca. – Generał spojrzął na Wysocką. – Badamy je, prawda, pani doktor?

Halszka skinęła głową.

– Zanotowaliśmy to u kilku zwiadowców z frontu wschodniego. Zgłaszali, że są, by tak powiedzieć, niewykrywalni. Dla Zielonych. Na razie ustaliliśmy, że wszyscy mają grupę krwi 0 Rh-, ciemne oczy i włosy...

– Brak piegów – wtrącił Matuszewski.

– Zgadza się. Wykazują bardzo niską emisję feromonów i ogólnie słabą perspirację.

– Co? – szepnął Samul do Zguda.

– Nie pocą się – odparł Dawid.

– Nawet nocą?

– To nieśmieszne było – rzekł Zgud.

– Bo Rłokieta dawno nie piłem...

– Nie tolerują też alkoholu – ciągnęła Halszka. – Podejrzewamy, że mają mutację w obrębie genu...

El General wszedł jej w słowo:

– To nie jest takie ważne, pani doktor. Istotne jest, że mamy trzech posiadających tę mutację zwiadowców znających rosyjski, białoruski, litewski i ukraiński. Prawda?

– Khm... – Halszka przygryzła język, bo nienawidziła, gdy jej ktoś przerywał, podważając tym samym autorytet. – Tak słyszałam.

– No, a ja wiem – skwitował Sawicki.

– Świetny plan, Andrzej – odezwał się Justyn – ale czy uda się ich na czas zrzucić? A przede wszystkim, czy zgodzą się na taką misję? To skrajnie niebezpieczne. Musieliby nie wiadomo jak długo przebywać na terytorium wroga...

– Jesteśmy gotowi, królu – usłyszeli niski głos dobiegający z mroku sali.

– Kto tu jest? Kto was wpuścił?! – Justyn spojrzął groźnie na trzy sylwetki wyłaniające się z cienia.

Orłowski i Mardok mrugnęli do siebie porozumiewawczo. Oni też nie zauważyli zwiadowców. Byli naprawdę dobrzy.

– Ja ich wpuściłem – odezwał się uspokajająco generał.

Było to dwóch mężczyzn i kobieta. Wyższy, mierzący prawie metr dziewięćdziesiąt, miał ciemne oczy i bliznę od ucha do podbródka, a ubrany był w mocno przerobioną, pomalowaną w leśny kamuflaż ramoneskę z powszywanymi w pierś i rękawy kevlarowymi płytami.

Zwiadowcy, pozbawieni Chorsów, często sami konstruowali sobie „pancerze”. Tylko trochę niższy od niego drugi mężczyzna wyglądał niemal jak dziecko, tak młodą miał twarz, co ciekawe, także przeciętą blizną, ale starszą, zniekształcającą prawą kość policzkową. Znad pleców wystawała mu czarna rękonoś maczety, którą od razu zainteresował się Żmij. Były na niej wygrawerowane łacińskie inskrypcje. Najniższa z tego towarzystwa kobieta miała oczywiście ciemne włosy, orzechowe oczy i twarz niemal męską, tak była napięta i zdecydowana. Nosiła w zasadzie przepisowy ubiór zwiadowcy, od którego odbiegał tylko dziwny czarny farfocel przymocowany nad lewą kieszeń. Przyglądający się im Orłowski stwierdził, że nie ma pojęcia, który z wojów wywołuje w nim gorsze odczucia. Najwyższy sprawiał wrażenie psychopaty, młodzik wydawał się nosicielem koszmarnych tajemnic (nie wiedzieć czemu kojarzyły się majorowi z kazirodztwem), kobieta zaś przywodziła dowódcy Orłów na myśl pacjentkę psychiatryka.

– Przedstawiam państwu Licho – oznajmił z niejaką satysfakcją Sawicki.

– Andrzej, skąd oni się tu wzięli? – spytał Łyżwa.

– Jak to skąd? Ze Starego Bubl.

– Ale jak to? Nie wydałem żadnego...

El General położył królowi rękę na ramieniu.

– Justyn. Gdy tylko zorientowałem się, o co chodzi, a zorientowałem się szybko, słysząc, że Perun z naszym asem na pokładzie wiezie na wschód Gojirę, wiedziałem, że będziesz chciał brifować zwiadowców. Skąd? Ze wschodu. Jakich? Najlepszych. No i masz najlepszych i ze wschodu. Przylecieli tuż przed Podgrudnym.

Król chrząknął.

– Właśnie, trzeba będzie z nim... – Spojrzał na Kalinę, a ta odpowiedziała prośącym wzrokiem, by pominął ten temat. Monarcha potarł oczy i ciężko westchnął. – Ale to później, później. – Zerknął na członków Licha, a potem na Sawickiego. – Przedstawisz ich?

– Z dziką rozkoszą. – Generał błysnął bielą sztucznych zębów. – Dryblas z blizną...

– Ten starszy?

– Ten starszy. To kapitan Damian Podoba zwany Piekielnikiem. Imię ma strasznie plebejskie, nazwisko już ładniejsze. Oba są oczywiście nieprawdziwe, podobnie jak nickname – generał lubił wtrącać obce słowa – i nie wiem, kto je wymyślił.

Justyn zeszywniał.

– Podoba? Czy to...?

– Tak, mój królu – potwierdził niewypowiedziane pytanie generał, ale nie zatrzymał się nad tajemniczą kwestią, którą jednakowoż od razu zauważyli członkowie batalionu „Orzeł Biały”.

Tymczasem El General wymieniał dalej.

– Młodzik wyglądający jak zboczony ministrant to porucznik Mateo Jakubowski, inaczej Szwajcar. Urodzony we Włoszech, były członek, wybacz, królu, dwuznacznik, gwardii szwajcarskiej. Jest starszy, niż wskazuje na to jego chłopięca mordka. Ma kota na punkcie jakichś tam tajemnic papieskich, ale kogo to dziś obchodzi? Stara małeńka – wskazał kobietę – którą wymieniam na końcu, bo jest zwolenniczką równego traktowania kobiet i mężczyzn, to porucznik Anna „Matka” Bieniek, nazywana przeze mnie Wielebną...

– Matka? – nie wytrzymał Lenny.

– Takie pseudo, mało wyszukane. – Generał pokręcił głową. – Dlatego wolę ją nazywać Wielebną.

– Dlaczego? – spytał król.

– Jest Matką Wielebną.
– Andrzej... – Justyn popatrzył na niego błagalnie.
– Matką Wielebną Kościoła Latającego Potwora Spaghetti. Nie widzicie tego farfocla na jej mundurze?
Stary mężczyzna pstryknął w ozdobę nad kieszenią kobiety i wtedy wszyscy zobaczyli, że istotnie, przypomina kłębek makaronu z dwojgiem oczu.
– Muszę się napić – szepnął Flaszka.
– Mają pełne oprzyrządowanie – ciągnął generał – prowiant na tydzień, są gotowi do akcji. Potrzebują tylko tego urządzenia śledzącego. – Sawicki spojrział na Matuszewskiego i Wysocką.
– Tak, tak. – Maciej rozejrzał się nerwowo, jakby już miał wręczyć im rzeczoną skrzynkę.
– Chwileczkę. – Król wyciągnął rękę. – Kto dowodzi tą jednostką?
– Kapitan Damian Podoba – odezwał się Piekielnik niskim głosem, salutując do marineski – melduje się na rozkaz.
– Nie mój – mruknął Justyn. – Dowodzisz... Przypomnij mi, jak ten oddział się nazywa.
– Licho, mości królu.
– A, tak. Wiesz, na czym miałyby polegać wasza misja?
– Generał Sawicki powiedział nam, że z piwnic pałacu zbiegł Gojira. Ma przyłączone dwie pluskwy. Naszym zadaniem będzie utrzymać go w zasięgu skanerów i aż do odwołania meldować o jego położeniu – odparł Piekielnik.
Król uniósł brwi w podziwieniu.
– Brawo – rzekł – dokładnie to miałem powiedzieć. Im więcej myślących żołnierzy w Twierdzy, tym lepiej.
– Mam doświadczenie w prowadzeniu takich misji, królu.
– Rozumiesz, że ten potwór jest niezwykle niebezpieczny dla Twierdzy?
– Tak jest.
– Czyli pojmujesz wagę misji?
– Tak jest.
– Zdajesz – Justyn spojrział na całą obsadę Licha – zdajecie sobie sprawę, że będziecie musieli wejść na terytorium wroga?
– Wchodziliśmy już na nie, mości królu – odparł Podoba.
– Jak głęboko?
– Najdalej porucznik Bieniek.
– Ile? – Król spojrział na kobietę.
– Trzydzieści kilometrów – odparła.
– Ile?! – zachłysnął się Flaszka. – Sama?
– Wtedy sama – mruknęła Matka. – To był skok spadochronowy i powrót na piechotę.
– Zasady walki, królu? – odezwał się Podoba.
– Nie drażnić, śledzić. Jeśli znajdziecie pewny sposób na likwidację, wykonać. Przed akcją obejrzyjcie filmy z walki pod pałacem. Zrozumiecie wtedy, że te bestie są prawie niezniszczalne.
– Widzieliśmy je, królu.
– Doskonale. W takim razie wiecie, że na Gojirę trzeba co najmniej mocnej rakiety. Nawet strzał z armaty nie jest pewny, chyba że centralnie w łeb. Nie bawcie się swoimi Torami. – Wskazał lufy wystające znad ramion snajperów. – Był już taki, który chciał ubić jednego z nich w ten sposób. Trafiał dobrze. I nic nie wskórał. Nie próbujcie nawet w oko. Obecna tu Rakowska – wskazał trefnisią, który tego dnia był wyjątkowo milczący – wpierdzieliła Schmidtowi

z przyłożenia jeden albo dwa pociski prosto w gałkę. I nic.

– Wkurwił się – rzuciła Joe.

– Przydałby się taki gość do naszego Oka – szepnęła Poniadowska do Wampira, patrząc na Piekielnika. – Najwyraźniej jest cholernie silny.

– Nie żartuj – szepnął Gadziński. – Zabiłby nas.

– Myślisz?

– Nie widzisz, jaki to potwór?

– Fascynujący – szepnął Lenny, który do nich dołączył. – Tytanowe pośladki. Obczaiłem.

– A ten tylko o jednym – skrzywił się Wampir pod czarną chustą.

– Generale? – Król podniósł głowę znad mapy i spojrzał na Sawickiego. – Zadbasz o ich transport i nadzór misji?

Nikt nie zauważył, kiedy El General wycofał się w cień. Teraz słyszeli tylko jego głos.

– Oczywiście, Justynie. Wyprawię ich. Ale na miejscu zajmie się nimi pułkownik Paweł Richert.

– On dowodzi brygadą Starego Buble?

– Nie inaczej, Justynie, nie inaczej.

Łyżwa spojrzał na członków Licha i wskazał mroczną sylwetkę Sawickiego, a po nim Halszkę.

– Idźcie z generałem i doktor Wysocką do laboratoriów. Tam się dozbrójcie i ruszajcie natychmiast. Liczy się każda minuta. Raportujecie pułkownikowi Richertowi, on raportuje mnie. Doktorze Matuszewski – zwrócił się do naukowca – pan zostanie z nami.

– Tak jest – odparł Maciej.

W tym czasie członkowie Licha zasalutowali i odeszli w mrok, a z nimi Halszka i generał.

– Aha, Andrzej! – rzucił za nimi król, ale Sawicki nie usłyszał już jego głosu.

Łyżwa jeszcze chwilę czekał, mając nadzieję, że El General zawróci, ale zorientowawszy się, że staruszek odszedł już za daleko, zamrugnął i mruknął:

– W sumie nieważne. Chciałem mu tylko powiedzieć... – Potarł oczy i westchnął. – No trudno... – Chwilę milczał, potem popatrzył po twarzach otaczających go ludzi. – Ładny gips, co? Czy ktoś w ogóle wie, jak to się stało i czy nie maczał w tym łap Dzedaj?

– Nie maczał – odparł Matuszewski. – Sprawdziłem nagrania. Poinstruował tylko kamrata, jak dostać się do windy.

– Nieładnie. – Justyn pokręcił głową.

– To był jego towarzysz broni, królu.

Monarcha skrzywił się.

– Prawda. Też bym tak zrobił.

– Ale nie brał udziału ani we wskrzeszeniu, ani w masakrze w laboratorium. Pozostał w klatce. Teraz też zachowuje się pasywnie.

– W porządku. Ale jak to możliwe, że ten skurczybyk zmartwychwstał?

– Akurat w tym czasie oglądałem jego tkanki pod mikroskopem.

– I?

– Ożyły.

– Kurwa mać, nie mogliście zameldować?!

– Mam wrażenie, że ożyły po zmartwychwstaniu Gojiry.

– Nie dało się tego przewidzieć?

– Coś takiego widziałem pierwszy raz w życiu. Procesy odwracające śmierć to coś, czego nie

potrafią ludzkie tkanki...

Justyn machnął ręką.

– No dobrze. Nic więcej nie da się zrobić. Potwór został wywieziony, dziękować bogom, oprócz obsady laboratorium nikt nie zginął, pilot w miarę cały. Orły, odpocznijcie, o dziewiętnastej jest odprawa. Panie doktorze, pan niech zbada jeszcze te komórki. I pogada z Dzedajem. Po tym, jak służby posprzątają ten... bałagan. Może on coś wie o tym fenomenie. Typrowicz, Pokorski, Podgórska.

– Tak? – spytali jednocześnie.

– Nawiążcie kontakt z brygadą w Starym Buble. Mam do pogadania z Richertem.

Kiedy Orły odmeldowały się już i rozstały z POLOM-ami, postanowiły wykorzystać pozostały do odprawy czas i udać się do Bociana w Alejach Jerozolimskich. Chmury częściowo się rozstały, w biało-szarych prześwitach błyskało lazurowe niebo. Powietrze pachniało świeżością i zniknął zapach pyłu budowlanego, który nieustannie unosił się z ruin pałacu. Gdy opuścili plac i skręcili w prawo, Runa rzuciła, wskazując mokry asfalt:

– Zobaczcie, błękitne ulice.

Rzeczywiście, wypolerowana powierzchnia odbijała niebo. Wyglądało to tak, jakby człowiek mógł w nie wskoczyć.

– Powinnaś być poetką, nie sanitariuszką. – Zgud uśmiechnął się do niej.

– Jestem poetką. I wróżbitką.

Ich gruchanie przerwały głośne stęknienia Mardoka, który nie ukrywał dyskomfortu związanego z licznymi opatrunkami. Wszyscy byli potłuczeni i poranieni, więc szli wolno, niczym oddział zombi. Woje w lepszej kondycji, czyli głównie pancerniacy, podpierali kolegów i łagodnie żartowali z ich stanu.

Gdy skręcili w aleje, dostrzegła ich Jolanta Tkaczyk z cukierni U Marcinkowskiego, urocza kelnereczka o ciemnych włosach i oczach. Uśmiechnęła się, wpadła do sklepu i wybiegła z tacą pełną pączków, ale zdziwiła się, widząc, że chociaż ją dostrzegli, nie bardzo przyspieszyli, za to zachowywali się jak banda paralityków na paradzie.

W końcu pierwszy do słodkości dorwał się chorąży Dariusz Samul.

– Bałzo dobie – zapewnił, wsadzając sobie całego pączka do ust.

Jola tylko się uśmiechnęła.

Po nim dopadli pączków kapral Muzyka, porucznik Gwara i sierżant Flaszka, następnie zaś woje z Dażboga, Wolf i cała reszta. Pożarli dwie tace, a Samul wciąż domagał się następnych słodkości, w czym ochoczo asystował mu Fraydey.

– A gdzie właściciel? – spytał Orłowski, starając się jeść dystyngowanie, chociaż trochę mu to nie wychodziło.

– Pan Godryk? Wyjechał wczoraj wieczorem.

– O, ciekawe – rzekł Mardok bez zainteresowania tematem, za to z wielkim kulinarnym zaangażowaniem.

– W interesach? – zapytał dowódca, bo dostrzegł na twarzy Jolanty cień zdenerwowania.

– No, w sumie to nie wiem... – Tkaczyk podrapała się w skroń. – Spotkał się z takim łysym panem, on często przychodzi do Bociana, i pojechali.

– We dwóch?

– Tak.

- Ten łysy był w bandażach? – spytał Mardok, a jego wzrok nagle stwardniał.
- Tak. Tak jak wy.
- Szuja znowu szuka zwady? – Zdzira spojrzała na Jarego.
- Najwyraźniej...
- Dobra, chodźmy się napić i coś zjeść, bo potem trzeba będzie zrzucić te galowe mundury i iść na odprawę – zakomenderowała Heintze.

Istotnie, Orły ubrane były w paradne uniformy i chociaż poruszały się niczym manekiny, zwracały uwagę warszawiaków. Jakaś para poprosiła ich o zapozowanie do selfika na tle zwieszającej się z muru czerwonej flagi Twierdzy, na co narcystycznie nastawiona część batalionu w osobach Fraydeya, Mardoka, Zdziry i Lenny’ego zareagowała ochoczo, a Flaszka próbował nawet w ekspresowym tempie odbić oblubienicę młodzieńca, który poprosił o fotografię, ale nie udało mu się, jak twierdził, z powodu interwencji Gwary. Dotarli wreszcie do stolików i z ulgą przyjęli widok suchych płyt chodnikowych pod karmazynowymi parasolami, śliskie podłoże bowiem było dla nich niemal równie groźne jak orkowy ostrzał. Pojawił się znajomy kelner i powietrze zadrżało od zamówień softdrinków tudzież sutych dań. Kilka siedzących dalej osób przyglądało im się ciekawie, ale ku rozczarowaniu Mardoka nie było wśród nich Sarenki, a reszta oddziału żałowała, że nie widzi też Opty i Martyny.

Podczas sączenia Polo-Coli i dojadania kotletów sarepskich, które, chociaż dobre, kiepsko im wchodziły, woje doznawali sprzecznych uczuć. Byli zdenerwowani zmartwychwstaniem i ucieczką Schmidta, zaciekawieni konszachtami Marcinkowskiego z Ciecierskim, bo to jego podejrzewali o melanz z cukiernikiem, i zmęczeni niedawnymi trudami. Nie dawały im też spokoju sprawy nieodwracalne, czyli uszczuplenie składu batalionu.

- Potrzeba kogoś do Rujewita – rzuciła Klaudia. – Został... tylko Jastrząb.
- Mariusz Wojteczek smętnie zwiesił głowę.
- Dwie osoby są potrzebne – potwierdził Orłowski.
- I do Kocura ładowniczy – powiedziała Kicia, walcząc z chrypką.
- Pilota w Perunie brakuje – mruknął Wolf.
- Orłowski skinął głową.
- Cholewa się nie nada?
- Cholewa będzie się rehabilitował pół roku albo i dłużej. Dzwoniłem do niego. Ma popękane kości.
- Cholera.
- Właśnie – potwierdził Tyszkiewicz, ciągnąc długi łyk Polo-Coli.
- Myślisz, dowódco – Klaudia zwróciła się do Sergiusza – że tu kogoś znajdziemy?
- Kurwa, przestańcie! – warknął Fraydey i grzmotnął pięścią w blat. – Dopierośmy byli na pogrzebie!

Dla podkreślenia swych słów ścisnął w garści szablę od Jaroty.

Orłowski westchnął, a potem klepnął go w kolano.

- Dobrze mówisz, Thomas, dobrze mówisz. Opłakiwaliśmy ich, gdy umierali, płakaliśmy podczas pochówku, będziemy jeszcze opłakiwać. Sam będę płakał, kurwa mać, ale uzupełnienia przyjdą, i to szybko, rozumiesz? Jeśli nie uporamy się ze stratą, nie będziemy chcieli zaakceptować nowych. „To jest siodełko Jaroty, co się na nie wpierdalasz? W tej gondoli siaduje Alka, wypad. Tu ma prawo przebywać tylko Dziad, umiesz dobrać amunicję? Nie tykaj drążka

Niani...”

Samul roześmiał się, wypluwając kilka okruchów kotleta.

– Przprszm – mruknął, gdy Heintze spojrzała na niego groźnie, i zaraz zaczął zbierać ze stołu jedzenie, ale że żal mu było je wyrzucać, pakował z powrotem do ust.

Piatkovsky, widząc manewry Zbrojowca, lekko się uśmiechnął, a potem westchnął.

– Rozumiem. Rozumiem, szefie. Ale to takie...

– Straszne – dokończyła Heintze, która nie przyznając się do tego, w duchu dziękowała bogom, że jej załoga pozostała w całości. Zerknęła dyskretnie na Malik, a ta odpowiedziała podobnym spojrzeniem.

– Jak znam życie – odezwał się dowódca batalionu – o uzupełnieniach dowiemy się na odprawie. Kalina. – Spojrzał na działonową Dażboga. – Mówiłaś, że wiesz coś o tym.

– O czym?

– O temacie odprawy.

– Wiem, ale nie mogę mówić. Król nie pozwolił.

– Nie bądź taka tajemnicza. – Lenny trącił ją w bok.

Joanna skrzywiła się, bo wciąż była słaba, a Hadder nie dziabnął jej lekko.

– Nie trącaj mnie, pedale...

Lenny potoczył tęsknym wzrokiem za idącymi chodnikiem dwoma młodzieńcami, którzy pokazywali ich sobie.

– Ech, stołeczne adonisy – westchnął i sięgnął po leżącą na sąsiednim stoliku gazetę. – „Kultura Twierdzy”. No proszę, kwitnie twórczość w naszym kraju...

Kierowca Dażboga zaczął przewracać karty pisma. Przysunął się do niego Żmij, nagle zainteresowany ilustracjami.

– I czego tam szukasz? – spytał Samul. – Gołych facetów nie będzie.

– Nie będzie – potwierdził Hadder. – Szukam działu „Fantastyka”.

– To kultura jest? – spytał Tygrzyk.

– Żebyś wiedział. I jest – odparł Hadder, pokazując ilustracje prezentujące wojów przyszłości.

– Ale mangi tu nie ma, w cholere... Chyba pójdę do jakiegoś antykwariatu i wykupię, co tylko tam mają mangowego.

– Będzie drogo – zauważył Mardok.

– Manga to te wielkie oczy u japońców? – upewnił się Fraydey.

– Tea... – Hadder skrzywił kwadratową twarz. – I wiele innych rzeczy, których takie tłuki jak ty nie rozumieją.

Thomas zignorował uwagę kierowcy i sięgnął po „Twierdź Dziś”. Jego wzrok przyciągnął artykuł na pierwszej stronie.

– *Wciąż się starzejemy* – zacytował tytuł. – „Dumni jesteśmy – zaczął czytać na głos – że opieramy się zielonym hordom”...

– No, opierają się. Zwłaszcza dziennikarze – mruknął Lenny.

– „...że jesteśmy ostatnią kolebką ludzkości. Duch polskości jeszcze nigdy tak potężnie nie unosił się nad Twierdzą, bo teraz być człowiekiem znaczy tyle, co być Polakiem, i odwrotnie”...

– Tu się trochę zgubiłem – wyznał Samul.

– „...ale zapominamy o jednym drobnym fakcie. Orki, z których kpimy, chociaż są śmiertelnie groźne, tak naprawdę są nieśmiertelne i nie chorują, a jeśli już, to mało. My natomiast, tak jak przed wiekami, starzejemy się i umieramy. Czy to nie jest niesprawiedliwe?”

– Ty, faktycznie. – Samul wyciągnął widelec i wskazał gazetę Fraydeya.

- Niesprawiedliwe – potwierdziła Heintze.
- „W Twierdzy narastają ruchy społeczne, których się nie spodziewano – ciągnął Fraydey. – Ludzie starzy i terminalnie chorzy coraz częściej proszą o N-Gen i wywiezienie za granicę”.
- Ja pierdołę. – Flaszka wybałuszył oczy.
- Cicho. – Malik machnęła ręką i od razu tego pożałowała, bo zabołała ją obojczyk.
- „Powstała nawet zrzeszająca emerytów organizacja Zielona Przyszłość aktywnie podsycająca fascynację byciem orkiem”.
- No nie – Samul odchylił się i odsunął talerz, jakby nagle ktoś mu odebrał apetyt – nie przy jedzeniu.
- Przepraszamy – do wojów podeszła grupa młodzieży – czy możemy sobie z wami strzelić fotkę?

Odprawa rozpoczęła się punktualnie o dziewiętnastej w tej samej sali, w której król i królowa kilka dni wcześniej wprowadzali Orły w szczegóły misji na terenie Francji. Wciąż leżały tam na wielkich podstawach niewybuchy orkowych atomówek, świeciły interaktywne blaty i szumiały wiatraki klimatyzacji. W pomieszczeniu byli obecni generałowie Ryszard Wiechucki i Robert Woźniak zwany Wiedźminem, który specjalnie na wezwanie władcy przyleciał z frontu zachodniego, zastanawiając się, czego też może od niego chcieć Łyżwa, skoro ma do wyboru tylu innych doradców. Wziął ze sobą przerażającego ochroniarza Mawete, który niczemu się nie dziwił, tylko uważnie rozglądał, jakby w podziemiach pałacu mogło coś się czaić. Ku zdziwieniu Orłów u boku generała tkwił milczący i nieco bladej major Witold Siekierzyński. Był też w sali orszak króla wraz z naukowcami i jakiś wysoki, piegowaty blondyn w mundurze wojsk lądowych i szarży sierżanta, niedbale oparty o ścianę i bez słowa przyglądający się przybyłym, oraz kobieta przypominająca Liz Taylor bez makijażu i po kilku głębszych. Istota ta zerkała to na mapę, to na Justyna, to na zebranych, a ruchy jej szczupłych rąk i drgnienia żyłastej szyi zdradzały zbyt wielką dawkę yerba mate we krwi.

- To jest – król zaczął bez powitań, wskazując Liz Taylor – Ursula Scorsese.
 - Amerykanka? – Mardok wybałuszył oczy, a Fraydey uśmiechnął się z sympatią, bo nie sądził, że spotka w Twierdzy jakiegoś krajana.
 - Z pochodzenia – odparła Taylor bez śladu obcego akcentu.
 - Z tych Scorsese? – spytała Frenkiel.
 - Niestety nie, ale to, jak sądzę, nie ma znaczenia, prawda? Stany nie istnieją.
 - No nie. – Fraydey potarł nostalgicznie orli nos.
 - Pani Scorsese jest naszą korespondentką ze ściany wschodniej – odezwał się król.
 - Nie wiedziałem – rzekł Orłowski – że istnieje komórka korespon...
- Łyżwa przerwał mu ruchem dłoni.
- Majorze.
 - Tajest.
 - Pani Scorsese jest kimś... w rodzaju dziennikarki. Została wszechstronnie przeszkolona w technikach inwigilacji, przesłuchań, sporządzania dokumentacji i zbierania wszelkiego rodzaju danych. Zna psychologię społeczną, doktoryzowała się z kryminalistyki i suicydologii...
 - No i się zgubiłem – stęknął Flaszka.
 - To o samobójcach – szepnęła Poniatowska.
 - Dzięki.

– Przez ostatnie trzy miesiące pani Scorsese przebywała w okolicach miejscowości Sejny. – Król wskazał grubym palcem punkt leżący dwadzieścia pięć kilometrów na wschód od Suwałk. – To niecałe dziesięć klików od granicy z Litwą. Kilometr od tej granicy, prosto na wschód od Sejn...

– Nie Sejen? – rzucił Flaszka.

– Pan skończył polonistykę, sierżancie? – spytał król.

– Technologię żywności... – Raczkiewicz zaczerwienił się.

– Srywności – szepnęła Kasia Rakowska, która ku wieczorowi najwyraźniej robiła się złośliwsza.

– No więc Sejny w dopełniaczu to Sejn i skończmy na tym. Na wschód od Sejn – Łyżwa podkreślił to słowo – znajdują się, idąc od południa, wsie Hołny Wolmera, Ogrodniki, Rachelany i, na północ, Hołny Mejera, nad jeziorem, nomen omen, Hołny.

– Co za nazwy – rzuciła Zdzira.

– Nazwy jak nazwy, Frenkiel – odparł król, nie odrywając wzroku od mapy. – Mieliśmy tam do tej pory słabo obsadzone garnizony, bo aktywność lokalnych orków, być może zbyt pijanych, by robiły nam krzywdę, była żadna. Dochodziły wręcz wieści o jakimś handlu czy wymianach między społecznościami. Tak, tak. – Spojrzał na zdziwionych Orłów. – Litwini to nie agresywne Szwaby.

– Więc... w czym problem? – spytał Orłowski.

– Nie w orkach. – Łyżwa otrzepał ręce, jakby pobrudziły się, choć stół był sterylnie czysty.

Orłowski zauważył delikatne skinienie głowy sierżant Malik. Wiedziała, o czym mowa. W tym czasie Łyżwa zaprosił gestem Taylor:

– Posłuchajcie pani Scorsese.

Kobieta zerknęła pytająco na króla, ten mrugnął i dziennikarka, czy jak ją nazwać, stuknęła w katalog w pobliżu jej ręki, rozwinęła go po lewej stronie mapy tak, by nie zasłaniać północno-wschodnich rubieży Twierdzy, po czym uaktywniła jeden z podkatalogów. Były tam fragmenty filmów i zdjęcia. Niektóre trójwymiarowe.

– Są dwie sprawy. Dwa problemy – zaczęła zaskakująco niskim i zdecydowanym, choć, jak od razu zauważył doświadczony Flaszka, nieco przepitym i z całą pewnością przepalonym głosem. – Pierwszy jest związany z niektórymi członkami personelu stacjonującego w Hołnach Mejera. – Wskazała długim palcem leżącą najbardziej na północ wieś osłoniętą od zachodu jeziorem.

Orły spojrzały na siebie. Cywil wie o sprawach wojskowych?

Scorsese dostrzegła to.

– Mam glejty od mości króla i mogę wchodzić do wszelkich instalacji wojskowych, do waszych pojazdów także.

– O nie! – warknęła Gwara.

– O tak, pani porucznik.

W tym momencie Kicia zdecydowała, że nie lubi nieudanego wcielenia Liz Taylor.

– I na tym aspekcie na razie się zatrzymam – ciągnęła agentka. – Dowódcą wszystkich jednostek w tym regionie jest pułkownik Adam Jarmuła. – Klepnęła jedną z fotek i ta rozwinęła się, ukazując długożuchwego, krzywo uśmiechniętego okularnika w połowym mundurze. Salutował niedbale do daszka oficerskiej czapki grafitowo-czarną protezą dłoni. – Jednoręki trep – kontynuowała kobieta – kiedyś spec od czyszczenia budynków. W sensie militarnym. Wbrew obiegowym opiniom nie stracił kończyny podczas jakichś tam działań bojowych. Po prostu

urodził się z krótką łapką. Ma bioniczną protezę. Nazywają go Kuternogą, może dlatego, że z uporem maniaka zdejmuje tę protezę, twierdząc, że o połowę krótszą kończyną również jest w stanie zrobić wszystko.

Flaszka oblesnie się uśmiechnął.

– Tutaj bym się nie zgodził, chyba że jest rozciągnięty...

– Raczkiewicz – zmitygowała go Kicia.

Scorsese patrzyła dłuższy czas na operatora działka Siwa, nie rozumiejąc, do czego zmierza. W końcu zamrugła i wróciła do wyводу.

– Pułkownik Jarmuła najwyraźniej nie potrafi utrzymać w ryzach swojej kompanii, bo wszystko rozłązi mu się w szwach.

– Czyli? – spytała Heintze, zerkając to na zdjęcie, to na prelegentkę. Bardzo nie lubiła, gdy cokolwiek w wojsku się rozłąziło.

– Pojawił się element, że tak powiem, dysydencki...

Scorsese zminiaturyzowała fotografię pułkownika i powiększyła zapętłony film przedstawiający olbrzyma w zbroi typu Trojan. Mężczyzna miał ostro ciosaną twarz, długi orli nos, zarost na brodzie i wąsy. Ruszał do przodu, dzierżąc wielką szablę będącą przerobioną piłą łańcuchową, i ścinał gruby sosnowy pień.

– Ładne skrzydełka – zauważył Samul, wskazując dospawane do pleców zbroi husarskie skrzydła.

– To sierżant Jakub Pokojski zwany Szablą – podjęła Scorsese – a te skrzydła dospawał jego przyjaciel, sierżant Tomasz Rawiński pseudonim Vista.

– Przepraszam – odezwał się Mardok i chrząknął. – To wszystko bardzo ciekawe, ale po co my tego słuchamy? To, że jakiś pułkownik ma problemy ze swoim...

Król uniósł dłoń, dając adiutantowi do zrozumienia, że zaraz wszystko zrozumie.

Ursula Scorsese westchnęła, pokręciła z dezaprobatą głową, jakby chciała powiedzieć „I to są te słynne Orły?”, po czym wróciła do briefingu.

– Jakub „Szabla” Pokojski, jak widzicie, jest Zbrojowcem.

– Już go lubię, a takie skrzydełka... – odezwał się Samul, lecz agentka bezceremonialnie weszła mu w słowo i nie pozwoliła dokończyć zdania, że „takie skrzydełka też by sobie dospawał, gdyby tylko mógł”.

– To gość uwielbający walkę w zwarcu – ciągnęła – co przysparza kłopotów dowódcy, majorowi Mieczysławowi Białemu zwanemu Kulą. Ten zresztą też ma swoje za uszami, ale o tym za chwilę. Ilekroć dochodzi do scysji z orkami, Pokojski pędzi w największą ciżbę, po czym wraca zbryzgany posoką i wielce z siebie zadowolony, zapominając, że jego celem jest osłanianie batalionu, nie samodzielne wycieczki...

– Pani Scorsese – tym razem król uznał, że wypada przyspieszyć relację Ursuli.

– Tak. Otóż Szabla i sierżant Tomasz „Vista” Rawiński ubzdurali sobie, że trzeba... odbić Wilno.

Zdzira parsknęła, a Lenny smarkiem zapaskudził mundur stojącego przed nim Żmija. Ten zaklął szpetnie, powoli się odwrócił i miażdżąc wzrokiem struchlałego geja, kazał mu natychmiast zetrzeć plugastwo ze świętego materiału, grożąc, że inaczej obetnie mu wszystko, z czego jest dumny. Gonady też.

Tylko Malik się nie śmiała, bo najwyraźniej znała już tę śpiewkę. Scorsese tymczasem spokojnie czekała, aż skończą się docinki, żarty oraz scysja między Żegotą i kierowcą Dażboga. W końcu przygryzła górną wargę i podjęła:

– Jadąc trasą szesnaście, która kiedyś przechodziła za granicą w 135, mamy od Hołnow Mejera do Wilna sto sześćdziesiąt dwa kilometry. W linii prostej sto trzydzieści jeden. Z jednej strony to nie jest bardzo daleko, z drugiej jest. Pomysł Szabli i Visty mógłby się wydawać bez sensu, gdyby nie trzy ważne czynniki. Po pierwsze, major Biały, dowódca batalionu „Krzemienna Pięść”, do którego należą ci dwaj niefrasobliwi woje, także ma ochotę na stolicę Litwy, podobnie jak pułkownik Jarmuła i wszystkie garnizony w pobliżu Sejn, łącznie z dwiema bateriami Jarył. Można powiedzieć, że w ciągu ostatnich lat powstała tam swoista obsesja na punkcie odbicia tego miasta.

– To ja bym o tym nie mówił gościom z Hrebennego – zauważył Samul.

– Dlaczego? – spytała Scorsese.

– Bo będą chcieli odbić Lwów.

– Celna uwaga, żołnierzu.

– Mówi mi Darek. – Samul uśmiechnął się.

Taylor dyskretnie rozejrzała się z tłumionym niedowierzaniem, bo nie mogła pojąć, że olbrzym uznał ją za obiekt seksualny.

– Wracając do sprawy – podjęła sucho – nie tylko dowództwo jest zainteresowane odbiciem miasta, ale też większość szeregowych wojów. Co ciekawe, król nic o tym dotąd nie wiedział.

– Wiedział, ale z niekonwencjonalnych kanałów – zaoponował Łyżwa.

– W każdym razie to, co tamtejsi woje robią z zapasami, pojazdami i swoim opancerzeniem, sugeruje, że szykują się do nieoficjalnej ofensywy, którą nazywają „spacerem do Wilna”.

– Jest coś jeszcze, prawda? – odezwała się Heintze.

– Tak. I jest to coś bardzo dziwnego. Na wschód od Sejn, między wsiami Dworczyško i Uroczyško, rozbiło obóz ponad dwustu cywilów. Nazywają siebie „pielgrzymami” i należą do organizacji Zielona Przyszłość.

– Tfu – sapnął Samul. – Czytaliśmy o tym przy obiadku.

– Cywilom tym przewodzą Bartosz Renans i Zofia Murawska, zupełnie, wybaczenie państwo, pojebani emerytowani chemicy. – Ursula powiększyła zdjęcie pary starszków. Mężczyzna miał lekko rozbieżnego zęza i górne zęby wystające w komicznym uśmiechu, a kobieta ciepło się uśmiechała, błyskając z sieci zmarszczek jasnymi oczami. – Wszyscy oni powzięli solenne postanowienie, że dotrą do Wilna, tam splądrują uniwersytecki magazyn leków, według wszelkich źródeł pełen N-Genu, zażyją specyfik, pojedą na jakieś pustkowie z zapasem żywności, broni tudzież wszelkiego sprzętu, założą dobrze strzeżoną osadę i będą się w niej bronić przed potencjalnymi atakami, aż wszyscy, że tak powiem, zzielenieją.

– Rany Peruna – stęknął Lenny, kończąc czyścić mundur Żegoty.

– To się kupy nie trzyma – zawyrokował Tygrzyk, a Zgud pokiwał gorliwie głową. – Obserwacje z Kolapsu mówią wyraźnie, że ludzie mutują w bardzo różnych przedziałach czasowych, więc...

Dawid Zgud nie wytrzymał i wszedł mu w słowo:

– Pierwsi zmutowani będą stanowili zagrożenie dla pozostałej części osady. A będą mutowali asynchronicznie.

– Mają i na to sposób – odparła Ursula. – Założyli, że osada będzie się składała z dwóch części: dobrze ogrodzonej części „ludzkiej” i słabiej ogrodzonego „przedszkola”, jak to nazwali, dla zzieleniejących. Będą, niczym akuszerowie, wydalać mutujące osobniki i osłaniać ich dalsze przepoczwarzanie się z wież obronnych. Mają niezłych inżynierów, chociaż to wszystko stare, schorowane towarzystwo.

– Nie dadzą rady – stwierdziła Wiechucka – zbyt duży wysiłek. Warty, czuwanie, napięcie, brak higieny. Będzie ich coraz mniej, a zagrożenie coraz większe. I tak przez całe miesiące. Nie dadzą rady.

Słyszając wypowiedź córki, generał Wiechucki, wysoki, obdarzony siwiejącym wąsem jegomość, zerknął na swą latorośl i ledwie słyszalnie mruknął, nie wiadomo, czy z ukontentowaniem, czy z przyganą. Sanitariuszka dostrzegła tę reakcję i zbladła.

– Oni o tym wiedzą – odezwała się Liz Taylor. – Dlatego zapłacili najemnikom, którzy mają im pomóc wybudować osadę i chronić ją przez cały ten czas.

– Ktoś na to poszedł?!

– Wydali majątek. I zgromadzili niezłą bandę. Przywódcą najemników jest...

Dziennikarka zmniejszyła zdjęcie Renansa i Murawskiej, po czym powiększyła zapętlony filmik przedstawiający dziwaczny opancerzony pojazd z zamontowanym na dachu działkiem. Obok niego stał olbrzym o długich włosach zwisających z podgolonej po bokach czaszki. Miał zaplecioną w warkocz brodę i zielone oczy. Klócił się o coś ze staruszką Renansem, który opluwał mu skórzaną kurtkę, wymawiając „b” lub „w”. Obok olbrzyma stała drobna czarnowłosa kobieta miętosząca brezentowy pas wystającego zza pleców snajperskiego Tora. Na dachu wozu siedział nie mniejszy od olbrzyma rudzielec, także o zaplecionej w warkocz brodzie, ale w przeciwieństwie do wygolonego, o łagodniejszych, nalanych rysach.

– To on – chrypnęła Scorsese, wskazując człowieka na pierwszym planie. – Łukasz Szczygło. Za nim stoi Izabela Papilon, a gość na dachu to Grzegorz Ociepski. Mają pod sobą stu pięćdziesięciu zbirów.

– I tak nie wystarczy. – Mardok pokręcił głową.

– Gdy wy byliście we Francji – odezwał się Łyżwa – sierżant Malik, zachęcona przez majora Orłowskiego, zrobiła małe telefoniczne dochodzenie w tej sprawie.

Orły wybałuszyły oczy, bo usłyszały o tym po raz pierwszy.

– Uau, Asia – sapnął Raczkiewicz – ty to jesteś Kojak normalnie.

– Raczej Bednarski. – Malik uśmiechnęła się, przytrzymując szramę na policzku i zerkając pytająco na króla. – Niewiele udało mi się ustalić poza tym, że szykuje się tam niezła chryja i że macza w tym palce Norbert Ciecierski, którego poznaliśmy już podczas bójki w Bocianie – dodała, gdy Łyżwa skinął głową. – Z naszej dzisiejszej wyprawy do knajpy wiemy, że być może partneruje mu pan Marcinkowski z cukierni. Nie chciałabym rzucać pochopnych oskarżeń, ale moim zdaniem Ciecierski i Marcinkowski są pośrednikami.

– Czyli? – spytał król.

– Co do Marcinkowskiego nie jestem jeszcze pewna, ale względem Ciecierskiego mam większe podstawy, by sądzić, że to on zorganizował najemników dla Zielonej Przyszłości.

– Pośrednik zgarnia najwięcej... – skomentował filozoficznie Lenny.

– To wszystko, co wiem. – Malik zacisnęła usta.

– Dziękuję. – Łyżwa ponownie skinął głową. – O pośrednictwie wspomnianym przez sierżant Malik nie wiedzieliśmy, więc to cenna informacja.

– Niezależnie od tego, kto płaci, a kto korzysta – podjęła Scorsese – nie trzeba wielkiej inteligencji, by rozumieć, że cele pielgrzymów, obsad tego rejonu i najemników się zazębiają. Cywile chcą nieśmiertelności, woje chwały, a najemnicy pieniędzy. Szykuje się wielka operacja i tylko względna dyscyplina wojskowych wstrzymuje to towarzystwo przed samowolnym rajdem. Pokojowe nastawienie tamtejszych orków zaś sprzyja wizji szybkiego i bezbolesnego dotarcia do Wilna.

– Nie ma przyjaznych orków – mruknął Mardok.

– Oni tam łożą spirytus i palą jakieś zioło. Są wciąż na haju – odparła agentka.

– Widzieliśmy już orki na haju. W Dreźnie – zauważył Lenny. – Były mniej skuteczne, ale wciąż groźne.

– To może być podstęp – rzuciła Poniatowska.

– Podstęp? U orków? – prychnęła Scorsese.

– Zieleni potrafią być podstępni, proszę pani. – Zuza zmarszczyła brwi. – Nie wierzę w przyjaźń przy granicy. Orki dostają pierdolca od naszego zapachu.

– Nie do końca – odezwała się Magdalena Stawniak, królewska bibliotekarka. – Odkąd przywieźliście dokumentację z waszego wypadu, oglądam, w miarę dostępnego czasu oczywiście, te nagrania raz za razem. Moim zdaniem miks alkoholu i ludzkiego zapachu wywołuje w orkach inny rodzaj euforii. Z drapieżnego szалу przechodzą w rodzaj transu...

– To by się może i zgadzało – przyznał Flaszka i trącił Żmija. – Pamiętasz, jak pruliśmy przez autostradę koło Drezna? Uchachani byli jak cholera.

Żegota przeżuł kawałek wąsa i skinął głową, mierząc Ursulę nieodgadnionym wzrokiem.

Zuza pokręciła rudą głową.

– To może być podstęp – powtórzyła. – Już raz popełniliśmy błąd i zrzucili atomówkę.

– Jak już zostało zaznaczone na początku – podjęła Taylor – to nie orki stanowią tam problem, ale narastająca histeria pielgrzymów i wojskowych.

– Wilno było polskie – mruknął Flaszka, a słuchający go Arkady Saulski gorliwie pokiwał głową.

– Było – poświadczył Witelon. – Jednak przede wszystkim było litewskie, o czym nie należy zapominać. Ale rzeczywiście duch polskości unosił się zawsze silny nad tym pięknym i nader światłym ośrodkiem kultury...

Scorsese, nienawykła do uroczystego tonu kapłana, zamrugnęła, chrząknęła, zerknęła na króla i najwyraźniej straciła rezon.

Widząc to, Łyżwa przejął inicjatywę.

– Batalion „Orzeł Biały” będzie miał nowe zadanie. Oczywiście, jak się wykuruje. Sierżant Wiechucka?

– Dwa tygodnie i będziemy jak nowi, królu. Może szybciej. Najważniejsze to zdjąć szwy. I żeby się infekcje nie wdały.

– Waszą sprawność potwierdzą łapiduchy. Wtedy ruszycie z misją... rozpoznawczą.

– Czyli? – spytał Orłowski.

Łyżwa westchnął.

– Nie mamy prawa odmawiać pielgrzymom życia wiecznego, nawet jeśli staną się naszymi wrogami.

– Ależ... – syknęła stojąca w pobliżu Wysocka, ale król uciszył ją gestem.

– Nie ma między nami zgodności etycznej – powiedział. – Na szczęście jednak jesteśmy królestwem i ja tu rządę. – Uśmiechnął się blade. – Nie sądziłem, że kiedyś przyda mi się władza nadana przez naród. Pani doktor uważa, że wypuszczenie Zielonej Przyszłości z kraju jest podwójnym barbarzyństwem...

– Mości królu – uniosła się Halszka – niech mi będzie wolno! – Spojrzała na zgromadzonych w sali gorejącym wzrokiem. – Osłanianie ich przemarszu w głąb Litwy narazi naszych wojów, to raz, część najemników może zginąć, to dwa. Cywile w trakcie przemian mogą zaszkodzić jedni drugim, to trzy, a cztery, wrócą tu jako bestie i mogą zabić wielu ludzi!

– To wszystko prawda, pani doktor – potwierdził król i chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w słowo wszedł mu Matuszewski:

– Ale oni i tak umierają. Większość jest albo zniedołężniała, albo chora. Niektórzy są śmiertelnie chorzy. Nie ma dla nich znaczenia, czy umrą jako orki czy jako ludzie. Zieleń ma dla nich przyszłość.

– Ale do czego to doprowadzi?! – nie ustępowała Wysocka. – Stworzymy precedens! Inni się o tym dowiedzą i co? Wszystkich staruszków będziemy ekspediować za granicę i zamieniać w potwory, na które potem zaczniemy polować? Sami będziemy powiększać populację wroga? Przecież oni znają Twierdzę! Przekazą tę wiedzę dalej! Dzięki temu inne orki będą miały z nami łatwiej! Nie godzę się na to!

– Więc mamy im tak po prostu dać umrzeć? – spytał król.

– Ludzie umierają od początku istnienia gatunku – odparła zimno Halszka. – Nic się w tym przypadku nie zmieniło.

– Łatwo tak mówić nam, młodym – rzekł cicho Matuszewski. – Poza tym świat się zmienił. Są na Ziemi nieśmiertelne humanoidy. I stworzyły zręby kultury. Nie jest wcale pewne, czy ci emeryci po zzielenieniu zechcą atakować Twierdzę. Mam nadzieję, że będzie odwrotnie: że zaczną nakłaniać innych Engelsów, by tego nie robili...

Halszka prychnęła.

– Bzdura!

– Moim zdaniem – ciągnął Matuszewski – należy wysłać tych pielgrzymów, ale dalej. Utworzyć jakąś enklawę w Azji lub zachodniej Europie.

– To pieśń przyszłości – powiedział król i spojrzał na Orłowskiego. – Jeśli będzie taka potrzeba, zrobicie szybki wypad do Wilna, zgarniecie zapasy N-Geny, wrócicie i podacie lek pielgrzymom, a potem ruszycie jeszcze raz, z najemnikami, i pomożecie w budowie obozu. Myślę, że dobre miejsce będzie tu: na północny zachód od miasta, na skraju parku narodowego Neries, obok wsi Zabarija. Po zakończeniu prac wrócicie.

– Brzmi to jak plan. – Orłowski skrzywił się. – Sto pięćdziesiąt kilometrów w głąb wrogich ziem. Dwa razy.

Król popatrzył na niego ze zrozumieniem.

– Nie chodzi tylko o cywilów, majorze, i nie będziecie tak bezbronni jak za pierwszym razem.

– Zatem o co chodzi?

– To okazja do przeprowadzenia rozpoznania.

– W sensie?

Król zerknął na Matuszewskiego. Spojrzała też na niego Wysocka, wyraźnie niezadowolona. Mężczyzna w fartuchu chrząknął.

– Khm... Ci cywile są coś winni Twierdzy. Tu się wychowali, woje oddawali życie za ich bezpieczeństwo. Skoro chcą przejść na stronę Zielonych, powinni się zgodzić na swoje zaobrączkowanie... – Matuszewski pokazał maleńki chip. – To chip, który wszczepicie im w mięsień kapturowy, przy kręgosłupie. Powinien się otorbić i pozostać tam nawet po przeobrażeniu. Jest podobny do pluskiew, które wystrzeliliśmy w stronę Schmidta, ale każdy ma swój numer, więc po dokonaniu spisu pielgrzymów będziemy w stanie, w odległości do pięćdziesięciu kilometrów od granicy, monitorować ich ruchy. Być może, gdy ruszy program budowy dronów, będziemy mogli stale śledzić takie osobniki i dowiemy się więcej o zwyczajach humanoidów.

– Tak – syknęła Wysocka. – Świetny program, doktorze. Wyślijmy ich i śledźmy jak

zwierzęta. Cudowny przykład naukowej etyki.

– Pani doktor... – Matuszewski spojrzał na nią błagalnie.

– Nie zgadzam się z tym obrączkowaniem.

– Pani doktor! – odezwał się Łyżwa bardziej stanowczo niż dotychczas. – Odnotowałem pani sprzeciw, ale zdania nie zmienię. Czy to rozumiałyście?

– ...Tak.

– Pozwoli pani, że będziemy kontynuować?

Wysocka westchnęła ciężko i skrzyżowała szczupłe ręce na piersiach.

– Proszę.

– Bardzo się cieszę. Zatem – król zerknął na Orłowskiego – będziemy mieli pierwszy program śledzenia Zielonych, być może bezpieczniejszy od dotychczasowych wypadów zwiadowców. To raz. Dwa, chcę się przyjrzeć tym cywilom. Zrozumieć ich. Obejrzyjcie ich dokładnie.

– Ale królu, nie ma wśród nas psycho...

– Pojedzie z wami Magdalena Stawniak. Ma odpowiednie wykształcenie. Będzie towarzyszyła pani Scorsese. Obie obfotografują pielgrzymów i przeprowadzą z nimi wywiady. Doktor Wysocka słusznie się obawia, że stwarzamy precedens. Chcę pojąć motywy kierujące tymi ludźmi, wiedzieć, jak z podobnymi przypadkami rozmawiać w przyszłości. Poza tym, jeśli to jest precedens, być może trzeba będzie opracować odpowiednią procedurę, w miarę... hmm... cywilizowany sposób na zielenienie starych rodaków.

Wysocka parsknęła ze złością.

– Być może – ciągnął król, zignorowawszy ją – stworzymy coś w rodzaju rezerwatu. Za wcześnie na to na razie i są inne potrzeby, ale może pewnego dnia powstanie coś, nie wiem, jakaś „Twierdza B”, gdzie będziemy mieli nadzór nad byłymi Polakami i nie pozwolimy na ich pełne zdziczenie. – Łyżwa podrapał się w głowę. – I tu jest kolejna część waszej misji. Być może orki nie są tak dzikie, jak myślimy. Musimy wiedzieć, co byłoby najlepsze dla naszych starców: rezerwat czy może właśnie, że tak powiem, hasanie po łąkach. Potrzebny nam zwiad, podczas którego lepiej poznamy zachowania Zielonych.

– Królu, ale dla nich my pachniemy jak świeżutkie steki. Taki wypad... wie król... – odezwał się Mardok.

– Batalion zostanie wzmocniony dodatkowymi pojazdami. Między innymi Turem, czyli wozem dowodzenia, z którego będziecie mogli nadzorować cztery drony dalekiego zasięgu. Nie duże wojskowe maszyny, ale małe, nieuzbrojone reporterskie muchy.

– Hmm... – Orłowski potarł czoło. – Rozumiem, że to już postanowione? Wieziemy tych cywilów na Litwę?

– Nie – odparł Łyżwa. – Wszystko zależy od ich decyzji. Jeśli zdecydują się na wyjazd, ruszycie do Wilna, wróćcie, a potem pojedziecie raz jeszcze, by założyć osadę, nazwijmy ją „Zet”. Przy okazji przyjrzyjcie się tym najemnikom. To ciekawe, że znalazło się tylu ludzi, którzy nie należą do armii, ale za pieniądze chętnie postrzelają. Handel bronią jest w Twierdzy uwolniony i nie mam nic przeciwko temu, że nasi rodacy są uzbrojeni, mimo to chciałbym wiedzieć, dlaczego wolą wolną amerykańkę od naszych szeregów. Kot?

Radosław Kot, szef Krajowego Biura Propagandy, dotąd stojący z tyłu i spokojnie palący fajkę, wysunął się skromnie do przodu.

– To mój pomysł – powiedział cicho, wyssał dym z fajki i wypuścił go kątem ust. – Notujemy ostatnio dziwny trend. Coraz więcej ludzi zgłasza się do Cywilnej Obrony Pogranicza i coraz więcej zbroi się na własny koszt, a mniej, mimo aktywnej kampanii propagandowej, garnie się

do wojska. Popelniamy gdzieś błąd i chcemy zobaczyć, co tak atrakcyjnego jest w byciu najemnikiem, COP-em czy uzbrojonym cywilem, a co odstręcza Polaków od regularnej służby.

– Tym zajmą się nie tylko panie Stawniak i Scorsese – odezwał się król – ale także nowa komórka naukowa batalionu, którą zasili szeregowy Dawid Zgud...

Na te słowa Dawid zeszytywniał i wybałuszył oczy. Wiechucka przyjrzała się mu i oceniła, że obok zaskoczenia na obliczu woja pojawiła się radość.

– ...i sierżant Mariusz Kubala. – Król skinął ręką na piegowatego, chudego blondyna stojącego dotąd pod ścianą. – Podejdźcie, sierżancie.

Mężczyzna zbliżył się, zlustrował obecnych bardzo jasnymi oczami i powiedział krótko:

– Na rozkaz.

– Zostaniecie wcieleni do batalionu „Orzeł Biały” – odezwał się król.

– Tak jest.

– Wasza wiedza i umiejętności inżynierskie będą znakomitym uzupełnieniem zdolności tej jednostki.

– Na rozkaz.

– Nie zawiedźcie mnie, sierżancie.

– Nie zawiodę, królu.

Justyn spojrział na wojów batalionu i widząc ich pytające spojrzenia, wyjaśnił:

– Szeregowy Dawid Zgud ma tytuł doktora materiałoznawstwa, nie wiem, czy wiecie.

– Właśnie się dowiadujemy – mruknął Mardok.

– A sierżant Kubala jest doktorem inżynierem budowy maszyn wojskowych, znakomitym programistą i specjalistą teorii gier. Zarówno Zgud, jak i Kubala posiadają zasób wiedzy wystarczający do tego, by batalion poradził sobie z ewentualnymi zagadkami naukowymi.

– Ale to pozostawia... – odezwał się Orłowski.

– Lukę w szeregach piechoty, wiem – przerwał mu król. – Proponuję, by sierżant Birkowski zastąpił Zguda. On i tak nie nadawał się do Dażboga z tym toporem i włócznią, a sierżant Malik już prawie wydobrzała. Dostaniecie też pozostałe uzupełnienia. Wszystko w przyszłym tygodniu.

– Jest jeszcze jedna zagadka. – Orłowski wskazał wzrokiem bladego i warującego przy Wiedźminie majora Siekierzyńskiego.

– A tak. To kwestia uzupełnień... – Łyzwa podrapał się po głowie. – Majorze Siekierzyński?

Szaman wysunął się zza pleców generała i podszedł do stołu sztabowego.

– To moja kolejna nieprzespana noc – mruknął – więc wybaczcie, jeśli się gdzieś przejęzyczę.

Zgud parsknął, ale Mardok trącił go łokciem. Siekierzyński spojrział nieprzytomnie na szeregowego.

– Czyżbym już popełnił jakiś lapsus, szeregowy?

– Nie, nie, skąd – odparł Dawid, bledszy nagle bodaj bardziej niż artylerzysta.

– Zatem... – Witold stuknął w blat i na ekranie rozwinął się katalog „Akcja »Atom«”.

Rozciągnął mapę okolic Verdun. Były tam symbole batalionu, orków, jakieś strzałki i adnotacje. – Wyszło mi, że gdybyście dysponowali chociaż jedną haubicą, mielibyście większe szanse na... na dowieszenie większej części personelu do Twierdzy w jednym kawałku.

Szczęki Orłowskiego zagrały.

– Całą odpowiedzialność...

– Serż – przerwał mu Siekierzyński – wiem, co chcesz powiedzieć. To nie przygana. Myślę, że obu nam zależy, by ewentualność subsekwentnych atencji pozostawała odwrotnie

proporcjonalna...

Łyżwa stuknął majora w ramię.

– Tak? – spytał Szaman, patrząc nań nieprzytomnie.

– Proszym językiem, proszę.

– Khm.

– O, właśnie tak.

Siekierzyński ponownie chrząknął, zerknął niepewnie na Orłowskiego i podjął:

– Gdybyście mieli jedną samobieżną haubicę Jaryło, olbrzym, który was ścigał, napotkałby godnego przeciwnika. Haubica mogłaby dokonać tego, co zrobił za was Hercules. Umieję to. Wstrzelałbym się.

– Nie wątpię.

– Jaryło mogłoby oczyszczać teren przed wami. Chociażby ta sytuacja w Dreźnie i barykada z autobusu. Gdyby zdążyli ją zamknąć, byłby kłopot. Tymczasem jedna salwa z haubicy i byłoby po autobusie.

– Prawda – potwierdził Orłowski.

– Wtedy, gdy Swaróg stracił gąsienicę, a Dażbog oberwał w silnik...

Twarze obsady obu pojazdów skurczyły się na to wspomnienie.

– No więc wykalibrowana przedstyczność artyleryjska prezentująca presynchroniczną tarczę...

Łyżwa ponownie trącił Siekierzyńskiego w ramię.

– Coś jest niejasne? – spytał artylerzysta.

– Wszystko – odparł król.

– Przepraszam.

– Kontynuujcie, majorze.

– Moglibyśmy kropnąć w okolicę za mostem. Zlikwidowalibyśmy miny i obsadę z bazookami. Być może dzięki temu sierżant Jarota wciąż byłby wśród nas.

Fraydey przełknął głośno ślinę, wspominając te wydarzenia.

– Wobec powyższego uważam – podjął Siekierzyński – że do batalionu należy wcielić Jaryło. Ze mną jako dowódcą pojazdu.

Orły uniosły brwi.

– Witek – odezwał się Orłowski – chcesz zrezygnować z dowodzenia Piątym Dywizjonem Artylerii? To dla ciebie degradacja. I będzie major pod majorem.

W tym momencie chrząknął generał Robert Woźniak.

– Wyrziliem zgodę na to przeniesienie. Zgadzam się z majorem, że batalion... zwłaszcza tak wyjątkowy jak Orły i przeznaczony do zadań specjalnych, powinien mieć wzmocnienie artyleryjskie.

Sergiusz uniosł tylko brwi.

– Ponadto – ciągnął generał – major Siekierzyński ma olbrzymie doświadczenie i instynkt wojenny. Gdyby nie on, moglibyście ponieść poważne straty w czasie przekraczania mostu na Odrze. On też będzie odpowiedzialny w batalionie za koordynację ostrzału artyleryjskiego od strony Twierdzy, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba, a o baterię się nie martwicie. Chorąży Marcin Rewucki, który dotąd służył z majorem, doskonale da sobie radę.

Orłowski podrapał się w głowę.

– Czyli batalion zasilą Tur oraz Jaryło?

– I jeszcze pięć innych pojazdów. – Król uśmiechnął się. – Marzanna, czyli mobilna kuchnia,

Mech – pojazd techniczny zaopatrzony w dźwig, Mor, który będzie ruchomym punktem medycznym z najprawdziwszym lekarzem na pokładzie, oraz... – uśmiechnął się ponownie – a co się będę rozgadywał. Miej niespodziankę, Sergiusz.

Orłowski uniósł brwi.

– Niespodziankę?

– No tak.

– A w kwestii tego Mora... – Wiechucka zerknęła na ojca, a potem na Łyżwę. Usłyszawszy o lekarzu w składzie batalionu, poczuła się zagrożona.

– Będzie tam doświadczony łapiduch umiejący przeprowadzić operację, nastawić kości, wyleczyć infekcję. Gość od wszystkiego – wyjaśnił król.

– Z całym szacunkiem – odezwał się Orłowski – ale batalion zamieni się w mikroarmię.

– Tak. Macie z tym jakiś problem, majorze?

Dowódca Orłów wziął głębszy wdech i przez chwilę milczał, a potem powiedział cicho:

– Nie.

Prawda jednak była inna. Dodatkowe specjalistyczne wozy z obsadą oznaczały skomplikowanie dowodzenia, zmianę sposobu poruszania się i konieczność osłaniania najwrażliwszych pojazdów.

– Mam... mam nadzieję – podjął – że Mor, Marzanna, Mech i te, hmm, niespodzianki będą uzbrojone. Bo, rozumie król...

– Doskonale rozumiem. Będą potrafiły o siebie zadbać, nawet więcej: – zadbają o was. Nie musisz się obawiać, Sergiusz. No dobrze. – Justyn westchnął. – Wystarczy na dzisiaj. Pojutrze, po zmianie opatrunków, zapoznacie się z nowymi pojazdami. Jakies pytania?

Zarówno Orły, jak i inni zgromadzeni wydawali się znużeni dużą liczbą informacji, więc nikt się nie wyrywał.

– Zatem dziękuję i odmaszerować – rzekł Łyżwa.

– Królu, prosiłbym na słówko... – odezwał się generał Wiechucki półgłosem, gdy wszyscy już tłoczyli się przy wyjściu.

Usłyszała to sanitariuszka Orłów i groźnie spojrzała na ojca. Zrozumiała od razu, że będzie prosił Łyżwę o wykluczenie jej z misji! Zatrzymała się, nabrała powietrza w pełne piersi i krzyknęła:

– Nie zgadzam się!

Król i generał popatrzyli na nią zdziwieni.

– Nie zgadzam się! Królu, nie słuchaj mojego ojca!

– Pani sierżant, proszę wyjść! – warknął Łyżwa. – To po pierwsze. Po drugie ani ja, ani pani nie mamy na razie zielonego, przepraszam za dwuznacznik, pojęcia, jaką sprawę ma do mnie generał Wiechucki.

Specjalnie użył szarży, nie zaś określenia „pani ojciec”, by uświadomić sanitariuszce oficjalny charakter sytuacji.

– Ty, królu, nie wiesz, bo nie jesteś córką swojego ojca...

Wampir, który do tej pory się nie odzywał, zachichotał, a czarna chusta okrywająca jego twarz zafalowała. Ewelina speszyła się, ale nie ustąpiła.

– Nie znasz, królu, generała Wiechuckiego – podkreśliła te słowa, ale nie oficjalnym tonem, lecz z drwiną – tak dobrze jak ja. Wiem, o co będzie cię prosić. Chce, żebym nie brała udziału w tej misji! Bo tatuś się o córeczkę boi!

– Ależ Ewi... – odezwał się generał.

W tym momencie, co absolutnie zrozumiałe, Runę trafił szlag.

– Nie nazywaj mnie tak! Nigdy mnie tak nie nazywaj!

– O tak – mruknął Mardok, odruchowo rozmasowując szczękę – lepiej jej tak nie nazywać.

– Ewi, uspokój się – rzekł Wiechucki, ale to ją jeszcze bardziej rozjuszyło.

– Zamknij się! I nie nazywaj mnie...

– Sierżant Wiechucka! – ryknął król tak strasznie, że na twarzach Orłów wykwitło przerażenie. Nikt wcześniej takiego brzmienia łagodnego zazwyczaj głosu Łyżwy nie słyszał.

Justyn po raz pierwszy nie wyglądał na jowialnego misia o spokojnej twarzy, ale na boga wojny o obliczu pociemniałym i wykrzywionym piekielnym gniewem. Wszyscy zamarli, bo nagle zrozumieli, czym jest skrywana siła wilka, którym Łyżwa przecież był. Na medycze Orłów wywarło to odpowiednie wrażenie i zamknęła usta. Spróbowała je jeszcze otworzyć, by coś dodać, ale wściekłość władcy była wciąż intensywna i Runie zabrakło odwagi. Odwróciła się i nie ukrywając złości, wymaszerowała otoczona ramieniem Orłowskiego.

Gdy oddział rozchodził się do swoich kwater, Siekierzyński zbliżył się do Orłowskiego.

– Mam nadzieję, Serż, że nie gniewasz się, że postanowiłem przystąpić do twojej kompanii? – spytał.

– Wolałbym sam decydować o tym, z kogo i z czego składa się, jak to określiłeś, moja kompania.

– Ale argumenty były słuszne i merytoryczne, czyż nie?

– Zwłaszcza merytoryczne.

– Nie jesteś zadowolony?

Orłowski zatrzymał się i popatrzył Siekierzyńskiemu w oczy.

– Wituś, a co ma tutaj do roboty moje zadowolenie? Jest wojna. „Orzeł Biały” to mały trybik. Wierchuszka mówi: „Idź tam”, idziemy. Wódz mówi: „Zabierz ze sobą pierdyliard ciężkich pojazdów”, biorę. Tyle.

– Nie chcesz mieć w składzie Jaryła?

Sergiusz zamrugnął, a potem spojrzał przytomniej na Siekierzyńskiego, klepnął go w ramię i wznowili spacer.

– Oczywiście, że chcę. Obawiam się po prostu, czego król chce ode mnie i czego mi nie mówi, skoro tak bardzo wzmacnia batalion.

– Chyba dobrze, że wzmacnia?

– Batalionami wygrywa się bitwy. Armiami, Witek, wygrywa się wojny.

Wiechucka, Zgud i Kubala szli tymczasem nieco dalej. Szeregowy uśmiechnął się nieśmiało do nowo nabytego sierżanta.

– Zatem, panie sierżancie...

Kubala machnął ręką.

– Jesteśmy teraz w jednym oddziale, szeregowy. Jestem Mariusz.

– Dawid.

– Mówią na niego Ktara. – Sanitariuszka uśmiechnęła się.

– A na mnie Farin.

– Farin? Dlaczego tak? – spytał Dawid.

– Dlaczego Ktara? – odparł sierżant.

– Wolałbym o tym nie mówić. – Ktara spochmurniał.

- I vice versa.
- Więc jesteś inżynierem? – zagaił znowu Zgud.
- Podobnie jak ty.
- I będziemy razem pracować?
- Niestety.
- Masz coś do mnie? – zdziwił się Dawid.
- Jeszcze nie. Ale na pewno coś się znajdzie – odparł sierżant Kubala.

Szeregowemu Zgudowi przestała się nagle podobać wizja współtworzenia naukowej komórki batalionu.

Wieczorem Orłowski próbował pozbierać myśli, a zawsze pomagały mu w tym proste czynności. Ułożył więc na łóżku nóż bojowy Grot, składany nóż Raróg, Visa i Roda, następnie zaś dodatkowe oprzyrządowanie: celowniki laserowe, lunety i magazynki. Wkrótce obok nich znalazły się złożone w kostkę spodnie polowe wzór czwarty, bluza i kamizelka taktyczna Łuska. Gdy wyciągał z jej tylnej kieszeni małe wydanie *Księgi Drogi i Cnoty* Laozi, usłyszał ciche pukanie do drzwi. Od razu wiedział, że to Malik. Tylko ona robiła przerwę między pierwszym a drugim stuknięciem. Nie powiedział „Proszę” ani „Wejść”, jakby obawiał się, że ktoś może to usłyszeć. Podeszedł do drzwi i cicho je uchylił. Tak, to była Joanna. Jej twarz jednak, oprócz charakterystycznego podniecenia, wyrażała troskę.

Major bez słowa wpuścił ją do pokoju.

- Zawsze ci, szefie, zazdrościłam większych kwater – szepnęła, rozglądając się.
- Burżuazyjna spuścizna. Wszyscy powinniśmy mieć jednakowe.
- Nie, bo ty masz większą odpowiedzialność. I widzę, że cię to gniecie.

Orłowski tylko westchnął. Malik usiadła na jego łóżku, w którym to ruchu zaokrągliły się jej biodra. Dowódca nie siadał. Widział, że coś jest nie tak.

- Mów – poprosił.
- Nie wiem, jak to... powiedzieć. – Dziewczyna zagryzła wargę. – Usiądź, Serż.

Orłowski chwilę jej się przyglądał, a potem przyciągnął krzesło i usiadł naprzeciwko. Nie chciał czuć jej ciepła. To by go rozpraszało.

- Mów – powtórzył.
- Panie majorze – zaczęła – jest coś, co przemilczałam podczas odprawy.

Sergiusz uniósł brwi.

– Nie jestem do końca pewna, co z tym zrobić, a w sali było mnóstwo osób... – Malik spojrzała na dowódcę, ale zrozumiała, że ten nic nie powie, dopóki nie dowie się, o co chodzi.

– W rozmowach dotyczących tej sprawy na wschodzie i Ciecierskiego... padło raz nazwisko Samul.

- Samul?!
- Tak.
- Jesteś pewna?
- Tak, szefie. Raz. Kontekst był dla mnie niezrozumiały, była mowa o jakichś „idiotach”.
- To do niego pasuje. – Orłowski uśmiechnął się.
- A nazwisko jest rzadkie. To może być oczywiście przypadek...
- Ale Darek nie może przecież kręcić lodów na boku. Nie ma na to czasu.
- Wiem, szefie. Niemniej...

– Dobrze, że mi o tym powiedziałaś. I dobrze, że nikomu o tym nie mówiłaś.
Malik uśmiechnęła się, uniosła i wyciągnęła rękę do twarzy dowódcy.

– Jesteś zmęczony.

– Tak.

– I sprzątasz.

– Tak.

Uśmiechnęła się filuternie.

– Żeby dobrze posprzątać, trzeba przedtem nabałaganić, prawda?

Sztandar 4

Mimo terapeutycznego wpływu wieczornej wizyty sierżant Malik tej nocy major Sergiusz Orłowski nie mógł zasnąć. Na nowo rozboleły go rany, szwy zaczęły swędzieć, mięśnie stały się na powrót obolałe, a myśli, niczym gnane wichrem białe lisy, zaczęły się gonić po śnieżnych pustkowiach psyche i pędzić coraz szybciej i szybciej w hipnotyzującym kręgu przemyśleń, które nie miały początku, końca ni konkluzji. Nowa misja. Znowu na terytorium wroga. Większy oddział. Nowi ludzie. Rano pochował czterech towarzyszy broni. Jeśli Orły będą regularnie wysyłane na tereny orków, wkrótce zostanie wymieniony cały skład batalionu. Z nim włącznie.

To nie miało sensu.

Z drugiej strony wiedział, że ktoś to musi robić. Ktoś to po prostu musi robić. I wychodziło na to, że los wskazał jego batalion.

Jedynym końcem życia żołnierza jest wszak śmierć na polu chwały.

Bo ta wojna nigdy się nie skończy.

– Wciórności! – zaklął, wstał z łóżka i zaczął się przechadzać po pokoju, usiłując rozmasować obolałe miejsca.

Prac nad rekonstrukcją pałacu nie przerywano nawet w nocy, więc mury drżały od uderzeń młotów, powietrze zaś huczało od wysokoprężnych silników dźwigów i betoniarek. Ale nikt nie narzekał. Symbol Twierdzy należało jak najszybciej odbudować, a królowej oddać cześć.

Nagle Orłowski poczuł jakby zapach spaghetti, a jego żołądek zapiszcział.

„Jestem głodny? – pomyślał. – Kiedy ostatnio coś jadłem? W Bocianie? Ale przecież tam nic nie jadłem. Tak, cholera, jestem głodny”.

Dowódca Orłów westchnął, narzucił na ramiona polową kurtkę i wyszedł z kwatery. Powłókł się do szerokich schodów i zszedł kilka pięter na parter. Wiedział, gdzie mieści się królewska kuchnia, a strażnicy zapewnili go, że każdy mieszkaniec gmachu ma do niej dostęp, nawet w nocy.

Gdy wszedł do jadalni, poczuł ledwie wyczuwalny zapach czosnku, bazylii, mięty i... oleju silnikowego? „Dziwne rzeczy roją się w głowie zmaltretowanego woja” – pomyślał i ruszył do kuchni kryjącej się za ciężkimi wahadłowymi drzwiami. Ledwie jednak je uchylił, usłyszał dobiegający z głębi dziwny dźwięk, jakby siorbanie... Włosy zjeżyły mu się na karku, a stopy odziane w kaptcie stały się lodowate. To... nie był ludzki odgłos. Brzmienie było głębokie, gardłowe, siorbnięcia długie i soczyste. Orłowski zobaczył oczyma wyobraźni orka szarpiącego wątrobę albo inne podroby, wysysającego z nich krew, ciągnącego kłami powięzie i ścięgna.

Zamarł i wstrzymał oddech.

Znowu to siorbnięcie. Długie i zwierzęce. „Rany Swaroga – pomyślał dowódca Orłów – nie mam nawet Visa! Kolejny ork urwał się z niewoli?! Ale przecież nie było innych w pałacu... Chyba że były, tylko nikt mi o tym nie powiedział. I co? Uciekł i nic? Zero alarmu, żadnych krzyków? Musiał zabić wszystkich strażników. Perunie, jaki to ork?”

Wszłuchał się w odgłosy biesiady. Nie był to Gojira, bo siorbnięcia były za ciche. Raczej też nie Adolf. Orłowski usłyszał odgłos kroków i beknięcie. Człapanie było drobne, a beknięcie,

choć gromkie i w miarę basowe, nie wyszło z dużej gardzieli, więc nie był to olbrzym. Major oceniał swoje szanse. Nawet ze zwykłym orkiem homo sapiens szanse miałby niewielkie. No, chyba że uzbrojony. Ale tamten też mógł mieć broń. Białą bądź palną...

„Co robić? Wycofać się i wezwać wsparcie? Mardoka? Samula? Zdzirę? Ona z tym swoim aikido mogłaby tu coś poradzić... Nie, nie mogę stąd wyjść – zawyrokował. – Pod moją nieobecność bestia nazre się i zniknie w korytarzach pałacu albo, co gorsza, wyrwie się na zewnątrz. Muszę ją śledzić, a jeśli nadarzy się okazja...”

Znowu rozległo się przerażające siorbnięcie.

„Co on tak wpieprza? Dorwał się do udźca baraniego? Nie, to musi być wątroba. Za mokre są te chluśnięcia...” Orłowski niemal widział kałużę krwi, w której ork stoi, wgryzając się w świeży, parujący organ.

Oczy dowódcy Orłów oswajały się powoli z ciemnością i widział już zarysy mebli. Mimowolnie uśmiechnął się, ujrawszy stojącego na czystym blacie drewnianego woja ze wzniesioną tarczą. Wbitych w nią było kilka dużych, ostrych noży. Wyciągnął ręce i starając się nie robić hałasu, wyrwał dwa najdłuższe. „No, jest lepiej – pomyślał. – Jeśli skurczybyk nadal będzie tak siorbał, zajdę go od tyłu i dziabnę. Jeden nóż w nerę, drugi w gardło. Mojego zapachu nie powinien wyczuć, bo wszędzie tu pachnie wędlinami i innymi smakołykami...” Ostrożnie wysunął obutą w kapeć nogę i krok za krokiem zbliżył się do graniczącej z kuchnią spiżarni. „Tak, tutaj jest. – Przełknął ślinę. – Orki chyba lepiej widzą w ciemności. I są silniejsze. Ale ten, jeśli był trzymany w więzieniu, powinien być osłabiony. Odwagi, Sergiusz...”

Wysunął głowę i zerknął do spiżarni. Przeraził się, bo nad blatem pochylała się tam zgarbiona, skulona sylwetka. Istota była tak zajęta konsumpcją, że nie zauważyła obecności przeciwnika. Orłowski poczuł też jednak ulgę. Ork był drobny, wąski w barkach i smukły, podobny trochę w swoim konsumpcyjnym zapamiętaniu do Tolkienowskiego Golluma. Zdarzały się takie egzemplarze. Były zwinne, żyłaste i silne, ale nie tak groźne jak pełnowymiarowe bestie. Mogła to też być samica. Te były mniej agresywne. „Doskonale – pomyślał major. – Głupi jesteś, Gollumie, żeś polazł do kuchni, zamiast uciekać. Z drugiej strony – skonstatował – musi być naprawdę sprytny, skoro udało mu się uciec z podziemi czy laboratoriów, wszystkich po drodze pozabijać i nie wzniecić alarmu. Tak, to taki skurwysyn. Uważaj, Sergiusz, nie lekceważ przeciwnika...”

Powoli nabrał powietrza i wykonał jeden ostrożny krok. Bestia siorbała głośno, poruszając ramionami, jakby szarpała się ze strawą, i pochylała łeb tak zajadle, że można było odnieść wrażenie, iż światła poza żarciem nie widzi. „Co za żarłok! Musieli go nieźle głodzić” – pomyślał woj i zwizualizował atak: prawy nóż w nerkę, lewy podrzyna gardło. Oba jednocześnie.

„Sprawdź, czy na podłodze nie ma rzeczy, na których mógłbyś się poślizgnąć...”

Nie było.

Orłowski zbliżył się nieco, a bestia znowu potężnie beknęła, jakby z ulgą. I ponownie zaczęła siorbać. Major ocenił odległość od wroga, wykonał błyskawicznie ostatni krok i już miał ciąć, gdy nagle stało się kilka rzeczy: po pierwsze, coraz lepiej widząc w ciemności, dostrzegł, że potwór ma na sobie ludzkie ubranie, które w dodatku wygląda na mundur, po drugie, zobaczył leżącego na blacie Roda, a po trzecie, jego nozdrza bardzo wyraźnie poczuły zapach perfum.

– Co, do...?! – warknął.

W tym momencie potwór gwałtownie się odwrócił i jęknął jak najbardziej ludzkim głosem:

– Perunie!

Orłowskiego, napiętego do granic wytrzymałości, trafił szlag.

– Co to, do kurwy nędzy, ma znaczyć?! – ryknął, odrzucając noże.

– Ojej – odparł potwór. – No bo ja...

Major przebiegł kilka kroków i uderzył pięścią w masywny włącznik światła. Żarówki w szafce rozjarzyły się i ukazały szczupłą kobietę w stopniu porucznika, której palce i twarz były umazane czerwoną posoką. Niebrzydka blondynka w trudnym do określenia wieku patrzyła ciemnymi oczami na dowódcę Orłów, intensywnie coś żując.

– No bo ja... – stęknęła znowu.

– Baczość, kurwa! – wrzasnął Orłowski. – Co tutaj, kurwa, robicie, poruczniku, i kim, kurwa, jesteście?! Czyście powariowali, wpierdalać jakieś mięsiwa w środku nocy?!

Blondynka zaszutowała, jeszcze bardziej ochlapując sobie twarz posoką.

– Porucznik Anna Podgórska, panie majorze, melduje się do służby w batalionie „Orzeł Biały”!

– Jako kto, kurwa? Zaopatrzeniowiec?

– Jako kierowca Rujewita!

– Coś wam się popierdoliło, poruczniku. My kanibali nie przyjmujemy.

– Melduję, że to nie mięso, tylko buraki... Znaczą się pomidory.

– Co?!

Orłowski wybałuszył oczy i zerknął nad ramieniem Anny. Istotnie, na blacie leżała wielka deska, a na niej pokrojone i obrane ze skórek czerwone warzywa będące w istocie, jak mówią naukowcy, owocami. Było ich mnóstwo. Stąd ta posoka na ustach i palcach. Pomidory.

– Po-mi-do-ry? – sapnął dowódca Orłów. – Pojebało was? W nocy wpierdalać pomidory?

– Bo ja w nocy często głodna jestem, a u was już są pomidory i są pyszne, malinowe...

– Co wy pierdolicie?

– Z całym szacunkiem, panie majorze...

Orłowski wziął wdech.

– Pani porucznik – odezwał się wreszcie spokojniej – dlaczego pani je w nocy?

– Dojechałam po dwudziestej trzeciej, byłam głodna, zresztą ja prawie zawsze jestem głodna, i poszłam, bo mi strażnicy wskazali...

– Ale dlaczego po ciemku?

Tu porucznik Podgórska się stropiła i pochyliła głowę. Orłowski mógł docenić pszeniczny kolor jej obciętych do ramion włosów.

– Bo... ja nie lubię zapalać wieczorem światła.

– Dlaczego?

– To jest moja prywatna...

– W moim oddziale, pani porucznik – przerwał jej dowódca Orłów – o ile panią przyjmę na miejsce sierżanta Jaroty, nie ma prywatnych spraw. Jeśli woj ma dziwne zwyczaje, muszę o nich wiedzieć, nawet gdy jest to podcieranie dupy lewą ręką, bo prawa służy do grania w bierki!

Porucznik Anna Podgórska, matka Kaliny Podgórskiej, westchnęła głęboko i spojrzała na majora.

– Nie palę wieczorami światła, żeby nie widzieć swojego odbicia w lustrze.

Orłowski patrzył na nią nieruchomym wzrokiem i dłuższy czas zastanawiał się, czy aby usłyszał to, co usłyszał.

– Czy pani jest normalna?

– Jak najbardziej.

– Może to pani powtórzyć?

- Jak najbardziej.
- Nie to. To, co było wcześniej.
- Co wcześniej?
- O ciemności i lustrach.

Podgórska przełknęła ślinę i wypaliła:

– W nocy i wieczorem nie włączam światła w łazience i w kuchni, żeby nie widzieć swojego odbicia...

- Ja pierdołę – przerwał jej Orłowski – naprawdę pani to powiedziała.
 - Nie lubię swojego odbicia w lustrze. Zwłaszcza w sztucznym świetle.
- Orłowski przyjrzał się bliżej Annie. Twarz miała inteligentną i raczej ładną.
- Ma pani jakiś defekt?
 - Po prostu nie lubię.
 - Do tego stopnia, że nie włącza pani światła?
 - Dobrze widzę w nocy.

Major wziął jeszcze jeden głębszy wdech i przełknął ślinę.

- Panie majorze? – odezwała się Podgórska, patrząc na jego ramię.
- Tak?
- Pan krwawi.

Sergiusz zerknął na ramię.

- Ja pier... – zmęłł przekleństwo. – Musiał puścić szew.
- Niech pan pokaże.
- Drobiazg.

– Jesteśmy w kuchni. Są tu papierowe ręczniki, gorąca woda i tak dalej. Niech pan pokaże.

Major niechętnie odłożył na oparcie krzesła kurtkę i rozpiął piżamę. Twarz Anny była jak otwarta księga. Orłowski od razu dostrzegł na niej dwa uczucia: zaskoczenie tym, ile plastrów pokrywa jego tors, i zachwyt muskulaturą. Kobieta ocknęła się i oderwała opatrunek na ramieniu.

- Tak, puścił szew. Tu na pewno jest gdzieś wódka.
- Spirytus też jest.
- Lepiej dezynfekuje wódka.
- Skąd pani wie?
- Wiem.

Podgórska odeszła, umyła w niewielkim zlewie ręce i twarz, udarła płachtę papierowego ręcznika, zdjęła z półki Żytnią, naląła trochę na papier i przytknęła do rany Orłowskiego. Ten zacisnął zęby, ale nie wydał z siebie dźwięku. Zadrzały mięśnie piersiowe jego szerokiego torsu. Anna przełknęła ślinę.

– Dobrze – chrypnęła. – Teraz zbiorę plastrem ranę.

Sięgnęła do kieszeni na piersi i wyciągnęła dwa szerokie plastry opatrunkowe. Major wykorzystał tę chwilę, by ocenić jej figurę, i stwierdził, że będzie się prezentować na motocyklu bardzo apetycznie. Kobieta oddzieliła tymczasem plaster od papierowych osłonek, ściągnęła brzegi rany i wprawnie ją zakleiła.

- Jeszcze jeden – oceniła i wzmocniła opatrunek.
- Może wyjdźmy już z tego – dowódca Orłów spojrział na wybebeszone pomidory – miejsca zbrodni.

Kobieta popatrzyła spłoszona.

– Zaczy nie mogę skończyć? Bo jestem głodna...

Wtedy Orłowski przypomniał sobie o swoim żołądku.

– Racja – rzekł. – Ja też tu zszedłem z tego powodu.

– No to zjemy razem. Dobrze? – Anna uśmiechnęła się nieśmiało.

W tym momencie do kuchni wparował Mardok. Stał jak wryty, widząc obcą kobietę i półnagiego dowódcę.

– Eee... przeszkadzam?

– Nnie... – odparł speszony Orłowski.

– Też głodni?

– Ta – mruknął dowódca.

Dostrzegłszy szarżę Podgórskiej, Jary zasalutował.

– Spoczniej – powiedziała.

– Pani porucznik... tu od niedawna?

– Uzupełnienie – rzucił Sergiusz.

– W miejsce?

– Jaroty.

– Uuu... – Nie wiadomo było, czy Mardok oświadcza w ten sposób, że „fajnie będzie mieć taką babkę w batalionie”, czy „Jarocie trudno będzie dorównać”, niemniej adiutant Orłowskiego uśmiechnął się szarmancko i pochylił w jej stronę. – Pani porucznik pozwoli, że się przedstawię. Mardok Jary, pseudo...

– Dziki – weszła mu w słowo Anna. – Wiem, czytałam o batalionie.

– A pani to...?

– Anna Podgórska – odparła, wyciągając rękę.

Mardok ją uściskał.

– Mów mi Anna – poprosiła.

– A jakieś pseudo? – spytał sierżant.

– Gollum – rzucił Orłowski.

Rano wszyscy ranni stawili się w szpitalu i poddali wymianie opatrunków, a potem batalion został skierowany do wojskowego laboratorium na Świętokrzyskiej, de facto niedaleko miejsca, gdzie Miś zdusił Shreka, jakkolwiek karkołomnie to brzmi.

Tam spotkali chudego blondyna o szalonym uśmiechu, inżyniera doktora Marcina Nowickiego, zwanego przez znajomych „Hugonem”. Naczelnym technologiem sił zbrojnych cudem uniknął katastrofy podczas Kolapsu i dosłownie w ostatnim momencie zjechał do Pałacu Twierdzy, czując oddech Zielonych na plecach. Oddech ów do teraz śnił mu się po nocach, za dnia natomiast Hugona prześladowała przerażająca olbrzymka o długich włosach, która nie odstępowała go na krok. Była to magister ekonomii Magdalena Włochaczowa, przydzielona Nowickiemu przez króla z tego prostego powodu, że Biurwa, jak sama siebie określała, nie pozwoliłaby na wyniesienie z laboratorium nawet włosa, o czymkolwiek cenniejszym nie wspominając. Po krótkim, acz serdecznym powitaniu przez naukowca i obrzuceniu wizytujących nieprzychylnym wzrokiem przez Włochaczową Hugon zaprezentował im obszerne pomieszczenie, w którym na wieszakach wisały kurtki i spodnie wojskowe różnych rodzajów i krojów, na stalowych półkach spoczywały uzbrojenie i ekwipunek, wyłącznie prototypy, a pod ścianą na ciężkich nogach stały rozmaite urządzenia: piły wodne i klasyczne, tokarki i prasy.

Zanim zdolali wydobyć z siebie jakiegokolwiek słowa komentarza czy podziwu, usłyszeli głośny szelest za plecami i zobaczyli, że drzwi tarasuje Włochaczowa.

Mardok przełknął ślinę.

– Szefie – szepnął do Orłowskiego – mam wrażenie, że ona ma ochotę...

– Na ciebie?

– Kulinarnie.

– Uspokój się, sierżancie.

Hugon zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi na asystentkę.

– To jest – uniósł bluzę ozdobioną cyfrowym kamuflażem – nasze największe osiągnięcie. – Wyszczerył równe, białe zęby. Wyglądał w tej chwili jak skrzat z bajki.

Orłowski podszedł i wziął kurtkę z jego rąk, po czym powąchał ją, zmiął i powiedział z nutą powątpiewania:

– Wielowarstwowa wełna?

– Nie. – Nowicki uśmiechnął się jeszcze szerzej, ale po chwili westchnął, a uśmiech zniknął z jego twarzy. I jakby słońce zaszło za chmury. – Słyszałem, że mieliście... spore straty podczas ostatniego rajdu.

– Z batalionu czterech – szczechnął dowódca.

– W tym pilot i pancerniak, prawda? – upewnił się mężczyzna.

– Tak. I dwóch motocyklistów.

– No właśnie. – Naukowiec chrząknął i potarł kształne usta. – Zbieramy dane i wiemy, że jeśli dochodzi do zranień tych trzech grup: lotników, pancerniaków i motocyklistów, to z reguły są one groźne. Pierwsi i drudzy praktycznie nie mają pancerzy, a członkowie trzeciej grupy, by utrzymać mobilność i zmieścić się w gondolach, pancerze mają słabsze.

– Ta bluza ma ich chronić? – spytał Orzeł.

Inżynier uśmiechnął się tryumfalnie.

– To niemal mithril, jeśli pan wie, co mam na myśli. Tolkienowska magiczna kolczuga.

– Niech pan nie czaruje, Nowicki. Przecież widzę, że to zwykły materiał – zaoponował Orłowski.

– Z tego, co wiem – odezwał się Zgud – taką magiczną wytrzymałość może mieć tylko węglowa nanorurka...

– Albo pajęcza nić – wszedł mu w słowo sierżant Mariusz Kubala.

– Za trudna produkcja – odparł Ktara. – Stawiam na rurki.

– Sierżant Kubala ma rację. – Inżynier uśmiechnął się, a Dawid pobladł ze złości. – To rzeczywiście pajęcza nić. Od siedmiu lat rozbudowujemy plant z pajakami z gatunków *Caerostris darwini* i *Nephila madagascariensis* i wreszcie uruchomiliśmy linię produkcyjną. Mamy kilkadziesiąt prototypów. Wystarczy dla motocyklistów.

– Nie zapędzaj się, Nowicki – zagrzmiała Włochaczowa, wyszarpnęła z kieszeni pomiętą kajet i zaczęła w nim skrobać ołówkiem.

– Trzy – zaczął liczyć Lenny.

– Trzy – powtórzyła strażniczka laboratorium.

– Dla obsługi Dażboga... – ciągnął naukowiec.

– Ile to będzie? – warknęła magister ekonomii.

– Sześć – stęknął Hadder i lękliwie się na nią obejrzał. – O Perunie – jęknął, napotkawszy jej przerażający wzrok.

– Dla obsady Swaroga... – Hugon zdawał się nie widzieć i nie słyszeć swego Cerbera.

– Dziesięć – pisnął Hadder.
– Nowicki – sapnęła Magdalena – uważaj, bo nic ci nie zostanie, a ja tu wszystko notuję.
– Dla perunowców... – kontynuował naukowiec.
– Dwanaście – szepnął kierowca i znowu obejrzał się na Włochaczową, której ołówek w tym momencie groźnie zazgrzytał i się złamał.
– Wciórności! – warknęła Biurwa i wyszarpnąwszy z kieszeni temperówkę, zaczęła z głośnym skrzypieniem ostrzyć przerażający przyrząd.
– W razie potrzeby mamy więcej – zakończył Hugon, znowu promiennie się uśmiechając.
– Ja dziękuję – rzucił Samul. – Pogrubi mnie w pasie.
– Ubierzemy w nie jaryłowców. – Orłowski rzucił okiem na Siekierzyńskiego, a ten, upewniwszy się, że stoi dostatecznie daleko od skrzypiącej Włochaczowej, uśmiechnął się do dowódcy z pewną taką nieśmiałością.
– Vehicles are flying, infantry's dying – zauważyła Zdzira, niedokładnie cytując film *Żołnierze kosmosu*, ale Orłowski ją zgasił:
– Żaden piechociarz nie zginął, Frenkiel.
– Nie licząc POLOM-ów oczywiście...
Major zgrzytnął zębami.
– Chorsy są dostateczną ochroną.
Ołówek Włochaczowej znowu zaczął notować z głośnym szumem maltretowanej kartki. Podgórska, którą olbrzymka przerażała nie mniej niż resztę oddziału, zrobiła mały krok do przodu, jakby obawiała się, że Biurwa trzaśnie ją łapą, i naparła przypadkiem piersiami na plecy Orłowskiego.
– Przepraszam – szepnęła.
Ten uśmiechnął się do niej.
– Bardzo proszę.
Malik, widząc to, skrzywiła się.
– A co do Chorsów – podjął inżynier – mamy dla was nową wersję.
– Nowicki, nie rozpędzaj się – warknęła Włochaczowa.
– Mk 4 – ciągnął naukowiec. – Mają wysuwaną osłonę szyi. Można ją schować, jeśli przeszkadza, i wysunąć, gdy jest potrzebna. To zmniejszy ryzyko śmiertelnego postrzału.
– Powiedziałeś, wystarczy – oświadczyła magister.
– Przydałoby się coś na ryło – zauważyła Zdzira, która obserwując inżyniera i widząc, że ten nic sobie z Włochaczowej nie robi, nabrała odwagi.
– Poruczniku Graboń? – Nowicki odwrócił się w głąb pomieszczenia i nagle, jak gdyby ktoś zmazał z wiszących w tle ubrań warstwę farby, pojawił się stojący tam żołnierz w pełnym pancerzu i z hełmem osłaniającym twarz.
– Ja pierdziu – szepnął Flaszka. – Cały czas tu był...
Wampir i Zuza wymienili spojrzenia. Byli źli, że nie wyczuli obecności snajpera, a jednocześnie docenili umiejętności woja.
– To porucznik Gabriel Graboń – wyjaśnił Hugon. – Jego rodzice mieli chore poczucie humoru, jak słyhać...
– Założył nasz szpej – przerwała mu Włochaczowa.
– Ekhm – chrząknął inżynier. – Król prosił, żebym wam przekazał, że porucznik dołączy do batalionu jako piechociarz w funkcji strzelca wyborowego...
– Designated marksman – mruknął Żmij.

– Tak nazywano tę robotę w świętej pamięci NATO – potwierdził Nowicki. – Brawo, sierżancie.

Żegota nie odpowiedział, tylko wpatrywał się intensywnie w nowy nabytek batalionu.

– Porucznik Graboń – podjął naukowiec – testował przed chwilą prototypowy rodzaj pancerza, który nazwaliśmy, proszę się nie śmiać, MiniChorsesem. I sprzężony z nim hełm taktyczny Krak Mk 1. Jak widzieliście, a raczej nie widzieliście, porucznika trudno było dostrzec, bo duże połączenie jego ciała pokryte są MiniChorsesem, który jest tak skalibrowany, by wysyłać prostopadle do swojej powierzchni obraz, który jest za wojem. Pomaga w tym osiem minikamer rozmieszczonych równomiernie na pancerzu. Gdy żołnierz spoczywa nieruchomo, trudno go dostrzec.

– Ja go widzę – sapnęła Włochaczowa – a to, co ma na sobie, zostało zanotowane.

– Chcę taki – szepnęła Zuza, a Wampir ochoczo pokiwał głową.

– Dostaniecie – zapewnił ich Hugon.

– Nowicki! – huknęła matrona, jej ołówek zaś znowu zaczął notować.

Naukowiec machnął ręką i ciągnął:

– Mam akurat jeszcze kilka.

– Świetnie – rozochocił się Gadziński.

– Mam też bluzy – inżynier uśmiechnął się do Zguda – z nanorurek węglowych. Dla całej reszty batalionu.

Ołówek Włochaczowej znowu zaszumił.

– Papuśnie, co? – sapnął Fraydey i klepnął Zguda w ramię.

– No – odparł tamten bez entuzjazmu.

– Nie przejmuj się – rzucił Kubala – nanorurki są tylko trochę mniej...

– Odporne na zrywanie – wszedł mu w słowo Zgud. – Wiem, nie musisz o tym...

– Kompleksy? – zauważył rudzielec. – Ciekawe...

– Nie przerywaj mi.

– Bo co, szeregowy?

– Ktara tak ma. – Wiechucka pogłaskała Zguda po twarzy. – Już, szeregowy, uspokój się.

Ale Zgud nie chciał się uspokoić i nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby nie zdecydowany krok Grabonia, który odpiąwszy gardę hełmu, odsłonił twarz, podszedł do Orłowskiego, wyprężył się i zasalutował.

– Porucznik Gabriel „Deckard” Graboń melduje się na służbie!

– Spocznij, poruczniku – odpowiedział major, a reszta oddziału mogła się przyjrzeć snajperowi. Miał spokojne, nieco senne, inteligentne oczy, zapadnięte policzki, dziwnie wygięte, jakby drwiące usta i szramę na żuchwie.

– Brzydal – ocenił Samul.

– Nada się – potwierdził Flaszka.

– A więc wyborowy? – spytał Orłowski. – Brakowało nam tej funkcji, odkąd...

– Zdychu. – Frenkiel smętnie pokiwała głową.

– Tak... Stare dzieje – mruknął dowódca Orłów. – Doświadczenie?

– Stary Sącz, Nawojowa, Kamionka Wielka.

– Świetnie. Pracowaliście w takim zespole?

– Batalion „Kamienne Golemy”.

– Słyszałem. Dlaczego was przeniesiono?

Deckard przełknął ślinę. Orłowski już się szykował do reprimendy, gdyby usłyszał, że to

„prywatne sprawy”, ale porucznik odezwał się:

– Przeszedł rozkaz króla, że Orły potrzebują najlepszego wyborowego. W wojskowej buchalterii wyszło, że jestem najlepszy.

– Doprawdy?

– Nie dyskutuję z liczbami.

– Czeka, czeka. – Flaszka drapnęła się w masywny podbródek. – Coś słyszałem... *Blade Runner*? Deckard? Ten spod Nawojowej?

– Ten sam, sierżancie – odparł Graboń.

– Fiu! Legenda! Ustrzelili wtedy chyba trzydzieści orków! To prawda?

– Liczeniem zajmują się inni, sierżancie – rzekł służbiście wyborowy, czym nieco ostudził entuzjazm operatora Siwej.

– Nie wyglądacie na szczęśliwego, poruczniku – zauważył dowódca Orłów.

– Lubię... Lubiłem swój oddział, panie majorze.

– I z pewnością nie lubicie skrajnie niebezpiecznych misji – szepnął Orłowski.

– Każdy chce żyć.

– Jeśli chcecie wrócić, odprowadzę was – powiedział sucho Sergiusz. – Potrzebuję ludzi zmotywowanych, a nie wkurwionych na los.

– Los całej Twierdzy sprzyja wkurwieniu, panie majorze – odpowiedział Deckard. – Z pozwoleniem pana majora, zostanę.

– Bo?

Wyborowy przełknął ślinę.

– Służę Twierdzy. To jest najważniejsze. Poza tym... zawsze chciałem poznać Orły.

– Jednak go lubię – zawyrokowała Zuza, a Heintze pokiwała głową.

Orłowski zmierzył go wzrokiem.

– Jeśli to was jakoś pocieszy, poruczniku, nie z mojej woli zostaliście tu przydzieleni. Wczoraj pochowaliśmy czterech towarzyszy, ale nie zastąpicie żadnego z nich. Zdychu odszedł kilka miesięcy wcześniej i od tego czasu działaliśmy w zmniejszonym składzie...

– Aż dziwne, że król nie uzupełnił – zauważył Flaszka.

– Nie było czasu – rzucił Tygrzyk.

– Khm – chrząknął Marcin Nowicki. – Pani sierżant – wskazał Frenkiel – wspomniła o osłonie twarzy.

– Ryła – poprawił go Flaszka.

– Eee... tak. Więc hełm taktyczny Krak Mk 1 zaopatrzony jest w odpinaną, dzieloną w osi twarzy gardę i przeciwpancerną szybkę. Wszyscy piechociarze i zwiadowcy dostaną takie nakrycie głowy.

– Panie inżynierze! – odezwała się Włochaczowa, która wciąż barykadowała wyjście z laboratorium. – Czy pan wie, co mówi?

– Oczywiście, pani magister – odparł naukowiec.

– Chce pan tym ludziom oddać niemal wszystkie prototypy! Skąd ta troska?

Twarz inżyniera, dotąd pogodna, nagle się skurczyła i stała dziwnie poważna.

– Król Justyn Łyżwa zadzwonił do mnie dzisiaj rano i powiedział: „Marcin, ci ludzie stracili czterech braci. Zadbaj, żeby podczas następnej misji nikt nie zginął. Daj im prototypy, daj im wszystko, co masz najlepsze”. Tak powiedział, pani magister.

– Tak powiedział?

– Tak powiedział.

- Justyn Łyżwa?
- Justyn Łyżwa.
- Sprawdzimy to... – Ołówek Włochaczowej znowu coś zanotował.
- Bardzo się cieszę, pani magister, że pani to sprawdzi, a teraz, jeśli pani pozwoli, chciałbym kontynuować.
- Jak sprawdzę, zatwierdzę – oznajmiła nieporuszona olbrzymka.
- Hugon machnął tylko ręką.
- Pragnę nadmienić – zwrócił się do Orłów – że gdyby te rzeczy trafiły na czarny rynek...
- Otóż właśnie – weszła mu w słowo Biurwa.
- Rozumiecie – podjął mężczyzna – na przykład do kramu legendarnego lucka...
- O, tylko nie do niego – znowu odezwała się Włochaczowa.
- Osiągnęłyby niebotyczne ceny – dokończył Hugon. – To unikaty na skalę światową. Bez metafor. Dostaniecie też wzmocnione kamizelki Smocza Skóra, a wasze pojazdy otrzymają dodatkowe opancerzenie.
- Ołówek pani magister zaskrzypiał i trzasnął.
- Kurwa – wyrwało się jej.
- Jaryło też? – spytał Siekierzyński.
- Co Jaryło też? – zainteresował się inżynier.
- No... to opancerzenie.
- Nowicki uśmiechnął się.
- I wszystkie inne – odparł, starając się pokonać hałas czyniony przez temperówkę Włochaczowej.
- Właśnie. Kiedy zobaczymy te zabawki? – spytał Kubala.
- To nie będą zabawki, poruczniku – odparł Hugon.
- Nie?
- Inżynier się stropił, bo dopiero teraz zrozumiał, że nie pojął sarkazmu sierżanta.
- Z tego, co wiem, jutro rano.
- Przed wyjściem proszę wynicować kieszenie – poleciła Włochaczowa.

Wieczorem pokuśtykali do Bociana. Zanim jednak tam doszli, odwiedzili Jolę Tkaczyk. U Marcinkowskiego przyjęli do wiadomości, że „pan Godryk” wciąż nie wrócił, przedstawili dziewczynie Kubalę, Grabonia, Siekierzyńskiego i Podgóorską i zanotowali, że pani porucznik ze zwierzęcą łapczywością pożarła cztery pączki, wyborowy wdzięczył się do uroczej kelnerczki, a Kubala beczelnie spytał, czy nie ma czegoś z czekoladą, jakby nie wiedział, że to towar stuprocentowo deficytowy.

- Pojechało cię? – spytał szeptem, acz uprzejmie Mardok, przysuwając się do Mariusza.
- Ten spojrzął na adiutanta jasnymi oczami, jakby nie rozumiał pytania.
- Ale przecież wyroby czekoladopodobne są całkiem, całkiem.
- To pytaj o czekoladopodobne, a nie o czekoladę. Zobacz, jak się zarumieniła.
- A, przepraszam. Czekoladopodobne są?
- Kelnerka przekazała tacę Siekierzyńskiemu i zniknęła w cukierni.
- No i się obraziła – skwitował Flaszka.
- Ale nie – chwilę później wyszła z papierowym talerzykiem obciążonym murzynkiem.
- Proszę, sierżancie – powiedziała, podając mu ciasto.

- Zapłacę – odparł Kubala, przyjmując poczęstunek.
- Ależ nie – powiedziała Tkaczyk.
- Ależ tak – uparł się sierżant, wyciągając banknoty.
- Nie, nie. – Kelnerka pokręciła głową.
- Mogę go pierdolnąć? – spytał Mardok Orłowskiego.

Major jednak był tak zafascynowany Anną Podgóorską pożerającą piątego pączka, że niczego nie usłyszał.

- Kurwa, Gollum... – powiedział zdławionym głosem.

Tymczasem do Podgórskiej przysunęła się Zdzira i z nieukrywaną zazdrością zlustrowała jej szczupłe ciało.

- Gdzie ty to wszystko mieścisz? – spytała szeptem.

– Co? – odparła motocyklistka, zbyt skoncentrowana na jedzeniu, by zrozumieć, co się do niej mówi.

- No wiesz, metabolizm...

- Aaa. Muszę jeść, bo jak się nie najem, to jestem słaba.

– Aha – odparła Frenkiel, rozumiejąc, że akt żucia odbiera pani porucznik zdolność logicznego myślenia.

Ostatecznie Kubali nie dało się przekonać i ku zgorszeniu batalionu i zażenowaniu pani Tkaczyk zapłacił za swoje ciasto.

– Teraz, kurwa, wszyscy będziemy musieli płacić – mruknął Flaszka, gdy szli do Bociana – i obrazimy pana Marcinkowskiego i panią Jolę. Pojebany ten nowy nabytek.

- Mam swoje zasady – odparł Kubala niezbity z tropu.

- Zasady można zmienić – rzucił Zgud ze złośliwym uśmiechem.

– To se zmieniaj – rzekł Kubala, pieczętując coraz silniejsze podejrzenie szeregowego, że w komórce naukowej batalionu zgody nie będzie.

Doszli wreszcie do znajomych stolików i z radością odnotowali, że czekają tam już Opty, Plisenko oraz Sarenka. Ta ostatnia oczywiście nie wytrzymała, podbiegła do Mardoka i uścisnęła niskiego woja tak mocno, że aż stęknął.

- Uważaj, Aniu, boli...

- Beksa – odparła i podeszła z nim do stolika.

– I jak tam Gojira? – spytała Martyna Plisenko, lekceważąc oficjalne powitania. – Naprawdę uciekł?

- No wziął i zwiął – odparł Mardok, siadając i rozmasowując bok.

– Beksa – powtórzyła Sarenka, a Jary spojrział na nią zdziwiony. Tej wersji swojej kobiety dotąd nie znał.

- No właśnie, bo ja nic nie wiem – odezwała się Opty. – Czyli jednak uciekł ten potwór?

- W trzy diabły – zapewnił Samul.

- Na zachód? – spytał Kubala.

- Chciał do domciu, ale wysłali go na niedźwiedzie – odparł Fraydey.

- Do Czechów – rzuciła Podgórska.

- Rosjan – poprawił Fraydey.

- No mówię.

Orłowski spojrział na resztę batalionu, a reszta batalionu spojrziała na Orłowskiego.

- Podgórska, powiedziałaś „Czechów”.

- Powiedziałam „Rosjan” – odparła zdecydowanie porucznik.

Woje i wojowniczkę unieśli brwi.

– Trzeba będzie nad tym popracować – szepnęła Sarenka do Mardoka.

– Ciężko było z tym Gojirą? – wróciła do tematu Plisenko.

– Nie wiemy. – Tygrzyk zrobił smutną minę. – Byliśmy wtedy na pogrzebie.

– Zabił sześćcioro laborantów – powiedziała ponuro Heintze.

– Zeżarł swojego kolegę – dodał Flaszka – trochę ślimaków i pajaków, a na deser elektryczne węgorze.

– To żart? – upewniła się Opty, ale Heintze poważnie pokręciła głową.

– Czym mogę służyć? – spytał kelner.

Orły poczęły zamawiać a to Szpona z Polo-Colą, a to piwo, a to Złotą Rosę, czyli gin plus polski tonik, do nich zaś włoskie orzechy, orzechy laskowe, suszone jabłka, suche placki tudzież pestki dyni i słonecznika.

– Ech, orzeszki ziemne – westchnął Zbrojowiec kilka chwil później, miażdżąc zębami owoc leszczyny.

– Nie narzekaj – odparła Kicia. – Nasze orzechy są lepsze.

– No wiem. Ale do piwa...

– Za poległych – powiedziała Heintze, wstając, a pozostali poważnie pokiwali głowami i także się podnieśli.

Spełnili toast i przez chwilę trwała cisza.

Plisenko, najwyraźniej nieusatisfakcjonowana uzyskanymi dotychczas informacjami, pierwsza przerwała milczenie.

– Ale ten Gojira to był przecież trup, nie?

– Był – zapewniła Kicia, która własnoręcznie trzasnęła potwora w łeb kalibrem sto milimetrów.

– No to... jak on...?

– Zmartwychwstał? – dopowiedział dowódca.

– No właśnie. To przecież niemożliwe.

– Nie chcecie chyba powiedzieć – wtrąciła Opty – że orki mają możliwość aż takiej regeneracji? To by oznaczało...

– Że wszystkich padłych w boju trzeba kremować – wszedł jej w słowo Fraydey. – Bo inaczej wstaną niczym zombi.

– No właśnie.

– Spokojnie. – Thomas wrzucił do obszernej gęby garść słonecznikowych pestek. – To się zdarzyło pierwszy raz, a uwierz mi, kochanie, widziałem mnóstwo martwych Engelsów.

– Takie wiesz – Samul wsparł towarzysza – chodzące chuje.

Towarzystwo spojrzało na Zbrojowca niewinnie pociągającego Rłokieta.

Samul zorientował się, że użył zbyt dużego skrótu myślowego.

– No, ciała jamiste itepe...

– Mają w skórze ciała jamiste – wyjaśnił Zgud warszawiankom – a w nich ciecz, która pod naciskiem staje się twarda.

– O jeny – wyrwało się Sarence.

– Są naprawdę wyjątkowi – potwierdził Orłowski. – Nie wiemy, dlaczego zmartwychwstał Schmidt, a nie Ixi, ale to, uwierzcie mi, wyjątek, nie reguła.

– Trochę mnie uspokoiłście – sapnęła Plisenko, a jej wielkie piersi mało nie rozsadziły dekoltu.

– Ależ wy wszyscy jesteście zmęczeni – odezwała się Sarenka. – Cienie pod oczami, te sińce, które ze śliwkowych przechodzą w zgniłą zieleń... O, na przykład pani porucznik. – Wskazała palcem Podgórką, a ta natychmiast odwróciła się tak, by zakryć policzek puklem jasnych włosów. – Pani też ranna? Bo te worki pod oczami...

– Nie, ja dopiero co zostałam przydzielona – odparła kobieta. – Jechałam całą noc i to dlatego.

– Aniu – Mardok nachylił się do Sarenki – to nie było miłe.

– No co? – odparła dziewczyna. – Jestem szczerą.

– Mylisz szczerą z brakiem delikatności.

Mardokowi żal było porucznik, która najwyraźniej źle się poczuła po uwadze jego flamy. Zaczął się zastanawiać nad fenomenem dojrzewania związku. Przecież na dobrą sprawę nie znał Anny Błaźniak. Dwa razy z nią spał, odbył kilka rozmów. Było cudownie, ale bycie razem to rzecz dużo bardziej skomplikowana niż seks dwa razy plus rozmowa trzy razy. Tu, w Bocianie, Sarenka objawiła cechę, której nie lubił. Brutalność na placu boju to jedno, ale dowalanie komuś, kto źle wygląda, i zasłanianie się szczerą? Spoglądał na nią, gdy rozmawiała o czymś z Tygrykiem, Klaudią i Lennym, zastanawiając się, czy dobrze ulokował uczucia.

Kontrolę nad rozmową znowu przejęła Plisenko.

– Zgaduję, że teraz pojedziecie na wschód.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytała Kicia.

– Gojira został tam wysłany. Wkurzy się i zechce wrócić. Monż mi mówił, że już wzmacniacie oddziały na granicy. Zwłaszcza białoruskiej.

– Więc Orłów już tam nie potrzebują – odparł sucho Orłowski.

– Nie zasłoni się pan tajemnicą wojskową, majorze – rzuciła Martyna. – Ckni mi się za chłopem i czuję, po prostu czuję w cyckach, że tam pojedziecie.

Jary uniósł brwi. Plisenko dostrzegła to, a Sergiusz pojął go w myślach za ten gest. Wszystko zdradził.

– Naprawdę jedziecie? – rozochociła się Opty. – Bo ja bym też już chciała...

– Dziewczyny, przeszkolenie macie? – odezwała się Heintze. – Opty, zgłosiłaś się do armii?

– No tak, wczoraj.

– To zapomnijcie. Najpierw szkolenie, potem strzelanie do Zielonych. To nie zabawa.

– No ale markietanki... – odezwała się Plisenko.

– Sarkietanki – odparła Klaudia. – Powtarzam: To nie zabawa. W wojsku nasze życie zależy od was, wasze od nas. Nie ma czasu na tłumaczenie oczywistości, a margines błędu robi się wąski. Jesteście cudowne – pogładziła Opty i Martynę po policzkach – i przepraszam, że tak mówię, ale zrozumcie...

– To nie zabawa – weszła jej w słowo przysłuchująca się temu do tej pory Malik, niedwuznacznie wskazując swój opatrunek na obojczyku.

– Wypadałoby dodać – podjął Lenny – że należymy do elitarnego oddziału.

– Lenny. – Heintze spojrzała na niego ostro.

– No co? Prawdę mówię. Więc, dziewczyny, jest mało prawdopodobne, że ot, tak dołączycie do batalionu. Popatrzcie na tego brzydala – wskazał Grabonia, który bacznie się wszystkiemu przysłuchiwał, wykorzystując sytuację, by lepiej poznać przyszłych towarzyszy broni – to porucznik Gabriel Graboń pseudo Runner...

– Deckard – poprawił go strzelec.

– Nasz nowy wyborowy. Wyciągnęli go z „Kamiennych Golemów” z czeskiej granicy i dali nam. Dlaczego? Bo ma sokole oko. Brzydkie, bo brzydkie, ale jednak.

Lenny'ego słuchały nie tylko Opty, Plisenko i Sarenka, ale i Mardok. Jary ze zdziwieniem stwierdził, że chociaż Hadder nie przebierał w słowach, jego wypowiedź była w jakiś sposób lekka. Spojrzał kątem oka na Anię i coś ciężkiego legło mu na sercu. Tymczasem Martyna pokręciła głową, ściągnęła brwi wygięte jak mongolskie łuki i powiedziała niskim głosem:

– Żyjemy w Twierdzy i każdy jest wolny. Mogę robić, co mi się...

– A praca? – weszła jej w słowo Opty.

– No i w wojsku nie możesz robić tego, co chcesz, chyba że będziesz kimś w rodzaju najemniczki albo COP-em – poddał Hadder.

– O! – Martynie zabłysły oczy. – I to jest, kurwa, to!

– A praca? – powtórzyła Opty.

Nagle usłyszeli rumor. Odwrócili się i zobaczyli, jak Żegota Birkowski, przewróciwszy krzesło, stoi i spogląda w dal. Jego twarz była ściągnięta grozą.

– Na ślady Swaroga w śniegu odcisnięte! – warknął tak grobowo, że po plecach obecnych przeszedł dreszcz.

Podążyli za jego wzrokiem i dostrzegli woja idącego od strony cukierni. Wyglądał jak... major Szymon Krawczyk, dowódca Zbrojowców Gwardii Królewskiej, który padł w nierównej walce z Gojirami, a wcześniej podarował Żmijowi włócznie Swaroga.

– Jak na moje nerwy – chrypnęła Kicia – to o jedno zmartwychwstanie za dużo.

Tymczasem żołnierz zmierzał do nich równym, spokojnym krokiem. Był zamyślony, twarz miał spokojną, jakby zmęczoną. Chociaż członkowie batalionu pamiętali Krawczyka tylko w Trojanie, mężczyzna, który się do nich zbliżał, wciąż wyglądał na olbrzyma.

– Ciągłe ciacho – szepnęła Zdzira.

Na te słowa obejrzała się także Sarenka i zmierzyła giganta przyjaznym wzrokiem. Birkowski poruszał natomiast wąsami i miętosił w dłoni zawieszony na szyi wisiołek przedstawiający topór Peruna. Ominąwszy stoliki, wyszedł poza światło lamp i tam czekał na mężczyznę. Ten dostrzegł go, podszedł i zaszalutował.

– Plutonowy Jarosław Krawczyk melduje się na służbę, panie sierzancie.

– Plutonowy? – spytał Żegota.

Krawczyk uśmiechnął się nieśmiało, a siedzące przy stolikach kobiety westchnęły.

– O Perunie – jęknęła Opty – od takiego uśmiechu zachodzi się w ciążę...

– Plutonowy, panie sierzancie. Pan mnie pewnie myli z majorem, moim bratem...

– To był twój brat?

– Tak. Szymon.

– Witaj – charknął Żmij, po czym chrząknął, potrząsnął głową i powtórzył: – Witaj, kurwa, w batalionie, bracie.

Wojom i wojowniczkom opadły szczęki, gdy ponury zazwyczaj Birkowski rzucił się na olbrzyma i począł serdecznie go ścisnąć.

– No dziękuję, dziękuję, nie spodziewałem się – odparł tamten, gdy Żegota w końcu się od niego odkleił.

– Do której jednostki? – spytał Orłowski.

– Lewa gondola Rujewita – rzekł wciąż nieco oszołomiony Krawczyk.

– No, to jest komplet! – odezwał się uradowany Mariusz „Jastrząb” Wojteczek. Odkąd zobaczył powabną Annę Podgóorską, nie mógł pohamować szerokiego uśmiechu, a teraz, widząc woja, który mógłby zagrać hollywoodzkiego Supermana, upewnił się, że obsada trójkołowca podniesie poziom urody w batalionie.

– Chodź, żołnierzu – zaprosiła Heintze plutonowego. – Kelnerrr! Szpona dla zucha!

Następnego dnia, po obowiązkowej zmianie opatrunków, polecili na poligon do Legionowa, gdzie mieli zobaczyć zmodernizowane pojazdy batalionu. Już z góry widzieli dziwne wielokołowce zgromadzone w pobliżu hangarów i domyślili się, że to właśnie o nie chodzi. Nie mogli się doczekać, by dotknąć behemotów i zaciągnąć się zapachem świeżej farby, ledwie jednak transportowe Peruny przyziemiły na obszernym placu ćwiczebnym, na powitanie wybiegła im mocno zbudowana wojowniczką w stopniu podporucznika. Ubrana była w pancerniacki kombinezon, na szerokich barkach dźwigała mniej więcej krzyżyków pięć, włosy i oczy miała czarne, a usta szeroko rozciągnięte w uśmiechu. Z przekrzywionym hełmem taktycznym Krak Mk 1, który pochylał się to w lewo, to w prawo, bezceremonialnie zaczęła wszystkich obcałowywać, ścisnąć im dłonie, miażdżyć pośladki i tarosić policzki, majora Orłowskiego nie oszczędzając.

– No wreszcie jesteście! – rzuciła. – Na pewno głodni! Ile można czekać?

Gdy dziewczyna odkleiła się od Orłowskiego, ten zerknął na witającego ich salutem sierżanta, także w pancerniackim kombinezonie. Mężczyzna był szczupły, gładko wygolony i wyglądał na bardziej rozgarniętego od dzikiej kobiety.

– Kto to jest? – spytał.

– Podporucznik Dana Banecka. Podobno ma do was dołączyć, panie majorze.

Mardok spojrział na Fraydeya, a ten na Malik, która o mało nie wybałuszyła oczu.

– Jako kto, że zapytam? – rzekł dowódca.

– Jako kucharz. Drugi, oczywiście – odpowiedział wyłaniający się z cienia stojącego nieopodal pojazdu porucznik Maciej Mikołajczak.

– Tata Malki! – krzyknęła Klaudia Heintze i pognała mu na spotkanie.

– Drugi z nazwy, z serca pierwszy – stwierdziła Dana. – Podporucznik Dana Banecka melduje się na służbie. Możecie mówić do mnie Ciocia.

– Gdzie pani dotąd służyła, podporuczniku? – spytał Orłowski.

– Gwardia Królewska. Walczyłam z Gojirami.

– I przeżyła pani – zauważył dowódca z niejakim żalem.

– Jak widać! – odparła Dana.

– Kucharz na terenie wroga to kiepski pomysł – stwierdził Sergiusz.

– Wiemy o tym – rzekł Malki, który wyściskawszy się z Klaudią, podszedł z nią do reszty batalionu. – Jeśli znajdziemy się poza Twierdzą, będziecie dostawali jedzenie w hermetycznych opakowaniach. Gotowanie będzie się odbywało w szczelnym wnętrzu Marzanny, a zapachami zajmą się filtry.

– Dobre te filtry? – spytał Mardok.

– Najlepsze. Sam testowałem.

– Przystajemy być siłami szybkiego reagowania – zauważył adiutant. – Jako samowystarczalni pod względem zaopatrzenia zaczynamy tworzyć...

– Nie zapędzaj się, Jary! – warknął Orłowski.

– Tajest.

– Gdzie jest ta Marzanna? – spytała Podgórska, jak zwykle głodna.

– Tu, pani porucznik. – Malki wskazał za siebie.

– Ten... czołg? – Mardok przełknął ślinę, lustrując osadzony na wielkich dziesięciu kołach

zwarty, kanciasty wehikuł niemal dwukrotnie dłuższy i nieco szerszy od Swaroga.

– Duża, nie? – roześmiał się Malki.

– I uzbrojona, co mnie cieszy – powiedział Orłowski, oceniając wzrokiem sprzężone czterolufowe działko osadzone w płaskiej wieży. – To pięćdziesiątki? Jak w Dażbogu?

– Potęga, co? – rzucił kucharz.

– Dużo ma amunicji?

– Za dużo – stwierdził Mikołajczak.

– Na terenie Zielonych nie ma za dużo – zauważyła Heintze.

– Forteca. – Fraydey cmoknął z ukontentowaniem. – Ale do działa potrzebny jest woj...

– Melduję się na służbie! – krzyknął brodaty blondyn, zeskakując z garbatego grzbietu olbrzyma. Nie widzieli go do tej pory, bo skrywał się za wieżą. – Sierżant Arkadiusz Grzeszczak, pseudo Dragon!

– Skąd on się wziął? – spytał Orłowski.

– To najlepszy artylerzysta Gwardii Królewskiej – wyjaśnił Maciej Mikołajczak.

– Król oddaje nam swoich ludzi, no, no – mruknął Flaszka.

– Obsługiwał działko Smok na pałacowym placu – dodał Tata Malki.

– Ale tam jest zawsze dwóch wojaków – zauważył Mardok.

– Drugi zajmie się bronią Tura, pojazdu dowodzenia – odparł wygolony sierżant, wskazując wóz stojący za Marzanną. W jego cieniu kroczył płowowłosy przygarbiony żołnierz przeczesujący niesforne pukle, które otaczały go niczym aureola.

– Adonis – szepnął Hadder w zachwycie.

– Sierżant Łukasz Kowalkowski, do usług! – krzyknął woj. – Wyrzutnia raketowa Tura działa jak malowana!

– To nasz kolega – powiedział półgłosem Kubala do Zguda, wskazując woja.

– Nie jestem twoim kolegą – szepnął Dawid.

– To się pilnuj, bo to ja będę kierowcą naszego wozu.

– Och, fuck...

Kubala wyszczerzył ostre zęby.

– Rozumiesz: Kowalkowski, ty i ja. Niezły trójkąt, co?

– Ratunku!

Ewelina poklepała Zguda po ramieniu.

– Nie łam się, Dawidku. Dasz radę. Pewnie będzie tam jeszcze dowódca.

– O nie...

Wszyscy podeszli do Tura. Był to ośmiokołowiec tylko trochę mniejszy od Marzanny, zaopatrzony w pokaźny radar i wyrzutnię raketową o ośmiu prowadnicach.

– Już się go boję – wyznał Zgud.

– Sam chciałeś do sekcji naukowej – zauważyła Wiechucka – więc się teraz nie mazgaj.

– Będę cię przytulał – obiecał Kubala.

– Dużo tych rakiet? – spytał rzeczowo Orłowski.

– Dziesięć razy osiem – odparł Kowalkowski. – Ładowane automatycznie przez podajnik, w kasetach.

– Rozumiem. Ile trwa przeładowanie?

– Niecałe dziesięć sekund.

– Może być, chociaż w warunkach bojowych...

– Ba.

– Zmieści się tam... – Orłowski chrząknął, bo gdy uświadomił sobie, co chce powiedzieć, zaschło mu w gardle. – Zmieści się tam, oprócz dwóch naukowców – wskazał Kubalę i Zguda – oraz artylerzysty, jeszcze dwójka... reporterów?

– Reporterów, panie majorze? – zapytał wygolony.

– Rozkaz króla. Dwie panie będą nam towarzyszyć...

– A tak, już sobie przypomniałem.

Sierżant podszedł do wysokiej burty Tura i otworzył pancerne drzwi głównego modułu.

– Miejsca jest sporo, cztery poziomy. Najwyższy to wieża, niżej dowodzenie, pod nim moduł naukowy i na samym dole kierowca. Sporo tu aparatury: radiostacja, radar, czujniki, sloty na drony, zdalne zawiadywanie ogniem itepe. Przewidzieliśmy stanowiska dla reporterek. – Wskazał niewielkie siedziska. – Będą miały do dyspozycji zdalnie sterowane kamery i ekrany.

– Fiu, fiu! – skomentował Flaszka.

– Niech pan oprowadza dalej, sierżancie – poprosił Orłowski.

– Tajest.

Mężczyzna wskazał trzeci pojazd. Był mniejszy, bardziej zwarty, ale także zaopatrzony w wieżę.

– To jest Mor – wyjaśnił. – Może poproszę za mną.

Batalion, zasilony zdumiewająco ruchliwą Banecką oraz Tatą Malkim, który nieustannie gadał o czymś z Heintze i Podgóorską dopytującą o przyszłe menu, ruszył ku Morowi.

Pojazd miał sześć kół i z grubsza przypominał samochód dostawczy o pokaźnej pauce, na której szczytce tkwiła płaska wieżyczka.

– Pani kapitan?! – krzyknął sierżant.

Z paki dobiegł straszliwy rumor, pojazd zakołysał się na potężnych kołach, członkowie batalionu usłyszeli trzask, głośne przekleństwo, znowu trzask i nagle ze środka wytoczyła się duża kobieta o włosach do ramion i szerokiej, szczerzej twarzy.

– Kurwa, potrzebuję soli fizjologicznej, nie tamponów! – charknęła, wyhamowała na zderzaku Tura i dopiero w tym momencie zorientowała się, że jest obserwowana przez skonsternowaną grupę. – A, przyjechały chorobódzile – huknęła. – No tak, niedożywienie, chłanie, za dużo onanizmu i nadmierne pierdzenie – wyszczekała diagnozy, wskazując po kolei Podgóorską, Dragona, Tygryską i Mardoka. – Witaminy D wam trzeba, de jak dupa, a wy ciągle w tych zapoconych mundurach. O Perunie, jak mi brakuje takich siatkowatych bluzeczek. Podobno ze skóry strusia robi się całkiem fajne wdzianka... – I pani kapitan, najwyraźniej lekarka przydzielona do Mora, zaczęła pokazywać na swej pokaźnej piersi, jak duże oka mają wdzianka ze skóry strusia, gdy wtem dostrzegła majora.

– Major Orzełek? – spytała.

– Zapomniała pani o salucie, kapitanie – zgrzytnął Sergiusz. – I Orłowski, jeśli łaska.

– No tak, bo to takie pieprzenie z tym salutowaniem. Ale proszę bardzo. – Oddała honory. – Kapitan Małgorzata Miktus, doktor habilitowany traumatologii Wojskowej Akademii Medycznej.

– Doświadczenie bojowe? – spytał dowódca.

– Front wschodni nieustający. Rany szarpane zakażone samogonem i orkową gorączką, złamania, rany postrzałowe, miażdżone i cięte. Szyłam głowy, składałam kości, wsadzałam jądra do moszny, a jednemu wojowi odbytnicę do dupy, bo za długo srał i mu wypadła.

– Interesujące – ocenił Flaszka.

– Zdarza się w najlepszej rodzinie – zapewniła kapitan Miktus.

– Pani sama zarządza Morem? – spytał Orłowski.

– A skąd! Ola! Pawełek!

W tym momencie Orły zorientowały się, że kabina Mora nie jest pusta. Nagle o szybę oparły się z epickim młśnięciem nagie męskie pośladki, by chwilę później zniknąć, robiąc miejsce dla przerażonego męskiego czerepu z rzadką bródką i wytrzeszczonymi oczami. Obok żołnierze batalionu dostrzegli nie mniej wytrzeszczone oczy dziewczoi, która przebywała razem z wypłoszem. Mor zakołysał się ponownie, po czym wypadło z niego dwoje ludzi, ale nie drzwiami od strony batalionu, tylko po przeciwnołożnej. Do uszu zgromadzonych doszły stłumione szepty, paniczne ponaglenia i jakaś szarpanina.

– Pawełek! Ola! No dalej! – huknęła potężna lekarka. – Nie dajcie majorowi Orzełkowi czekać!

– Orłowskiemu – poprawił ją dowódca.

– No tak. Ooola, wciórności!!! – ryknęła Miktus, aż zarzęziły szyby Mora.

Wtedy przed pojazd wybiegło dwoje ludzi, pospiesznie pakując koszule w spodnie i dopinając bluzy. Ona była drobna, miała długie czarne włosy, miłą buzię i zaczepne jasne oczy, a on na pierwszy i drugi rzut oka przypominał satyra.

– To sierżant Oluś Mikołajczyk zwana Skrzacikiem – oznajmiła Miktus – a ten diabeł to jej monż, porucznik Pawełek Mikołajczyk zwany Debilem. Nie, nie, żarcik. Zwą go Machaj, bo ma bardzo długą...

– Pani kapitan – zaprotestowała sierżant Skrzacik.

– Bo przejedzie każdym pojazdem przez każde gówno – poprawiła się lekarka – i będzie przy tym machał...

– Pani kapitan! – zaprotestowała Skrzacik po raz drugi.

– Dobra. Nie wiem, dlaczego Machaj – skapitulowała Miktus. – Wiem natomiast, że ile razy tak do niego mówię, oczami wyobraźni widzę... – Tu oczy pani doktor wyszły lekko z orbit, a usta zaokrągliły się.

– Wiem, co ma pani przed oczami – zapewnił Orłowski.

– No tak, słyszałam, że major Orzełek jest niezłe inteligentny – odparła kapitan.

– Orłowski! – warknął dowódca.

– Przecież mówię.

Mardok parsknął, a Siekierzyński, który widząc rosłą kobietę, ustawił się za Orłowskim, by go nie dostrzegła, oparł się o plecy majora i zaczął bezgłośnie rechotać.

– Orzełek – szepnął do pozostałych członków batalionu i nikt już nie mógł powstrzymać śmiechu.

Tylko Żmij i Deckard spoglądali to na siebie, to na pozostałych wojów i zastanawiali się, czy to oni nie mają poczucia humoru, czy nagle znaleźli się wśród debili. I wyszło im to drugie.

Tymczasem Sergiusz, nie bacząc na panującą dookoła wesołość, wskazał niewielką wieżyczkę zdobiącą pakę samochodu. Były to dwa sprzężone działka Siwa.

– Kto nią zawiaduje? – spytał.

– Skrzacik – odparła Miktus. – Ma hełm sprzężony z działkami.

– Pani sierżant jakie ma doświadczenie? – rzekł Orłowski, patrząc na Olgę.

– Służyłam z panią kapitan – odparła kobietka.

– Ile lat?

– Pięć.

– Nada się – mruknął Flaszka.

Orłowski zerknął na Heintze. Do niej miał największe zaufanie, jeśli chodzi o ocenę ludzi. Ta pokiwała powoli głową, mierząc wzrokiem nowe nabytki. Sergiusz odetchnął.

Tymczasem wygolony sierżant zaprosił ich dalej.

– To Mech. – Wskazał zaopatrzone w gaśienice pojazd o płaskiej kabinie, za którą znajdowała się platforma z dźwigiem, a za nią pokaźna paka ze zdalnie sterowaną wieżyczką identyczną jak w Dażbogu. Paka obwieszona była fragmentami gaśienic, opon o różnych średnicach, łopatami, kilofami, łomami i innego rodzaju dużymi narzędziami. Tył pojazdu zdobiły dwa techniczne egzozskielety.

– Mech jest... – zaczął sierżant, ale przerwał mu miękki męski głos:

– Ja wyjaśnię.

Zobaczyli, jak z paki pojazdu zeskakuje dwóch roślących poruczników. Jeden był przy kości, drugi chudy i żyłasty. Mówił ten gruby.

– Flip i Flap – szepnął Flaszka, a Tygrzyk, usłyszawszy to, dość dokładnie się opluł.

– Porucznik Michał Chudoliński. – Opasły zasalutował.

– Na pewno „chudo”? – spytał Raczkiewicz, a Orły parsknęły.

– Zwą mnie Grubens – przyznał mężczyzna.

– Porucznik Szymon Kosikowski melduje się na służbie – rzekł drugi, salutując. – I żeby od razu uciąć przycinki, że tak się wyrażę, zwą mnie Skarpeta.

– Mam nadzieję, że świeża – powiedział z naciskiem Lenny.

– Po ojcu – odparł Kosikowski.

Historycy twierdzą, że cały batalion jakby zamarł, wojom opadły szczęki, a oczy wyszły z orbit.

Orłowski nie zapytał, jakie mają doświadczenie, bo zaczęło mu się kręcić w głowie. Na szczęście wyręczył go oprowadzający ich sierżant.

– Obaj porucznicy są inżynierami i świetnymi mechanikami. Naprawią wszystko, co tylko...

– Się zepsuje – zapewnił Grubens.

– Z wyjątkiem małżeństwa, he, he, he – próbował zażartować Skarpeta, ale jakoś nikt się nie zaśmiał.

Malik popatrzyła na Orłowskiego, a on przelotnie odwzajemnił jej spojrzenie.

Joanna знаła Sergiusza i wiedziała, kiedy robił się zmęczony. Orła nie męczyły wojna, złożone sytuacje taktyczne, wysiłek fizyczny, niewyspanie ani rany. Męczyły go znajomości, zobowiązania i ludzie. Dobrze się czuł w małym składzie batalionu, który przecież i tak był dość liczny. Teraz, wiedziała dobrze, czuł się przytłoczony. Wieczorem z pewnością usiądzie nad płachtą papieru i razem z dowódcami starych i nowych jednostek będzie próbował opracować sensowne plany taktyczne na wypadek zasadzek, ataków, podejść cichych i otwartych. „Nie będzie to łatwe – pomyślała. – Tyle pojazdów!” Zapragnęła przytulić dowódcę i pocałować jego zmęczone oczy, ale dobrze wiedziała, że nie może tego zrobić, więc tylko nieznacznie się przysunęła i musnęła jego dłoń palcami. Orłowski spojrzał na nią z wdzięcznością, ale zaraz popatrzył na inżynierów. Malik przez ułamek sekundy cieszyła się słodką chwilą, a potem ze zdziwieniem stwierdziła, że gest ten jakimś cudem dostrzegła porucznik Podgórska, która zaraz próbowała uciec wzrokiem. „Oż ty źmijko – pomyślała Joanna. – Spryciuła z ciebie, zgrabniocho. Ale trzymaj tę wypukłą dupę daleko od mojego brzydala, bo inaczej...”

– Tak czy owak – podjął Grubens – Mech został stworzony z myślą o dokonywaniu napraw na polu bitwy. Poradzi sobie z każdą usterką, przestrzeliną i uszkodzeniem, nie licząc jakichś apokaliptycznych katastrof...

– Posiada – wszedł mu w słowo Skarpeta – duży zapas części zamiennych i amunicji, ale nie martwcie się, miejsce, gdzie składujemy pestki, jest dobrze opancerzone.

– Uf. – Tygrzyk udał, że strzepuje pot z czoła.

– Jest jeszcze jeden pojazd – odezwał się wygolony. – I ten nie spodoba się panu, majorze. – Uśmiechnął się nieśmiało.

– Dobij mnie, żołnierzu.

Pomaszerowali dalej – Orły coraz bardziej rozochoczone rozrastającym się składem oddziału i jego nowymi możliwościami, a dowódca coraz bardziej przygnieciony.

– Oto jeżdżąca bomba – powiedział woj, wskazując sześciokołowy samochód cysternę. Wóz był opancerzony i wzmocniony, zaopatrzony w dużą wieżyczkę ze sprzężonym podwójnym działkiem Siwa i dziwnym miotaczem na kabinie.

– Co przewozi? – spytała Kicia.

– Paliwo i spirytus – odpowiedział sierżant.

– Ja pierdołę – sapnęła Flaszka.

– Paliwo rozumiem – rzekł Orłowski – ale spirytus?

– To też paliwo – rzucił Zgud.

– Zgadza się – poparł go wygolony. – Wszystkie wozy batalionu będą mogły jeździć na etanol. Poza tym niech pan major zerknie na tę giwerę. – Wskazał kanciastą strukturę zakończoną czymś przypominającym miotacz płomieni Zorza.

– No widzę. Na co to jest?

– Na aerozol spirytusowy.

Orły wybałuszyły oczy.

– Co? – spytał Samul i przełknął głośno ślinę.

– Obserwacje poczynione na granicy wschodniej skłaniają nas ku przekonaniu, że podpite i napite orki...

– Eee, jaka to różnica? – spytał Flaszka.

– Cicho – zbeształa go Zdzira.

– ...stają się – ciągnął sierżant – mniej agresywne, a bardziej euforyczne. Zatem w razie potężnego oblężenia Lubawa, bo tak się nazywa pojazd, może zrosić przeciwników srebrnym deszczem. Mamy nadzieję, że zaburzy to percepcję orków na tyle, że staną się nieskuteczne.

– Szatańska sztuczka – mlasnął Raczkiewicz.

– Trochu szkoda towaru – zasromotał się Tata Malki.

– To jest strategia ostateczna – zapewnił sierżant.

– No dobrze – odezwał się dowódca Orłów. – Kto będzie na tyle szalony, by prowadzić tę beczkę prochu?

– Ekhm... – chrząknął wygolony woj. – Ja.

– Ty, żołnierzu?

– Tak.

– Jakie masz doświadczenie?

Mężczyzna zasalutował.

– Sierżant Tycjan „Góral” Gucwa. Grunmor Gwardii Królewskiej.

– POLOM! – zachłysnęła się Kicia i zatrzepotała rękami.

– Od razu sobie pomyślałam, że za przystojny jest – potwierdziła Zdzira, a Wiechucka jeszcze raz przyjrzała się szczupłemu, niepozornie wyglądającemu żołnierzowi.

– Dlaczego nie jesteście w mundurze Grunmorów? – spytał Orzeł.

– Bo już nie jestem oficjalnie POŁOM-em, panie majorze. Jestem jednym z was i czuję się tym zaszczycony.

– POŁOM się przyda. Rozumiem, że Lubawa ma jeszcze dwójkę obsługi?

– Tak jest.

Do Orłów podeszły dwie młode kobiety w stopniu sierżanta. Obie karnie zaszalutowały, co przypadło Orłowskiemu do gustu.

– Sierżant Krystyna Bochenek – odezwała się starsza i rudawa. Miała wyraziste rysy twarzy i wrytą w mimikę poczciwość. – Ale proszę do mnie mówić Krych, bo wkurwia mnie własne imię.

– Ksywka? – spytał Sergiusz.

– Kawa.

– Kawa?

– Kawa.

– Dlaczego Kawa?

– Lubię kawę.

– Zbożową?

– Wmawiam sobie, że to ta dawna.

– Potężna wyobraźnia – skomentował Mardok.

Kobieta nie skomentowała tego. Orłowski przeniósł wzrok na drugą dziewczynę. Była blondynką o łagodnej twarzy i jasnych, bystrych oczach.

– Sierżant Matylda Pacholczyk melduje się na służbie – oświadczyła.

– Strasznie podobna do Brzytwy – zauważył Siekierzyński.

– Jesteście spokrewnione? – spytał Orłowski.

Kobieta przygryzła wargę.

– To była moja matka.

– O rany – wyrwało się Wiechuckiej.

– Jesteście pewna, sierżancie, że chcecie służyć w Orle? – spytał major. – Ile macie lat?

– Dwadzieścia jeden.

– Pełnoletnia – ocenił ze znawstwem Fraydey.

– Jestem pewna.

– Doświadczenie?

– Trzy lata na froncie wschodnim jako piechociarz i kierowca.

– Nic nadzwyczajnego.

– Tylda ma pewną przydatną umiejętność – wtrącił Góral. – Powiedziałbym grunmorową.

– To znaczy?

– Doskonale strzela z łuku bojowego.

– Fiu! – skomentował Wampir, a Poniadowska spojrzała na dziewczynę z zainteresowaniem.

– Jak wiemy – ciągnął POŁOM – strzelanie z tego sprzętu jest bezgłośnie, a naciąg pięćdziesięciu kilogramów gwarantuje przebicie najgrubszej orkowej czaszki, co Tylda wielokrotnie udowodniła.

– Najgrubszej? – Kicia skrzywiła się. Po starciu z Gojirami uważała się za ekspertkę od rozprawiania się z potężnymi Zielonymi.

– Z wyjątkiem Gojir – przyznał Gucwa.

– Hm?

Góral uśmiechnął się.

– No dobrze, Adolf też ma szansę. Tak czy owak, to broń o skuteczności porównywalnej z Rodem. Tylda obsługuje wieżę Lubawy i znakomicie sprawdza się jako zwiadowca.

– Rozumiem, że pan, sierżancie, jest od wódczanego spreju? – spytał Orłowski.

– Ponieważ cysterna jest najwrażliwszym punktem całego składu, jestem jej dowódcą w wielu wymiarach – odpowiedział Gucwa.

– Doskonale. Mam nadzieję, że to koniec prezentacji i uzupełnień na dziś? – odezwał się dowódca.

– Nie mamy wciąż działonowego – szepnęła Gwara. – I chciałabym zobaczyć swój nowy czołg...

– I Dażboga – poparła ją Heintze.

– Rujewita też bym przetestowała – odezwała się Podgórska.

– Ja czekam na Jaryłę – dorzucił Siekierzyński.

– Wasz sprzęt dojedzie jutro, najdalej pojutrze – wyjaśnił Góral. – Działonowy dotrze, z tego, co wiem, także jutro. Pan, panie majorze, będzie podróżował...

– Gdzie będę chciał.

– Oczywiście, ale sugerowałbym Tura. Będzie pan tam miał najlepszy ogląd sytuacji i ekran radaru. No i jest przygotowane dla pana stanowisko dowodzenia.

– A Perun? – spytał milczący dotąd Wolf. – Pilot? Widziałem z góry śmigłowiec.

– Co do pilota...

POLOM wskazał kierunek marszu i wyprowadził grupę poza ciąg pojazdów. Gdy wyszli z ich cienia i mogli spojrzeć na łąkę, zobaczyli, że istotnie stoi na niej nowy zielono-piaskowy płatowiec. Szedł od niego ku nim drobny mężczyzna trzymający pod pachą wielki hełm.

– Oto on. Kapitan Mariusz „Junior” Podgrudny. Jak wieść niesie, najzdolniejszy pilot Twierdzy. Tylko doświadczenie ma nie do końca...

– Co, do cholery?! – zatrwożył się Wolf, który zdał sobie w tym momencie sprawę, że jego życie zależeć będzie od „nie do końca”.

– Spokojnie, panowie. – Junior podszedł do nich i podniósł rękę. – Latałem rok na froncie wschodnim, przeszedłem wszystkie testy i egzaminy.

– Rok? – powtórzył Orłowski.

– Rok. Ani razu nie rozbiłem maszyny, wróciłem ze wszystkich misji...

– Godziny? – przerwał mu dowódca.

– Dwa tysiące dwieście.

– Może być.

– Zaraz – Mardok chwycił się za twarz – czy to nie ten sam, co Justynowi powiedział, że jest fiutem? Ten wiozący Gójirę?

– Moim zdaniem chujem go nazwał – odezwał się Lenny.

– Nie, nie, to było jakoś tak bardziej poetycko. – Fraydey wzniosł oczy ku niebu. – Tak lotniczo... penis?

– Pierdolisz – zaprotestował Flaszka. – Chujkiem go nazwał.

– To był fiut – oświadczył kategorycznie Żmij i na brzmienie jego głosu wszyscy zamilkli.

– Tak, fiut – potwierdził Junior.

– No to jesteś legendą! – Flaszka podszedł do drobnego pilota i objął go ramieniem. Razem wyglądali jak niedźwiedź i szop prac. – Ile osób wyszło w jednym kawałku ze spotkania z MegaZielonym? A on nawet draśnięcia nie ma! Co tak kraciasto idziesz? – spytał, zauważywszy dziwny krok pilota.

- To... skomplikowane.
- Niania miał cztery tysiące godzin – mruknął Wolf.
- Niania nie żyje – odpowiedział Orzeł szorstko. – Jesteś synem majora Mariusza Podgrudnego? – spytał pilota, gdy ten podszedł do nich z Flaszka.
- Eee... tak. Dowódcy „Stalowego Sokoła”.
- Znam majora. Jeśli w tym tu płynie choć odrobina krwi jego ojca, nada się.
- Skoro tak mówisz, dowódco... – mruknął Mardok.
- Tak mówię – odparł Sergiusz. – Witaj wśród Orłów, Junior.

Sztandar 5

W tym miejscu, jak zapewniają historycy, których zdania są oczywiście podzielone, statystyczny słuchacz tak często już zadaje pytanie: „Co tymczasem działo się z oddziałem Licho?“, że nie sposób dalej snuć historii batalionu „Orzeł Biały”, wypada bowiem powiedzieć kilka słów o dzielnej trójce zwiadowców.

Musimy zatem cofnąć się dwa dni, czyli do momentu, w którym porucznik Anna „Matka” Bieniek, kapitan Damian „Piekielnik” Podoba oraz porucznik Mateo „Szwajcar” Jakubowski wymaszerowali z sali odpraw w pałacu, podążyli z generałem Sawickim i doktor Wysocką do laboratoriów, pobrali tam czujnik pluskiew, drugi zapasowy oraz karabin na czujniki, a następnie ruszyli na plac, gdzie czekał już śmigłowiec, który miał ich zawieźć do garnizonu w Starym Buble.

Pilot, doskonale rozumiejący sytuację i potrzebę pośpiechu, poderwał maszynę, ledwie trójka wskoczyła do środka.

Piekielnik nie marnował czasu. Rozłożył na kolanach wodoodporną mapę obejmującą prostokąt, którego wierzchołkami były Bielsk Podlaski, Radzyń Podlaski, należący do byłej Ukrainy Lubieszów i białoruskie niegdyś Iwacewicz. Zwiadowca oświetlił mapę ręczną latarką i wskazał miejsce, gdzie znajduje się Stary Buble.

– Do Kobrynia od Buble jest w linii prostej osiemdziesiąt kilometrów. Czujnik się nie załapie – stwierdził.

Matka pokiwała głową i wskazała dłonią w taktycznej rękawicy Terespol, położony na południowy wschód od Buble.

– Najwygodniej by było wejść tędy. Prawie równo pięćdziesiąt kilometrów. Ale za granicą jest Brześć.

Mateo skrzywił młodą twarz.

– Od cholery zieleniny – mruknął.

– Więc tu. – Piekielnik stuknął twardym palcem miejsce na północny zachód od Terespol, gdzie niewielki fragment Twierdzy wciskał się, dzięki wijącemu się Bugowi, w obszar Białorusi. Od strony Polski mieściła się tam wieś Łęgi, a po stronie orków Terebuń.

– Trochę ponad pięćdziesiąt kilometrów – oceniła Bieniek. – Trzeba będzie od razu zrzucić się na teren wroga, za Bugiem.

– Rzekłś, Wielebna – mruknął Mateo.

– Rzekłam.

Kobieta wzięła głębszy wdech. Misje „w dupie”, jak nazywali takie wypadki, były skrajnie niebezpieczne i nawet tacy twardziele jak członkowie Licha niechętnie o nich myśleli.

– Źle kombinujemy – warknął Piekielnik. – Źle, kurwa. Jak się desantujemy w Terebuniu, będziemy mieli pięćdziesiąt sześć do miejsca, gdzie Podgrudny wysadził Gojirę. Sześć klików z buta. Bez sensu, a i to tylko, żeby dojść na skraj zasięgu czujników. Musimy mieć zapas.

– Na tej mapie jest sporo odkrytego terenu, ale od Kolapsu większość pól i łąk zarosła, pojawiły się sosny itepe – zauważyła Bieniek.

– Prawda – rzekł Piekielnik – tylko nigdy nie wiadomo, jak gęsta będzie ta osłona. Mamy dwie opcje: lasy przy Vitoškach – wskazał kompleks leśny położony około trzydziestu kilometrów na zachód od Kobrynia – tyle że jak w nie wdepniemy, to nie wydepniemy, bo skokiem można się dostać tylko tu – przesunął palec nad niewielki kompleks leśny na wschód – albo z dużym ryzykiem lasy przy rzece Muchawiec, ale to daleko i sporo miast.

Podoba westchnął ciężko. Matka spojrzała na niego bystro, bo wiedziała, że dowódca Licha rzadko tak robi.

– Nie – stęknął Jakubowski i spojrzał błagalnie na kapitana. – Nie, szefie. Nie myślisz chyba...

– Tu. – Damian wskazał rozległy kompleks leśny, który rozciągał się szerokim, płaskim łukiem na północ od Kobrynia. – Z każdego punktu tych lasów będziemy mieli maksymalnie dwadzieścia pięć kilometrów do północnych dzielnic miasta. Możemy się swobodnie przemieszczać na odległość pięćdziesięciu kilometrów na północny zachód i wschód od niego. Nawet jeśli Gojira dostanie raketowych silników w dupie, nie zgubimy go.

– A co, jeśli pójdzie na południe? – spytał Szwajcar.

– Od lasów tutaj – dowódca pokazał knieje na północny wschód od Kobrynia – do tych tutaj – stuknął palcem puszcze położone na południowy wschód od miasta – mamy sześć klików. Na zachodzie jest lotnisko.

– Prawda – powiedziała cicho Anna.

– Szefie – Jakubowski przełknął ślinę – to jest ponad czterdzieści kilometrów w dupie wroga. Jeszcze nigdy tak bardzo...

– Najwyższy czas pobić rekord Matki. – Piekielnik uśmiechnął się drapieżnie. – Nasza radiostacja ma zasięg sześćdziesięciu kilometrów. Będziemy się poruszali w granicy bezpieczeństwa.

– Do czasu – zauważyła Bieniek.

– Według wszelkiego prawdopodobieństwa Gojira pokręci się, zorientuje, gdzie jest, i zacznie wracać na zachód.

– To nie lepiej po prostu poczekać na niego w Twierdzy? – spytał Jakubowski.

– A co, jeśli skręci na południe albo na północ? Albo, czego na razie nie potrafię zrozumieć, podąży dalej na wschód?

– To może się dla nas, w sensie dla Licha, marnie skończyć – mruknął Szwajcar.

– Nie panikuj. Robiliśmy to już. I jesteśmy najlepsi.

Bieniek chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Zamiast tego pogładziła Potwora Spaghetti na piersi.

– Ubieramy się w bazie i lecimy? – spytała.

– Tak. Zaprowiantujemy się, poczekamy do zmroku, wskoczymy w latadło i każemy się zrzucić... tu. – Wskazał lasy na północny zachód od wsi Viarchi, dwadzieścia pięć kilometrów w tym samym kierunku od Kobrynia. Od południa wcinał się w nie wygodny fragment pól. Nie było tam wsi ani domów. Idealne miejsce na zrzut.

– Dużo żarcia poproszę – sapnęła Mateo.

– Nie lubię lądować przy lasach – warknęła Matka. – Zawsze rośnie tam dużo drzew.

– Niemożliwe. – Piekielnik spojrzał na nią z ukosa.

– A spadanie w nocy to w ogóle papuśna sprawa...

Dowódca popatrzył na nią groźnie spod marineski i zwiadowczyni się zamknęła.

Na lotnisku polowym w Starym Bublu powitał ich dowódca garnizonu pułkownik Paweł Richert, żołnierz o filmowej urodzie, wąskich ustach i oczach ozdobionych prostokątnymi okularami. Richert był doskonałym artylerzystą i chyba dlatego dostał dowództwo w Bublu, innych przymiotów wojskowych bowiem nie posiadał. Za odrywanie od lektury, a czytał nałogowo, potrafił żołnierzy karać, a karą za podanie mu mięsa na dowolny posiłek było odebranie przepustki. Jego popularność w Starym Bublu była umiarkowana, poważanie miał średnie, podwładni zaś nazywali go „Kapralem”, prawdopodobnie w związku z tym poważaniem. Tak czy owak, gdy ktoś mówił „Kapral” i nie wymieniał dalej nazwiska, na pewno chodziło o starego.

Towarzyszył mu adiutant, podobnie filmowy typ, ale tęższy i chociaż z twarzy inteligentniejszy, to jakby plugawszy. Był to porucznik Artur Domagała zwany „Bajerem”, bo choć przygody w życiu miał liczne, o czym świadczyły blizny na twarzy tudzież reszcie ciała, nigdy nie można było być pewnym, która historia Bajera jest prawdziwa, a która zmyślona.

– Wiemy o wszystkim – zapewnił pułkownik bez zbędnych ceregieli, przekrzykując silnik helikoptera. – Ładujcie się do łazika. Czeka na was kwatermistrz, powinien mieć wszystko przygotowane!

Członkowie Licha bez dyskusji wskoczyli na siedzenia odkrytego garnizonowego Porewita i skontrolowali ostry start pojazdu.

– Bajer, nie zgub ich – rzucił pułkownik do kierującego wozem Domagały.

– Licho Licha nie weźmie, panie pułkowniku – odparł Bajer i mocniej wcisnął gaz.

Bieniek, znająca Artura jak zły szeląg, mocniej chwyciła reling działka Siwa i podłożyła drugą dłoń pod pośladek. Czuła, że piękniś zaraz wpadnie w poślizg albo zrobi inną głupotę, a jej nie uśmiechało się goić siniaka podczas akcji na terenie wroga.

– Bajtuś – pułkownik trzepnęła adiutanta w ramię – nie popisuj się przed paniami.

Bajer wybuchnął śmiechem.

Chwilę później szli różnym krokiem w stronę głównego magazynu garnizonu, pilnie strzeżonego skarbcza, przy którego pancernych wrotach czuwali dwaj żołnierze. Tego popołudnia byli to starszy szeregowy Artur Machlowski i kapral Mateusz Budziakowski, miejscowe łobuzy, moczymordy i dziwkarze. Gdy zobaczyli zbliżających się członków Licha, nie bacząc na Richerta i Domagałę, zaczęli na głos komentować:

– Ty, popa – odezwał się Budziakowski – śmierdziele idą.

– Ale mają ciężkie plecaaki – potwierdził Machlowski. – Starzy harcerze. Nie płaczą.

– Zawrzcć mordy – odezwał się Bajer.

– Nie bajeruj – odparł Budziakowski. – Lepiej skocz po piwo, bo nudno.

– Panowie... – Pułkownik spojrział na nich łagodnie, bo zarówno jeden, jak i drugi przegrywali do niego w pokera, i to nie pieniądze, tylko książki. A że ani jeden, ani drugi nie czytał, dowódca dostawał od nich dziesiątki woluminów.

– Nic nie mówimy, panie pułkowniku – zapewnił Machlowski – tylko tak sobie w dal patrzymy...

– I wąchamy śmierdzielów – uzupełnił Budziakowski.

Żołnierze głębokiego zwiadu nazywani byli w ten sposób, bo chcąc zakamufłować swój zapach, smarowali kombinezony maścią, której woń jednym kojarzyła się z gnojem, a innym

z czymś o wiele bardziej dosadnym.

Bieniek już zwijała pięść, żeby dowalić jednemu i drugiemu, ale pułkownik pochylił się, wystukał kod na panelu przy drzwiach, te zaś cicho sapnęły i uchyliły się. Wtedy zrobiło się małe zamieszanie, bo porucznik Domagała chwycił ciężką klamkę i zaczął ją z mozołem ciągnąć, stękając przy tym i złorzecząc, Piekielnik zaś podszedł, szarpnął i otworzył drzwi razem z dyndającym na nich Bajerem.

– Nie ma za co – szczerknęła Bieniek, wchodząc za pułkownikiem.

W środku zobaczyli, że za metalową siatką, w okienku niewiele większym od przekroju tułowia względnie wyrosniętego orka, świeci ciemnym zarostem kapitan Bartłomiej Biedrzycki, garnizonowy kancelista, kwatermistrz, ochmistrz, majordomus i administrator dobytku wszelakiego. Łypiąc na zbliżających się wojów, oficer siorbnął z metalowego kubka i przezornie schował go pod ładę, po którym to ruchu pułkownik poznał, że Bartuś, jak go nazywał, znowu dołał Szpona do kawusi.

– Nieładnie, Bartuś, nieładnie – powiedział Richert, kręcąc palcem, bo nigdy palcem nie groził.

– Ależ panie pułkowniku, pora późna, to cztery gwiazdki muszą dostać energii. – Kapitan wyszczerzył zęby.

– Bartuś, Bartuś, klapsa dostaniesz. Teraz, kochanieńki, daj naszym Lichożercom, co tylko będą chcieli. Co tylko, Bartuś.

– Tak jest, panie pułkowniku, pod warunkiem że pan pokwituje.

– Pokwituję, Bartuś.

– Zatem? – Kapitan spojrzał na Podobę.

– Trzy taktyczne kombinezony antyzapachowe.

– Trzy Takanty... – rzekł Biedrzycki, zaznaczając coś w kajecie.

– Maski z filtrami.

– Trzy maski z filtrami... Pyłowe czy antytoksyczne?

– Pełne.

– Pełne...

– Hełmy taktyczne Wawel Mk 2, po dwadzieścia porcji żywieniowych na głowę...

Szwajcar wyrzucił w górę rękę.

– Szefie, jak my to uniesiemy...

– Amunicja do Torów, po piętnaście magazynków na głowę.

– Dla mnie dwadzieścia – odezwała się Bieniek.

Podoba spojrzał na nią, zamrugał i poprawił się:

– Po dwadzieścia na głowę.

Mateo zbladł.

– Nogi mi w dupę wejdą.

– I tak masz płaską – skomentowała Bieniek.

– Granaty zaczepne Kolargol, po pięć na głowę – kontynuował Damian – a dalej typowy szpej na misję w dupie.

– W dupę idziecie? – spytał współczująco Biedrzycki.

– No.

– No to dupa.

– No.

– Ile wody?

Podoba przełknął ślinę. Woda była cięższa od wszystkiego, nawet od amunicji.

– Po pięć litrów. Nie marudź, Szwajcar. – Pogroził palcem. Bo Piekielnik groził palcem, nie kręcił.

– Tajest – stęknął młodzik.

– Coś jeszcze, kochaniutcy? – spytał Biedrzycki, który tymczasem sięgnął pod ladę i siorbnął cicho z kubka, rozsyłając dookoła nieomylny zapach zbożówki zmieszanej ze Szponem.

– Wszystko. Tylko jedna prośba – rzucił Piekielnik.

– Tak?

– Szybko. Bo nam zdobycz ucieknie.

– Na Peruna, jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak się w dupę spieszył.

– Ja widziałem – rzucił Bajera.

– Ty wszystko widziałeś – odparł Bartuś. – Nawet modelki w Honolulu.

– No widziałem.

– Zielone.

– Zielonych nie...

Biedrzycki wydał dyspozycje asystentowi, a ten błyskawicznie zaczął znosić ekwipunek i głośno wyliczając jego elementy, tworzyć trzy stosy.

– Kto nas podwiezie? – spytał Piekielnik.

– Horst – odparł pułkownik.

– Ważką?

– Tak.

– Świetnie. – Dowódca spojrzał na Bieniek. – Pułap?

– Tysiąc wystarczy – odparła.

– Za nisko – odparł Podoba. – Za bardzo będziemy hałasować. Dwa tysiące.

– Już kończą tankować – zapewnił Bajera.

– Właśnie. – Piekielnik podrapał się w głowę i uśmiechnął drapieżnie do Biedrzyckiego. – Jeszcze, proszę pana kapitana, spadochroniki.

O dwudziestej trzeciej było na tyle ciemno, że można było startować. Kapitan Bohdan Horst, pilot, który miał ich dowieźć na miejsce, poinstruowany dokładnie o punkcie zrzutu, opracował trasę przelotu i zapewnił spadochroniarzy, że trafią orkom prosto w rectum per anus. Osobiście sprawdził, czy członkowie Licha wszystko zabrali, a następnie kierowany jego pewną ręką lekki samolot zwiadowczy Ważka ruszył po pasie, czyli względnie równej łące. W miarę jak maszyna zwiększała pułap, a Horst coraz bardziej szczyrzył zęby, lubił bowiem nocne eskapady, Matka mościła się w swoim osobliwym stroju przypominającym pościągany taśmami wielki kondom. Poprawiła rzepy w pasie i na nadgarstkach, bo tam strój lubił się przekręcać, wzmocniła trzymanie plecaka i spadochronu. Skok z dodatkowymi kilogramami na plecach wymagał szczególnej uwagi. Zerknęła przez nieparującą szybkę na towarzyszy. W ciemnozielonych, przewiązanych na udach i łydkach Takantach wyglądali trochę jak ninja. Sprawdzali broń i celowniki, upewniali się, że wzięli zasobniki do czyszczenia Torów, i poprawiali upakowane po szczyt plecaki.

Mdła zielona lampka we wnętrzu przedziału pasażerskiego zgasła, a zapaliła się czerwona.

– Za trzy minuty będziemy nad strefą zrzutu – oświadczył Horst.

– Ja pierdołę – mruknął Mateo. – Dowódco, wiemy, w co się pakujemy?

- Takie jest życie, Szwajcar – odparł Piekielnik. – Nigdy nie wiesz.
- Choćbyś przeżył milion różnych sytuacji – odezwała się Bieniek – i wiedział potem, jak na podobne zareagować...
- Zawsze dorwie cię milion pierwsza – dokończył Podoba ich ulubione powiedzenie.
- Przygotuj się na nieznaną. – Anna uśmiechnęła się z za swojej szybki.
- Ja pierdolę – sapnął znów Mateo.
- Co ten młody taki podenerwowany? – zdziwiła się porucznik.
- Miesiączkę będziesz miał? – spytał dowódca.
- No nie, kurwa, czy tylko ja tutaj myślę?
- Dwie minuty – usłyszeli głos pilota.
- Tak, tylko ty tutaj myślisz – zapewniła go Matka.
- Czterdzieści klików od granicy, nieznany teren, śledzenie najstraszniejszego potwora w historii Twierdzy... Czego tu nie lubić?
- Właśnie. – Wielebna wyszczerzyła zęby.
- Dlaczego w ogóle musimy go śledzić?! – nie wytrzymał Jakubowski.
- Bo jak zawróci – odparł Piekielnik – zabije dziesiątki ludzi, zanim się zorientujemy, gdzie wlaź do Twierdzy. Nie mamy tylu oddziałów, żeby się okopać na całej wschodniej granicy.
- Ja pierdziu, musimy mieć wreszcie jakieś satelity – warknął Szwajcar.
- Podobno już nad tym pracują – odparł dowódca.
- Minuta – usłyszeli Horsta.

Piekielnik podszedł do drzwi awionetki, zwolnił blokadę i z głośnym chrzęstem odsunął właz. Do wnętrza samolotu wtargnęło z hukiem chłodne powietrze. Nałożyli noktowizory. Wizjery były dostosowane do szybek Takantów i na tyle szerokie, że dobrze spełniały swoją funkcję. Świat stał się zielony. Podoba wyjrzał na zewnątrz i jego strój zaczął łopotać na wietrze. Poprawił noktowizor, po czym uniósł rękę, dając znać, że rozpoznaje miejsce zrzutu.

W kabinie rozległ się krótki sygnał, a pilot wzniósł kciuk. Odwrócił się do nich i krzyknął:

– Powodzenia, straceńcy!

Dowódca Licha bez wahania skoczył w zieloną przestrzeń, za nim ruszyła Bieniek, a ostatni rzucił się w otchłań Mateo. Powietrze dookoła nich zaczęło wyć. Bieniek spojrzała na fosforyzujący wysokościomierz. Tysiąc siedemset. Lecący przed nią i nieco z lewej Piekielnik wskazał polanę. Była ciemna, bez ognisk, pusta. Dobrze. Anna wykonała powolny obrót, by zeskanować okolicę. Dostrzegła pojedyncze ogniki na południe i na wschód od lasów. Kobryń także był jaśniejszy od otaczających go mrocznych przestrzeni. Na wschodzie zaś, dalej od miasta, była jakby ledwie dostrzegalna łuna. A może jej się wydawało? Zerknęła na wysokościomierz. Tysiąc dwieście. Na tym pułapie nie ryzykowała już obrotu, by sprawdzić, gdzie jest Mateo. Znał się na robocie i wiedział, jak powinien się ustawić, by nie uderzyć w jej czaszę. Wysokościomierz. Osiemset. Jeszcze chwila...

Dowódca rozłożył spadochron. Niemal równocześnie z nim zrobiła to Bieniek. Szarpnęło i nagle huk powietrza ustał. Zakołysała się, by zlokalizować Matea. Był za nią i spokojnie opadał. Piekielnik ściągnął wodziki i ostrymi łukami zaczął zbliżać się do jasnozielonej ziemi. Matka zrobiła to samo i wiedziała, że Szwajcar powtórzy manewr dowódcy. Widziała już polanę, która w ciągu kilkunastu lat, przez które nie aktualizowano map, zamieniła się w szkółkę leśną z rozsianymi sosnami. „To tałatajstwo rośnie wszędzie jak chwast” – pomyślała, szukając miejsca do lądowania. Podoba skręcił w lewo, dając jej więcej przestrzeni. Przesunęła się do przodu, tak by Mateo znalazł też coś dla siebie. Zanim ostatecznie wybrała sensowne lądowisko,

zatonczyła koło, by się upewnić, że są sami. Przy założeniu, że orki zawsze noszą przy sobie pochodnie – byli.

Minęła szczyty niewielkich sosen, ściągnęła wodziki tuż przed zetknięciem się z trawą i delikatnie dotknęła stopami gruntu. „Idealnie” – pochwaliła się w duchu i natychmiast szarpnęła spadochron. Gdy Mateo także wylądował, Piekielnik nakazał gestem odpięcie czasz. Bieniek zdjęła plecak, wyszarpnęła z trzymadła u jego boku saperkę, odpięła spadochron, podbiegła do najbliższego drzewa i kilkoma energicznymi ruchami wykopała regularny dół. Wrzuciła do niego czaszę, trochę żałując, że się zmarnuje, i zakryła ją starannie ziemią i darnią. Dała znać dowódcy, że skończyła. W tym czasie Szwajcar i Piekielnik osłaniali ją, skanując otoczenie w promieniu stu osiemdziesięciu stopni każdy. Teraz przyszła kolej na Matea, którego osłaniali Anna i Damian. Ostatni ukrył swój sprzęt dowódca, po czym nakazał Bieniek wysmarować kombinezon maścią „Ś”. Kobieta wyciągnęła słoik i bez żadnych oporów naniosła na brzuch, piersi i uda umiarkowaną warstwę mazidła. Potem ubezpieczała podczas tej samej czynności Szwajcara, a następnie oboje strzegli dowódcy. Wreszcie Podoba polecił Matce, by wyciągnęła lokalizator. Dwóch mężczyzn znowu ją osłaniało, a ona wydobyła z plecaka podłużny przedmiot, włączyła go i spojrzała na rozjarzający się ekran.

– Psiakrew, za jasne to jest – szepnął Podoba, wskazując aparat. – Przykryj!

Bieniek i bez tego wiedziała, że lokalizator za mocno świeci, i odruchowo zakryła go ręką. Przesunęła noktowizor na czoło i raz jeszcze zerknęła na wyświetlacz. Urządzenie było na tyle zmyślne, że niezależnie od położenia zawsze ustawiało mapę zgodnie z kierunkami świata, więc nie trzeba było zestrajać go z kompasem. Kobieta obróciła się tak, by wskazywało mniej więcej Kobryń. Czerwoną kropkę zobaczyła na północny wschód od miasta... a drugą dużo bliżej, na północ od wsi Dubawoje.

– Co jest? – szepnęła i stuknęła w urządzenie, ale to uparcie pokazywało dwie lokalizacje.

Przywołała dowódcę. Ten klepnął Szwajcara na znak, że ma skanować teraz całe otoczenie, i podszedł do Matki.

– Szefie, są dwie lokalizacje – szepnęła.

– Widzę – warknął Podoba.

– Co to oznacza?

– Zgubił jedną i idzie z drugą albo zgubił obie.

– Jeśli zgubił tylko jedną, to którą? Obie są chyba nieruchome. Śpi?

– Może. Na mój gust sensowniejsza jest ta bliżej.

– Zaszedł trochę na wschód, zorientował się, gdzie jest, i wraca?

– Tak.

– I teraz odpoczywa?

– Tak.

– Logiczne. Czyli co? Najpierw idziemy do tej bliższej?

Dowódca westchnął, bo nie spodziewał się, że spotka potwora tak szybko.

– Tak jest.

– I co? – szepnął Mateo do komunikatora.

– Są dwie lokalizacje. Jedna bliżej, druga dalej.

– Dwie? – upewnił się Jakubowski.

– Dwie. Nieruchome.

– Kurwa.

– Idziemy najpierw do tej bliższej. Podejrzewam, że znajdziemy tam Gojirę, więc najwyższa

gotowość.

– Ja pierdolę...

– Spokojnie, żołnierzu, nie będziemy polować. To tylko obserwacja.

– Widzieliście lunę na wschód od Kobrynia? – spytała Matka.

– Tak – odparł Piekielnik. – Pewnie jakaś wataha. Teraz to najmniejsze zmartwienie. Bieniek, sprawdzaj te punkty co piętnaście minut.

– Tajest.

Podoba rzucił okiem na kompas, wyciągnął smartfon i włączył mapę.

– Przed nami marsz trzy i pół klika na północny wschód. Trzymamy się krawędzi lasu, żeby mieć widok na okolice Kobrynia. Potem skręcamy na wschód, żeby wciąż być pod osłoną lasu, a jeśli Gojira zacznie się przemieszczać, być za nim, nie przed nim. Pytania?

Mateo i Bieniek milczeli.

– Broń w gotowości, pełny skan, koncentracja. Bieniek szpica, ja prawo, Mateo lewo.

Ostrożny marsz w zielonej ciemności zajął im godzinę i było po północy, gdy znaleźli się nieopodal wsi Barzdziły. Już przed Kolapsem była mała, teraz zaś najprawdopodobniej została opuszczona – nie świeciło się tam ani jedno światło, było cicho, nie szczekały psy, nie piały koguty. Wschodnie orki miawały psy, czasami dwugłowe i głupie, ale ogólnie potrzeba czworonogów, by mieć pana, była tak wielka, że po kilku latach wzajemnego obwąchiwania się litewscy i białoruscy Zieleni nauczyli się współistnieć z Burkami, zamiast je zjadać. Brak szczekania był zatem dość pewnym dowodem na to, że w Barzdziłach orków nie ma. Członkowie Licha przez chwilę zastanawiali się, czy jest sens odwiedzać sioło, ale ostatecznie stwierdzili, że – nomen omen – lichy śpi, więc nie warto. Usłyszawszy ostateczną decyzję dowódcy, Mateo odetchnął z ulgą.

– Szefie – szepnęła Bieniek, wskazując osłonięty dłonią ekran czujnika. – Obie pluskwy wciąż są nieruchome.

– Hm – mruknął Piekielnik. – Odległość?

– W linii prostej niecałe szesnaście do lokalizacji pierwszej i dwadzieścia dwa kliki do drugiej.

– Dwie i pół godziny marszu do pierwszej – obliczył dowódca. – Powinniśmy być tam przed czwartą.

– Będzie świtać – zauważyła Bieniek.

– Odległość od pluskwy do najbliższego lasu?

– Siedem i pół klika na północ.

– Tam jest odkryty teren – miauknął Mateo.

– Na terenach orków nie ma już odkrytego terenu, Szwajcar – zmytygował go Piekielnik. – Musimy to sprawdzić, i to pronto, bo jak nam ślad wystygnie, będzie problem.

– Jak na mój gust obie pluskwy zostały zgubione – szepnął Jakubowski.

– Dlaczego?

– Nie ruszają się.

– Gojira też musi czasem odpocząć.

– Nie kupuję tego.

– Tak czy owak, musimy to sprawdzić.

– Tajest.

– Bieniek, gotowa?

Porucznik sprawdzała trasę i wyznaczała ją tak, by omijać wsie.

– Już prawie.

– Dużo nadrobimy?

– Nie. Tu jest tylko jedno duże sioło: Stryhawa. Weźmiemy je od południa.

– Jak ktoś musi sikać, to teraz. Potem zabronię.

Mateo uniósł rękę.

Gdy Mateo, Bieniek i na końcu Piekielnik uporali się z oddawaniem uryny, co w Takantach było sporym wyzwaniem, ruszyli do przodu niczym trójka dalekowschodnich asasynów mających wdrzeć się do pałacu wielmoży i po cichu go zgładzić. Szli nisko i niemal bezszelestnie, wykorzystując każdą nierówność terenu i każde młode drzewo. Przecinali nieużywane drogi zarośnięte wysokimi ostami, pokonywali pełne drzew i krzaków pola, mijali w bezpiecznej odległości straszące wybitymi szybami opuszczone domy i zbliżali się od wschodu do wsi Stryhawa, która, niestety, była zamieszkana, na co wskazywało kilka ogników tańczących na ścianach odległych budowli.

Niezauważeni dotarli na południe od Stryhawy i skierowali się tam, gdzie na skanerze Matki błyszczał bliższy punkt, a było to na północ od wsi Dubawoje. Pół kilometra przed celem zwolnili i zaczęli poruszać się niezwykle czujnie. Gdy zbliżyli się na dwieście metrów, oczy niemal wychodziły im już z orbit, chcąc przebić się przez młode sosny i dostrzec, co jest dalej. Ostatnie pięćdziesiąt metrów się czołgali. Na szpicy był Piekielnik, na prawo Matka, na lewo Mateo. Dowódca podniósł rękę zwinętą w pięść i pozostali zwiadowcy zamarli, wstrzymując oddech. Podoba wychylił głowę nad wzniesienie i bacznie obserwował coś, czego reszta Licha nie widziała.

Podczołgał się jeszcze metr...

i wtedy...

do ich uszu...

doszło...

basowe orkowe mamrotanie.

– Kurwa, jest – szepnął Mateo.

– Spierdalajmy, szefie – zasugerowała Matka.

– Cicho – mruknął dowódca. – Wycofajcie się na boki. Matka dwadzieścia metrów na prawo, Mateo tyle samo na lewo. Odbezpieczyć broń, strzelać na rozkaz.

Podopieczni Podoby odczołgali się i zameldowali o gotowości. Mając tak zabezpieczone flanki, kapitan podpełzł dalej i zorientował się, że znajduje się na skraju zaniedbanej drogi. W pyle traktu leżał tam motocykl ozdobiony w geigerowskim stylu czy raczej walały się jego fragmenty. Wokół maszyny widać było ciemne plamy, najprawdopodobniej krwi. Mamrotanie dochodziło z parowu po drugiej stronie drogi.

Podoba niezwykle wolno nałożył na gogle filtr podczerwony. Motocykl był jeszcze ciepły, a masa, która co chwila mamrotała za drogą, wręcz promieniowała ciepłem. „O co tu chodzi? – zadał sobie pytanie. – Jaki związek ma ten motor z Gojirą?” Orkom zdarzało się dosiadać motocykli, ale były inaczej zdobione niż ten i inaczej opancerzone. Ten wyglądał na ludzki. Kto robi tak głębokie wypady na teren Zielonych?

– Licho – szepnął – podczołgać się do krawędzi drogi. Ocena terenu.

Po dłuższej chwili zwiadowcy zameldowali się na pozycjach.

– Szefie, to jest świeże – szepnął Mateo.
– A nam się wydawało, że jesteśmy debeściaki – sapnęła Anna.
– Co masz na myśli, Matka?
– To ludzka maszyna.
– Skąd pewność?
– Tablice rejestracyjne, za błotnikiem ludzka spluwa bez drewna przedłużającego chwyt i spust.
– Dobra robota, Bieniek. Ode mnie nie widać.
– Co on tu robił? – spytał Szwajcar. – I gdzie jest teraz?
– To oczywiste – odparła Matka. – Żre go Gojira. – Zerknęła w stronę położonego na południe Dubawoja. Świeciło tam pojedyncze światło. – Wieś jest zamieszкана.
– Jechał z południa na północ – ocenił Mateo, patrząc na ślady opon. – Przejeżdżał przez wieś. Spieszył się. Długi ślad hamowania. Wpadł w poślizg na piachu. Zielony musiał go zaskoczyć.
– Ten, który go żre, niekoniecznie musi być Gojirą.
– Mieszkaniec wioski? – spytała Bieniek.
– Ale skąd w takim razie pluskwa? – poddał Mateo.
– Uwaga! – syknął Piekielnik.
Masa mruczająca na skraju drogi poruszyła się, jakby zaśpiewała, po czym potężnie beknęła i zaśmiała się. Następnie zaczęła się przemieszczać w prawo, w stronę wsi, przy akompaniamencie wyraźnego skrzypienia, jakie wydawać może tylko dwukołowy wózek.

Lizawieta Michajłowna z domu Kanigowskaja, jedna z dwojga mieszkańców sióła Dubawoje, uwielbiała poziomki, od swej babki wiedziała zaś, że najlepsze zbiera się podczas pełni księżyca. Tej magicznej nocy miała nastać pełnia, wyszła więc z domu tuż przed zachodem słońca w letniej sukience, nieco przetartej na biodrach, ale ozdobionej własnoręcznie przez nią wydzierganymi z włóczki kwiatuśkami i styropianowymi bombkami z dekupażem. Co prawda szpony Lizawiety nie były już tak sprawne jak jej dawne ludzkie palce, ale wciąż pamiętała, jak się robi bombki i kwiatuśki, gdy zaś odzyskała przytomność po gwałtownej przemianie, widziała na ścianach domów Dubawoja kwiaty ludzkiej krwi, a na drogach fantazyjnie rozproszone wnętrzości, co niewątpliwie inspirowało jej artystyczną duszę. Stwierdziwszy z niejakim zdziwieniem, że ona i jej mąż Grigorij są jedynymi żywymi mieszkańcami sióła, przeszli się wśród domów, posprząтали zielone zwłoki i spalili je, a resztki Bliadych pokroili i zawekowali na zimę.

Teraz Lizawieta przechadzała się po łąkach na północ od Dubawoja i ciesząc oczy cudnym kolorem wieczornego nieba, zbierała do koszyczka jagody oraz cierpliwie czekała na noc, by zebrać łypiące na nią jaskrawą czerwień poziomeczki. Nagle usłyszała głos Grigorija od sióła, a potem zbliżający się motocykl. Doskonale wiedziała, dlaczego Grigorij drze się, jakby mu ktoś serce wyrwał.

– Oż ty w żopę kopany! – warknęła. – Spać porządnym swierchom nie dajesz, to ja ci pokażę...

Radziu Przybyłek nazywany był przez mieszkańców wsi Kukuryki Śmierdzielem bądź Debilem, chociaż sam z uporem maniaka kazał się zwać Predatorem. Kukuryki, w których mieszkał, leżały

tuż przy granicy, wzdłuż drogi, która nad Bugiem zamieniała się w zgrabny dwupasmowy most, z którego po Kolapsie zostało tylko jedno pasmo, zawsze pilnie strzeżone przez dzielnych wojów. Predator miał w zwyczaju zakładać kamizelkę kuloodporną, na nią własnoręcznie wykonaną zbroję pełną pasów, blach ochronnych, siatek tudzież szmat, a na głowę hełm z grubsza przypominający kask hollywoodzkiego potwora. Na grzbiet dokładał dwie sztuki broni, do kabury na udzie pistolet, sportową kamerę zaś w slot na kasku i tak wyekwipowany dosiadał swego Nostroma, pancernego motocykla klasy Junak Turbo zaopatrzonego w dospawane i stylistycznie dopasowane do zbroi osłony nóg oraz wysoką kuloodporną szybę. Następnie ruszał z piskiem opon prosto na drogę numer sześćdziesiąt osiem, machał żołnierzom straży granicznej, którzy puszczali go, kręcąc pobłaźliwie głowami, bo wiedzieli, że Radziu jest pierdolnięty, odkąd stracił w trakcie zawieruch przy granicy całą swoją rodzinę złożoną z mamy, taty i psa. Jeździł zatem Radziu, niczym John Wick, na Białoruś szukać zemsty, a i materiały czasem ciekawe przywoził nagrane steraną, ale wciąż działającą kamerą GoPro. Dziwili się i woje, i członkowie niewielkiej społeczności Kukuryków, że chłopaczyna wraca ze swoich szalonych wypraw cały, i niektórzy gadali, że Śmierdziel tylko opowiada, że zapuścił się trzydzieści czy czterdzieści kilometrów na teren wroga, podczas gdy tak naprawdę przy granicy się kręci i po prawdzie gównem tam widział i gównem tam wie. Wojskowi nie podzielali tych opinii, bo na własne oczy widzieli nagrania Predatora, ale ludzie i tak wiedzieli swoje. Radziu popierdolony był, śmierci szukał i na pewno wcześniej czy później ją znajdzie, bo Zielone Krainy to jedna wielka śmierć i człowiek pobożny nie powinien ich odwiedzać, aby bogom się nie narażać. Radziu jednak jeździł tam dalej.

Tego dnia, dwudziestego dziewiątego czerwca 2057 roku, Predator zatankował Nostroma do samego rantu, ubrał się, jak powiedziano wyżej, i pomknął na północny wschód z łopotem siatek i szmat przymocowanych do zbroi. Tym razem postanowił dotrzeć na północ od Kobrynia i sfilmować dokładniej to, co kilka dni wcześniej udało mu się dostrzec z wielkiej odległości. Kamera zarejestrowała coś podobnego do dziwnego totemu, Radziowi zaś wydawało się, że gromadzące się wokół obiektu orki odprawiają podejrzaną rytuały. Teren był to niebezpieczny, orków całkiem sporo, i to z różnych band, miał jednak nad nimi Predator przewagę: prędkość Nostroma oraz pancerz pojazdu, którego – gdy jechał na wprost – nie były w stanie przebić pociski z kałasznikowów. Przybyłek pokładał tak wielką ufność w mocy swego motocykla, że od jakiegoś czasu po przejechaniu granicy odkręcał tłumik, jakby chciał oznajmić Engelsonom, że się ich nie boi, przeciwnie, drwi z nich na całego, dudniąc cylindrami i zakłócając spokój przygranicznych terenów. Wracał ze swoich eskapad różnymi drogami, lecz szczególną miłością darzył sioło Dubawoje, mieszkała tam bowiem tylko jedna para łagodnych orków, których uwielbiał drażnić rykiem silnika. Zieleni wybiegali wtedy na drogę i wygrażali mu kułakami, a on śmiał się, jadąc jak szalony i wiedząc, że nic mu nie mogą zrobić.

Teraz jednak daleko było jeszcze do powrotu, gdyż dotrzeć chciał Radziu do owego totemu, sfilmować go i dostarczyć materiał dowódcy garnizonu, pułkownik Emilii Wyciślak. Mknął zatem bocznymi, zarośniętymi drogami, aż dotarł do biegnącej od Kobrynia na północ trasy z zardzewiałym i przekrzywionym numerem P102. Wtedy to zobaczył klucz polskich śmigłowców typu Perun, z których jeden wylądował na łące w lesie skrywającym totem. Zaintrygowany tym, pomknął Predator przed siebie i dotarł do wsi Imianin. Tam zamaskował swój wehikuł i ostrożnie wlaź w las, zdając sobie sprawę, że z każdą chwilą naraża się coraz bardziej, bo swoim zapachem wabi śmierć. Miał na to jednak Przybyłek pewien domowy sposób, który zapewne przyczynił się do tego, że w Kukurykach zwano go Śmierdzielem. Rzadko się

myśl, a ponadto smarował odzienie różnymi paskudztwami, w tym sokiem ze zdechłej żaby. Tak oftalmologicznie zaopatrzony napał Predator na rzadką ścianę lasu i rozglądając się bacznie, coraz bardziej oddalał się od Nostroma, czym niezawodnie dowodził, że istotnie jest popierdolony, bo nikt normalny by się tak nie zachowywał. Po kilku minutach marszu dotarły do jego uszu odgłosy bijatyki czy innej kłótni, zatrzymał się więc, nasłuchując. Dźwięki jednak szybko ucichły w mokrym powietrzu i poczuł Radziu jakąś euforię, nawet wizje przez chwilę miał jakoweś, ale że jego kamera wizji nagrywać nie potrafiła, historycy mają wątpliwości, jakiego charakteru było to zwiastowanie. Wreszcie znalazł się nasz motocyklista na skraju polany mieszczącej obiekt kultu i zadrzał, ujrawszy ów straszliwy totem z bliska, bo na jego kolcach dyndały stanik, gwiazda czerwona i misiu pluszaty, olbrzym zaś, jakiego nikt wcześniej nie widział, a zielony był niczym świeżo skoszona trawa, tkwił tam i o czymś dyskutował z resztą towarzystwa pośród orkowego truchła. Niedługo jednak trwała ich rozmowa, bo w końcu gigant machnął wielką łapą i najwyraźniej zgodziwszy się co do czegoś z resztą orków, poszedł głębiej w las, a za nim poczłapała reszta bandy oraz potoczył się olbrzymi pojazd dźwigający coś na kształt tuby. Gdy wszystko ucichło na dobre, odważył się Predator wychynąć na polanę, by sfilmować totem, w którego paszczy buzował ogień, rozsiewając zapach pieczonego mięsiva. Zadrzał Radziu z mistycznego lęku przed nowym bałwanem zmutowanej ludzkości i zapragnął zrejterować, ale reporterska dociekliwość nie pozwoliła mu na pospieszne opuszczenie polany. Obejrzał więc wszystkie zewłoki, trącił pancernym butem jedno truchło z drugim, rozważając nawet, czy nie złupić truposzy, ale zaraz porzucił ten pomysł, bo odstręczała go myśl, że będzie na sobie nosił coś orkowego. A nuż ta zielona zaraza jest zakaźna? Jego uwagę przyciągnęła za to wielka hałda, najwyraźniej utworzona całkiem niedawno, ale że nie potrafił wyjaśnić ani jej pochodzenia, ani przeznaczenia, znowu przyjrzał się poległym. Gdy spojrział na otwartą łapę jednego z nieżywych, którzy, jak twierdził Platon, zobaczyli koniec wojny, spostrzegł coś interesującego. Był to obiekt wielkości pistoletowego pocisku, może trochę mniejszy, zakończony trzema ostrymi kolcami z haczykiem. Nie wyglądał ani trochę na technologię Zielonych, raczej na ludzką, i to tę z wyższej półki. Skojarzył się Radziowi z filmami science fiction i dzielny nasz bohater pomyślał natychmiast, że Peruny, które widział niedawno, musiały mieć jakiś związek z tą drobiną i wszystkim, co zaobserwował na polanie. Pochylił się, zgarnął z wielkiej łapy podejrzany przedmiot i wrzucił go do przyczepionej do pasa prostokątnej sakwy. Rozejrzał się raz jeszcze i stwierdziwszy, że niczego więcej ciekawego nie widać ani tu, ani dalej, pomknął w las za zielonym tłumem, który w nim zniknął. Ktoś trzeźwo myślący mógłby w tym momencie powiedzieć, że był to krok nierozsądny. – Radzio powinien wrócić do Nostroma i spieprzać, póki uśmiechało się do niego szczęście. Jednak Przybyłek nie był w ciemię bity. Idąc przez las, wcisnął jeden z guzików namalowanych na osłonie przedramienia, zupełnie jak u filmowego Predatora, i tak oto stał się... niewidzialny.

Jako taki dotarł do kolejnej polany i zobaczył dwa olbrzymie pojazdy dźwigające coś na kształt rakiet balistycznych i zaopatrzone w wielkie łychy spychaczy, a wokół nich orki palące ogniska. Olbrzym stał dalej i rozprawiał o czymś z orczycą dosiadającą olbrzymiego zielonego konia i innym orkiem, także wielkim, ale jakby rosochatym, z gałęziami wyrastającymi mu z grzbietu. Sfilmował Predator wszystko, a potem zdumiał się, zabrzmiał bowiem wśród ognisk orkowy głos, potem drugi i trzeci i był to bodaj pierwszy w historii przypadek, gdy człowiek usłyszał śpiewających Engelsów. Skry szły w niebo, a w uszy Radzia uderzyła pieśń *Wyjdu nocz'ju w polie z koniom*. Na początku brzmiała po prostu jak melodyjne pomrukiwanie dobywane z grubych gardeł. Z każdym jednak taktem do pieśni dokładały się kolejne basowe

głosy, a żaden nie fałszował, o nie. Bo wschodni ork, nawet najbardziej dziki, nieustępliwy i krwawy, gdy zapłonie ognisko i kamraci zaczną śpiewać, staje się artystą, a jego serce wyrwa się ku gwiazdom i krainom niemożliwym. Aż przysiadł Radziu, usłyszawszy tę mocarną pieśń, i zagubił się w kopule dźwięku, która zaczęła migotać nad polaną, a dusza jego zawyła, słysząc brzmienia dobywane z potężnych gardeł. „Ja wlublon w ciebia, Rossija, wlublon”, śpiewały orki, a duch Przybyłka ulatywał wraz z mocarną pieśnią na nieznane stepy, gdzie gnał na olbrzymim niedźwiedziu otoczony braćmi i siostrami, i nagle jego dusza dostała skrzydeł, a on poczuł, jakby chciał objąć cały wszechświat, i przez chwilę pragnął usiąść z orkami i dołączyć się do tej cudnej pieśni... Ale nie dane mu było, niestety. Śmierdziel śmierdzielem, nie miał jednak Predator specyficznej mieszanki genów Podoby, Matki czy Szwajcara i zauważył, że orki zaczynają węszyć. Wycofał się więc czym prędzej, a upewniwszy się, że zieleni melomani już go nie widzą, pognał przez knieję, modląc się do wszystkich bogów, by ta eskapada zakończyła się sukcesem, tak wielu ciekawych rzeczy jeszcze bowiem podczas swoich wypraw nie widział. „Opłacało się pojechać dalej – myślał gorączkowo – opłacało się! Ten zielony olbrzym, ta pieśń, ten rosochaty ork, ten koń zielony, oj, materiału na całe lata!” Dopadł wreszcie Nostroma, odpalił silnik i ze zgaszonymi światłami, niczym jeździec Apokalipsy, runął znanymi sobie drogami, aż dotarł do wsi Dubawoje, przez którą, już całkiem rozluźniony, przejechał, a jakże, podkręcając gaz. Wypadł na pobocze znany mu ork i wygrażając wielką pięścią, zaczął się drzeć wniebogłosy, ale Radziu w dupie miał jego pohukiwania. Nie zwrócił uwagi dzielny nasz Predator na to, że ork ów darł się wyjątkowo długo, oraz zignorował fakt, że tym razem na drogę wyskoczył tylko samiec.

Słyszając wściekły warkot motocykla i swojego ślubnego, Lizawieta skoczyła w parów przy drodze, by obmierzyć łobuz jej nie zauważył, a gdy już miał minąć jej pozycję, wyskoczyła niczym straszliwa walkiria i z rozłożonymi łapami tudzież nogami runęła na Radzia, zrzuciła go z Nostroma i przygniotła pokaznym cielskiem do ziemi. Och, jaką satysfakcję poczuła, gdy z głośnym chrupnięciem pękających kręgow i bulgotaniem krwi z rozdartych tętnic oddzieliła głowę łobuza od tułowia! Jego zapach, bardzo wytrawny, szlachetny niczym pleśniowy ser, sprawił jej rozkosz wielką, a potem uzmysłowiła sobie, że będą mieli pierwszorzędnego bliadego żarcia na najbliższe dwa tygodnie!

– Grigorij! – wrzasnęła do męża, rozważając, ile to będzie kilogramów mięska, podczas gdy mięsko wciąż jeszcze wierzało w drgawkach. – Przynieś weki!

Idący śladem pluskwy oddział Licho natknął się na Lizawietę, gdy biegła ta gospodyni kończyła pakowanie poszczególnych kawałków mięsiwa do słoików, mamrocząc z rozkoszy, po wydobyciu bowiem Bliadego z jego zbroi i ciuchów okazało się, że całkiem dużo na nim jadła wszelakiego, a i słoninka do zapitki się znajdzie. Kroiła zatem Kanigowskaja ostatnie tuszki, pakowała i zakręcała, pakowała i zakręcała, nucąc cicho „Pust' wsiegda budiet sołnce” i ciesząc się, że przy pełni księżyca mięsko będzie lepsze. Chwilami przypominała sobie o leniwym Grigoriju, który weki, owszem, przywiózł na skrzypiącym wózku, ale żonie w kucharskim znoju pomoc nie chciał. Oderwał sobie tylko łydkę i zaczął się zbierać do domu „na mecz”.

– Gdzie, jełopie, będziesz mecz oglądał, jak my od lat prundu nie mamy?! – odezwała się. Ale Grigorij był niewzruszony.

– Jest popcorn – wskazał oderwaną łydkę Predatora – będzie mecz.

– Już ja znam twój popcorn! Pagandogów się znowu nażresz i będziesz miał wizje!

Tu należy zaznaczyć, że po białorusku „paganka” znaczy „muchomor”, pagandog to zatem potrawa składająca się z tego zacnego grzyba owiniętego w zasadzie czymkolwiek – liściem łopianu, trawą, szczawiem czy babką – byleby zachować kulinarną formę znaną z dawnych czasów. Warto też dodać, że ugnieciony, a czasami pokruszony i ususzony muchomor, owinięty w tekturę lub brzoźową korę, także był nazywany pagandogiem – przez Rosjan pogandogiem – ale nie był zjadany, tylko palony jak papierosy.

– Ile razy mam ci powtarzać, że tylko ci ze Specnazu potrafią puszczać halucynogeny po muchomorach? – ciągnęła Lizawieta. – Idą na zachód transporty pagandogów i spirytusu i oni wiedzą, co z tym robić, a ty się w komandosa tylko, proszę ciebie, bawisz. Zawsze się po pagandogach źle czujesz. Do tego trzeba mieć ten, no... przeszkolenie.

– Źle się czuję, jak zjem za dużo albo się upalę.

– Zawsze za dużo jesz – warknęła Lizawieta.

– No muszę, bo dzisiaj Liga Mistrzów.

– I gdzie będziesz ją oglądał, ty głupi ty?

– W wyobraźni, kobieto, w wyobraźni. Ale przed telewizorem usiądę, bo on dobrze kat... kala... lizuje wyobraźnię.

– Dupobraźnię.

– Pop swoje, czort swoje, a ja swoje wiem. Dzisiaj gra Tiwali Mińsk z Polimirem Nowopołock.

– I kto wygra?

Grigorij postukał się kolanem Śmierdziela w czoło.

– Kobieto! Skąd mam wiedzieć przed meczem? Obejrzę i ci powiem. Uch, ale pachnie ta słoninka! – skomentował i oderwał kłem kawałek chrząstki kolanowej, po czym zaczął chrupać z ukontentowaniem. – No nie wiem, czy dzisiaj muchomory będą potrzebne, bo ten pachnie, że uch! Aż się we łbie kręci!

– No! – Lizawieta uśmiechnęła się. – Że się oczy wywracają. No to idź, idź, oglądaj ten mecz. I pamiętaj, że będzie prawdziwy mecz. Pojutrze... czy jutro? Nie pamiętam.

– Sprawdzę w kalendarzu.

– No. Trza wziąć jakieś pokrywki do kibicowania.

– I siekierkę.

– I tasaczki.

– Dobra, idę.

– Tylko z muchomorami nie przesadz, bo łeb cię będzie bolał.

– Jak zapiję spirytusem, to nie rozboli.

– Weków chyba starczy – oceniła orczyca, patrząc na rozłożone dookoła słoiki. – Trzeba będzie zagotować. Chyba... Bliat... – Podrapała się w łysiejącą czaszkę, uświadamiając sobie, że nie bardzo już pamięta, na czym polega wekowanie. – Ty, Grigorij, się gotuje weki?

– No gotuje się, żeby bakcyle wybić.

– Bakcyle?

– No tak.

– Ale ty mądry jesteś, Grigorij.

– Telewizję oglądam, pagandogi palę, to mądry jestem – odparł jej mąż i zarzuciwszy gicz na potężny bark, począł się oddalać. – A ten jego pierdzący motocykl i graty obejrzę za dnia! –

rzucił przez ramię. – Może da się coś z tego poskładać! Uch, pojeździłbym sobie...

– Ta – mruknęła do siebie Lizawieta. – I znowu będzie hałasował.

Tak było.

Teraz Kanigowskaja kończyła swoją robotę, z satysfakcją patrząc na stos ogołoconych kości Bliadego, które oczywiście posłużą za popcorn dla Grigorija. Przesunęła słoje na wózku, wrzuciła obok nich szkielet i podśpiewując, ruszyła w stronę domu. Wózek skrzypiał niemiłosiernie i podskakiwał na wybojach, spróbowała więc wepchnąć go na drogę, ale że trakt znajdował się na wzniesieniu, nie szło jej. Napała mocniej i szkielet z głośnym chrzęstem zsunął się z platformy.

– Bliat! – wrzasnęła wściekła, a jej ryk poniósł się po okolicznych błoniach.

– Chyba się zesrałem – zameldował Mateo.

– Smacznego – skomentowała Bieniek.

– Szefie, to Gojira – zapewnił Szwajcar. – Takiego ryku nigdy jeszcze nie słyszałem.

– Skąd to skrzypienie? – spytał Piekielnik.

– Nie mam pojęcia – odparła Matka.

– Dlaczego idzie po drugiej stronie drogi? – szepnął dowódca.

– To jakiś podstęp – rzekł Szwajcar.

Tymczasem Lizawieta dźwignęła klatkę piersiową Predatora i ułożywszy ją z powrotem na wózku, lepiej przyjrzała się nachyleniu drogi. Wyglądało na niepokonywalne.

– Noż kurwa! – zakłęła i beknęła potężnie, bo uczciwie sobie podjadała podczas wekowania. – Grigorij! – ryknęła w stronę wsi. – Griiigoriijj!!!

– Szefie, ja spierdalam – oznajmił Mateo.

– To dobry pomysł – stwierdził Piekielnik, usiłując wpłynąć na swoje włosy, które stanęły mu dęba od niezziemskiego wrzasku, jaki dotarł zza drogi. – Cofamy się dwadzieścia metrów. Broń w pogotowiu, nie strzelać bez rozkazu.

– Tajest.

– Griiigoriijj!!! – wrzasnęła Lizawieta tak, że aż pochyliły się trawy.

Wtedy z chałupy wytoczył się jej mąż.

– No czego, kurwa?!

– Pomóż z wózkiem, bo nie mogę na drogę wtoczyć!

– Ale mecz oglądam!

– No ale ja tutaj nie dam rady!

– To se tocz po obłokach!

– Po jakich, kurwa, obłokach?!

– No pobokach drogibokach!

– Już się napierdolił muchomorami ze spirytusem – warknęła orczyca i pchnęła wózek tak mocno, że coś trzasnęło przy osi i jedno koło odpadło.

W tym momencie Lizawieta Michajłowna Kanigowskaja rozwarła paszczę tak szeroko i ryknęła z taką wściekłością, że zerwały się okoliczne kuropatwy, te dwugłowe, wiecie.

– O Perunie – szepnął spanikowany Mateo – jaki wkurwiony. I ma kolesia we wsi. Było coś na odprawie o dwóch Gojirach?

– Nie – warknął Piekielnik.

– Może ranny? – poddała Matka.

– Może, ale skąd się dwóch wzięło? – odparł Podoba. – Cofamy się jeszcze dwadzieścia metrów. I cisza.

– Griiigoriijj!!! – wrzasnęła orczyca, usiłując powstrzymać zsuwające się z wózka słoiki i szkielet. – Griiigoriijj!!!

Ork znowu wyszedł z chałupy.

– Czego się drzesz?! Drugą połowę oglądam!

– No pomóż mi! Koło odpadło!

– Wózek stary jest, to odpadło!

– No ale pomóż!

– A po co ci wózek?! Weź po dwa słoiczki i tak przyniesiesz przecież! Trochę ruchu ci się przyda, bo ci żopa urosła!

– Żopa?! – Lizawieta spojrzała na siebie. – Żopa, jełopie?! Oż ty w żopę kopany!!! – wrzasnęła i niewiele myśląc, chwyciła kręgosłup Predatora, wzięła olbrzymi zamach i jak nie ciśnie nim w stronę sioła!

– Tam trwa jakaś jatka – zameldował Mateo. – Widzieliście, czym on rzucił?! I na jaką odległość?

– Odcinek piersiowo-łędźwiowy – fachowo oceniła Bieniek.

– Swarogu, ale napierdala – szepnął Szwajcar, widząc, jak za kręgosłupem leci miednica, a potem jedna kość udowa i druga.

– Co się tutaj dzieje? – szepnął Podoba.

– Rytuał jakiś? – mruknęła Matka.

Nagle w stronę zabudowań poszybował niewielki obiekt niebędący kością. Przypominał... słoik.

– Czy ja się czegoś nażarłem? – spytał dowódca.

Tymczasem Lizawieta była już tak wkurwiona, że krew zalała jej oczy. Po wyczerpaniu kości Bliadego zaczęła ciskać słoikami.

– To ja dla tego jełopa wekuję najlepszą słoninę, bo nerki ma chore, a on tak się odpłaca?! Masz, zasańcu obrzydliwy! Masz, kaprawcu zachlany!

I szybował słoik za słoikiem, a przy każdym rzucie żal jej piersi ścisnął coraz większy, bo szkoda tak dobrego mięska!

Wściekłość jej jeszcze bardziej wzrosła, bo zużywszy trzecią część weków, nie mogła już

znieść ani gniewu, ani żalości. Klepnęła się zatem w mocarne uda i ruszyła w stronę sioła, żeby mężowi zdrowo nakopać do dupy.

Grigorij dobrze znał swoją kobietę, więc słysząc jej pospieszne człapanie, od którego drżał grunt, upuścił pogandoga, potracił bukłaczek z samogonem, wypadł z chałupy i rzucił się do ucieczki.

Licho zobaczyło pochylony masywny grzbiet drącego się wniebogłosy Gojiry. Potwór mknął za drogą, oddalając się w błyskawicznym tempie w stronę Dubawoja.

– Coś tam... zaszło – skomentował Mateo.

Gdy ork wskoczył wreszcie na drogę i przemknął niczym strzała między zabudowaniami, Podoba zgrzytnął zębami.

– To. Nie był. Gojira.

– Za mały – potwierdziła Bieniek.

– Jak odczyt? – spytał Piekielnik.

Matka uruchomiła skaner.

– Pluskwa jest tuż przed nami, na drodze.

– Mateo, sprawdź.

Zwiadowca wyskoczył na trakt i zaczął przeszukiwać szczątki.

– Mam – szepnął po dwóch minutach. – Kurwa, mam.

– Skąd tu pluskwa Schmidta? – zapytał dowódca.

– Miał kamerę GoPro – oznajmił Mateo, podnosząc częściowo zniszczony hełm Predatora.

– To może być cenny materiał – rzekł kapitan. – Weź. Sprawdź, co jest za drogą.

– Tajest.

Szwajcar przebiegł przez krawędź parowu i zniknął za trawami.

– Weki – powiedział z niedowierzaniem.

– Co?! – spytał Podoba.

– Jebane. Weki.

Oddział Licho oddalił się na bezpieczną odległość od wózka z dziwacznym ładunkiem i zaszły w młodym zagajniku na wschód od Dubawoja, a tam Piekielnik, osłaniany przez Bieniek i Jakubowskiego, odtworzył film nagrany przez Przybyłką. Zobaczywszy, że pierwszych kilkadziesiąt minut to jazda motocyklem, przewinął materiał aż do widoku pięciu Perunów.

– Widział nasze śmigłowce – szepnął do pozostałych członków Licha.

– Gojirę też? – spytał Mateo, ani przez chwilę nie tracąc koncentracji.

– Nie wiem.

Podoba przewinął film, aż zobaczył łąkę i rozmowę Schmidta z orkami.

– Ja pierdziu – szepnął. – Widział. Schmidt spotkał się z białoruskimi.

– Na pewno? – spytała Bieniek, która stała nieco bliżej kamery i słyszała dźwięk orkowych rozmów, chociaż sprzęt odtwarzał go bardzo cicho. – Nie jestem pewna, czy to białoruski.

Bieniek była doskonałą interpretatorką i miała perfekcyjny słuch.

– A jaki inny? – szepnął Mateo.

Podoba patrzył, jak Schmidt znika w lasie z jakąś ordą, a potem, jak Predator przygląda się totemowi.

– Co to jest, do cholery? – spytał sam siebie.

– A ta kupa ziemi? – rzuciła Matka.

Wreszcie zobaczyli, jak Radziu odnalazł pluskwę.

– No i sprawa wyjaśniona – skomentował dowódca Licha. – Biedny bastard zgarnął ją z łapy tego, który wyrwał ją ze skóry Gojiry. Pewnie podczas bójki, bo sporo trupów.

Damian przewinął film, na którym Radziu przedzierał się, „niewidzialny”, przez las, i zatrzymał, gdy ten dostrzegł rozbijające obóz orki.

– Co to za magik? – Wskazał orka z gałęziami wystającymi z pleców. – I zielony koń, w mordę...

– Ta pieśń – skomentowała Matka – jest rosyjska. Słowa nie pozostawiają wątpliwości: „Ja wlublon w ciebia, Rossija, wlublon”. Nawet po Kolapsie żaden białoruski ork nie powie, że kocha Rosję.

– Polemizowałbym – szepnął Mateo.

– Najprawdopodobniej Rosjanie – uciął Piekielnik. – Z dwoma zmodyfikowanymi Topolami.

– Niewielka grupa – rzucił Jakubowski, który na ułamek sekundy zerknął na ekran kamery.

– Pilnuj swojego sektora, młody – warknął Podoba. – Ale mamy wyjaśnienie, skąd ta łuna. Mateo, daj słuchawkę, musimy zameldować.

– Tajest.

Piekielnik złożył zaspanemu Richertowi raport z misji, donosząc zarówno o tym, że jak dotąd nie dało się zlokalizować Gojiry, jak i o tym, że zaobserwowali niewielki oddział najprawdopodobniej rosyjskich orków.

– To było do przewidzenia, że Ruscy wszędzie się rozleją – chrząknął pułkownik.

– Dwa Topole. Na chodzie.

– Wyśledźcie olbrzyma. To priorytet.

– Tajest.

Na rozkaz dowódcy Licho ruszyło na wschód, w stronę drugiego sygnału, który, podobnie jak pierwszy, wciąż był nieruchomy.

– Obawiam się, że tę drugą pluskwę też zgubił – szepnęła idąca na prawej flance Matka.

– Dlatego tak szybko nas wysłali, pani porucznik – odparł Podoba. – Wiadomo było, że może do tego dojść.

Obeszli od północy Sadociek Plius i otoczyli od północnego wschodu Imianin. Sygnał dochodził z południowego wschodu, z młodej kniei, która wyrosła na polach. Była czwarta i na lewo widzieli fioletową łunę jutrzeńki.

– Odległość? – spytał Podoba.

– Dwa i pół klika – odparła Matka.

– Ruchy – zakomenderował dowódca. – Gdy dotrzemy do tego totemu, będziemy w domu.

– Jak go znajdziemy? – spytał Mateo.

– Bez problemu, Jakubowski. Zostało tam dużo zwłok. Leśne zwierzęta ciągną tam z pewnością już od kilku godzin, więc wystarczy nasłuchiwać. A ten posąg ma znaczną sygnaturę cieplną.

I rzeczywiście, pół godziny później usłyszeli powarkiwania walczących o zdobycz dzikich psów i dostrzegli dogasający w paszczy totemu żar.

– Ci kretyni spalą se ten grill – szepnęła Bieniek. – Już się nadpala.

– To nie twój problem, Matka. Koncentracja – szepnął Podoba, idąc ostrożnie wzdłuż brzegu polany.

– Tajest.

– Ale upiornie wygląda. Aż mnie, kurwa, dreszcze przechodzą – szepnął Mateo.

– Cisza.

Członkowie Licha przeszli obok pracowicie pożeranych zwłok, ominęli hałdę ziemi, a następnie zanurzyli się w las i podążyli na wschód, tak jak Radio kilka godzin przed nimi. Historycy twierdzą, że był to ostatni raz, gdy widziano ich żywych, to znaczy, gdy zwierzęta pałaszujące łąkowych Zielonych widziały ich żywych.

No dobrze, to był taki historyczny żarcik.

Wcale nie był to ostatni raz.

Sztandar 6

Co się zaś działo z byłym pisarzem i tłumaczem, misjonarzem Gotta Überwunderem Robertem Schmidtem, który, ku swojej rozpacz, stwierdził, że jego umysł jest zamieszkały już nie tylko przez jego psyche, ale także przez jaźń Ixiego, tego szelmy, który podszywał się pod bóstwo ładnych parę godzin?

Scena, którą obserwował Radio Przybyłek przy totemie, była rozmową dzielnego olbrzyma z Walerią „Kobylą” Repnin, jedną z dowódców klonów Rasputina, a przysłuchiwał się jej przywódca Krwawych Łabędzi Mikołaj Góretskij, olbrzym Terebka w białym motocyklowym hełmie, mistrz halucynogennych pierdów Nawojka Drabik, Turkawka Poborczyk zwany F-16, Adon Bomber i inni herosi z gumowymi kaczkami przybitymi do czaszek. Co zaś do Mordechaja Majselbauma i Jekateriny Humelt zwanej Katuszą, to się nie przysłuchiwali, wciąż bowiem majstrowali przy ciągniku dźwigającym potężną raketę taktyczną SS-27.

Było to tuż po tym, jak Schmidt opanował się wreszcie i nie tyle zaakceptował obecność Ixiego w swoim czerepie, ile przestał się w związku z tym drzeć i wyrzekać na cały świat.

- Jak się pozbyć tego jełopa z mojej czachy? – zapytał Walerię.
- *Tylko nie pozbyć!* – zaprotestował Ixi.
- Zamknij się, łachudro!
- *Sam się zamknij! Zeżarłeś mnie, to teraz masz za swoje, he, he!*
- Ożeżkurrwwaaaa!

Przyglądający się tej scenie Góretskij roześmiał się gromko, uznał bowiem za zabawny fakt, że Schmidt wypowiedział słowa „Zamknij się, łachudro!” do straszliwej Repnin.

Ta uciszyła coraz bardziej rozgadane klony i rzekła:

– Nie mam pojęcia, kulturysto. – Tu skłamała, bo sposób istniał, ale nikt oficjalnie się nie przyznawał, że o nim słyszał. – Niedaleko stąd – ciągnęła – jest większy obóz. Stacjonuje tam Kościej, Wielki Gracz i Kucharz Doskonały, może on pomoże.

- Kamandirka – odezwał się Adon – może on się nadaje na Młastier Sziefą?
- Zamknij się, Bomber – warknęła.

Schmidt nie miał pojęcia, czego dotyczyła ta wymiana zdań, więc zapytał o to, co dręczyło go najbardziej.

- A jak się stąd przedostać do Überlandu, powie? Ten Kościej?
- Uch – zachnęła się Repnin. – To może już raczej wiedzieć tylko Rasputin.
- Uk, uk! Gdzie on jest?!

Repnin odchyliła dyndający w okolicy oka fragment pokruszonego białego hełmu klona i wyszczerzyła kły.

– Za dużo chcesz wiedzieć, przystojniaku. Nawojka, co ty chcesz zrobić? – spytała straszliwa Waleria, widząc, jak jeden z Krwawych Łabędzi usiłuje ugryźć Schmidta w muskularny pośladek.

- No bo on tak ładnie pachnie, kamandirka – odparł Nawojka.
- Won od moich gluteusów! – zagrzemiał Schmidt.

– Czego, przepraszam? – spytał zbaraniały Drabik i lekko ze strachu popuścił, wskutek czego wszyscy poczuli woń jaśminu i przed oczami zaczęły im się pojawiać rusałki o podwójnych głowach...

– Khm... – Robert zaszurał wielkimi stopami i potrząsnął łbem, jakby w ten sposób można było przyspieszyć usunięcie toksyny z płuc. – Moje boskie posłannictwo... skutkuje bardziej wysublimowanym... sposobem ekspresji... werbalnej.

– Co on pierdoli? – Adon Bomber wytrzeszczył oczy. Wyglądał, jakby lada moment coś miało mu się zatrzymać w organizmie.

– Rzeczywiście ładnie pachniesz, kochanieńki – przyznała Repnin, ignorując fakt, że sama także nic nie zrozumiała, a jej rumak Anatol wyszczerzył ostre kły.

– To nie ja, to nie ja. – Nawojka cofnął się lękliwie.

Oczywiście nie wiedziały orki, że pomijając halucynogeny pierd, to nie Schmidt waniał świeżym tatarem z cebulką, lecz obserwujący ich z ukrycia Radzio Przybyłek. Ale że jego smutną przygodę już znamy, przesunmy taśmę historii w przód.

I oto znajdujemy się na większej polanie obsadzonej przez silny regiment klonów Rasputina, które nieustannie ze sobą gadają, a gadają zawzięcie, czasami się nawet kłócą i rejwach się robi coraz większy. Widzimy, jak ci bardziej ogarnięci rozpalają ogniska, milknie silnik transportera Topola-M, z olbrzymiego pojazdu wytacza się Majselbaum i skrzecząca na niego Jekaterina, ale wszystko to gwałtownie się urywa, gdy Stalingradczyk Szary, ślepiec, który jako jedyny swierch we Flocie jest w stanie zapanować nad żołnierzami Rasputina, zaczyna basem, od którego drżą pnie w ognisku:

– Wyjdu nocz'ju w polie z koniom...

Nagle wszystkie klony patrzą na niego, mrugają oczyskami, cichną, dorzucają drew do ognia i dołączają się, a żaden nie fałszuje, o żaden.

Schmidt zatrzymał się, słysząc narastającą moc dobywającą się z orkowych gardeł, i zapragnął dołączyć do gromkich zaśpiewów, ale że nie znał słów, słuchał tylko, coraz bardziej zdumiony.

„Szkoda, że horda Zakhausena nie umiała tak śpiewać!” – pomyślał.

– *Prawda* – rzekł rozmarzony Ixi.

Ależ te orki śpiewały! Im dłużej trwała pieśń, im mocniej Szary wyciągał tony, tym bardziej pierś Schmidta się rozdymała, pragnąc ogarnąć nieznane dotąd uczucie mocy, rzewne a chwytające duszę pazurami wzruszenia i braterstwa jednocześnie. Braterstwa nawet z tymi zupełnie nieznanymi orkami...

Waleria Repnin zeskoczyła z Anatola, który szurał ostrym kopytem tuż obok stóp olbrzyma, a na spotkanie wyszedł im nadzwyczaj rosły i dosłownie rosochaty ork noszący obszerny kaptur na dziwacznym, porośniętym rogami łbie. Schmidt widział takie rogi po raz pierwszy, a przecież widział już sporo. Po pierwsze, Überwunderów, którzy, jak sądził, wyrosli tylko w bujnych puszczech Überlandu, po drugie, owłosionego Hayda, po trzecie, zaopatrzoną w skrzela cesarzową Küschmirek, po czwarte zaś, olbrzymiego i jedynego w swoim rodzaju cesarza Paulusa Lauffa. Tutaj jednak zobaczył coś nowego – rogatego orka, w dodatku, jak mu się zdawało, mającego także nadzwyczaj długie wyrostki kolczyste kręgosłupa, które wymorfowały w coś w rodzaju niekształtnych kostnych ostrzy.

– *Na fotelu z oparciem to on już nie siądzie* – podsumował Ixi.

– Zamknij się! – warknął Schmidt po niemiecku.

– Kościeju, Wielki Graczu Swierchowymi Losami, Boski Kucharzu – odezwała się Waleria – oto siłacz, który przybył do nas z Niemiec. Na szczęście umie też mówić po naszymu.

Schmidt przyjrzał się bliżej garderobie Kościeja. Oprócz brązowej oponczy z kapturem miał on na sobie zieloną szatę rodem z muzeum i pasujące do niej złotawe portki. Na grubej szyi dyndał naszyjnik z – Schmidt przyjrzał się bliżej – kości do gry, ale jakichś dziwnych, nie sześciokątnych, tylko bardziej zbliżonych do kuli.

Rosochaty ork zaczął obchodzić Schmidta, bacznie mu się przyglądając, a wszystko to w rytm wciąż śpiewanej przez orki pieśni. I Robert znowu uległ dziwnej rosyjskiej magii. Ogniska strzelające skrami, basowa, wykonywana na głosy pieśń, oświetlony chwiejnymi płomieniami czarodziej, pierwsze gwiazdy na niebie. „Oto zaczyna się moja nowa przygoda” – pomyślał były pisarz i odezwała się w nim mesjanistyczna dusza. Już miał wypowiedzieć natchnione słowa Gotta, gdy nagle poczuł ukłucie, a potem bez wątpienia ktoś odciął mu kawałek dupska.

– Co jest, aaapokalipsa?! – warknął, odwracając się gwałtownie.

Kościej trzymał w kostropatej łapie kawałek jego pośladka. Nieduży, przypominający cząstkę limonki.

– Do zupki – oświadczył.

– Zawsze wpierdalacie kawałek gościa na powitanie?!

– Zawsze – zapewnił Kościej, uśmiechnął się paskudnie i nagle między wyrostkami kolczystymi jego kręgosłupa zatańczyły iskry wylądowań elektrycznych.

Czarodziej wyciągnął gwałtownie łapsko i chwycił grube jak pień przedramię Schmidta, lecz ten, poczuwszy prąd o niemałym napięciu tudzież natężeniu, spiął się i kopnął Kościeja wylądowaniem wielokrotnie silniejszym. Podniósł się dym, między ich kończynami strzelił płomień, a rogacz z wraskiem odskoczył niczym baletnica i wylądował półtora metra dalej z twardym furkotem szat, dmuchając na sparzoną łapę. Pamiętać tu należy, na co uczulają historycy, że orkowe pyski mają zgryz przeciwny do naszego, więc dmuchają w zasadzie wyłącznie w górę. Łapę trzymał zatem Kościej nad imponującymi kłami żuchwy i dłuższą chwilę zaplawał ją oraz własny płaski nos, starając się raz pod, raz nad łapą obserwować Gojirę. A robił to z niekłamanym zdumieniem. Oto bowiem pojawił się w jego życiu pierwszy ork, który posiadał tajemnicę rażenia prądem! Było to odkrycie fascynujące i niepokojące zarazem. Kościej władał dotąd sporą rzeszą swierchów w dużej części dzięki swoim elektrycznym właściwościom, choć oczywiście jego panowanie zasadzało się również na niebagatelnej wiedzy i charyzmie, o rogach nie zapominając. Niemniej żaden gracz nie lubi, gdy w ręce oponenta pojawia się tak samo silny atut.

– Wot maładiec – szepnął, maskując zaskoczenie uśmiechem. – Wot siłacz gitlierowiec.

– Tylko nie gitlierowiec – zastrzegł Schmidt, ale po chwili wahania dodał: – A w zasadzie dlaczego nie? Hitler to mocarny brand...

– Co? – Kościej wybałuszył oczy.

– *Dajesz czadu* – przyznał Ixi. – *Nawet ja nie wiem, co to znaczy, chociaż i mnie przejaśnia się we łbie.*

– W moim łbie! – warknął Schmidt.

– Co?! – Kościej jeszcze bardziej wybałuszył oczy, bo usłyszał „Hitler to mocarny brand w moim łbie”, co, przyznać musi każdy, nie miało większego sensu.

– Nic, nic – odparł Überwunder.

– Ołkej, panie Gitlier – odezwał się czarodziej, po czym ryknął do klonów, którzy skończyli śpiewać: – Na cześć naszego gościa urządzimy pokazowego *Młastier Szief*!

– Uau! – ryknęły orki, wznosząc łapy w geście aprobaty. – *Młastier Szief! Młastier Szief!*

Widząc nadzwyczajne poruszenie wśród orkowej braci, Überwunder po raz kolejny stwierdził, że trafił do domu wariatów, ale postanowił niczemu się już nie dziwić. Usiadł na zadzie, poprawiając czaszkę Ixiego w kroku, i czekał na rozwój wypadków, patrząc, jak Waleria i Kościej oddalają się i zaczynają o czymś rozmawiać.

Odkąd Robert pojawił się na łące, obserwowała go z daleka pewna, jak na orkowe standardy, atrakcyjna swieriucha. Gdy dostrzegła, że rozmowa z Kościejem dobiegła końca, postanowiła do niego podejść. Przepasana była na wysokości bioder oranżową chustą z monetami, a okazałe piersi opięła podobną materią i poza tymi ozdobami w zasadzie niczego na muskularnym ciele już nie miała. Uśmiechnęła się bardzo drobnymi jak na orczycę ząbkami i machnęła biodrem. Zabrzęczały monety.

– Nie zimno ci, Gitlier? – spytała, wyciągając przed siebie barwną, dużą i ciężką chustę.

– Nie jestem Gitlier.

– Kościej cię tak nazwał. Jestem Katusza, ale możesz mnie nazywać Myszka.

– Myszka?

– Myszka – odparła tancerka i spróbowała owinąć barki olbrzyma chustą, ale okazało się, że chociaż ta jest spora, zakrywa tylko jedno ramię giganta.

– Bliat, ależ ty jesteś duży! – Uśmiechnęła się lubieżnie. – Sama robiłam, dziergam trochę. Mam jeszcze kilka w swoim legowisku. – Spojrzała na niego znacząco. – Więc jesteś... z zagranicy?

– Co to jest *Młastier Szief*? – spytał Gojira, ignorując pytanie Myszkę.

– Taka tradycja – odparła, bezceremonialnie sadowiąc twarde pośladki na jego potężnym kolanie. – Sam zobaczysz. To bardzo zabawne. Patrz, Kościej każdemu swierchowi podaje kość. Widzisz?

– No widzę.

– I teraz każdy rzuca kością. Widzisz?

– No widzę.

– Kto wyrzuci najmniej, ten się martwi, bo może wziąć udział.

– W czym?

– W *Młastier Sziefie*.

– Nie rozumiem. Chyba się cieszy?

– Głupi jesteś.

Überwunder zauważył, że gdy Kościej i Waleria podchodzili do Góreńskiego, Repnin szepnęła coś czarodziejowi i ten, choć już wyciągał łapę z kością, cofnął ją, pogrzebał w kieszeniach i podał Mikołajowi inną, czerwoną. Widząc to, lider Krwawych Łabędzi pobladł na mordzie, zerknął na Kościeja i otworzył pysk, by zaprotestować, wtedy jednak kostropaty ork uniósł długi paluch i strzelił z niego piorunem w szczękę dysydenta. Góreński zatrzasnął zmaltretowany pysk, z rezygnacją przyjął czerwony okruch i rzucił. Wynik był najwyraźniej nieciekawym, bo jego ramiona, jeszcze przed chwilą napięte i uniesione, opadły nagle, a stojące dookoła orki zawyły z radości.

– Co oni się tak drą? – spytał Gojira.

– Mamy pierwszego zawodnika – powiedziała Myszka.

Kościej popatrzył na Góreńskiego z powagą i chwilę kiwał rosochatym łbem, a potem wraz z Walerią i dwoma członkami swego orszaku ruszył dalej od ogniska do ogniska. Każdy ork, klon czy nie klon, rzucał kością. Wyjątkiem był ślepiec Szary i Gorim, jego olbrzymi dozorca.

Gromkie okrzyki, podobne do tego, który towarzyszył rzutowi Góreckiego, rozbrzmiały jeszcze kilka razy, a potem, jak Überwunderowi wyjaśniła Myszka, porównano wyniki i wybrano dwóch czempionów z najmniejszą liczbą oczek.

– Jaką oni kością rzucali? – spytał Schmidt, usłyszawszy, że ktoś wyrzucił dziewiętnaście, a inny, uradowany uczestnik zabawy – czterdzieści dwa.

– Stuścienną. Wy takich nie macie?

– Nigdy nie widziałem.

– Hmm – zmartwiła się orczyca, której nagle odległe Niemcy nie wydały się już tak atrakcyjne jak przed chwilą.

W końcu wyłoniono dwóch zawodników. Jednym okazał się, co było do przewidzenia, Mikołaj Górecki, a drugim nieznanemu Schmidtowi klon, który – odkąd został wybrańcem – coraz głośniej klócił się sam ze sobą. Riebiata zaczęła zaraz organizować dwa wielkie stoły, obok nich pojawiły się ogniska, jakieś garnki, kociołki i pogięte patelnie, a przy stołach postawiono nierówne półki z główkami kapusty, ścierwami kuropatw, żarptaków i bobrów. Schmidt dostrzegł też łapę niedźwiedzia i pojemniki z suszonymi liśćmi, z pewnością ziołami, bo chociaż stał w pewnej odległości, w nozdrza uderzył go silny aromat. Nagle siedzące obok niego orki zaczęły rechotać i komentować miętolony w łapach niebywale brudny świstek papieru.

– Ma pomy... pomysły ten Czapski! – wrzasnął jeden.

– No! – rzekł drugi. – Śmieszny on jezd!

– No! No! – gorliwie potwierdził trzeci, rechocząc z innymi i strzelając okiem to na jednego, to na drugiego kompana, ale w końcu, zupełnie nagle, przestał się śmiać. – Nieeee... nieeeerozumim. Tegodowcipu.

– Ja pierbliat! – warknął pierwszy i nachylił papier nad ogniskiem, by lepiej zobaczyć wyrysowane na nim bazgroły.

Schmidt, zainteresowany nagłym wybuchem wesołości, zająrzył tłumaczącemu przez ramię, a Myszka znalazła się raptownie bardzo blisko niego i jej twarde, dokładnie tak jak pośladki, piersi naparły na jego olbrzymią szczękę.

– Ależ ty jesteś wielki – szepnęła mu do ucha. – Maładiec, maładiec...

Były pisarz zignorował jednak intensywne, choć nieco zapomniane słodkie bodźce, skupiając zarówno lewe, jak i prawe, już praktycznie normalnej wielkości oko na papierze. Trzy zgromadzone przy ogniu orki trzymały w łapach... komiks. Nosił tytuł *Kapitan Rossija* i składał się z trzech kadrów narysowanych tak nieporadnie, że ledwo można było odcyfrować, co się na nich znajduje. Pierwszy, na samej górze, przedstawiał Grünów stojących pod drzewem i pijących coś z bukłaczków. Jeden z nich mówił: „Jebać Rosję! Jebać wszystko! Uwielbiam chlać i srać!”, drugi odpowiadał: „O, to, to!”. Na drugim kadrze lądował obok nich Grün w pelerynie, zamiast czapki mający na głowie niedźwiedzi czerep, a w łapie dzierżący tarczę w kształcie gwiazdy. Pijące samogon orki były przerażone: „Och, Kapitan Rossija!”, „Przepraszamy!”. Na trzecim kadrze Kapitan Rossija wyrywał flaki jednemu orkowi, zjadał głowę drugiego i jednocześnie tłumaczył trzeciemu, trzęsącemu się ze strachu: „My, Rosjanie, niesiemy kulturę na cały świat. To nasze posłannictwo. Nie wypada źle się zachowywać, rozumiesz, Wasia?”. „Tak, Kapitanie Rossija!”, odpowiadał zestrachany Grün. „Zatem nieś kulturę dalej, Wasia, i nie grzesz więcej”. Podpis: „Kapitan Rossija! Z kulturą do ludzi!”. Koniec komiksu.

Schmidt przyznał, że on też nie rozumie zawartego w opowiadaniu dowcipu, i już zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem śmiech kamratów z niekumatego Zielonego nie był wymuszony, gdy tłum, rozochocony organizowanym konkursem *Młastier Szief*, zaczął skandować:

– Dzejms! Dzejms! Dzejms! Dzejms!

Schmidt zadarł łeb i zobaczył, jak z mroków nocy wyłania się Zielony przybrany w kraciasty beret oraz kilt. Miał długie loki w kolorze blond i jowialny wyraz pyska starego arystokraty. Wzniósł łapę na znak pozdrowienia, a następnie zaprezentował trzymane w drugiej dwa weki pełne mięsiwa. Widząc to, tłum zawył z rozkoszy:

– Bliadzina!!! Bliadzina!!!

Konkurs, jak na gust Überwundera, mógł się już rozpocząć, obu uczestników bowiem ustawiono przy stołach, naprzeciwko nich znajdowała się komisja złożona z trójki poważnie wyglądających Zielonych, którzy siedzieli na ławie za krzywym stołem, za komisją zaś czaili się Kościej i Waleria, szare eminencje widowiska. Co ciekawe, Kościej dzierżył w łapie roztrojony na końcu gumowy wentyl, a każde jego rozwidlenie tkwiło w uchu jednego z jurorów.

– Wot, tiechnika – skomentował Robert i zdziwił się, że zaczyna gadać po rusku.

– *Ty, uważaj, bo zaraz się na Iwana przemianujesz* – odezwał się Ixi sennym głosem.

– Idź spać, zdrajco jeden! – warknął Schmidt.

– *Skorzystam. I żeby nie było, to ty zeżarłeś mnie. Nie odwrotnie.*

W tym momencie łapę podniósł Dzejms Makdonald, właściciel masarni i fastfoodowej budy specjalizującej się w pogandogach i bobrze w bułce, przy czym bułką był z reguły przepieczony, a nierzadko spalony placek niewiele grubszy od pazura. Makdonald, imigrant z dalekiej Szkocji, którego dopadło wiadomo co w białoruskim Mińsku i który, ledwie się pojawiła, przystał do ruskiej Floty, stwierdziwszy, że wszelkie inne szans z nią nie mają, sprzedawał więc w zasadzie bobry dla okrasz tylko obleczone w naleśnik. A że leniwy był oraz skąpy, bobrów owych nawet nie skórował, zapewniając wszem i wobec, że ich sierść bogata jest w witaminy. Znany w całej ordzie był Dzejms z tego, że jako jedyny posiadał weki ludziny, zwanej przez wschodnie orki bliadziną, a źródła tych weków strzegł nadzwyczaj skrupulatnie. Słoje były z reguły źle zamknięte, więc ludzina w nich się psuła, ale okazało się, że lekko nadpsuta pachnie orkom jeszcze piękniej niż świeża, zwłaszcza podana z surową cebulką i papryczką piri piri, którą Dzejms także posiadał.

Podniósł zatem Makdonald łapę, drugą stawiając ze znaczącym stukiem po jednym weku bliadziny na stołach Góretskiego i konkurującego z nim Michaiła Osipowicza Milczarskiego, syna słynnego Osipa Władimirowicza Milczarskiego, który skonstruował wiadomy grill i podczas ceremonii oddania go do użytku został spożyty, inaugurując w ten sposób niejako działalność świętego obiektu. To jego właśnie czaszka zdobiła sakralne utensylium, przypominając przechodniom, jaki los czeka wielkich wizjonerów tudzież twórców. Jednak nie o rodzicu myślał w tym momencie Michaił Osipowicz Milczarskij, lecz o tym, jak przeżyć starcie z Góretskim, o którym każdy wiedział, że ma kontakty niemal wszędzie, więc i jury może przekupić. Michaił nie gotował zbyt dobrze, Rasputin zaś, który rezydował w jego czaszce, gotował tak sobie, ale miewał ciekawe pomysły, była więc mimo wszystko szansa, że klon pokona olbrzymiego Mikołaja. Niestety, jak to często w *Młastier Sziefie* bywało, nie zawsze wygrywał lepszy kucharz, o, nie zawsze... Na dodatek siedzący mu w głowie Rasputin, jeszcze przed chwilą rozmowny i kłótlivy, zaczął podsypiać i mogło się okazać, że Michaił będzie musiał sam walczyć na kuchennym gruncie z byłym agentem, a wiadomo, że co dwie głowy, to nie jedna...

Tymczasem, jak wspominają historycy, Dzejms podniósł łapę i zakrzyknął głosem gromkim a napiętowanym angielszczyzną:

– Well, riebiata, mamy dzisiaj okazję obserwować – „r” wymawiał Dzejms z angielska, mówił

więc „łebiata” i „obsełwować” – w konkursie *Młastier Szief* dwóch championów, oby Rasputin czuwał nad ich kulturą...

– I Kapitan Rossija! – wrzasnął jakiś ork z tłumu.

– I Kapitan Rossija, ofkors. Zatem stają w szranki Mikołaj Góretskij, dzielny zwiadowca, herszt gumo...

– Krwawych – wszedł mu w słowo zawodnik z grymasem gniewu na pysku.

– Sorry, my ład, oczywiście Krwawych Łabędzi, oraz dzielny klon, potomek Osipa, którego wszyscy pamiętamy, Michaił Osipowicz Milczarskij! Srodzy to konkurenci i każdy wygrać może! Widzę już znak od Mistrza Gier i Władcy Losów Orkowych Kościeja, że możemy zaczynać, bo piastun kotła Mirośław „Pi” Jabłońskij rozpałił już ogień pod świętym garem za stanowiskiem jury, które także jest już gotowe w osobach, wymieniając od lewej, Maury Andriejewnej Kucharzewskiej, Randolfa „Hołodilnika” Górnatskiego i Domina Piotrowicza Wójciakowskiego.

Jury o zaciętych gębach pokiwało głowami, tłum zawył, Pi Jabłońskij wlał do kotła kolejne wiadro wody, a w tle pojawiły się trzy tancerki – dwie w strojach cygańskich i jedna, pośrodku...

– Myszka! – krzyknął Überwunder, bo nie zauważył, kiedy i jak jego miła partnerka zniknęła, by pojawić się na improwizowanej scenie, i już kręciła biodrami i muskularnym ciałem z dwiema o wiele większymi i bardziej ustrojonymi artystkami wyglądającymi jak bliźniaczki.

Na jego okrzyk zareagowało kilka bliżej siedzących orków i uśmiechnęło się znacząco.

– Myszeńka wpadła Gitlierowi w oko, co? Maładiec!

– Nie jestem Gitlier – odpowiedział Schmidt, ale jego głos zagłuszyła ostrzejsza przygrywka połataney harmonii dzerzonej przez orka o wyjątkowo krzywym nochału. Był to osobnik cienki, długi i wyginający się do rytmu niczym połamana plastikowa słomka. Co ciekawe, miał wyjątkowo długie i zastrzone pazury, prawdopodobnie specjalnie hodowane po to, by trafiać nimi w małe guziki instrumentu, który nosił liczne ślady niewłaściwego traktowania.

– Jak słyszemy – kontynuował Dzejms podniesionym głosem – Matwiej Ryszardowicz Kamińskij już rozgrzał instrument i zaiwania niczym szalony, zatem... zaczynamy *Młastier Szief*!

Odpowiedział mu ryk aprobaty.

Dzejms chwilę kiwał głową, zadowolony z atmosfery panującej na łące, po czym uspokoił tłum i zwrócił się do jury:

– Droga Mauro, drodzy Randolfie i Dominie, przekazuję wam głos.

– Dziękujemy... eee... daragoj Dzejms – odparł poważnym tonem Randolpho, najwyraźniej przewodniczący jury.

Ork ten był wielki jak góra, co najmniej tak duży jak Wunder, a może i większy, w dodatku niezwykle muskularny i dobrze wyrzeźbiony. Co ciekawe, na plecach trzymał niczym plecak lodówkę. Widać znał się na rzeczy.

– Noc jest... eee... ciopłaja, dżdż minął, można... eee...

Randolfo, co tu kryć, nie był zbyt inteligentny. Przed przemianą, owszem, jak najbardziej. Interesował się sportem i dietą „fit”, toteż biegał zapamiętale i gotował jeszcze intensywniej. Gdy jednak podczas porannego joggingu dopadły go skutki działania N-Genu, pamiętał jedynie o tym, że należy jeść zdrowo i koniecznie zielono, dorwał zatem kilka udek biegających moskiewskim propektem sportsmenek, owinął mięsko w liście łopianu, spożył... a potem doprawdy sam już nie wiedział, co się z nim działo. W pewnym momencie wylądował

w oddziale Kościeja, a lodówce, w której zawsze trzymał coś zielonego, zawdzięczał ksywkę „Hołodilnik”.

– Eee... – ciągnął teraz Randolpho – można zatem... gotować... eee... bez kłopotów...

Randolfo jękał się nie tylko dlatego, że był tępy; nie bądźmy dla niego tak surowi. Nie szła mu przemowa także z tego powodu, że Matwiej Harmoszka, zapomniawszy się, rznął w instrument, aż dymiło, tancerki zaś, rozkręcone i rozochoczone, krzesły drzazgi z desek byle jak położonych na trawie i tumult generalnie był nieziemski. Zerknął zatem Hołodilnik na grajka tudzież baletnice, po czym wrzasnął:

– Matwiej!

I Matwiej przerwał nadzwyczaj skomplikowany pasaż, a dym oraz kurz uszły z jego instrumentu przy cichym jęku miecha. I nagle cisza zapadła nad łąką.

– Izwinitie – powiedział Kamińskij, kaszlnął dymem z harmoszki i uklonił się dworsko, przy którym to gościu przypadkiem nacisnął miech instrumentu i ten raz jeszcze stęknął.

– No – sapnął Randolpho. – Zatem... daragoj Mikołaj, daragoj Michaił... co nam dzisiaj... eee... zarp... parz...

– Zaprezentujecie? – weszła mu w słowo siedząca po lewej Maura, a Hołodilnik uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

Stojący za nimi Kościej szepnął coś do gumowego wentyla połączonego z uszami jury i wtedy Maura nieznacznie potrząsnęła łbem, po czym wskazała długim zielonym paluchem Góreńskiego.

„Bliat – pomyślał kamandir Krwawych Łabędzi – producent chce mnie ściąć, dlatego rzuca mnie na pierwszy ogień. Jak tu zyskać na czasie, bo nic mi nie przychodzi do głowy?”

Podniósł łapę i zapytał:

– Przepraszam szanowne jury, mam pytanie: Czy my teraz nagrywamy, czy na żywo lecimy?

Członkowie jury, nie licząc Randolpha, który pytania nie zrozumiał, spojrzeli na Kościeja, czarodziej zaś z kolei wykrzywił ryj, by dać wyraz swojemu niezadowoleniu, ale opanował się i słodko uśmiechnął, co wyglądało bodaj jeszcze upiorniej, niż gdyby się wydarł.

– Na żywo, kochanieńki, na żywo – odparł.

Stojąca obok niego Waleria zdjęła z głowy hełm klona i patrzyła na Góreńskiego wzrokiem, którego nie sposób było pomylić z żadnym innym spojrzeniem. „Zginiesz tu, Mikołaju, zginiesz marnie – mówiły jej małe, czerwone oczka – i będzie to nauczka dla wszystkich innych spod znaku Krwawego Łabędzia. Bo nie zadziera się z Kobylą, ooo, nie zadziera!”

Pot zwilżył czoło Mikołaja, jury bowiem czekało już na propozycję potrawy, a jemu w głowie stała tylko jajecznica. Zerknął w bok dzielny nasz bohater, bo nieopodal jego stanowiska zgromadziła się już ferajna spod znaku Łabędzia, wszyscy zaś szeptali i pokazywali łapami, co powinien zaproponować: a to szaszłyki, a to pierogi z bliadziną, a to barszcz, tfu, ukraiński z bliadymi uszkami. Jednak Mikołaj z tego wszystkiego umiał robić tylko pieczeń na kiju. Dlaczego? Tu kłania się lenistwo wodza i tendencja podopiecznych do usługiwania mu. Góreńskij już dawno nie przygotowywał niczego samodzielnie, bo zazwyczaj jedzenie podtykał mu pod pysk Adon. Potarł teraz skronie dzielny nasz bohater, po czym wydukał:

– Przygotuję dzisiaj pierogi w sosie di fromaż z dudkami.

Usłyszawszy to, gawieź wydobyła z siebie gromkie „Uuuu!!!”, nikt bowiem nie wiedział ani czym jest owo „di fromaż”, ani dudki, historycy zaś twierdzą, iż Góreńskij także nie miał pojęcia, o czym opowiada, i wyrzucił z siebie po prostu wyrazy, które kojarzyły mu się z wykwinną kuchnią.

Waleria szepnęła coś do Kościeja, ten zaś zabelkotał do wentyla i odezwał się trzeci członek jury, Domino Wójciakowski.

– Bardzo pięknie, Mikołaju. A na ostro czy łagodnie?

– Nooo, ostro, wiadomo, że na ostro! – Góretskij uśmiechnął się niepewnie, bo tak naprawdę nie miał pojęcia, jak będzie lepiej.

Randolfo pokiwał poważnie głową, udając, że rozumie, a Waleria znowu zaczęła coś szeptać do Kościeja, ale o co dokładnie chodziło, Góretskij nie mógł zobaczyć, bo widok zasłoniła mu Monika Andriejewna Nowakowskaja, która podczas *Młastier Szief*a chwyciła kamerę i kręciła zawzięcie całe przedstawienie. Czasami naprawdę coś się nagrywało.

– Iiii, proszę państwa, napięcie rośnie – szepnęła do siebie.

Góretskij pacnął ją w bok, żeby zobaczyć jury i producentów, ale było już za późno.

– I nie wyjdzie ujęcie – skomentowała kamerzystka, ale nie przestała kręcić i obchodziła oba stanowiska na ugiętych nogach.

– Bardzo pięknie, bardzo pięknie – odezwał się Randolfo – a teraz... eee... drugi... eee...

– Uczestnik – weszła mu w słowo Maura, a Kościej znowu nadał coś do wentyla.

– Powiedz, kochanieńki – odezwał się Domino – co nam ugotujesz.

Klon Michaił Osipowicz Milczarskij nie zasypiał gruszek w popiele i gdy Góretskij męczył się ze swoimi pierogami, obudził Rasputina, nauczył się bowiem, jak wiele innych klonów, robić to mentalnie, nie na głos. Rasputin w jego głowie zorientował się w sytuacji, a że nie uśmiechało mu się, podobnie jak Michaiłowi, umierać, natychmiast wytrzeźwiało.

– *Kto jest twoim konkurentem?* – zapytał.

– Góretskij z Krwawych...

– *Z Gumowych Kaczek, już wiem. To były agent. Niebezpieczny przeciwnik.*

– Ale podobno nie umie gotować.

Rasputin się roześmiał.

– *Kochany, młody jesteś i do góry sikasz. Od kiedy to w Młastier Sziefie chodzi o gotowanie?*

– No...

– *Zamknij się. Widzisz, jak Kościej coś szepcze z Walerią?*

– No widzę.

– *Na kogo Kobyla tak groźnie spogląda?*

– Ale dlaczego patrzysz na nich? Przecież to jury decyduje...

– *Jury o niczym nie decyduje, młodyj idioto. Jury ma po to te gumowe kondomy w uszach, żeby robić to, co im każe Kościej.*

– Ale jak to? Przecież smakują i mówią, że...

– *I ubierają w słowa to, co mówi Mistrz Gier.*

– Że co? Ubierają?

Michaił nie należał do najinteligentniejszych swierchów, o czym Rasputin często zapominał.

– *O Matriksie – westchnął. – Jury kłamie. Wygrywa ten, kogo wskaże Kościej, łapiesz?*

– A... kogo wskaże?

– *Na kogo patrzy Pi Jabłoński, dolewając wiadrami wodę do kotła?*

– Na...

Michaił przyjrzał się dokładnie.

– Na Góretskiego.

– *Oczywiście. I robi taką minę, jakby przepraszał. Pi nie ma wpływu na werdykt.*

– Eee... na co?

– *Na to, kto wygra.*

– Aha. No to kto wygra?

Rasputin jakby się odprężył. Jego mentalna reprezentacja w głowie klona odchyliła się niczym w głębokim fotelu i założyła łapy za głowę.

– *Wygrasz ty, kochanieńki, czyli my. Tylko się nie zbłaźnij i nie podpadnij kamerzyst...*

W tym momencie Góretskij trzepnął w bok dzierzającą kamerę Monikę Andriejewnę.

– *Co za kretyn!* – skomentował Rasputin.

– Dłaczego? Ona mnie też wkurza.

– *Nie dotykaj jej! To jedna z nałożnic Kościeja!*

– Na... naprawdę?

– *Otaczają mnie kretyni. Czyli, kochany, tak...*

I w tym właśnie momencie Domino odezwał się do Michaiła słowami: „Powiedz, kochanieńki, co nam ugotujesz”.

– *Powiedz cokolwiek* – poradził Rasputin.

– Cokolwiek – odezwał się odruchowo Milczarskij, wzbudzając wesołość zgromadzonych orków.

– Nu, bardzo pięknie, bardzo pięknie – rzekł Domino – ale wypadałoby powiedzieć coś konkretniejszego, da?

– Nu da – poparł go Randolpho, uśmiechając się jowialnie.

„Do mnie to się tak nie uśmiechali” – pomyślał Góretskij, próbując przypomnieć sobie, jak się gotuje pierogi.

– *Powiedz, że pierogi!* – wrzasnął Rasputin wewnątrz głowy Michaiła.

– Ale pierogi – odpowiedział klon w myślach – już wymyślił Góretskij.

– *A, no to jeszcze lepiej. Bóbr z rusztu i chwatit.*

– Z czego?

– *W ogień go wpierdolisz, nie przypalisz i będzie. Wypatrosz przedtem.*

– Że co?

– *Pierdolić. Powiedz po prostu...*

W tym czasie Kościej zaczął się najwyraźniej denerwować i szepnął coś do gumowej rury. Domino podrapał się w ucho, do którego owa rura prowadziła, i z niegasnącym uśmiechem na pysku rzekł:

– Nu, zdecyduj się, brachu.

– Bobra zrobię z busztu – oświadczył Michaił.

– Eee... chyba z czegoś innego – przemówił Randolpho.

– Chciałeś, śliczny, powiedzieć „z rusztu”? – podpowiedziała Maura.

– Zrusztu. Zrusztu bobra.

– Choroszo – oznajmił Hołodilnik. – Zatem naczynajem.

– Zatem naczynajem! – wrzasnął Dżejms. – Fartuchy włóż!!!

Mikołaj i Michaił chwycili fartuszki położone zawczasu przez inne orki. Góretskiemu dostał się obrębiony koronką strzęp materiału z czerwonym serduszkim pośrodku, a Michaiłowi większy egzemplarz przedstawiający kobietę w bikini. Mieli za grube paluchy, by zawiązać je sobie z tyłu, więc przesadzili tylko łby przez górne pętle i tak przyodziani rozejrzeli się po stołach, garnkach i półkach obok stołów.

– Uczestnicy – perorował Dżejms – mają pół godziny na ugotowanie swoich potraw, to jest cztery piosenki zagrane przez mistrza Matwieja na harmoszce, a zatańczzone przez zespół Trio

Egzotyczne siostr Gity i Gaty oraz Katuszy zwanej Myszka! Do roboty, maładcy, do roboty!!!

Matwiej Ryszardowicz Kamiński rznął w instrument, aż z miecha poszedł obłok kurzu, Gita, Gata i Myszka pisnęły i ruszyły do zamaszystego baletu, Pi Jabłoński zamieszał w kotle, a Mikołaj i Michał zabrali się do roboty, obaj najwyraźniej nie do końca wiedząc, co z czym połączyć i dlaczego.

Dżejms Makdonald podszedł najpierw do Góretskiego, a za nim podreptała kamerzystka przytykająca wizjer do oka.

– Powiedz nam, Mikołaju, co robisz! – zachęcił w iście wodewilowym stylu Dżejms.

Góretskij wiedział, że tylko udawany luz i pewność siebie mogą go uratować przed impasem, więc uśmiechnął się, chwycił z półki pierwszy lepszy słoik, odkręcił go i z rozmachem wylał sobie zawartość na łapę.

– Biorę... – Tu kamandir Krwawych Łabędzi zerknął na dłoń i stwierdził, że trzyma marynowane śledzie, mocno skądinąd nieświeże. – Biorę śledzie – podjął, nie zdradzając zaskoczenia.

– Śledzie? Ciekawy początek, gdy mamy zrobić pierogi z bliadziną!

– Pierogi z bliadziną bez śledzi robią tylko leszcze – odparł Góretskij, na co roześmiali się jego kamraci, a reszta orków zadziwiła się i pokiwała łbami. – Zatem – ork uśmiechnął się do Randolfa, bo wiedział, że według olbrzyma słowo to jest oznaką inteligencji – zatem – podkreślił Góretskij to słowo raz jeszcze – biorę śledzie, ugniatam mocno w łapie, żeby zyskały... – tu zaczął myśleć, co też zepsute śledzie mogą zyskać od miażdżenia w pięści – miąższność...

– Co takiego?

– Miąższność, czyli wiesz, Dżejms, pomsystencję...

– Ach, yes.

– Więc miażdżę. – Góretskij zmiażdżył biedne ryby już tak straszliwie, że niewiele z nich zostało. – Dodaję – tu sięgnął na półkę, tym razem patrząc, co robi, i chwycił słoik z czymś, co przypominało pieprz, ale pieprzem nie było, bo orki z ordy już dawno cały pieprz zeżarły, rozkoszując się jego ostrością – sadzy, żeby podkreślić smak. – Zrzucił na śledzia szczyptę węglowego pyłu, a potem drugą elegancko wykańczając to spiralnym ruchem, po czym pacnął obiema dłońmi tak mocno, że śledź rozprysnął się w czarnym obłoku i Rasputin jeden wiedział, ile go w sumie zostało, co zresztą było celem Góretskiego, bo nawet on rozumiał, że zdechła ryba nie skomponuje się z ludziną.

– Mąka, kamandir, mąka – szeptął Adon Bomber, wskazując słój z białym proszkiem, ale widząc to, kamerzystka natychmiast zasłoniła go swoim zadem, była bowiem mściwa i nie zamierzała puścić Góretskiemu płazem jego nieobyczajnego zachowania.

Jednak Mikołaj usłyszał podpowiedź i chwacko chwycił słój. Odkręcił go i pewnym ruchem wyrzucił zawartość na stół. Uniósł się biały pył i rój moli, a Matwiej Harnoszka, widząc spektakularny pokaz kucharskiej techniki, nadał miechy instrumentu i ryknął tak mocnym akordem, że Gita, Gata i Myszka aż wyskoczyły w górę z uciechy.

Mikołaj znał się na szołbiznesie. Wiedział, jak wygrywać serce tłumu, a z publiką nawet Kościej nie lubił zadzierać. Poza tym Harnoszka był jego drugim. To właśnie Góretskij załatwił mu kiedyś instrument, a i życie mu uratował. Teraz trzymali sztamę i kamandir Łabędzi wiedział, że może na niego liczyć.

Gdy opadł pył, a Dżejms wciąż przyglądał się Góretskiemu, ten, patrząc Szkotowi w oczy, sięgnął do półki i wziął z niej cztery jaja. Z jajami zawsze był problem, bo rzadko bywały świeże i w zasadzie nigdy kurze. Orle, sokole, kuropatwie, przepiórcze, żółwie, wężowe, ale nie kurze,

bo żaden swierch nie miał cierpliwości, by czekać, aż noski coś zniosą, tylko zżerał ptaka z piórami. Nigdy też nie było wiadomo, co w swołoczy siedzi, znaczy w jaj, bo nierzadko tkwił tam zdechły zarodek tego czy owego stworzenia. „Ale przepis to przepis” – pomyślał Góretskij, któremu do głowy nie przyszło, że być może ciasto na pierogi robi się na ten przykład bez jaj. Grzmotnął zatem Mikołaj jajcami o drugą mocarną dłoń, aż bryzgło na wszystkie strony żółtko oraz białko, a i stwór jakiś podobny do ptaka wyślizgnął się między palcami.

– Biorę jaja i wmieszowywuję w mąkę – rzekł, miętoląc białą pył i żółtawą, nie za dobrze pachnącą breję wraz z nakrapianymi skorupkami – a następnie – sięgnął do półki po rondelek z wodą – wlewam wodę zgodnie z proporcjami de fąsą.

– De co? – spytał Dzejms.

– Francuska receptura mistrza Furkuazje.

– Aaaa – rzekł Makdonald nieco zbity z tropu, publika zaś zaznaczyła swój podziw długim „Uuuu!!!”. – Widzę – podjął Dzejms – że mamy tu prawdziwego mistrza patelni i stolnicy!

– Stolicy – poprawił go z wyższością Góretskij.

Szkot miał już sprostować błąd kamandira, ale Matwiej, widząc, co się kroi, rznął w harmoszkę, robiąc taki zgiełk, że Trio Egzotyczne wpadło w ekstazę, zeskoczyło z głośnym piskiem z desek i zaczęło tańcować wśród siedzących przy ogniskach orków.

– Khm – chrząknął Makdonald i dał znać kamerzystce, by podeszli do drugiego zawodnika. – Dajmy odetchnąć Mikołajowi, który robi śledziowe ciasto. – Komentator specjalnie podkreślił słowo „śledziowe”, by publiczność dobrze zapamiętała, co wyczynia polubiony już przez nią zawodnik. – Drogi Michaiile Osipowiczu Milczarskij, powiedz, jak ci idzie.

– Bóbrawa... potrawa, którą przygoto... wuję – sapał Michaił, usiłując przygwoździć bobra do stołu, ten bowiem był, niestety, żywy, ale dzięki temu świeży – jest tradycyjnym... daniem... mojej drużyny.

– Tak jest! – zakrzyknęły klony.

– Czyli teamu znanej i lubianej Walerii „Kobyły” Repnin – dokończył ork.

– Niech żyje! – wrzasnęły klony i wzniosły, co kto tam miał: kubasy z samogonem, gołe pięści albo kamratów.

– Bierzemy bobra...

Tu Michaił, chciał nie chciał, strzelił kulakiem zwierzę w łeb tak, że oddało ducha szybko i ostatecznie, a będąc już w niebie, usiadło wygodnie obok innych bobrów, przyjęło z rąk niebiańskiej kelnerki marcheweczkę i z zainteresowaniem kontynuowało oglądanie teleturnieju.

– Bierzemy bobra – rzekł Milczarskij – i...

– *Obdzieramy* – odpowiedział Rasputin.

– Nacinamy – powtórzył niezbyt dokładnie Michaił.

– *Ja pier...* – zaklął siedzący w jego głowie wódz, a Osipowicz powtórzył:

– *Ja pier...* – zamrugął i dokończył: – dołę to tak. Biorę, kurwa – Michaił najwyraźniej uznał, że przekleństwa należą do kucharskiego slangu – tasaczek, kurwa, nacinam. Siek, siek, siek.

W ten sposób Michaił Osipowicz Milczarskij, niczym się niewyróżniający klon oddziału Walerii Repnin, stworzył nowy typ potrawy, mianowicie bobra nacinanego przez sierść i przez skórę.

– Nacinamy – ciągnął – aż do łba. W łeb, w oczka znaczy się, wkładamy...

Michaił był tak zestresowany, że trzęsły mu się łapy. Chwycił z półki coś małego i okrągłego, co, jak mu się wydawało, świetnie wpasuje się w oczodoły gryzonia.

– Co to, bliat, jest? – mruknął, patrząc na dzierzzone w łapie dwa brunatne kształty.

– *Kozie bobki, kretynie. Wziąłeś w garść kozie bobki* – warknął Rasputin.

– Bierzemy kozie bobki – podjął ze swadą Milczarskij, starając się przekonać publiczność, że doskonale wie, co robi – i wkładamy w oczka, żeby dodać potrawie... Żeby dodać potrawie...

– *Pikanterii* – odpowiedział, maskując rozpacz, Rasputin.

– *Piczanterii*.

W tym czasie F-16, podły sabotażysta, który własnoręcznie podłożył na półkę Michaiła niecny prezent, wrócił do kompanii Góretskiego i przybił łabądkę z członkami klanu Krwawych Łabędzi.

– Dobra robota, Poborczyk – pochwalił go Adon Bomber.

– Ciii – uciszył ich Nawojka, który intensywnie słuchał monologu Osipowicza.

– Teraz – kontynuował Michaił, wsadziwszy bobki w oczy bobra i oczyściwszy łapy o fartuch z nadrukowaną dziewczyną w bikini – następuje faza retuszu...

– *Farszu. Faszzerowania* – odpowiedział Rasputin.

– Faszyzowania – zapewnił Michaił. – Do tego celu bierzemy maliny. – Wskazał pełną garść nie do końca świeżych owoców, które wziął z półki, i wykonawszy ogromny zamach, wraził pokazną ich część bobru w dupę, na co duch biednego zwierzęcia aż podskoczył, żrąc niebiańską marcheweczkę, a siedzące obok niego gryzonie złapały się ze śmiechu za brzuchy. – Dodaję do tego – powoli ze znawstwem Michaił, po tym jak wytarł część rozbryzgniętych malin z oczu – dzikie jabłko...

Owoc także wylądował we wnętrzu zwierzęcia.

– Pół kapusty...

Tym razem łatwo nie było i bóbr wyraźnie protestował, jednak animusz Michaiła był tak wielki, że gryzoń wreszcie dał za wygraną. Spuchł nieco, ale wytrzymał operację.

– Oraz dwa muchomory, dla kolportażu.

– *Kurażu* – sprostował Rasputin.

– *Furażu* – poprawił się Michaił.

Uniósł dwa grzyby i udawał, że ze znawstwem je ogląda, po czym zmiążdżył je w łapach i taką papkę usiłował wcisnąć tą samą drogą, którą wprowadził do środka pieczeni kapustę, jabłko i maliny, ale mu nie szło. Wiadomo – grzyb jest miękki, zwierzę twarde.

Rozejrzawszy się więc Milczarskij płochliwie po publiczności, która była ciekawa, jak wybrnie z impasu, zerknął na jury, które, niezmiennie życzliwe, patrzyło na jego poczynania z uśmiechem, po czym przełknął ślinę i podnosząc bobra, oświadczył:

– Grzyby lepiej oddają swój furomat, gdy się je rozsmaruje równomiernie po skórcie. Wtedy jest chrupiąca i aromantyczna.

Zaczął Michaił miętosić bobra w łapach, intensywnie nacierając go muchomorowym musem. Widząc, że nawet nieźle mu idzie, już się cieszył, bo wpadł na pomysł, by w nacięcia włożyć kawałki ogórka, gdy wtem od nadmiernego nacisku na powłoki brzuszne zwierzęcia cały farsz wylądował z powrotem na stolnicy przy akompaniamencie mokrych plaśnięć, był to bowiem nie tylko farsz. Zbaraniał nieco Michaił, widząc ten miszmasz, zamarł, otarł pot z czoła, po czym uśmiechnął się szeroko do jury, Kościeja tudzież całego świata. Szukał w myślach rozwiązania, ale że go nie znalazł, zrobił to, co umiały robić wszystkie straszliwe klony Walerii: wziął zamach potężny, jakby był co najmniej Wyrwidębem, i z całej siły grzmotnął bobrym truchłem o stół, rozbryzgując to, co było na blacie, a i bobra także, na wszystkie świata strony. Ujrzawszy mokrą plamę tego, co zostało po tej operacji, oznajmił:

– Robimy... pasztet.

Oglądający to wszystko z niejakiego oddalenia Schmidt dziwował się coraz bardziej, bo nie spodziewał się po ruskich braciach takiego wyszukania kulinarnego. Miał ogromną ochotę zapytać Myszkę o ten i ów niuans kuchennych sekretów, a że nie było jej w pobliżu, już chciał nachylić się do koneserów komiksowej sztuki, którzy pilnie śledzili poczynania Mikołaja i Michaiła, co chwila popijając z bukłaczka, gdy nagle od lasu okalającego łąkę doszło uszu biesiadników wysokie pienie, jakby koguta, potem wrzask kojarzący się z okrzykami małą, wreszcie wilcze zawodzenie oraz indiańskie kląskanie i z mroku puszczy wypadła gromada rozebranych do, nomen omen, rosołu, wielkich orków. Pierwszy z nich był potężnie owłosionym na całym muskularnym cielsku gigantem dorównującym wzrostem byłemu pisarzowi, a reszta była niewiele mniejsza. Orki biegły, wymachując łapskami, majtając przyrodzeniami (samice majtały czym innym), robiąc straszne miny, pokazując długie, ciemnozielone ozory, błyskając wybałuszonymi oczyskami i pokazując palcami figi. Wtoczyły się w środek czeredy i mknęły między ogniskami, wykrzykując:

– Putin dupa! Lenin kutas! Stalin członek! Kurwa i dupa, i chuj, i swołocz wasza mać!

Klepały się przy tym w twarde łokcie, mocne uda i kolana, a plask gromki z tego rozchodził się na wszystkie strony, aż huczało.

Ku zdziwieniu Schmidta rosyjskie orki witały tę demonstrację z dziwnym spokojem. Peleton blisko pięćdziesięciu Engelsów przetoczył się przez obozowisko i powrzaskując, zniknął w przeciwległej ścianie lasu.

– Proszę państwa, mieliśmy przerwę na reklamę! – skomentował Dżejms Makdonald.

Towarzystwo zarechotało, a Schmidt nachylił się do komiksiarzy.

– Co to, donnerwetter, było?

– A co to donnerwetter? – spytał ten, który wydawał mu się najbardziej kumaty.

– Nieważne.

– Dla nas ważne – zapewnił kumaty.

– Takie überlandowe przekleństwo – warknął olbrzym.

– Jakie? Uber... co?

– No nasze, niemieckie.

– To nie nasze – odparł drugi, chyba mniej kumaty.

– Dobra, verfluchte, nieistotne to jest. Co to było?!

– A co to verfluchte? – spytał pierwszy.

– Ja pierdołę! – zaklął nieszczęśliwy Überwunder i już rozpatrywał ewentualność zmiążdżenia tępych rozmówców w mocarnych łapach, gdy jeden z nich, ten, który nie rozumiał dowcipu zawartego w komiksie *Kapitan Rossija*, zlitował się nad nim i rzekł:

– Białoruska opozycja.

– Że co?! – zdziwił się Schmidt.

– To była białoruska opozycja – odparł tamten cierpliwie.

– Opoco?

– No wkurwiają się, że jesteśmy na ich ziemiach, i protestują.

– W ten sposób?

– Popierdoleni są.

– Aha. I co? I to wszystko?

– Jak znam życie – odpowiedział niekumaty, drapiąc się po zadzie – jeszcze wrócą. Wiesz, w drugą stronę. I będzie druga przerwa na reklamę. Dosyć często tu wpadają. I haka robią.

– Co robią?

– A, pan mądry też czegoś nie wie? – Niekumaty uśmiechnął się.

– Co to jest haka?

– Maoryski taniec – wyjaśnił ze znanstwem najkumatszy.

– Białorusini robią maoryski coś tam?

– Haka.

– Ale w biegu robią – dodał niekumaty – i dlatego dziwnie im wychodzi. Ogólnie są profesjonalnie przygotowani raczej.

– Jakiś zespół pieśni i tańca dawniej – uzupełnił średnio kumaty.

– Dobrze, że Ozaru plazmą nie pierdolnął – zauważył kumaty.

– Który to Ozaru? – spytał Schmidt.

– Ten pierwszy. Przywódca. Małpi Król. Czasami targa akumulatory z okrętu podwodnego w takim wielkim plecaku. I jak, moj drug, zepnie styki, ma takie w łapach, to pierdolnąć potrafi tak, że człowiek przez chwilę nic nie widzi.

– Taki blask – zapewnił niekumaty.

– Akumulatory z okrętu podwodnego? – dopytał olbrzym.

– No jakoś tak.

– Ciekawe. A gdzie ten okręt?

– Aaa, chciałbyś wiedzieć! – Kumaty uśmiechnął się chytrze.

Tymczasem Matwiej Harmoszka wznowił cygańskiego kadryla, Gita i Gata ruszyły w tany, a Myszka, która była dosyć blisko Schmidta, zaczęła się do niego przysuwać, zarzucając to lewym, to prawym biodrem, co widząc, Überwunder natychmiast zapomniał o okręcie i przywitał jej taneczne pas błogim uśmiechem, poprawiając czaszkę Ixiego w kroku, która nie wiedzieć czemu zaczęła go uwierać.

Dżejms Makdonald zostawił Michała ugniatającego bobrzą papkę i podszedł z kamerzystką do Góretskiego, który kończył rozwałkowywać ciasto.

– I jak, mistrzu pierogów z bliadziną? – zagadnął, podsuwając hersztowi Krwawych Łabędzi sterany i oczywiście niedziałający mikrofon pod pysk.

– Doskonale, Dżejms, dziękuję, że pytasz – odparł Góretskij, wiedząc, że należąca do jury Maura jest wyczulona na dobre maniere. – Właśnie skończyłem ciasto. Jak widzisz, jest cienkie i ma odpowiednią pomsystencję.

– Hm, taaak. – Dżejms dotknął placka pazurem i naciągnął go. – Ciągnie się jak smród w gaciach! – Wyszczrzył kły do publiczności i do Mikołaja. – Żarcik, żarcik.

Ale Góretskij wiedział, że takie żarty zmniejszają jego szanse.

– Nie w gaciach, Dżejms, ale majtach pięknej Bliadej – sprostował.

– Uuu! – zawyła zachwycona publika, która oczami wyobraźni widziała już półnągą Bliadą gotową do chędożenia i konsumpcji, najchętniej jednoczesnej.

– Teraz biorę bliadzinę – odezwał się Góretskij, wytrząsając ze słoja dwa białawe poćcie mięsa.

Polaną zalał zniewalający aromat, a Matwiej Harmoszka wydobyl z harmonii najświętszy akord.

– Ja pierrrrdziu – mlasnął kumaty siedzący obok Schmidta. – Aż mi stanął...

– Trzeba ją zemleć – oświadczył Góretskij, walcząc z nagłym ślinotokiem – biorę więc maszynkę do mielenia...

Do blatu jego stołu istotnie przymocowana była maszynka, taka stara, na korbkę, niezniszczalna, radziecka. Uchwycił dzielny ork rączkę, wrzucił pierwszy poćcie do gardzieli

maszynki i zaczął obracać korbką, nadstawiając łapę od strony wylotu, żeby nie zmarnował się nawet najmniejszy kęs smakowitego mięsa. Coś jednak było nie tak. Korba pracowała bardzo ciężko, a z otworków maszyny nic nie wychodziło.

– Co jest, bliat? – mruknął Góretskij.

– Ups, džentelmen end lejdis, zdaje się, że nasz kamandir ma kłopoty techniczne! – roześmiał się Dżejms.

Mikołaj spojrział najpierw na jury, a potem na Walerię i Kościeja. Repnin uśmiechała się z wyższością, skrzyżowawszy łapy na wielkich piersiach. „O, suka – pomyślał Góretskij. – Zepsuła mi maszynkę, może noże wyjęła albo piachu nasypała, nie wyjdzie z niej ani kilo mięcha. Co robić, co robić?!” Był na skraju paniki, ale wiedział, że nie może stracić panowania nad sobą – to pamiętał jeszcze ze szkoleń w FSB. Chociaż wiele stracił z dawnej wiedzy i inteligencji, nie utracił odruchów. A odruchem było niewpadanie w panikę. Stwierdziwszy, że z maszynką nic zrobić się nie da, uśmiechnął się, szczerząc kły do kamery, a potem do Randolfa z jury.

– Ach! Co za niezgara ze mnie! Zapomniałem o zieleninie!

Randolfo rozciągnął nieznacznie pysk w uśmiechu, bo miał niezaprzeczną słabość do kucharzy, którzy nie zapominali o zielonych składnikach menu.

Góretskij pełnym gracji ruchem sięgnął do półki, gdzie błyszczały szczaw i mleczko. Wziął dużą garść, rozsypał obok ciasta, a drugi poć mięsa rzucił prosto na liście.

– Obtaczam mięso w szczawiu. W ten sposób wydzielają się z niego furkominy.

– Co? – spytał Dżejms.

– Zsubstancje romantyczne.

– Ach, oczywiście.

– Dodaję też cebulę – stęknął Góretskij, sięgnął po warzywo, ciepnął w poć mięsa i zrozumiał, że wszystko teraz będzie zależało od jego szybkości.

Spiął mięśnie, udał, że coś swędzi go w nosie, kichnął potężnie, wzniesając obłok mąki tudzież mąkowych moli, po czym wcisnął cebulę w mięsiwo otoczone szczawiem i tak zdusił, że wszystko zmiażdżył.

– I teraz łatwizna – oświadczył, wrywając z dzierzzonego w łapach gluta małe kawałki i rzucając je na placek. – Rzucam kęs, rzucam kęs, rzucam kęs, rzucam kęs...

Publika przyłączyła się do Góretskiego, skandując razem z nim, a Matwiej Harnoszka zaczęła improwizować stylizowaną na ludową nutę piosenkę w rytm słów „rzucam kęs, rzucam kęs”. Zaraz też, podjudzona przez Adona Bombiera, publika zaczęła klaskać w rytm i Mikołaj wiedział, że znowu udało mu się przeciągnąć ją na swoją stronę. W tym momencie dostrzegł, że Waleria szepcze coś Kościejowi do ucha, a ten kiwa rogatą głową i mruczy coś do wentyla. Domino podniósł łapę, uciszając wesołą pioszeczkę.

– Przepraszam, ale chciałbym coś powiedzieć – odezwał się juror. – Nie zamarynowałeś farszu. W ten sposób nie okazujesz mi należytego szacunku...

– Uuuu – mruknęła publika stojąca po stronie klona.

– W dodatku nie użyłeś przypraw, a już rzucasz mięso na ciasto. To duży błąd. Duuuży błąd!

– Uuuu!!! – mruknęło głośniejszym głosem audytorium.

Góretskij zaklął w duchu, szukając wyjścia.

– Przyprawy – rozpoczął z niegasnącym uśmiechem na pysku – tracą aromant zbyt wcześnie zaablikowane na potrawę, zatem – podkreślił to słowo, szczerząc się do Randolfa – użyję ich w ostatnim momencie. Dziękuję za uwagę, drogi Domino. – Tu uśmiechnął się jeszcze radośniej

do jurora, a zaraz potem do Maury, wiedząc, że ta ceni dobre wychowanie.

Jurorka uśmiechnęła się blado.

– Tymczasem – podjął Góreński – oto moja tajna procedura. Tak gotowała moja babka, a przed nią jej babka i dinozaury, niech Rasputin czuwa nad ich duszami.

Publika spojrziała z zaciekawieniem na herszta Krwawych Łabędzi, a kamerzystka Monika Andriejewna zrobiła najazd na jego pysk. Kamandir wiedział, że opowieści o rodzinie, zwłaszcza łązawe, zwiększają popularność w *Młastier Sziefie*.

– Pamiętam – podjął – jak byłem małym chłopcem i babcia robiła dla mnie pierogi. Wspomnisz me słowa, Miki, tak do mnie mówiła, że zioła są ważne, ale najpierw marynuj mięso w maszynce do mielenia. A wiecie, dlaczego tak mówiła babuszka? – Potoczył wzrokiem po słuchaczach. Publiczność nie wiedziała i słuchała z uwagą. – Dlatego, Miki, że maszynka do mielenia to żelazo. Żelazo przenika do mięsa, a ty, jedząc żelazo, stajesz się żelaznym człowiekiem. Człowiekiem z żelaza. Nadczłowiekiem. I zostaniesz nim, Miki, powiadam ci, zostaniesz człowiekiem z żelaza. I najpierw marynowała mięso w żelazie, a potem dodawała ziół dla smaku. Gdy przyszła przemiana w swierchów, moją babcie żarł stryj Iwan. Żarł ją, bo biedaczka później wzięła N-Gen i jakoś tak jej się nie paliło do przemiany. Konsumował ją więc Iwan obyczajnie, od nóg do góry, a ja mu nie przeszkadzałem, bo nauczony byłem nie przeszkadzać starszym w spożywaniu. A gdy już spałaszował prawie całe uda, babcia, już na łożu śmierci będąc, w pewnym sensie rzecz jasna, bo to na linoleum się odbywało, w Petersburgu, na Władimirowicza pięćdziesiąt trzy, jeszcze znak maszynki do mielenia mi ręką nakreśliła. Taką – Mikołaj udał, że ociera łzę wzruszenia z pyska – korbę, wiecie – chlipnął – i szepnęła na odchodnym: Marynuj, wnusiu, najpierw w maszynce, dopiero potem ziółek dodawaj...

Plecami Mikołaja wstrząsnął szloch, kamerzystka okrążyła go, nie odrywając oka brudnej kamery od jego postaci, Dżejms nie bardzo wiedział, co powiedzieć, i tylko Matwiej Harmoszką grał cicho a smętnie, dodając scenie melancholii.

– Jaka piękna, kurwa, historia – chlipnął kumaty siedzący obok Schmidta.

Dżejms Makdonald trwał chwilę nieruchomo, zaciskając górną wargę kłami w grymasie wzruszenia, Pi Jabłoński, skrywszy się za Kościejem i Walerią, wzniosł wielki kciuk na znak pozdrowienia, a wyżej wzmiankowana para dyskutowała i w końcu Kościej szepnął coś do wentyla.

– Zatem – odezwał się basem Randolpho – najpierw żelazo?

– No tak – odparł Góreński. – A teraz – podjął, obdarzając wszystkich tym rodzajem uśmiechu, jaki towarzyszy człowiekowi, gdy robi to przez łzy, i wyciągnął pierwszy połącz mięsa z maszynki do mielenia – czas na zioła. I sami zobaczycie, jaka jest różnica między pierogami bez żelaza i z tym szlachetnym metalem!

– Uaauuu! – krzyknęli widzowie, a Terebka, Adon, F-16 i Nawojka mrugnęli szefowi na znak, że są z niego dumni.

Mikołaj zmiażdżył cebulę, zmieszał ją ze szczawiem i mleczami, dodał do mięsa, stał wszystko starannie w garści i zaczął rozdzielać kawałki na ciasto.

– Zaraz wszystko przyprawię – zapewnił – a potem już tylko ponacinać ciasto, skleić i wrzucić do gara...

W tym momencie Maura zanotowała coś na dużej brzożowej korze, którą miała przed sobą, a notatkę uczyniła zwęglonym końcem kija.

„Bliat, powiedziałem coś nie tak” – pomyślał Góreński, ale co było robić. Podzielił mięso,

rzucił na ciasto i zerknął, co w tym czasie ze swoim pasztetem robi Michaił.

Dziesięć tymczasem już podchodził do klona z mikrofonem, Matwiej Harmoszką zaś wznowił wesołą, ale nie za wesołą, melodię.

– I cóż u naszego czarodzieja Michaiła Osipowicza? – spytał Makdonald, szczerząc kły i dając znak publiczności, że to w istocie klon jest mistrzem, a Góretskij ledwie pretendentem.

– Masa pasztetowa prawie gotowa – zrymował mocno spocony Michaił, miętosząc bobra, podroby, sierść, kości i wszystko, co tam było, obuchem siekierki, drewnianym młotkiem, a na samym końcu kolbą AK. – Dodałem bimbir, cynamon, wlałem miarkę spirytusu i koniecznie, to receptura mojego dziadka...

Góretskij prychnął demonstracyjnie, uśmiechnął się drwiąco i wskazał Michaiła kciukiem, dając wyraz pogardzie dla kopiowania czyichś pomysłów. Niektórzy widzowie roześmiali się, widząc ten gest, a Milczarskij jeszcze bardziej się stropił.

– *Spokojnie* – szepnęła w jego głowie Rasputin. – *I tak wygrasz. Nawet gówno możesz ugotować. Mamy to jak w banku.*

– Mój dziadek mówił... Mój dziadek mówił...

– Że srać mu się chce – wszedł mu w słowo Góretskij. – Nic oryginalnego. Mój też.

Publiczność wybuchnęła śmiechem, a Matwiej huknął na harmonii, aż zagrzmiało.

– Co za maniery – szepnęła teatralnie Maura i znowu zanotowała coś na korze brzoźowej.

Góretskij zrozumiał, że przeholował. Powinien udawać, że troszczy się o rywala, że mu pomaga – tym zdobywa się serce tłumu.

– Zatem – podjął Michaił, a Randolfo łaskawie się uśmiechnął – mój dziadek mówił, że dobry pasztet jest jak...

– *Życie?* – odpowiedział Rasputin.

– Jak rzyć – ciągnął Michaił. – Jak rzyć pięknej kobiety.

Tu publiczność naprawdę się zainteresowała, każdy bowiem temat związany z rycią i kobietą był ekscytujący. Dawniej się mówiło: Porozmawiajmy o dupie Marynie.

– Więc pasztet, jak rzyć, powinien być dobry do...

– *Na Lenina i Stalina, nie wiem, co mam ci odpowiedzieć* – jęknął Rasputin. – *Może ty nic nie mów, tylko gotuj?*

– Do... schrupania – podjął Milczarskij. – Wiecie, rzyć się dobrze chrupie, z rusztu, nie?

– O, daaa! – zawołali jego kamraci z entuzjazmem, ale bez jakiegoś wielkiego zaangażowania.

– No i mój pasztet też się będzie dobrze... chrupało. Dlatego są w nim małe kosteczki i specjalnie do końca ich nie rozgniatam, żeby były takie fajowe niespodzianki w potrawie.

– Bardzo sprytnie – powiedział Domino, a Kościej i Waleria byli nadzwyczaj kontenci z wypowiedzi swego faworyta.

„Cholera – pomyślał Góretskij. – Jest tępy, ale nie na tyle, żeby się do końca pogrążył! Tylko cud mnie uratuje...”

Spójrzmy tymczasem nieco w prawo, w stronę ciemnego lasu, gdzie zniknęła grupa białoruskich protestujących, i cofnijmy czas o kilka minut. Nikogo nie powinno dziwić, że ledwie dzielne te orki wniknęły w puszcę mroczną a prastarą, natknęły się na obserwującą Rosjan z ukrycia grupę ukraińską Liteona Jołopa, dosiadającego pocziwego zielonego niedźwiedzia Griszy, a otoczonego przez niezłomnych Alessę „Power Girl” Radziejewską, Martyna Gojnackiego zwanego Kapitanem Bombą oraz Jewgienija Wietskiego vel Aliena. Ledwie nadzy Maorysi

wpadli na nieco spłoszonych widokiem ich golizny pobratymców, zatrzymali się i ciężko dysząc tudzież usiłując zakryć to i owo, zaczęli szeptać, że co za niezwykle to spotkanie, że zaskoczenie, że jak miło i o co w ogóle chodzi.

– Kim jesteście? – spytał wreszcie owłosiony od stóp do głów kamandir demonstrantów.

– To wy kim jesteście? – odparł Ukrainiec.

– My jesteśmy u siebie, Kozacze – rzekł owłosiony – więc najpierw ty się przedstaw.

– Admirale – Kapitan Bomba nachylił się do Jołopa – tępe chuje nie rozumieją, że jako gospodarze powinni być mili.

– I czymś poczęstować – potwierdziła Alessa, biorąc do łapki dietetyczny koreczek.

– Nie obrażajmy gospodarzy – odparł Jołop, a Grisza pokiwał łbem na znak zgody.

– Bliat! – charknął z rozpaczą Alien, zajrzawszy w lusterko, ale jakiś inny ork dał mu w łeb i uciszył.

– Zatem? – spytał białoruski wódz.

– Jestem Liteon zwany Jołopem, kamandir ukraińskiego kurenia – przedstawił się Jołop.

– Ilu was? – spytał włochoaty.

– Trzydzieści sztuk z okładem. A to moi adiutanci. Alessa Radziejewskaja, mówcie na nią Power Girl. Ten w hełmie to Martyn, inaczej Kapitan Bomba. Dziwny jest. Na patrzącego w lustro Jewgienija nie zwracajcie uwagi, chyba że zacznie się drzeć, że życie jest do dupy et cetera.

– Panimaju – odparł Białorusin, drapiąc się w kroku i ukrywając, że nie do końca panimaje. – Wybaczcie nasz strój. To na znak protestu.

– Pojebało ich, admirale – skwitował Martyn. – A ten wódz ma strasznie wielkie jajo.

– Nazywają mnie Dragon Ball – rzekł dumnie Białorusin. – Dlaczego on na ciebie mówi „admirale”? – spytał, wskazując Bombę.

– Poczekaj, aż zacznie gadać o galaktykach – westchnął Liteon.

– Ahym... – Białorusin podrapał się tym razem w brodę, ale tą samą łapą, którą gmerał przy olbrzymim jądrze, i Liteon postanowił nie podawać mu ręki. – Jestem – odezwał się wreszcie – Karol. Obiezjanskij. Mówią na mnie Ozaru.

– To Małpi Król – odezwała się stojąca na prawo od niego orczyca, zupełnie nieowłosiona, za to nosząca na szyi coś na kształt krawata.

– A to – wskazał ją kciukiem Ozaru – Katia Przysiężniatskaja, ale mówcie na nią Biurwa.

– Dzień dobry, księżniczko. – Bomba podszedł do niej i uśmiechnął się szarmancko.

– Cześć, przystojniaku – odparła. – Zawsze nosisz ten hełm?

– Zdejmuję do kibla.

– Aszante.

– Uważajcie na nią – ostrzegł Ozaru – bo to w zasadzie ona zebrała tę ekipę. Ja jestem tylko przywódcą duchowym.

– Oł – mruknął Martyn.

– Druga panna – kontynuował Małpi Król – to Tatiana Prohovnaja. Tancerka, miłośniczka Elvisa Presleya. Prowadziła zespół pieśni i tańca Maoryskie Babuszki.

– Świetna choreografia – pochwaliła Power Girl.

– Że co? – spytał Jołop.

– Układ taneczny, jak biegli przez ogniska.

– Nom – potwierdził Martyn.

– Żyźń proklataja! – wrzasnęła Alien, ale ktoś tak mu w łeb przywalił, że stracił przytomność.

Tymczasem teleturniej *Młastier Szief* trwało. Michaił, zlepwszy pasztet w jedną bryłę, władował ją w brytfankę, a tę rzucił w ogień, Góretskij zaś, skleiwszy pierogi, zorientował się, że nie wstawił zawczasu wody. I to z pewnością był jeden z błędów, które zanotowała na korze Maura. „Bliat, bliat, bliat!” – szeptał do siebie, bezradnie patrząc, jak woda w garnuszku dopiero zaczyna się nagrzewać. Wiedział, że Trio Egzotyczne kończy już trzecią pieśń, i zdawał sobie sprawę, że ostatnia nie wystarczy, by zagotować potrawę. Potarłszy więc wielkimi dłońmi o spocony pysk, chwycił garnek i desperacko wylał z niego płyn.

– O, ciekawy manewr, Mikołaju! – skomentował Makdonald. – Czyżbyś nie miał zamiaru gotować tych pierogów?

Góretskij uśmiechnął się z wyższością, biorąc z półki patelnię.

– Gotują pierogi leszcze, drogi Dzejmsie. Prawdziwi twardziele pierogi smażą, polewając spirytusem, zgodnie z recepturą figasą.

– Aaaa! – mruknęła publika.

Niewiele myśląc, ciepnął Góretskij na wielką patelnię wszystkie pierożki, podlał spirytusem i wraził naczynie w ogień. Buchnął spirytusowy płomień, co Matwiej Harmoszka powitał potężniejszym zadęciem w instrument, publika zrobiła gromkie „Och!” i znowu Mikołaj miał za sobą swierchów, chociaż martwił się okrutnie, bo wiedział, że z surowych pierogów na patelni z wodą nic dobrego nie będzie.

– Fan-bloody-tastic, fan-bloody-tastic – zachwycał się Dzejms, patrząc to na piekący się pasztet, to na palące się pierogi, a Waleria z Kościejem cicho konferowali, uśmiechając się zjadliwie.

W tym momencie na polanę znowu wbiegli białoruscy demonstranci, wykrzykując, że dupa, że Putin i tak dalej, oraz klepiąc się po tyłkach, łokciach tudzież udach, biegnący zaś na przedzie Ozaru tak wytyczył marszrutę, by przemknąć tuż obok Schmidta. Wywalił Król Mały ozór, wytrzeszczył oczyska, wrzasnął „Ruscy to szmondaki!” i pociągnął kawalkadę w mrok rozciągający się dookoła polany. Zdziwił się niepomiernie były pisarz, bo miał wrażenie, że Białorusin chce mu coś przekazać, ale jaki szyfr mógł się mieścić w okrzyku „Ruscy to szmondaki!”?

Dzejms Makdonald ogłosił drugą przerwę na reklamę, orki znowu się roześmiały, a tymczasem pieśń Matwieja Harmoszki, chociaż przeciągana ponad miarę, wiedział bowiem grajek, w jakiej sytuacji znajduje się Góretskij, dobiegała końca. Gdy tony zaczęły zwiastować koniec melodii, Szkot zaczął odliczanie:

– Dziesięć, dziewięć...

Góretskij przewrócił kilka zbyt mocno już podpieczonych pierogów i ruszył patelnią.

– Osiem, siedem...

Milczarskij owinął łapy szmatami i wyciągnął je nad ogień. Materiał zapalił się, a kucharz skrzywił i syknął, ale dzielnie wyciągnął brytfankę na stół. W tym czasie Góretskij wyjął patelnię z ognia i postawił na stole.

– Sześć, pięć...

Michaił stłumił płomień na szmatach i obrócił brytfankę, chcąc wyrzucić z niej pasztet, potrawa przywarła jednak do dna. Ork chwycił duży tasak i zaczął ją podważać.

– Cztery...

Góretskij przełożył pięć pierogów na nieco poobtłukiwany talerz, a następnie umieścił na nich

liść łopianu. Niestety, liść przykrył cały talerz, zaczął więc ork rozdzierać go na mniejsze kawałki.

– Trzy...

Milczarskiemu udało się wytrząsnąć pasztet na stół. Góra mięsnej, poprzerastanej futrem sztaby była spalona, dół także, a środek niedopieczony, co klon dostrzegł, gdy pasztet się złamał. Nie zwracał jednak na to uwagi, tylko tasakiem odrąbał trzy plastry i ułożył na talerzu jeden na drugim.

– Dwa...

Góretskij miał już małe kawałki liścia łopianu i wetknął je między pierogi, następnie zaś sięgnął na półkę, zdjął z niej jakiś dżem i próbował go odkręcić, ale wieko się zassało.

– Jeden...

Milczarskij otoczył plastry pasztetu kręgiem brązowego płynu, który wlażł mu w łapę, i wcisnął w środek źdźbło trawy, a Góretskij pieprzył słoikiem o kant stołu, wraził do środka paluch i także elegancko otoczył talerz czerwonym maźnięciem.

Cisza w końcu zapadła na łące, bo Harmoszka skończył grać, a Dżejms wydarł się na całe gardło:

– Stoop!!!

Konkurenci oderwali łapy od potraw i wyprostowali się, ciężko dysząc.

– Nu ładna – odezwał się Randolfo. – Tiejpier poprosimy... – tu Kościej szepnął coś do rury i przewodniczący jury dokończył – ...eee... Michaiła Osipowicza Milczarskiego.

Klon, trzęsąc się z emocji, chwycił swój talerz i drobnymi kroczkami podszedł do stołu jurorów. Położył naczynie przed Dominem. Zapadła cisza. Nawet tancerki, z Myszką włącznie, stanęły na scenie i patrzyły z napięciem na minę straszliwego sędziego. Ten władował sobie do pyska niewielki kawałek pasztetu i zaczął, patrząc nieruchomo na Michaiła, przeżuwać, a co ruszył szczękami, dobywał się z jego gęby chrzęst, stukot, łoskot i swąd. Długo trwała degustacja, Kościej tymczasem wciąż coś szeptał do Domina.

– Pierwszy raz – odezwał się w końcu juror – jem tak znakomity pasztet z bobra. Lekki, aromatyczny, doskonale przyprawiony. Brawo.

Rozległy się oklaski i okrzyki „Wiwat klony!”, „Brawo Michaił!” i tak dalej. Osipowicz przełknął ślinę i przesunął talerz w stronę Randolfa.

Ten ocenił wygląd dania.

– Cieszę się... eee... że zadbałeś o... eee... stetykę... po... eee... trawy.

Było to już tak złożone zdanie, że Hołodilnik aż się spocił z wysiłku. Chwycił łapą kawałek pasztetu, ten z widocznym kłakiem sierści z kością, pociągnął nim po brązowym śladzie na brzegu talerza i władował sobie do ust. Długo nic nie mówił, tylko chrzęścił i szeleścił ozorem, po czym oświadczył:

– Towot jako sos... – bardzo... eee... dobry pomysł. Podkreśla aromat... kozich bobków i smak sierści... eee... mistrzowska robota... eee... bardzo... bardzo dobrze.

I znowu rozległy się wiwaty, ale nie w obozie Krwawych Łabędzi. Adon Bomber skrzywił się i wybałuszzył oczy.

– Sam mu podsunąłem towot! A ten kretyń twierdzi, że to dobre? Kto zre towot? Nawet Nawojka tego nie robi!

– Właśnie – odezwał się F-16. – Gdzie on jest?

– Spierdolił – oznajmił Terebka. – Herszta nam zabiją, to i z nami kiepsko będzie.

Wtedy Michaił, coraz optymistyczniej nastawiony, podszedł do Maury. Ta długo mierzyła go

wzrokiem, a potem zaczęła gmerać pazurami w potrawie.

– Dobra spoistość. Świetna sprężystość. Doskonały pomysł z niezmielonymi kośćmi.

Włożyła pasztet do pyska, a ten natychmiast się wykrzywił, ale Kościej długo coś szeptał do wentyla i morda jurorki, z niejakim wysiłkiem, odzyskała w końcu normalną postać.

– Mmm! – oznajmiła Maura. – Maliny, jabłuszko i kapusta świetnie mieszają się z niewypatroszonymi jelitami i treścią żołądka. – Przełknęła, z trudem powstrzymując wytrzeszcz oczu. – Brawo – powiedziała zduszonym głosem, po czym, nie wiadomo dlaczego, zanurkowała pod stół.

– Doskonale! – wrzasnął Dzejms, gdy Michał odszedł od stołu jurorów z wyrazem nieopisanej ulgi na pysku. – Teraz pora na drugiego zawodnika! Mikoooołaj Góóóóretskij!

Rozległy się brawa, głównie komilitonów byłego agenta FSB, a ten, mocno stropiony, podszedł do Domina. Juror spojrzał na przypalone i niedopieczone zarazem pierogi, pogrzebał w nich pazurem, jakby nie chciał w ogóle jeść, podniósł talerz do pyska, skrzywił się i już miał wypowiedzieć wyrok, gdy nagle, nie wiadomo dlaczego, jego wargi rozciągnęły się w błogim uśmiechu, a oczy wywróciły z rozkoszy.

– Co za aromat – jęknął i wciągnął całego pieroga. – Oblędny! Cudowny! – zawył i chciał pożreć resztę, gdy Randolpho wyszarpnął mu talerz.

– Podziel się! – ryknął.

Ten juror był także nadzwyczaj podniecony zapachem. Sięgnął łapą i władował sobie do paszczy dwie sztuki.

– Very fit! – wrzasnął z uśmiechem. – Zatem wspaniałe!

Maura, niewiele myśląc, chwyciła talerz i zżarła pierogi razem z porcelaną, głośno chrupiąc.

– Rasssputinie! – wrzasnęła. – Delicje! Delicje!

Mikołaj patrzył na nich z niedowierzaniem, ale w końcu jemu także udzielił się wesoły nastrój. Kościej i Waleria zaś, na początku zdziwieni, nagle, jak na sygnał, pograżyli się w ekstazie i zaczęli głośno klaskać. Patrząc na to wszystko, Michał Osipowicz nie mógł uwierzyć, siedzący w nim Rasputin także.

– *Co im się stało, suka?* – zapytał naczelny wódz.

– Nie wiem – mruknął Michał.

Tymczasem Matwiej Harmoszką rznął w instrument, Trio Egzotyczne pisnęło i ruszyło w tany, a przewodniczący jury Randolpho Hołodilnik ryknął:

– Mamy zwycięzcę! To autor... eee... pierogów babuni, Mikołaj Góretskij!

– Urrraaaa! – zawrzały Krwawe Łabędzie, a wtedy do Michała zbliżyły się dwie siostry Cyganki, Gita i Gata.

– Oddaj fartuch – zażądała pierwsza.

Milczarskij, niezmiernie stropiony, zdjął odzienie i wręczył je tancerce.

– Powróżyć? – spytała.

Michał nie zdążył przełknąć śliny, gdy Cyganka świsnęła ciężkim nożem i odcięła nieszczęśnikowi prawą łapę. Gita bowiem specjalizowała się we wróżeniu z ręki.

– Ułoj – mruknęła, patrząc na wnętrze dłoni. – Ułoj. Krótka linia życia, kochanieńki. Coś mi się wydaje, że twój kres jest bliski.

– Tak mówisz, siostrze? – Gata podeszła bliżej i zajrzała w oczy konkurentowi Góretskiego. Powietrze świsnęło drugi raz i nagle głowa Milczarskiego znalazła się w łapie Cyganki, co warto podkreślić, oddzielona od tułowia.

Ciało klona zachwiało się i upadło, sikając seledynową posoką, a głowa wciąż patrzyła na

Gate, także mocząc ją orkową krwią.

– *No i się posrało* – powiedział obrażony Rasputin. – *Ja się tak nie bawię.*

Sam Michaił tylko spoglądał na Gate. Jego płuca były daleko, więc chociaż meł zuchwą, z paszczy nie dobiegał żaden dźwięk.

– Co mówisz, śliczny? – Gata nachyliła się do pyska. – Że chuj mi w dupę? Oczywiście, ale po teleturnieju, kochanieńki. Tymczasem daj mi się skupić, próbuję ci wróżyć.

I strzeliła w pysk otwartą dłonią z wielkimi pierścieniami, po czym zbliżyła swe oczy do gasnących oczu Milczarskiego.

– Przyszłość jest... dziwna – oznajmiła. – Niejasna... Uuuu, wiele się będzie działo, oj, wiele...

I odwróciła mordę Michaiła do widzów, a ci wybuchnęli śmiechem, gdyż była to morda uśmiechnięta od ucha do ucha i wywalająca jęzor. Umarł bowiem Milczarskij w nadzwyczaj dobrym humorze.

Dlaczego?

No cóż, wypada tu wyjaśnić oficjalne historyczne stanowisko dotyczące przyczyn takiego, a nie innego przebiegu wypadków. Podczas całego teleturnieju Nawojka Drabik zwany Psołnikiem wcinał w dużej ilości muchomory z półki przy stanowisku Góreckiego, a poprawiał je zepsutą fasolą, bobem i czym tam tylko mógł. Gdy poczuł, że jego brzusek zaczyna już mocno pracować, oddalił się od swoich i ustalił kierunek wiatru. Wtedy to oznaczył dokładnie, w jakich powinien być miejscach i kiedy, żeby wpłynąć na werdykt jurorów oraz ocenę producentów. A następnie... Już wiecie, prawda? Dzielny nasz i lojalny, co trzeba podkreślić, Nawojka zebrał się w sobie, podbiegł w wyznaczone wcześniej miejsce i gdy Domino miał już demonstracyjnie wyrzucić talerz Góreckiego do kosza, pierdnął tak solidnie i tak halucynogennie, że chmura aromatu natychmiast zmieniła nastawienie jury. Potem przeszedł Drabik nieco w bok, wpływając na nastrój Kościeja i Walerii, następnie tak się ustawił, żeby nieco rozweselić Trio Egzotyczne, a na oparach, że się tak wyrazimy, dotarł w takie miejsce, żeby i biedny Milczarskij miał coś z życia.

I tak to się szczęśliwie skończyło – znaczy dla kamandira Krwawych Łabędzi, chociaż i klon na sam koniec niezadowolony nie był, prawda?

Tymczasem Gita, Gata i Myszka przyniosły już łapę, głowę i resztę Milczarskiego i ze śmiechem wrzuciły wszystko do gara, w którym od dawna wrzała woda pilnowana przez Pi Jabłońskiego.

– Urrraaa!!! – wrzasnęły orki. – Młastier Szief! Młastier Szief!!!

I zrozumiał wtedy Schmidt, że mistrzem kuchni nie jest ten, który przetrwał, ale ten, który właśnie trafił do kotła, by stanowić podstawę zupy, do której Kościej wrzucił także kawałek półdupka byłego pisarza.

– Muszę się napić – stęknął Überwunder, a na te słowa przy jego pysku natychmiast pojawiło się mnóstwo bukłaczków.

Co było dalej, trudno było Schmidtowi określić, wszystko bowiem zmieszało się w wirze tańca, śpiewów, bijatyk, protestów Białorusinów, okresowych napaści Ukraińców, znowu tańców i konsumpcji kolejnego Młastier Szief. A potem były inne teleturnieje, w tym *Jix Fłatkor* i *Ze Włojś of Rossija*, a za każdym razem przegrany konsumowany był w odmienny sposób – a to z rusztu, a to z muchomorami. I były też seanse palenia muchomorowego ziela, opowieści

Kościeja, wróżby Gity i Gaty, znowu tańce, znowu picie, przy czym, zdaje się, zażyłość między Myszką a Schmidtem znacznie się pogłębiła. Tak czy owak, dzielny nasz były pisarz i tłumacz kompletnie stracił rachubę czasu.

Zanim jednak opowiemy o jego losach po odzyskaniu jako takiej świadomości, przenieśmy się w inne miejsce...

Sztandar 7

A mianowicie do Legionowa w Twierdzy, gdzie major Sergiusz Orłowski musiał zmierzyć się z niewykonalnym zadaniem przygotowania nowego składu batalionu „Orzeł Biały” do czekających go zadań. A także z nowymi pojazdami, nowymi wojami i całym tym zgiełkiem, który kompletnie mu się nie podobał, zwłaszcza gdy przypomniał sobie, że będzie musiał zabrać jeszcze królewską bibliotekarkę i panią Scorsese, obie przecież zupełnie, pardon, zielone. Wieczorem tego dnia, którego zobaczył Marzannę, Tura, Mora, Mecha i Lubawę, usiadł – jak przewidywała to Malik – z Mardokiem, Ripley, Kicią, Podgórską, Gadzińskim, Szamanem, Góralem, Tatą Malkim, Grubensem, Juniorem, Samulem oraz doktor Miktus przy wielkim stole, rozpostarł na nim kartę od flipcharta, rozsypał garść mazaków oraz miniatur pojazdów, sapnął i rozpoczął tak:

– O szybkich atakach możemy zapomnieć. Marzanna i Lubawa – wskazał modele pojazdów – to dwie krowy, a i Tur nie grzeszy prędkością.

– No nie – potwierdziła Heintze.

– Kicia – major odezwał się do Gwary, widząc, że ta bierze do ręki model Swaroga i zaczyna mu się bacznie przyglądać – nie baw się.

– Tajest – odparła porucznik i odłożyła czołg na stół.

– Musimy zacząć traktować batalion jak ruchomą twierdzę – podjął Orłowski.

– Zgadzam się – odezwał się Siekierzyński.

– Powinniśmy się posuwać, w miarę możliwości, w dwóch rzędach – oświadczył dowódca. – Awangarda – chwycił modele czołgu i transportera opancerzonego – to Swaróg i Dażbog. – Postawił je obok siebie. – Za nimi Tur i Mech. – Ustawił modele pojazdu dowodzenia i technicznego za czołgiem i transporterem. – Dalej Mor i Lubawa. – Za Turem i pojazdem technicznym wylądowały ambulans i cysterna. – W ariergardzie Marzanna i Jaryło. – Składający się z modeli ciąg zamknęły kuchnia polowa i haubica. – Przed oddziałem w zwiadzie – na przedzie kolumny Orłowski ulokował osadzony na wysokiej podstawie śmigłowiec i model UAZ-a – krążą Perun i Porewit, którego, jak słyszę, dostanie nasze Oko – spojrzał na Gadzińskiego – a na flankach Rujewit i Zbrojowiec. – Po prawej stronie kolumny ustawił trójkołowy motocykl, a po lewej potężną figurkę woja w Trojanie.

Porucznik Anna Podgórska i chorąży Dariusz Samul pokiwali głowami.

– Wampir – rzucił Orłowski, wskazując Porewita na czele oddziału – cały czas krążycie. Nie tylko z przodu.

– Tak jest.

– To samo Gollum. – Dowódca położył palec na Rujewicie.

Anna skrzywiła się.

– Nie jestem pewna, panie majorze, czy ta ksywka mi odpowiada...

– Nick ma wyrywać ze stuporu. Ten z pewnością pani pomoże, gdy zaczną strzelać i poczuje pani parcie na pęcherz.

– Mnie się podoba. – Mardok wyszczerzył zęby.

– Pan, panie sierżancie, ma fajne pseudo – próbowała oponować Podgórska.
– Wystarczy tych pogaduszek – uciął Orłowski. – Gollum, masz być w ciągłym ruchu dookoła grupy.
– Tajest – mruknęła porucznik. – Może chociaż... Gollumka?
– Tak pani woli?
– Prosiłabym.
– Zgoda. Dariusz – dowódca zerknął na Samula i wskazał figurkę Trojana – też w ciągłym ruchu.
– Dopóki Rłokiet w żyłach, nie ma problemu – oznajmił olbrzym.
– Junior. – Orłowski spojrział na pilota.
Podgrudny, odkąd zorientował się, że porucznik Anna Podgórska jest matką jego ukochanej, czyli potencjalną teściową, starał się schodzić jej z drogi i ogólnie nie rzucać się w oczy, jednak teraz było to niemożliwe, bo siedziała po drugiej stronie stołu. Miał gorącą nadzieję, że Orły nie wygadały się jeszcze przed motocyklistką w sprawie jego awansów, i postanowił czym prędzej wyleczyć się z miłości do Kaliny.
– Junior? – powtórzył dowódca.
– E... Na rozkaz?
– Patrolujesz. Wiesz, jak to się robi?
Kapitan nerwowo westchnął, zerkając na Podgórską.
– Oczywiście.
Dowódca wychwycił jego spojrzenie.
– Masz jakiś problem z panią porucznik?
– E... nie mam.
– Ma – odezwała się Anna. – Kocha się w mojej córce i unika mnie, jakbym już była jego teściową.
Towarzystwo się roześmiało, a Gollumka popatrzyła na majora.
– Czy mogę?
– Proszę.
Kobieta spojrzała spokojnie na Podgrudnego i wyciągnęła po blacie rękę w jego stronę.
– Kalina jest dorosła, to raz. Dwa, ma chłopaka. Trzy, jest dla pana, panie kapitanie, trochę za młoda, choć to być może nie jest takie ważne. Cztery, to normalne, że pan się w niej kocha, bo jest śliczną i mądrą dziewczyną. Pięć, jeśli pana kiedyś wybierze, nic mi do tego. A tymczasem proszę przestać mnie unikać, dobrze?
– Eee...
– Nie zabijam kandydatów na męża swojej córki – zapewniła.
Pilot uśmiechnął się, przełknął ślinę, powoli wyciągnął rękę i ucisnął wąską, silną dłoń motocyklistki.
– Dziękuję, pani porucznik.
– Proszę bardzo.
Orłowski chrząknął.
– Możemy wrócić do spraw niematrymonialnych?
Orły zachichotały.
– Zatem, Junior, patrolujesz. Pomoże ci Zgud pilotujący drony. Drony niżej, Perun wyżej.
– Okej.
Orłowski spojrział groźnie na kapitana. Ten wyprostował się i szczerknął:

– Tak jest!

Major przełknął ślinę i wskazał palcem modele.

– Wbijcie sobie ten schemat do głowy. Żeby w nocy o północy wiedzieć, jak się ustawić. Jutro to poćwiczymy. Formację i rozformowanie. Aparaty w dłoń – zakomenderował.

Dowódcy poszczególnych jednostek wyjęli smartfony, porobili zdjęcia i poczynili notatki.

– Idziemy dalej – stęknął Orłowski. – Nie chowajcie aparatów i notujcie na bieżąco. Postój i obrona będą wyglądały tak samo. Jaryło – wziął model haubicy i zrobił miejsce między pojazdami wsparcia – pośrodku. Dookoła krążą po okręgu Mor – wskazał ambulans i odpowiednio go umieścił – Marzanna, Tur, Mech i Lubawa. – Ustawił po kolei kuchnię, pojazd dowodzenia, wóz techniczny i cysternę. – Na zewnątrz krąży koło składające się ze Swaroga, Dażboga, Rujewita i Porewita zwiadowców, o ile w nim będą. Jeśli nie, Porewit pozostaje w dyspozycji piechoty. Perun leci tam, gdzie będzie potrzebny.

– Rozumiem, że podczas postoju schemat jest ten sam, ale nieruchomy? – odezwała się Podgórska.

Orłowski mrugnął, Klaudia parsknęła, a Kicia otworzyła z uśmiechem usta, jakby miała zapytać: „A ty, złotko, z której imprezy się urwałaś?”

– Pani porucznik dawno ukończyła szkolenie? – spytał dowódca.

– Przepraszam, to było głupie pytanie. – Anna zarumieniła się i zakryła usta.

– Teraz atak – podjął major. – Jaryło zostaje nieco z tyłu, przed nim szeroko idą Marzanna, Mor i Lubawa, przed nimi, także szeroko, Mech i Tur. Z przodu Swaróg, Dażbog, Porewit, jeśli ma obsadę, Rujewit, Perun i Zbrojowiec w ruchu.

– Szefie – odezwał się Mardok, który do tej pory pilnie słuchał.

– Tak?

– Nie widzę tu za bardzo roboty dla piechociarzy. Mamy się chować w Dażbogu? Nie lubię tego. – Skrzywił się. – Siedzę w puszce, kule dzwonią o pancierz...

– Ja mam tak zawsze. – Heintze spojrzała na niego z cieniem uśmiechu.

– Ty lubisz Dażbogi, a ja tak sobie.

– Podczas ataku i obrony, jeśli będzie taka potrzeba, piechota wyjdzie na zewnątrz – zapewnił Orłowski.

– Rozumiem. Dziękuję.

Major popatrzył na dowódców.

– Dacie radę?

– Damy – zapewnił Grubens.

– Na pewno, poruczniku?

– Z całym szacunkiem, panie majorze, przy liczbach zespolonych te schematy to prościzna.

Orłowski po raz pierwszy tego dnia się uśmiechnął.

– Dobra. Zaraz prześlę te schematy do TYKAC-a, oni podobno wiedzą, jak to zaimplementować w bebechach Tura, cokolwiek znaczy ta „implementacja”.

W tym momencie kapitan Miktus prychnęła, opluwając stół.

– Pani kapitan? – Orłowski spojrzał na lekarzkę niedobrym wzrokiem.

– Tak, panie majorze? – spytała niewinnie.

– Była pani pod ostrzałem?

– Nieraz.

– Da pani radę?

Mocarna kapitan wypięła pierś.

– Jeszcze się pan przekona, majorze Orzełek.

Sierzanci Piotruś i Wojtuś Swatowscy znani byli lepiej jako Diabeł and Mojżesz i trochę tak wyglądali. Piotruś miał wesołe ciemne oczy, czarny zarost, gębę ostro ciosaną i uśmiechniętą, Wojtuś za to czuprynę, chociaż ciemną, zawsze miał zmierzwioną, przy jego uszach kręciły się bokobrody, brwi posiadał gęste, a spojrzenie ciężkie. Istny święty. Jak zaś wyglądał sierżant Jacenty Gdaniec? – ktoś mógłby zapytać. Wielki był, zwalisty, z siwą bródką, inteligentnym spojrzeniem i cieniem uśmiechu na ustach. Co ta trójka miała ze sobą wspólnego? Ano jechali do Legionowa samobieżną haubicą typu Jaryło pomalowaną w leśny cyfrowy kamuflaż, przy czym Jacenty prowadził, a Diabeł and Mojżesz grzali gęby w porannym słońcu, siedząc w górnych włazach, bo pierwszy był celowniczym, a drugi ładowniczym. Jechali z niemałym łoskotem, co pasowało do pojazdu ochrzczonego jako „Gejtofhell”, i humory mieli wyśmienite, oto bowiem dostąpili zaszczytu zasilenia słynnego batalionu „Orzeł Biały”. W bramie jednostki senni strażnicy przepuścili ich, gdy pokazali przepustki, a dalej przywitały ich pustka i cisza, bo było jeszcze wcześniej, przed pobudką i poranną zaprawą.

– I co, Wojtuś? – odezwał się Piotruś. – Fajno będzie?

– No fajno, he, he... – Wojtuś był nie do końca rozgarnięty i czasami się zaciął na „he, he”.

– Inteligenci – odezwał się przez interkom Jacenty – dokąd teraz?

Mojżesz rozejrzał się. Na prawo kryły się w porannym cieniu wielkie hangary i park maszynowy, na lewo zaś budynki mieszkalne i logistyczne odbijały różowe światło jutrzeńki.

– A bo ja wiem? – Diabeł wciągnął w nozdrza zapach rosy. – Tu gdzieś niby miały być maszyny batalionu, ale ich nie widzę.

– Podjedź dalej, Jacuś – poprosił Wojtuś.

– Dobrze, Mojżeszku.

– Dziękuję, Jacusiu.

I Gejtofhell potoczył się z basowym pomrukiem silnika do taktu dygoczącego gruntu. Minęło Jaryło hangary i nagle do uszu Piotrusia doszło jakby gdaknięcie diesla.

– Oj, coś słyszę, Jacusiu. Możesz się zatrzymać? – poprosił.

– Oczywiście, Diabełku, już stoję.

Haubica zaryła w beton gąsienicami, podniósł się obłoczek pyłu spod lewej i prawej burty pojazdu, a Wojtuś, Piotruś i Jacuś zaczęli się rozglądać po pustym placu, strzygąc uszami.

– Łojerumpajtasz, uciekajmy!!! – wrzasnął Diabeł, gdy nagle wrota hangaru po prawej otworzyły się i, niczym wygłodniałe zwierzęta w rzymskim cyrku, wypadły z niego ze straszliwym graniem dieslowych silników Swaróg i Daźbog, za nimi zaś wielki Tur, a obok niego zgrzytający gąsienicami Mech.

Jacenty natychmiast wrzucił wsteczny, samobieżna haubica zachwiała się i zgrzytając po nawierzchni jakby oblodzonymi stalowymi ogniwami, wycofała się w ostatniej chwili, a olbrzymy minęły ją z rykiem silników, błyskając matowym polerem leśnego kamuflażu i okrywając obłokiem pyłu. Dalej toczyły się z jazgotem twardych kół Mor, Lubawa i Marzanna, obok nich zaś biegł wesoło Zbrojowiec, popijając Rłokieta. Dostrzegł ich i wesoło zamachał.

– A, Jaryło wreszcie przybyło!

– No... – próbował odpowiedzieć Piotruś, ale Samul mu przerwał:

– Widzę wasze głupie ryło!

– Już go lubię – oznajmił Jacenty.

– Wasz major zaraz do was wskoczy, tylko was zoczy! – zapewnił woj i nie zwalniając, rozejrzał się.

– Samul do Rujewita, przybyło Jaryło. – Żołnierz odziany w Trojana był nadzwyczaj zadowolony ze swoich rymów.

Dopił pałerdrinka, zakręcił butelką jak rewolwerowiec coltem i osadził pustą butlę w pochwie wyglądającej jak kowbojska kabura. Spoczywała w niej jeszcze jedna, pełna flasza.

– Za dużo Rłokieta z rana jak śmietana – uśmiechnął się nieco nieprzytomnie – i trochę mi odwała. Sorry. – Machnął do nich ciężką łapą i wywinął salto, co, jak twierdzą niektórzy, w Trojanie jest niemożliwe.

Ledwie jego stopy grzmotnęły w grunt, z obłoku kurzu, który gęstniał z każdym przejeżdżającym pojazdem, wyłonił się trójkołowiec, na którym oprócz porucznik Anny Podgórskiej, Jarosława Krawczyka i Jastrzębia siedział, co warto zaznaczyć, *za panią porucznik*, major Siekierzyński.

Motocyklistka podjechała ostro tuż pod burtę Jaryła i gwałtownie zahamowała, a Rujewit zachwiał się na amortyzatorach.

– Pańska bryka, majorze? – spytała, wskazując haubicę.

– Tak, moja. I moje chłopaki – odparł Witek, jakoś nie kwapiąc się, by zsiąść z Rujewita.

Diabeł szturchnął Mojżesza w bok, wskazując, jak bardzo niedbala ich dowódcy była przytulona do wypiętych pośladków pani porucznik. Zaczęli chichotać, a słysząc to, Jacenty aż wychynął z włazu.

– No! – mlasnął z ukontentowaniem, błyskawicznie zorientowawszy się, o co chodzi.

– Co no? – rzucił major i rozstał się z siedziskiem, nie tylko tym należącym do trójkołowca.

– Dzień dobry, panie majorze! – wrzasnęli pancerniaci i pomogli dowódcy wdrapać się na pancerz.

– Dzień dobry, załogo! – odparł wesoło Witek. – Do przodu! Za Lubawą, a obok Marzanny! – Spojrzał na Gollumkę. – Dziękuję za podwózkę, pani porucznik!

– Do usług, panie majorze.

Wymienili szczere uśmiechy, a Piotruś znowu szturchnął Mojżesza w bok.

– Nie szturchać mi się tu, tylko na stanowiska! – zaordynował Siekierzyński, pochylając głowę, gdy jeden z czterech dronów szybujących na niskim pułapie przemknął nad nim, a tuż za dronami przetoczył się niczym grom Perun. – Już kurz za nimi opada! – Wskazał oddalającą się kolumnę pojazdów.

– Tajest! – krzyknęli komilitoni i Gejtofhell ruszył z rykiem silnika.

Tymczasem major Sergiusz Orłowski siedział w przedniej części Tura w niedużym, ale wygodnym fotelu, a przed nim świeciło kilka ekranów. Cztery wyświetlały widok z dronów, jeden widok z przodu maszyny, trzy inne obrazy z pozostałych stron, kolejny zaś wprost do góry. Był tam też wskaźnik radarowy oraz podzielony ekran zapewniający podglądy z przednich kamer wszystkich pozostałych pojazdów. Orłowski przecierał oczy, usiłując ogarnąć ten informacyjny nadmiar, poprawiał mikrofon przy hełmie i dwie słuchawki – w lewym uchu do rozmów wewnątrz Tura, w prawym do rozmów z dowódcami wozów – i zastanawiał się, jak ma zrealizować prosty, wydawałoby się, manewr przemieszczenia batalionu z punktu „niebieskiego” do „zielonego”, oddalonego na mapie o trzy kilometry na północny zachód. Wcale nie było to takie proste.

Po jego lewej siedział porucznik Karol Szczyrbowski, czyli jedna trzecia TYKAC-a, przydzielony do batalionu z zadaniem obsługi systemów informatycznych wozu dowodzenia i nie tylko. Uśmiechał się do dowódcy zza czarnych wąsów tudzież brody, nie kryjąc podniecenia tym, że przebywa w jednym pojeździe ze słynnym Orłem.

– Ten duży blat przed panem, majorze – pokazał wmontowany płasko w deskę rozdzielczą śliski prostokąt przedstawiający widok z radaru, ale tak obrobiony, że wyglądał jak trójwymiarowa projekcja – to ekran dowodzenia. Widzi pan na nim cały batalion i spory obszar dookoła. Trzymając dwa palce i ciągnąc przed awangardą, może pan wytyczyć kierunek ruchu kolumny. Niech pan spróbuje.

Major spojrział na niego niepewnie, ale potem dotknął ekranu i pociągnął drogę łagodnym łukiem w lewo. Jego palce pozostawiły za sobą zieloną strzałkę.

– Brawo – pochwalił go Szczyrbowski. – Teraz wszyscy dowódcy i kierowcy batalionu widzą na swoich ekranach to, co pan narysował, i będą się tego trzymali.

– Jechać tam, szefie? – Orłowski usłyszał w słuchawce głos Kici.

– Tak, Gwara – odpowiedział, po czym spojrział na Szczyrbowskiego. – Niesamowite.

– Technika Twierdzy, panie majorze. – Informatyk uśmiechnął się. – Teraz niech pan wskaże na przykład Swaroga i pociągnie jednym palcem, gdzie chce.

Sergiusz posłuchał i wyznaczył od czołgu ciasny łuk w lewo. Strzałka miała, w przeciwieństwie do poprzedniej, kolor niebieski.

– Szefie – usłyszał głos Kici – mam skrócić? Bo mi tu się coś na ekranie narysowało.

– To mój paluch narysował. Skręcaj, Gocha.

– Roger that – odparła Gwara, w tle, stłumiony przez silnik czołgu, rozległ się jeszcze głos Tygryzka „No niech się zdecyduje!”, i jej pojazd odłączył się od kolumny.

– Teraz niech mu pan każe wrócić do oddziału. Ma pan ciągle wybranego Swaroga, widzi pan? Tu miga ikona. – Wskazał prawy górny róg ekranu. – Jak pan pacnie tę ikonę – pokazał widniejącą obok strzałkę skierowaną do symbolicznie przedstawionej kolumny wozów – to zrozumie.

– Dobra. – Orłowski wykonał polecenie.

– Wracac, szefie? – usłyszał w prawym uchu.

– Wracaj, Kicia, wracaj.

– Przystaniesz się bawić, szefie?

– Nie rezonuj. Fajne to jest! – Dowódca uśmiechnął się do Szczyrbowskiego.

Szczęście, że nie słyszał tego, co w tym samym momencie Gwara powiedziała na kanale wewnętrznym do załogi swojego wozu.

Radar pokazał, jak czołg wpasowuje się z powrotem w jadące po łuku pojazdy. Orłowski sapnął, przygryzł język i wytyczył dla całej kolumny nową marszrutę. Tym razem w kształcie litery „S”.

– Ale szef dzisiaj wydziwia – odezwała się Klaudia. – A w moim nowiutkim Dażbogciu pachnie jak na święta!

– W moim też ślicznie wania – zapewnił Tata Malki z Marzanny. – Bigosem!

– Ożeż ty!

– Cisza – odezwał się Orłowski.

– Tutaj – Szczyrbowski wskazał ikonę niebieskiego pojazdu – ma pan, majorze, zbiorczo wszystkie wozy o charakterze niebojowym, czyli Marzannę, Tura, Mora, Lubawę i Mecha. Jeśli klepnie pan tę ikonę i dwoma palcami wskaże punkt na mapie albo pociągnie palcami, pojedą

tam tylko te pojazdy.

– Sprawdzimy... – Dowódca Orłów stuknął ikonę i pociągnął po mapie, kreśląc łuk i oznaczając miejsce postoju na niewielkim wzgórzu.

– Potwierdzam – odezwały się głosy z kilku wozów.

– Czerwona ikona to wozy bojowe – ciągnął Szczyrbowski. – Działa tak samo. Po prawej stronie ekranu, wzdłuż krawędzi, ma pan, majorze, cały skład batalionu. Wszystkie pojazdy, a gdy woje wyjdą z nich, także ich. Za każdym razem, gdy otrzymuje pan potwierdzenie rozkazu, ikona przez chwilę miga, widzi pan? – Wskazał pulsujące obrazki niebojowych wozów.

– Rzeczywiście.

Pojazdy wsparcia grzecznie odłączyły się od kolumny i pojechały łukiem w lewo.

– To łatwe – stwierdził Orłowski.

Szczyrbowski wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Cieszę się, że pan to mówi, bo sam projektowałem ten system.

– Sam?

– Pomagali mi Pokorski i Typrowicz.

– A jednak.

– I Podgórska. Może pan też wydawać rozkazy poszczególnym pojazdom, po prostu klikając na ich sylwetki po prawej stronie ekranu. Dwa palce na mapie oznaczają dla nich punkt docelowy.

– Aha...

Orłowski wskazał Rujewita, a następnie rozkazał mu dojechać do miejsca, gdzie przez parów został przerzucony wojskowy most.

– Tajest – usłyszał głos Anny i Rujewit pomknął do przodu.

– Szybka jest – powiedział Szczyrbowski.

– Ta.

– I genialna dupa, jeśli mogę tak...

Orłowski spojrzał na niego groźnie.

– ...powiedzieć – dokończył wystraszony informatyk.

– Poruczniku, słabo się znamy, więc na razie sobie darujcie.

Szczyrbowski zarumienił się.

– Tak jest. – Po chwili chrząknął i wskazał miejsce znajdujące się trzysta metrów na północny zachód, za mostkiem. – Niech pan poleci całej kolumnie tam dojechać. Jeśli wykona pan spiralny ruch czterema palcami nad punktem docelowym, każe pan wszystkim pojazdom wejść w tryb obrony.

– Doskonale. – Orłowski wydał dyspozycje na ekranie. W punkcie docelowym pojawił się niebieski wir.

Tur jechał szybko, o co major nie podejrzewał góry stali zaopatrzonej w radar. Sierżant Kubala, którego stanowisko znajdowało się niżej i na prawo od Orłowskiego, prowadził tak pewnie, jakby się w nim urodził. Z tyłu i też w dole, przy panelu dronów, czuwał Zgud i trzeba przyznać, miał pełne ręce roboty, bo obsługiwał cztery latające pojazdy jednocześnie. Przed sobą miał kilka ekranów wyświetlających to, co widzą jego zabawki, oraz poziomy ekran podobny do tego, którego używał Orłowski, tyle że jemu niczego nie trzeba było tłumaczyć – sam wszystko opanował. Na lewo od Zguda na niewielkich krzeselkach warowały Ursula Scorsese i Magdalena Stawniak, którym Orłowski z pewną domieszką sadyzmu kazał się stawić w Legionowie o piątej rano, przebrać w szpej, zrobić dwa okrążenia wokół hangarów i po dwadzieścia pompek, dobrać

broń osobistą i opanować system komunikacji. Ku jego zdumieniu poradziły sobie ze wszystkim i dzielnie dźwigały zarówno Visy na biodrach, jak i kamery na piersiach, a i mikrofony im się nie plątały. Specjalnie dla nich na dachu Tura zamontowano dwie dodatkowe pancerne kamery. Każda kobieta miała swój dżojstik, a przy nim klawiaturę i dodatkowy mikrofon, dzięki którym mogły wklepywać bądź nagrywać komentarze do tego, co widzą. Orłowski był pozytywnie zaskoczony dyscypliną i ciszą, jakie panowały w pojeździe. Obserwując szczerą a wzajemną niechęć Kubali i Zguda, spodziewał się, że pod pancierzem będzie głośno, a tymczasem były skupienie i profesjonalizm. Kto by pomyślał...

Dojechali na miejsce i kolumna zaczęła zataczać kręgi – wewnętrzny, składający się z pojazdów wsparcia, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, zewnętrzny, będący pierścieniem wozów bojowych – w kierunku przeciwnym.

– Przygotowaliśmy kilka ruchomych celów – oznajmił Szczyrbowski, wskazując wyłaniające się z okolicznych zagajników UAZ-y z mechanicznymi orkami. – To stary sprzęt, ledwo jeżdżący, ale roboty mają kamery i gumową, znaczoną farbą amunicję, więc będzie wiadomo, kiedy oberwaliśmy.

Orłowski spojrzał na niego groźnie, a potem rzucił za siebie i w górę, patrząc na stanowisko strzelca obsługującego wyrzutnię rakiet kierowanych Diablątko.

– Tygrys gotowy?

– Gotowy, panie majorze – odparł sierżant Kowalkowski.

– Okej.

– Może pan – odezwał się znowu Szczyrbowski – nakazać ogień każdej jednostce z osobna. Najpierw klika pan w ikonę ognia u góry...

Orłowski pacnął w znaczek i ekran zmienił tonację kolorystyczną na czerwoną.

– Teraz – ciągnął naukowiec – dotyka pan sylwetki pojazdu, a potem wskazuje cel. Jeśli jest to cel ruchomy, radar sam to wykryje i go namierzy. Jeśli jest to obszar, radar także wykona polecenie. Najgorzej jest z piechotą. Tu przydaje się dodatkowa ikona, o ta. Pokazuje, że chodzi panu o ostrzeliwanie piechoty, nie obszaru. A gdy rzeczywiście chodzi o obszar, tu jest znaczek i wszyscy wiedzą, co mają robić.

– A gdy chcę, by każdy sam wybrał sobie cel?

– Ta ikonka. – Szczyrbowski wskazał znaczek.

– Dobrze, wypróbujemy.

Dowódca Orłów wystukał dyspozycje, inne dla każdego pojazdu.

– Szczelać mamy? – usłyszał Kicię.

– Dowódco? To rozkaz? – odezwała się Heintze.

– Prac? – rzuciła Podgórska.

Orłowski przybliżył mikrofon do ust.

– Traktujcie polecenia na ekranach jako rozkazy. Od teraz nie pytacie i nie prosicie o powtórzenie instrukcji. Klikać potwierdzenia i prac.

– Tajest! – rozochocił się Dragon jadący w Marzannie.

W pojeździe tym panowała zgoła inna atmosfera niż w Turze. O ile obecność Orłowskiego w wozie dowodzenia dyscyplinowała obecnych tam wojów i reporterki, o tyle w kuchennym Behemocie wciąż rozbrzmiewały rozmowy między prowadzącą pojazd podporucznik Daną Banecką, porucznikiem Tatą Malkim, który dzielił uwagę między ekran dowodzenia i mięsiwo

piekące się w piekarniku, a moszczącym się w dziale na szczyście sierżantem Grzeszczakiem.

– Dowal im, synuś! – krzyknęła Dana, jadąc za Morem i uważając na wyboje.

Silnik pojazdu mrucał, a amortyzatory spisywały się dobrze. Ledwo kołysało.

– Tajest, pani podporucznik! – odparł Dragon, odbezpieczając z głośnym szczękiem poczwornie sprzężone działko Sobieski. – Perunie, to prawie taka potęga jak Perperuna!

– Mów mi Ciocia, synuś! – zawołała Dana.

– Tajest!

– Mam nadzieję – wtrącił Tata Malki, ulokowawszy się w końcu na stanowisku dowodzenia, skąd śledził tor pojazdu – że nie będzie dużo tych kółek, bo ja jestem wrażliwy na karuzelę...

– I jak będziesz głodny, Draguś, są pączusie w szafce! – rzuciła Dana, ignorując utyskiwania Mikołajczaka.

Twarz strzelca pojaśniała niebiańskim blaskiem.

– Perunie – szepnęła, namierzając pędzącego łąką UAZ-a, na którego pace gotowały się do strzału z bazooki dwa mechaniczne orki – dziękuję, żeś mnie ulokował w Marzannie!

Przed Marzanną, ale za Mechem jechał Mor pod dowództwem kapitan Małgorzaty Miktus. Ta siedziała w trzyosobowej kabinie po prawej stronie, trzymała się chwacko przyśrubowanej nad oknem ramy i poganiała to Skrzacika, to Machaja.

– No dalej, Pawełek, z biglem, z biglem! Skrzacik, nie ociągaj się!

– Tajest! – skrzeknął podobny do satyra porucznik Mikołajczyk i pilnie śledził kurs zaopatrzonego w dźwig Mecha, delikatnie korygując prędkość pojazdu.

Jego drobna żona siedziała pośrodku, na znacznie podwyższonym obrotowym fotelu, mocno przypięta krzyżowymi pasami, a głowę miała okrytą dużym hełmem, którego szerokie okulary zasłaniały jej pół twarzy. Widziała dzięki nim otoczenie Mora tak, jakby nie istniały jego ściany czy przybudówka. Hełm był zsynchronizowany z podwójnie sprzężonym działkiem Siwa znajdującym się na szczyście pojazdu.

– Dobrze, kochanieńki... – pisnęła, widząc swój cel. – Mam cię!

Nacisnęła przycisk dźwojstika pod prawą ręką i Mor lekko zadrżał od wyrzucanych przez działka pocisków.

– Ma łeb ten Orzełek – zawyrokowała Miktus, patrząc, jak smugi z jej pojazdu i innych w wewnętrznym kręgu pędzą nad niższymi wozami bojowymi z kręgu zewnętrznego.

– Orłowski – poprawił ją Machaj.

– Przecież mówię.

– Mam cię! – pisnęła znowu Skrzacik, gdy UAZ, w którego wgrzyzły się jej działka, potknął się o uszkodzone koło i wyskoczył w powietrze, ciągnąc za sobą płomień i dym. Siedzące na pace roboty, wyrzucone wysoko, zaczęły zabawnie machać kończynami.

– Zabębniło coś o pancierz? – spytała.

– Na razie nie – odparł Machaj.

Stojące pośrodku dwóch kręgów Jaryło Gejtofhell wyglądało jak demon, dookoła którego tańczą pomniejsze diabliki. Było masywne i groźne ze swoją uniesioną wysoko lufą podpartą symetrycznymi siłownikami.

– Panie majorze, mamy cel – oznajmił z demonicznym uśmiechem sierżant Piotr Swatowski. –

To coś wygląda jak wycelowane w nas działko, jeden klik na północ.

– Widzę, Piotrusiu – odparł Siekierzyński. – Wojtuś, ładuj.

Mojżesz załadował pocisk i zatrzasnął zamek.

– Jeden wystarczy – zapewnił, sprawdzając odczyt z ekranu taktycznego.

– Też tak myślę, Wojtusi. Jacenty, pięć stopni w prawo.

– Oczywiście, panie majorze – odparł Gdaniec.

Olbrzymi pojazd zawarczał, zadrżał i przez chwilę obracał się w wyznaczonym kierunku.

– Cel namierzony – zameldował Diabeł.

– Ślicznie, Piotrusiu – odparł Szaman. – Ognia, w imię wszystkich diabłów.

– Gejtofhell!!! – wrzasnęli wszyscy, gdy Jaryło ryknęło głębokim basem, wysyłając ładunek w pióropuszu ognia.

– Aaaaale dupnął! – podsumował inżynier porucznik Michał „Grubens” Chudoliński prowadzący Mecha tuż przed Morem, ale za Turem. – Ciekawe w co.

Spod gąsienic Gejtofhella uniosły się obłoki kurzu.

– Co? – spytał porucznik Szymon „Skarpeta” Kosikowski przypięty, podobnie jak Skrzacik, do wysokiego obrotowego fotela.

– W co.

– Co?

– Nieważne.

– Jaryło?

– No.

Wskazany przez Orłowskiego cel Mecha, lekki, pomarańczowo-czerwony UAZ zaopatrzony w zdalnie sterowane laserowe działko, pędził właśnie po drugiej stronie koła i Kosikowskiemu trudno było się wstrzelać. Puszczając krótkie serie po trzy pociski z podwójnie sprzężonego działka Sobieski, starając się przewidzieć kierunek jazdy przeciwnika. Niestety ten, kto zdalnie sterował wrogim pojazdem, był pełen inwencji i co chwila zmieniał kurs.

– Nie podskakuj, bo ostatni trafię w swój cel i będą się z nas śmiali – stęknął, widząc, jak kolejna salwa działka Mecha chybia o pół metra.

– Już się śmieją – odparł Grubens, mijając wyboje i próbując utrzymać dystans za jadącym przed nim wysokim Turem. – Ale kurzu.

– Jak to już się śmieją?

– Słyszałem, jak o nas mówią.

– No?

– Flip i Flap.

– To nawet pasuje! – roześmiał się Skarpeta i posłał w kierunku UAZ-a wyłaniającego się zza Mora trzy pociski 50 milimetrów.

Pojazd zaiskrzył od celnej palby, zakołysał się, zadymił, koła się zablokowały i wywinął kozła.

– Mam cię!

– W lesie na północny wschód od nas widzę oddział wroga – odezwał się opanowanym głosem Ktara, obserwując otoczenie z kamer dronów. – Obsługują moździerz. Podejrzewam, że sekundy

dziela nas od trafienia gruchą...

– Ogórkiem, szeregowy – poprawił go Kubala.

– Szlag! – Orłowski zareagował natychmiast, wyznaczając nowy punkt obrony dla wszystkich pojazdów i wysyłając w kierunku celu Rujewita i Dażboga. – Klaudia – nadał do dowódcy transportera – wysadź piechotę na tyłach tego mózdzierza. Podgórska, osłaniasz ich od północy.

– Tajest – rozległo się podwójne potwierdzenie.

Ekran radaru pokazał, jak cała grupa przemieszcza się w nowe miejsce. Powstał zator między Lubawą i Marzanną.

– Szybciej! – warknął Orłowski.

Do zagajnika skrywającego mózdzierz mknęły już, podskakując na wybojach, Dażbog i Rujewit. Przeznaczony do szybkiego zwiadu trójkołowiec wyrwał do przodu. Spod jego kół sypały się kępy trawy i ziemi, gdy oddalał się od transportera.

Siedzący w prawej gondoli Jastrząb był w rozterce. Z jednej strony zadanie wymagało od niego maksymalnego skupienia i patrzenia w przód, bo tam czaił się wróg, z drugiej widok wypiętych kształtnych pośladków Podgórskiej skutecznie go dekoncentrował. Na dodatek Wiesiu „Młotek” Krawczyk też spoglądał na te cuda i co chwila wznosił do Jastrzębia kciuk, szczerząc zęby. Co za cymbał!

– Kurwa, kurwa, kurwa! – klęła Podgórska, prąc do przodu i omijając drzewa.

– Co ona tak klnie? – spytał samymi ustami Krawczyk.

Jastrząb zerknął na dowódcę.

– Ma źle ustawione lusterka – odpowiedział w ten sam sposób.

– Czyli?

– Widzi swoją twarz.

– No to co? – Krawczyk uniósł ramiona.

– Ona tego nie lubi.

– Ile jeszcze lat będę się starzeć? – rzuciła Podgórska do siebie, a potem dodała: – Koncentracja, chłopcy! Otaczamy mózdzierz od północy, grzmocimy, odskakujemy, grzmocimy. Krawczyk, biorę ich lewą burtą, osłaniasz piechotę!

– Tajest!

Rujewit z warknięciem przeskoczył krzaki, opadł z jękiem kół na ziemię i w odległości stu metrów zobaczyli ruchomą makietę przedstawiającą orki krzątające się niby wokół mózdzierza. W istocie były to proste blaszane roboty, które miały się przewrócić po jednym trafieniu. Podgórska naliczyła blisko trzydzieści sztuk. Ruszyła wprost na nie.

– Ognia! – zakomenderowała, a działka motocykla zagrały, wyrzucając pióropusze ognia oraz skrzące się wachlarze łusek. Pierwszy ork padł na ziemię.

Młotek i Jastrząb dołączyli do niej. Smugowe pociski rozświetliły las i po chwili położyły się trzy kolejne orki. Roboty wycelowały w nich zaopatrzone w gumowe kule automaty. Gollumka dała ostro w lewo, pojazd zadarł prawe koło i Jastrząb wypadłby z gondoli, gdyby nie pasy. Zaraz jednak prawa burta trójkołowca opadła, a Jastrząb stęknął, konstatuując, że czuje się jak pod dowództwem Jaroty, bo porucznik Podgórska prowadziła w tym samym stylu. Za nimi świsnęły kule wroga.

– Odwróciłam ich uwagę, Klaudia – nadała do dowódcy Dażboga. – Dwie dziesiątki bandytów pozostawiam wam. Osłaniam od północy.

– Przyjęłam, Podgórska – odparła Heintze i zwróciła się do kierowcy transportera: – Lenny, stajesz przy tych sosnach! Dupą w lewo!

– Tajest! – odkrzyknął Hadder, odbił w lewo, a zaraz potem mocno szarpnął w prawo.

– Wreszcie – stęknął Mardok. – Już mi nogi zdrętwiały, a filc...

– Wiemy, wiemy – warknęła Zdzira, odbezpieczając i przeładowując Roda.

Deckard słuchał ich i zastanawiał się, o co im chodzi, ale że ani Żmij, ani Wiechucka nie zareagowali na tę wymianę zdań, uznał, że należy do swego rodzaju standardu batalionu.

Dażbog zarył w ziemię, unosząc lekko tył i stękając amortyzatorami.

– Piechota precz! – wrzasnęła Klaudia i siedzący najbliżej wjazdu Żmij pociągnął dźwignię. – Malik, skanuj! – Heintze spojrzała na działonową.

– Tajest – odparła Kalina, obracając wieżę transportera i bacznie obserwując ekrany.

– Jak znam życie, spece od poligonów przygotowali dla nas coś ekstra – syknęła Ripley.

Drzwi Dażboga otworzyły się i pięcioosobowy oddział, ubrany w pancerze wspomagane Chors Mk 4 oraz nowe hełmy taktyczne Krak Mk 1, wysypał się i przyjął pozycje. Mardok, Zdzira i Żmij byli w awangardzie, Wiechucka ubezpieczała tyły, a do zadań Grabonia należało wyszukanie największego zagrożenia: snajperów, jeśli orki takich miały, dowódców i operatorów ciężkich karabinów.

– Znaleźć wygodne miejsca, czekać na głos marksmana – polecił Mardok. – Klaudia, podjedź na południe i zacznij ich nękać.

– Przyjęłam – odparła Heintze i transporter zawrócił, zgrzytając twardymi oponami po sosnowych gałęziach.

– Uwielbiam zapach spalin o poranku – zapewniła Frenkiel.

W tym czasie Deckard, znalazłszy dogodny punkt obserwacyjny za złamanym pniem i krzakiem jałowca, błyskawicznie zlustrował skład blaszanych orków. Herszt trzymał bazookę, więc zagrażał zarówno Podgórskiej, jak i Heintze, i już wyszukiwał martwym okiem celów. Na lewo od niego znajdowała się dwuosobowa obsługa mózdzierza. Zieleni posłali już jeden granat, bo z lufy unosiła się mgiełka. Na prawo od dowódcy Zielonych dwa orki leżały przy starym rosyjskim ckm-ie. Reszta przesuwała się po szynach w lewo i prawo, co chwila przysłaniając widok na innych Engelsów. Prędkość ich ruchu i zmiany kierunku były przypadkowe, więc nie można było przewidzieć ich położenia. Rod Grabonia miał dłuższą lufę zakończoną tłumikiem, a luneta karabinu większe przybliżenie od standardowego sprzętu. Dlatego widział wrogi oddział wyraźniej od innych, a Mardok, pełniący funkcję dowódcy pod nieobecność Orłowskiego, musiał polegać na jego ocenie.

– Widzę obsługę mózdzierza – zameldował Deckard – herszta i dwóch przy ckm-ie.

– Dobra. Podgórska, Heintze, gotowe?

– Tajest – otrzymał potwierdzenia.

– O choroba, dowódco! – krzyknął Zgud. – Ten mózdzierz to pułapka! Widzę z drona, że nasz Dażbog, Rujewit i piechota zostaną okrążeni od północnego wschodu!

– Co tam jest?

– Dwie ciężarówki orków!

– Jak oni mają zamiar blaszanymi kukiełkami zrobić wypad na nasze pozycje? – zapytał

przytomnie Kubala.

– Nie wiem – odparł Orłowski. – Oko – wezwał Gadzińskiego – okrążysz teren zgodnie z torem i rozstawicie się na obwodzie, na tyłach tych ciężarówek. Ty i Zadra zdejmujecie pojedynczo, Fraydey sprawdza ciężarówki.

– Przyjąłem.

Na ekranie dowodzenia Porewit Oka oddzielił się od batalionu otaczanego coraz gęstszym wieńcem wrogich UAZ-ów i pomknął na pomoc piechocie, transporterowi i Rujewitowi.

– Nareszcie coś dla nas. – Zuza uśmiechnęła się do Fraydeya.

Stali na ugiętych nogach przy działkach na pace Porewita. Prowadził Wampir, a pojazd co chwila wyskakiwał w powietrze, więc byli przypięci do relingów.

– Szeroki ten łuk wyznaczył szef – nadał Gadziński.

– Nie chce, żeby nas usłyszeli – odparła Zadra.

– Niby racja. To blaszane kukły, ale obserwatorzy by to wytknęli.

UAZ kołysał się na wybojach, a rzadkie drzewa śmigły po obu jego stronach. Wreszcie Gadziński skręcił w lewo i pomknął wąską przecinką.

Zatrzymał się gwałtownie za opasłym drzewem.

– Zuza! – syknął.

– Tajest! – szepnęła snajperka.

Ledwo wyskoczyła, pojazd potoczył się dalej. Zatrzymał się dwieście metrów dalej w głąb lasu.

– Fraydey – szepnął Wampir.

– Tajest.

Piatkovsky zeskoczył z paki i pomknął tam, gdzie, zgodnie ze zdjęciem nadesłanym przez Zguda, znajdowały się ciężarówki.

– Szefie! – krzyknął nieprzepisowo Ktara, przesyłając na jeden z jego ekranów obraz z drona.

Przedstawiał ciężarówki, z których wysunęły się szyny dźwigające po dwadzieścia blaszanych orków.

– Czterdzieści? – zdziwił się Orłowski.

– Oko i piechota nie dadzą im rady – rzucił Zgud.

– Niemożliwe, szeregowy! – warknął dowódca i kliknął w sylwetkę Peruna.

Pilotowany przez Juniora śmigłowiec gwałtownie zawrócił, pochylając znajdujące się pod spodem sosny. Siedzący obok dowódcy porucznik Kamil „Wolf” Tyszkiewicz stęknął, czując, jak przeciążenie wgniało go w bok kabiny. Jeszcze nie do końca opanował działanie dwóch ekranów w kokpicie, ale rozumiał rozkaz widniejący na lewym i zdjęcie przesłane przez Orłowskiego na prawym.

– Mamy ludzi w potrzasku – zawyrokował i zerknął na szczerzącego zęby Podgrudnego, a potem na jego hełm z wymalowanym czarnym pajakiem na czerwonym tle.

– Widzę – odparł kapitan i pochylił dziób maszyny. – Są za tymi drzewami. – Pokazał ręką.

Kamil odbezpieczył Kikimorę i pokręcił głową, upewniając się, że działko reaguje na ruchy

hełmu.

- Słuchaj, dlaczego masz na hełmie pająka? – spytał.
- Jak to dlaczego? – Podgrudny spojrzał na strzelca bardzo zdziwiony. – Lubię pająki.
- Że co?
- A ty nie?

Pilot skorygował kurs i teraz Perun mknął nad rzadkimi sosnami w taki sposób, żeby przelecieć wzdłuż ustawionych w szeregu robotów.

- Ratujemy teściową? – rzucił Wolf.
 - Zamknij się i wal! – warknął Junior, a Tyszkiewicz zdziwił się, słysząc w jego głosie testosteronową agresję.
- „Może będą z niego ludzie” – pomyślał i otworzył ogień do automatów.

Dażbog i Rujewit nadjechały, by nękać oddział z mózdzierzem, tuż po tym jak Deckard zdjął jego obsługę, a potem herszta i strzelca ckm-u. Malik z transportera rozsiekała pięciu wrogów, Rujewit następnych pięciu i oddziałowi Mardoka została do sprzątnięcia reszta, czego dokonał szybko i bez strat, jeśli nie liczyć obcierki na naramienniku, jaką zaliczyła od gumowej kuli Zdzira. Sierżant nie omieszkała skomentować tego paskudnym przekleństwem:

- Ścierwo, kurwa, ta farba tak ciężko się zmywa! – Próbowała zetrzeć czerwony ślad rękawicą, ale był to daremny wysiłek.
 - Melduję, że za naszymi plecami coś strasznie napierdziela – zakomunikowała Wiechucka. – Jak na moje ucho to Perun z Kikimorą.
 - Zgadza się – rzekł Jary. – Próbują nas okrążyć.
- Podjechał do nich Dażbog, zarył kołami w grunt i otworzył tylny właz.
- Pakujcie się! – krzyknęła Klaudia. – Odbijamy na północ!

Orłowski obserwował na ekranie radaru, jak Perun pacyfikuje obsadę ciężarówek.

- Fraydey – zwrócił się bezpośrednio do szpiega. – Stop.
- Kowboj zatrzymał się i w tym momencie blisko jego pozycji przeleciał śmigłowiec, rozwalając na kawałki blaszane orki.
- Ruszaj – zakomenderował dowódca.
 - Tajest.
 - Po tym, jak sprawdzisz ciężarówkę, podejmie cię Wampir i odbijecie na północ.
 - Zrozumiałem.

Na ekranie Orłowskiego Fraydey poruszał się niezwykle sprawnie. Odnosiło się wrażenie, że leci pośród drzew, a nie biegnie. Iluzja lotu była potęgowana przez łopoczący za nim płaszcz, z którego szpieg nie zrezygnował, a Wampir tudzież Orzeł się z nim nie sprzeciali. Żołnierze są przesądni, to raz, a uzależnieni od najdrobniejszych nawet szczegółów podczas akcji, to dwa. Zarówno Thomas, jak i wszyscy pozostali członkowie batalionu mieli swoje przyzwyczajenia, a ich organizmy reagowały prawidłowo tylko, gdy wszystko było po staremu. Fłaszka nie rozstawał się z cygarem i miętosił je w ustach, mimo że najczęściej było zgaszone, bo bez niego gorzej strzelał. Zuza miała przy sobie miętową gumę. Nie żuła jej, ale czuła zapach, który dobywał się z kieszeni munduru. Bez tego zapachu jej skuteczność jako snajperki spadała poniżej normy. I tak dalej. Płaszcz Fraydeya był więc po prostu niezbędny. Kowboj dobiegł do

jednej z ciężarówek i zajrzał do niej. Dowódca zobaczył dwa błyski pod plandeką. Szpieg odsunął się od wozu i podbiegł do drugiego. I znowu dwa błyski. „Do kogo on strzela?” Piatkovsky obrócił się na pięcie, a płaszcz owinął się wokół jego ciała i załopotał, gdy pomknął do zbliżającego się do niego Porewita. Orłowski dostrzegł biegnącą do pojazdu Zużę.

– Cholera – warknął do siebie. – Coś mi tu śmierdzi.

Słyszając to, Szczyrbowski tylko się uśmiechnął.

Pojazdy wróciły do szyku i pomknęły pośród rzadkich drzew na północny wschód, do punktu „zielonego”. Jadąca za Turem, a przed Jaryłem Lubawa, prowadzona przez Krychę „Kawę” Bochenek, majestatycznie kołysała się na potężnych resorach. Pojazd cysterna był najcięższy ze wszystkich, a jego silnik mrucał najpotężniej. Dowodzący nim sierżant Tycjan „Góral” Gucwa był niezadowolony. Pojazd otrzymał serię gumowych kul i chociaż uniknął strzału z bazooki, co musiałyby zostać odnotowane przez obserwatorów jako porażka całej misji, były POLOM obiecał sobie, że podyskutuje z Kawą o prowadzeniu wozu. Otrzymali trafienie po tym, jak Lubawa zatrzymała się przed zwalonym pniem. Krycha powinna wiedzieć, że nie wolno tego robić. Lubawa miała wielkie, zbrojone koła i poradziłaby sobie z taką przeszkodą. Kobieta musiała być rozkojarzona albo speszona dużą liczbą pojazdów. To się nie mogło powtórzyć. Dowódca nie był też zadowolony z Tyldy. Powinna była wypatrzeć celujące do nich orki i zdjąć je. Podwójne działko Siwa wystarczyłoby w zupełności. Gucwa sam musiał zlikwidować jednego z nich, używając zmodyfikowanego Roda.

Kawa i Tylda wyczuwały nastrój dowódcy i nie odzywały się bez potrzeby, meldując tylko o istotnych sprawach. Grunmor wiedział, że będzie miał czas na analizę starcia po ćwiczeniach, ale już teraz rozumiał, dlaczego Pacholczyk nie zdjęła w porę wyznaczonego celu. Osłaniała jadącego na lewo od nich Mora. Pomogła Skrzacikowi w sprzątnięciu atakującego ich UAZ-a, ignorując rozkaz Orłowskiego, by pilnować swojego kąta. To właśnie wtedy podjechał szybki, zdalnie sterowany UAZ i ich ostrzelał. Góral nie miał wątpliwości, że obserwatorzy wymyślili taki scenariusz, żeby wyłapać podobne błędy. Teraz jednak pędzili już do wyznaczonego punktu, a znajdujący się przed nim ekran wskazywał, że każdy pojazd skanuje konkretny obszar nakładający się po części na obszar pojazdu przed i za nim. Na prawo od Lubawy pojawił się Samul, biegnąc w swojej przerażającej zbroi. Uniósł kciuk.

– Ładny szlaczek wam pierdolnęli na burcie!

– Dziękci. – Tycjan skrzywił się.

– Nie przejmuj się! Dażbog ma więcej!

– Naprawdę?

– No! Swaróg ma więcej...

– Kto jeszcze?

– Sorry, nie mogę już gadać! – Woj skoczył do przodu i oddalił się od wozów.

Tymczasem jadący na szpicy Swaróg pod komendą porucznik Małgorzaty „Kici” Gwary miał powody, by zbierać grad gumowych kul, bo naprzeciwko konwoju co rusz wyjeżdżał jakiś UAZ albo zza drzew wysuwały się metalowe orkowe gęby. Zarówno Flaszka, jak i celowniczy Sokół mieli pełne ręce roboty.

Nagle trzysta metrów przed pojazdami, tam gdzie dumnie łopotała zielona flaga oznaczająca

punkt docelowy, wybuchnął gejzer ognia i ziemi.

- Jaryło dupnęło – zameldował Tygrzyk.
- Ciekawe w co? – odparła Kicia.

Orłowski odetchnął dopiero, gdy cała kolumna dojechała do zielonego punktu i zatrzymała się, a Perun Juniora wylądował z łoskotem mielących powietrze łopat. Mężczyzna otarł pot z czoła. Chciał powiedzieć „Cholera, nie wiedziałem, że od samego początku będzie tak ciężko”, ale zmilczał to. W Turze siedzieli Tygrys, dwie reporterki, szeregowy Zgud, sierżant Kubala i porucznik Szczyrbowski. Żadna z tych osób nie należała do jego zaufanych podkomendnych, więc nie było mowy o zwierzeniach. Major zateśnił za oddziałem piechociarzy, z którym do tej pory się nie rozstawał. Gdzie jest Mardok z tą swoją niewyparzoną gębą, Frenkiel z jadem w języku, Wiechucka z anielskim usposobieniem, Samul z Rłokietami? Gdzie podmuchy powietrza na twarzy? Ruch?

- „Utyję w tym Turze” – zmartwił się, obciągnął poły bluzy i wstał z siedziska.
- Zbiórka wokół flagi – rzucił na kanale ogólnym.

Obserwatorzy sfruwali z nieba w kilku oznakowanych na niebiesko Perunach, ale i bez nich dowódca Orłów wiedział, że poszło im tak sobie. Zanim jeden ze śmigłowców przyziemił obok batalionu, Orłowski obszedł pojazdy razem z Mardokiem, Siekierzyńskim i Heintze, oceniając przebieg akcji.

- Żadnego trafienia z bazooki – oceniła Klaudia.
- Udało nam się – przyznał Siekierzyński.
- Spójrz na rufę twojego Jaryła. – Orzeł wskazał tył Gejtofhella. Widać było na nim bryzgi pomarańczowej farby. – To odłamki ogórka.

Witold się stropił.

- Niewielkie, Serż.
- Też mi się tak wydaje. Cholera, Jaryło musi stać w miejscu, żeby dobrze przygrzmocić?
- Jeśli jest równy grunt, nie musi.
- To od strzału tego moździerza z lasu? – spytał Mardok.
- Ta – potwierdził Orłowski.
- Robiliśmy, co mogliśmy, szefie – zapewnił.
- Wiem.

Dowódca podszedł z resztą adiutantów do przodu, by ocenić uszkodzenia Lubawy. W tym czasie Tata Malki i Ciocia obserwowali przyziemiający śmigłowiec, który robił coraz więcej hałasu.

- Co on tak krzywo lata? – spytała Dana.
- Pewnie niedojedzony – odparł Malki.
- Przecież nie wieje.
- Może bigosiku się najadł źle doprawionego...

Dowódca Orłów, Mardok, Heintze i Siekierzyński zatrzymali się przy kabinie pojazdu cysterny.

- Cztery trafienia z ciężkiego karabinu. – Orłowski, przekrzykując huk wirników, wskazał czerwone ślady.

- Przepraszam – odezwał się zza jego pleców Góral.
- Trzeba będzie dopracować obronę – stęknęła Tylda.

Perun w niebieskim kamuflażu wylądował dwadzieścia metrów dalej i wysiadło z niego trzech obserwatorów ubranych w mundury o identycznym wzorze.

- Ty – Fłaszka szturchnął Lenny’ego – gdzie oni, kurwa, będą się ukrywać w tych mundurkach?
- W obłoczkach – odparł kierowca.
- Ale tak ogólnie to ich pojebało, nie? Hełmy i kamizelki kevlarowe? Do oceny uszkodzeń?
- Może też chcą się chwilę poczuć jak bohaterowie.

Operator czołgowego działka Siwa stłumił śmiech, patrząc, jak dwóch z nich, obciążonych szeregiem, jakby szli na wojnę, służbiście maszeruje, by oszacować stan pojazdów batalionu. Trzeci, najwyraźniej szef grupy, młody człowiek o twarzy uczniaka, stanął przy cichnącej maszynie i z namaszczeniem obserwował żołnierzy, co chwila wpisując coś do, a jakże, niebieskiego kajetu. Orły znały zwyczaje królewskich „Niebieskich ptaszków”, którzy robili zapiski na temat zachowań wojów. Ważne było, by powstrzymać agresję, nawet żartobliwą, wobec innych członków zespołu, nie obwiniać się, rozładować broń i zabezpieczyć ją. Mężczyzna w niebieskim mundurze dłuższy czas przyglądał się im, coś tam zapisał, po czym podszedł do Tycjana z miną surowego urzędnika.

– Porucznik Andrzej Pierzchała z drugiego korpusu analityczno-obszernego. – Zasalutował do hełmu.

Grunmor odpowiedział mu skinieniem głowy.

- Sierżant Tycjan Gucwa.
- Sierżancie. – Obserwator wskazał Roda, którego Góral trzymał w rękach niczym usypiające dziecko.
- Tak?
- Wasz Rod jest odbezpieczony.
- Tak.
- Nieregulaminowo.
- Kurwa, to POLOM – warknęła do Mardoka przyglądająca się scenie Zdzira.
- Już nie – szepnął Jary.
- Jak zostajesz Grunmorem, to już zawsze nim jesteś – odparła wojowniczką.
- Macie z tym jakiś problem, poruczniku? – spytał Góral Pierzchałę, patrząc mu prosto w oczy.

Tamten jakby struchlał. Góral nie był ani wyższy od rozmówcy, ani nadmiernie zbudowany, ale z jego postawy emanowała niezwykła pewność siebie. Patrząca na niego Zdzira pomyślała, że chciałaby kiedyś promieniować taką kontrolowaną agresją. Orki by się posrały.

– Regulamin mówi wyraźnie – odezwał się porucznik Pierzchała – że po akcji broń należy rozładować i zabezpieczyć.

- Tak. Po akcji – odparł Góral.
- Jest po akcji.
- Kto mi to może zagwarantować?
- Ja to gwarantuję, poruczniku.

Tycjan wskazał lasy na północy.

– Tam mogą być orki. I tam. – Wskazał wschód. – I jeszcze tam. – Pokazał kciukiem zalesiony obszar za piętrzącymi się za nim pojazdami.

– Nie wiem, czy pan zauważył, ale jesteśmy na poligonie i strzelaliście do metalowych kukieł.
– Obserwator zagryzł wargę.

– Nie wiem, czy pan zauważył, ale kilka dni temu z pałacu uciekł zmartwychwstały Gojira. Stało się to nie na poligonie, ale w stolicy, w królewskim pałacu.

Obserwator chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Uniósł rękę i podrapał się pod hełmem. Zanotował coś w notesie, po czym przełknął ślinę i spojrzał nieco bezradnie na Orłowskiego i Siekierzyńskiego, dwóch najstarszych stopniem wojów.

Orłowski poczuł się wywołany do tablicy.

– Poruczniku – zwrócił się do obserwatora – sierżant Gucwa jest Grunmorem.

– Ale został wcielony...

– Został zaproszony – poprawił go dowódca Orłów. – Jak pan wie, POŁOM-i rządzą się trochę innymi prawami niż zwykli żołnierze i czujemy się zaszczytzeni, mając w swoich szeregach elitarnego wojownika. Jeśli sierżant Gucwa uzna, że jest bezpiecznie, doprowadzi swoją broń do porządku, gwarantuję panu...

W tym momencie Grunmor podbił broń, przyłożył ją do oka i błyskawicznie strzelił... do blaszanego orka, który wysunął się zza śmigłowca obserwatorów.

Dwaj koledzy porucznika Pierzchały, którzy właśnie wracali z obchodu maszyn, stanęli w miejscu zdumieni.

– Kurwa! – chrząknął jeden z nich. – Skąd on wiedział?!

– Nie mógł wiedzieć – odparł drugi.

– No to jak?!

Tata Malki, który od dłuższego czasu także trzymał broń w pogotowiu, szepnął do Dany:

– Dlatego tak krzywo leciał. Ma na prawej burcie szynę z orkiem.

– Nieładnie. – Ciocia skrzywiła się.

Dowódca obserwatorów uśmiechnął się krzywo i powoli wyciągnął rękę do Grunmora.

– Gratuluję...

Góral, zamiast podać mu rękę, padł na ziemię.

– Tylda, z łukiem na dach!

Dziewczyna zerwała się, odbiła od ziemi, wskoczyła na Dażboga, a potem wykonała sus na Lubawę. Chwyliła reling i już tkwiła na cysternie w przykłęku, gotowa do strzału.

– Gdzie?! – spytała, skanując otoczenie.

Nagle wypuściła strzałę, a członkowie batalionu „Orzeł Biały” usłyszeli niewielką eksplozję z za pojazdów, korony wysokich sosen zostały zaś oświetlone oranżowym blaskiem.

– Ja pierdole... – znowu wyrwało się niebieskiemu pomocnikowi Pierzchały.

Góral przyjrzał się twarzy obserwatora, po czym demonstracyjnie wyciągnął magazynek, przeładował, oddał pusty strzał w ziemię i zabezpieczył broń.

– Zagrożenie minęło, panie majorze – rzucił przez ramię do Orłowskiego. – Tylda, złaź. Dobry strzał.

Dziewczyna potrząsnęła głową, obiša się i tą samą drogą – czyli przez dach Dażboga – wróciła do oddziału.

– Uwważaj na lakier – ostrzegła ją Heintze.

Obserwatorzy naliczyli osiemnaście trafień z karabinów i ciężkich karabinów, wszystkie niegroźne, oddane pod dużym kątem. Uznali także, że odłamki na rufie haubicy były nieistotne,

i ostatecznie ocenili akcję batalionu na „celująco”, co zbiło Orłowskiego i pozostałych dowódców z pantałyku.

– Chyba pan żartuje, poruczniku – powiedział major do Pierzchały.

Woj o twarzy dziecka pokręcił głową.

– Nie żartuję, panie majorze. W zasadzie nie mamy się do czego przyczepić. Nie wiemy, jakim cudem przewidzieliście, że na pakach ciężarówek są działa z obsadą i że Perun sam sobie z nimi nie poradzi... – Spojrzał uważnie na Orłowskiego, który wydawał się zaskoczony. – Nie wiedzieliście? – spytał.

– No nie. – Major pokręcił głową.

– Gdyby nie działania szpiega, plandeki spadłyby, odsłaniając działa z parą orków każde i kolumna miałaby poważny problem. Działania chorążego Piatkovskiego były nienaganne, chociaż wchodził tu też w grę opcjonalny i być może pewniejszy scenariusz wysadzenia pojazdów.

– Ba. – Orłowski uniósł brwi. – W zasadzie nie mamy w oddziale specja od ładunków wybuchowych.

– Nie macie?

– Każdy się na tym trochę zna, ale żeby specja, nie.

– To poważna luka, panie majorze.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

Porucznik Pierzchała zanotował coś w zeszytach.

– Idąc dalej – kontynuował – doskonała akcja ze strzałem z Jaryła do armaty, która już była w was wcelowana. Znakomity zwiad dronowy – Zgud wypiął dumnie pierś, a widzący to Kubala cicho parsknął – i genialne celowanie haubicy. – Tu szelmowsko uśmiechnęli się Piotruś, Wojtuś i Jacuś, a Siekierzyński spłonił się niczym dziewica. – Byliście ciągle w ruchu i nie daliście się złapać na ostrzał moździerzem. Na koniec – obserwator spojrzał na Grunmora – ostatni akcent, czyli, jak to nazywamy, „Orki z Majorki”, manekiny, które zaskakują oddział po ćwiczeniach. Nikt się przed tym dotąd nie obronił! To niemożliwe! Jak pan to zrobił?

Grunmor spojrzał na dowódcę. Ten skinął głową. Jeśli bardziej doświadczony woj wie coś, czego nie wiedzą inni, powinien się podzielić swoim know-how.

– Zaczynając od początku, wasz Perun leciał krzywo...

– Mówiłem – szepnął Tata Malki do Cioci.

– I lekko się przechylał na prawo. Widać było, że jest obciążony na sterburcie. Dwa, tylko wy byliście ubrani w kamizelki i hełmy. Przyjrzałem się obserwatorom z innych śmigłowców, którzy wysiadali dalej. Mieli lekkie mundury i marineski. Bo jest ciepło. Trzy, pańscy obserwatorzy zniknęli między pojazdami i nagle ucichły ich kroki. Zatrzymali się i czekali na coś.

Pierzchała pokręcił głową z uznaniem.

– A na koniec – dodał Gucwa – w pańskiej twarzy była... groźba.

– Groźba?

– Widziałem, że to nie koniec. Że pan kłamie. Był pan spięty, jakby na coś czekał.

– Pan to widział?!

– Tak.

– Dlaczego nikt inny tego nie zauważył?

– Ja zauważyłem. – Tata Malki wypiął pierś, a stojąca obok niego Dana gorliwie pokiwała głową.

- Chodzi mi o inne ćwiczące tutaj oddziały.
- Góral wzruszył ramionami.
- Z tego, co wiem, nie ćwiczą tu POLOM-i, prawda?
- Rzadko.
- Właśnie.
- Da się tego nauczyć? – spytała Zdzira, patrząc na Górala jak na świętego.
- Mardok spojrział najpierw na nią, a potem na Grunmora z pewną zazdrością.
- Niech mnie pani obserwuje, pani sierżant.
- Monika wzięła wdech, a potem uśmiechnęła się, rumieniąc.
- Tego może pan być pewien, panie sierżancie.

Tego dnia przeprowadzili jeszcze jedną symulację przejazdu z punktu do punktu, tym razem przez gęstszy las, i ta również zakończyła się, jak stwierdzili obserwatorzy, powodzeniem, chociaż Zgud i Podgrudny mieli sporo roboty, bo przy gęstszej obsadzie drzew obserwatorzy na niebie mieli trudności z dostrzeżeniem zagrożenia. Tym razem obyło się bez „Orków z Majorki”, i dobrze, bo ćwiczenia trwały dłużej i wszyscy byli zmęczeni, nawet obsługujące kamery Magda Stawniak i Ula Scorsese, które stwierdziły, że siedziska w Turze mogłyby być nieco szersze.

Resztę dnia zajęło im czyszczenie broni i ryszunka, a także studiowanie nowych możliwości pojazdów.

Było już sporo po obiedzie, gdy Orłowski siedział w Turze, ucząc się dowodzenia, przełączania widoków na ekranach i wszystkich instrukcji, od których wkrótce zależeć miało życie jego ludzi. Wtem usłyszał kroki i do pojazdu wszedł sierżant Mateusz „Wampir” Gadziński.

- Dowódco? – rzucił cicho, widząc, że szef jest zajęty.
- Tak, Wampir?
- Można?
- Wal.
- Zwiadowca poprawił chustę zasłaniającą dolną część twarzy i podrapał się w głowę.
- Brakuje... brakuje nam jednego człowieka.
- Hm?
- Kierowcy. Do Porewita.
- Tak, zauważyłem. Jako kierowca nie możesz strzelać, a Porewit ma trzy stanowiska bojowe.
- To też, ale ogólnie, szefie. Jestem snajperem. Dowódcą Oka, nie szoferem.
- Wiem, Mateusz.

Orłowski zastanawiał się chwilę, czy zwierzyć się podwładnemu z tego, jak przygnotła go konieczność zarządzania tak dużym i zróżnicowanym zespołem. A teraz ten podwładny prosił go o kolejnego człowieka. Im było łatwiej. Oprócz Heintze, Mardoka i Siekierzyńskiego członkowie batalionu myśleli w kategoriach swojej jednostki, nie całości. Świat Wampira sprowadzał się do rozkazów skierowanych do Oka, czyli Zuzy, Fraydeya i jego samego. Kolejny członek drużyny był tylko jednym nazwiskiem, a Oko urosłoby do czterech osób. Drobnostka. Tymczasem dowódca miał teraz pod sobą dwanaście jednostek, wliczając w to Zbrojowca.

- Pomyślę o tym, Wampir.
- Dziękuję.
- Ale nie obiecuję. Długi czas funkcjonowaliśmy bez wyborowego i jakoś przetrwaliśmy.

– Tajest.

„Głupi jestem – pomyślał Orłowski. – Głupi jestem i głupstwa opowiadam, a Wampir też jest głupi, że mi przytakuje. Całe szczęście, że zrobił małą pauzę przed tym swoim »Tajest«. Każdy członek zespołu ma swoją logiczną niszę. Wyborowy ułatwia pracę piechoty, tak jak szofer ułatwiłby pracę Oka. Cholera, trzeba znaleźć tego człowieka...”

Gadziński już się odwracał, by wyjść z Tura, gdy major go zatrzymał.

– Mateusz.

– Hm? Znaczy na rozkaz – zreflektował się snajper.

– Znajdę ci szofera.

Oczy woja rozbłysły, a uszy powędrowały w górę.

– Dziękuję, szefie.

– Zmykaj. I pochwal Zuzę. Dobrze się spisała w drugiej symulacji.

– Już to zrobiłem.

– Pochwal ją ode mnie.

– A, okej. Znaczy się, rozkaz.

– Zmykaj.

Wampir zniknął za drzwiami pojazdu. Orłowski jeszcze przez chwilę słyszał trawę szeleszczącą pod jego butami, a potem dźwięki te zastąpiły odległe rozmowy oddziału. Major wsłuchiwał się w śmiechy. Zdzira. Tylko ona tak spontanicznie się śmieje. Ktoś coś opowiada. Gruby głos. To chyba ten inżynier, Chudoliński. Tak, on peroruje. A Monika się śmieje. I ta potężna lekarka, Miktus. O, ta to potrafi huknąć. Chciałby być z nimi, ale wiedział, że nie może się teraz rozpraszać. Jak najszybciej opanować ten chaos...

Znowu usłyszał kroki. Lekkie, drobne. Heintze. „Dziwne – pomyślał. – Jak i kiedy nauczyłem się odróżniać ich po tym, jak chodzą? Czy nauczę się też dźwięków Skarpety lub tej pary od Mora, Skrzacika i Machaja?”

W drzwiach pojawiła się czarna czupryna Klaudii.

– Można?

– Wchodź, poruczniku.

– Dziękuję.

Ripley wdrapała się do wnętrza i chwilę przyglądała aparaturze.

– Ładny ten samochodek.

– Ładny. – Sergiusz uśmiechnął się blado.

– Masz kłopoty, szefie? – spytała.

Heintze była jedyną osobą w batalionie, z którą Orłowski od czasu do czasu rozmawiał o oddziale. Była cholernie odpowiedzialna, co stanowiło zarówno zaletę, jak i ciężar.

Orłowski zaprosił ją na fotel Szczyrbowskiego. Weszła po schodkach i usiadła. Wtedy Sergiusz pomyślał, że dobrze byłoby ją mieć w Turze zamiast programisty. Powodowała, że się rozluźniał, tak jakby część ciężaru brała na własne drobne barki. Uśmiechnęła się do niego ciepło, a on przypomniał sobie ten moment, gdy po raz pierwszy zobaczył jej twarz.

Była to straszna twarz, brudna od krwi i błota, twarz osoby skrajnie wyczerpanej, kanciasta, jakby poskładana z trójkątów. Sprawiała wrażenie, że kostucha już wyszarpuje z niej duszę, ale była w niej też jakaś graniczna determinacja. Wyglądała, jakby była skłonna oddać życie pierdolonemu żniwiarzowi, ale nie oddać dziecka. Heintze wychodziła z lasu, niosąc na ramieniu małą dziewczynkę. I wcale nie była żołnierzem.

Gdy dotarło do niej, że jest już w Twierdzy, i pozwoliła odebrać sobie przerażone, nieme ze

strachu dziecko, ogrzali ją, nakarmili i wysłuchali historii.

Tuż przed wybuchem pandemii Klaudia Heintze przebywała u matki w Niemczech, w Rauhen, trzydzieści kilometrów od Frankfurtu nad Odrą. Chociaż Helena namawiała córkę na zażycie N-Genu, ta nie zdecydowała się na kurację. Powodem było jej przywiązanie do prawa i porządku. „Mamo” – mówiła – zanim w ojczyźnie tego nie uregulują, nie chcę”. Matka kiwała głową, uśmiechała się i uszanowała decyzję córki. Klaudiusz był jeszcze tak młody. Miał tyle lat przed sobą... Pierwsza w rodzinnym gronie zmieniła się kuzynka Helga. Klaudia odwiedziła ją, bo ta od dłuższego czasu źle się czuła. Siedząc w salonie i rozmawiając z dziećmi Helgi, Heintze słyszała, jak kuzynka wymiotuje w łazience, a potem, przy akompaniamencie nieludzkiego ryku, wypadło stamtąd coś, co rozszarpało dwójkę swoich dzieci. Trzecim dzieckiem była Adele, którą Heintze ocaliła, zabijając kuzynkę kandelabrem. Dziewczynka widziała zarówno śmierć brata i siostry, jak i przerażającą walkę drobnej Klaudii z czymś, w co zamieniła się jej mama. Wtedy właśnie rozszalał się armagedon, którego głównymi ofiarami, jak niejednokrotnie wspominają historycy, były dzieci, niech bogowie ukoją je miłością i obdarzą zapomnieniem. Heintze ukryła Adele w piwnicy, a sama usiłowała ratować dzieci z sąsiedztwa ukrywające się w koszach na śmieci, łazienkach, schowkach na szczotki i na strychach. Udało jej się zgromadzić w piwnicy Helgi jeszcze trójkę: siedmioletniego Hansa, dziesięcioletnią Dorę i zaledwie pięcioletniego Alexandra. Nie zdołała wrócić do domu matki i nigdy się nie dowiedziała, jak wyglądała jej przemiana, o ile do niej doszło, nim zzielenieli sąsiedzi Heleny. Ostatnie funkcjonujące stacje informacyjne podawały, że w Polsce nie dochodzi do przemian, że przetrwała tam cywilizacja. Klaudia pozbiierała dzieciaki, uzbroiła je w klucze francuskie i spróbowała nocą przebić się do granicy, używając pozostawionego na ulicy otwartego audi. Trzydzieści kilometrów autostradą numer 12 to w normalnych czasach odcinek niezauważalny. Można wysłuchać paru piosenek, zjeść ciastko. Jednak w tym czasie trwała największa rzeź. Ulice płonęły, dym i kurz ograniczały widoczność, zewsząd dochodziły ryki, wybuchy i niezrozumiałe hałasy. Heintze nigdy nikomu nie opowiedziała, jak w końcu dotarła do granicy z jednym tylko dzieckiem, płowowłosą Adele, na ramieniu i z AK w pokrwawionej dłoni. Gdy zobaczył ją Mardok, szepnął, ale tak głośno, że usłyszeli go wszyscy:

– Ja pierdole, ona wygląda jak Ripley.

Kiedy Orłowski spojrział na niego pytająco, dodał:

– No z *Obcego*.

Klaudię domyto i wyprowadzono ze stuporu, a potem odesłano do stolicy pierwszym transportem. Tam jednak nie zajęto się nią najlepiej. Wzięły ją w obroty łapiduchy i zaczęły badać na wszelkie możliwe sposoby. Nie ufano jej, nie wiedziano, czy nie wzięła N-Genu, podejrzewano, że może się zmienić. Ripley także nie ufała ludziom, nikomu. Dla niej armagedon wciąż trwał, a jej dusza płonęła. Nie było już osoby, która nie mogła się zamienić w zieloną bestię. Bezpieczny świat spłonął. Nie spała, nie mówiła, nie szukała kontaktu. Gdy wreszcie wypisano ją ze szpitala, z trudem szukała dla siebie miejsca w zmieniającej się Polsce. Znalazła w końcu pracę w fabryce broni i wynajęła pokój na Ursynowie, ale nie integrowała się, nie szukała przyjaciół ani w pracy, ani na stacji. Pewnego dnia przyszedł do niej list, że Adele nie przeżyła. Dziecko umarło z przerażenia, jakby mała psychika odrzuciła otaczający ją horror.

To załamało kruchy świat Klaudii. Gdy szła Alejami Jerozolimskimi w stronę mostu Poniatowskiego, by, jak retrospektywnie oceniała, po prostu rzucić się do Wisły, zobaczyła plakat nakłaniający ludzi do wstępowania do armii.

Nagle coś się w niej zbuntowało, coś zupełnie nieznanego, obcego.

Tak, obudził się w niej Obcy.

Potwór duszy, demon, który nie pozwolił jej się poddać, który wziął się za bary z rzeczywistością i wysyczał: „Nie dam ci się, kurwo! Nie dam!”.

Zapisała się. I odpadła przy pierwszych próbach ogniowych. Nie wytrzymała ostrzału nad głową – wspomnienia z Niemiec były zbyt żywe.

Ale zapisała się drugi raz.

I tym razem przeszła, chociaż było jeszcze gorzej. I tak krok po kroku, szkolenie za szkoleniem Obcy, niezniszczalny, uniwersalny drapieżnik, zastąpił duszę Ripley. Na froncie spisywała się doskonale. Była zdyscyplinowana i zupełnie się o to nie starając, zyskała szacunek i zaufanie towarzyszy. Potem był awans i drugi. Aż znowu zetknęła się z Orłami, które miały testować Dażbogi, szukały dowódcy wozu. Ledwo ją dostrzegł, Orłowski porozmawiał z jej dowódcą, ten zaś, obawiając się, że Ripley wkrótce zastąpi go na stanowisku, chętnie ją sprzedał. W taki właśnie sposób wówczas jeszcze sierżant Klaudia Heintze dołączyła do batalionu, a potem niejednokrotnie udawiała, że nie da jej się złamać.

Orłowski zamrugał, pozwalając, by wspomnienie się ulotniło.

– Zmęczony? – zapytała.

– Ta.

– Czytam w myślach, co?

– Jak zwykle, Ripley.

– To poczytam jeszcze mocniej. Martwisz się, szefie, że nie ogarniesz ferajny, co?

– Tak.

– Pomogę ci, bo sama już sobie z tym poradziłam.

Orłowski uniósł brwi.

– Jak?

– Do tej pory myślałeś o batalionie jako o społeczności, pojedynczych ludziach, prawda?

– Tak.

– To teraz pomyśl modułowo.

– Pojazdami?

– Tak, będzie łatwiej. Najpierw Swaróg. Tutaj doszedł tylko Sokołowski, miły chłopak. Ładowniczy.

– Sokół.

– Tak, działonowy. Kicia z Tygrykiem i Sokołem robią Flaszkę.

Orłowski się roześmiał.

– A swoją drogą Tygryk to rodzaj pająka – dodała.

– Wolałbym nie wiedzieć.

Klaudia uśmiechnęła się.

– Dażbog. Tu bez zmian: Lenny, Malik i ja, ale doszła piechota. Wszystkich znasz, tylko jeszcze Graboń.

– Deckard.

– Otóż to. Rujewit. Ta zgrabniucha Podgórska...

– Gollumka.

– Dalej Jastrzab i Młotek, czyli sobowtór Krawczyka.

– Wiesiu.

– Tak jest. W Perunie masz Juniora obok Wolfa. Proste. Młody Wilk.

Dowódca parsknął:

- Rzeczywiście proste.
- I teraz tak: medyczny Mor to kapitan Miktus i Mikołajczyki, wszystko na „M”.
- Istotnie. Machaj i Skrzacik, Ola i Paweł?
- Już pamiętasz, szefie. Mech, czyli techniczny, to dwóch inżynierów. Grubens i Skarpeta.
- Pamiętam.
- To teraz Lubawa. Twoja kolej.
- Góral, Tylda, Kawa.
- Brawo! Marzanna?
- Dana, Tata Malki, Dragon.
- Jaryło?
- Siekierzyński, Jacenty, Wituś, Piotruś.
- Doskonale. I Tur.
- Tu już pamiętam.
- Dodaj Zbrojowca i masz całość.
- Jeszcze Oko.
- Tu bez zmian. Wampir, Zuza, Fraydey.
- Potrzebny im kierowca – westchnął Orzeł.
- Klaudia uśmiechnęła się.
- No to dojdzie kierowca i z głowy. Już ci lepiej, szefie?

Następnego dnia nie zostali skierowani na ćwiczenia, chociaż obiecano kolejne, tym razem SCP, czyli strzelanie w ciasnych pomieszczeniach. Zamiast tego po rutynowej zmianie opatrunków kazano im się przebrać w galowe mundury, a potem, niczego nie wyjaśniając, zaprowadzono do wielkiej sali ceremonialnej pałacu, gdzie przed sceną stało kilkanaście szeregów krzeseł ze szpalerem pośrodku. Lewą stronę zajmowali ubrani w galowe mundury żołnierze, a prawą dziennikarze i fotoreporterzy. Orły patrzyły na to zbiegowisko i się dziwowały.

– Co się dzieje? – mruknął Mardok do Zdziry.

Frenkiel wzruszyła tylko ramionami. Wiedziała tyle samo, co on.

– Jakieś sympozjum? – zaproponował Tygrzyk.

Operator jednej z kamer dostrzegł ich i zwrócił na nich szklane oko urządzenia. Flaszka wyszczerzył zęby.

– Sam jesteś sympozjum – warknęła Kicia.

– Na sympozjach są naukowcy, a tu jest wojsko i prasa – zaproponował Zgud.

– Czyli konferencja? – dopytywał się kierowca Swaroga.

– Nie mam pojęcia.

– Gala to jest – zagrział Flaszka. – Muszę się napić. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni obszernej zielonej marynarki i wyciągnął piersiówkę. – No co? – Spojrzał spłoszony na Gwarę, która piorunowała go wzrokiem, zasłaniając przed kamerą.

– Pan sierżant tak zawsze? – spytał nieśmiało Sokołowski.

– Zawsze – oznajmiła zrezygnowana Kicia.

Flaszka łyknął.

– Nooo. Tego mi było trzeba.

– Oczywiście – syknęła Gwara. – Schowaj to, bo zaraz cię obfotografują i będzie...

– I będzie, że woj jest zawsze uzbrojony – odparł Raczekiewicz.

– Wiecie, o co tu chodzi? – Podeszła do nich Heintze. – Bo Malik mówi, że będą nam jakieś ordery dawać!

– W sumie to nam się należą – skwitował Lenny. – Jesteśmy bohaterami czy nie?

– Jezdeźmy! – Flaszka wypiął dumnie pierś.

– Nie wszyscy – skwitował Kubala.

Zgud po raz pierwszy w jego obecności poczuł przewagę. Uśmiechnął się porozumiewawczo do Wiechuckiej, która dostrzegła w jego oczach iskierki rozbawienia, i poklepał sierżanta po ramieniu.

– Nie martw się, żołnierzu, ty też kiedyś zostaniesz gierojem.

Sanitariuszka parsknęła, a idąca obok niej kapitan Miktus wybuchnęła śmiechem tak gromkim, że zajęci do tej pory rozmowami pozostali reporterzy spojrzeli w ich kierunku.

– To oni! To oni! – rozległo się w sali i rozbłysły flesze.

– Szykuje się feta – oznajmił Flaszka. – Bardzo się cieszę.

– Będę naszym rzecznikiem prasowym – zaoferował się Lenny.

– Ja nie chcę – zapewnił Samul.

Tymczasem królewscy żandarmi zaprowadzili ich na scenę, na której czekali już, ubrani także na galowo, Dominika „Wiedźma” Węclawek, Adam „Kolarz” Jakubowski i przybrany w czarny, kanciasty hełm major Artur „Miś” Bielawski. Kolarz był wciąż blady, ale uśmiechnięty. Wiechucka pamiętała, jak strasznie oberwał. Miał bandaż na rękę i plaster na szyi.

– Mówię wam, ordery jak nic! – pisnęła Malik, a Klaudia wyszczerzyła zęby. – Myślicie, że ja też dostanę? – spytała Joanna. – Pewnie nie, bo mnie ta gorączka zmogła. Ale to nic. Cieszę się z waszego powodu.

– Brawo, Kalina – pochwalił ją Lenny. – Jestem z ciebie dumny. Patrz, jacy Grubens i Skarpeta są smutni.

– Ja? – obruszył się Chudoliński. – A skąd! Nie mogę uwierzyć, że jestem tu z wami!

– A mnie głos odebrało – przyznał Skarpeta.

– To co innego – cmoknął Lenny.

– Cicho, dzieciarnia – uspokoił ich Orłowski, gdy ustawili się w karnym szeregu obok POLOM-ów.

Rzeczywiście, była to ceremonia wręczenia Orderów Kołowrotu i Miecza, nowych odznaczeń, które zostały wprowadzone na wniosek szefa Krajowego Biura Propagandy, Radosława Kota, a wykonane dosłownie poprzedniego dnia. Król wraz z doradcami ogłosił, że od tej pory będzie to najwyższe wojskowe odznaczenie przyznawane za wyjątkową dzielność na polu walki i wykonywanie skrajnie niebezpiecznych misji. Ordery były piękne. Biało-czerwona gwiazda w tle, na niej srebrny kołowrót i złoty miecz z bardzo długim jelcem na wierzchu, zawieszona na biało-czerwonej wstędze, prezentowały się wspaniale na piersiach wojowniczek i wojów, a król, który osobiście przypinał odznaczenia bohaterom, patrzył im szczerze w oczy i mocno ścisnął rękę. To nie była błaga ani ceremonia na pokaz i każdy to czuł.

Zgodnie z przewidywaniami nowi członkowie batalionu nie otrzymali orderów, ale Malik dostała Krzyż Zasługi za bitwę pod Cybinką. Mardok, prężący się jak struna i cieszący ciężarem odznaczenia ciągnącym materiałem munduru, przez chwilę myślał, że powinien dostać coś jeszcze, bo przecież bardziej się narażał, ale potem przypomniał sobie dzielną Frenkiel, szaleństwa Fraydeya i Samula, samotną akcję Misia, skuteczność Kici, męstwo Kolarza i wreszcie Alkę, Nianię, Kietzmana, Jarotę, Dziada oraz Hantla.

I zdjął go wstyd.

Ci ostatni dostali wyróżnienia pośmiertnie, a odebrały je ich rodziny. Ewa Jarota spojrzała na przypiętą do paska Fraydeya szablę męża i uśmiechnęła się smutno. Oręż ten wcześniej dostrzegł dowódca, a potem oficjele, generałowie i król. I chociaż szabla była nieregulaminowa, bo mają do niej prawo dopiero kapitanowie, nikt nie protestował. Teraz Orły stały się czymś w rodzaju POLOM-ów i nie zamierzano robić im uwag na temat niedopiętych guzików, które, de facto, były akurat w tym momencie zapięte i błyszcząły, równe i wypolerowane.

Po nadzwyczaj uroczystej ceremonii poprzedzonej prezentacją Radosława Kota o akcji „Atom”, podczas której szef Krajowego Biura Propagandy szczegółowo opowiedział zgromadzonym o brawurowej wycieczce Orłów i POLOM-ów na teren wroga, pozwolono bohaterom usiąść. Orłowski, Siekierzyński i Podgrudny mieli z tym chwilowo problem, ich oficcerskie szable przypięte były bowiem specjalną uprzężą na plecach, na modłę zachodnią, tak by można było szybko sięgnąć po wystającą nad ramieniem rękojeść i ciąć z góry. Na szczęście cała trójka miała przetrenowane przepinanie szabli z pleców na bok. Wszyscy wykonali tę samą sekwencję ruchów i po chwili mogli się już wygodnie oprzeć.

Rozpoczęła się konferencja prasowa. Woje mogli odpowiadać na wszystkie pytania dziennikarzy, gdyż szczegóły misji przestały być tajne, a król uważał, że im lepiej uświadomione jest społeczeństwo, tym więcej ludzi będzie się zgłaszało do armii i jednostek COP-u. Powiedziano więc o bombach atomowych, o naukowcach, którzy z rzadka łęgli się wśród Engelsów, a byli wyjątkowo niebezpieczni, o kulturze, która gdzieś zaczynała się tworzyć w głębi zielonego kontynentu, i o wszelkich dziwactwach Zielonych, z olbrzymim pojazdem, którym ścigał ich cesarz, i pijanym Drezmem włącznie. Konferencja trwała i trwała i po początkowych rzeczowych pytaniach przysłała pora na sprawy luźniejsze.

– Oliwia Grambs, „Kultura i Wiedza”. Mam pytanie natury bardziej... obyczajowej – odezwała się jedna z dziennikarek. – Obserwuję was siedzących przy stole i, proszę się nie obrazić, widzę nie wojów, ale ludzi. Kobiety i mężczyzn. Jak długo służycie w jednym oddziale?

– To zależy, o kogo pani pyta – odparł Orłowski. – Sierżant Żegota został włączony do batalionu dopiero co, a sierżant Mardok Jary jest ze mną od początku.

– Niektórzy służą już więc kilka lat, prawda? – spytała dziennikarka.

– Tak.

– Na przykład państwo. – Kobieta wskazała palcem siedzących obok siebie Wiechucką i Zguda. – Wyglądacie na narzeczonych...

Sanitariuszka zakryła oczy rzesami, a Zgud tak się zaczerwienił, że krew o mało nie trysnęła mu z policzków. Flesze błysnęły intensywniej, a oka kamer zwróciły się na parę.

– Jak często – ciągnęła Grambs, nie bacząc na zawstydzenie Eweliny i Dawida – zakwita, że tak powiem, miłość w okopach?

Orłowski chrząknął.

– To, zdaje się, pytanie nie do mnie...

Malik nieznacznie pochyliła głowę. Szeregowy Zgud i sierżant Runa przez chwilę zachowywali się tak, jakby mieli nadzieję, że wszyscy zaraz zapomną o pytaniu i konferencja potoczy się dalej, ale najwyraźniej nikt nie chciał pomijać kwestii poruszonej przez Oliwię Grambs. Dziennikarze uśmiechali się życzliwie, czekając na odpowiedź Eweliny lub Ktary, a siedzący na sali woje wydawali się coraz bardziej rozbawieni. Zgud przełknął ślinę i chrząknął, jakby chciał coś powiedzieć, ale sięgnął tylko po szklankę z wodą. Widząc to, Wiechucka przysunęła do siebie mikrofon.

– Najważniejsza jest służba Twierdzy. Wszyscy w oddziale oddalibyśmy za siebie życie.

Romantyczne zobowiązania nie mają tu znaczenia.

Dziennikarka zmrużyła oczy i chytrze się uśmiechnęła.

– Świetna odpowiedź, pani sierżant, mogłaby pani być rzecznikiem prasowym batalionu.

– Dziękuję.

– Ale nie była to odpowiedź na moje pytanie. Kiedy się w sobie zakochaliście?

Radosław Kot zerknął na spanikowaną parę i pochylił się do mikrofonu.

– Oczywiście nie musicie odpowiadać na to pytanie.

– Niech odpowiedzą! – krzyknęli ludzie z sali. – Niech odpowiedzą!

Dziennikarka „Kultury i Wiedzy” uśmiechnęła się błagalnie.

– Bardzo proszę. Po śmierci królowej duch w narodzie nieco podupadł. Takie wiadomości budują morale. Niech państwo coś powiedzą!

– No cóż – odezwał się wreszcie Ktara – to było... jak piorun z jasnego nieba.

– Chyba Perun! – rzucił ktoś z dalszych rzędów.

– W sytuacjach granicznych – podjął Zgud – gdy człowiek może zginąć niemal w każdej chwili, wszystko dzieje się szybciej. Szybciej powstają silne więzi, serce bije żywiej, w ogóle żyje się mocniej, intensywniej, bardziej kolorowo, że tak powiem.

– Pod koniec wyprawy – weszła mu w słowo Wiechucka – poczuliśmy coś do siebie.

– No to kiedy ślub? – spytała Grambs.

Runa spłonila się.

– Ależ jeszcze o tym nie myśleliśmy!

W końcu dziennikarka dała za wygraną, a konferencja potoczyła się dalej. Gdy dziennikarze, jak się wydawało, zaspokoiли ciekawość w sprawie akcji tudzież personalnych relacji w oddziale, zeszli na inne tematy. Pytali na przykład, dlaczego Żmij plecie na brodzie warkocze albo do czego służy chusta na twarzy Wampira, następnie zaś zaczęli zadawać pytania wszystkim siedzącym za stołem, również królowi. Jednym z ważniejszych było to zadane przez dziennikarkę „Głosu Twierdzy”, przykutą do nowoczesnego wózka inwalidzkiego rudowłosą, atrakcyjną kobietę o żywych oczach i twarzy promieniującej niezrozumiałym optymizmem.

– Renata Orłowska...

– Już ją lubię – mruknął Samul.

– Krewna? – szepnął do ucha Sergiusza Mardok.

Major pokręcił głową.

– „Głos Twierdzy” – ciągnęła dziennikarka. – Mam pytanie do naszego króla, jeśli można.

– Proszę. – Łyżwa zachęcił ją ręką.

– Dlaczego jeździ na tym wózku? – szepnął Lenny do Klaudii. – Przecież mamy dobre protezy...

– Może to nie paraliż, ale inna choroba – szepnęła Ripley.

– Pochowaliśmy Magdalenę Kozak – powiedziała dziennikarka. – Wszyscy bolejemy nad jej stratą. Jednak, chociaż nie jest to zapisane w żadnych dokumentach, rodacy zaczynają zadawać pytanie, czy i kiedy na tronie po pana prawicy zasiądzie nowa władczyni. Nie jest dobrze, gdy krajem włada tylko męzczyzna...

Na sali podniósł się szmer i wiele oczu zwróciło się na Orłowską.

– Zdecydowanie ją lubię – stęknął Samul, a Malik pokiwała energicznie głową.

– Twarda baba – zauważyła Miktus i wzniosła kciuk w stronę dziennikarki, ku zdziwieniu obecnych na sali generałów.

Justyn Łyżwa nie stracił rezonu. Pochylił się nieco i odparł z uśmiechem:

– Czy to nie pani przypadkiem napisała ostatnio artykuł o Zielonej Przyszłości?
Orłowska zarumieniła się.

– Tak. Cieszę się, że król ma czas na czytanie.

– Dobrą prasę czytam zawsze. Świetnie pani pisze. Ale myli się pani. Jest zapis, który stworzyliśmy z Madzikiem... – chrząknął – znaczy się z królową, mówiący o tym, że Twierdzą powinny włączyć dwie osoby, kobieta i mężczyzna. Tyle że czasy się trochę zmieniły. Jak pani pamięta, zostałem królem tak jakby przypadkiem i bez żadnej procedury. Magda także została władczynią w sumie trochę z... brakuje mi słów...

– Braku laku – wyręczyła go Miktus.

Na sali rozległy się śmiechy.

Łyżwa spojrzał na nią nieodgadnionym wzrokiem.

– Pani kapitan, byłbym wdzięczny...

– Tak, rozumiem, już się zamykam.

– Dziękuję, bo, rozumiem pani...

– Wszystko rozumiem, królu Łyżewka.

Tym razem sala wybuchnęła śmiechem, a Justyn oblał się rumieńcem.

– Nazywam się Łyżwa.

– Przecież mówię – odparła Miktus z niegasnącym uśmiechem.

– Szefie – Mardok nachylił się do Orłowskiego – ona ma defekt.

– W sumie kamień spadł mi z serca – odparł major – bo myślałem, że ona tak tylko do mnie.

– Khm. – Król oczyścił krtań. – Tak więc królowa Kozak i ja zostaliśmy władcami, bo nikt nie kwapił się do zajęcia tego stanowiska...

– Oprócz Kaczuchy! – krzyknęła z sali dziennikarka „Zbrojnej Twierdzy”, Alicja Krawczyk.

Była to córka majora Krawczyka, Zbrojowca, który zginął, broniąc pałacu. Orły dostrzegły, że jest uderzająco podobna do ojca i że mimo niefrasobliwego tonu twarz ma poszarzałą od żałoby.

Ponownie rozległy się śmiechy.

– Tak, oprócz niego, świeć Świętowidzie nad jego duszą.

– Eee, nie świeć! – rzuciła Alicja.

I znowu śmiechy.

– Teraz sytuacja się zmieniła – ciągnął władca. – I to w wielu aspektach. Wszyscy wiemy, jak wyglądał świat za czasów tak zwanej demokracji. Psychologia, brak odpowiedzialności, nie wiadomo na co komu potrzebne partie, marnowanie publicznych pieniędzy. Nie chcę urządzić wyborów, kampanii i tak dalej. To bez sensu.

Dziennikarka „Głosu Twierdzy” pokiwała głową, podobnie zresztą jak większość obecnych na sali.

– Zatem chyba ogłosimy konkurs – dokończył król.

– Konkurs na królową? – spytała Orłowska.

– Tak. Przede wszystkim zadziała tu mechanizm autoselekcji: zgłaszać się będą tylko te osoby, które czują, że podolają. Konkurs z wiedzy ekonomicznej wykluczy karierowiczki...

– Potrzebna będzie wiedza ekonomiczna? – przerwała mu dziennikarka.

Łyżwa zamrugął.

– Teraz pani żartuje, prawda? Elżbieta Sekunda, jeszcze za panowania świętej pamięci pułkownika Kosy, przewidziała deflację, ba, w jej modelu rozwoju Twierdzy było to zapisane jako pożądane i w pełni zrozumiałe zjawisko. – Król rozłożył ręce. – Mamy teraz w Twierdzy deflację i niech pani mi uwierzy, nie bardzo wiem dlaczego. Może jest, bo nikt już nie zajmuje

się tak zwanymi „rynkami finansowymi”. Nasz kraj rozwija się bardzo specyficznym, a my nie rozumiemy tego mechanizmów. Jak zapewne państwo zauważyli, nie bardzo ingerujemy w ten rozwój, no może oprócz tego, że stworzyliśmy kilka państwowych przedsiębiorstw, których produkcję regulujemy, bo tak musi być. Z wieloma innymi sprawami nie dajemy sobie rady, więc nie ingerujemy. I jakoś to wszystko działa. Naprawdę więc potrzebna nam jest ekonomistka z prawdziwego zdarzenia, nie po to, by zepsuć mechanizmy, które powstały w Twierdzy, ale po to, by je opisać i zrozumieć. Wracając do konkursu, testy psychologiczne wykluczą psychopatki i osoby inaczej zaburzone. Znamy z historii Polski przypadki, gdy osoby takie zajmowały stanowiska bardzo wysokie, ministerialne...

– Na przykład?

– Nie wywołujemy duchów z upieczonych Leopardów...

Sala wybuchnęła śmiechem.

– Mam wrażenie, że konkurs jest dobrym rozwiązaniem – ciągnął Justyn. – Tu nie ma miejsca na robienie wizerunku czy populizm. Chodzi o fachowca. Fachowczynię – poprawił się ku uciechu słuchających. – Im większą będzie miała wiedzę i empatię, im bardziej będzie uzdolniona, tym lepiej. Twierdzą powinni rządzić ludzie wybitni. Nie politycy, ale specjaliści. Skoro przy tym jesteśmy, sam nie uważam się za wybitnego i, swoją drogą, już trochę siedzę na tym tronie, prawda?

Orłowska pokiwała głową, ale reszta ludzi na sali gwałtownie zaprzeczyła.

– Boję się jednak – ciągnął Łyżwa – że jak ktoś mnie zastąpi, spieprzy to i owo. Twierdza to naprawdę skomplikowany mechanizm, w dodatku wciąż zagrożony.

– Czyli będzie konkurs? – spytała Orłowska.

– Z pewnością. Brakuje mi kobiecej ręki.

– Kiedy zostanie ogłoszony?

– No cóż... musimy najpierw dobrze go przemyśleć. Proszę o cierpliwość.

– Rozumiem – odparła dziennikarka. – Ale skoro król już zahaczył o ten temat, kiedy abdykacja?

Po sali przetoczył się pomruk gniewu. Kto śmie tak mówić do króla?!

– Jest pani odważna, pani Renato. – Łyżwa uśmiechnął się do niej.

– Żyjemy w Twierdzy – odparła. – Musimy być odważni.

– Podoba mi się pani.

– Bo się zarumienię. – Dziennikarka uśmiechnęła się zalotnie. – Niech pan odpowie na pytanie.

Justyn wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem, pani redaktor. Abdykowanie to też jakby tchórzostwo. Co będzie, jak ktoś po mnie nie podola? Rozumie pani, zdaję sobie sprawę z zagrożeń, jakie niesie ze sobą zbyt długie władanie jednej osoby, a z drugiej strony nie chcę ustępować dla zasady, mając nadzieję, że mój następcą będzie co najmniej tak samo dobry.

– W kwestii formalnej. – W trzecim rządzie podniósł się czarnowłose przystojniak w prostokątnych okularach. – Krzysztof Kapuściński, „Trybuna Warszawy”. Zachęcony odwagą pani Orłowskiej – uklonił się w stronę rudowłosej kobiety, a ta uśmiechnęła się – chciałbym zadać być może niewygodne pytanie, ale jak dotąd nikt go w Twierdzy nie zadał. Jak to się stało, że ty, królu, ponoć taki dobry i kompetentny – w sali dały się słyszeć pomruki gniewu, zwłaszcza żołnierzy – nie przewidziałeś ataku na pałac, który to atak omal nie skończył się katastrofą? Podobno woje z garnizonu w Baranowie widzieli lecące rakiety. Dlaczego nie

poinformowali centrali? Czy nie świadczy to jakoś, bo ja wiem, źle o tym, co się dzieje w armii? Dlaczego obywatele jadący w tym czasie trasą A2, którzy także dostrzegli te obiekty, a byli tacy, dziennikarze „Trybuny” dotarli do nich, nie donieśli o niczym odpowiednim organom? Czy wewnętrzna komunikacja Twierdzy na pewno jest na odpowiednim poziomie?

Mężczyzna usiadł, a w sali zrobiło się nieprzyjemnie cicho.

– Zadał pan, panie redaktorze, więcej niż jedno pytanie – charknął Łyżwa – i trochę mi przykro, że zeszliśmy na ten temat przy okazji odznaczenia najdzielniejszych wojów Twierdzy. Ale nie będę się uchylał od odpowiedzi, to nie pora na zasłanianie się rzecznikami prasowymi, których zresztą nie mam...

– Błąd – mruknął siedzący obok niego Kot.

– Jestem przeciwnikiem piarowskiej zonglerki i gładkich mów. Dlatego obecne tu Orły nic nie wiedziały o tej konferencji, nie zostały przygotowane. Stawiamy na szczerłość. Wracając do pańskiego pytania... Nie przewidziałem ataku, bo popełniłem błąd. Wszyscy go popełniliśmy, sądząc, że Zieleni się nie rozwijają. Otóż rozwijają się i potrafią zaskoczyć. Już to wiemy. Dlatego potrzebny jest jeszcze intensywniejszy rozwój armii i COP-u.

– I chyba sekcji naukowej, królu – odpowiedział dziennikarz. – Profesor Łukasz Urbańczyk, badacz hord zachodnich zdaje się, pisał w swojej ostatniej książce, że niemieckie Engelsy się zmieniają. Czy można założyć, że ktoś mądrzejszy na pana miejscu mógłby przewidzieć rozwój Zielonych? Choćby profesor?

Król uniósł brwi.

– Nie wiem.

– Ale nie wyklucza pan takiej sytuacji?

– Oczywiście, że nie. Po prostu nie wiem. Czy pan przewidział rozwój orków? Albo cytowany przez pana autor?

Dziennikarz wytrzeszczył oczy.

– No... nie... Nie jestem pewien.

– Widzi pan. A wygląda pan na inteligentniejszego ode mnie. Z naukowcami zaś mamy nieustanny kontakt. Problem polega na tym, że opierają swoje hipotezy na obserwacjach orków przygranicznych, a ich zachowanie różni się znacznie od zachowania orków mieszkających w głębi łądów otaczających Twierdzę. Zacieśnimy współpracę nie tylko z profesorem Urbańczykiem, ale także wieloma innymi badaczami, bo dzięki akcji obecnych tutaj wojów zyskaliśmy po raz pierwszy bardzo ciekawy materiał badawczy. I rozwijamy sekcję naukową batalionu.

– Czy to znaczy, że woje z „Orla Białego” znowu ruszą w głąb wrogiego terytorium?

– Są do tego przygotowywani.

– Czyli wyruszą?

– Najprawdopodobniej.

– A ja mam jeszcze jedno pytanie. – Orłowska podniosła rękę, między jej palcami coś błyszczało.

– Proszę – zachęcił Łyżwa.

– Czy pan wie, co to jest? – Uniosła wyżej dłoń.

Król wysilił wzrok.

– Nie widzę z tej odległości. Jakiś naszyjnik?

– Znalazłam to w sklepie z dewocjonaliami, dzisiaj rano. To święta Magdalena, protektorka Twierdzy. Medalik wygląda tak jak pomnik, który ma powstać na południowej ścianie pałacu.

– Niemożliwe. – Justyn wytrzeszczył oczy i poprosił wzrokiem Kasię „Joe” Rakowską, by przyniosła mu wisiołek.

Królewski błazen, wyjątkowo bez błazeństw, podszedł do dziennikarki, wziął naszyjnik, podbiegł do stołu prezydialnego i podał władcy. Ten ujął go wyjątkowo delikatnie i długo przyglądał się, obracając w grubych palcach.

– Czy to zlecenie Krajowego Biura Propagandy, czy akcja oddolna? – odezwała się dziennikarka.

Król przełknął ślinę, ale nie wy dobył z siebie głosu, wpatrując się w złotą zawieszkę. Radosław Kot, widząc, co się dzieje z Justynem, postanowił przysunąć do siebie mikrofon.

– Nie jest to żadna nasza akcja. Nic o tym nie wiedzieliśmy. Szybkość reagowania obywateli Twierdzy jest godna podziwu.

– Będziecie wzmacniali ten kult czy odetniecie się od niego?

Kot znowu zerknął na Justyna, ale ten pokręcił głową, dając znać, że nie jest w stanie mówić.

– Nie będziemy tego w żaden sposób regulować. Żyjemy w wolnym kraju – odparł Radosław.

– Ja mam pytanie do dziennikarki – odezwała się niespodziewanie Wysocka.

Orłowska, płochliwie się uśmiechając, uniosła brwi, a oczy kamer i ludzi obecnych w sali zwróciły się po części na nią, a po części na niepozorną panią doktor.

– Dlaczego używa pani wózka? – wypaliła.

Korespondentka „Głosu Twierdzy” przytknęła dłoń do gardła, jakby coś jej w nim utkwiło, zarumieniła się, po czym powiedziała cicho:

– Mam rdzeniowy zanik mięśni. Tego... na razie nie da się leczyć.

Usłyszawszy to, Justyn otrząsnął się i spojrzał twardo na dziennikarkę.

– Niech się pani zgłosi po konferencji do doktor Wysockiej, może w jakiś sposób temu zaradzimy.

– Ale mówiłam...

– Wiem, co pani mówiła – przerwał jej król. – Nie wypada, żeby obywatelka Twierdzy poruszała się w ten sposób. Spróbujemy przystosować dla pani Chorsa, egzozskielet piechoty. To pani miała na myśli, pani doktor?

Wysocka spojrzała na króla i pokiwała głową.

– Mamy też drobniejsze urządzenia, takie jak doktora Matuszewskiego.

– Ależ... – zachłysnęła się Orłowska.

– Dla silnych kobiet, pani Renato, mamy mocne rozwiązania. W Twierdzy każdy jest żołnierzem, pani też.

Miłośnik palerdrinka Rłokiet, siłowni i kina klasy B, chorąży Dariusz Samul uwielbiał spać, zwłaszcza na służbie, w batalionie. Dlaczego? Bo gdy bywał w domu pod Warszawą, jego urocza żona Magdalena spać mu nie dawała. Nie tylko dlatego, że żądała od niego miłosnych uniesień. Otóż urocza Magdalena Samul chciała od męża czegoś... zawsze. W zasadzie był to jeden z głównych powodów, dla których dzielny nasz woj wstąpił do wojska – żeby już nikt od niego niczego nie chciał. W każdym razie nie zawsze. Zabijanie Engelsów uważał za godziwą rozrywkę, de facto najlepszą, jaka istniała pod słońcem, służba Twierdzy zaś wydawała mu się najśłodszą posługą na świecie. Czasami czuł się jak przedkolapsowy ksiądz na plebanii – nic, tylko budzić się co ranka, wykrzykując: „It hł bi e łanderful dej tudej!”.

Toteż gdy następnego ranka o szóstej piętnaście obudził go telefon, a wyświetlacz pokazał, że

dzwoni nie Orłowski czy jego adiutant Jary, ale Marlenka, jak nazywał żonę, przetarł oczy ze zdziwienia i z pewnym wahaniem odebrał połączenie.

– Pyśku? – usłyszał zdenerwowany głos żony.

– Panie Pyśku – poprawił ją automatycznie.

– Pyśku, przyjedź tutaj zaraz, bo ja już nie wytrzymam z tym Kubą.

Kuba Samul był ich osiemnastoletnim synem i samotna od ładnych paru lat matka nie do końca dawała sobie z nim radę.

– Ale Marlenko, ja jestem na służbie przecież. Nie mogę teraz...

– Pyśku, musisz wziąć przepustkę. Daj mi telefon do tego twojego majora, ja z nim porozmawiam.

„Tylko nie to!” – pomyślał Dariusz.

– Marlenko, takich rzeczy nie załatwia się w ten...

– Twój syn od trzech dni nie nocuje w domu, wałęsa się gdzieś w podejrzanym towarzystwie, chyba handluje czymś nielegalnym.

– Ale Marlenko, co może być nielegalnego w Twierdzy? Wszystko mamy legalne: broń, narkotyki, wszystko!

– Nie wiem, Pyśku, ale ja już sobie rady nie daję. Musisz przyjechać, bo inaczej ja tam przyjadę i porozmawiam...

– Dobrze już, dobrze, Marlenko, porozmawiam z majorem...

– Koniecznie z nim porozmawiaj. I masz dzisiaj być w domu, bo ja już...

Marlenka miała w zwyczaju powtarzać to samo kilka razy.

– Tak, tak, Marlenko, przyjadę zaraz, ale muszę najpierw dostać...

– Przyjedź, bo ja już...

Miała też w zwyczaju przerywać każdemu bez wyjątku rozmówcy, niezależnie od tego, jak wysokie stanowisko zajmował, Pysiek zaś, to jest Dariusz, zajmował stanowisko dużo poniżej Orłowskiego, któremu jednakowoż też by przerwała.

Magdalena zdołała jeszcze kilka razy powtórzyć, że ona już dłużej nie wytrzyma, nim udało się Dariuszowi zakończyć rozmowę. Olbrzym zmierzył czarną grzywą, sięgnął pod łóżko po pałedrinka, otworzył butelkę zębami i wlał połowę zawartości butelki do ust.

– Psiakość – stęknął po tym, jak potężnie beknął. – Major śpi jeszcze pewnie. – Zerknął na zegarek. – A może Mardok? Może do niego puścić esemeska? Gmrrmmr...

Samul miał tak dobry charakter, że nie potrafił nawet groźnie warczeć. Warcząc więc niegroźnie, rzucił z siebie pidżamę, włożył bieliznę i mundur, zawiązał buty, spakował naprędce wojskową torbę i tak wyekwipowany, zbiegł do pałacowej jadalni. Gdy pokonywał ostatnie metry w kierunku pomieszczenia, z którego docierał zapach jajecznicy na boczku, z ulgą usłyszał głos dowódcy... oraz śmiech Anny Podgórskiej!

– No proszę – powiedział do siebie. – Sierżant Malik coś o tym wie?

Tajemnicą poliszynela był flirt operatorki dział Dażboga i dowódcy Orłów. Wszyscy udawali, że go nie widzą, i pozwalali Orłowskiemu i Joannie żyć w błogim przeświadczeniu, że są niezwykle dyskretni.

Wmaszerował energicznym krokiem do pomieszczenia i najwyraźniej spłoszył zarówno majora, jak i ponętą motocyklistkę.

– Dzień dobry, dowódco. Dzień dobry, pani porucznik.

– Cześć, Dario – przywitał go Orłowski, usiłując odciągnąć jego spojrzenie od spłonionej blondynki. – Co tak wcześniej?

- Kto rano wstaje, temu Świątowitz daje!
 - Poranna zaprawa? Jeszcze przed oficjalną?
- Dariusz podrapał się po głowie.
- Nie, szefie. Mam prośbę...
 - Hm?

Samul westchnął i poczuł przemożną chęć pociągnięcia pałerdrinka. Sięgnął do kabury, gdzie trzymał zawsze dwie butelki, wyjął tę opróżnioną do połowy i wlał sobie do gardła pozostałą zawartość. Beknął z zamkniętymi ustami, powiedział niewyraźnie „Przprszm” i wypalił:

– Małżonka dzwoniła i – chrząknął, maskując kolejne beknięcie – kłopoty w domu. Syn od trzech nocy gdzieś się szlaja...

Dowódca chwilę przyglądał się bacznie Samulowi. Jak na wyczucie Dariusza o sekundę za długo, ale nie potrafił zrozumieć dlaczego. Przecież wykonywał wszystkie obowiązki wzorowo.

– Kuba? – spytał w końcu.

– Tak.

Orłowski mrugnął do Podgórskiej i zerknął sceptycznie na Zbrojowca.

– Chcesz przepustkę?

– Na dzionek...

Orzeł westchnął. Tego dnia miały się odbyć ćwiczenia SCP, w których Samul i tak nie do końca by się przydał, no chyba że jako wsparcie z zewnątrz. Jego pancerz był traktowany bardziej jako pojazd niż ubiór i nie nadawał się do ćwiczeń w ciasnych pomieszczeniach. Jednak woj powinien wziąć udział w szkoleniu. Od zgrania zespołu zależało życie jego członków.

– To bardzo ważne? – spytał, patrząc na niego poważnie.

– No trzy dni go nie było...

– Jest dorosły, zdaje się?

– Osiemnastoletni smark.

Orłowski westchnął po raz drugi i znowu zerknął na porucznik Podgórską, a Dariusz, chociaż zajęty swoją sromotą, odnotował, że dowódca niewerbalnie się z nią konsultuje. Dziwne!

– Dobra – mruknął Sergiusz. – Ale jutro masz być na śniadaniu. Świeży i gotowy.

– Dziękuję, szefie.

W sumie Samul nie wiedział, czy się cieszy, że major dał mu przepustkę. Wygodnie byłoby się wymigać od wizyty w domu, chociaż wiedział, że wtedy Marlenka przyjechałaby pod pałac i byłby wstyd na całą stolicę.

Wyszedł ze stołówki, nie posiliwszy się, chciał bowiem jak najszybciej zażegnać kryzys, i wtedy zobaczył, że do jadalni zmierza uśmiechnięta niczym wiosenny poranek sierżant Joanna „Kalina” Malik. Dziewczyna znała zwyczaj szefa i wiedziała, że gdy jest zestresowany, mało sypia i wczesnie wstaje. Te wczesne wspólne śniadania były ich tajemnicą i jedną ze słodszych stron wojskowego życia. Widząc ją promieniejącą i spragnioną widoku Orła, Samul, nieświadomy tego, co czyni, zatrzymał ją ręką.

– Co? – spytała, jakby zbudzona ze snu.

– No więc właśnie... – Dariusz szukał wciąż słów, gdy do ich uszu doszedł śmiech Orłowskiego i Anny.

Joanna spojrzała na Zbrojowca i nagle rumieniec spłynął z jej twarzy.

– Puść mnie! – szepnęła, odepchnęła jego rękę i pomaszerowała do jadalni.

Wtedy to właśnie Samul pomyślał, że może to i dobrze, że zje śniadanie w domu, a nie w pałacu...

Ledwie wyszedł za bramę, zorientował się, że nie bardzo pamięta, jak się podróżuje, nie mając na sobie Trojana ani nie siedząc na dachu Dażboga. Przyzwyczajony do biegu, odruchowo zaczął truchtać po Marszałkowskiej i dopiero po chwili się zorientował, że to bez sensu. Zanim dotrze w ten sposób na obrzeża Warszawy, upłyną dwie godziny. Odszukał wzrokiem przystanek autobusowy po przeciwnej stronie ulicy, a potem przejście podziemne.

Zanim dotarł, wciąż truchtem, na drugą stronę, minął kilka warszawianek, które zawiesiły na nim spojrzenie. Jak twierdzą historycy, Samul był brzydalem, nie ulega jednak wątpliwości, że zwalistym, a wielkich facetów kobiety lubią niezależnie od okresu historycznego.

Zdziwił się, że musi czekać na autobus pół godziny, ale nie omieszkał zauważyć życzliwych spojrzeń zarówno starszych, jak i młodszych obywateli Twierdzy. „Ma się ten prestiż” – pomyślał z uśmiechem.

Dopiero gdy wsiadał do pojazdu, zdał sobie sprawę, że nie kupił biletu i że nie pamięta, jak się to robi, gdzie się to robi, ile taki bilet kosztuje i czym się różni „godzinówka” od „tygodniówki” oraz „ulgowy” od „strefowego”. Spojrzał bezradnie na otyłego kierowcę, ale ten, widząc mundur tudzież insygnia chorążego, uśmiechnął się i wskazał kciukiem wewnątrz autobusu.

– Siadaj, woju. Na koszt firmy.

Dom przywitał go niemal zapomnianymi zapachami. Od ogrodu niosła się woń szaławii, piesy, jak nazywali Ciapę i Azę, dwa olbrzymie, jowialne kundle, pachniały sierścią i psią karmą, w nos wwiercał się słodki zapach rosnącej nieopodal lipy, wszystko to zaś przypominało dawne cywilne życie, jakieś takie beztroskie i pozbawione żelaznego, konkretnego znaczenia, którym charakteryzowała się żołnierska poniewierka trąca smarami Trojana i prochem strzelniczym.

Marlenka wybiegła do niego w błękitnej letniej sukience, z jasnymi włosami rozwianymi na wszystkie strony i serce Dariusza od razu zmiękło, kochał bowiem swoją dziewczynę miłością wielką i niezmienną. Zapomniał, jaka jest śliczna. Nogi jak toczne, talia osy, opalone ramiona...

– Pyśku! – krzyknęła i padła mu w ramiona, a on przypomniał sobie jeszcze jeden zapach.

Zapach miłości.

Co działo się przez następnych trzydzieści minut, historycy nie wiedzą, a gdyby nawet wiedzieli, nie chcieliby powiedzieć, wypada więc albo wysilić wyobraźnię (i zobaczyć smukłe, opalone podbrzusze Marlenki), albo przejść do momentu, gdy dzielny nasz Dariusz, wypiwszy doskonałą zbożową kawę i posiliwszy się czterema pączkami o wiele lepszymi od tych, które produkował Marcinkowski, opuścił rodzinny dom masywnym niebieskim (kolor wybierała żona) pick-upem marki Warszawa, zmierzając pod ostatni znany Marlenie adres pobytu ich syna, czyli do praskiego mieszkania niejakiego Mateusza Chatysa, szkolnego przyjaciela Kuby.

Historycy, zwłaszcza profesor Emanuela Kowalska, specjalizująca się między innymi w orkach hiszpańskich, wielokrotnie podkreślają nader ważną rzecz dotyczącą pokolenia Jakuba Samula. Otóż syn Dariusza i Magdaleny urodził się rok przed Kolapsem, świadome życie zaś rozpoczął, gdy jedynym krajem na Ziemi zamieszkanym przez ludzi była Polska. Dla Kuby nie był to więc kraj „jedyne”, bo słowa tego używamy, gdy chcemy podkreślić wyjątkowość jakiegoś zjawiska

na tle innych. W świecie młodego potomka Samulów nie było tymczasem żadnego tła. Była Twierdza i otaczający ją zielony ocean. Taki był świat i Kuba nie znał innego. Słowo „ludzie” było synonimem Polaków, istnienie orków zaś było dla niego tak samo naturalne jak dla pokoleń żyjących przed wielką tragedią istnienie kotów i psów. Termin „zagranica” w jego umyśle nie istniał. Świat pokolenia 35+, czyli urodzonych po 2035 roku, skurczył się do obszaru Polski. Oczywiście w szkołach uczono o reszcie globu, mówiono o historii Ameryki, Francji i Chin, ale nikt nie przykładał się za bardzo do tych lekcji, gdyż najważniejsza była spuścizna Twierdzy. Wracając do Kuby, jedynym stanem, jaki znał, była wojna czy – by być precyzyjniejszym – stan oblężenia. Gdyby jakimś cudem w Polsce i na świecie nastąpił „pokój”, które to słowo również było mu obce, z pewnością nie bardzo by wiedział, jak się w nim odnaleźć. Pokój? A cóż to takiego? Ojciec Kuby był żołnierzem, a matka, kiedyś tłumaczka przysięgła, musiała się nieco przekwalifikować i obecnie pracowała jako archiwistka dzieł obcojęzycznych w Głównej Bibliotece Twierdzy. Książki wydane za granicą były teraz niezwykle cenne. Należało je zbierać, odkupować od prywatnych właścicieli, archiwizować oraz tłumaczyć i tym właśnie się zajmowała.

Skończywszy lat osiemnaście, Kuba stwierdził, że jest dorosły, a to, co robił do tej pory pokątnie, urosło w jego oczach do stałego, „poważnego” zajęcia. Czym zajmował się młody Samul? Wraz z Mateuszem Chatysem, Jakubem Sawickim i kilkoma innymi kolegami handlował rzemieślniczo wytwarzaną bronią, amatorskimi pancierzami, narkotykami i podróbkami kawy, herbaty oraz zagranicznych alkoholi i papierosów. Broń i narkotyki, jak zauważył Dariusz w rozmowie z małżonką, były w Twierdzy legalne, nie przeszkadzało to jednak wytwórcom, nielubiącym płacić i tak stosunkowo niskich podatków, rozprowadzać towaru przy pomocy tanich i naiwnych młokosów pokroju Kuby. Gnaty, którymi młodzieniec handlował, nie należały do najbezpieczniejszych: potrafiły wybuchać, zacinać się, zbroje zaś psuły się i zakleszczały. Co do innych towarów, różne śmieci zdarzało się Kubie sprzedawać, ale uważał, że to już problem kupujących. Przecież wiedzą, że nabywają towar nie w sklepie, ale u dziecka, więc o co chodzi? Podrabiane Danielsy i Johnny Walkery smakowały prawie tak samo jak oryginały, a co poza etanolem zawierały, już go nie interesowało. Najgorzej było, wbrew pozorom, z podrabianymi używkami. Ani Kuba, ani żaden z jego kolegów nie wiedzieli, jaką chemię zawierają Jacobsy, Tetleye, Lavazze, Tchibosy, Liptony, Ahmady i inne Dilmahy, których opakowania dokładnie oddawały wygląd prawdziwych kaw i herbat. Skład był tajemnicą wytwórców, jednak zdarzające się od czasu do czasu zatrucia, z którymi mieszkańcy Twierdzy zgłaszali się do szpitali po spożyciu owych specjałów, nie świadczyły najlepiej o ich jakości. Kuba zawsze uważał, że inni może sprzedają trefny towar, ale jego to nie dotyczy. Nigdy wszakże nie monitorował stanu zdrowia swoich klientów, więc de facto trochę się oszukiwał.

Tego dnia był bardzo zadowolony, bo od trzech dób przebywali nie w ciasnawej kawalerce Chatysa, którą bogaty, ale skąpy ojciec kupił synkowi, „żeby się wyszalał”, ale w nadzwyczaj dobrze urządzonej wielopokojowym mieszkaniu, które nie wiedzieć czemu zostało sprzedane przez starych, choć podobno dzianych ludzi. W kawalerce Mateusza zostali Michał i Robert, a tymczasem w nowym lokum żyli jak królowie Kuba, Chatys i Jakub Sawicki zwany Sawim. Młody Samul rozpierał się na wzorzystej, miękkiej kanapie, pił pałerdrinka Perszing i grał na Playstation 6 w grę wyprodukowaną przed Kolapsem.

Do salonu wszedł Mateusz, wysoki, muskularny, czarnowłosy młodzieniec z gnatem zawieszonym w kaburze pod pachą, dzierżąc w jednej ręce kanapkę, a w drugiej Polo-Colę.

– Po co grasz w to badziewie? – spytał.

– Fajne jest – odparł młody Samul, szarpiąc się z padem.
– Po chuj wyciągnąłeś tę konsolę z szafy? Grafika jak przed potopem i głupia jakaś ta gra. Napierdzielasz się z kosmitami. Bez sensu.
– Nie ma tu innej, a na kompie staruchy gier nie mają.
– No to ci, kurwa, skombinuję.
Wbrew pozorom o pirackie gry było w Twierdzy znacznie trudniej niż przed Kolapsem.
– W ogóle – ciągnął Mateusz – to chyba wejdziemy w biznes wideo. Słabo rozpoznany jest.
– Bo mało gier w Twierdzy teraz się robi. I wszystkie są o walce z orkami. Nuda.
– Ja lubię.
– Widzisz? – Kuba wskazał Chatysowi pad. – Angielskie napisy. Na konsoli też. Rewelka.
– Ale grafa marna. – Mateusz skrzywił się, wgrzając się w kanapkę.
– Piętnaście minut i można się przyzwyczaić.
– Sryzwyczaić. Sawi! – krzyknął Chatys do pomieszczenia będącego czymś w rodzaju obszernej, zaopatrzonej w okno sieni. – Przynieś tu te skrzynie! Klienci nie powinni widzieć, ile tego mamy.
– Dobra! – rozległo się i po chwili do salonu pomieszczenia wszedł, stękając, nadzwyczaj muskularny blondyn dźwigający skrzynię oznakowaną pieczęciami „Świdnik. Fabryka Broni”.
Także miał dużą spluwę pod pachą. – Gdzie postawić? – spytał.
– Tam – Chatys wskazał kąt pokoju – obok kanapy Samula.
– Okej.
– Wszystkie pozostałe też przynieś.
Sawi zatrzymał się, posapując, i spojrzał gniewnie na Chatysa.
– Dlaczego ja?
– Bo nic nie robisz i lubisz szpanować bickami. Podpakujesz sobie.
– A Kubas? Też szpanuje!
Sawi postawił skrzynię we wskazanym miejscu. Coś w niej głośno zgrzytnęło.
– Ostrożnie! – warknął Mateusz.
– Przecież stawiam ostrożnie. Kubas, pomóż!
– Kuba gra. Rozwija mózg – odparł Mateusz. – Ty siedziałeś na telefonie i bicki ci wiotczały.
– Też się rozwijałem.
– Srozwijałem.
– Kurwa, te skrzynie są za ciężkie.
Kuba zerknął na zdyszanego Sawiego, włączył pauzę i oznajmił:
– Pomogę ci, zdechlaku.
Sawicki się zaperzył:
– Tylko nie...
W tym momencie drzwi mieszkania otworzyły się i do sieni weszło dwóch mężczyzn ubranych w skórzane kurtki i wojskowe spodnie. Byli barczyści, wysocy i zdecydowanie dorośli, w przeciwieństwie do Kuby i jego kolegów.
– Cześć, smarki – przywitał ich z drapieżnym uśmiechem niższy mężczyzna o przyciętych na jeża włosach i krótkim zarostcie.
– Cześć, Iks – odezwał się Chatys.
Mężczyzna przestał się uśmiechać i uniósł palec:
– Zbigniew Włóka dla ciebie, smarku. Pan Zbigniew Włóka. Iks dla przyjaciół, a wy jeszcze wzwód macie zamiast rozumu.

Mężczyźni wkroczyli do salonu.

– A ten tu – Włóka wskazał Samula, który nie zdążył się podnieść z kanapy – meble obsrywa, grając w starocie.

– Ej, panie Zbyszku, nie tak ostro. – Chatys uśmiechnął się.

Gdyby Mateusz wiedział, kim naprawdę jest Zbyszek „Iks” Włóka, nie próbowałby zjednywać go uśmiechem. W ogóle nie próbowałby utrzymywać z nim żadnych kontaktów. Na nieszczęście jednak dla niego, Kuby i Sawiego, nie miał pojęcia, z kim ma do czynienia.

Włóka zignorował pojednawczy ton Chatysa i wskazał palcem Playstation.

– Szóstka? – Nie czekając na odpowiedź, strzelił oczami w kąty pomieszczenia. – Ładne, kurwa, mieszkanko! Nie za ładne dla takich smarków?

– To... wujka – skłamał Samul.

– Srujka. Dobrze wiem, jak to wygląda, a ty naucz się kłamać. No dobra, macie towar?

– Tak, panie Zbigniewie – odparł Chatys i spojrzał ze skrywaną złością na Sawiego, który nie zdążył ukryć skrzyń.

Iks uśmiechnął się do swojego towarzysza, wyższego i potężniejszego pod każdym względem, podobnie jednak jak on obciętego na jeża i mającego zarost.

– Słyszysz, Ramel? Da się młodzież wychować, co?

Piotr „Ramel” Koryś uśmiechnął się jowialnie do przyjaciela i pokiwał głową. Chyba chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie Iks spojrzał ostro na Chatysa i rzucił:

– No to gdzie te klamki?!

– Tutaj, tutaj... – Mateusz wskazał skrzynię, którą przed chwilą przyniósł Sawi.

Iks dał Ramelowi znak ruchem oczu, a ten podszedł powolnym, ciężkim krokiem do drewnianej skrzyni, pochylił swe masywne ciało i wyciągnął świeżo naoliwionego Visa. Przerzucił go z jednej dłoni do drugiej i zważył.

– Ale armata. – Spojrzał zdziwiony na Iksa. – Kurwa, jakie to wielkie. Miałeś kiedyś w ręce?

Włóka ruszył głową tak, jakby chciał powiedzieć: „Miałem, nie miałem, jakie ma to znaczenie? Sprawdź broń”.

Ramel przeładował pistolet. Zamek głośno szczęknął i zatrzymał się w pozycji opróżnionego magazynka. Mężczyzna zwolnił blokadę i zamek wskoczył na właściwe miejsce z głośnym, mięsistym odgłosem. Olbrzym obejrzał rękojeść i spróbował paznokciem podważyć symbol świdnickiej fabryki. Wysunął magazynek, przyjrzał mu się uważnie, a potem z powrotem załadował.

– Oryginały – rzucił do kompana i spojrzał na Samula. – Gdzie pestki?

– Sawi – Chatys warknął do blondyna – przynieś naboje.

– Kuba, pomóż – szepnął tamten do kolegi.

– Ta.

Wyszli do pokoju w głębi mieszkania i po chwili przytaszczyli drugą skrzynię, najwyraźniej dużo cięższą.

Obserwując stękających młodzieńców, Iks szczyrzył zęby, jakby widok ten sprawiał mu sadystyczną przyjemność. Przygryzł koniec języka, a potem zaśmiał się.

– Co? Paluszki bolą? – spytał Samula.

Chłopak spojrzał na niego hardo. Włóka przestał się uśmiechać i skoczył, by zdusić w zarodku ducha rebelii. Wzbudzanie strachu było jego specjalnością.

– Co, synku? Myślisz, że możesz mi podskoczyć? – spytał, szarpiąc go za koszulkę.

– Panie Zbigniewie, spokojnie. – Chatys wyciągnął ręce. – Jest towar, świeżutki, tyle, ile pan

chciał.

– Puść dzieciaka, Iks – rzekł jowialnie Ramel. – Nieszkodliwy jest.

Jednak Włóka był nieprzejednany.

– Nie mądrz się, Koryś. Znam się na takich smarkach. Raz spojrzysz hardo i ujdzie ci płazem, to potem wlezie ci na głowę.

Energicznie przydepnął wojskowym butem odzianą w sandał stopę Samula. Chłopak stęknął i skrzywił się.

– No! – syknął Włóka. – Patrzysz na mnie z szacunkiem, rozumiano?

Samul chwilę milczał, patrząc w bok, ale zaraz potem wyszeptał:

– Tak, panie Zbigniewie.

Zbir poweselał i spojrział na kolegę.

– Popatrz, Ramel, raz przykurwisz i chodzą jak w zegarku. A te spluwy pod pachami to mają, kurwa, nie wiem po co.

Odepchnął Kubę i pozwolił mu odejść dwa kroki.

– Co się dziwisz. Laski podrywają. – Koryś uśmiechnął się.

– Zastranymi gaciami chyba – rzucił Iks. – No dobra, szefie – zwrócił się do Chatysa. – To ile chcecie?

– No, tak jak się umawialiśmy. Jeden Vis półtora tysiąka plus naboje pięć, to będzie razem...

– Mówisz o kradzionym towarze, synku – przerwał mu Włóka. – Ramel, sprawdź, czy pestki pasują do magazynków.

Olbrzym wziął pudełko, otworzył je, wyłuskał z niego nabój i ponownie się zdziwił.

– Kurwa, giganty. – Oglądał go przez chwilę, jakby podziwiał rzadki klejnot.

– Ramel, nie przyglądaj się, tylko sprawdzaj – warknął Iks.

– Już, już.

Mężczyzna wyjął więcej opasyłych naboji i sprawnie załadował magazynek. Obserwujący go Samul przyznał w duchu, że nigdy nie widział, by ktoś zrobił to tak szybko. Olbrzym miał wprawę, przy której amatorska zabawa bronią Kubby, Chatysa i Sawiego była po prostu śmieszna. Koryś wsunął magazynek do pistoletu i podał broń Włóce. Ten wziął ją i zważył w ręce.

– Potęga. – Uśmiechnął się do kolegi.

Przeładował i sprawdził, czy nabój siedzi w komorze.

– No pięknie.

Widząc to, Ramel wyjął drugiego Visa i zaczął łądować magazynek.

W tym momencie rozległy się kroki na schodach, drzwi wejściowe skrzypnęły i stanął w nich Dariusz Samul, odziany w mundur i zaopatrzony w wiszącą w udowej kaburze pistolet Vis.

– Ja pierdołę! – warknął Iks i wycelował w niego z nowej broni.

Zbrojowiec zamarł. Wielu rzeczy się spodziewał – syna z ponętą dziewczyną, syna z kilkoma ponętymi dziewczynami, syna z kolegami i ponętymi dziewczynami, zapitego syna z kolegami i ponętymi dziewczynami – ale raczej nie jakiegoś obcego gościa celującego w niego z wojskowej broni! Zahartowany w setkach starć, nie pozwolił sobie na żaden ruch. „Najpierw ocena sytuacji” – przypomniał sobie szkolenia.

Zlustrował pomieszczenie, w którym stał. Dwie skrzynie ze świdnickiej fabryki broni, toaletka, dwa fotele, lustro, okno. Mieszkanie emerytów. Zerknął do salonu, gdzie znajdowało się dwóch nieznanych mężczyzn, jego syn, Mateusz, którego doskonale znał, oraz Jakub Sawicki, także kolega Kubby. Jeden rzut oka na ich „gangsterski” ubiór oraz skrzynie ze Świdnika, które także tam stały, i żołnierz z niejakim smutkiem zorientował się, że jego syn

trudni się paserstwem.

– Panie Zbigniewie – odezwał się Kuba spanikowanym głosem – to mój ojciec...

– Ssssrojciec – warknął Iks. – Chcieliście nas zrobić?! Żandarmów nasłaliście, skurwysyny?!

– To pułapka – odezwał się Ramel, wciskając nie do końca załadowany magazynek w pistolet, po czym także wymierzył w Orła.

– Nie... – stęknął Kuba.

– Nie pierdol! – charknął Iks. – Ty, zielony!

Dariusz wskazał na własną pierś.

– Niby ja?

– Ty! Podejź tu, ale powoli!

Dariusz spojrział niedobrym okiem na gangstera, po chwili wahania wszedł bardzo ostrożnie do salonu i błyskawicznie go zeskanował. Pejzaże na ścianach, półki z książkami, wystawne meble, stół, dwie kanapy, ładne zielone zasłony, barwny dywan, dębowy parkiet lakierowany na wysoki połysk. Na osiemdziesięciocalowym telewizorze zamarła scena z gry, a z głośników wylewała się bojowa muzyka.

– Fajna gra? – rzucił, zerkając na syna.

– Zamknij się! – Iks wciąż w niego celował.

Dariusz przyjrzał się jego broni.

– Świeżutki Vis model czwarty. Kaliber dziesięć milimetrów. Kopie jak słoń trąbą w jajca. Przepraszam panów, mogę się napić? – Wskazał butelkę pałedrinka, która tkwiła w kaburze po przeciwnej stronie niż jego broń osobista.

Zanim Włóka odpowiedział, sięgnął łagodnym ruchem po butelkę, podniósł ją do masywnej szczęki, zerwał zębami kapsel i wlał w gardło kilka grzdyli. Cofnął butelkę i głośno beknął.

– Przprszm – oznajmił, zakrył butlę kapslem, wciskając go na szyjkę samymi ustami, i włożył do kabury.

Tylko Samul potrafił pić Rłokieta, trzymając jednocześnie kapsel w ustach.

– Zaschło mi w gardle, a teraz będę musiał się wysikać. Znaczy potem.

– Kuuurrrrwaaa! – zaklął Iks, czując, że traci inicjatywę.

– Półtora kilograma. – Dariusz wskazał pistolet dzierzony przez bandytę. – Masywny, niezawodny. Pociski ze stalową okładziną przebijają czachę każdego orka prócz Adolfów i Gojir. Przez człowieka przechodzą jak przez masło. Nie zdążą się odkształcić i rotować. Cyk i już są po drugiej stronie. Mocarna broń. Oczywiście to nie to samo co Marchołt... Wiedzie, co to Marchołt?

– Kim, kurwa, jesteś? – spytał Iks.

– Te Visy są kradzione – ciągnął swoje Samul. – Ze Świdnika. Nieładnie. Po co wam broń na orki? W chuj ciężka i wielka jak moja pała.

– Nie twoja, kurwa, sprawa.

Samul pokiwał smętnie głową.

– Od razu widać, że trzymacie te cudeńka po raz pierwszy.

– Że niby jak? – spytał Ramel.

– Vis Mk 4 po przeładowaniu automatycznie się zabezpiecza.

– Jak to?

Koryś spojrział na broń, opuszczając lufę, jednak Włóka był przytomny i nie dał się nabrać. Nie spuszczał Samula z muszki, syknął do kolegi:

– Kretynie, to blef! Nie spuszcza go z oka!

– Aaaa. – Ramel uśmiechnął się z uznaniem w stronę woja. – Niezłe, niezłe. – I znowu wziął go na cel.

– Jakie, kurwa, niezłe? – Iks nie krył złości. – to najstarszy wybieg na świecie. Filmów nie oglądasz?!

Dariusz zaciął usta w smutnym uśmiechu i spojrzał na syna.

– Widzisz, synek, zawsze warto spróbować prostego chwytu. Ale jak nie działa, to nie działa, więc, proszę ciebie, pamiętaj, że gdy mierzą do ciebie z broni, robisz, co ci każą...

W tym momencie woj rozpiął pasek spodni i zaczął rozpinać rozporek.

– Co on robi? – spytał Ramel.

– Na przykład – ciągnął Zbrojowiec – jak ci mówią: ściągnaj spodnie, to ściągasz. – W tym momencie Dariusz miał już na sobie tylko wojskowe szorty, ale nie przestawał się rozbierać i je także ściągnął, obnażając się przed zdumionymi widzami. – Jak ci mówią: pokaż fujare, pokazujesz.

Samul ukazał okazałe przyrodzenie.

– Człowieku, schowaj to! – Włóka zmrużył oczy i na moment odwrócił wzrok.

– Jak ci mówią – nie ustępował Dariusz – kręć młyńca, kręcisz! – I dzielny woj zakręcił śmigłem, aż zafurczało.

– Panie żołnierzu – chrypnął Koryś – może już wystarczy tych popisów?

Jednak Samul był nieprzejednany.

– I tak to jest, synuś – perorował do Kuby, który nieco zdębiał. – A jak ci mówią: pokaż dupę, to wykonujesz rozkazy. Rozumiesz, nie ma rady, nie ma rady.

Samul odwrócił się do wszystkich tą częścią ciała, gdzie plecy, jak pisał Tuwim, tracą swą szlachetną nazwę, i wypiął się.

– No, kurwa, pojechało go – jęknął Ramel, widząc, że Samul się pochyla.

– A jak każą: wypnij się bardziej – kontynuował woj – robisz to, trudno.

Pochylił się tak, że sięgał rękami podłogi. Znany wszystkim termin „czarna dziura” nabrał nagle nowego znaczenia. Prawdziwie kosmicznego.

– Zwróć uwagę, synuś, na ruch jaj. – Żołnierz stanął szerzej na nogach i zakołysał moszną w lewo i prawo. – To tak zwane serce dzwonu. Zapamiętaj tę nazwę. Jak ci mówią: kołysz, to kołysziesz...

Widok, z jakim musieli się zmierzyć obecni w pokoju, był straszliwy. Oto bowiem stali oko w oko z owłosionymi pośladkami Samula, między którymi pysznił się mroczny anus, a pod nim kołysał się odważnik. Jak twierdzą historycy i psychologowie, nikt na świecie nie jest w stanie znieść tego przerażającego obrazu, dlatego Włóka i Koryś odruchowo opuścili broń, zasłonili oczy i jęknęli unisono:

– Człowieku, przestań!

Właśnie na to czekał sprytny Zbrojowiec. Nikt bowiem nie zwrócił uwagi na to, że stał tuż przy krawędzi dywanu, na którym tkwili gangsterzy, a szeroko rozstawione nogi umożliwiały mu złapanie jej i energiczne szarpnięcie. To właśnie zrobił z szybkością atakującej kobry. Obaj bandyci, krzycząc z zaskoczenia, rymnęli na plecy i nim zorientowali się, co się dzieje, kopnięcia woja wytrąciły im broń z ręki, a po chwili Samul, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, mierzył do nich z własnego Visa, podtrzymując drugą ręką portki.

– Pamiętaj, synek – sapnął do Kuby – że siła woja płynie z ziemi. Zawsze nisko na nogach i zawsze w szerokiej postawie. I zawsze wiedz, na czym stoisz. Nie tak jak te dwa dupki. W mieszkaniu jest lakierowany parkiet, znaczy śliski, lokum należy do niemłodych ludzi, sądząc

po meblach i Playstation, dlatego właśnie położyli tu dywan. Żeby się nie ślizgać. Ale pofałdowanie świadczyło, że jest lekki i jeździ po podłodze. Czyli łatwo go szarpnąć. Chodź teraz za mnie i podciągnij mi spodnie.

Kuba posłusznie podszedł i obejmując ojca od tyłu, podciągnął mu szorty, potem spodnie i zapiął pas. Rozporkiem się nie zajmował.

– No. – Samul uśmiechnął się, nieco się prostując. – Idź na swoje miejsce, żebym miał swobodę ruchu.

Jakub odsunął się dwa kroki.

– I czytaj, synuś, klasykę – podjął Dariusz. – *Król szcurów*, James Clavell. „Nie ma na świecie brzydszego widoku od nagiego, srającego mężczyzny widzianego od tyłu”, czy jakoś tak. To rozwala każdego. Oprócz orka. Panowie – spojrzał na oszołomionych Iksa i Ramela, którzy wciąż nie rozumieli, jakim cudem znaleźli się w obecnym położeniu – wyciągacie pistoleciki spod pach i popychacie je do mnie po podłodze. Grzecznie.

– Nie... – zaczął Iks.

Samul jednak nie dał mu skończyć, wypalając w podłogę tuż przy jego stopie. Rykoszet i drzazgi z parkietu wyrwały w spodniach mężczyzny sporą dziurę, a grzmot wystrzału jeszcze przez chwilę przetaczał się po mieszkaniu.

– Ja pier...!

– Nie będę powtarzał dwa razy. Jak w przedszkolu: pani mówi, dzieci wykonują. Pistoleciki na podłogę.

Mężczyźni wykonali polecenie. Ich spluwy znalazły się przy stopach Dariusza.

– A teraz wstajecie i ustawiacie się grzecznie pod telewizorkiem.

Bandyci zaczęli gramolić się z podłogi.

– Tacy jak wy, gieroje, przydaliby się na froncie, a nie w stolicy bawić młodych chłopców...

Samul junior parsknął, a Włóka zbladł ze złości.

– No i znowu zaschło mi w gardle – poskarżył się Zbrojowiec i sięgnął lewą ręką po butelkę.

Łyknął, beknął, po czym wsunął butelkę do kabury.

– Rłokiet płynie w młoiach żyłach! – zapewnił zbaraniałych gangsterów. – I teraz... – Spojrzał na Kubę. – Synek, powiedziałem już raz „i teraz”?

Samul junior pokręcił głową.

– No to przepraszam. – Dariusz potrząsnął głową, wciąż celując w Iksa. – Kubas, podnieś ich broń.

Syn Zbrojowca podszedł, zebrał pistolety i wrócił na swoje miejsce.

– I teraz tak – podjął woj. – No, teraz to na pewno już dwa razy powiedziałem „i teraz”, prawda, synuś?

Kuba, coraz bardziej zdezorientowany, pokiwał głową.

– Zatem, panowie – podjął żołnierz – próbowaliście, jak sądzę, kupić kradzioną broń. Wojskową. Nieładnie, to raz, nielegalnie, to dwa. Co robić? Wzywać policję? – Skrzywił się. – Będą przesłuchiwać was, mojego syna, mnie, a ja jestem na przepustce. Jeden dzień. Więc nie chce mi się, a pewnie i wam się nie uśmiecha, co?

Mężczyźni pokiwali głowami.

– No właśnie. Więc może załatwimy to jakoś po... gangstersku, co?

Mina Włóki mówiła: „Czyli?”.

– Strzelę wam po razie w łydy albo w kolana... – Samul skierował lufę na nogi mężczyzn.

– Nie! – skrzeknął Iks.

– Nie? – zdziwił się Dariusz. – Ale przecież mówiłem, przejdzie jak przez masło.

– Proszę. – Głos Włóki lekko zadrżał.

– No to jak? – Samul się stropił. – Mam was spruć po ryjach? Przez okno wyrzucić? – Spojrzał na syna. – Widzisz, Kubas, jak się boją? Strach, kochany, to twój przyjaciel. Oczywiście zawsze powinien grać w przeciwnej drużynie.

Samul junior uśmiechnął się zjadliwie, patrząc na spoconego Zbigniewa.

– No to już nie wiem, jak to załatwić. – Dariusz pokręcił Visem. – Macie jakiś pomysł?

Ramel przełknął ślinę i chrząknął:

– Może... byśmy sobie po prostu... poszli?

– Może po prostu poszli? – spytał Samul. Popatrzył na Kubę. – Synek, czy któryś z tych panów w ciebie celował? Albo w któregoś z twoich przyjaciół?

Wtedy Jakub Samul dostrzegł w pocziwej twarzy ojca coś tak groźnego, że sam się go przestraszył. Zrozumiał, że jeśli powie „Tak”, obaj mężczyźni zginą. Zaszło mu w gardle. Przypomniał sobie, jak Włóka boleśnie nadepnął mu na stopę. Spojrzał na niego. Tamten patrzył mu w oczy z wielkim napięciem. „Mogę skłamać – pomyślał młody Samul. – Należy im się za chamską postawę, ale karać kogoś śmiercią za to, że jest chujem? Z drugiej strony ci gnoje wyrządzą jeszcze sporo zła na tym świecie...”

Westchnął i powoli pokręcił głową.

Iks jakby zwiotczał.

– Jesteś pewien, synek? – spytał Dariusz.

– Panie Dariuszu – odezwał się Chatys – naprawdę żaden z tych panów nam nie groził. To była wizyta... biznesowa.

– A! – wykrzyknął Samul senior i rozciągnął usta w paskudnym uśmiechu, opuszczając broń.

– Jak biznesowa, to w porządku! Nieporozumienie po prostu zaszło! – Przełożył Visa do lewicy i podszedł do Włóki z wyciągniętą ręką. – Dariusz Samul, ojciec tego łapserdaka. – Wskazał syna. – Szukałem go na polecenie małżonki.

Iks wciąż był w szoku, ale rękę wyciągnął.

– Zbigniew „Iks” Włóka, przedsiębiorca...

– Pogrzebowy, rozumiem – dopowiedział za niego Samul. – A pan to? – Wyciągnął rękę i wskazał olbrzymą.

– Piotr „Ramel” Koryś, asystent...

– Przedsiębiorcy. Grabarz. Rozumiem. Wspaniale. – Dariusz klepnął lewicą prawy nadgarstek, jakby zacierał ręce. – No dobrze. Jak panowie widzą, z żandarmerii nie jestem, a kawaleria nie czeka na klatce schodowej. Przyjechałem po synka, który trochę źle się prowadzi, rozumiecie, łajdak i moczymorda. Pewnie chcielibyście dokończyć transakcję, ale jako woj polskiej armii i chorąży nie mogę na to pozwolić, więc udajmy, że nic się nie stało. Panowie sobie wyjdą grzecznie stąd może teraz, a ja jeszcze porozmawiam z synowcem. Może tak być?

Włóka zerknął na trzymane przez Kubę pistolety.

Dariusz pokręcił głową.

– A... ależ oczywiście. – Iks uśmiechnął się, szczerząc zęby i odzyskując werwę. – Miło było poznać. My w zasadzie i tak mamy sprawę na mieście, więc... Szacuneczek – zsalutował do czoła – i już, nas, nie ma.

Obaj mężczyźni wycofali się tyłem, namacali drzwi i po chwili głośny trzask zamka przypieczętował ich zniknięcie.

Dariusz przez dłuższą chwilę słuchał cichnących kroków na schodach, a potem szepnął do Sawiego:

– Zamknij drzwi na zasuwę.

Blondyn bez słowa rzucił się, by wykonać polecenie. Szczęknęła zapadka.

Zbrojowiec schował Visa do kabury, przytknął do ust butelkę i opróżnił ją. Włożył pustą flaszkę do kabury, beknął i głęboko westchnął, zapinając rozporek. A potem podniósł ciężki wzrok na progeniturę.

– Kubas. Co. Ty. Odpierdalasz?!

Młody Samul struchlał.

– Tato...

– Po to walczę na froncie i się narażam, żebyś handlował z gangsterami kradzioną bronią? – Dariusz wykonał krok w bok, zerknął do kolejnego pokoju i dostrzegł tam skrzynie z podróbkami kawy i herbaty. – Po to? – Wskazał ręką towar.

– No...

– Kubas, dlaczego ty i twoje ziomy macie gnaty pod pachą? Imponują wam takie obszańce jak te, które tu przysły? Chcecie być tacy jak oni?

Potoczył wzrokiem po twarzach młodzieńców i znał już odpowiedź.

A ta go przeraziła.

W mieszkaniu zapadła grobowa cisza.

– Przed chwilą – chrypnął – twój... partner w interesach celował z potężnej broni do twojego ojca. Tak wygląda teraz twoje zajęcie?

Kuba nie odpowiadał.

– Co to za mieszkanie? – spytał woj.

– No więc... – odezwał się nieśmiało Chatys – opiekujemy się nim...

– Ładne słowo. Dlaczego się nim opiekujecie?

– Pan Ciecierski prosił nas, żebyśmy...

– Chyba znam to nazwisko. Kim według was jest pan Ciecierski?

– To bardzo szanowany biznesmen.

Woj powstrzymał się przed splunięciem.

– Taki jak ci, którzy tu przed chwilą byli?

– Ależ nie! – zachnął się Chatys. – To naprawdę porządny człowiek. Załatwia jakieś interesy...

– Mateo – przerwał mu Samul – kiedy sprawdzałeś sobie IQ? Siedzisz w cudzym mieszkaniu dzianych ludzi i nie zastanawiasz się, dlaczego jest puste?

– Z tego, co wiem, pan Ciecierski po prostu je kupił. Wszystko jest legalne...

– Nie bredź.

Wzrok Dariusza spoczął na Perszingu.

– A ty, Kubas, ciągle wolisz Perszinga od Rłokieta?

Młody Samul po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Lepszy smak.

Dariusz pokiwał głową, a potem westchnął:

– Pakuj się, synek, mama się niepokoi.

Gdybyśmy przesunęli kamerę historii poza mury kamienicy, w której rozgrywała się wyżej

opisana scena, a następnie dotknęli suwaka czasu i cofnęli się do momentu, w którym Zbigniew „Iks” Włóka oraz Piotr „Ramel” Koryś wychodzili z budynku, moglibyśmy zobaczyć w ocienionej bramie po drugiej stronie ulicy dziwną postać, sprawnie chowającą do skórzanej torby laserowy zestaw do podsłuchiwania rozmów przez szyby. Był to drobny mężczyzna o długich, ciemnych włosach, siwiejącej brodzie, starym spojrzeniu i muskularnych ramionach pokrytych japońskimi tatuażami. Ubrany był trochę jak COP, trochę zaś jak pozer-motocyklista: skórzana kamizela, skórzane portki, mnóstwo kieszeni i pasów, obowiązkowa spluwa pod pachą. Tak wyglądał co drugi obywatel Twierdzy, któremu zdawało się, że kraj za chwilę napadną orki – spadochroniarze, którzy nie będą mieli nic innego do roboty, jak tylko nadziać się na zaporowy ogień naszych gnatów. Jednak porucznik Dariusz „Bushi” Ulfing, oficer polskiej policji, nie był pozerem, lecz tajniakiem, który od dłuższego czasu starał się rozpracować ukrywaną zarówno przez wojsko, jak i policję sprawę nielegalnej sprzedaży państwowego sprzętu bojowego. Dlatego właśnie ubierał się tak, jak się ubierał, chociaż, jak twierdzą historycy, tatuaże były prawdziwe. Udało mu się już ustalić kilka punktów sprzedaży w świdnickiej, radomskiej i raciborskiej wytwórni, więcej – niejakiego Dariusza Mosińskiego z tej ostatniej ustawił jako informatora, bo okazało się, że gość ma wyjątkowo miękki kręgosłup. Bushi rozpracował większość paserów i odbiorców, ale ostatnio natrafił na sporą partię towaru i zupełnie nowe kanały przerzutowe. Jednym z nich było mieszkanie na drugim piętrze kamienicy przy Foksal trzynaście, z którego wyszli właśnie znani mu już Iks i Ramel. Szli bez towaru i, wyraźnie podenerwowani, zbliżali się do czarnego jeepa z przyciemnianymi szybami.

– Kto jeździ takim badziewiem, kiedy mamy Warsy? – mruknął do siebie, wykonując kilka zdjęć mężczyzn i samochodu.

Warsy były kanciastymi wozami terenowymi, marzeniem niemal każdego nastolatka. Wyglądały lepiej, jeździły lepiej i nie psuły się, w przeciwieństwie do wszystkiego sprzed Kolapsu.

Mężczyźni, wymieniając gwałtowne, ale cicho wypowiedane zdania, otworzyli tylne drzwi pojazdu i przez chwilę w nim grzebali.

– Swoją drogą ten woj to twardziel – mruknął do siebie Ulfing. – Ciekawe, czy gdyby wiedział, z kim ma do czynienia, też by tak podskakiwał?

Chwilę później Iks i Ramel wyciągnęli z jeepa dwa wielkie karabiny, bez wątpienia Rody, i energicznym krokiem zaczęli zbliżać się do wejścia, z którego wcześniej wychynęli.

– U, brachu – mruknął Bushi – masz kłopoty.

Wyszedł z cienia bramy powoli i ostentacyjnie. Tak, żeby słońce zagrało na ćwiekach jego kamizeli i klamrach pasów, a mężczyźni zauważyli go. Ramel stuknął łokciem Włókę, ten spojrział na Bushiego, a następnie obaj gangsterzy jak na komendę zawrócili, podeszli do jeepa, załadowali broń na tylne siedzenie, wsiedli i odjechali.

– No i pięknie – warknął Ulfing. – Albo właśnie zostałem zdekonspirowany, albo przestraszyli się świadków. – Spojrzął w okno kamienicy. – Wisisz mi, woju, życie. Albo coś koło tego.

Podszedł do zbudowanego na harleyową modłę Wilka, wrzucił torbę do skórzanej sakwy, zapiął ją, odpalił motocykl i ruszył za jeepem.

Kolejnego dnia Samul stawiał się na śniadaniu blejszy i pozbawiony humoru. W jadalni siedziało już kilku członków batalionu, a od półmisków i zakrytych chromowanymi pokrywkami pojemników rozchodził się zapach boczków, serów i wędlin. Pałaszujący jajecznicę Orłowski od

razu dostrzegł stan Zbrojowca.

– Rodzinne przyjemności? – spytał, patrząc na niego uważnie.

– Ta.

– Synek się znalazł?

– Ta.

– Cywilne życie to chaos i zgiełk, co? – rzucił Mardok, który także był jakiś zielony.

– Psia dupa... – stęknął Samul. – Szlajał się, odwoziłem go, a potem Marlenka przez cztery godziny gderała mi, jak to fatalnie, że nie ma mnie w domu, tylko się bawię w wojenkę...

Słuchające tego Podgórska i Malik pokręciły z niedowierzaniem głowami, a potem, spostrzegłszy, że zachowują się tak samo, splonily się i wróciły do konsumpcji. Samul, zorientowawszy się, że właśnie źle się wypowiedział o swojej kochanej Marlence, zreflektował się.

– Potem mnie przeprosiła i było bardzo miło, wiecie, ona musi sobie pogadać, ale szefie – spojrział błagalnie na Orłowskiego – jedźmy już na tę wojnę.

– Najpierw się wykurujemy – rzuciła Wiechucka, wchodząc do jadalni. – Dzień dobry wszystkim.

Za nią wparadował do pomieszczenia dziwnie rozanielony Zgud i powiedział wesoło:

– Dzieńdoberek!

– Papuzki nierozłączki – mruknął Mardok.

– Dzień dobry – odparł Flaszka, który siedział obok Malik.

Podły humor Jarego nie uszedł uwagi Samula.

– Że ja jestem skwaszony, to zrozumiałe – rzucił – ale jemu co? Strzelanie nie wyszło?

Malik odchyliła się na krześle i żując chleb, powiedziała:

– Strzelał jak szatan.

– Bez przesady – zaoponował Flaszka.

– Jak szatan – nie ustępowała Malik.

– Potwierdzam – rzuciła od drugiego stołu Zdzira, która wcinała śniadanie w towarzystwie Deckarda i Wiesia Krawczyka.

– No, jak Frenkiel potwierdza, to tak było – podjęła Malik. – Deckard, potwierdzasz?

– Potwierdzam – odparł wyborowy.

Graboń, podobnie jak Żmij, odzywał się mało, dlatego dość szybko wszystko, co mówił, zaczęło mieć większe znaczenie.

– No widzicie. – Malik uśmiechnęła się. – Ale potem, gdy szanowny pan – wskazała Samula – spotykał się ze swoją małżonką... – zrobiła pauzę, jakby chciała coś jeszcze dodać, ale się powstrzymała – my poszliśmy do Bociana. Były tam Opty, Martynka i Ania i właśnie wtedy...

– Mister Mardok pokłócił się z Anią – wszedł jej w słowo Flaszka. – Byłem, widziałem.

– Wszyscy widzieli, Radek – rzekła Malik.

– Nie wszyscy, bo Samul nie widział.

– No nie widziałem – potwierdził Zbrojowiec. – Co się stało?

Gdyby Samul umiał przenikać wzrokiem ściany tudzież ludzkie powłoki, dostrzegłby, że Wiesiu „Młotek” Krawczyk zaczyna się rumienić. Widzieli to Deckard i Zdzira, ale dyskretnie milczeli.

– Odkryłem – warknął Mardok – że jej pseudo to „Krwawa Sarenka”. Nie „Sarenka”.

Towarzystwo wybuchnęło śmiechem.

– Poważnie, kurwa – mruknął Jary. – Całe to romansowanie to jakaś przereklamowana

sprawa.

– Ale co się stało? – spytał Zbrojowiec.

Niektórzy historycy twierdzą, że nic się nie stało, a inni przeciwnie, że jednak coś zaszło, bo morale to piekielnie ważna rzecz w oddziale, a tego dnia zostało ono w jakiś sposób podkopane. Woje przykuśtykali do Bociana zmęczeni, ale wielce zadowoleni, bo istotnie ćwiczenia ze strzelania w ciasnych pomieszczeniach wyszły całkiem dobrze. Co prawda Wiesiu Krawczyk się dąsał, bo dostał od instruktora uwagę, że nie klepnął Jastrzębia, informując, że zmienił pozycję, Grubens marudził, że musi schudnąć, bo te wszystkie biegi, kucanie i wachlowanie magazynkami to dla niego za duży wysiłek, Skrzacik kłóciła się z Machajem, że to ona powinna być na szpicy, a Miktus przyglądała się swojej parze, co chwila wybuchając tubalnym śmiechem, ale ogólnie atmosfera w Bocianie była miła, zwłaszcza że wujom towarzyszyły Martyna, Opty i Sarenka.

No właśnie. Ania Błaźniak, wyraźnie zainteresowana żalem Krawczyka zwanego Młotkiem, poprosiła Mardoka, Zdzirę, Zguda i Wiechucką, z którymi siedziała, by połączyć stoły z obsadą Rujewita. Jary zdziwił się, ale przystał na to, bo jako zastępca Orłowskiego dbał o dobrą atmosferę w zespole, a że sam tego dnia sprawił się doskonale, miał ochotę na dobry uczynek. Na stołach stał już Szpon z Polo-Colą, lubuski gin Mirmił z tonikiem Jura, pachniały sernik i szarlotka. Wzniesli toast za udane ćwiczenia i pograżyli się w rozmowach, próbując zacieśnić znajomość z nowymi nabytkami batalionu. Wzięli więc w obroty Diabła, Mojżesza i Jacentego, Podgóorską, Krawczyka, Grubensa, Skarpetę i całą resztę kompanii, z pijakami Dragonem i Tygrysem włącznie. Wiesiu Krawczyk jakoś nie chciał opowiadać o sobie niczego poza tym, że jest w otwartym związku z niejaką Elżbietą, na które to słowa Sarenka jakby posmutniała. Plutonowego wciąż gryzła pomyłka podczas ćwiczeń, a trzeba wiedzieć, że Młotek był perfekcjonistą i o ile wszyscy darowali mu już błąd, o tyle on sam nie umiał go sobie wybaczyć.

– W mordę – szepnął do Jastrzębia – dlaczego cię nie klepnąłem?

– To proste – odpowiedział operator motocyklowego działka Siwa – jeszcze ze sobą nie ćwiczyliśmy. Mamy inne nawyki. No i nie jesteśmy piechociarzami.

– Nie jesteście – potwierdziła Zdzira. – Nie są, co? – Spojrzała na Deckarda.

Gabriel Graboń, zdziwiony, że ktoś go o coś pyta, otworzył szerzej sobie oczy i odpowiedział spokojnym, rzeczowym tonem:

– Ja też kiedyś nie klepnąłem.

– Ty? – Frenkiel spojrzała zdziwiona.

– Rozkojarzenie.

– Ty byłeś rozkojarzony?!

– Byłem zakochany.

– Co? – Sarenka parsknęła tak mocno, że zapłuła stół Polo-Colą zmieszaną z whisky.

– Zdziwiona? – rzucił Jastrząb, a i Młotek przyjrzał się blondynce.

– Przepraszam – Anna wytarła usta wierzchem dłoni – ale chyba każdy widzi, że pan porucznik do przystojniaków nie należy, przeciwnie, to raczej...

– Aniu. – Mardok trącił ją w bok.

– No co „Aniu”? Czy wy wszyscy tu jesteście jakieś drażliwe panienki?! – Sarenka wyraźnie się ożywiła. – Każdy widzi, że chłop z grubsza przypomina żuka gnojara skrzyżowanego z mopsem, wysoki jest i tyle jego urody. Już chorąży Samul jest przystojniejszy, a to paskud

jakich mało...

– Aniu – znowu odezwał się Jary.

– Nie trącaj mnie, Mardok! – Sarenka się zdenerwowała, a Martyna i Opty zaczęły szeptać i chichotać. – Nie będziesz mi nakazywać, co mam mówić, a czego nie! Jestem szczerą i za to ludzie mnie szanują! Dziwię się, że pan porucznik...

– Był zakochany? – dokończył za nią Deckard. – Nie mówiłem, że to była miłość odwzajemniona.

Ania zachnęła się.

– Aaa. No to co innego.

– Chcesz powiedzieć, Aniu – odezwał się Mardok, wyraźnie już zły – że porucznik Graboń nie zasługuje na miłość?

– Ja pierdołę! – sapnęła Sarenka. – Niczego takiego nie mówiłam. Po prostu prawdopodobieństwo, że jakaś się nim zainteresuje, jest, no, powiedzmy... – Wykonała ręką ruch jednoznacznie wskazujący, co miała na myśli.

– Perunie, z kim ja się związałem? – rzucił w powietrze Mardok.

– Ej, jeszcze nie związałem – odparła Anna, na którą tego wieczoru alkohol podziałał wyjątkowo szybko. – Dopiero się poznajemy.

– Z Krwawą Sarenką – odparła ze śmiechem Opty.

– Jak to? – spytał Jary.

– Nie powiedziała ci? – Martyna wychyliła się do przodu, prezentując atomowy biust. – Zapomniałyśmy wspomnieć, nasza вина. To nie jest Sarenka, Dziki. To Krwawa Sarenka.

Jary głośno wciągnął powietrze.

– Zawsze miała taką ksywkę?

– Zawsze. – Opty wyszczerzyła zęby. – Kiedyśmy się pierwszy raz z wami spotkały, użyła skrótu myślowego. Dla nas jest tak oczywiste, że jest „krwawa”, że często o tym zapominamy.

– No to pięknie...

– Co „no to pięknie”? – spytała Anna. – Co „no to pięknie”? Masz jaja, żeby mi powiedzieć prosto w oczy, co myślisz, czy będziesz się z tym nosił, aż ci zgnije w środku? Perunie, jak ja nienawidzę ludzi, którzy nie mówią, co czują, tylko tak z tym chodzą, milczą, a potem pewnego dnia dowiadujesz się, że jesteś zdziwą, tylko zapomniał ci o tym powie...

– Jesteś zdziwą – przerwał jej Mardok, patrząc zawzięcie w blat.

Anię zatkało.

– Przepraszam, ale ta ksywka jest zajęta – stwierdziła Frenkiel, starając się rozładować napięcie, ale już było za późno.

Jary od razu pożałował swoich słów. Wpadł w berserk werbalny, czyli szybciej zadziałał, niż pomyślał, a adiutantowi dowódcy to nie powinno było się zdarzyć. Zwłaszcza w stosunku do kobiety. Zasepił się i dotknął delikatnie ramienia dziewczyny.

– Aniu...

– Wystarczy, sierżancie – odparła. – Jestem zdziwą i dziękuję, że mieliście odwagę od razu powiedzieć.

– Rany Swaroga – jęknął mężczyzna.

– Tylko mi tu nie jęcz – ucięła Krwawa Sarenka. – Całe szczęście, że chociaż jeden z was rozumie, o czym mówię.

W tym momencie oczy wszystkich powędrowały za wzrokiem Anny i napotkały zaczerwienione oblicze Wiesia „Młotka” Krawczyka. Przystojniak cofnął się na krześle

i chwycił szklaneczkę ze Szponem.

– No co? – rzuciła Anna. – Kiwałeś głową, gdy mówiłam, nie?

Krawczyk przełknął ślinę.

– Tak – odezwał się wreszcie. – Lubię szczerość. I nie przepadam za niedomówieniami, takim pieprzeniem, żeby było miło. Rozumiem, że pani Ania mogła się zdziwić, że porucznik Graboń miał romans. Powiedziała po prostu to, o czym każdy myśli, ale nikt nie mówi...

– Nie – ucięła Zdzira. – Nie każdy tak myśli.

Zerknęła hardo na Deckarda, dając mu wyraźny znak, że ona z całą pewnością tak nie myśli.

– Enylej... – odezwał się Krawczyk, po czym wlał w siebie trunek.

– Enylej to moja działka – oznajmił Fraydey. – I ogłaszam rozejm, gaddemit!

– O, to, to! – Wolf wznosił szklaneczkę, a Podgrudny, najwyraźniej spragniony, stuknął w nią swoją.

– Batalion „Orzeł Biały” – ciągnął Piatkovsky – szczeni się tym, że jest najbrzydszym oddziałem w armii, czyż nie?!

– Tajest! – wrzasnął Flaszka.

– Najbrzydszy z nas jest major Orłowski, nieprawdaż?!

– Tajest! – Roześmiało się więcej osób, a Sergiusz uniósł szklankę w geście pozdrowienia.

– Chciałbym być brzydszy od niego, ale nie potrafię. – Fraydey uśmiechnął się. – Szczęście, że dołączył do nas porucznik Deckard, bo, cholera, z przystojniakami Krawczykiem i Góralem mielibyśmy problem, czyż nie?!

– Mielibyśmy! – wrzasnęła Miktus. – Jeszcze ja dołączyłam! To ja jestem najbrzydsza w oddziale!

– Jesteś – przyznał z wyuzdanym uśmiechem Piatkovsky.

– Daj pyska, Thomas!

– Nie, to ja jestem najbrzydszy! – wrzasnął satyr Machaj.

– Mój ty brzydalu. – Ola pocałowała go w policzek.

Zrobił się rejwach i posypały się wątpliwej jakości komplementy i deklaracje brzydoty.

Atmosfera się oczyściła.

Nikt jednak nie miał wątpliwości, że to, co pękło między sierżantem Jarym a Anną Błaźniak zwaną Krwawą Sarenką, już się nie zblizni...

Wysłuchawszy opowieści, Samul mrugnął, pogrzebał ręką przy nodze, tam gdzie zawsze dyndały Rłokiety, a nie znalazłszy ich, mrugnął jeszcze raz i zapytał:

– I to są te wasze problemy?

– Dzień dobry. – W progu sali pojawił się Żmij, powiódł po obecnych dziwnym spojrzeniem, jakby oceniał, z kim przyjdzie mu toczyć najbardziej zajadły pojedynek, po czym wybrał pusty stolik, położył na nim swój wojskowy tablet i powędrował do szwedzkiego stołu.

– Ja nie wiem – szepnęła Kawa do Tyldy, patrząc z lękiem na woja – czy się do niego przyzwyczają.

– Ciii...

– To są wasze problemy? – powtórzył Dariusz. – Mój synek, którego kocham nad życie, jest zamieszany w handel Visami. Tak wam, do diabła, powiem.

– Visami? – spytał Lenny, który właśnie wchodził do stołówki.

– Vi-kurwa-sami.

Z Orłowskiego jakby zeszło powietrze. Zerknął porozumiewawczo na Malik, ta zaś także jakby się rozluźniła.

– Zgłosiłeś to? – spytał Samula.

– Nie będę kablował na syna.

Major pokiwał powoli głową.

– Ze Świdnika?

– Ta.

W tym momencie do sali wszedł Siekierzyński. Orłowski skinął na niego ręką i wskazał wolne miejsce.

– Chodź, Witek. Mamy do pogadania.

– O czym?

Orłowski dał znać Samulowi, żeby przy nich usiadł, i zaczęli cicho rozmawiać. W tym czasie Lenny, który miał w zwyczaju najpierw pić kawę, a potem dopiero jeść, rozsiadł się z kubkiem zbożówki przy stoliku Krychy i Tyldy, uruchomił tablet i zaczął przeglądać poranną prasę. Ledwo wybrał pierwszą gazetę, zawył z radości.

– Ja pierrrdziu! Piszą o nas!

– Niemożliwe! – Tylda i Kawa natychmiast nachyliły się nad ekranem. – Pokaż! O czym? Ale śmiesznie wyszłaś!

– W której gazecie?! – zaczęli dopytywać inni.

– We wszystkich – odparł milczący do tej pory Żmij, który także przeglądał prasę.

– Ja nie mogę... Jesteśmy sławni! – stwierdziła Malik.

– Kto jest sławny? – spytała wchodząca do sali Heintze.

– My! – odparła z dumą Kawa, wyrrywając Lenny'emu tablet i pokazując artykuł *Orzeł Biały*.

Twierdza może spać spokojnie.

– O rany! Ładnie wyszłam?! – Heintze podbiegła do stolika. – Szit, tak sobie.

– „Przedwczoraj odbyła się konferencja prasowa z udziałem doborowego oddziału »Orzeł Biały«, króla oraz jego orszaku...” – zaczął czytać Lenny.

– Dlaczego ten news jest taki spóźniony? – zapytała Klaudia.

– Pewnie maczał w tym palce Radosław Kot – odpowiedział Żmij. – I sprawdził artykuły. Ale jednego nie sprawdził – oznajmił i pokazał pierwszą stronę satyrycznego pisma „Uśmiech Twierdzy”.

Nagłówek brzmiał *Piękna i bestia?*, a na zdjęciu byli Wiechucka, która wyszła ślicznie, oraz Ktara, który wyszedł okropnie.

– No nie – jęknął szeregowy, a sanitariuszka, nie bacząc na jego rozpacz, wyrwała Żmijowi tablet i z rozkoszą wpatrywała się w zdjęcie.

– Patrz, Dawidku, piszą o nas! – rozradowała się.

– No piszą, ale dlaczego zawsze wiatr w oczy?

– Nie cieszysz się, że tak ślicznie wyszłam?

– Cieszę się, cieszę...

– Głuptasie, wcale tak brzydtko nie wyglądasz.

– Wygląda – rzekł Żmij.

Kilka następnych dni upłynęło w podobnym rytmie: lizanie ran, które na szczęście miały się coraz lepiej, ćwiczenia w pojazdach, ćwiczenia w otwartym polu, w pomieszczeniach, strzelanie

z wozów do celów lądowych, do celów powietrznych, ratowanie piechociarza, ratowanie pancerniaka, reanimacje, przeprawy przez przeszkody lądowe i wodne, naprawianie pod ostrzałem zerwanych gąsienic, wymiana i łatanie kół, naprawy większego kalibru z użyciem dźwigu Mecha, zwiad i obserwacja, i tak dalej, i tak dalej. Zespół poznawał nowe procedury i z godziny na godzinę coraz lepiej się zgrywał.

Wciąż zachodzili do Bociana, ale stosunki między Mardokiem a Sarenką wyraźnie się ochłodziły, za to coraz częściej dziewczyna rozmawiała z Krawczykiem.

Pewnego dnia Opty oznajmiła, że wstąpiła do armii, i przyszła w mundurze, Martyna zaś przybyła nie w sukience, ale w pancerzu bojowym firmy Górny i Staniszewski, Militaria i Samoobrona, w skrócie GSMS.

– Ja pierdziu, co za zmiana! – Flaszka uśmiechnął się, widząc dwie walkirie idące obok ubranej w mini Sarenki.

– No pięknie – rzucił Fraydey.

– Dziewczyny wzięły sprawy we własne ręce – stwierdziła Miktus. – Brawo.

Tylko Heintze patrzyła sceptycznie na ubiór Martyny.

– Widzę, Klaudia, że nie do końca to pochwalasz – odezwała się Plisenko, gdy już usiadły.

– Pochwalam zaangażowanie – odparła pancerniczka. – Ale, uwierz mi, ono samo nie wystarczy. My ćwiczymy codziennie i wciąż mi się wydaje, że mamy sporo do zrobienia.

Orłowski i Siekierzyński w milczeniu pokiwali głowami.

– Nie odbieraj mi entuzjazmu – poprosiła Martyna.

– Nie chcę ci niczego odbierać – zapewniła Ripley, kładąc rękę na jej pancernym kolanie. – Po prostu obiecaj mi dwie rzeczy.

– No?

– Kupuj tylko sprawdzony sprzęt i zainwestuj w dobre szkolenia.

Martyna wyszczerzyła zęby.

– Tak jest, pani porucznik!

Następnego ranka szykującego się do wyjścia na śniadanie Orłowskiego zaskoczyła trójka żandarmów, z których jeden przyniósł plik listów z pieczęcią Królewskich Sił Zbrojnych, a dwóch pozostałych trzy podłużne paczki i jedną niewielką, rozmiarów ludzkiej dłoni. Major spojrzał na nich zdziwiony, ale oni zasalutowali, pożegnali się i wyszli. Orzeł ocenił paczki i domyślając się, co zawierają, z uśmiechem rozerwał pierwszą kopertę i przeczytał list.

– Awanse – szepnął.

Trudno powiedzieć, kto ze zgromadzonych na pałacowym tarasie wojów był bardziej zadowolony: ci, którzy z sierżantów stali się chorążymi, a byli to Wiechucka, Jary, Birkowski, Frenkiel, Gadziński i Raczkiewicz, czy plutonowi, którzy pożegnali się ze stopniem kaprała, a mianowicie Kamil „Tygrzyk” Muzyka i Lenny „Choina” Hadder. Wiadomo z całą pewnością, że z radości skakali podporucznicy Samul oraz Fraydey, którzy niniejszym stali się oficerami, pokwikiwali ze szczęścia sierżanci Mariusz „Jastrząb” Wojteczek i Zuza „Zadra” Poniatowska, a kapitanowie Kamil „Wolf” Tyszkiewicz, Klaudia „Ripley” Heintze i Małgorzata „Kicia” Gwara nie mogli uwierzyć w łaskawość dowództwa, patrząc na wspaniałe szable, które purpurą, złotem i srebrem okrywały tytanowy kościec. I tylko kapral Dawid „Ktara” Zgud patrzył na swoją nominację z niejaką melancholią, wiedział bowiem, że od stopnia sierżanta, który posiadał Mariusz „Farin” Kubala, dzielił go jeszcze dwa szczeble.

– Nie martw się, szere... kapralu – Wiechucka poprawiła się, głaszcząc go po głowie. – Wojskowa szarża to nie wszystko.

– Tobie łatwo mówić, chorąża – odparł Ktara. – Jesteś prawie oficerem.

Sanitariuszka uśmiechnęła się.

– Możesz być spokojny. Batalion nie może się składać z samych oficerów. To by po prostu nie wyszło. I tak się kapitanów i poruczników narobiło jak mrówek.

– Ale ja bym chciał mieć szabelkę... – Ktara wskazał palcem oręż, który oglądał obok niego Wolf.

– Biedaku – roześmiała się medyczka. – Kupię ci szabelkę, nie płacz.

– Naprawdę?

– W Twierdzy jest mnóstwo dobrej broni.

– Ale to nie będzie to samo. Kamil – Zgud odezwał się do Tyszkiewicza – dasz dotknąć?

Strzelec pokładowy Peruna spojrział na niego z rozbawieniem, ale nie podał mu od razu szabli. Jeszcze chwilę pieścił wzrokiem złotą gardę, skórzaną rękojeść i klingę z przymocowanym do gardy godłem Twierdzy. Wsunął ostrze do purpurowej pochwy okutej złotem i ostrożnie podał kapralowi.

– Czyste ręce? – upewnił się.

– Czyste, czyste – zapewnił Ktara i drżącymi dłońmi ujął broń. – Faaajna, ciężka. – Chwycił rękojeść i wysunął ostrze z pochwy na tyle, by zobaczyć Stalowego Orła. – Piękne, kurczę – szepnął. – Ostra jest? Sprawdzałeś?

Wolf znowu się uśmiechnął.

– Ostra. Szabla jest paradna, ale w Twierdzy szkoda zasobów na zabawki.

– Dobrze wyważona – stwierdziła Ripley, kręcąc młyńca kilka kroków dalej.

– Ty, kapitan, uważaj – roześmiała się Kicia, połyskując piórem w porannym słońcu.

– Kochana, fechtunek ćwiczę od lat. Półtorakiem, toporem i szablą. Szablą najwięcej – odparła Klaudia, wykonując kilka cięć, od których zaświszczało powietrze.

– Cholera, a ja myślałam, że się popiszę. – Gwara przybrała pozycję szermierczą. – Spróbujemy?

Heintze rozluźniła się.

– Szkoda je szczerbić.

– Racja.

– Psiakrew, wynika z tego, że tylko ja jestem żółtodziobem. – Wolf posmutniał.

– Nie umiesz robić szablą? – zdziwiła się Klaudia.

– Mam jedynie podstawowe przeszkolenie.

– Trzeba będzie to nadrobić – zawyrokował Orłowski.

Malik zobaczyła na twarzy dowódcy rozluźnienie, a nawet iskry radości. „Wreszcie stary przypomina Orła, a nie smętnego kondora” – stwierdziła w duchu, lecz jej zadowolenie po chwili zmalowało. Podgórska przyglądała się majorowi z tym samym zainteresowaniem.

Wydawałoby się, że dość już przygód miał batalion „Orzeł Biały” przed wyruszeniem na misję, lecz dwa dni później, w Legionowie, po tym jak członkowie oddziału odbyli wyczerpujące ćwiczenia z walki wręcz i z bronią białą, do namiotu dowódcy weszli dziwnie uśmiechnięci chorąży Wiechucka i kapral Zgud, a za nimi, ku zdumieniu majora, wtargnęli Witelon Jabłoński w swojej brunatnej opończy i w towarzystwie młodego akolity, Arkady Saulski przyodziany

w czarną suknię i Kasia „Joe” Rakowska, królewski błazen.

- Dzień dobry, szefie – zaczęła sanitariuszka.
- Witaj, cny rycerzu – odezwał się Witelon.
- Gość w dom, Bóg w dom – przywitał się Saulski.
- Śmierdzi tu – odezwała się Rakowska.

Zgud też chciał się przywitać, ale po odzywce błazna stwierdził, że straciło to sens.

– Dzień dobry – odparł Orłowski, podnosząc się zza stołu. – A cóż to za wizyta? Orły wymagają duchowego i błazeńskiego wsparcia przed misją?

– Niezupelnie – odpowiedział Radosław Kot, który dopiero w tym momencie wszedł do namiotu. – Niezupelnie. To raczej Twierdza potrzebuje duchowej pociechy.

– Nie wiem, czy rozumiem... – rzekł dowódca batalionu.

– Taaak... – Kot zatarł ręce i się rozejrzał. – Czy jest tu obszerniejsze miejsce do pogadania?

Przy stolikach polowej stołówki kręciło się zbyt wielu ludzi, w tym członkowie batalionu, a Kot naciskał, żeby pomówić bez świadków, zatem przeszli do wielkiego hangaru, w którym stały Tur i Marzanna, dogłądane przez mechaników, ale na szczęście nie przez Grubensa czy Skarpetę. Joe, zobaczywszy sporo wolnego miejsca, natychmiast zaczęła wywijać gwiazdy, ignorując prośby Witelona i Saulskiego, żeby pomogła w ustawieniu stołów i składanych krzeseł, na których mogliby usiąść. Ktoś znalazł kawał szmaty, którą przetarto meble, i po chwili wszyscy siedzieli w promieniach zachodzącego słońca wciskającego gruby snop światła w wierzeje hangaru.

– O co zatem chodzi? – spytał Orłowski.

– Chodzi o... – zaczął Kot, ale Wiechucka weszła mu w słowo:

– Chodzi o ślub, dowódco.

Zgud się spłonił i Sergiusz wiedział już, kto z kim ma zamiar się pobrać.

– Runa, żartujesz, prawda?

Dziewczyna wzięła wdech, dzięki czemu jej mundur mocno się wypełnił w górnych partiach.

– Nie, nie żartuję, szefie.

Major przełknął ślinę.

– Nie jestem twoim ojcem, żebym miał jakikolwiek wpływ na twoją decyzję, ale, na rany Swaroga, przecież wy się dopiero poznaliście. Ile jesteś w batalionie, Dawid? Dwa miesiące?

– No coś koło tego...

– Chorąża – dowódca zwrócił się do sanitariuszki – powinnaś wiedzieć, że przy adrenalinowych przeżyciach ludzie zakochują się piekielnie szybko...

– Wiem też, że więzi między wojami są najsilniejsze – przerwała mu nieregularnie podwładna.

Orłowski głośno westchnął.

– Niech mi pan pozwoli wyjaśnić, majorze – odezwał się Kot, jak zwykle bardzo łagodnym i ciepłym głosem. – Hm... można tu palić?

Dowódca Orłów machnął ręką, dając znać, że wszystko mu jedno. Radosław wyciągnął fajkę, sprawnie nabił ją tytoniem, zapalił, wciągnął łyk siniego dymu i się uśmiechnął. W tym czasie Witelon i Saulski, którzy nie wiedzieć czemu stali się kumplami, zerkali na siebie znacząco i lekko postukiwali w metalowy blat stołu.

– No, teraz mogę myśleć – odezwał się Kot. – Zatem tak, panie majorze. Nie wiem, czy pan zauważył, że podczas ostatniej konferencji dziennikarze żywo się zainteresowali chorążą Wiechucką i kapralem Zgudem.

- Zauważyłem. Nawet w gazetach z nich się śmiali.
- Nie tylko śmiali. Chorąża Wiechucka i kapral Zgud stali się symbolem.
- Czego?
- Walki, ale innego rodzaju, panie majorze. Ta para pokazuje ducha narodu. Pokazuje, że Twierdza nie tylko się broni, ale jej woje kochają się i tworzą nowe życie, na przekór wszystkiemu...
- Runa! – Orłowski spojrział na brzuch dziewczyny, ale ten wydawał się płaski.
- Ależ szefie! – Sanitariuszka spłonila się.
- No. – Dowódca pogroził jej palcem.
- Nie o to chodzi, panie majorze – ciągnął Kot. – Chodzi o to, że duch w żołnierzach jest tak silny, że znajdują w tej wojnie miejsce na miłość, na dzielność istnienia, na uśmiech, na planowanie nowego życia. To bardzo budujące. Wciąż pojawiają się artykuły, komentarze i pytania: „Kiedy ślub?”.
- Nie chce pan chyba powiedzieć, że opinia publiczna ma decydować o tym, kto z kim się pobierze?
- Nie, drogi panie majorze – włączył się do dyskusji Witelon. – Broń nas, Perunie i Świętowidzie, przed takim kalaniem afektu. Ważny tu jest kontekst...
- Czyli to – przerwał mu Saulski – że dopiero co umarła królowa.
- Poległa – poprawił go Witelon.
- Przepraszam. Chociaż stało się to, ośmielę się powiedzieć, w epickim stylu i powoli powstaje kult świętej...
- Nie maczał pan w tym palców, panie Saulski? – spytał Orłowski.
- Arkady lekko się zaczerwienił.
- Ot, paluszek. Koniuszek paluszka. – Wikary pokazał opuszkę małego palca.
- Wiedziałem... – Major skrzywił się.
- Faktem jest – rzekł Saulski – że zginęła i jej stratę bardzo boleśnie odczuł cały naród.
- Kot wydmuchnął dym i postanowił przejąć inicjatywę.
- Engelsi w stolicy, i to nie byle jakie egzemplarze, pałac w ruinie, śmierć królowej, te fakty aż krzyczą, że Twierdza się chwieje, majorze. Miłość dwojga wojów z doborowego oddziału, który dopiero co przeprowadził brawurową akcję na terenie wroga, ich ślub, zwłaszcza że panna młoda jest piękna jak z obrazka, a pan kapral... cóż, prezentuje inny typ urody, powiedzmy...
- Koszarowy – wyręczył go Witelon.
- No właśnie. – Kot uśmiechnął się, a Ktara wygiął usta, starając się zamaskować zażenowanie. – To jest dokładnie to, czego szukaliśmy. Medialny akt. Ślub tuż przed nową akcją. Niezłomna para, wbrew otaczającej nas rzeczywistości, mimo że przecież któreś z nich, albo oboje, może zginąć...
- Czego oczywiście nie życzymy – wtrącił Saulski.
- Postanawia – ciągnął Kot – związać się przysięgą przed ołtarzem. To jest piękne, panie majorze, i tego właśnie Polacy teraz potrzebują. Symbolu niezłomności.
- Medialnej szopki. – Orłowski zgrzytnął zębami.
- Dobrze mówisz – krzyknęła, fikając dookoła, Joe – chociaż z gęby jedzie ci fasolą. Co ci kucharze tu gotują?!
- Szefie – odezwała się Runa, wyciągając rękę, jakby chciała ująć jego ramię – to nie do końca tak. My sami już o tym myśleliśmy...
- Po dwóch miesiącach znajomości?

– Życie jest krótkie, szefie. Nie wiadomo, co nas czeka na Litwie. Poza tym...

– Z pomocą przychodzi rodzimowierstwo – wtrącił Witelon – czy raczej jego nowoczesna odmiana. Śluby czasowe...

– Że jak? – Orłowski uniósł brwi.

– Kontrakt na rok, na pięć lat. To zdrowe i sensowne. – Jabłoński uśmiechnął się. Major spojrzał na Zguda i Wiechucką.

– Chcecie wziąć ślub czasowy?!

– Tak. Na rok. I zobaczymy, co dalej. – Sanitariuszka uśmiechnęła się.

– Ja bym chciał na dłużej... – mruknął Ktara.

– Cicho, kapralu – zgasiła go dziewczyna.

Orłowski pokręcił głową.

– Z tego, co wiem, przygotowanie takiej... – chciał powiedzieć „szopki”, ale się powstrzymał

– imprezy zajmuje miesiące. Goście, potrawy, termin, sala, a my za kilka dni wyruszamy na misję.

– Królewski glejt potrafi bardzo wiele rzeczy uprościć – Kot uśmiechnął się – a ja konspiruję z obecnymi tu panią chorążą i kapralem od czasu konferencji. W Chotomowie, dosłownie dwa kroki stąd, jest wybudowany cztery lata temu przepiękny chram, usytuowany na sztucznym wzgórzu i otoczony jeziorem.

Kot położył na stole kilka fotografii przedstawiających barwną drewnianą budowlę z bocznymi kolumnami ozdobionymi błękitem, czerwienią i złotem, zaopatrzoną w wieżę i coś w rodzaju bramy Torii przed głównym wejściem. Do chramu prowadziły strojne strome schody.

– Cudny, prawda? – rzekł.

Orłowski musiał przyznać, że istotnie chram wygląda bajkowo.

– Przed tymi schodami jest mostek przechodzący nad przewężeniem jeziora. Dookoła rośnie gaj, blisko wybudowano hotel na pięćset osób. Wymarzone miejsce...

Wiechucka, patrząc na zdjęcia, zarumieniła się z podniecenia.

– Wszystko zorganizujemy – ciągnął Kot. – Mało tego, opłacimy.

– Sam udzielię ślubu. – Witelon wypiął pierś.

– Ustaliliśmy już wszystko – odezwała się Runa. – Kwiaty, potrawy, nawet zaproszenia już zostały wysłane.

Orłowski skrzywił się.

– Tylko ja nic o tym nie wiedziałem...

– Nikt z batalionu – zapewniła dziewczyna. – Nikt. Nie chcieliśmy wiązać ludzi tajemnicą, bo zmusilibyśmy ich do okłamywania pana majora, a tego chcieliśmy uniknąć.

Dowódca westchnął.

– Spieszmy się. Pod Sejnamy sytuacja się zaostrza. Gojira zaczął się przemieszczać, a wy mi tu...

– Jeden dzień to ślub z weselem – rzucił Saulski – drugi na doświadczenie do siebie. Posprzątam, ogarniemy. Oczywiście będą kamery i fotografowie, pierwszego dnia.

– A potem wywiady, telefony, prasa, znam to – odparł Orłowski.

– Zajmiemy się tym – zapewnił Kot.

Sergiusz głęboko westchnął.

– Znam swoich ludzi, panie Wikary. Ledwo się dowiedzą, ogłoszą wieczór kawalerski i paniński, cała czereda zacznie gadać tylko o tej imprezie i szlag trafi przygotowania!

– Obserwatorzy twierdzą – odezwał się Kot – że jesteście doskonale przygotowani.

Orłowski prychnął.

- Obserwatorzy tu zostaną, a my pójdziemy w bój. Ja wiem lepiej...
- O czym mówicie? – Do hangaru weszła Ripley. – Co to za konspiracja?
- Runa i Ktara się pobierają – odparł ponuro Orłowski.

Heintze wytrzeszczyła oczy, popatrzyła na Wiechucką, przysiadła na nogach, przytknęła dłonie do twarzy i pisnęła jak nastolatka.

- Jaaa!!! – wrzasnęła po chwili. – To cudownie! Masz suknię? Kiedy wieczór paniński?!
- No i, kurwa, mówiłem – stęknął dowódca, ale nikt już go nie słuchał.

Oba wieczory odbyły się następnego dnia, ale po obowiązkowych ćwiczeniach, które znowu, ku rozpaczy Orłowskiego, zostały ocenione na „celujący”.

Paniński zorganizowano w klubie „Rzeczpospolita babska”, gdzie, jak wieść gminna niosła, występowali striptizerzy ubrani nie tylko w oryginalne mundury amerykańskich policjantów i stroje robotników, ale także w polskie szpeje i pancerze COP-u, co dziewczyny naocznie sprawdziły, uznając jednocześnie, że zdejmowanie płyt z ramion jest mniej ekscytujące od usuwania osłony krocza, a w ogóle im mniej okryw, tym lepiej, i że bezwzględnie blondyn w piechociarskim mundurze był ładniejszy od amerykańskiego policjanta, amen. Kot dotrzymał słowa i rzeczywiście wszystko zostało opłacone, z wyłączeniem zagranicznych trunków, ale z uwzględnieniem występów panów na rurze i tańca na kolanach panny młodej.

Historycy twierdzą, że impreza stanowiła arcyważne wydarzenie, bo obecne tam wojowniczkci dokonały różnych odkryć.

– No to panna młoda gadaj, ile wytrzymasz z tym Ktarką – zaczęła Miktus, pociągnawszy Żywca.

- Rok – odparła Runa, szczerząc zęby. – Jak w kontrakcie.
- Moim zdaniem dłużej – rzuciła Heintze.
- Moim też – wsparła ją Malik. – A ty co sądzisz, Aniu?

Podgórska mrugnęła, odstawiwszy pszenne piwo.

– Za mało ich znam.

– No ale tak na wycucie? – nie ustępowała operatorka działek Dażboga, której wyuzdaną przyjemność sprawiało ciągnięcie rywalki za język.

– Długo.

– Dlaczego?

Podgórska znowu wciągnęła łyk piwa.

– Pasują do siebie. On wejdzie pod pantofel, ale będzie miał dziwactwa, na które ona się zgodzi, bo jest dobrą dziewczyną.

– Ładna analiza! – krzyknęła Ola Mikołajczyk. – A jak pani myśli, długo dam radę z Pawełkiem?

Podgórska rozejrzała się z roztargnieniem.

– Czego szukasz, Aniu? – spytała Ripley.

– Jest tu coś do jedzenia?

– Zaraz przyniosą orzeszki.

– Tylko to? Nie ma jakiegoś ciasta?

Ripley roześmiała się.

– Zamówimy ci ciasto.

– Tylko dużo.

– Aniu – Ola szarpnęła jej rękaw – no powiedz, jak długo dam radę z moim Pawełkiem. Podgórska spojrzała na Skrzacika nieco przytomniej.

– Z Machajem? Długo.

– Dlaczego?

– Namiętność.

– No! – potwierdziła Miktus. – Czasami, jak wchodzę do kabiny Mora, to patrzę na siedzenia, czy tam czegoś...

– Pani kapitan! – Skrzacik zarumieniła się.

– Co wy tam o życiu wiecie – westchnęła Dana Banecka i pociągnęła sążnisty łyk piwa. – Nic nie wiecie. Ja żyję najdłużej z was i powiem wam, że związek cały czas się zmienia, ale jedyna rzecz, jaka go cementuje, to nie zainteresowania czy namiętność, ale...

– Pieniądze – rzuciła Kawa Bochenek.

– Ta, pieniądze. Rozmowa! – Dana zakrzywiła palce jak szpony. – Rozmowa. – Łyknęła piwa.

– I zainteresowania. – Łyknęła drugi raz. – I seks.

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

– Dana – zwróciła się do niej najmłodsza w oddziale Tylda. – Tak w zasadzie, to jak długo można uprawiać seks?

Ciocia spojrzała na nią zdumiona.

– Perunie, czy ja na taką starą wyglądam?

– Nie, no skąd...

– No to ci powiem, dziecko, że nie mam pojęcia, ale długa droga przede mną!

– Zdrrowie! – wrzasnęła Miktus i szkło uderzyło o szkło.

– Kawa, jesteś ładna, dobrze zbudowana. Masz jakiegoś chłopca? – spytała Kicia sierżant Bochenek.

– Szukam. A ty? Jak z Tygrykiem?

– Jak to w czołgu. Czasem duszno.

– Ja myślę, że my z chłopami mamy tak, jak oni z nami. Tyle że my sobie budujemy na nich świat, więc jak odchodzą, to świat się wali. A oni mają z nas... nie wiem...

– Podpórki? – zaproponowała Zuza.

– Kule – roześmiała się Zdzira. – Wiesz, raz jesteśmy kulą dla kulawego i pomagamy mu iść, raz kulą u nogi i przeszkadzamy. I to wciąż ta sama kula!

Przez chwilę rehotąły. Miktus poszła zamówić piwo.

– Która z nas następna? – spytała Zuza.

– Właśnie. – Zdzira spojrzała na nią. – Pewnie jesteś z nas wszystkich najzgrabniejsza...

– To zdjęcie – malina! – Malik wspomniała akcję „Dupa”.

– No! – potwierdziła Skrzacik. – Myśmy mieli tę samą grafikę na wschodzie!

– I, kontynuując – Zdzira lekko beknęła – powiedz, kiedy otworzysz, że tak powiem, wrota przed jakimś szczęśliwcem?

Zadra pokręciła głową ze skromnym uśmiechem.

– Nie mam pojęcia. Trochę mnie zmęczyły umizgi facetów. Wszyscy patrzą na moje cycki i dupę, a nie w duszę.

– Głębokie – zawyrokowała Miktus.

– Poza tym mam chujowe uda – podsumowała Zuza.

– Pierdolisz. Pierrrdolisz – warknęła Zdzira. – Zabiłabym, żeby mieć taką figurę. Sama

biegam, kurwa, tysiące kilometrów i ni cholery mi się nic nie poprawia.

– Dlaczego? – spytała Zuza.

– Nie wiem.

– Biegasz? – zaciekała się Anna.

– Ile wlezie. Maratony smaratory, ale nie chudnę.

– Za dużo chlejesz – stwierdziła Wiechucka.

– Pewnie tak.

– Słuchaj, Monika – rzekła sanitariuszka – bo ja to w zasadzie od lat chcę cię o to zapytać.

Dlaczego nosisz w plecaku czerwoną szpilkę?

– Szpilkę? – spytała Kawa.

– No, but. Taki śliczny.

Zdzira wyciągnęła spod stolika nogi, by pokazać koleżankom piękne tęczowe buty na bardzo wysokich obcasach.

– Uaaaauu! Jakie cudne! – zawyło towarzystwo.

– Co cudne? – spytała wracająca od baru Miktus. – Buciki? Istotnie piękne!

– Kocham buty – oświadczyła poważnie Zdzira. – Ale na froncie nie ma ich jak i gdzie nosić.

Więc chociaż ukochaną szpileczkę trzymam przy sobie.

– Fetysz czy amulet? – spytała Gollumka, zanurzając zęby w serniku, który podał półnagi kelner.

– Ani to, ani to. To jest hobby.

Za przyciemnionymi oknami lokalu błysnęły policyjne światła i kilka wozów przemknęło ulicą z wyciem syren.

– Ale zasuwają – odezwała się Miktus.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że to do naszych chłopców. – Zdzira wyszczerzyła zęby.

– Przestań – zmitygowała ją Wiechucka. – Tam jest mój Dawidek.

– Wracając do figury – odezwała się Tylda – mam wrażenie, że obecna tu porucznik Podgórska też ma niezgorszą, i nie wiem, jak to robi, tyle jedząc.

Anna spłoniła się.

– Dajcie spokój...

– Ale poważnie – odezwała się Malik. – Jesteś kurewsko zgrabna...

– A ta dupa... – rozmarzyła się Ciocia.

– Jak to robisz? – spytała Zdzira.

– Jak jeździsz na motocyklu, w zasadzie cały czas stoisz – wyjaśniła Gollumka. – No, w każdym razie ja tak robię. Na ugiętych nogach, rozumiesz. Wypinasz tyłek, uda masz napięte, to wszystko pracuje i tak się jakoś kształtuje.

– Ja chcę na Rujewita – oznajmiła Zdzira.

– Tę podgóorską zgrabność, zdaje się, zauważyli już wszyscy woje w oddziale – powiedziała Malik z zazdrością.

– Z szefem włącznie – dodała Heintze.

– Przestańcie – poprosiła motocyklistka – to przecież dowódca.

– Ale i mężczyzna.

– Coś ty taka skromna? – spytała Malik.

Gollumka zaczerwieniła się.

– Nie lubię, jak się o mnie mówi.

– Witek. – Artylerzysta wyciągnął rękę.
Jary ją uściśnął.

– Mardok. Więc ja – podjął – Witek, Malki, wszyscy z osobna. Nie możesz brać na siebie odpowiedzialności za to, czy przeżyjemy...

– Czy padniemy – dokończył kucharz.
Orłowski chwilę kiwał głową w milczeniu.

– Macie rację – powiedział w końcu. – Ale indywidualne przeżycie zależy od zgrania zespołu. Batalion to jeden organizm. Każda jego część odpowiada za całość, a całość odpowiada za część.

– Nasi ludzie mają doskonały zmysł kooperacji – odparł Dziki. – Ta Miktus idealnie rozumie, o co biega. To samo Góral. Zawsze wie, jak zareagować, bez słów.

– Spec – potwierdził Malki.

– Witek rozumie telepatycznie twoje zamiary, szefie – ciągnął Mardok, a Szaman gorliwie pokiwał głową – Grubens i Skarpeta nie zawiedli ani razu. Czuję się podczas tych ćwiczeń, jakbym pracował z nimi od lat. Ze wszystkimi. Aż serce rośnie. A pamiętacie, jak Tylda w wyskoku zdjęła tego orka z granatem?

– Aż mnie dreszcz przeszedł normalnie – skomentował Tata Malki.

– Genialna dupa – rzucił Mardok, zezując na Malkiego i Witka.

– Co? Tylda? – spytał dowódca.

– Nie, ta kelnereczka. – Adiutant wskazał przechodzącą w pobliżu syrenę.

– Aaa. No fajna.

Witek, Malki i Mardok spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Mardok zebrał się na odwagę i klepnął majora w ramię.

– Pewnie, że Tylda, szefie! Widziałeś, jaką ma kibić?

– Nie.

– A ja tak – oświadczył, dosiadając się do nich, Grubens. – Fenomenalna konstrukcja.

– W przeciwieństwie do twojej – zażartował Mardok.

– Poczekajcie, aż Malka zacznie was karmić. Też będziecie mieli konstrukcje.

– O czym mówicie? – spytał Skarpeta, który ocierał pot z czoła, tak rozgrzał go widok nadzwyczaj utalentowanej tancerki, która dopiero co zakończyła występ.

– O konstrukcjach – odparł Grubens.

– Damskich – wyjaśnił Witek.

– Aaaa. – Skarpeta rozciągnął usta w uśmiechu. – Ta Wiechucka to ma konstrukcję. Farciarz z Ktary!

– Tak – potwierdził Mardok. – I nie wiem, jakim cudem on, a nie na przykład ja. Zgudzik! Jak się czujesz?! – krzyknął do siedzącego przy sąsiednim stoliku kaprała.

– Jak sto pięćdziesiąt dolarów! – odparł mocno już podchmielony były szeregowy rozparty na czarnej skórzanej kanapie i patrzący rozmarzonym wzrokiem na występ kolejnej tancerki.

– To nie za dużo! – roześmiał się dolewający mu Fraydey.

– Powieziałem sto pięćdziesiąt? Miałem na myśli dwieście pięćdziesiąt.

– To też niedużo.

– Thomas. – Orłowski spojrział surowo na Piatkovskiego.

– Tak?

– Nie dolewaj mu. Jutro ma ślub.

– No to musi się znieczulić przed tą katastrofą! – Fraydey wyszczerzył zęby.

– Nie przesadzaj. Chcę go mieć żywego na misji. Jeszcze się zaprawi na weselu.

- Dobra, będę go pilnował.
- To rozkaz.
- Ku chwale Twierdzy! – Szpieg zasalutował.

Przy stoliku Ktary siedzieli jeszcze Wojtuś, Piotruś i Jacenty, strasznie rozochoceni i pełni dobrych fluidów.

– Ty, Dawidek – w szkło kaprala stuknął swoją szklaneczką Diabeł – jak to się stało, żeście się, wiesz, spiknęli?

– No jak to jak? – odparł Zgud. – No ona... ślisszyna jest i jak ją sobaszyłem... No kto ją sobaszy... to już strasony jest. Tylko szekałem, aż ona... ale ona z nikim w batalionie, więc nadziei nie miałem... Ale na misji, wiesz... Atom. Atom. No, Atom. Jakoś inaszej zaczęła na mnie patszeć, nie wiem dlaszego...

- Popisywałaś się wiedzą – podpowiedział Fraydey.
- No chyba na intelekt poleciała...

Mojżesz zarechotał.

- Na urodę na pewno nie!
- Bez przesady – zaoponował Jacenty – oczka ma takie niebieskie, niewinne.
- Kto? Runa? – spytał Piotruś.
- Ktara!

– Ktara ma niewinne? – spytał Mojżesz i pochylił się, by zajrzeć w oczy Zguda.

Przechodząca obok kelnerka roześmiała się, widząc tę akcję, i skomentowała:

– Panowie, to jest bar dla heteroseksualistów, lokal dla homików znajduje się dwie przecznice dalej.

- O! Jak się nazywa?! – ożywił się Lenny.
- „Homik”.
- Daleko?
- Z trzysta metrów.
- O rany...

Hadder wykonał taki ruch, jakby już się zrywał, by opuścić towarzystwo, ale przytrzymała go żelazna ręka Flaszki.

– Nigdzie nie pójdziesz, pedale. Jest uroczystość w męskim gronie, dotyczy mężczyzn, płci, rozumiesz, a nie orientacji seksualnej. Jesteś mężczyzną?

- No tak w siedemdziesięciu procentach. – Hadder zrobił nieszczęśliwą minę.
- Wystarczy. Siedź i pij.
- Ale...

– Uczcić trzeba fakt, że opuszcza nas kolega i zasila szeregi zniszczonych przez alkohol i kobiety...

– Co ty pierdolisz? – spytał Flaszkę Tygrzyk. – Tak ogólnie, proszę ciebie?

– Nie mam pojęcia. I popatrz – Flaszka wskazał Fraydeya – już kelnerkę obraca. Hej, kolego! Nie za wcześnie?

Istotnie, Thomas „Fraydey” Piatkovsky wstał z kanapy i zaczął rozmawiać ze ślicznotką, która wspomniała o heteroseksualistach. Była tlenioną blondynką o nadzwyczaj smukłych, wysportowanych kształtach. Przy każdym oddechu drgały jej mięśnie brzucha i zębate, skryte pod całkiem wydatnymi motylkami, całość zaś była zakryta nadzwyczaj skromnym bikini w narodowych barwach.

– Baj de łej – mruknął do niej Thomas – co tak inteligentna osoba robi w tak niebezpiecznym

miejscu?

- Niebezpiecznym? – spytała dziewczyna z uśmiechem.
- Pełno tu nieokrzesanych łasych na rozumne dziewczęta...
- Kelnerka błysnęła zębami w uśmiechu.
- Chcesz mi powiedzieć, że podoba ci się moja... inteligencja?
- Wyłącznie. Przepraszam, nie wiem, jak pani ma na imię...
- Xella.
- Jakie piękne miano! – zachłysnął się Piatkovsky.
- To pseudo artystyczne.
- Pani pozwoli, że się przedstawię. Podporucznik Thomas „Fraydey” Piatkovsky.
- Szpieg ujął dłoń dziewczyny, pochylił się i ze czcią ją ucałował.
- Od razu wiedziałam, że jesteście wojami. Aleksandra Krzyszevska.
- Masz piękne oczy, Aleksandro.
- Mów mi Xella. I żeby od razu rzecz wyjaśnić, nie jestem kompanką, tylko kelnerką.

Odkąd w pełni zalegalizowano w Twierdzy prostytutkę, przestano kobiety wykonujące tę szlachetną usługę nazywać dziwkami czy kurwami, zrezygnowano nawet z nazwy prostytutka. Radosław Kot wpadł na pomysł, by ochrzcić je kompankami, a wziął go ze starego serialu science fiction *Firefly*. Kompanki miały prawo odmówić usługi, czyli de facto same wybierały klientów. Efekt był taki, że mężczyźni pragnący skorzystać z ich wdzięków musieli być mili, hojni i cierpliwi, co automatycznie zmieniło ich nastawienie do tych dzielnych cór Twierdzy. Xella teoretycznie nie musiała zaznaczać charakteru swojej pracy, bo kompanki miały we włosach czerwony kwiat, jednak kwiat czasami spadał bez wiedzy dziewczyny, więc w sumie dobrze o niej świadczyło, że uprzedziła Fraydeya.

– Mój Świętowidzie – westchnął Thomas – jak to możliwe? Przepraszam, że to powiem, ale chyba się nie obrazisz. Twoje ciało, tak wysportowane, tak piękne, jest wprost stworzone do...

– Wspinaczki. uprawiam wspinaczkę skałkową. Stąd ciało.

Thomas przełknął ślinę.

– Wybrałaś robotę perfekcyjnie. Twoje kształty są dziełem sztuki.

– Dziękuję. Skoro jesteśmy przy komplementach, masz prześliczne blizny.

Mężczyzna się zarumienił, po raz pierwszy od wielu lat.

– Mówię poważnie – szepnęła Xella. – Uwielbiam orle nosy i blizny na twarzy.

– Xella! – krzyknęła do niej koleżanka zza baru.

– Idę! – Kelnerka machnęła do niej. – Kończę pracę o czwartej – szepnęła do Thomasa. – Jeśli jesteś zainteresowany.

Fraydey przełknął ślinę.

Żmij, Deckard, Wolf i Junior siedzieli razem w milczeniu, a chwilę później przysiedli się do nich Góral i Sokół. Tkwiący tuż obok Dragon i Tygrys byli już z lekka zaprawieni i z wielkim trudem konsumowali podpiomyki. Jak wieść niesie, pilot miał wielką ochotę pogadać, ale nie otwierał jadaczki, dopóki nie spełnili w ciszy trzeciego toastu za pana młodego. W towarzystwie Żmija wszyscy zresztą mieli inklinację do milczenia. Podobny do niego pod wieloma względami był zarówno Wolf, jak i Deckard, więc mieli przewagę nad drobnym pilotem, nuworyszem Sokółem czy taktownym i zdystansowanym Góralem. Kapitan Podgrudny uznał w pewnym momencie, że nie wytrzyma dłużej, i już otwierał usta, by się zwierzyć ze swojej miłości do pajaków, ale ku

jego zaskoczeniu pierwszy odezwał się Kamil „Wolf” Tyszkiewicz, patrząc jasnymi, zimnymi oczami na pupę tańczącej nieopodał artystki.

– Nigdy wam tego nie mówiłem... Znaczą się Niania o tym wiedział, ale on... Znaczą się Mariusz... krąży teraz gdzieś wokół dupy... to jest głowy... Peruna... No to wam powiem... – Zamrugnął i się rozejrzył. – O czym to ja mówiłem?

– O tym, że jeszcze nigdy nie mówiłeś – wspomógł go porucznik Graboń.

– A, tak. No więc... uwielbiam nocne życie. I takie kluby.

– To dlatego znikasz na całe noce z pokoju? – spytał Junior.

Wolf się spłoszył.

– Skąd wiesz?

– Czasami było mi zimno i chciałem do ciebie wpaść.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

– A poważnie – pilot uśmiechnął się – to mam kłopoty ze snem. – Przetarł oczy. – Ech, Kalina... – Westchnął. – No i słyszałem, jak wracałeś nad ranem. Mamy pokoje obok siebie.

– Tylko nie mów staremu. – Wolf położył palec na ustach.

– Wszystko słyszałem – zapewnił Orłowski.

– Kurwa! – zaklął strzelec.

– Nie martw się. – Żmij położył ciężką łapę na plecach lotnika i Kamil natychmiast poczuł coś w rodzaju błogości.

– Dzięki. No więc kiedyś, przed Kolapsem, jeździłem po świecie. Do Azji. Do Tajlandii najchętniej. Odpoczywałem dopiero, gdy byłem daleko od Polski...

– No to se, kurwa, teraz nie odpocznesz – zażartował Sokół, ale jakoś nikt się nie zaśmiał.

– I wiecie – ciągnął Wolf – miałem tam kilka znajomych. Kobiet. Bardzo dobrych znajomych, if you know what I mean...

Mężczyźni uśmiechnęli się lubieżnie.

– Wiemy, wiemy – zapewnił Sokół.

Żmij spojrzął na niego złym okiem.

– Czasami lepiej jest milczeć, padawanie – powiedział.

– Przyniosę piwo – zaoferował się działonowy Swaroga.

– Zrób to – poradził mu Żegota.

Sokołowski poderwał się i pognął do baru.

– I wiecie – podjął Wolf – czasami się zastanawiam, jak one teraz wyglądają, czy żyją...

– No tak – westchnął Deckard, z pewnością wspominając w tym momencie wszystkie swoje nieszczęśliwe podboje.

– A jeszcze poważniej – Wolf ściszył głos na tyle, na ile pozwalała głośna muzyka – ...tylko się nie śmieście... widziałem całkiem seksowne orczyce.

– Nie no, nie pierdol! – tym razem odezwał się Góral. – Takiej herezji jeszcze nie słyszałem!

– Poważnie. Ciekawy jestem, jak to by z nimi...

– Weź przestań, na rany!

W tym samym czasie do stolika, przy którym siedział Mardok, podszedł przystojniak Wiesiu „Młotek” Krawczyk. Spojrzął na adiutanta, mrugnął i zachęcił go, by wstał.

– Można na chwilę, panie chorąży?

– Można, panie plutonowy – odparł Jary i uśmiechnął się blado.

Odeszli kilka kroków. Jary wyciągnął rękę ze szklaneczką. Stuknęło szkło, wypili po łyku.

– Mam moralniaka, że ci podprowadziłem dziewczynę – przyznał operator motocyklowego działka Siwa.

– Anię?

– Tak.

Mardok uśmiechnął się krzywo.

– To miłe z twojej strony i zapamiętam. Ale niepotrzebnie się trapisz. Nie pasujemy do siebie.

– Takie właśnie miałem wrażenie.

– Nasza znajomość to okamgnienie. Rozumiesz, pomyliła mnie z kimś, kim nie jestem. Widziała we mnie twardziela. A ja jestem straszliwym, niepokonanym tytanem na polu walki...

Młotek się roześmiał.

– Ty się nie śmiejesz, bo wiesz, jak jest.

– No wiem.

– Ale kobiety lubię łagodne. Miłe. Ugodowe. Takie, wiesz, bezpieczne przystanie, które nie podnoszą głosu, mają terapię w duszy. A Sarenka jest rzeczywiście krwawa. To nie dla mnie, Wiesiu, więc czuj się uwolniony od poczucia winy.

Z Młotka jakby zeszło powietrze.

– No to świetnie. Bo to niesamowita dziewczyna, a mnie jej bezpośredniość bardzo się podoba.

– Tylko uważaj – Jary stuknął Krawczyka w szeroką pierś – nie daj sobie wejść na głowę.

Woj uśmiechnął się.

– Spokojna...

Wypowiedź przystojniaka przerwał głośny klaps, a potem jeszcze bardziej gromkie trzaśnięcie. Obejrzeli się i zobaczyli Xellę trzymającą się za zarumienioną pupę i olbrzymiego łysego mężczyznę trzymającego się za policzek.

– Ty kurwo! – syknął gość, pocierając twarz. – Przecież jesteś dziwką i jak ci mówię, żebyś mi usiadła na kolanach, to masz siedzieć!

Przy dziewczynie pojawił się Thomas.

– Aleksandra, czy ten pan zbeczczył twoją cześć?

– Nie tyle cześć, ile gluteusa – skrzywiła się Xella.

– Nieładnie, proszę pana. – Piatkovsky pogroził olbrzymowi długim palcem. – Ta pani nie jest kompanką i nie życzy sobie styczności z panem innej niż biznesowa.

– Co proszę? – spytał gość zbity z tropu.

– Kupno–sprzedaż – wyjaśnił Fraydey. – Drinki, przekąski, ale nie ciało. Pani nie ma kwiatu we włosach.

– Nie pierdol! To klub nocny, nie? Wszystkie dziewczyny są do wzięcia, ta kurwa te...

Mężczyzna nie zdążył wymówić głoski „ż”, bo szybka jak błyskawica ręka Piatkovskiego już ułożyła się w pięść i wykonała zamach do potężnego haka. Jednak podporucznik w ostatnim momencie powstrzymał cios.

– Czy pan Baloo Malinowski? – spytał, rozpoznając tatuaże na nagich ramionach faceta.

– O kurwa! – Olbrzym zbladł.

Siedzący przy nim Arnold Sitarczyk lekko przesunął się na skórzanej kanapie.

– To znowu oni? – jęknął, a otaczający jego i Malinowskiego goryle unieśli tytaniczne cielska.

– No jaki ten świat mały. – Fraydey uśmiechnął się i strzelił olbrzymowi w pysk z taką mocą, że kanapa, na której siedział, cofnęła się o dobre piętnaście centymetrów.

– Panowie, do broni! – warknął Żmij, który od dłuższej chwili obserwował sytuację.

Co było dalej, trudno powiedzieć, bo wszystko zostało zasłonięte rozmazanymi, połyskliwymi wachlarzami rozlanych drinków, skrzącym się szronem rozbitego szkła tudzież rozwianym włosom niektórych uczestników starcia. Tak czy owak, po trwającej kilka sekund wymianie ciosów nad powalonymi cywilami stała, dysząc, męska połowa batalionu „Orzeł Biały”, a dowódca, oceniwszy wyrządzone przez nich szkody, skwitował zdarzenie nieco żalonym tonem:

– Rany Swaroga, jesteście tacy przewidywalni...

Mimo że przyjechała policja i sprawę opatrzyła plastrami mandatów, upomnień oraz stron zapisanych w służbowych kajetach, Orły w lokalu pozostały, w przeciwieństwie do obwiesi, którzy awanturę w zasadzie zaczęli.

Miód i whisky polały się dalej równym strumieniem, zwłaszcza że obsługa „Sokolicy” w podziękę za interwencję sprezentowała wojom najprawdziwszego Jacka Daniel’sa, a Orłowski ostatecznie się rozluźnił, zupełnie jakby potrzebował rozróby, by odpuścić sobie kontrolę nad rzeczywistością.

Bo przecież nawet najbardziej odpowiedzialny człowiek musi od czasu do czasu powiedzieć: Niech się dzieje wola nieba.

I nie będzie dla nikogo zaskoczeniem, że tej nocy Fraydey spotkał się z piękną Xellą i świt zastał ich spacerujących Powiślem, a dowódcę Orłów odwiedziła w jego pokoju równie jak on pijana Joanna „Kalina” Malik i podarowała mu najśodsza pieśczętę, jaką może dać zakochana kobieta, on zaś odwzajemnił się gorliwie, bo nie lubił być niczym dłużnikiem.

I tak zastał Orły wschód słońca, a było to piętnastego lipca.

Dzień zaślubin Eweliny Wiechuckiej i Dawida Zguda.

Wojskowe busy podjechały pod pałac równo o dwunastej, a żandarmi, nie bacząc na to, czy ktoś jest wyspany czy nie, pakowali do nich członków batalionu razem z ich galowymi mundurami. Tym, którzy nie umyli się po imprezie, tłumaczyli, że w hotelu „Świtezianka” są prysznice, a ogólnie warto już wytrzeźwieć, bo, prawda, ślub trzeba uskutecznić i wesele też. Zatem przed pierwszą w rzeczonym, uroczym położonym hotelu, który wystrojem i architekturą perfekcyjnie łączył nowoczesność i tradycję, zameldowali się zarówno goście ze strony pana młodego i panny młodej, jak i przyjaciele Orłów oraz same Orły, tego dnia jakby nie do końca opierzone ze względu na nocne ekscesy.

Jednak prysznic, najprawdziwsza lavazza z ekspresu (po jednej na gościa, pełna reglamentacja!) oraz pałedrunk Rłokiet tudzież Perszing działają cuda i już o czternastej trzydzieści przed hotelem zgromadził się barwny tłum, przesycony wonią perfum i otoczony dziennikarzami, i nie tylko Orłowski się dziwił, jakim cudem można zorganizować tak dużą imprezę w tak krótkim czasie.

Wkrótce pojawiła się panna młoda ubrana w białą, rozkloszowaną suknię z głębokim dekoltem, z włosami upiętymi w kok i dziewczycym rumieńcem na twarzy. Jej szyję zdobiła gęsta kolia, a uszy błyskały srebrnymi zausznicami w kształcie smoków. Runa, której wąska kibić

została dodatkowo ściągnięta gorsetem, promieniała jak anioł, tym bardziej że stał przy niej ojciec, generał Ryszard Wiechucki, także odświętny i pogodny.

Jak doszło do rodzinnej reunii? No cóż, zdania historyków są podzielone, jednak oficjalna wersja profesora Roberta Jasiaka głosi, co następuje:

Zuza, Zdzira, Kalina i Klaudia przyjechały do „Świtezianki” dużo wcześniej i zajęły się usuwaniem śladów nieprzespanej nocy z i tak świeżej twarzy oblubienicy oraz strojeniem siebie i Runy. A czynności było sporo – od doboru ślicznej białej bielizny zaczynając, przez pończochy, a na dopasowaniu sukni wcale nie kończąc, bo przecież jeszcze makijaż, fryz i paznokcie, naprawdę mnóstwo roboty. Na szczęście zarówno fryzjer Mick Hal, autentyczny były Brytyjczyk, jak i profesjonalne wizażystki i kosmetyczki z najprzedniejszych stołecznych salonów czekali już gotowi do boju, a uśmiech nie schodził z ich twarzy, gdyż... no właśnie, dla jednych była to drobna niedogodność, a dla innych atrakcja: przygotowania nagrywali wszędybylscy kamerzyści i zarówno Runa, jak i pozostałe Orlice czuły się podglądane, jednak w dużo większej mierze po prostu jak gwiazdy.

I właśnie wtedy, gdy Zuza wpinała ostatnie spinki we włosy Runy, a Frenkiel poprawiała fałdy sukni, do pokoju wszedł nie kto inny, tylko ojciec Eweliny. Ubrany w wyprasowany galowy mundur generalski, z szablą u boku i czapką pod ręką, równo przyciętym siwiejącym wąsem i błyszczącymi w jowialnym uśmiechu zębami wyglądał niemal tak, jak wtedy, jak to sobie wyobrażała Wiechucka, gdy brał ślub z mamą, oby patrzyła wraz ze Świętowidem na nich teraz z góry.

– Tata? Co ty tu robisz?!

– Ewi...

– Nie mów tak do mnie! – krzyknęła odruchowo, ale się opanowała.

– Przepraszam. – Uśmiech nie schodził z ust ojca. – Plotka głosi, że do ołtarza ma cię prowadzić major Orłowski.

Dziewczyna się spłoniła.

– Poprosiłam, bo nie wiedziałam...

– Czy tu będę?

Dziewczyna skinęła głową i pociągnęła noskiem. W tym momencie Heintze i Frenkiel spojrzwały na siebie i wrzasnęły jednocześnie:

– Makijaż!!!

I zaczęły wachlować twarz dziewczyny, a Zdzira, jak twierdzą historycy, puściła Wiechuckiej tak plugawą wiązaną przekleństw, że wzruszenie wnet minęło.

Gdy niebezpieczeństwo zostało zażegnane, drużyna pozwoliła Runie wstać i podejść do ojca.

Dla sanitariuszki czas jakby zwolnił i gdy zbliżała się do generała, w jej duszy odzywały się coraz inne nuty, jakby... jakby kroczyła w przeszłość.

Krok pierwszy: sprzeciw Eweliny. Nie chciała iść do szkoły oficerskiej. Chciała robić wszystko, tylko nie to, do czego nakłaniał ją Ryszard. Ucieczka z domu i wstąpienie do Piątej Brygady. Do Wiedźmina. Byle dalej od ojca. Uczyła się żołnierskiego fachu i pracy medycznej na froncie, pośród kul. Stary przyjeżdżał, nakłaniał ją, ale nie mógł zmusić. Była dorosła. Mogła odmówić, a Wiedźmin był w porządku i jej nie wydał.

Krok drugi: śmierć matki, sześć lat temu. Pogrzeb, niewzruszona twarz ojca i kamienna mina jego niemal oficjalnej kochanki. Ewelina oskarżała go o to, że wpędził matkę do grobu. To matka nazywała ją Ewi. Gdy umierała, też tak do niej mówiła. Od tamtej pory Runa nienawidziła tego imienia, bo kojarzyło się jej tylko z jednym: agonią Marii Wiechuckiej, cierplivej i dobrej

kobiety, która do końca podtrzymywała fikcję szczęśliwego małżeństwa, by nie zaszkodzić karierze męża.

Krok trzeci: matka kłóci się z Ryszardem, dziesięć lat temu. Odkrywa, że jest zdradzana. Pokazuje mu telefon, płacze, czytając na głos esemesy, wyciąga fotografie jego i jej nagiej. Ewelina czuje zażenowanie i wstyd, chce wycofać się z pokoju, ale tego nie robi. Jest wściekła na ojca, że niszczy im życie. Mężczyzna błaga żonę o spokój, obiecuje na wszystkie świętości, że zerwie z tamtą kobietą, upada na kolana, a matka zaczyna mu wierzyć.

Krok czwarty: mobilizacja kraju, szesnaście lat temu. Świat ogarnia Kolaps. Ojciec wkłada do walizki ostatnie rzeczy. Jest ubrany w połowy mundur Wojska Polskiego. Wówczas jeszcze nie było Twierdzy. Na głowie ma marineskę z jedną gwiazdką i wstęgą. Już wtedy był generałem. Ewelina patrzy z niepokojem na pistolet przytroczony do jego uda. Wydaje się wielki, ciężki, groźny. Maria pomaga mu, przypomina o szczoteczce do zębów, przynosi bieliznę, pyta o ładowarkę do telefonu i dokumenty. „Wszystko mam” – zapewnia Ryszard. Runa zdaje sobie sprawę, że jej tata jedzie bronić Polski, bo na świecie stały się straszne rzeczy. Ojciec wydaje jej się przerażający i piękny jednocześnie. Dziewczynka czuje trwogę, ale i gorącą dziecięcą nadzieję, że wielki Ryszard Wiechucki przepędzi wszystkie potwory i znowu będzie pokój. Matka i ojciec przytulają się, a potem całują. W ich uścisku jest coś tak intensywnie intymnego, że Ewelinka przymyka oczy. Mężczyzna patrzy na nią i chce wziąć ją na ręce, ale Runa jest zbyt zatrwożona. Ucieka do swojego pokoju i wybucha niezrozumiałym płaczem. „Nie martw się” – mówi matka. – Pożegnaj ją od ciebie. Jest taka wrażliwa”. Ojciec mruczy coś niezrozumiałego.

Krok piąty: Ewi ma pięć lat. Jest słoneczny dzień. Dziewczynka uczy się jeździć na rowerze. Rowerek jest różowy i ma białe rączki zakończone frędzlami. Runa nazwała go Pony. Piszczyci z radości, gdy przez chwilę udaje jej się jechać prosto. Nagle na drodze pojawia się patyk, dziewczynka odruchowo skręca i upada na prawe kolano. Najpierw nic nie czuje, potem pojawia się pieczenie, a ze zdartej skóry płynie krew. Czerwona strużka ciągnie się wzdłuż pulchnej łydki i wsiąka w białą skarpetkę w różowe serduszka. Ulubione skarpetki Ewelinki. A mama mówiła: „Nie wkładaj ulubionych skarpetek i bucików do nauki jazdy, bo je sobie zniszczysz”. Mama ma zawsze rację. A Ewelinka jej nie posłuchała. Łzy wściekłości na siebie, cały świat, mamę i ten głupi patyk tryskają z oczu dziecka. Podbiega ojciec ubrany w letnie wojskowe spodnie i oliwkowy podkoszulek. Bierze ją na ręce i przytula. Jest silny i taaaaki wielki. Ma szorstki policzek. Szepcze do niej: „Nie martw się, Linka, nie płacz. Powiemy mamie, że to tatko zaciął się scyzorykiem i pobrudził ci kolanko, dobrze?”. Tatko pachnie papierosami, kawą i świeżo uprasowanym podkoszulkiem. Zawsze tak pachnie. Ten zapach uspokaja. Wielki, cudowny tatko. I mama się wcale nie domyśli!

Runa otwiera oczy, trwając z twarzą wtuloną w galowy mundur ojca. Mruga. Oczy są całe mokre.

– O kurwa... – mruczy Monika Frenkiel. – Imerdzensy! Mamy tu situejszyn! Kosmetyczka! Aaaaalaaarrrrrmm!!!

Gdy wyszły, Runa była już doprowadzona do porządku i trzymała bukiet z goździków, gerber i dali. Tłum, który czekał przed wejściem, przywitał ją gromkim „Aaach!!!” i „Uuuu”, a reporterki i reporterzy gdakali coś do swoich kamer. Ojciec pomógł jej wsiąść do powozu, usiadł razem z nią i druhnami, woźnica cmoknął i dwie białe kłaczki pociągnęły czterokółkę, a wszyscy weselnicy poszli za pojazdem. Sto metrów dalej była szeroka, ornamentowana brama

złożona z dwóch kolumn i łączących je pomarańczowych i błękitnych belek. Symbolizowała granicę między wsią panny młodej i siołem oblubieńca. Orłowski uniósł brwi, dając znak Samulowi, że gdyby to jemu kiedyś przyszło brać ślub, wolałby, aby odbył się bez takiej hecy. Tymczasem nie było rady – tkwili w kleszczach medialnej imprezy i wypadało szczerzyć się do obiektywów. Niebem nad nimi przeleciał klucz Perunów, pozostawiając za sobą biało-czerwony dym i huk cichnących silników.

Pomaszerowali dalej, do otoczonej kolumnami chaty symbolizującej dom pana młodego, przy której, ledwo żywy, stał w galowym mundurze kapral Dawid Zgud, a towarzyszyli mu rodzice i dziadkowie oraz Mardok, Fraydey, Żegota i Hadder, który, najtrzeźwiejszy z towarzystwa, zadbał o wygląd Zguda, zdaje się, nałożył mu nawet jakiś puder, bo młody żołnierz prezentował się całkiem świeżo. Przed nimi stał drewniany stółek z poduszką i ręcznikiem. O co w tym wszystkim chodziło, Orłowski nie miał pojęcia, ale gdy zobaczył, jak woźnica próbuje ręcznik „ukraść”, a druhnny mu „nie pozwalają”, zrozumiał, że to jakiś rytuał. Uśmiechnął się, widząc, jak Frenkiel i Heintze z prawdziwą uciechą wyrrywają mężczyźnie biały frotowy ręcznik i wręczają go pannie młodej. Obok Zguda czuwał Witelon Jabłoński, mistrz ceremonii, ubrany w jasny, dużo bogatszy od zwykłego strój ornamentowany niebieskimi i czerwonymi deseniami. W jednej ręce trzymał obowiązkowy kostur okuty złotem, a w drugiej płócienny worek, w którym chował jakieś tylko sobie znane przedmioty.

– Pójdź, córo – zaintonował śpiewnym głosem – w dom swego męża, albowiem tak, jak ogarniałaś ognisko w domu swego ojca i matki swojej, tak będziesz ogarniała ognisko w nowym domu, twoim i twojego oblubieńca.

Czterech drabów w płóciennych strojach pochwyciło Ewelinę, uniosło ją do wtóru jej pisku i tak niosąc, obeszło ognisko, które paliło się kilka metrów dalej.

– Czy to już koniec? – spytał Samul Orłowskiego.

– Nie mam pojęcia.

– A Rłokiet tam będzie? Bo mnie suszy...

– Zamknij się, bo cię nagrają – szepnęła major i wyszczerzył zęby do kamery.

– Podwiozą nas czy teraz na piechotę?

Dariusz wskazał chram, który wznosił się mniej więcej dwieście metrów dalej, za mostkiem przerzuconym nad uroczym jeziorem. Wiodły do niego wysokie, barwne schody. U wejścia do świątyni czekał król z dworem, a Saulski zdawał się odgrywać tam jakąś szczególną rolę.

– Ja pierdziu, szefie, po tych schodach na piechotę?!

– Zamknij się, Samul.

– Muszę się napić – szepnęła Flaszka.

– Nic. Teraz. Nie będziesz. Pił – warknął major.

Raczkiewicz tylko mruknął i potoczył się z resztą procesji wąską drewnianą drogą, która najpierw wiodła przez coś w rodzaju bramy Torii, a potem schodami wznosiła się do chramu.

Gdy dotarli na górę, król, strojny w galowy mundur tym tylko różniący się od zwykłego, że miał, jako jedyny, złotą koronę nad baretkami, uśmiechnął się i widząc młodą parę, obsypał ją ziarnami zbóż, po czym zagrzmiał:

– Niech wam się rodzi!

Nasiona opadły, opalizując w słońcu, a zgromadzeni zaczęli bić brawo. Wreszcie goście, omijając orszak panny młodej niczym strumień kamienie, weszli do chramu, Dawid też gdzieś zniknął i na zewnątrz zostały tylko druhnny, świadkująca Ewelinie Klaudia, ojciec panny młodej, dzieci, które miały sypać przed nimi płatki róż, kamerzyści i sama zainteresowana. I po tym

zgiełku i przepychankach, na wzgórzu pełnym kwiatów, przed chramem strojnym jak z bajki obejrzała się Ewelina wstecz. Spojrzała na jezioro otaczające wzgórze, na hotel mieniący się kolorami kilkaset metrów dalej, na łąki i lasy. I pomyślała, że świat jest taki piękny, zupełnie jakby raj zstąpił na ziemię. I w tym momencie nie było już wojny ani orków. Rozumiecie, naprawdę ich nie było. Stało się tak, jakby panna młoda weszła w inną, alternatywną rzeczywistość szczęścia, pogody i miłości. Rozjaśniła twarz tym rodzajem uśmiechu, za który wszyscy ją kochali – pełnym energii, takim, którym kąsała zaczepnie życie, wiedząc, że za każdym razem wygra, bo nie może przegrać, młodość bowiem nigdy nie przegrywa. Uśmiechnęła się do druhen i kamerzystów. Chwyliła suknię, zamasyżowała odwróciła się, by stanąć twarzą w twarz z wejściem do świątyni, wzięła ojca pod rękę, błysnęła zębami i wkroczyła do budynku tak, jakby wchodziła w nowe życie.

Za progiem zwołała, bo to był jej dzień i jej pochód między rzędami siedzisk. Chram miał liczne poziome okna, przez które wpadały do środka złote promienie oświetlające malowane kolumny i ozdobne belki. Towarzystwo pachniało perfumami i kwiatami.

Było pięknie.

Szła krok za krokiem, a na końcu widziała ołtarz, za nim Witelona i Saulskiego, obok króla z orszakiem, fikającą gwiazdy Joe i... Dawida. Nigdy jeszcze nie wydawał jej się tak... piękny. I poważny. Uśmiechnęła się do niego, jakby mówiła: Z mocy radości mojej i twojej spleciemy związek silny jak warkocz młodej dziewczyny.

A on odpowiadał jej wzrokiem: Tak, Runko, nic go nie zerwie, bo będzie mocniejszy od nanorurek węglowych...

Runa parsknęła śmiechem.

Zakryła usta.

– Przepraszam – powiedziała, a Dawid, widząc ją, też się roześmiał.

Wiechucka znowu zachichotała, zarechotał Zgud, a w odpowiedzi zaczął się śmiać świadkujący mu Mardok, potem król, wreszcie dołączyli do nich Raczkiewicz i Samul, a potem śmiech ogarnął cały chram, chociaż nikt nie wiedział, z czego wszyscy się zaśmiewają.

W atmosferze chichotów doszła śliczna sanitariuszka do kaprała, a ten ujął jej rękę podaną przez poważnego ojca, który z pewnością wolałby, żeby Ewelina była oficerem i wyszła za oficera. Niestety, na podporządku był tylko Zgud, późna inkarnacja żaby szerokogębniej. I co miał Wiechucki zrobić? „Nie skrzywdź mojej córeczki, dobrze?” – przekazał wzrokiem.

„Dobrze” – odpowiedział Dawid spojrzeniem, skinął mu lekko głową i odwrócił się plecami do przyszłego teścia, po czym podszedł z Runą do drewnianego ołtarza.

A tam Witelona i Arkady przywitani ich szerokimi uśmiechami.

I chram zalała cisza.

– Zebraliśmy się w tym świętym przybytku – rozpoczął Witelona, a jego głos odbiły drewniane kolumny i ściany – aby być świadkami połączenia dwóch serc i dusz. Na rok. Na całe dwanaście miesięcy, zgodnie z obyczajami przodków i mądrością psychologii. Niech zobaczą, niech poczują, niech przeżyją, a jeśli bogowie będą im darzyli, spotkamy się znowu na przedłużeniu ślubów...

Saulski słuchał przemówienia Jabłońskiego i tylko granie zuchwy zdradzało, że nowy obrządek jest mu obcy. Nie zamierzał jednak psuć doniosłej chwili. Wystarczająco skutecznie robiła to Joe, co chwila fikając koziołki.

– Związek dwojga ludzi to tajemnica – ciągnął Jabłoński. – To wybór każdego dnia, to wolność dana i otrzymana, to wzajemne wspieranie się i rozumienie, to dialog i wczuwanie się,

to wreszcie akceptacja różnic i podążanie wspólną drogą, wspólnota dwóch indywidualności. Dzielcie zatem tę tajemnicę i uczcie się od siebie wzajemnie. – Witelon uśmiechnął się, a stojące za nim pachole grzmotnęło w olbrzymi gong tak mocno, że Ewelina poczuła wibracje w płucach.

– Czy ty, Ewelino Wiechucka zwana Runą, pragniesz wejść w związek roczny z obecnym tu Dawidem Zgudem?

Runa spojrzała na zarumienione policzki kaprala i dostrzegła puder.

– Robiłeś make-up? – szepnęła.

Dawid szybko skinął głową i dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Runka, masz pytanko zadane... – szepnął Ktara.

Ewelina wytarła łzę radości.

– A, tak.

– „A, tak” co, moje dziecko? – spytał Jabłoński.

– Znaczy tak. – Spojrzała na Witelona i zatrzepotała rzęsami.

– Pragniesz?

– Jak cholera... – Runa zachichotała. – Tak, wysoki sędzie. – I znowu parsknęła.

– Perunie, tylko bez głupawki – jęknął Dawid, ale usta już mu się rozjeżdżały.

Witelon spojrzał na niego.

– Czy ty, Witelo... Znaczy się, czy ty, Dawidzie Zgudzie zwany Ktarą, pragniesz wejść w związek roczny z obecną tu Eweliną Wiechucką?

– Pragnę wejść – oświadczył Dawid.

– Może poczekasz do nocy, co? – rzuciła, przebiegając obok, Rakowska.

I było po wszystkim. Sala zatrzęsa się od śmiechu. Śmiał się Dawid, Runa, Witelon, Saulski i cały królewski orszak.

Kiedy jednak się uciszeli dzięki licznym gestom Saulskiego, odezwał się właśnie Wikary:

– Zgodnie z zanikającą, ale jeszcze nie do końca upadłą wiarą chrześcijańską życzę wam, drogie dzieci, szczęścia na nowej drodze życia oraz tego, żebyście po tym roku uznali, że to nie tylko wesele ciał, ale i dusz, i żebyście śluby odnowili i zawarli je na dłużej.

Ewelina i Zgud ukłonili się.

– Nadszedł czas symbolu – oznajmił Witelon. – Pan młody może wsunąć obrączkę na palec oblubienicy.

Dawid zrobił to z niejakim trudem, bo obrączka ślizgała się w jego spoconych palcach.

– Teraz kolej panny młodej – szepnęła Witelon.

Wiechucka poradziła sobie bez trudu. Miała sprawniejsze dłonie dzięki swojej profesji.

Witelon wznosił ręce.

– Na mocy nadanej mi przez króla Justyna Łyżwę, obecnego tu i będącego świadkiem tego cudownego ślubu, ogłaszam was mężem i żoną! Możecie się teraz całować na całego zgodnie z prawem i obyczajem.

Saulski skinął głową z uśmiechem.

A Ewelina i Dawid padli sobie w objęcia.

Potem było wesele. Mnóstwo dobrego jadła, prawdziwa herbata, prawdziwa kawa (po filiżance na głowę), żurki, flaki, pierogi, kołaczki, szarlotki, serniki, torty, tańce i alkohol, alkohol i tańce, a wieczorem znowu przelot królewskiej kawalerii powietrznej rozsiewającej sztuczne ognie. Witelon Wiechuckiej złapała Malik, muszkę Dawida zaś Krawczyk i nie dziwota, bo był, nie

licząc Samula, najwyższy, Dariusz zaś się nie kwapił.

Historycy tam byli, wszystko widzieli, nakręcili, skomentowali i zapisali. O, co to był za ślub, wesele i noce poślubne!

Bo nie sądzicie chyba, że tylko Ktara i Runa tej nocy zażywali miłości?!

Następnego dnia Orłowski pozwolił Orłom spać do południa, ale potem załadował wszystkich do busów i chociaż protestowali, a niektórzy mieli ochotę na poprawiny, zwłaszcza rozochocony Flaszka oraz wtórujący mu Dragon z Tygrysem, pojechali do Legionowa.

– Nie możecie dzisiaj ćwiczyć – zaczął major – ale zająć się pojazdami możecie.

– Czyli co? – spytał Malki, przecierając oczy.

– Amunicja, siatki, kamuflaż, malowanie nazw, czy co tam chcecie.

– Możemy nazwać pojazdy? – rozochociła się Skrzacik.

– Ciszej, Ola – skrzywiła się Miktus, najwyraźniej jeszcze nie do końca żwawa.

– Możecie. Po wszystkich innym. I tylko czarną i zieloną farbą. Żadnych jaskrawości.

– Tajest! – pisnęła Mikołajczyk, a lekarka skrzywiła się jeszcze bardziej.

Tak więc Swaróg po staremu został Kocurem, chociaż przez chwilę Kicia rozważała nazwę Tygrys, Dażbog z powrotem stał się Obcym, a malowaniem postaci potwora zajął się artystycznie uzdolniony Hadder, prawdziwe dywagacje jednak pojawiły się, gdy przyszło do nazwania Rujewita, bo ze składu starego Husarza ostał się tylko Jastrząb, który, wzruszony wspomnieniami Alki i Jaroty, nie upierał się przy starej nazwie. Lecz co Krawczyk lub Wojteczek rzucili nazwę, Anna Podgórska ją odrzucała.

– Jesteś Gollumką – stwierdził Jastrząb. – To może Hobbit?

– Łe. – Motocyklista skrzywiła się.

– Mam ksywkę Młotek – zauważył Wiesiu. – Więc może – otworzył szerzej oczy i starając się, by zabrzmiało to epicko, powiedział: – Warhammer!

– Łe – skomentowała porucznik.

– Hmm. – Mariusz potarł brodę. – To może coś z ptactwa? Ja jestem Jastrząb, oddział to Orły... Kondor?

– Łe.

– Pustułka?

– Łe.

Krawczyk spojrział na Wojteczka, także już rozdrażniony.

– Aniu – odezwał się – to może ty coś zaproponuj?

Podgórska skrzywiła się.

– W moim poprzednim batalionie nie było takiej mody. Na nazywanie.

– No ale co lubisz?

– A bo ja wiem? Myślenie lubię. Myślących ludzi.

– Cudownie – rzucił Wojteczek, robiąc kwaśną minę. – Tu chodzi o bojowe atrybuty. Co lubisz w wojowaniu?

– Szybkość – odparła motocyklistka. – Jak nie zasuwasz, giniesz.

– Piorun? Speedo? Błyskawica? Zapierdalacz? – rozpędził się Krawczyk.

– Łe – odparła kobieta.

Jastrząb potarł czoło.

– To nie będzie lekki wieczór.

Nie tylko jednak obsada bojowego motocykla miała kłopoty z nazwą. Podobne dylematy przeżywali załoganci Mora. Skrzacik chciała nazwę Kostucha, Pawełek zgadzał się z nią, ale kapitan Miktus twierdziła, że to przynosi pecha, i szukała innej.

– Gejtofhell to jest świetna nazwa – powiedziała i wskazała piętrzącą się niedaleko haubicę.

– To co? – spytała Ola. – Grimriper?

– Grimriper? Hm... – zastanowiła się lekarka. – Niezłe, niezłe. I sugeruje, że to my przyniesiemy śmierć Zielonym, nie odwrotnie...

– Niby tylko zmiana z polskiego na angielski, a jaka różnica – zauważył Pawełek. –

– Ale jaryłowcy powiedzą – zauważyła Skrzacik – że od nich ściągamy.

– I będą mieli rację – potwierdziła Miktus.

Sprawa nazywania Mora zawisła zatem w powietrzu niczym kosa kostuchy, a tymczasem ważyły się losy Marzanny, Mecha, Lubawy i Tura. Chociaż Malki nie do końca się z tym zgadzał, Marzannę Ciocia i Dragon nazwali Szalonym Pączkiem, Mech jednogłośnie zyskał miano Transformera, Lubawy Kawa, Tylda i Góral postanowili nie nazywać, bo stwierdzili, że już nosi piękne imię, co do Tura zaś... tu sprawa wydawała się trudna, bo Tygrys, Szczyrbowski, Zgud i Kubala obawiali się Orłowskiego, ten jednak powiedział, żeby nazwali pojazd tak, jak chcą.

– Wieża – zaproponował programista.

– Że niby co? Od szachów? – odparł Kubala.

– Od kontroli lotów.

– Głupie.

– To może Air Force One – roześmiał się Zgud.

– Statek Matka – zasugerował Tygrys.

– Baza – rzucił Szczyrbowski.

– Dobre – pochwalił Kubala – ale będzie się myliło z prawdziwą bazą. Panie majorze! – Spojrzał błagalnie na Orłowskiego, który grzebał z Grubensem przy ładownicy rakiet. – Co pan najbardziej lubi?!

– Fantastykę.

– Poważnie?

– Poważnie.

– A jakiś film może albo powieść?

Orłowski westchnął.

– *Gwiezdne wojny*.

– A coś konkretnego z nich? Miecz świetlny? Moc? Skywalker?

– Nie wiem...

– Jeśli można – odezwał się nieśmiało Zgud.

– Tak, żonkosiu? – Sergiusz uśmiechnął się do niego.

– Pan wspominał, że synek... lubił... Spongeboba.

Orłowski się zaczerwienił.

– Ty idioto! – syknął Kubala i zgromił Dawida wzrokiem, bo zrozumiał, że ten wspomina zmarłego syna majora.

Orzeł zacisnął szczęki, przełknął ślinę, a potem powiedział ochrypłym głosem:

– Spongebob to... świetny pomysł. Ale może jednak nie. Może po prostu Smok?

– Smok? – spytał Zgud.

– Dlaczego Smok? – chciał wiedzieć Tygrys.

- Kiedyś wam powiem.
- W sumie fajne – ucieszył się Szczyrbowski. – Trochę ograne, ale jeśli stoi za tym jakaś tajemnica...
- Stoi – zapewnił Orzeł.
- Smok it is! – ucieszył się programista.
- No to teraz, żonkosiu – szepnął Kubala – zapierdalaj po farbę.

Ostatniego dnia przed wyjazdem nie było ćwiczeń. Mechanicy krzątali się przy wozach, woje inwentaryzowali sprzęt i ubrania, upewniali się, że każdy ma bluzy z nanorurek bądź pajęczych nici i hełmy Krak Mk 1, ładowali nowe Chorsy, zwiadowcy MiniChorsy z kamerami umożliwiającymi „niewidzialność”, Samul zaś Trojana. Grubens i Skarpeta wnosili do Transformera dodatkowe baterie i akumulatory, amunicję, pompy i inne przydatne urządzenia, Lubawa piła ropę tudzież wodę, Perun, nazwany przez Podgrudnego i Wolfa Wilczurem, łykał pestki do Kikimory i wabiki, a pilot oglądał maszynę ze wszystkich stron, jakby się obawiał, że gdzieś odpadła jakaś śrubka. Piechociarze czyścili Visy, Tory i Rody, Samul dopieszczał Marchoła, polerowano bagnety, pastowano nawet buty. Malki z Ciocią ładowali do Marzanny paki z żywnością, a Dragon sprawdzał, czy filtry zapachowe są dobrze zainstalowane i czy zapasowe nie mają zwichrowanych krawędzi. Miktus pokrzykiwała na Pawełka i Olę i co chwila zaglądała do lodówki, upewniając się, że jest tam dostatecznie dużo krwi i osocza. Stawniak i Scorsese dopasowywały szpej, sprawdzały karty pamięci do kamer i nieduże, pancerne laptopy, upewniając się, że mają wszystko, czego będą potrzebować podczas wyprawy. W przeciwieństwie do wojów jednak nie plotkowały i nie śmiały się – były skupione i blade, bo nagle dotarło do nich, że to „już”. Potem Orłowski z Heintze, Gwarą, Podgóorską i pozostałymi dowódcami pojazdów raz jeszcze przestudiowali mapę i upewnili się, że znają wszystkie charakterystyczne punkty wokół Sejn, na wschód od tej miejscowości oraz dalej, w kierunku Wilna.

Późnym popołudniem z niezapowiedzianą wizytą przyjechał król. Towarzyszył mu doktor Maciej Matuszewski, którego z początku nikt nie poznał, bo nie był ubrany w biały kitel, ale w normalne cywilne ubranie. Łyżwa poprosił Orłowskiego, Siekierzyńskiego, Scorsese, królewską bibliotekarkę, Kubalę i Zguda do stojącego nieopodal namiotu. Idący z nimi Matuszewski dźwigał dwie czarne brezentowe torby. Orłowskiemu od razu te torby się nie spodobały.

Ledwie weszli i wachmistrz przyniósł świeżo zaparzoną pokrzywę, Łyżwa skinął na Matuszewskiego, a ten chrząknął i wypakował z jednej z toreb kilka plastikowych butelek przypominających te, które podłącza się do kroplówek. Westchnął, jakby szykował się do wyznania, że jest zoofilem, i zaczął:

- Jak wiecie, czas, w którym dochodzi do przekształcenia się z homo sapiens w homo viride...
- Co takiego? – spytał Orłowski, ze zdziwieniem stwierdzając, że tylko on nie rozumie tego terminu.
- Człowiek zielony. Oficjalna nazwa orków – wyjaśnił Matuszewski.
- Kontynuuj, Maciusiu. – Król skinął ręką.
- Zatem czas ten się waha i może być dość długi. To zmniejsza prawdopodobieństwo

przeżycia na terenie wroga. Znaczą się przeżycia ludzi, którzy zażyją N-Gen.

– Tak – potwierdził Orłowski.

– Zatem... To jest coś, z czym nie zgadza się pani doktor Halszka...

– Mniejsza z tym, z czym się nie zgadza Wysocka – przerwał mu król.

– Mój zespół opracował pewien specyfik – podjął naukowiec. – Nazwaliśmy go katalizatorem N. Doświadczenia na zwierzętach potwierdziły jego skuteczność.

– Co to za specyfik? – spytał Siekierzyński.

– Przyspieszy przemianę. – Matuszewski przełknął ślinę.

– O ile?

Mężczyzna wciągnął powietrze i głośno je wypuścił.

– Największymi ssakami, na jakich eksperymentowaliśmy, były świny...

– Zrobiliście zielone świny? – Ula Scorsese uśmiechnęła się blade.

– Faceci to zielone świny – zawtórowała jej Stawniak.

– Nie śmiałyby się panie, gdyby je zobaczyły... – Matuszewskiemu rzeczywiście nie było do śmiechu. Spojrzał na Orłowskiego. – Świny morfowały dwie doby. Był to proces wyczerpujący i miały potężne zapotrzebowanie na wodę i paszę, ale przetrwały go wszystkie egzemplarze.

– Ile? – spytał Orłowski.

Matuszewski przez chwilę milczał.

– Dziesięć.

Woj machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: To nawet nie grupa reprezentatywna!

– Wiem, co pan myśli, panie majorze – szepnął naukowiec. – Ale testowałem go też na innych ssakach. Gryzoniach, no, nie na naczelnych, bo nie mamy małp. Wszystkie te zwierzęta przetrwały. N-Gen jest zbyt dobrym, w pewnym sensie, preparatem, żeby coś mogło pójść nie tak...

– Widzieliśmy orki ze skrzelami, tępe dziwadła owłosione jak niedźwiedzie i karły. – Dowódca Orłów skrzywił się. – N-Gen nie jest idealny, jeśli już operujemy tymi kategoriami.

– Tak, rozumiem, ale i ludzie żyją z różnymi wadami genetycznymi, mają cukrzyce, jaskry i tak dalej. N-Gen to wszystko leczy. Orki różnią się morfotycznie, ale są zdrowe. Wszystkie.

– Fakt. – Orłowski uniósł brwi na znak zgody.

– Zatem jestem prawie pewien, że katalizator N zadziała. Dzięki temu ludzie z Zielonej Przyszłości będą mieli większe szanse na przetrwanie, a najemnicy mniej się narażą. No i wy...

– Dlaczego robicie z tego taką tajemnicę? – spytał Orłowski. – Dlaczego nie ma tutaj doktor Wysockiej?

Matuszewski zrobił taką minę, jakby chciał powiedzieć, że nie wypada mu się wypowiadać na tematy drażliwe, ale wyręczył go Łyżwa:

– Ona w ogóle się nie godzi na tę eskapadę, majorze. Badania Maciusia zna, ale krytykuje je na każdym kroku. To fantastyczna dziewczyna, ale za bardzo... prawomyślna. Nie rozumie, że w obecnych czasach trzeba improwizować i niekiedy zbliżać się do granic moralności, w sumie zaś nie wiemy, gdzie ta moralność się kończy, a gdzie zaczyna niegodziwość.

– Zgadza się.

– Plan jest taki, żebyście podali ten preparat... chętnym. Na miejscu, po tym jak wezmą już N-Gen – wyjaśnił Matuszewski. – Pięć mililitrów w iniekcji domięśniowej. W miesiąc pośladkowy. W torbie macie kilkaset jednorazowych strzykawek i igieł. Wybaczcie, nie miałem czasu załadować pistoletów, poza tym wykorzystałem je w innym celu...

– Zabierzcie też z powrotem tyle N-Genu, ile będziecie w stanie zmieścić. Potrzebny jest do

badan – wszedł mu w słowo król.

– Tak jest – odparł Orzeł.

– Pamiętacie wytyczne?

Major chwilę milczał, po czym wyrzucił z siebie:

– Sprawdzić sytuację i nastawienie wojsk wokół Sejn. Spytać o decyzję ludzi z Zielonej Przyszłości. Jeśli zdecydują się na eskapadę w głąb Litwy, przywieźć N-Gen z Wilna, zaaplikować razem z katalizatorem, wszystkich zaczipować, wjechać na Litwę po raz drugi, osłonić zakładanie osady, poczekać na przemianę, odjechać. W tym czasie sprawdzić nastroje wśród najemników i dowiedzieć się, dlaczego cywile wolą COP i samowolkę od armii, a w miarę możliwości zbadać kulturę Zielonych w głębi wrogiego terytorium.

– Dokładnie. – Król pokiwał głową, lekko się uśmiechając.

– Co do czipów – sapnął Matuszewski, kładąc na stół drugą torbę i rozsuwając zamek – to jest zmodyfikowany pistolet iniekcyjny. W magazynku jest dwadzieścia czipów podskórnych. Przyłożyć pod kątem, najlepiej przy kręgosłupie w odcinku piersiowym, żeby nie mogli go sobie sami wydłubać. Nacisnąć. Będzie syk i już, po sprawie. W torbie znajduje się piętnaście takich urządzeń, na wszelki wypadek.

– Na dwieście osób wystarczy.

– Nie wiem, ile obecnie jest tam obozowiczów – rzekł Matuszewski. – Lepiej więcej niż mniej. Mogą wam się zresztą przydać jeszcze do czegoś.

– Sami się nie zaczipujemy – zażartował Orłowski.

– To – naukowiec wyjął z torby przyrząd z dużym ekranem – jest detektor tych czipów. Zasięg pięćdziesiąt kilometrów. Dzięki niemu będziecie mieli pewność, że wszczepione drobiny działają. Tu – wskazał róg ekranu – pojawi się licznik. Gdyby któryś nie działał, użyjcie powtórnie pistoletu.

– Jasne – odezwał się Siekierzyński.

– Czy wszystko jest zrozumiałe? – spytał król.

– Tak jest – odparł Orłowski.

– Są jakieś problemy z tą misją, majorze?

– Żadnych.

– Świetnie. Dość mam już kłopotów z Wysocką i innych takich...

Machnął ręką i wyciągnął ze swojego plecaka whisky Tullamore Dew. Litrową.

Orłowski wybałuszył oczy.

– Skąd taki skarb?!

Łyżwa uśmiechnął się krzywo.

– Królewskie rezerwy.

Postawił na blacie kilka szklaneczek, odkręcił butlę i nalał. W namiocie rozszedł się anielski zapach szlachetnego trunku. Łyżwa uniósł szkło, a inni poszli w jego ślady.

– Resztę dasz swoim ludziom – szepnął. – Za powodzenie misji.

Mieli wyruszyć o dziewiątej. Pogoda tego ranka była cudowna: niebo jaśniejsze nad widnokrzem i ciemniejsze nad głową wyglądało, jakby je ktoś przetaił czystą szmatką, którą zresztą zostawił w roztargnieniu w wygięciu nieboskłonu – był to pojedynczy biały cumulus puszący się z dumy, że tak pięknie wyczyścił błękit. Ciepły wiatr niósł zapach polnego kwiecia, skowronki zaś już zaczynały swoje trele brzmiące tak, jakby ktoś im wrzucił do gardeł małe

gwizdki kulkowe, które trzpioty tak polubiły, że bawiły się nimi, eksperymentowały i na wyścigi popisowały się muzycznymi wariacjami.

Głosy wojów pakujących plecaki do maszyn odbijały się od ścian budynków, a wesoły gwar zagłuszał niepokój, który każdy Orzeł odczuwał gdzieś na dnie serca. Żalowali, że nocowali w Legionowie, bo nie mogli się pożegnać z Opty, Sarenką i Martyną. W pewnym momencie jednak usłyszeli pomruk zbliżającego się samochodu i przed bramą pojawiła się Syrena Martyny Plisenko. Dziewczyny same pomyślały i przyjechały uściskać swoich bohaterów.

Wartownicy przepuścili je, wóz podjechał do stojącego najbliżej Swaroga, zatrzymał się w obłoku kurzu i dziewczęta wyskoczyły z głośnym śmiechem. Ku zdziwieniu wojów Martyna miała na sobie strój najemniczki.

– Martynka, mam nadzieję, że w tym nie śpisz, bo wiesz, można sobie coś przyciąć! – przywitał ją Mardok.

– Spierdalaj – odparła z serdecznym uśmiechem. – Prędeż ty sobie coś przytniesz. Jadę z wami.

– Przestań.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– No to kawałek za wami. Mój chłop jest w Starym Bublu.

– Rzuciła pracę – oznajmiła Opty. – Wariatka.

– Raz się żyje, Asiu – odparła Plisenko.

– Łotewer.

– Przynajmniej jadę tam, gdzie chcę. A ciebie nie wiadomo, gdzie przydzielą, jak skończysz to szkolenie.

Joanna Ścibior poszarzała na twarzy i spojrzała lękliwie na Klaudię, która razem z resztą Orłów przysłała pożegnać się z dziewczętami.

Ripley smutno pokiwała głową.

– Tak już jest w armii. Przydzielają cię, odwołują, rzucają po świecie. Zobacz, mamy Deckarda, Diabła, Mojżesza, Skrzacika, oni wszyscy służyli gdzie indziej.

– Nie narzekam – zadeklarował Graboń, który powoli zbliżał się do nich.

– Ja też nie – zapewniła Skrzacik.

– No ale tak jest. Rozumiesz – Klaudia podeszła do Opty – dowództwo patrzy na duży obraz, nie na interesy jednostek. Liczy się Twierdza. To trochę jak życie Jedi albo mnicha: służysz większej sprawie. A przyjaciół znajdziesz wszędzie.

– Brzmi jak przemowa – skomentował Mardok.

– Spadaj.

– Rozumiem. – Opty zacisnęła usta, a potem nieśmiało się uśmiechnęła. – A jak myślicie... daliby mi Trojana? Bo mi się tak marzy...

Samul, ubrany już w wielki pancerz, przycłapał bliżej i przyjrzał się jej sylwetce.

– Nogi trochę za krótkie i rama wąska, ale wiesz, nigdy nie mów nigdy. Jak się człowiek uprze i Rłokiet w żyłach, to rozumiesz...

– Wszystko jest możliwe – dokończyła Klaudia. – Ale będziesz musiała strasznie się starać.

– Yhm...

– A ja jadę do chłopca – zmieniła temat Martyna. – I kurewsko się cieszę. On pewnie też.

– Chyba że sobie jakąś orczycę... – zaczął Wolf, ale Plisenko jowialnie mu przerwała:

– Zawrzyj ryj, Kamil.

W tym czasie Anna Błaźniak tuliła się do Wiesia Krawczyka i stali tak dłuższą chwilę. Potem,

zarumieniona, podeszła do Mardoka, potrząsnęła głową i wyciągnęła do niego rękę.

– Pokój?

Jary uśmiechnął się kwaśno, przełknął ślinę i ucisnął jej dłoń, z niejakim zdziwieniem konstatując, że jeszcze kilka dni temu oprócz ręki miał całe ciało.

– Pokój – chrypnął.

Żegnali się jeszcze kilka chwil, żartując i przekazując chaotyczne pozdrowienia. Gdy batalion miał się już pakować do wozów, ktoś w bazie uruchomił radiowęzeł, a pancerze pojazdów zdrząły od dumnych tonów *Marsza imperialnego z Gwiezdných wojen*. Towarzystwo zatrzymało się i wyszczerzyło zęby.

– Noo – odezwał się Mardok, starając się przekrzyczeć dźwięki utworu. – Kto nas tak żegna?!

Z okna budynku radiowęzła wychyliła się ruda głowa sierżant Katarzyny Kozidrak. Wojownicza uśmiechnęła się szeroko i pomachała ręką.

– Dzięki, siostró! – krzyknęła Klaudia.

– Powodzenia!

– Z taką muzyką to ja mogę na koniec świata! – rzekł Flaszka, lecz nagle zastrzygł uchem.

W rytmiczne tony wmieszał się jeszcze jeden dźwięk. Było to basowe dudnienie motocyklowego silnika. Nagle na plac wtoczył się i zatrzymał tuż obok Syreny potężny srebrno-czarny Wilk kierowany przez smukłą motocyklistkę. Dopiero gdy zdjęła srebrny kask, okazało się, że to Aleksandra „Xella” Krzyszewska. Fraydey, który właśnie się zastanawiał, gdzie w Dażbogu ulokować szablę Jaroty, spojrzał w jej kierunku i przełknął ślinę.

– Xella? To... ty?

– No i mi smutno – poinformował Flaszka. – Gdzie moja dziewczyna żegnająca mnie ze łąką w oku?

– Ja cię mogę pożegnać – zaofiarował się Lenny.

– Spadaj, pedale.

Tymczasem Fraydey pomknął do Xelli, a ona podbiegła do niego.

– Nie no, melodramat – mlasnęła Flaszka. – Pani sierżant! – Spojrzał na Kozidrak. – Poprosimy jakieś love story!

Operatorka radiowęzła roześmiała się i zniknęła w pomieszczeniu. Marsz umilkł i za chwilę powietrze zdrząło od głównego motywu z *Gladiatora*.

– Kurwa, teraz to się popłaczę – skomentowała Gwara.

A Thomas wsłuchiwał się w słowa szeptane przez Xellę, łązy zaś łąły mu się po policzkach. I ani historycy, ani najbliżsi nawet jego przyjaciele nigdy nie dowiedzieli się, co śliczna sportsmenka wtedy mu powiedziała.

W końcu sierżant Kozidrak ulitowała się nad żegnającymi się i puściła *You're Going to the Navy*, główny motyw z filmu *Battleship*, co dodało wszystkim animuszu i podniosło nastrój.

Wojownicy wymienili z dziewczętami ostatnie pozdrowienia, a potem, ponaglani przez Orłowskiego i Mardoka, załadowali się do wozów. Trzasnęły włazy, ryknęły silniki, podłoże zdrząło od basowych uderzeń dieslowskich tłoków, rozszedł się zapach spalin, a w powietrzu pojawiły się strugi siniego dymu z rur wydechowych. Perun wywołał huragan, wznosząc się nad budynki, i z garnizonowego placu zaczęły wyjeżdżać jeden po drugim wozy oddziału. Nad nimi bzyknęły drony Zguda i kolumna, wzniesając obłok kurzu, minęła w rytmie dynamicznej muzyki machające na pożegnanie dziewczyny. Gdy ostatni pojazd wyjechał za bramę, a utwór się skończył, Martyna spojrzała na Opty i Sarenkę.

Przestały się uśmiechać. Stały jakiś czas w milczeniu, po czym rzuciły się sobie w ramiona

i zaczęły płakać jak licealistki. Trwało to dobrą chwilę, po czym Plisenko pierwsza rozluźniła chwyt.

– Dobra, kurwa – mruknęła – bo zaraz zrezygnuję i wrócę do Warszawy.

Opty i Ania spojrzały na nią błagalnie.

– Nie – odparła Martyna. – Nie. Jadę do chłopca. Coś wreszcie trzeba zrobić. Asiu – popatrzyła na Opty – spotkamy się gdzieś na froncie, nie?

– Tajest. – Ścibior niezdarnie zasalutowała, drugą ręką wycierając nos.

Martyna dała im po buziaku, uśmiechnęła się do Xelli, zapakowała się do Syreny, zawróciła, uważając, żeby nie potrącić Wilka, i ruszyła z piskiem opon. Wypadła za bramę, skręciła w lewo i pomknęła za konwojem. Jeszcze przez moment słychać było odległe dudnienie silników wielkich pojazdów i warkot wozu Plisenko, a potem nastąpiła nieprzyjemna cisza. Dziewczyny przełknęły ślinę.

– Jak się zabierzecie do Warszawy? – spytała Xella. – Jedną mogę wziąć, ale druga...

– Ej, ślicznotki bez transportu! – zaczęła je wychodząca z radiowęzła sierżant Kozidrak. – Jadę do Warsiungi. Podrzucić was?

– Jak kto grzeczny... – Opty uśmiechnęła się.

Wojowniczką wyszczerzyła białe zęby.

– Poczekajcie, zaraz podjadę.

Xella podeszła do nich i podała im rękę.

– No to wracam sama.

– Szerokiej drogi – powiedziała Opty.

– Ty mi lepiej powiedz – odparła Krzyszewska – jak teraz sobie poradzić z czekaniem.

Pomysł z jazdą do Sejn polskimi drogami zamiast przelotu Radogostami miał być ostatecznym testem dla wozów batalionu. Chociaż sporo jeździły podczas ćwiczeń, był to pierwszy dłuższy odcinek, jaki miały pokonać. Ledwo jednak Kubala rozbijał jadącego za Porewitem, Swarogiem i Dażbogiem Tura do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, kolumnę wyprzedził pędzący na alarmowych zielonych światłach UAZ, ustawił się w poprzek drogi, wyszła z niego funkcjonariuszka żandarmerii i wznosząc czerwony lizak, zatrzymała kolumnę.

– Co jest? – mruknął Farin.

– Przewozisz kontrabandę, Kubala? – zażartował Zgud.

Tur wytracił prędkość, zakołysał się i w końcu stanął. Teraz było słychać tylko warkot silnika na jałowym biegu i cichy jęk obracającego się radaru.

Scorsese i Stawniak zwróciły kamery na wojowniczkę, która szła już w ich stronę, mijając pierwsze wozy kolumny. Obok niej podążała dwójka wojów. Dobrze zbudowany blondyn miał na sobie MiniChorsa, a dziewczyna, także blondynka, pełny egzozskielet, na plecach zaś i przy udach przytroczone oprzyrządowanie medycycki.

Prowadząca ich żołnierka machnęła na powitanie w stronę przyciemnionych szyb Tura, po czym podeszła do wjazdu i zapukała.

– Proszę! – rzucił wesoło ze swojej wieżyczki Tygrys.

Zgud zadarł głowę i popatrzył na niego z politowaniem, po czym odryglował wjazd i otworzył go.

Rudowłosa funkcjonariuszka żandarmerii, młoda i ładna, zasalutowała, usiłując odgonić tuman kurzu dzierzonymi w ręce papierami.

- Plutonowa Alicja Podkalicka z rozkazami od generała Wiechuckiego.
- Wiechuckiego? – spytał Orzeł.
- Proszę o pozwolenie wejścia do pojazdu.

Major spojrzał niedobrym wzrokiem na nią, a potem na towarzyszących jej wojów. Wiedział już, co jest w tych rozkazach.

- To zbędne, żołnierko, sam wyjdę.

Zsunął się z fotela dowodzenia, zszedł po dwóch schodkach na niższy pokład, a potem wychynął z włazu i zsunął się po drabince na ziemię. Nie zdziwił się, widząc, że tylne wrota Dazboga otwierają się i z pojazdu wysypują się woje z czerwoną ze złości Wiechucką na czele.

– Proszę o potwierdzenie przyjęcia rozkazów – poprosiła plutonowa, wręczając Orłowskiemu papiery i długopis.

- Chwileczkę, niech przeczytam – odparł major, zmrużył oczy i wczytał się w rozkazy.

Chwilę to trwało, a w tym czasie otoczyła go gromadka Orłów, którzy wysiedli z innych wozów. Wreszcie major podniósł szare oczy i spojrzał na prężącego się przed nim woja. Miał inteligentną twarz, niebieskie oczy, mocną, okrągłą żuchwę i szczere spojrzenie. Był krępy i dobrze zbudowany.

- Jak się nazywacie?

– Sierżant Cezariusz Gorzkowski, panie majorze!

– Przydzielono was do Oka w batalionie „Orzeł Biały”.

– Ku chwale Twierdzy! – Woj uśmiechnął się i zasalutował.

– Co umiecie?

– Kurs rajdowy na samochody i motocykle, prawa jazdy wszystkich kategorii, zaawansowany kurs spadochronowy, czwarty szczebel kursu saperckiego.

– Najwyższy – cmoknął Flaszka.

– Czyli znasz się, sierżancie – odezwał się Orłowski – na wysadzaniu różnych rzeczy?

Cezariusz wyszczerzył mocne, białe zęby.

– Ku chwale.

– Świetnie. Potrzebowaliśmy kierowcy, a i demolition man nam się przyda. – Wskazał ręką Porewita, który jechał na przedzie. – Waszym zwierchnikiem będzie chorąży Mateusz „Wampir” Gadziński. Nie zaglądalejcie mu pod chustkę, bo jest tam strasznie brzydki.

– Brzydszy od Samula! – skomentował Tata Malki, ale Ciocia klepnęła go w rękę.

– Samul jest śliczny!

– Nie podczas serca dzwonu – mruknął Mardok.

– A co to? – spytał Tygrys.

– Wyższa szkoła walki psychologicznej. Kiedyś ci pokażemy. – Adiutant Orłowskiego wyszczerzył zęby.

– Dobra – cmoknął major – witaj, żołnierzu, w batalionie. Późno, bo późno, ale po oczach widzę, że się zgracie.

Cezariusz jeszcze bardziej rozciągnął usta.

– Na pewno, panie majorze! Ku chwale!

– Ku chwale, ku chwale. Zuza? – Skinął na snajperkę, a Cezariusz spojrzał na nią i widząc śliczną buzię, spłonął z ekscytacji. – Zajmij się nim.

– Z przyjemnością – odparła dziewczyna.

Gorzkowski podszedł do niej i zatrzymał się, otoczony gromadką Oka, która zaczęła coś do niego szeptać.

– I teraz druga sprawa. – Orłowski podrapał się w tył głowy. – Sierżant... Alicja Pawłowska, tak? – Spojrzał na sanitariuszkę.

– Ku chwale Twierdzy! – Blondynka wyprężyła się i zasalutowała do hełmu.

– Generał Wiechucki pisze o was w samych superlatywach.

– Bardzo się cieszę, panie majorze.

– Ale widzicie, sierżancie, jest problem.

– Tak, panie majorze?

– Tu jest napisane, że macie zastąpić sanitariuszkę...

– Takiego wała! – wrzasnęła Wiechucka. – Tylko udawał na weselu przed kamerami, podstępny skur...

– Runa, zachowuj się – warknął dowódca. – To jest rozkaz od generała.

– Tajest. Ale szefie...

– Zamknij się. – Major wziął głęboki wdech, by się uspokoić. – O, widzicie. – Wskazał Ewelinę. – Mamy medyczkę w oddziale piechoty. Bardzo dobrą, sprawdzoną w boju. Nieco narwaną, ale sprawną. Rusza rękami, nogami, oczami. Działa.

Pawłowska patrzyła na dowódcę nieruchomym wzrokiem.

– Referencje generała są doskonałe. – Major znowu zerknął w papiery. – Co umiecie?

– Zaawansowany kurs ratowniczy, poza tym jestem piechociarzem, jak inni.

– Sierżant Pawłowska. – Orłowski znowu podrapał się w głowę. – W sumie przykro mi to mówić, ale nie potrzebujemy kolejnej medyczki, a tym bardziej zastępstwa chorążej...

– Panie majorze – upomniała się plutonowa Podkalicka – proszę o potwierdzenie odebrania rozkazów.

– Widzi pani, kłopot polega na tym, że sierżant Gorzkowski został przydzielony nie przez generała Wiechuckiego, ale przez króla, któremu bezpośrednio podlega teraz batalion „Orzeł Biały”. Rozkaz generała Wiechuckiego został napisany bez wiedzy króla, zatem jest w zasadzie nieważny. Proszę zabrać ze sobą sierżant Pawłowską i powiedzieć, że dziękujemy za ofertę, ale jej nie przyjmujemy.

– Panie majorze – Podkalickiej opadła szczęka – odmawia pan wykonania rozkazu generała?

– Zgadza się, plutonowa. Chce pani sobie ze mną strzelić fotkę?

– Nnie...

– Zatem proszę zabrać sierżant Pawłowską i tyle.

– Mam rozkaz...

– Który ja mam w dupie.

Orłowski odwrócił się do wjazdu Smoka, gdy usłyszał zdesperowany głos sanitariuszki.

– Panie majorze!

Woj westchnął i przez chwilę trwał zwrócony do niej plecami.

– Panie majorze! – powtórzyła Pawłowska.

Odwrócił się.

– Słucham.

– Panie majorze... – sapnęła.

– To już słyszałem.

Dziewczyna przełknęła ślinę.

– Zrobię wszystko, żeby dostać się do Orłów.

– Wszystko?

– Jestem silna, bardzo silna.

– Doprawdy?
– Biegam maratony.
– Już ją lubię – szepnęła Zdzira.
– Co to za karty, które ma pani wetknięte za taśmę w hełmie? – spytał Orłowski.
– Dixit. Bardzo fajna gra.
– Znam, gram – odezwał się Żmij i wszyscy spojrzeli na niego zdziwieni.
– Zrobię wszystko – powtórzyła Alicja. – Chce pan, żebym strzelała? Mam świetne skupienie. Znam rosyjski i niemiecki. Dziergam na szydełku...
– O, ja też dziergam! – krzyknęła Zuza.
Orłowski patrzył na kobietę trudnym do odcyfrowania wzrokiem.
– Pani sierżant – mruknął – nie potrzebuję drugiej sanitariuszki.
– Mogę być piechociarzem. Umiem kierować. Strzelać ze wszystkich tych – zatoczyła ręką krąg – działek. Umiem latać Perunem! – krzyknęła rozpaczliwie, gdy śmigłowiec przeleciał nad ich głowami, młócąc letnie powietrze.
– Naprawdę? – zainteresował się Orłowski.
– Kurs podstawowy. To wcale niemało – zapewniła.
– I robi pani wszystko?
– Wszystko!
– Nie mam dla pani miejsca.
– W kwestii formalnej. – Wampir wzniosł rękę. – W kabynie Porewita jest miejsce...
– Zamknij się, Gadziński. – Orłowski spojrzał na niego zły.
– Tajest.
– Jest pani silna?
– Jak tur, panie majorze.
– Zrób mi pięćdziesiąt, sierżancie – zakomenderował Orzeł.
Dziewczyna potrząsnęła głową, zdjęła Roda z ramion, położyła go na ziemi i natychmiast padła na grunt. Major kucnął i zbliżył palec do bezpiecznika jej Chorsa.
– Ale z wyłączoną zbroją – powiedział i odłączył zasilanie siłowników egzoszkieletu, czemu towarzyszyły cichy jęk blokowanych włókien zbroi i zgaśnięcie kontrolki.
– No to ma problem – zawyrokował Samul obserwujący tę scenę z resztą wojów. – Dodatkowe dwadzieścia kilogramów.
– Ale równomiernie rozłożonych – zauważył Mardok. – Da radę.
Pawłowska nie protestowała. Zaczęła energicznie robić pompki i pierwszych dziesięć strzeliła w rekordowym tempie.
– Za szybko – szepnął Dariusz. – Spuchnie.
– Nie, dobrze robi – odparł Fraydey. – Spieszy się, zanim się zakwasi.
– Są różne szkoły – odparł olbrzym, opierając wielką łapę o pancierz Tura.
Pawłowska skończyła w tym czasie drugą dziesiątkę i jeszcze się nie zdyszała.
– Dobra jest. – Grubens uśmiechnął się.
– Nie chwalmy dnia – szepnęła Zdzira.
Zanim Alicja doszła do trzydziestej pompki, zaczęła głębiej oddychać.
– Mówiłem – rzucił Samul – zaczyna puchnąć.
– Ale uczciwie robi – zauważył Kubala – piersią dotyka gruntu.
– Z takimi piersiami to nie problem – odparł po inżyniersku Skarpeta.
W okolicach trzydziestej piątej pompki Alicja zwolniła, ale wciąż parła do przodu.

Czterdziestą pompkę zrobiła jeszcze wolniej.

– Chyba jej się uda, co? – szepnął Diabeł do Mojżesza.

– Wszystko zależy od tego, jak rozłożyła siły – rzekł Jacenty.

Czterdziesta piąta pompka była już znacząco wolniejsza od poprzednich, a czterdziesta szósta została wykonana jakby w zwolnionym tempie. Prawe udo wojowniczkę zaczęło drżeć.

– Kurwa, słabnie – stęknął Dragon.

Pawłowska zaczęła czterdziestą siódmą pompkę, lecz zamarła w niskiej pozycji, ciężko dysząc.

– I co powiesz, sierżancie? – spytał Orłowski. – Wszystko? Coś słabo jak na to „wszystko”. Wymagam od was tylko pięćdziesięciu pompek. POLOM-i robią takie z tym samym obciążeniem. Jesteście gorsza od Grunmorów?

– Jestem... – sapnęła sanitariuszka – kurwa... lepsza!

Podniosła się i za chwilę, przy akompaniamencie długiego jęku, zrobiła czterdziestą ósmą pompkę.

– Jeszcze dwie – rzekł płacząco Machaj do żony.

Alicja zeszła na dół na trzęsących się rękach. Trzęsły się jej brzuch i uda.

– Kurwa! – Samul złapał się za głowę. – Zapomniałem o torbach BTM! Ona nie ma dodatkowych dwudziestu, ale trzydzieści kilogramów!

– Ja pier... – Tygrys zakrył usta.

Pawłowska zaczęła krzyczeć. Darła się wniebogłosey i wreszcie podniosła ciało, kończąc czterdziestą dziewiątą pompkę.

Orły zerknęły na dowódcę.

– Serż – szepnął do niego Szaman – ona sobie zerwie mięśnie.

Jednak Orłowski stał niewzruszony. Oczy miał nieruchome i pozbawione wyrazu. Nawet rudowłosa Podkalicka otarła pot z czoła, patrząc na udętkę ćwiczącej.

– Poddajesz się, Alicja? – szepnął Orzeł. – Poddaj się i odjedź z panią plutonową. Ona się tobą zaopiekuje. Nie będzie ci źle w stolicy.

– Mam! – ryknęła Pawłowska, schodząc ku ziemi na trzęsących się rękach. – W dupie! – Zawisła centymetr nad podłożem. Trzęsły się torby BTM, trzęsły się płyty pancerza, trzęsła się jej grzywa, a na ulicy pod jej twarzą utworzyła się plama potu. – Mam w dupie stolicę! – charknęła. – Mam w dupie generała i wszystko inne! – Zaczęła się unosić i już nic nie mówiła, tylko ryczała jak lwica. Ryczała i centymetr po centymetrze wspinała się wyżej i wyżej.

Mardok, zdjęty jej cierpieniem, rzucił się, by jej pomóc, ale Orzeł powstrzymał go ruchem ręki.

– Dziki!

Jary przełknął ślinę i zatrzymał się w pół kroku.

Pawłowska wydobyła z siebie wściekły ryk, uniosła się jeszcze wyżej, ale za chwilę opadła, niemal dotykając podłoża.

– No i koniec – zawyrokował Samul.

– Srrrroniec! – ryknęła kobieta i głęboko odetchnęła kilka razy.

Widać było, że zbiera wszystkie siły. Góral zaczął po cichu recytować rotę Grunmorów, jakby jej słowa miały dodać sanitariuszce energii.

Warcząc jak wilczyca, zaczęła się unosić. Po chwili warczenie przeszło w ryk, a ryk zamienił się w pisk i rżenie, ale centymetr po centymetrze dziewczyna wspinała się. Nie było w tym momencie człowieka, który nie chciałby jej pomóc, chwycić za ręce i podnieść, kończąc okrutny

test. Wszyscy patrzyli na Orłowskiego błagalnie, ale jego twarz była jak z kamienia. Sanitariuszka zakołysała się z boku na bok i zablokowała wreszcie prawy łokieć. Potem, pomagając sobie rzutem bioder, zablokowała lewy, a Orły ryknęły radośnie, bijąc brawo.

Dziewczyna przetoczyła się na bok, odetchnęła kilka razy, włączyła omdlałą ręką siłowniki Chorsa i nieco się chwiejąc, wstała.

– Na rozkaz – wycharczała, cała mokra.

Major patrzył na nią długo, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Witaj w batalionie – rzucił w końcu, a na jego słowa Orły ryknęły jeszcze głośniejsze. – Będziesz żołnierzem specjalnej troski. Do wszystkiego.

– Tak jest! – Pawłowska z trudem zasalutowała i uśmiechnęła się.

– Pojedziesz z Okiem. Porewitem.

– Ku chwale!

– Kapitan Miktus? – Orłowski spojrzał na medyczkę.

– Tak?

– Niech pani poda jej coś przeciwwzpalnego. Ma być sprawna.

– Tajest.

– Panie majorze. – Funkcjonariuszka żandarmerii wydawała się zdezorientowana. – To podpisze pan te rozkazy?

– Co? A tak. Że przyjmujemy sierżant Pawłowską do jednostki.

– A drugi? O chorążym Wiechuckiej?

– Prawda – odparł major i raz jeszcze dokładnie przeczytał dokument. Uśmiechnął się krzywo.

– Bardzo mi przykro, plutonowa, ale zaszła jakaś pomyłka.

– Jak to?

– Tu jest napisane – Orłowski stuknął palcem w papier – żebym wydał pani Ewelinę Wiechucką.

– Zgadza się.

– Myli się pani, plutonowa. Nie zgadza się. Nikt taki w batalionie „Orzeł Biały” nie służy.

– Jak to?

– W moim oddziale służy chorąża Ewelina Wiechucka-Zgud. Więc, rozumie pani, szukacie kogoś innego. Ot, buchalteryjna pomyłka.

Wojowniczką zamrugła.

– Ale... w takim razie co z sierżant Pawłowską?

– Jest już przyjęta, rozkaz odebrany, podpisany.

– Ale...

– Miłego dnia, plutonowa.

– Ale...

Funkcjonariuszkę żandarmerii stuknęła w ramię Dana.

– Masz, ślicznotko, pączusia na drogę.

W tym momencie do ich uszu dotarł metaliczny dźwięk silnika Syreny, zobaczyli pick-upa mijającego od prawej kolumnę, po czym rozległ się zgrzyt hamulców i wyskoczyła z niego Martyna.

– No, a myślałam już, że was zgubiłam! Musiałam zatankować! – Rozejrzała się ciekawie. – Co mnie ominęło?

Martyna towarzyszyła im tylko do Serocka. Za tym ślicznym miastem odbiła w prawo i pożeglowała Syreną na wschód, aby przez Wyszków, Sokołów Podlaski i Siemiatycze dotrzeć do garnizonu w Starym Bublu. Mogła oczywiście wybrać szybszą drogę i wyjeżdżając z Legionowa, od razu wbić się na A2, ale chciała przez kilkadziesiąt kilometrów jechać w konwoju Orłów. Ich wielkie pojazdy, polatujące drony i Perun uspokajały jej duszę. Wiedziała, że gdy się od nich odłączy, spadnie na nią samotność, a z nią wątpliwości i tęsknota. I tak się stało, kiedy tylko skręciła w prawo, machając ostatni raz do zamykającego konwój Jaryła.

Jej facet, major Marcin „Flystar” Rutka, był cudowny, jednak nie widzieli się już od roku i teraz samozwańcza najemniczka zdała sobie sprawę, że bardziej tęskni do Sarenki i Opty, a nawet do Orłów, niż do Flystara. „Co myśmy zrobiły? – zadawała sobie pytanie, ściskając kierownicę. – Co myśmy zrobiły? Miałyśmy pracę, stabilizację, spotkania, przyjaźń. Teraz ja zapierdalam na wschodni kraniec Twierdzy niby z miłości, niby z obowiązku, a tak naprawdę to nie wiadomo po co, Aśka wstąpiła do armii i tylko Ania zachowała rozsądek, ale też zostanie sama. W zasadzie to nie nasza wina, tylko wojny i tych Orłów, psia dupa. Namieszały nam w głowach obowiązkiem, przygodą i bliznami. Kurwa, co ja robię?”

Syrena mknęła wśród pól, mijała wsie, ludzi z ich zwyczajnymi sprawami, traktory, krowy, oblane słonecznym blaskiem lasy i dziewczyna coraz mniej pojmowała swoją decyzję, a ręce coraz bardziej ją mrowiły, by zawrócić. Coś w jej duszy szeptało: „Zawróć, wróć do rutyny, do znanych spraw, do zwykłego życia, ono jest takie słodkie!”. Był to biały lis spokoju. Ocierał się o jej nogi, dawał się głaskać, mamił wizjami relaksu i wygody, usypiał. Ale była też druga strona jej psyche: pragnąca zmiany, przygody. Był to czarny lis nieznanego, kłusujący duszę pytaniami o samorealizację, wsączający w nią tęsknotę za wyzwaniem. Warknął na białego rywala i zwarły się dwie siły w psyche Marty, a ta zacisnęła usta i mimo że z jednego, a potem także z drugiego oka popłynęła łza, parła dalej na wschód.

Tymczasem kolumna Orłów posuwała się w dość słabym, ale za to ekonomicznym tempie na północny wschód i w okolicach szesnastej trzydziści dotarła na przedmieścia Sejn. Tam skręciła z wiodącej na północ trasy 663 na trasę 653 i ruszyła w stronę obozowiska Zielonej Przyszłości, które, jak pamiętamy, zostało rozbite między wsiami Dworczyko i Uroczyko, a dokładniej między niewielkimi jeziorami na północny zachód od drogi.

Zanim jednak tam dojechali, spotkali ich dwie dziwne przygody.

Najpierw, gdy jechali już drogą numer 16 i mieli dosłownie dwa kroki do celu, sunący na szpicy członkowie Oka z Cezariuszem i Alicją zaczęli o czymś głośno dyskutować i tak się tym podniecili, że aż stanęli. Skoro stanął pojazd zwiadowców, zatrzymał się też cały konwój, zgrzytając oponami tudzież gąsienicami po nieco steranym asfalcie.

Stawniak, zawiadująca kamerą na lewej burcie Tura, zwróciła jej obiektyw do przodu i wyświetliła na ekranie Orłowskiego przybliżenie tego, co i tak widział przez wąskie okno pojazdu. Przy rozwidleniu dróg stał rosły drewniany krzyż, o który oparto kilka drabinek. Wokół krzyża krzątało się kilku mężczyzn, a na jednym z ramion siedział okrakiem gość wyglądający na księdza i z wywalonym na wierzch językiem przycinał belkę świętego symbolu za pomocą piły łańcuchowej. Przypominał trochę nawiedzonoego mnicha z horroru klasy B.

– Co on robi? – spytał Zgud, jak pamiętamy, nieco mocniej związany z chrześcijaństwem od reszty batalionu.

- Przycina krzyż – odparł beznamiętnie Kubala.
- Robi z niego... – zaczęła Stawniak, a Scorsese, zerkając na jej ekran, dokończyła:
- Miecz.

Orłowski nakazał Kubali podjechać bliżej, a i inne pojazdy konwoju otoczyły sakralny obiekt tudzież robotników.

- Dzień dobry! – rzucił dowódca, wygramoliwszy się przez górny wjazd Tura.
- A! – Dość młodo wyglądający kapłan uśmiechnął się do niego. – Szczęść Boże!
- No szczęść, szczęść – odparł major i zsalutował. – Major Sergiusz Orłowski, dowódca batalionu „Orzeł Biały”. Z kim mam przyjemność?
- Adam Boch, do usług. Proboszczem jestem w Dworcysku...
- To ta wieś przed nami? – Orzeł wskazał palcem.
- Ano ta.
- I co wy tu, proszę księdza, robicie?
- Ha! – Boch wyszczerzył zęby. – Modyfikację!
- Zamieniacie krzyż w miecz?
- No tak! Ma łeb ten Saulski! – roześmiał się kapłan.

Orłowski zerknął na Mardoka, który z innymi piechociarzami wypełził z Dażboga i prostował plecy. Ten dostrzegł spojrzenie majora.

- No co?! – spytał.
- Ty wiesz co! – warknął dowódca.
- To jakaś ogólnopolska akcja? – spytał Siekierzyński z otwartego wjazdu Jaryła.
- Chyba tak!
- Wszystkie polskie krzyże przydrożne zostaną zamienione na miecze? – spytał Zgud, który wychynąwszy z wjazdu obok Orłowskiego, grzmotnął głową w skierowaną do przodu raketę Diablątko.
- Nie wiem, panie kapralu – odparł ksiądz. – Trudno powiedzieć.
- Ksiądz wydaje się zadowolony z tej modyfikacji – rzucił Ktara.
- No jak mam nie być? – rzekł kapłan. – Orkom, proszę pana kaprala, drugiego policzka się nie nadstawia. To po pierwsze. Po drugie, Watykanu już nie ma, a wierchuszka Kościoła się posypała i, nie ma co się oszukiwać, struktura stała się płaska. Kardynałowie, biskupi... – Wykonał gest dłonią przy zuchwie i na moment upodobił się do Engelsa. – Inni się skompromitowali, wspierając Kaczuchę, jeszcze inni Bóg wie co robią, bo Kolaps dużo zmian przyniósł, dużo... Jeśli więc ktokolwiek coś tam nam sugeruje, to właśnie Saulski, świeć Panie i Świętowidzie nad jego światłą głową. – Zamilkł na chwilę. – I właśnie ze dwa dni temu przyszła wytyczna. Niby nikt nikogo do niczego nie zmusza, ale, proszę pana kaprala, jak w kościołach pustki, to taka zmiana logo dobrze może zrobić. – Ksiądz wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Poza tym renowacja od dawna się należała, bo spróchniałe drewno. A, i jeszcze jedno! – Boch uśmiechnął się już szaleńczo. – Pan Saulski obiecał, że kto przerobi krzyż na miecz, ten dostanie oficjalny miecz chrześcijanina z pierwszorzędnej stali ozdobiony godłem Twierdzy! Dobrze wyważony! Bojowy! No gratka, że tak powiem!
- Saulski kontratakuje – mruknął do siebie Fłaszka.
- I każdy ksiądz taki miecz dostanie? – spytała Zdzira.
- No każdy. Krążą też plotki, że jakiś czarny egzozskielet, wiecie, taki wojskowy jakby. I podobno pistolety z symbolem miecza.
- Ja pier... – wyrwało się Raczkiewiczowi.

- Pomysłowy jest Arkady – rzucił Orłowski.
- Pewnie! Więcej takich by się przydało! Ja, wie pan major, nic do Świętowida nie mam i tych innych Perunów, ale co Chrystus, to Chrystus.
- Bóstwo jak każde inne – mlasnął Raczkiewicz, przekładając cygaro z jednego kącika ust do drugiego.
- No nie dla mnie, za pozwoleniem – odparł kapłan.
- Flaszka, wystarczy – mruknął dowódca.
- Nie łatwiej było nowy zrobić? – rzuciła Zdzira. – Kupa pracy z taką przeróbką.
- Ano łatwiej – odparł jej z góry Boch – ale z tym co? Położyć? Spalić? Nie wypada, proszę pani.
- Racja.
- Ale nie ma ksiądz odczucia – odezwał się znowu Zgud, najwyraźniej poruszony widokiem – że to trochę takie... bezczeszczenie?
- Łe. – Kapłan machnął ręką. – Jakie to bezczeszczenie? Zwykła ornamentyka. Krzyż zostanie. Będzie tylko taki... mieczowaty! Zresztą, panie kapralu, my tu wszyscy umiemy strzelać i ostrzem robić. A nowa filozofia pana Saulskiego, ta o buncie i myśleniu, bardzo mi się podoba.
- Mardok uniósł rękę i już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale spojrzał na Orłowskiego i zrezygnował.
- Co prawda niektórzy proboszczowie odpuścili, na przykład mój poprzednik. – Boch roześmiał się w głos. – Za twardy łeb na zmiany. Ale dla mnie sprawa jest idealna.
- A panowie co na to? – spytał Siekierzyński robotników.
- Ksiądz każe, my robimy, panie. I wiadomo, na krzyżu się umiera, a mieczem się napierdala. Miecz lepszy.

Pożegnali się z proboszczem, życząc powodzenia przy obróbce, a on, nie czekając, aż konwój ruszy, odpalił piłę i zaczął przycinać drewno, obowiązkowo wywalając jęzor.

- Ja pierdziu – sapnął Zgud, siadając przed swoimi ekranami.
- Boli serduszko? – spytał Kubala.
- Odczep się, bezbożniku.
- Wypraszam sobie. Perun jest zawsze w moim sercu.
- O to mi chodzi.
- Nie martw się – Tygrys rzucił do Kubali ze swojej wieżyczki. – Runa go wyprostuje. O ile znam się na babkach, to twarda sztuka.
- Ja ci dam sztukę – warknął Zgud.
- Ujechali może pół kilometra, gdy Farin gwałtownie dał po hamulcach, a pojazd, zarywszy oponami w kruchy asfalt, stanął dęba i opadł, by zakołysać się na amortyzatorach.
- Co jest? – Szczyrbowski zerknął na ekrany.
- Orłowski znał już odpowiedź, ale nie komentował widoku z przedniej kamery Porewita.
- Dojeżdżali do Dworczyńska, którego czerwone i niebieskie dachy świeciły, odbijając lazur nieba, gdy na drogę, niemal tuż przed pojazdem Oka, wyskoczyła drobna, ubrana w czarną ramoneskę istota przypominająca z grubsza młodą kobietę o przyciętych na jeża czerwonych włosach. Na jej szyi świeciła obroża z ćwiekami, a z uszu i nosa zwieszały się kolczyki.
- Co, do...?! – krzyknął Cezariusz prowadzący wóz.

Siedzący obok niego Wampir wytrzeszczył oczy, widząc, jak dziewczyna pochyła się nad drogą i czegoś wypatruje.

– Hej, obywatelko! – krzyknęła sierżant Alicja Pawłowska obsadzająca przedni ciężki karabin Siwa. – Śmierci szukasz?

Czerwonowłosa podniosła się z kucek i wskazała załodze Porewita coś na asfalcie.

– Ślimak przechodzi przez drogę – oznajmiła.

– Co? – Wampir jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy i wyskoczył z kabiny. – Ślimak?

– Ślimak – odparła dziewczyna.

Gadziński podszedł i spojrział na stworzenie, które istotnie próbowało sforsować drogę, w typowym dla siebie tempie.

– Chyba nie zamierzasz nas wstrzymywać do czasu, aż to coś przejdzie szosę?

– Ależ nie. – Czerwonowłosa uśmiechnęła się, podniosła ślimaczka, ucałowała go w dziubek, czy co tam ślimaki mają z przodu, i przeniosła na pobocze po drugiej stronie drogi. – Już – oznajmiła, po czym podeszła do Wampira z wyciągniętą ręką. – Anna Gołębowska. Mieszkam w Dworczyску. Mamy tam siedemdziesiąt trzy psy, w tym dwadzieścia dwa bezpieczne, osiemdziesiąt pięć kotów, w tym dwadzieścia trzy dochodzące, dwójkę włóczęgów, pięciu pijaków...

– Dokarmiasz ich? – roześmiał się Fraydey.

– Oczywiście.

Piatkovsky wybałuszył oczy, bo nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Da się jakoś przejechać to Dworczyско bez zatrzymywania się przed każdym kotem? – spytał nieco rozdrażniony Gadziński.

– Da się. Ale ze mną na pacy. Wszystko wam pokażę.

– Ja pier... – Wampir wcisnął komunikator. – Szefie, wziąć ją na Porewita?

– Przewodnik się przyda – padła odpowiedź. – Ale jeszcze raz się zatrzymasz, to ciebie potraktuję jak ślimaka. Oczywiście gdy ta pani nie będzie tego widzieć.

– Ucałujesz mnie, szefie?

– Ta. Ucałuję.

Wjechali zatem do Dworczyска i zaczęli mijać domy, sklepy i jadłodajnie, witani okazjnie przez mieszkańców wsi, a Gołębowska wszystko tłumaczyła.

– Ten staruch, co teraz piwo wychyla i ręką wymachuje, ten z wąsami siwymi na ławce siedzący, to Maciej Dybowski zwany Dalambertem. Dwa koty, dobrze odżywione. Historyk sztuki. Pożyteczny.

– Wykłada mieszkańcom historię? – zażartował Wampir.

– Nie. Pomaga wojom jakieś makiety stawiać, bo w filmie robił.

– Aha.

– A ten grubawy, z wąsikami i bródką – wskazała mężczyznę w nieokreślonym wieku, który zmierzał do tawerny „Ośła Łączka” – to pan Maroński. Tomasz. Nasz gminny artysta. – Wypięła dumnie pierś. – Wszystkie szyldy w Dworczyску i Uroczyску robił. Ogólnie strasznie lubi wypić, bo go żona wkurwia. – Roześmiała się. – Dlatego w barze siedzi i piwsko z kolegami pije. Pilnuję go, bo o artystów trzeba dbać. I czasami, jak się w nocy zagubi, odprowadzam do domu.

– Bardzo szczerze – skomentował Cezariusz.

– Widzicie tego gościa z taką grzywą rozwianą, co pana Tomasza dogania? Trzy psy i jeden kot. Kot czasami peregrynuje. To pan Andrzej Zaleśny. Współpracuje z Dalambertem w sprawie tych makiet itepe. Bo modelarzem jest. I też lubi wypić.

– A te dwa psy? – spytała Zadra, wskazując wesołe beżowe labradory pędzące chodnikiem.

Zadała to pytanie, pewna, że dziewczyna nie będzie znała odpowiedzi, bo przecież to niemożliwe, żeby znać wszystkie stworzenia w okolicy, lecz Anna odparła bez zastanowienia:

– Miki i Alba. Psiaki pani Sukiennik. Bardzo fajna kobietka. Prowadzi aerobik w obu wsiach. Ekolożka. Pomaga mi dokarmiać piesy. Ona bardzo wierząca ogólnie jest, znaczy się chrystusowa, ale niegroźna, o ile ktoś dobrze traktuje zwierzęta.

– Mnie się zdarza zjeść jakiegoś kurczaka – mruknął Fraydey.

– Nieśmieszne – odparła czerwonowłosa.

Gdy wyjeżdżali już z Dworczyńska, poznawszy historię niemal trzydziestu jego mieszkańców i takiej samej liczby psów tudzież kotów, machnął im ręką jakiś chudzielec stojący obok czegoś, co z grubsza przypominało dom połączony z przyczepą kempingową. Na podwórzu wałało się mnóstwo żelastwa, które właściciel posesji spawał, tworząc dziwne formy.

– Tylko nam letników nie wywoźcie! – krzyknął.

– Nie bój, Łukasz, nie wywozają! – odparła Gołębiwska.

– Ja się boję, że wywozają! – odparł mężczyzna. – Dopilnuj, Aniu, żeby nie wywieźli!

– Dobra, Łukasz!

Konwój minął mężczyznę, a dziewczyna wyjaśniła:

– To pan Łukasz Góralski. Dwa piesy. Jeden choruje na nogę. Góral to nasz didżej. Kilka lat temu rajd orków rozp... rozwalił mu dom i zabrały skur... niedobre orki wszystko, tylko mu płyty zostawiły, bo pan Góralski melomanem jest. I teraz w remizie puszcza przeboje.

– Bardzo ładnie – skwitował Wampir. – A co on mówił o tych letnikach?

– A o. – Dziewczyna wskazała mieniące się w promieniach słońca olbrzymie obozowisko na lewo od szosy.

Stały tam dziesiątki furgonetek, samochodów ciężarowych, cywilnych wozów przerobionych na bojowe, stały namioty, skrzyły się srebrem przyczepy kempingowe, błyskały jakieś płyty, sklecone z desek wieżyczki, powiewały zielone flagi na krzywych masztach i kręciło się mnóstwo ludzi.

– Letnicy – wyjaśniła dziewczyna. – Z Zielonej Przyszłości.

Ledwie konwój dojechał na skraj obozowiska, czuwający przed nim żandarm pokazał parking na obwodzie największego skupiska namiotów i wozy powoli, jeden po drugim, zajęły swoje miejsca, powarkując silnikami i zasnuwając okolicę spalinami, które na szczęście po chwili zostały rozwiane przez lądujący śmigłowiec. Drony wylądowały w swoich slotach na burtach Tura, a dookoła konwoju gromadziło się coraz więcej starych ludzi. Wielu z nich wyglądało na chorych, niektórzy podpierali się na kulach, a było też sporo takich, którzy podjechali na wózkach inwalidzkich pchanych przez innych starsuszków.

– Ja pier... – mruknęła Scorsese, widząc to zgromadzenie, i pstrykała swoją pancerną kamerą fotkę za fotką.

Orłowski kazał Kubali wyłączyć silnik. Tur przestał mruzczyć, a jego wnętrze zalała miękka cisza. Zgud stęknął, podnosząc się ze swojego stanowiska, po czym otworzył wąż. Orłowski zszedł na dolny pokład i stanął w drzwiach.

Zobaczył morze ludzi patrzących na niego z przerażającą nadzieją w wyblakłych oczach.

Sztandar 8

Były pisarz, mesjasz namaszczonej oddechem Gotta i Szatana, ten, który zmartwychwstał, aby głosić słowo i dawać świadectwo, obudził się wśród pogorzeliśk, nie mając pojęcia, ile dni upłynęło, odkąd zawitał na polanę, gdzie śpiewano „Pójdź w koniu z paniami”, czy jakoś tak, gdzie rozgrywano mecze hokeja na trawie, teleturnieje *Ze Włojś of Rossija* i *Ju kien diens*, przeprowadzano wywiady z najznamienitszymi wojami i naparzano się w gronie własnym, z Ukraińcami tudzież protestującymi Białorusinami, pożerając co słabsze sztuki, oczywiście także w ramach jakiegoś teleturnieju... Robert Schmidt naprawdę nie wiedział, ile czasu upłynęło, bo non stop pił mocny spirytus, palił oraz żarł pagandogi, tańczył, biegał, strzelał piorunami, wygrał teleturniej *Taniec ze zwiëzdami*, podczas którego zmiażdżył (bez metafor) głównego konkurenta, a na koniec, nieco znużony, zapadł z tymi, którzy przetrwali te ekscesy (także bez metafor), w kojący sen, wszystko to zaś na rozgrzanych lipcowym słońcem łąkach Białorusi.

Teraz potrzęsał łbem, starając się dociec, jak długo to wszystko trwało, ale jego rozważania były co chwila przerywane dziwnymi obserwacjami. Na przykład śwędziała go w różnych miejscach skóra, lecz gdy się drapał, nie przynosiło to ulgi. Osobliwie bolała go też kość ogonowa i miał tam jakiś guz. Odnotowawszy to zjawisko, podejrzliwie spojrzął na kumatego, średnio kumatego i niekumatego, którzy podsypiali nieopodal, po czym ze zgrozą stwierdził, że ktoś wyszarpnął mu z czeluści tampon, który chronił go, odkąd opuścił pałac wroga. Ale śpiący mieli tak słodkie i niewinne pyski, że trudno było ich podejrzewać o sodomie czy gomorie. Ponadto ubrany był Schmidt jakoś dziwnie. Pióra żarptaka zetlały, jakby je ktoś podpalił, czacha Ixiego przesunęła się na biodro, brezenty, które miał na sobie, gdy przybył do wschodniej krainy, gdzieś się ulotniły, a zamiast nich ujrzał dzielny nasz Schmidt bluzę białą w drobne niebieskie pasy, zszytą z dwóch czy może trzech bluz, dziurawą w niezliczonej liczbie miejsc, lecz jakimś cudem opinającą jego wielkie ciało. Na barkach walał mu się kołnierz z kilku bobrów, już trochę nieżywych, za to przyszytych do wydzierganych przez kogoś barwnych chust. Autoklawy i pasy, na których trzymały się medyczne pudła, zniknęły, krocze i, za przeproszeniem, pośladki osłaniały mu skóry wilków czy innych dzików, a na kolanach miał nakolanniki hokejowe ledwie się trzymające z uwagi na olbrzymi obwód. Obmacawszy wszystkie te skarby i przesunawszy czaszkę Ixiego na właściwe miejsce, dostrzegł Robert, że w jego legowisku wala się oranżowa chusta z monetami, a gdy próbował ją podnieść, okazało się, że jest przyczepiona do Katuszy, czyli Myszki, która spała jednakowoż tak twardo, że olbrzym postanowił jej nie budzić i wgniół z powrotem w pogorzeliśko. Rozejrzał się i zobaczył dziesiątki klonów Walerii rozsypanych po błoniach i śpiących w najdziwniejszych pozycjach, a wśród nich chrapiącego Mikołaja Góreńskiego i resztę jego Krwawych Łabędzi. Wszyscy oni leżeli na kupie, z której pod różnymi kątami wystawały świerkowe gałęzie zakończone bożonarodzeniowymi bombkami. Dalej, ułożony na barwnych ciałach Gity i Gaty, spał Matwiej Harmoszka, a jego instrument zdawał się pochrapywać wraz z nim, obok nich natomiast poświstywał Dżejms Makdonald tudzież ślepy Szaryj z Gorimem. Zobaczył wreszcie Schmidt w oddali namioty, zapewne Kościeja i Walerii,

pomalowane w gwiazdy, gołe baby i karabiny AK, pod ścianą lasu zoczył zaś olbrzym trzy gigantyczne ciągniki Topole dźwigające wielkie psychaczowe łychy, a gdy jeszcze raz wszystkiemu się przyjrzał, dla odmiany zwracając uwagę na szczegóły, dostrzegł mnóstwo resztek po ucztach, głównie fragmentów orkowych ciał, i od razu poczuł głód. Zanim jednak sięgnął po sterczącą z pobliskiego barłogu całkiem zgrabną, nienależącą już do nikogo nóżkę, spostrzegł coś jeszcze. Oto u jego stóp walał się spory kawał kory brzoźowej, jakby zapisanej. Podniósł świstek ów i zobaczył zwarte szeregi cyrylicznych liter.

– Ktoś tu umie pisać? – mruknął do siebie i zaczął czytać na głos: – Zacny siłaczu, olbrzymi piorunociskaczu, wielki Gitlierze, druhu z zachodnich krain. – Obrócił w łapach korę, rozejrzał się i upewniwszy się, że nikt go nie słucha, czytał dalej: – My, wolni wojownicy Ukrainy i Białorusi, pozdrawiamy cię. Jaki z ciebie rycerz, skoro gołą dupą nie możesz jeża zabić, cicho, idioto, nie pisz tego, sam jesteś idiotą, chuju, tak mu pisz: zacny i wspaniały nadsiłaczu, na którego polecą każda laska, chi, chi, kurwa, nie kupi tego...

– *Mam wrażenie, że cię nie szanują* – rzucił, ziewnąwszy, Ixi.

– Cicho – mruknął Schmidt i dalej czytał już po cichu, a list brzmiał następująco:

„...proszę, rozważ naszą propozycję, olbrzymie niepowstrzymany. Oto widzimy, że jesteś zagubiony, a te podłe szuje, Rosjanie znaczy, napisz jeszcze: kutasy, cicho, nie podpowiadaj mi, gdzie skończyłem, a tu, zatem te podłe szuje Rosjanie mącą ci w głowie i wcale pomóc nie próbują, tylko poją spirytusem i laski naganają, fajna ta jego lala jest, ty, on z nią ślub wziął chyba, nie, no co ty, dajcie mu pisać, bo się pogubi, już się pogubił, gdzie skończyliśmy, a, tu, więc Rosjanie ci nie pomagają, napisz mu, i laski podsyłają, a my wiemy, zacny milordzie Gitlierze, że chcesz do swoich wrócić, do Niemiec gitlierowskich i kochanych przez duszę twoją, zacny rycerzu, jakim ty jesteś rycerzem, skoro jeża, cicho, kurwa. Więc mówimy ci, olbrzymie zielony, że oni ci nie pomogą, tylko zwiodą, oszukają, zalkoholizują i skorumpują, bo to są kagebiści, specnazowcy i pokraki Rasputina, Cara i Carycy w żopu jebanej. Czyli nie wrócisz do ojczyzny wyteśknionej szeroko nad błękitnym... jaka tam rzeka jest, wszystko jedno, pisz dalej, jeśli słuchać Rusków będziesz i wierzyć im będziesz. Ale my, zacny rycerzu, jaki ty rycerz jesteś, skoro jeża, niech ktoś mu ryj zatka z tym jeżem, więc zacny rycerzu, my pomóc ci możemy, jakieśmy Ukraińcy i Białorusini i jak wolność kochamy my, plemiona zniewolone przez ordę ruską. Wiemy oto, gdzie stacjonuje straszliwy okręt podwodny, który zawieźć cię może nie tylko do Ameryki, ale i do Australii, do Niemiec mu napisz, do Niemiec, jakie morze jest to u góry, co do Niemiec prowadzi, nie wiem, Kaspijskie czy Czarne jakieś, biał, nie pamiętam, ale jest takie jedno. No jest. Więc wiesz, cny rycerzu, jaki on rycerz, pierdolnij go, wiesz, cny rycerzu, że nie możesz wrócić do swoich przez kraj Poliaków, czyli Bliadych, nie wrócisz przez kraje straszliwych Słowaków i Czechów, którzy mówą swoją zabijają na miejscu najdzielniejszego rycerza, jakim ty rycerzem, ja pierdołę, zaraz mu przywałę! Zatem wrócić do swoich tylko drogą morską możesz, Gitlierze. A my mamy okręt. I tylko my go mamy, bo obecny tu wódz opozycji białoruskiej, Ozaru zwany Smoczym Jajem, Dragon Ballem w mordę, skrywa akumulatory do niego i tylko jego pomocnicy wiedzą, jak go uruchomić i na morze wyprowadzić, wiesz, jak to jest, cny rycerzu, zamknij mu mordę, bo jeszcze raz o tym jeżu usłyszę, cny rycerzu, wiesz, jak to jest z biegłymi w nauce i sztuce, i kulturze wśród Zielonej braci, no nie najlepiej jest, trochę jesteśmy prostsi od Bliadych, choć smacznych, to jednak chujów zagiętych. Więc niewielu jest wśród nas znających się na technice i mechanice, i innych tych pierdołach takich, no wiesz jakich, a my mamy speców od okrętów i mechaniki. I obiecujemy ci na świętości wszystkie, cny rycerzu, wsadźcie mu bobra do gęby, najlepiej nadziewanego jeżem, że zawieziemy cię do Niemiec, jeśli spełnisz jedną naszą prośbę, a oto jaką. Zabij, kochany Gitlierze, Rasputina, Carycę i Cara. Zabij ich tak, jak jeża dupą zabijasz. Dla ciebie to niczym pierdnięcie o zmierniku. Piękne i łatwe zarazem. Jeśli zabijesz ich, siłaczu nad siłacze, obiecujemy, że okrętem podwodnym do ojczyzny cię zawieziemy, tak nam dopomóżcie wszystkie siły świata wolnego od przeklętej floty ruskiej i bogowie żywi i nieżywi, amen

i kurwa mać. A i jeszcze mu napisz, że cały czas obserwujemy go z ukrycia i żeby się nie martwił, bo się z nim będziemy kontaktować, napisałeś mu? No dobra, bo zaraz będzie *Taniec ze gwiazdami*, nie zasłaniaj, kurwa, esemesy już trzeba pisać...”.

I tak oto kończył się dziwny list na korze brzozy spisany, a zaadresowany najwyraźniej do Schmidta. Czytając go, Überwunder zaczął przywoływać dziwne sceny, podczas których Białorusini i Ukraińcy wzięli udział w jakimś turnieju i chyba nawet coś wygrali, a Rosjanie, tak pijani i rozochoceni, że niezwracający uwagi na to, kto jakiej jest narodowości, nagrodę im przyznali. Potem była obowiązkowa burda, obowiązkowa konsumpcja napojów i zakąsanie...

Nagle Roberta zmroziło i dzielny nasz były pisarz spojrzął raz jeszcze na brzozy list, a w szczególności na fragment „*on z nią ślub wziął chyba, nie*”. Chociaż orki pocą się słabo, czoło Schmidta natychmiast pokryło się licznymi szmaragdowymi kropelkami i dopiero w tym momencie olbrzym dojrzał na jednym ze swoich paluchów ogromną, w niewielkim tylko stopniu zardzewiałą, osmaloną nakrętkę.

- Co to jest, bliat?! – zaklął.
- *Zrusyfikowali cię* – skomentował Ixi.
- Pamiętasz coś z tego ślubu?
- *Nie bardzo. Chyba spałem, chociaż strasznie hałasowałem.*
- Nie, to, verfluchte, jakieś nieporozu...
- O, obudził się nasz żonko! – powitał go wesoło Kościej.

Olbrzym odwrócił się, by zobaczyć rosochatego Zielonego, któremu towarzyszyła Waleria oraz idący na łańcuchu Szary. Tuż za nimi przetaczał się Majselbaum zachowujący się tak, jakby miał przykręcić czy odkręcić jakąś śrubkę w ubraniu kogoś z tej czwórki, a za nim podążała, pomrukując gniewnie, Jekaterina Humelt.

- Żonko?! – spytał Schmidt, nie śmiejąc wskazać na wciąż śpiącą Myszkę.
- Ano żonko! – Waleria roześmiała się. – Gitlier, ty nasz już jesteś. I żamprezę zaliczyłeś naszą, nastojaszczą.

– Ile to trwało?

– Któż to wie? – westchnęła Waleria. – Rosyjska biba, Gitlier, trwa, aż skończą się pieniądze, a ponieważ nie mamy pieniędzy, trwa, aż skończą się dostawy spirytusu, co trwa z reguły około dwóch tygodni.

– Mein Gott! – jęknął Schmidt.

– Czas najwyższy, Gitlier – ponowiła Repnin – żebyś poznał nieco wyższe kręgi, bo czadu podczas teleturniejów dałeś, oj, dałeś...

– Ledwośmy dobytek uratowali – roześmiał się Kościej.

Robert rozejrzał się raz jeszcze i zaczęło do niego docierać, że wszystkie te spalone pasma ziemi, te ślady po zwęglonych ubraniach, te upieczone giczoły i inne części ciała to...

– Moja sprawka? – Potoczył łapskami dookoła. – To moja sprawka?

Kościej wyszczerzył krzywe, żółte zęby.

– Ja umiem strzelać piorunami, ale to, co ty wyprawiałeś... Mmm! Poezja!

– Usłyszała o twoich wyczynach Rasputin – odezwała się Waleria – i koniecznie chce cię zobaczyć. Podwieziemy cię... z małżonką Topolem. – Wskazała stojący niedaleko pojazd. – Majselbaum, ruszysz się wreszcie?!

Mordehaj Majselbaum mruknął coś śpiewnie, po czym przetoczył się w bok, jakby w geście zażenowania.

– Zapraszam, zapraszam – sapnął – ale... Gitlier nie zmieści się do kabiny z Myszką, więc na pakę bym prosił, jeśli łaska.

– Co za brak kultury. – Jekaterina pokręciła głową, czym strasznie zgnębiła Mordechaja.

Waleria wskoczyła na Anatola, swego zielonego konia, a Kościej gwizdnął i nie wiadomo skąd pojawiło się czterech rosłych Zielonych niosących wielki, pozbawiony oparcia tron na platformie, do której przymocowano cztery drągi. Rosochaty Engels wdrapał się na platformę, a po chwili podjechała ciężarówka i tron został ustawiony na pace. Obudzono Szarego oraz jego dozorcę i kazano im się załadować na pokaźnego UAZ-a. W tym czasie Gitlier, to jest Schmidt, wyciągnął za chustę Myszkę, która wciąż spała, i zarzucił ją sobie na ramię, w drugą łapę chwycił urwaną nogę, co ją zobaczył wcześniej, między palce ujął krawędź wora, w którym trzymał kości Ixiego, podbiegł do ciągnika Topola-M, po czym, niby Hulk albo inny Tarzan, wykonał jeden sus i już był na dachu pojazdu.

– To się nazywa pałer – gwizdnął Majselbaum.

– Nie pitol, tylko włącz w pojazd i wracamy do władcy! – nakazała Humelt, popychając orka do kabiny.

I tak wyjechali z magicznej polany, na której tyle ciekawych rzeczy się działo, i podążyli na wschód. Überwunder, kołysząc się na dachu olbrzymiego pojazdu, dłuższą chwilę zastanawiał się, jak długo będą jechać, bo z tego, co pamiętał, sięgając do swoich ludzkich, nader mglistych wspomnień, Moskwa znajdowała się niewyobrażalnie daleko. Rozważając to i patrząc z niepokojem na twardo śpiącą Myszkę, sięgnął wreszcie po to, po co sięga każdy mężczyzna, gdy nie wie, co robić – po jedzenie. Urwany na wysokości kolana giczół ślicznie pachniał. Oczyszczył go Schmidt z sadzy, powąchał jeszcze raz i poczuł anielską błogość. Na Gotta, jak ta nóżka waniała! Nie była już świeża, zdążyła skruszeć i nieco nawet nabrać patyny, niczym ser pleśniowy, ale dobry towar pięknie się psuje... Trzepnął w nią raz i drugi, by ostatecznie wytrząsnąć kurz, i zdziwił się niepomniernie, bo gicz nie była zielona, lecz verfluchte, różowa! Różowa gicz na żamprezie? Jak?!

Zdania historyków są podzielone. Jedna z wersji wyjaśniających obecność ludzkiej nogi na rosyjskiej bibie mówi, co następuje. Oddział Licho, czyli kapitan Damian „Piekielnik” Podoba, porucznik Mateo „Szwajcar” Jakubowski oraz porucznik Anna „Matka” Bieniek, odnalazł obie pluskwy zgubione przez Schmidta w trakcie jego peregrynacji i podążył za seledynowymi plamami krwi dobrze widocznymi w ultrafiolecie oraz nieco bardziej oczywistym śladem wielkich opon ciągnika Topola, które wydrążyły w leśnej ściółce duże koleiny. Takim oto sposobem trójka wojowników w Takantach, czyli szczelnych kombinezonach taktycznych, znalazła się w pobliżu łąki, na której warowały większe oddziały Walerii Repnin i Kościeja, a trafiła mniej więcej na początek teleturnieju *Młastier Szief*.

– Co oni robią, szefie? – spytał Mateo, gdy wraz z Piekielnikiem obserwowali zgromadzenie.

– Nie mam pojęcia. To obozowisko, ale nie widzę strażników.

– Czują się pewnie na swoim terenie.

– Będą chodzili w las szczać i srać, jeśli w tym względzie przypominają ludzi – szepnęła Matka.

– Słuszna uwaga, Bieniek – rzekł Podoba. – Nie możemy ryzykować wykrycia, a tutaj

jesteśmy skrajnie narażeni.

– Co robimy? – spytał Mateo.

Dowódca rozejrzał się. Wokół rosły sosny, dęby i brzozy. Kilka dębów wyglądało na wygodne do wspinaczki. Drzewa te, jak wiadomo, mają konary odchodzące od pnia pod kątem prostym, a gdy postoją dostatecznie długo, gałęzie są grube i bezpieczne. I takie tam właśnie rosły.

– Matka włązi na tamto – wskazał palcem drzewo najbardziej oddalone na prawo – ty, Mateo, na to – pokazał bliższy dąb – a ja wejdę tam – zakończył, wskazując drzewo na lewo od oddziału.

– To nas unieruchomi – zauważyła Bieniek.

– Jeśli nie zdradzą nas potrzeby fizjologiczne, damy radę.

– Nie wiadomo, jak długo będziemy musieli tu tkwić – mruknął Mateo.

– Nie wiadomo, poruczniku. Zapomnieliście wziąć podusi?

– Zapomniałem.

– No to wasza strata. Wykonać.

Najpierw, osłaniana przez mężczyzn, wspięła się Bieniek, potem osłoniła razem z Podobą Matea, a na końcu, pod czujnym okiem pozostałej dwójki, wdrapał się na wysoki konar Piekielnik. Znalezienie odpowiedniej gałęzi i kąta obserwacji trochę potrwało, a w tym czasie Matka zameldowała:

– Widzę drania.

– Ja też – potwierdził Szwajcar.

– No to jest nas trójka – szepnął Damian, także odnalazłszy Gojirę.

– Siedzi z nim jakaś ślicznotka – zauważył Mateo.

– Lecisz na Zielone? – spytała Bieniek.

– Zamknąć się – warknął Piekielnik. – Dajcie się skupić. Gojira może zabawić tu godzinę, dwie albo i dobę. Potem ruszy dalej albo, przeciwnie, zawróci. Powinniśmy wstrzyknąć mu dodatkową pluskwę lub dwie.

– Ale jak? – spytał Szwajcar. – Jeśli teraz strzelimy, na pewno poczuje.

– Musimy poczekać.

– Na co?

– Na okazję, poruczniku, na okazję.

I okazja, jak wiemy, pojawiła się zaraz po tym, jak Michał Osipowicz Milczarskij przegrał *Młastier Sziefą* i stał się głównym daniem imprezy czy też – raczej powinniśmy powiedzieć – daniem pierwszym. Na łące nastała ogólna radość, wszyscy zaczęli pić, a Gojira razem z innymi.

– Jest dobrze, szefie – ucieszył się Mateo. – Jak się uchleje, nie poczuje ukłucia.

– Pamiętajcie, że orki szybko metabolizują wszelkie dragi, alkohol też.

– Rosjanie piją tylko spirytus – mruknęła Bieniek.

– Całe szczęście. Mateo – szepnął Podoba – wyciągnij spluwę strzelającą pluskwami, ale strzelisz dopiero na rozkaz.

– Tak jest.

– My z Matką ubezpieczamy cię. Tylko niczego nie upuść.

– Tea.

Na wyczekiwaniu minęła następna godzina, lecz skłamałby historyk, który twierdziłby, że był to czas nużący. Przeciwnie, członkowie Licha co chwila wybałuszali oczy ze zdziwienia, bo chociaż dość dobrze znali nieprzewidywalne zachowania wschodnich orków, takich ekscesów

jeszcze nie widzieli. Oto Zieleni rozciągnęli na ziemi długi kawałek brudnego materiału.

– Co to jest? – szepnęła Bieniek.

Po chwili grajek męczący harmonię przydzwonił głośniej, dwie wyglądające na Cyganki orczyce ruszyły w tany, a po szmacie zaczął iść Engels nawet jak na Zielonego dziwnie ubrany. Miał na sobie kilka kartonowych pudeł przywiązanych do rąk, tułowia i nóg, a kroczył, wypychając biodra na boki, stopy zaś stawiając nie jedna obok drugiej, ale jedna przed drugą, jakoś tak na krzyż.

– Co. To. Kurwa. Jest? – powtórzyła Matka.

Na obserwującego to zjawisko Matea spłynęła łaska olśnienia.

– *Top Model* – odparł chrapliwie.

– Osiągnęliśmy koniec internetów – zapewniła porucznik i jakoś tak dziwnie odchrząknęła.

Za pretendentem ruszyli inni uczestnicy programu, a co egzemplarz, to ubrany był bardziej interesująco: a to w jakieś sznury, a to w blachy, a to w końcu w piórka wetknięte wszędzie tam, gdzie wetknięte być mogą. Woje patrzyli bez słowa na zmagania, a po kilku kwadransach współzawodnictwo Zielonych tak ich wciągnęło, że po cichu zaczęli typować. Przytomność umysłu zachował na szczęście Podoba, cały czas obserwujący Gojirę, który z programu na program i mord po mordzie (nie musimy chyba wyjaśniać, że przegrani byli zjadani) upijał się i upalał coraz bardziej, a z nim reszta czeredy.

Mniej więcej po czterech godzinach, gdy konary drzew zaczęły już mocno uwierać wszystkich członków oddziału, Piekielnik stwierdził, że czas podjąć działania, bo a) długo już na gałęziach nie wytrzymają, b) orki są potężnie napite, zaczynają wariować, trwają pierwsze mordobicia i generalnie tumult na łące jest już tak wielki, że chyba lepszych okoliczności nie znajdą, i c) nadciąga świt.

– Mateo – szepnęła – wykonaj próbny strzał. Między łopatki. Tam skóra jest najmniej unerwiona.

– Ale on ma tam jakąś chustę, szefie.

– Racja. To niżej, w okolicy lędźwi.

– Roger that...

Gojira akurat się nachylał, wypinając do nich odpowiednią część ciała, a jakiś inny biesiadnik nalewał mu alkohol. Piekielnik usłyszał charakterystyczne szczęknięcie broni Szwajcara, a olbrzym lekko podskoczył i machnął łapą, jakby się oganiał od komara.

– Bieniek, obserwuj – warknął Podoba.

Kobieta miała przy oczach lornetkę.

– Podrapał się skurwiel – szepnęła. – Zerwał. Zerwał.

– Mateo, powtórz operację – rozkazał Piekielnik.

– W co?

– W łydę. Ma teraz prawą wystawioną.

– Dużo mięśni.

– On ma same mięśnie.

Kapitan znowu usłyszał stuk karabinu Szwajcara i syknięcie z lufy.

– Trafiony – zameldowała Matka. – Próbuje się podrapać, ale omija pluskwę. Odpadła. Odpadła, cholera.

– Niemożliwe – sapnął Mateo.

– Możliwe.

– Dobra, Szwajcar – stęknął kapitan. – Poczekaj, aż się obróci bokiem. Strzel w brzuch.

– Tajest.

Oczekiwanie chwilę trwało. W tym czasie zaserwowano Gojirze coś, co Bieniek zidentyfikowała jako muchomor zawinięty w liść łopianu.

– Narkomani – skomentował porucznik.

Schmidt wywrócił oczy z rozkoszy i rozluźniwszy się, opadł na barłóg, odsłaniając brzuch.

– Teraz – syknął Piekielnik.

Karabin Szwajcara ponownie syknął.

– Trafienie – zameldowała Matka. – Drapie się...

– Kurrwa, niech przestanie – jęknął Jakubowski.

– Drapie się... – ciągnęła Anna. – Zerwał.

– Ja pier... – stęknął Mateo. – Szefie, to nie ma sensu.

– Zgadzam się. – Kapitan spojrział na jaśniejące niebo. – Robi się niebezpiecznie – szepnął. – Wycofujemy się i pomyślimy, co dalej.

Zsunęli się z dębów i bez przeszkód oddalili trzy kilometry na północny wschód, gdzie pośród rzadkich drzew znaleźli opuszczoną chatę.

– O co chodzi, szefie? – spytał Mateo. – Naukowcy wbili mu dwie pluskwy, a nam nie udało się nawet jednej?

– Byli bliżej – odparł Piekielnik – a olbrzym był tuż po zmartwychwstaniu. Pewnie nie napełniły mu się jeszcze te ciała jamiste.

– Czyli co? Trzeba mu z bliska przywalić?

Matka pokręciła głową.

– To nic nie da. Ciecz nienewtonowska zadziała jak skała. Im większą siłę przyłożysz, tym twardsza będzie skóra.

– Czyli kwadratura koła – szepnął Jakubowski.

– Jest jeden sposób – mruknęła Bieniek.

– Jaki? – spytał Podoba.

– Wcisnąć mu te pluskwy. Delikatnie i powoli. Własnymi palcami.

– Oszalałaś – rzekł Piekielnik.

– Nie. Będą coraz bardziej pijani, nawąchają się muchomorów, staną się senni. Rosyjskie żamprezy czasami trwają kilka dni. Wystarczy, że odczekamy do nocy. Zakradnę się tam i wcisnę chujowi kilka pestek.

Podoba pokręcił głową.

– Odważne, ale nie ma zgody.

– Na razie nie ma, ale będzie.

– Bieniek.

– Szefie, widać, że Gojira już się zaprzyjaźnia z Ruskimi. Otumanią go, upiją, znarkotyzują i pójdzie tam, gdzie oni chadzają. To ostatnia szansa, żeby go zaobrączkować. Teraz, póki siedzi blisko brzegu obozowiska. Potem, jak się zaaklimatyzuje, nie podejmiemy do niego.

– Ale jak się zaprzyjaźnił – odezwał się Mateo – to nie ma ryzyka, że wróci.

– Jest podwójne – odparła porucznik. – Zaprzyjaźni się, zostanie wodzem i pociągnie do nas całą watahę.

– O w mordę...

– Musimy wiedzieć, gdzie jest.

Podoba pochylił się, jakby coś przygniotło mu plecy.

– Matka ma rację. Ale wszystko po kolei. Najpierw wietrzenie Takantów, potem posiłek. Skontaktujemy się z bazą, zobaczymy, co oni powiedzą, a potem się prześpimy.

Chociaż członkowie Licha byli niewyczuwalni dla orków, wietrzenie kombinezonów było czynnością niebezpieczną. Dlatego procedurę tę, podobnie jak defekację czy mikcję, wykonywano w podobnym trybie – dwójka ubezpieczała, jeden człowiek działał. Bieniek została w chacie, a Mateo i Piekielnik skanowali teren na zewnątrz. Kobieta zdjęła strój i błyskawicznie umyła się bezzapachowymi chusteczkami. Oczywiście nie cała – wytarła tylko to, co najważniejsze, i tu historycy proponują, aby nie wchodzić w szczegóły. Potem ablucji dokonał Jakubowski, a na końcu Podoba i przyszła pora na kontakt z bazą. Mateo rozstawił małą radiostację i nawiązał łączność ze Starym Buble. Po chwili usłyszeli pułkownika Pawła Richerta.

– Licho? Jak sytuacja?

Podoba złożył raport.

– Imprezują? – zachichotał pułkownik. – Typowe, typowe... Jakież pomysły, co dalej z tymi pluskwami?

– Porucznik Bieniek twierdzi, że można by je wgnieść w skórę Gojiry, gdy ten będzie spał.

– Zwariowała?! Absolutnie się nie zgadzam.

Piekielnik spojrział na Bieniek z za szybki Takanta i uniósł brwi na znak: Nie mówiłem?

– Panie pułkowniku – odezwał się – jeśli olbrzym pójdzie dalej z Ruskimi, możemy nie mieć możliwości dokonania obserwacji.

– Wiem, kapitanie.

– Gojira wciąż stanowi zagrożenie dla Twierdzy.

– Wiem.

– Wykrycie go bez pluskiew, dzięki dronom, będzie praktycznie niemożliwe.

– Taa... Ale musicie znaleźć inny sposób. To zbyt niebezpieczne.

– Z całym szacunkiem, panie pułkowniku – powiedziała Bieniek – nie przypominam sobie, żeby Licho kiedykolwiek wykonywało bezpieczne operacje.

– Słuszna uwaga.

– Są coraz bardziej odurzeni spirytusem i muchomorami – ciągnęła Matka. – Jeśli uczta potrwa do nocy, a nie widzę innej możliwości, bo Zieleni wciąż ganiają z bańkami spirytusu, nad ranem będą tak narąbani, że bez trudu się tam wślizgnę. Od ściany lasu mam do Gojiry około stu metrów i tylko dwa barłogi z innymi orkami po drodze.

– Tylko? – parsknął Richert.

– W tym stanie nie odróżni mnie od orka.

– Tak mówicie, poruczniku?

– Tak mówię.

– Nie ma zgody. Obserwujcie i meldujcie. Dzisiaj w nocy otrzymacie zrzut od Horsta. Będzie to przekaznik. Umieście go wysoko na drzewie, a zyskamy dodatkowych pięćdziesiąt kilometrów od tego miejsca.

– O ile gigant będzie miał ze sobą pluskwę.

– No tak.

– Może w ubranie mu wczepić?

– Nie wiem, w co, Bieniek, ale twoja misja odpada. Wykombinujcie coś bezpieczniejszego. Skontaktujemy się z wami o dwudziestej pierwszej, żeby ustalić szczegóły zrzutu.

– Tak jest.

Jakubowski złożył radiostację, a potem wyznaczyli kolejność odpoczynku. Najpierw miała spać Bieniek, potem Mateo, a na końcu Piekielnik. Po cztery godziny każde. Nie odnotowali w tym czasie niczego nadzwyczajnego oprócz walki dwugłowego żarptaka z jakimś napalonym bobrem, nadzwyczaj agresywnym i mającym ochotę na międzygatunkową miłość. Pogodziła ich dopiero dwugłowa kuropatwa, która sama ze sobą toczyła tak zażarty bój, że w końcu połowę jej zjadł bóbr, a drugą żarptak, co ciekawe, tylko jedną gębą, bo druga śledziła bacznie obserwującego go Szwajcara.

Przed dwudziestą pierwszą ustawili na ziemi podczerwony marker, czyli świecąca impulsami prosto w niebo latarkę, której światło było dla ludzkich i orkowych oczu niewidzialne. Niedługo potem usłyszeli silnik lecącej wysoko Ważki kapitana Bohdana Horsta. Gdy tylko ładunek został zrzucony, zaczął błyskać podobnym podczerwonym światłem. Pocisk leciał szybko, niczym bomba, bo tylko w ten sposób mógł trafić w pobliże ich markera. Podoba śledził lot przesyłki z niepokojem, wiedząc, że jeśli automat spadochronu nie zadziałał nad ziemią, grzmot będzie spory, a i szkoda niemała. No i nieprzyjemnie byłoby oberwać ważącym kilka kilogramów obiektem pędzącym z prędkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Na szczęście bomba zwolniła na wysokości stu metrów, a pięćdziesiąt metrów niżej zaczęła opadać na niewielkim spadochronie.

– Jest – syknął Piekielnik i podbiegł do osiadającego na ziemi pakunku.

Ściągnął spadochron i wręczył go Szwajcarowi, który już wyciągał saperkę, by kopać dół, a sam wydobył z pojemnika transponder. Była to płaska skrzynka schowana w brezentowej skarpecie zaopatrzonej w kilka pasów.

– Dobra – szepnął. – Teraz na znajome dęby.

Po spożyciu batonów energetycznych i nawodnieniu się tudzież opróżnieniu pęcherzy i innych jam ciała trójka zwiadowców wniknęła w las, ubezpieczając się wzajemnie, a potem, rozpoznawszy dźwięki orkowej pijatyki, zbliżyła się do drzew oznakowanych poprzedniej nocy świecąca w ultrafiolecie farbą. Żołnierze wspięli się na nie i gdy porucznik Jakubowski montował przekaźnik, Matka i Piekielnik obserwowali teren.

– Ten sam układ – zameldowała Bieniek – Gojira pije i zre muchomory.

– A reszta ferajny bawi się w *X Factor*?

– Coś nas ominęło – mruknęła porucznik – widzę kawałki spalonej łąki.

– Jesteś pewna?

– Pewna nie, ale wygląda to tak, jakby między ogniskami palono... ogniska.

– Bardzo logiczna obserwacja, Bieniek.

– Dziękuję.

– Jak oceniasz Gojirę?

– Nawalony jak messerschmitt, ale jeszcze ruchawy.

– Zgadzam się. Musimy znowu poczekać.

– Mateo – szepnęła Matka – wzięłeś tym razem podusie?

Czuwanie w niewygodnej pozycji to chleb powszedni snajpera, ale druga noc spędzona na tym samym dębowym konarze to już wyczyn nawet dla POLOM-a. Członkowie Licha cicho stękali i kłęli, oczywiście z wyjątkiem Podoby, który nie zdradzał się ze swoim dyskomfortem. Jego ludzie mieli myśleć, że jest pozbawiony zakończeń nerwowych, niezniszczalny, twardszy od stali. A będą tak sądzili, gdy nie okaże przy nich ani strachu, ani zmęczenia. I jak dotąd to się sprawdzało. Podoba odbył wiele samotnych misji, podczas których nie było komu się poskarżyć, nawet kłąć nie było sensu, bo kto by tego słuchał? Były to tak zwane czarne zadania, o których oficjalnie nikt nie wiedział i których oficjalnie nikt nie wykonał. Zamierzał wiedzę o tych misjach zabrać ze sobą do grobu, gdziekolwiek kostucha ten grób mu wykopie. Bo, szczerze mówiąc, nie było się czym chwalić. Historycy twierdzą, że działalność Piekielnika jest nie do końca udokumentowana, de facto opierają się wyłącznie na przekazach ustnych, jednak pozwalają sobie na spekulacje, a te mówią, że po udanym zamachu na Kaczuchę część oficerów polskiej armii, nazywających siebie Cerberami, zawiązała tajną, nieoficjalną komórkę Hades. Czemu służyła? No cóż, pamiętajmy, że Kaczucha nie był sam. Na tron wywindowała go całkiem pokaźna liczba zwolenników, którzy po zamachu kończącym jego niesławne panowanie wciąż żyli i działali, nie tylko podkopując w obywatelach Twierdzy wiarę w rozpoczęty jeszcze przez Kosę i Sekundę nowy gospodarczo-ekonomiczny kurs kraju, ale usiłując znowu objąć władzę. Według Cerberów byli to ludzie niebezpieczni, poza tym chodziło im o zwyczajną zemstę. Wojskowi nie zamierzali wybaczyć cywilom tego, że podnieśli rękę na jednego z nich, w dodatku najlepszego po Kolapsie przywódcę Twierdzy. Nie było żadnych papierowych dokumentów ani mailowych rozkazów, spotkania odbywały się w parkach, nad Wisłą, podczas joggingu, w cywilnych ubraniach. A potem Cerbery ruszały na łowy. Ciche, całkowicie nieoficjalne i szczególnie okrutne, bo ich konsekwencją były osierocone dzieci, owdowiałe żony i szukające panów psy. A panów już nie było. Znikali w niezrozumiałych okolicznościach. Ale chodziło o coś większego, jak przekonywali siebie spiskowcy. Chodziło o Twierdzę i jej przetrwanie, o nowe czasy, których nie akceptowali zabetonowani dawnym porządkiem kaczuchowcy. Wkrótce Hades został rozwiązany, jakby nigdy nie istniał. Jego modułowa konstrukcja spowodowała, że większość Cerberów nie znała się wzajemnie. Czasami od jednego do drugiego przeciekało kilka informacji podczas cichych rozmów przy wódce. W taki właśnie sposób Łyżwa dowiedział się od Sawickiego, być może jednego z architektów Hadesu, o jednym z najskuteczniejszych likwidatorów noszącym pseudonim Piekielnik. Bezdzienny, pozbawiony rodziny, która została zmasakrowana przez wschodnich Zielonych, był idealnym kandydatem do wszelkich brudnych operacji, a potem po prostu operacji niebezpiecznych. Podwładni przyzwyczaili się, że kapitan nie zwierza się z życia osobistego, że nie da się z nim zaprzyjaźnić, chociaż na polu walki w razie potrzeby zasłoni ich własnym ciałem. Dzięki niemu żyli. Szanowali go i na swój sposób lubili. I to tylko się liczyło. Ku chwale Twierdzy.

Tak więc Podoba nie kłął i nie narzekał. Docenił też fakt, że po kilku minutach marudzenia uciszyl się zarówno Mateo, jak i Matka. Dobrana para – babochłop, który niejednego samca kładł na rękę, i młodzik o tak doskonałych wynikach, jakby urodził się z karabinem w łapkach.

Kapitan wrócił do obserwacji polany. Orki grały chyba w jakąś *Familiadę*, bo po obu stronach wielkiego ogniska zgromadziły się dwie drużyny i bełkotliwie, acz z wielkim zaangażowaniem odpowiadały na pytania Zielonego w podartym kilcie. Zebrana wokół innych ognisk publika co chwila coś wykrzykiwała, wznosiła toasty i zagrzewała ekipy do walki. Piekielnik mógł się założyć, że takiej schizofrenii nie mieli ani woje na froncie zachodnim, ani ci z południa. No, ci drudzy mieli beczkę śmiechu, chociaż Czesi bywali też niezwykle gwałtowni. W pewnym

momencie Gojira tak się rozochocił, że zaczął wrzeszczeć wniebogłose o jakimś Gotcie i Szatanie, rozpostarł ramiona i przybrał ton kaznodziei, a gdy grupa pobliskich Engelsów, jak się wydawało, próbowała go uciszyć, wymierzył w nich paluch i strzelił piorunami przy akompaniamencie śmiechu obserwatorów i przerażonych wrzasków rażonych.

- Bieniek – warknął kapitan – nagrywasz to?
 - Cały czas, szefie. Przepraszam, czy mi się zdaje, czy on właśnie...?
 - Ja pierdolę – szepnął Mateo. – Nie dość, że niezniszczalny, to jeszcze błyskawicami ciska.
 - Thor się z niego zrobił – syknęła Matka.
 - Odyn – poprawił ją Podoba.
 - Co?
 - Odyn ciskał piorunami.
 - Zeus – rzucił Szwajcar. – I Jowisz, bo to jedno i to samo.
 - Ta – szepnął dowódca. – Powiedz mi jeszcze coś odkrywczego.
 - Widzicie, jak się przymila do niego ta tancerka? – spytał Jakubowski.
 - Miłość – odparła Bieniek.
 - Jeszcze kilka dni obserwacji i będziemy świadkami ślubu – zażartował Piekielnik.
- Matka tylko prychnęła.

Odczekali do czwartej nad ranem i chociaż był moment, że Gojira jakby podsypiał, a otaczające go orki potężnie się zataczały, Piekielnik zabronił Bieniek wykonania jej szalonego planu.

Wycofali się do znajomej kryjówki, zameldowali centrali o sytuacji, umyli się, zjedli i gdy do snu szykowała się Matka, a Mateo i Piekielnik obejmowali wartę, do ich chatki zbliżył się, merdając przyjaźnie ogonem, pies. Wyglądał na skundlonego buldoga, był biało-czarny i, jak się wydawało, szczerze uradowany widokiem ludzi.

- Diabli nadali – warknął Podoba.
- Co to za rasa? – cmoknął Mateo. – Strzelam w krzyżówkę buldoga i boston teriera. Fajny ciasek.
- Sam jesteś ciasek. Ściągnie Engelsów, jak zaczniesz szczekać.
- Boston teriery i buldogi nie szczekają, szefie. Widzi szef, żeby szczekał?
- A ty skąd się tak na psach znasz?
- A pan, kapitanie, się nie zna?
- Nie.
- Pieseł? – Matka wyszła z chałupy. – Pieseł do nas przyszedł?

Piekielnik nie odpowiedział. Czworonóg wprowadzał element nieprzewidywalny. Jedno spojrzenie na jego radosny pysk sugerowało, że za chwilę wybierze sobie nowego pana bądź panią i będzie po wszystkim.

- Śliczny – oceniła Bieniek, chociaż według Podoby najlepszy przyjaciel człowieka, ze swoją kwadratową kufą i baryłkowatym cielskiem, kojarzył się ze wszystkim oprócz śliczności. – Szefie, popatrz, nie boi się nas, chociaż jesteśmy w Takantach.
- Ta. Mateo, odpędź go.
- Ale szefie...
- Odpędź go, kurwa, jak ci się tak podoba. Jeśli pójdzie z nami na nocną obserwację, może narazić nas, a i sam zginie.
- Tutejsze orki nie gustują w psinie.

– Narazi nas.

– Nie szczeka.

Piekielnik pokręcił głową. Wstał i machnął groźnie ręką.

– Idź! – syknął.

Pies wciąż stał.

– Spierdalaj, kundlu! – warknął kapitan.

Czworonóg jeszcze energiczniej zaczął machać ogonem.

Piekielnik podniósł kamień i rzucił w psiaka. Ten uskoczył i pogonił rzutkę. Po chwili przyniósł okruch w zębach, kręcąc kuprem razem z ogonem. Położył zdobycz u stóp kapitana, wywalił ozór i poprosił o ciąg dalszy.

– Ja pierdolę – stęknął Podoba.

– Teraz, szefie, musi go pan zastrzelić – zażartował Mateo.

Damian spojrzał na niego groźnie, po czym wyciągnął z kabury Visa z dokręconym tłumikiem i zaczął go przekładać z ręki do ręki, patrząc w ślepie psa.

– Panie kapitanie, żartowałem – szepnął Szwajcar.

– Ale ja nie żartuję. Co myślisz, Mateo? Mamy go tu przywiązać, gdy przyjdzie pora obserwacji, i mieć nadzieję, że nie zacznie szczekać? Mamy pozwolić, by z nami poszedł, i mieć nadzieję, że nas nie zdradzi, stojąc pod drzewem? Jeśli skurwysyn nie pójdzie sobie do nocy, trzeba go będzie zastrzelić. Jeśli go czymkolwiek nakarmicie, sam was zastrzele.

Mateo przestał się uśmiechać, a szybka jego Takanta, choć to teoretycznie niemożliwe, zaparowała w dolnej części.

– A może... – zaczęła Bieniek.

– Zamknij się, poruczniku, i idź spać – przerwał jej Podoba. – To rozkaz.

Matka posłusznie wróciła do chałupy i więcej się nie odzywała. Upływała trzecia doba misji, a oni mieli za sobą po osiem godzin snu, i to dość marnej jakości. Wychodziły z nich stres i zmęczenie. Pies, widząc, że czas zabawy się skończył, umościł się tuż przy Piekielniku, po tym jak ten sporządził dla siebie legowisko, położył się i skrzyżował ręce w klucz pod kolbą Tora.

Widząc to, Mateo szepnął:

– Już pana wybrał, szefie.

– Zamknij się, Szwajcar.

Tak upłynęły cztery godziny sennego czuwania, podczas których nie działo się kompletnie nic, jeśli nie liczyć pochrapywania psa. Potem Mateo poszedł zamienić się z Matką, która ledwie odemknęła oczy, spytała:

– Ciapek żyje?

– Jeszcze żyje – odparł Szwajcar i zaczął szybko wyciągać z plecaka swój zestaw do spania. – Pospiesz się, bo szef go zastrzeli, gdy my tu...

– Słyszałem to – rozległ się szept Podoby.

– Kurwa. – Mateo mrugnął do Anny, a ta wygramoliła się z szopy i bez słowa zajęła swoją pozycję.

Po dwóch godzinach spędzonych w milczeniu, gdy Bieniek zaczęła się już zastanawiać, czy kapitan nie zasnął, Ciapek podniósł łeb i spojrzał w dal. Potem obejrzał się na Piekielnika, ale już ze zmarszczonym pyskiem. I znowu spojrzał w dal. Grzbiet miał napięty, a szyję wyciągniętą.

– Co jest, piesku? – spytał Piekielnik. – Widzisz coś?

Skierował lufę Tora w kierunku wskazanym przez psa. Przez chwilę wodził lunetą w lewo i prawo, aż wreszcie ich dostrzegł. Dwóch maruderów. Byli to wojownicy odłączeni od jakiejś watahy albo samotni strzelcy. Mieli na sobie pomalowane na czerwono blachy, przez piersi przewieszane kałasznikowy, a w łapach trzymali okazałe tasaki, także czerwone. Weszli do jakiejś chałupy i przez dłuższy czas nic się nie działo. Wreszcie wyszli, dźwigając wielkie wory. Rozejrzeli się. Jeden z nich wskazał chałupę, w której skryło się Licho. Piekielnik rozejrzał się szybko.

– Nic tu nie ma – szepnął, ale nie usłyszeli go dzielni wojownicy, tylko zaczęli powoli iść w jego kierunku, wesoło podśpiewując. – Kontakt na dwunastej – szepnął w końcu i usłyszał, jak Bieniek odwraca się w jego kierunku.

– Widzę.

W pewnym momencie orki zatrzymały się. Jeden z nich upuścił worek. Drugi pogładził go po pysku, przytulili się i...

– Ja pierdole – jęknęła Matka. – Nagrywam to.

– Czyli homoseksualizm kwitnie także wśród Zielonych. Nie wiem, czy chciałem to oglądać.

– A gdyby to był Engels z Engelską?

– Też bym nie chciał.

– A lesbijki zieloniutki?

– Bieniek, przestań.

– Jak oni się w ogóle całują? Przecież tylko smarują się dolnymi wargami.

– Bieniek.

– I kłami zakleszczają. Szefie, popatrz – zachichotała – jak łby przekręcają, żeby się lepiej zassać!

– Matka, odpuść.

– Ale pan kapitan nie może nie patrzeć, bo wroga obserwujemy przecież.

Podoba otworzył oczy.

– No pedały normalnie.

– Pan kapitan ma coś do pedałów?

– Miałem – Podoba chrząknął – kolegę pedała. Świetny żołnierz.

– I znakomity kochanek?

– Nie sprawdzałem. Nic nie mam do pedałów.

– To dlaczego pan kapitan tak ich nazywa?

– Gejami to ja mogę nazywać ludzkich homików. Ale orki?!

– Zbyt gejowsko brzmi?

– Otóż to. No co za paskudy. Przestaną się wreszcie czochrać?!

– O rany, szefie, oni idą na całość...

Podoba stęknął żałośliwie.

– Matka, zastąp mnie. Ja pójde skanować twój sektor. Obserwuj ich. Jeśli się ruszą w naszą stronę, daj znać.

– Tak jest. Jak ich szef wypatrzył z takiej odległości?

– Ciapek ich wypatrzył.

Po piętnastu minutach Bieniek zameldowała:

– Obaj zaspokojeni, wznawiają marsz w naszą stronę. Ciapek wydaje się niezadowolony.

– Cholera – szepnął Podoba i ślimaczym tempem wrócił do pani porucznik. Ułożył się, zerknął w wizjer i ocenił odległość. Pięćset metrów. – Zeskanuj trzysta sześćdziesiąt – zakomenderował.

– Tajest.

Matka odczołgała się do chałupy.

W tym momencie Ciapek skierował pysk w prawo. Piekielnik natychmiast wycelował tam karabin. Ze ściany lasu wyłoniły się trzy inne orki, z czego dwa dźwigały sosnowe pniaki. Miały na sobie blachy podobne do tych gejowskiej pary, ale dwa były w niebiesko-żółtą szachownicę. Dopiero w zestawieniu z czerwoną parą Podoba uświadomił sobie, że przypominają hokeistów czy może zawodników futbolu amerykańskiego.

– Bieniek, jak tam? – spytał.

– No właśnie zobaczyłam jeszcze trzech gości. Niebieskie ptaszki na trzeciej.

Ciapek spojrział w lewo i uniósł uszy.

Rzeczywiście nie szczeka. Nawet nie warczy – pomyślał Piekielnik, kierując Tora w lewo.

– Ja pierdolę – syknął, widząc zmierzające do dwóch czerwonych cztery następne, także karmazynowe orki. Dwa z nich również niosły sosnowe pniaki.

– Szefie, od lasu idzie jeszcze trzech niebieskich.

– Ja mam czterech czerwonych.

– Dwie drużyny po sześciu?

– Nie chce mi się w to wierzyć, ale chyba szykuje się mecz.

– Mam nadzieję, że bez publiki – warknął Podoba.

Jednak publika się zebrała. Było tego w sumie około pięćdziesięciu osobników, które nadciągnęły nie wiadomo skąd. Podoba nie zaryzykował wycofania się z chaty, czekali więc na zakończenie sportowego spektaklu będącego czymś w rodzaju rugby, w które grano sześcioma orkowymi czaszkami przywiązanymi za pomocą rzemieni do węzła stanowiącego centrum „piłki”. Obiekt był względnie duży, a czaszki związane słabo, więc zawodnicy mogli włożyć do „czachopiłki”, jak nazwała ją Bieniek, palec bądź nawet dłoń i biec ze zdobyczą do bramki przeciwnika, którą wyznaczały dwa pniaki. Porucznik zaciekała się, skąd też orki biorą czaszki do swojej gry, ale że odpowiedzi nie było, patrzyli dalej na przedstawienie. Publiczność grzmociła w bębny, darła się i wiwatowała, gdy któraś z drużyn zdobyła punkt. Podoba zauważył jednak, że inteligencja w sporcie się przydaje, bo czerwona drużyna, która zdobyła więcej bramek, zachowywała się tak, jakby przegrywała. Widocznie nikt z nich nie potrafił porządnie liczyć, a sędzia, ubrany na czarno ork, oszukiwał. Chociaż Bieniek bardzo chciała dalej oglądać mecz, Piekielnik odesłał ją do obserwacji tyłów.

A Ciapek warował i milczał.

Kapitan przyznał w duchu, że stworzenie zachowuje się bardzo inteligentnie, jakby wiedziało, jak wysoka jest stawka. „Może on rozumie po polsku?” – pytał siebie w duchu, czekając na zakończenie imprezy.

Jednak ta nie chciała się skończyć, bo po jednym meczu, pozornie przegranym przez czerwonych, był rewanż, także niby przez nich przegrany, a potem biba, podczas której orki oczywiście zaczęły pić i palić wielkie cygara owinięte brzoźową korą, najprawdopodobniej pogandogi. Następnie dwie drużyny solidnie się obijały, a powodowani poczuciem niesprawiedliwości karmazynowi urwali sędziemu łeb, oskórowali go, czaszkę zaś, nieco jeszcze

świeżą, dowiązali do czachopiłki, zastępując jedną ze starszych, troszkę ukruszonych. Choć dawno nastąpiła pora snu Piekielnika, ten odmówił sobie odpoczynku i pilnie obserwował zbiorowisko razem z Anną, Matea odesławszy na tyły.

Gdy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, a zawody zamieniły się w imprezę i w górę strzeliło pierwsze ognisko, dwóch gejów z drużyny czerwonej, nieco utrudzonych całością zdarzeń, chwyciło swój wielki worek i ruszyło chwiejnym krokiem do chaty Licha.

– Psiakrew – charknął Podoba – idą powtórzyć numerek.

– Na to wychodzi – odparła Matka.

– Pomóc wam? – spytał Mateo.

– Pilnuj swojego kąta – odpowiedział kapitan. – Bieniek, bierzesz prawego, ja lewego.

Strzelamy ze stu metrów.

– Tak blisko?

– Imprezowicze nie mogą tego zobaczyć. Potem trzeba będzie ich odciągnąć.

– Szefie, oni ważą po dwieście kilogramów każdy.

– Psiakrew. Walimy z pięćdziesięciu metrów.

– Roger that.

Przeładowali Tory i czekali. Orki szły, obejmując się za wielkie bary, i co chwilę coś do siebie szczebiotały, karmiąc się nawzajem sędzią i czkając po spirytusie.

Członkowie Licha usłyszeli ich głosy, basowe warknięcia rozwiewane przez wieczorny wiatr.

Kilka chwil później Bieniek i Podoba poczuli tąpnięcia gruntu pod stopami potężnych istot. Orki kołysały się niczym wielkie okręty na morzu zielonej łąki.

„Jakiż piękny widok” – pomyślała Matka niemal poważnie.

A Ciapek milczał. Położył łeb płasko na ziemi i ani drgnął.

Gdy byli sto metrów od nich, wydawali się masywniejsi niż z oddali. Zachodzące słońce krzesło skry na karmazynowych zbrojach, rzeźbiło postronkowate zielone muskuły na łapach i szyjach. Masywne żuchwy wykrzywiały się w lubieżnych uśmiechach, gdy jeden z nich zaczął pieścić drugiego w okolicy...

– Na Peruna – szepnął ledwie słyszalnie Podoba.

Siedemdziesiąt metrów. Źdźbła traw kołyszą się przed lufą Anny. Kobieta bierze trzy spokojne oddechy i zastanawia się, czy jej Takant dostatecznie dobrze ją kamufluje.

Sześćdziesiąt metrów. Piekielnik kładzie chroniony rękawicą palec na spuście. Wstrzymuje oddech. Jego ork przestaje „pływać” w lunecie, gęba bestii zasłania cały obraz. Kapitan widzi jego zęby, płaski nos i oczy.

Pięćdziesiąt metrów.

Dwa pociski kaliber piętnaście milimetrów opuszczają lufy Torów z agresywnym sykiem, a zamki karabinów wyrzucają ze szczękiem masywne łuski. Kolby szarpią ramionami snajperów. Ciapek wtula głębiej łeb w trawę i kuli uszy, ale nie szczeka. Kule pędzą do niczego się niespodziewających Zielonych. Potwory nie wiedzą, że za ułamek sekundy pocisk wystrzelony przez Matkę przebije mięsień skroniowy prawego orka, przewierci się przez czaszkę, mózg zamieni w papkę i rozpląszczy się dopiero na przeciwnej ścianie czaszki, powodując jej pęknięcie i zewnętrzny krwiał. Podobnych zniszczeń dokona pocisk Piekielnika, ale ugodzi lewego orka niżej, przejdzie więc najpierw przez kość jarzmową, potem poszatkuje jamę nosową i dopiero w ostatnim akcie destrukcji wgryzie się w mózgowiczaszkę w okolicy skroniowej, przebije przeciwną kość oraz skórę i wyląduje lobem w trawie kilkadziesiąt metrów dalej, zdobiąc ją cienkim śladem seledynowej krwi.

Olbrzymy, szarpnięte do tyłu, padają jednocześnie, jakby obiecywały sobie słoneczną kąpiel. Ich szerokie stopy wrywają trawę razem z ziemią, ta zaś układa się nad grubymi paluchami w czarne wachlarze. Orki, wciąż patrząc sobie w oczy, jakby zdziwione, zwalają się bez słowa na grunt, a wielki worek łąduje sprężyste obok nich. Z łąpy jednego wypada konsumowana przez obu łyda arbitra i powoli rotuje w powietrzu. Ziemia dudni pod ich ciałami, a blachy chrzęszczą, szarpiąc tym dźwiękiem bębunki zwiadowców. Nadgryzione podudzie opada na czerwone płyty, odbija się, upada na soczystą trawę, kołysze się chwilę tak jak łąpy gejów i w końcu zamiera.

I kogo obchodzi, że byli carskimi agentami i kurierami z transportem pogandogów tudzież spirytusu, a nazywali się Foma Andriejewicz Przybyłko i Władimir Aliksiejew Wasiliewskij? I kto się przejmie tym, że towar, który zamierzali dostarczyć na granicę, nigdy tam nie dotrze?

Smutna jest dola carskich kurierów, czyż nie?

– To miejsce jest spalone – warczy Podoba. – Wycofujemy się. Bieniek, ktoś dostrzegł, że ich zdjęliśmy?

– Chwila... – Matka obserwuje biesiadę. – Nie. Nic się nie dzieje.

– Czołgamy się do ściany lasu. Potem normalnie, do dębów.

– Co z Ciapkkiem, dowódcu? – szepcze Mateo.

– To teraz członek oddziału. I znajdź dla niego poważniejsze imię.

Dotarli do lasu i pilnując żwawego tempa, oddalili się od miejsca zajścia, a potem łukiem podążyli do dębów. Ciapek maszerował z nimi, od czasu do czasu zerkając na każdego członka oddziału, w tym najpilniej na Piekielnika. Matka dałaby słowo, że psina starała się iść na ugiętych łąpach, a stylem zachowania już po godzinie zaczęła przypominać zwiadowcę. I nie szczekała.

W połowie drogi do dębów zrobili przerwę na potrzeby fizjologiczne i jedzenie. Wtedy właśnie Ciapek dostał po raz pierwszy baton energetyczny. Pożarł go z godnością i widocznym zadowoleniem.

– Ma osobowość – ocenił Mateo.

– Ma – potwierdziła Matka.

– Nie wiem, skąd się wziął, ale jest dobry – skwitował Piekielnik.

Pół godziny później dotarli do dębów. Była dwudziesta druga z minutami, gdy wspięli się na drzewa, a pies został pod pniem Podoby i ułożył się, czujnie węsząc w kierunku pobliskiej biesiady. Na początku zerkał na kapitana, ale potem zrozumiał swoją rolę i przestał. Czuł przecież jego zapach. Co nos psa, to nie orka.

Tymczasem na polanie odchodził teleturniej *Jeden z dziesięciu* i nie była to łatwa rozgrywka, ponieważ tutaj na stół publiki trafiało dziewięciu przegranych, nie zwycięzca. Wszyscy z wyjątkiem uczestników uwielbiali więc tę grę, bo była po niej niezła wyżerka. Członkowie Licha szybko się zorientowali, że towarzystwo jest już jakby zmęczone muchomorami, przegryzione przez spirytus, rozanielone. Ktoś co chwila coś śpiewał, ktoś wyskakiwał i tańczył i tylko najbardziej skupiona publiczność śledziła odpowiedzi, a dwie Cyganki obtańcowywały zawodników. Zwiadowcy nie mogli oprzeć się wrażeniu, że tancerki nie tyle dodają imprezie waloru artystycznego, ile pilnują konkursowiczów, by gdzieś nie czmychnęli,

a co który popełniał błąd, jedna odcinała mu łapę, druga głowę i coś obie gadały, ale co, trudno stwierdzić. Następnie nieszczęśnik lądował w kotle, do którego już stała niezła kolejka.

Wytrzymali do trzeciej.

– Szeffie – szepnęła Matka – ogólnie dobrze nie jest. Ci goście od rugby już pewnie odkryli swoich gejów i szukają sprawców. Trzeba spierdalać.

– Zgadzam się.

– Ale misję wykonać też trzeba.

– Tak.

– Gojira leży. Śpi. Ta tancereczka gdzieś poszła. Dam radę.

– Nie dasz.

– Dam.

– Sam pójdę – warknął Piekielnik i nie czekając na reakcję oddziału, zsunął się na ziemię. Pod osłoną drzewa wyciągnął z plecaka siatkę maskującą upodabniającą go do orka, założył ją na Takant, a potem wciągnął na głowę gumową maskę Engelsa. Była nieruchoma, ale dość dobrze wykonana. W migotliwym świetle ognisk ktoś mógł pomylić Podobę ze szczupłym orkiem.

– Szeffie – szepnęła Matka.

– Osłaniać mnie. Jeśli nie przeżyję, wzywacie Horsta i wracacie. On wylądował nawet na orkowej dupie.

– Tajest – szepnęła Bieniek, ale w jej głosie słychać było żal.

Ciapek patrzył na Piekielnika z zaciekawieniem, a gdy ten założył orkową maskę, przekrzywił łeb. Ale nie zaszczekał. Podoba pokazał mu, że ma czekać, i pies się położył. Następnie kapitan wysypał sobie na dłoń sześć pluskiew, schował je do kieszeni i ruszył w kierunku obozowiska. Minął ślaniającego się orka, który szedł za potrzebą, ale na szczęście patrzył w innym kierunku. Potem przeszedł między dwoma barłogami, w których Zieleni, żrąc muchomory, intensywnie o czymś dyskutowali. Widać było, że mają halucynacje i nawet jeśli go widzą, to albo rogatego, albo skrzydlatego, bo uśmiechnęli się do niego błogo i rozmawiali dalej.

Wreszcie kapitan dotarł do olbrzyma i dopiero stojąc na ugiętych nogach przy Gojirze, zdał sobie sprawę, jaki to gigant. Mimo że bestia leżała na boku, w barach była tak szeroka, jak Piekielnik był wysoki.

Woj skulił się, wpełzł do barłogu i przyjrzał się plecocom potwora. Odsunął delikatnie dzierganą chustę, odetchnął, wyciągnął z kieszeni pierwszą pluskwę, przytknął ją do zielonej skóry, odetchnął raz jeszcze i wepchnął ją pod skórę Schmidta. Stwór stęknął i sięgnął łapą za siebie. Podoba był na to przygotowany i odskoczył. Łapsko chybiło. Były pisarz podrapał się, ale nie wyciągnął nadajnika. Zwiadowca znowu podpełzł, tym razem do tylnej części uda. Sięgnął po pluskwę, przyłożył ją do skóry i odetchnawszy, wcisnął ją głęboko tym samym ruchem co poprzednio. I odtoczył się, gdy olbrzym podrapał się w nogę. Żołnierz leżał chwilę nieruchomo na barłogu, zbierając siły i przełykając ślinę. Nagle wśród turniejowiczów rozgorzała jakaś kłótnia. Rozległ się wystrzał, ktoś wrzasnął, a Gojira mruknął i... przekręcił się, przygniatając rękę Podobie. Woj leżał teraz z potworem niczym w małżeńskim łóżu. Mógłby wyciągnąć rękę spod olbrzymiego ramienia, ale to zaalarmowałoby giganta. Lepiej było znowu zabawić się w komara.

– Dowódcu – w słuchawce rozległ się szepł Bieniek. – Nie warto.

Podoba nie odpowiedział. Wyciągnął wolną ręką pluskwę, zmówił modlitwę do Peruna, po czym wcisnął ją w okolicę tricepsa potwora. Ten mruknął, sięgnął łapą, by się podrapać, po czym, zanim snajper zdążył odskoczyć, przetoczył się i położył na nim przodem. Woj

natychmiast poczuł ciężar z górą trzystukilogramowego cielska i spanikowany, zaczął się zastanawiać, kiedy się udusi, gdy Behemot, którego uwierało kanciaste oprzyrządowanie żołnierza, odtoczył się na plecy. Podoba odetchnął, wyciągnął czwartą pluskwę, obiecując sobie, że z piątą już nie będzie ryzykował, po czym, niewiele myśląc, wcisnął ją w pośladek potwora i nie czekając na jego reakcję, wytoczył się z barłogu.

Prosto pod nogi pijanego orka, który potknął się o niego i odwrócił zdziwiony pysk w stronę przeszkody.

– Kto ty, suka, jesteś, że się tak czołgasz, drug moj? – spytał bełkotliwie.

– Szczać mi się chce i sikam na leżąco – odparł bez sensu kapitan, ale najwyraźniej dla zielonego interlokutora była to odpowiedź całkowicie sensowna.

– Ty, no to ja to samo mam. Myślałem, że tylko ja.

– Nie tylko ty, drug moj.

– Nap... ijemy się? – zaproponował Zielony.

– Najpierw szczyamy, potem pijemy – odparł Podoba, wskazując ścianę lasu.

– A słusznie, słusz... nie. Wróżki latają?

– Jak chuj.

– Dobrze powiedziane – odparł ork, czkając. – Powiem ci, nie żryj pogandoga po spirytusie za szybko i nie pal potem machorki, bo się troszku zmachranisz...

– No, no...

– Idziesz w lewo czy prawo? – spytał grzecznie Engels.

– W prawo.

– A to ja w lewo. Ładnie pachniesz, śliczna – powiedział na pożegnanie. – Potem dasz mi numier...

– Oczywiście – rzekł zwiadowca, oddalając się od orka, i w końcu schował się za swój dąb. Ciarek spojrział na niego, a woj nakazał mu milczenie. Pies poważnie wykrzywił łeb, potem spojrział na orka, ale się nie odezwał. – Licho – szepnął kapitan do interkomu – jak ta łajza się wyszczy, z drzew i chodu.

– Tajest – zameldowali.

– Mało się nie zesrałem, jak szef te pluskwy wciskał – wyznał Mateo.

– No to ty miałeś prawie.

– W sensie że?

– Cisza.

Podoba obserwował podrywacza, który oddawał mocz długo i zapalczywie, kiwając się w przód i w tył i nucąc „Rossija, swiaszczennaja nasza dierzawa...”. „Ależ te orkowe pęcherze są pojemne” – dumął. Sekundy upływały, a struga generowana przez romantyka nie słabła. Nagle na łące zrobił się tumult, ktoś wrzasnął i Podoba zobaczył, jak jeden z uczestników *Jednego z dziesięciu* zrywa się do ucieczki, pędzi za nim Cyganka, druga wrzeszczy na pozostałych, uciekinier potyka się, przetacza i uderza z byka śpiącego Gojirę. Ten budzi się, zrywa na równe nogi, kopie w pysk napastnika, po czym, najwyraźniej wciąż na muchomorowym haju, zaczyna czesać błyskawicami okolicę, zataczając krąg. Pioruny strzelają na wszystkie strony, Gojira obraca się, błyskawica strąca liście i igły z pobliskich drzew, podpala gałęzie i nagle...

– Ja pierdołę – stęknął Mateo i spadł prosto na łeb sikającego orka.

– Bliat! – wrzasnął Zielony. – Bliiaaat!!! Demony lecą z drzew! Bratcy! Żarptaki!!!

Przetoczył się, potknąwszy o własne nogi, dzięki czemu uniknął kuli, którą posłała mu Matka.

Podoba wyszarpnął Visa i strzelił z biodra, rozrywając Zielonemu bark. Ale ten, jakby zupełnie nieczuły na ból, chwycił Matea i cisnął go w stronę ognisk.

– Patrzajcie, bratcy! Patrzajcie! Czarny żarptak z drzewa mi spadł na...

Kolejny strzał z Tora Matki uciszył Zielonego, ale Romeo zdążył ściągnąć na siebie uwagę, a pomógł mu w tym niestety Gojira, który akurat palił w tym miejscu ziemię swoimi błyskawicami.

Mateo podniósł się, by uciekać, i wtedy orki zobaczyły jego zupełnie nieorkową sylwetkę.

– To jest jakaś ślicznotka! – zawyrokował siedzący najbliżej biesiadnik. – Jesteś z Europy? – spytał, chwytając woja za rękę.

Ten próbował ją wyrwać, ale siła dorosłego, pijanego Zielonego była straszna. Szwajcar chwycił maczetę i odciął orkowi łapę w tym samym momencie, w którym czaszka potwora eksplodowała, trafiona przez Bieniek.

– Matka – szepnął Podoba – złaź.

– Tajest.

Kapitan już celował z Tora do kolejnego zalotnika, który, nim Mateo zdążył umknąć, chwycił go za nogę.

– Ale nie uciekaj, panienko!

Mateo wraził mu maczetę w pierś. Potwór zawył i szarpnął.

W łapie zostało mu podudzie woja.

– Mmm!!! Jak pachnie!

Porucznik nie wydał z siebie nawet jęku. Odczołgał się w cień, a w tym samym momencie Gojira wskoczył do barłogu zdobywcy nogi i zawył po niemiecku:

– Przerwałeś program, kurwa! Teleturniej zakłócasz! Co ty tu wpierdalasz...? Oddawaj, moja nóżka.

I zabrał wystraszonemu rannemu orkowi podudzie Matea.

– Ładnie pachnie – orzekł, odchodząc. – Będzie na później.

Wydawało się już, że Szwajcar wyjdzie cało z tej opresji, ale wpływ krwi za bardzo go osłabił. Czołgał się bez słowa skargi, gdy dopadł go kolejny ork.

– Panienko, już opuszczasz żamprezę? – spytał wesoło, dźwigając woja.

Mateo strzelił do niego trzy razy z Visa. Podziałało. Zielony zwiotczał i puścił żołnierza. Ten znowu poczołgał się w stronę lasu, ale zanim się oddalił, osłabł do końca. Podoba i Matka patrzyli na niego przez chwilę, zastanawiając się, co robić. Lecz Mateo po chwili dźwignął się i znowu zaczął pełznąć. Wtedy, wyczuwszy krew, napatoczył się kolejny ork. Zaliczył kulkę w głowę.

– Ty, co tu tak swierchy padają? – rzucił jeden z siedzących w pobliżu Zielonych, wychylając się z barłogu.

– No bo pada. To padają – wyjaśnił mu drugi i usadził kamrata, wlewając mu do kubka potężną dawkę spirytusu.

Gdy Szwajcar był już tylko metr od najbliższego drzewa, wychynęła zza niego Matka i wciągnęła głębiej, a potem zarzuciła sobie na ramię i pobiegła w las. Ubezpieczał ich Podoba. Gdy się oddalali, znajdujący się najbliżej Zieleni zaczęli węszyć.

– Co tu tak ślicznie pachnie świeżonką? – spytał jeden.

– To Wasilij pachnie. Leży, o.

– On *Młastier Szief*a wygrał?

– Nie, tak leży, jako bonus.

- Nie, to nie on tak pachnie, mówię ci. Wejdę w las, zobaczę...
- W lesie ci coś pachnie? To moja kupa!
- Rechechecheche!

Woje zatrzymali się. Bieniek położyła Szwajcara na ściółce. Piekielnik i Ciapek ich ubezpieczali. Matka wyszarpnęła z podręcznej apteczki stazę i bandaże. Odcięła nożem materiał spodni.

– Mateo – szepnęła. – Mateo.

Żołnierz miał zamknięte oczy.

– Nieprzytomny – zameldowała. – Stracił dużo krwi.

Założyła stazę na udo i zaczęła bandażować kikut. Syknęła lufa Tora Piekielnika. W oddali dał się słyszeć ryk i grzmotnięcie orkowego ciała o ziemię.

– Pospiesz się, Bieniek – warknął kapitan.

Znowu strzelił. Ciapek spojrział w prawo. Kapitan zwrócił karabin w tamtą stronę. I strzelił. Znowu ryk. Ciapek spojrział w lewo. Woj już się nie wahał. Wycelował tam Tora i zobaczył szarżującego Zielonego. Strzał i olbrzym padł z jękiem na plecy.

– Pospiesz się! Zwęszyli mięso! – syknął Podoba.

Bieniek nie odpowiadała. Musiała się skoncentrować. Upewniwszy się, że rana już nie leje, tylko sączy, wyszarpnęła z plecaka Szwajcara radiostację. Spojrzała na dowódcę i zrozumiałwszy, że będzie ją osłaniał, znowu wzięła Matea na ramię. Kapitan chwycił radiostację i ruszyli biegiem.

– Baza – syknął woj. – Tu Licho. Potrzebujemy natychmiastowej ewakuacji. Woj padł. Powtarzam, potrzebujemy natychmiastowej ewakuacji. Woj padł.

– Podoba? – rozległ się głos Richerta. – Kto padł?

– Szwajcar. Nie wiem, czy wyżyje.

– Podrywam Horsta. Jest tam gdzie wylądować?

– Jest łąka dwa kliki od naszej pozycji. Spróbujemy tam dotrzeć. Niech ląduje na markery podczerwone.

– Roger that. Trzymajcie się.

Przebiegli, ostrzeliwując się, trzysta metrów, gdy Piekielnik zakomenderował:

– Teraz ja go biorę.

– Ale...

– Już.

Anna przerzuciła nieprzytomnego na ramię dowódcy. Piekielnik biegł szybciej i robił większe kroki. Bieniek co chwila odwracała się, zwłaszcza gdy odwracał głowę pies. I zawsze był tam ork.

– Kurwa, co to za zbiegowisko? – warknęła, powalając kolejnego Zielonego.

– Są na haju. Nie wiedzą, gdzie się znajdują, nie wiedzą, co robią. Czują krew Matea.

Kilometr dalej las się rozrzedził i wydawało się, że zgubili pościg. Kapitan Bohdan Horst nadał, że jest już w powietrzu i będzie nad Kobryniem za sześć minut. Mateo się ocknął.

– Przepraszam – stęknął – już jestem. Mogę iść.

– Na pewno? – spytał Piekielnik.

– Tylko łyknę.

Kapitan postawił go na ziemi. Woj oparł się o niego ciężko. Uwolnił z zaczepu rurkę zestawu hydratacyjnego i włożył sobie do ust. Pociągnął mocno kilka razy.

– Już nie mam mroczków przed oczami – szepnął. – Ujebało mi nogę?

– Będziesz cyborgiem – odparł Piekielnik. – Spierdalamy.

Szwajcar chwycił drugą ręką ramię Anny i zaczęli się przemieszczać. Jednak szło to wolniej niż bieg z wojem na ramieniu.

– Spowalnim was – szepnął.

– Tak, ale przynajmniej nie skręcimy sobie kostki – odparł kapitan. – Lepiej tu uważać.

Teren rzeczywiście był nierówny.

Wkrótce dotarli do oczyszczonej z drzew niecki i usłyszeli silnik Ważki.

– Horst? – nadał Piekielnik.

– Słyszę cię, bracie, ale nie widzę – odparł pilot.

– Matka, osłaniaj – rzucił dowódca do wojowniczkii.

Ta i Mateo przysiedli, skanując teren, a Piekielnik pobiegł na polanę. Wbił w grunt jeden marker, a potem ruszył dalej, a Ciapek razem z nim. Dwieście metrów od pierwszego punktu wbił drugi.

– Łąduj od zachodu na wschód według markerów – nadał.

– Czekaj, czekaj... Widzę je. Będzie głośno. Uważajcie na tubylców.

– Tajest.

Piekielnik zaczął się wycofywać do Matki i Szwajcara, gdy usłyszał krzyk. Ludzki krzyk. A potem dwa skompresowane tłumikami strzały z Visa. Dopadł do nich i zobaczył Bieniek z rozerwanym na głowie Takantem i rozoranym policzkiem. Obok nich leżał ork z rozwaloną głową.

– Skąd się wziął? – spytał.

– Chyba... kibic – stęknęła Anna.

– Skan trzysta sześćdziesiąt – nakazał. – Czekamy na podejście Ważki.

Woje oparli się o siebie plecami. Warkot silnika był coraz bliższy, aż zobaczyli na gwieździstym niebie czarny kształt. Samolot obniżył lot, zamachał skrzydłami i zszedł nad drzewa. Nagle Ciapek skoczył jak sprężyna i wgrzyzł się w gardło orka, który wyłonił się nie wiadomo skąd. Olbrzym odrzucił psinę, a ta, kręcąc się w powietrzu, odleciała kilka metrów i potoczyła się po trawie.

– Kurwa, jak?! – warknęła Matka, strzelając do olbrzyma i rozwalając mu najpierw żuchwę, a potem łeb.

I wtedy podniosło się dookoła nich kilkanaście czarnych kształtów.

– Ja pierdole, kibice i zawodnicy! – jęknął Szwajcar.

– Trzeba było wyciąć wszystkich – mruknęła Bieniek.

Skąd się wzięli? No cóż, po meczu, gdy zaczęli się już rozchodzić, a byli wśród nich Lizawieta i Grigorij Kanigowscy, natrafili przypadkiem na zwłoki carskich kurierów i stwierdziwszy, że wpadł im dodatkowy poczęstunek, postanowili skorzystać. Prawdziwa biba zaczęła się jednak wtedy, gdy Lizawieta odkryła w worku olbrzymi zapas spirytusu i przednich pogandogów, muchomorki bowiem były dobrze ubite, zawinięte najpierw w liść łopianu, potem w brzożową korę, równo przycięte i opatrzone banderolą „Made in Russia”. I wtedy się zaczęło. Spirytus był pierwsza klasa – od razu wyczuli, że z carskich destylarni – pogandogi obłądne, humory wzbily się pod niebo razem z rusałkami, jednoroźcami i eterycznymi drużynami futbolowymi, a wszystko zaczęło wirować, tańczyć i czas się skończył razem ze światem. Teraz wstawali z miejsc, w których leżeli od kilku godzin, i na potwornym pogandogowym kacu szli niczym zombi, aby czymkolwiek kaca zabić. A najchętniej kimkolwiek. Wyczuwszy krew Matea i Bieniek, zaczęli szukać bogatej w białko strawy.

Tymczasem Ciapek wrócił do akcji i rzucił się na kolejnego Engelsa, nie bacząc na potencjalne rany.

– Ten pies jest nieustraszony – mruknął Mateo, strzelając raz za razem.

Samolot zaczął lądować. Opony zetknęły się z trawą i awionetka wrzuciła wsteczny ciąg ogonowym śmigłem, robiąc jeszcze więcej hałasu. A orków, niczym zombi, przybywało.

– Misiaki – szczechnął w głośniku Piekielnika pilot – nie mogliście wybrać lepszego miejsca? To jakaś strefa mroku!

Od strony awionetki dały się słyszeć bardzo głośne strzały.

– Ja pierdole, Horst wali z Rhino – stęknął Mateo.

Istotnie, kapitan Bohdan Horst hołubił niczym najdroższą relikwię włoski rewolwer Chiappa Rhino, potężną i piękną chromowaną jednostkę strzelającą pociskami .357 Magnum. Charakteryzowała się tym, że lufa umiejscowiona była u dołu bębna, aby jednak nie psuć typowej dla rewolwerów sylwetki, twórcy stworzyli eleganckie uzupełnienie, uzyskując bryłę masywną i ładną jednocześnie, rzeczywiście kojarzącą się z nosorożcem.

Zaopatrzony w noktowizor pilot uchylił owiewkę i grzał z lewej ręki, a Zieleni parli zarówno w stronę maszyny, jak i ostrzeliwujących się zwiadowców.

– Szybko! – krzyknął do mikrofonu. – Bo mi zjedzą samolot!

Tylko jednak Piekielnik, którego Horst rozpoznał po wzroście, wydawał się w pełni sił. Mateo wyglądał, jakby ktoś odgryzł mu nogę, Anna zaś miała zerwany z twarzy Takant. Pilot otworzył także prawą owiewkę, a gdy samolot stanął, podbiegł do drzwi przedziału pasażerskiego, odblokował je i odsunął, a potem skoncentrował się, by nie przegapić żadnego zombiaka. W nozdrza uderzył go zapach nocnej łąki zmieszany... z bimbrem. „Musiała tu być niezła impreza” – pomyślał, celując w zbliżającego się i lekko trawersującego Zielonego.

Bdhummm! – huknął jego Rhino po raz piąty. „Jeszcze jeden strzał i trzeba zmienić bęben” – pomyślał, zajrzał do kabiny i zobaczył, że od prawej podbiega inny szmatławiec. Podbiegł do kabiny, wycelował w centralną masę i pociągnął za spust.

Bdhummm! – grzmotnął rewolwer, w kabinie robiąc dużo więcej hałasu niż w otwartym wejściu. Horst wyrzucił bęben i wsunął nowy. Spojrzał w lewo. Nic. Podbiegł do głównych drzwi.

Bdhummm! – strzelił w bebechy Zielonemu, który postanowił zostać pasażerem na gapę i już wdzierał się do wnętrza.

– Szybciej, łajzy! – wrzasnął i zdjął dwóch kolejnych zombiaków.

Wreszcie w czerwonym świetle kabiny pojawili się zwiadowcy. Najpierw wsunęli do środka Matea. Potem wskoczyła Bieniek i natychmiast się odwróciła, by używając Visa, osłaniać dowódcę. Pilot ruszył do kabiny, by zeskanować otoczenie. Bdhummm! – rozwalil czaszkę orka po prawej, po czym błyskawicznie obrócił się w lewo i ściął z nóg kolejnego stwora.

– Jesteście?! – krzyknął do tyłu.

– Startuj! – odpowiedziała Bieniek.

– Jest Podoba?!

– Jestem, jestem, gnaj!

Pilot napał na przepustnicę i samolot ruszył, warcząc i złorzecząc, zawrócił, przewracając skrzydłami kilku Zielonych, po czym rozpędził się i lekko wystartował.

Lekko?

– Przechyla mnie w prawo – rzucił Horst do słuchawki. – Zerknijcie.

Po chwili przysłała odpowiedź Matki.

- Iwan wisi ci na skrzydle.
- Ja pier... Zdejmiesz go?
- Muszę wejść do kabiny, bo stąd nie mam jak.
- Szybko!

Porucznik wgramoliła się na fotel obok pilota i wysunęła lufę Visa przez owiewkę. Dzielny ork rzeczywiście wisiał, trzymając krawędź natarcia, i wydawał się z tego powodu niezwykle szczęśliwy. Coś śpiewał – jakby „Elizawieta, Elizawieta” – i majtał nogami. Jednak zobaczywszy lufę pistoletu, wykonał do Anny gest „Chwileczkę”, po czym... sam puścił płat i machając łapami, rozpoczął lot ku przeznaczeniu.

- Rozumem Rosji nie pojdziesz – szepnęła Bieniek.
 - To Białoruś – rzekł pilot.
 - Teraz to bez znaczenia.
- Ciapek szczechnął na potwierdzenie.

Taka właśnie jest historia różowego giczoła na żamprezie, lecz dzielny nasz były pisarz tudzież tłumacz nijak nie mógł sobie przypomnieć, jakim cudem go posiadał. Za dużo spirytusu, pogandogów oraz machorki, za dużo...

„I kiedyż my do tej Moskwy dojedziemy?” – zadał sobie znowu pytanie, ale niepotrzebnie. Nie ujechali bowiem nawet trzydziestu kilometrów, a więc znaleźli się w połowie odległości między Kobryniem a Drohiczyń, gdy ciągnik Topol-M, Anatol, pojazd Kościeja oraz UAZ Szarego zwołniły u brzegu wielkiego wykarczowanego terenu. Stał na nim pomalowany w białoczerwone pasy namiot cyrkowy, obok niego drugi i trzeci, na lewo i prawo czwarty i piąty, a gdziekolwiek olbrzym popatrzył, tam stały namioty, a jeśli ich nie było, stacjonowały cyrkowe wozy, rozłożone były używane przez cyrkowców urządzenia, trampoliny, jakieś armaty i ozdoby, w słońcu zaś połyskiwało wszystko złotem, srebrem, metaliczną czerwienią i błękitem. Überwunder aż oczy przetaił ze zdziwienia, a Ixi powiedział tylko:

- *Musimy coś zabrać na pamiątkę.*
- O, kochany! – mruknęła Myszka, która przebudziła się w momencie, gdy zaczęła się zsuwać z rakiety. – Czy to nasza podróż poślubna?
- Orczyca wyrównała nieco chustę na ponętnych biodrach i słodko się uśmiechnęła.
- *Zapytaj ją, jak tam noc poślubna. Nic nie pamiętam* – rozochocił się Ixi.
- Zamknij się – warknął Schmidt.
- Myszka zrobiła urażoną minę.
- Jak się odzywasz do żony?
- Entschuldigung, izwinitie, Myszka – powiedział. – To nie było do ciebie.
- A do kogo? Nikogo innego tu przecież nie ma.
- Hmm... Rozmawiałem z Gottem.
- Z bogiem rozmawiałeś?
- No.
- I powiedziałeś mu „Zamknij się”?! – Pierdolił.
- Myszka spojrzała na niego z zachwytem.
- Ależ ty jesteś mocarz! Samemu bogu mówisz „Spierdalaj”?! – To było „Zamknij się”.

– Ależ ty jesteś mocarz! Ty... ty samego Cara byś obalił!

Wygłosiwszy te słowa, Myszka zakryła usta, a Kościej i Waleria, którzy przysłuchiwali się tej rozmowie z rozbawieniem, przestali się uśmiechać, Kościej zaś spojrział znacząco na Walerię. Szary, który w milczeniu siedział na pace UAZ-a wraz z Gorimem, udawał, że niczego nie słyszał. Orczyca zatrzymała Anatola i zwróciła kamienny wzrok na Schmidta i Myszkę.

– Jeśli chcecie przeżyć w towarzystwie Trójcy, uważajcie na to, co mówicie. Zwłaszcza ty, Myszka. Takie cukierki jak ty Rasputin wysysa w try miga.

Sylwester Jefimowicz Bartniskij, zwany Rasputinem i nienawidzący, gdy ktoś skracał jego miano do „Putina”, widział za dużo. O, dużo za dużo. Ale wszystko po kolei. Po pierwsze, za ludzkiego życia Sylwester był marynarzem i zwiedził cały świat. To już sporo, prawda? Po drugie, po przemianie w Zielonego, a stało się to w malowniczym Władywostoku, na potężnej kei wdzierającej się w Morze Japońskie, zobaczył ogarnięte szaleem orki koreańskie i chińskie, które, niezwykle szybkie i niebezpieczne, zaczęły się wdzierać na tereny Matki Rosji. To też niemało, czyż nie? Po trzecie, że kochał morze i flotę, założył we Władywostoku punkt oporu i kilka lat poświęcił organizowaniu obrony świętej Rusi od strony południowo-wschodniej, bo tu widział największe zagrożenie. Ranion podczas jednej z utarczek z Mongołami, został odtransportowany przez dzielnych adiutantów Dżona Snoła oraz Mikołaja Misiewicza do szamanów, którzy, jak wieść gminna nosła, potrafili swiercha z martwych do żywych przywieść. I chociaż rana była straszna, bo stracił niemal pół mózgu, szamani rzeczywiście życie dzielnemu Sylwestrowi przywrócili, a to dzięki Dżonowi, który – jak się potem Bartniskij dowiedział – pozwolił, by otworzono mu łeb, wyjęto kawał szarej masy i przełożono do czachy wodza.

Wtedy Bartniskij zobaczył jeszcze więcej niż dotychczas, bo oto psyche Dżona otworzyła przed nim swe podwoje i stał się Sylwester trochę sobą, a trochę nie sobą (znamy to skądś, prawda?). I chociaż cieleśnie do siebie doszedł, duchowo był dwiema osobami, co nieomal doprowadziło go do szaleństwa. W przyływie berserku, a stało się to podczas najazdu na jedną z hord chińskich, Bartniskij rozłupał czubek głowy jednemu z chanów, włożył tam rurę wydechową wyrwaną z jakiegoś motocykla i rycząc wniebogłose, wlał pokąsną miarkę spirytusu, po czym wyssał mózg wroga tak, jak przed przemianą wysysał szejki z McDonalda (a było to, co podkreślają historycy, jego ulubione danie). Oczywiście wszyscy wiemy, jaki był tego skutek – po wypiciu mózgoszejka Bartniskij stał się trzema osobami naraz, wskutek czego jeszcze bliższy był szaleństwa. Gadało w jego głowie bez ustanku dwóch gości, w tym jeden po mandaryńsku. Zrobił więc wódz hord wschodnich to, co wydawało mu się najsensowniejsze: poprosił drugiego adiutanta, Misiewicza, o zgodę na wywiercenie w czaszce tegoż dziury, wlanie tam spirytu i wyssanie, nie, nie całego jego mózgu, ale chociaż kilku łyków. Oddany adiutant zgodził się na operację i wkrótce w głowie Sylwestra Jefimowicza Bartniskiego były już cztery osoby, przy czym on sam wcale nie był najważniejszy, bo gadali tylko goście. Chan, co warto zaznaczyć, strasznie się panoszył i ofukiwał wszystkich, używając tego swojego dziwnego, ale i śpiewnego języka, a robił to we dnie i w nocy, bo ogólnie mało sypiał. W efekcie Bartniskij cierpiał na bezsenność, zaczął pić więcej niż dotychczas i popadł w nałóg: co spotkał jakiegoś swiercha, Chińczyka czy Mongoła, nakłuwał ostrym końcem toporka jego czachę, wlewał spiryt, a potem przez rurkę wypijał łyk czy dwa jego mózgu. Nie minęło dużo czasu, gdy w głowie Sylwestra szum nastął tak wielki, narzekanie wielojęzyczne tak ogromne, że niemal zupełnie

stracił kontakt z rzeczywistością. Chodził niczym pijany, bredził coś do siebie, ale wciąż nosił toporek i móżgorurkę, jak zaczął ją nazywać, i wciąż mózgi spijał, a Snoł i Misiewicz nie dawali go tknąć i własnymi ciałami bronili przed co bardziej zuchwałymi zamachowcami. Lecz gdy kreskę już postawili na swoim przywódcy, bo Bartnitskij zdawał się unosić w powietrzu i nie widział nic, pochłonięty pełnym chaosu wewnętrznym życiem, zdarzyło się coś dziwnego.

Oto Koczik Adrianowicz, jeden z ambitniejszych, a zazdrosnych o pozycję Bartnitskiego zastępców, zakradł się pewnej nocy do komnaty wodza, uspiwszy przedtem jego strażników, i wzniosł już ciężką szablę, by usieć herszta, gdy Bartnitskij odemknął powieki i spojrzał na niego zupełnie przytomnym i jarzącym wzrokiem. Napastnik nagle teleportowany został kilka metrów dalej, akurat tam, gdzie stał stół z kandelabrami i półmiskami niedojedzonej wieczerzy. Co ciekawe, wtopiony został w deski całkiem solidnego dębowego mebla i cała ta akcja nie tylko niepomiarne go zaskoczyła, ale i sprawiła ból, bo drewno weszło w ciało Koczika, ciało Koczika zaś w drewno i nie było sposobu, by jedno od drugiego oddzielić. Gdy członkowie oddziału Bartnitskiego, słysząc wrzaski Adrianowicza, wpadli do komnaty herszta, nie okazali asasynowi współczucia. Przeciwnie, jego widok rozbawił ich do łez, a że wesoły swierch to głodny swierch, a że potrawa świeża znalazła się na stole, został spożyty pretendent przy akompaniamencie rewolucyjnych pieśni tudzież bardziej nowoczesnych przebojów. Od tej pory zaczęto spekulować na temat sposobu, w jaki Bartnitskiemu udało się pokonać rywala, a plotki, że była to jakiegoś typu teleportacja, zostały potwierdzone, gdy Sylwester powtórzył sztukę tę kilka razy, zdaje się, zupełnie niechcący.

Wtedy właśnie zaczęła rosnąć sława ordy Bartnitskiego i w oddziale przybywało ochotników, chociaż zdrowie wodza wciąż dalekie było od dobrego. A że sławny był, to i zamachy się mnożyły, głównie trucicielskie, bo zazdrośni o jego pozycję zrozumieli, że fejs tu fejs z Sylwestrem szans nie mają. W taki oto sposób oszalały Bartnitskij, truty raz za razem, stał się nie tylko specem od niekontrolowanych teleportacji, ale też istotą całkowicie odporną na wszelkie trucizny. Trutkę na szczury wódz ordy wschodniej dodawał do potraw zamiast pieprzu i stąd pseudo „Rasputin”.

Niemal wszyscy w ordzie przyzwyczaili się do tego, że wódz stracił kontakt z rzeczywistością, wszyscy znaczy prócz zrozpaczonych Snoła i Misiewicza, którzy Rasputina kochali miłością wielką i szczerą. Ponownie zaprowadzili oszalałego wodza do szamanów, którzy gościli wtedy u siebie wielkiego uzdrowiciela z Indii, Juddu Krisznamutriego. Ten ork, długi i chudy, miał zwyczaj malować duże połacie swojego ciała na kolor niebieski, a zawsze ciągał ze sobą obwieszoną girlandami świętą krowę, która z kolei ciągnęła na wielkim wozie agregat prądotwórczy, kilka kanistrów oleju napędowego, akumulatory i masę elektrycznego świństwa, w dodatku świństwa działającego, bo Juddu po przemianie nie do końca postradał zmysły i w przeciwieństwie do wielu innych Zielonych, zachował część technicznej inteligencji. Krisznamutri obejrzał ledwie świadomego swego stanu Rasputina i zawyrokował:

- Trzeba go, suka, podłączyć do wirtual rijaliti.
- Juddu łapał szybko przekleństwa kultur, w których przebywał.
- Znaczy czego? – Snoł wybałuszył oczy.
- Znaczy do matriksa.
- Jakiego, kurwa, matriksa? – zapytał Misiewicz.
- Czym jest matriks? – odpowiedział pytaniem na pytanie indyjski święty.
- No czym, bliat? – odparli Misiewicz i Snoł.
- No czym, bliat?

Jak mówiliśmy, Juddu łapał szybko.

– No, bliat, czym?! – wrzasnęli adiutanci.

– To moja tajemnica – rzekł Krisznamutri i wymógł na szamanach tudzież adiutantach, aby gdy zaczniesz się terapia, wyszli z jurty.

Adiutanci czas jakiś radzili, czy zaufać Hindusowi, ale że w zasadzie niewiele mieli do stracenia, a Rasputin tak czy owak wydawał się niezniszczalny, w końcu zgodzili się na eksperymentalną terapię. Juddu wstawił do namiotu wielki fotel, kazał na nim pacjenta ułożyć i przywiązać do mebla sznurami. Następnie otumaniał Rasputina odpowiednią dawką arszeniku i zwłókł z wózka dużą torbę, której nie otwierał, aby nikt nie zobaczył, co zawiera. Podłączył ukryte w niej urządzenie do agregatu prądotwórczego, po czym wyciągnął z niej rurę przypominającą nieco tę od odkurzacza.

– Matriks się ładuje – oznajmił szamanom oraz asystentom Bartnitskiego i kazał im wywiercić z tyłu głowy szefa dziurę. – Taką, żeby się zmieściła ta rura. – Pokazał jej wylot.

Snoł i Misiewicz z pewną obawą zabrali się do pracy, ale że sami mieli we łbach dziury i nic złego im się nie działo, Rasputin zaś nie protestował, wykonali polecenie za pomocą szlifierki kątowej, którą Juddu trzymał na wozie. Potem Krisznamutri wyprosił wszystkich z jurty i, jak mówi legenda...

Podłączył

Rasputina

Do matriksa.

I zobaczył Sylwester wszystko, a gdy zobaczył, stracił przytomność na trzy dni, po czym obudził się całkowicie wyleczony.

Tak przynajmniej twierdził. Na widok zdrowego wodza orki z jego ordy oszalały z radości, a sława jego przetoczyła się przez całą Ruś. W tym czasie do Władywostoku zawitało kilka jednostek rosyjskiej marynarki wojennej prowadzonych rozchwieyanymi rękami Engelsów, którzy zdążyli nazwać się admirałami, a że Bartnitskij morze kochał nad życie, postanowił przemianować swoją orkę na Flotę, i to w dodatku Wielką, zapożyczając nieco morskiego sprzętu tudzież tego personelu, który uznał jego zwierzchnictwo. Co zaś zrobił ze swierchami, którzy za wodza uznać go nie chcieli, historia uparcie milczy.

Rozpoczął wtedy Rasputin pochód na zachód, a idąc od stepów byłych Chin, poprzez obszary graniczące z Mongolią, Krasnojarsk i Nowosybirsk, zbierał coraz większą armię i coraz większa siła gromadziła się wokół jego boskiej postaci, którą zawsze odtąd otaczali Snoł, Misiewicz, Juddu i święta krowa. Zwyczaj popijania mózgoszejków oczywiście Rasputinowi pozostał, dlatego okresowo tracił kontakt z rzeczywistością, co dawało, jako skutek uboczny, zdolność teleportacji różnych obiektów. Gdy Rasputin przesadził z drinkami i zupełnie odlatywał, mądry Hindus podłączył go do matriksa i wkrótce herszt zdrowiał, a po kilku eksperymentach udało się obu uzyskać równowagę, dzięki której herszt był tylko trochę szalony i utrzymywał zdolność teleportacji. W trakcie podróży na zachód Sylwester wpadł na jeszcze jeden pomysł. Oto wbił we własną głowę najpierw jedną rurkę, potem dwie, a następnie tuzin, kazał je Snołowi i Misiewiczowi fajnie pomalować oraz przyozdobić, po czym zmusił najpierw jednego, potem dwa, a następnie tuzin orków do wypicia odrobiny jego mózgu, rzecz jasna po wlaniu do czachy wodza sążnistej dawki spirytusu.

Tak powstały pierwsze klony Rasputina, czyli Zieleni, którzy gościli psyche wodza, a przez to byli wobec niego lojalni, zwłaszcza że gdy był na odpowiednim haju, zyskiwał nad nimi coś w rodzaju telepatycznej kontroli (zresztą plotka głosiła, że Bartnitskij dzierży telepatyczną

kontrolę również nad swierchami, którzy nie zawierają go w czaszkach). Nowy wygląd głowy wodza sprawił, że nazwano go Królem Słońce, a na terenie Rosji powstały pierwsze totemy obrazujące jego boskie oblicze. O Bartnitskim zaczęły krążyć uzasadnione, acz nieco przesadzone legendy – że jest niezniszczalny, że potrafi teleportować całe armie, że łamie się na nim ostrza, a kule odbijają od pancernej jego piersi, że jest czarownikiem, Sauronem, Balrogiem, Leninem i Stalinem w jednym, że sra jezami i tym podobne. Nic zatem dziwnego, że wkrótce Sylwester wraz ze Snołem i Misiewiczem podporządkowali sobie wszystkie ruskie ordy, i to niezależnie od tego, czy ich wodzowie sobie tego życzyli czy nie. Nie życzył sobie tego na przykład dwugłowy Łuka-Wiśniewskij, straszliwy kamandir ordy północnej pacyfikującej byłą Szwecję. Łuka i Wiśniewskij mieli nadzieję zostać Carami Wszechrusi i przez kilka lat nie wiedzieli w ogóle o istnieniu Bartnitskiego. Gdy zobaczyli Flotę wielokrotnie przewyższającą ich własną, najpierw zadrżeli ze strachu, potem z gniewu, a następnie uznali prymat Rasputina, przyjmując skromne tytuły Cara i Stalina, bo najwyższym tytułem był teraz Rasputin. Drugą niezadowoloną była niezwyciężona Traszka, kamandirka ordy południowej robiącej porządku na Bliskim Wschodzie. Traszka nazywana była Traszką, bo miała regularny, długi ogon, którym potrafiła przywalić niczym prawym bądź lewym sierpowym największemu nawet swierchowi. I chociaż nie marzyła jej się władza nad Wszechrusią, bo ambicji politycznych żadnych nie miała, doznała wstrząsu, widząc połączone ordy wschodnią i północną pod wodzą niejakiego Sylwestra Jefimowicza Bartnitskiego, nie dość, że Rasputina, to jeszcze Króla Słońce. Rasputin i ją podporządkował sobie, nadając tytuły Carycy i Lenina, a że Traszka dwóch głów nie miała, była jednocześnie Carycą i Leninem. Tak właśnie powstała dowodząca Wielką Flotą Wszechrusi Trójca w osobach Lenina, Stalina i Rasputina, przy czym Lenin była kobietą. W pewnym sensie.

Pod koniec marszu na zachód, podczas penetrowania bogatej Litwy, spotkali Walerię Replin z partnerującym jej Kościejem, cudowną kolekcją zmutowanych zwierząt i oddziałem zdecydowanym oddać za nią życie. Widząc taką determinację, Rasputin postanowił zamienić oddział Walerii w klony, aby jednak nie robić jej do końca przykrości, rozkazał, by wszyscy oni nosili mundury z *Gwiezdnych wojen*. W ten sposób przygarnął czarodziejkę od mutacji zwierząt, której trzoda w większości się rozpiezchła, ale część ocalała i została przezeń zaanektowana.

Ciągnął więc za sobą Król Słońce Wielką Flotę liczącą dziesiątki dziesiątków tysięcy Zielonych, czołgi, ciężarówki, samochody, śmigłowce, wielkie cysterny z paliwem, wyrzutnie rakiet, transportery opancerzone, motocykle i tak dalej, a gdyby chciał, ciągnąłby domy i miasta, i wszystko, co byłoby mu potrzebne. Miał we Flocie naukowców, inżynierów, żołnierzy świątłych i oczywiście kompletnych debili. Większość kompletnych debili. Ale były ich legiony.

I Rasputin miał cel.

Zanieść kulturę na cały świat.

Jaką kulturę?

Jak to jaką?

Rosyjską oczywiście!

Jak piszą historycy, gdy dane mu było po raz pierwszy zobaczyć Gitliera, emisariusza przybyłego z krain niemieckich, siedział na olbrzymim tronie w kształcie niedźwiedzia, z którego łba wystawało kilkanaście złotych kolców. W ten sposób drewniane zwierzę upodobniono do Rasputina, który po wszystkich operacjach, jakie przeszedł jego umysł, łeb miał nieco większy od statystycznego Zielonego, a przez to mięśnie szyjne tak grube, że sylwetką

przypominał kij baseballowy ustawiony na cieńszym końcu. U stóp władcy podsypiał tygrys Gagarin, na prawo od niego spoczywał Juddu Krisznamutri, obok niego święta krowa, a dalej święty wóz, na lewo zaś od Rasputina stali uzbrojeni od stóp do głów Snoł i Misiewicz, ten drugi odznaczony oczywiście wieloma orderami. Na prawo od tej czeready tkwił tron nieco mniejszy, w kształcie dwugłowego orła, i nie dziwota, bo Łuka-Wiśniewskij miał dwie głowy i z tego to głównie powodu został kamandirem ordy północnej. Łuka był niezniszczalny, bo dwa czerepy pozwalały mu ogarniać w sytuacjach kryzysowych trzysta sześćdziesiąt stopni, a w czasie pokoju, gdy jedna głowa spała, druga czuwała. Prawa głowa (dla obserwatora lewa), ozdobiona długą brodą i wąsami, nazywana była Łuką i – o czym już wspomnieliśmy – Carem, a lewa (dla obserwatora prawa) – Wiśniewskim i przy okazji Stalinem. Łuka był nieco głupszy, ale weselszy, Wiśniewskij natomiast mądrzejszy, ale ponury. Łuka lubił nakładać na łeb średniowieczne hełmy, czym drażnił Wiśniewskiego, bo zwracając się w jego stronę, często trącał go jakimś metalowym elementem. Gdy Gitlier został wprowadzony do cyrkowego namiotu, w którym zasiadali, Łuka miał na łbie hełm typu małpi pysk i patrzył na gościa z niekłamaną ciekawością, tymczasem Wiśniewskij nastroszył brwi i łyknął samogonu z wielkiego złotego kielicha.

Na lewo od Rasputina znajdował się tron Lenina i Carycy, czyli Traszki. Ten, z wiadomych względów, miał szczyt w kształcie pyska przedpotopowego gada – Traszka, przypomnijmy, miała ogon, który to organ, od czasu do czasu Leninem zwany, wystawiała przez specjalną dziurę w tronie, aby jej się nie zawijał na siedzisku. Traszka uchodziła za najinteligentniejszą osobę w Trójcy, a to dlatego, że na płaskiej, nieco gadziej mordzie nosiła wykuty z żelaza kształt, który od biedy przypominał okulary, i chociaż nie było w nim szkielec, często go poprawiała, podkreślając, że uważnie przygląda się rozmówcy. Gdy Waleria, Kościej, Szary na łańcuchu oraz Schmidt weszli do cyrkowego namiotu, kamandirka ordy południowej dyskutowała o czymś z jednym z bojarów, którzy w liczbie pięćdziesięciu stanowili najbliższą straż Trójcy. Zerknęła zaraz na wylot namiotu, gdzie zielenił się nasz Schmidt, a obok niego, oczadziła wskutek zaszczytu oglądania Trójcy, jaśniała z uśmiechem na ustach mała orczyca.

– Kogo my tu mamy? – zapytała przyjaźnie, dając znak bojarom, aby wycelowali swoje bazooki tudzież kałasznikowy w gości.

Olbrzymy przybrane w wysokie futrzane czapy i sięgające ziemi barwne kontusze wykonały rozkaz.

– Czy to ten zajebisty gościu? – spytał Łuka, na co Wiśniewskij tylko groźnie chrząknął.

– Podstępny szpieg – zawyrokował Rasputin. – Niebezpieczny napadywca. Zabić.

Bojarzy bez słowa odbezpieczyli broń. Kościej zasłonił pysk łapą, Waleria coś krzyknęła, Myszka się skuliła i tylko Schmidt, zbaraniały, nie zrobił nic.

– Putin, przestań. – Traszka machnęła łapą. – Czego od niego chcesz? Przecież to Gitlier, ten, którym się zainteresowałeś.

– A to przepraszam. Coś tu nie gra, coś tu nie gra. – Rasputin rozejrzał się podejrzliwie po wnętrzu namiotu.

Bojarzy opuścili broń.

– Waść jesteś miłośnikiem sztuki cyrkowej? – zapytał Wiśniewskij, wciąż strosząc brwi.

– Szczerze mówiąc – odparł Schmidt – jest mi w zasadzie...

„Obojętna”, chciał dokończyć, ale w ostatnim momencie się powstrzymał. Znajdował się w olbrzymim namiocie, gdzie w jednej trzeciej obwodu ustawione były siedziska dla widowni, sama Trójca siedziała tak, by widzieć arenę, a na niej stała ni mniej, ni więcej tylko olbrzymia

armata pomalowana w czerwone gwiazdy. Do wylotu lufy gramolił się właśnie po drabince jakiś ork w błyszczących fatałaszkach i z hełmem pilota na łbie. Pilnowało go dwóch bojarów.

– ...bardzo bliska – dokończył olbrzym. – Bardzo lubię...

– Otóż to, otóż to – przerwał mu Rasputin. – Straszliwe bydlę...

– O kim teraz mówisz, kochanieńki? – spytała Traszka.

– Był tu Neo? – zignorował ją Król Słońce.

– Było. Dwóch – rozległ się dudniący głos Łuki, który roześmiał się w swoich hełmie.

– Wiedziałem – warknął Rasputin, rozglądając się podejrzliwie.

– Chyba jest na za dużym haju – zauważyła Traszka.

Juddu Krisznamutri pokiwał powoli wąską głową.

– Czas będzie na matriks.

– I po cholere chłaeś wczoraj? – spytała kamandirka Sylwestra. – Trzy mózgoszejki chlapnąłeś za jednym razem!

– I kazał z siebie siorbać pięciu wojownikom – warknął Wiśniewskij.

– Nom, nom, nom – roześmiał się Łuka, pohukując w hełmie.

– Jak tam, Timur? – krzyknęła Traszka do orka, który już wpasował się w lufę działa. –

Wygodnie?

Zapytany skrzywił pomalowany na białą pysk.

– Choroszo, kamandirka. Ciasno troszku.

– Zaraz się rozluźnisz – zarechotał Łuka.

– Timur – Lenin wskazała Schmidtowi orka będącego pociskiem – testuje najnowszą sztuczkę. Podejrzewamy, że może to być numer życia.

– W sensie? – spytał Schmidt.

– Otóż Timur Orzuchskij nie do końca słuchał rozkazów Trójcy – wyjaśniła Traszka. – Handlował nie z tymi, co trzeba, knuł spisek przeciwko Rasputinowi...

– Nieprawda! – skrzeknął Timur. – Handelek owszem, mały, taki maleńki, ale spisek? Kamandirka, ja spisek?!

– Mataczysz, Timur.

– Nie mataczę, kamandirka!

– Im bliżej Rasputina, tym więcej spisków – szepnęła Waleria do Schmidta. – Dlatego lepiej trzymać się dalej. Timur był całkiem porządnym kamandirem. Handlował, bo... bo wszyscy handlujemy. Ale żeby spiskował?

– Co tam szepczesz, Waleria? – spytał Rasputin i wstał ze swojego tronu, lekko zataczając się w lewo z powodu źle zbalansowanego łba.

– Nic, Królu Słońce! Ślicznie dziś wyglądasz!

Sylwester rozejrzał się podejrzliwie.

– Ktoś pukał?

– Ta. Traszkę. Ale nie przeżył! – huknął z hełmu Łuka.

– Zamknij się – warknęła Lenin.

– No i tak. – Rasputin spojrział w kierunku Timura. – Plan jest taki, kochanieńki. Strzelają cię z działa. W tym czasie moi bojarzy szyją do ciebie z tego, co mają. Ja też se strzelę. I tak, drug moj. Jak przeżyjesz, znaczy się nikt w ciebie nie trafi, jesteś niewinny i możesz sobie robić, co tam chcesz i tam dalej. A jak nie przeżyjesz, no to znaczy, że byłeś winny i tak chciała kultura Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, pania!

– Tak toćna, królu – jęknął Timur – ale i tak przecież nie przeżyję.

– Dlaczego? – Rasputin wytrzeszczył wielkie gały. – Winien?
– Nie, Wielki Kulturoznawco, nie... – Orzuchskij skrzywił biały pysk.
– No to o co chodzi? Makijaż nie ten?
– A nie, doskonały.
– Hełm chciałbyś zmienić?
– To by się może przydało.
– Wasyl, zmień mu hełm!
– Tak toćna! – zagrzmiał bojar, zdarł zapakowanemu do lufy nieszczęśnikowi hełm pilota i założył mu na głowę coś w rodzaju wieńca laurowego.
– Lepiej? – spytał Rasputin.
– No świetnie – jęknął Timur.
– A widzisz. Teraz się nie spocisz. Iwan! – krzyknął do drugiego bojara, który już coś majstrował przy zamku działa. – Gatow?
– Gatow, kamandir, ale nie pamiętam, czy załadowałem nabój z pocizgiem czy ślepaczka. Usłyszawszy tę nowinę, Timur wybałuszył gały.
– A jaka to różnica? – spytał Sylwester.
– Nu, w zasadzie niewielka. Tyle że z naboja polecą pocizg i ciutkę pchnie Timurka, a ze ślepaczka polecą tylko troszku gazu.
– No to nie ma różnicy?
Bojar podrapał się w potylicę.
– Taka maleńkaja jest w sumie.
– Maleńkaja?
– Maleńkaja.
– No to odpalaj, w imię kultury.
– Tak toćna, kamandir.
Timur chciał stanowczo zaprotestować, ale było już za późno. Na znak Rasputina bojarzy wycelowali w nieszczęśnika, a Król Słońce zaczął odliczać:
– Adin, dwa, tri!
Nic się jednak nie stało. Bojar stojący przy zamku armaty mrugnął.
– Znaczą się strzelamy na tri?
– Na tri strzelamy! – odparł Rasputin.
– A może by sprawdzić ten nabój? – zaproponował nieśmiało Timur.
– Cichaj, szmalcownik – odparł Sylwester. – Jeszcze raz. Adin, dwa, tri!!!
I huknęło działo, wysyłając Timura Orzuchskiego gdzieś daleko poza namiot. Nawiasem mówiąc, najwyraźniej bawiono się tak już nieraz, bo nieszczęśnik wyleciał przez dawno wyrwaną w poszyciu dziurę. A gdy działo huknęło, huknęli też bojarzy ze swojej broni i przez chwilę dym się unosił w namiocie, na szczęście szybko jednak się ewakuował przez liczne dziury, większe i mniejsze.
– Przeżył? – spytał Rasputin, machnąwszy łapą, by odgonić opar.
Bojarzy spojrzeli na siebie. Nie wiedzieli.
– Ktoś trafił? – ponownie zapytał wódz.
– Nie wiemy, kamandir – odparł futrzastoczapki dowódca Maksym „Bołtun” Czapskij, mianowany na szefa bojarów wyłącznie ze względu na nazwisko, bo de facto ten niezbyt wysoki Zielony pełnił funkcję propagandzisty ordy i rysował komiksy *Kapitan Rossija*.
– Jak to nie wiecie?!

- No bo on wyleciał...
- No to go przyprowadźcie i zapytajcie, czy przeżył.
- Tak toćna.

Czapskij machnął łapą i kilku bojarów podreptało do wyjścia z namiotu, a każdy z nich, mijając Kościeja, Walerię, Szarego, Myszkę i Schmidta, grzecznie mruczał „Izwinitie”.

– Nu da... – Rasputin spojrział na byłego pisarza jakby przytomniej. – Nu da. Malczik, słyszałem, że potrafisz strzelić piorunem jak Kościej.

- Potrafię – potwierdził Schmidt.
- A pokażesz?

Robert rozejrzał się po namiocie.

- W co?

Rasputin wskazał łapą jednego z bojarów.

- Ty, no, jak ci tam?
- Jewgienij, wasza wysokość – odparł basem gwardzista.
- Pozwól no, Jewgienij, na chwileczkę.

Bojar wystąpił z szeregu otaczającego Trójcę.

- Dobrze się czujesz, chłopczyno?
- Dobrze, kamandir.
- Nie za mało energii?
- Że co, kamandir?

- No nic ogólnie. Mości Gitlier? Może być?

Schmidt spojrział na bojara i wzruszył ramionami.

- Dla mnie bez różnicy. W imię Gotta i Szatana...

Wyciągnął łapsko i strzelił tak grubym wyładowaniem, że Kościej, Waleria i Szary wraz z Gorimem podskoczyli, a Myszka aż pisnęła. Gdy bojar zaczął się obalać, Schmidt przyskoczył do niego, błyskawicznie wyciągnął z worka kawałek kości Ixiego, załadował ją Ruskiemu w wiadome miejsce, po czym przejechał pazurem po jego czole i oznajmił strasznym basem:

- Czuj się namaszczony.
- *Przesadziłeś* – skomentował Ixi.
- Zamknij się – odparł Schmidt.
- Przecież nic nie mówi – zauważyła Waleria.
- Mówię do Got... znaczy do Ixiego.
- A kimże jest Ixi? – spytał Rasputin.
- Mój kolega. Mam go w głowie, bo zeżarłem jego mózg i popiłem spirytem.

Rasputin spojrział złowieszczym wzrokiem na byłego pisarza, mrugnął, po czym wydał gromkim głosem rozkaz:

- Zabić Gitliera!!!

Żeby zrozumieć, co się następnie stało w namiocie Trójcy, należy zwolnić tempo historycznego odtwarzania. Najpierw zajrzyjmy do ciut rozdętego baniaka Rasputina. Władca ten, mimo ewidentnych zaburzeń, swój rozum miał i potrafił łączyć fakty. Gdy tylko usłyszał o Gitliercie, zląkł się, bo chociaż Rosjanie mieli wyrośniętych wojowników, których nazywali Gienami albo Krokodilami, żaden z nich nie był w stanie dodać najprostszych liczb, a większość ledwie mówiła. Gitlier natomiast umiał mówić, i to w dodatku w obcym dla siebie języku. To raz. Po

drugie, przybysz opanował tajemną sztukę strzelania piorunami, którą poza nim znał tylko Kościej, a wydobyć zeń tajemnicę nie było sposobu, bo Mistrz Gier palił na popiół każdego, kto próbował. Po trzecie, Niemiec był strasznie zielony i widać to było na pierwszy rzut oka, co sugerowało kolejną tajemnicę jego metabolizmu. Obcy, inteligentny Krokodź, podejrzenie szmaragdowy i strzelający piorunami bodaj jeszcze potężniejszymi od Kościejowych? Toż to pierwszy kandydat do obalenia władcy! I nieważne, bliat, że jeszcze sobie tego nie uświadomił. Zagrożenie należy zlikwidować w pierwszej kolejności!

De facto Trójca nigdy nie otaczała się aż pięćdziesięcioma bojarami. Wystarczało im piętnastu, góra dwudziestu, bo obawy przed dwoma łbami Łuki-Wiśniewskiego, ogonem Traszki i teleportacją Rasputina były zbyt wielkie. Tymczasem, jak twierdzą historycy, na Schmidta czekała pięćdziesiątka będąca naprawdę plutonem egzekucyjnym. Wstępna gadka i demonstracja palby z Timurem miała jedynie odwrócić uwagę byłego pisarza (wiecie, zasmażka), a dalej miało się stać to, co się stało.

Jednak nie docenili Rosjanie dębu wyrosłego w niemieckich lasach! Oto bowiem, gdy w pierś tudzież czaszkę, nogi i ręce uderzyły pierwsze salwy wrażej broni, Schmidt czule objął Myszkę, wyrzucił ją z namiotu, mając świadomość, że choć nie pamięta świętej ceremonii, małżonkę wypada chronić, po czym, robiąc szpagat, wyskoczył w górę, by spaść na stojących najbliżej strażników przy akompaniamencie grzmotu stóp i wywołanej tym fali uderzeniowej. Gdy wrogowie prali do niego z bazook i karabinów, chwycił jednego z nich za nogę, zakręcił i rzucił w kilku następnych, obalając ich na klepisko, znowu wyskoczył, poraził piorunami jeszcze paru i blask uderzył w oczy wszystkich obecnych, dał bowiem Schmidt z siebie wszystko. Widząc, że w walce dystansowej mogą sobie z nim nie dać rady, bojarzy skoczyli do przodu, zwijając łapy w pięści wielkie niczym kowadła. Opadli na Überwundera, przygnietli go i poczęli grzmocić, a każdy cios był tak silny, że – zdawało się – przekraczał barierę dźwięku, zanim dotarł do twardej szczęki bądź korpusu byłego pisarza. I chociaż Schmidt kopał, gryzł i szczypał (uderzać już nie mógł), chociaż palił piorunami tego i owego, chociaż skwierczało palone mięso, a jęki rażonych mieszały się z odgłosami szarpaniny i przekleństwami, chociaż góra bojarów co chwila unosiła się dźwignięta przez mocarnego Überwundera, jego olbrzymie ciało z każdym wrażym ciosem trochę bardziej wbijało się w ziemię i już tylko połowa wystawała nad powierzchnię. Robert wiedział, że wytrzyma dużo, ale zdawał też sobie sprawę, że cierpliwi bojarzy w końcu zwyczajnie wbiją go w glebę i spłaszczą. Zauważył również, że siła jego wyładowań zaczęła słabnąć, aż wreszcie energia zupełnie się wyczerpała.

– *Donnerwetter* – zaklął w jego głowie Ixi. – *Jak zaraz czegoś nie zrobisz, to po nas.*

I Schmidt właśnie w tym momencie pomyślał: „Co ja w zasadzie robię? Dlaczego się biję? Zakhausen wysłał mnie na misję do centrum Polen, w sumie samobójczą. Cudem przeżyłem, a w zasadzie nie przeżyłem. Teraz jestem w jakimś zasranym Ruślandzie, gdzie co chwila ktoś na mnie napada. Co za chujowe życie. Może dać się zabić i mieć już to wszystko z głowy? Przecież nie wrócę do Überlandu. Nie ma takiej możliwości i ci Białorusini też mi nie pomogą. Do dupy z tym wszystkim, niech mnie zabiją”.

I przestał się bronić.

– *Co robisz?! Co robisz, Robert?!* – krzyknął w jego głowie Ixi. – *Walcz! Walcz, donnerwetter!*

Ale Robert nie walczył, a bojarzy cios za ciosem wbijali go w grunt. Ixi przejął więc kontrolę nad jego ciałem i zaczął nieporadnie wierzgać oraz rzucać się na wszystkie strony, przyjmując dziesiątki ciosów ciężkich jak los Überwundera, ale wciąż nadaremnie.

– *Verfluchte, zrób coś, Schmidt, proszę cię!* – krzyczał w głowie mesjasza, lecz ten nie odpowiadał. – *Gdzie się podział twój instynkt samozachowawczy?!*

– Jakie trudne słowa – mruknął Schmidt w odpowiedzi. – Co myśmy się tacy inteligentni zrobili, Ixi?

– *Nie wiem. Może to wpływ Różowych? Może to zmartwychwstanie?*

– Rasputin jest równie mądry?

– *Nie, on jest porąbany. Zacznieś się wreszcie bronić?!*

– Nie chce mi się.

– *Okej, nie chcesz się bronić, w porządku. Ale obroń mnie! Obroń mnie, przyjacielu!*

Schmidt westchnął.

– Trochę osłabłem.

– *No weź!*

I Ixi znowu zaczął wierzgać, ale nagle jakaś wielka łapa przygniotła nozdrza tudzież paszczę Schmidta, odcinając dopływ powietrza.

– *No pięknie!* – wrzasnął Ixi. – *Będzie nas dusił! Robert! Proszę cię!*

Jednak Robert nic nie robił i, niestety, winien był tu nadmiar inteligencji byłego pisarza. Zaczął sobie zadawać pytania egzystencjalne typu „Być albo nie być?”, „Po co w ogóle żyć?”, „Czym istnienie różni się od nieistnienia?”, „Czy moje życie jest ważniejsze od życia tych, którzy mnie teraz biją i których musiałbym zabić, żeby ocalić swoje bytowanie?”, no wiecie, cały ten filozoficzny szmelc o bycie i tak dalej. To on go osłabił i on odebrał wolę przetrwania, ku rozpaczy siedzącego w jego głowie Ixięgo. I stracił przytomność z asfiksji dzielny nasz Überwunder i pewnie szczyłby bez walki, gdyby nie jedna, w sumie przypadkowa sprawa.

Oto przez otwór, którym jakiś czas temu wyleciał Timur, wdarł się promień słońca i padł prosto na odkryte zielone czoło Engelsa. I czy to Duch Święty zstąpił na naszego mesjasza, czy zadziałała inna reakcja chemiczna w jego ciele, tak czy owak, Robert znowu miał wizję.

Stał przed mlecznobiałym obeliskiem, którego szczyt ginął w wysokich chmurach, przed nim zaś lewitował w pozycji lotosu niebieski ork posiadający cztery ramiona. Bóstwo otworzyło oczy, uśmiechnęło się, przeciągnęło palcem po swojej twarzy i okazało się, że jest tylko pomalowane niebieską farbą, naprawdę bowiem jest zielone.

– KUMA SRUMA TATA CHWATA? – spytało.

Stropił się Schmidt, ale doświadczony poprzednimi wizjami, wiedział już, że nie wszystko zrozumie z boskiej mowy, uśmiechnął się więc i odpowiedział:

– Tak, kumam, srumam tata chwata.

Bóstwo zmarszczyło brwi, jakby były pisarz w jakiś sposób obraził je, matkę jego czy córkę. No tak to w każdym razie wyglądało.

– DUPA SRAKA ZULU CZAKA? – spytało i wyglądało tak, jakby próbowało się co do czegoś upewnić.

– Ha! – roześmiał się Schmidt. – Pamiętam! Dupa sraka! Oczywiście, boskie przesłanie! Ale tak konkretniej może?

– WYDRĘGA OBAJ MACIE CHUJA! – wrzasnęło bóstwo wyraźnie już zagniewane.

Schmidt przełknął ślinę. Miał nadzieję, że tym razem pójdzie jakoś łatwiej, ale nie, znowu wkurwił czymś Gotta i, jak zwykle, nie wiedział czym.

– Proszę się nie gniewać – odparł. – Obaj mamy chuja, to oczywiste, ja, ty, on, ona...

Ale było już za późno. Bóstwo tak się zdenerwowało, że otwarło paszczę i ryknęło tak mocno, że wyrzuciło Schmidta z sennych wizji prosto w nienawistne objęcia leżących na nim bojarów.

Zrozumiał jednak były pisarz, że nie ma szans, choćby Ixi jeszcze głośniej wrzeszczał w jego głowie.

I w tej godzinie desperacji, w tej najbardziej mrocznej porze, gdy stracił ostatnią nadzieję...

Robert Schmidt

Strzelił

Sznurem

Z dupy.

No, może nie do końca sznurem, tylko czymś w rodzaju przędzy. Tak czy owak, nic plasnęła w koło olbrzymiej armaty, z której wystrzelony został Timur, i połączyła ciężką tę broń z... hmm... naddupiem naszego bohatera. Poczawszy punkt zaczepienia, były pisarz wciągnął przędzę z powrotem do tego czegoś, co miał nad posładkami, i w ten cudowny sposób wydostał się spod góry bojarów. Przerwał przędzę nowo odkrytym zwieraczem, stanął i nie czekając ani na okrzyki zdziwienia bojarów, ani na to, aż się przegrupują, przybrał naprędce pozę Zygryda z aktu drugiego *Jeziora łabędziego*, wyskoczył w powietrze i z dudniącym okrzykiem „Aapokalipsa!!!” spadł na wrogów niczym dwugłowy carski orzeł, gdzie jedną głową była jego lewa pięść, drugą zaś prawa. I jak nie zacnie okładać oponentów, jak nie zacnie ich grzmocić, a z każdym ciosem coraz straszniej i mocniej...

– Stać! – wrzasnął Rasputin. – Staaaać!!! – wrzasnął po raz drugi i uśmiechnął się szeroko, gdy Schmidt, stojąc w rozkroku na górze powalonych olbrzymów z czaszką Ixięgo szczerzącą kły w kroku, z bobrami (prawie nieżywymi) na barkach i skórą między nogami, bazooką wyrwaną jednemu bojarowi tudzież AK wyrwanym drugiemu, szykował się do kolejnego straszliwego ciosu. – Stać – dokończył spokojniej, nie przestając się uśmiechać. – Toż to tylko taki żarcik, rytuał powitalny dla najznamienitszych gości, prawda, Czapskij? – spytał bojara, który właśnie usiłował się wydostać spod góry wartowników.

– Oczywiście, Królu Słońce.

– No. Jak Czapskij potwierdza, to tak jest. Rozumiesz, tak nasza rozrywka kulturalna.

– My, Niemcy, też cenimy kulturę. Kulinarną. Oto na przykład... – Schmidt, wciąż czując gigantyczną porcję adrenaliny w tętnicach, wciąż pragnąc rzezi i rąbanki, odchylił się i wykonawszy heroiczny zamach, wbił szpony w nadbrzusze jednego z jeszcze żywych bojarów, który wskutek tego zabiegu stał się nieco mniej żywy. – O, donnerwetter, jak mi ulżyło – stęknął były pisarz, czując wnętrzości w łapie. – Oto na przykład – ponowił – nasza ulubiona potrawa. – Szarpnął, przekręcił nieco przedramię schowane w klatce piersiowej bojara, szarpnął drugi raz i z satysfakcją wyciągnął z cielska oponenta jego bijące i parujące serduszko. – Hertzburger. Rzecz tu nieznaną, chociaż przedstawiłem już zalety tej potrawy Kościejowi, Walerii i Szaremu. – Überwunder uśmiechnął się do nich błogo, wachając przekąskę. Ci pokiwali głowami. – Może być podawana osobno na surowo, przypiekana, w liściu łopianu albo w zestawie z waszym pogandogiem. Trochę witamin nie zaszkodzi.

– Wygląda... znakomicie – zająknął się Rasputin.

Traszka przełknęła ślinę, nie wiadomo, ze strachu czy z głodu, a Łuka, także nie wiadomo dlaczego, zaśmiał się w swoim hełmie.

Schmidt wraził kły w serce, oderwał lewy przedsionek, a potem wrzucił całość do gęby i demonstracyjnie zaczął przeżuwać, tocząc dookoła krwawym okiem i jednoznacznie dając do zrozumienia zgromadzonym, że jeśli ktoś stanie mu na drodze, taki właśnie los go czeka.

W tym momencie do namiotu wkroczyło... coś.

Coś robiło wokół siebie mnóstwo szumu różnymi szmatami i ścierkami, które, jak się zdawało, były przymocowane do pancerza czegoś w każdym możliwym miejscu. Istota wyglądała trochę jak Majselbaum, ale była większa, opięta czarnym gorsetem, miała nasadzoną na głowę antracytową perukę afro, całość swojego jestestwa zaś owinęła w czarną firanę. W jednej garści zjawisko to trzymało pancerną szczotkę, a w drugiej olbrzymie, nie mniej pancerne wiadro, w którym brzękała pancerna szufelka.

– No i co, bliat?! – huknął fenomen głosem strasznym a donośnym. – Nasmrodzili znowu, namiot poharatali i naśmiecili! I kto to tera posprząta?!

Traszka jakby zbladła, Łuka i Wiśniewskij wcisnęli się głębiej w fotel i tylko Rasputin, przełknąwszy ślinę i stłumiwszy wytrzeszcz oczu, chrypnął do Schmidta:

– Mości Gitlier, pan nie miał jeszcze zaszczytu poznać naszej ochmistrzyni i ogólnie mistrzyni... Oto madame Jewita Jurijewna Białołętskaja, pierwsza dama dworu.

– Ja ci dam damę, pierdunie obesrany! – huknęło zjawisko, a święta krowa Juddu poruszyła się niespokojnie, jakby w obawie, że za chwilę stanie się cowburgerem.

– Ależ madame Białołętskaja... – szepnął Rasputin.

– Won! Won stąd, brudasy! Ja pierdziu, jak naśmiecili...

Schmidt zeskoczył z gromady bojarów, którzy – znaczy ci, którzy byli jeszcze żywi – zaczęli ze strachem umykać przed pancerną szczotką Jewity. I dobrze robili, jak ocenił Überwunder, zamaszystość ruchów carskiej sprzątaczkii była bowiem zatrważająca. Już w pierwszym ruchu urwała okutym w żelazo kijem głowę leżącemu u podnóża kupy bojarowi, który – z tego, co Niemiec zdążył zauważyć – był jeszcze całkiem żywy i nawet próbował protestować.

– Bliat, jak nasyfili... Który to tu tak napaskudził?! – Rozejrzała się, połyskując przedłużonymi, pociągniętymi sadzą rzęsami. – No który?!

Rasputin nieśmiało wskazał na Schmidta.

– Ty, bliat?! – Jewita wyciągnęła w stronę Überwundera ponabijaną ćwiekami i kolcami szczotkę.

Były pisarz poczuł suchość w gębie. Był większy od Białołętskiej, ale jakaś atomowa energia, która z niej biła, pewność siebie i aura, którą przebijała wszystkich w namiocie, Kościeja nie wyłączając, onieśmiałą nawet jego.

– Wiedźma – mruknął do siebie. – Prawdziwa wiedźma.

– Co tam szepcesz, kulturysto?! – spytała.

– Nie, nic.

– Ekhm – chrząknął Rasputin. – Chodź, Gitlier, chodź. – Skinął ręką na Niemca i na wszystkich pozostałych. – Przewietrzmy się. Co nie, Czapskij?

– Mrhm! – szczechnął propagandzista, skacząc nad furkoczącą w powietrzu szczotką Białołętskiej.

– Chodź – ponowił Rasputin. – Pogadajmy teraz jak Zielony z Zielonym. Pokażę ci kilka zabawek.

I umknęli z namiotu, pozostawiając tam szalejącą niczym tornado Jewitę.

Tak oto, w furkocie przerażającej, zaopatrzonej w haki i karmazynowe kutasy szczotki Białołętskiej, zakończyły się wstępne powitania na dworze Trójcy, przynajmniej według oficjalnych historycznych źródeł. W trakcie uroczystości tych zginęło dwunastu bojarów, ale

zgodnie z szekspirowskim przysłowiem „Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś”, które można przekształcić na „Ktoś zdycha, aby jeść mógł ktoś”, nikt się nadmiernie tym nie przejmował. Tak czy owak, obiecywano sobie sutą wieczerzę pełną twardego, ale jakże aromatycznego mięsiwa bojarów.

Tymczasem Rasputin siedzący na olbrzymim zielonym tygrysie, który leżał na złotobordowym dywanie, który spoczywał na platformie, na której stali jeszcze Snoł i Misiewicz, Waleria dosiadająca Anatola, Car i Stalin oraz Caryca Lenin na swoich tronach niesionych przez bojarów, Kościej na swojej ciężarówce, Szary wraz z Gorimem na UAZ-ie oraz Myszka, którą Schmidt niósł na ramieniu, przemieścili się między kilkunastoma cyrkowymi namiotami na wzgórzu, które oddzielało ich od tego, co było dalej. A gdy się na nie wspięli, były pisarz tudzież tłumacz, obecnie zaś mesjasz najprawdziwszy bóstw trzech, westchnął z zachwyty, zgrozy i zaskoczenia, a potem znowu zachwyty, grozy i zaskoczenia, gdyż – na Gotta! – nie spodziewał się takiego widoku.

Zobaczył oto ciągnące się po horyzont barwne i połyskujące w południowym słońcu zastępy Wielkiej Floty, siły nieporównywalne z czymkolwiek, co dotąd widział. Stały tam znane już mu Topole z przyspawanymi kolcami, bocznymi platformami i flagami, dźwigające z przodu wielkie łychy, a na grzbietach rakiety, czasami zastąpione pokładami dla piechoty, GAZ-y typu Tigr malowane w czerwień i błękit, transportery BTR-90 tak poobwieszane blachami i skórą, że z trudem można było je rozpoznać, piętrzyły się przypominające zigguraty haubice Msta tak bogato przystrojone dywanami, dospawanymi rzeźbami i kandelabrami, że niełatwo było się rozeznać, gdzie jest przód, a gdzie tył, warowały samobieżne wyrzutnie rakiet Buk-M2, w których często rakiet już nie było, były za to katapulty do wystrzeliwania swierchów, tkwiły w cieniu drzew zestawy artyleryjsko-rakietowe poznaczone przytwierdzonymi do nich tarczami i proporcami, mobilne zestawy rakiet ziemia–ziemia Iskander całe w rudych i czerwonych pasach, jakby udawały tygrysy. Za nimi czaiły się jeszcze czołgi T-90 Vladimir z dumnymi, noszącymi pióra żarptaków pancerniakami oraz wozy zabezpieczenia technicznego, zawsze bardzo kolorowe, a wszystkie, bezwzględnie wszystkie pojazdy lądowe wyglądały trochę jak okręty: miały maszty, łopoczące na nich flagi, a niektóre nawet coś na kształt żagli. Na prawo od głównych sił spały z opadłymi łopatami śmigłowce Mi-8 i Mi-11, także w morskich barwach Floty, a wszystko to w niezmiernym morzu bardzo i średnio pijanych orków, łopoczących na wietrze flag, proporców, suszących się portek tudzież innych części garderoby, nadzwyczaj kolorowych, połyskliwych i szalonych.

Jeśli ktoś myśli, że opis Wielkiej Floty na tym się kończy, srogo się myli, bo wszystko, co opowiedzieliśmy do tej pory, stanowi zaledwie tło. Wyobraźcie sobie teraz dzień pogodny, taki, podczas którego skowronki dzwonią na bezchmurnym niebie, a każda połyskliwa powierzchnia dzieli się blaskiem gwiazdy typu G2 stanowiącej centrum Układu Słonecznego. Zobaczcie stęsknionymi oczami dzień beztroski, gdy serce śpiewa i uśmiecha się do człowieka każde stworzenie, które natura wydała na świat. A teraz ujrzyjcie na tle Floty, która została dopiero co opisana, piętrzący się nad nią niczym świątynia zagłady, ni mniej, ni więcej, tylko złożony na kilkudziesięciu gąsienicowych platformach... okręt podwodny z dospawanymi na burtach wieżami pancerników, z wetkniętymi w każdy otwór powiewającymi flagami, z pociągiem pancernym posadowionym na górnej części kadłuba, z kioskiem pomalowanym w złote słońce na czerwonym tle i z karmazynową gwiazdą stanowiącą ornament dziobu.

– O mein Gott – stęknął Schmidt, widząc ten ogrom.

Na burcie okrętu, blisko gwiazdy, pysznił się szkarłatem napis *Kultura*.

– Z kulturą do ludzi – oznajmił Król Słońce. – Robi wrażenie, co?
– Robi – odparł Schmidt, oczyściwszy gardło. – Ale... dlaczego wszystkie pojazdy są jakby...
łodziami?

Król Słońce uśmiechnął się chytrze.

– To jest chwyt, proszę cię, psychologiczny.

– Że jak?

Rasputin wyszczerzył zęby.

– Ech, Gitlier, na wojacze to ty się nie znasz.

– Najwyraźniej...

– Wyobraź sobie, że idziemy na Bliadych.

– No wyobrażam sobie.

– I oni nas widzą, tak?

– No tak.

– I co widzą? Okręty, Gitlier, maszty, żagle, flagi, fale namalowane na pancierzach. I co myślą?

– *Że Ruskich pojebało* – odezwał się Ixi.

– No co? – spytał Überwunder.

Rasputin znowu uśmiechnął się z wyższością.

– Że płynie na nich flota! Okręty! I mordy rozdziawiają, i w popłoch wpadają, bo u nich przecież na łądzie floty niet, więc jak będą z nami walczyć? I głupawki dostają, i latają w lewo i w prawo, bo psychologicznie są, Gitlier, rozmontowani! A my ich kropimy, aż huczy, a oni ciągle nie wiedzą, co się dzieje, Gitlier! Bo niby ziemia, a woda! Niby atak lądowy, a morski! No sam popatrz, nie mieni ci się w oczach? Nie masz wrażenia, że to prawdziwe morze i prawdziwa flota?

– *Ni chuja* – oświadczył Ixi.

Ale Schmidt wiedział, że musi zachować się dyplomatycznie, zdał sobie bowiem sprawę, że dla mocno nie zrównoważonego Króla Słońce rzeczywiście tak to wyglądało.

– W rzeczy samej – odpowiedział, starając się nadać mordzie wyraz zdziwienia i podziwu jednocześnie.

– A widzisz! – Rasputin ucieszył się i dał mu kuksańca w wielki triceps. – I to wszystko, moj drug, wkrótce ruszy na Poliaków. Tylko na lotniskowce czekamy.

– Na co, przepraszam?

– Nu wiesz, pływające lotniska.

Schmidt uznał, że wódz Rosjan jest zupełnie zaburzony, i spytał oględnie:

– A jakim cudem... – Wskazał olbrzymie orki, wielkością zbliżone do domków jednorodzinnych, przymocowane kotwicznymi łańcuchami do platform, na których posadowiona była *Kultura*. Olbrzymy miały śmiesznie małe główki, niektóre ogony, inne zaś dodatkową łapę lub nawet dwie albo płetwy. Były też stwory łuskowate i zniekształcone, ale zawsze olbrzymie i zawsze z małą głową, w której oczkach nie dało się dostrzec krzty inteligencji. – Skąd się wzięły te giganty?

– Wielkie Iwany? – spytał Król Słońce. – Wot ruskaja technika.

– Czyli?

– Chodź, Gitlier, pokażę ci.

I ruszyli w dół wzgórza. Minęli liczne namioty, pojazdy i pomniejszych obozowiska i wreszcie dotarli do tylnej części okrętu podwodnego. Stał u jego podnóża Iwan, który jeszcze nie był

wielki, ale coś już z jego ciałem się działo: puchło, bulgotało i jakby w oczach rosło. Do jego gęby wprowadzona była długa rura, która biegła w górę, do otwartego pancerza *Kultury*. Iwan mlaskał, przewracał oczyskami, a stojący dookoła bojarzy trzymali skierowane w jego stronę włócznie i dzidy, jakby bojąc się, że stwór wyrwie się z okowów.

– Widzisz, Gitlier, *Kultura* to jednostka atomowa. Wiesz, co to znaczy „atomowa”?

– No wiem.

– Znaczy, że zaprojektował ją słynny rosyjski swierch Atomow.

– A... no tak.

– I w środku jest reaktor Atomowa. Cudowne urządzenie. My dajemy popitkę Iwanom, znaczy przysłym Iwanom, i popatrz, jak im służy. Godzinka, dwie i mamy Wielkiego Iwana!

– Dużo takich wyhodowaliście?

– No dużo. Swierchów u nas dostatek. A *Kultura* wymaga poświęceń. Topole same jej nie uciągną. I lotniskowców też nie.

– Każdy tak rośnie?

– Niet. Wielu zamienia się w Małych Iwanów. Bardzo pożytecznych także.

– Do czego służą?

– E, w zasadzie do wszystkiego.

Król Słońce rozejrzał się, jakby szukał jakiegoś egzemplarza, ale że żaden nie kręcił się w zasięgu wzroku, potarł tylko łapą o łapę i uśmiechnął się tak jak gospodarz na przyjęciu, któremu nagle zabrakło konceptu do rozmowy.

Na szczęście w tym momencie pociąg pancerny *Pobieda* zaczął przestrzeliwać swoje działa, zupełnie jakby na wiwat, i Rasputin rozciągnął gębę w uśmiechu, dumny z wrażenia, jakie na Schmidcie wywarła ta palba.

– Odważne przedsięwzięcie! – Schmidt spróbował przekrzyczeć huk. – I to wszystko nach Polen?!

– Da! Zaniesiemy im naszą kulturę, przyjacielu! Uch, przyjmą ją z naszym błogosławieństwem i twoim świętym posłannictwem!

– Od Gotta, Szatana i Siwy?!

– Od Siwy też? – zainteresował się Rasputin, a Kościej zastrzygł uszami.

– Objawił mi się podczas walki!

– Jesteś prawdziwie świętym człowiekiem!

– Überwunderem, Rasputinie!

Sylwester się uśmiechnął.

– Dobrze brzmi, chociaż nie za bardzo to rozumiem! Tak czy owak, zaniesiemy kulturę Poliakom! I uczynimy ich Zielonymi, bo taką kulturę niesiemy! I namalujemy na nich czerwone gwiazdy! A potem, moj drug, ich wszystkich wpierdolimy, ale kobiety najpierw zgwałcimy!

– Co za – Schmidt poczekał, aż przebrzmi kolejny wystrzał – piękny plan! Chociaż ja najpierw bym podjadł, a potem ukulturalniał!

Rasputin uśmiechnął się szeroko.

– To też jest wspaniały plan!

– Dziękuję!

Rasputin próbował objąć jego barki, ale że Gojira był dla niego za szeroki, poklepał go tylko po plecach i powiedział:

– Mam wrażenie, że to początek pięknej przyjaźni!

W tym jednak momencie Roberta ogarnęły złe przeczucia, które zwerbalizował siedzący

w jego mózgu Ixi:

– *A co, jeśli okręt podwodny, o którym pisali Białorusini i Ukraińcy, to właśnie Kultura?!*

Kiedy Trójca, Szary z Gorimem, Juddu i Schmidt z Myszką stali na wzgórzu, obserwując Wielką Flotę, na kiosk atomowego okrętu podwodnego typu *Moskwa* wspiął się potężny ork o bujnych blond włosach ułożonych w loki i przybitej wielkim gwoździem do masywnej szczęki brodzie utkanej z lin okrętowych. Na głowę miał nasadzony łeb białego niedźwiedzia, z pleców wyrwała mu się w powiewach wiatru peleryna z futra tego szlachetnego stworzenia, na szerokiej piersi połyskiwało coś w rodzaju plastikowej biało-czerwonej zbroi, a w jednej z łap rzucała słoneczne refleksy tarcza w kształcie karmazynowej pięcioramiennej gwiazdy. Był to Dżekob „Ćwiek” Makneil zwany też Farfolem, a to za sprawą olbrzymiego przyrodzenia, które związał w muszelkę i skrywał w specjalnym worku pod częściami zbroi okrywającymi krocze. Makneil, jeszcze jako człowiek, był aktorem i animatorem kultury. Nie wiodło się Brytyjczykowi źle, ale nie było też wspaniale. Martwił się o emeryturę, o to, z czego będzie żyć, gdy zabraknie sił na fuchy, pojawią się choroby i gra na scenie zacznie go męczyć. Pamiętacie losy Giselle? No więc z nim było podobnie, tyle że Makneil nie zdobył nigdy jej sławy. Niemniej po zażyciu N-Genu poczuł wiatr w żaglach, odzyskał siły i stwierdził, że człowiek musi się czasami urodzić po raz drugi. Tak jak Kapitan Ameryka. Postanowił zatem Dżekob, zwany wówczas jeszcze Jacobem, wyjść poza strefę kontroli, do czego przekonywał go bardzo drogi, ale ponoć znakomity coach, wyjechał z Wielkiej Brytanii do Rosji. „W Rosji wszystko jest możliwe” – powtarzał sobie Dżekob i dostał rolę w kasowym filmie *Zaszczytniki 4*, gdzie miał się wcielić w rosyjskiego superbohatera Kapitana Rossiję. Wypada tu stwierdzić, że Rosjanie sporo zerznęli z Marvela, a podobieństwa same rzucały się w oczy, chociażby tarcza i nazwa. *Kapitan Rossija*. Szczęście, że reszta broni była oryginalna, a stanowiły ją sierp i młot wiszące w kaburach na obu udach postaci. Właśnie w stroju superbohatera dopadło Jacoba ostateczne przepoczwarczenie. Niewiele pamiętał z tego, co było potem, najlepiej zaś to, że – nieco osłabiony po przeobrażeniu – pożywił się scenarzystą, którego nie cierpiał z powodu jego czerstwych tekstów, następnie reżyserem, w sumie miłym facetem, a na koniec charakteryzatorką, niewiastą ładną i dającą się, hmm, lubić. Potem w Rosji rozpętało się pandemonium, ale że miał na sobie spore fragmenty filmowego kostiumu, zyskał respekt i inne orki garnęły się pod jego dowództwo. Wicie, charyzma. Tak powstała legenda Kapitana Rossii i hasła „Z kulturą do ludzi”. Gdy jego całkiem liczna banda napotkała rodzącą się dopiero orde Łuki-Wiśniewskiego, ten przygarnął go jako najbardziej obiecującego z dowódców, a Rasputin, wcieliwszy orde północną do Wielkiej Floty, rozpoznał w nim wizjonera i osadził na okręcie podwodnym, który, za radą Kapitana, nazwano *Kultura*. Tak pokrótce wyglądała historia Dżekoba Makneila vel Ćwieka, vel Farfocla, vel Kapitana Rossii.

Wyszedł zatem Kapitan Rossija na szczyt kiosku i potoczył stalowym wzrokiem po rozciągających się poniżej wojskach Wielkiej Floty. Wiedział, że inne orki często na niego patrzą, więc w zasadzie nigdy nie schodził ze sceny. Zawsze poruszał się i mówił tak, jakby patrzyły na niego setki oczu. Załśnił filmowym uśmiechem zdobywcy, co wyglądało interesująco, zważywszy na fakt, że – jak wszystkie inne orki – miał potężną zuchwę i żaden w zasadzie uśmiech nie wyglądał już filmowo, a zrobił to na myśl, że już wkrótce cały ten ogrom runie na Polisz pipul. „Najwyższy czas zrobić coś z rozmachem! Tylko żeby się dobrze nagrało...” Największym marzeniem Farfocla było bowiem zrealizowanie kolejnego filmu, tym

razem czegoś w rodzaju dokumentu. Od czasu Kolapsu zgromadził sporo sprzętu fotograficznego i filmowego, które to skarby spoczywały teraz w wagonach pociągu pancernego *Pobieda* łącznie z agregatem prądotwórczym i jakimś tam innym cholerstwem gwarantującym, że baterie licznych aparatów i kamer będą się ładowały prawidłowo. Największym problemem Kapitana było to, że chociaż wciąż nagrywał nowe materiały, nie miał jak ich odtwarzać. Zarówno telewizory, jak i projektory wymagały prądu zmiennego o napięciu dwustu dwudziestu woltów, którego żaden ork nie potrafił wyczarować, najlepszy zaś techniczny spec ordy, czyli Majselbaum, był tak ganiany przez Tróję i Jekaterinę, że nie dało się z nim dogadać. Dziwił się temu Dżekob, bo gdy się ma geniusza w zakładzie, dogadza się mu i dba o niego, a nie pomiata i pogania. „No, ale co kraj, to obyczaj” – pomyślał nostalgicznie i znowu filmowo się uśmiechnął, tocząc dokoła stalowym wzrokiem.

I miał wycucie dbający o image Farfocel, bo w tym momencie na jednej z wież pociągu pancernego pojawił się jego zastępca Hobart Pine. Na dużym łbie miał skórzaną czapkę z daszkiem zaopatrzoną w gogle, a w łapie trzymał przerobioną na potrzeby orkowych łap kamerę. Wycelował w Cwieka obiektyw, czerwona dioda zaś wskazywała, że nagrywa. Spojrzał na niego Makneil, nie przestając się uśmiechać, i niby od niechcienia podrapał się po brzuchu między płytami zbroi.

– Jak tam, Hobart? Ruszamy wreszcie?

– Aj aj, sajer!

Szczęka Dżekoba powędrowała w bok na wzór grymasu Seana Connery’ego.

– Czyli ruszamy?

– Aj aj!

Brwi Kapitana nieco się pofałdowały, upodabniając czoło gieroja do czoła Brudnego Harry’ego.

– Co „aj aj”?

– Ruszamy!

Farfocel przybrał filozoficzną minę z palety Denzela Washingtona.

– To dlaczego stoimy?

– Nu... bo stoimy, sajer!

– Ale ruszamy? – Dżekob uśmiechnął się dokładnie tak, jak Galadriela z *Władcy Pierścieni*.

– Aj aj, sajer! – odparł Hobart, nie przestając go filmować.

„Piękna scena, piękna scena” – pomyślał Dżekob.

W tym czasie Pine wylazł już z wieży pociągu pancernego i zaczął się wspinać po linach łączących wagony z kioskiem. Dzięki temu ujęcie miało więcej dynamiki. Hobart znał się na robocie i Dżekob lubił z nim pracować, chociaż jego zastępca był amatorem.

Uspokojony obecnością kamerzysty potoczył charyzmatyczny Kapitan Rossija wzrokiem po błoniach i dostrzegł, jak się wydawało jego egocentrycznej psyche, przyglądających się mu Rasputina, Cara, Carycę, Kościeja i Walerię. Szary nie mógł mu się przyglądać, za to robił to, niezbyt skądinąd intensywnie, Gorim, a obok niego wytrzeszczał gały nadzwyczaj zielony Giena trzymający na ramieniu jakąś ślicznotkę.

– A co to za farfocel? – spytał sztucznie wzmocnionym głosem, wskazując olbrzymia.

– Nie znaju, sajer – odparł Hobart, zerkając za palcem wodza.

Dżekob przyjrzał się nieufnie gigantowi, marszcząc brwi niczym oprychy w *Wyjętym spod prawa*, i był przekonany, że gigant przygląda się jemu z podobnym nastawieniem.

– Kiedy patrzysz w abyss, abyss patrzy w ciebie – szepnął.

– Co tam gawarisz, maj kepten? – spytał Pine.

– Nic, nic, Hobart, nie psuj ujęcia.

Hobart Pine za ludzkiego życia prowadził w Londynie klub „Harley Queen”, dla motocyklistów i nie tylko. Przyjaźnił się z Dzejkobem (wówczas jeszcze Jacobem), a gdy ten wyjechał do Rosji, wyruszył tam także, między innymi po to, by poznać barowe życie czerwonych braci. Przemiana dopadła go w moskiewskim nocnym klubie „Krasiwye Stringi” i pamiętał jedynie, jak wyrwał się stamtąd, zabierając czyjąś skórzaną ramoneskę i takąż czapę, o wałówce nie wspominając. Po latach odnaleźli się z Dzejkobem, a ułatwił to fakt, że Hobart założył pod Moskwą knajpę „Biełyj Niedźwiedź”, także dla motocyklistów, i bar ten pewnego dnia odwiedziła ferajna Farfocla.

Być może z powodu piwa, które jako człowiek spożywał w olbrzymich ilościach, rozrósł się Hobart po przemianie niemożliwie, głównie wszerek, i stał się bodaj najszerszym orkiem w Wielkiej Flocie. Z powodu nadzwyczaj poważnej postury tudzież czapki i przyjaźni z Kapitanem Rossiją został pierwszym oficerem na *Kulturze*, chociaż, szczerze mówiąc, funkcja była to raczej dekoracyjna, gdyż *Kultura*, jak wiemy, nie pływała. Niemniej to on był pomysłodawcą dospawania do niej pociągu pancernego oraz wież działowych rozmaitego sortu. To nic, że wiele wież nie działało. Ale jak wyglądały na nagraniach! „Efekty wystrzałów doda się w postprodukcji” – przekonywał siebie Pine.

Spojrzał zatem Hobart na Rossiją i rzucił:

– Na co tak patrzysz, maj kepten?

– Widzisz tego obwiesia olbrzymiego a zielonego, który schodzi teraz ze wzgórze i kieruje się w naszą stronę?

– Widzę – odparł Hobart.

– Nie podoba mi się – zagrzmiął Farfocel.

– Oł?

– Widzisz, jak na niego patrzą Kościej i Waleria? Nawet Rasputin jest jakiś mikry przy nim. Kłopoty, drug. On niesie kłopoty.

– Oł?

– Jes.

– Tymczasem napijmy się herbaty – zaproponował Pine, wyczuwając, że scena musi być zdynamizowana jakimś zwrotem akcji.

– Srerbaty. Przestrzelaj działa. Wkrótce ruszymy z kulturą do ludzi.

– Znowu rozwałę, maj sajer, jakieś obdżekty we Flocie.

– To jest cena posiadania *Kultury*. Grzmoć, maj frend.

Timur Orzuchskij, ork obsadzony w roli pocisku armatniego, przeżył lot, a to dlatego, że działo wycelowano tak, iż ofiara miała szansę trafić w wielkie liny łączące wagony pociągu pancernego *Pobieda* z kioskiem *Kultury*. Trafił więc Timur na liny, złapał je rozpaczliwie, skompresował ruchem ramion siłę, która chciała nieść go dalej, zakołysał się kilka razy niczym flaga na wietrze, po czym, klnąc na czym świat stoi, zaczął zstępować w kierunku najbliższej wieżyczki *Pobiedy*, do której załogi należał. Zlazł w końcu, sprawdził stan poparzonych gazami prochowymi nóg i stwierdziwszy, że na razie do niczego się nie nadają, warknął w czeluść jednego z włazów pociągu:

– Matwiej! Maaatwiej! Suka!

Usłyszał najpierw rumor, potem przekleństwa, a na końcu we władze pojawiła się niegrzesząca inteligencją zielona gęba.

– Łi?

Orzuchskij przewrócił oczami.

– Ile razy mam ci powtarzać, że nie jesteś Francuzem?

– Ach nie?

– Nie jesteś. Nie słyszałem, żeby jakiś Francuz nazywał się Kopaczewskij, a za ojca miał, tfu, Sławomira!

– To dlaczego szief mówi na mnie Francuz?

Matwiej patrzył z tępym uśmiechem na Timura, a Timur ze złością na Matwieja.

– Bo... bo... mówisz jak Francuz.

– Ha! Czyły jednak...

– Zbieraj się. I weź Matwieja Namber Tu. Przyda się.

– Ach łi? Do czego, mon cheri?

– Ja pierdolę z tym twoim francuskim! Namber Tu! Gdzie jesteś?! – Timur wraził łeb do wnętrza *Pobiedy*.

– Jezdem, szyfie – odparł drugi głupol o równie bezmyślnej gębie. Też miał na imię Matwiej, więc Orzuchskij nazywał go Namber Tu, bo, rozumiecie, Kyrzewskij brzmiało prawie jak Kopaczewskij, a Namber Tu miał na nazwisko właśnie Kyrzewskij.

– Nie nazywaj mnie szyfem, bo mi się kojarzy z syfem – warknął Timur.

– He, he, he.

– Zamknij się. Idziemy do UAZ-a. Jest robota.

– Ale ja jeszcze nie wypaliłem pogandoga – zaprotestował Francuz.

– Pogandogi się je, nie pali.

– Palone lepiej wchodzą.

– Panowie – charknął Orzuchskij – nie po to wystrzelono mnie z armaty...

– Zyarmaty? – zainteresował się Namber Tu.

– Mniejsza o to. Idziemy, tak?

– Łi, mon cheri – odparł Francuz, wychodząc z pociągu.

Kadłub okrętu podwodnego *Kultura*, podobnie jak jego kiosk i pociąg, spowijała pajęczyna lin i drabinek, dlatego Timur bez trudu zszedł po nich na stalową kratownicę wielkiej maszyny transportowej, ale dalej był już problem, bo poparzone nogi nie bardzo chciały Orzuchskiego nieść. Poprosił zatem Francuza i Namber Tu o przeniesienie go do kolejnej drabiny, po niej zszedł, używając tylko łap, po czym podwładni zanieśli go do kabiny UAZ-a, który stał tuż obok olbrzymiej gaśienicy transportowca. Francuz zasiadł za kierownicą pomalowanego w fale i obłoki wozu, Namber Tu zaś załadował się na pakę.

– To gdzie jedziemy, mon cheri? – spytał Francuz.

– W stronę Trójcy – odparł Timur, starając się rozmasować nogi.

– Eee, czyły?

– Tam, debilu. – Timur wskazał paluchem kierunek.

– A skąd wodzysław wie, gdzie bytuje Trójca? – spytał Kopaczewskij.

– Tam jest ich namiot, to gdzie mają być?

– No... ewryłer?

- Ewryler to angielskie słowo i podłapałeś je od Farfocla, idioto.
- Ach ła?
- Ach ła. Jedź powoli, nie chcę się rzucać w oczy.
- Eee...
- Jedź powoli, tak? I jak ci powiem, żebyś się zatrzymał, zatrzymasz się, tak?
- Łi, mon cheri.

Ruszył wreszcie UAZ Timura, Francuza i Namber Tu, najpierw wzdłuż pojazdów transportowych, potem pod ogromnymi łańcuchami, którymi Topole-M i Wielkie Iwany miały ciągnąć *Kulturę*, i w końcu obok barwnych namiotów, przy których orki tańczyły kazaczoka, śpiewały *Katiuszę*, trenowały rzuty Małymi Iwanami albo onanizowały się, patrząc na niebywale zniszczone zdjęcia wydarte ze starych „Playboyów”. Ot, jak przekonują historycy, typowa koszarowa sceneria. Jechał zatem UAZ, a jego pasażerowie serdecznie pozdrawiali komilitonów z lewa i z prawa, przy czym Orzuchskij bardziej był skupiony na celu podróży niż dwaj Matwieje. Wreszcie, gdy zbliżyli się nieco do wzgórza oddzielającego Flotę od namiotów dowództwa, zobaczył Timur, jak na owo wzniesienie wchodzi Trójca, Szary z Gorimem, Juddu, Gitlier z jakąś Zieloną na ramieniu, Kościej, Waleria i kilku jeszcze postronnych swierchów.

- Wot, turyści – mruknął Orzuchskij. – Cofnij – nakazał Francuzowi.
- Że jak?
- Cofnij za ten namiot. I ani mru-mru.
- Ach ła?
- Ach ła.

Francuz wykonał polecenie, Timur zaś wyskoczył z UAZ-a tylko po to, by przypomnieć sobie, że ma uszkodzone giry i chodzić nie może.

– Suka! – zaklął, czołgając się do krawędzi namiotu przesłaniającego mu Trójcę i niemieckiego gościa.

- Pomóc, szyfie? – spytał Namber Tu.
- Nie pytaj, baranie, tylko pomóż.
- Dybrze.

Namber Tu zeskoczył z paki, chwycił Timura i zaczął go nieść z wielkim animuszem, samemu nie wiedząc gdzie.

– Cofnij się! Kretynie, nie tak daleko! – syknął Orzuchskij i bezradnie machnął łapami. – Trójca nie może nas zobaczyć! Schowaj się za ten namiot! – Wskazał brudną płachtę.

- Tak toćna, szyfie.

Namber Tu przetachał „szyfa” we wskazane miejsce i bezceremonialnie upuścił na ziemię. Timur pozbierał się i wychynął zza namiotu, a było to mniej więcej w tym momencie, w którym Schmidta dostrzegł Kapitan Rossija, Schmidt zaś aktora, wbrew jego przekonaniu, wcale nie dostrzegł.

– Wot, turyści – powtórzył Timur i obserwował kompanię dowódców i gościa, gdy rozmawiali na tematy nieznanne, stojąc na wzgórzu, a potem gdy z niego schodzili i szli wzdłuż łańcuchów *Kultury* do stanowiska produkcji Wielkich tudzież Małych Iwanów.

W tym momencie przyspawana do pokładu okrętu *Pobieda* zaczęła przestrzeliwać działa. Huk rozległ się olbrzymi, oranżowe kity ognia rozwinęły się z luf pociągu, a ziemia zadrżała.

Turyści zatrzymali się, by przez chwilę podziwiać potęgę rosyjskiej myśli technicznej, a Timur syknął:

- Namber Tu! Wrzuć mnie do kabiny i sam wskakuj na pakę!

– Tak toćna!

– Francuz, jedź za nimi, ale ostrożnie, żeby cię nie zobaczyli, okej?

– Łi, maj kepten – odparł Matwiej i wcisnął szeroką stopą pedał gazu.

UAZ potoczył się między namiotami, powarkując nierówno do wtóru salw armatnich, a tymczasem wiadoma grupa przechadzała się niczym banda przyjaciół, rozmawiając, pokazując gościowi co ciekawsze pojazdy i co większe namioty oraz chwając się niebywałą *Kulturą*. Niemiec nie został jednak zaproszony na pokład olbrzymiego okrętu, co zastanowiło Timura, bo świadczyć mogło o braku zaufania do olbrzymiego przybysza. „I dobrze – myślał. – Bardzo dobrze, że mu nie ufacie, on głupi nie jest, musi to dostrzec...”

UAZ długo jeszcze krążył za zwiedzającymi, chowając się to za namiot, to za większy pojazd, to za kępę drzew. Palba z pokładu *Kultury* w końcu ucichła i było teraz wrażenie niebywałej ciszy, chociaż w istocie Flota huczała nie ciszej niż huta żelaza. W końcu Orzuchskij dostrzegł pewne rozluźnienie rozmawiających i postanowił wykorzystać sytuację.

Schmidt, niosący na ramieniu Myszkę, obejrzał już tyle pancernych wozów, tyle armat i tylu gotowych do boju barczystych Rosjan, że kręciło mu się w głowie, a Ixi raz za razem twierdził, że musi do toalety, co zresztą było prawdą, Robert bowiem odczuwał to samo i jeden drugiego w tym względzie nie mógł oszukać. Kiedy więc były pisarz dostrzegł kątem oka Orzuchskiego machającego do niego i kładącego palec na pysku, ukłonił się dwornie Trójcy, Kościejowi tudzież Walerii i Juddu, po czym powiedział:

– Wszystko to bardzo ciekawe, panie Rasputin, ale generalnie srać mi się chce. Czy pozwolicie, że opuszczę na chwilę towarzystwo i udam się na stronę?

Słyszając tak dworną wypowiedź, Waleria uśmiechnęła się wyrozumiale, podobnie jak członkowie Trójcy, kostropaty Kościej i przemądry Juddu.

– Ależ nie ma problemu – odparł Rasputin. – Zaraz po odbyciu – tu zabrakło mu słowa, jednak któraś z rezydujących w jego mózgu osobowości musiała mu coś podpowiedzieć, bo dokończył – procedury zapraszamy z powrotem do cyrkowego namiotu numer jeden.

– Naturalnie, naturalnie.

– Najbardziej ustronne latryny są tam. – Waleria wskazała, traf chciał, ten sam kierunek, w którym znajdował się Timur. – Czy chcesz, kulturysto, aby ci ktoś towarzyszył? We Flocie łatwo się zgubić... – Uśmiechnęła się zalotnie.

– Nie, dziękuję, mam przecież przewodniczkę. – Überwunder wskazał Myszkę, a ta uśmiechnęła się słodko do Repnin, wywołując spazm zazdrości u sławnej Kobyły.

Ledwie Schmidt oddalił się za namiot, za którym czekał na niego Timur, gorączkowy szept zalał mu szczękę. Ktoś mógłby zapytać, jakim cudem pysk Orzuchskiego znajdował się na wysokości kolosalnej mordy byłego pisarza. Ano trzymał go wysoko nad sobą Namber Tu. Sapał przy tym i rzeził, ale trzymał, bo jak szyć każe, sługa musi.

– Gitlier, ty musisz iść ze mną – szepnął Timur. – Musisz iść ze mną, verstehen?

– Natürlich, że verstehen, ale dlaczego i łaj? – Nie wiedzieć czemu Schmidt natychmiast podłapał specyficzny kod komunikacyjny trzech pasażerów UAZ-a, chociaż nie miał okazji go słyszeć.

– Nie czas na tłumaczenie, drug moj, nie czas. Ładuj się na pakę. – Timur zważył na oko olbrzyma i oceniwszy, że jego masa nie przekracza tony, powtórzył: – Ładuj się na pakę, pani ładna też, i jedziemy, bo nie ma czasu!

Robert uniósł ciężkie brwi, ale że nie widział powodu, dla którego miałby Orzuchskiego nie posłuchać – posłuchał go. Wypada tu wyjaśnić jedną drobną, ale istotną rzecz. Otóż Timur Orzuchskij, gdy ładowano go do armaty, nie stracił przytomności umysłu i nie uszło jego uwagi, że do namiotu weszli Waleria z Kościejem, Gorim z Szarym oraz Schmidt z Myszką. I chociaż Niemca nigdy na oczy nie widział, rozpoznał go od razu. A dlaczego?

Historycy twierdzą, że w tym momencie należy przedstawić kilka zagadnień z zakresu logistyki Wielkiej Floty. Otóż orki muszą jeść, i to dużo. Engelsi zaś, tak potężnie skoncentrowani, potrzebują niebywałych ilości pożywienia w postaci dowolnej, jednak nie orkowej. Pamiętajmy, że przy braku strawy Zieleni, jak to Zieleni, zaczynają z pasją uprawiać kanibalizm, który zresztą uprawiają także dla sportu, a tego dowództwo Wielkiej Floty chciało uniknąć. Jak wiemy, magazyny wielkich sklepów przestały w 2057 roku stanowić sensowne źródło zaopatrzenia dla orków zamieszkujących Europę i okolice, a że obszary wschodnie nigdy zbyt bogate nie były, rosyjscy, białoruscy, litewscy, ukraińscy, łotewscy tudzież estońscy Zieleni dość szybko opanowali sztukę polowania oraz zbieractwa. Takim właśnie specem od polowania i zaopatrzenia przedniej części *Pobiedy*, tej przed kioskiem *Kultury*, był Timur Orzuchskij wraz z dwoma Matwiejami. Dzień w dzień opuszczali teren Floty, aby polować, wybierać zwierzynę z wnyków oraz gromadzić naręcza łopianu, garście muchomorów do pogandogów, płyty kory brzozy służącej jako bibułka i gałęzie, które traktowane były przez kamratów Timura niczym słone paluszki. Właśnie do tego służył im UAZ typu pick-up. Uważny czytelnik nie powinien się tedy dziwić, że Orzuchskij już jakiś czas temu nawiązał kontakt z oddziałami Ukraińców oraz Białorusinów, ze szczególnym wskazaniem na bandę Jołopa oraz Dragon Balla. Dlaczego kontakty z wrogami Świętej Rusi mu się opłacały? No właśnie dlatego, że się opłacały. Ruś została ogołocona przez wielkie ordy, a Ukraina i Białoruś wciąż stanowiły smakowity kąsek. Po pierwsze, w tamtych magazynach można było od czasu do czasu zdobyć karmy Kitekat i Chappi, gdzie indziej już nieosiągalne, po drugie, ukraińscy i białoruscy terroryści miewali papierosy, a nawet cygara, za które posiekać by się dał chociażby herszt Krwawych Łabędzi Mikołaj Góretskij. Mieli też czasem markowe alkohole, a poza tym... chcieli śmierci Trójcy, zwłaszcza Rasputina. Śmierci tego ostatniego chcieli zresztą nawet Rosjanie. Dlaczego? Przede wszystkim, by samemu objąć władzę, a poza tym ze strachu. Putin, Stalin i Lenin tyłu już swierchów posłali do piachu, że normalnie już dość by tego było.

Reasumując, Timur podejrzewał, że każdy ork, który miał choć odrobinę władzy we Flocie i rozumu, spiskował przeciwko Trójcy. Ale że co drugi swierch był konfidentem, piekielnie trudno było o jakąkolwiek zorganizowaną akcję. Dlatego potrzebni byli Zieleni z zagranicy. Ukraińcy i Białorusini. Orzuchskij knuł z nimi od dawna, ale że zbyt często owe knucia były przerywane popijawami, niczego sensownego jak dotąd nie uknuli.

Aż pojawił się Gitlier i genialny plan Dragon Balla, by to właśnie on ubił Trójcę. Wszystko idealnie pasowało. Niemiec chciał do domu, *Kultura* go pod wodą do ojczyzny zawiezie, oni sobie obejmą władzę i wspaniale będzie generalnie. Tak z grubsza.

UAZ wjechał w las, pokonał jeszcze kilkaset metrów, po czym zatrzymał się przy kilkunastu dziwnie pochylonych sosnach. Był to ukraiński znak „Tu jesteśmy” sporządzony przez Kapitana Bombę. Siedzący na pace ze Schmidtem i Myszką Namber Tu zeskoczył na ziemię i pokazał olbrzymowi tudzież jego partnerce, by zrobili to samo.

Z kniei wychynęli zamaskowani gałęziami dębu i brzozy terroryści, czyli banda białoruskich tancerzy oraz ukraińskich Kozaków. Überwunder zmierzył wzrokiem najpierw stojących po prawej Ukraińców. Jeden nie wiedzieć czemu wciąż patrzył w lustro i coś tam do siebie mrucał,

drugi miał na łbie wielki, nieporęczny hełm z wyciętym prostokątem na oczy, obok niego stała odziana w puszki po pałerdrinkach Zielona nieustannie obgryzająca trzymaną w łapach dzidę, nad nimi wszystkimi zaś piętrzył się zielony niedźwiedź, którego dosiadał ataman o długich wąsach i jeszcze dłuższej kicie zwisającej z łysej czaszki. Za tą grupą majaczyło jeszcze kilkadziesiąt nie mniej cudacznie poubieranych orków szepczących coś do siebie i pokazujących sobie olbrzyma.

Po lewej zgromadzili się poznaczeni tatuażami tancerze ludowego zespołu Maoryskie Babuszki. Kamandirem musiał być największy, owłosiony od stóp do głów olbrzym oparty o potężne obrotowe działko GSz-6-23 wydarte, jak twierdzą historycy, z samolotu Su-24. Na piersi orka połyskiwały złote łuski taśmy z nabojami, a jego skórzana spódnica była znacząco wypchnięta w okolicy krocza. Obok warowała orczyca w krawacie i z pomalowanymi na różowo kłami, a blisko niej półnaga ślicznotka w kapelusiku z piórkiem. Reszta zespołu, jakby w obawie, że zapomni kroków, wciąż tupała, klepała się w łokcie i kolana, szczyrzyła zębiska i wywalała ozory. Kilkunastu tancerzy wysunęło się do przodu z naręczami upolowanych bobrów, żarptaków, kuropatw i dzików. Mimo że nieśli ciężary, wciąż podrygiwali.

– Aaa – stęknął Timur, którego Francuz właśnie wyciągał z kabiny. – Dzięki. Połóżcie wszystko na pace.

– Pamiętaj, po co to robimy – rzucił ataman siedzący na niedźwiedziu.

– Oczywiście – odparł Orzuchskij.

– Oni... generalnie... dobrze się czują? – zapytał Schmidt, wskazując białoruskich tancerzy lokujących zwierzynę na pace.

– Płynie w nich gorąca białoruska krew – odparł Ozaru, mocniej wspierając się na obrotowym działku. – Prawda, Biurwo? – Spojrzał na orczycę w krawacie, która mierzyła Schmidta twardym, zaciętym spojrzeniem.

– Nie za ostro do damy? – spytał Überwunder.

– Biurwa to nie kurwa.

– A to przepraszam.

Katia Przysiężniatskaja, pseudo Biurwa, dłuższą chwilę milczała, po czym warknęła:

– Dostałeś nasz list?

Olbrzym chrząknął.

– Ten na brzozonej korze spisany?

– Ten sam.

– Dostałem.

– Przeczytałeś?

– Przeczytałem – odparł Schmidt, a Ixi w jego głowie rzucił: – *Coraz mniej mi się podoba ta rozmowa.*

– Ubijesz Trójcę? – spytała Biurwa.

Überwunder skrzyżował łapy na piersi i wziął głęboki wdech, mierząc wzrokiem obie bandy.

– Może ubiję.

– Świetnie – ucieszył się z za swojego hełmu Martyn „Kapitan Bomba” Gojnackij.

– Powiedziałem „może” – zaznaczył Schmidt.

– I to „może” mi się nie podoba – zawyrokowała Biurwa, skrobiąc szponem różowy kiel.

– Chodzi o to – odparł Robert – że...

W tym momencie spojrzał na Myszkę, która siedząc na jego ramieniu, uważnie przysłuchiwała się rozmowie.

- ...że chcę wrócić do Überlandu. Do swoich.
- Gitlier – tancerka szepnęła mu do ucha z nieskrywaną trwogą – chcesz mnie zostawić?
- Tiszyna, Myszka, tiszyna – uspokoił ją olbrzym, głaszcząc po głowie.
- *Co ją uciszasz, Gitlier?* – spytał Ixi. – *Przecież chcemy ją zostawić.*
- *Spierdalaj* – odpowiedział w myślach Robert.
- *O, to było dobre! W głowie to zrobiłeś? Bez otwierania gęby?*
- *Zamknij się. Daj się skupić.*
- Wiemy to, Gitlier – odezwała się Tatiana Prohovnaja, orczyca w kapelutku. –

I gwarantujemy, że się tam dostaniesz.

– Tak?

Prohovnaja skinęła łapą, a wtedy Robert usłyszał skrzywienie i przed obie grupy wysunęło się dwóch barczystych Białorusinów pchających taczki. Na każdej z nich znajdował się potężny akumulator.

– Te dwie skrzynki wyrwałem osobiście z okrętu podwodnego Wielkiej Floty – zagrzmiał Ozaru. – To główne akumulatory. Bez nich okręt nie popłynie.

Schmidt długo patrzył na akumulatory, mrugając oczkami, w jego głowie zaś Ixi to się śmiał, to płakał, to zarzekał się, że większych debili od Białorusinów nie widział.

– Czyli z nimi... popłynie? – spytał były pisarz.

– Popłynie.

– Ten okręt jest na lądzie – zauważył Überwunder.

– Tak – odparł niewzruszenie Dragon Ball.

– No to jak popłynie?

Ozaru uśmiechnął się z wyższością.

– Ech, Gitlier, głupi jesteś. To jest okręt *podwodny*. Zanurzy się i popłynie. *Pod wodą*.

– Zanurzy się?

– Pod wodę.

– A gdzie ty tu widzisz wodę? – Schmidt rozejrzał się.

Dragon Ball pokręcił głową niczym nauczyciel przy tępym uczniu.

– Gitlier, co ty się mądrzysz i przejmujesz? Znasz technologię Wielkiej Rusi? Jesteś inżynierem albo matrosem? Koszulkę matrosa masz, ale nie znasz się na żegludze podwodnej. Wchodzisz do okrętu, dajesz, proszę cię, wajchę w dół i idziesz pod wodę. Proste. Na tym polegają podróże okrętami podwodnymi.

– Na tym?

– Na tym, Gitlier.

– A poduszkowce latają na poduszkach?

– Eee... – Małpi Król podrapał się po potylicy. – No tu mnie zagiąłeś, bo nie wiem, co to poduszkowiec, ale niech będzie.

– Aha.

Robert Schmidt poczuł, że grunt usuwa mu się spod nóg, bo właśnie zrozumiał, że znowu został, jak metaforycznie określają to historycy, na lodzie. *Kulturą* do Überlandu nie wróci, chyba że ruska Flota będzie tak silna, że przebije się przez kozuch Polen na wylot, w co nie do końca wierzył. Znał zadzierzystość polnische Rose i wiedział, że łatwo skóry nie sprzedadzą. Pozostała zatem albo wędrówka przez kraj Czechów, albo przez Morze Bałtyckie...

– *Skąd my się tacy mądrzy zrobiliśmy, Schmidt?* – spytał Ixi.

– *Naźarliśmy się Różowych, zmartwychwstanie, wstawiennictwo Gotta...*

- *Pierdolisz.*
- *No to nie wiem.*
- *Więc co, panie zielony? – spytał Kapitan Bomba. – Ubijesz Kurvinoxą?*
- *Kogo?*
- *Putina, Cara i Carycę – wyjaśniła Power Girl.*
- *Pomożemy Białorusinom wsadzić akumulatory do okrętu – odezwał się dosiadający niedźwiedzia Jołop. Obiecujemy.*
- *A kto poprowadzi okręt do mojej ojczyzny? – spytał Schmidt, w sumie nie wiadomo po co.*
- *Sterroryzujemy załogę. Z lufą przy łbie zrobią wszystko, co im każemy.*
- *Nawet zanurzą się pod wodę na lądzie?*
- *Ozaru uśmiechnął się.*
- *No wreszcie załapałeś, Gitlier.*
- *Daaa... – Schmidt podrapał się po potężnej szczęce, a Myszka nachyliła się mu do ucha.*
- *Nie zostawiaj mnie, kochany...*
- *Olbrzym odetchnął.*
- *A gdybym chciał wrócić przez Słowację i Czechy? Dacie mi przewodnika, który mnie tam doprowadzi?*
- *Gitlier, straszny to kraj – rzekł Kapitan Bomba. – Nikt stamtąd nie wrócił.*
- *Schmidt chrząknął i podrapał się po czaszce Ixiego, a potem po głowie, jakby gest ten miał pobudzić do myślenia umysł zarówno jego, jak i byłego programisty.*
- *Macie jakiś sprawny kompas? Busolę? – spytał, zachęcony przez Ixena.*
- *Eeee... – Jołop, jakby zarażony przez Überwundera, podrapał się po łysym łbie, a jego gest powtórzyli wszyscy pozostali.*
- *Mniejsza o to – warknął olbrzym. – Założmy, że mi się tu podoba. Że nie chcę wracać. Znaczą waszym okrętem podwodnym. Co innego możecie mi ofiarować za użycie Trójcy?*
- *Nu... przewodnika. – Jołop wskazał orka, który ciągle patrzył w lustro. – Jewgienij Wietskij, którego my nazywamy Alienem, zwiedził cały świat.*
- *Modelem był – dodała Alessa.*
- *Żyźń proklataja – jęknął Zielony, zaglądając w lusterko.*
- *To jest przewodnik?*
- *Melancholik – wyjaśnił Bomba.*
- *Ja cię mogę wziąć w ramiona i razem polatamy – zapewniła Power Girl. – Będzie przygoda.*
- *A ja cię mogę do Orzeła zabrać i też polatamy. Nad Kurvixem – zaproponował Kapitan Bomba.*
- *Co to jest Kurvix? – spytał były pisarz.*
- *Galaktyka.*
- *A gdzie jest Orzeł?*
- *O tam. – Martyn wskazał stojący w pobliżu pojazd wycięty z pnia drzewa.*
- *Schmidt wziął głęboki wdech, a potem oznajmił spokojnym tonem:*
- *Przekonaliście mnie.*

Gdy spotkanie z terrorystami się zakończyło, UAZ Timura objechał wszystkie wnyki i zebrał pochwyconą zwierzynę na pakę, co zmusiło Überwundera do zejścia z wozu. Gdy wracali, siedzący w kabinie Orzuchskij, rozmasowując sponiewierane kulasy, spojrzął na idącego obok

olbrzyma.

– Rozumiesz teraz, Gitlier? Dni Trójcy są policzone. Jak my ich nie ubijemy, ubije ich Kapitan Rossija, bo dam se giry uciąć, że coś knuje, a jak nie on, to Kościej z Walerią, a jak nie oni, to inni kamandirzy albo i sama Trójca się powyrzyna i Czapskij zostanie Carem. Kto pierwszy, ten lepszy, kumasz?

Schmidt sadził w milczeniu długie kroki, opierając się o kabinę UAZ-a, i przeżuwał świeże dębowe liście. Z jednej strony dobrze mu było wśród zwariowanych wschodnich braci, z drugiej czuł, że z każdym dniem się od nich oddala intelektualnie i ideowo. „Po co walczą o władzę? Po co atakują Różowych? Po co to wszystko? Czy ja byłem taki sam przed zmartwychwstaniem?” – pytał siebie w duchu.

– *Byliśmy tacy sami, moj drug* – zapewnił go Ixi. – *Zaczynam rozumieć Dzedaja.*

– Apokalipsa – mruknął gigant.

– Co mówisz, przezielonny? – spytał Timur.

– Nic, nic.

– No to co? Dasz radę? Bo wiesz, jak nie, wdrożymy plan B.

Schmidt westchnął i odparł:

– Zrobię to, pod warunkiem że dacie mi plan B na powrót do kraju. Nie lubię okrętów podwodnych.

– A... – zafrasował się Timur.

Ledwie Schmidt pojawił się znowu na terenie Floty, porwali go carscy bojarzy i oświadczyli z niejakiem trudem, bo inteligencją bynajmniej nie grzeszyli, że Trójca zaprasza go na bankiet i nie ma mowy, by odmówił, bo Rasputin, Car i Caryca się zdenerwują i kogoś zjedzą albo, nie daj kulturo, rzucą na pożarcie bestiom.

– Bestiom? – zapytał Überwunder, ale z gęb strażników wyczytał, że niczego więcej się nie dowie, więc z Myszką na ramieniu poszedł za nimi.

Spotkanie odbywało się w innym cyrkowym namiocie, pomalowanym w gołe baby i podobizny zwierząt. Ledwie były pisarz tam wszedł, w nozdrza uderzył go zapach wielu potraw, a oczy jego zaatakował widok długiego stołu przykrytego białym z grubsza obrusem, na którym stało mnóstwo potraw w rozmaitych, nie zawsze pobitych półmiskach. Przy stole zarejestrował olbrzym Trójcę, Juddu, Czapskiego, Walerię, Kościeja, Szarego z Gorimem, Dzejmsa Makdonalda, Kapitana Rossiję, wielu innych kamandirów tudzież oficjeli, a w dalszej części markotnego Mikołaja Góreckiego, lidera klanu Krwawych Łabędzi, obok niego zaś Majsselbauma i jak zwykle zdenerwowaną Jekaterinę Humelt. W tle zamasyście zamiatała klepisko przerażająca Jewita Białołętskaja, a jeszcze dalej, za żelaznymi kratami oddzielającymi połowę namiotu...

Schmidt przetarł oczy.

– Co to jest? – spytał, wskazując palcem.

– Aaa. – Rasputin wytarł tłuste łapy o boki. – Mamy szmalcownika, zdrajcę paskudnika. – Rozejrzał się podejrzliwie.

– Walnął mózgoszejka – wyjaśniła Traszka, wskazując ogonem oddalającego się orka, który podtrzymywał kolorową rurę wbitą w czaszkę.

– Siadaj, acan – zaprosił Wiśniewskij, wskazując siedzisko między sobą a Szarym, Łuka zaś, tym razem bez hełmu, mlasnął głośno i beknął przeraźliwie.

Schmidt ocenił, czy zmieści się między biesiadnikami, i uzyskawszy zgodę Ixię, grzecznie usiadł, sadzając sobie Myszkę na udzie i nie spuszczać wzroku ze zjawiska, które dostrzegł za kratami.

– Co to jest? – powtórzył.

I słusznie, że powtórzył, bo za kratami było coś niezwykłego. Przechadzały się tam mianowicie, wyliczając w przypadkowej kolejności: cztery konie podobne do Anatola, dwa niedźwiedzie przypominające Griszę, tygrys będący klonem Gagarina, dwa barany, cztery krowy, stado na oko agresywnych kur, gromada kaczek i gęsi, jeden żarptak, dwa bobry, trzy psy i cztery koty. Wszystka swołocz zieloniutka jak groszek Bonduelle, czasami dwukrotnie większa, a z pewnością dwukrotnie masywniejsza od niezmutowanych pierwowzorów. Generalnie menażeria co się zowie.

Wśród bestii tych przechadzał się dumnie a statecznie gigantyczny Giena, chyba jeszcze większy od Schmidta. Ubrany był w błyszczącą srebrną spódnicę, majestatyczne bary jego okrywało natomiast z grubsza coś, co kiedyś było żołnierską kurtą ze złotymi epoletami. Na olbrzymiej głowie o kolosalnej szczęce ze słoniowymi wręcz kłami sięgającymi oczu sterczał, przyczepiony gumką do wydatnego wału brwiowego, srebrny cylinder. Rzecz jasna szerokich niczym kajaki stóp nie ozdobiło nic prócz ślicznie pomalowanych na krwisty szkarłat paznokci. Gdy Schmidt przyjrzał się bliżej łapskom olbrzyma, dostrzegł, że pazury ma także pomalowane, a powieki i usta, jeśli można było tak powiedzieć o tej części orkowej fizis... tak, Giena miał makijaż. Był to Roch Siemianowski, słynny na cały świat treser zwierząt wszelakich, zwłaszcza egzotycznych. Przemiany doznał oczywiście na arenie, w trakcie przedstawienia, a że swoje zwierzęta cenił bardziej od ludzi, pożywił się sporą częścią widowni. Błąkał się potem Roch po miastach Rosji, brał udział w niezliczonych walkach klanów i ord, a że rósł i rósł, i rósł, rozumu zaś ubywało mu, ubywało i ubywało, stał się w pewnym momencie nieocenionym „mięśniami” każdej watahy, do której przystał. Przekupywano go w nich, mamiono na różne sposoby – dawano poście bliadziny, zielone niewolnice, zabawki, broń i pampersy, które z upodobaniem żarł, a bardziej od nich lubił tylko podpaski. Nie wiedziano jednak, że najbardziej na świecie Roch uwielbia się stroić, malować paznokcie i chodzić z podpaską między nogami. Dogodziła mu dopiero Traszka, która wozila ze sobą znakomitą kosmetyczkę i burdelmame w jednym, Kamienną Damę zwaną też Jakubem Kamińskim lub pieszczotliwie Kamionkiem. Kamiński zestawem szlifierek, tarników i strugów potrafił doprowadzić do porządku najbardziej nawet zaniedbane szpony i kły, a farbami olejnymi pokrywał płytkę paznokciową warstwą grubą i trudną do zdrapania. Gdy w zalanej słońcem Odessie Traszka zobaczyła zmarnowanego olbrzyma, siedzącego na jakichś ruinach i zastanawiającego się, co zrobić ze swoim życiem, zajrzała w jego wyraziste, można powiedzieć, kobiece oczka i pojęła, że cierpi, chowając się za maską supersamca. Objęła więc ogonem smutnego Rocha i uczyniła swoim bodyguardem. Kiedy jednak jej orda połączyła się z ordami Wiśniewskiego i Łuki oraz Flotą Rasputina, która z kolei zagarnęła całą farmę Walerii, Król Słońce, zrozumiał, że to *ten* słynny Roch, odebrał go Traszce i zatrudnił w dawnym fachu. I chociaż Siemianowski wcale się już do tego nie wrywał, zobaczywszy niesamowite bestie Repnin, poczuł dawną adrenalinę w żyłach i, niejako na zasadzie pamięci tkankowej, wrócił do roboty, ku rozpaczy byłej pani weterynarz, która modliła się do wszelkich możliwych bogów, by któreś z jej zwierząt pożarło tresera, niczego bowiem nie nienawidziła tak mocno jak cyrkowych sadystów. Ale nawet potężny Ruslan, tygrys bengalski, obawiał się Rocha – trudno powiedzieć, czy z powodu jego kolosalnych rozmiarów, czy pomalowanych górnych i dolnych szponów.

Tak czy owak, Siemianowski przechadzał się, co chwila mówiąc „Opa!” albo „Hooo!”, a zwierzęta skakały przez koła lub jeździły na rowerach przy akompaniamencie oklasków kamandirów Wielkiej Floty.

W tym czasie Erik Tobias, naczelnny kucharz Trójcy, podawał nadziewane szczurami nutrie, moczone w wywarze z muchomorów i smażone w głębokim wysokooktanowym oleju silnikowym. Była to potrawa nadzwyczaj aromatyczna i wprawiająca w dobry humor. Wszyscy żarli ją z apetytem, komentując puszczone przez gości baki oraz opowiadając o swoich halucynacjach.

– Powiem ci, Szwed... – odezwał się Rasputin, patrząc na Schmidta.

– On jest Niemcem – poprawiła go Traszka.

– Racja. Więc powiem ci, Szwed – rzekł Król Słońce – że jak strzeliłeś z dupy tym sznurem, poczułem, bracie, prawdziwy respekt. To jest swierch, pomyślałem, który naprawdę coś potrafi! I wiesz co? Spytałem naszego tu lekarza – wskazał orka, którego Schmidt nie miał okazji poznać – co on o tym sądzi. Co nie, Lewandowski?

Matwiej Lewandowski był orkiem niepozornym, drobnym i przygarbionym, za to z wielkim nochalem, na którym sterczał czarny pypeć. Na czole miał laryngologiczne lustro, a na szyi poszarpany stetoskop. Gdyby Schmidt znał historię Lewandowskiego, wiedziałby, że po kilku gwałtach oraz próbach zeżarcia go naczelnny lekarz Floty zaczął nosić non stop biały fartuch i atrybuty lekarza, by uniknąć podobnych ekscesów. Zapytany o zdanie, odpowiedział krótko:

– Wałęsak.

– Szto? – spytali inni biesiadnicy.

– Wałęsak. Taki pajak. Bardzo groźny. Gitlier jest wałęsak. Z dupy przedzą strzela...

– Faktycznie to nie z dupy. Mam nad nią taki gruczoł – mruknął Überwunder, ale nikt go nie słuchał.

– Aaaa. – Goście pokiwali głowami. – Wałęsa. Mmm!!! Słynny czelawiek, Wałęsa.

– Wałęsak – warknął Lewandowski.

– Wałęsa! – krzyknęli biesiadnicy. – Gitlier Wałęsa! Sławny czelawiek!

Lekarz pokręcił głową i siorbnął spirytusu z kubeczka.

– Lewandowski! – zagrmiał Rasputin. – Glicerynka przygotowana?

– Tak toćna, kamandir.

– Kotły gotowe?

– Tak toćna.

– Obsługa Iwanów przeszkolona?

– Tak, królu.

– No. Pić mi się chce – oznajmił Rasputin.

– Towarzyszu, może już nie – jęknął Wiśniewskij.

– Coś tu jest nie tak... – Król Słońce potoczył dookoła podejrzliwym wzrokiem.

– Znowu ma fazę – westchnęła Traszka. – Juddu, podłącz go do matriksa.

– Milczeć! – wrzasnął Sylwester.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale do namiotu wszedł ork ubrany w liberię, wyprężył się przed nim i oznajmił:

– Milordzie, do floty dołączyły lotniskowce *Brezniew* i *Jelcyn*.

– Doskonale! Wszystko w porządku?

– Admirałowie twierdzą, że tak. Burdelmama Helena Pietkun zaokrętowana na *Brezniewie* zaprasza.

– To później. A ogólnie cudownie! Ruszamy! Każ wszystkim gotować się do drogi i niech czekają na znak Kapitana Rossii. Zapamiętasz?

– Tak, milordzie.

– No. – Rasputin odprawił lokaja gestem. – Cudownie jest, cudownie! Zatem pozostają tylko sprawy porządkowe... – I wskazał paluchem Mikołaja Góretskiego, który cały czas starał się tak ustawiać, aby władca go nie widział, dobrze bowiem wiedział, że Waleria może wmówić mu dosłownie wszystko, zwłaszcza w kwestiach szeroko pojętych spisków.

Widząc, co się święci, Repnin uśmiechnęła się ledwie widocznie, a były kagebista przełknął ślinę. „Mściwa sucz – pomyślał. – Mściwa sucz! Nie zapomniała po dwóch tygodniach żamprey! Nie odpuściła, suka!”

– Góretskij! – zagrmiał Rasputin. – Cho no, brachu.

„Ach – pomyślał Mikołaj, wstając ze stołka i ruszając na sztywnych nogach do wodza – powinienem był wtedy lepiej zakombinować i ją usunąć! Była pijana, jak wszyscy, trzeba było cholerze poderznąć gardło. Myślałem, że jej przeszło, myślałem, że odpuściła! Błąd, błąd, błąd. Nie pomoże mi teraz Nawojka Psotnik, nie pomoże Bomber. Teraz już się nie wywinę, już po mnie...”

Szedł wzdłuż siedzących gości, rozpatrując ucieczkę, ale namiot był obsadzony wielkimi bojarami. Pokręcił więc tylko nieznacznie głową i poprawił szary kapelusz. Minął kamandira żrącego pogandoga, minął drugiego, chrupiącego bobra, przekroczył ogon Traszki i znalazł się przy władcy, który z bliska, z tymi wszystkimi rurami wbitymi w łeb, wyglądał dokładnie jak totem, w którym niedawno piekli półdupki padłych towarzyszy i wrogów. Nawet szalony wzrok miał podobny do stalowego idola. „Ach, co to był za beztroski czas” – pomyślał nostalgicznie Góretskij i, jakby w ostatniej godzinie życia, zapragnął zapalić cygaro. Wymacał kieszeń marynarki i wyczuł w niej podłużny kształt.

– Nu? – Bartnitskij spojrział na dowódcę Krwawych Łabędzi i trącił gumową kaczuszkę przybitą do jego czoła. – Widzę, kochanieńki, żeś nawykły do wbijania w czachę różnych rzeczy.

– Tak toćna, tawariszcz Rasputin. – Góretskij przełknął ślinę. – Ale może nie ma potrzeby. Ja nie spiskuję, ja przecież nigdy...

– Et, nigdy jak nigdy. A rakieta?

– Eee... jaka rakieta?

– Czerwona. Co tu lata. – Rasputin wskazał w górę, gdzie, jak twierdzą historycy, nie latała żadna rakieta.

– Pojebało go zupełnie – szepnął Łuka do Wiśniewskiego.

– Co? Nie widzisz? – spytał Rasputin.

– Nu widzę, widzę – zapewnił Góretskij.

– A więc kłamiesz, bo tu żadnej rakiety nie ma. – Rasputin błysnął oczami, uśmiechnął się przeraźliwie i warknął do swoich bodyguardów: – Sno! Misiewicz!

Stojący po bokach carskiego tronu wojownicy przyskoczyli do Góretskiego i trzymając go za bary, zmusili do przykłonienia. Sno! wyciągnął z przymocowanego do pleców pokrowca długą na pół metra rurę w spiralny biało-czerwony deseń i bez wahania wbił ją w czachę herszta. Przez kapelusz.

– Nu, bliat – stęknął Mikołaj i zacisnął powieki, sądząc, że zaraz Rasputin wypije jego mózg. – To teraz mi nie spadnie. Spasiba.

Zamiast jednak spijać mózg kagebisty, Król Słońce powiedział:

– Rajz, maj san.

– Że co?

– Wstawaj – nakazał Sylwester.

Góretskij wstał. „Czyżby – pomyślał – to była tylko prowokacja? Może być, może być!” Zerknął na Walerię. Przez jej pysk przemknęło wahanie. „Aha! Sucz się przeliczyła!”

– Misiewicz, wlej, przyjacielu – nakazał Rasputin bodyguardowi.

Ten ze znawstwem wsadził lejek w jedną z rur wystających z głowy Króla Słońce, po czym wlał do niej kubeczek spirytusu. Bartnitskij przewrócił oczami i westchnął z rozkoszy. Przez chwilę trwał w zachwycie, a Misiewicz ujął delikatnie jego głowę i potrząsnął nią kilka razy, upewniając się, że spirytus rozlał się po całym mózgu.

Wreszcie wódz odemknął powieki, zerknął na Góretskiego i chrzypnął:

– Drink, maj san.

I nachylił się, podstawiając pod pysk herszta Krwawych Łabędzi jedną z rur sięgających do mózgu.

„O nie! – krzyknęło coś w duszy Mikołaja. – Będę klonem Rasputina! Tylko nie to!”

Tymczasem Sylwester wyciągnął z kabury rewolwer Dan Wesson Magnum i wycelował w łeb Góretskiego.

– Snoł! Misiewicz!

Dżon wycelował w herszta swój AK, a Misiewicz, pobrzękując orderami, nachylił jego łeb do granatowej rury ozdobionej złotymi gwiazdkami.

– Pij – warknął. – Ale z umiarem.

I co miał robić biedny Góretskij? Objął zdrętwiałymi wargami rurę i zassał. Ale że nic nie wciągnął, spojrzał spłoszony na strażników króla.

– Mocniej! – ponaglił go Snoł.

Góretskij cmoknął raz, drugi, trzeci i wreszcie poczuł smak mózgoszejka, a Rasputin wywrócił oczami.

– Jeszcze jeden gźdzyl – stęknął.

Mikołaj pociągnął, aż się zakrzusił mózgową tkanką. Misiewicz oderwał go od rury, a Rasputin opadł na oparcie, jakby właśnie wypalił paczkę pogandogów.

– Nu, pięknie jest, brachu. – Uśmiechnął się błogo.

Góretskiemu się odbiło.

– Smacznego, smacznego – roześmiał się Król Słońce.

Herszt zaczął szukać w głowie głosu naczelnika, ale wiedział, że gość pojawi się w jego mózgu dopiero za kilka godzin.

– Nu – mlasnął Rasputin. – A teraz zróbcie mi, chłopcy – spojrzał na Misiewicza i Snoła – szejka. Dobry ma być, wiecie, zmieszany.

Góretskij zbladł, widząc, jak do jego czerepu zbliżają się wielkie łapy ochroniarzy. Spazmatycznie wciągnął powietrze i sięgnął po cygaro.

– Gitlier! – chrzypnął. – Przypał, proszę.

Schmidt, widząc, na co się zanoszą, pochylił się nad stołem i strzeliwszy małym piorunem, bezbłędnie zapalił cygaro. Góretskij cmoknął, zaciągnął się i zanim jego łeb znalazł się w łapskach bodyguardów, zdążył wypuścić dym z wyrazem błogości na pysku. Wlali mu przez lejek miarkę spirytusu, po czym zaczęli trząść jego głowę tak, jak barman potrząsa szejkerem, robiąc drinka. Trzęśli na boki, na skos i pionowo, aż zaczęły trzeszczeć kręgi. Mikołaj jednak wciąż trzymał cygaro i błogo się uśmiechał. Gdy skończyli, kaczuszka odpadła z jego czoła,

a mięśnie, jak się wydawało, nie miały siły utrzymać głowy. Jednak herszt był twardzielem. Na szkoleniach w KGB nauczono go kontrolować ciało i umysł. Nie poddał się. Chwycił się wolną ręką za ucho i podtrzymał łeb.

Schmidt pokiwał powoli głową, doceniając hart Krwawego Łabędzia.

– Waleria – charknął Mikołaj, patrząc na Rasputina przekrwionymi ślepiami – razem z Rochem... spiskują.

„Taka będzie moja zemsta, ty suko” – pomyślał.

Usłyszawszy to, Traszka pomachała ogonem, poprawiła ciężkie oprawy okularów i pokręciła głową, patrząc na czekającego na jej opinię Króla Słońce.

– Nie spina się, królu. Oni się nie lubią.

– Bliat! – zaklął Góretskij i pociągnął z cygara.

Ochroniarze przysunęli rurkę wystającą z jego łba Rasputinowi, ten zaś wyciągnął szyję i zassał, aż mu się zapadły oczy. Cmoknął soczyście raz, drugi i trzeci, aż wreszcie mlasnął, wykrzywiając gębę:

– Dobrze zmieszany, ale czegoś brakuje. Dodajcie siwuchy.

Misiewicz bez słowa wlał do łba Góretskiego jeszcze jedną miarkę spirytusu.

– To rozumiem. – Herszt Krwawych Łabędzi uśmiechnął się debilnie i ponownie zaciągnął cygarem.

– Słusznie, słusznie – rzekł Rasputin i znowu dosał się do rury.

„Zobaczymy się, chuju, w piekle” – obiecał w myślach Mikołaj i ostatni raz wciągnął dym.

A potem Rasputin zassał szejka raz i drugi, oczy Mikołaja zaś nieco się zapadły. Jednak gdy kagebista myślał już, że za chwilę rozstanie się z tym światem, Król Słońce przerwał konsumpcję.

– Nu, wystarczy. Podnieście go.

Misiewicz i Snoł dźwignęli ślaniającego się Łabędzia.

– Żyjesz, maj san? – spytał Rasputin.

– Nu jeszcze...

– Good. – Władca uśmiechnął się. – Misiewicz, farba, Snoł, piórka.

Pierwszy bodyguard sięgnął po pędzel zanurzony w kubie z czerwoną farbą i maznął pysk Góretskiego od ucha do szczęki, drugi natomiast wbił mu dwa pióra żarptaka w mięśnie kapturowe.

– Doskonale. Gitlier, pobłogosław go.

Schmidt zdziwił się, że ktoś angażuje go do tej szopki, ale że ciągle się uczył miejscowych zwyczajów, dźwignął się, obszedł stół, podszedł do wciąż ślaniającego się pięknisia, przejechał mu pazurem po czole, sięgnął do worka z kośćmi Ixiego, wykonawszy solidny zamach, wbił jedną z nich w anus wybrańca, po czym, nie bacząc na wybałuszone oczy Góretskiego, oświadczył basem:

– W imię Gotta, Szatana i Siwy, czuj się namaszczony.

– I pięknie. – Rasputin klasnął. – Misiewicz, kałach, magazynki, Snoł, dzida.

Ochroniarze wsadzili Góretskiemu w łapy broń i zapas naboji.

– Doskonale, moj drug – oznajmił Rasputin. – Oto mianuję cię Turokiem, łowcą, he, he, dinozaurów!

– Uau, co za zaszczyt! – krzyknęli biesiadnicy.

– Nu – cmoknął Król Słońce. – Sprowadź mi tu jakąś bestię Walerii, a może daruję ci spiskowanie.

– Ale, królu... – stęknął półprzytomny Góretskij.

Jednak Rasputin już go nie słuchał. Jego oczy rozbłysły, uniół się z nich dym, a wokół herszta zawirowały wrzeczona światła. Biesiadnicy poczuli swąd pierdnięcia, potem były huk oraz błysk i z Góretskiego nie pozostało nic poza drobnymi strzępami materii.

– Myszka, co to było? – spytał Schmidt, patrząc na niecodzienne wydarzenie.

– Król teleportował Góretskiego w okolice Wilna – szepnęła mu do ucha.

– Ale po co?

– Ja ci to wyjaśnię, Gitlier – odezwał się Rasputin. – Waleria, tu obecna turkawka zabawka jebawka... Nie podoba mi się ten matriks. – Rozejrzał się podejrzliwie.

– Królu – przemówił Juddu Krisznamutri. – Właśnie czas na matriks, bo chyba przesadziłeś.

– Raz się żyje, żyźń proklataja! – odparł władca Wszechrusi.

Sięgnął do pokaźnego worka, z którym nigdy się nie rozstawał, wyjął z niego coś w rodzaju rury od odkurzacza zakończonej kilkunastoma ostrymi stalowymi zębami i z rozmachem wraził ją sobie w tył czachy. Mrugnął do Krisznamutrieo, a ten wyciągnął z tej samej torby wtyczkę, rozwinął kabel i podłączył tajemnicze urządzenie do agregatu prądotwórczego. Silnik zaskoczył i agregat zaczął gdakać, Król Słońce zaś nacisnął coś w torbie. Zaszumiało, rura się napięła, władca zamknął oczy, rozluźnił się, westchnął i... wszedł w matriks. Juddu po cichu policzył do pięciu, po czym wyłączył urządzenie i wyjął rurę z głowy Rasputina. Misiewicz i Snoł stali w tym czasie obok swego pana z bronią gotową do strzału.

– Hm, tak – odezwała się Traszka. – Jednak ja ci to wyjaśnię, Gitlier. Obecna tu Waleria miała pod Wilnem zoo takie. Oczeń zacne. Jak Flota tam przyjechała, zoo skonfiskowała. Ale zabrała tylko najbardziej powolne sztuki, większość zaś towarzystwa, znaczy zoologicznych okazów, uciekła i teraz gdzieś tam grasuje. Król Słońce wysyła Turoków, żeby zwierza przyprowadzili.

– Któryś już coś przyprowadził?

– Rzadko, ale zdarzało się.

– A skąd wiedzą, jak wrócić?

– Nu, to proste. Każdy klon Rasputina wie, gdzie jest Rasputin. To jakby kompas. Idą na azymut.

– Aha... A skąd wiadomo, że Góretskij trafił do Wilna?

– Rasputin już się wstrzelał. Podobno kilka razy chybił. Jednego maładca wysłał na Syberię, innego na biegun, trzeciego do Indii...

– Do Indii?

– A jak myślisz, skąd tu Juddu Krisznamutri? Przywłókł go jeden z Turoków. Chciał go po drodze zeżreć, ale Juddu troszku go nawrócił.

– I teraz się wstrzelał? Znaczy Rasputin?

– No tak. Każdy Turok, co wraca, wraca z Wilna.

– Aha.

– A tiepier pogadajmy o naszych planach, Gitlier, git?

– Git – odparł Schmidt.

– Zatem tak – rzekł Stalin Wiśniewskij, a Car Łuka mu się przysłuchiwał. – Wkrótce ruszamy na Poliaków. Nieść kulturę. Zazieleni się tam, Gitlier. Mamy nadzieję, że będziesz nam towarzyszył, i...

Głowa Wiśniewskiego spojrzała z dezaprobatą na głowę Łuki, która żarła w tym czasie bobra i okrutnie chrupała.

– Mógłbyś nie przeżuwać, gdy rozmawiam z gościem? – spytał Wiśniewskij, ściągając ciężkie

brwi.

– No już, już... – Łuka otarł ręką pysk i udał, że to wszystko go obchodzi.

– Zatem – ciągnął Stalin – pójdziemy zazielenić Bliadych. I potem dalej pójdziemy, i zazielenimy to, co nie jest zielone.

– Dalej wszystko jest zielone – zapewnił Schmidt. – Überland... znaczy Niemcy, Francja, cała Ziemia. Tylko polnische Rose są bliade.

– Aha – mruknął Wiśniewskij. – Zobaczymy...

– Mówię, że tak jest.

– Ty mówisz tak, Wałęsa, my mówimy: Zobaczymy. Uwidim. Panimajesz?

Überwunder uniósł brwi w zdziwieniu, ale odpowiedział:

– Panimaju.

I zrozumiał w tym momencie, że Rosjanom nie chodzi tylko o polnische Rose, tak jak jego ziomkostwu. Zdumiewające, ale oni zamierzali zająć...

– *Całą Europę!* – wszedł mu w myśli Ixi. – *Robert, oni chcą zalać kontynent! Szaleńcy!*

– *Może i szaleńcy, tak czy owak, wcale mi się to nie podoba.*

Traszka zinterpretowała poruszenie Schmidta jako zachętę, chrząknęła i poprawiła stalowe okulary, zwracając na siebie uwagę.

– Mamy mnóstwo N-Genu. Zebraliśmy go ze wszystkich miast po drodze. Nawet z Wilna i Lwowa. Tam mieli spore zapasy. Zwłaszcza w Wilnie.

– I tym N-Genem... – rzekł Schmidt.

– Poniesiemy kulturę – weszła mu w słowo ogoniasta.

– Rozumiem.

– Procesem – Traszka wskazała Lewandowskiego – będzie dowodził Matwiej. Ma wiele drużyn zuchów, którzy wiedzą, jak aplikować to cudowne lekarstwo. Dzięki nam cały świat zostanie przebóstwiony!

– Że jak?

Traszka uśmiechnęła się.

– Gitlier, powinieneś wiedzieć najlepiej, o czym mówię. Przecież widziałeś boga?

– W trójcy jedyne. Gotta, Teufła i Siwę.

– Cudownie. Będziesz naszym mesjaszem.

– Ja?

– Nosisz ze sobą relikwie. – Wskazała worek z kośćmi Ixiego. – Będziesz głosił chwałę.

– Dupa sraka bura suka... – mruknął do siebie były pisarz.

– Co?

– Oto słowo Pana.

– Właśnie, Gitlier, właśnie. Potrzebujemy przywódcy duchowego.

– Ale pani... – Juddu odezwał się chyba po raz pierwszy w towarzystwie Schmidta.

– Tak?

– Ponownie sprzeciwiam się całemu temu planowi.

– Zamknij się, weganinie.

Juddu spojrział na nią, na Cara, a potem na resztę kamandirów.

– Czy nie możemy żyć w pokoju z Bliadymi?

Traszka parsknęła.

– W czym?!

– W pokoju. Po co na nich napadać?

– Przepraszam. – Kapitan Rossija podniósł się zza stołu i błysnął w oczy Juddu czerwoną tarczą w kształcie gwiazdy, zupełnie jak Kapitan Ameryka w *Zimowym żołnierzu*. – Żeby nieść kulturę, błaznie. Żeby nieść kulturę!

Impreza z udziałem dwóch trzecich Trójcy trwała jeszcze parę godzin, a potem wszyscy rozeszli się do namiotów, ale nawet mimo późnej pory i znużenia tej nocy Kościej nie mógł spać. Nie dość, że wystające z pleców kolce uwierały go bardziej niż zwykle i że wyrosłe z głowy rogi uniemożliwiały sensowne ułożenie czerepu na poduszce, to wciąż nawiedzała go scena, w której przygniety górami bojarów przybysz z Niemiec strzela przędzą, przesuwając się dzięki niej do armaty i wykorzystując nieznaną w Rosji baletową sztukę walki, spada na przeciwników niczym jastrzęb, tak zielony jak groszek z puszeki, którego to rarytasu Kościej dawno już w gębie nie czuł... Na wspomnienie potrawy Mistrz Gier przełknął ślinę, jednak zaraz jego myśli wróciły do przędzy, koloru skóry Niemca, piorunów... Ten olbrzym miał coś, czego Kościej nie posiadał: kolor, który nie mógł być wynikiem przypadku, i tę przędzę... Dotąd szaman, niczym Nikola Tesla, dzierżył w sękatach łapskach sekret prądu, którym nie podzielił się nawet z Rasputinem. Był wyjątkowy. Oczywiście nie znał się na teleportacji, ale sztuki tej nie chciał opanowywać, bo trzeba by zbyt wiele poświęcić. I tak stanowił unikatową wartość we Flocie... do dnia, gdy pojawił się Schmidt! Obracał się z tego powodu Kościej z boku na bok, sapał, stękał i spać nie mógł.

Gdyby znalazł się w tym momencie w namiocie Überwundera, zobaczyłby siedzących przy świecach Schmidta i Myszkę, którzy spożywali pogandoga oraz bobry nadziewane jeżami, danie nieco ostre, za to cudownie chrupiące, które przygotował specjalnie dla nich królewski kucharz Erik Tobias, niegdyś szef kuchni, porwany przez Łukę i Wiśniewskiego z helsińskiego hotelu Continental, gdy chciał popełnić samobójstwo, nadziewając się na ruszt od dupy strony, żeby nie zeżarli go Rosjanie. Jednak Rosjanie go nie zeżarli, widząc, jak cudowne dania przygotował. I tak dzięki kunsztowi kulinarnemu Tobias przeżył, by służyć Wiśniewskiemu i Łuce, a potem, ku rozżaleniu Stalina w dwójcy jedynej, został podarowany Rasputinowi i od tej pory pracował dla całej Trójcy, a czasami też dla Juddu Krisznamutriego, który był weganinem.

Schmidt i Myszka chrupali więc jeże w bobrach, zajadali pogandogi, popijali spirytusem i rozmawiali.

– Zatem, Myszka – mruknął Schmidt, a od tego dźwięku zadrżał materiał namiotu i biust Katuszy Niedzielnickiej się zatrząsał, a wraz z nim monety na oranżowym orientalnym biustonoszu.

Olbrzym chrząknął.

– Zatem. My się... pobraliśmy?

Myszka uśmiechnęła się nieznacznie, chrupiąc bobra.

– Nie pamiętasz, Gitlier? – spytała.

– W zasadzie wolałbym, żebyś mówiła do mnie Robert.

– A ja wolę Gitlier. To takie mocne imię...

– *Nazwisko* – poprawił Ixi.

Schmidt chrząknął.

– Nie pamiętam, jak to się stało.

– Ach... – Myszka opuściła powieki.

– Przepraszam.

– Nic nie szkodzi. Ale to poznajesz? – Wskazała nakrętkę na jego palcu, a potem pokazała swoją, dużo mniejszą.

– Nie. To znaczy rozumiem, że to nasze obrączki.

Katiusza spojrzała mu głęboko w oczy.

– Tak, Gitlier.

– Ale my, Myszka, wcale się nie znamy...

Orczyca uniosła kubek ze spirytusem do pyska.

– Nic nie rozumiesz, Wałęsa. Rosyjska kobieta, jak kocha, to do końca życia. Gdy pokocha, to z całej duszy.

– Ale za co ty mnie, Myszka... kochasz?

– Ty, ona mnie też kocha? – zapytał Ixi. – Jeszcze mnie nie przedstawiłeś.

– Zamknij się.

– Och, Gitlier. – Zielona popatrzyła na niego z zachwytem. – Gdy tylko cię zobaczyłam, pomyślałam, że musisz, *musisz* być mój. Te twoje gabaryty...

– *À propos* – odezwał się Ixi – rozumiesz, *gabarytów*...

– Katia, a czy myśmy... – Schmidt spojrzał jednoznacznie na umięśnione ciało orczycy.

Myszka uśmiechnęła się tak szeroko, że nie mógł już mieć wątpliwości. Chciał to jakoś skomentować, ale w tym momencie materiał namiotu zaszeleścił i zobaczyli, jak wchodzi do niego, zahaczając kolcami o poły materii, Kościej. Ork zrzucił kaptur, popatrzył na Schmidta, zerknął na Katiuszę i usiadł.

– Można? – spytał.

Myszka nie była zadowolona, ale Schmidtowi jakby ulżyło.

– Można – odparł.

– Gitlier – odezwał się szaman chrapliwym szeptem – zdradź mi, proszę, jak się robi takim zielonym. I jak się strzela sznurem z dupy. Co chcesz. Zrobię dla ciebie, co tylko zechcesz. Tylko mi zdradź, jak się to robi!

Überwunder westchnął nostalgicznie.

– *Poproś go o kompas!* – poradził Ixi.

– Busolę chcę. Albo kompas. Cokolwiek, co pokaże kierunki świata. I mapę. Europy. Zafoliowaną. Wiesz, co to znaczy?

Kościej gorliwie pokiwał głową.

– Camillo! – syknął w mrok widoczny w szczelinie namiotu.

Do wnętrza wsunął się debilny pysk.

– Si, señor?

– Przynieś kompas! I mapę Europy!

– E, señor?

Camillo Wnęk, mieszanka włosko-polska, nie miał pojęcia, jak się znalazł we Flocie i dlaczego służy Kościejowi. Ale miał jedną, cudowną cechę – był lojalny do grobowej deski. Wadę też miał – nie oczeń kumał.

– Zegarek z czerwoną wskazówką, co lata dookoła i trzęsie się, pamiętasz?

– Yhy! – rozanielił się Camillo.

– I duża płachta, kolorowa, co jak się ją zgniecie, jest mała, czerwona. Pamiętasz? Ta, co ją ukraść chcieli niedawno i ich usmażyliśmy, tak?

– Yhy!

– Na jednej nodze.

– Yhy!

Tego ostatniego polecenia Kościej pożałował, bo Camillo pognał do namiotu szamana, skacząc na jednej tylko kończynie. Czarodziej westchnął i spojrzął na Schmidta.

– Dostaniesz kompas i mapę. Zdradzisz teraz, jak to robisz?

Überwunder uśmiechnął się chytrze.

– Po pierwsze, jeszcze nie widzę tych fantów, nie wiem, czy działają i w jakim są stanie. Po drugie, nie sądzisz, że za taką wiedzę kompas i kawał papieru to mało?

Kościej wykrzywił gębę.

– Dobra – charknął. – Waleria, wchodź.

W tym momencie do namiotu weszła Repnin, wciąż w zbroi gwiazdnowojennego szturmowca, ale bez hełmu. Usiadła i wygładziła poły wystrzępionych skór, którymi okrywała nogi.

– Słyszałaś wszystko? – spytał Kościej.

– Tak.

– I co?

– Podoba ci się Rusłan? – spytała Schmidta.

– Rusłan?

– Ten zielony tygrys maltretowany przez Siemianowskiego.

– Olbrzym z czerwonymi paznokciami?

– Tak.

– Czy mi się tygrys podoba? Wielki jak koń. I pewnie niebezpieczny jak cholera.

– Łagodny jak baranek. Widzisz, jak się boi Rocha.

– Po co mi łagodny jak baranek zielony tygrys?

– Nikt nie będzie wiedział, że jest łagodny. No, jest jeden przypadek, gdy przestaje być łagodny.

– Hm?

– Jak się wkurwi.

– Aha.

– Chcesz go? – spytała Waleria.

Überwunder myślał przez chwilę. Takie bydlę u boku wzbudzałoby respekt. Wyglądaliby razem jak... jak... Był kiedyś taki bohater komiksowy...

– *He-Man*? – odpowiedział Ixi.

– *He-Man*! – wykrzyknął Schmidt i klepnął czaszkę Ixięgo. – Na potęgę posępnego czerepu!

I obaj z byłym programistą zaczęli rechotać, ku zdumieniu Kościeja, Walerii i Myszki.

– Potrzebuję jeszcze broni, zapasu amunicji i... miecza – odezwał się w końcu Schmidt. – Dużego. Największego, jaki możecie mi dać.

– Załatwię ci to – odparł Kościej.

W tym momencie do namiotu wpadł Camillo.

– Mistrzu? – sapnął. – Na jednej nodze przybiegłem. Trochę mi spuchli.

– Co ci spuchli?

– Noga.

– Aha. Dawaj, coś przyniósł.

Ku zdumieniu Überwundera Camillo istotnie przywłókł działający duży kompas i kompletną mapę Europy, sprzed Kolapsu, ma się rozumieć.

– Camillo, przynieś miecz – warknął Kościej.

- Conana?
- Największy. I AK. I tyle magazynków, ile zmieścisz w worku.
- Eee...
- Dużo magazynków. Na dwóch nogach.
- Si, señor.

I Camillo zniknął.

– No to jeszcze tygrysek, poczekamy na broń i mogę ci powiedzieć. – Überwunder uśmiechnął się.

Kościej stęknął, a Waleria lekko zbladła.

– Gitlier – szepnęła – żebym mogła ci dać Rusłana, musisz... zabić Rasputina. On uwielbia cyrk, a Roch trzyma z Trąszką, bo ta ma burdelmamę Kamienną Damę. Nie wiem, jak jest między Carycą i Królem Słońce, ale podejrzewam, że nie jest tak głupia, by knuć...

Schmidt sapnął.

– Czyli nici z tygrysa. Swoją drogą macie tu jakąś obsesję na punkcie zabicia Rasputina. Jedni chcą go ukatrupić, drudzy chcą go ukatrupić, powariowaliście. Pewnie jeszcze ten weganin chce go chlasnąć.

– Juddu? A skąd!

– No dobrze. – Schmidt położył wielkie łapy na klepisku. – Jeśli do was nie dotarło, muszę dotrzeć do domu. Już widzę, że nie dostanę się tam waszym okrętem podwodnym i w ogóle żadnym innym, zamiast tygrysa pozostaje więc samochód. Dobry UAZ z zapasem paliwa. Duży, żeby wytrzymał mój ciężar...

– I mój – pisnęła Myszka, patrząc na ukochanego mokrymi oczami, w trakcie tej rozmowy zrozumiała bowiem, że Gitlier naprawdę chce opuścić Ruś.

Überwunder spojrział na nią zaskoczony, bo na chwilę zapomniał o jej istnieniu.

– E, tak. I Myszkę ciężar.

– To żaden problem – zapewniła Waleria. – Damy ci najlepszy wóz.

– Ale po co wam moje zdolności?

Repnin spojrziała na Kościeja, a Kościej na Repnin. Kostropaty ork westchnął.

– Zeżarłeś elektrycznego węgorza, prawda? Dlatego ciskasz iskrami? – spytał.

Schmidt powoli pokiwał głową.

– A przędza to pajak? – dopytywał się Kościej. – Zeżarłeś pająki? Jakiej? Ja jem, co mi wlezie pod łapę, ale nie zacząłem strzelać... sznurem.

– Hm... – Robert podrapał się po łbie. – Te pająki były jakieś specjalne. Hodowano je dla przędzy w laboratorium...

– Wiedziałem! – jęknął Kościej. – A zieloność? Jak ją zrobiłeś? I co daje?

– Ale po co ci to wszystko? Mało ci błyskawic? Chcesz być jeszcze Wałęsą? I zieleńszym Zielonym?

Kościej znowu spojrział na Walerię, potem na Niemca i syknął:

– Nie podoba mi się władza Rasputina. To wariat. Bliździ są smacznici, ale nie aż tak, żeby ładować się do ich kraju z całą Flotą! Zdradź mi sekret. Zobacz, tu mam książkę...

Wyciągnął zza pazuchy wielki atlas stawonogów, otworzył go na często oglądanym rozdziale poświęconym pająkom i zaczął nerwowo wertować.

– Jak wyglądały? Pamiętasz? Tak? – Wskazał jednego z przedstawicieli *Argyroneta aquatica*. – Czy tak? Przypomnij sobie, Gitlier!

Schmidt niechętnie wziął atlas, który, choć wielki, w jego łapach wyglądał jak książeczka do

nabożeństwa, co przypomniało mu mesjanistyczny charakter jego wyprawy.

– *Właśnie* – odezwał się Ixi. – *Jakiś mało religijny się zrobiłeś ostatnio.*

– *To przez spirytus* – odparł Schmidt. – *I za inteligentny na to jestem.*

– Myszka – rzucił na głos – przewracaj kartki, bo podrę.

Orczyca posłusznie zaczęła przekładać karty, za każdym razem dając ukochanemu przyjrzeć się okazom.

– Hm... – Olbrym potarł szczękę, przypatrując się jednemu z nich.

– To ten? *Nephila madagascariensis*? – zapytał Kościej.

– Nie wiem – odparł olbrym i nakazał Myszcze przewrócić kartkę.

– Na kulturę – stęknął Kościej – jako Spajdiermien pokonałbym Rasputina. Dałbym mu radę. I wtedy inaczej zajęlibyśmy się Bliadymi. Skubalibyśmy ich po trochu, a nie wciskalibyśmy się klinem jak wariaci.

– Macie duże siły – odparł Schmidt. – Moglibyście sporo zwojować.

– Ale nie ma dyscypliny! Tylko Szary umie nad tym zapanować, a gdyby jemu coś się stało...

– Kościej, załatw tego UAZ-a i kierowcę – poleciła Waleria. – A ja...

Waleria wzięła mapę i zaczęła się pilnie przyglądać Czechom i Słowacji.

– Zaraz przyjdzie Camillo – odparł Kościej. – Wyślę go wtedy jeszcze raz i...

Właśnie w tym momencie poły namiotu rozchyliły się.

Bardzo szeroko.

Za szeroko jak na Camilla.

Wszyscy poczuli najpierw powiew nocy, a potem zobaczyli blask licznych pochodni. Spojrzeli w kierunku wyjścia i ich oczom ukazał się Rasputin z łapami skrzyżowanymi na piersi, otoczony przez bodyguardów. Po jego prawicy i lewicy tkwili Caryca i dwugłowy Car, obok nich wypychał pierś Kapitan Rossija z zaopatrzonym w kamerę Hobartem u boku, nieco z tyłu krył się Czapskij, nad jego ramieniem wyciągali niebieską głowę Juddu, jego krowa zaś głowę rogatą, a w tle niczym góra zasłaniał pół świata Siemianowski. Jakby tego było mało, w namiot celowali jeszcze barczyści bojarzy.

– O bliat – stęknął Kościej.

– Ha! – zagrzmiał Król Słońce, połyskując w blasku pochodni rurami wystającymi ze łąba. – Coś mi się widzi, Gitlier, że, jak to mówią, nadużyłeś rosyjskiej gościnności. Ty, Walka, i ty, Kościej, zaś, no cóż...

Repnin zbladła, a Kościej przybrał taką minę, jakby właśnie coś niedobrego zaszło w okolicach jego nieistniejącego jeszcze spajdiermienowego odwłoka.

– Zatem zdrada, powiadacie?! – warknął Rasputin, a jego oczy zaczęły świecić przerażającym blaskiem.

W tym momencie Kapitan Rossija przybrał bohaterską pozę, wysuwając tarczę do przodu i zwijając pięść nad głową, a filmujący wszystko Hobart aż przysiadł z wrażenia.

– Genialne ujęcie – sapnął – jak w *Człowieku ze stali*!

Lecz chwilę później zaklął, gdyż Jewita Białołętskaja weszła w kadr, zauważywszy plamkę na tarczy Farfocla, podeszła bliżej i pracowicie zaczęła polerować oręż.

– Gospody pomiiuj! – krzyknął Kościej i rzucili się z Walerią na boki.

W centrum zainteresowania Rasputina został nieco zbaraniały Schmidt oraz tuląca się do niego Myszka. Nagle usłyszeli huk pierdnięcia, pojawił się blask, potem coś trzasnęło, jakby ktoś darł nowy dywan, a następnie pojawiła się ciemność.

Sztandar 9

Zarówno Dworczyko, jak i Uroczysko nie były dużymi siołami, więc po kilkuminutowej rozmowie, jaką major Orłowski odbył z pułkownikiem Adamem Jarmułą, dowódcą garnizonu w Sejnach, który, zgodnie ze słowami Ursuli Scorsese, rzeczywiście nie lubił swojej protezy i nosił ją przypiętą do plecaka, paradując z nagim kikutem prawej ręki, zdecydowano, że członkowie batalionu „Orzeł Biały” zanocują tuż przy obozowisku Zielonej Przyszłości.

– Jesteście naszymi wybawcami! – wykrzykiwali starcy. – Niech was Perun błogosławi! – dodawali i kładli ręce na barkach stojących najbliżej wojów.

– Oni mnie przerażają – szepnęła Zdzira do Mardoka.

– Nie tylko ciebie – zapewnił Dziki.

– No dobra, dzieciarnia, rozstąpić się! – zagrział Samul, górujący nad zbiorowiskiem niczym Gojira nad zwykłymi orkami. – Legendarne Orły muszą postawić namioty!

– Pomożemy wam! – krzyknęli starcy.

– Nie trzeba, poradzimy sobie. Po Rłokiecie dostaję skrzydeł – zapewnił Dariusz, a Orłowski wydał rozkaz i woje sprawnie zaczęli rozstawiać sprzęt.

Gdyby uważniej się rozejrzeli, zwłaszcza spoglądając na południe, ponad głowami otaczającego ich tłumu zobaczyliby stojącą po przeciwnej stronie drogi karczmę „Czerwony Kogut” (szyld oczywiście malował Tomasz Maroński) z wystawionymi na zewnątrz stolikami i karmazynowymi parasolami. Siedziało tam dwóch mężczyzn. Jeden był łyse i żyłasty, z gęstym wąsem i brodą koloru brudnej pszenicy oraz w olbrzymich czarnych okularach, które wciąż się przydawały, bo chociaż było przed siedemnastą, słońce oślepiało. Po letniej koszuli z pierwszorzędnego lnu i takich samych spodniach oraz sandałach firmy Wysocki & Lasocki znawca mody mógł łatwo poznać, że jegomość ten ma sporo pieniędzy albo chce na takiego wyglądać. Obok niego siedział otyły osobnik, także ubrany w najdroższe ciuchy, podobnie jak pierwszy zarośnięty i osłaniający twarz wielkimi okularami.

Jak na komendę zdjęli je i dopiero w tym momencie można się było zorientować, że ten żyłasty to Norbert Ciecierski, niedoszły udziałowiec w pornograficznym przemyśle Arnolda Sitarczyka i Jakuba Baloo Malinowskiego, a drugi to Tomasz „Godryk” Marcinkowski, właściciel cukierni „U Marcinkowskiego” w warszawskich Alejach Jerozolimskich sto jeden.

– Przyjechały kłopoty – mruknął Ciecierski.

– Wyluzuj, Norbert – odparł Godryk. – To wojskowa operacja. A my tu mamy cywilne interesy.

– Myślisz, że się nie przypierdolą?

– Nie mają do czego. Wszystko jest legalne, z papierami i notariuszami.

– Nie wszystko.

– Wyluzuj. Teraz już szybko pójdzie, zobaczysz.

– Oby.

Usłyszeli odległy warkot silnika. Spojrzeli w lewo, na wschód, i zobaczyli zbliżającego się drogą numer szesnaście wiekowego czarnego Jeepa. Wóz podjechał, kołysząc się na nierównościach, skręcił na parking przy karczmie czarnego i po chwili przestał masować ich klatki piersiowe basowym dudnieniem cylindrów. Lakier zmatowiał od kurzu letniego dnia, ale poza tym było widać, że właściciel dba o pojazd. Jeep miał przyciemniane szyby, lecz Ciecierski i Marcinkowski najwyraźniej wiedzieli, kto za chwilę wychynie na parking. I rzeczywiście, drzwi kierowcy i pasażera uchyliły się, a oni uśmiechnęli się na widok Zbigniewa „Iksa” Włóki oraz Piotra „Ramela” Korysia, którzy podeszli do stolika, zamiatając powietrze barkami i poprawiając skórzane kurtki.

– Dlaczego tak późno? – spytał Godryk.

Nie przypominał już miłego właściciela cukierni. Gdyby członkowie batalionu zobaczyli go teraz i usłyszeli tembr jego głosu, bardzo by się zdziwili i zaczęli zastanawiać, co jest maską – ta surowa twarz czy dawna jowialna.

– Skiepscił się punkt paserski – odparł Włóka.

Ciecierski skrzywił się i zanurzył wąsy w piwie. Ten punkt znajdował się pod jego kuratelą.

– Ta? – spytał Marcinkowski, powtarzając manewr łysego brodacza.

– Ta – rzekł Włóka. – Jeden z tych młodych idiotów jest synem jakiegoś woja.

– Teraz niemal każdy jest synem jakiegoś woja – warknął Ciecierski.

– Przeszkodził wam? – spytał Marcinkowski.

Włóka skrzywił się na wspomnienie serca dzwonu i czarnej dziury, ale nie zwierzył się rozmówcom.

– Nie do końca. Musieliśmy nieco przesunąć transakcję. Ale mamy towar. Przemalowany, odpicowany, nie do rozpoznania.

– Świetnie. Zaraz go opchniemy – rzucił Ciecierski po tym, jak potężnie beknął.

– Byleby nie przy wojach. – Ramel obejrzał się przez ramię, wskazując Orły.

– Łodzio miodzio – prychnął Marcinkowski. – Najemnicy też nie lubią przy wojach.

– Panowie – Ciecierski spojrzął na Włókę i Ramela – zaczyna tu śmierdzieć. Podrzucicie nas dwieście metrów, na drugą stronę obozowiska.

Czarny Jeep zatrzymał się, wzniecając kurz, przy barwnych namiotach rozbitych obok kilkudziesięciu większych i mniejszych cywilnych wozów bojowych pomalowanych na orkową modę, które zaparkowały nieopodal obozowiska Zielonej Przyszłości. Czterej mężczyźni wysiedli z samochodu, a w ich kierunku zbliżał się już rozkołysanym krokiem Łukasz „Sowa” Szczygło, który wyglądał dokładnie tak jak na filmie Ursuli Scorsese – długie włosy wygolone po bokach, broda zapleciona w warkocz, ciemne oczy, masywna rama, bordowa kurtka i góra rozmaitych utensyliów poupychanych przy pasach i kłamrach.

– Panowie – rzekł tubalnym głosem, chwytając dłonią przedramię każdego z nich i uderzając barkiem w bark. – Kiedy, kurwa, ruszamy? Ludzie mi już srają z podniecenia. Nie wspominając o tym, że wypadałoby nam zapłacić.

– Najpierw rzeczy najważniejsze – mruknął Ciecierski, powtarzając ten slogan z książki, którą czytał dawno temu, jako menedżer sensownej firmy funkcjonującej w sensownych czasach.

Skinął głową Ramelowi, a ten, rozejrzawszy się i upewniwszy, że nie obserwuje ich żaden żołnierz, podszedł do Jeepa. W tym czasie Szczygło skinął ręką obciążoną skózanymi bransoletami i u jego boku pojawiła się Izabela „Rusałka” Papilon, drobna, czarnowłosa

najemniczka ubrana podobnie do herszta. Ramel otworzył bagażnik, ukazując cztery skrzynie z oznakowaniem świdnickiej fabryki broni.

- Te skrzynki mogliście zmienić – warknął Szczygło.
- Nie bój, zaraz spłoną w ognisku – uspokoił go Ramel.
- Zaraz jak zaraz.

Tymczasem Włóka wyjął z jednej z nich masywnego Visa, który... nie wyglądał jak Vis. Był pomalowany maskującą zieloną i brązową farbą, do szyny montażowej pod wydłużoną tłumikiem lufą miał podczepiony laserowy znacznik, za rękojeścią przymocowaną składaną kolbę, a do górnej szyny dołożony kolimatorowy celownik. Iks podał sprzęt Sowie. Ten zważył Visa w dłoni i przyjrzał się lunecie.

- Raciborska? – upewnił się, ujrawszy wygrawerowaną na niej gębę goblina.
- Najlepsza.
- Dobrze. – Odciągnął zamek i zajrzał do komory. Wyciągnął z rękojeści pusty magazynek. –

Pestki? – spytał.

Ramel sięgnął do drugiej skrzyni i wyjął pudełko naboji.

- Ślicznie. – Szczygło uśmiechnął się. – Ile i ile?
- Tak jak chcieliście, dwadzieścia sztuk zmodyfikowanej broni plus oryginalne naboje po sto na kłankę – odparł Włóka. – Zestawik za pięć tysi.

Szczygło przygryzł wąsy, a stojąca obok niego Rusałka przestąpiła kilka razy z nogi na nogę i wyciągnęła drobne ręce po broń. Sowa podał jej pistolet i wciąż milczał, patrząc na rozmówców.

– Cena jest nieco wygórowana – powiedział wolno. – Ale rozumiem, że mamy do czynienia z oryginałami?

- Wyłącznie – zapewnił Włóka.
- Kuciap! Białas! – krzyknął herszt najemników.

Podbiegło do niego dwóch uzbrojonych gości – jeden blondyn z brodą zaplecioną w warkocze, jak Sowa, drugi łyсы, chudy, z wyraźnym bielactwem. Szczygło wskazał im skrzynki.

– Zanieście to w cień i wypakujcie, a skrzyneczki porąbcie, żeby śladu po tych pieczęciach nie było. Raz-dwa.

– Tajest – mruknął Kuciap i odgarnąwszy jasny pukiel, chwycił pierwszą skrzynię, po czym uniósł ją, jakby nic nie ważyła.

W jego ślady poszedł Białas i także podniósł skrzynię z dziwną swobodą. Włóka spojrzął na Korysia i nieznacznie zmarszczył czoło. Obaj wiedzieli, ile te paki ważą. Chwilę później najemnicy zjawili się ponownie i amerykański wóz odetchnął, unosząc się na tylnej osi.

- No dobrze – mruknął Ciecierski. – To teraz kapucha.

Szczygło uśmiechnął się, obnażając nie do końca czyste, ale ostre zęby.

- Odliczymy od honorarium.
- Nie tak się umawialiśmy – szczerknął Marcinkowski.
- Mieliśmy dostać połowę przed robotą, tymczasem daliście nam tylko na sprzęt i wyżywienie, o reszcie zaś nie chcecie słyszeć – rzekł Szczygło.

Włóka zerknął na Ciecierskiego i nieznacznie przesunął rękę w stronę schowanego pod pachą gnata. Ramel zrobił to samo. Nagle obok Sowy, Rusałki, Kuciapa i Białasa pojawiła się gromada najemników o zadziornych twarzach.

- Kogo ja widzę? – odezwała się osłaniająca długie włosy szerokim kapeluszem dziewczyna,

która na okazałych piersiach dźwigała dwa pasy z amunicją. – Pan nieplacący z drugim panem nieplacącym?

– Dobrze mówisz, Zinek. – Szczygło zgrzytnął zębami. – I po pistoleciki chcą sięgać. Uj, uj.

– Nieładnie. – Justyna zwana Zinkiem pokręciła głową i wymacała wielki rewolwer Dan Wesson wiszący na udzie. – Kiedy, chuj, zapłacicie, że tak oględnie zagaję?

Kuciap zarechotał. Ciecierski wyciągnął ręce w uspokajającym geście.

– Jak tylko będzie potwierdzenie wyprawy.

– My, kurwa, potwierdzamy wyprawę – oznajmił Szczygło.

– Już przyjechali woje – odparł najspokojniejszy ze wszystkich Marcinkowski. – Pewnie jutro dadzą zielone światło i wszystko pójdzie jak z płatka.

– Zajrzę do nich – oznajmił Szczygło.

– Nie. – Izabela położyła mu rękę na ramieniu. – Dzisiaj muszą pogadać ze staruchami. A wy – spojrzę na Ciecierskiego i Marcinkowskiego – wyskakujcie z kasy. Mamy dość czekania.

Ciecierski uśmiechnął się, maskując obawę.

– Dostaniecie, gwarantuję.

– Mylisz się, gościu – zagrział Kuciap. – To my tu jesteśmy gwarancją. Nie wyjedziecie stąd żywi, jeśli nie zapłacicie. Kumatum?

– Ociepski – Szczygło zwrócił się do Kuciapa – nie zdradzaj tajemnic taktycznych.

Rusałka parsknęła.

– Taktycznych! Myślę, że już czas, by nasi dobrodzieje zaczęli srać po nogach. – Spojrzała groźnie na Marcinkowskiego i Ciecierskiego. – Bardzo nie lubimy nieuczciwych partnerów. Połowa przed i połowa po, taka była umowa. Na razie połowy przed nie ma.

– Bo nie ma zatwierdzenia misji – powtórzył Norbert.

– Ale zgromadzić to nas potrafiliście?

– Dużo kosztowały sprzęt, ogrodzenia, broń... – zaczął wymieniać Ciecierski.

– Nie. Pier. Dol. Cie – odparł Szczygło. – Monsieur Marcinkowski razem z panem Norbertem kupili kilka mieszkań starszków po skandalicznie niskiej cenie. Skąd mieli kasę? A stąd, że inni starszkowie sprzedali swoje mieszkania i zapłacili im miliony. Zielona Przyszłość ustawiła was do końca życia, sknery. Widzicie? – Sowa wyszczerzył zęby – wiemy o was to i owo. I wiemy, że siedzicie na forsie. Wynajmujecie wilki, więc liczcie się z tym, że wilki mają zęby... Tak?

Ktoś klepnął herszta w ramię i wskazał zbliżającego się drobnego, szerokogębnego woja. Miał na sobie pancerniacki mundur.

– Dzień dobry – przywitał się. – Kapral Dawid Zgud, batalion „Orzeł Biały”. Chciałem rozmawiać z przywódcą najemników.

– To ja – odezwał się Sowa i postąpił dwa kroki do przodu.

– Major Orłowski zaprasza pana dzisiaj, na godzinę dwudziestą, w celu omówienia sytuacji. Może pan przyprowadzić doradców.

Rusałka parsknęła.

Szczygło, patrząc z góry na Dawida, uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Dobrze... panie kapralu. Będziemy. Niech pan przekaże majorowi podziękowanie za zaproszenie.

– Przekażę.

Zgud ukłonił się i odszedł.

– O Perunie – jęknęła Justyna – rzeczywiście strasznie brzydki.

– No. A ta sanitariuszka taka ładna – powiedziała Rusałka.

Tymczasem po drugiej stronie obozowiska Zielonej Przyszłości Orły skończyły już rozstawiać namioty. Tata Malki z Ciocią przystępowali do szykowania kolacji, Orłowski zaś polecił Miktus i jej załodze, Wiechuckiej oraz Alicji Pawłowskiej, by zbadali członków zgromadzenia, wszczepili im czipy i przeprowadzili inwentaryzację: imiona, nazwiska, wiek, cały ten buchalteryjny zgiełk. Scorsese i Stawniak poszły z nimi obciążone kamerami i towarzystwem Kubali, który zabrał przenośny wojskowy laptop, a Zgud miał wszystko sfilmować z powietrza, więc w popołudniowe niebo bzyknęły cztery wojskowe drony. Dowódczyni Mora, który ostatecznie zyskał miano Kostusi, obiecała, że wyrobiją się w ciągu trzech godzin.

Major zameldował królowi, że batalion bez przeszkód dotarł na miejsce i że jeszcze tego wieczoru spotka się z przywódcami Zielonej Przyszłości, by poznać ich decyzję, co Łyżwa przyjął z niejaką ulgą, jakby spotkanie gwarantowało konkretne rozwiązania. Korzystając z chwili wytchnienia, Klaudia zabrała się z załogą do malowania Obcego w orkowe barwy, Lenny i Malik zaś zaczęli go obwieszać lekkimi, udającymi metal plastikowymi płytami i siatkami, przy czym kłócili się, czy na burtach malować słoneczne buźki czy złowieszcze czachy.

- Czachy – rzuciła w końcu Heintze.
- Słoneczka byłyby fajniejsze – zaproponował Lenny.
- Nieorkowe – stwierdziła Ripley i było po dyskusji.

Inne pojazdy także były malowane i przerabiane na orkową modłę, co najbardziej zmartwiło Diabła, Mojżesza i Jacusia, którzy bardzo kochali Gejttofhell i z początku nie chcieli mazać po ślicznym panczerzu. Uspokoił ich dopiero Siekierzyński.

- To zmywalna farba – rzekł. – Łatwo wchodzi, łatwo schodzi.
- He, he, he! – roześmiał się lubieżnie Diabeł, a Mojżesz trącił go w bok i wylał trochę trzymanej farby na trawę.
- Uwważaj, pierdunie – ostrzegł go Piotruś.

Kostusię obiecała pomalować i przyozdobić załogę Rujewita, bo z trójkołowcem Jastrząb, Wiesio i Anna mieli najmniej pracy. Wciąż nierozstrzygnięta była nazwa pojazdu i załoga, naciągając na bak siatki, podwieszając plastikowe płyty i malując pancierz motocykla, nieustannie przerzucała się pomysłami.

- Dupa – mruknął Jastrząb.
- Żółw – odparł Krawczyk.
- Koniokrad – zaproponował pierwszy.
- Dlaczego koniokrad? – zdziwiła się Podgórska.
- Bo nie błyskawica.
- Aha.
- A dupa dlaczego? – zaciekawiła się porucznik.
- Bo... – Jastrząb się zaczerwienił.
- Milcz, Wojteczek – ostrzegł go Krawczyk. – Milcz.

Pani porucznik także się zarumieniła i energicznie malując przedni błotnik pomarańczową i żółtą farbą, rzuciła:

- Fiut.
- Dlaczego fiut? – spytał Jastrząb.
- Zgadnij. – Wiesio wyszczerzył zęby.

Była dziewiętnasta trzydzieści, gdy Miktus, Skrzacik, Machaj, Runa i Pawłowska oraz Kubala i dwie dziennikarki zameldowali się u Orłowskiego. Major siedział na rozkładanym krześle i patrzył w ogień rozpalony przez zapobiegliwego Malkiego.

– I jak, pani kapitan? – spytał dowódca, zerknąwszy na lekarkę.

Miktus szczerzyła się do Machaja, żeby przyniósł jej i reszcie medyków stołki. Cezariusz rzucił się do pomocy, rozumiejąc, że Scorsese, Stawniak i Kubala też by na czymś usiedli. Ten ostatni jednak nie pozwolił sobie przynieść siedziska i sam o nie zadbał.

Lekarka była zasapana, spocona i nie do końca szczęśliwa. Mikołajczyk przybiegł ze stołkami i rozdał je medyczkom, jeden zostawiając sobie. Stawniak, Ursula i Kubala już siedzieli. Dołączył do nich Zgud.

Olbrzymia pani doktor położyła na kolanie tablet z notatkami i obudziła urządzenie.

– Tata – rzuciła tubalnym głosem do porucznika – daj mi yerba mate, proszę. Z miodem.

– Się robi – odparł Maciej, ciesząc się, że ktoś prosi o coś innego niż zbożówka.

Natychmiast posypały się prośby o napoje. Dana i Dragon zakrzętnęli się, aby napoić towarzystwo.

Lekarka tymczasem odetchnęła i zerknęła w ekran.

– No więc tak, majorze. Z pozytywów sierżant Pawłowska. – Wskazała sanitariuszkę siedzącą obok Runy. – Zna się na robocie i działa, mimo zakwasów w piersiowych.

Alicja zarumieniła się i spuściła oczy.

– Nada się – podsumowała lekarka. – A teraz... – Miktus przyjęła kubek od batalionowego kucharza i zerknęła w tablet.

– Pączusia? – spytała Ciocia, stając tuż obok niej z tacą.

Twarz Miktus rozjaśniła wdzięczność:

– Dziękuję, kochana, trzy.

– Proszę bardzo.

Kapitan chwyciła pączki, wpakowała połowę jednego do ust, przegryzła dwa razy, zapobiegła dłonią wyciekowi konfitury i odezwała się nieco niewyraźnie:

– Mamy... hwieście iędziesiąt hwie ohoby. Hrednia hieku... – Przełknęła.

– Średnia wieku siedemdziesiąt, wciórności, pięć. Najstarszy dziadunio ma sto jeden, najmłodsza panienka siedemdziesiąt jeden lat, ale ma alzheimera, więc nie dziwota, że jej się spieszy. Wszystkich zaccipowaliśmy i spisaliśmy, mam tu program, który całość kontroluje. Poruczniku. – Spojrzała na Szczyrbowskiego, który siedział niedaleko Orłowskiego i stukał w klawiaturę pancernego laptopa, przeglądając systemy Tura. – Dziękuję. Dobry program.

– Cieszę się.

– Stan większości jest w miarę dobry, ale... – Miktus wpakowała do ust drugą połowę pączka i popchnęła ją kciukiem. – Ahe... Hyziehhhi hrosent hoim hdaniem... – Przełknęła, oczy wyszły jej z orbit i czknęła. – Przepraszam.

Malki podał jej stalowy kubek o podwójnych ścianach z laserowo wypalonym godłem Stalowego Orła.

– Proszę. Pierwszorzędna yerba mate i miód spadziowy.

– Dziękuję, kochanieńki.

– Szefie, jak my z nią wytrzymamy? – szepnęła Orłowskiemu do ucha Mardok. – Mam ochotę jej...

– Proszę tam nie szeptać, chorąży Jarek – rzuciła.

– Jary jestem – sprostował Dziki.

– No przecież mówię. Nie szeptać. Nieładnie przy damie.

Mardok rozejrzał się ostentacyjnie, dając Miktus do zrozumienia, że żadnej damy nie widzi, ale zignorowała jego pantomimę, łyknęła yerba mate i uśmiechnęła się do Malkiego.

– Doskonała.

– Pani kapitan... – Orłowski zatarł ręce, maskując irytację.

– Już mówię. Pan też powinien się napić, majorze Orzełek. Odwodnienie jest niezdrowe.

Sergiuszowi wydawało się, że usłyszał gromki wybuch śmiechu zza pancerza Jaryła. Potarł czoło i poprosił:

– Tata, strzel mi pokrzywę. Też z miodem.

– Służę.

Miktus przesunęła coś na wyświetlaczu swojego tabletu.

– Wracając do tematu – podjęła – moim zdaniem trzydzieści procent nie przetrzyma mutacji. To gwałtowny proces: biegunka, wymioty, słowem odwodnienie. No właśnie. Dla nich to też groźne, nie tylko dla pana, majorze. Z retrospektywnych analiz wynika, że pierwsze Engelsy najchętniej pożywiały się ludźmi w stadium poprzedzającym przemianę. Wtedy byli oni najsłabsi, więc stanowili najłatwiejszy cel. Gdyby zapewnić tym tutaj odpowiednie odżywianie dożylnie, mieliby większe szanse. Ale nie wyobrażam sobie przeobrażającego się Zielonego, który nie wyrwałby kroplówki. Poza tym, jak ją przymocować? Do głowy? Plastrem?

– To niegłupi pomysł – odezwała się Runa. – Już to robiłam.

– Robiłaś?

– Robiłam.

– Robiła – potwierdził Mardok.

– Na tobie? – Miktus spojrzała na niego.

– Yhm.

– No i nie mamy tylu kroplówek. – Lekarka mlasnęła, biorąc tym razem mniejszy kęs pączka.
– Więc może tutejszy garnizon by nas wsparł, bo inaczej nie damy rady. To po pierwsze. Rozumie pan, majorze – popatrzyła na dowódcę całkiem już poważnie – sprawa jest... dziwna. Dwa grzyby w barszcz. Oni są starzy, chorzy i wiem, że i tak umrą, ale w ich przypadku wybieramy po prostu rodzaj śmierci: w Twierdzy, w cywilizowanych warunkach, może nawet poprzez eutanazję, która, świec Perunie nad głową Kosy, została zalegalizowana, albo tam gdzieś, kurwa, w chaszczach, pośród innych charczących, być może żrących ich orków. Przerazająca wizja, majorze Orzełek.

Orłowski przełknął ślinę.

– Z jakim prawdopodobieństwem jest pani w stanie określić, że ci ludzie umrą podczas przemiany? N-Gen daje przykre dolegliwości, ale wcześniej odmładza organizm.

– A tak, normalny N-Gen tak. Ale nie z katalizatorem doktora Matuszewskiego. To przyspieszenie coś daje, ale i coś zabiera. Nie zdążą wyzdrowieć.

– Hm. Czyli jak trafna jest pani diagnoza? W procentach?

– Że trzydzieści procent nie przetrzyma? – Miktus ugryzła kolejny kawałek pączka i popiła go yerba mate. – Prosi mnie pan o procentowe przewidywanie procentowego przewidywania, zdaje pan sobie z tego sprawę? – Westchnęła. – Mogę się mylić. Może... trzydzieści procent z tych trzydziestu jednak da radę.

– A reszta nie?

– Moim zdaniem nie. Doktoryzowałam się z N-Genu.

– Poinformowała ich pani o tym?

Miktus pokręciła głową w milczeniu i to już było zupełnie do niej niepodobne.

– Uważam – odezwała się Runa – że powinni wiedzieć. Ja na ich miejscu bym chciała.

– Większość pacjentów chce, pani chorąża – odezwała się lekarka.

Orłowski popił pokrzywę od Malkiego i sparzył sobie usta. Przygryzł górną wargę i przez chwilę, podobnie jak lekarka, patrzył w ogień.

– Coś jeszcze, pani doktor? – spytał.

– Są skatalogowani, jesteście gotowi do podania katalizatora N, przetrzymają podróż, mają zaopatrzenie, jeśli o to pan pyta. Połowa cierpi na poważne schorzenia, takie jak nowotwory, wieńcówki, stany po zatorach mózgowych, częściowe paraliże... Ci mają opiekunów oczywiście. Niektórzy niewyraźnie mówią po wylewach. Większość bierze słabsze bądź silniejsze leki przeciwwzapalne i przeciwbólowe. Ogólnie wesoła gromadka.

Orłowskiemu nie było do śmiechu.

– Niech pani prześle wszystkie dane do komputera w Turze i do centrali, na wszelki wypadek.

– Tajest.

– Kronikarko? Pani Scorsese? – Orłowski spojrzał na kobiety. – Jakież obserwacje?

Zarówno Magdalena, jak i Ursula były blade i milczące. Od razu było widać różnicę między rutyną medyków, którzy często oglądali starość, śmierć i inne okropności, a brakiem doświadczenia tych kobiet. Inna sprawa, że łapiduchy miały się czym zająć, a Stawniak i Scorsese tylko obserwowały.

– To zdesperowani ludzie, panie majorze – odezwała się kronikarka.

Scorsese pokiwała głową.

– Nie wyobrażam sobie – ciągnęła Magdalena – by cokolwiek mogło ich powstrzymać. Są schorowani, niecierpliwi, roszczeniowi i drażliwi. Mówią, że czekają na nas strasznie długo, że nikt o nich nie myśli, że mają dość drwin i prawo do zielonej przyszłości.

– Struktura? – Major zerknął na Scorsese, bo podejrzewał, że ona lepiej wyłapie te rzeczy.

– Tak jak mówiłam w stolicy, są liderzy, czyli Bartosz Renans i Zofia Murawska. Reszta uznaje ich decyzje, ale to czysta demokracja. Są podgrupy i stronnictwa. Część wyrывa się, żeby już iść do Wilna, nie czekając na osłonę. Ci twierdzą, że przekupią Engelsów wódką, a żołnierzy po prostu sobie kupią z COP-u albo wynajmą najemników przypisanych do ZP...

– ZP?

– Zielonej Przyszłości.

– Aha.

– Ogólnie gotuje się tam, majorze. Nie liczyłabym na spokojny przebieg spotkania.

– Dziękuję. Sierzancie? – Orłowski spojrzał na Kubalę.

– Potwierdzam słowa pań Stawniak i Scorsese.

– Coś ponadto?

– Może tylko to, że oni, panie majorze, słono zapłacili za tę operację. Z tego, co zrozumiałem, większość sprzedała mieszkania, nawet domy, żeby tu się znaleźć. Ci, którzy organizują tę operację, nieźle się obłowili.

– Ciecierski i Marcinkowski?

– Tak, panie majorze – odezwał się Zgud. – Gdy poszedłem do najemników, żeby zaprosić ich na spotkanie, widziałem Norberta Ciecierskiego i Tomasza Marcinkowskiego. Robili z nimi jakieś interesy. Obaj noszą brody, ale to na pewno oni. Potem polatałem nad obozem

najemników dronem. Potwierdzam wywiad pani Scorsese. Rzeczywiście rządzi nimi ten... jak mu tam...

– Szczygło, pseudo Sowa – pomogła mu Ursula.

– Tak jest. Natomiast nim rządzi Marcinkowski i Ciecierski.

– Brudny sukinsyn. – Mardok zgrzytnął zębami. – Od razu czułem, że powinienem mu wybić zęby.

Nagle umilkł, bo przypomniał sobie twarz Sarenki. I coś go zabolalo.

Orłowski westchnął i wstał.

– Dobra robota. – Popatrzył dookoła. – Umyjcie się. – Wskazał polowe prysznice ustawione przez Skarpetę i Grubensa. – A pani, kapitan Miktus, niech przygotuje sobie na dwudziestą komunikatywne, krótkie wystąpienie. Musi pani jakoś poinformować ich o tym, co ich czeka. Mam na myśli te trzydzieści procent.

– Tajest.

– Wszyscy się przebierzemy – polecił major. – Przekażcie to tym, których tu nie ma. Tym idiotom chichoczącym w Jaryle też. Uczesać się, zadbać o mundur. Mamy – spojrzął na zegarek – pół godziny.

– Z tego wynika – odezwała się Miktus – że z kabin prysznicowych będzie musiało korzystać po kilka osób naraz.

– Ma pani z tym jakiś problem, pani kapitan? – spytał Orzeł niewinnie.

Kobieta obruszyła się.

– A skąd.

– Ja mam – szepnął Mardok.

Dowódca Orłów przecesał palcami blond włosy, po czym podrapał się, jakby usiłował coś sobie przypomnieć.

– Ciociu – zwrócił się do Baneckiej – będziesz miała czym poczęstować gości? Chciałbym, żeby się tu dobrze czuli, skoro obserwatorzy zapowiadają napiętą atmosferę.

– To jest tak oczywiste, panie majorze – uśmiechnęła się Dana – że czuję się niemal obrażona tym pytaniem.

– Ja też! – rzucił Malki.

Monika Ferens, zwana w Uroczysku Mniszką, a to dlatego, że oprócz psychologii i terapii parała się – zresztą wspólnie z Anną Traut i Joanną Bellą – ziołolecznictwem, od godziny stała przed lustrem w swojej łazience i zastanawiała się, co zrobić dalej ze swym atrakcyjnym, choć już czterdziestoletnim ciałem. Jak twierdzą historycy, Monika była bezdzietną wdową. Orki ukatrupiły jej kochanego męża, gdy wybrał się samotnie na grzyby, a dzieci po prostu nie mieli. Od kilku lat dzielna kobieta prowadziła się jak singielka, zajmując się, oprócz pracy, trzema rzeczami: swoim ciałem, uwodzeniem nie tylko samotnych mężczyzn oraz kontaktami z przygranicznymi Engelsami, z których to kontaktów nie zwracała się nikomu prócz wspomnianych już Anny Traut i Joanny Belli.

Ale wróćmy do lustra i kosmetycznych dylematów Moniki. Stała oto naga, czekając, aż balsam Marysieńka wchłonie się w śniadą skórę, bo po nim zamierzała wklepać rozświetlające mleczko Jutrzenka z drobinami złota. Był to piekielnie drogi kosmetyk, który kupiła na Dzień Dziecka i hołubiła jak największy skarb. Stwierdziwszy, że już czas, wcisnęła dozownik na okazałym cylindrze, uchwyciła kilka słonecznych promieni uwieczonych w kremie, a następnie

zaczęła go rozprowadzać powolnymi ruchami po piersiach, płaskim brzuchu, udach i pośladkach, zostawiając resztę na szyję i twarz. Znowu odczekała i położyła na policzki i czoło krem na dzień, a następnie specjalne mleczko pod oczy, dzięki czemu delikatnie zaznaczone worki prawie zniknęły. W końcu nadeszła pora na wymyśloną przez nią, a zrobioną na zamówienie w aptece ziołową maść odmładzającą tylko na policzki i pod szyję.

Gotowe. Teraz makijaż.

Tak upłynął kolejny kwadrans.

Potem zajęła się paznokciami u rąk i nóg.

Stała wciąż naga i obróciła się w lewo, potem w prawo i znowu w lewo, oceniając wycięcie łądzwi, talię, kolor skóry na ramionach i twarzy. Włosy umyła przed południem i teraz opadały połyskliwą kasztanową kaskadą na ramiona.

Doskonale.

Teraz sukienka. Koniecznie ta kremowa mini w kwiaty. Z głębokim dekoltem. Szpileczki. I naszyjnik, ale nienachalny. Bursztyny.

Ktoś mógłby zapytać, dlaczego Monika Ferens tak się stroiła. Odpowiedź jest prosta. System tam-tamów Uroczyska i Dworcyska działał bez zarzutu i już pięć minut po przyjeździe batalionu „Orzeł Biały” wszyscy w obu wsiach wiedzieli, że w okolicy są nowi woje. Podobno niektórzy przystojni. A jeśli byli wśród nich nieprzystojni, to posiadali wysokie szarże. Monika uwielbiała dowódców. Kochała ich wielkim, życzliwym i delikatnym sercem samotnej kobiety, a uwodziła z zaangażowaniem niewiasty ze Wschodu. I zawsze jej się udawało.

Usłyszała kroki na werandzie. Podeszła do drzwi i otworzyła je, zanim usłyszała pukanie, by zobaczyć uśmiechniętą Anię Traut i tak samo wyszczerzoną Joannę Bellę. Obie były lekko zaokrąglone, zdrowe i rumiane i tryskały dobrą energią.

– Aaaaales ty piękna! – zachłysnęła się Traut.

– Dziękuję. – Monika wdzięcznie dygnęła.

– Woje jaja pogubią – szepnęła Bella.

– Taki jest plan, proszę was, taki jest plan. Aniu, masz lubczyk?

Traut wyciągnęła z torebki flaszeczkę z zielonym płynem i łobuzersko się uśmiechnęła.

– Doskonale – szepnęła Monika.

– Hej, boginie! – zawołał do nich Maciuś Janiszyn, miejscowy kronikarz siedzący za kierownicą kremowej Syreny kabrio. – Wsiadajcie, bo mi tu zaraz ludzie zaczną gadać, że hałasują włączonym silnikiem.

– Już, już!

Kobiety podbiegły, wskoczyły do samochodu, Maciuś wcisnął gaz i pojechali. Całe trzysta metrów. Bo liczy się fason.

Słońce już zaszło i niebo wyglądało, jakby ktoś nałożył na nie cienkie skórki z jabłek, czereśni, dyni i zielonych winogron, a następnie podświetlił je od drugiej strony. Znad okolicznych pól ciepły wiatr przywiewał zapach rozgrzanej pszenicy, a na drzewach zaczęły się budzić słowiki. Przy wielkim ognisku, obok którego Tata Malki wraz z Ciocią rozstawili polową kuchnię i grill, zasiadły Orły, pułkownik Adam Jarmuła, jego adiutant, kapitan Adam Cegielski, dowódca batalionu „Krzemienna Pięść” major Mieczysław Biały zwany Kulą oraz dowódcy innych batalionów. Siedziało tam też, nieco kręcąc się na polowych stołkach, naczalstwo Zielonej Przyszłości, czyli Bartosz Renans, Zofia Murawska i jeszcze jedna, nieznana Orłowskiemu para,

a wokół nich liczna grupa starszków żywotnie zainteresowanych tematem. Płomienie raz za razem strzelały, oświetlając tkwiących przy starszkach Łukasza Szczygłę, Rusałkę i Kuciapa, a także szare eminencje całego tego zamieszania – Norberta Ciecierskiego i Tomasza „Godryka” Marcinkowskiego wraz z towarzyszącymi im Zbigniewem „Iksem” Włóką oraz Piotrem „Ramelem” Korysiem. Dookoła głównych aktorów spektaklu zaś zgromadzili się gapie, czyli mieszkańcy Dworczyńska i Uroczyska, których było najwięcej.

Monika „Mniszka” Ferens cieszyła się, że przyjechała z Anią, Joanną i Maciusiem wcześniej, bo dzięki temu mogły zająć ostatnie wolne miejsca w najbliższym kręgu. Dla Maćka nie było już miejsca siedzącego, więc stał za nimi, podobnie jak większość innych osób. Monika przyjrzała się uważnie wszystkim Orłom. Najpierw dostrzegła czyste, zadbane buty, potem wpuszczone w nie spodnie w cyfrowym kamuflażu, dalej pozapinane na wszystkie guziki bluzy z insygniami jednostki, baretkami i szarżami, a wreszcie ogolone twarze i uczesane włosy. Członkowie batalionu, kobiety i mężczyźni, byli higieniczni. To plus. Potem dostrzegła mnóstwo blizn. Ładna pancerniczka w szarży sierżanta, siedząca obok drobnej, czarnowłosej pani kapitan, miała sporą szramę na lewym policzku. Jeden z najwyższych wojów, szczupły blondyn, nie wiedzieć czemu przypominający Amerykanina z hollywoodzkich filmów, miał całą twarz w siatce cięć. Największy z nich, wyglądający niemal jak ork, miał blizny na czole. Major, dowódca batalionu oszpecony dwiema szramami ciągnącymi się od brwi przez policzki do szczęk, na pierwszy rzut oka brzydka, pociągał ją jednak najbardziej. Te baretki na piersi... Te gwiazdki... Ta postawa mówiąca, że on tu dowodzi... Monice zrobiło się ciepło w podbrzuszu. Obok niego siedział drugi major, czarnowłosy, śniady, przystojniak. Ale bez tych blizn i stalowych oczu wydawał jej się mniej pociągający. No i pancerniak, a ona wolała piechociarzy. Przeskanowała wojowniczkę, by sprawdzić, czy major nie jest z którąś związany. Wystarczyły dwie minuty, by stwierdzić, że tę oszpeconą blizną na policzku coś z nim łączy, a płowowłosa porucznik ze znakiem motocykla na piersi też coś do niego ma. Obie były zgrabne, ta z blizną zaś na dodatek dużo od Moniki młodsza. „No, jest wyzwanie – pomyślała – jest wyzwanie. Zobaczycie, panienki, co znaczy wschodni czar...”

Tymczasem spotkanie już się zaczęło i Monikę ominęły wstępne uprzejmości, wymiany szarż, imion, nazwisk itepe. Nie ominęło natomiast jej bystrego oka zamieszanie, jakie powstało wśród Orłów, gdy ten największy woj spojrział na cywilów, o których każdy wiedział, że opłacają najemników.

– Szefie – Samul nachylił się do ucha Orłowskiego – tych dwóch gości obok Ciecierskiego i Marcinkowskiego to ja znam! Przyszli do meliny mojego syna, żeby kupić kradzione Visy!

– Cicho, Darek – uspokoił go major. – Potem się tym zajmiemy.

– Czyli nie walić?

– Walnij sobie Rłokieta.

– A, dzięki. – Twarz Samula się rozjaśniła. – Przez to całe mycie zapomniałem.

Monika Ferens spojrziała na Ciecierskiego, Marcinkowskiego i dwóch mężczyzn, którzy tego dnia przyjechali do Uroczyska, ale żaden z nich nie zareagował miną czy postawą na zaniepokojenie olbrzymiego woja. Nie mogła się zatem domyślić, że Zbigniew „Iks” Włoka także rozpoznał Samula, ale był na tyle doświadczony, że udało mu się ukryć uczucia.

Postanowił omówić rzecz z pryncypałami po spotkaniu...

Trójka żołnierzy zajmujących się grillami i kuchnią rozdawała zgromadzonym pączki i zbożówkę, ujmując wszystkich uśmiechem i zaangażowaniem, zwłaszcza kulejący brodac i niemłoda, ale nadzwyczaj serdeczna wojowniczką, do której, zdaje się, mówiono „Ciocia”. Ferens przyjęła z jej rąk kubek i grzecznie podziękowała. W tym czasie dowódca Orłów chrząknął i powiedział miłym barytonem:

– Nie chcę zajmować wam więcej czasu niż to konieczne, zwłaszcza że są wśród nas osoby nie najmłodsze i wymagające opieki medycznej. Zatem do rzeczy. Król zatwierdził waszą operację i dostaniecie wojskowe wsparcie.

– Kurwa, genialnie – wyrwało się adiutantowi pułkownika Jarmuły, a starszacy, nie słysząc jego słów, westchnęli z ulgą.

– Świętowodowi niech będą dzięki! – Renans wznosił ręce do nieba. – Niech będą dzięki! – powtórzył.

Najemnicy przybili piątki i atmosfera wokół ogniska nagle się rozluźniła.

– Podziękujcie Łyżwie – rzekł Orłowski – bo nie wszyscy się z nim zgadzali. Jutro z rana opracujemy z pułkownikiem Jarmułą, obecnymi tu dowódcami batalionów i szefostwem najemników plan dotarcia do Wilna.

– Wiwat! – Major Mieczysław „Kula” Biały wznosił kubek z kawą. – Wilno będzie nasze!

– Wiwat! – zakrzyknęło kilkunastu wojów z dalszych rzędów.

Orłowski uniósł rękę.

– Nie tak prędko z tym wyzwoleniem. Najpierw zrobimy szybki, bardzo szybki rajd do magazynu N-Gen. Będzie to przy okazji zwiad. Ocenimy siły Zielonych, sprawdzimy dronami okolicę, pozyskamy lekarstwo i wrócimy. – Spojrzał na Renansa i Murawską. – Dostaniecie lek tutaj. – Przez chwilę się zastanawiał, czy wspomnieć o katalizatorze, ale postanowił, że tę część zostawi kapitan Miktus. – Potem zawieziemy was razem z najemnikami na północ od Wilna, pomożemy założyć osadę „Zet” i... zostawimy z płatnymi obrońcami, życząc wszystkiego dobrego.

Słuchający tego Szczygło chwilę kiwał głową, po czym mruknął przez zaciśnięte zęby:

– Mogliśmy to zrobić sami. I przeprowadzić rajd, i osłonić osadę. Miesiąc temu.

– Byłaby to nielegalna i niebezpieczna operacja – odparł Orłowski. – Mogłaby przynieść więcej szkód niż pożytku.

– My byśmy ich wsparli – rzekł major Kula i uprzedził w ten sposób szefa najemników, który chciał, zdaje się, powiedzieć coś obraźliwego.

Orłowski zerknął na pułkownika Jarmułę, ale ten nic nie powiedział, natomiast uśmiechnięta gęba kapitana Cegielskiego, jego adiutanta, świadczyła, że być może pułkownik nie miałby nic przeciwko samowolce dowódcy batalionu „Krzemienna Pięść”.

– Czyli kiedy dostaniemy N-Gen i założymy osadę? – spytał Bartosz Renans, przywódca Zielonej Przyszłości

– Przy dobrych wiatrach lek dostaniecie pojutrze. Bo wyruszamy jutro w nocy.

– A kiedy pojedziemy zakładać osadę?

– Jak tylko będziecie gotowi.

– Już jesteśmy gotowi! – krzyknął Renans. – Jesteśmy gotowi od tygodni! Nie rozumiecie, że na was czekamy?! Każdy dzień jest dla nas ważny! Każda godzina! Z każdą minutą maleje szansa, że niektórzy z nas zniosą trudy podróży i obrony...

Orłowski chrząknął.

– Właśnie o tym i o jeszcze innych... sprawach opowie wam doktor kapitan Małgorzata Miktus. Pani kapitan?

Ferens spojrzała na podnoszącą się z siedziska potężną kobietę o zdecydowanych rysach. Wyglądała na groźną i nieskorą do żartów. Pomyślała, że nie chciałaby szukać u niej rady.

– Dobry wieczór – odezwała się Miktus tubalnym głosem. – Przeprowadziliśmy dzisiaj badania wszystkich członków Zielonej Przyszłości. Są wśród was osoby bardzo chore.

– Wiemy o tym, pani doktor – mruknęła Zofia Murawska.

– Cały czas o tym mówimy – warknął Renans.

Kapitan poczekała, aż umilkną komentarze, i podjęła:

– Czuję się w obowiązku poinformować was, że według moich szacunków... dwadzieścia procent członków Zielonej Przeszłości, znaczy Przyszłości, nie przetrzyma mutacji.

– Co to znaczy? – spytał Renans, mocno poruszony.

– Są za słabi, zbyt chorzy.

– Ale przecież N-Gen odmładza! Dodaje sił! Pani coś bredzi!

Lekarka westchnęła.

– Przepraszam, powinnam była powiedzieć to na początku, ale miałam nadzieję, że poinformuje was o tym major Orzełek...

– Orłowski – sapnął dowódca.

– Zatem tak – ciągnęła Miktus, nie bacząc na uwagę Orła. – Pojawiła się alternatywa i chcielibyśmy, żebyście dobrze ją przemyśleli. To zresztą kwestia do przemyślenia także dla najemników. Możecie wziąć N-Gen normalnie, że tak powiem. Wtedy od zażycia leku do mutacji może upłynąć od miesiąca do trzech, czterech, a nawet pół roku. Mam wrażenie, że wasi najemnicy, choćby byli największymi twardzielami, nie wytrzymają tyle na terenie wroga, ale to oczywiście już ich ryzyko i kalkulacja.

Wokół ogniska podniosła się wrzawa, przy czym najgłośniejsi byli kondotierzy starający się zapewnić wszystkich, że dadzą radę choćby nie wiem co. W końcu Miktus udało się uciszyć zgromadzonych.

– Jeśli udałoby się wam wytrwać, to większość was istotnie dożyje do... Zielonej Przyszłości. Czynnikiem decydującym o przeżyciu jest zdolność obronna najemników.

– I forsa. – Szczygło spojrzał na Ciecierskiego.

– My to wszystko wiemy, pani doktor – podkreślił Renans.

– Tak, to wiecie. Ale mówiłam o alternatywie. Drugim rozwiązaniem jest zażycie razem z N-Genem katalizatora. Jest to preparat nowy, słabo jeszcze znany, nie do końca przetestowany. On pozwoli wam zmutować w ciągu tygodnia.

Na te słowa wokół ogniska podniosła się prawdziwa wrzawa. Staruszkowie zaczęli wiwatować, najemnicy zaś patrzeć na siebie z niedowierzaniem. Szczygło zerknął na Ciecierskiego, a ten bezradnie wzruszył ramionami, dając znak, że nic do tej pory o tym nie słyszał.

– Ale spokojnie! Spokojnie! – krzyknęła lekarka i towarzystwo się uciszyło. – Tu jest właśnie problem i te dwadzieścia procent. Przy użyciu katalizatora N przewidujemy tak gwałtowną przemianę, że jedna piąta z was może tego nie wytrzymać.

– Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiadujemy?! – odezwała się Murawska. – To przecież strasznie trudna decyzja!

– Przykro nam – odparła Miktus. – Sami dowiedzieliśmy się o istnieniu tego środka wczoraj. Jak mówiłam, to nowość.

Wśród starszków znowu zawrzało, tym razem tak głośno, że zgromadzeni wokół ogniska woje zdali sobie sprawę, iż uciszyć towarzystwo będzie bardzo trudno, zwłaszcza że pielgrzymom wtórowali najemnicy rozpatrujący zyski wynikające z krótszej operacji, ale i straty, bo zrozumieli, że mniej zarobią.

Miktus westchnęła i usiadła, patrząc bezradnie na Orłowskiego. Ten, widząc zdenerwowanie starców i najemników, zastanawiał się, jak zakończyć spotkanie, ale nie spieszył się z zabranieniem głosu. Wiedział, że towarzystwo musi się teraz wyszumieć. Dał im krzyczeć i kłócić się kilka minut, po czym, gdy zaczęło się trochę uciszać, a ten i ów spoglądał na niego w oczekiwaniu na podsumowanie, wstał i zaczął:

– Rozumiem, że zależy wam na tym, by wszystkim się udało. I że wieść o katalizatorze jest dla was zaskoczeniem. Damy wam czas na zastanowienie się, którą opcję wybrać, stąd moje słowa, że wyjedziemy „jak tylko będziecie gotowi”. Co mogę powiedzieć od siebie? Mój batalion zaliczył już udaną misję głęboko na terytorium wroga...

Jeden z najemników podniósł rękę, ale major nie dał mu dojść do głosu.

– Mam na myśli otwartą akcję dokonaną dużymi siłami, bez podchodów. Widzieliśmy, jak się zachowują orki w głębi ładu, wyczuwszy ludzki zapach. Przypomina to trochę filmy o zombi, ale nie tych powolnych, paralitycznych, lecz szybkich i agresywnych.

Pielgrzymi zadrżeli i znowu zaczęli dyskutować.

– Mówię o orkach niemieckich i francuskich – ciągnął Orłowski. – Ale podczas wcześniejszych kampanii poznaliśmy też trochę Zielonych białoruskich, ukraińskich i litewskich. Nie widzieliśmy zbyt dużych różnic.

– Nasi chleją! – rzucił z tłumu Maciej Dybowski zwany Dalambertem, a reszta zarechotała.

– Tak słyszeliśmy – rzekł major. – Podobno alkohol powoduje, że łagodnieją.

– Na pewno, nie podobno! – zapewnił Dalambert. – I muchomory żrą!

– To ich kokaina! – zawtórował mu stojący obok Andrzej Zalesny.

– Tak czy owak, niewiele się różnią od orków zachodnich – podjął Orłowski. – Jedyne być może ważne różnice są takie, że jest ich mniej, bo zagęszczenie w Niemczech przed Kolapsem było większe, no i rzeczywiście, kulturowo ugruntowane żarcie muchomorów i picie spirytusu w jakiś sposób czyni je łagodniejszymi. Nie chcę was straszyć – spojrzał na starszków – ale przed wami ciężka przeprawa.

– Panie majorze – odezwał się Renans, którego rozbieżny zez jakby zyskał na dynamice, może ze względu na słabe oświetlenie, a może na zdenerwowanie. – My to wszystko wiemy. Wzięliśmy to pod uwagę i dawno podjęliśmy decyzję. Liczymy się z ryzykiem, a wie pan dlaczego? Bo my, do diabła, umieramy! Więc nie możemy pojąć, dlaczego musieliśmy tyle czekać na decyzję króla i po co była potrzebna! Przecież Twierdza nie ma już takich granic, po drugiej stronie nikt nam nie sprawdzi paszportu! A teraz pan nas jeszcze straszy i miesza w głowach tym katalizatorem! Anzelm zmarł przedwczoraj! Pan go nawet nie znał, a to był cudowny człowiek! Chce pan, żebyśmy zaczęli brać w nieskoordynowany sposób skądś tam przeschmuglowany N-Gen niepewnego pochodzenia? – Tu Zofia Murawska zaczęła Renansa szarpać za rękaw i szeptać, że odbiega od tematu, ale starszek nie ustępował: – Bo nie ma dnia, żeby ktoś do nas nie przyszedł i nie oferował niepewnego towaru! Odmawiamy, bo chcemy, żeby wszystko zostało przeprowadzone jak trzeba, bez ryzyka dla społeczności Twierdzy. Najemnikom płacimy, oni znają ryzyko, my jesteśmy w porządku. Tylko dlaczego Twierdza jest wobec nas nie w porządku? Swoje już odpracowaliśmy! Teraz chcemy tylko szansy!

– Dostaliście ją – odparł Orłowski.

– Ale dlaczego tak późno się dowiadujemy o tym katalizatorze?!

Major rozłożył ręce.

– Kapitan Miktus już to tłumaczyła. Rozumiem, że decyzja będzie trudna. Macie na nią cały jutrzejszy dzień...

– Pan żartuje! Kto podejmie decyzję takiej wagi w tak krótkim czasie? Jest nas kilkaset osób, a ostateczne postanowienie musi objąć wszystkich!

Orzeł podrapał się po głowie.

– Szczerze mówiąc, nie zazdroszczę wam, ale sugeruję jak najszybsze rozpoczęcie dyskusji. Z tego, co zrozumiałem, spieszy wam się, prawda?

– Prawda, prawda...

– My wiemy, co robić. Jutro w nocy zdobędziemy dla was lekarstwo. Reszta zależy od was.

Dalsze rozmowy poszły zwykłym polskim torem. Zaczęli się odzywać ci, którzy mieli najmniej do powiedzenia, rozpoczęły się spory, a potem kłótnie o sprawy głównie nieistotne. Orłowski raz jeszcze zapewnił, że następnego dnia naradzi się z wojskowymi i najemnikami co do rajdu na Wilno i że wszystko zostanie przeprowadzone tak szybko, jak to tylko możliwe. Tymczasem pojawił się alkohol – czerwona Muchomorówka i żółty Orkowy Ząb – co jednoznacznie wskazywało, że oficjalna część spotkania dobiegła końca.

Monika Ferens zauważyła, że zarówno najemnicy, jak i ich szefowie szybko zniknęli, pozostawiając kilka wolnych krzeseł, które natychmiast zostały zajęte przez gapiów. Dostrzegła też, że dowódca Orłów jest przygnębiony.

– Mniszka, masz szansę – szepnęła do niej Ania Traut. – Smutny facet to łatwy facet.

– No – potwierdziła siedząca po drugiej stronie Joanna.

– Trzymaj. Dzisiaj upędzony. – Maciuś podał jej flaszkę Łez Engelsa.

Anna Traut odkorkowała butelkę, wlała do niej lubczyku, zakorkowała, potrząsnęła i wręczyła Monice.

– Udanych łowów. A my tu sobie powęszymy. – Uśmiechnęła się promiennie.

– Ty, popa – rzucił ktoś z tłumu. – Ferensowa idzie na łowy.

– No, franca jedna...

A potem rozległ się trzask, odgłos „No co?!” i z cienia wyłonił się Maciuś, rozmasowując pięść.

– Nic, nic – mruknął zadowolony.

Monika wzięła głębszy wdech, wstała, obciągnęła sukienkę na udach i ruszyła na drugą stronę ogniska, gdzie siedział i rozmawiał ze swoimi wojami Orłowski. Szła specjalnie wolno, do taktu gitarowego bluesa, który zaintonował wioskowy didżej Łukasz Góralski, a w którego brzmienie wmieszał się niezwykle niski głos Dalamberta. Ferens wiedziała, co robi. Jej sylwetkę dowódca doceni tylko wtedy, gdy zobaczy ją wcześniej. Jeśli podejdzie bliżej, nie będzie właściwego efektu. Jeden z wojów stuknął szefa w bok i wtedy Orzeł podniósł oczy. A Monika szła, przenosząc ciężar smukłego ciała z biodra na biodro i wyciągając tułów tak, by talia wyglądała na jeszcze szczuplejszą, a piersi na jeszcze bardziej sterczące. Ognisko przeświecało przez jej sukienkę i woje widzieli ją w zasadzie nagą.

– Perunie – chrypnął Mardok.

Kobieta, świecąc białymi zębami, wyciągnęła przed siebie butelkę ze Łzami Engelsa.

– Panie majorze, pan taki smutny. Niedobrze się smucić, gdy gwiazdy świecą, księżyc łśni i Góralski gra bluesa. Mam tu wodę życia. – Odkorkowała butelkę. – Ona da panu siłę i nadzieję.

– Wyciągnęła umięśnione, lecz smukłe ramię do kubka Orłowskiego i nie pytając o zdanie, wlała

Łzy Engelsa zmieszane z lubczykiem. Uśmiechnęła się ponownie i nalała samogonu do kubków ochoczo podstawionych przez Samulę, Mardoka, Raczkiewicza tudzież resztę Orłowej braci, która oczu od pięknej Moniki nie mogła oderwać.

– Ależ ta dziewczyna ma rwanie – skomentowała jej manewry Traut i wysunęła swój kubek do Joanny. – Puknijmy się, Bella.

– Nie beze mnie – zaprotestował Maciuś.

Tymczasem Ferens już rozsiewała swój czar, a członkinie batalionu „Orzeł Biały” patrzyły na swoich chłopaków, jakby widziały ich po raz pierwszy.

– Popatrz, Pawełek – odezwała się Skrzacik do męża, lecz po chwili zorientowała się, że Machaj już stoi przy czarownicy, wyciągając kubek i debilnie się uśmiechając. Był tam milczący zawsze Deckard, byli Podgrudny oraz Wolf i tylko Żmij trzymał się na dystans, i chwala mu za to!

– Ciekawe, czy lepsze to od mojej Orczej Krwi – sapnęła Flaszka, zanurzając pulchne usta w trunku.

– Macie u siebie taki bimber? – spytała Mniszka.

– Sam robię, skarbie – odparł Raczkiewicz, wkładając do gęby cygaro marki Zbyszko i zapalając je zapalniczką z wygrawerowanym kołowrotem.

– Znaczący bratnia dusza. – Monika uśmiechnęła się, zdając sobie sprawę, że Orłowski cały czas na nią patrzy.

– Żebyś wiedziała, kochanie.

– W kwestii formalnej – Fraydey odsunął go – to straszny lowelas, proszę pani. Thomas jestem. Z ju es of ej, ostatni Mohikanin.

– Raczej ostatni pastuszek. – Do towarzystwa wcisnął się sierżant Sebastian Sokołowski, ładowniczy Kocura.

– No proszę, proszę! – Piatkovsky zmierzył go rozbawionym wzrokiem. – Nowy tygrys nam się wylągl!

– Wypraszam sobie – odezwał się stojący nieco dalej Kowalkowski, który rozmawiał z innymi przedstawicielkami miejscowej ludności. – To ja jestem Tygrys.

– Racja. – Thomas skinął głową i odwrócił się z powrotem do Moniki tylko po to, by zobaczyć jej plecy.

– Jestem Monika Ferens. – Kobieta właśnie się witała z Orłowskim, podając mu rękę. – Psycholożka i terapeutka.

– Miejscowa? – spytała Malik siedząca dziwnie blisko dowódcy.

Major podniósł się i uściskał dłoń Mniszki.

– Sergiusz Orłowski. Dowodzę batalionem „Orzeł Biały”.

– Ależ panie majorze, przecież wiem. Wszyscy z Dworczyńska i Uroczyńska to wiemy. Czekaliśmy na was – powiedziała Ferens, zaglądając mu głęboko w oczy.

W tym momencie podniosła się też Anna Podgórska i wyciągnęła do niej rękę.

– Porucznik Podgórska. Miło mi panią poznać. Psychologia to fascynująca dziedzina.

Monika uściskała jej silną dłoń.

– Zgadza się. Pozwala dostrzec wiele rzeczy. – Spojrzała znacząco na motocyklistkę

i Orłowskiego. – Czy w jednym oddziale można tworzyć pary?

W tym momencie woje popatrzyli na Annę i majora. Ich usta otworzyły się w zdziwieniu, a Podgórska, zaczerwieniona, skryła twarz za puklem włosów.

– Jak to?! – Malik patrzyła to na dowódcę, to na Annę.

– Ups – syknął Samul. – To ja może się Rłokieta napiję...

Orłowski nie stracił zimnej krwi.

– Psychologia czasami zawodzi, pani Ferens.

– Mów mi Monika.

– Sergiusz.

– Miło mi, ale bez brudzia nie wypada!

Ułożyła ramię w łuk, zachęciła majora, by splótł rękę z jej ramieniem, i przyciągnęła go do siebie, wypijając spory haust. Orłowski także łyknął, ledwie zaś przełknął mocny jak piekło samogon, usłyszał „Monika”, a potem poczuł sprężyste usta całujące co prawda w policzek, ale zahaczające o jego wargi. Zrobiło mu się gorąco i miękko w kolanach.

– Manewr z brudziem – skomentowała Traut.

– Trafiony zatopiony – stwierdziła Bella.

– Wiecie – powiedział Maciuś – chciałbym być na jego miejscu.

– Zboczeniec – orzekły jednocześnie.

Porucznik Dariusz „Bushi” Ulfing wszedł do tawerny „Ośła Łączka”, głównego przybytku kulturalnego Dworczyńska, bacznie się rozglądając w poszukiwaniu potencjalnych zakapiorów. Byli tam sami miejscowi: dwóch zabijaków przy stoliku, przy barze dwie kobiety i jeden ciężki gość, od razu widać, że stali bywalcy. Kobiety dobrze wróżą. Mniej rywalizują i są bardziej pomocne.

Podszedł do nich, usiadł na wysokim stołku i zamówił piwo Eastern Ghost.

– No proszę – odezwał się do niego ciężki gość. Miał inteligentne, nieco już przymglone piwem spojrzenie, krótko przystrzyżone włosy i bródkę, która z wąsami okalała zmysłowe usta.

– Przyjezdny, a miejscowy browar pije.

– Trzeba próbować egzotyki. – Ulfing uśmiechnął się.

Ciężki gość spojrzał na jego tatuaże.

– Dziewczyny – sapnął – czekitaut. Ładne dziary.

Kobiety były młode i niebrzydkie. Jedna miała krótkie włosy i okulary, druga była blondynką bez okularów, za to z ładnie wykrojonymi ustami.

– O, ładne! – Blondynka zeskoczyła ze stołka, nie wypuszczając szklanki z piwem, i podeszła do Bushiego. Dotknęła jego twardej ręki. – Dalekowschodnie! Kwiaty wiśni!

– Smaczne – orzekła ta w okularach. – Tomcio, umiałbyś takie namalować?

– Ba – sapnął ciężki i pociągnął ze szklanki.

– To Tomasz Maroński – odezwała się długowłosa. – Nasz artysta. Wszystkie szyldy malował.

– No właśnie widziałem, że ten tu jest całkiem ładny – odparł Bushi. – Masz wycucie koloru.

– Dzięki. Tomek. – Ciężki wyciągnął pulchną rękę.

– Bushi – odparł Dariusz, ściskając łopatowatą dłoń.

– Sara. Sara Glanc – przywitała się długowłosa, także wyciągając rękę.

– Marta Kor – powiedziała druga. – Ale kolega nie zdradził imienia. I nazwiska też.
– Konrad Górecki.
– Kłamię – rzucił przez ramię Maroński. – To tajniak przecież jest.
Bushi lekko się skulił, a miejscowy artysta uśmiechnął się.
– Nie bój nic, sami swoi. My tu jesteśmy inteligencja, a tamci – wskazał siedzących za stolikami – to kąkole i chabry. Chwasty.
Kor zachichotała.
– Ta turkaweczka – wskazał ją artysta – to ekolożka. Wiesz, gazy. – Zaśmiał się. – Zimno, ciepło, cośtamcośtam.
– Tomuś, następne piwo za kwadrans – oznajmiła Kor. – Jestem specjalistką od gospodarki odpadami. Twierdza nie może się zaśmiecać.
– Oczywiście – przytaknął Bushi.
– A Sara – Kor wskazała palcem blondynkę – zajmuje się uzdatnianiem wody. Ściekami. Picuś Glancuś ją nazywamy. Kochana jest.
– I wy tak... razem?
– Tomuś ma żonę, to raz, gruby jest, to dwa – odparła Sara.
– Nie gruby, tylko silny. Najpierw masa, potem rzeźba – sprostował Maroński.
Bushi wypił duży łyk piwa i już miał się odezwać, ale ciężki przejął pałeczkę.
– Szukasz gości, co tu niedawno przyjechali czarnym Jeepem, tak?
Zanim zaskoczony porucznik Ulfing otworzył usta, Tomcio ciągnął:
– Cicho, cicho, daj się popisać artyście. Więc przyjechali dzisiaj i zatrzymali się w „Czerwonym Kogucie”, karczmie w Uroczysku. Pińcet metrów stąd. Pokój numer...
Tu Tomasz spojrział pytająco na Sarę i Martę.
– Piętnaście i szesnaście – odparła Sara. – Dwa zajęli. Obok tego Ciecierskiego i Marcinkowskiego. Ciecierski...
– Trzyznaście – wsparła ją Kor. – Ten drugi czternaście. Najlepsze wzięli w całym „Kogucie”.
Bushi patrzył to na kobiety, to na artystę i nic nie rozumiał.
– Ty, on nic nie rozumie – roześmiała się Sara.
– Chłopie, jesteś na wschodzie – szepnął Maroński, nachylił się i owiał Ulfinga piwnym oddechem. – Tu są czaaryyyy...

Bushi wypił piwo do połowy, podziękował trójce za rozmowę, wziął od Marońskiego wizytówkę („Takie szyldy! Przyda się chłop”) i ruszył pieszo, oświetlony tylko światłem księżycy, do migającej światłami karczmy. Po drodze wyciągnął z torby noktowizor, zawiesił go na szyi, dołożył słuchawki do podsłuchu, a laser zamontował na szynie lżejszego od Visa Pogwizda. Gdy podłączał kabel od słuchawek do lasera, zobaczył przed sobą drobną postać.

– To źli ludzie są, proszę pana – szepnęła istota. – Widziałam, jak jeden z nich postraszył psa.
Bushi rozejrział się nerwowo.
– Przepraszam – szepnął – czy to jest jakaś Strefa Zmierzchu? Tu wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich?
– Pan Maroński do mnie zadzwonił – oznajmiła postać.
Gdy Bushi do niej podszedł, stwierdził, że to drobna dziewczyna w skórzanej obroży na szyi.
– Jestem Tesia – oznajmiła, wyciągając drobną rękę. – Pokażę panu, które to okna. Do ich pokoi.

„Na Peruna – pomyślał Bushi – przydaliby mi się tacy agenci. Wszystko szłoby dużo łatwiej”.

– Dobrze, ale bądź cicho, dziewczynko.

– To pan hałasuje, panie tajniaku.

– Pssst! – Bushi położył palec na ustach. – Tego się głośno nie mówi!

– Słyszała to tylko pani Ania.

– Kto, do cholery?

Wtedy z pobliskich chaszczki wychyliła się kolejna istota prowadząca na smyczy dwa psy.

– Pani Ania Sukiennik. Powiedziała, że samej mnie w noc nie puści. To jej piesa pogonił jeden z tych panów.

Do Bushiego podeszła szczupła kobieta o tak jasnych zębach, że widać je było nawet w nocy.

– Bardzo mi miło, pani Aniu – szepnął – ale ja tu prowadzę akcję...

– Wiem, wiem, jest pan cichociemnym z policji i szuka tych paskudników.

– No tak, ale...

– Spokojnie. Moje psy nie szczekają, jak im nie wolno, a ja sama jestem cicha jak myszka.

– My obywatelki jesteśmy – zapewniła Tesia.

– Nom – rozległ się z tyłu męski głos.

Ulfig obejrzał się tylko po to, żeby zobaczyć mroczną postać wyglądającą jak sama śmierć. Gość miał czarną szatę, kaptur na głowie i trzymał opartą o ziemię kosę.

– Chryste, co to jest? – szepnął odruchowo porucznik.

– I popatrz, Tesia – rzucił mężczyzna – a mówią, że duch boży w narodzie upadł. Chrystusa wezwał, słyszałaś?

– Słyszałam, panie Boch.

– Mów do mnie „ojcze”.

– Nie jest pan moim ojcem, panie Boch, tylko księdzem.

– Ksiądz? – syknął zdezorientowany Ulfig.

– Ksiądz też człowiek, panie agencie – zapewnił go Ponury Żniwiarz.

– Ale po co panu kosa?

– Bo mi miecza jeszcze nie przysłali.

– Co?!

– Mniejsza o to. Ruszajmy.

– Ale zaraz! – szepnął zrozpaczony Bushi. – Zaraz! To jest tajna akcja policyjna, a nie pospolite ruszenie!

– My nikomu nie powiemy – zapewniła Sukiennik. – Ani mru-mru.

– Fajne dziary. – Boch wskazał tatuaże Ulfiga. – Ja też mam jedną. Na półdupku. Grzechy młodości.

– A co pan ma? – spytała Tesia.

I tu, jak twierdzą historycy, Adam Boch się zarumienił, ale nikt tego nie spostrzegł, bo jak wiadomo, księżycowe światło zabarwia wszystko na kolor trudny do określenia: taki jakby siny, trochę biały, trochę nijaki. Ale z całą pewnością nie czerwony.

– Może kiedyś ci, Tesiu, powiem.

– Przy piwie?

– Eee... przy piwie.

– Czy możemy już iść? – spytała Anna Sukiennik.

– Ja pier... – zaczął Ulfig, ale ksiądz mu przerwał:

– No, no!

– Dobra, cisza – westchnął cichociemny. – Idziecie za mną. Tesia, pokazujesz okna. Pani Ania zabezpiecza ze swoimi psami obszar od ulicy. Pan ksiądz sprawdza tyły. Wchodzimy na łąkę i idziemy pięćdziesiąt metrów od rowu, tak?

– Tak toćna – rozochocił się ksiądz.

I tak drużyna składająca się z pani z pieskami, tajniaka przebranego za pozera, dziecka w uprząży sado-maso i Ponurego Żniwiarza zaczęła się skradać od drzewa do drzewa i od krzaka do krzaka, dając się oświetlać srebrnym księżycowym blaskiem, gdy przebiegała pod gwiazdzistym niebem.

Nagle Ulfig usłyszał za plecami rumor.

– Sorry, wypier... Przewróciłem się – oznajmił Boch.

– Jak?! – syknął Bushi. – Tu jest równo!

– O kosę się wyje... Kur... jak boli...

– Uderzył się pan? – zatroszczyła się Tesia.

Ulfig wypuścił głośno powietrze.

– Słuchajcie, jeśli chcecie tu założyć lazaret pod wezwaniem Boskiego Miłosierdzia, opatrując rany pana Bocha, to proszę bardzo, ale już mnie nie rozpraszać i nie spowalniajcie, zrozumiano?

Zdaje się, że najlepiej tajniaka zrozumiały Miki i Alba, labradory pani Anny, bo siadłszy w cieniu drzewa, przekrzywiały łby i słuchały policjanta z wielką uwagą.

– Dobrze już się czuję – oznajmił proboszcz.

– Na pewno, Ponury Żniwiarzu? – spytał Bushi.

– He, he, he...

– Cicho, kur...

– No, no!

– Idziemy! Nie przeszkadzać, nie zadawać pytań!

– Tak jest, panie tajniaku! A jak mam się do pana zwracać? – zapytała Tesia.

– Bushi.

– Jak Bushido?

Policjant spojrzał na nią życzliwiej.

– Tak, Tesiu.

– Super.

Ruszyli. Do karczmy, która na szczęście stanowiła zachodni kraniec Uroczyska, więc nie oddzielało ich od niej żadne inne domostwo, mieli jeszcze sto pięćdziesiąt metrów. Gdy pokonali sto, Ulfig uznał, że wystarczy. Położył się w ciepłej trawie i to samo nakazał pozostałym członkom drużyny.

– Ale fajosko – szepnęła Tesia. – Normalnie, jak o tym opowiem...

– Nikomu nie opowiesz – warknął Ulfig. – A teraz gadaj, które to okno.

– To zapalone, proste – oznajmiła Tesia.

– Na pewno?

– Na pewno, panie Bushido.

– Dobra. Panie Boch, osłania mnie pan od tyłu, pani Ania od drogi, a Tesia od przodu, bo będę teraz bardzo skupiony i mało będę słyszał. Rozumiecie?

– Tak – odpowiedzieli.

– Pani Aniu, gdyby ktoś tutaj zmierzał, nie wiem, za potrzebą – wskazał ogniska po drugiej stronie drogi – proszę wyjść z ukrycia i go zagadać.

– Oczywiście, panie Bushi.

Policjant sięgnął po smartfon i podłączył go do laserowego podsłuchu. Włączył nagrywanie, ignorując Tesię, która chciała już skomentować czaderskie oprzyrządowanie cichociemnego, a następnie wycelował broń w okno.

– Nie widzę kropki – szepnęła Tesia, łamiąc obietnicę, że nie będzie się odzywała.

– To laser podczerwony – wyjaśnił Ulfig, zakładając noktowizor. – Tylko ja go widzę. I może psy.

– Chi, chi, to dobrze, że to nie koty – szepnęła Tesia.

– Ciii...

Przyjrzyjmy się teraz dla odmiany podsłuchiwanemu pokojowi. Było to względnie duże pomieszczenie zaopatrzone w dwoje osłoniętych żaluzjami okien i oświetlone dyskretnymi lampami. Posiadało trzy fotele, kanapę, obszerne łóżko w rogu, okrągły stolik, na którym lśniły dwie butelki Szpona, a na ścianach oprawione w złote ramy obrazy, z których rozmawiającym przyglądali się olejem wymalowani ułani i rycerze. Ciecierski przechadzał się po kwaterze, Marcinkowski siedział w jednym z foteli, Włóka stał plecami do okna, a Ramel wygodnie leżał na kanapie.

– Szefie – powiedział Włóka, wychylając szklanekę whisky – poznał mnie jeden z Orłów. Ojciec tego młodego Samula. Mają nas na widelcu.

– Nic, kurwa, nie mają, bo nie zajmują się sprawą nielegalnej sprzedaży broni, ale pielgrzymami – warknął Ciecierski.

– Mimo wszystko ten gość może nam zaszkodzić – nie ustępował Włóka.

– Nieustraszony jest – potwierdził Ramel i wstrząsnął nim dreszcz, gdy uświadomił sobie, z czym już zawsze będzie mu się kojarzyła każda dzwonnica, o atlasie nie wspominając. Aby zatrzeć przerażający obraz, łyknął whisky.

– Może dojdź do tego, ile sprzętu wepchnęliśmy grupie Szczygły – znowu odezwał się Włóka.

– Przecież te wszystkie działka, karabiny i snajperki to grube miliony na oficjalnym rynku! Szefie, trochę mi się dupa marszczy ze strachu. Jeśli oni zaczną węszyć...

Ciecierski westchnął.

– Dobra. Z jakiej on jest formacji?

– Zbrojowiec. Zobaczyłem odznakę – odezwał się po raz pierwszy Marcinkowski, sięgając po leżące na okrągłym stoliku ciastko.

– Iks – rzekł Ciecierski – umiesz sabotować Trojana?

– Nie bardzo. To znaczy piasek w tryby można wrzucić, można coś tam przeciąć, ale jak i kiedy? Pancierz stoi razem z innymi pojazdami.

– To nie jest problem, Iks – stwierdził Ramel. – Położą się spać, warty nie wystawią, bo po co. Zakraść się między wozy zawsze można.

– I co? – spytał Włóka.

– No i nie wiem...

– Umiesz tak zepsuć ten pancierz, żeby zabił Zbrojowca?

– Nie.

– Dobra, da się znać Vasilijowi – sapnął Ciecierski.

– Kestabowi? – dopytał Marcinkowski.

– Tak. Powiem mu, żeby podczas zamieszania, już na terenie Zielonych, strzelił Zbrojowcowi

w łeb. I po sprawie. Nikt się nie dowie. A szczeniaka Włóka będzie umiał trzymać w ryzach. W razie czego też czapa i koniec problemu. Albo i nie „w razie czego”, ale od razu czapa.

Słyszając to, Iks uśmiechnął się paskudnie.

– Dobrze... – Ciecierski potarł czoło. – Pierwsza, drobna sprawa z głowy. Teraz druga. Ten katalizator.

– Nie przewidzieliśmy tego – przyznał Marcinkowski.

– Ale to może i lepiej – rzucił Włóka. – Mniej kasy dla najemników, bo ludzie szybciej zmutują. Ile ci najemnicy sobie życzyli? Po tysiąku za dzień? Sto pięćdziesiąt tysięcy dziennie. Nawet jak to zajmie tydzień, zgarną... ponad milion!

– Panie tajniak. – Anna Sukiennik stuknęła Ulfiga w bok. – Ktoś tu idzie od strony ogniska.

– Zagadaj, nie dopuść.

– Ale co mam robić?

– Nie wiem, do diabła. Nie dopuść go tutaj.

– No bo właśnie on idzie sikać albo coś jeszcze innego zrobić, a to dla niego odpowiedni kierunek...

– Pani...

– Aniu.

Bushi westchnął nerwowo.

– Pani Aniu, wygląda pani na inteligentną osobę, więc z pewnością sobie pani poradzi. – Zerknął nad jej ramieniem i zobaczył zbliżającą się krępą postać. „Do diabła – pomyślał – jesteśmy za blisko drogi!” – Niech się pani pospieszy!

Anna wstała, poprawiła sukienkę i ruszyła w stronę gościa. Upłynęło kilka pełnych napięcia sekund i Bushi usłyszał jej głos.

– O! Pan Dalambert! Jak miło!

– Pani Ania? Tak nocą, bez opieki?

– No już mam pana, panie Maciejku.

– Co racja, to racja.

– Idzie pan w lewo czy w prawo?

– No w zasadzie...

– Czyli w prawo?

– A niech będzie. W „Czerwonym Kogucie” są cywilizowane toalety.

– Za dużo piwa?

– I Muchomorówki, pani Aniu, i Muchomorówki...

Bushi odetchnął i skupił się znowu na rozmowie.

Ramel i Włóka wyszli z pokoju. Ulfig nie wiedział dlaczego, ale domyślił się, że zostali wyproszeni. Wszystko nagrywał, więc w sumie nic się nie stało.

– Przypomnij mi, jaki jest plan, bo teraz, z tym katalizatorem, się pogubiłem – wyznał Marcinkowski.

Ciecierski podszedł do stolika i nalał sobie whisky.

– Pamiętaj, jaki był pierwotny układ?

– No tak. Rajd do Wilna. Jeśli znajdziemy N-Gen, pielgrzymi dostają szprycę, jadą

z najemnikami, zakładają osadę, najemnicy ich osłaniają, wracają, płacimy. Wariant, że zajmie to kilka miesięcy, zakładał, że będziemy musieli wybulić do dwudziestu milionów. Może ciut więcej.

– Zgadza się. Drugi wariant?

– Nie ma N-Genu w Wilnie. Wtedy Vasilij ze swoją grupą robią mistyfikację i udają, że znajdują preparat, w istocie naszą podróbkę. Wszyscy wracają z Wilna, pielgrzymi dostają szprycę fejkę, jadą z najemnikami, zakładają osadę, najemnicy ich osłaniają, a Vasilij ich podtruwa. Pielgrzymi umierają przed mutacją, najemnicy dziwią się, ale wiadomo, wszyscy byli starzy i schorowani, więc nasi chłopcy wracają najpóźniej po trzech miesiącach. Oszczędzamy dychę, chociaż sprawa dla wielu może śmierdzieć, dlatego Vasilij ma za zadanie sprzątać najbardziej dociekliwych i uczciwych, w tym Szczygłę, Rusałkę i Kuciapa, żeby nie węszyli.

– Zgadza się. Katalizator spadł nam z nieba. Teraz wszystko będzie wyglądać klarowniej.

– To znaczy?

Ciecierski nachylił się nad Marcinkowskim.

– Godryk.

– Tak mówią do mnie tylko przyjaciele. My tu robimy biznes, Norbert.

– Okej. Zatem Tomasz...

– Tak już lepiej.

– Posłuchaj mnie. Wariant pierwszy: w Wilnie jest N-Gen. Pielgrzymi dostają szprycę plus katalizator N. Jadą, zakładają osadę, szybko mutują. Po tygodniu, jak mówiła ta lekarka, najemnicy wracają. Oszczędzamy kupę kasy, płacimy.

– No tak.

– Teraz wariant drugi: N-Genu nie ma w Wilnie. Vasilij udaje, że go znajduje, pokazuje podróbkę. Wracają, dają pielgrzymom placebo plus katalizator. Jadą do Zielonych, zakładają osadę i...

– Vasilij wszystkich truje, a zawinił katalizator. Znowu oszczędzamy. – Marcinkowski uśmiechnął się.

– Dokładnie. A oszczędność to niebagatelna, bo po podziale na połowę...

– Ej, ej, nie zapędzaj się – rzekł Godryk. – Przypominam ci, że forszę na pierwsze łapówki dałem ja. Nie byle jaką forszę. Po wszystkim będziemy mieli na czysto ze sto czterdzieści milionów i uzgodniliśmy, że ja biorę sto, a ty czterdzieści. Wystarczy ci na luksusowe życie do jego końca, choćby zielonego! – Zarechotał.

Ciecierski przez chwilę milczał, a potem szepnął:

– Dzięki, łaskawco.

– Proszę bardzo.

Wyciągnęli szklaneczki i szkło stuknęło o szkło.

Bushi zdjął słuchawki. Wiedział już wszystko, dużo więcej, niż zamierzał się dowiedzieć, i teraz musiał pozbierać myśli.

– No i co, panie tajniak? – spytała Tesia. – Bo pan strasznie długo słuchał, a mi zimno zaczyna się robić...

– Nom – potwierdził ksiądz Boch zza pleców Ulfiga. – A tam, daleko w polu, coś się poruszyło. Duchy złe z Uroczyska.

– Gówna tam – mruknął porucznik.

– Słucham?

– Nic, nic, nie ma duchów, panie ksiądz.

– Ja tam wiem swoje. Egzorcyzmy się odprawiało.

– Pewnie przez kilka lat nad jedną osobą?

– Skąd pan wie?

– Egzorcyzmy są nieskuteczne, dlatego tak długo trwają.

– Szczerze mówiąc, nie wpadło mi to do głowy – przyznał proboszcz.

– No to teraz już wpadło.

Do Tesi, Ulfiga i Bocha podkradła się Sukiennik.

– Jestem. Odprawiłam Dalamberta, chociaż jakby się przystawiał...

– Pan Dalambert? Przecież on ma z osiemdziesiąt lat! – zdziwiła się Tesia.

– Dziecko, nic jeszcze nie wiesz o mężczyznach.

– No dobrze. – Bushi podniósł się z trawy, zwinął kable, rozmontował pistolet i wsadził noktowizor do torby. – Czynności służbowe zakończone, teraz muszę pobyć sam, więc rozumiecie... Dziękuję za asystę i ku chwale Twierdzy.

Tesia spojrzała uważnie na cichociemnego.

– Pan to powiedział bez wiary.

– Sarkastycznie – przyznał Boch.

– Nawet moje pieski się zdziwiły – stwierdziła Anna.

Bushi przypomniał sobie szept Marońskiego: „Tu są czaaaryyy”, i przełknął ślinę. Tubylcy są telepatami? Przełknął ślinę.

– Jestem zmęczony, to raz, mam do sporządzenia raport, to dwa, więc musimy się rozstać.

– Na pewno, panie Bushi? – spytała Tesia.

– Na pewno. – Wskazał drugą stronę drogi. – Zobaczcie, zabawa trwa w najlepsze, płoną ogniska, nowi woje są w wioskach i mają mnóstwo opowieści.

Anna Sukiennik uśmiechnęła się nieśmiało.

– Ma pan rację, panie oficerze.

– A skąd pani wie, że „oficerze”?

– To oczywiście, proszę pana. Psy mi powiedziały. Tak czy owak, Tesiu – kobieta spojrzała na dziewczynkę – panie Boch...

– Tak, tak – rzekł Ponury Żniwiarz. – Tylko pójdę w cieniu, bo ktoś się mnie z tą kosą przestraszy.

– Dobrze, że pan nie wziął tej swojej piły łańcuchowej – roześmiała się Tesia.

– Jak to nie wziął? – Boch wysunął spod szaty fragment przewodnicy.

– O Boże – stęknęła Sukiennik.

– O! I właśnie o bojaźń bożą chodzi.

Wymienili jeszcze parę zdań i porucznik Dariusz Ulfig został w końcu sam. Nie wychodził ku światłom i ogniskom. Wciąż stał w mroku, kołysząc się na wietrze niczym gałąź wierzby płaczącej. Odkrył wreszcie najważniejsze źródło handlu bronią. Prywatna armia Ciecierskiego i Marcinkowskiego, stu pięćdziesięciu ludzi zaopatrzonych w doskonały i tani sprzęt. Bingo! Awans, nagroda, wpis, kariera stoi otworem. Ulfig spojrzał na księżyc, a ten jakby się do niego uśmiechnął.

Lecz w jego głowie pojawiła się też druga myśl. Snuła się niczym zatruty obłok przysłaniający

sinym meandrem czystą twarz naturalnego satelity Ziemi. Sto. Czterdzieści. Milionów. Złotych. Polskich. Matko Dażboga. Już trzy miliony wystarczały, żeby żyć dostatnio po kres swoich dni. A oni mieli ich blisko pięćdziesiąt razy więcej. Gdyby uszczknąć z tego choć odrobinę... Ulfig zerknął na smartfon, na który nagrał całą rozmowę. A gdyby ich zaszantażować? Ma dowód handlu bronią, ma dowód zamiaru popełnienia wielokrotnej zbrodni, ma potężny lewar. Musieliby ustąpić. On musiałby odejść z policji, zmienić personalia, przez jakiś czas żyć skromnie. Ale potem... Rany Swaroga. Wielki dom, lepszy motocykl, fajniejsze giwery. Mógłby zająć się łowieniem ryb, zbieraniem japońskich pamiątek, urządzić specjalny pokój na miecze i broje. Trzy melony to za mało. Zażąda pięciu. Nie, dziesięciu! Ale zaraz... musi mieć inne konto bankowe. I to musi się stać tej nocy.

Nie bardzo wiedząc jeszcze, co robi, będąc wciąż po jasnej stronie mocy, Ulfig przysiadł w trawie, uruchomił smartfon i trzęsącymi się palcami założył nowe konto w Banku Polskim. Dwa razy się pomylił podczas wpisywania danych, ale wreszcie zakończył operację. Miał konto. Skopiował jego numer do schowka i zapisał w notatniku. Podczas rozmowy z Ciecierskim i Marcinkowskim będzie mógł im tylko pokazać ekran, oni przeleją pieniądze jeszcze tej nocy, a rano nie będzie go już w Uroczysku. Pojedzie do Warszawy, do Poznania, pokreśli się po Twierdzy, porobi trochę fałszywych raportów, wróci, przyzna się do porażki. „Nic strasznego, Ulfig – powiedzą mu. – To się zdarza. Tu masz kolejną sprawę...”

Tak, musi do nich iść teraz, kuć żelazo póki gorące.

Zawahał się.

„Co się z tobą stało, Bushi? Jeśli tam pójdziesz i ich zaszantażujesz, zgodzisz się na to, by ci starcy zginęli, jeśli N-Genu nie będzie w Wilnie. Ale oni i tak są martwi. Jeśli nie umrą jako ludzie, staną się orkami, a to jak śmierć. Po co ci wyrzuty sumienia, Darek? Ale Zbrojowiec, on zginie. Et, woje giną na wojnie, Swaróg kule nosi. Skorzystaj z okazji! Jest tylu malwersantów w Twierdzy! Naprawdę chcesz żyć uczciwie?”

Porucznik westchnął ciężko.

„Cholera. Raz się ubrudzę i do końca już będę brudny... Ale nikt się nie dowie! Ja się dowiem – odparła druga część duszy. – Ja będę wiedział. Będę siedział w tym moim pięknym, nowym domu z japońską kolekcją i co? Nie zaproszę kolegów, bo będę się bał pytać: »Bushi, skąd ty masz na to wszystko? Dlaczego odszedłeś z policji?«. Będę musiał zmienić środowisko... Ale ty, Ulfig, i tak jesteś sam. Od lat. Co za różnica? Rzuć te małostkowe rozważania! Pięć milionów jest na wyciągnięcie ręki! Albo i dziesięć! Powiedz im, że nagranie rozmowy jest już na twoim serwerze w centrali i w razie twojej śmierci zostanie odtworzone! Kupią to! Jesteś kryty! Idź tam!”

Ulfig wykonał pierwszy krok. Zatrzymał się.

„Cholera, jednak ten Zbrojowiec.

Na wojnie wszystko może się wydarzyć, przecież będą na Litwie.

Ale może go ostrzeżę. Tylko nie powiem wszystkiego. Tak, ostrzeżę go. Po prostu”.

I tak pocieszony, porucznik ruszył znowu, przyspieszył, a wreszcie zaczął biec. Od kręgu światła, jaki rzuciła lampa przy wejściu do „Czerwonego Koguta”, dzieliło go niecałe pięć kroków, gdy jakaś silna ręka złapała go za bark i cofnęła w mrok.

Ulfig odwrócił się wściekły, by zobaczyć smukłego woja, na którego czole szczyrzył kły noktowizor.

– Stój, idioto! – syknął żołnierz. – Chcesz ich teraz aresztować? Zrobimy to rano!

Ulfig przełknął ślinę i dał się zaciągnąć drobnemu, ale monstrualnie silnemu człowiekowi

głębiej w mrok.

– Kim. Pan. Jest? – spytał przez zaciśnięte gardło.

– Sierżant Tycjan Gucwa. Mów mi Góral.

– Bardzo... mi miło. Porucznik Dariusz Ulfig, cichociemny.

– Wiem.

„Skąd tu, kurwa, wszyscy wszystko wiedzą?!” – pomyślał zrozpaczony policjant.

No właśnie. Skąd Góral wiedział? Cóż, żeby to zrozumieć, trzeba jak zwykle cofnąć nieco kamerę historii i przesunąć ją nad ognisko, przy którym odbywała się debata między Orłami, pielgrzymami, najemnikami i wojami z innych batalionów. W jednostce Grunmorów nauczono Tycjana patrzeć szeroko i daleko. I zwracać uwagę na podejrzane gesty. Podejrzana była reakcja Ciecierskiego na wieść o katalizatorze, jak również dość szybkie zniknięcie jego ferajny. Sierżant nie miał wątpliwości, że chcą coś omówić, a skoro tak, stwierdził, że warto by się temu przyjrzeć. Wkrótce po tym, jak odeszli, Góral także wymknął się z imprezy, wyciągnął z Lubawy saperkę, broń i noktowizor, po czym zniknął w mroku. Przebiegł przez ulicę i pognął głęboko w pola, po czym wykopał dół na tyle duży, żeby się w nim położyć. Ustawił się tak, by widzieć okna zarówno od południowej, jak i od zachodniej strony „Czerwonego Koguta”, wycelował swój podczerwony laser w rozświetlone południowe okna i wykluczając pomieszczenia, w których nie mieszkali ludzie Ciecierskiego i Marcinkowskiego, wkrótce odnalazł właściwe lokum.

A potem usłyszał szmer po lewej i dostrzegł dziwaczną grupę fantasy składającą się z długowłosego motocyklisty, dziecka, kobiety z psami i Ponurego Żniwiarza. Jego zdziwienie było jeszcze większe, gdy zobaczył, że grupa ta kładzie się na trawie, a na zachodnim oknie podsłuchiwanego przez niego pokoju pojawia się podczerwona plamka!

– Ożeż ty! – mruknął Góral, zerknął jeszcze raz w stronę grupy i upewnił się, że tajniak nie widzi południowej strony budynku, a więc i plamki generowanej przez jego laser. – Tylko dlaczego w tak dziwnej kompanii?

Resztę już znamy. Gucwa wysłuchał tej samej rozmowy i wiedział mniej więcej to samo, co Ulfig. Co prawda nie orientował się w kwestii handlu bronią, za to to doskonale pojął, że zarówno życie Samuła, jak i pielgrzymów jest zagrożone.

Wciąż trzymając Ulfiga w cieniu, przekazał mu w skrócie przebieg swoich działań i pokazał własny pancerny smartfon, na który nagrał rozmowę.

– Mamy dwie kopie. – Uśmiechnął się.

A w duszy Bushiego coś zawyło, bo właśnie zdał sobie sprawę, że piękny dom i japońska kolekcja ulatują w dal. Czekają go żmudne pięcie się po szczeblach kariery, drobne nagrody i tak dalej. Na Peruna, jakże miło było pomarzyć!

Tymczasem zabawa przy ogniskach się rozkręcała, a Monika Ferens z precyzją lasera realizowała swój plan. Tej nocy major Orłowski musi być jej. Musi. Wszyscy już byli wstawieni i rozochoceni, nie licząc letników oczywiście, bo oni mieli własne zmartwienia, których Monika im nie zazdrościła, ale postanowiła nie psuć sobie wieczoru nadmierną empatią. U pielgrzymów

na szczęście zdrowie już było nie to i szybko ulotnili się z imprezy, by dywagować i zamartwiać się we własnym obozowisku.

Dwie harpie – Malik, jak się dowiedziała Mniszka, i Anna – cały czas pilnowały Orłowskiego, a i reszta batalionu zerkała to na niego, to na nią, kontrolując sytuację, ale Monika już dawno się nauczyła, że odwaga połączona z bezczelnością daje najlepsze efekty.

– Za ciepło tutaj, przy ognisku, nie sądzi pan, majorze? – powiedziała. – Co pan powie na małą przechadzkę po Uroczysku? Pokażę panu wszystkie... kąty.

Uśmiechnęła się promiennie, udając, że nie słyszy „Mmmm!” wydanego przez męską część batalionu. Major rozejrzał się, przyjrzał twarzom kobiet i mężczyzn, po czym odparł:

– Chętnie się przejdę, pani Ferens.

– Och, proszę mówić do mnie po imieniu, jesteśmy po brudziu.

– Zapomniałem.

– Proszę tego nie robić.

– Spacer to świetny pomysł – odezwała się Malik, wstając ze składanego krzeselka. – Chodźmy wszyscy!

– O, rozprostuję kości, nie powiem – mlasnęła Flaszka, także się podnosząc.

– Ja też – oznajmił Jastrząb, zerkając na Podgórską.

– Nie zostawię cię, Jastrząb, samego – oświadczyła motocyklistka.

– Dziękuję.

– No to i ja – zadeklarował się Wiesio Krawczyk, patrząc to na tyłek Anny, to na pośladki Moniki.

I tak oto na spacer poszła połowa batalionu, ku zaskoczeniu Moniki oczywiście, bo takiego scenariusza nie przewidziała. „Cholera jasna!” A już miała powiedzieć, że jest chłodno, i ten major z pewnością otoczyłby ją ramieniem, a poczuwszy gibkość jej ciała, nie mógłby się oprzeć! „Cholera, cholera, cholera! Za szybko zaatakowałam, powinnam była poczekać. Ale to nic, to nic”. Monika dobrze знаła dynamikę nocnych spotkań. Najpierw ludzie są rozochoceni, ale potem zaczynają podsypiać i wreszcie część się wykrusza. Zostają najdzielniejsi i ci wygrywają, bo dzięki wytrwałości dostają to, czego pragną. „Pierwsza runda jest wasza – pomyślała – ale major zobaczył już moje wdzięki i wypił lubczyk. Nie wyrwie mi się, nie wyrwie...”

Szli na wschód wzdłuż drogi numer szesnaście, mijając zamknięte już sklepy i uspione domostwa. Monika starała się wykorzystać mrok, by dotknąć majora a to biodrem, a to ramieniem, a to piersią, gdy nachylała się, by dolać komuś Łez Engelsa, których rozlewała trzecią już butelkę troskliwie doniesioną przez Maciusia. Wreszcie opracowała plan. Dotrą do figury Świętowida na skraju wioski, tam opowie, jakie zioła można zbierać o tej porze roku i dlaczego w pobliżu posągu, robi się magicznie i romantycznie. Potem wrócą do ogniska i poprosi Góralskiego, żeby zagrał coś do tańca. Nie puści ręki majora, przytuli go i koniec pieśni. Musi być jej!

Jednak nie dane im było dotrzeć do posągu, bo nagle usłyszeli za sobą szybkie kroki. Odwrócili się i ujrzeni Górala biegnącego u boku drobnego, długowłosego motocyklisty.

– Panie majorze! – syknął POŁOM.

– Tak, sierżancie?

– Ważna sprawa.

– Bardzo ważna?

– Bardzo. Musi nas pan wysłuchać.

– A ten pan to...?

Ulfig przyjrzał się zgromadzonym na chodniku ludziom. Za dużo i trochę cywili.

– Konrad Górecki, panie majorze. Przyjezdny – oświadczył.

– No i świetnie, ale co to ma...

– Panie majorze, bardzo proszę – przerwał mu Grunmor. – Na osobności. I być może przyda się też – spojrzał na Szamana – major Siekierzyński.

I tak Monika Ferens pożegnała się z majorem Orłowskim, obiecując jednak sobie, że jeszcze tej nocy zawalczy o niego, bo przecież chyba pojawi się znowu przy ognisku!

Tymczasem Szaman, Orzeł, Góral i Ulfig zamknęli się w Turze, po czym POŁOM i policjant, który wreszcie mógł się przedstawić, opisali ze szczegółami, czego się dowiedzieli, podsłuchując kwaterę Ciecierskiego i Marcinkowskiego.

– No to się narobiło – skomentował Szaman, gdy skończyli.

– Co teraz? – spytał Orłowski. – Aresztować z rana? Doprowadzić do konfrontacji między Wasilijem a resztą najemników?

– Wiesz co, Serż – odezwał się Siekierzyński – jeśli wezwiemy policję w sprawie zamiaru popełnienia morderstwa czy żandarmerię w kwestii nielegalnego handlu bronią, utniemy za wiele rzeczy naraz.

– Czyli?

– Najemnicy nie pojadą z nami do Wilna ani nie założą osady „Zet”.

– Bo?

– Bo ich gaża rozplynie się za kratkami. Wciąż nie dostali forsy, słyszałeś.

– Czy nam zależy na ich pieniądzach?

– Tak, bo bez nich sami będziemy musieli osłaniać osadę, a na to się nikt nie pisał. Jeśli się zdradzimy z tym, że znamy zamiary Ciecierskiego, Marcinkowskiego i Wasilija...

– Właśnie. Czy on już dostał instrukcje?

– Pewnie nie. Otrzyma je rano. Tak czy owak, jeśli się zdradzimy, najemnicy nie dostaną forsy. Oni muszą otrzymać chociaż obiecaną połowę, tak będzie uczciwie.

– A więc co radzisz?

– Jutro robimy naradę, jakby nigdy nic. W jej trakcie zmuszamy Ciecierskiego i Marcinkowskiego, żeby zapłacili najemnikom tyle, ile obiecali.

– Jak ich zmusimy?

– Bo ja wiem? Rzucimy, że urząd skarbowy interesuje się cukiernią Godryka?

– Dlaczego skarbowka?

Szaman uśmiechnął się z wyższością.

– Serż, nie zauważyłeś, jak on ochoczo rozdaje pączki?

– Po prostu dusza człowiek.

Artylerzysta prychnął.

– Jeśli handluje bronią i robi takie biznesy, to ta cukiernia i pewnie jeszcze kilka finansowych aplikacji to occulta cosa nostra.

– Witek. – Orłowski zrobił kwaśną minę.

– Hm?

– Jaśniej, proszę.

– A, przepraszam. Kiedy się zagalopowałem?

- Mówiłeś, że ta cukiernia to...
- Zwyczajna pralnia pieniędzy. Pralnia. Rozumiesz, Serż?
- Teraz rozumiem. I co dalej?
- Jedziemy do Wilna. Zaraz za granicą demaskujemy Vasilija i informujemy, że jeśli nie przejdzie na naszą stronę, zostanie oskarżony o usiłowanie zabójstwa. Wielokrotne. Złamie się. Zgarniamy N-Gen, jeśli oczywiście tam jest. Wracamy z Vasilijem, który gra w naszą grę. Najemnicy, wiedząc, kim jest Vasilij, jadą z pielgrzymami i robią swoją robotę najlepiej, jak potrafią. A my nadzorujemy to dronem. Najemnicy wracają i dostają wypłatę, żandarmeria zajmuje się bronią, policja zaś usiłowaniem zabójstwa. Vasilij za współpracę dostaje mniej, Ciecierski i Marcinkowski więcej.
- A Włóka i Ramel?
- Coś tam dostaną, nie znam się na prawie.
- A jeśli nie będzie N-Genu w Wilnie?
- Szaman rozłożył ręce.
- Po sprawie.
- Rozumiem. – Orłowski spojrział bystrzej na Siekierzyńskiego. – Dlaczego tak walczysz o te pieniądze dla najemników?
- Artylerzysta pokiwał głową.
- Bez najemników pielgrzymi nie mają szans. A najemnicy nie pójda na rzeź za darmo. Poza tym mieliśmy ich obserwować, tak? Jak to zrobimy, jeśli pojadą do domu?
- Muszę ci to powiedzieć, Witek. Jesteś genialny.
- Dlatego wziąłeś mnie do batalionu. – Szaman wyszczerzył zęby.

Biedna Monika „Mniszka” Ferens długo jeszcze krążyła wokół ognisk, szukając majora Orłowskiego, ale sprawa z motocyklistą musiała wytrącić go z równowagi, bo zaraz po wyjściu z pojazdu dowodzenia zniknął gdzieś i już się nie pojawił. Krążyło jednak wokół Mniszki mnóstwo absztyfikantów, najbardziej zaś plutonowy Wiesław Krawczyk, wysoki, barczysty i o niebo przystojniejszy od Orłowskiego. Krążył i krążył, Monika w końcu opadła z sił i cóż...

Podobno, tak twierdzą historycy, wśród których zdania są jak zwykle podzielone, jeden z Orłów... wylądował. A czy był to Wiesiu zwany Młotkiem? Ciemno było, wszyscy po alkoholu... twardych dowodów brak.

Rano, zgodnie z ustaleniami, doszło do spotkania szefostwa najemników z batalionem „Orzeł Biały” i naczalstwem batalionu „Krzemienna Pięść” w osobach majora Mieczysława „Kuli” Białego i jego dwóch adiutantów: sierżanta Jakuba „Szabli” Pokojkiego oraz sierżanta Tomasza „Visty” Rawińskiego. Całość moderował pułkownik Adam Jarmuła trzymający u boku kapitana Adama Cegielskiego.

Chociaż Orłowski miał w głowie cały plan, a manewr dotarcia do wileńskiego szpitala klinicznego przy ulicy Antakalnio każdy kierowca batalionu opanował już jakiś czas temu, wolał usłyszeć opinię miejscowych, jak należy to zrobić. Po pierwsze, mogli wiedzieć coś, czego on nie wiedział, a po drugie, nie chciał wyjść na wszystkowiedzącego bufona.

– Jedziemy szesnastką, A czwórką, potem A jedyneką – mówił Kula, wodząc po mapie grubym palcem. – Tuż przed rzeką skręcamy w prawo, w Goštauto, i wzdłuż Wilii jedziemy aż do

szpitala. W ten sposób nie przekroczymy ani jednego mostu. Można by spróbować nie jechać przez miasto i albo okrążyć je od północnego zachodu, ale to się wiąże z dwukrotną jazdą przez mosty, albo od południowego wschodu, ale tam jest sporo lasów, a Zieleni lasy lubią.

Orłowski pokiwał głową. Miał taki sam plan.

– Będziemy stanowić potężną siłę odstraszącą, więc nie powinno być niespodzianek. Będą raczej spieprzać, niż nas zaczepiać – ciągnął Kula. – Stary manewr jankesów z Iraku, pamięta pan, majorze? – Spojrzał na Orłowskiego, a potem na Siekierzyńskiego, zdawszy sobie sprawę, że obaj mają ten stopień. – Wchodzili na terytorium wroga, zakładali placówkę i machali flagą: „Tu jesteście! Chodźcie!”. My zrobimy tak samo, tyle że nikt nie podejdzie.

– Irakijczycy byli naprani i podjeżdżali – zaproponował Szaman. – Nawet na motorowerach, uzbrojeni w AK i bazookę.

Major Biały roześmiał się w głos.

– No to będziemy mieli coś podobnego! Napranych Zielonych! Ale bez motorowerów!

– Niech pan kontynuuje, majorze – zachęcił go Orłowski.

– Tuż przed kompleksem skręcamy w prawo, w Kliniki, i zaraz w lewo, żeby dostać się między budynki. Tu stajemy i zaczynają się schody, bo mamy do czynienia z trzema budynkami: uniwersytetem, to ten w kształcie litery U na lewo, z kliniką psychiatryczną na północ i szpitalem klinicznym na wschód. Rozdzielamy się na trzy oddziały. Pański batalion, majorze, bierze uniwersytet, my psychiatrów, najemnicy, jako największa siła, penetrują najpotężniejszy budynek, czyli szpital kliniczny. Nie wiemy, gdzie może się znajdować N-Gen. Według naszych analiz to powinny być albo pomieszczenia laboratoryjne na uniwersytecie, w północnym jego skrzydle, albo kliniczna apteka w szpitalu. W ostateczności laboratoria w psychiatryku, co wcale nie jest takie głupie. – Kula spojrział na zgromadzonych dookoła mapy. – Psychiatryki mają najmocniejsze zamki, najwięcej krat i najlepiej zabezpieczone pokoje. Gdybym był lekarzem i starał się podczas Kolapsu zabezpieczyć lekarstwa, zamknąłbym je w psychiatryku. Przykre miejsce, kojarzące się z więzieniem i tak dalej...

– Dlatego to wy bierzecie ten obiekt? – spytał Szczygło żując miętową gumę Lolek.

– Tak – odparł szczerze Kula, a słuchający go Szabla i Vista wyszczerzyli zęby. – Bierzemy go też dlatego, że jest najmniejszy, a „Krzemienna Pięść” to nie armia Orłów wyposażona w super-duper najnowsze sprzęty ze stolicy czy hałaśliwa, niezorganizowana hałastrą najemników. Paniał?

– Paniał, major.

– No.

Orłowski przyjrzał się lepiej majorowi Białemu. Był duży w każdym wymiarze. Miał grube ramiona, beczkowaty tułów, kolumnowate nogi i kark. Tylko głowa wydawała się śmiesznie mała, niczym piłka golfowa ulokowana na szczycie bałwana. Plotka głosiła, że Kula wziął N-Gen i jest jedynym człowiekiem, na którego lek zadziałał poprawnie. W plotce musiało być sporo prawdy, bo podobno jego tkanki były stale badane przez naukowców pałacu, a szybkość regeneracji ciała majora była legendarna. Znali go niektórzy POLOM-i, gdyż razem z nimi służył, ale potem został oddelegowany do ochrony pogranicza, rzekomo z powodu burd, jakie urządzał, i ogólnie nadmiernie agresywnego temperamentu. Siła fizyczna oraz krewkość dowódcy „Krzemiennej Pięści” spowodowały, że zmodyfikował skład swojego batalionu i, podobnie jak Szabla oraz Vista, walczył w Trojanie. Dopóki Orłowski tylko o tym słyszał, trochę się dziwił. Teraz, widząc tych trzech niedźwiedzi, przestał się dziwić. Gdy Kula spojrział na Szczygłę, a Szabla oraz Vista podążyli za jego wzrokiem, najemnik, przecież nie ułomek

i wsparty przez potężnego Kuciapa tudzież zadzierzystą Rusałkę, zrobił się nagle jakiś mikry.

– My – podjął Kula – zabezpieczamy kwadranty północno-wschodni i północno-zachodni, Orły zachód, południowy zachód i południe, najemnicy południowy wschód i wschód. Poradzisz sobie, Sowa? – Major znowu spojrzał na brodacza.

– Poradzę.

– Pytam, czy poradzisz sobie z ludźmi.

– Poradzę, mówię.

Kula uśmiechnął się, jakby szukał czegoś uszczypliwego pod adresem Szczygły, a potem spojrzał z tym samym uśmiechem na Orłowskiego. Ale mówił do najemnika.

– Rozumiesz, Sówka, możecie mieć fajny sprzęt i bajeranckie pancerze, możecie mieć tatuaże i skóry, możecie robić nie wiadomo jak bohaterские miny i pozować do selfików, ale tam, na terytorium Zielonych, liczyć się będzie profesjonalizm. Nasze życie będzie zależało od waszej koncentracji. Więc pytam raz jeszcze: Dasz, kurwa, radę?

Kula podniósł drobne oczka na Szczygłę. Już się nie uśmiechał. Orłowski pomyślał, że nie chciałby, aby major Biały kiedykolwiek tak na niego spojrzał.

– Dam – odparł cicho Szczygło, patrząc Kuli prosto w oczy.

– No – mlasnął major, składając mapę. – Ode mnie wszystko.

Zerknął na pułkownika Jarmułę, a ten skinął głową.

– Jest pomysł – odezwał się cicho Szczygło i spojrzał nieśmiało na Orłowskiego.

– Tak?

– Żebyśmy podrzucili wam przewodniczkę. Na szpicę. Mamy taką jedną, co świetnie zna Litwę i Wilno. Monika Wuwer. Co pan myśli, majorze? Krzemienni nie potrzebują, a wam się przyda...

Sergiusz spojrzał na Kulę, a potem na dowódcę najemników.

– Dobry pomysł, panie Łukaszu. Pojedzie w Swarogu. Nie ma klaustrofobii?

– Kicia? Skąd!

– Nazywa się Kicia? Ta pani... Monika?

– No tak.

– A to historia. – Orłowski uśmiechnął się, a potem westchnął, wstał i zatarł ręce. – To co? Może zobaczymy – uklonił się w stronę Jarmuły i Kuli – sprzęt najemników? Szczerze mówiąc, nie miałem jeszcze czasu się przyjrzeć.

– Proszę bardzo. – Szczygło wyszczerzył kły. – Może wtedy major Biały przestanie wątpić w nasze... – I wykonał nieokreślony gest.

Przeszli kilka kroków i zanurzyli się w labirynt wozów, a w tym czasie dołączyła do nich reszta Orłów i kilku wojów z Pięści. Było tam wszystko oprócz regularnych armijnych pojazdów: opancerzone samochody terenowe, głównie pick-upy z zamontowanymi na pakach działkami, przerobione furgonetki z podwójnymi punktami ogniowymi po bokach korpusów, ciężarówki zamienione w jeżdżące fortece, które w podwójnie zbrojonych blachach kontenerów miały szczeliny strzeleckie, i mnóstwo mniejszych wozów z przerobionymi dachami, maskami i bagażnikami, a wszystkie najeżone ciężkimi i lżejszymi stanowiskami ogniowymi, osłonięte dodatkowymi blachami i kratownicami. Samochody miały podniesione zawieszania, poszerzone rozstawy szerszych od standardowych opon, a do karoserii większości z nich dospawano kolce z kątowników, na wypadek gdyby jakiś ork wpadł na pomysł wykonania skoku na pojazd.

– To jest dobry pomysł – pochwalił Orłowski. – Przydałyby się w Niemczech. I byłoby się o co zaprzeć w Dreźnie.

– Prawda – potwierdził Flaszka.

– Dlaczego nasi projektanci na to nie wpadli? – zapytała Zdzira.
Orłowski wskazał palcem Kubalę i Zguda.

– Zapiszcie to w kwestii „Dlaczego ludzie wolą być najemnikami niż regularnymi żołnierzami”.

Szczygło, Kuciap i Rusałka roześmiali się.

– Robicie takie badania? – spytał Sowa.

– Robimy.

– To nie lepiej zapytać?

Orłowski zamrugął.

– Właśnie pytamy.

Sowa skrzyżował ręce na piersi, wyraźnie odzyskawszy rezon.

– Po pierwsze, my sobie nie salutujemy z musu, a szacunek okazujemy, jak ktoś zasłuży. Po drugie, jesteśmy zindywidualizowani, więc każdy ma taki mundur, jaki chce mieć. Po trzecie, sami wyznaczamy sobie czas na różne czynności. Po czwarte, bronimy Twierdzy, bo chcemy, i robimy to tak, jak chcemy, a nie dlatego, że ktoś nam nakazał.

– Ale wszystko bez zobowiązań? – warknęła Kawa, której wypowiedź Szczygły nie przypadła do gustu.

– Moja matka – odezwała się stojąca obok niej Tylda – uratowała generała Woźniaka i jego ochroniarza podczas bitwy pod Cybinką. Nakryła własnym ciałem granat. Zrobiła to, bo tak wybrała. Bez wahania. Potrafiłbyś to zrobić, najemniku?

Szczygło popatrzył poważnie na młodą wojowniczkę.

– Nie wiem, pani sierżant. I gratuluję walecznej mamy. Pan major pytał, odpowiadam. Nie chcę okazywać braku szacunku.

– Okazałeś – szczeknęła Tylda. – Rozkazy muszą być. Wydają je ci, którzy widzą sytuację z większej odleg...

– Nie jesteśmy tu – uciął dyskusję Orłowski – by mówić, ale by słuchać i się uczyć. Niech pan kontynuuje, panie Szczygło.

– Sami zdobimy pojazdy. Wszystkie usprawnienia są na naszą odpowiedzialność.

– A nie brak wam szkolenia?

Szczygło podrapał się w głowę.

– No ze szkoleniem to fakt. Umiemy strzelać, nawet dynamicznie. Ale szkolenie z pracy zespołowej to co innego. Tu armia nas wyprzedza.

– Ej – mruknął Kuciap.

– Mówię, jak jest.

– Mówi, jak jest – przyznała Rusałka.

– I nie przeszkadza wam to? – spytał Orłowski, zerkając na Kubalę i Zguda, którzy pilnie notowali.

Szczygło westchnął.

– Trochę jest tak, jak mówi major Biały. Szpanujemy, kręcimy się przy granicach, czasami dostaniemy zlecenie ochrony jakiejś wsi albo zrobimy wypad, żeby poszabrować na terenie wroga. – Dostrzegł karcący wzrok Rusałki. – No mówię, jak jest – wytłumaczył się. – Ale dużych operacji nie przeprowadzamy. Ta jest pierwsza. Tylko pan, panie majorze, nie mów mi pielgrzymom.

Orłowski spojrział na swoich ludzi, a ci spojrzeli na niego. I unisono westchnęli.

Godzinę później na organizacyjne spotkanie mieli dotrzeć Ciecierski, Marcinkowski, Włóka oraz Ramel. Czekali już na nich, tuż pod wejściem do „Czerwonego Koguta”, najwięksi woje batalionu „Orzeł Biały”: Deckard, Krawczyk, Samul, Żmij, Jacenty i Sokołowski. No i mocarna Pawłowska. Ledwie czterech mężczyzn pokazało się w drzwiach, Samul obdarzył ich niedobrym uśmiechem, a Deckard oświadczył swoim nieco drewnianym, a przez to przerażającym głosem:

– Panowie, chcielibyśmy omówić z wami kwestie finansowe.

– Wy? – zdziwił się Ciecierski.

– My, kochaniutki – oznajmił Samul i objął go potężnym ramieniem. – Alicjo kochana – zwrócił się do Pawłowskiej – zadbaj z sierżantem Sokołowskim, żeby panowie... no, jak im tam – wskazał Włókę i Korysia – dotarli do stołu, gdzie będzie spotkanko. Co prawda nikogo tam teraz nie ma, ale niech sobie usiądą i popierdzą w deski, byle od nawietrznej.

– Tak jest, panie chorąży. – Alicja zasalutowała, chwyciła Ramela za ramię, a ten aż stęknął i spojrział przerażony na sanitariuszkę.

Włókę uraczył podobnym chwytem Sokołowski i tak oddalili się, przechodząc przez drogę.

Tymczasem Marcinkowskiego objął przyjaznym gestem Jacenty, bo on ogólnie bardzo przyjacielski był, i tak grupa poszła spacerkiem wzdłuż drogi numer szesnaście.

– Posłuchaj, śliczny – odezwał się Samul do Ciecierskiego. – Słyszeliśmy, że nie zapłaciłeś najemnikom pierwszej transzy.

– Eeee... w kwestiach finansowych proszę do pana Marcinkowskiego.

Jacenty wsadził do ust cygaro.

– Żmij, przypalisz?

Woj z blond brodą zaplecioną w dwa warkocze spojrział na obu biznesmenów tak strasznie, że zdrętwiały im nogi.

– Ale nie ich masz przypalać, tylko mi cygarko, tak? – upomniał go Gdaniec.

Żegota poruszył wąsami i brwiami, jakby nic nie rozumiał, po czym poprawił topór na plecach.

– Chorąży Birkowski. Cy. Gar. Ko. – poprosił Jacenty.

Żmij, wciąż milcząc, wyjął z kieszeni srebrną zapalniczkę w kształcie penisa, otworzył ją, odchylając szpetnie żołądź, i strzelił ostrym acetylenowym płomieniem.

– O matko – sapnął Marcinkowski.

Jacenty pyknął raz, pyknął drugi, wydmuchnął dym i uśmiechnął się jowialnie.

– No chodźmy, bo mi się żyłaki zrobią.

Ruszyli.

– Zatem – podjął kierowca Jaryła – nie zapłaciliście. Ładnie to tak?

– Eee... to są sprawy...

– Ważne, ważniutkie – przerwał mu Gdaniec. – A że są ważne, to je trzeba załatwić, tak?

– No trzeba, ale...

– Panie Marcinkowski... – Jacenty spojrział na cukiernika z najsłodsza przyjaźnią. – Tomaszu. Godryku kochany. A tak przy okazji: Jacek. – Wyciągnął łopatowatą dłoń.

Godryk uścisnął ją.

– Tomek.

Cukiernik chciał puścić dłoń pancerniaka, ale się nie dało. Tak już jest z imadłami. Twarz mu poczerwieniała i zaczął sapać. Ciecierski szedł obok, udając, że nic nie widzi.

– Zatem, Tomeczku – podjął Jacenty, miażdżąc rękę rozmówcy – zapłacisz zaraz teraz pierwszą umówioną z najemnikami transzę, czyli za przewidywane trzy tygodnie, tak? Teraz zaraz. Bo, rozumiesz...

W tym momencie odezwał się drewnianym głosem Deckard:

– Urząd skarbowy chętnie się zainteresuje twoją cukiernią. Pyszne pączki baj de łej.

– Rozumiesz, cukiereczku? – spytał Jacenty, zaglądając Marcinkowskiemu w oczy z czułością prasy hydraulicznej.

Żmij z kolei patrzył na niego tak, jakby się zastanawiał, czy lepiej go będzie przeciąć od jajec do czaszki czy odwrotnie – od ciemienia do fiuta.

Marcinkowski spojrział na Ciecierskiego, ale ten uparcie patrzył przed siebie. Obejrzał się na Iksa i Ramela, lecz ci siedzieli sztywno przy stole, Sokołowski zaś i Pawłowska słodko się do nich uśmiechali. Przełknął zatem ślinę i odezwał się:

– Ale przecież teraz, z kalala... katalizatorem to krócej będzie...

– Jak będzie krócej, to zwrócą – zapewnił Jacenty. – Zwrócą, bo uczciwe są. Dopilnujemy.

– Dopilnujecie?

– Tak, pączusiu.

Cukiernik przełknął ślinę jeszcze raz, po czym sapnął:

– Muszę mieć dwie ręce. Do smartfona. W miarę możliwości całe.

Jacenty uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Oczywiście, oczywiście. Już puszczam rączkę.

Gdy to zrobił, wszyscy usłyszeli podejrzaną chrupnięcie, a Godryk jęknął płaczliwie. Wyciągnął aparat z kieszeni, otworzył stronę banku, rozejrzał się podejrzliwie i zasłoniwszy ekran, wstukał hasło.

– To trzy milioniki sto pięćdziesiąt tysięcy – zapewnił Jacenty.

– Ale skąd wy to wszystko...

– Ciii, ciii, gołabeczkę. – Pancerniak uśmiechnął się. – Nie denerwuj się, bo ci cukier skoczy. Ponieważ płacicie ostatniego dnia, dorzucicie coś. Dla równego rachunku trzy i pół.

Godryk przełknął ślinę.

– D... dlaczego?

– Urząd skarbowy – szczeknął Deckard.

– No tak – odparł cukiernik. – To duży przelew, będzie potrzebne potwierdzenie.

– Ależ tak. – Jacenty znowu się uśmiechnął.

Marcinkowskiemu zaczęły drżeć palce. Widać było, że bardzo nie lubi się rozstawać z pieniędzmi. Sprawdził kilkakrotnie zarówno konto odbiorcy, jak i sumę, po czym wreszcie wcisnął Enter. Za chwilę przyszedł esemes. Otworzył go, skopiował kod i wpisał na stronie banku. Zadzwoił telefon.

– Tak? – spytał drżącym głosem. – Tak, zlecam taki przelew. Zlecam. Wszystko jest w porządku. Tak, rozumiem. Tak, oczywiście. Maria. Witold. Dwa tysiące drugi, czternasty listopada. Posiadam. Tak. Potwierdzam przelew. Tak. Dziękuję, do widzenia.

Marcinkowski rozłączył się, zerknął na stronę banku, coś tam jeszcze stuknął i wylogował się. Był cały spocony. De facto tak bardzo, że Jacenty nieco się od niego odsunął.

– No i co, ptaszyno? – odezwał się Wiesiu „Młotek” Krawczyk, którego jako najprzystojniejszego zostawili na koniec. – Nie bolało, prawda? – Woj wyszczerzył zęby i odetchnął: – Uf, jaki miły dzień. Taki dzień nie może być zły, skoro tak ładnie się rozpoczął. Co pan myśli, panie Ciecierski?

– Prawda – odparł Norbert bezbarwnym głosem.

– Wszystko z panem w porządku?

– To. Była. Przemoc.

– Uuu, od razu takie brzydkie słowa... Żmij, brzydkie, co?

Żegota podszedł pół kroku i znowu nastroszył brwi. Ciecierskiemu i Marcinkowskiemu cała krew odpłynęła z twarzy.

– Wiecie co? – odezwał się Samul. – Suszy mnie, a Rłokieta zapomniałem. Podejdźmy do reszty, bo widzę, że już się zbierają przy stole.

Istotnie, przy stole znowu zaczęli się gromadzić woje i najemnicy. W pewnym momencie Orłowski nachylił się do Szczygły, ten zaś wyciągnął z kieszeni smartfon, coś na nim wystukał, przyjrzał się ekranowi, spojrzął na majora, znowu na ekran, na Marcinkowskiego i wreszcie wydał z siebie dziki ryk radości:

– No wreszcie!!! Jedziemy na Wilno!!!

Sztandar 10

Reszta dnia upłynęła na dopracowywaniu kolejności ruchu pojazdów, mierzeniu na mapie miejsca między budynkami, przewidywaniu przeszkód na drodze i opracowywaniu sposobów ich omijania. Kończono malować pojazdy, ozdabiać je siatkami i imitacjami blach, czyszczono broń, dokręcano śruby, tankowano, a jak kto mógł, to i spano. Szczyrbowski rozdawał tablety dowodzenia najemnikom, którzy byli dowódcami sekcji, tłumaczył, jak ich używać, montował w ich pojazdach markery umożliwiające centralne dowodzenie i zakładał najemnikom na uszy zestawy komunikacyjne. Orłowski nadzorował wszystkie te prace, udając, że się leniwie przechadza między pojazdami, tak naprawdę jednak miał oczy dookoła głowy. Dlatego nie uszła jego uwagi cicha rozmowa, jaką przeprowadził Ciecierski z Vasilijem, którego dwaj towarzysze zupełnie bez sensu pucowali oranżowo-czerwonego pick-upa. Potem dowódca wrócił do drewnianych stołów i ław, usiadł, przyjął z troskliwych rąk Dany kubek pokrzywy i pozwolił, by słońce grzało mu plecy. Dźwięki krzątania, szczęk broni, pokrzykiwania i rozmowy zlały się w jedną falującą powierzchnię oceanu. Sergiusz zaczął się na niej unosić i już coś mu się śniło na jawie, gdy usłyszał dźwięk zbliżającego się GAZ-a. Odwrócił się i zobaczył wojskowy samochód ze znajomą panią żandarm.

Plutonowa Alicja Podkalicka zwolniła, wjechała na trawnik, zabrała z drugiego siedzenia zieloną torbę i wyskoczyła z kabiny.

– Mam poprosić pana majora – oznajmiła, wręczywszy mu cztery przekaźniki służące śledzeniu Gojiry – żebyście zamontowali jeden na granicy i następne co pięćdziesiąt kilometrów w wybranych przez siebie miejscach, najlepiej gdzieś wysoko, na drzewach.

– To spowolni nasz marsz – mruknął dowódca.

Podkalicka wzruszyła niewinnie ramionami.

– Tak, to nie wasz problem, plutonowa – uspokoił wojowniczkę. – Jakież wieści od generała Wiechuckiego?

Żołnierka zarumieniła się.

– Żadnych, panie majorze. Wiem tylko, że generał organizuje wsparcie artyleryjskie na wschodniej granicy.

– Tak, wiem. Coś jeszcze?

– Pozdrowienia od doktora Matuszewskiego. I króla, oczywiście. Panowie Witelon i Saulski też ślą dobre słowo.

– Pozdrów tych dekowników od nas.

– Rozkaz.

– Coś jeszcze?

Podkalicka zatrzepotała rękami.

– Pan Witelon wróżył z run.

Orłowski zbystrzał.

– I?

– Prosił, żeby powtórzyć: „Czasami lepiej wejść od tyłu niż od przodu”.

Major uśmiechnął się. „Stary gej wie, o czym mówi”. Ale nie powiedział tego na głos, wróżbę zaś postanowił wziąć sobie do serca.

– Niech mu pani podziękuję. Zapamiętam.

– Tak jest, panie majorze.

– To wszystko?

– Tak, panie majorze.

– Doskonale. Możecie wracać.

– Ku chwale Twierdzy! – Dziewczyna zasalutowała, uśmiechnęła się, zgrabnie wskoczyła do wozu, opony zgrzytnęły o rozgrzany asfalt i po kilku uderzeniach serca dźwięk silnika jej wozu brzmiał nie głośniejszy niż bzyczenie muchy.

„Jaki miły, ciepły dzień” – pomyślał Orłowski.

– Wampir! – krzyknął, kładąc się na drewnianej ławce.

Przybiegł dowódca Oka.

– Weź to. – Major wskazał przekazniki. – Będziecie musieli je montować co pięćdziesiąt kilometrów. Przygotuj taśmy, plastry, co tam uważasz.

– Tajest.

– I niech nikt mnie nie budzi. Muszę się wyspać – ziewnął – przed nocą.

– Oro. – Ewa patrzy na niego z uśmiechem, ale na jej młodej twarzy widać niepokój. – Oro, czy jesteśmy tu bezpieczni?

Sergiusz obejmuje żonę ramieniem. Jest kapitanem. Tuż obok niej stoi Michał i patrzy na niego szeroko otwartymi, zachwyconymi oczami, w których odbijają się jasne obłoki. Michał ma osiem lat. Jest zdolnym, wesołym chłopcem. Nie choruje, nie ma wad. Dwie ręce, dwie nogi, jedna głowa. Ewa także jest zdrowa. Cała trójka ma dach nad głową, pieniądze, poczucie bezpieczeństwa. Nic, tylko iść naprzód, patrząc, co przyniesie przyszłość. Są przy wschodniej granicy, w pobliżu Hrebennego.

– Engelsi to dzikusy, kochanie – odpowiada. – Jesteśmy poza zasięgiem ich łuków i proc.

– Ale na pewno, Oro?

Oro. Tak go nazywała. Neologizm, który stworzyła, łącząc łacińskie „złoto” i jego nazwisko. Złoty chłopak i Ewa, pierwsza kobieta. I Michał, który pokonał smoka. Co może im grozić? „Gdy wyszłam za ciebie, miałam wrażenie, że złapałam Pana Boga za nogi” – wyznała mu kilka lat wcześniej. „Teraz łapie się Świętowida”. – Uśmiechnął się. Piękny mężczyzna, pewny siebie, ale nie arogancki. Błyskotliwa kariera w niebezpiecznych czasach.

– Widzisz te słupy? – Wskazuje jej wbite w trawę tyczki pomalowane w czerwone i białe pasy. Są od nich oddaleni o sto metrów.

– Widzę.

– To maksymalny zasięg ich proc. Nigdy nic dalej nie doleciało. Oni nie umieją używać niczego sensownego.

– Słyszałam, że gdzieś tam jeden z czegoś strzelał.

Sergiusz uśmiecha się.

– No dobrze, cofnijmy się.

– Nie powinnam była się godzić na ten pomysł. Michałku, napatrzyłeś się już na orki?

– Ale mama, nie ma żadnych. Żadnego orka nie widziałem.

Michałek nie pamięta czasów sprzed Kolapsu. Dla niego wokół Twierdzy jest „fajna wojna

z zielonymi orkami”. Jedyne kontakty, jakie ma z inną rzeczywistością, to zachodnie i dalekowschodnie kreskówki. Z niepojętego powodu uwielbia je. Są podwójnie czarodziejskie – pokazują bajkowe krainy stworzone w kolorowych, już nieistniejących krajach.

Sergiusz klęka przy synu, bierze go na kolana i pokazuje palcem mroczną ścianę lasu kilkaset metrów od nich.

– Patrz, synku. Tam są orki.

– Engelsy?

– Engelsy.

Chłopak mruży oczy i przytyka rączkę do czoła.

– Dlaczego ich nie widzę?

– Bo są zieleni jak drzewa dookoła nich.

– A te działa ich zatrzymają? – Malec pokazuje stojące nieopodal armaty.

– Tak. Ja ich zatrzymam.

– E, ty to wiadomo. – Michał podnosi dumnie brodę. Znowu patrzy w niebo, jakby widział tam wspaniałą przeszłość.

– Oro, chodźmy. Przecież Miki i tak nic nie zobaczy – ponagla Ewa.

Podmucha powietrze. Trzask. Kapitan Sergiusz Orłowski widzi, jak z pobliskiego kamienia zsuwają się okruchy szkła. Dookoła błyszczą w słońcu mokre plamy. Woj rozgląda się, ale nie wie, kto mógł tu rzucić jakieś szkło. Ewa łapie się za ramię, Michał za nogę. W delikatnej łydce chłopaka tkwi szkło. Fragment butelki. Z ramienia żony Orłowskiego, Ewy Julii Orłowskiej, także sterczy przezroczysty fragment, niczym lodowy okruch, który zatruje jej serce.

To był pierwszy raz, kiedy południowo-wschodnie orki użyły czegoś innego niż łuk i proca. Prymitywną katapultę odkrył tydzień później patrol zwiadowców.

Ale Sergiusza już nie było w Hrebennym. Przebywał z Ewą i Michałem w Warszawie, w szpitalu na Solcu.

Orkowa gorączka.

W tamtym czasie te słowa były wyrokiem.

– Tato, przyniesiesz mi Spongeboba? Tego z regału? Bo coś mi się zdaje, że on mnie... wyleczy

– Tak, synku, przyniosę ci.

Michał ma wysoką gorączkę. Sepsę. Okrywają go warstwy kołder, a i tak jego ciałem wstrząsają dreszcze.

– I on też – zaciska zębki – zrobi, że nie będzie tak bolało, prawda?

Sergiusz wyciąga rękę do czoła chłopca, ale nie pogłaszcze go. Michał ma tak wielką przeculicę, że boli go najmniejszy dotyk. Orłowski wykonuje ruch, jakby głaskał syna. Ten uśmiecha się blado, rozumiejąc gest taty.

– Tak, synku.

– Oro, tak boli – mówi znajdująca się w sąsiedniej izolatce Ewa. Nie chce, żeby widział ją syn. Ma cienie pod oczami, na skórze ramion pojawiły się ciemne gnilne plamy.

– Panie doktorze, na rany Chrystusa, proszę jej coś dać! – Orłowski nie panuje nad sobą. Krzyczy, wzbudzając niesmak personelu.

– Dajemy wszystko, co mamy, panie kapitanie – odpowiada lekarz.

– Dajcie więcej!

– Dobrze, ale straci przytomność.

Sergiusz patrzy na żonę. Ta kiwa głową.

– Niech traci! Niech, do diabła, traci!

– Tatko... Tatko... – Michał ma tak dużo ropy w oczach, że wciąż skleją mu się powieki. – Jest tu – kaszle – Spongebob?

Pluszowa zabawka, za którą Sergiusz dawno temu zapłacił krocie w antykwariacie, leży tuż pod pokrytymi plamami palcami syna.

– Masz go pod ręką, Michałku.

Chłopiec napina mięśnie szyi, ale nie ma siły podnieść głowy. Otwiera jedno oko, ale jest zbyt zabrudzone, by coś mogło dostrzec. Lekarze mówią, że nerwy wzrokowe są zainfekowane. Prawdopodobnie i tak już nie widzi.

– Nie widzę... nie widzę...

Orłowski podsuwa Spongeboba wyżej, żeby cały schował się pod przedramieniem syna.

– Masz go tu, pod rączką. Czujesz?

Biała, zapadnięta twarz dziecka uśmiecha się sztywno. Chłopak nic nie czuje, ale będzie udawał, że jest odwrotnie.

– Czuję. – Ledwie zauważalnie kiwa głową. – Teraz czuję. Tatko?

– Tak, synku?

Michał próbuje przełknąć ślinę. Nie udaje mu się.

– Ja będę... musiał odejść, tatko.

Orłowski zaciska pięści na pościeli syna, żeby nie zacząć wyc. Zbiera siły, by odpowiedzieć.

– Nie, synku – chrypi. – Zostaniesz. Wyzdrowiejesz.

– Nie, tatko – szepcze Michał. – Nie dam... rady. Zbieram siły, ale nie dam...

– Jesteś żołnierzem. Michałem. Pokonałeś smoka. Musisz walczyć. Zbieraj siły z każdej komórki ciała. Jak POLOM.

Na wzmiankę o Grunmorach twarz jego syna jakby się rozpułga.

– Walczę, tatko, ale... przegrywam. Przepraszam. Jest Spongebob?

– Jest tu, synku.

– Więc pewnie odejdę. Ze Spongebobem. On pójdzie ze mną, prawda?

– Oczywiście.

– Ja wiem, tatko... jak tam będzie. Wesoło i kolorowo. Prawda, tatko?

– Tak, synku.

– Więc nie ma co się bać, prawda, tatko?

– Nie ma, synku.

– Ale... wolałbym, żebyś ty ze mną poszedł.

„Synku, poszedłbym z tobą do piekła i zabił samego diabła, żeby cię ocalić. Samego diabła. Ale są drzwi, przez które będziesz musiał przejść sam. Doprowadzę cię do świetlistej bramy i... puszczę twoją rączkę. Ten ostatni krok będziesz musiał wykonać samodzielnie”.

– Pójdę z tobą, synku.

– Obiecujesz?

– Tak.

Chłopiec rusza poczerniałym palcem.

– Albo... nie... tatko... Ty musisz... bronić... Twier...

– Serż? Michał? – Ewa także ma zlepione oczy. Połowę jej ciała pokrywają ciemne plamy. Zapach jest nie do zniesienia.

– Michałka... – zaczyna Orłowski, ale nie może mówić dalej.
Ewa przekręca głowę w bok.
– Chryste, Serż, nie mów tego, bo mnie zabijesz!
– Ewuniu...
– Chryste, Serż, błagam, nie mów mi tego. Błagam cię, nie mów mi teeeeegooooo!!!
Oboje płaczą. Z Ewy szloch wysysa ostatnie siły.
Sergiusza budzi ktoś w środku nocy.
– Panie kapitanie, gdy pan spał, pana żona...
Wódka. Whisky. Piwo. Znowu wódka. I whisky. I znowu. Ból łba. Ból ciała. Zwymiotować tę rzeczywistość. Wyrzucić ją z siebie.
„Boże, niech mi ktoś pomoże przetrwać ten ból. Boże, weź mnie do siebie”.
„Pogrzeb? Przecież nie jestem w stanie ruszyć ręką”.
Pomógł mu Jary. Wszystko zorganizował. Sergiusz ledwo stał, gdy dwie urny spływały do ziemi.
A potem znowu alkohol.
I świat się przewrócił.
Do.
Góry.
Nogami.
Został zwymiotowany, posiekany ostrzami kaca i wyrzutów sumienia.
– Panie kapitanie? – W śmietniku, w który zamieniło się jego mieszkanie, stoi żandarm.
Sergiusz podnosi ciężką głowę.
– Ta?
– Mamy rozkaz zawieźć pana do generała Woźniaka. Da pan radę... włożyć mundur?
Orłowski usiłuje się podnieść. Pierwsza próba jest nieudana. Boli nie głowa. Boli cały świat.
– Ddam... Chchwila...
– Kapitanie? – Stojący za biurkiem Wiedźmin patrzy na niego uważnie.
– Na rozkaz – odpowiada Sergiusz, prawie się nie chwiejąc.
– Przychodźcie do generała, nie ogoliwszy się?
– Przepraszam, panie generale.
– Tworzone są nowego rodzaju jednostki Armii Twierdzy. Bataliony. Zmechanizowane, szybkie, nowoczesne. Chcę, aby objął pan dowództwo jednego z pierwszych. Mam wrażenie, że pomoże to panu... się otrząsnąć.
– Na rozkaz.
– Podoła pan zadaniu? Liczę na pana.
– Poddolałem.
– Znakomicie. W pokoju obok dopełni pan formalności.
– Tak jest.
Żołnierz przy komputerze zbiera dane. Karty i dokumenty rozsypują się. Odrętwiałe palce Sergiusza nic nie czują, wszystko spada na podłogę. Cierpliwy kancelista zbiera to, co wypadło z portfela, i układa na biurku. Orłowski osuwa się na fotel. Upojenie alkoholowe wygrywa.
– Panie kapitanie?
– Tak?
– Jest zalecenie, że dla wzmocnienia ducha bojowego bataliony mają mieć wzniosłe nazwy, najlepiej dwuczłonowe. Ma pan szczęście, bo jest jednym z pierwszych, potem będzie pewnie

coraz trudniej. Jak pan chce nazwać swój batalion?

– Cso?

– Jak pan chce nazwać swój batalion?

– Orzeł... Wiaddomo...

– Orzeł, świetnie. Ale nazwa ma być dwuczłonowa. Orzeł i...?

– Biały... – Orłowskiemu głowa opada na pierś, z ust zaczyna wyciekać ślina.

– Biały Orzeł? – dopytuje się kancelista.

– Orzeł... Biały...

– Panie kapitanie? Słyszysz mnie pan? Halo? Panie kapitanie? Zasnął... – Żołnierz unosi brwi i z niewielką domieszką drwiny komentuje: – Okej, piszemy. Orzeł Biały...

– Panie majorze?

Orłowski zerwał się z ławki i o mało nie zrzucił z niej Moniki Ferens. Była ubrana podobnie jak dzień wcześniej, ale tym razem w czerwoną sukienkę, tym czerwieńszą, że podbarwioną ogniem zachodzącego słońca.

– Krzyczał pan – szepnęła. – Zły sen?

Sergiusz odruchowo wytarł oczy. Były mokre.

– Na wojnie, proszę pani, trudno o dobre.

– Byliśmy na ty.

– A tak, przepraszam. Która godzina?

– Za dziesięć ósma.

– Cholera, długo spałem.

– Macie dzisiaj akcję. Sen się panu przyda.

– Ale nie taki...

– Mamy tu zioła na koszmary, prawda, dziewczyny?

Major się rozejrzył. Przy stole siedzieli jeszcze Anna Traut, Joanna Bella i pan Maciej. A kilka kroków dalej przystanąły czujnie Malik i Podgórska.

– Mamy – oznajmiła Traut i wyjęła z torby kilka słoików z maściami, a Bella w tym czasie postawiła na deskach parę butelek.

– To dla was – sapnęła. – Na etykietach jest wszystko, co trzeba. Cały opis.

– Bardzo dziękuję. – Orłowski się uśmiechnął. – Runa!

Przy stole pojawiła się sanitariuszka.

– Tak, szefie?

– Masz tu – Orłowski wskazał medykamenty – różne, wiesz, środki. Zapoznać się, zinwentaryzować, nauczyć. Mogą się przydać.

– Tajest, panie majorze. – Wiechucka uśmiechnęła się i zgrabnym ruchem zgarnęła cuda wschodniej medycyny naturalnej.

– Śliczna jest. – Anna uśmiechnęła się, patrząc, jak sanitariuszka odchodzi, kołysząc biodrami.

– Pan major to ma szczęście.

– Właśnie wzięła ślub.

– O? – Traut pojaśniała. – A kim jest ten szczęśliwiec?

– Ano podobno najbrzydszy z Orłów.

O dwudziestej pierwszej przy obozowisku Orłów pojawiła się spora grupa cywili i pielgrzymów.

– Powodzenia, woje – powiedziała Zofia Murawska cichym głosem, wspierając się na ramieniu Renansa. – Przywieźcie nam naszą przyszłość.

– Przywieziemy, proszę pani – odparł Orłowski, poprawiając się w górnym włazie Tura. – Zdecydowaliście już, czy weźmiecie katalizator?

– Debatujemy nad tym.

– Skłaniamy się ku temu – wszedł jej w słowo Renans – żeby go wziąć.

Orłowski uniósł brwi.

– To pewnie mimo wszystko dobra decyzja. Długie przebywanie na terenie wroga to najgorszy z pomysłów.

– Tak właśnie myślimy.

Orłowski zasalutował, a wtedy machnęła mu ręką na pożegnanie Monika Ferens, nieco smutna, że nie wyszły jej łowy. Anna Traut zamachała chusteczką, Joanna Bella i Anna Sukiennik się uśmiechały, Dalambert pyknął z fajki, Góralski zagrał akord na gitarze, Zalesny krzyknął coś niezrozumiale, Tesia wyglądała tak, jakby się gotowała, by pojechać z nimi, ksiądz Boch zaś – na szczęście bez kosi i piły łańcuchowej – błogosławił ich znakiem krzyża, czego Orłowski wolałby nie widzieć, ale cóż, dopust boży. Nawet Tomasz Maroński, miejscowy artysta, doczłapał się w towarzystwie Sary i Marty i lekko się chwiejąc, słał całusy, tyle że w przeciwnym kierunku.

Kontrola nad wszystkimi pojazdami oraz dowodzenie całą akcją zostały powierzone Orłowskiemu. Major miał na tablicie wozy nie tylko Orłów, ale także Pięści i najemników. Dał znak i zaskoczyły silniki Tura, Mecha, potem Swaroga i innych jednostek. Basowe uderzenia tłoków masowały klatki piersiowe zgromadzonych, dym uniósł się z rur wydechowych i złapał kolor karmazynowego nieba, a grunt przesuwiał drobiny pyłu, te zaś zostały niebawem zdmuchnięte przez Peruna, który uniósł się, błysnął czerwienią zachodu odbitą od statecznika i zaczął powoli sunąć nad obozowiskiem pielgrzymów. Sergiusz ułożył tablet z aplikacją dowodzenia na pancerzu i wydał rozkaz wymarszu. Wozy ruszyły, ustawiając się w szyk niczym zęby zamka błyskawicznego. Pojazdy „Krzemieńnej Pięści” miały stanowić awangardę. Ich Swaróg niósł z tyłu kosz dla Zbrojowca i siedział w nim Szabla, Daźbog miał drugi kosz z Vistą, Kula zaś, najwyraźniej zbyt niespokojny, by siedzieć, biegł obok czołgu. Orłowski dowiedział się, że jeśli Zbrojowiec nie oddała się więcej niż o trzy metry, akumulator Trojana ładuje się indukcyjnie od prądnicy pojazdu. „Pomysłowi ci ludzie ze wschodu” – przyznał, śmiejąc się w duchu z nieszczęśliwego Samula, którego umieścili w koszu Kocura i który zazdrościł dowódcy Pięści.

Gdy obie kolumny minęły obóz najemników, za jadącym na końcu Jaryłem wytoczył się Leszy, wóz Szczygła, za nim Potiomkin, wielka ciężarówka pancerna, a za nią cała reszta tałatajstwa. W sumie około trzydziestu wozów różnego tonażu.

– Zgud – rzucił Orłowski – drony w powietrze.

– Tak jest.

Od pancerza Tura oderwały się cztery aparaty.

– Farin – odezwał się major do Kubali – uważaj na wyboje.

– Tajest.

– Wszyscy wysikani?

– Wiadomo! – odpowiedziały liczne głosy.

– Mardok? – nadał Orłowski na kanale ogólnym batalionu.

– Tak, tak, wszystko w porządku.

– Umył sobie rów, pilnowałam – zapewniła Zdzira.

– To niedelikatne było – odparł Jary, ale Orłowski uciął zewnętrzną komunikację.

Wkrótce zobaczyli po lewej jezioro Hołny, mierzącą trzy kilometry rynnę, która odbijała niezmaczoną gładzią zmierzające niebo.

– Kurwa. – Stojąca we włązie Swaroga Kicia pokazała landszaft Flaszce siedzącemu za Siwą.

– Czego klniesz, szefowo?

– Właśnie, dlaczego pani klnie? – spytała siedząca w trzecim włązie Monika Wuwer, najemniczka, którą także nazywano Kicią.

Gwara trzymała ją na dystans, bo dziewczyna od razu dała znać, że Małgorzata bardzo jej się podoba.

„Zły znak”, chciała powiedzieć porucznik, staw bowiem wyglądał jak misa wypełniona krwią, ale ugryzła się w język.

– Pięknie – rzuciła zamiast tego, starając się brzmieć szczerze.

– Faktycznie – potwierdził Raczkiewicz, a najemniczka spojrzała rozmarzona na jezioro, a potem na Gwarę.

– Proszę tak na mnie nie patrzeć. – Małgorzata spieszyła się.

– Ależ pani porucznik! – Wuwer wyszczerzyła zęby.

– Patrz lepiej na mnie, złotko – zasugerował Flaszka.

Chwilę później zobaczyli dwie przygraniczne haubice i trzy stanowiska karabinów maszynowych. Woje pozdrowili ich.

– Hej, Krzemienni! – rzucili do kamratów. – Spierzcie im dupy!

– Wilno będzie nasze! – odparł Kula.

– Wiadomo!

Orłowski zarządził szybki postój. Silniki pojazdów nerwowo warknęły, gdy kolumna zatrzymała się, wznosząc obłok pyłu.

– Cezariusz – odezwał się do Gorzkowskiego, kierowcy Porewita stojącego tuż za Swarogiem.

– Tak jest.

„Powiedział »Tak jest«, a nie rutyniarsko »Tajest« – pomyślał major. – Ciekawe. Nie wpada w rutynę czy na razie taki z niego służbista? Nie zdziwił się, że go wzywam, odpowiedział bez zaskoczenia. Chyba będą z niego ludzie”.

– Ustaw pierwszy przekąźnik. Widzę po prawej sensowną brzozę.

– Tak jest.

„Zobaczymy, jak sobie radzisz” – pomyślał dowódca, obserwując, jak Gorzkowski sprawnie przebiega nierówny teren i bez namysłu wskakuje na pień brzozy, a potem ze sprawnością małpy wspina się coraz wyżej.

– Skubany – mruknęła Zdzira.

Sierzant owinął tymczasem brezentową taśmę wokół pnia, oparł ją o gałąź tak, żeby przekąźnik się nie zsuwał, zakleszczył go w zaczepach, sprawdził, czy nie będzie się ruszał, rozejrzał się i błyskawicznie zsunął.

– Dlaczego się rozglądałeś? – spytał Orłowski.

– Skanowałem teren – odparł kierowca.

– I?

– Czysto.

Ruszyli i wkrótce byli na Litwie.

– Oczy szeroko otwarte, strzelać bez rozkazu – polecił Orłowski i usłyszał zwiłokrotniony dźwięk przeładowywanych karabinów, pistoletów i działek. Znajdująca się za nim bateria rakiet Diablątko jęknęła serwomechanizmami i obróciła o trzysta sześćdziesiąt stopni. Tygrys sprawdzał mobilność.

– Stawniak, Scorsese, nie przestraszycie się kanonady?

– Postaramy się – odparła Ursula.

– Malki – dowódca rzucił na kanale ogólnym – nie gotuj nic teraz.

– Rozkaz.

– Ciocia też nie.

– Eee... nawet pączusiów?

– Danka!

– Na rozkaz...

– Skarpeta, Grubens.

– Tajest? – rozległ się głos tego drugiego.

– Bądźcie gotowi do zmiany koła lub naprawy gąsienicy.

– Always. Always.

– Świetnie. Miktus?

– Tak, majorze?

– Defibrylatory, krew, osocze, opaski, bandaże?

– Niech się pan nie kompromituje, majorze Orzełek.

– Gotowe?

– Jak chuj.

– Klaudia?

– Koncentracja – odparła Heintze.

– Kicia?

– Rozpierzdolimy wszystko, szefie – usłyszał jej głos.

– Wampir?

– Skanujemy. Zaraz założymy noktowizory.

– Jak my wszyscy. Podgrudny?

– Wokół kolumny czysto – odpowiedział pilot.

– Nie wysuwaj się do przodu. Najbardziej hałasujesz.

– Tajest.

– Gollumka?

– Czekamy na akcję, panie majorze. Oczy otwarte.

– Świetnie. Witek?

– Nastaw działa dwieście metrów przed czołem kolumny.

– Cieszę się, że jedziesz z nami.

– Likewise.

– Dareczku? – Orłowski spojrział na Zbrojowca siedzącego w koszu Swaroga.

– Kości bym rozprostował, szefie. Rłokieta wypilem i ruszać mi się chce.

– To ponad sto kilometrów. Po co marnować Trojana?

– Tu mnie pan obraził, szefie.

Ten sam rytuał komunikacyjny przeprowadził major Biały i z pewnością Szczygło, chociaż tego ostatniego Orłowski nie był pewien.

– Za niecałe dziesięć kilometrów mamy pierwszą większą miejscowość – odezwał się Kula. – Łoździeje. Za nimi droga skręca w prawo, na wschód.

– Zawsze tu taki spokój? – spytał Orłowski.

– Chowają się sukinsyny. Widzą armię i nawet szła nie mąci im w głowach.

– A tępaki?

– No ci są zawsze. Dlatego trzeba mieć...

Z lasu wypadł na wysokości Obcego wielki ork ubrany w nocną koszulę i szlafmycę. W jednej łapie trzymał długą szablę, a w drugiej... książkę.

Malik błyskawicznie obróciła wieżę Dażboga i bez słowa posłała w jego korpus dwa pociski. Nie była jedyna. Ciało Zielonego połączyło się świetlistymi nićmi strzałów z wieloma pojazdami i, rozczłonkowane, pozęgłowało w tył, a rozerwana książka, niczym stado białych motyli, opadła na zewłok, grzebiąc go pod kozuchem literatury.

– Zakłóciłeś mu wieczorną lekturę – skomentował Lenny.

– Takiego jeszcze nie widziałam – przyznała Kicia.

– Jakiego, jakiego? – dopytywał się Tygrzyk.

– W nocnej koszuli i szlafmycy.

– Bez pancerza?

– Bez.

– Cisza, riebiata – skarcił ich Orłowski. – Za chwilę będzie ich więcej.

Droga miała pełno dziur, w wielu miejscach leżały na niej gałęzie i konary, ale jadący przodem Tytan, Swaróg „Krzemiennej Pięści”, rozjeżdżał przeszkody i parł do przodu z pewnością lodołamacza. Biegący na prawo od niego Kula zdawał się go ubezpieczać, a siedzący w koszu Szabla skanował z Marchołem lewą stronę.

„Mają jaja – pomyślał Orłowski. – Przydałaby się obok Kicia z Kocurem, ale droga za dziurawa, a przez to za wąska...”

– Zakładamy noktowizory – nakazał. – Reflektory podczerwone.

– Jak kto ma – rzucił na ogólnym Szczygło.

– Noktowizory macie?

– Mamy.

– Reflektorów nie musicie mieć.

Orzeł nasunął na oczy czteroprzetwornikowe urządzenie i świat zrobił się zielony, a gdy Tur oraz inne pojazdy uruchomiły reflektory, obraz wykontrastował się, zniknęło ziarno i pojawiło się... pełno Engelsów zgromadzonych pośród drzew. Byli skuleni i przyglądali się kolumnie z wielką atencją.

– Kurwa, szefie, dreszcz mnie przeszedł – rzuciła Kicia.

W pojazdach zawrzały głosy zaskoczenia.

– Ja pierdołę, a myśleliśmy, że jest tak spokojnie!

– Perunie, jak dzicy wyglądają!

– Mają kałachy – zameldowała Heintze.

– Ale nie celują – dodał Flaszka.

– Dowódcy pod pancerz – warknął Orłowski. – Na zewnątrz zostają tylko strzelcy pokładowi i Zbrojowcy.

– Tajest.

Major zsunął się do Tura oświetlonego tylko ekranami i kontrolkami deski rozdzielczej. Silnik pojazdu mruczał uspokajająco, chociaż dość mocno kołysało.

– Kubala?

– Na rozkaz.

– Dziury?

– Jak w serze, panie majorze.

Minęli Łódzkie, zostawiając je z lewej strony. Dostrzegli trochę pochodni i ognisk, ale nikt nie atakował.

– Cholera – odezwał się Tygrzyk na ogólnym. – Może rzeczywiście odbicie Wilna to nie taki głupi pomysł? Wchodzimy jak w masło.

– Muzyka – odpowiedziała mu Kicia – jesteśmy dziesięć kilometrów za granicą. Wyluzuj.

Pół godziny później dotarli do Olity, miejscowości, w której musieli skręcić na południowy wschód i przekroczyć most na Niemnie.

– Mam złe wspomnienia z mostów – mruknął Lenny.

Miasto mijali z lewej strony, podobnie jak Łódzkie. Tym razem dopatrzyli się większej liczby ognisk, a nawet kilku domów z oświetlonymi oknami. Orłowski wiedział, że najbliższej drogi są pozostałości osiedli domków jednorodzinnych, więc zagęszczenie nie powinno być duże.

– Most cały – zameldował kierowca Tytana, sierżant Konrad Maryński zwany Smokiem.

– Kamień spadł mi z serca – odparł Tygrzyk.

– Swarogi przodem – zarządził Orłowski. – Muzyka, omiń kolumnę i dogoń Tytana od lewej.

Major narysował na głównym ekranie trasę przejazdu Kocura.

– Roger that.

– Rujewity za nimi, a potem oskrzydlenie i zwiad.

– Tajest – odparła Podgórska.

– Toćna – rzucił sierżant Boris Ivanow, dowódca Rujewita Pięści.

Z tego, co Orzeł zauważył, gość darzył orki jakąś wyjątkowo osobistą niechęcią.

Gdy oba bataliony przetoczyły się przez most, dowódca zaznaczył dwa Peruny i wywołał pilotów:

– Podgrudny, Tritt, zróbcie kółko i sprawdźcie, czy nikt za nami nie jedzie.

– Roger that – odparł Junior.

– Tajest – rzekł kapitan Tritt. – Dziwnie słyszeć tak spokojny głos dowódcy.

– No, no! – chrzypnął Kula głosem nadzwyczaj podnieconym.

Orzeł spojrział na ekran dowodzenia. Śmigłowce skrzyły w prawo i majestatycznie zaczęły zataczać koło. Pod pancierzem zrobiło się trochę ciszej.

– Zgud?

– Są orki w kniejach, ale daleko i na razie nastawione... hm...neutralnie.

– Dobrze.

Przejechali jeszcze dziesięć kilometrów i Orzeł zarządził postój.

– Gorzkowski – wywołał kierowcę Oka. – Zainstaluj przekaźnik. Jest dąb na prawo od drogi.

Oko, osłaniacie go. Podgórska, sprawdź najemników.

- Tajest.
- Heintze, sprawdź najemników od lewej.
- Rozkaz.

Orzeł widział na ekranach, jak Cezariusz wspina się na drzewo, Wampir, Zuza i Pawłowska zaczynają skanować otoczenie, stojąc w koszach Porewita, Rujewit Gollumki mija od prawej jego Tura, a Obcy zbliża się od burty lewej.

- Junior, Tritt, kod Zdrajca. Powtarzam, kod Zdrajca.
- Tajest – odpowiedzieli nagle obniżonymi głosami.

Vasilij Kestab, najemnik, którego mały zespół został przydzielony do armii najemników przez Marcinkowskiego w zasadzie na siłę, bo nikt z grupy Szczygła wcześniej go nie znał, był człowiekiem ze wszech miar niebezpiecznym i nawet Sowa odczuwał przed nim coś w rodzaju respektu. Zazwyczaj nosił długi skórzany płaszcz z kapturem, nie rozstawał się z nieco pretensjonalną kataną przypiętą do pleców, włosy, długie i jasne, nosił spięte z tyłu głowy, a boki czaszki miał wygolone i wytatuowane. Jego najbliższym i najbardziej zaufanym człowiekiem był Piotr Mistarz, którego z powodu sadystycznego zacięcia, z jakim niszczył zarówno mienie, jak i życie, zwano „Destro”. Drugim podkomendnym był Radziu „Wiking” Lewandowski. Radziu był potężnym człowiekiem, odzywał się rzadko, a gdy to robił, mało kto go rozumiał. Vasilij uważał, że dwóch ludzi, którym musi ufać, to o dwóch za dużo. Jednak wiele z Wikingiem i Destro przeszli, dopuścili się czynów strasznych i haniebnych, a to, po pierwsze, cementuje grupę wspólną tajemnicą, po drugie zaś, powoduje, że każdy następny podły czyn przychodzi lekko.

Gdy kolumna wozów się zatrzymała, ani Vasilij, ani Wiking, ani Destro nie podejrzewali, że przypinanie do drzewa przekaźnika sygnału Gójiry będzie pretekstem do osaczenia ich i wymuszenia zmiany priorytetów.

Wypada w tym momencie wyjaśnić, że gdy Szczyrbowski przyczepiał do pojazdów najemników markery, zakodował w przyczepionym do wozu Vasilija specjalną informację i teraz wszyscy członkowie batalionów „Orzeł Biały” i „Krzemienna Pięść” wiedzieli, gdzie znajduje się Wars, pick-up Kestaba. Był to pomalowany na czerwono i rdzawo drogi wóz, którego zazdrościła trójce Vasilija cała najemnicza brać. Niektórzy, ci bardziej odważni, pytali Kestaba, dlaczego przerobił na bojowy wóz brykę prosto z salonu, i to z najlepszym wyposażeniem. Na te słowa najemnik tylko się uśmiechał, a w grymasie tym zawierał komunikat: „Nie stać cię, biedaku ze swoją pospawaną gównem Warszawą? Mnie stać. Patrz, kurwa, i zazdrość”.

Po prawej stronie Warsa zatrzymał się Rujewit, a jego trzy działka Siwa dziwnym zbiegiem okoliczności wycelowane były w Wikinga, Vasilija i Destro. Z drugiej strony warknął silnikiem Dażbog. Jego wieżyczka także skierowana była na czerwony wóz.

– Co jest, kurwa? – warknął Vasilij, a Wiking i Destro wyciągnęli giwery i wycelowali w pojazdy.

Przed Warsem stał Potiomkin. Jego tylny właz otworzył się, a Vasilij zobaczył czterech najemników stojących na wysokiej platformie i celujących do niego i jego ludzi. Obejrzał się do tyłu, a tam stała druga bojowa ciężarówka, Yamato. Na jej dachu tkwiło dwóch kolejnych bojowników z bronią niedwuznacznie wycelowaną w jego głowę.

Kiedy Kestab miał już szpetnie zakląć, nad Rujewitem i Dażbogiem pokazały się śmigłowce zwrócone kanciastymi pyskami w jego stronę.

Vasilij nakazał Wikingowi i Destro opuścić broń. Wiedział już, o co chodzi, i rozumiał, że jeśli jeszcze żyje, to żyć będzie, o ile wszystko dobrze rozegra.

– Kto mnie sypanął? – syknął.

– Vasilij – rzekł Orłowski na kanale ogólnym – zamierzałeś otruć pielgrzymów. Nie wyciągaliśmy tego w Uroczysku, bo nie chcieliśmy, żeby Marcinkowski i Ciecierski wiedzieli, że zostałeś zdemaskowany.

Mózg Kestaba w sytuacjach stresowych zawsze pracował niezwykle szybko. I tym razem go nie zawiódł. Najemnik uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Jestem wam potrzebny.

– Tak. Do tego, żeby po wybudowaniu i utrzymaniu osady „Zet” najemnicy otrzymali pieniądze. Gdyby policja dowiedziała się o planie twoich zleceniodawców, ci nie zapłaciliby najemnikom, bo zostaliby aresztowani. Pielgrzymom i ludziom Szczygły zależy na doprowadzeniu akcji do końca. Więc będziesz się zachowywał grzecznie teraz, po powrocie i przy ponownej wyprawie na Litwę.

– Będę waszą gwarancją, że wszystko potoczy się... uczciwie?

– Tak. Wiemy też, że dostałeś zlecenie na chorążego Samula i że przyjąłeś je.

Krew na chwilę odpłynęła z twarzy Vasilija, ale że był człowiekiem w zasadzie bez uczuć, szybko się pozbierał i znowu szpetnie uśmiechnął.

– Proszę cię. Dwieście kawałków...

Wiking spojrział zdziwiony na Destro. Naprawdę to było sto kawałków.

– Oczywiście nie zabijesz go.

– Oczywiście.

– Cieszę się.

– Jaką mam gwarancję, że po wszystkim przeżyję?

– W świecie najemników, Vasilij, nie ma miejsca na zdradę – odezwał się Szczygło. – Musimy sobie ufać, bo nie jesteśmy wojskiem. Nikt ci nie zrobi krzywdy. Ale też wątpliwe, by którykolwiek z moich ludzi chciał kiedyś z tobą współpracować.

– Żal ściska mi serce.

– Dość – warknął Orłowski. – Po powrocie grasz swoją rolę, zrozumiano?

– Co będę z tego miał? Jestem stratny. Za trutkę Ciecierski sporo mi obiecał.

– Zamknij się, Vasilij, i ciesz się, że wciąż mówię do ciebie po imieniu.

– Co ty nie...

– Jeszcze jedno. Sowa?

Na pakę Warsa wskoczyło dwóch najemników. Gwałtownym ruchem zerwali brezentową płachtę, przestawili kilka skrzynek z amunicją, odkryli drugą płachtę i w świetle punktowych latarek zobaczyli cztery pudła z podrobionym N-Genem. Bez słowa chwycili kartony i rzucili je stojącym na ziemi kompanom, po czym zeskoczyli z paki.

– Bliat! – zaklął Vasilij.

– Gramy uczciwie do końca – odezwał się Orłowski. – Zapomnij o tym przekręcie. Nic byś już na nim nie zyskał.

– Jakie to przykre zostać tak szpetnie zdemaskowanym.

– Nie martw się. Szują byłęś zawsze. Teraz tylko więcej osób się o tym dowiedziało.

– Co za filo...

– Ruszamy.

Śmigłowce obróciły się i przesunęły do przodu, Rujewit Podgórskiej zatoczył koło i z warknięciem silnika pomknął za nimi, Dażbog także wykręcił i kołysząc się, zaczął wyprzedzać kolumnę. Kłapa Potiomkina się zamknęła, najemnicy zniknęli też z dachu ciężarówki za Warssem. Destro wcisnął gaz i pick-up ruszył razem z innymi samochodami. I wszystko wyglądało tak, jakby nic się nie stało.

Ale stało się. Najemnicy Szczygły dowiedzieli się, że Vasilij chciał zagrać wszystkim na nosie i pozbawić ich dużej części zarobku. Teraz miał się z nimi podzielić tym, co zarobią na osłonie osady „Zet”. Nici z kontraktu na Samula, nici z trutki, nici z gaży za podrzucenie fałszywego N-Genu. A to były duże pieniądze. No i utrata zaufania, które jest konieczne, gdy jest się kłamcą.

– Jesteśmy spaleni w tym kręgu – mruknął Wiking.

– Co robimy? – spytał Destro.

– Nic – warknął Vasilij. – Na razie nic. Kto mnie sypnął?

– Szefie – Destro spojrzał lękliwie – chyba nas nie podejrzewasz?

Vasilij spojrzał na kompanów. Co by na tym zyskali? Nie widział ani jednego scenariusza, na którym mogliby wyjść na plus. Oprócz nich o planie wiedzieli tylko Ciecierski i Marcinkowski. Dlaczego oni mieliby sypać? Przecież sami też na tym tracili. Z tego wynikało, że albo ktoś ich podsłuchał, albo wydusił z nich prawdę. Vasilij przypomniał sobie wytatuowanego, długowłosego motocyklistę, który zaczął się kręcić po Uroczysku. Tajniak? Psiakrew... Nagle przed oczami stanęli mu Włóka i Koryś. Cholera, tych dwóch gości zawsze chodziło własnymi ścieżkami. Może oni kręcą na boku?

Gdy bataliony z najemnikami odjechały na wschód, w Uroczysku i Dworczyku zrobiło się dziwnie cicho. Ciecierski i Marcinkowski wylegli na dwór, zasiedli przy stoliku „Czerwonego Koguta”, po czym zamówili późną kolację i piwo. Gdy zatopili zęby w stekach i pierwsze kęsy spłynęły przelykami, chwycili szklanice i szkło stuknęło o szkło.

– Powiedz mi, Godryk – odezwał się Norbert – co my świętujemy? Od tego momentu już tylko tracimy.

– Straty są nieistotne w obliczu zysków. A sprawę trzeba domknąć, żeby mieć otwarcie na następne operacje – odparł Marcinkowski.

– Następne? Mało ci kapuchy, którą zarobiliśmy?

Cukiernik wzruszył ramionami.

– Myśl globalnie, Norbert. Ziemia jest wielka. Jest jeszcze mnóstwo do zrobienia.

– O czym ty mówisz?

Marcinkowski westchnął.

– Chcesz być najbogatszym człowiekiem w Twierdzy? Ładny plan. Ale Polska to okruch na globusie. Twierdza zacznie się rozrastać, a my uczestniczymy w pierwszym, drobnym akcie tego procesu. Warto się przygotować na przyszłość. Na czasy, gdy Polacy opanują, powiedzmy, Europę.

Ciecierski się roześmiał.

– Godryk! To jeszcze trochę! Jest nas za mało!

Marcinkowski wygiął usta w dół.

– Bo ja wiem? Wyobraź sobie taką przyszłość: każdy Polak ma własny dom, działkę i poczucie bezpieczeństwa, bo nie ma już w Europie orków. Jedyne zagrożenie to wschodnia

granica.

– Wizja piękna, ale czy do zrealizowania?

– Chłopie, przed nami nowa przyszłość. Nowa rzeczywistość. Myśl szeroko, a nie w obrębie naszego kraju. Teraz *wszystko jest nasze*. Cała Ziemia. To tylko kwestia czasu, zanim ją posiadziemy. Czy nie warto być odpowiednio przygotowanym na tę okoliczność?

– Godryk, jesteś genialny.

– Zdrowie.

Znowu stuknęło szkło.

Tymczasem Zbigniew „Iks” Włóka oraz Piotr „Ramel” Koryś, ukryci w ciemności, przechadzali się wśród pól między Dworczykiem i Uroczyskiem, zastanawiając się nad swoją sytuacją.

– Mówię ci, że coś tu śmierdzi, Ramel – szepnął Włóka.

– No.

– Najpierw ten motocyklista, potem ta dziwna rozmowa między wojami Orłowskiego i naszymi szefami, ten Zbrojowiec... Nakryli nas, tylko jeszcze o tym nie wiemy.

– Dlaczego nas nie aresztowali?

Włóka wskazał brodą rozpościerający się za drogą obóz Zielonej Przyszłości.

– Wszczęcie sprawy oznaczałoby konfiskatę sprzętu najemników. Wtedy pielgrzymi nie dotarliby na Litwę i sprawa by się ryła. Woje mają dobre, kurwa, serca. Chcą najpierw doprowadzić wszystko do końca, a potem dobiorą nam się do dupy za cały ten handel. Mówię ci, Ramel, mam nosa. Ten statek tonie. Trzeba spierdalać.

– Ale... – Koryś spojrzął na siedzących przy oświetlonym stoliku Ciecierskiego i Malinowskiego.

– Jak ich zgarną, to nas sypną?

– No.

– Jak ich kropniemy, podejrzenie padnie oczywiście na nas...

– To co robić, Iks?

Następnych dwadzieścia pięć kilometrów, czyli do rozwidlenia dróg sto dwadzieścia siedem i sto dwadzieścia osiem, woje i najemnicy przejechali bez większych sensacji, a po kolejnych dwudziestu trzech minęli wieś Olkieniaki i zatrzymali się celem instalacji kolejnego przekaźnika. Noc już była pełna, a po obu stronach rozciągały się lasy, które w noktowizorach wyglądały jak czarodziejskie fosforyzujące knieje.

Cezariusz wyskoczył z Porewita, znalazł nieco powykrzywianą wierzbę i znowu wspiął się bez hałasu i komentarzy po pniu. „Chyba go polubię – pomyślał Orłowski. – Mardok by w tej chwili marudził i pewnie każdy inny facet musiałby podkreślić swoje poświęcenie jednym chociażby komentarzem. A ten gość robi to, co do niego należy, milczy i jest czujny. Dobry woj. Rzeczywiście kogoś takiego brakowało w Orłach. No i tego Górala. Uzupełnienia czasami się przydają...”

Spojrzął na ekran radaru i nakazał Podgórskiej sprawdzić teren w promieniu pięćdziesięciu metrów od wierzby.

– Zgud? – rzucił do tyłu.

– Jak na razie spokój.

Zerknął na Stawniak i Scorsese, zastanawiając się, czy ktokolwiek im powiedział, że takie akcje przeprowadza się nocą. Patrzyły uważnie na swoje ekrany, nie skarżąc się, ale z napięcia ich twarze Sergiusz wydedukował, że zachwycone nie są. Spojrzał na pokładowy zegar. Dwudziesta trzecia. Przejechanie stu dwudziestu kilometrów zajęło im dwie godziny, zgodnie z przewidywaniem. Na szybszą jazdę nie było co liczyć. Skutecznie spowalniały ich dziury w drodze, przystanki oraz fakt poruszania się w kolumnie. Ale to nie rajd.

Cezariusz wrócił do Porewita, zameldowawszy, że przekaźnik został zainstalowany.

– Do Wilna mamy czterdzieści kilometrów – nadał Orłowski. – Ostatni przekaźnik zainstalujesz na dachu uniwersytetu.

– Tak jest.

„Wciąż »Tak jest«, a nie »Tajest«” – pomyślał major.

Wydał rozkaz i ruszyli. Droga A4 pięła się na północny wschód wśród gęstych lasów i Orłowski nakazał Perunom loty zwiadowcze, a Zgudowi szeroki skan. Kapral nawet nie stęknął, choć musiał nadzorować lot czterech dronów w całkowitych ciemnościach.

Przez następne pół godziny jechali w milczeniu. Jeśli najemnicy o czymś dyskutowali, to na ichniejszym kanale. Brnęli przez kraj, który kiedyś tętnił życiem. Teraz był mroczną puszcza oświetloną tylko księżycowym blaskiem. W lasach kryli się dzicy, zbyt tchórzliwi, by zaatakować pancerny pociąg, którym był jadący główną trasą konwój. W niektórych siołach paliły się ognie, ale ogólnie Litwa sprawiała wrażenie wyludnionej i skulonej ze strachu.

– O co chodzi z tymi Litwinami, szefie? – Orłowski usłyszał głos Mardoka. – Strasznie tu pusto, a jesteśmy blisko Wilna. Więcej ich było wcześniej. Powinno być odwrotnie...

– Jak w... no, w tym mieście, gdzieśmy spotkali tego Zielonego bibliotekarza. – Zdzira nie mogła sobie przypomnieć nazwy i strzelała palcami w Dażbogu.

– Spotkaliście orka bibliotekarza? – spytał Deckard.

– Przemily gość – powiedziała Runa, a na amimicznej zwykle twarzy wyborowego zaszła dziwna przemiana.

– Kiedyś ci opowiemy – zapewniła Klaudia.

– Ja też chętnie posłucham – rzuciła Malik, pilnie skanując otoczenie.

– Tak, dziwne to jest – rzekł dowódca. – Może schronili się w miastach.

– Ale to by oznaczało, szefie – odparł Jary – że w Wilnie czeka nas...

– Huczne powitanie?

– Przed czym się schronili? – spytała Zdzira.

– O ja pier...! – krzyknął Ktara.

– Co się stało? – spytał Orłowski.

– Straciłem drona. Coś go... strąciło.

– Pocisk? Strzał?

– Nie, raczej nie strzał.

– Tu Wilczur, melduję, że coś widzę – rozległ się głos Juniora.

– Kurwa, co to jest?! – Siedzący w kabinie Peruna Wolf wskazał przelatujący przed kabiną śmigłowca olbrzymi kształt.

– Kurwa, co to jest? – powtórzył jego słowa Junior, zapewne nieświadomy tego faktu. – Jurassic Park?

– Pterodaktyl, ja pierdołę...

– Drugi! – zameldował Marcin Tritt, pilot Peruna „Krzemieńnej Pięści”. – Tu jest drugi! Zaatakował mnie, kurwa!

– Peruny, ognia – zakomenderował Orłowski. – Tylko uwaga, jesteśmy tu, na dole.

– Roger that – sapnął Tritt i razem z Podgrudnym wszedł we wznoszący wiraż.

Szczyrbowski szybko wystukał coś na klawiaturze i nagle radar Tura wychwycił nowe obiekty i umieścił je na mapie taktycznej.

– Widzę je – rzucił Junior. – Tritt, bierzesz tego na północy, ja swojego.

– Roger.

Junior zatoczył ciasny krąg i wtedy do ich uszu doszedł dźwięk będący połączeniem krzyku orła i ryku lwa.

– Strąćmy to, bo się zesram – warknął Wolf, kręcąc głową w poszukiwaniu przeciwnika tak mocno, że trzeszczały mu kręgi szyjne.

Wreszcie uchwycił stwora w podczerwony reflektor.

– Ja pierdołę! Że też Kaliny tu nie ma... – stęknął Podgrudny, a strzelec pokładowy odruchowo nacisnął spust i wysłał w stronę bestii świetlistą smugę.

– Widziałeś to?

– Nie zdążyłem.

Magda Stawniak i Ursula Scorsese także poszukiwały stworzenia, używając kamer podczerwonych. W pewnym momencie królewska bibliotekarka uchwyciła skrzydlaty kształt szybujący w pobliżu jednego ze śmigłowców. Błyskawicznie zrobiła najazd, wyostrzyła, zatrzymała kadr i przesłała fotografię dowódcy.

– Rany Swaroga – stęknął Orłowski i wysłał zdjęcie wszystkim w konwoju.

Padły ciężkie przekleństwa, każde w innym tonie. Nie były wyjątkiem załogi dwóch Perunów, które ujrzały na fotografii ptaszysko o skrzydłach pięciometrowej rozpiętości, szponach długich jak przedramiona dorosłego mężczyzny, a dziobie wielkości tułowia.

– Potwór! – stęknął Junior, ustawiając śmigłowiec w strzeleckiej pozycji.

Jednak ptaszysko, mimo rozmiarów, było zwinne i najwyraźniej rozumiało, że powinno unikać przodu Peruna. Wolf dogonił je kilka razy krótkimi seriami, ku lasom zaczęły opadać pojedyncze pióra, ale orzeł, kondor, czy cokolwiek to było, wciąż znajdował się w powietrzu i wciąż za płatowcem.

– Wkurwia mnie to – warknął Wolf i odpiął pasy.

– Co robisz?! – krzyknął Junior.

– Strzelę mu w ryj z włazu.

– Uważaj!

Tyszkiewicz przeskoczył nad fotelem, runął podczas wariackiego wirażu do przedziału pasażerskiego, przypiął się do relingu i odsunął właz. Do środka wtargnął huraganowy ciepły wiatr. Strzelec przeładował Visa i na ugiętych nogach przygotował się do otwarcia ognia. Zobaczył w noktowizorze wielki skrzydlaty kształt.

– Jesteś, sukinsynu...

Potwór był sprytny i usiłował zaatakować Peruna od tyłu i od spodu. Wolf wziął wdech, wycelował w środek tułowia, po czym błyskawicznie pięć razy pociągnął spust. Ptak ryknął, machnął lewym skrzydłem jak tancerz wykonujący dworski ukłon, przewrócił się w locie i zaczął spadać w furkocie zwiotczonych skrzydeł, jakby nagle usnął w powietrzu.

– Mam go! – krzyknął Wolf, zamykając właz i odpinając się od relingu.

Wskoczył do kabiny i przypiął się do fotela.

– Brawo – pochwalił go Podgrudny.
– Jak ten drugi?
– Kurwa! – wrzasnął Tritt. – Niech ktoś zrzuci mi go z ogona!
– Jesteśmy idiotami – mruknął Junior. – Powinniśmy na początku o tym pomyśleć. Oni powinni zapolować na naszego, a my na nich. To wynik nielatania w kluczu.
– Aluzju pania!, pilocie – warknął Orłowski. – Tritt, odsuń się od tego bydlęcia. Tygrys!
Sierżant Łukasz „Tygrys” Kowalkowski śledził drugiego orła od ładnych kilku sekund, zgłosiwszy, że jego wyrzutnia namierzyła stwora.
– Tajest! – krzyknął teraz, kręcąc wyrzutnią przy akompaniamencie wycia serwomechanizmów.
– Tritt, odskoczyłeś? – zawołał Orłowski.
– Tak, skurwysyn nawraca.
– Tygrys, ognia!
Kowalkowski uśmiechnął się z ulgą i stuknął czerwony przycisk spustu. Diabłątko huknęło płomieniem i wyskoczyło z prowadnicy szczęśliwe, że może odbyć swój dziewiczy lot. Warkocz ognia zatoczył łuk, po czym cygaro grzmotnęło w potwora, rozrywając go na strzępy.
Jeszcze chwila i nastała cisza, jeśli nie liczyć huku silników śmigłowców i pojazdów.
– Co to, do diabła, było? – spytał Orłowski.
– Na mój gust – odparła Stawniak – zmutowany duży drapieżny ptak.
– Zmutowany?
Bibliotekarka przesłała na jego ekran kilka fotografii.
– Panie majorze, ten ptak był większy od wszystkich występujących na Ziemi gatunków, ponadto kolor jego upierzenia... Niektóre zdjęcia robiłam bez podczerwieni... Uła, masz coś?
– Tak, ślę – odparła Scorsese, podsyłając kilka fotek.
– Więc, jak pan pewnie wie, nie ma drapieżnych ptaków o zielonym upierzeniu.
– Czy pani sugeruje, że to bydlę wzięło N-Gen?
– Albo preparat ten został mu zaaplikowany.
– No to się porobiło... – skomentował Mardok.
– Pawłowska – nadał Orłowski – pobierz próbkę z tego ptaka, który został w całości, i podrzuć do Tura. Kubala, przygotuj pojemniki. Zgud, monitoruj z góry. Podgórska, Ivanow w drugim Rujewicie i śmigłowce osłaniają.
– Tajest.
Cezariusz zjechał Porewitem z drogi i klucząc między drzewami, dotarł do miejsca wskazanego przez Orłowskiego na ekranie.
– Powinien być gdzieś tutaj – mruknął.
Widziany na radarze pojazd zatrzymał się, a siedzący w nim żołnierze wysypali się, tworząc krąg. Śmigłowce krążyły dookoła, drony zaś nad nimi. Orłowski przełączył jeden z ekranów na kamerę Alicji.
– Oko – rzucił do mikrofonu – zasłonić szyje i twarze, uruchomić kamuflaż.
Zobaczył na ekranie ikony potwierdzenia.
Kamera przymocowana do hełmu Pawłowskiej miała stabilizację, więc płynnie pokazywała zielony, świecący las. W końcu dziewczyna dotarła do truchła ptaka.
– Perunie, jaki on wielki...
Istotnie, bestia pokrywała swoimi skrzydłami ogromny obszar. Zwiadowcy rozbiegli się dookoła Alicji i przyjęli pozycje.

– Uwaga, w pobliżu jest polana – syknęła Zuza. – Nie lubię polan.

Pawłowska wyciągnęła nóż bojowy, zbliżyła się do olbrzyma i obeszała go od strony wielkiego łba.

– Dziób ma większy od mojej głowy...

– Pobierz tkankę z dowolnego miejsca – nakazał Kubala. – I ze dwa pióra.

– Szpon, jeśli to nie problem – dodał Zgud.

– Dobra, ale przedtem, kurwa, sprawdźmy puls. Przeraza mnie to ptaszysko. – Alicja zerknęła na Wampira. – Panie chorąży, czy mógłby pan upewnić się, że to bydlę nie żyje?

Gadziński bez słowa odwrócił się, przycelował z Tora i posłał trzy kule w okolicę serca ptaka.

Olbrzym ledwie podskoczył, tak wielka była jego masa.

– Dziękuję, dowódco.

– Niech moc będzie z tobą – odparł i powrócił do skanowania terenu.

– Oż w mordę – stęknęła Zuza – na tej polanie coś stoi.

– Zgud – rzucił Orłowski. – Sprawdź to.

– Tak jest.

Alicja usłyszała, jak nad jej głową przelatuje dron. Sama pochyliła się nad klatką piersiową potwora, wyrwała z niej z jakimś trudem dwa pióra, wycięła nożem kawał skóry i załadowała wszystko do foliowej torebki.

Tymczasem Orłowski śledził podczerwoną kamerę drona kierowanego przez Zguda. Pojazd przemknął nad dachem drzew i obniżył lot, zbliżając się do dziwnego obiektu.

– Rany Swaroga – jęknął, widząc wykonaną z drewna figurę przedstawiającą orkową mordę. W czaszkę posągu anonimowy rzeźbiarz wbił kilkanaście promieni: znak drogowy, lufę jakiegoś działa, trochę gałęzi i innych dziwnych podłużnych przedmiotów.

– Coś podobnego odkryli na Białorusi zwiadowcy Licha – szepnęła Kubala.

– Mają jakiś kult, czy co? – szepnęła Scorsese.

– To by był najwyższy czas – odparła Stawniak.

– Szefie – rzekł Fraydey, nie wiadomo, czy do Orłowskiego, czy do Gadzińskiego – od wschodu zbliża się duża masa.

Po chwili do uszu zwiadowców doszedł trzask gałęzi, rumor, tętent stóp wielkiego zwierzęcia, a potem dziwny niski pomruk.

– Wracajcie! – rozkazał Orłowski. – Orły, Pięści, najemnicy, ogień na prawą burtę. Strzelać na rozkaz.

– Tajest – padły potwierdzenia, a wieżyczki i działka całej kolumny skrzyły z jękiem serwomechanizmów w jedną stronę.

Członkowie Oka zaczęli się wycofywać w szyku, osłaniając tyły.

– Szybciej – szepnęła Zgud. – Już widzę, co powoduje ten hałas.

– Co to jest? – spytał Orłowski. – Orki?

– Nie, dowódco. To jest... mamut.

– Co?!

Ktara wrzucił na główny ekran zdjęcie. Przez polanę pędził owłosiony i najprawdopodobniej zielony gigant, który na oko mierzył od ziemi do garbu sześć metrów. Miał olbrzymie, podwójnie wywinęte ciosy i najwyraźniej złe zamiary.

– Oko! Prędej! – nakazał Orłowski. – Wszyscy ognia!

Okolicznymi lasami wstrząsnęły wybuchy, a mroczne drzewa zapłonęły od blasku ogni wydostających się z luf mniejszych i większych kalibrów. Słonisko zwolniło, ale uparcie

zmierzało do znajdującego się najbliżej Tura.

– Człowiek stara się być miły – szepnęła Kicia – ale czasami trzeba komuś nieźle przywalić. Przeciwpancerny.

– Tajest – odparł Sokół, ładując nabój do zamka i ryglując go. Chwycił dżojstiki i wycelował w centralną masę.

Skulona poniżej Wuwer przyglądała się z podziwem skupionej porucznik.

– Ognia – warknęła Gwara.

Swaróg krzyknął w noc. Mamut zachwiał się, ale nie przewrócił, chociaż prała w niego setka luf, zapalając sierść i wgryzając się w kości. W końcu jednak dał za wygraną i tknąwszy ciosem Tura, opadł na ziemię z głębokim westchnieniem.

– Bierzemy cios? – spytał Mardok.

– Zamknij się, barbarzyńco – warknęła Zdzira. – Szkoda zwierzęcia.

Orłowski zerknął na ekran i zorientował się, że wszyscy członkowie Oka są już w Porewicie.

– Oko na miejscu? – upewnił się.

– Tajest – rozległ się głos Wampira.

– Wszyscy naprzód – rozkazał i wyznaczył trasę. – Nic nie zabieramy. Kubala, Zgud, Stawniak, Scorsese, przydałyby się wyjaśnienia, z czym mamy do czynienia.

Najwyższa komendantas Wilna, Annas Kucharzałskas Giedyminas Petrauskas Kurwinas ecce Kutauskas, była orczycą dzielną, niezłomną i dobrze zorganizowaną. Zawsze nosiła na głowie kucharską czapkę, pod nią zaś wojskowy hełm, zawsze miała przy sobie dwa naleśniki oraz komplet tasaków i zawsze, ale to zawsze, sikała po nogach. Dlaczego? Bo nie ma czasu na pierdoły!

Wszystko zaczęło się w 1932 roku, kiedy w Wilnas pod prezesurą Aleksandra Dmochowskiego powstało Towarzystwo Przyjaciół Ogrodu Zoologicznego, które w 1936 roku wykupiło pięć hektarów ziemi na Antokolu, w lewobrzeżnej części miasta, aby przenieść tam i rozwinąć niewielkie zoo. Projekt ten jednak zniweczył Hitleras i jego, kurwinas, wojna, a potem przez wiele lat stolica Litwas nie miała, przepraszam, nie miała ogrodas zoologicznas. Na nieszczęście (no tak, w sumie nieszczęście) w roku 2027 reaktywowano ideę zoologu, ale nie w Antokolu, lecz na południe od Wilna, w dzielnicy znanej jako Wilcza Łapa. I tak oto w roku trzydziestym Wilnas szczyciło się jednym z najnowocześniejszych przybytków tego typu na świecie. Gdy nastał Kolaps, większość klatek w ogrodzie otwarto, żeby skonsumować zwierzęta, ale najsilniejsze tudzież najszybsze okazy uciekły, a wiele z nich, kierując się zapachem karmy, instynktem czy może innym jeszcze zmysłem, trafiło przez liczne mostki do położonej w Leszczyniakach, po drugiej stronie Wili, farmy Walerii Repnin. Tam, o czym w owym czasie nikt nie wiedział, Repnin, ogarnięta naukowym szałem, nie tylko eksperymentowała na typowej dla agroturystyki trzodzie, ale przygarniała też tygrysy, lwy, słonie, żyrafy i wszelkie inne żywe stworzenia, a następnie podawała im N-Gen, tworząc niezniszczalną armię potworów.

I wszystko było pod względną kontrolą, bo, jak wiemy, Waleria zgromadziła spore siły orków pomagających jej na egzotycznej farmie, dopóki przez Litwę nie przetoczyła się przerażająca Wielka Flota Wszechrusi. Zdzięsiatkowała ona ludność miasta, powołała do służby mnóstwo porządnych orków, w tym Walerię i jej armię, a wiele jej zwierząt wysłała do rosyjskiego cyrku. Najsprytniejsze wymknęły się jednak z ruskich szponów i pochowały w kniejach. Gdy Flota odeszła na południe, ocalali wilnianie – w zasadzie wyłącznie orczyce oraz dzieci – mozolnie

starali się odbudować życie w stolicy. I nawet jakoś im to szło, ale wtedy spadła na nich kolejna plaga – potwory Walerii.

Miasto zaczęły odwiedzać zielone bestie i siać postrach, a nie oszczędzały nikogo: ni dziecka, ni kobiety, ni mężczyzny, którego traktowały jak rarytas, był to bowiem okaz w Wilnie niezwykle rzadki.

Dzielne wileńskie orczyce nie poddały się jednak i zaczęły organizować obronę przeciwko rosnącym szeregom bestii, z których nie wiadomo było, co gorsze: wielkie jak pół domu niedźwiedzie, oszalałe owłosione słonie, podobne do gryfów lwy, aligatory długie na dwadzieścia metrów, węże zdolne w straszliwym uścisku zgnieść budynek, ptaszyska nierozpoznawalnych gatunków, które potrafiły spaść z nieba i zawalić dach posesji, czy hipopotamy podstępnie wyskakujące z rzeki i zżerające pięć orczyc naraz. Ale żadna z Zielonych się tym nie przejmowała. Tydzień po tygodniu i miesiąc po miesiącu powstawały sklecone z desek zapory, potem zręby murów, pierwsze systemy obronne z garów i kotłów, by wrzątkiem polewać szturmujące miasto bestie, czy wielkie sieci, zawsze ozdobione frędzelkami na brzegach, do krępowania zielonej fauny, a każda wojownicza stała się mistrzynią w rzucaniu kuchennymi nożami, władaniu tasakiem, wałkiem do ciasta i innymi dostępnymi w gospodarstwie domowym utensyliami. Co ciekawe, społeczność Wilnas zakazała pozostałym przy życiu samcom parać się wojennym rzemiosłem i otoczyła ich nie tylko czułą opieką, ale i strażą. Byli to rozplodnicy Wilnas, cenieni przez stołeczne samice nad życie.

Po kilku latach zażartej obrony przed zielonymi zwierzętami, które rozprzestrzeniły swoje geny, mnożąc się niczym króliki, Wilno stało się miastem twierdzą nazwanym w pewnym momencie Dżurasik Parkiem, zupełnie bez sensu zresztą, bo Dżurasik Park był dookoła, a nie w grodzie, gdzie zahartowane w boju orczyce oraz uczone przez nich młode pokolenie Engelsów stawiały czoło zielonej rzeczywistości. Co więcej, dżurasikparczanki stały się mistrzyniami kamuflażu i ucieczki, a to z kolei ze względu na Flotę, która czasami zahaczała o miasto. System wczesnego ostrzegania powodował, że mieszkanki (i nieliczni mieszkańcy) miasta znikwały w kanałach i przechodzące przez stolicę ruskie patrole nie miały co chędożyć. Ku swojemu niepomiernemu zdziwieniu oczywiście, bo dookoła umocnienia, maszyny obronne itepe, a żywego towaru – jak na lekarstwo. We Flocie ruskiej powstało wreszcie przekonanie, że Wilnas jest miastem duchem, a ostatecznie podwładni Rasputina przestali odwiedzać gród, bo stał się strefą niedostępną z powodu rosnącej liczby dzikich zielonych zwierząt.

I tylko tajemniczy wojownicy, którzy zwali siebie Turokami, pojawiali się czasem na obrzeżach Wilna z dziwnym postanowieniem zapolowania na szmaragdowego zwierza, ogólnie zastrachani i mocno wstawieni, a zawsze z rurą wbitą w czachę. Niekiedy podwładnym Kucharzałskas udawało się złowić takiego zucha i zamienić w rozplodnika, częściej jednak nieszczęśnicy ci stawiali się pokarmem dla byłych milusińskich Walerii i ślad po nich ginął.

Tej nocy komendantas nie spała, tylko obchodziła mury miasta, sprawdzając, czy wszelkie umocnienia i barykady są należycie obłożone wojowniczkami, czy ognie płoną pod kotłami i czy maszyny rzucające sieci są dobrze posmarowane olejem. Nagle usłyszała grom dochodzący z południa.

– Komendantas! – krzyknęła jej wierna adiutantka Edytas Izabelas Rudolfas zwana Śpiewaczką, przysadzista i niebywale silna orczyca nosząca na masywnych barkach naramienniki z durszlaków, na plecach tubę, znaczy instrument dęty blaszany z grupy aerofonów ustnikowych, a na głowie garnek firmy Ambition z linii „Stone”. Uwielbiała ten garnek oraz kabel od żelazka, którym owo utensylium wiązała pod mocarną paszczką, najbardziej jednak

cenila dwa japońskie tasaki firmy Sunnecko, które nosiła zatknięte za szeroki pas.

Krzyknęła zatem potężna Rudolfas: „Komendantas!” i wskazała swoje ucho przetknięte przez uchwyt garnka Ambition, a potem dach pobliskiej granicznej kamienicy, na który prowadziła Drabina Szybkiego Wchodu i Szybkiej Ewakuacji, w skrócie DSWSE.

– Wejdzim, zobaczym! – oznajmiła Śpiewaczka, która przed przemianą była erudytką tudzież literaturoznawczynią. Panas Bogas najwyraźniej pokarał ją za mądrzenie się w ludzkiej powłoce i teraz Rudolfas nie potrafiła sklecić najprostszego zdania. Mimo to doskonale radziła sobie w walce, a i instynkt jakowyś posiadała graniczący z szóstym zmysłem, dlatego Kucharzałskas lubiła ją mieć przy sobie.

Poza tym ten garnek. Cudo.

No i śpiew.

Wbiegły orczyce po drabinie na dach i spojrzwały na południe, ku drodze A1, która przechodziła między byłym terenem zoo a przerażającą farmą Walerii, gdzie wyroiły się wszystkie zwierzęce potworności. Było ciemno, jak zwykle nocą dookoła Dżurasik Parku, ale tam błyskało i huczało.

– Turok, komendantas? – spytała Rudolfas.

– Niet, Rudolfas. Nie Turok – odparła Kucharzałskas i poprawiła czapkę kucharską na łbie. – Dawaj lornetas. – Stuknęła orczyce w umięśnione biodro.

– E?

– Szkiełko magiczne.

– A.

Rudolfas pogrzebała w obszernej torbie, którą zawsze nosiła ze sobą, i wyciągnęła lornetę o jednej sprawnej lunecie, szkiełko drugiej bowiem zbiło się o pancerną pieprzniczkę Cylinda Line, którą Rudolfas trzymała w torbie jako broń ostateczną.

Kucharzałskas przytknęła lunetę do oka i spojrzała w dal. Drgająca ciemność widoczna w szkle co chwila rozbłyskała salwami.

– Walą z wielu luf. To jakaś wataha – warknęła.

– Ruskie, komendantas? – spytała Rudolfas.

– Na pewno.

– O kurwas! Nie było... ich już... ze dwa... roki!

Kucharzałskas spojrzała z podziwem na podopieczną. Takie długie zdanie? To pewnie przez podniecenie, bo znad ciała Rudolfas zaczęły się unosić znane komendantas zielone opary. Rudolfas ogólnie była dziwna.

– Tak, długo ich nie było.

– Kryje... mysie?

Kucharzałskas rozejrzała się po okolicznych dachach. Obsada była słaba, bo w nocy zwierzęta zachowywały się spokojniej. Obrończynie miały jednak jeszcze co najmniej dziesięć minut, żeby zgromadzić się przy południowej bramie.

– Nie. Nawet jeśli to większa wataha, zanim dobrną do Dżurasik Parku, połowę zeżrą dinożarły.

– No zeżrą.

– Dmij, Rudolfas.

Adiutantka kiwnęła łbem, po czym zdjęła z pleców instrument i... I tu należy zatrzymać się celem rozpatrzenia anatomii Zielonych. Jak pamiętamy z przykładu Kościeja, który dmuchał na oparzone przedramię, trzymając je na wysokości oczu, Engelsi mieli skutek swoistej

akromegalii potężne zuchwy, z których wystawały solidne kły oraz czwórki, także zaostrome. W sumie cztery stożki wyłazące nad górną wargę. Dolna warga, chociaż mięsista, wysadzona była zazwyczaj mocno do przodu, a u niektórych osobników wystawała na tyle, że nie stykała się z górną, i ork taki miał w gębie nieustanny przewiew, zatem ozór mu często wysychał, a i głos miał grubszy. Badacze typy te opisują jako „mlaskające”, „oralne” lub „kaczuchowate”, ze względu na to, że niechlubny lider Twierdzy także w gębie ozorem lubił grzebać. Tak czy owak, nietrudno spostrzec, że wszelkie instrumenty dęte blaszane były dla Zielonych absolutnie niedostępne. Kształt ustnika i konieczność charakterystycznego pierdzenia weń wargami całkowicie wykluczały zastosowanie... ustne.

Był jednak w organizmie Engelsów drugi, niewiele różniący się od ludzkiego organ, w sumie nawet do ust podobny, a dzięki cudownemu zrządzeniu losu wręcz do pierdzenia stworzony. Nie wszyscy Zieleni odkryli, że instrumenty dęte blaszane mogą być używane od drugiej strony, o, nie wszyscy. Z dotychczas zebranych danych wynika, że na pomysł ten wpadły tylko inteligentne obrończynie Dżurasik Parku. Niektóre z nich tak biegle stosowały wargi przeciwpołożone do emisji sygnałów ostrzegawczych na trąbach różnego rodzaju, że zostały mianowane Śpiewaczkami. Takim właśnie wirtuozem była Rudolfas.

Przyjęła zatem pozycję dmącą, zawinęła bobrze skóry okrywające miejsce, gdzie – jak pisze Tuwim – plecy tracą swą szlachetną nazwę, upewniła się, że ustnik (czy aby na pewno ustnik?) przylega bez szczelin, nadęła się, zielone opary poszły z jej czaszki tudzież uszu... i jak nie zaśpiewa!

Historycy twierdzą, że ani mityczne rogi Rohanu, ani trąby jerychońskie, ani nawet róg Hajmdala nie mogłyby się równać z wywołującym ciarki na plecach zewem dzielnej Edytas Izabelas Rudolfas. Tuba ryknęła tak gromko, zaatakowała tak niskie rejestry, że weszła w infradźwięki i przeniknęła przez mury, budząc mieszkańców Wilna i wywołując w nich przerażenie, bo tak działają infradźwięki na psychikę zieloną, różową i żółtą. Wiecie, coś jak halny.

– Szefie, słyszałeś? – nadał Mardok do Orłowskiego, który, chociaż kolumna ostrzeliwała się na lewo i prawo, atakowana przez zwierzęta znane i nieznane, usłyszał zew Rudolfas, a częstotliwości sygnału wywołały w nim ukłucie niezrozumiałego strachu.

– Tak. I widzę.

Major przesłał dowódcom zdjęcie Wilna. Na dachach miasta płonęły ognie i przybywało zielonych sylwetek.

– To nie będzie spacer po parku – odezwał się Szczygło.

– Niestety nie – odparł Orzeł.

– Fantastycznie – nadał Kula, który podczas walki ze szturmującymi konwój zielonymi wilkami i bobrami nie wskoczył na pancierz żadnego pojazdu, ale włączywszy łańcuchową szablę, odskakiwał w bok, ciął, po czym przyskakiwał do kolumny i trzeba przyznać, miał doskonałą skuteczność, bo o ile kilka kul nie hamowało bestii, to odcięty łeb już tak.

– Obawiam się, majorze – odezwał się Orłowski – że nie podzielam pańskiego entuzjazmu...

– Jestem! – wrzasnęła wojowniczo Monikas Nowajtis zwana Chomikiem, bo uwielbiała te zwierzęta jako człowiek, a jako orczyca całą swoją kolekcję schrupała, przygotowując pieprzem,

solą, szczypiorkiem i rzeżuchą.

Krzyknęła zatem „Jestem!” i wyprężyła potężną pierś, stając obok Kucharzałskas i Rudolfas. Spojrzała na południe i spytała:

– Ruskie?

– Nie może być inaczej – odparła Kucharzałskas. – Rudolfas. – Spojrzała na Śpiewaczkę. – Nadaj sygnał, żeby wojowniczkę obsadziły dachy.

– Tak jest, komendantas – warknęła Rudolfas i wyśpiewała kilka taktów, od której to pieśni drgały ułamki szyb w oknach, rzeziły rynny, a papa zwiłała się na dachach.

Ulice Wilna rozświetliły się pochodniami, zaroiło się na nich od obrończyń, zaskrzybiały drabiny DSWSE, a i chlupot doszedł do uszu komendantas, gdy wilnianki zaczęły wlewać wodę do kotłów zawieszonych nad ogniskami. Kucharzałskas popatrzyła przez lornetę na południowe, najwyższe w mieście barykady na idącej wzdłuż rzeki drodze Goštauto i odchodzącej od niej na wschód Geležinio Vilko. Dachy w ich pobliżu zostały już obsadzone. Dobrze. Wilnianki, organizując lata temu obronę miasta, zdecydowały, że ogrodzą tylko ściśle centrum, i mozolnie postawiły zagrody, płoty i barykady wokół czegoś, co z lotu ptaka przypominało nieco jęczyzek z tyłu podniebienia, przy czym podniebieniem była rzeka Wilia dostarczająca ryb oraz wody. „Damy popalić tym Ruskim – pomyślała mściwie Kucharzałskas – o, damy. Ale przedtem dadzą im popalić dinożarły”.

Kocur i Tytan parły do przodu niczym zdwojony taran wielkiego okrętu. Wieże obu czołgów rotowały, pilnując swoich sektorów, a operatorzy działek Siwa, czyli Flaszka oraz Pan Rudolf, jak załoga Swaroga nazywała podobnego do Raczkiewicza olbrzyma o jowialnej twarzy i pokaźnym brzuszku, grzecznie dogrzewali grube lufy, spowalniając szarżujące na nich zielone bestie, zanim uciszyły je potężniejsze działka Mecha, Marzanny, Tura czy Dażboga. Orłowski nakazał, by z czołgowych dział strzelać tylko do niedźwiedzi i mamutów. Zarówno Tytan, jak i Kocur kilka razy grzmotnęły, powalając te potężne zwierzęta, ale wcale ich przez to nie ubywało. Przeciwnie, zbierało się coraz więcej.

– Mam teorię – krzyknął Tygryzek prowadzący Kocura.

– No? – odezwała się Kicia.

– Ładnie dla nich pachniemy! Zachowują się jak Zieleni!

– Masz rację – jęknęła Gwara. – I wydawało nam się, że to fajnie, że nie ma orków!

– Nie ma. Zjadły je te bestie – mruknął Sokół siedzący obok Kici. – Szefowa, pepanc, zapalający, burzący, odłamkowy?

– Żadnych odłamkowych, tam szaleje Kula. – Wskazała dowódcę Pięści, który nieodmiennie podążał w Trojanie wzdłuż kolumny. – Burzący.

– Tajest – odparł ładowniczy, obrócił się do magazynu z tyłu wieży, wyciągnął pocisk i załadował go do pływającego w górę i w dół zamka. – Gotowy.

Kicia spojrzała na otaczające ją ekrany.

– Szefie? – odezwała się do Orłowskiego na kanale dowodzenia. – Jakies gównno skądś, gdzieś?

– Duża masa na trzeciej, pewnie mamut, dwieście metrów.

– Nie widzę, kurwa...

– Jest! – krzyknął Sokół i używając dżojstika, skierował wieżę w stronę szarżującego potwora.

– Gotów! – oznajmił, namierzywszy łeb stwora kołyszający się w lewo i w prawo podczas pijanej

szarży.

– Ognia!

Sokół wcisnął spust i Kocur wrzasnął basowo, wyrzucając z kanciastej lufy potężny ładunek. Pocisk grzmotnął w środek czaszki, przebił ją i wgryzł się w mózg bestii, ta zaś – nagle oślepiąca – potknęła się, zwała na kolana i przez kilka metrów sunęła wśród krzewów i drzew.

– Kurna, taki cios to majątek – stęknął Tygrzyk. – Nie można by potem po nie wrócić?

– Ta, wrócisz – warknęła Kicia. – Módl się, żebyśmy my wrócili z tego piekielka. Sokół, burzący.

– Tajest.

Orłowski spojrział na mapę i marszrutę kolumny, która miała jechać wzdłuż rzeki. Ognie na dachach i coraz większy ruch w mieście sugerowały, że zbliżają się do czegoś w rodzaju twierdzy. To było logiczne – bestie wyczyściły teren z orków, zatem Engelsi skryli się za murami. Ergo, oni nie wjadą do Wilna bez przeszkód.

– Może ominąć miasto? – spytał Siekierzyński.

– Pani Wuwer? – nadał Orłowski do przewodniczki. – Co pani na sugestię ominięcia miasta?

– Może być ciężko – odpowiedziała ze Swaroga. – Podejrzewam, że drogi będą zdewastowane. Przejazd przez miasto jest najpewniejszy.

– Zgadza się. Poza tym mam wrażenie, że te zielone zwierzęta nam pomogą.

– W jaki sposób? – spytał Witek.

– Wywołają tam chaos. Wilczur, Troll – zwrócił się do załóg śmigłowców – zróbcie tu zwiad.

– Zaznaczył trasę. – Meldujcie o przeszkodach.

– Tajest – potwierdzili piloci.

Płatowce przestały strzelać do otaczających kolumnę bestii i pomknęły do przodu.

Wilno wyglądało z kabiny Wilczura jak wybudowana w dżungli twierdza. Ognie na dachach, jakieś urzędnictwa, drabiny prowadzące na szczyty budowli, drabiny i liny przewieszane między dachami, mnóstwo kościelnych wież podświetlonych ogniami od spodu i ze środka niczym magiczne budowle, z których we wszystkie strony rozciągały się powietrzne mosty i chodniki... Starówka Wilna przypominała bardziej wiszące miasto w dżungli niż serce sakralnej architektury.

– O w mordę – stęknął Wolf i przesłał fotkę na komputer dowódcy.

Ten przesłał ją dalej.

– Zgud? – rzucił.

– Wilno to miasto kościołów. Ponad czterdzieści katolickich i ponad dwadzieścia prawosławnych plus kilka meczetów, w sumie około siedemdziesięciu budowli, a każda posiadająca po dwie wieże... Szefie, to wiszące miasto.

– Tak mi się też wydaje – zameldował Junior.

– Podlećcie bliżej – nakazał dowódca.

– Roger that – odparł Podgrudny i napał na drążek.

Dwa płatowce przyspieszyły i po chwili znalazły się nad rozwidleniem dróg prowadzącym do twierdzy. Obie szosy były zagrodzone wysokimi na kilka metrów barykadami z drewna i gruzu.

– Szefie, mamy problem – zameldował i przesłał fotkę.

– Tak myślałem – odparł Orłowski i połączył się z Siekierzyńskim, przesyłając zdjęcie przeszkody. – Wituś, twój Gejtofhell się przyda. Przydzwoń w barykadę po lewej, na tej drodze obok Wilii. Tak żebyśmy wszyscy przejechali.

Szaman chwilę milczał, oceniając wielkość przeszkody.

– Już, Serż. Zatrzymaj kolumnę, bo tu jest tyle dziur, że nawet pływające działo niewiele da. Daj nam dwadzieścia sekund.

– Robi się.

Orłowski wydał rozkaz i wszystkie wozy zaczęły zwalniać, po czym stanęły, zakołysały się i smugi wystrzeliwanych pocisków wgryzły się w tuman pyłu wzniesiony przez opony i gąsienice.

W tym czasie pod pancernem Jaryła załoga uwijała się, jakby od szybkości jej ruchów zależało ludzkie życie. Bo zależało.

– Pocisk BK-14 – zakomenderował Szaman.

Mojesz wcisnął klawisz załadunku i automatyczna suwnica, szczękając żelazem, pobrała pocisk. Rzucił się do ostrego zakończenia ładunku i aktywował zapalnik. Wcisnął drugi przycisk i suwnica agresywnym ruchem wprowadziła pocisk do poznaczonego żółto-czarnym deseniem zamka. Mojesz wcisnął kolejny przycisk i suwnica załadowała do lufy ładunki zapalające, po czym zamek się zatrzaskał. W tym czasie Szaman wydawał dyspozycje Diabłowi, który podnosił lufę i śledził na monitorze przewidywaną trajektorię pocisku.

– Dobra, mamy to. Ognia! – rozkazał Siekierzyński.

Piotruś wcisnął guzik zapłonu i Gejtofhell wysłał pocisk w niebo przy akompaniamencie apokaliptycznego huk.

– Uwielbiam ten dźwięk – zapewnił, szczerząc zęby, Jacenty.

– Drugi niżej! – wydał rozkaz Szaman i załoga powtórzyła manewr, ale tym razem Diabeł mocno obniżył lufę.

I Jaryło znowu wysłało pocisk z piekielnym wrzaskiem.

Załogi wiszących kilkaset metrów na prawo od barykady Perunów czekały na efekt palby z haubicy. W pewnym momencie zobaczyły błysk, jakby podwójny, po czym – wyraźnie już – dwie sferyczne fale uderzeniowe rozchodzące się od słonecznej kuli, w którą zamieniła się przeszkoda. Kula wyrzuciła odłamki mknące promieniście po płaskich krzywych. Wreszcie usłyszeli z wielokrotnionym echem huk i śmigłowce zakołysały się. Z barykady pozostał wznoszący się ku niebu grzyb kurzu i dymu.

– Pierdolnęli podwójnie – zawyrokował Wolf i wyszczerzył ostre kły. – Uwielbiam chłopaków z Gejtofhella.

– Wilczur? – rozległ się głos Orłowskiego. – Jaki efekt?

– Pociski w celu – odparł Junior. – Na razie za dużo dymu i kurzu, spróbuję w ultrafiolecie. – Przełączył czujniki noktowizorów. – Nie, nic nie widać. Ale jak na mój gust, będziecie mogli przejechać.

– Junior, twój gust każe ci kochać pająki. Muszę wiedzieć na sto procent.

- Roger that. Podlecimy i zmieciemy kurz wirnikami.
- Zgoda.
- Troll, osłaniaj mnie – nadał Podgrudny do Tritta.
- Tajest.

Śmigłowce ruszyły, a kapitan kątem oka zobaczył, jak kolumna, wciąż ostrzeliwując się, powoli się rozpędza i skręca w lewo. Perun obniżył lot i dokładnie już było widać Zielonych skaczących po dachach, biegających po linach i powietrznych chodnikach. Dalej kołysały się jakby żurawie zwieszające nad czarną rzeką długie sieci. Wszędzie wisały liny, wznosiły się drabiny, kołysały mostki.

– Uwważaj – odezwał się Wolf do pilota – oni tam do nas z czegoś celują. Wygląda jak duży łuk.

Nagle obok kadłuba Wilczura świsnęła długa, ciężka dzida.

– Sorry, panienki – warknął Tyszkiewicz, a potem nadał do Orłowskiego: – Szefie, tu Wolf. Mają urządzenia pelot, pewnie do walki z tymi zielonymi orłami. Dość groźne, takie jakby balisty.

- Strzelają do was?
- Tak.
- Odpowiedzieć ogniem. Strzelać bez rozkazu.
- Tajest.

Wolf spojrzął na obsadę pobliskiego dachu, a razem z nim obróciło się tam wielolufowe działko Kikimora. Strzelec nacisnął spust i śmigłowiec zadrżał, a w stronę Engelsów pobiegły gęste strugi żywego ognia, który wgryzł się w dachówki, rozpruł balistę, a potem posiekał kocioł z wrzątkiem i skaczące na wszystkie strony orki.

- Troll, osłaniaj – Junior nadał do Tritta. – Będę rozganiał dym.
- Roger that.

Wilczur przesunął się w stronę dymu, który wznosił się z rozwalonej barykady. Junior prowadził maszynę ostrożnie, wiedząc, jak groźna jest sadza dla silnika płatowca. Jednak dym ustępował i zaczął ukazywać krajobraz pod spodem.

– Widzę – zameldował. – Jest przejazd, trzy metry szerokości. Wszystko powinno się zmieścić.

- Okej – odezwał się Orłowski. – Ubezpieczajcie nas od drugiej strony.
- Roger. Troll, ja osłaniam kolumnę, ty osłaniasz mnie.
- Tajest.

Wilczur zaczął zataczać kręgi wokół rozbitej barykady, a jego załoga pilnie skanowała okolicę, Troll zaś oddalił się i przeczesał dalsze tereny.

– To jakiś Jurassic Park – odezwał się Tritt. – Liany, mostki... Wygląda to tak, jakby oni w ogóle nie mieszkali na dole.

– Taa... Wilczur do Orła – nadał Junior – widzę wielką masę zwierząt przemieszczającą się razem z wami. Chyba was wyprzedzają...

- Widzę to, Junior – odpowiedział major. – Najwyraźniej od dawna miały chęć na zieleninę.

Istotnie, wzdłuż jadących drogą pojazdów wojskowych i cywilnych biegły stwory rozmaitej wielkości, ale chociaż sporadycznie atakowały konwój, większe zainteresowanie okazywały otwartym miastem.

Tygrzyk wpatrzył się intensywnie w ekran przedstawiający widok przed czołgiem. Barykada była rozwalona, a w miejscu eksplozji powstał jedynie niewielki lej, ale osypisko z obu stron było niebezpieczne.

– Kicia – nadał na kanale wewnętrznym – trochę zatrzęsie. Lukajcie na boki, czy się nie osypuje.

– Nie zatrzymuj się, tylko pruj do przodu. Sokół, zapalający.

– Tajest – odparł Sebastian i sięgnął po nabój.

– Flaszka, wal bez pytania.

Raczkiewicz przełożył cygaro z jednego kącika ust do drugiego i mrugnął do Gwary, z ukontentowaniem przypalając je.

– To ja lubię! I palić wolno, i przypierdolić. Mmm!!!

– Pani Wuwer – zwróciła się Gwara do najemniczki – przejedziemy przez to Wilno?

Najemniczka spojrzała na ekrany czołgu.

– Przejedziemy. – Uśmiechnęła się. – Mów mi Monika.

Na lewo od nich sunął Tytan z Panem Rudolfem na wieżyczce.

– Flaszka – rzucił do Orła – ty patrzaj w górę, proszę ciebie. W górę. Z dachów będą walić.

– Dzięki, łaskawco...

Słowa woja zagłuszyła kanonada działka Rudolfa, który skulił się, nadał policzki i zaczął się zataczać na grubym zadzie, jakby był żeglarzem trzymającym kurczowo szot foka. Raczkiewicz obrócił się w tym samym kierunku, gdy na pancierz Swaroga z okien pobliskiego domu posypały się cegły.

– Oż w mordę! – krzyknął. – Szefowo, poproszę zapalający w najwyższe piętro, godzina trzecia. To osłoni też następne wozy.

– Sokół – warknęła Gwara.

Blondyn bez słowa obrócił wieżę pojazdu i uniósł lufę.

– Skąd szefowa wiedziała, żeby załadować zapalający?

Kicia nie odpowiedziała.

– W celu – chrypnął.

– Ognia.

Swaróg ryknął niczym smok i w tym momencie na najwyższym piętrze kamienicy rozszalało się piekło. Orki zaczęły skakać przez okno, płonąc niczym meteory, a Flaszka i Rudolf ścinali je w powietrzu jednego po drugim.

– Szefowo – odezwał się Raczkiewicz.

– Hm?

– Jakoś mi dziwnie, bo to są chyba wyłącznie... kobiety.

– Co?

– Orczyce. Ani jednego samca nie widziałem.

– Co ty pierdolisz? Jak je rozróżniasz?

– No jak mają kokardki przy uszach albo aksamitki na szyjach, to raczej panienki, co?

– Miałem takąż samą obserwację – zapewnił Pan Rudolf.

– Proszę o zgodę na zejście ze Swaroga – odezwał się na ogólnym Samul, wierząc się w koszu Kocura.

– Proszę o to samo – rzekł Szabla Pokojski, a za nim Vista Rawiński.

– Zeskakujcie – odparł Orłowski.

– No! Rłokiet plynie w młoiach żyłach! – wrzasnął Dariusz i z radości wywinął salto, zanim

wylądował z hukiem na zakurzonej gruncie.

– Dobry jest – orzekł Szabla, zeskakując z jadącego obok Tytana, a Vista, odłączający się od Dażboga Pięści, który także minął już barykadę, tylko gwizdnął.

– Dobra, panienki – powiedział umazany zieloną posoką Kula, przebiegając przez gruzowisko.
– Jest nas teraz czterech Zbrojowców, przy czym tylko Szabla i ja mamy broń do walki wręcz, więc dzielimy się na pary. Tyłowy osłania z Marchołta, przedni jedzie szablą. Ja idę do Samula, Pokojski z Vistą.

– Tajest – odparli unisono.

– Zbrojowcy – rozległ się głos Orłowskiego – przydzielam wam drona. Zróbcie zwiad na poziomie gruntu, ale nie oddalajcie się więcej niż o jedną przecznicę. Żadnych samotnych szarż. Tu zwracam uwagę sierżantowi Pokojskiemu. Raz to zrobisz, chłopie, i urwę jaja. Zrozumiano?

– Tajest...

– Nie „Tajest”, kurwa twoja mać, tylko „Tak jest, panie majorze”. Powtórz.

– Technicznie...

– Powtórz, gówniarzu – ponaglił go Kula – bo mnie już ręce świerzbią.

Szabla spojrzał zdziwiony na przełożonego, zaciął usta, po czym zamknął wokół głowy ciężki hełm i zagrzmiął:

– Tak jest, panie majorze!

– Lepiej – rozległ się głos Orła. – Do roboty.

Pozostali Zbrojowcy zamknęli hełmy i ruszyli do przodu niczym głodne wilki. Tymczasem kolumna przepływała przez rozwaloną barykadę jak strumień przedzierający się między kamieniami, a razem z nią wbiegały do Wilna większe i mniejsze zielone stwory: wilki, wielkie kuny, olbrzymie szczury, zielone rysie, czasami ogromne łosie czy konie – zawsze ranne, zawsze broczące seledynową krwią, bo woje ostro do nich przygrzewali, ale nieustannie dążące do miasta.

Batalion „Krzemienna Pięść” przejechał już cały, a Orły były w połowie po drugiej stronie barykady, gdy Orłowski dał rozkaz:

– Nie strzelajcie już do zwierząt, chyba że was zaatakują. Pozwólmy im wbiec do Wilna. W tej chwili to nasi sojusznicy.

– Wreszcie – odezwała się na ogólnym Zdzira. – Nie znoszę takich polowań.

– To oni nas atakowali – odparł Mardok siedzący wraz z nią i innymi piechociarzami w Dażbogu Klaudii.

– Nie oni, tylko one – odgryzła się Frenkiel.

– Musimy tu siedzieć? – spytał Deckard. – Przydalibyśmy się na zewnątrz.

– Poczekaj, wyborowy – uspokoiła go Wiechucka. – Jeszcze się nabiegamy.

– Ja go rozumiem – mruknął Jary. – Też bym rozprostował nogi.

– Masz krótkie, nie narzekaj. Runa to dopiero ma kłopot – dogryzła mu Zdzira.

– Naprawdę nogi u facetów mają takie znaczenie? – spytał Mardok z nadzieją, że ktoś zaprzeczy.

– Podstawowe – dobiła go Zdzira.

– Na prawo, Kalina! – krzyknęła Heintze dowodząca pojazdem.

– Widzę! – Malik wcisnęła spust i działka Sobieski zagrzmięły jak bojowe kotły, wyrzucając ciężkie pociski.

– Mogliby drogi naprawić – mruknął Lenny, skręcając raz w lewo, raz w prawo. – Dziura na dziurze.

- Przez to twoje kręcenie nie mogę celować – odezwała się Kalina.
- Wolisz, żeby wszystko podskakiwało?
- Nie, wolę kręcenie...

Nikolaj Kasprzykowski, były Turok wysłany przez nieufnego Króla Słońce do Wilna za pomocą przerażającego aktu teleportacji, ten, który przeżył spotkanie z zielonym tygrysem, zielonym łosiem, zieloną sarną i zielonym bobrem i który stał się Wielkim Fallasem, Naczelnym Rozpłodasem Wileńskim, wyszedł na taras kościoła Najświętszej Marii Panny tuż po tym, jak zaspokoił dziesiątą już tego wieczoru orczycę. Olga, serdecznie mu podziękowawszy, chciała starym wileńskim zwyczajem wytargać go za przyrodzenie, jednak Nikolaj zasłonił zmaltretowane prącie i odprawił ją solidnym kopniakiem w tyłek na najbliższy wiszący chodnik. Zaraz podeszły do niego służki z miednicą i wodą ziołową dla wymoczenia spracowanego Fallasa, lecz Kasprzykowski, chociaż zmęczony i cierpiący okrutnie, odprawił je, widząc na zachodzie łunę większą niż zwykle i słysząc strzały z broni wielkokalibrowej. Takiej broni wilnianki nie używały już od dawna, musieli więc przybyć rodacy! Rosjanie!

– Domino! – wrzasnął do drugiego Fallasa, także nadzwyczaj mocno maltretowanego ogiera, który leżał bez ducha na łożu z baldachimem i stękał, podczas gdy dwie służki nacierały jego przyrodzenie wyciągiem z bobrzego sadła, by wydobrzało.

Na wielkiej platformie zbudowanej z desek na szczycie kościoła stało jeszcze kilka łóż z baldachimami, a na nich leżeli inni wileńscy Fallasi, lecz ci byli tak upaleni pogandogami, że nie mieli pojęcia, co się dookoła nich dzieje.

– Szszege? – spytał Domino, unosząc się na łokciu i odsuwając od masywnej wargi pogandogowego skręta.

– Nasi jadą! Słyszysz?!

Domino obrócił łeb, żeby lepiej słyszeć.

– Skąd wiesz, że nasi?

– Strzelają!

– Napie... – Fallas odtrącił rękę służki, której nacieranie bobrzym sadłem zaczęło nosić znamiona innej, bynajmniej nie pielęgnacyjnej czynności. – Napierdalają z kałachów?

– Nie. To coś innego. Duży kaliber, mocna orda! Pewnie Wiśniewskij i Łuka wrócili! Albo cała Flota!

– Uj, byłoby dobrze... – Domino rozejrzał się, a szczególnie płochliwie popatrzył na potężne strażniczki, które stały dookoła platformy i nigdy nie spuszczały z oka.

Należy bowiem podkreślić, że chociaż wilnianki kochały swoich rozpłodników, nadmiernie ich eksploatowały i gatunek męski w mieście wymierał chędożony na śmierć. Wielu Fallasów próbowało uciec i niektórym nawet się to udawało. Co jednak z tego, skoro kończyli w paszczy tygrysa czy aligatora, które czyhały za murami Dżurasik Parku? Mieli więc Fallasi marny wybór: śmierć od chędożenia albo śmierć od zeżarcia. Wybierający pierwszą opcję upalali się mocnymi pogandogami, wchodzili w fazę alfa, w której nie bardzo rozumieli, co się dzieje dookoła, i z uśmiechem przyjmowali słodki zgon. Tak jednak zachowywali się wilnianie, którzy nie przeszli twardej musztry Rasputina. Tymczasem Turokowie, twardzi i nieustępliwi, byli odporniejsi na urok obrończyń Dżurasik Parku i tęsknota za wolnością zwyciężała w nich mimo początkowego zachwyty wizją posiadania haremu. Prawdziwy właściciel haremu jest bowiem istotą wolną, a niewolnicami są nałożnice. W przypadku Wilna sytuacja wyglądała odwrotnie.

Domino i Nikolaj już od dawna knuli, jak by tu prysnąć z miasta, a zmaltretowane przyrodzenia tylko im o tych wolnościowych sympatiach przypominały. Nie dziwota zatem, że na widok gęsto się ostrzeliwującej kolumny zabiło żywiej serce Nikolaja, a i Domina serce zabiło, chociaż już nie tak żywo, bo – jak pisaliśmy – obolały był i pod wpływem pogandoga.

– Kingas! – szepnął Nikolaj do stojącej w pobliżu strażniczki.

Kingas Glancas była przed przemianą studentką wileńskiej politechniki i chciała zostać panią inżynier. Wzięła N-Gen, bo wszyscy brali, poza tym dla studentów oddających krew były zniżki, a Kingas oddawała. Z przemiany pamiętała jedynie, że jej akademik zamienił się w dymiące połączenie dzikiego domu publicznego i masarni. Kingas, z natury drobna i ładna, jako orczyca wyrosła ponad miarę, co zaś do urody, no cóż, trzeba być orkiem, by docenić kształtną żuchwę, z równymi kłami, na które Kingas nawlokła złote obrączki, mocarne mięśnie obciążone grubą skórą tudzież zgrabne, wąskie uszy wystające z czarnych włosów splecionych w dwa grube warkocze.

– Kingas! – syknął Nikolaj po raz drugi i wyrwał strażniczkę z zamyślenia.

Glancas uwielbiała origami, a że większość papieru już dawno spłonęła, robiła swoje figurki, używając blachy stalowej ocynkowanej, której wielkie płyty najpierw darła na mniejsze kawałki. Tym razem robiła łabądka, znacząc miejsca zagięć ostrym szponem. Gdy usłyszała głos Nikolaja, kształtowała właśnie dziubek.

– Hm? – odparła.

– Widzisz to?

Kingas potrafiła tak skupić się na robocie, że zapomniała o bożym świecie. Podniosła wzrok i dopiero wtedy dostrzegła to, co widziały już wszystkie strażniczki Fallasów.

– Nu widzę.

– To nasi.

– Znaczą wasi.

– No nasi. To nasza szansa, Kingas.

Glancas była zakochana w Nikolaju lub, by być uczciwym, raczej w pewnej jego części, on zaś obdarzał ją nią hojnie i poza kolejką, słusznie oceniając, że pewnego dnia sprzyjająca mu orczyca może się okazać niebywałym atutem.

– Możemy uciec z tego miasta – szepnął jej do ucha.

Kingas spojrzała na niego z lękiem. Do tej pory obiecywała, że pomoże mu w ucieczce, jeśli się nadarzy okazja, ale doskonale wiedziała, że żadna okazja się nie nadarzy. Już od lat nikt do Wilna się nie zbliżał. Stolica Litwy stała się miastem przeklętym. Jedynie tacy jak on Turokowie od czasu do czasu pojawiali się w kniejach i jeśli byli na tyle sprytni, by uciekać przed zielonymi bestiami ku rzece, wyławiały ich łowczynie mężczyzn. Ale poza nimi nie było więcej gości w Wilnie ani nikt się nigdy z miasta nie wydostał. Dżurasik Park był odcięty mikroświatem i może tylko Wielka Flota byłaby w stanie przełamać oblężenie dinożarłów. Teraz, gdy Kingas usłyszała wezwanie ukochanego do uciezki, poczuła strach. Wilno było jej ojczyzną, a pilnowanie Fallasów obowiązkiem. Ma to wszystko rzucić dla Nikolaja?

Zerknęła jeszcze raz na przesuwaną się konwój.

– Ale... – Wiele myśli cisnęło się do jej niewielkiego mózgu – „Skąd wiesz, że to Ruscy?”, „Ale czy Rosjanie mnie polubią?”, „Tu mam świetną pracę i Fallasa co wieczór. Czy tam dostanę podobny angaż?” – lecz wiedziała, że jeśli okaże słabość, Nikolaj nigdy już jej nie zaufa, a gdy atakująca Wilno wataha zniknie, nie będzie chędożenia co wieczór.

– Tak, kochany – szepnęła, skrywając panikę. – Tak, masz rację...

I zastanawiała się, jak zagrać na zwłokę. Nagle doszedł do niej śpiew jednej z sygnalistek używającej trąbki, na której słynny wileński jazzman Petras Vyšniauskas wygrywał swoje niezapomniane wariacje. Gdybyż wiedział, jakie usta będą kiedyś pieścić jego słynny instrument... Sygnał wzywał do boju wszystkich obrońców miasta. Tej melodii, oprócz ćwiczeń, nigdy w Dżurasik Parku nie grano.

– Kochany – sapnęła Kingas. – Muszę biec bronić Wilna.

– Ja też – odparł Nikolaj. – Sygnał mówi o wszystkich.

– Nie, ty musisz tu zostać, twoje nasienie jest zbyt cenne. Dziewczyno! – Machnęła łapą, ale niepotrzebnie, bo strażniczki pędziły już ku kanonadzie. – Zostań tu, proszę cię. – Glancas spojrziała błagalnie na Nikolaja, a ten pokiwał głową, choć nie zamierzał jej usłuchać.

„Znikną strażniczki! – pomyślał. – Tym lepiej! Dwóm swierchom łatwiej będzie się wyrwać z matni niż dwóm z orczyką! Nie ufam tej Kingas, nie do końca. Zawahała się, a to niedobrze...”

Ledwie strażniczki zniknęły w gąszczu lin i mostków, machnęła łapą, a Domino, zwłókszy się z łoża, począł do niego.

– Widzisz, drug? – Kasprzykowskij wskazał odległe błyski. – To nasza droga na wolność. Nasi!

– Ajak... Ajaknienasi? – spytał Domino.

– Nu jak nie nasi?

Domino pociągnął mocno nosem. A nos miał zawsze bardzo czuły.

– Zjadłbym coś. Ładnie pachnie.

– Ciągle o żarciu myślisz? Nawet nocą?

– Bliadziną mi pachnie.

– Sradziną. Skąd ty tu bliadzinę weźmiesz?

– Dont noł majfrend. – Domino lubił pogadywać pa angijskij. – Ale pachnie. Może nasi mają trochę w słoiczkach... – I Bartłomiej zwany Dominem zaciągnął się pogandogiem tak mocno, że oczy mu się zapadły.

– Nie pal tyle, bo teraz musimy jasno myśleć.

– Kamratów – Domino wskazał upalonych Fallasów – nie bierzemy?

– Nie. Zachędożeni są.

– Indid.

– Indid, kretynie, chodź za mną!

– Alaszego nie tyzamną?

– Bo jestem mądrzejszy! Chodź!

– Nieniepszekonałeś mnie. Ale pachnie bliadziną.

– Dobra! – Nikolaj wyraźnie stracił cierpliwość. – Jak chcesz, to tu siedź, wpierdalaj pogandogi i daj się zajebać na śmierć. Ja spierdalam.

– Tejk it izi majfrend. Idę z tobą, tylko jeden sztach...

Kasprzykowskij wytrącił mu z łapy pogandoga, a ten poszybował wzdłuż gotyckiej wieży kościoła Najświętszej Marii Panny i zniknął w ciemnościach.

– Nu bliat! – zezłościł się Domino. – To teraz będę musiał coś zjeść!

– Zamknij... – Nagle Nikolaj ucichł, bo do niego także dotarł ten cudowny zapach...

Katiusza Szewiołas, drobna orczyca o silnych ramionach, była z pewnością najlepszą łowczynią mężczyzn w całym Wilnie. To ona wyłowiła z Wilii ostatnich dwóch Turoków, a i wielu

poprzednich nieszczęśliwych usiłujących schronić się w Dżurasik Parku, gdy pogłowie zielonej zarazy w okolicznych lasach rosło i gospodarze z pobliskich wsi zaczęli, spanikowani, szukać bezpiecznej mety. To także ona kilka lat temu wpadła na pomysł skonstruowania potężnych węd zaopatrzonych w suwnice, z których łowczynie mogły się spuścić nad lustro wody i za pomocą ciężkich sieci wyciągnąć wszystko, co rzeką płynęło, a potem postawić to po przeciwnej stronie, na drodze Goštauto. Kurs od wody do drogi był karkołomny, bo przebiegał po łuku, a że wędzisko miało pięćdziesiąt metrów i mocno sprężynowało, to i jazda bywała niezła. Tak czy owak, Katusza wyciągnęła z rzeki osiemnastu chłopca i miała to udokumentowane na skórzanym naramienniku w postaci trzech rzędów po sześć zgrabnie namalowanych czarną farbą fallusów.

Nadwędziarka, czyli zawiadująca wędą Julitaja Sobolewskaja, była nie mniej od łowczyni ważna, to ona bowiem decydowała, kiedy wędę zwiesić, kiedy ją przenieść w inne miejsce, jak usytuować względem ramienia suwnicy, do której podczepiona była Katusza, i kiedy pomóc jej w podniesieniu sieci. Rozstawione wzdłuż rzeki wędziska, swoisty konglomerat belek i kratownic, zaczepione były na wysoko zamocowanych trzpieniach niczym huśtawki, których długie ramię nosło łowczynię i suwnicę, a krótkie, nadzwyczaj masywne, zaopatrzone było w chwytaki, którymi zawiadywał zespół wędziarek pod dowództwem nadwędziarki. Dookoła dwóch pni, między którymi zwisała węda, biegł okrągły podest, a wędziarki nosiły w uchwytach kamienie, żeby ze względu na wagę łatwiej wędę zawiadywać. I chociaż mierząca dwa metry dziesięć Sobolewskaja sama z siebie była masywna, a każda z jej zielonych piersi ważyła, lekko licząc, dziesięć kilogramów, chociaż zakładała na siebie masę blach, a do tego żelazka starego typu, maszynki do mięsa i kilka encyklopedii umocowanych na żelaznych łańcuchach, jej wrodzona pedanteria sprawiała, że rzadko kiedy była zadowolona z precyzji ruchów wędziska. I nie pomagały pochwały samej Katuszy ani innych wędziarek. Sobolewskaja była pedantką i już.

Tej nocy, usłyszawszy najpierw grzmoty na południu, a potem zew Rudolfas, pognąła do wędki z Katuszą i innymi wędziarkami, bo węzy mogły też służyć jako broń. Podczas gdy Swarogi forsowały rozsadaną barykadę, Sobolewskaja zapinała pasy mocujące ją do podstawy wędziska, jej asystentka Karolinas Sobieszkas wskakiwała do kosza, z którego operowała kołowrotami suwnicy, a pozostałe wędziarki, ochoczo szczebiocząc, także troczyły swoje masywne ciała do podstawy węzy. Tymczasem Katusza, filigranowa główna łowczyni Wilna, podczepiała się pod pasy suwnicy, sprawdzała sieci i bosaki zatknięte w skórzane kołczany i odmawiała modlitwę do wielkiego Fallasa, aby udało im się złowić możliwie najwięcej samców. Ruskich! Nietykanych! Wyposzczonych! Rozognionych!

Rozstawione co sto pięćdziesiąt metrów kolejne węzy także przyciągały już swoje załogi, a podświetlone ogniem pochodni wyglądały jak czarodziejskie żyrafy, ozywające, migoczące i rozedrgane głosami łowczyń. Kucharzałskas, najwyższa komendantas Wilna, rozkazała, aby podstawy węd były bronione, dlatego wokół wędziarek pojawiły się kordony najcięższych wojowniczek Dżurasik Parku zaopatrzonych w masywne blaszane tarcze.

I wtedy dotarł do nich...

Cudny...

Zapach.

Jakby kiełbasek prażonych na grillu z cebulką, marynowanych w czosnku i ziołach z piwem i śpiewem, ożkurwamaćmac...

– O Fallasie, jak pachnie! – zachłysnęła się Sobolewskaja, czując, że kręci jej się we łbie.

– Ja pierdziu – stęknęła łowczyni Katusza. – Co to za woń?!

– Zabiję za kęs tego czegoś – zapewniła Karolinas, a jej łapy niecierpliwie zakręciły korbą. Suwnica, do której podczepiona była Katusza, przesunęła się w tył, a łowczyni straciła równowagę i zawisła na pasach.

– Kurwas! Karolinas, przestań!

– Przepraszam, Katusza, po prostu ślina mi tak cieknie...

– Skupmy się, dziewczęta. O kurwa, jak pachnie...

– Zajebioza – rzuciła Sobolewskaja i nie mogąc wytrzymać napięcia będącego połączeniem głodu i chuci, zakręciła biodrami, machnęła pierściami i tak napięła mięśnie, że zadygotała całą wędka, znowu szarpiąc podwieszoną Katuszą.

– Kurwas! Dostyc tego! Góra! – nakazała łowczyni ku uldze wędziarek, które wszystko tak już swędziało, że musiały coś zrobić.

Szarpnęły wędziskiem, olbrzymia konstrukcja poderwała się, a Katusza zadyndała w tył i przód.

– Dziewczyny, bo bosakiem rzucę! – wrzasnęła Szewiołas, ale wędziarki były już w amoku, zresztą nie tylko one.

Wojowniczkę, które miały je chronić, zaczęły śpiewać i tańczyć, inne węzy kręciły się dookoła, a podczepione pod nimi łowczynie, jak podczas jazdy na karuzeli, dały się po części z rozkoszy, po części ze strachu.

Tymczasem ulicą Goštauto przemknął ogromny zielony wilk, a zobaczywszy zgromadzone wokół podstawy wędki olbrzymie orczyce, skoczył w boczną uliczkę. Chwilę później pojawiło się więcej wilków, lecz i one zniknęły w poszukiwaniu łatwiejszych ofiar.

Strzały, błyski i huki zbliżały się od południowego zachodu. Goštauto, biegnąc wzdłuż Wilii, najpierw wspina się na północ, a potem łukiem kieruje na wschód, przechodząc pod mostem Geležinio Vilko. Wędziarki nie widziały, co się dzieje, bo widok zasłaniały budowle przy drodze i filary mostu. Obstawiające dachy po przeciwnej stronie ulicy wojowniczkę skakały, tańczyły i grały w łapki. I one oszalały od woni i z niecierpliwością wypatrywały Ruskich, którzy za chwilę mieli przejechać pod mostem.

I wreszcie Rosjanie wyłonili się. Najpierw wymalowane na ruską modłę czołgi, których wisząca pod wędą Katusza dawno nie widziała, potem transportery, trójkołowe motocykle, dziwne większe maszyny, UAZ-y, a za nimi cała armia różnorodnych bojowych wozów! I wszędzie samce! Wszędzie cudownie pachnące samce! „Ale to nie tylko samce tak pachną – tłukła się po głowie Katuszy myśl, gdy wędka majestatycznym ruchem uniosła ją nad Goštauto. – To nie tylko samce tak pachną!” Lecz euforia i żądza tak rozszalały się w ciele i sercu łowczyni, że nic już nie było ważne: ani świetliste wachlarze długich serii, którymi wojownicy odpowiedzieli na grad dzid i strzał z dachów, ani huk dział, którymi najeźdźcy pacyfikowali zgromadzone na dalszych dachach operatorki balist i katapult, ani galopujące wzdłuż kolumny pancernych wozów zielone konie, łosie, bobry, jeże, tygrysy i jaszczurki. Nic nie było ważne, tylko ten zapach!

– Niżej, dziewczęta! – wrzasnęła, gdy przetoczyły się pod nią wozy pancerne, z których mało kto wyglądał, więc nie stanowiły sensownego celu. – Nad te UAZ-y! – Wskazała jadące dalej kolorowe wozy z odkrytymi pakami.

– Tajest! – wrzasnęły ochoczo wędziarki, a Katusza kątem oka dostrzegła, że oszalałe wojowniczkę, które miały je osłaniać, rzuciły się na jadące wozy i zaczęły padać, niczym podcięte drzewa, od zmasowanego ognia. Jedną z nich przeciął na pół olbrzymi aligator, po którym zaraz przebiegł zielony struś i zaatakował kolejną wilniankę.

Jadący pod Katiuszą olbrzymi pojazd z radarem wysłał w kierunku dalszych dachów rakietę, która znacząc swój tor różowym od ognia warkoczem, grzmotnęła w odległą fasadę. „O co tym Ruskim chodzi?” – zastanawiała się, podczas gdy sunęła w prawo i w lewo, a strzały z pojazdów coraz częściej zbliżały się do jej drobnej sylwetki. Jedna ze świetlistych serii ugodziła ją w łydkę i Szewiołas poczuła, obok podniecenia, żądzę krwi. „O wy skurwysyny!”

Chwyciła bosak, przymierzyła i cisnęła z całej siły. Jadąca UAZ-em wojowniczką, która właśnie w nią celowała z otwartymi ustami, połknęła dziuryt i została przyszpilona do siedziska, co warto podkreślić, przez odpowiedni otwór. Nieco zdziwiona przemknęła pod rozkołysaną Katiuszą.

– Strzelać mi tu będzie, dziwka pierdzielona – mruknęła Szewiołas, po czym zawołała: – Niżej, dziewczyny, teraz!

Sobolewskaja skinęła łbem, Karolinas zakręciła korbą, skrzypnęły liny i łańcuchy, żuraw obrócił się, zrównał z kolejnym UAZ-em i Katiusza, niczym jastrząb rzucający się na ofiarę, z wyciągniętym bosakiem i siecią spadła na Ruskiego prowadzącego pojazd. Zahaczyła żelaznym zębem o jego kamizelę, cisnęła sieć zakończoną kilkunastoma haczykami, po czym ramię węzy wzniosło się i Katiusza wyrwała Ruskiego z siedziska.

Samiec, wielce zdziwiony, zadyndał w górę i w dół, a potem spojrzał na łowczynię.

A ona spojrzała na niego.

I, jak twierdzą historycy, w tym właśnie momencie wilnianki zorientowały się, że nie najechali ich Rosjanie.

– To Bliady! Nie Rusek! – wrzasnęła na całe gardło Katiusza.

– Co?! – krzyknęły wędziarki.

– Bliaaadzi! Bliaaadzi! Polacy do nas przyjechali na wywczas!

Szewiołas przyciągnęła do siebie Bliadego, który, straciwszy karabin, starał się wyjąć z kabury spory rewolwer. Kim był ten nieszczęśnik? Pseudo Aruy, członek grupy Szczygły, znany także pod nazwiskiem Dariusz Kubies. Porządny gość, uśmiechnięty, zadziorny, niebrzydki i dobry materiał na najemnika. Niestety dbał o higienę, stosował antyperspiranty tudzież perfumy i generalnie chłopak był z niego czysty. I to był błąd, bo dla Katiuszy pachniał niczym obietnica rajy i nie wiedziała już, czy go najpierw zgwałcić, czy zjeść, a ochotę miała na jedno i drugie jednakową. Szczerzyła zatem wielkie zęby, nie panując nad śliną, i bełkotała słodkie obietnice, jak to go wypatroszy i zgwałci, zgwałci i wypatroszy, jak to będzie z nim miała dzieci, ale przedtem go rozsieka i pożre kotleciki z jego półdupków – no schizofrenia się z tego zrobiła totalna, zwłaszcza że Bliady nic nie rozumiał, tylko szarpał się z siecią, aby wyjąć rewolwer. Gdy w końcu go chwycił i wycelował w Zieloną, ta pojęła, że nici ze ślubu, welonu, szalonej nocy poślubnej, kwiatów i przyjęcia, nici z miłości i beztroskiego biegania po łąkach obsypanych makami, bo trzeba życie ratować, najlepiej łącząc przyjemne z pożytecznym. Rozwarła zatem paszczkę i niewiele już myśląc, odgryzła głowę dzielnemu Aruyowi, który jednakowoż zdążył jeszcze postrzelić ją w bok. Nic jednak Katiusza nie czuła, rozanielona smakiem chrupiącej główki, takiej czystej, pachnącej i świeżej!

– Rany julek! – jęknęła, obwisając z rozkoszy.

– Katia! Rzuć gryza! – krzyknęła Sobolewskaja.

I Katiusza rzuciła im jeźdźca bez głowy, zadawalając się musli z mózgu i kości, by jednak już po chwili zacząć rozglądać się za kolejnym kąskiem.

– Szefie – nadała Podgórska pędząca wzdłuż kolumny pojazdów i obserwująca wielkie węży zwieszające się nad drogą – może niech Swarogi zlikwidują te dźwigi po lewej. Mogą być niebezpieczne.

– Co robią?

– Łowią... ludzi.

– Powtórz, Podgórska!

– Wyciągają najemników z pojazdów. Widziałam już dwie takie akcje.

– Rozumiem.

– Kicia! Janusz! Walcie w podstawy tych żurawi! – rozkazał Orłowski, a dowódcy Swarogów zobaczyli na ekranach wyznaczone cele.

Gwara spojrzała na Sokoła.

– Burzący!

W tej samej chwili chorąży Adam „Janusz” Jakubowski, dowódca drugiego czołgu, popatrzył na swojego celowniczego, sierżanta Arkadiusza Pavluczuka, i wydał taki sam rozkaz.

– Bierzemy ten dalszy – powiedział. – Bliższy rozwali Kocur.

– Dobra jest ta Kicia – stęknął Arkadiusz, ładując nabój do zamka.

– My nie gorsi, Pavluczuk, nie gorsi – zapewnił Janusz. – Rusek! – krzyknął do kierowcy czołgu. – Delikatnie teraz, tak?

– Tak toćna, kamandir – odkrzyknął szeregowy Daniel Fiedczak, który dla podkreślenia swojej dziwacznej rusofilii nie rozstawał się z uszanką, którą nosił nawet pod pancerzem.

– Gładziutko jak po masełku – nakazał dowódca.

– Głaaaadziutko – zapewnił kierowca.

W tym czasie Pavluczuk namierzył żuraw i nakazał komputerowi Tytana go śledzić.

– W celu – zameldował.

– Ognia – warknął Janusz.

I z lufy Tytana, ułamek sekundy po strzale kocura, wypadł w kicie płomieni potężny pocisk burzący.

– A jednak ciut gorsi – mruknął dowódca Tytana do celowniczego, patrząc, jak dwa dziwaczne żurawie chyłą się nad Goštauto z dyndającymi bezradnie orkami uczepionymi długich ramion. – Uwaga! – warknął na ogólnym. – Te żurawie zagrodzą drogę. Przejedziemy, żeby je trochę udeptać, ale będzie nierówno.

W tym samym mniej więcej czasie, kiedy Tytan i Kocur ustrzeliły dwie węży, załoga Potiomkina, jadąca tuż za Leszym Szczygły, patrzyła na wyczyny Katuszy, która odgryzła głowę jednemu z najemników, a zewłok rzuciła na pożarcie innym orkom. Na kontenerze ciężarówki znajdowała się ambona z grubych stalowych blach pospawanych tak, że można z niej było wygodnie strzelać do wroga, samemu będąc w dużej mierze osłoniętym przed ogniem. Tkwiła w niej trójka najemników.

– Co za kurwiszon! – krzyknął Dąbrowski nazywany Sucharem, bo opowiadał zupełnie nieśmieszne dowcipy. – Aruya zdekapitowała!

Obok niego siedział Wojcio Wolnik, były elektryk, który lubił towarzystwo Suchara, bo śmiał się ze wszystkiego, nawet z nieśmiesznych dowcipów.

– Zaraz pizdę załatwię – oświadczył i zaczął celować z przerobionego Roda.

– Gównu załatwisz, ale próbuj – odparła Wielka Łapa, najemniczka zwana tak nie wiadomo dlaczego, bo wielka nie była, a kończyny miała standardowe. Za to znakomicie posługiwała się ukochanym Torem, którego kolbę właśnie przykładała do policzka, za cel biorąc nie Katuszę, lecz orczyce na dachu pobliskiego domu.

Jedna z nich przymierzała się akurat do rzutu wielką dzidą prosto w Potiomkina, który stanowił łatwy cel. Łapa pociągnęła za spust, a Zielona opadła na kolana, upuściła dzidę i zwała się w dół przez krawędź dachu.

Tymczasem Wojcio Wolnik usiłował zdjąć Katuszę, posyłając w jej stronę krótkie serie. Skubana mocno jednak trzymała się życia, a zawiadujące żurawiem olbrzymie orczyce dobrze znały swój fach, bo Zielona dyndała, śmiała się jak szalona i rzucała bosak za bosakiem.

– Co jej tak wesoło? – warknął.

– Uwaga – stęknął Suchar, widząc, jak orczyca zbliża się do nich, w zawrotnym tempie nabierając wysokości. – Będzie atakować!

– Ona nas? – zdziwiła się Wielka Łapa.

A Katusza już nurkowała z rozdziawioną gębą, poprawiając na oczyskach gogle, a na łbie czapkę pilotkę. „Co za życie, co za życie – myślała. – No kurwa, wspaniale jest. Ogniska się palą, dziewczyny skaczą z dachu, krew się leje, Bliadzi tacy smaczniutki, żyć nie umierać!”

I z tą myślą cisnęła bosakiem w Wielką Łapę, bo samica nienawidziła, odkąd w Wilnie zrobił się ich nadmiar, samców zaś niedobór. Snajperka jednak wyskoczyła z kosza w momencie, gdy wielkie drzewce wbiło się w metal.

– Ja pier... – stęknął Suchar, widząc dowód siły Zielonych, a następnie poczuł hak bosaka ciągnący go za pasek i oplatające go sznury sieci. – Co jest?! – warknął, wyciągnięty w powietrze przy akompaniamencie chichotu Katuszy.

– Ja pierdołę! – krzyknął Wojcio Wolnik i przycelował z Roda, ale merdające nogi komilitona uniemożliwiały strzał.

– Trzymaj się, Suchar! – wrzasnęła Łapa, celując z Tora, lecz żuraw już odpływał w górę i do tyłu. – Kurwa, zaraz go stracimy!

Tymczasem Szewiołas, ciesząc się na widok kolejnej zdobyczy, przemawiała do Suchara słodko, obiecując mu rozkosze stołu i alkowy. Najemnik, przerażony widokiem wielkiego, ociekającego śliną pyska, przez chwilę nie mógł się pozbierać, ale wreszcie skoncentrował się i choć hak bosaka wbił mu się pod żebro i utrudniał oddychanie, dostrzegł ranę po kuli Aruya. Sięgnął więc Suchar po nóż bojowy i ocenił, gdzie najlepiej ugodzić. Tak się bowiem składało, że Janek „Suchar” Dąbrowski był weterynarzem i doskonale wiedział, gdzie w każdym żywym organizmie są miejsca wrażliwe i niewrażliwe. Ba, miał nawet teorię, że po kastracji orki staną się łagodne jak potraktowane w ten sposób agresywne psy. Nie zdając sobie jednak sprawy, że ma do czynienia z przedstawicielką płci pięknej, zadał cios bezsensowny, bo mający na celu odcięcie jaj.

– Uj! – skomentowała ze śmiechem Katusza. – Zachciewa ci się pieścizot w powietrzu, przystojniaku? Ale wibrator zły wybrałeś! – Roześmiała się w głos i potężną łapą wyrwała mu nóż, zabierając razem z nim kciuk.

Dąbrowski wrzasnął straszliwie, a Szewiołas, czując jego pot, aż się zachłysnęła.

– Ja pierdziu, no muszę się powstrzymać i nie zeżreć od razu... – Władowała sobie kciuk mężczyzny do gęby i przeżuając, stęknęła spazmatycznie. – Jak dawno nie jadłam słonych paluszków...

Suchar, cierpiąc straszliwie, stracił na chwilę orientację. Huśtawka na żurawiu, wysokość, rozgwieżdżone nocne niebo, oświetlony ogniami potwór, który nie miał jąder, zatem nie mógłby zostać papieżem, serie z broni automatycznej czeszące niebo ognistymi grzebieniami, huk wystrzałów szarpiące płuca i łaskoczące w pięty – wszystko to na chwilę odebrało mu dech.

Usłyszał i poczuł bardzo bliski strzał. Ktoś usiłował ustrzelić jego albo jego towarzyszkę. „Oby ją, oby ją...” – pomyślał nieprzytomnie.

Nie mylił się dzielny nasz weterynarz, bo Wielka Łapa nie dawała za wygraną i leżąc na przyczepie Potiomkina, przeładowywała właśnie snajperkę po niecelnym strzale. W tym czasie Wojcio Wolnik osłaniał ją, waląc seriami po dachach. W ostatnim momencie dostrzegł lecącą w ich kierunku strzałę, wyciągnął rękę i przyjął grot na opancerzone przedramię, dzięki czemu nie ugodziła wyborowej w bok.

– No, kurwa, dałem ra... – Nie dokończył, ponieważ druga strzała wbiła mu się w szyję, i zwałił się na ziemię, a Łapa nie dowiedziała się, że tuż przed śmiercią Wojcio uratował jej życie.

Wiedziała natomiast, że ma tylko jedną szansę na sensowny strzał. Jeszcze chwila i będzie za późno – Suchar znajdzie się za daleko i ryzyko... Chociaż czy nie lepiej zaryzykować? Z rąk Zielonych czeka go tylko jedno. W celowniku dziewczyny zielony potwór i jej towarzysz kiwali się w lewo i prawo otoczeni wachlarzami strzałów. Łapa wstrzymała oddech...

I pociągnęła spust.

– Łajć! – wrzasnęła Katusza, czując, że pocisk przechodzi przez jej ramię, wbija się w bok i ląduje w płucu. – Łajć!

Ból był tak ostry, że wypuściła z łap zarówno bosak, jak i sieć, a nagle uwolniony Suchar poleciał prosto na jadące pod nim pojazdy.

Upadek z pięciu metrów ma wszelkie szanse skończyć się źle. Można spaść na krawędź szyby otwartego pick-upa, na krawędź paki, na ziemię prosto pod koła, można wreszcie zlecieć na kolce przyspawane do karoserii lub ewentualnie komuś na łeb. I to ostatnie właśnie przydarzyło się Dąbrowskiemu, który wyrznął dupskiem w głowę niejakiej Hanny Biernackiej pseudo Ramona, pasażerki otwartego pick-upa marki Syrena. Dzierżący bosak Suchar nie zdawał sobie sprawy, że spadając, wbija go w brzuch najemniczki i przybija ją do siedzenia. Na szczęście Ramona miała już skręcony kark, a Dąbrowski stracił przytomność od uderzenia w kość ogonową, co prowadzący samochód Michał Kwaśnik dostrzegł i klnąc, bo bardzo Biernacką lubił, przeciągnął go między siebie a poległą, żeby i właściciel niszczycielskich pośladek nie postradał życia, wypadając za burtę. W taki oto sposób strzał dzielnej Łapy uratował życie Sucharowi, ale pozbawił go Ramonę. Wojna to okrutna kochanka, jak twierdzą historycy. I mają rację, czyż nie?

Tymczasem rozkołysana, acz ranna Katusza, wściekła, że straciła sieć, ostatni bosak i zdobycz, darła się do Sobolewskiej i Sobieszkas, żeby opuściły ją na dół i pozwoliły uzupełnić zapasy. Jednak dziewczęta zupełnie oszalały od boskiego zapachu Bliadych i gnały teraz na złamanie karku wzdłuż konwoju, nie zważając na to, że razem z nimi galopują podskubujące ich pośladki

zielone jelenie, szczypiące w łody borsuki tudzież chwytające od czasu do czasu jakąś Zieloną i chrupiące ją w drodze słońce. Katusza chętnie dołączyłaby do fiesty, gdyby nie to, że wisiała nad przejeżdżającymi pojazdami konwoju, jednymi z ostatnich, jeśli dobrze widziała, za którymi pędziły pospołu orczyce i dinożarły w rosnącym obłoku różowego kurzu.

Szarpała się z uprzężą, by zeskoczyć na dach któregoś z samochodów, gdy wreszcie poczuła ucisk w uszach, usłyszała huk śmigłowca, a potem gęsta seria oderwała ją od lin. Przez chwilę myślała, że nie żyje, znalazła się bowiem w cudownym stanie nieważkości, jaki powstaje przy swobodnym opadaniu, zaraz jednak rzeczywistość wyprowadziła ją z błędu, grzmocąc solidnie w łeb i plecy, gdy zetknęła się z gruntem.

– Żyj! – wrzasnęła zachwycona i jednym rzutem ciała spionizowała postawę, gotowa do zabawy. – Ha! I co, Bliadzi?! – krzyknęła, wymachując łapą za oddalającym się konwojem. – Za słabi jesteście na mocarną Katiu...

Jej słowa przerwało kłapnięcie potężnych szczęk wielkiego jak koń Przewalskiego zielonego tygrysa, który biegł z innymi dinożarłami. Jednak Katusza nie skończyła od razu, o nie. Chociaż dziabnął ją potężnie, chwilę jeszcze przytomnie dyndała w wielkiej paszczy, zastanawiając się, jak się wydostać z tej matni, i konstatując, że ze zgruchotanymi kośćmi udowymi nie da się chodzić. Nagle poczuła, jak twardy jęzor kocura przemieszcza jej łeb między górne i dolne zęby trzonowe, i zdążyła tylko pomyśleć: „Ale to musli z mózdzku i kosteczek – pycha!”. A potem musli skonsumował tygrys. I też było pyszne.

Kiedy czoło konwoju zbliżało się nieubłaganie do mostu Rinktinés, który stanowił wschodnią granicę Dżurasik Parku, Nikolaj Kasprzykowski, Wielki Fallas Wilna, oraz jego naprany pogandogami przyjaciel Bartłomiej zwany Dominem biegli po wiszącym chodniku, sadząc wielkie susy i mijając pędzące podobnymi traktami wojowniczkami. Oni, w przeciwieństwie do nich, wiedzieli, co robią – pragnęli wyrwać się na wolność. Im bliżej drogi Gaštauto jednak byli, tym więcej docierało do ich nozdrzy cudownie pachnących cząstek z ciał Bliadych, który to zapach, w przeciwieństwie do Litwinek, bardzo dobrze znali. Spojrzeli na siebie nieco przytomniej.

– Bliadzi – warknął Nikolaj.

– Bliadzi – potwierdził Domino. – Mówiłem.

– Czyli będzie i wyżerka! – rozanielił się Nikolaj, nieświadomy, że ulega chorobie zwanej przez niemieckie orki „różową gorączką”.

I zamiast zwolnić kroku, bo przecież plan ucieczki wraz z rosyjskimi kamratami raptem wziął w łeb, obaj Fallasi przyspieszyli, niepomni na to, że tracą zmysły, podobnie zresztą jak cała populacja Wilna. Zaczęli pędzić na złamanie karku i już nie dziwili się niektórym wojowniczkom, że biegną tu, że biegną tam, że wskakują do kominów, że żrą dachówki czy że kopulują ze sobą w stylu dowolnym, a zawsze dziwnym, bo samicy z samicy niełatwo to idzie. Nie dziwili się już niczemu, nawet temu, że jedną z ulic Dżurasik Parku na ogromnym zielonym łośiu galopował Engels w szarym kapeluszu, z trzema cygarami w gębie, a każdym zapalonym, z kałachem w łapie i szaleństwem w oku. Co warte podkreślenia, łośia dosiadał również potężny bóbr, który, o ile wzrok ich nie mylił, zadowalał się zadem orka w stylu co najmniej zastanawiającym. Ale nie było czasu na obserwację tego niecodziennego zjawiska, bliadzi bowiem była coraz bliżej! Wreszcie dopadli nasi dzielni Fallasi dachu graniczącego z Goštauto i niewiele myśląc, a w zasadzie nie myśląc nic, rzucili się w przepaść i szybowali

w długim susie, mijając strugi ognia wyrzucane przez siedzących na barwnych pojazdach Bliadych.

– Ale jazda! – wrzasnął Domino do Nikolaja.

Ten jednak nie zdążył odpowiedzieć, bo przywarł do pojazdu turystów, którzy spojrzeli na niego z niewymownym zdziwieniem.

Vasilij, Destro i Radosław „Wiking” Lewandowski patrzyli na zaślinionego orka, który trzymał się mocno już odrapanej burty Warsa, głośno coś bełkotał i ponad wszelką wątpliwość uśmiechał. Nie dane im było jednak długo obserwować tego zjawiska, ponieważ pół sekundy po tym, jak Nikolaj zawisł na burcie ich bojowego pojazdu, na masce zlądował drugi ork, nie mniej uśmiechnięty. Chwiał się na krzywych nogach i zaśmiewał, jakby ktoś opowiedział mu najlepszy dowcip. Zaraz jednak padł na kolana i wyciągnął pysk do prowadzącego pojazd Destro, jak gdyby chciał odgryźć mu głowę.

Na to Wiking nie mógł już pozwolić i wahał się tylko ułamek sekundy, jakiego użyć narzędzia – bocznego Visa czy topora. Użył topora, siekąc płasko nad głową Destro prosto w szczękę Domina.

– No i kuhlą ha ho?! – wrzasnął ork, obmacując mordę i stwierdzając, że ma kłopoty z artykulacją wskutek braku połowy żuchwy.

Nie zdążył wszakże do końca dać wyrazu swojemu zdziwieniu, otrzymał bowiem od Vasilija długą serię w pierś i chociaż nie poczuł za wiele otumaniony pogandogiem, stwierdził, że skoro go tu nie chcą, opuści towarzystwo i skubnie bliadziny gdzie indziej. Zeskoczył z Warsa, ale że poślizgnął się nieco na własnej posoce, zawinął się wokół burty, wpadł pod koła wozu, a gdy, klnąc z powodu takich niewygód, podnosił się, nadział się centralnie na kolec wystający z karoserii Yamato, drugiej olbrzymiej ciężarówki najemników. Wtedy właśnie jakiś aligator podbiegł z boku, chwycił orka i ściągnawszy go z kolca, pożarł, obiecując jego duchowi, że teraz staną się jednością, a więc czymś zgoła niepowstrzymanym.

W tym czasie Nikolaj wciąż opowiadał Vasilijowi, Destro i Wikingowi, jak ich zeżre z pieprzem, solą, z pierogami, albo lepiej w pierogach, opowiadał o *Młastier Sziefie* i o tym, jak wspaniale by było, gdyby nadzieć ich bobrem albo jeżem dla zaostrenia smaku i, jak twierdzą historycy, zafascynowani jego bełkotem najemnicy dłuższą chwilę słuchali tego radosnego gdakania. Potem zaś Nikolaj zaczął opowiadać, jak jest męczony przez wilnianki, jak interes mu nieomal odpada, że jest przetrzymywany w mieście jako zakładnik i że woli śmierć na wolności niż taką niewolę, bo chędożenie też powinno mieć swoje proporcje i smak, a w ogóle gdzie w tym wszystkim jest miłość? Historycy utrzymują, że być może przekaz ten jest zbyt kwiecisty, a Nikolaj Kasprzykowski nie potrafił tak subtelnie wyrażać myśli, są jednak i tacy, którzy piszą, że posiadał umiejętność wymowy, bo był nieprzeciętnie inteligentnym orkiem. Tak czy owak, zanim Vasilij wyciągnął wielki rewolwer, którym zamierzał odstrzelić orkowi rozgadany łeb, zobaczyli najemnicy, jak z cizby biegnących wzdłuż pojazdów zwierząt i Zielonych wyskakuje nadzwyczaj umięśniona orczyca i...

– Oż ty zdrajco! – zawrzała Kingas Glancas, strażniczka haremu, widząc ukochanego Nikolaja Kasprzykowskiego uczeptionego oranżowego pick-upa i rozmawiającego z jego załogą jak gdyby nigdy nic. – Sam uciekasz z kolegami?! Wolności ci się zachciało beze mnie, sobaczy synu?!

Ooo, niedoczekanie twoje!

Spadła tuż za Kasprzykowskim, chwyciła go w mocarne łapy i oderwała od Warsa akurat w tym momencie, w którym Vasilij wyciągał rewolwer Ursus, zamierzając zakończyć życie pasażera na gapię.

– Widzisz?! – Wskazała otumanionemu Nikolajowi celującego w nich najemnika. – Nie chcę cię! Nie lubią!

Widząc szarżującego na nich zielonego hipopotama, wyskoczyła wysoko, chwyciwszy ukochanego wpół, i wylądowali na grzbiecie potężnej bestii. Ta jednak ich nie dostrzegła, tak była wielka i gruboskórna, poza tym właśnie zaliczyła strzał z Ursusa w szeroki pysk i postanowiła przedyskutować to zdarzenie z Vasilijem.

– O, widzisz, z kim ci będzie najlepiej? – rzuciła Kingas. – Popatrz, jak wygoooo...

W tym momencie hipopotam uderzył wielką mordą w Warsa, który już zupełnie stracił salonowy powab. Zwierzę było dwukrotnie większe od standardowego hipcia, ale i Wars nie należał do ułomków. De facto był to najmasywniejszy cywilny pojazd terenowy Twierdzy, a ze wzmocnieniami, orurowaniem, większymi i cięższymi oponami tudzież ciężkim karabinem Zefir na pace stanowił wyzwanie nawet dla takiej bestii. Dlatego wóz z chrzęstem opon przesunął się w lewo i zakołysał, ale nie przewrócił. Wiking warknął i wycelował z Zefira w zwierzę, a Vasilij, błędnie uznawszy, że ruchami ssaka powoduje dziwna para jeźdźców, skierował potężny karabin właśnie na nich.

– Zmieniamy furę, kochany – szepnęła Kingas Nikolajowi do ucha i wyskoczyła z nim w górę, nie mając pojęcia, gdzie i jak wyląduje.

Był to manewr słuszny, bo nad szerokim grzbietem szmaragdowego potwora rozbłysły złote struny gęstej serii i gdyby nie wolta Glancas, zapewne wyrządziłyby im spore szkody. Chwilę później wylądowali na twardym, szerokim zadzie zielonego łosia. Za bobrem, który ciężko dysząc, robił coś siedzącemu przed nim Zielonemu w kapeluszu, z piórami żarptaka wbitymi w mięśnie kapturowe i trzema cygarami w gębie.

– Czy można się dosiąść? – spytała grzecznie Kingas.

– Proszę bardzo – odparł tamten niezbyt wyraźnie, bo palił. – Górejskij jestem. Mikołaj Górejskij. – Wyciągnął łapę do tyłu.

– Pan na Moskwę? – spytała Glancas po tym, jak ją uścisnęła.

– Gdzie łoś poniesie.

– Ładne zwierzę – pochwaliła Kingas. – Jak się wabi?

– Nie wiem, kurwa, podobnie jak nie wiem, jak się wabi skurwysyn, który wykorzystując sytuację, zabawia się moim kosztem.

Słyszając te złorzeczenia, strażniczka wdzięcznym ruchem chwyciła bobra, wyrwała go z dupska Górejskiego i ze zdziwieniem stwierdziła, że gryzoń trzyma w gębie kość. Podała go Mikołajowi.

– Proszę bardzo. Przekąski umilają podróż. I proszę podnieść spodnie, bo pan sobie nerki przeziębi.

– Oż, bliat. Wreszcie. Dzięki – powiedział Górejskij, spojrzawszy zielonemu bobrowi w pysk, jak piszą historycy, bardzo rozanielony, i wyjął mu spomiędzy zębów sporą kość. – Duża, bliat.

– Nu – odparł bóbr.

Górejskij zamierzał skonsumować zwierzę, ale jakoś nie w smak mu było żarcie tego, co miało z nim zgoła intymną styczność i w dodatku gadało po rusku. Odstawił więc danie za siebie.

- Niech se tam siedzi. Tylko proszę go pilnować – rzekł do Kingas.
- Ech, te pupilki, co? Jak się wabi?
- Niech będzie Misiewicz, jak ten dupoliz Rasputina.
- Misiewicz?
- Nu tak. Ładnie. I do funkcji pasuje.

Siedzący w Turze Orłowski spojrział na mapę i nakazał śmigłowcom zwiad, przewidywał bowiem, że barykada podobna do tej, którą niedawno sforsowali, będzie wcześniej czy później zamykać im wyjazd z miasta. I rzeczywiście, załogi Trolła i Wilczura wkrótce podały koordynaty wysokiej przeszkody w pobliżu muzeum narodowego. Major przekazał Siekierzyńskiemu położenie barykady na mapie i kolumna znowu musiała stanąć. Tym razem było gorzej niż w lasach przed miastem, bo dookoła pojazdów dosłownie się kotłowało. Żyrafy grzmociły się z zielonymi zebami i goryłami, orczyce wdrapywały się na wozy bojowe, usiłując jednocześnie żreć najemników i z nimi kopulować, co chwila jakaś Zielona rzucała się z dachu kamienicy, z reguły źle celując i wbijając mordę w asfalt, dały się lwy, tygrysy, aligatory i mamuty. Domy płonęły, leciały skądś dzidy i bosaki, w blasku ogni kołysały się niezliczone powietrzne mosty, po których tam i z powrotem przebiegały dziwaczne osobniki, co jakiś czas przystawiając sobie do dup blaszane trąby i wydając z nich nieziemskie zupełnie brzmienia, a wszystko to przeczesywały ogniste serie ze średnio- i wielkokalibrowej broni maszynowej. Major stwierdził w duchu, że zabranie Jaryła było doskonałym pomysłem, a zamknięcie się pod pancierzami jeszcze lepszym, bo co chwila słyszał, jak o poszycie Smoka skrobą kły, szpony i dzioby. Współczuł operatorom działek na wieżach Swarogów, a tym bardziej najemnikom, których większość musiała się ostrzeliwać z otwartych kabin samochodów. Ale ku jego zdziwieniu ci ostatni dobrze się bawili, może oprócz Vasilija, którego Wars był coraz intensywniej atakowany przez jakiegoś hipopotama.

– Kicia – wezwał dowódcę Kocura i zaznaczył na radarze potężną zieloną bestię. – Kropnij tego hipcia, bo zaraz zrobi nam kłopot. Jeśli Wars się przewróci, zatarasuje drogę.

– Tajest.

Niemal w tym samym momencie pojawiły się w dwóch różnych miejscach mapy rozbłyski, a potem do uszu dowódcy doszedł huk, najpierw głośniejszy, od strony najemników, a potem bardziej rozlany, poodbijany od murów miasta, niższy i dostojniejszy.

– Pociski Jaryła w celu – zameldował Junior z Peruna. – Ruszajcie, rozgonię dym.

– Dzięki, Podgrudny. Dzięki, Szaman. Kicia, świetna robota.

– Do usług – odpowiedzieli równocześnie.

Kolumna ruszyła i szybko dotarła do rozbitej barykady, a za nią spotkała ją ciemność lasu.

– Wreszcie wyjeżdżamy, szefowo – rzucił Tygrzyk, przełączając ekrany na noktowizję. – Miałem już dość tego miasta.

– Nadal jesteście w mieście – powiedziała Wuwer, patrząc na ekran. – Tylko orki, znaczy orczyce, zrobiły sobie twierdzę ze starówki.

– Dzikie miasteczko – skomentował Tygrzyk i przyspieszył, widząc, że Orłowski chce w miarę możliwości zgubić pościg oszalałych Zielonych i nieprzewidywalnych zwierząt.

Ledwie kolumna zaczęła się przetaczać przez rozbity barykadę, napotkała przeciwbieżny

strumień zielonych zwierząt, zainteresowanych hałasem w mieście i najwyraźniej już od dłuższego czasu próbujących przedostać się do niego. Stało się więc tak, że mamut zderzył się z mamutem, struś ze strusiem, goryl z gorylem, a orzeł z orłem i tylko orczyce, zaskoczone tą odmianą, pozostały w tyle, wrzeszcząc, skacząc niczym fanki zespołu rockowego i starając się przedostać przez tłum zielonych cielsk.

– Szybciej! – nakazał Orłowski i w mury Wilna uderzyły wzmożone odgłosy dieslowskich silników.

Teraz sunęli względnie gładko ulicą Kościuszki i mieli przed sobą tylko jedno rondo. Nawet jednak gdyby miało być zdewastowane, powinno być przejezdne.

I tak było. Dwa Swarogi w towarzystwie Rujewitów przemknęły przez koło, nie zwalniając, i tylko trójkołowce wyskoczyły w powietrze na nierównościach.

– Gollumka, Boris, żyjecie? – nadał Orłowski do dowódców Rujewitów.

– Jest dobrze, chociaż chwilami trzeba było zapierdalać – odparła porucznik.

– U mnie to samo – rzekł Borys.

– Zróbcie zwiad z Perunami. Chcę mieć pewność, że do szpitala droga jest przejezdna.

– Tajest – odpowiedziała Podgórska i dodała gazu, aż Jastrzębia i Młotka wgniotło w fotele.

– Twarda jest szefowa – nadał Jastrząb, ocierając kurz i zieloną krew z hełmu.

– „Trzeba było zapierdalać” – zacytował ją Młotek. – Ona jest, kurwa, szalona. Myślałem, że tam zdechniemy.

– Słyszałam to, bojz – rzuciła Anna.

– Oł – stropił się Młotek.

– Koncentracja, przystojniaki – dodała, przyspieszając jeszcze bardziej.

– Kurwa, gdybym tego nie lubił, tobym zrezygnował – stęknął Jastrząb.

Teren wokół kompleksu szpitalnego wydawał się porucznik Podgórskiej czysty, co potwierdziły zarówno śmigłowce, jak i drugi trójkołowiec. Udało im się objechać budynki kilkoma drogami i upewnić się, że nie ma tam przeszkód, barykad czy lejów po bombach. Po pandemonium Dżurasik Parku obszar poza centrum miasta sprawiał wrażenie pustego i cichego, chociaż słyszeli odgłosy zwierząt i co jakiś czas próbował ich dogonić borsuk czy zielony lis. W końcu nadciągnął konwój, robiąc masę hałasu i zalewając martwe budynki oraz wybujałe drzewa kołami reflektorów i blaskiem pojedynczych serii oddawanych do zwierząt i wyjątkowo zdesperowanych orczy. Pojazdy wjechały, zgodnie z planem, na teren parku za uniwersytetem, nad nimi zawisły śmigłowce i śmignęły drony, a woje tudzież najemnicy zaczęli się wysypywać z wozów. Członkowie batalionu „Krzemienna Pięść” pobiegli, oddając sporadyczne strzały, w stronę znajdującej się na północy kliniki psychiatrycznej, Orły pognały do oskrzydłającego plac uniwersytetu, a najemnicy zajęli się położonym na południu szpitalem.

Piechociarze Orłów, chociaż skupieni, z ulgą opuścili Dażboga Klaudii i biegnąc, prostowali kości, a najbardziej złorzeczył na niewygody oczywiście Mardok, ku zdziwieniu Deckarda i pogardliwemu uśmieszkowi Zdziry.

Zaraz po zamknięciu wjazdu Klaudia nakazała Lenny’emu ustawić Obcego blisko północno-wschodniego rogu uniwersytetu, by mieć na oku główną drogę, klinikę psychiatryczną i plac. W tym samym czasie Swaróg zajął róg południowo-wschodni, Rujewit Podgórskiej zaczął objeżdżać teren razem z pojazdem Borisa z Pięści, a Jaryło okopało się w centrum kompleksu obok Tura, Marzanny, Lubawy, Mecha i Mora. Załoga tego ostatniego wyskoczyła, pytając,

gdzie są ranni, i pobiegła do stękających najemników, licząc, że snajperzy w wysokich gondolach pancerników ją osłonią. Kierująca Lubawą Kawa podjechała do Swaroga, wypadła z kabiny i razem z Góralelem zajęła się uzupełnianiem paliwa w czołgu pod czujnym okiem osłaniającej ich Tyldy. Grubens i Skarpeta z kolei zatrzymali się przy Turze i uruchomili dźwig, by zainstalować brakujące rakiety w wyrzutni. Operatorzy działek bacznie rozglądali się na boki, wysyłając ostrzegawcze serie w kierunku szarżujących zwierząt i pojedynczych orczyk, a kto mógł, biegł pomóc piechociarzom w przeszukiwaniu budynków. Samul przez chwilę rozważał, czy wejść do gmachu, ale ostatecznie stwierdził, że bardziej się przyda na zewnątrz, uzupełnił amunicję przy Mechu i rozstawił się z Kulą, Pokojkim i Vistą w czterech rogach placu, stanowiąc główną straż tymczasowego postoj. Chwilę później pojawiła się przy nim Ciocia.

– Pączusia? – spytała, wysuwając papierowy talerzyk z trzema ciastkami.

– Danka, rany Swaroga – Darek przerwał, strzelając w kierunku pędzącej ku nim i drącej się wniebogłoso Zielonej – spierdalaj, bo cię tu coś zeżre! – Zaklął, ale pączki wziął, odsłonił przyłbicę, wpakował wszystkie do gęby i zaraz ją zasłonił. – Hpadaj, Hanka! Hięki!

– Mam jeszcze dla innych!

– Hojehana kohieta – mruknął do siebie Zbrojowiec, zdając sobie sprawę, że czeka go nierówny pojedynek z trzema pączkami w ustach.

W tym czasie Oko zajmowało pozycje na dachu uniwersytetu. Zuza wybrała róg południowo-wschodni, dzięki czemu mogła obserwować ulicę Kościuszki, którą już nadbiegały orki. Snajperka nie zdążyła się jeszcze położyć, a oddała dwa celne strzały. Wampir wziął róg nad Swarogiem, Fraydey ulokował się nad Dażbogiem, obserwując plac, Gorzkowski zajął najspokojniejszy róg północno-zachodni, z którego widać już było mroczny północny skraj Wilna, a sierżant Pawłowska ulokowała się nad centralnym wejściem do uniwersytetu od strony placu.

– Szefie – odezwała się Zadra, ledwie położyła się na dachu.

– Słyszę cię, Zuza.

– Przydałby się ogień artyleryjski na główną drogę, pół klika stąd. Najdalej za minutę będziemy mieli znowu Dziki Zachód.

– Zrozumiałem. Dziękuję. – Orłowski połączył się z artylerzystą. – Witek, rzuć kilka strzałów pięćset metrów w stronę starówki, na główną drogę. Trzeba odstraszyć towarzystwo.

– Z przyjemnością.

– Nie mam pojęcia, jak do tej pory radzieliśmy sobie bez ciebie.

– Nie radziliście sobie.

Orłowski rozłączył się z Szamanem i wezwał Peruny.

– Junior, Tritt, zaraz będzie ogień artyleryjski na Kościuszki. Osłaniajcie nas z powietrza, nie dopuszczajcie tu dużych grup zwierząt i orków.

– Roger that – padło potwierdzenie i śmigłowce przesunęły się na południe.

Do grupy Mardoka dołączyli Tata Malki i Kubala. Pierwszy twierdził, że ma szósty zmysł, a ten się przyda, drugi zaś oświadczył, że ścierpł mu tyłek od siedzenia. Mardok nie spodziewał się oporu w rozległym kompleksie, podzielił drużynę na dwa zespoły i zarządził penetrację pomieszczeń, zaczynając od piwnic. Jednocześnie poprosił snajperów, żeby nie dopuścili Zielonych do okien budynku.

– Spróbujemy, w mordę – odparł Wampir między jednym strzałem a drugim.

Mardok słusznie zakładał, że najtrudniej jest spenetrować okratowane, często chronione masywniejszymi drzwiami magazyny, schowki i inne tego typu kanciapy, więc jeśli cokolwiek ocalało po Kolapsie, to właśnie w podziemiach. Szedł w towarzystwie Wiechuckiej, Zdziry i Kubali, a Deckard, Żmij i Tata Malki ruszyli w przeciwnym kierunku. Pomieszczenia i korytarze były zdemolowane. Porastały je mchy i cieniolubny bluszcz połyskujący w świetle latarek.

- Uwaga na szczury – szepnął Kubala.
- Byle nie zielone – syknęła Zdzira.
- Powoli przestaję lubić ten kolor – przyznała Wiechucka.

Kolejne pomieszczenie. Na trzy wtargnęli do środka tylko po to, by odnotować potrząskane meble, brud i walające się wszędzie szkło.

- Szefie – szepnęła Zdzira.
- Do mnie mówisz „szefie”? – spytał Mardok.
- Do kogoś muszę. Orzeł siedzi w Turze i baki puszcza.
- Słyszałem to – nadał Orłowski. – Chciałbym być z wami, ale obowiązki...
- Wiem, panie majorze – przerwała mu Zdzira.
- Wiem, że wiesz.
- Jary – szepnęła Frenkiel – moim zdaniem nie ma sensu zaglądać do otwartych sal.
- Zrobimy to dokładnie, chorąża.
- Żołnierka zagryzła wargi.
- Tajest.

Przemieszczali się bez przeszkód, sprawdzając salę za salą i wypłaszając z nich szczury, bobry i myszy, które umykały przed ostrym światłem latarek.

– Doszliśmy do końca – usłyszeli Żmija. – Na tym poziomie nic nie ma. Schodzimy niżej. Pomiedzy głównym budynkiem a skrzydłem są schody. U was powinno być to samo.

- Dokładnie sprawdziliście? – spytał Mardok.
- To było zbędne pytanie.

Zdzira spojrzała na Jarego. Chociaż każdy wiedział, że pod nieobecność starego to on jest dowódcą piechoty, nie traktowano go do końca poważnie.

- Są od nas szybsi – skonstatował Dziki. – Prędej riebiata.

W tym czasie Orłowski odbierał na kanale ogólnym meldunki od batalionu „Krzemienna Pięść” i od najemników. Wszyscy systematycznie sprawdzali budynki piętro po piętrze i na razie nie meldowali ani o szczególnym oporze, ani o znaleziskach. Za to coraz bardziej niecierpliwili się snajperzy i operatorzy wieżyczek twierdzący, że wrogów przybywa. Jaryło raz za razem wyrzucało w powietrze ładunek, oznajmiając wszem i wobec, że do odwołania to ono jest królem dżungli. Do tej pory penetrujący gmachy znaleźli jedynie kilka paczek papierosów, starą aspirynę, porwane fartuchy, zniszczone autoklawy i puste szafy, które oczywiście nikomu do niczego nie mogły się przydać. Śmieci. Radar Orłowskiego potwierdzał słowa snajperów. Robiło się coraz gęściej, a powtarzające się strzały Zbrojowców i działek pojazdów nie pozwalały w to wątpić. Zgud ustawił jednego drona centralnie nad placem, dzięki czemu Orłowski miał dobry podgląd na sytuację. Odwołał z perymetru Trolla i nakazał, by śmigłowiec miał oko na maszynkę. Nie chciał, żeby jakiś orzeł czy inna zielona swołocz zniszczyła trzeci aparat, bo drugi został wyeliminowany przez jakąś nawiedzoną orczycę, która rzuciła w niego dachówką.

Lubawa podjechała do Dażboga celem uzupełnienia paliwa, a Mech ładował naboje do działa Swaroga i działka Flaszki, który trwał na swoim stanowisku, zapewniając inżynierom bezpieczeństwo.

„Psiakrew, dobry zespół – pomyślał major. – Każdy robi, co do niego należy. Rzeczywiście teraz jest lepiej”.

– Góral – odezwał się do dowódcy Lubawy. – Dlaczego uzupełniacie paliwo? Tego, co jest w bakach, wystarczy na powrót.

– Nigdy nie wiadomo, panie majorze. Jest chwila względnego spokoju, to robimy, co możemy.

„Niby tak” – pomyślał Orłowski i zerknął za siebie. Zgud ocierał pot z czoła, zawiadując dwoma pozostałymi dronami, a Stawniak i Scorsese katalogowały zdjęcia, które wykonały podczas rajdu przez Wilno. Coś sobie pokazywały i cicho dyskutowały.

– O czym mówicie? – spytał.

Stawniak przełknęła ślinę.

– Panie majorze, podczas przejazdu przez to piekło cały czas wszystko filmowałyśmy...

– Takie było wasze zadanie.

– Zrobiłam między innymi takie zdjęcie...

Królewska bibliotekarka przesłała dowódcy fotkę. Przedstawiała kamienicę, od której odbijała się potężna orczyca. Do muru budynku przymocowana była, sklecona z blach i drewna, rura, w którą celowała Zielona. Rura biegła pod stromym kątem do ziemi.

– Co widzę, pani Stawniak? – spytał Orłowski.

Bibliotekarka zaznaczyła leżący obok rury żeliwny dekiel studzienki kanalizacyjnej, a potem skuty dookoła asfalt.

– Mam wrażenie, panie majorze...

– No?

– Że ta rura prowadzi do sieci kanałów.

– I?

– Jak widzieliśmy, w centrum Wilna jest doskonale zorganizowany transport napowietrzny. Chodzi mi o te wiszące chodniki. Z pewnością mieszkanki miasta stworzyły taką komunikację i siedziby na dachach, żeby uniknąć kontaktu z zielonymi zwierzętami.

– Tak.

– Każdy ork może się więc w obrębie murów dostać w każde miejsce, używając sznurowych mostów.

– Więc?

– Więc podejrzewam, że kanały służą do poruszania się poza granicami starówki.

– Hm?

– To zdjęcie zostało zrobione tuż po tym, jak przejechaliśmy północną barykadę, którą rozwalił major Siekierzyński. Rura prowadzi na północ.

– Tutaj?

– Być może. Potem filmowałam jeszcze, póki mogłam, to miejsce. Jak na mój gust wskoczyło do tej rury kilkadziesiąt wyjątkowo dobrze uzbrojonych wojowniczek.

Do drzwi Tura ktoś zapukał. Scorsese sprawdziła kamery. To była Ciocia. Ursula podbiegła do wjazdu i otworzyła, by zobaczyć uśmiechniętą wojowniczkę z tacą pełną pączków. W tle co chwila rozlegały się strzały, słychać było ryki zwierząt i orków.

– Pączusia? – spytała Banecka, wspinając się po drabince do pojazdu.

- Danka, zwariowałaś? – spytał major.
- Ja chętnie – rozochocił się Szczyrbowski.
- Ja też! – krzyknął Tygrys ze swojej wieży. – Trzy!
- Orłowski bezwiednie sięgnął po pączka i uruchomił interkom.
- Orzeł do Dragona.
- Słyszę cię, Orzeł – odpowiedział strzelec Marzanny.
- Pilnujesz tej szalonej kobiety? – Dowódca spojrzął na podgląd pojazdów. Wieża wozu kuchennego skierowana była w stronę Tura.
- Jak jastrząb, panie majorze.
- Dobrze.
- Mówiłem jej, żeby uważała, bo pośrodku placu jest odwalona płyta od kanalizacji.
- Powtórzę jej – odparł Orłowski. – Danka, wiesz, że w placu jest dziura?
- Wiem, kochanieńki, o mało w nią nie wpadłam i poleciały mi w otchłań trzy pączki.
- Niepowetowana strata – powiedział ze zgrozą Szczyrbowski.
- Major spojrzął na niego zagadkowo, po czym wgrzył się w ciastko i zwrócił do Stawniak:
- Ale po co miałyby tu za nami iść? Mało mają kłopotów ze zwierzyńcem?

Najwyższa komendantas Wilna Annas Kucharzałskas Giedyminas Petrauskas Kurwinas ecce Kutauskas stała na szczycie jednej z ostatnich kamienic po północnej stronie Dżurasik Parku i patrzyła, jak z miasta wyjeżdża szalony korowód ślicznie pachnących Bliadych. We łbie jej się kręciło, ale ostatnim wysiłkiem woli oparła się szaleństwu i nie pognęła za chłopcami malowanymi. Obok niej stały, ciężko dysząc, nie wiadomo, czy z ekscytacji, czy ze zmęczenia, Edytas Izabelas Rudolfas zwana Śpiewaczką oraz Monikas Nowajtis zwana Chomikiem, a za nimi prężyły mięśnie, piersi tudzież pośladki Litewskie Słowiki vel Oponiary, gwardia przyboczna Kucharzałskas złożona z pięćdziesięciu najroślejzych orczyw w mieście o gębach wysmarowanych czarną farbą i cielskach opakowanych w niezniszczalne zbroje z samochodowych opon.

- Pora na analizę zajścia – chrypnęła Kucharzałskas.
- Racja, o wielka – poparła ją Rudolfas i służbiście zsiakała się po nogach.
- To nie Rusczy – zawyrokowała Chomik.
- Doskonała obserwacja – pochwaliła Kucharzałskas i poklepała podopieczną po schabach, na co ta także się zsiakała, nie tracąc czasu na pierdoły.
- Nie przyjechali podbić Wilna – dodała Rudolfas.
- I również zaliczyła pochwalnego klapsa w balerony.
- Zgadza się. Byli tu...
- Przejazdem – weszła jej w słowo Nowajtis.
- A zatem jadą do...
- Legendarnego Skarbca, którego Nie Otworzył Jeszcze Żaden Litwin ni Litwinka Na Wieki Wieków Amen – wyrecytowała Rudolfas ku zdumieniu dowódczyni.
- Chcą ukraść nam skarb! – warknęła Kucharzałskas, obnażając niemal wszystkie zębiska.
- Ale skąd o nim wiedzą? – spytała niemalże przytomnie Rudolfas.
- Nie wiem, Śpiewaczko. Mają te swoje skanery dupery, to pewnie nimi prześwietili.
- Ale nawet my nie wiemy, co jest w skarbcu! – zauważyła Chomik.
- To nic! Skarbu nie dostaną, dziewczyny! – wrzasnęła Kucharzałskas i wzięwszy rozbieg,

skoczyła prosto w Gardziel Smoka, jak nazywały wilnianki zjazd do kanalizacji miejskiej, w której miały oznakowany szlak do skarbcza.

Po przeszukaniu wyższego piętra piwnicy Mardok, Zdzira, Kubala i Wiechucka zeszli schodami na piętro niższe, notując, że jest jeszcze jedno.

– Litwini lubią budować w dół – skomentowała Frenkiel.

– Przewidywali konflikty atomowe, to budowali – odparł Mardok.

– Podoba mi się ten budynek. Coś tu znajdziemy – zapewnił Kubala, a Wiechucka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Uwaga – usłyszeli głos Zguda na kanale ogólnym. – Dokopałem się do informacji o tym kompleksie. Uniwersytet był przewidziany także jako schron przeciwoatomowy i w 2033 roku dobudowano dwa dodatkowe podziemne piętra. Tak że nie zdziwcie się, że będzie tam sporo łożenia.

– Właśnie to sami wykoncypowaliśmy – odparła Wiechucka.

– Mają fart – jęknął Kula, a Szczygło mu zawtórował, bo miał szczerą nadzieję, że to najemnicy odkryją składowisko leku.

Ludzie Mardoka otwierali pomieszczenie za pomieszczeniem, ale niczego nie znajdowali, więc coraz bardziej się spieszyli. W końcu Jary zauważył, że wpadają w rutynę, a to gubi każdego żołnierza.

– Wolniej – warknął. – Koncentracja.

– Tak jest – wsparła go Wiechucka. – Za bardzo się spieszymy.

– Skończyliśmy, kurwa – usłyszeli Szczygłę. – Znaleźliśmy pomieszczenia aptek szpitalnych i trochę tam było przeterminowanego gówna, ale N-Genu brak.

– Szybcy są – stwierdził Kubala.

– Ponad sto luda. Nie to, co my – odparła Zdzira.

– Zaraz przyjdą do nas i narobią hałasu. – Wiechucka skrzywiła się.

– Szczygło – nadał Mardok – mamy jeszcze na uniwersytecie parter, pierwsze piętro, drugie i poddasze. Tylko uważaj na dach, są tam snajperzy.

– Idziemy.

– Tu też przyda się pomoc – oświadczył sierżant Marcin „Kondor” Maciński, dowódca piechoty „Krzemiennej Pięści”. – Psychiatryk ma osiem pięter, poddasze i dwa dodatkowe skrzydła. Posrać się można. Na tej Litwie musiało być sporo wariatów. Też sprawdziliśmy aptekę szpitalną. Zero.

– Wyślę wam pomoc – rzekł Szczygło.

– Świetnie. Niech idą od góry w dół, spotkamy się w połowie.

– Nie będą zapierdalać na dziewiąte piętro, żeby potem schodzić – warknął Szczygło.

– To niech spierdalają – warknął Kondor i trzeba było przyznać, że co warknięcie żołnierza, to nie najemnika.

– Dobra, dobra, idą – odezwał się po chwili Szczygło. – Snajperzy, uważajcie, za chwilę będą szli nasi od południowego wschodu.

– Tajest – odparł Wampir, a zaraz po nim sierżant Jakub Chadryś zwany Frodem, dowódca Oka „Krzemiennej Pięści”. Jego grupa obsadzała dach kliniki psychiatrycznej.

Tymczasem Mardok zaczął intensywnie myśleć. Po chwili odezwał się do interkomu:

– Mardok do Oka.

- Słyszę cię, Mardok – rzekł Wampir.
- Przyślij mi tu na dół Gorzkowskiego. I niech weźmie dużo C4.
- Już.
- Co kombinujesz, Mardok? – spytał na ogólnym Orłowski.
- Myślę sobie, szefie, że skoro to schron i skoro podejrzewamy, że znajdziemy tu coś, do czego nie dorwały się orki, to to coś może być tylko za tak mocnymi drzwiami, że Zieleni nie byli w stanie ich sforsować. Skoro tak, to bez użycia materiałów wybuchowych my też ich nie sforsujemy.
- Racja.
- Zaraz u was będę – zameldował Cezariusz.

Tymczasem Kucharzalskas, Rudolfas, Chomik i wataha Oponiar mknęły podziemnym przejściem co ork wyskoczy, a że miały do pokonania trzy kilometry w niełatwym terenie i w zupełnych ciemnościach, bo zapomniały pochodni, co chwila się potykały, przewracały i nadziewały na przeszkody. Klęły na czym świat stoi, jednak uparcie posuwały się do przodu...

Do grupy Mardoka dołączyli Deckard, Żmij i Tata Malki, stwierdziwszy, że przeszukali już swoją część podziemi. Razem z nimi pojawił się sierżant Cezariusz Gorzkowski opakowany materiałami wybuchowymi i błyskający w ciemnościach zębami.

- Co się tak szczerzysz? – spytała Zdzira.
- Wiedziałem, że z Orłami jest zajebicie.
- Tak ci się podoba? – rzucił podejrzliwie Tata Malki.
- No.
- Kucharz podrapał się w gęstą brodę.
- Coś czuję – mruknął. – Coś niedobrego. Zbliża się. Nie wiem skąd...
- Mardoka przeszedł dreszcz. Wiedział, że podobne przecucie Malki miał wtedy, gdy generała Wiedźmina zaatakował wielki Adolf. Zginęła wtedy Pacholczyk, którą wciąż w Orle wspominano i z której śmiercią nikt się nie pogodził.
- Gotowość – warknął i z rezygnacją zanotował, że po schodach zbiegają, robiąc wiele szumu, najemnicy. – Runa – spojrzął na sanitariuszkę – daj im znać, łagodnie, ale stanowczo, żeby zamknęli ryje.
- Tajest.
- Dlaczego nie ja? – spytała Zdzira.
- Ty byś to zrobiła zjadliwie, ja wyszedłbym na buraka, Żmij sprawiłby, że by się posrali, przed Deckardem by spierdolili, Malkiego zjedli, a Kubali nie zauważyli. Tylko Wiechucka się do tego nadaje.
- Dziękuję. – Runa dygnęła i pobiegła ku najemnikom. – Zawrzcć ryje, idioci! Górę sprawdzać, nie dół! – ryknęła i piechociarze zaczęli się zastanawiać, które alikwoty jej głosu oddawały delikatność, a które stanowczość.
- Ale podziałało. Najemnicy się uciszeli.
- Dobra, idziemy. Cisza – rozkazał Mardok i ruszył na szpicy w dół schodów.

Miłosz Lupińskij zwany „Żabą”, były Turok, który kiedyś spiskował z Jołopem i Ożuchskim, by obalić Rasputina, w dzieciństwie uwielbiał nadymać żaby, wraziwszy im słomkę w kloakę. Był krótkowidzem noszącym soczewki i dziwakiem zainteresowanym postapokaliptycznym nurtem w fantastyce, szczególnie światem Stalkera. Przemiana dopadła go w moskiewskim lokalu „Baggins”, speluncie dla geeków jego pokroju i innych dziwadeł, które żyją bardziej w wymyślonych krainach niż w rzeczywistości. Korzystając z zamieszania wywołanego jego niecodziennym zachowaniem i wyglądem, skradł grę planszową *Zakazane gwiazdy* oraz głowy dwóch bywalczyń klubu, które nigdy nie zaszczyliły go życzliwym spojrzeniem, przeciwnie – czasami urządzały sobie z niego podśmiejki. Ich czaszki do teraz nosił Żaba na szyi w charakterze trofeów i lubił do nich czasami mówić, a nigdy miło. Dziwnym zrzędzeniem losu przeobrażenie upodobniło go nieco do płaza, od którego wzięł swoje pseudo: tułów miał nieproporcjonalnie szeroki, łeb płaski, oczy rozstawione nadzwyczaj szeroko, głowę rozjechaną jak u Jabby, nogi stawiał na zewnątrz, a kolana ciągle ugiął. Nie pasowały na niego żadne ubrania, toteż prącie wyglądało mu często zza szmat, którymi bez powodzenia starał się okrywać krocze. Narząd ten był skądinąd dziwnie długi i nie bardzo chciał stawać. Dlatego, mimo że wilnianki próbowały z niego zrobić Fallasa, nie sprawdził się i kobiety, nie chcąc go zjeść, bo śmierdział jakby rybą, wyrzuciły go w końcu za mury z nadzieją, że będą z niego miały pożytek chociaż dinożarły. Jednak gdy pewien głodny wilk chciał pożywić się Żabą, gorzko pożałował, Lupińskij bowiem okazał się... trujący.

Gdy się zorientował, jak potężną mocą dysponuje i że jest praktycznie nietykalny, zaczął przemierzać knieje wokół Wilna w poszukiwaniu ciekawych miejsc. Zwiedzał ruiny, myszkował po piwnicach, bawił się w surwiwal. Pewnego dnia odwiedził kompleks szpitalny, a w nim atomowe podziemia uniwersytetu i od razu zachwyciły go te wnętrza, a zwłaszcza wejście do... Krypty. Najprawdziwszej krypty z okrągłym włazem oznaczonym liczbą „13”. Wiele razy próbował się do niej dostać, ale nie potrafił. Właz był zbyt masywny, Żaba nie posiadał klucza ani kodu, a wiedział, wiedział, że kryją się tam skarby!

Gdy Kryptę odkryły wilnianki wędrujące podziemnymi korytarzami, z których jeden prowadził z apartamentu najbogatszego człowieka w mieście prosto do schronu, zgodziły się, by Żaba pilnował skarbu niczym smok góry złota. Wiedziały już, że Lupińskij jest trujący, i uznały, że to dobry strażnik. Same były ciekawe, co się kryje w schronie, i miały chrapkę na przysmaki sprzed apokalipsy, lecz podobnie jak Żaba, nie potrafiły sforsować włazu. Uznały więc, że Krypta 13 to ich skarb i pewnego dnia odkryją jego tajemnice.

Miłosz „Żaba” Lupińskij urządził w korytarzu wiodącym do włazu postapokaliptyczne mieszkanie, w którym bardzo lubił przebywać. Po pierwsze, odgrodził je od innych korytarzy prowizorycznymi kratami, by nie dopadły go dinożarły. Po drugie, ściągnął na dół uniwersyteckie biurka, fotele i w miarę dobrze zachowane regały, na których umieszczał rozmaite znaleziska: mikroskopy, urządzenia laboratoryjne, nienadpalone książki medyczne i inne dziwne przedmioty. Do ścian przybił obrazy, na podłogach położył dywany, a sypiał na szpitalnym łóżku, na które rzucił dla wygody dwa materace. Z pobliskich sklepów wyszabrował wszystkie świece, ale po kilku miesiącach zużył cały zapas, więc z ułomków cegieł zrobił prowizoryczny krąg ogniska i palił tam gałęzie, których dostarczały mu okoliczne parki. Życie nabrało swoistego smaku, a Żaba czuł się niczym najprawdziwszy stalker, zwłaszcza gdy w którymś z militarnych sklepów zdobył maskę przeciwgazową.

Tej nocy, chociaż jego siedziba znajdowała się na poziomie minus trzy, usłyszał odległą kanonadę z centrum Wilna, a potem dotarły do niego dźwięki podjeżdżających pod uniwersytet

ciężkich wozów. Z początku był przekonany, że to kamraci z Wielkiej Floty, i doświadczył ambiwalentnych uczuć – z jednej strony chciał wrócić do towarzyszy, z drugiej lękał się nieprzewidywalnego Rasputina i całej flotowej schizofrenii. Dobrze mu było przy władze krypty, o której codziennie śnił niestworzone rzeczy, a z każdym snem wewnątrz schronu rozrastało się coraz bardziej, zyskiwało poziomy i mieszkańców. Pewnego dnia Żaba nabrał przekonania, że kiedyś ktoś z krypty wyjdzie, bo przecież muszą tam mieszkać setki ludzi! Żal mu było więc rozstawać się z tymi marzeniami i ze skarbem, który był o tyle cenniejszy, że wciąż zamknięty. Rozumiecie, kiedy otworzycie szkatułę, to choćby znajdował się w niej najpiękniejszy klejnot, minie kilka miesięcy i się wam on opatrzy, blask zmatowieje, połysk fasetek przestanie fascynować. Natomiast zamknięta szkatuła zawiera cały wszechświat cudów, o których można bez końca marzyć.

Wkrótce jednak nos Żaby wyczuł, że to nie kamraci, że to w ogóle nie swierchy! To byli Bliadzi! Cudowne chodzące pierogi ze śmietaną, które, gdy je ścisnąć, pryskają farszem! Pysk Lupińskiego rozciągnął się w uśmiechu. „Ja mogę ich zjeść – rozumował – bo nie są trujący. Oni mnie zjeść nie mogą, bo jestem trujący! Więc przegrają!”

No cóż, jak twierdzą historycy, Żaba po przemianie stracił nie tylko wątpliwą urodę.

Rozstawił więc Lupińskij uszy szeroko i wysoko niczym Król Cezar, sojusznik filmowej Godzilli, i zaczął przetrząsać kąty w poszukiwaniu najlepszego oręża. Miał tego sporo: noże, tasaki, długie noże, ciężkie tasaki, jeszcze dłuższe noże i ogromne tasaczyska. Do wyboru, do koloru. Wziął w końcu do jednej łapy najcięższy tasak, jaki miał, do drugiej zaś najdłuższy nóż i skrywszy się w cieniu, czekał na pierwszych gości w swojej masce przeciwgazowej.

Ci jednak coś tam marudzili i nie chcieli zejść. Słyszał jedynie szuranie butów, chrzęst gruzu i szkła, otwieranie drzwi, zamykanie drzwi, szepty, czasami głośniejsze rozmowy, znowu szuranie butów, kroki, ale wszystko to za wysoko, za wysoko! „Chodźcie tu, Bliadzi!”

Minuty niecierpliwego czekania dłużyły mu się niemiłosiernie, zwłaszcza że zapach pierogów z bliadziną rozszedł się już po całym kompleksie i powodował mimowolne drżenie mięśni, a w głowie gejzery wyobrażeń rzezi, gwałtu i rąbanki. „Kąsać, żreć, gwałcić, zabijać, chędożyć, chędożyć, chędożyć” – szeptał do siebie Lupińskij coraz głośniej i nie mogąc wytrzymać czekania, zaczął się przechadzać po apartamencie, a gdy chodzenia było mu już za mało, począł uderzać rytmicznie tasakiem o nóż. „Otóż to! Klang wojenny! Zew konsumpcyjny! Trzask tasakiem o nóż! Trzask nożem o tasak! I rach! I ciach! Kurwa, co oni tak długo nie przychodzą?! I jeb tasakiem w regał! I łup nożem w kraty! I z kopa w tę ścianę, i z piąchy w drzwi! I jebać Bliadych! I ruchać Bliadych! Aaa!!!! Aaaaaa!!!”

Miłosz „Żaba” Lupińskij sam nie wiedział, kiedy wypadł na schody i zaczął sadzić wielkie susy w górę, drąc się wniebogłosy, jedyne bowiem, co czuł, to krew i żądza mordy.

– Uwaga! – krzyknęła Wiechucka, która pierwsza usłyszała rumor na schodach.

Piechociarze przykleknęli z Rodami wycelowanymi w wylot ciemnej klatki schodowej. Nagle ich oczom ukazał się dziwaczny, nadzwyczaj szeroki ork z maską gazową na łbie i niebywale długim prąciem obijającym się o kolana. Potwór ruszył na nich z rykiem, połyskując w blasku latarek tasakiem i nożem.

– Co za bydlę – szepnęła Zdzira.

– Ognia – nakazał Mardok i stwora zalały złote strugi ołowiu.

Palba odrzuciła go do tyłu, nóż i tasak, wirując w powietrzu, zostały tam, gdzie przed chwilą

stał, a on, wciąż lecąc, otrzymywał kolejne trafienia.

„O bliat – pomyślał Żaba, lądując na schodach w niewygodnej pozycji. – Zabiorą mój skarb, a ja nigdy nie zobaczę, co jest dalej...” Próbował się dźwignąć, lecz dziwnie omdlałe członki odmówiły mu posłuszeństwa, a głowę przesłoniła biała mgła, przez którą przestał cokolwiek widzieć. I zapadła cisza...

Ale nagle obraz znowu się pojawia i widzi Miłosz, że niepotrzebnie się martwił! Bo oto stoi razem z Bliadymi, których jakoś już nie chce mu się chrupać, przed wjazem, a jeden z nich otwiera ciężkie wrota, wstukując właściwy kod. Wierzeje otwierają się z głośnym sykiem, ze środka bije złoty blask, czuć zapach świeżych konserw, czuć czystość i piękno. Wchodzi Miłosz do krypty, a tam witają go uśmiechnięci ludzie w granatowych uniformach. „Witaj – mówią. – Witaj. Miłosz, cieszymy się, że cię widzimy! „Tak długo na ciebie czekaliśmy”. „Naprawdę? – dziwi się Lupińskij. – To ja na was czekałem!” „No tośmy się naczekali!” Śmieją się, klepią go po plecach, dają mu nowe granatowe ubranie, dają mu broń, dają piękny apartament, a on sam nie jest już swierchem, tylko człowiekiem, Miłoszem Lupińskim. O, a tam siedzą Wiera i Tatiana, te dziewczyny z „Bagginsa”, uśmiechając się do niego, zapraszają do gry w planszówkę. „Boże jedyny – pomyślał Miłosz – miałem rację! Wiedziałem, wiedziałem, że mam rację! Tu jest wspaniale! Już nigdy się stąd nie ruszę!”

– Wielki jakiś – mruknęła Wiechucka, sprawdzając puls na szyi potwora. – Nietypowy nawet jak na orka.

– Radioaktywny? – spytał Mardok.

Sanitariuszka wyciągnęła z torby licznik Geigera i omiotła nim cielsko.

– Nie. Za to uśmiechnięty.

– Zrobiliście mu dobrze? – spytała Zdzira.

– Najwyraźniej.

Zeszli na najniższy poziom piwnicy i ze zdziwieniem przeszli przez mieszkanie Żaby, podziwiając obrazy, mikroskopy, książki i dywany, po czym skierowali latarki na wjazd Krypty 13 i z gardeł wszystkich wydobył się jęk zachwyty.

– Mardok do Orła – odezwał się Jary, a Orłowski wiedział już, że adiutant ma do przekazania coś doniosłego, bo oficjalnego kodu używał Dziki tylko w wyjątkowych sytuacjach.

– Słyszę cię, Mardok.

– Chyba to mamy, szefie.

– N-Gen?

– Jeszcze nie wiem. Wjazd do schronu. Nietknięty. Pilnował go jakiś rzeźnik, jak z tej gry, no, *Diablo*, ale już sobie z nim poradziliśmy. Miałem rację co do C4. Będzie potrzebna spora ilość.

Sierzant Cezariusz Gorzkowski znał się na swojej robocie. Szybko przeanalizował rozkład ścian, przyjrzał się, jak zamocowany jest wjazd, stwierdził, że najprawdopodobniej samo skrzydło drzwi i zawiasy są masywne, ale mur dookoła słaby, rozlokował ładunki, a potem kazał wszystkim wyjść z budynku.

Ponieważ wieść o znalezisku natychmiast obiegła wszystkich biorących udział w wyprawie, przy wejściu do uniwersytetu zebrał się niemały tłum. Zmartwiło to Orłowskiego, bo nigdy nie jest dobrze, gdy woje rozmieszczeni są na niewielkiej powierzchni, zwłaszcza przy nasilającej

się dookoła palbie.

– Dlaczego wyszliśmy na zewnątrz? – spytał Szczygło.

– Budynek jest litewski, nienowoczesny, po kataklizmie – odparł Gorzkowski. – Nie wiem, jak zareaguje na eksplozję, nawet niewielką. Wszyscy wyszli? – Spojrzał na Mardoka.

Ten skinął głową, a Cezariusz odpalił ładunki. Wybuch nie zrobił na nich wrażenia. Nawet kurz przez okna nie wyszedł. Natychmiast wbiegli do środka, a potem, za grupą Mardoka, pognali na dół.

Najpierw był obłok pyłu, którego nie potrafiły przebić latarki, ale potem, gdy przeszli po gruzie, a następnie minęli odwalony wąż...

– O mój Świętowidzie! – zachłysnął się Mardok, przecierając oczy i odganiając obłoki pyłu. – Skarb, prawdziwy skarb...

– Jest N-Gen? – spytał Orłowski.

– Pieprzyć N-Gen, szefie! Tu są skrzynki Daniel'sa oryginalnego, Tullamore Dew, szefie, Jameson jest, Balvenie, Żytunia, Stolichnaja, Camele, Marlboro, cygara, szefie, sterty puszek...

– Puszek mamy w domu.

– Szefie, kurwa, tu są stopy próżniowo pakowanej Lavazzy, Tchibo, Jacobsa, normalnej i rozpuszczalnej, sterty herbaty, ja pierdole...

– Dużo?

– Stopy, szefie. To zapasy na wiele lat! Na wiele lat!

W tym momencie w głowie Orłowskiego, Mardoka, Szczygły, Kuli i wszystkich członków wyprawy zapaliły się czerwone lampki. Jak to podzielić? Komu należy się znalezisko? Na pierwszy rzut oka wszystkim, bo na dobra te zasłużył każdy woj i najemnik. Z drugiej strony żołnierze wykonywali tu państwową misję, a najemnicy byli prywatnie, w dodatku jeśli nie znajdą N-Genu, nic już nie zarobią.

Orłowski uznał w końcu, że podział łupów to jego ostatnie zmartwienie. Zajmą się tym po powrocie.

– Załadujcie to na jakąś ciężarówkę. Tam jest najwięcej miejsca.

– Byle nie do Yamato – rzuciła kapitan Miktus.

– Dlaczego, pani kapitan?

– Bo zrobiliśmy tam z najemnikami punkt medyczny. To jest jatka, majorze...

– Znaczą?

– Dziewięciu zabitych, sześciu zaginionych w akcji, jak na mój gust też martwych, piętnastu rannych, w tym sześciu w stanie krytycznym.

– To fatalnie, pani kapitan.

– No mówiłam, jatka. Te odkryte paki, brak dobrych pancerzy i przeszkolenia zrobiły swoje.

– My też mamy Porewity i Rujewity...

– Ale one, majorze, nie jechały w konwoju, tylko, za przeproszeniem, zapierdalały, robiąc zwiad. No i nasi ludzie mają lepsze pancerze. W mordę, sporo tu krwi...

W tym momencie Orłowski zdał sobie sprawę, że zatrzymawszy się przy uniwersytecie, nie poprosił o raport. Z drugiej strony nie był to prawdziwy postój, bo wciąż walczyli. Wiedział, że zarówno jego ludzie, jak i batalion „Krzemienna Pięść” trzymają się dobrze i nie ma nawet rannych, a brak nawyku spowodował, że nie zapytał Szczygły o jego ludzi.

– Panie majorze – odezwała się lekarka. – Tych sześciu nie wytrzyma zbyt długo. Trzeba zorganizować przerzut do Twierdzy, inaczej będziemy mieli ich krew na rękach.

– Rozumiem. Panie Szczygło – zwrócił się do przywódcy najemników. – Dlaczego nic pan nie

mówił, że macie zabitych i rannych?

– Kurwa, wydało mi się to oczywiste. Wy nie macie?!

– Nie.

– Niesamowite. Tak czy owak, to nasza sprawa.

– Nieprawda.

– Z całym szacunkiem, zaraz się nimi zajmiemy.

– Trzeba będzie ich odwiedzić do Twierdzy.

– Właśnie o tym mówię. Pomyślimy o tym, tylko ogarniemy te łupy.

Orłowski uniósł brwi. „Życie życiem, ale taki skarb piechotą nie chodzi, co, panie Szczygło?”

– Wiechucka, zrób dokładny inwentarz tych wszystkich cudowności – nadał do sanitariuszki.

– Nie chcę, żeby się coś... zgubiło.

– Tajest.

– I wróćmy do szukania N-Genu. Wampir, jak perymetr?

– Jest gęsto, szefie, coraz gęściej – odpowiedział dowódca Oka. Gdy wypowiadał to zdanie, dwukrotnie przeładował Tora i Orłowski usłyszał dwa syknięcia z lufy zaopatrzonej w tłumik.

Dowódca Orłów spojrział na radar. Palba z Gejtofhella w główną drogę spowodowała, że orczyce oraz zwierzęta przestały przeć stadnie do przodu. Zamiast tego towarzystwo rozproszyło się i teraz do pozycji ludzi usiłowały dotrzeć z rozmaitych kierunków pojedyncze sztuki.

– Słyszę. Dać wam wsparcie?

– Na razie się wyrabiamy.

– Amunicja?

– Jeszcze mamy.

– Wyślę do was Skarpetę z zapasem.

– Dzięki.

W tym czasie grupa Mardoka zwiedziła schron, który składał się z kilkunastu dużych pomieszczeń urządzonych tak, by przetrwać wiele zim. Były tam telewizory, odtwarzacze płyt, stosy filmów, półki pełne książek, dobrze urządzona kuchnia ze spiżarnią o powierzchni większej od wszystkich pozostałych pokoiów razem wziętych i dwie przestronne łazienki. Z pewnością był to apartament jakiegoś tuza, który przetrwałby Kolaps bez trudu i nawet z przyjemnością, więc w sumie dziwne, że go nie przetrwał. Ludzie Szczygły ładowali się do spiżarni i wynosili z niej skrzynki alkoholu i innych używek, a na ich zabrudzonych twarzach oprócz smutku po zmarłych i niepokoju o rannych był też entuzjizm. „Dzielni są” – pomyślał odruchowo Jary i dalej szukał ze swoim oddziałem N-Genu, sprawdzając kąty i odsuwając obrazy z myślą o sejfach.

Ale N-Genu nie było.

W końcu Mardok przekazał Orłowskiemu tę niezbyt ciekawą nowinę, a major oparł się ciężko o deskę rozdzielczą Tura. „Cholera jasna. Co teraz z tymi wszystkimi pielgrzymami?!”

– U nas też fiasko – nadał sierżant Marcin „Kondor” Maciński, którego oddział wybiegał właśnie z najemnikami z kliniki psychiatrycznej. – Wywiad nawalił albo Engelsy same zwinęły zapas.

– Ale po chuj Engelsonom N-Gen?! – odezwał się Mardok.

– To idioci. Może myślą, że to cukierki?

– Dookoła nas jest mnóstwo zielonych zwierząt – zauważył Orłowski, patrząc, jak rozstawieni w perymetrze snajperzy i Zbrojowcy strzelają co chwila. – Może tutejsze zoo robiło eksperymenty?

– Mamy sprawdzić jeszcze zoo? – spytał Kula, stojąc w odległym rogu parku i prując do jakiegoś chowającego się za drzewami stwora.

– Nie wiem, może...

Ich rozmowę zakłócił głuchy łomot spod ziemi.

– Szefie – odezwał się Mardok – Kubala odkrył zamaskowane przejście wiodące diabłu w du... Kurwa, uwaga!!!

– Mardok! Co się dzieje?!

Orłowski przełączył widok na kamerę zamontowaną na hełmie chorążego i zobaczył tłoczące się w kanalizacji czarne potwory rodem z *Obcego*.

– Ja pierdolę – szepnął do siebie. – Wycofajcie się na górę klatki schodowej. Tam będziecie mieli lepszą pozycję.

– Tajest – stęknął Mardok. – Odwrót do schodów! Do schodów!

Historycy twierdzą, że w tym momencie warto przenieść kamerę w bok i ulokować ją na barkach orcyc, które wraz z Kucharzałskas, Rudolfas i Chomikiem pędziły mrocznym korytarzem do Krypty 13. Tylko dzięki temu bowiem będziemy w stanie zrozumieć, dlaczego ich obecność zmanifestowała się tak późno.

Powodem były oczywiście pączki upuszczone do kanału przez Ciocię.

Ich boski zapach zmieszany z wonią Bliadych sprawił, że Zielone zupełnie powariowały – zaczęły kwiczeć, obijać się o ściany, nawzajem się gryźć, złorzeczyć, kopulować ze sobą i ze śliskimi cegłami, a co bardziej zmyślne konstruowały w ciemnościach podejrzanego instrumenta z opon stanowiących integralne części ich pancerzy. Podsumowując, pandemonium w kanale zrobiło się pełne, jakkolwiek karkołomnie to brzmi. Gdy w końcu dostały się do miejsca, w którym leżały nieszczęsne ciastka, i zobaczyły trzy pokryte lukrem kule, wpadły w taką furję, że nie widząc już i nie rozumiejąc niczego, zaczęły o nie walczyć na śmierć i życie. Właśnie w tym momencie sierżant Mariusz „Farin” Kubala, słysząc podejrzanego hałas, odkrył zamaskowane przejście, odwalił betonową płytę, oświetlił długi korytarz latarką i dostrzegł wijące się kształty rodem z samego serca piekła. W pierwszej chwili zarówno on, jak i inni członkowie batalionu „Orzeł Biały”, widząc zamazane ruchem i odległością pancerze walczących i ich czarne pyski, byli przekonani, że to poczęte w mrokach ścieków niezwykle niebezpieczne bestie.

Stojący na uniwersyteckim placu woje, oglądający to pandemonium przez otwór studzienki kanalizacyjnej, nie bardzo wiedzieli, co robić, i tylko gęby rozdziawiali, aż stanął pośród nich Sokół z czołgowym pociskiem zapalającym w rękach.

– Co zamierzasz z tym zrobić, synu? – spytała Miktus.

– Za pozwoleniem pana majora i sugestią chorążej Gwary, spuszczę im...

– Wpierdol? Przedni pomysł – rozochocił się Machaj Mikołajczyk.

– Jest zgoda – usłyszeli głos Orłowskiego.

– Dobra – stęknął Sokół. – W takim razie prosiłbym o odsunięcie się...

Woje odskoczyli, a celowniczy Kocura ostrożnie przełożył pocisk do jednej ręki, wycelował i... upuścił.

Pół sekundy później z otworu buchnął słup ognia, a w odgłos wybuchu, jak twierdzą świadkowie, wplótł się niczym w złoty warkocz czarny wrzask setek Obcych, którzy wylęgli się w wileńskich kanałach. Alieni wrzeszczeli, warczeli, darli się w agonii, a oczyszczający, święty

ogień Twierdzy pochłonął zarówno ich istnienia, jak i wrzaski. Taki właśnie był koniec dzielnej Kucharzałskas, Rudolfas zwanej Śpiewaczką oraz Chomika i mocarnych Oponiar. Żadna z nich nie dowiedziała się, co kryło się w skarbcu, i jedyną pociechą przed zgonem było to, że niektóre walczące ugryzły kawałek boskiego pączusia podporucznik Dany Baneckiej, a część wręcz stwierdziła, że warto było, oj warto...

Gdy płomienie opadły, oddział Mardoka i najemnicy pospiesznie wrócili do krypty, by wynieść z niej to, co jeszcze zostało. Kubala i Gorzkowski czuwali przy wejściu do kanału, z którego teraz niosły się smród spalonych ciał, czarny dym i zapach gumy, a Pawłowska zadeklarowała się, że zbada nieznaną formę życia i pobierze próbki, na co Orłowski w końcu przystał. Tymczasem najemnicy pracowicie wyciągali skrzynkę za skrzynką i pakowali wszystko do Potiomkina, ku wielkiej uciechu załogi ciężarówki i złości innych najemników, a największej chyba Vasilija, Wikinga i Destro, bo ich Wars dysponował sporą paką. Jednak wyklęci najemnicy starali się nie okazywać niezadowolenia.

– Panienci – odezwał się Kula, zajęty ostrzałem perymetru, bo wokół placu uniwersytetu gromadziło coraz więcej zwierząt i orcyc – byłbym wdzięczny za pośpiech...

– Potwierdzam – odezwał się sierżant Pokojski, który chociaż grzecznie ostrzeliwał się z Marchołta, raz za razem dogrzewając z podwieszanej do oręża wyrzutni granatów, coraz częściej musiał korzystać z szabli.

– U mnie też niewesoło – nadał Vista z trzeciego rogu placu. – Trojany Trojanami, ale nie chciałbym testować ich twardości zębami tutejszych aligatorów.

– Póki Rłokiet płynie w młoch żyłach, nic mi nie grozi, ale amunicja by się przydała – poinformował Samul.

– Masz aligatory? – spytał Vistę Pokojski.

– A ty nie?

– U mnie są jakieś dinozaury normalnie.

– Strusie. To strusie – wyjaśnił Samul.

– Już niosę amunicję, Samul – odezwał się Grubens. – Ktoś jeszcze?

– Szabla. Poproszę.

– Vista. Ja też.

– Kula. Pliz, że się tak wyrażę.

– Zaraz będzie. Skarpeta, pomóż.

– Robi się.

Na czas transportu amunicji dla piechoty, Zbrojowców i Rujewitów tudzież dokonywania napraw wymagających zastosowania siły fizycznej inżynierowie wskakiwali w Ineginy, czyli Inżynieryjne Egzoszkielety Interwencyjne zawieszane z tyłu Mecha. Wyglądały topornie, nie chroniły przed ostrzałem, ale miały dwie zalety: zakładało się je w sekundę i dysponowały olbrzymią siłą, przy której nawet moc Trojana rumieniła się ze wstydu.

W takich właśnie kanciastych wzmocnieniach porucznicy Michał „Grubens” Chudoliński i Szymon „Skarpeta” Kosikowski biegli teraz do Zbrojowców, dźwigając po dwie masywne kasety z amunicją. Kosikowski miał zaopatrzyć Vistę i Pokojskiego, a Chudoliński Samulę i Kulę.

Skarpeta zbliżył się najpierw do Visty, którego łatwo było poznać, bo miał na plecach dospawane trzy duże husarskie skrzydła, w przeciwieństwie do mniejszych dwóch Pokojskiego.

– Inżynier na szóstej – poinformował głośno, bo Vista właśnie rozsiewał wachlarz strzałów w stronę ściany drzew.

- Słyszę – odparł Zbrojowiec i przyklęknął. – Szabla, osłaniaj. Uzupełniam.
- Zrozumiałem.
- Gotowy – rzekł Vista do Skarpety.

Ten skinął głową i wiedząc, że każda sekunda się liczy, pociągnął dwie dźwignie na plecach Trojana, otworzył zasobnik mieszczący kasetę na magazynki do Marchołta, wyczepił kasetę i postawił na ziemi, a następnie zamasyżycie wsunął nową, zakleszczył zapadki, zamknął plecak Zbrojowca i zaciągnął obie dźwignie. Cała operacja zajęła nieco ponad osiem sekund i Kosikowski nie był z siebie zadowolony. Było ciemno, a husarskie skrzydło utrudniło otwieranie i zamykanie kłapy.

- Możesz strzelać, teraz granaty.
- Zrozumiałem. Szabla, koniec uzupełniania.
- Zrozumiałem.

Skarpeta otworzył zasobnik z granatami i stwierdził, że Vista zużył tylko trzy. Załadował brakujące sztuki i zamknął zasobnik.

- Sprawdzić ci baterie?
- Nie trzeba. Dzięki, poruczniku.
- Anytime.

Gdy Kosikowski biegł do Szabli, a Grubens, zaopatrzony Samula, zbliżał się do Kuli, Tata Malki, nadzorujący z Wiechucką załadunek skarbu na pokład Potiomkina, otarł spocone czoło.

- Źle się czujesz, Maciek? – spytała Runa.
 - Kurwa, nie przeszło mi.
 - Co?
 - Przeczucie.
 - Ale o co chodzi?
 - Myślałem, że to ci w kanale, ale nie. Wciąż czuję, że coś się zbliża, w mordę...
 - Chcesz to powiedzieć staremu?
 - Co się dzieje? – Do rozmawiającej pary podbiegł Mardok.
 - Malki ma przeczucie – wyjaśniła Runa.
- Jary spojrział bystro na kucharza.
- Jak z Wiedźminem i Brzytwą?
 - No.
 - Kurwa. – Dziki przełączył się na kanał ogólny. – Bacność. Skupienie.
 - O co chodzi, Mardok? – spytał Orłowski.
 - Malki ma...

W tym momencie na wschód od kompleksu zabudowań szpitalnych, na niewielkim placu znajdującym się za drogą oddzielającą uniwersytecki park od niewielkich kamienic, pojawił się błysk, strzeliły błyskawice syczące między gałęziami drzew, potem wszyscy usłyszeli dźwięk jakby potężnego pierdnięcia, rozszedł się nieziemski smród, znowu wojów oślepił błysk, prysnęły czające się w pobliżu dwugłowe kuropatwy, strusie i aligatory, zajaśniała kula niczym słońce wiszące tuż nad ziemią i nagle z blasku wyłoniła się olbrzymia figura zielonego humanoida przybranego w biało-niebieski pasiak i uszankę, ozdobionego w kroczu czaszką

wielkiego orka i trzymającego w ramionach umięśnioną, acz lekko przerażoną orczycę.

– Ja pierdolę – szepnął Vista, który był na pierwszej linii, a razem z nim tym samym związkiem frazeologicznym posłużył się stojący na prawo Szabla, także zwrócony twarzą w stronę olbrzyma.

– Co to jest? – szepnął Pokojski.

Orłowski, który patrzył na zjawisko wyświetlane zarówno na ekranach, jak i na radarze, nie miał wątpliwości, zwłaszcza że martwy dotąd indykator Gojiry zaczął informować o znajdujących się sto pięćdziesiąt metrów od Tura pięciu pluskwach.

– To. Jest. Schmidt – warknął, przełamując chrypkę. – Do wozów! Ogień zaporowy!

Sztandar 11

Oczy Roberta Schmidta, byłego pisarza i tłumacza oraz aktualnego mesjasza Gotta, Szatana i Siwy, nie zdążyły złapać i cienia tego, co się wokół niego znajdowało, tak go oślepił blask teleportacji, a jego ciało już poczuło uderzenia pocisków małego i średniego kalibru, Myszka zaś wrzasnęła mu do ucha:

– Zdrada, Gitlier! Uciekaj!

Oszołomiony Überwunder, wciąż ślepy i bezradny, zamachał rękami i odkrzyknął przez hałas kanonady:

– Dokąd?!

– Tam! – Katiusza „Myszka” Niedzielnickaja najwyraźniej znajdowała się nieco dalej od blasku wygenerowanego przez teleportację i lepiej widziała teren. – Tam! – Wskazała na wschód, gdzie czernił się las. – Przed tobą! Biegnij, Gitlier, bo nas tu poszatkują!

Schmidt rzucił się niczym Hulk w stronę drzew. Wyskoczył dziesięć metrów w górę, przez chwilę szybował w huku powietrza i wylądował pięćdziesiąt metrów dalej w wachlarzu gruzu sypiącego się spod stóp. Kanonada na moment ucichła, a olbrzym przetarł oczy.

– Cała jesteś, Myszka?

– Cała.

– Gdzie my jesteśmy?

– W Wilnie, a gdzieżby indziej?

– Ożeż... Zabiję skurwysyna.

– Kogo?

– Rasputina przecież! Tylko jak go teraz znajdę...?

– Tam! – Katiusza pokazała palcem na południe.

– Skąd wiesz?

– Byłam klonem Rasputina. Wiem, gdzie jest.

– Byłaś klonem? – zdziwił się Überwunder.

Zza jego pleców znowu odezwały się strzały i krzyki, a ściegi złotych pocisków poszybowały niebezpiecznie blisko jego barków.

Gigant wykonał kolejny sus w kierunku wskazanym przez Katiuszę. Obok przelatywał zielony orzeł. Schmidt, kierowany atawistycznym odruchem, urwał zdziwionemu lataczowi nogę i podał ukochanej.

– Masz, Katia, pewnieś głodna.

– Słodziutki jesteś – odparła Myszka, gdy Schmidt wylądował, łamiąc kilka drzew. – Ale przed chwilą jadłam.

– No to daj mi. Jakoś mnie wessało po tej teleportacji i chyba zachowałem się w sposób niegodny dżentelmena podczas podróży.

– Masz, dziubaku. – Myszka podała mu drób. – A poza tym nic nie czułam – skłamała.

– Czyli byłaś klonem? Jak przestałaś być?

– *To jest niebezpieczna wiedza – zaznaczył Ixi.*

- *Zamknij się* – odparł w myślach Schmidt.
 - To we Flocie niektórzy wiedzą. Wystarczy w ciągu doby wypalić dwadzieścia pogandogów. Jak przeżyjesz, to pozbywasz się Rasputina z głowy.
 - Jak przeżyjesz? – upewnił się Schmidt.
 - Niektórzy nie przeżywają.
 - Czyli Rasputin jest tam? – Schmidt wskazał kierunek.
 - Na sto procent, Wałęsa.
 - Dobrze, świetnie, tylko czekaj, zobaczę, kto tak do nas napierdziela.
- Überwunder postawił Myszkę za grubym pniem dębu, zebrał się w sobie i wyskoczył w górę tak mocno, że ziemia pod jego szerokimi stopami zapadła się na dobre pół metra, a fala uderzeniowa rozeszła taka gęsta, iż Myszce na chwilę zatkało uszy.
- Wyniosło olbrzyma na ponad sto metrów, a gdy zaczął zwalniać, mógł ocenić siłę wroga zgromadzonego na placu wśród podługowatych budynków.
- Toż to armia – mruknął do siebie, wciąż znajdując się w powietrzu. – Armia Różowych. – Pociągnął nosem. – Może bym i któregoś przekąsił, bo ładnie pachną, ale za dużo ich. I za dobry mają sprzęt.
 - *Takich wozów jeszcze nie widzieliśmy, Robert* – odezwał się Ixi. – *Jakieś radary, wielkie działa... Spadajmy.*
 - Zwłaszcza że trzeba Rasputinowi urwać ten głupi łeb.
 - *Kurwa, strzelają do nas!* – wrzasnął Ixi, widząc, jak mkną ku nim jaśniejące w nocy wrzeczona serii.
 - Nie dadzą nam spokoju, Ixi. Naszą szansą jest Flota.
 - *To samo chciałem powiedzieć.*
- Cały ten dialog i obserwacje wydarzyły się w powietrzu w ciągu jednej, może dwóch sekund, po czym opadł dzielny Überwunder mniej więcej w miejscu, z którego wyskoczył, a lej pogłębił lądowaniem jeszcze bardziej i kurz wzniecił okrutny. Następnie rozejrzał się za Myszka i stwierdziwszy, że wciąż jest cała, choć nieco roztrzępana, wziął ją na bark i powiedział:
- Zatem na Rasputina, Myszka?
 - Na Rasputina, kochany.
- I wyskoczyli w górę.
- To Gojira, ponad wszelką wątpliwość – powiedział Orłowski, sprawdzając odczyty na ekranach.
 - Gojira – potwierdziły jednocześnie Stawniak i Scorsese, przesyłając zdjęcia bestii. – Ta sama czaszka w kroku, te same wymiary. Podejrzane zgrubienie nad pośladkami, ale to może jakiś artefakt – dodała Stawniak.
 - Nie chce nawiązać kontaktu – zameldowała Heintze. – Ucieka. Co robić?
- Orłowski połączył się z szefem najemników.
- Szczygło? Tu Orzeł.
 - Słyszę cię, Orzeł.
 - Jak załadunek?
 - Skończyliśmy.
 - Powiem to krótko, bo ucieka nam zdobycz. Perun zesłał nam w prezencie Gojirę, który zagraża Twierdzy. Chociaż nie mieliśmy tego w planach, powinniśmy go zlikwidować,

zwłaszcza że dysponujemy dostateczną siłą ognia, a potwór jest sam, bo tej orczycy nie liczę. Pytanie brzmi następująco: Jedziecie z nami i urządzamy wspólnie polowanie czy wracacie ze skarbem do Sejn? Przypominam, że chorąża Wiechucka zinwentaryzowała wszystko, co zostało wyniesione z krypty, więc nie myślcie o jakimś szwindlu. N-Genu nie znaleźliśmy, być może jest w zoo, chociaż na to bym nie liczył. Apteki były ogołocone, co każe wierzyć, że ktoś już przed nami go zgarnął.

Przez chwilę w słuchawce Orłowskiego panowała cisza.

– Cel oddala się z dużą prędkością – zameldował Szczyrbowski, wskazując markery Gojiry na mapie. – Jeszcze chwila i go zgubimy.

– To musi być indywidualna decyzja – stwierdził w końcu Szczygło. – Yamato odsyłam do Twierdzy i daję mu trzy wozy asysty.

– Dobry ruch. Niech objadą Wilno.

– Sam na to wpadłem.

– Majorze Biały? – Orłowski nadał do Kuli. – Polujecie z nami czy zawracacie?

– To pytanie było zbędne – odpowiedział dowódca „Krzemieńnej Pięści”. – Chłopaki, dziewczyny, na wozy! Rozpierzdolimy giganta!

– Przypominam, majorze, że nie wiadomo, jak się to skończy.

– Jak to jak?! Chwała, kurwa! Wilno będzie nasze!

Orłowski westchnął głęboko, patrząc znacząco na Szczyrbowskiego, który szczyrzył zęby, w sumie nie wiadomo dlaczego.

– Orły, mobilizacja. Samul na Kocura, piechota do Obcego, wszyscy do wozów. Polujemy na Gojirę.

Wkrótce po tym, jak Sylwester Bartnitskij zwany Rasputinem, Królem Słońce oraz, przez niezyczliwych, Putinem teleportował Schmidta wraz z Myszka w okolice Wilna, przy czym obecni byli Kapitan Rossija, Caryca, Car, Juddu, Czapskij i cały orszak Rasputina, o olbrzymim Rochu Siemianowskim ani też o Jewicie Białołętskiej nie zapominając, Kościej, który okazał się zdrajcą, oraz Waleria, także przyłapana na spiskowaniu, spotkali się z gorejącym (bez przenośni) spojrzeniem wodza Wielkiej Floty Wszzechrusi. I, jak twierdzą historycy, nie było im do śmiechu, bo karą za spiskowanie domniemane były wystrzelenie z haubicy lub teleportacyjna zsyłka do Wilna, za spiskowanie jawne zaś był mózgoszejk happy meal wstrząśnięty niemieszany, czyli spirytus do czachy i wyssanie mózgu! Jakby w obronnym odruchu Kościej obmacał swój rogaty czerep, Waleria natomiast zaczęła się zastanawiać, gdzie są jej klony i czy obroniłyby ją przed wodzem, skoro po prawdzie one są trochę wodzem.

– Wstrętne chuje jesteście – oświadczył Rasputin oględnie. – I oczywiście czeka was to, co was czeka. Matriks w najlepszym wydaniu. Ale zanim zrobię z was szejki, chciałbym, Kościeju, żebyś powrócił naszej wyprawie.

– Po... wróżył? – zająknął się szaman.

– Zaraz wyruszamy.

– Zaraz?!

– Świtać niedługo będzie, dobra pora na kulturę u Bliadych. Jak dojedziemy, akurat będzie wschód. Wjedziemy do Polszy, mając promienie za plecami, nie podoba mi się ten matriks – dokończył nie do końca sensownie.

Juddu Krisznamutri spojrział na niego z troską.

– No dalej, wróż! – rzucił Król Słońce. – Jest ognisko – wskazał krąg za sobą – są pogandogi... Są pogandogi? – spytał Łukę i Wiśniewskiego, bo oni zawsze byli dobrze zaopatrzeni.

Ci pokiwali głowami.

– No to do kółeczka, do kółeczka, a bojarzy na zewnątrz, żeby mi tu nikt nie uciekł. Łuka, rozdawaj pety.

I Łuka oraz Wiśniewskij obeszli zgromadzonych wokół ogniska uczestników seansu, wręczając im po pogandogu i od razu przypalając je wyciągniętą z ognia żagwią. Traszka zaciągnęła się sążnście, bo ogólnie uwielbiała używki, Roch wziął dwa pety, bo na jego wagę jeden to było stanowczo za mało, Snoł i Misiewicz także grzecznie zapalili, Juddu również, bo lubił odjeżdżać, ale krowie nie dał, tłumacząc, że po pogandogach odbija jej i usiłuje polować na dwugłowe kuropatwy. Na koniec wielkie cygaro składające się z dobrze ubitego muchomora i liści łopianu zapalił Czapskij, mając nadzieję, że przyniesie mu natchnienie do stworzenia kolejnego komiksu o Kapitanie Rossii. Kościej, chociaż strasznie zestresowany, po muchomorowym dymie, rozluźnił się nieco i dał się ponieść duchowej rosyjskiej histerii, czyli żyzn proklataja, bliat i tak dalej, a pomogły mu w tym kilkakrotnie uwolnione błyskawice, które przebiegły po plecach i kółkach głowy, połaskotały go w środku i na zewnątrz, wywołując przyjemne mrowienie. Zakręciło mu się wreszcie w głowie i poczuł znajomy trans.

– Nam też trochę woltów sprzedaj – szepnął Łuka, a Wiśniewskij pokiwał łbem.

– Dajesz, Kościej, dajesz – zachęciła go Waleria.

I nagle Kościejowi zrobiło się wszystko jedno i pogardził śmiercią, której się przed chwilą tak obawiał. „Jak mam zginąć, to zginę, suka” – pomyślał i strzelił błyskawicami tak mocnymi, że wszyscy zadrżeli z rozkoszy. Dym z pogandogów zaczął się mieszać z dymem z ogniska, iskry zaś splatały się jakby w obrazy bitewnych zmagania.

– Zaczyna się – szepnął Czapskij, który jako artysta bardzo lubił wróżby Kościeja.

Kapitan Rossija wypiął pierś, bo także kochał wizję, jakie Kościej wyczarowywał w dymie pogandogów.

Wtedy iskry utworzyły... orkową głowę.

– Mamy gościa – oświadczył chrapliwym głosem Kościej. – Dobry duchu, bracie w zieleni, powiedz nam, jaki będzie miała przebieg nasza kampania niesienia kultury Poliakom.

Usłyszawszy te słowa, ork ukształtowany z dymu i iskier popatrzył dookoła i poprawił na hitlerowskiej czapce motocyklowe gogle.

– Idziecie nach Polen? – odpowiedział po niemiecku, a głos miał tak gruby i dudniący, że zagotowało się w brzuchach słuchających. – Nach Polen idziecie, Ruscy?

– Eee, da, wielki duchu, da – rzekł Kościej. – Znaczy ja...

Kościej nie rozumiał po niemiecku. Nikt ze zgromadzonych wokół ognia nie znał tego języka, ale Mistrz Gier musiał udawać mądrzejszego od innych, bo inaczej mózgoszejk zdarzyłyby się szybciej, niżby chciał.

– Uważajcie – ciągnął duch orka – bo straszliwi to przeciwnicy, straszliwi. Uderzyli w samo serce Überlandu, zabili mnie, schweine Rose, mnie, Zimona Zakhausena, wielkiego wodza Hordy Południowo-Wschodniej! Uważajcie! Ogólnie raczej bym odradzał, raczej bym odradzał, ale co ja tam wiem, może dacie radę. Donnerwetter, Manitu, cho no tu!

I w dymie pojawił się ork w imponującym indiańskim pióropuszu, a uczestnicy wróżby zadrżeli na widok Apacza, zorientowali się bowiem, że w Ameryce też są orki i im także przyjdzie kiedyś nieść kulturę. Uch, co to będzie za przygoda!

– Ty jesteś polnische – powiedział hitlerowiec do Indianina. – Powiedz im, czy mają atakować twój kraj.

Manitu skrzywił się.

– Po prawdzie, to cię nie polnische Rose ubili, ale własni kamraci i, chuju, mną się zasłoniłeś.

– No dobra, mniejsza o to, stare dzieje...

– Wcale nie stare. Dopiero co.

– No dobra, dobra, nie będziemy się kłócić przy gościach. Odpowiedz, jak pytają.

– Mnie nikt nie pytał.

Zakhausen obruszył się.

– No to ci mówię, że pytają. Ci, co żyją, pytają nas, o, tamci. – Wskazał paluchem Kościeja i stojącą obok niego Walerię. – Oni pytają. Wypada odpowiedzieć.

Manitu uśmiechnął się.

– O, pani ładna! Czi można paniom zapoznać? – Wychylił się z dymu, jakby miał zamiar cmoknąć Repnin w łapę.

– Nie błaznuj! – warknął ten drugi.

Przyglądające się całej tej scenie orki były coraz bardziej zbite z tropu. Co ten Kościej wyrabia? Mistrz Gier zaś pocił się, bo widział, że sytuacja wymyka się spod kontroli, zupełnie się natomiast załamał, widząc, jak Manitu sięga poza ekran z dymu i przyciąga sobie drinka z parasolką.

– A ja mam to w dupie – oświadczył Apacz i siorbnął ze szklanki.

– No ale powiedz coś, dopóki jakość komunikacji dobra – poprosił Zimon.

– Okej. – Manitu uśmiechnął się złośliwie. – Ależ tak. Oczywiście, atakujcie!

Hitlerowiec podrapał się w zuchwę.

– Jesteś pewien? Nie rozpierdolą ich polnische Rose?

– A skąd, verfluchte, mam wiedzieć? Czy ja Duch Święty jestem? – odparł Manitu. – Nienawidzę Ruskich tak, jak nienawidzę ogólnie wszystkiego. Niech jadą i niech chuj ich strzeli.

– Ale ty w rajku jesteś jetzt, więc dlaczego nienawidzisz? – zdziwił się Zakhausen.

– Dzisiaj mam zły dzień.

– Aha.

Śledząc tę rozmowę, Król Słońce coraz bardziej się niecierpliwił, bo po niemiecku nie kumał nic a nic, a Kościej nie tłumaczył.

– No i co, Kościej? Co mówią? – szepnął.

– Eee... generalnie pierdolą, wodzu – powiedział z wielką pewnością siebie Kościej.

– Aha. Znaczy dobrze czy źle?

– Znaczy bardzo dobrze! – krzyknął Mistrz Gier, rozwiewając machnięciami łap dym, mimo że Zimon Zakhausen, widząc psujące się połączenie, krzyczał:

– Ale zaraz! Pozdrówcie ode mnie ciocię Helgę i wujcia Helmuta!

A usłyszawszy to, Manitu się zaśmiał i dodał:

– I w dupę się poca...

Dym się rozwiął.

– Grmhm! – warknął Król Słońce, krzyżując łapy na piersiach. – I co powiesz, Kościej?

– Atakować, królu, atakować natychmiast. Dobre duchy braci zza Odry twierdzą, że Bliadzi są słabi tak bardzo, że nie ma o czym mówić. I niekulturalni tragicznie, więc kultura im się przyda.

Na te słowa Kapitan Rossija i Czapskij wypięli dumnie piersi.

– A ten Schmidt zdrajca mówił – rzucił Rasputin – że ukatrupił ichniejszą królową i króla.

Prawda to?

- Oczywiście, wodzu, duchy potwierdziły.
- Na pewno?
- Na samym początku powiedziały.
- Tak?
- No tak, klnę się na komunizm.
- Aha. No skoro tak... Kapitanie?

Dżekob Makneil zwany Ćwiekiem rozciągnął gębę w uśmiechu, pogładził brodę z okrętowych lin i niewiele myśląc, zniknął, bo spieszno mu było do *Kultury*. Dobiegł do cyrkowej skoczni, wybił się, wpadł na łeb Wielkiego Iwana, odbił się znowu, chwycił liny oplatające okręt podwodny, zwinnie wspiał się na kadłub, po czym wbiegł po drabinkach na kiosk i wrzasnął na całe orkowe gardło:

– Hooobarrrrrr! Megaaaafooooon! Kamery! Światło! Wszyscy na stanowiska!

Kapitan Rossija stał przez chwilę na kiosku okrętu podwodnego, oczekując radosnej krzątaniiny, która zaraz miała się rozpocząć, ale nic się nie stało.

– Hooobart! – wrzasnął po raz drugi.

Wciąż cisza.

– Ożuchskij! Francuz! Namber Tu!

Nic.

– Kurwa, wszyscy śpią, jebani, co za despekt. Jak tu z kulturą do ludzi...

Kapitan Rossija chwycił linę wiodącą od kiosku do największego wagonu pociągu pancernego *Pobieda*, zjechał po niej, nie bacząc na niebagatelne tarcie i śladowe poparzenia dłoni, po czym wskoczył przez właz do wieży działowej Miedwiedionok, największej, trzylufowej dumy *Pobiedy*.

– Już ja wam zrobię pobudkę – warknął, po czym dźwignął nabój, załadował go do jednej z luf Miedwiedionka i zatrzasnął zamek.

Czynność tę wykonał jeszcze dwa razy. Otrzepał łapy i wychynął z włazu, by sprawdzić, czy może ktoś, obudzony jego krzykiem, wreszcie wstał. Ale nie. „No to, bliat, teraz wstaniecie” – pomyślał.

Chwycił Ćwiek kołowroty pierwszego działu i wycelował wysoko, a następnie z drugą i trzecią armatą uczynił podobnie.

I wyrztał raz jeszcze z włazu Miedwiedionka. Ale nic, suka, nic. Spali.

Zanurkował więc Farfocel do wieży i mruknął do siebie:

– Zaczynamy kulturalną krucjatę.

I zagrało w duszy Makneila „Wstawaj, strana ogromnaja!”, czyli tony *Świętej wojny*, słynnej pieśni śpiewanej wtedy, gdy czerwony kraj był w potrzebie. „Niech wściekłość szlachetna zakipi jak fala! Nadchodzi wojna narodowa, święta wojna!”

– Tak, kurwa! Święta wojna kulturalnaja! – wrzasnął na całe gardło Kapitan Rossija i wystrzelił z armat jedna po drugiej.

Huk poniósł się po błoniach i nagle ze wszystkich namiotów zaczęły wypadać zaspane orki, pytając, co, jak i dlaczego. Nawet Wielkie Iwany się obudziły i patrzyły nieprzytomnie to na lewo, to na prawo, chrząkając „Hm?”, „Hm?” i bezradnie szukając odpowiedzi. Wreszcie wyleźli Orzuchskij, Francuz i Namber Tu z *Pobiedy*, wygramolił się też Hobart Pine zwany Sosną.

– O co chodzi, Makneil? – spytał Hobart.

– O gównu. Dawaj megafon. I filmuj. Wyruszamy.

– Już?! Teraz?!

– *Teraz, fuck*. Rozkaz Rasputina!

Na te słowa załoga *Pobiedy* jakby dostała ładunek dzuli z błyskawic Kościeja. Rzucili się wszyscy do dział, do lin, do zaopatrzenia i zaczęli gadać jeden przez drugiego. Tymczasem Ćwiek wspiął się po linach do kiosku, stanął w bohaterskiej postawie, wziął od Hobarta megafon i stuknął szponem w klawisz zasilania, a ten, o dziwo, rozjarzył się na czerwono.

– Wot, ruskaja tiechnika – skomentował.

Hobart chwycił kamerę i warknął na asystentów planu, żeby się pospieszyli. Jeden z nich trzymał już na dekle od kotła małe ognisko i dokładał wolną łapą liści, drugi dmuchał, ile miał pary w zielonych płucach, by zrobić dym, trzeci, z dwiema pochodniami, ustawiał się tak, żeby światło jak najkorzystniej układało się na pelerynie, pancerzu i tarczy Kapitana Rossii, czwarty zaś razem z piątym nucili „Wstawaj, strana ogromnaja” na głosy.

– Ready? – warknął Hobart, trzymając kamerę i opierając się o barierkę.

Asystenci skinęli łbami.

– Kamera, akcja! – wrzasnął Hobart...

A wtedy Kapitan Rossija, w pelerynie z polarnego misia, stojąc na szeroko rozstawionych nogach na kiosku okrętu podwodnego *Kultura*, błysnął czerwienią gwiazdzistej tarczy, po czym zbliżył tubę do gęby i wrzasnął:

– Floooootaaaa!!!

Ale nikt go nie usłyszał, bo w tej właśnie chwili megafon się zepsuł przy akompaniamencie brzydkiego trzasku.

– Cięcie! Cięcie! – krzyknął Hobart i podbiegł do uszkodzonego urządzenia.

Historycy twierdzą, że po tym, jak przyniesiono nową tubę (starej nie dało się naprawić) i nakręcono całkiem udane ujęcie, a Flota wiedziała już o wymarszu, zrobiono jeszcze jeden dubel, gdyż – jak się poniewczasie Hobart zorientował – nie było w tle poprzedniego ujęcia flagi łopoczącej z odpowiednią dynamiką, a żeby mogła łopotać, wciągnięto na kiosk kilka dużych orków i kazano im w płótno dmuchać.

I ruszyła wreszcie Wielka Flota Wszechrusi w szarpiącym płuca chrzęście sosen, brzoź i dębów łamanych przez Topole, stopy Wielkich Iwanów, koła tudzież gąsienice pojazdów ogromnych i jeszcze większych, a *Kultura* oraz lotniskowce *Jelcyn* i *Breżniew* powiewały chorągwiemi niczym krwawymi obłokami na niebie. Gdy w łoskocie silników, pokrzykiwań i powarkiwań cała ta biblijna orda szła na zachód, a ziemia pod nią dygotała ni to z ekscytacji, ni to z obawy, Mordechaj Majselbaum, naczelny techniczny floty, biegał jak szalony od pojazdu do pojazdu, od czołgu do czołgu, od transportera do transportera i upewniał się, że wszystko jest w porządku. Sprawdzał łańcuchy, którymi Iwany były przykute do ciągników *Kultury*, i spakowane naprędcy cyrkowe namioty, upewniał się, czy zielone zwierzęta Walerii są dobrze zabezpieczone za kratami kontenerów ciągniętych przez wielkie traktory, doglądał opon, gąsienic i sworzni, a gdy okazało się, że Flota rozwinęła zawrotną prędkość trzydziestu kilometrów na godzinę, wskoczył do UAZ-a prowadzonego przez nieustannie pyskującą Jekaterinę Humelt, kapkę odetchnął i po raz pierwszy w życiu, chociaż nie cierpiał jej szczekania, nie zwracał na nie uwagi, bo działy się rzeczy historyczne!

Oto na dziobie *Kultury* postawiono wielki totem Króla Słońce, przed którym stali związani

Kościej i Waleria, i czekano, aż Flota przekroczy granicę, a wtedy Roch Siemianowski przebiję oboje sierpem tudzież młotem, nadzieje na rozeń, wsadzi do płomienia, który już buchał w totemie, i w ten sposób zostanie dokonana historyczna ofiara na rzecz sukcesu Wojny Ojczyźnianej, a przy okazji będzie przekąska. Na łbie totemu, za żelaznymi barierkami, stał Juddu Krisznamutri i ćwiczył po cichu okrzyki „Niesiemy wam pokój!” oraz „Idziemy do was z kulturą!”. Rasputin, Caryca i Car, Czapskij, Roch i reszta orszaku stali na kiosku okrętu, wśród powiewających flag, którymi nieustannie wachlowali ich bojarzy, a na Miedwiedionku, także w bohaterskiej postawie, wciąż filmowany przez Hobarta, tkwił Kapitan Rossija wygłaszający nadzwyczaj bohaterskie teksty, których jednakowoż nikt nie słyszał, bo zepsuła się kolejna tuba.

Jechali na Polskę wszyscy. Matwiej Harmoszka rżnący w harmonię na dachu wielkiego tira, tańczące obok niego Gita i Gata, kamerzystka Monika Andriejewna Nowakowskaja filmująca ich dokonania, jechał na dachu jednego z Topoli F-16, przy nim Nawojka Drabik zwany Psołnikiem, wielki Terebka w białym motocyklowym kasku i Adon Bomber, wszyscy z przybitymi do czoł Krwawymi Łabędziami, ozdobieni świerkowymi gałęziami i bombkami. Na innym wielkim pojeździe siedzieli Randolpho, Maura i Domino z jury *Młastier Sziefą*, obok nich wyśpiewywał szkockie kawałki Dżejms Makdonald, w dospawanej zaś do burty wielkiej *Kultury* specjalnej, wzmocnionej kabinie siedział Szary pilnowany przez Gorima, jedyny ork we Flocie, który potrafił nad nią zapanować.

Za *Kulturą*, otoczoną Topołami, haubicami, czołgami i transporterami, toczyło się morze wozów trudnych do rozpoznania, a za nimi, w pewnym oddaleniu, dwa olbrzymie lotniskowce – *Breżniew* i *Jelcyn* – ciągnięte przez Wielkich Iwanów i strzelające w niebo fajerwerkami, które mieszały się z warczącymi śmigłowcami Zielonych na podobieństwo zmieszanych na talerzu groszku i marchewki.

Szary wsłuchał się w to, co działo się za nim, następnie skierował ucho w bok i wreszcie do przodu, tam, gdzie połacie lasów kłaniały się stopom Iwanów i oponom Topoli. Wciągnął w nozdrza zapach spalin, ogni i sosnowych igieł, po czym zanucił *Katiuszę* Matwieja Błantera, a z każdym taktem wzmacniał głos. I dołączyły do niego głosy innych orków, aż wreszcie odezwały się niebywale niskie basy Iwanów i tak, do rytmu zniewalającej urodą gromkiej pieśni, toczyła się Flota Wszechrusi na nic niepodjeżdżającą Twierdzą.

– Myszka! – krzyknął Schmidt do orczycy, którą ostrożnie trzymał na barku, gdy wykonywał niebotyczne skoki nad kniejami dzielącymi Litwę i Białoruś. – Daleko jeszcze?

– Nie wiem, Gitlier – odparła. – No bliżej jesteśmy.

– To dużo nie wyjaśnia...

Obok jego barku przeleciała świecąca seria z ciężkiego działka. Poczłwł gorąco pocisków, a po chwili doszedł go dźwięk kanonady.

– Uwważaj, kochany! – krzyknęła Katia, obserwując dziesiątki wozów bojowych pędzących przez lasy i łąki.

Wąłęsa był szybki, ale te czołgi i transportery też zasuwały. Najgorsze były jednak śmigłowce, które od czasu do czasu podlatywały i próbowały częstować go gęstymi seriami pocisków.

– Robię, co mogę – odkrzyknął Überwunder.

– *Przemieszczamy się dość szybko* – usłyszał głos Ixiego. – *Jak na mój gust sto na godzinę.*

– Niemożliwe!

– *No to może sześćdziesiąt.*

- Co „niemożliwe”, Gitlier? – spytała Myszka, przekrzykując wiatr.
- Przepraszam, mówiłem do Gotta!
- Aha!
- *Eadny świt* – zauważył Ixi.

Schmidt spojrział w lewo. Rzeczywiście, nad widnokregiem świat błyszczał już złotem, nad nim Jutrzenka rozpaliała niebo oranżem, wyżej smoliła czerwienią i tylko nad głowami uciekinierów wciąż wisiał gęsty granat.

Do uszu Überwundera doszedł łopot śmigieł płatowca.

- Znowu skurwysyn będzie kąsał – warknął.
- *Mam pomysł* – odezwał się Ixi. – *Niech Myszka weźmie lusterko i ustawi przed tobą. Ja będę patrzył w lustro, ty do przodu. Będziemy mieli podgląd na wszystko, co się dzieje dookoła!*
- *Ixi, jesteśmy stanowczo za mądrzy.* – Schmidt uśmiechnął się i krzyknął do Myszkki: – *Katia! Masz może lusterko?*

- Zawsze!
- Wystaw je przede mnie, jak wsteczne w aucie, panimajesz?
- Panimaju, kochany, panimaju!

I dzielna orczyca wysupłała z torby całkiem nieźle utrzymane samochodowe zwierciadelko, po czym ustawiła je na wyciągniętej łapie przed głową Schmidta.

– Świetnie, Myszka! – pochwalił Grün, gdy śmigłowiec minął ich i poczęstował oboje gradem kul.

Drasnął małą w łydkę, a Überwunder zaliczył kilka trafień w bok, lecz niegroźnych. Spadł w gęsty las przy akompaniamencie grzmotu szerokich stóp łamiących korzenie drzew i rozejrzał się za dużą gałęzią. Znalazł ją, chwycił i znowu wyskoczył w powietrze. Ixi zobaczył śmigłowiec w lusterku i krzyknął „W prawo!”, a olbrzym obrócił się i cisnął ciężkim konarem. Kłoc poszybował do celu, ale pilotujący maszynę Tritt sprawnie go uniknął, ostro trawersując.

– Sprytni są – warknął Robert. Nagle zobaczył sioło, z którego ognisk ulatywał dym. – Ale ja będę sprytniejszy.

Spadł na ziemię, obrał nowy kierunek i skoczył, celując w centrum wsi.

Wylądował tuż przy studni, częściowo niszcząc kamienną cembrowinę i rozbijając drewniany daszek obiektu użyteczności publicznej, po czym wrzasnął tak głośno, że, jak twierdzą świadkowie, jego głos potoczył się dookoła niczym fala uderzeniowa i słyszać go było nawet na Syberii, w okolicach katastrofy tunguskiego meteoru. Tak czy owak, kilka strzech z dachów spadło, a jeśli spadły te strzechy nie od ryku olbrzyma, to z pewnością od jego piorunów, których w tym momencie nie szczędził.

– Bliadzia nadciąga! – krzyknął po rosyjsku. – Bliadzia! W wekach, konserwowa, surowa, pieczona i smażona! Prosto z *Młastier Szief*a! Widelce w dłoń, riebiata!!!

Zerknął na Myszkę, która właśnie odtykała dłonie od szpiczastych uszu.

- Ależ ty masz głos, Gitlier.
- Mutacja. Dokąd teraz, Katiu?

Orczyca wskazała kierunek. Überwunder wybił się i poszybował, chłonąc wolność, gniew i fascynację teraźniejszością.

Pościg za Gojirą nie był łatwy i Orłowski coraz częściej zadawał sobie pytanie, czy podjął słuszną decyzję. Stwór najwyraźniej nabrał rozumu od czasu zmartwychwstania, więc uciekał

pośród najgęstszych drzew, z radością przekraczając strumienie i pagórki. Prace z przodu Swarogi zachowywały się jak podwójny dziób lodołamacza, a z boków pomagały im Dażbogi, jednak reszta pojazdów, chociaż wysoko zawieszona, nie miała lekkiego życia w nierównym terenie. Najbardziej martwił się Orłowski o najemników. Nie miał pojęcia, czy ich wozy są przystosowane do tego typu wyzwań. Niby sami podjęli decyzję, a ich wehikuły miały opony potężne, zawieszona zaś nawet wyższe od pojazdów armijnych, jednak te ostatnie projektował ktoś z głową na karku, więc środek ciężkości miały nisko, a rozstaw osi odpowiednio duży. A samoróbki najemników? Perun jeden wie.

Ponieważ szyk przypominał tyralierę, żeby zwiększyć skuteczność ostrzału, dowódca Orłów widział w świetle Jutrzenki Leszego Szczygły, Warsa Vasilija i inne lżejsze wozy kołyszące się niebezpiecznie na boki i wyskakujące za wysoko w powietrze, a mimo to wciąż jadące do przodu bez wypadków, co świadczyło dobrze o kierowcach. Ciekawe, że najemnicy nie wydawali się zaniepokojeni szybkością czy nierównym terenem. Choć rzucało nimi na wszystkie strony, ochoczo strzelali do wyskakującego co chwila nad drzewa olbrzyma. Bez powodzenia. Obiekt był ruchomy, a grunt dosłownie żaden, aby oddać sensowny strzał, toteż zarówno Orły, jak i Pięści strzelały rzadko. Tylko Peruny miały pole do popisu, lecz także oszczędzały amunicję i paliwo, bo nad szpitalem wciąż krążyły i teraz piloci musieli uważać. Zdawali sobie sprawę, że jeśli wylądują, by uzupełnić wachę, pościg może się skończyć.

Uwagę Orłowskiego przyciągały wielkie, przerobione w stylu Mad Maxa tiry zwane przez najemników pancernikami. Musiały mieć po dwa silniki, bo niemożliwe, by tak dobrze radziły sobie w tych warunkach przy takiej prędkości. Miały też nieliczne stabilizatory, gdyż zachowywały się bardziej jak prujące fale okręty niż jak samochody. Prowadzący Potiomkina kierowca, którego ramiona pokryte były słowiańskimi tatuażami, pomachał do niego ręką i wyszczerzył zza wąsów i brody nie do końca czyste zęby. Był to Zbychu Golemienko zwany Golemem... i nie dziwota, bo wielki był tak, że nawet w olbrzymiej kabinie ciężarówki Wawel było go dość sporo. Wieść niosła, że Golem miał gromadę synów, córek i innych pociotków, a wszyscy okrutnie byli oddani sprawie. Musiało tak być, bo Golemienko zasuwał jak Sarasate na drumli, a gdy ktoś z obsady pancernika grzmocił w Gojirę, wybuchał śmiechem i dodawał gazu.

– Szefie, wprowadził nas w kupę – odezwała się Gwara z Kocura.

– Znaczy?

– Zaraz szef sam zobaczy. To jest jakaś wieś... Tygrzyk, w prawo! W prawo! Ominiemy ją!

– Orzeł do wszystkich – rzekł Orłowski na ogólnym. – Mamy na wprost zamieszkaną wieś. Postarajcie się jej nie rozjechać. Uważać na kolizje z budynkami i swoimi pojazdami. Strzelać tylko do tych, którzy was atakują. Skupienie.

Usłyszał dziesiątki potwierdzeń i z niepokojem obserwował na radarze sygnatury poszczególnych pojazdów opływających sioło. Rujewit Podgórskiej wpadł do osady, co widział z drona umieszczonego przez Zguda nad siołem. Z chałup wyskakiwały orki, niektóre w nocnych koszulach i szlafmycach, inne nagie albo ubrane w cudaczne kamizele z cekinami. Choć zaspane, były już pobudzone, zapewne zapachem ludzi. Dzierżyły w łapach tasaki bądź noże, a nieuzbrojone, widząc rozbity studnię, chwytaly sztachety czy co tam pod łapą leżało i węsząc tudzież energicznie o czymś rozprawiając, rozglądały się za celem. Gdy potężny trójkołowiec wpadł na główny plac, posypały się w jego kierunku ostrza, deski i kamienie. Orłowski wiedział, że Anna, nie chcąc zderzyć się z trójkołowcem Borisa i unikając najechnia na Leszego Szczygły, musiała wybrać drogę przez wieś.

– Cholera, Aniu, mogłaś wyhamować, zawrócić... – mruknął Orłowski.

Motocykl zaczął się ostrzeliwać, rozsiewając dookoła słoneczne struny serii z Siwych. Siedzący po prawej Jastrząb oberwał kamieniem w kask i chyba go zamroczyło, bo przestał strzelać. Młotek przyjął na pierś uderzenie trójzębnymi widłami.

– Ja pier...! – krzyknął Szczyrbowski, patrząc na ten sam ekran co major.

– Ma na sobie bluzę z pajęczej przędzy – szepnął Orzeł, widząc, jak plutonowy Wiesław Krawczyk chwyta drzewce wideł i powoli wyciąga je z pancerza. – Zgud, najazd na Młotka – nakazał.

Kapral bez słowa wykonał polecenie. Dowódca Orłów przyjrzał się zębom wideł wyciągniętych w końcu ze zbroi. Nie było na nich krwi.

Nagle trójkołowiec poderwał prawe koło na jakiejś przeszkodzie i zbliżył się niebezpiecznie do niewielkiej chałupy, lecz Podgórska skręciła w lewo, dzięki czemu gondola opadła, odbijając się kilka razy od ziemi.

Motocyklistka musiała teraz zatoczyć koło, a tymczasem placyk został otoczony przez orki.

– Witek – warknął Orłowski i zaznaczył na ekranie miejsce, w które powinno strzelić Jaryło.

– Rozumiem – odparł Siekierzyński. – Na chwilę staniemy. Junior, osłoń nas od góry.

– Się robi.

– Gollumka, tu Orzeł – nadał Orłowski do Podgórskiej. – Spróbuj przez najbliższych pięć sekund znajdować się na południu tego placu.

– Tajest – odparła porucznik. – Jastrząb! Obudź się!

– Uwaga – odezwał się Szaman – będzie gorąco.

Major usłyszał świst pocisku wystrzelonego z haubicy, a potem ekran wypełnił blask.

Kurz i dym.

– I ja mam przejechać przez tę chmurę?! – nadała Podgórska.

– I to prędko – odpowiedział Orłowski.

– Dobra...

Rujewit przyspieszył, a następnie zniknął w morzu szarego pyłu. Orłowski i Szczyrbowski wpatrywali się w ekran, modląc się, aby Rujewit wyjechał z drugiej strony, ale przez dłuższą chwilę nic się nie działo.

– Czyżby... – zaczął programista, lecz w tym momencie trójkołowiec, ciągnąc jakąś płonąca szmatę, wypadł z chmury i kołysząc się na wielkich kołach, zaczął oddalać się od osady.

– Obcy albo Mor – odezwała się motocyklistka – podejmijcie rannego. Jastrząb oberwał i stracił przytomność.

– Weźmiemy go – odezwała się kapitan Miktus.

– N... Nie... Nis miniejest – zaprotestował Wojteczek.

– Na pewno? – spytała Podgórska.

– Nistylko cegłówką oberwałem i mi się szyja urwała. Ale to nis, nis...

Martyna Plisenko była bardzo szczęśliwa, gdy dojechała do Starego Bubl, a to z trzech zasadniczych powodów. Po pierwsze, wreszcie zobaczyła swojego ukochanego majora Marcina Rutkę zwanego Flystarem, a widok był to cudowny, bo Flystar był mężczyzną przystojnym, postawnym, kark zaś miał jak Martyna udo. Po drugie, ujrzała Martyna jego cudowne przyrodzenie, a chwilę później poczuła je też w swoim umięśnionym brzuchu, po czym zwieńczenie berła wyczuwała pod pępkiem, Flystar bowiem był wyposażony jak na POLOM-

a przystało; oczywiście zobaczyła i poczuła ów cud natury w odosobnieniu, nocą, a nie wtedy, gdy się powitali nader czule, długo i namiętnie. Po trzecie zaś, w Starym Bubl, oprócz garnizonu wzmocnionego ostatnio przez generała Wiechuckiego kilkoma dodatkowymi haubicami, stacjonowała silna załoga COP-u i Martyna od razu polubiła jowialnych, niewylewających za kołnierz bojowników tej zacnej organizacji, oni zaś przyjęli ją z otwartymi ramionami i niejakim smutkiem na wieść, że jest już zajęta, i to przez największego zakapiora batalionu „Wściekły Młot”, znanego z ciężkiej pięści i jeszcze cięższego kopa.

Przez ten krótki czas zdążyła poznać wszystkich w garnizonie i wszystkich COP-ów, otrzymała chrzest bojowy od tych ostatnich i poczuła, że może nie będzie tak źle bez Opty i Sarenki, że słońce świeci, pachną lipy, a Flystarowi śmieją się oczy na jej widok. Będzie cudownie, co ma nie być!

Co prawda widok trójki zwiadowców Licha, którzy wyglądali, jakby przeżyli wybuch bomby atomowej, nieco ją ocucił i przypomniał, że mieszka w Twierdzy, a nie na Haiti, Gojira zaś wciąż gdzieś tam jest i zagraża jej rodakom, ale i tak była szczęśliwa.

Tego wczesnego ranka, gdy Jutrzenka okrwawiała już wschodnie niebo, Martyna obudziła się nagle bez żadnej sensownej przyczyny. Było przed czwartą. Dziewczyna poszła do łazienki, napiła się wody i wróciła do łóżka, ale nie mogła zasnąć, mimo że obok niej głęboko oddychał Flystar, pachnąc jak spełnienie marzeń nastolatki. Plisenko zdała sobie sprawę, że czuje napięcie, jakby wszystkie komórki jej ciała drżały, jakby rezonowały w jakimś rytmie. Przypomniała sobie sytuację, gdy ktoś zatrzymywał wóz pod jej kamienicą i nie wyłączał silnika. Podobnie wtedy rezonowało jej mieszkanie. „Dlaczego się denerwuję? – spytała się w duchu. – Martwię się o pracę? O to, czy z Marcinem się ułożę? O brak doświadczenia w COP-ie? Powiedzieli, że wszystkiego mnie nauczą. Może to przez nowe miejsce?”

Zdarzało jej się źle spać w nowych miejscach. Tak, to pewnie przez to.

Jednak nie ustawała w próbach zrozumienia, co się z nią dzieje. Bo to napięcie, *to napięcie* było czymś nowym. Niecodziennym. Może jednak chodziło o bliskość granicy? Westchnęła, wstała delikatnie z łóżka i podeszła do okna. Za stojącymi w regularnych odstępach haubicami czerniła się kreska Bugu, a za nim grzebień lasu, mroczny, bo kontrastujący z czerwienią świtu. Wzdrygnęła się. Z warszawianki wychodziła inna istota, dotąd jej nieznana. Dziksza, bardziej pierwotna, wczuwająca się w rytm przyrody, jej zapachy i wibracje...

„Tak, wibracje... Czuję je wyraźnie – pomyślała. – Coś jedzie. Może kolejne haubice do obrony przed Gojirą?”

Nagle w polu widzenia pojawił się żołnierz. Podbiegł do drugiego i o czymś go poinformował. „O czym mogą gaworzyć wartownicy o tak wczesnej porze?” Stwierdziła, że i tak nie zaśnie, a chwila na świeżym powietrzu dobrze jej zrobi. Zrzuciła na plecy koszulę, wzięła trampki i cicho wymknęła się z bungalowu, w którym nocował Flystar.

Dwaj woje od razu ją dostrzegli. Byli to starszy szeregowy Artur Machlowski i kapral Mateusz Budziakowski. Machnęli do niej przyjaźnie.

– Papierosa, pani Martyno? – spytał cicho Artur.

– Dziękuję, nie palę.

– No ja też. Tylko popalam.

– Co, chłopaki, tak wczesnie pogadujecie? – Plisenko uśmiechnęła się.

– Bo ja jestem pedał – wyjaśnił Machlowski. – A on nie.

– Aha. – Martyna nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. – Czyli... ty go kochasz, a on się nie odwzajemnia?

– Odwzajemnia się, ale mnie nie kocha – odparł Machlowski, przypalając Budziakowskiemu papierosa.

– Kocham cię – rzekł tamten.

– Pierdolisz. O, przepraszam panią.

Martyna znowu się uśmiechnęła.

– Nic się nie stało.

– Hm... z tą urwaną girą głupia sprawa, co? – rzucił Machlowski, mówiąc o członku Licha.

– No – odparł Budziakowski. – Ale jak mu zrobią protezę, to jak przykopies... – Kapral pokręcił ze zgrozą głową.

– Ale newsa nocy jeszcze nie znacie, koleżanko – oznajmił Machlowski z uśmiechem wyższości.

– Jakiego? – spytała Martyna.

– Gojira zniknął z ekranów.

– Znaczą się przesunął?

– Jakby się przesunął, tobym powiedział, że się przesunął. A on zniknął.

– Wszystkie pięć pluskiew?

– Nom. A to znaczyć może dwie rzeczy. Albo go ktoś tak dokumentnie rozpierdolił... przepraszam.

– Nic się nie stało.

– ...że pluskwy rozwaliło, w czym Perunie nam dopomóż, albo...

– Albo co? Nie ma drugiej możliwości – odparła dziewczyna.

– Jest. – Machlowski się wyszczerzył.

– Jaka?

– Teleportował się.

Budziakowski pokiwał pobłaźliwie głową.

– Dobrze, że nie awansowałaś, szeregowy.

– Starszy szeregowy, kurwa. O, przepraszam.

– Nic nie szkodzi – zapewniła znowu Martyna.

– A pani dlaczego nie w ramionach majora Rutki, który gdyby gejem był, byłby zapewne moim chłopakiem? – spytał Machlowski.

Martyna zachichotała, a potem spoważniała.

– Nie mogę spać, chłopaki.

Budziakowski spojrział na Machlowskiego ze znawstwem.

– Za mało wódki.

– Rzekłeś, bracie.

– Nie, to coś innego – zaprotestowała dziewczyna. – Takie jakby drzenie w całym ciele...

– To orgazm, proszę pani – zapewnił Budziakowski. – Przetrwały. W razie czego pomogę.

– Sam jesteś orgazm. – Plisenko trzepnęła Budziakowskiego w ramię. – Umiem odróżnić szczytowanie od takiej... wibracji. Cholera, cały czas ją czuję. Wy nie?

Machlowski strzepnął popiół z papierosa na żwir, a oczy dziewczyny odruchowo podążyły za szarym pyłem, który osiadł na drobnych kamykach i... zaczął się po nich przesuwając. Plisenko kucnęła.

– Cham z ciebie – skomentował Budziakowski. – Śmiecisz i pani teraz po tobie będzie sprzątać.

– Chłopaki, popatrzcie – przerwała im Martyna, wskazując popiół.

Woje kucnęli i przez chwilę patrzyli.

– O ja pierdziu – szepnęła Machłowski. – Co on tak popierdziela?

– Jakby się gotował – przyznał Budziakowski.

Wtedy Martyna spojrzała na krwawe wschodnie niebo i szepnęła:

– To nie mój organizm drży. To ziemia się trzęsie.

Natychmiast obudzono pułkownika Pawła Richerta, jego asystenta, porucznika Artura Domagałę, generała Wiechuckiego nocującego akurat w Buble, dobudzono kwatermistrza, kapitana Bartłomieja Biedrzyckiego i w ogóle cały garnizon. Poderwano w powietrze Ważkę Horsta, a zaraz po nim miały wystartować Peruny celem dokonania zwiadu.

– Oni są non stop pijani – warknął Flystar, dopinając suwaki lotniczego kombinezonu. – Jakim cudem mieliby na nas nacierać?

– Nie mam pojęcia – sapnął biegnący obok niego porucznik Marek Lasyk, nazywający siebie Fotofaszystą, bo nie dość, że miał do hełmu przymocowany aparat fotograficzny, to jeszcze był to aparat analogowy firmy Canon. Fotofaszysta uwielbiał babrać się w wywoływaczach, utrwalaczach, koreksach tudzież innych powiększalnikach i mieszał z błotem każdego „zwolennika cyfry”. Był Fotofaszystą. A przy okazji doskonałym strzelcem pokładowym współpracującym z Flystarem już od kilku lat. – Może to pomyłka? Czarnobyl się rozpierdala albo trzęsienie ziemi?

– Czarnobyl za daleko – sapnęła biegnąca za nimi Martyna. – A co do trzęsienia – z trudem łapała oddech, mknąc przez płytę lotniska – to nie Kalifornia.

– Kalifornia, kurwa? – zapytał inteligentnie Fotofaszysta.

– Uskok tam jest. Tektoniczny.

– Orki tam są. Tektoniczne – odparł Fotofaszysta, wskakując do kabiny od strony strzelca. – Szefie – spojrzal na Flystara – ona z nami leci?

– Nie ona, tylko madame Martyna.

– Madame Martyna z nami leci?

Flystar otworzył drzwi do kabiny, po czym odwrócił się do Plisenko i spojrzal na jej twarz oświetloną krwawą łuną świtu. Uśmiechnął się do niej, szczerząc zęby. Uwielbiała ten uśmiech. Te białe zęby. Tego chłopca, którego mogłaby zjeść z kośćmi i guzikami.

– Bejbi – odezwał się do niej – to jest „Wściekły Młot”. Możemy robić, co chcemy. Ale wiesz, że może być gorąco.

– Lecę z wami.

– Chodź. – Podeszedł z nią do przedziału pasażerskiego, w którego otwartych drzwiach tkwiło działko obrotowe Bazyliszek. – Wskakuj.

Dziewczyna weszła do środka.

– Siadaj tu. – Wskazał obrotowe krzeselko. – Przypnij się. Dobrze. Tu masz guzik alarmowy. A tu kask. – Założył jej na głowę hełm z wymalowaną spadającą gwiazdą. Włączył radio. – Od tej pory będziemy do siebie gadać, używając tych mikrofonów. – Stuknął niewielkie urządzenie przy podbródku dziewczyny.

Pochylił się i pocałował ją. Miała gorące, sprężyste usta. Nie mógł się od niej oderwać. W końcu jednak, ponaglany krzykami biegnących dookoła wojów i przekleństwami porucznika Lasyka, odkleił wargi od jej ust i pogładził ją po twarzy.

– Wyglądasz obłądnie za Bazyliszkiem. Tu odbezpieczasz. – Wskazał dźwignię. – Tu

strzelasz. Na wszelki wypadek oszczędzaj amunicję.

– Tajest! – Plisenko uśmiechnęła się i zsalutowała.

Flystar ostatni raz rzucił jej uśmiech, podbiegł do kabiny i wskoczył do środka, nie bacząc na złożenie Fotofaszysty.

– Będę tego żałował – mruknął, włączając systemy Peruna.

Tymczasem Ważka kapitana Bohdana Horsta już wznosiła się w karmazynowe niebo, a obsada Starego Bublę wykonywała karnie rozkazy pułkownika Richerta. Nawet Piekielnik, Matka i Szwajcar wykuśtykali z lazaretu, przy czym ten ostatni używając kuli, bo bioproteza jeszcze nie dojechała. Ciapek, choć zaspany, wyczłapał z nimi przed szpital i bacznie patrzył na wschód. Piekielnik przyjrzał się psu i poczuł, jak włosy stają mu dęba, gdy psina, jakby w zwolnionym tempie, podniosła lewą przednią łapę.

– Kurwa mać – warknął. – Do broni.

– Co, szefie? – spytała nieprzytomnie Matka.

– Bagnet na broń – powtórzył Piekielnik. – I na dach.

Tymczasem wróćmy do pytania, które wypowiedział Flystar, a mianowicie: „Jakim cudem mieliby na nas nacierać?”. No cóż, historycy twierdzą, że podejrzliwość sierżant Zuzy „Zadry” Poniatowskiej, której dała wyraz podczas odprawy w pałacu, była słuszna. Upijanie pogranicznych orków *było* podstępem Trójcy. W kierunku granicy z Twierdzą szły cały czas transporty spirytusu i pogandogów opatrzonej banderolą „Made in Russia”. Carscy kurierzy przekazywali także rozkazy Rasputina, który żądał, by być przyjaznym wobec Bliadych i pod żadnym pozorem ich nie zjadać. A jeśli jakiś kretyń się wyłamywał, był likwidowany. Wszyscy rzekomo życzliwi przedstawiciele Zielonych mieszkający na granicy białoruskiej i litewskiej, a także częściowo ukraińskiej byli doskonale wyszkolonymi agentami Trójcy udającymi Białorusinów, Litwinów tudzież Ukraińców, a wspominała o tym Lizawiet Kanigowskaja podczas sławetnej rozmowy z Grigorijem, pamiętacie, w trakcie wkładania Przybyłka do weków.

Takim właśnie sposobem trwająca kilka lat rosyjska operacja uspokoiła wojskowych Twierdzy, a wspomniane już zielarki Anna Traut czy Monika Ferens nawet zaprzyjaźniły się z pogranicznymi „jowialnymi” orkami. Nie wiedziały, że owi przedstawiciele zielonej rasy marzyli o tym, by pożreć je na surowo, i czekali tylko na inwazję Wielkiej Floty na Twierdżę. Zielarki uczestniczyły zatem w niebezpiecznej grze, o czym oczywiście nie miały pojęcia. Ale że opowieść ta musi trzymać się pewnych ram, historię ich relacji ze wschodnimi Engelsami opiszemy kiedy indziej...

Zwróćmy znowu oko historycznej kamery na garnizon w Starym Buble. Generał Ryszard Wiechucki rozkazał załogom Jarył cofnąć się i wycelować na czterdzieści kilometrów za granicę Twierdzy, poderwano cały batalion „Wściekły Młot” wzmocniony dwoma Swarogami i dodatkowym oddziałem Zbrojowców, Wiechucki zaś telefonował do garnizonów w Czeremsze, Janowie Podlaskim i Kukurykach, gdzie zgromadzone były baterie Jarył, by poderwano płatowce i szykowano się do interwencji. „Gojira zniknął, ziemia drży. Nie wiemy, co to znaczy, pełna gotowość!” – brzmiała dziwna dyspozycja wydana przez generała, a dowódcy garnizonów nie zamierzali dyskutować, bo po pierwsze, Wiechucki znany był z tego, że nie toleruje debat w kwestii rozkazów, a po drugie, wszyscy już niemal w Twierdzy wiedzieli, że Gojira umknął na

wschód i najprawdopodobniej pewnego dnia wróci.

Ci, którzy pamiętają ten dzień, twierdzą, że około czwartej nad ranem zerwał się wschodni wiatr niosący zapach sosen i płatki dzikich róż, które, przekwitając od nadmiernych upałów, ronily je niczym krwawe łyzy wirujące w oranżowej poświacie Jutrzenki.

Kapitan Bohdan Horst, który był już dwadzieścia kilometrów za granicą, zobaczył kilka kilometrów dalej olbrzymi obłok ścielący się od szczytów sosen i świerków i ciągnący kilkaset metrów w górę. Wyglądał, jakby nagle, nie wiadomo dlaczego różowe obłoki postanowiły zstąpić na ziemię i przybrać kształt mieniącej się barwami róż, dyń i aksamitek nierównej kurtyny. Pilot zbliżał się do tej zasłony, coraz bardziej marszcząc brwi. Czegoś takiego w całej swojej karierze jeszcze nie widział, a widział wiele. To wyglądało... jakby ktoś stworzył tę chmurę umyślnie, jakby jakiś czarodziej z bajki gotował coś w wielu kotłach, a opary z tych kotłów unosiły się do nieba.

– Centrala? Tu Horst – odezwał się do komunikatora.

– Słyszę cię, Horst – odpowiedziała sierżant Agnieszka Woźniak, znana w całym garnizonie kociara, która gdy tylko miała czas, wybierała się na długie wędrówki, by ratować mruczki przed pożarciem przez Zielonych. No takie hobby.

– Jestem na dwudziestym drugim kilometrze. Nie widzę wroga, ale zbliżam się do...

– Do czego, Horst? – spytała sierżant Woźniak, głaszcząc leżącego jej na kolanach burego Witkacego.

– Nie wiem...

Woźniak przełknęła ślinę. Na konsoli stał kubek z kawą zbożową. Na powierzchni brązowego płynu pojawiły się drobniutkie, koncentryczne kręgi.

– Sprezytuj, Horst.

Pilot zdjął gogle i przetarł powieki, jakby tym gestem miał poprawić ostrość widzenia. Różowa mgła rozpościerała się na całym horyzoncie i sięgała tak wysoko, że zrezygnował z przeskoczenia jej. Nabranie wysokości trwałoby za długo. Oko, napotykając amorficzną, pozbawioną szczegółów masę, gubi się, traci umiejętność oceny odległości, pilot musi więc oprzeć się próbie złapania pionu i poziomu inaczej niż dzięki sztucznemu horyzontowi.

– Wygląda to jak wielka, ciągnąca się wysoko od szczytów drzew i szeroka na wiele kilometrów chmura. – Kapitan przełknął ślinę i odruchowo pogładził rewolwer Chiappa Rhino na prawym udzie. – Wlatuję w nią.

– Uważaj na siebie, Horst.

– Roger that.

Sierżant Woźniak sięgnęła po zbożówkę i wypila spory łyk, a siedzący na jej kolanach Witkacy zaczął mruczeć, jakby próbował ją uspokoić. Do ciemnego pomieszczenia radiostacji wkroczył zamaszystym krokiem generał Wiechucki.

– Jak zwiad? – spytał, a dyspozytorka z trudem powstrzymała uciszający go gest.

– Pilot widzi chmurę, panie generale.

– Jaką chmurę?

– Taką, która zasłania mu widok. Wlatuje w nią.

Wiechucki nachylił się do mikrofonu.

– Tu generał Ryszard Wiechucki. Melduj, pilocie.

„Wiechucki – pomyślał Horst, wlatując w krwawy obłok. – Gdzie jest pułkownik Richert? Pewnie nadzoruje batalion”. Spojrzał na przyrządy. Samolot leciał prosto, otoczony opalizującym oparem.

– Horst z tej strony, panie generale. Lecę w obłoku. Trochę dziwnie się zachowuje...

– Obłok?

– Silnik inaczej pracuje. Tak jakby to nie była czysta para wodna.

– Jesteś w stanie odróżnić pracę silnika w różnych rodzajach chmury?

– Tak jak pan żołnierza pijanego od trzeźwego, panie generale.

– He, he, dobrze powiedziane. Co widzisz?

– Nie chcę kłąć, panie generale.

– Ulżyj sobie, żołnierzu.

– Widzę, kurwa, tylko obłok, a przeleciałem już w nim pół kilometra. Ale zaczynam słyszeć...

Nagle opary wokół samolotu zaczęły się rwać niczym wata cukrowa i lotnika uderzyły w oczy złote promienie wstającego słońca oraz orgia barw na wschodnim niebie. Mrużąc oczy i osłaniając je dłonią, Horst założył gogle i zasłonił je osłonami przeciwsłonecznymi.

– Wyleciałem z obłoku! – zameldował. – Słyszę pieśń! Drży od niej cały samolot!

– Skup się, pilocie! Od pieśni drży samolot?!

– Tak, panie generale, strasznie niskie częstotliwości. Kurwa, wpadł w rezonans...

– Skup się, kapitanie!

I wtedy pilot spojrział na ziemię, a tam ujrzał ciągnącą się po widnokrąg Wielką Flotę Wszechrusi. I zaschło mu w gardle.

– O mój Świętowidzie – szepnął.

– Co widzisz, Horst?! – krzyknęła sierżant Woźniak.

– Strzelają do mnie!

W jego kierunku leciał tuzin olbrzymich rakiet ziemia–powietrze wystrzelonych z barwnych, przerobionych wozów Buk-M2, a zaraz za nimi wzniosły się dziesiątki serii z broni wszelkich kalibrów. Cygara mknęły niczym wściekłe szerszenie, pozostawiając za sobą ogony złoto-czarnego dymu przeplatane wrzecionami pocisków broni pokładowej. Pilot gwałtownie skręcił i wprowadził maszynę w lot nurkowy, mijając kilka rakiet i strugi serii, ale niestety nigdy nie szkolił się w unikaniu tak intensywnego ostrzału z ziemi. Nie był Dziką Łasicą, lecz pilotem rozpoznawczym, a Ważka była wyposażona tylko w dwa lekkie karabiny. Kapitan chłonął widok wozów wyglądających jak okręty i prawdziwego okrętu podwodnego.

– Co widzisz?! Melduj! – wrzasnęła Wiechucki.

– Flotę – charknął Horst. – Okręt podwodny...

– Co?!

Skrzydło Ważki zostało oderwane przez jedną z rakiet. Kadłubem samolotu szarpnęło, w blachy wbiły się z wizgiem dziesiątki odłamków, płatowiec obrócił się do góry nogami i zaczął wirować wokół długiej osi, w związku z czym świat zamienił się w kalejdoskop, w którym niebo raz było u góry, raz z boku, raz u dołu, a kapitan wciąż nic nie rozumiał. Gęsta seria przeszła kadłub, zraniła Horsta w pierś i oderwała kawał statecznika poziomego.

– Kurwa – stęknął pilot, odpinając pasy.

Ważka ciągnęła za sobą kłęby czarnego dymu i nurkowała, wyjąc opętańczo, ścigana

gęstniejącą świetlistą kanonadą. Pilot otworzył owiewkę i wydostał się z kabiny. Ziemia powiększała się w zawrotnym tempie. Zanim samolot grzmotnął w jakiś obmierzły orkowy pojazd, Horst skoczył, wyszarpnął wielki rewolwer z kabury i brocząc krwią, pociągnął klamrę spadochronu. Zanim czasa się rozwinęła, wycelował w olbrzymiego orka wlokącego na łańcuchu okręt podwodny.

– Za Twierdzą!!!

Historycy utrzymują, że zanim kapitana Bohdana Horsta rozsiekały serie z dziesiątek karabinów, zdążył opróżnić cały magazynek i zrozumiał, skąd się wziął dziwny obłok, który zasłonił mu widok. Oto na przedzie ruskiej floty szły olbrzymie orki, większe niż wszystko, co do tej pory Horst widział. Każdy z nich trzymał w łapach wielki kocioł, pod którym obszerne tace z ogniami niosły czwórki równie potężnie zbudowanych Zielonych, a z kotłów tych wydostawały się gęste kłęby pary. Gdyby pilot znał skład Floty i podział obowiązków, wiedziałby, że na pomysł stworzenia sztucznej mgły mającej być pułapką na dzielnych polskich pilotów wpadł Matwiej Lewandowski, carski lekarz, który korzystając ze swojej chemicznej wiedzy, zmieszał w odpowiednich proporcjach glicerynę oraz wodę, a potem kazał je podgrzać. I wskutek takiego to ohydneho rosyjskiego podstępu zginął pierwszy polski lotnik.

I tej wersji się trzymajmy.

Lecz nie grzebmy jeszcze dzielnego Horsta, w każdym razie nie róbmy tego przed czasem. Oto zanim zginął pośród zamieci pocisków, zobaczył, jak w jego kierunku zmierza z olbrzymią prędkością Zielony ze statecznikami przy stopach i łapach. Engels darł się wniebogłosy i szczyrzył kły z niedwuznacznym zamiarem rozszarpania pilota. Był to niekierowany ork ziemia–powietrze wystrzelony przez Majselbauma zaraz po tym, jak Mordechaj wypuścił morderczą salwę rakiet. Ork ziemia–powietrze był jednak zdefektowany i lotnik już widział, że miną się w odległości najmniej dziesięciu metrów. Żywy pocisk spostrzegł to, wykrzywił pysk w złości i przelatując obok kapitana, cisnął w niego czymś małym, zielonym i pełnym zębów.

Był to Mały Iwan, pocisk również niekierowany, ale zabójczy. Małe Iwany, efekt uboczny produkcji Wielkich Iwanów, składały się w zasadzie wyłącznie z pyska najeżonego kłami. No, takie piranie. Rozumu miały jeszcze mniej niż ich wielcy bracia, za to apetyt na bliadzinę – nieokiełznany. Widząc błyskawicznie zbliżającą się do niego maskarę, Horst skierował w jej stronę Nosorożca i nacisnął spust, wyrzucając z lufy ostatni pocisk Magnum. Mały Iwan rozlał się w powietrzu, opryskując pilota seledynową posoką.

– Co za kur...

Tak brzmiało ostatnie zdanie lotnika, nim został pozbawiony życia przez gęstą i nieustępliwą palbę Engelsów. Niczego więcej Horst nie doświadczył i nie zobaczył. I może dobrze.

Gdy jego ciało opadło wreszcie na podartym, płonącym spadochronie, pochwyciły je orki i już miały skonsumować, pachniał bowiem znakomicie, ale wielki głos Kapitana Rossii powstrzymał je. Zanieśli więc tragarze zwłoki pilota na *Kulturę*, w pobliże totemu, w którego paszczy płonął ogień, Rasputin zaś kazał Gicie i Gacie, które w tym czasie przeniosły się na pokład okrętu, aby dokonały wróżby. Filmował to wszystko Hobart, asystenci robili dym tudzież wiatr, a Kapitan powiewał peleryną w tle. Tancerki podeszły do ciała i spojrzały na siebie zniesmaczone, ponieważ nie lubiły wróżyć, gdy obiekt już nie żył, lecz uznawszy, że przecież jeszcze ciepły, odcięły dłoń oraz głowę i bacznie się im przyjrzały.

Pierwsza odezwała się Gata, czyli ta, która wróżyła z głowy.

– Łebek jest zdziwiony...

– Zawsze są zdziwione – mruknął Łuka do Wiśniewskiego.

- To znaczy, że zaskoczymy Bliadych – wyjaśniła wróżbitka.
 - Urrraaa!!! – wrzasnął Roch Siemianowski, ale Rasputin uciszył go gestem dłoni.
 - Oko ma wybałuszone i w prawo patrzące. Dobrze.
 - Dobrze? – upewnił się Król Słońce.
 - Barrrrdzo dobrze. Prawicowiec.
 - Aha. Eee... Czyli?
 - Sprzyja naszym zamiarom.
- Gata spojrzała na Gite. Ta od dłuższego czasu studiowała dłoń Horsta.
- Urwany palec serdeczny – oświadczyła.
 - Czyli? – spytał Rasputin.
 - Serdecznie nas powitają.
 - Serdecznie, czyli jak?
 - Nooo... Hertzburgerowo. Dużo serduszek w łopianie, pogandogi i mózgoszejki.
 - Aaaa. – Rasputin uśmiechnął się lubieżnie. – To lubię! A może by tak szejka z jego główki?

Misiewicz?

Bodyguard wodza natychmiast wyciągnął z kołczanu rurę pomalowaną w różowo-żółtą spiralę i z rozmachem wbił ją w czerep pilota.

- Happy meal? – spytał.
- Ależ tak.

Juddu tylko pokręcił głową.

- Znowu trzeba będzie wejść w matriks...

Tymczasem Snoł wlał już do czaszki pilota odpowiednią dawkę spirytusu, Misiewicz zamieszał, wbił w oko pilota drinkową parasolkę i podał królowi.

Ten przyjął drinka, siorbnął raz, drugi, a jego gęba pojaśniała.

- Nektar, po prostu nektar!

I wyżłopał całość, aż zabułgotało.

Następnie ciało pilota wrzucono do paszczy totemu, gdzie zaczęło rozkosznie skwierczeć, roznosząc woń, od której orkom zaczęło mącić się we łbach.

– Tak jak płonie pierwszy Bliady, którego poświęcamy na dobrą wróżbę tej wyprawy, niech spłonie w ogniu kultury cała Polska! – wrzasnął Rasputin, a asystenci od dymu i wiatru dodali jego słowom odpowiednie tło.

Kościej przełknął ślinę, widząc, jak płomienie trawią lotnika, wiedział bowiem, że taki sam los czeka jego i związaną z nim Walerię, ledwie Flota przekroczy Bug.

- Cholercia – mruknął.
- Wiem, ładnie pachnie – odparła Repnin.

Nie innego zdania byli Wiśniewskij i Łuka, bo podeszli w ciele jedyni do paszczy totemu, pogrzebali w niej widełkami i odkroili sobie kawałek udźca.

- Pychota – skomentował Łuka, przegryzając potężny kęs.

Tymczasem Flystar, dowiedziawszy się o tragicznym losie Horsta, doleciał do zasłony dymnej, ale postanowił jej nie przekraczać, z czego ucieszyli się Fotofaszysta i warująca przy Bazyliiszkę Martyna. Zamiast tego jego Perun krążył tylko w pobliżu przesuwanego się oparu, a pilot meldował:

- Obłok przesuwa się z prędkością około trzydziestu kilometrów na godzinę w stronę

Twierdzy.

- Czyli będzie tu – usłyszał w słuchawkach głos Wiechuckiego – za czterdzieści minut?
 - Tak. I to, co jest za obłokiem.
 - Cokolwiek to jest, bo raport Horsta kupy się nie trzymał.
 - A co mówił?
 - Że płynie tam okręt podwodny. I inne okręty.
 - Dziwne.
 - Bardzo dziwne. Horst był przytomnym człowiekiem.
- Flystar zagryzł zęby.
- Proszę o pozwolenie na ominięcie obłoku od południa. Musi się gdzieś skończyć.
 - Zezwalam. Uważajcie na siebie.
 - Tak jest, panie generale.
- Pilot obrócił maszynę i pomknął nisko wzdłuż przesuwającego się oparu.

Ledwie raport Horsta poświadczył, że na Twierdzę naciera coś... co najmniej dziwnego, zawiadomiono króla, jego doradców oraz orszak. Piętnaście minut później w sali odpraw zebrali się ci, którzy mieli cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie, łącznie z generałem Robertem „Wiedźminem” Woźniakiem, który nie zdążył jeszcze wrócić na front zachodni.

– Co o tym sądzicie? – spytał król.

Woźniak najpierw zerknął na Mawete, jakby szukał podpowiedzi, ale że ochroniarz uparcie milczał, pokręcił głową.

– Gojira zniknął i zaraz potem pojawiły się drzenie oraz obłok. To nic dobrego, królu. Sugeruję przesunięcie rezerw na flankę wschodnią.

– Żeby zapolować na jednego Gojirę? Nie przesadzamy?

– Nie sądzę, by drzenie ziemi, które jest odczuwalne, jak mówią raporty, trzydzieści kilometrów od granicy, mógł spowodować jeden ork. Nawet tak potężny jak Gojira.

– Racja. Ogarnie pan to, generale?

– Oczywiście, królu.

Wiedźmin zaszutrował i wraz z ochroniarzem wyszedł, aby wydać odpowiednie dyspozycje.

Nagle do sali wpadła z rozwianym włosiem i szaleństwem w oczach Kalina Podgórska.

– Królu! Odezwał się batalion „Orzeł Biały”! Są silne zakłócenia, ale łącze jest stabilne!

– Połącz!

Dziewczyna podbiegła do konsoli w rogu sali i wystukała instrukcje na głównym komputerze. Wszyscy usłyszeli szum silnika i głos Orłowskiego.

– Powtarzam: ścigamy Gojirę w kierunku południowo-zachodnim. Przejeżdżamy w pobliżu Białowieży. Prosimy o ostrzał artyleryjski na Kamieniec. Załączam dane i tor. Po jednej salwie, bo mamy tu cały konwój...

Król chwycił mikrofon.

– Powtórz, Orzeł. Kogo ścigacie?

– Gojirę, królu.

– Gdzie go znaleźliście?

– Pojawił się w Wilnie, królu. Nagle. Jakby się teleportował.

– Jakby co?!

– Wszyscy to widzieli. A teraz spieprza, aż się za nim kurzy. Jest piekielnie szybki. Ledwie

utrzymujemy kontakt wzrokowy. Prosimy o...

- Wiem, o co prosicie, Orłowski. Czyli jesteście gdzie?
- Przed Kamieńcem, od północnego wschodu.
- Nie widzicie przed sobą niczego podejrzanego?
- Tylko w dużym oddaleniu jakąś dziwną chmurę. Tak mówią o niej piloci. Nic poza tym.
- Rozumiem, Orzeł. Dostaniecie ten ostrzał.
- Dziękuję.
- Ale uważajcie, bo tam się dzieje coś bardzo dziwnego.
- To znaczy?
- Nie wiemy. Jednak ziemia drży, a pilot odbywający lot rozpoznawczy zginął w niewyjaśnionych okolicznościach.
- Zrobić zwiad lotniczy? Jesteśmy za tym obłokiem.
- Bylibyśmy wdzięczni.

Gdy Rasputinowi doniesiono, że do granicy z Bliadymi zostały już tylko trzy kilometry, Król Słońce kazał się znieść z *Kultury*, załadował się z ochroniarzami i bojarami na wielkiego, ozdobionego flagami i baldachimami UAZ-a, po czym kazał się zawieźć na tyły Floty, czyli kilka kilometrów na wschód. Wróżba została uczyniona, instrukcje w sprawie Walerii i Kościeja wydane, są tam Kapitan Rossija, Caryca i Car, Białołętskaja poleruje *Pobiedę*, więc on może odpocząć. Tak sobie mówił. Oczywiście prawdziwe motywy były nieco inne. Sylwester Bartnitskij zwany Rasputinem nie był takim idiotą, za jakiego go brano. Wiedział, że na szpicy będą najbardziej zażarte walki, wiedział też, że naprawdę dobry wódz sprawuje kontrolę nad bitwą, obserwując ją z daleka, z zaplecza swojej armii. Dlatego UAZ niczym kuter mijał teraz jadące w przeciwnym kierunku większe okręty i debilnie uśmiechniętych Wielkich Iwanów, a kierował się ku lotniskowcom.

Ktoś mógłby w tym momencie zapytać: Jak wyglądały *Jelcyn* i *Breżniew*?

Wyobraźmy sobie tedy pokłady zdarte nieznaną siłą z lotniskowców *Admirał Kuzniecowa* i *Admirał Karpow*, częściowo porwane i ukruszone, połączone deskami, blachami i linami i rozciągnięte na ułożonych w poprzek balach stanowiących osie wielkich drewnianych kół. Oczywiście takie lotniskowce nie miałyby żadnego napędu. Teraz zatem wyobraźmy sobie, że wzdłuż burt tych pojazdów siedzi w specjalnych niskich boksach po siedmiu Wielkich Iwanów. Iwany dzierżą w ogromnych łapskach olbrzymie kotwice na długich łańcuchach przykutych do ich szyj. Każdy równo z innymi robi wymach kotwicą, ta leci pięćdziesiąt metrów w przód i wbija się w grunt w gejzerze ziemi i traw, wywołując lokalne trzęsienie ziemi, a następnie olbrzym ściąga ją kilkoma machnięciami łap. I ten cykl powtarza się raz za razem, a skrzypiące linami i drewnem kolosalne lotniskowce posuwają się do przodu. Można by zadać pytanie, jakim cudem Wielkie Iwany robią to tak równo. Otóż każdy ma na barkach uprząż z dwoma koszami, po jednym na ramię, w których siedzą poganiacze kontrolujący tempo i kierunek rzutu kotwicą. Jeden trzyma na wędce kawałek słoniny, wyznaczając kierunek rzutu, a drugi dyktuje tempo. Proste? Proste. Na pokładach lotniskowców zgromadzono po kilkanaście myśliwców Jak-9 i Il-2 oraz powolnych dwupłatowych maszyn An-2, bo Majselbaum potrafił poradzić sobie tylko ze spalinowymi silnikami, natomiast rozkładał bezradnie ręce przy odrzutowych. Przy maszynach stali piloci, gotowi oddać za Wszechrusć tudzież kulturę, życie, młodość i talent. O, zwłaszcza talent.

Gdy Król Słońce przejechał między olbrzymimi *Jelcynem* i *Breźniewem*, dotarł do wozów zaopatrzenia wiozących hektolitry wody, spirytusu, benzyny, ropy, puszek i innych skarbów, które stanowiły bijące serce Floty. Tutaj jechały trzy główne tiry lekarza floty, Matwieja Lewandowskiego, po brzegi załadowane N-Genem i wyraźnie oznakowane wymalowanym schematem przedstawiającym sylwetkę człowieka, strzałkę i orka, który z niego, według tego uproszczonego równania, powstawał. A wszystko to na tle czerwonych gwiazd i przekleństw dopisanych przez co dowcipniejszych Zielonych. Za tą kawalkadą piętrzył się pojazd dowodzenia – olbrzymi Ił-96, czyli rosyjski odpowiednik Air Force One, z dumnym czerwonym napisem „Rossija” na białym tle. Latający Kreml był czterosilnikowym odrzutowcem i oczywiście nie latał, za to pięknie jechał ciągnięty przez tresowane niedźwiedzie, Iwany i Topole. W pustych gondolach silnikowych oświetlone pochodniami orczyce tańczyły nieustannie taniec brzucha, na skrzydłach zaś rozłożył się Chór Aleksandrowa w nieco zmodyfikowanym składzie. Wzmocniono mianowicie sekcję perkusyjną i dodano organy, które strzelistą swą formą błyskały dumnie w promieniach wstającego słońca, a kalikanci nieustannie sączyli w nie powietrze, by główny organista, gdyby nasza go ochota, mógł zagrzemieć najświętszy z rosyjskich akordów.

Król Słońce pokiwał z aprobatą naszpikowanym rurami łbem, po czym wyładował się z UAZ-a i wraz z orszakiem, Juddu, jego bagażem i świętą krową dostał się po wygodnie rozłożonych linach do odrzutowca.

– Nu – mlasnął, zasiadając przed panoramiczną szybą Latającego Kremla. – Możemy zaczynać bitwę.

– Dokąd, Myszka?! – krzyknął Schmidt, lądując wśród rzadkich drzew i obserwując dziwny obłok, który wznosił się na prawo, oświetlony złotymi promieniami słońca.

– Tam! – Orczyca wskazała na lewo.

– Na pewno, Myszka? Przed chwilą wskazywałaś bardziej w prawo!

– Nie mam radaru w głowie! Musiał się przemieścić! To tchórz! Pewnie się wycofał na tyły Floty! Tam ma pojazd dowodzenia!

– To ma sens – zawyrokował Schmidt.

Nagle las na prawo od nich błysnął, pochyliły się drzewa, a po chwili fala uderzeniowa przyniosła huk eksplozji.

– *Co to, bliat?* – krzyknął w jego głowie Ixi.

– Strzelają do nas, skurwysyny – warknął Schmidt. – Już ja im pokażę!

Oczywiście ani *Überwunder*, ani *Katiusza* nie wiedzieli, że widzą początek ostrzału z haubic *Wiechuckiego*. Sądzieli, że jakimś cudem Rosjanie wyczuli olbrzymia. Kilkadziesiąt metrów dalej ziemię rozerwała kolejna eksplozja, a potem nastąpiło ich jeszcze kilkanaście.

– Tak czy owak, Myszka – stwierdził Schmidt – na prawo biec nie możemy, bo nas wyczuli.

Skoczył zatem we wskazanym przez żonę kierunku i lecąc wysoko, dostrzegł obłoki kurzu i spalin, jakie ciągnęła za sobą Flota.

– Jesteśmy już blisko, Myszka!

– Orzeł, tu generał *Wiechucki*.

– Słyszę pana, generale – odparł *Orłowski*.

– Nie wiem, jak to powiedzieć, majorze. Sam do końca nie jestem pewien...

– Co pan chce powiedzieć, generale?

– Najpierw podajcie swój status.

– Gojira się oddala. Nie jesteśmy w stanie utrzymać jego tempa. Teren jest nierówny, spowalniają nas pojazdy najemników. Ale mamy go na radarze, a Peruny od czasu do czasu łapią kontakt wzrokowy.

– Rozumiem. Widzicie nasze salwy?

– Tak, ale potwór zmienił kurs. Teraz podąża prosto na południe.

– Więc najprawdopodobniej w ciągu najbliższych minut nastąpi atak na Twierdzę na wysokości Starego Bublą. Mamy potwierdzenie od majora Rutki, który zrobił zwiad od południa, omijając ten obłok. To wielka siła, Orzeł. Wielka. – Generał ochrypl. – Postępujcie ostrożnie. Być może będziecie w stanie kąsać od tyłu tę bestię. Nie wydaję wam żadnego rozkazu, Orłowski. Postępujcie według swojego rozeznania.

Major milczał, a jego mózg usiłował zrozumieć to, co przed chwilą dotarło do uszu.

– Tak jest, generale – odparł w końcu ścisłym głosem. – Dziękuję.

– Powodzenia, synu – rzucił Wiechucki i się rozłączył.

Orłowski przełknął ślinę i spojrzał na załogę Tura. Potem przełączył komunikator na kanał ogólny.

– Orłowski do „Krzemieńnej Pięści” i najemników. – Chrząknął. – Właśnie następuje atak na Twierdzę. To potężne siły, najprawdopodobniej rosyjskie. Obłok, który widzimy, stanowi ich awangardę. Generał Wiechucki nie wydał mi żadnych rozkazów, jedynie zasugerował, że możemy spróbować skubnąć ich od tyłu, w sumie wciąż podążając za Gojirą. Nie wiemy, jakimi oddziałami dysponują. Wiemy, że jedziemy tam siłą dwóch wzmocnionych batalionów i z armią najemników, którzy forsę za to nie dostaną.

– Mamy Potiomkina pełnego skarbów – odparł Szczygło. – To nam wystarczy.

– Mów za siebie – warknął Wasilij.

– Zamknij się, zdrajco.

– Ja spierdalam – odparł Wasilij. – Zwiad w Wilnie to jedna rzecz, a walka z armią to druga.

Orłowski zobaczył na radarze, jak pojazd Kestaba oddziela się od kolumny i zmierza na zachód. Dołączyły do niego dwa inne wozy, ale reszta została w grupie Orłowskiego. Major spojrzał na Szczyrbowskiego. Ten pokiwał głową, dając znać, że marker przyczepiony do Warsa Wasilija jest dobrze zabezpieczony i że będzie w stanie wyśledzić ten samochód.

– No i przestało śmiedzieć. – Szczygło roześmiał się. – A wracając do sprawy, nie zostawimy Potiomkina. Poza tym może wreszcie spierzemy komuś dupsko.

– Mało ci było? – spytał Orłowski.

– Czuję niedosyt.

– Wiesz, Serż – major usłyszał głos Siekierzyńskiego – jakbym dobrze wcelował, mógłbym rozwalić ten śliczny samochodzik Wasilija...

Orłowski przez chwilę rozważał ten scenariusz.

– Nie, Witek – odparł. – Jeszcze nie upadliśmy tak nisko, żeby strzelać do Polaków. Nawet Gollum w końcu kiedyś się przydał.

Stojący przy baterii Jarył kapitan Bartłomiej Biedrzycki, zaopatrzonego w dwa potężne obrotowe działka i pozwalający je trzymać egzozkielet Chors, widział, jak mgła nad lasami rozprasza się,

a ze ściany drzew wylaniają się dziesiątki potężnych ciężarówek Topol, które dźwigają przed sobą olbrzymie łyżki pełne ziemi. Pojazdy opuściły brzegi łąch, a ziemia zaczęła się z nich zsuwać przy akompaniamencie niosącego się po łąkach szumu i bulgotu wody. Bug wystąpił z brzegów od setek ton czarnoziemu, a już po chwili pojawiły się kolejne pojazdy i kolejne, i kolejne. Rzeka, protestując, zaczęła się wylewać we wszystkie strony. Mimo że wśród wielkich ciągników Zielonych wykwiwały kwiaty eksplozji z Jarył i niektóre wrogie pojazdy rozsypywały się w wyniku trafień, wciąż nadjeżdżały nowe, niektóre miażdżąc trupy poprzednich, a każdy zrzucał do rzeki ładunek ziemi. Te, które już to zrobiły, podnosiły silosy z rakietami i odpalały je. Tu kwatermistrz garnizonu w Starym Bublublu musiał przyznać, że czegoś takiego jeszcze nie widział, rakiety bowiem startowały, w każdym razie niektóre, ale po odbyciu lotu różnej długości i trajektorii spadały, z reguły po stronie Twierdzy, wybijając w ziemi leje, ale nie eksplodując. Mimo to robiły sporo hałasu, zasłaniały dymem widok i dezorientowały obrońców. Zestawy, które odpaliły rakiety i rzuciły ziemię, zaczęły wjeżdżać w błoto i zanurzać się w nim, ich kierowcy zaś, wyskakując z kabin, stanowili awangardę ataku. Biedrzycki obserwował, jak po tonących ciągnikach jadą następne i następne. Minęło kilka chwil i na Bugu powstał szeroki na trzysta metrów swoisty most z ziemi i podtopionych pojazdów. A rzeka wylewała, tworząc malownicze rozbryzgi pod stopami pędzących w stronę załogi Starego Bublublu zielonych żołnierzy. Swarogi otworzyły ogień i wśród samobójców pojawiły się kwiaty eksplozji, niosąc powielony echem huk. Decyzja o otwarciu ognia była słuszna, gdyż kierowcy obwieszani byli ładunkami wybuchowymi i zaczęli eksplodować o wiele potężniej od rakiet, które wciąż spadały na błonia dzielące Bug od Bublublu.

– Rodzona matka by mi nie uwierzyła – mruknął do siebie Biedrzycki.

Obok niego stali Machlowski i Budziakowski, ubrani i uzbrojeni tak samo jak on.

– Będzie grubo – oświadczył Machlowski i skinął głową stojącemu na dachu lazaretu Piekielnikowi. – Co złęgo, to nie my, kapitanie!

Kapitan Damian „Piekielnik” Podobą zsalutował mu i przeładował ciężkie działko Siwa.

– Przyjdą posiłki, co? – szepnął Machlowski do Budziakowskiego.

– Przyjdą – rzucił Biedrzycki. – Przyjdą.

Jaryła prały raz za razem, a przez Bug zaczęły się przetaczać olbrzymy wielkie jak domy.

– Co to, kurwa, jest?! – wrzasnął Machlowski.

– MegaAdolfy – odparł Budziakowski.

– MegaStaliny – poprawił kwatermistrz.

– Jak Stalin miał na imię? – spytał Machlowski.

– Józef – odparł Budziakowski.

– MegaJózef. Eee, to nie brzmi.

– Nie brzmi.

– No to Stalin. Dobrze brzmi?

– Dobrze, kurwa, ale widzę, że ich nawet strzał ze Swaroga czy Jaryły nie powala! – warknął Biedrzycki, po tym jak jeden z olbrzymów oberwał w ramię i chociaż wielką łapą usiłował wymasować bolące miejsce, szedł dalej.

Rosyjską awangardę obserwował przez lornetę stojący na dachu głównego budynku garnizonu pułkownik Paweł Richert. Towarzyszili mu porucznik Domagała i generał Wiechucki, który także dzierżył lornetę.

- Co zameldował Flystar? – spytał Richert generała, omijając oficjalną szarżę.
 - Siłę dwudziestu dywizji, może więcej. Nie umiał określić, bo napotkał potężny ogień zaporowy.
 - Dwudziestu?
 - Nawiązał walkę powietrzną ze śmigłowcami.
 - Mają lotnictwo?
 - I przeciwlotnicze orki.
 - Co?
- Generał oderwał lornetkę od oczu i spokojnie spojrzął na bladego Richerta.
- Orki ziemia–powietrze.

Król Justyn Łyżwa, powiadomiony o sile nacierających na Twierdzę orków, natychmiast ogłosił mobilizację i zarządził zgrupowanie sił na linii Siedlce–Sokołów Podlaski, nakazując jednocześnie natychmiastową ewakuację ludności cywilnej na zachód. Zdziwił się jednak, słysząc od oficerów łącznościowych, że cywile ani myślą się wycofywać.

- Chcą... walczyć – wyszeptła blada Kalina Podgórska.

Potężny taran w postaci dziesiątków czołgów T-90, wozów pancernych BTR, GAZ-ów, haubic Msta, wyrzutni Buk-M2, zestawów rakietowych Pancyr załadowanych na Kamazy, potężnych wyrzutni Triumf, zestawów Iskander, gąsienicowych wozów zaopatrzenia technicznego oraz niezliczonych innych pojazdów zaopatrzonych w maszty, żagle i pomalowanych na podobieństwo okrętów wbił się w bok Twierdzy i parł na garnizon w Starym Buble, wylewając się przez wąskie gardło przeprawy niczym morze szczurów uciekających przez okno z płonącego domu.

– Ognia! Dalej! – zakomenderował Wiechucki, a wszystkie Jaryła zagrały w zgodnym rytmie. Doświadczone oko generała zobaczyło pośród pędzących w ich stronę pojazdów więcej wybuchów, niż wynikałoby to ze stanu garnizonu. To haubice zgromadzone wzdłuż granicy namierzyły miejsce ostrzału i prały zawzięcie. Na niebie pojawiło się kilka śmigłowców z innych garnizonów, a wśród nich osmalony płatowiec Flystara.

Swarogi i Dażbogi prowadziły ogień ciągły, obsady ciężkich karabinów kładły płaskie wachlarze serii po nacierających orkach, ale chociaż padał jeden i drugi, chociaż pojazdy wroga wyskakiwały w powietrze i eksplodowały, wciąż przybywało pojazdów i orków, orków i pojazdów.

– Taktyczny odwrót – chciał powiedzieć Wiechucki, ale wiedział, że jest już za późno. Na ucieczce stracą więcej, niż zyskają. Znaczący oni nie zyskają już niczego.

Ale Twierdza zyska. Nagle na dachu, na którym stali generał i pułkownik, zaroilo się od cywili. Wiechucki spojrzął w lewo i prawo i zobaczył mnóstwo kobiet i mężczyzn, a nawet dzieci, i to nie tylko na dachach garnizonu, ale także na oddalonych domostwach Starego Buble. Wszyscy byli uzbrojeni i ubrani w pancerze, niektóre śmieszne, inne jaskrawe. Wiechucki popatrzył na nich z szacunkiem. A potem zerknął na zbliżający się i tryskający ogniami i wybuchami wał.

- To był zaszczyt.

Piekielnik, Matka i Mateo prali z góry do pojedynczych orków, zdając sobie sprawę z tego, że ciężkimi karabinami nie zaszkożą pojazdom, z których najszybsze już zaczęły mijać zabudowania garnizonu. Jeden z nich oberwał pociskiem Swaroga i uderzył w mur budynku naprzeciwko. Orki z pędzącego łąką UAZ-a wyskoczyły i rzuciły się na przejeżdżający obok czołg, by dostać się do środka. Piekielnik już chciał ściąć je serią z Siwej, ale wyręczyła go stojąca obok dziewczyna okryta wydzierganą najwyraźniej przez siebie biało-czerwoną flagą. Z lufy jej Browninga unosiła się strużka dymu.

– Dobry strzał! – pochwalił Piekielnik i wyciągnął dłoń, ale zobaczywszy, że trzyma oburącz broń, zawahał się. – Damian Podoba! Kapitan!

– Możesz mnie chwycić za cycek, bo ręce mam zajęte – odparła ze śmiechem dziewczyna. – Poza tym, kurwa, świat się kończy, a jesteś przystojny! Gocha Żabińska!

Piekielnik spojrział na apokalipsę dookoła i położył rękę na piersi Gochy. Była sprężysta i duża.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Mylisz, się woju! – odparła Żabińska i pociągnęła za spust, wysyłając w stronę szarżujących orków słoneczny wachlarz pocisków.

– No chodźcie! Chodźcie! – wrzeszczał na cały głos stojący na drugim dachu kapitan Biedrzycki, posyłając w tłum orków gęste serie.

Obok niego, w podobnie bohaterskim nastroju, trwali Budziakowski, Machlowski, Richert, Domagała i Wiechucki, a pośród nich gromada cywili i wszyscy witali gorąco agresorów. Budynki garnizonu wyglądały jak parasole, których kapeluszami były serie ciężkich karabinów. Jaryła ruszyły w tan, chcąc zrzucić z pancerzy wspinających się na nie Engelsów, i wciąż strzelały, nie przejmując się celowaniem, bo w zasadzie gdziekolwiek by strzeliły, pocisk lądował w celu. To samo robiły Swarogi, pędząc po podmokłych łąkach i prując z dział i karabinów. Zbrojowcy sadzili susy razem z Zielonymi, podcinając ich i rozrywając strzałami z Marchołów, nie ulegało jednak wątpliwości, że garnizon Stary Bubel został zdobyty.

– Wyrzutnie spirytu – odezwał się do interkomu generał. – Ognia!

Trzysta metrów za linią garnizonu Wiechuckiemu udało się zorganizować cywilny punkt oporu. Były tam katapulty skonstruowane przez niejakiego Piotra Jasińskiego, pięćdziesięcioletniego miłośnika piwa, majsterkowicza, militarystę i zbrojeńca w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Jasiński do wojska się nie nadawał ze względu na liczne choroby oraz wiek, ale że zawsze wiedział, że pewnego dnia dojdzie do inwazji, intensywnie się do niej przygotowywał. Wiedziony niezwykłą intuicją, skonstruował poduszkowiec, który nazwał Rzygaczem, był bowiem zaopatrzony w pokaźnej mocy miotacz ognia. Oprócz Rzygacza zbudował Jasiński trzy katapulty, tak na wszelki wypadek. Gdy garnizon był wzmacniany, wynalazca zgłosił się do Richerta, ten pokazał jego dzieła Wiechuckiemu, a generał, zachęcony przez piwosza, zgodził się, by na linii lasu na zachód od Bubla zorganizować baterię wyrzutni bimbru, którego okoliczni mieszkańcy mieli pod dostatkiem.

Słyszając rozkaz generała i widząc falę pędzących orków, Jasiński krzyknął:

– Bimber rzuć!

Jego starym przyjacielem był niejaki Michał Markiewicz, dżentelmen wyglądający na lat sześćdziesiąt pięć, a mający dwadzieścia więcej. Był to człowiek surowych zasad i niezłomnego

charakteru. On pierwszy zwolnił blokadę katapulty, a za nim poszły następne. I poszybowały butle pełne mocnego bimbrowa w promienie wschodzącego słońca, błyskając fasetkami kwadratowych ścianek.

– Szkoda towaru – mruknął Jasiński.

– Nie szkoda – odparł Markiewicz.

I rzeczywiście – ledwie butle upadły pośród orków, te żywo się nimi zainteresowały, zatrzymały, wzięły flaszki do łap, odkorkowały, powąchały, po czym ich szerokie gęby rozciągnęły się w uśmiechu. Jeden wlał sobie trochę do paszczy, drugi wyrwał mu butlę z pazurów, popił trzeci, a butle wciąż leciały, syjąc w powietrzu słoneczne skry, zgromadzono bowiem przy bateriach imponujące zapasy. Katapulty skrzypiały, łyżki stękały, rzucając dziesiątki butli jednocześnie, a orki się zwyczajnie zatrzymały. Pojazdy też najpierw zwolniły, a potem stanęły, Zieleni zaś, zaciekawieni, co robią ich pobratymcy, zaczęli wyskakiwać z wozów. A katapulty prały nieustannie.

– Michałku, czas na nas – zawyrokował Jasiński i wskazał Rzygacza, także zaopatrzonego w katapultę.

– Tak jest, Piotrusiu – odparł Markiewicz i podszedł z przyjacielem do poduszki.

– Czekać, chłopaki – krzyknęła Ola Bojda, młoda, szczupła dziewczyna, która obsługiwała katapultę.

Podbiegła do nich i każdego ucałowała w policzek. Żaden z nich oczywiście nie wiedział, że to pocałunek śmierci, ostatni, jaki otrzymali na tym łożu padole.

Starsi panowie uśmiechnęli się do siebie z rozrzewnieniem.

– Warto było, Piotrusiu – zapewnił Markiewicz.

– Warto, Michałku.

Załadowali się do Rzygacza i już mieli ruszać, gdy dziewczyna zatrzymała ich.

– Co chcesz, Olu? – spytał Jasiński.

– Nie ma wam kto obsługiwać miotacza płomieni.

– Damy sobie radę.

– Nie dacie. Jadę z wami.

Jasiński wrzucił ramionami.

– Dziewczyno, wiesz, jak to się skończy?

– Nie wiem. I wy też nie wiecie.

Markiewicz przełknął ślinę. Ostatecznie jednak wzięli ją na pokład, po czym ruszyli z wizgiem rozpędzającego się śmigła.

– Od lewej ich weź, Piotrusiu – krzyknęła Markiewicz, szykując katapultę. – Ci tutaj już są obsłużeni! Trzeba zaopatrzyć tych dalej na wschód!

– Zgadzą się, Michałku!

Jasiński wcisnął pedał gazu, a poduszki zerwał się i ruszył z rykiem silników, mijając prawą burtę pandemonium. Swarogi pędziły, osmalone, płonące, strzelające dzielnie i zamknięte, bo na wszystkich siedziały zielone bestie, Zbrojowcy wyskakiwali w powietrze, jakby chcieli się znaleźć na chwilę nad tłuszczą, Jaryła powoli się toczyły i co chwila oznajmiały rykiem, że nie zamierzają się poddać, dachy garnizonu zaś wyglądały, jakby oblegały je mrówki, orki bowiem wspinały się jedne na drugie, by dostać się na górę i pożreć strzelających do nich ludzi. Jedna z kobiet – przyobleczona w biało-czerwoną flagę – stała na skrzyni i prała dookoła, nie bacząc na koronę otaczających ją kul.

– To Gocha Żabińska – szepnął Markiewicz. – Głupi byłem, że nigdy jej nie powiedziałem, że

ją kocham.

– Co tam mówisz?! – krzyknął Jasiński.

– Kocham Żabińską, kurwa!

– Ty też?!

I obaj wybuchnęli śmiechem, a Ola wzruszyła ramionami i skomentowała:

– Stare zboki. Bliżej, kurwa, bo nie dosięgnę miotaczem!

– Nie o to chodzi, Olu, żeby dosięgnąć! To misja dywersyjna, nie zaczepna!

– Sraczepna.

– Ognia, Marezku! – krzyknął Jasiński, mijając budynki, a Markiewicz rzucił pierwszy ładunek bimbrowo prosto w ciżbę.

Podoba, Szwajcar i Matka patrzyli, jak rozlewającą się ciżbę Engelsów okrąża od północy poduszkowiec, z którego co chwila leciały szerokim wachlarzem połyskujące w blasku ognia i rodzącego się dnia butelki.

– To Jasiński? – spytał Piekielnik.

– Ta! – odkrzyknęła Matka.

– Perunie, kocham tych facetów! – zawołała Żabińska i pomachała im ręką.

– Dobrze dają – pochwalił Szwajcar. – Zobaczcie, orki jakby się zatrzymują.

– Lubią wypić – odparła Matka, zmiatając Zielonego, który wczepił się już łapami w krawędź dachu i próbował się wspiąć, ale zatrzymał się, widząc wpatrzony w niego złowrogie ślepie Ciapka tudzież jego obnażone kły.

Żabińska spojrzała na zachód i zobaczyła, że między garnizonem a lasem orki już się zatrzymały i rozpoczęły imprezę.

– To działa! Generale, to działa! – krzyknęła, usiłując przebić się przez wszechogarniający huk.

Poduszkowiec zawrócił i pomknął na zachód, zapewne po kolejny transport bimbrowo. Nad dachami garnizonu przeleciał wrogi śmigłowiec, kołysząc się w powietrzu, ścigany przez Peruny. Z jego wnętrza wyskoczyły trzy orki, zamierzając wylądować na dachach, ale przestrzeliły i wyrzuciły w plac garnizonu, trając zgromadzonych tam komilitonów.

– Kretyni! – roześmiała się Martyna Plisenko, widząc ten skok. Była cała osmalona od dymu i prochu strzelniczego, ale wciąż w jednym kawałku i wciąż operowała działkiem Bazyliszek śmigłowca Flystara i Fotofaszysty.

– Skup się, mała! – krzyknął Flystar, podrywając maszynę po tym, jak Lasyk ostrzelał lecącego przed nimi jaszczura, czyli helikopter wroga. – Grzej tylko do piechoty! I kierowców pojazdów! Nie marnuj amunicji!

– Nie marnuję – zapewniła Plisenko. – Kurwa, jak opowiem dziewczynom, to się posrają z zazdrości!

„Jeśli przeżyjemy” – pomyślał major Marcin Rutka, z niepokojem zerkając na stan amunicji.

– Ile jeszcze mamy pestek? – spytał strzelca.

– Połowę.

– Kurwa.

– Ty widzisz ten poduszkowiec? – Fotofaszysta wskazał pędzący od południa pojazd

szykujący się do strzału z katapulty.

- No.
- Dobrzy są.
- Niech nie podjeżdżają za blisko.
- Znowu strzelają bimbrem!
- Ten generał to ma łeb.

Istotnie, nawałnica orków zatrzymała się. Zieleni, rozochoceni niemożebnie zapachem Bliadych, których nie mogli schrupać, rzucali się na butle z bimbrem jak na wybawienie. Niektórzy walczyli o flaszkę, wyrwali je sobie, warczeli na siebie, a nawet dochodziło do rękoczynów, tak strasznie działał na nich boski zapach ludzi. Wlewali w siebie napój, a to chłodziło nieco ich rozgrzane do czerwoności ciała migdałowate i budziło wesołość. Za Bugiem zrobił się zator z imprezujących i coraz weselszych orków, a obsada Bubla przegrupowała się i skupiła ogień. Wybuchł jeden Topol-M, po nim czołg T-90, rozsiewając wokół pancerne odłamki, następnie drugi i trzeci. Zachwiały się maszty, poczęły łopotać potargane żagle, Flota Rasputina trafiła na orzech nie do zgryzienia.

Bimber.

I już obrońcy Bubla mieli wznieść radosny okrzyk, widząc, jak Jaryła i Swarogi odzyskują pole, gdy z zasłony rozrywających się mgieł wychynął nad Bugiem olbrzymi kształt.

- Co to jest? – spytał Wiechucki, przykładając lornetę do oczu.
- Ja pierdolę – odparł Richert. – Okręt podwodny.

I nagle usłyszeli dziwny, niski, hipnotyzujący bas.

- Uuuuuuuuuraaaaaaaa!!!

Pora wyjaśnić, dlaczego Szaryj zwany Stalingradczykiem, siedzący w kabinie przyspawanej do burty *Kultury*, był osobą nienaruszalną we Flocie Rasputina.

Przed przemianą różnie na niego wołali. Głównie „Stary” albo „Szary”, chociaż nazywał się Siemion Jurijewicz Żakiewicz. Był matuzalemem o przeredzonych popielatych włosach i zniszczonej cerze, jakby pokrytej pyłem domu rozbitego przez trzęsienie ziemi. Ci, którzy go znali osobiście, mówili mu po imieniu i zawsze z szacunkiem. Jednak bardzo niewielu czerwonoarmistów pamiętających Wojnę Ojczyźnianą dożyło czasów przed Kolapsem, a z jego pułku – nikt. Szary maszerował zmęczonym krokiem podczas defilad, ostatni żywy ze swojego oddziału. I płakał, chociaż filmowali go dziennikarze. Strasznie płakał, bo pamiętał.

Stalingrad.

Często śnił, że biegną. Śnił, że idą na rozkaz w ostatnią szarżę straceńców dzieci takie jak on, młodzi jak jego bracia i starsi jak ojciec. Biegną, bo tak trzeba. I giną. Wszyscy prócz niego. Pamiętał śmierć każdego, jakby zapisano ją na niezniszczalnej stalowej taśmie wszytej w mózg. Ojciec leciał do tyłu odrzucony wybuchem. Alosza leżał wśród gruzów, wykrwawiając się z rany brzucha. Natalii urwało głowę...

Przeżył wojnę, często zastanawiając się po co, bo to, co go otaczało, nie uśmiechało się, nie było przyjazne. Obce mury, obce ulice, obcy ludzie. Jedyne towarzystwo, jakie tolerował, stanowili czerwonoarmiści. Ale oni starzeli się, chorowali, umierali. Siemion zaś się trzymał. Chociaż nie było to jego celem, wiódł przedłużające się życie, w którym mimochodem wspinał

się coraz wyżej w hierarchii armii Matki Rosji. Potrzebowano weteranów, legend, tych, którzy pamiętają. A Szary pamiętał.

Jednak i na niego przyszedł czas. Choroba serca, udar, złamanie szyjki kości udowej, to wszystko złożyło się na wyrok śmierci. Dogorywał w szpitalu dla weteranów i czekał na kostuchę z nadzieją, że pozwoli mu się spotkać z towarzyszami broni. Braćmi. Ojcem. Matką. Ścisnął w wymizerowanej dłoni gwiazdę z czapki taty i czekał...

Nigdy się nie dowiedział, kto podał mu N-Gen. Może to była Tatiana, miła pielęgniarka, która zmieniała mu cewnik? Może salowa Masza? A może lekarz, ten Grigorij? Ułamkiem świadomości, która mu została, wiedział, że na świecie dzieje się coś dobrego, coś, co zmienia oblicze Ziemi. Nie wiedział jednak, co to jest. Już nie rozumiał.

Ale stał się cud. Wyzdrowiał na przekór hitlerowcom i na przekór śmierci, oszukując towarzyszy z pułku i rodzinę. Podniósł niepokorną głowę i spojrzał w oczy przyszłości. Wyszedł ze szpitala, ozdrowiał, a potem zaczął się rozglądać za pracą, nieco młodziej, choć nie w tak szybkim tempie jak inni. Pomyślał o armii i przyjęto go z otwartymi ramionami.

„Siemionie Jurijewiczu, witamy! – mówili. – Cieszymy się, że pan wyzdrowiał!”

Przemiana dopadła go na poligonie przy ukraińskiej granicy. Najpierw chorował tak jak wielu żołnierzy, a potem wziął udział w jednej z najkrwawszych bitew, jaką pamiętała Matka Rosja, bo mieli do dyspozycji prawdziwe czołgi, samoloty i artylerię oraz ostrą amunicję. Kiedy doszedł do siebie pośród stert trupów i dopalających się wraków pojazdów bojowych, zobaczył siebie odmienionego, większego, spotworniałego, ale innego od pozostałych. Nie zzieleniał jak reszta. Jego skóra pozostała szara, miejscami niemal biała, plamista.

Dlatego jego pseudo się nie zmieniło i po tym, jak przelała się przez kraj fala szaleństwa i zostały już tylko orki, wciąż wołano na niego Szary. Siemion szybko się zorientował, że chociaż wziął udział w masakrze na poligonie, instynkty zielonych braci, choć, której nie byli w stanie kontrolować, i potężna agresja są mu obce. Tłumaczył sobie, że to dlatego, że N-Gen zadziałał u niego na progu śmierci, na starca, w którego ciele wszystko już się psuło, na kogoś, kto miał już kłopoty z pamięcią, więc i z głową też.

Po przemianie Siemion tak naprawdę pragnął tylko... świętego spokoju.

Jednak nie mógł go zaznać. N-Gen wzmocnił pamięć, i to pamięć wojny. Stalingrad wciąż żył w jego snach: krew na śniegu i krzyk... jeden krzyk z tysięcy gardeł, odbijający się od ruin, niosący się w dal, przekraczający granicę życia i śmierci. Szary rozmyślał, obserwował braci i siostry i zrozumiał – póki istnieje kraj Bliadych, póki ten przyczółek ludzkości trwa, orki nie przestaną nienawidzić, nie przestaną walczyć, nie będzie szans na... święty spokój. I z powrotem wylądował w armii, a raczej w ordzie Traszki. Lecz zamiast, jak to planował, pomóc swoim doświadczeniem i wyższą od przeciętnej inteligencją, trafił na dowódcę, który wzmiankę o potrzebie planowania i strategii uznał za zagrożenie dla swej pozycji. Tak oto Siemion zwany Szarym znalazł się wśród szeregowych Zielonych, a oddział, w którym rozmyślał nad sposobem wpłynięcia na losy wojny, blisko kraju Bliadych i został zaatakowany przez zwiad ludzi. Wyśmienicie wykorzystali element zaskoczenia i wyższą inteligencję.

To była masakra.

W pierwszej minucie ataku dostał w nogi tak gęstą serię, że mimo tytanicznej siły nie potrafił wstać. Zaraz potem ktoś przejechał mu bagnetem po oczach i Siemion oślepl. Leżąc i jęcząc, mógł tylko słuchać, jak towarzysze broni ulegają pogromowi. Słyszał wiwaty ludzi, słyszał, jak dobijają tych, którzy jeszcze żyli. I wrócił do niego koszmar obłączenia. Stalingrad i krzyk.

Krzyk tysięcy gardeł.

I Szary również zaczął krzyczeć.

– Urrrrraaaaa!!! Uuuuurrrrrraaaaa!!!

A jego głos rósł z każdą chwilą, był coraz potężniejszy i donośniejszy. Bo Szary był w stanie tylko krzyczeć i w swój głos włożył całą rozpacz, horror wspomnienia i bezsilność wynikającą z tego, że nie mógł nic więcej. Tylko krzyczeć.

– Urrrrrrraaaaa!!!

I stała się rzecz niezrozumiała. Orki słyszające zawołanie, te ranne, umierające i te jeszcze w miarę sprawne, ale będące w rozsypce, zmieniły się. Ale nie był to bitewny szal czy berserk. Nic z tych rzeczy. Towarzyszy słyszających pełne cierpienia zawołanie Szarego zaczęło ogarniać... braterstwo. Zaczęli bronić się, osłaniać, walczyć ramię w ramię, poświęcać się, by ratować innych...

– Urrraaa!!! – grzmiał ile sił w płucach Siemion, ściskając w łapie czerwoną gwiazdę, a łyżki się po orkowej gębie.

I wkrótce wołanie dobyło się z gardeł wszystkich pozostałych przy życiu orków. Rycząc, Zieleni rzucili się do ostatecznej, bohaterskiej i jak nigdy wcześniej skoordynowanej szarży. I tak historia bitwy się odmieniła. Początkowe rozbawienie pewnych zwycięstwa Bliadych, którzy wiedzieli, że rozbite oddziały Zielonych są łatwym łupem, zmieniło się w niedowierzenie, a zaraz potem w przerażenie. Nim pojęli, co się dzieje, zaczęli ginąć pod ryczącą falą.

Tak Szary odkrył niezrozumiałą, hipnotyczną siłę swojego głosu.

Wieść o cudownym zwycięstwie rozniosła się wśród orków, a magia tembru Szarego stała się słynna. Potrafił skupić uwagę nie tylko za pomocą „Ura”, ale też śpiewem. Coś w jego głosie działało na ośrodki koncentracji w orkowych mózgach. I gdy Siemion oraz jego towarzysze zorientowali się, że jego oczy nie chcą się regenerować, więc pozostanie ślepcem, otoczono go opieką i miłością. Gdy orde Traszki zagarnęła Flota Rasputina, Szarego przywieziono do Króla Słońce, przepytano i przetestowano na klonach. Okazało się, że jego głos działa również na te najbardziej rozkojarzone umysły. Szary stał się oczkiem w głowie Rasputina, który zabronił robić z niego szejki i nie dał mu też skosztować swojego mózgu. Jednak obawiając się, że ktoś może go ukraść bądź sam Stalingradczyk zapragnie osiągnąć „święty spokój” chociażby poprzez seppuku, przydzielił mu władca potężnego Gorima, który od tej pory zawsze trzymał łańcuch przyczepiony do obroży na szyi weterana. I tak miłość została zastąpiona niewolą...

Skoro już poznaliśmy tę historię, nie powinien dziwić fakt, że przy stanowisku Siemiona przyspawanym do burty *Kultury* znajdowały się trzy olbrzymie trąby, które miały wzmocnić jego głos, gdyby trzeba było przywrócić równowagę w rozchwianych orkowych głowach.

I właśnie nastał taki czas.

Siemion Jurijewicz Żakiewicz zwany Szarym i Stalingradczykiem, słysząc z wysokości, że Bliadzi zastosowali bimbrowy fortel, krzyknął „Urrrrraaaaa!”, krzyknął drugi i trzeci raz, a jego wzmocniony przez tuby *Kultury* głos poniósł się po polach i lasach, odbijając od pni tudzież kuropatw i powielając echem. A wtedy jego towarzysze potrząsnęli łbami, rzucili butle w błoto, zbili flaszki, w ich oczach zaś znowu pojawiła się żądza mordy.

A w oczach obrońców pojawił się strach.

I ruszyła *Kultura* do przodu, przekraczając Bug niczym Cezar przekraczający Rubikon, i odezwały się potężne działa *Pobiedy*, wyrывая z pól wokół Bubla gejzery ziemi, i trafiły salwy w działa i budynki, zamieniając je w rumowiska.

– Wstawaj, Piekielnik! – krzyczał Szwajcar do dowódcy, gdy ten, przywalony gruzem, odzyskiwał przytomność.

Kapitan, tłumiąc skowyt bólu, ocenił swoją sytuację i pokręcił głową.

– Ewakuujcie się! Ja tu zostaję!

– Zostaniemy z tobą! – krzyknęła Matka.

– To... rozkaz.

– W dupie mam twój rozkaz!

Podoba wycelował z Visa w twarz Anny i ta wiedziała, że jeszcze słowo, a ją straci.

– Rozkaz – powiedziała bladymi ustami.

Chwyciła Szwajcara pod ramię, a ten chciał podnieść umorusanego Ciapka, ale pies wyszczerzył zęby, dając do zrozumienia, że zostanie przy swoim panu. Bieniek i Jakubowski pokuśtykali, ostrzeliwując się, i zniknęli w kurzu.

„Robiłem w życiu tyle strasznych rzeczy – pomyślał Piekielnik – że chętnie wreszcie zabiorę je...”

Ciapek spojrział w prawo. Piekielnik wycelował tam Visa i strzelił do szarżującego orka, trafiając go w oko. Olbrzym przewrócił się i zarył paszczą tuż przy psie.

„Zabiorę je... ze sobą...”

Ciapek spojrział w lewo. Biegł tam kolejny Zielony. Jego także Podoba powalił.

„Ze sobą... do piekła...”

Z chmury dymu i kurzu wyłonił się w warkocie dudniącego silnika czołg T-90 ustylizowany na okręt. Tego Piekielnik już nie mógł zastrzelić, a Ciapek tylko położył po sobie uszy. Kierowca pojazdu wyszczerzył się, widząc przywalonego gruzem woja, bo wiedział, że zaraz go przejedzie.

Ciapek nie chciał odejść. Pokazał kły i postanowił zasłonić pana swoim ciałem.

– Przepraszam, piesku – szepnęła Podoba w ostatnim momencie i popchnął psinę w bok.

Czołg przejechał po woju, a chrzęst kości podziałał na kierowcę jak afrodyzjak.

Piekielnik rozejrzał się, nic nie rozumiejąc. Przed chwilą przejechał po nim T-90, krusząc czaszkę i kręgosłup. Przed chwilą jego nogi wyły z bólu, połamane przez gruz. Dlaczego nic nie czuje? Dlaczego stoi i się rozgląda po polu bitwy? Dlaczego Ciapek leży przy jego trupie i stara się, liżąc zmiażdżoną twarz, przywołać go do żywych?

Nagle pochwyciła go czyjaś silna ręka i porwała pod chmury.

– Do piekła, powiadasz? – wyszczerzył się do niego Jarota. – Do jakiego, kurwa, piekła, Podoba?! Mamy bitwę do wygrania!

Dookoła niebiańskiego woja zarechotało wielu innych żołnierzy i żołnerek. A Piekielnik poczuł się jak w domu.

Tego dnia padło bardzo wielu wojów desperacko broniących garnizonu w Bublu Starym: generał Wiechucki, pułkownik Richert, starszy szeregowy Machlowski, kapral Budziakowski i kociara Woźniak, o której mówiono, że do końca starała się chronić Witkacego, ostrzeliwując się zawzięcie. Poległ nawet kwatermistrz Biedrzycki, chociaż, jak twierdzą historycy, zanim oddał ducha, uzbierała się u jego stóp hałda trupów, a orki dopadły go dopiero wtedy, gdy skończyła mu się amunicja do obu obrotówek i wszystkie noże, pięści zaś spłynęły krwią i w rozdartej skórze pojawiły się białe kości knykci.

Zginęli też Markiewicz i Jasiński, zginęła Ola Bojda, do końca paląc otaczające Rzygacza orki. Podobno nie dała im się pojmać i spłonęła żywcem, drąc się wniebogłose „Nie żeźrecie mnie, bydlaki!”. Inna sprawa, że jak się dopaliła, orki ją żezały i przyznały, że choć nieco przypalona, była wciąż soczysta...

Historycy piszą, że Gocha Żabińska, ta owinięta w biel i czerwień, trafiła na pokład *Kultury*

i tam została wrzucona do paszczy strasznego totemu na znak, że kraj Bliadych spłonie w ogniu *Kultury* tak jak jego piękna obrończyni. Zaraz po zwycięstwie paszczę totemu poznali też Kościej i Waleria i chociaż Mistrz Gier raził bojarów strasznymi piorunami, a Waleria wzywała na całe gardło Anatola i inne zwierzęta, które z takim trudem wyhodowała, nikt i nic nie przyszło im z pomocą. Zginęli na znak, że Rasputin nie przebacza i nie zapomina, bo straszny to król, zazdrosny, podejrzliwy i niewybaczający. Podczas ceremonii całopalenia Kapitan Rossija ustawiał się w łopoczącej pelerynie na tle totemu i robiąc bohaterskie miny, wspaniale pozował, dzięki czemu wyszły, jak zapewniał Hobart, rewelacyjne ujęcia. A potem zjedzono gulasz i nikt nie krył się z tym, że wybierał kawałki Żabińskiej, Walerię i Kościeja zostawiając na później. Zwłaszcza Kościeja, bo okazał się ościsty.

I Flota parła naprzód, ostrzeliwana z boków i z powietrza, niezliczone bowiem były jej zastępy.

A Ciapek, wydostawszy się z jej głównego nurtu, obserwował ją zza kępy traw i zastanawiał się, co dalej począć ze swoim psim losem. Wtedy jednak dopadli go Matka i Szwajcar, oboje okrwawieni, ale żywi. Za chwilę doczołgał się też do nich ocalały cudem porucznik „Bajer” Domagała. I w serce psiny wstąpiła nadzieja.

Tego ranka mieszkańcy Dworcyska i Urocyska, dowiedziawszy się, że Twierdza jest atakowana, bo trąbiły o tym wszystkie media, bez pytania chwycili broń i stawili się przy obozowisku Zielonej Przyszłości, zastanawiając się, co robić.

– Bronić Twierdzy oczywiście! – krzyknęła Anna Traut, a stojący obok Bella i Maciuś żwawo pokiwali głowami.

– Jedziemy na południe! Damy im popalić! – wsparła ją Monika Ferens.

– Ale co z naszymi chłopcami? – zapytał Bartosz Renans, przywódca Zielonej Przyszłości, który z trudem wyszedł z przyczepy kempingowej. – Mieli już wrócić. Z N-Genem. Dlaczego ich nie ma?

– Musiało ich coś zatrzymać. Ich i najemników – odezwał się Dalambert ledwie dźwigający ciężką snajperkę.

– Ale co?

– Wiesz pan co, panie Bartoszu – roześmiał się smutno Dybowski – w krainie Zielonych najczęściej człowieka zatrzymują... Zieleni.

– Ja rozumiem, ale czy to znaczy...

– Nie wiemy, co to znaczy, panie Bartoszu – przerwał mu Dalambert, sprawdzając zamek karabinu.

Do dyskusji włączył się Ciecierski.

– Moim zdaniem, jeśli ktoś ma ochotę, nie ma przeszkód, aby Twierdzy bronił...

– Jak to: jeśli ktoś ma ochotę? – zapytał Maciej, a dla podkreślenia wagi tych słów stanął obok niego „Góral” Góralski, ściskając pod pachami dwa kałasznikowy. – A pan nie masz ochoty bronić Twierdzy? Jedyne go kraju, gdzie mieszkają ludzie? Przed ruską zarazą?

– Ja tam do Ruskich nic nie mam – asekuracyjnie zaznaczyła Monika Ferens. – Ale do Zielonych tak.

Na dźwięk silnika wszyscy się odwrócili i zobaczyli podjeżdżający do gęstniejącego tłumu wóz pułkownika Adama Jarmuły, którego sztuczna ręka wałała się na tylnym siedzeniu. Prowadził jego zaspany adiutant, kapitan Adam Cegielski.

– Dzień dobry wszystkim – przywitał się pułkownik, stając na siedzeniu, aby każdy mógł go zobaczyć.

– Dzień dobry, panie pułkowniku!

– Co pan radzi? – spytał Dalambert.

– Wszyscy zapewne wiecie, jaka jest sytuacja. Na wysokości Serpelic...

– Eee... czyli gdzie? – spytał Dybowski.

– No dokładnie na prawo od Warszawy. Idealnie równo na wschód.

– A. – Staruszek pokiwał głową. – Tam gdzie jest to wcięcie w granicy?

– Tam. Więc dokładnie tam wdarła się na teren Twierdzy potężna armia rosyjska.

Przez tłum przetoczyło się niedowierzające „Och!”. Co innego bowiem usłyszeć to od wojskowego, a co innego zobaczyć w wiadomościach, które zawsze nieco przesadzają.

– Garnizon w Starym Bublu, ośrodku najbliższej granicy, padł. Cześć ich pamięci.

Niektórzy ludzie opuścili głowy, ale większość zacisnęła garście na broni i zaczęła zgrzytać zębami.

– Klin wrogich wojsk prze niepowstrzymanie na zachód, w kierunku Warszawy. Wszedł już na cztery kilometry na teren Polski i mija właśnie wieś Antolin. Rosjan jest coraz więcej. Dysponują nieznanymi dotąd rodzajami orków. Zarówno olbrzymami wielkości domku jednorodzinnego...

I znowu ludzie rzucili „Och!”.

– ...jak i niezwykle małymi osobnikami, za to bardzo agresywnymi i szybkimi. Poza tym mają od cholery w miarę sprawnego sprzętu. Niektóre pojazdy wyglądają tak dziwnie, że przez usta mi nie przejdzie, co przepchnęli przez Bug... – Jarmuła otarł z czoła pot, który skroplił się nie wiadomo kiedy. – Nasze rozkazy są proste. Zostawiamy w Sejnach tylko jeden batalion. Reszta ma niezwłocznie udać się do punktu zbornego w Sokołowie Podlaskim, tam przegrupować i uderzyć na wroga razem z innymi siłami Twierdzy.

– A co my mamy robić, panie pułkowniku? – spytał Dalambert.

Woj wzruszył ramionami.

– Jesteście wolnymi ludźmi. Ale jeśli chcecie dołożyć orkom, sugerowałbym niezwłoczną podróż w okolice Siemiatycz. Moglibyście dogrzewać od północy w ten klin. Z meldunków wynika, że mnóstwo cywili chwyciło za broń.

– No! – ucieszył się Dybowski.

– Mam samochód – odezwał się Maciuś Janiszyn.

– Twoja Syrena już jest zajęta – oznajmiła Anna Traut. – Asia Bella, ja i Monika – wskazała na Ferens – to komplet.

– A macie spluwy? – spytał Maciuś.

– To pytanie było niepotrzebne, Maciusiu – oświadczyła Bella z drapieżnym uśmiechem.

– No dobra, to nie mam samochodu.

– Ale ja mam! – krzyknął Góral Góralski. – Może się nie rozleci! Kto jedzie ze mną?

Podniosły się liczne ręce. Chwilę później transport zaproponował Andrzej Zalesny, po nim Ania Sukiennik, wreszcie pojawił się wyglądający jak Ponury Żniwiarz ksiądz Boch, proponując mikrobus. Tesia coś wykrzykiwała, Maroński bełkotał, zapewniając, że „zapierdoli legion orków, a potem to wszystko namaluje”, podtrzymywały go zaś Glanc i Kor, prosząc o transport i obiecując, że wytrzeźwią „zaraz na miejscu” – no burdel się kompletny zrobił, ale w miarę zorganizowany, w miarę zorganizowany. Pojawiły się pierwsze samochody, ludność zaczęła do nich znosić karabiny i automaty, amunicję, pancerze tudzież inne precjoza, wrzucano na

siedzenia ciasta, kanapki i pęta kielbasy, poganiano się wzajemnie i zagrzewano do walki, a najgłośniej robił to Maroński ze względu na stan i Dalambert ze względu na wiek. Zresztą ten ostatni i Góral naznosili do swoich UAZ-ów mnóstwo jakichś blach i tektur, a staruszek postanowił dołączyć do Warszawy przyczepę na dodatkowe „dekoracje”. W tym czasie pułkownik Jarmuła udał się do Sejn, by wyjechać z pozostałymi batalionami, a mieszkańcy Dworczyńska i Uroczyska uwijali się jak w ukropie.

Obserwujący zamieszanie Ciecierski i Marcinkowski dyskretnie wycofali się w cień „Czerwonego Koguta”, nie mieli bowiem zamiaru przelewać krwi ani za Twierdzę, ani za nic innego. Zbyt bliska im była płynna czerwona tkanka, by rozdawać ją za friko. Udając, że idą do hotelu, by się pakować, weszli do holu, wspięli się na schody, wsunęli do pokoju Marcinkowskiego i patrzyli przez okna, jak naród szykuje się do walki.

– Co za frajerzy – mruknął Ciecierski do Godryka, który przecierał sennie oczy i patrzył na zegarek.

– Ciesz się, że mamy takich frajerów.

– Co z naszymi najemnikami?

– Musiało się coś stać.

– Zginęli?

Marcinkowski wykrzywił drwiąco twarz.

– Jeśli tak, to nasz zysk, ich strata.

– Ale trzeba się będzie jakoś dogadać z Zieloną Przyszłością.

– Będą cię ścigać? Podpisywałeś coś?

– No nie...

– Zaraz się ulotnimy celem oddania życia za ojczyznę i tyle nas zobaczą. Jeśli Szczygło wróci, wrócimy do sprawy.

Ciecierski uśmiechnął się kwaśno.

– Wiesz co, Godryk, jesteś podły, ale genialnie podły.

– Najlepszy interes to interes z umierającym, powiadam ci. Nie ma siły się domagać, walczyć, pieniać, machnie ręką i umrze.

W tym samym czasie Włóka i Koryś obserwowali zarówno pospolite ruszenie, jak i poczynania Ciecierskiego i Marcinkowskiego zza firanki pokoju Iksa, a gdy ich szefowie weszli do hotelu, Włóka przystawił szklanekę do ściany i podsłuchiwał. W pewnym momencie odstawił naczynie i spojrzał poważnie na kompana.

– Słuchaj, szefowie chcą spierdolić i mają nadzieję, że sprawa sama się rozwiąże. Ale muszą mieć nasrane w głowach, jeśli w to wierzą. Zakładając, że Twierdza przetrwa, wojsko wróci do tematu i capnie ich za handel bronią. A może przypierdoli się też do sprawy z najemnikami i pielgrzymów. Szefowie są sprytni. Ile będą mogli, zrzucą na nas. I udupią nas.

– Udupią. – Ramel westchnął. – Co radzisz?

Włóka spojrzał na kumpla twardym, mrocznym wzrokiem.

– Jest tylko jedno rozwiązanie, Ramel.

Koryś zbladł.

– Chcesz ich...?

– Obu. I spieprzać stąd na południe Twierdzy.

– Do Czechów?

– W górach nikt nas nie będzie szukał. Przeczekamy rok, dwa, aż sprawa przycichnie. Sitarczyk i Baloo nas przygarną, bo odkąd Ciecierski nie wprowadził ich do interesu z Zieloną Przyszłością, bardzo go zniechęcili.

Ramel kiwał głową, patrząc na kolegę, a jego oblicze ciemniało i kurczyło się. Z jowialnego olbrzyma zamieniał się w wilka. Włóka bez słowa podszedł do łóżka i zaczął nakładać na koszulkę uprząż z gnatem pod pachą.

- Pamiętaj o tłumiku – napomniał kumpla, dopinając pasek.
- Pamiętam – odparł Ramel.
- I weź folię, tę dużą.

Grubas, nakręciwszy tłumik na broń, wyjął z plecaka i rzucił na podłogę dużą malarską folię.

Widząc to, Zbigniew „Iks” Włóka chciał najpierw powiedzieć: „Ale nie tu, jełopie”, po chwili jednak zrozumiał, że popełnił błąd, stając plecami do Ramela.

Korysiowi już od dawna nie pasowała rola pomagiera, trochę lekceważonego, trochę pomiatanego. Nie odpowiadało mu też to, że Włóka zgarniał większość łupu, a on musiał przez to dorabiać na boku. Pewnego dnia Ciecierski poprosił go, by stał się jego „ubezpieczeniem na życie”. Kopoludek lubił używać pojęć sprzed Kolapsu. Owo „ubezpieczenie” miało być gwarancją, w razie gdyby Włóka zaczął rozmyślać o zakończeniu współpracy z nim i Marcinkowskim. Ciecierski nie był głupi i znał przeszłość Iksa. Włóka przez lata pracował jako sanitariusz w radomskim pogotowiu. Był hakerem amatorem i sadystą entuzjastą. Gdy lekarz nie patrzył, wszczepiał pacjentom pod skórę czipy, dzięki którym wiedział, gdzie są i co robią. Kiedy wychodzili ze szpitala, odnajdywał ich schorowanych w ich mieszkaniach, torturował, zabijał, okradał i zacierał ślady z lekarską znajomością tematu. Ciecierski dowiedział się o tym od Marcinkowskiego, którego Włóka także próbował zaczipować, gdy cukiernik miał atak dusznicy bolesnej. Stary wyga jednak nie dał się zaskoczyć, zastraszył Włókę i wyciągnął z niego tyle, ile mógł, a potem zatrudnił. Iksowi jednak nie można było ufać i zarówno Marcinkowski, jak i Ciecierski to rozumieli. O Ramelu natomiast wiedzieli tyle, że kocha psy, a to już było coś. Zdradzał też objawy lojalności i przywiązania.

Dwie rozmowy o naturze psychopatii wystarczyły, by Ramel zrozumiał, że jego „przyjaciel” Iks nie posiada uczuć wyższych, że jest istotą udającą człowieka, pozbawioną sumienia i wszelkiego innego bagażu moralnego. Ciecierski znał się na tym, bo przed Kolapsem wysłuchał w korporacji wykładu o psychopatii, który uznał za wartościowy i który sobie zapamiętał. Sam miał osobowość psychopatyczną, ale z Iksem nie mógł się równać. Obiecał Ramelowi pięćdziesiąt tysięcy, gdyby Włóka próbował sprzątnąć jego bądź Marcinkowskiego. Płatne natychmiast. „Zabijesz kanalię i przy okazji zarobisz. Dwa w jednym” – przekonywał.

Mając w pamięci jego słowa, Ramel celował teraz w plecy Iksa, a ten, wiedziony instynktem, uniósł ręce.

- Ramel, nie bądź głupi – syknął. – Jesteśmy kumplami.
- Srumplami. Traktujesz mnie jak krety, nie dzielisz się...
- Jak chcesz, możemy zacząć się dzielić po równo.
- Zrób krok w tył.
- Ramel, uspokój się.
- Zrób krok. Uznam to za deklarację dobrego nastawienia. Inaczej nie pogadamy.

Iks uniósł brwi, słysząc tak zaawansowany ciąg myślowy kolegi. Zawahał się i zrobił krok na folię.

- Jeszcze jeden – zakomenderował Koryś.

- Zaczynasz mnie przerażać – szepnął Iks.
 - Chcesz gadać jak człowiek, to się cofnij.
- Włóka zrobił drugi krok. Folia miękko zaszeleściła pod butami.
- Ramel, możemy przedyskutować nasz układ. Omówić jeszcze raz podział i tak dalej...
 - Mówisz tak, bo celuję ci w plecy.
 - Mogę się zmienić.
 - Tacy jak ty się nie zmieniają, a ponieważ podniosłem na ciebie rękę, nie zapomnisz tego i pewnego dnia mnie zabijesz. Twoja natura podpisała na ciebie...

Ramel nacisnął spust i kula z sykiem opuściła lufę, po czym wbiła się w lewe płuco i serce Iksa.

„Kurwa! – pomyślał Włóka, upadając na folię i rejestrując, że czas zwalnia, dźwięk szeleszczącej folii jest coraz niższy, a świat ciemnieje. – Kurrrwwaaa. Neeee skoooończyyylł zdaaaniiiiiaaa i mnieee zaskooo...”

Świat zgasł, a bytujący w czwartym wymiarze woje przez dłuższy czas kiwali głowami i zastanawiali się, czy zabrać Iksa do krainy wiecznej wojny, czy zostawić go samego pośród mgieł nieistnienia...

– Kurwa! – warknął Dariusz „Bushi” Ulfing obserwujący i podsłuchujący tę scenę z ukrycia między trawami łąk. – Nie skończył zdania! Ja pierdolę!

Policjant nie zamierzał dopuścić do zabójstwa, mimo że zdawało mu się, że Włóka zasługuje na kulkę. Rejestrował rozmowę, a nagranie stanowiło materiał dowodowy, nie mógł więc pozwolić, aby w jego obecności doszło do morderstwa. Celował w bark Ramela, stojącego nieostrożnie przy oknie, i był gotowy strzelić, uniemożliwiając w ten sposób zabicie Iksa.

Jednak Ramel okazał się inteligentniejszy, niż Ulfing przypuszczał. Ba, przechytrył tego spryciarza Włókę. Nie dokończył zdania. Tak proste i genialne jednocześnie. Uniknął próby obrony Iksa i kulki w bark od Bushiego.

– Psiakrew – znowu warknął porucznik. – Będę musiał się z tego ostro tłumaczyć...

Wychylił się nieco z traw, bo od strony szosy dobiegały coraz głośniejsze pokrzykiwania i dudnienie silników. To barwna załoga Uroczyska i Dworcyska, machając flagami, błyskając fantazyjnymi pancierzami i naoliwioną bronią, jechała bronić Twierdzy. Dzielni ludzie. Bushi spojrzął na stojący pod hotelem motocykl marki Wilk i przełknął ślinę. „Przydałbym się tam – pomyślał. – Ale nie mogę. Muszę pilnować tych szumowin, zebrać dowody, aresztować ich. Cholera, jak się człowiek zajmuje brudami, to tak jakby był śmieciarzem. Tamci jadą bronić ojczyzny, a ja śledzę szubrawców...”

Splunął w trawę i trwał tak dłuższą chwilę, słuchając, jak samochody odjeżdżają jeden po drugim.

Gdy zniknął ostatni wóz dzielnych mieszkańców, poczuł smutek.

I osamotnienie.

Podobne uczucia towarzyszyły Bartoszowi Renansowi, jego partnerce Zofii Murawskiej i dziesiątkom innych schorowanych starców z obozu Zielonej Przyszłości patrzących na kurz wzniesany przez pojazdy pospolitego ruszenia znikające w porannym słońcu. Nagle do ich głów zaczęły się dobijać dwie myśli, które można by ująć następująco: „Być może z powodu naszej

nienaturalnej potrzeby życia wiecznego zginęli najemnicy, gdzieś w nocy, w Wilnie lub koło niego. Czy mieliśmy prawo płacić im za narażanie życia? Oczywiście znali ryzyko i poświęcili się za konkretne kwoty, ale czy to moralne? Czy można komuś płacić za śmierć? Niby na tym polega praca najemników, w tym jednak sęk, że z reguły płacą im psychopaci, których odpowiedzialność jest rozproszona w wieloosobowych instytucjach bez twarzy”. Tutaj najemnikom płacili niepozbowieni uczuć wyższych schorowani ludzie i zaczęło ich gryźć sumienie. Oczywiście ważni też byli woje, którzy tamtym towarzyszyli. Czy im też groziło niebezpieczeństwo? Druga myśl, przeplatająca się z pierwszą niczym czerwony wąz z wężem oranżowym, była nie mniej przykra od pierwszej: „Przed chwilą wyjechali z okolicznych wsi niemal wszyscy ludzie zdolni posługiwać się bronią. Wyjechali w bój, nie bacząc na własne bezpieczeństwo, sami z siebie ruszyli, by walczyć. Być może część z nich nie wróci, zginie albo zostanie kalekami. A my...”.

– A my? – odezwała się do Bartosza Murawska. – Chcemy się stać takimi potworami, Barti?

Mężczyzna spojrział zezem na partnerkę.

– Nie wiem, Zosiu. Sam już nie wiem...

– Czy to grzech, że nie chcemy umierać?

– Nie. To nie grzech – odparł Piotr Rago, osiemdziesięcioletni mężczyzna z zaawansowanym parkinsonem, który podszedł do nich i także przyglądał się oddalającej się kolumnie pojazdów. – Grzechem będzie, jeśli zaszkodzimy ludziom. Tym, którzy umożliwią nam... przemianę.

– Dotąd byłam zdecydowana – szepnęła Murawska. – Ale teraz...

– Przecież nic się nie zmieniło – zaproponował Renans i rozejrzał się za krzeselkiem. – Możemy usiąść? Kolana mnie bolą.

Cała trójka opadła na stojące w pobliżu leżaki.

– Nic się nie zmieniło. Twierdza jest w stanie wojny od lat – ponowił Renans.

– A jeżeli... orki... cierpią? – odezwała się Murawska.

– Zosiu, proszę cię, już to przerabialiśmy.

Rago był anatomopatologiem wojskowym i miał dostęp do ciał Zielonych. Poznał je dokładnie. Pokręcił kołyszącą się głową.

– Nie, nie cierpią. Przeciwnie. Myślę, że są cały czas na haju. To jakby powrót do natury. Nic ich nie boli, nie odczuwają dyskomfortu, wszystko cieszy, wszystko bawi...

– Rzeź i rąbanka też – powiedziała Murawska.

– Ale tylko blisko ludzi. Inaczej raczej nie. Albo mniej.

– To jednak bestie. A jeśli zaczniemy sobie nawzajem... robić krzywdę?

Bartosz westchnął ciężko i pomasażował pierś. Odezwało się schorowane serce.

– Zuzi, proszę cię. Ja naprawdę nie chcę już cierpieć. Wszystko mnie boli. Ciebie też. Rago nie może łyżką do ust trafić. Wydaliśmy wszystkie pieniądze, bo postanowiliśmy, że damy wszystko, dosłownie i w przenośni, za to, by przestać chorować, by znowu poczuć w sobie energię. Nie mamy do czego wracać, kochanie. Skończy się lato, zacznie zima, nie przetrwamy chłódów w przyczepie. Nie mamy odwrotu.

– O Perunie – szepnęła Zofia. – Barti... Ja nie wiem, czy ciągle tego chcę.

– A twoja białaczka?

– Chyba wolę już białaczkę...

– Ciii. – Starzec położył partnerce palec na ustach. – Ciii, bo jeśli inni podłapią twój nastrój...

Renans rozejrzał się. W obozie Zielonej Przyszłości nie spało już mnóstwo ludzi. Stare oczy patrzyły na południe, a na twarzach kłębiły się sprzeczne uczucia.

Przy kolejnym skoku Schmidt zobaczył sunący na olbrzymich kołach... samolot. Biały. Z orkiestrą i organami na skrzydłach.

– Mają rozmach skurwysyny – warknął, a Myszka wskazała kabinę.

– To tam! AirForsŁan! Latający Kreml! Bojowa siedziba Rasputina! Czuję go!

– No to już po nim – oświadczył Überwunder, wylądował z hukiem, zebrał siły i wyskoczył znowu w górę, żeby wylądować na skrzydle.

– Dobrze robisz, kochany! – krzyknęła Myszka, gdy wznosili się po parabolicznym torze. – Pamiętaj o teleportacji! Nie możesz stać w miejscu, nie możesz dać się unieruchomić! Wtedy wyśle cię do Wilna albo jeszcze dalej!

– Dobrze, Myszko, trzymaj się mocno! – odparł Robert i grzmotnął piętami w skrzydło Iljuszyna, a to zakłósało się gwałtownie.

Myszka okraczyła jego szyję mocnymi udami i warknęła:

– Daj mi tylko coś do garści.

Słyszając to, Schmidt uśmiechnął się, pogrzebał w worku z resztkami Ixiego i wyciągnął z niego masywną kość udową.

– Masz.

W tym czasie Chór Aleksandrowa patrzył na potwora z rozdziawionymi gębami. Organista przestał grać, a tancerki wychylały się ciekawie z gondoli silnikowych.

– Amatorki – szepnęła Myszka.

A były pisarz tudzież tłumacz, mistyk i prorok Gotta, Szatana i Siwy ruszył w bój. Historycy twierdzą, że tego, czego tam dokonał, machając wielkim workiem z kośćmi Ixiego oraz pustą łapą, robiąc w powietrzu szpagaty i kreśląc inne baletowe ornamenty, kopiąc wielkimi stopami, rażąc piorunami i strzelając przedzą z dupy, nie są w stanie oddać żadne eposy, nawet wierszowane i w sanskrycie. Chórzyści latali w górę niczym piłki posłane przez futbolistę, piszczałki organów, skrząc się w powietrzu, rotowały pod chmurami niczym konfetti, blachy Iljuszyna były przez Überwundera wydzierane tak lekko jak papier toaletowy. Myszka grzmociła kością udową Ixiego, a on sam, patrząc kątem oka, ostrzegał Schmidta przed niebezpieczeństwami i zagrzewał do boju walecznymi słowami. Na tyłach armii nie było w zasadzie wozów bojowych, jedynie pojazdy zaopatrzenia, gwardia Rasputina zaś znajdowała się razem z nim w samolocie, toteż Schmidt zebrał krwawe żniwo, oj, krwawe.

Gdy Król Słońce usłyszał pierwsze wrzaski, a potem łomot, grzmoty i przerażające wycie, gdy poczuł kołysanie olbrzymiego Kremla, którym w zasadzie zakłósać się nie dało, wyrzwał przez okno i zobaczył, jak tancerki wyskakują z gondoli i uciekają gdzie pieprz rośnie, jak chórzyści spadają z nieba niczym grad i rozpryskują się na gruncie, tworząc finezyjne rozety, a obserwujący wydarzenia członkowie konwoju wykrzykują coś, wskazują na Iljuszyna i oddalają się od płatowca.

– Nie podoba mi się ten matriks – mruknął Rasputin i wskazał Czapskiego. – Maksym, kochany, sprawdź no, co się tam dzieje.

Czapskij przełknął ślinę, ale posłusznie wlaź na drabinę, która wiodła prosto do dziury w dachu samolotu. Potem bojarzy, Krisznamutri, Snoł, Misiewicz oraz sam Król Słońce usłyszeli krótkie: „No szto?!” Czapskiego, gardłowe „Czuj się namaszczony” z pewnością nie Czapskiego, żalosne stęknienie (znowu Czapskiego) i w końcu grzmotnięcie, jakby piorun strzelił w samolot, oraz oddalający się rozpaczliwy krzyk (tak, żadna nowość, Czapskiego).

Przez sekundę panowała względna cisza, podczas której Król Słońce mrugnął tylko po to, by usłyszeć wściekły ryk:

– Aaaaaapokaliipsaaaaa!!!

– Ja. Pier... – zaczął Snoł, ale nie skończył.

Przez właz w suficie wskoczył niezniszczalny Überwunder dźwigający na barkach małą orczycę i kręcąc na czubkach palców perfekcyjny piruet, zamiótł workiem po pomieszczeniu tak straszliwie, że połowa bojarów poleciała do tyłu, Misiewicz i Snoł wyfrunęli przez przednią szybę, ciągnąc za sobą Króla Słońce, Krisznamutri zaś cofnęła się pod ścianę, unosząc łapy i stękając:

– Agresja zero! Jestem weganinem!

Schmidt, ciężko dysząc, spojrział na niego krwawym wzrokiem, wgniół w podłogę dwóch bojarów, trzeciego, który chciał wyskoczyć, zatrzymał strzałem przedzy i przyciągnął, a wtedy Myszka zdzieliła go femurem w łeb. Inni bojarzy, znaczy ci, którzy mieli jeszcze siłę i ducha, czmychnęli na tyły Iljuszyna.

Ale Schmidt ich nie ścigał. Oderwał jednemu z pokonanych kawał nogi, ugryzł i wyrzucił przez zbite okno kabiny.

– Donnerwetter – zaklął, widząc, jak Snoł, Misiewicz, Rasputin i kilku bojarów ładują się do UAZ-a i ruszają w kierunku przodu Floty.

Orłowski przyglądał się radarowi, obrazom z kamer zamontowanych pod dronami i z tych, które miały Peruny, i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Ogrom nacierających na Twierdzę sił był niewyobrażalny. Wozy drabiniaste, zdezelowane ciężarówki, pojazdy mniejsze i większe, wielkie orki ciągnące jakieś skrzynie, kontenery i pakunki, stada krów, owiec... a pośród tego wszystkiego olbrzymi samolot.

– To Iljuszyn dziewięćdziesiąt sześć – oświadczył Zgud.

– Czyli? – spytał Orłowski.

– Coś jak Air Force One w USA przed Kolapsem.

– Pojebało ich – zakomunikował Mardok z Dażboga, który widział to, co major, bo dowódca przesłał wszystkim fotki.

– Jeśli dobrze widzę – rozległ się głos majora Siekierzyńskiego – mamy tu sporo dobrych celów. Cysterny z paliwem, może spirytusem. To jest zaopatrzenie, Serż. Daj pozwolenie na ogień.

– Daję. Swarogi, Jaryło, wszystkie działa Sobieski oraz Diablątka, wybierzcie z mapy cele, nie dublując ich. I ognia.

– Tajest – padły zadowolone odpowiedzi.

Gejtofhell ryknął, a zaraz po nim grzmotnęły Swarogi, zagrały działka Dażbogów, Marzanny i Mecha, Tygrys i Dragon zaś aż zawyły z uciechy, mogąc sobie wreszcie postrzelać.

– Chłopcy, uważajcie na żołądki – ostrzegła Ciocia – bo pączusiów na razie nie będziemy rozdawać.

Tymczasem blask oraz ogień bijące z kolumny orków świadczyły o tym, że dosięgły jej pierwsze salwy Orłów, Pięści i najemników. Po chwili do wojów dotarły gromy wybuchów, a kilka wznoszących się grzybów ognia i dymu potwierdzało, że trafili w coś wybuchowego.

– To mi się podoba! – krzyknął Tygrys.

– Uważaj, Kowalkowski. Pozwalam ci zużyć tylko połowę rakiet. Resztę trzymaj w zapasie.

Doszedł go śmiech Dragona, który siedząc w Marzannie, trochę zazdrościł koledze fajniejszej zabawki. Teraz mógł się cieszyć, bo na działka Sobieski Orłowski nie nakładał ograniczeń.

– I mam pączusie – dodał złośliwie Grzeszczak.

– Zamknij się – odparł Tygrys.

Rozłożyły się dwa bataliony tyralierą, a jadący z nimi najemnicy także ustawili się tak, by zmaksymalizować ogień.

– Panie majorze? – Orłowski usłyszał głos Szczygły. – Ścigamy jeszcze Gojirę?

– Widzę go na radarze. Przesuwa się w stronę czoła tej kawalkady. Nie ścigamy.

– Dlaczego?

– Mogę słowo? – odezwała się Stawniak, przesyłając Orłowskiemu fotkę.

Widać na niej było niewyraźną sylwetkę olbrzyma, który pędząc po skrzydle Iljuszyna, wyrzuca w powietrze uciekające przed nim orki.

– Mam wrażenie – nadała królewska kronikarka – że Gojira nienawidzi Rosjan tak samo jak my. To teraz sojusznik. Pozwólmy mu robić to, co robi.

– Słusznie. Uwaga, Orły, Pięści i najemnicy. Odwołuję polowanie na Gojirę. Zrozumiano?

– Ale... jak to? – spytał Kula.

– Widzi pan, majorze, gdyby dowodził pan swoim batalionem po ludzku, a nie po ullańsku, widziałby pan ekran, na którym niemiecki potwór zabija potwory rosyjskie – nadał Orłowski.

– Niemożliwe!

– Możliwe. Więc zostawiamy Gojirę. Naszym priorytetem jest zniszczenie zaopatrzenia rosyjskiej ordy. Trzymamy się tyłów, kłamy bezpiecznie, nie przesuwamy się do przodu. Pamiętajmy, że jesteśmy na obcym terenie, na tyłach wroga. Twierdza jest za Bugiem, więc nie szarżować. Wybierać cele, rozbijać.

– A my? – spytał Junior z Peruna, który przeleciał nisko nad Turem.

– Osłaniacie.

– Przydałoby się tankowanie – odezwał się Tritt z drugiego śmigłowca.

Orłowski westchnął i spojrzał na mapę.

– Na pewno?

– Na pewno, panie majorze – rzekł Podgrudny. – Lecimy na oparach. I pestki się kończą.

Major zagryzł zęby i stłumił przekleństwo.

– Dobra. Postój taktyczny. Śmigłowce, Lubawa i Mech w środku obok Jaryła, reszta krąży zgodnie z ćwiczeniami.

– My nie uczestniczyliśmy w ćwiczeniach – zauważył Szczygło.

– Dlatego jesteście fajfusami – skomentował Orłowski. – Kręćcie się wokół centrum. Zaznaczam na mapie.

– Rozumiem.

– Walić wciąż w kolumnę? – spytał Siekierzyński.

– Tylko Gejtfohell, powtarzam, tylko haubica bije we wroga. Nie zorientują się, z której strony obrywają.

Bataliony zaczęły krążyć wokół ustawionych w centrum Tura, Lubawy, Mecha i śmigłowców, które sprawnie przyziemiły. Kawa już pędziła z grubą rurą do Trolla, a Góral do Wilczura, Tylda zaś osłaniała ich w wieżyczce. W tym samym czasie Skarpeta podłączał przegubowy transporter naboju do śmigłowca Pięści, a Grubens robił to samo z płatowcem Orłów.

– Heintze do Orła – nadała Klaudia, której Obcy zataczał krąg wokół centrum.

– Mów, Klaudia.

– Te zielone potwory... Zwierzęta...

– Tak?

– Doganiają nas. Wciąż za nami pędziły.

– A orczyce?

– Raczej odpuściły.

– Rzeczywiście potwory. Osłaniać załogę Lubawy, inżynierów i śmigłowce przed zielonymi zwierzętami!

– Przydałoby się je jakoś nazwać – odezwała się Gwara.

– Borostwory – zaproponowała Miktus.

– Dobrze – wsparł ją Góral.

– Okej – zgodził się Orłowski i nadał na ogólnym: – Nazywamy zielone potwory z Wilna Borostworami, zrozumiano?

– Jaka chujowa nazwa – skomentował Szczygło.

– Sam jesteś chujowy. Kajka i Kokosza nie czytałeś – odparł Orłowski.

Nie upłynęło kilka sekund, gdy od północnej strony postoju rozległa się kanonada, która zaczęła przybierać na sile.

– Zgud, jeden dron na północ – rozkazał major.

– Tak jest. W kwestii formalnej... – Kapral spojrzał niepewnie na dowódcę.

– Tak?

– Muszę je zatankować. Lecą na oparach.

– Psiakrew. Zrób to teraz.

– Na rozkaz.

Kapral wydał dyspozycje aparatom, a te zaczęły się zbliżać do centrum placu wyznaczonego przez krążące wokół pojazdy.

– Uwaga – nadał Orłowski. – Tankujemy jeszcze dwa drony. Osłaniajcie także Zguda.

Rozległy się potwierdzenia. Odruchowo major chciał wydać rozkaz Perunom, by zajęły się obserwacją terenu z góry, ale przecież śmigłowce stały na ziemi. Zerknął na radar. W zalesionym terenie było sporo zakłóceń.

– Czujność – rzucił na ogólnym. – Straciliśmy oko na niebie.

Śledził na ekranie, jak kapral Dawid Zgud podbiega z podręcznym tabletem do Mecha, wspina się na niego i obserwując drony, sadza je na platformie pojazdu.

– Dobry jest – mruknął Orłowski.

– Pomogę mu – odezwał się Kubala.

Major skinął głową. Na razie Tur stał, więc kierowca nie był mu potrzebny. Sierżant wyskoczył z pojazdu i kuląc się, podbiegł do Lubawy. Wyciągnął z niej cienki przewód przeznaczony dla dronów i ruszył z nim do Mecha.

– Osłońcie twarze – rozkazał Orłowski.

Hełmy Zguda i Kubali otuliły ich oblicza pancernymi płytkami.

– Szefie, pozwól, że pomożemy towarzystwu – odezwał się Mardok. – Te siusiumajtki posrają się na widok bestii. Sporo się ich zbiera w okolicy.

– Zgoda. Dajcie przejechać Obcemu. – Orłowski wytyczył marszrutę dla transportera, który zaczął, niczym na rondzie, zmieniać pasy i w końcu zatrzymał się z jękiem amortyzatorów obok Wilczura.

– Umie się jeździć, co? – zawołał Lenny.

Tylny właz otworzył się i wysypali się z Obcego Zdzira, Mardok, Wiechucka, Deckard i Żmij.

Sprawnie otoczyli śmigłowce, Mecha i Lubawę, przyjmując pozycje strzeleckie i skanując swoje sektory.

– Zabezpieczyć szyje i twarze – nakazał Mardok.

Oblicza piechociarzy zniknęły za osłonami. Deckard wdrapał się na Lubawę i zawiadomił Mardoka, że przyjmuje pozycję snajperską.

W tym czasie Kubala podłączał już przewód do drugiego drona.

– Ciekawe, jak się mają Zbrojowcy na obwodzie – rzucił Jary.

Dopiero w tym momencie Orłowski zdał sobie sprawę z tego, jak narażeni są mocarze.

– Samul, dajesz radę? – spytał.

– Rłokiet jest, pałer jest – odparł Dariusz wesoło.

– Nie chciałbyś takiej szabelki, jakie mają panowie z Pięści?

– Nie powiem, przydałaby się, ale to mistrzowie fechtunku, szefie. Musiałbym się długo uczyć. A wyuczone odruchy już... O kurwa, tygrys. Uwaga!

Orłowski usłyszał ryk, a Tur zaczął się trząść.

– Uwaga, mamuty! – wrzasnął ponownie Samul.

– Ognia! – krzyknął Orzeł, od północnej strony zaś dały się słyszeć rżenia, kwiki, ludzkie wrzaski i dźwięk darcia blachy.

Zdzira patrzyła, jak olbrzymi zielony tygrys przesadza krążącego wokół nich Dażboga i ląduje, jakby w zwolnionym tempie, na barkach Kubali, przewraca go, zrzuca z Mecha, koziołkuje razem z nim, po czym wstaje. Obejrzała się na innych wojów i zobaczyła, jak podnoszą broń.

– Nie! – krzyknęła. – Stójcie! On w pysku trzyma małe!

Rzeczywiście, w paszczy tygrysa tkwił zielony kociak. Był mały, jak na standardy tego zwierzęcia rzecz jasna. Coś jak wyrosnięty owczarek niemiecki.

– Jeśli go draśnicie, będzie masakra!

Wskazała leżącego na plecach krwawiącego Kubalę. Woj ciężko dyszał. Musiał mieć połamane żebra, bo tygrys mógł ważyć siedemset kilogramów. Gdyby nie osłona twarzy, sierżant pewnie by już nie żył, gdyż przez środek osłony biegła wyorana pazurem głęboka bruzda. Bestia stała na rozstawionych łapach i rozglądała się gniewnie, a kocię posłusznie majtało się to na lewą, to na prawą stronę. Frenkiel miała wrażenie, że tygrysa mama co chwila spogląda lękliwie na północ, tam gdzie atakowały ich mamuty.

– Boisz się słoni? – spytała, odsłaniając twarz. – Boisz się o małe? Nie bój się, kicia...

Tygrys postawił potomka, ryknął i znowu spojrzął spłoszony, gdy jakiś mamut głośno zaryczał. Monika wyciągnęła z kieszeni baton energetyczny i błyskawicznie rozpakowawszy, rzuciła w powietrze, a bestia go złapała. Kłapięcie paszczą zabrzmiało jak zamknięcie pancernego włazu.

– Dobry kotek, dobry – powiedziała Frenkiel. – Masz jeszcze batonik dla dzidziusia.

Wyciągnęła z kieszeni drugą tabliczkę, rozdarła ją i rzuciła maleństwu. Batonik upadł na ziemię. Kocię spojrzęło na mamę, ta zerknęła na batonik leżący wśród traw i popchnęła nosem potomka, cicho mrucząc. Malec powąchał intensywnie baton, po czym pożarł go z nieklamany zadowoleniem. Wielki tygrys podniósł dziecko za kark i podszedł powoli do Frenkiel, a ta zaczęła żałować, że karmiła zwierzęta. Przecież zwierząt w zoo się nie karmi.

– Szefie, zdjęć go? – spytał drewnianym głosem Deckard.

– Nie przebijesz tej czaszki – padła odpowiedź dowódcy.

– Może ja? – szepnęła Tylda, mierząc do kota z łuku.

- Broń cię Perunie.
- A ja? – spytał Kowalkowski.
- Twoja rakietka zabije Frenkiel i Kubalę.
- To co zrobić?

Nagle od północy coś zawyło i ryknęło, „Jebane mamuty!” – krzyknął Kula i stęknął, tygrys zaś poderwał łeb, warknął, aż zarzęziły płyty Chorsów, chwycił kocię i postawił je przed Zdzirą. A potem spojrział na nią, znowu warknął i wyskoczył z kręgu, przesadzając Mora, Dażboga Pięści i wreszcie kilka wozów najemników. I pognął na południe.

- Ja pierdołę... – jęknął Mardok.

Kocię o szmaragdowej sierści i łapach grubych niczym pniaki mruknęło do Moniki i obwąchało jej kieszenie z batonami. Frenkiel wyszarpnęła jeszcze jeden, rozpakowała i dała kotu. Ten pożałował, oblizał się i... otarł o nogi wojowniczkę.

- Ja pierdołę – powtórzył Mardok. – Myślałam, że zejdziesz na zawał.
- Nie straszcie go – poprosiła Zdzira. – Klaudia, weźmiesz go do Dażboga?
- Dawaj.
- Przyda się do badań – potwierdziła królewska kronikarka.
- Sama się zbadaj! – warknęła Frenkiel. – Chodź, kiciuś – szepnęła, chwyciła zwierzę za kark i delikatnie poprowadziła do transportera, którego tylny właz właśnie się otwierał. Na podłodze leżał już rozpakowany baton energetyczny, a Malik, która się nim podzieliła, uśmiechała się do nowego pasażera. Kociak popatrzył niepewnie na wnętrze pojazdu i powąchał batonik.

- Już wiem – szepnęła Kalina. – Lenny, podaj karton.
- Jaki karton?!
- Wiem, pedale, że masz tam z przodu kilka złożonych kartonów.
- Nie mam.
- Masz. Po zagranicznych whiskaczach.
- Nie mam!
- Masz, chamie. Dawaj.
- Ale mi obesra.
- Trudno. Dawaj.
- Ja pierdołę...

Mrucząc pod nosem, Hadder wyciągnął rękę w lewo, wyszarpnął spod sterty ubrań karton po Tullamore Dew i podał go Joannie. Ta sprawnie go złożyła i postawiła spore tekturowe pudło przed kotem. Tygrys od razu wskoczył do Dażboga, porwał baton i zapakowawszy się do kartonu, kilkakrotnie obrócił w nim puchate ciało w za ciasnym pomieszczeniu.

- Kurwa, jaki słodziak! – zachwyciła się Klaudia, zamykając właz.
- Jak go nazwiemy? – spytała Malik.
- Czarna Śmierć, jeśli natychmiast się nie skoncentrujecie – warknął Orłowski na ogólnym. – Kończyć to cholerne tankowanie!

Od północy znowu dały się słyszeć ryki, warczenie łańcuchowej szabli, strzały, a w końcu głos Samula:

- Major Kula ranny!
- Jedziemy! – krzyknęła Miktus.
- Nie, przyniosę go! Tutaj, w mordę, są mamuty!

Wiechucka już była przy Kubali i sprawdzała, czy nie ma ran od pazurów. Żaden nie przedarł się przez pajęczą bluzę, ale woj musiał mieć spore siniaki. Z całą pewnością miał też obrażenia

wewnętrzne. Był blady i się trząsał.

– Możesz wstać? – spytała.

Kubala odsłonił twarz.

– Mogę, ale po co – zażartował. – Już nie powalczę. Mam połamane zebra. Dużo zeber... Kurwa, nie mogę oddychać.

Istotnie, sierżant miał spłycony oddech i zaczęło mu bulgotać w piersiach.

– Kapitan Miktus, tu Runa. Do centrum, do centrum!

W tym momencie obok Perunów zatrzymał się Samul, trzymając na rękach majora Białego, nie dość, że całego zielonego, to jeszcze czerwonego od własnej krwi i uwięzionego w pogiętym Trojanie. Wiechucka nie widziała jeszcze tak pogniecionego pancerza.

– Perunie, nadepnął go?

– No.

Do kręgu wjechał Mor i wyskoczyli z niego kapitan Miktus oraz porucznik Paweł „Machaj” Mikołajczyk. Skrzacik warowała przy podwójnie sprzężonym działku Siwa i właśnie podnosiła lufy, by ostrzelać zielonego orła, który zamierzał bliżej przyjrzeć się stojącej w centrum grupie. Gdy Wiechucka pomagała Kubali dowlec się do Mora, Miktus i Machaj pochylili się nad Kulą.

– Kurwa, jak szprotka w konserwie. I leje się z niego jak z kubła! Inżynier!!! – wrzasnęła lekarka. – Rozetnij to!

Skarpeta, kończący ładowanie amunicji do Trolla, skinął na Grubensa, dając znać, że sobie poradzi. Chudoliński podbiegł do leżącego.

– Kurwa – sapnął, po czym pognął do Mecha, założył na siebie Inegin, zdjął z pancerza elektronożyce i podłączył je kablem do egzozszkieletu.

W tym czasie Skarpeta odpiął rury i łączniki od śmigłowców, Troll i Wilczur zameldowały o ukończeniu tankowania, zamiotły łękę huraganem z wirników i wystartowały, pomagając Skrzacikowi przepędzić zielone ptaszysko.

– Peruny, pomóżcie od północy. I uważajcie na latające stwory – rzekł Orłowski.

– Tajest.

– Odsuńcie się – mruknął Grubens, podchodząc do jęczącego Zbrojowca. Nachylił się i najpierw szarpnął klamry otwierające pancerz. Nie reagowały. Uruchomił elektronożyce. – Może szczypać – ostrzegł.

– Pospieszcie się, kurwa! – krzyknął Szczygło na ogólnym. – Bożostworów, czy jak tam nazywacie te bydlęta, jest coraz więcej! Szybciej! Mamy rannych!

Orłowski spojrział na podgląd z kamer Perunów. Bestii gromadziło się coraz więcej. Otaczały konwój i próbowały się wedrzeć do środka. Jeśli któraś się przedostanie...

– Poruczniku Chudoliński – zwrócił się do Grubensa – nie można rozciąć Trojana w Morze?

– Nie zmieści się.

– Pospieszcie się więc.

– Tajest. Skarpeta! Zakładaj Inegina i pomóż! Weź drugie nożyce!

– Już!

Drony wystartowały, a Zgud podbiegł do Tura i wszedł do środka.

– Szczyrbowski – major spojrział na programistę – za kółko.

Brodacz spojrział na dowódcę, mrugnął, a potem wstał i zbiegł po schodkach na poziom Stawniak i Scorsese, by dostać się niżej, do kabiny kierowcy.

– Tak jest – szepnął.

– Umiesz tym kierować?

– Oczywiście.

Tymczasem Runa rozpięła już w Morze kamizelkę Smocza Skóra Kubali i odpinała bluzę munduru. Na ciele woja widać było olbrzymie wynacznynienia, a żebra trzeszczały pod palcami.

– Kapitan Miktus! – krzyknęła sanitariuszka.

– Już!

Do paki Mora wpadła wielka lekarka, kołyszając pojazdem.

– Mamy liczne przebicia opłucnej przez żebra – szepnęła Wiechucka.

– No, bracie, gdybyś był tutaj tylko z Runką, za chwilę witałbyś się ze Świętowidem – oświadczyła wesoło kapitan. – A tak cię uratujemy. – Sięgnęła po narzędzia i płyn odkażający. – Nie pozwolę, żeby zszedł mi pierwszy pacjent...

Kubala chciał coś powiedzieć, ale tylko jęknął. Lekarka obróciła go na brzuch i błyskawicznie opukała.

– Zapadnięte lewe. – Zerknęła na Runę. – Przytrzymaj go. Kubala, natnę ci plecy skalpelem, tralala – oświadczyła wesoło, posmarowała skórę płatem ligniny nasączonej płynem dezynfekującym i przeciwbólowym, po czym śmiało wbiła ostrze między żebra woja.

Ten wzdrygnął się, ale nie uciekł.

– Ślycznie – sapnęła Miktus, wprowadzając cewnik w nacięcie. – Dobra. – Mrugnęła do Runy.

– Już mi się nie przydasz, piękna. Pomóż tam przy tej konserwie.

Sanitariuszka skinęła głową i wyskoczyła z pojazdu, wdzięczna, że kapitan jest tak nieziemsko optymistyczna i sprawna. „Mogę się wiele od niej nauczyć” – pomyślała i ruszyła do Skarpety, Grubensa i Machaja, którzy starali się rozchylić poły Trojana więżącego majora Białego.

– Chodź... Runa... – stękał Machaj. – Ty masz... w Chorsie... więcej... siły...

– Czekajcie. – Grubens przestał ciągnąć i zbliżył wirujące ostrze elektronożyc do krocza Kuli.

Posypały się iskry.

– Uważaj... tam... – jęknął major i stracił przytomność.

Junior i Tritt mieli tymczasem pełne ręce roboty, może zresztą nie oni, tylko strzelcy Wolf i Rodion, którzy starali się pacyfikować co większe bestie.

– Że też nie chcą zaatakować orków – jęknął Tyszkiewicz, ścinając łeb wielkiemu zielonemu niedźwiedziowi, być może zainteresowanemu energetycznymi batonikami Frenkiel.

– No nie chcą – stwierdził Junior i poprawił się na siedzeniu, bo niedawno otrzymana rana zaczęła mu doskwierać. Poglądził wiszącą na rzemieniu przy desce rozdzielczej kość Ixiego, którą traktował jak amulet. – Wilczur do inżynierów. Długo jeszcze?

– Kończymy, w mordę... Już zaraz... go wycią... Dobra, mamy go! Mamy go!

– Okej, weźcie go do Mora, a zbroję zostawcie – odezwał się Orłowski. – Kapitan Miktus?

– Zajmiemy się Kulą.

Wolf wychylił się w kabinie śmigłowca i zobaczył, jak inżynierowie i Runa pospiesznie niosą nieprzytomnego majora do pojazdu medycznego.

– Nie wygląda to dobrze – mruknął. – Trzymaj się, rycerzu.

– Piechota do transportera! – zakomenderował Orłowski. – Runa, pomożesz lekarce! Inżynierowie do Mecha! Góral, Kawa, do Lubawy! Ruszamy!

Pilot zobaczył na ekranie dowodzenia wytyczoną trasę i obrócił płatowiec we wskazanym kierunku, a następnie spojrzął na wschód. Miał wrażenie, że widzi koniec rosyjskiego pochodu.

– Junior do Orła.

– Słyszę cię, Junior – odparł dowódca.

– Chyba widzę skraj rosyjskiej armii. Znaczy koniec. Na wschodzie.

– Pokaż na mapie.

Pilot stuknął palcem w ekran.

– Doskonale – odparł major i wyznaczył nowy wektor podejścia. – Będziemy ich czesać od samej dupy strony. – Przez chwilę panowała cisza, po czym Orłowski dodał ze zdumieniem: – Kurwa! Witelon znowu to wywróżył! Sukinsyn! Przypomnijcie mi, żebym go po powrocie w dupę pocałował!

– Mnie też pocałuj, szefie! – zażądała Malik.

– Mnie – dodała nieco ciszej Anna Podgórska. – A co tam, kurwa. Podoba mi się nasz major.

– Niemożliwe – rzuciła Kalina. – Weź mi więcej o tym opowiedz.

– Mnie też się podoba – oświadczył Samul. – Poproszę cmoka w dupę.

– I ja nie pogardzę – zapewnił Flaszka.

– Ucałuj was wszystkich. Tylko wróćmy żywi do domu – odparł Orłowski.

Z pewnością pragnienie powrotu z tarczą do domu podzielałby major Mieczysław „Kula” Biały, który leżał obok spokojnego już Kubali podłączonego do sączka i kroplówki, gdyby tylko był przytomny. Jednak przytomny nie był, a jego bladość wskazywała na poważną utratę krwi. Twarz miał w kilku miejscach zasinoną, zachlapaną krwią zieloną i czerwoną. Miktus rozcięła jego kombinezon i z rozterką oceniała rozległość ran. Wyglądało na to, że ma złamaną miednicę, połamane żebra i być może uszkodzony kręgosłup, o drobniejszych kościach nie wspominając.

– Przydałoby się, żeby odzyskał przytomność – zasugerowała Runa. – Powiedziałyby, gdzie oberwał.

– Podłącz mu kroplówkę z osocza, niech się wypełni drzewo naczyniowe.

– Tajest.

Wiechucka otworzyła opakowanie z wenflonem, założyła na ramię woja stazę, wkuła się w zapadniętą żyłę przy zgięciu łokciowym, zabezpieczyła wenflon i podłączyła do niego butlę kroplówki. W tym czasie Miktus usiłowała obejrzeć plecy majora, ale ten był za ciężki, by go obrócić.

– Runa do Samula – odezwała się sanitariuszka do interkomu.

– Słyszę cię i zapytuję, czy macie zapas Rłokieta.

– Coś się znajdzie.

– To cię w dupę pocałuję.

– Teraz tylko Zgud. Słuchaj, w co oberwał Kula?

– O, strasznie szalał i nie wszystko widziałem. Mamut wbił mu cios w plecy, na wysokości nerek, ale chyba się nie przedarł...

– Kurwa, teraz dopiero mówisz?! – Miktus zerknęła na Runę, a ta bez słowa naparła razem z nią na bok majora i obróciły go na brzuch. Wiechucka zaczęła rozcinać kombinezon na plecach.

– Potem pierdolnął go drugim ciosem w głowę, aż zdarł osłonę twarzy – ciągnął Samul. – I sieknął jeszcze raz, przewracając i depcząc. Skoczył dwa razy na pancerz. Za pierwszym razem Trojan wytrzymał.

– Coś jeszcze? – spytała Miktus, patrząc na niewielką dziurę w lędźwiach majora. Była czerwona od krwi, ale już nic nie sączyło.

– Nie, pani kapitan.

– Następnym razem meldujcie dokładnie o ranach poszkodowanych – warknęła lekarka.

- Tajest... Jak z nim?
- Niedobrze, kurrrwa.

Gdyby kapitan Miktus lub Ewelina Wiechucka miały zdolność widzenia bytów astralnych, już widziałyby Jarotę, Nianię, Kietzmana i innych niedawno poległych, w tym Piekielnika oraz owiniętą w biel i czerwień Żabińską, wyciągających ręce po tracącego kontakt z tą płaszczyzną bytowania Kulę. On jednak bronił się przed ich zachętami i słabo perswadował:

- Mam tu robotę... Batalion... Nie wyznaczyłem następcy...
- Każdy wie, że to będzie Szabla – odparł z uśmiechem Jarota. – Kto inny jak nie on?
- No prawda – rzekł Kula i uśmiechnął się. – No prawda. Szabla. Znakomity Zbrojowiec.
- A ten pancerz ci się podoba? – Jarota pokazał Łśniącego w słońcu Trojana zaopatrzonego w łańcuchowy miecz i wielkie, srebrne, ruchome skrzydła.
- Zajeeebisty! – odparł Kula.
- No! – roześmiała się królowa Magdalena Kozak, która wychynęła zza innych wojów.
- Wasza Wysokość? – Kula przyklęknął.
- Wstań, rycerzu. Mamy wojnę do wygrania.

– Stanął – syknęła Miktus, sprawdzając tętno Kuli. – Kurwa, stanął.

Medyczki obróciły go na plecy. Miktus rozpoczęła masaż serca, a Runa przytknęła maskę workaambu do twarzy woja i synchronizując akcję z lekarką, zaczęła go wentylować.

- Zaskocz, kurwa – stęknęła Miktus, ugniatając wielką klatkę piersiową.

Runa spojrzała na kroplówkę i odkręciła kurek tak, żeby płyn jak najszybciej ściekł do żyły majora.

– Zaskocz, zaskocz, zaskocz – warczała lekarka. – Jesteś orkiem prawie, orkiem, kurwa, przecież masz zarąbisty metabolizm...

Wiechucka sięgnęła do półki i chwyciła strzykawkę z adrenaliną. Zerknęła na lekarzkę, ta skinęła tylko głową i igła zatopiła się w piersi żołnierza. Runa wcisnęła tłok.

- To obkurczy mu naczynia krwionośne – chrypnęła.
- Żyj, żyj, żyj... – stękała Miktus, ale tętno nie powracało.

Major patrzył bezradnie, jak dwie kobiety walczą o życie jego ciała, i chciał im powiedzieć, że już nie trzeba, że szkoda tej drugiej adrenaliny, wysiłku, nerwów i łez, że nic mu nie jest, mało tego, że dopiero teraz da wycisk orkom. Ale na próżno przemawiał do dzielnych medyczek. Nie słyszały go. W końcu dał się wyciągnąć niebiańskim przyjaciołom na nową płaszczyznę bytowania, dziękując Wiechuckiej i Miktus za trud.

– Dostał w nerkę, pani kapitan – powiedziała Runa, gdy Miktus zaprzestała w końcu resuscytacji. – Nie dałybyśmy rady, nawet gdybyśmy od razu wiedziały. Wykrwawił się jeszcze w Trojanie. Straszne obrażenia. Nawet ork by tego nie przetrzymał.

– Nie wiesz tego, Wiechucka – sapnęła lekarka, ocierając pot z czoła. – Dlaczego nam nie powiedział?

- Samul?
- Tak.

Runa wzruszyła ramionami.

– Sam walczył o życie. To wesołek, ale nie lekkoduch. Myślał pewnie, że mamut się nie przedarł. Trojan jest szczelny. Cios wszedł w szczelinę w pancerzu, nie było nic widać. Proszę go nie oskarżać, pani kapitan...

- Nie zrobię tego. Ale przeszkolenie wam się przyda.
- On to wie.
- To dlaczego, kurwa, nie powiedział?! – krzyknęła Miktus tak strasznym głosem, że gdyby nie strzelanina, byłoby ją słychać na wiele metrów wokół Mora.
- Mówiłam już. Myślał, że cios nie spenetrował zbroi.
- Racja. – Miktus próbowała się uspokoić, ale jej wielka pierś wciąż mocno falowała. – Racja.
- Przełknęła ślinę. – Poza tym nigdy nie walczyliśmy z takimi bestiami. To inny rodzaj... ran. A Kula przesadzał. Myślał, że jest nieśmiertelny...
- Runa wyciągnęła ze schowka bordowy worek na zwłoki.
- Nikt nie jest nieśmiertelny.
- Pomogę ci – oznajmiła lekarka.

Po dwóch minutach jazdy w towarzystwie Borostworów Orłom, Pięściom i najemnikom udało się wejść w swoisty kilwater pozostawiony przez oddziały Zielonych. Był szeroki na kilkaset metrów, pełen połamanych drzew, stratowanych krzaków, wały się w nim jakieś deski, a i na orkową kupę można było trafić.

- Zapaćkam sobie garnitur – sapnął Samul, przesadzając dziwne przeszkody.
- Ja się cieszę – oznajmił Szczygło. – Wreszcie otwarty teren, a nie te cholerne drzewa. No i widać, w kogo prac!
- Dobra. – Orłowski wyznaczył sektory celów dla batalionów i najemników. – Macie amunicję, użyjcie jej. Ku chwale Twierdzy!
- Za Twierdzą!!! – wrzasnęły dziesiątki gardeł i razem z promieniami słońca dźwigającego się coraz wyżej nad białoruskimi lasami pofrunęły w stronę ostatnich wozów zaopatrzenia Wielkiej Floty Wszechrusi pociski Jaryła, Swarogów, okruchy stali z działek Sobieski, ciężkich karabinów Siwa oraz wyrzutni Diablątko. Najemnicy pruli tak gęsto, że nic nie było widać zza zasłony ognia i dymu. Kilka pojazdów wroga się wywróciło, kilka wybuchło, wyskakując w powietrze, dwa eksplodowały w wielkich kulach ognia, co potwierdziło podejrzenia Orłowskiego, że wiozą amunicję, a dwa inne rozprysły się niczym konfetti, zasypując szeroką przestrzeń suchą karmą dla psów i kotów.

Prowadząca Lubawę Kawa pierwsza zauważyła, że zdarzenie to nie było bez znaczenia. Pędzący do tej pory wzdłuż jej wozu zielony kangur, który raz za razem próbował sforsować drzwi ciężarówki, zwolnił, zaczął węszyć i w końcu przystanął. Wojownicza ujrzała w drgającym wstecznym lusterku, jak pochyla się, bierze do łapy garść beżowych kulek i pakuje sobie karmę do pyska. Zatrzymały się przy nim szmaragdowy wilk i kuna. A potem cała czereda zaczęła biegać dookoła w poszukiwaniu chrupek.

- A to ci dopiero – uśmiechnęła się Bochenek. – Szeffie, widzisz to?
- Siedzący obok niej Góral zerknął w lusterko, po czym rzucił na kanale ogólnym:
- Lubawa do reszty. Rozwaliliśmy orkom desery. Borostwory dziękują za poczęstunek. Po chwili usłyszeli w słuchawkach rechot i komentarze.
- Przerwać ogień – nakazał Orzeł. – Podjeżdżamy bliżej, patrzymy, co jest dalej, walimy.
- Jest sens przerywać? – spytał Szczygło, najwyraźniej podniecony palbą.
- Tak. Za dużo tu kurzu i dymu.
- I Kitekata! – dodał Lenny.
- Przejedziemy przez wraki – ciągnął Orzeł – i zidentyfikujemy cele.

– Widzę już ten wielki samolot – zameldował Junior.

– Doskonale. Jemu też się oberwie.

Orły, Pięści i najemnicy minęli rozbite pojazdy, czyszcząc je z orków, które przetrwały ostrzał i szalały pośród wydym karmy, jakby się napiły spirytusu.

Dym się rozwiął i odsłonił tyły kolejnych ciężarówek.

– Pięknie – odezwał się Orłowski – mamy następne cele. – Wyznaczył sektory ostrzału. – Ognia!

– Uwielbiam tę robotę – zapewnił Szczygło.

– Czy mogę wyjść spod pancierza? – zapytał Raczkiewicz. – Duszno mi.

– Strzelcy Swarogów, wyjdźcie. Przydacie się.

– Nareszcie – stęknął Pan Rudolf, operator Siwej z Tytana.

– A ja zostanę. – Monika Wuwer, najemniczka przydzielona do Swaroga, spojrzała maślanymi oczami na Gwarę i nieśmiało się uśmiechnęła.

– O Swarogu – jęknęła Kicia i spojrzała na Sokola. – Prowadź przez chwilę ogień sam, okej?

– Tajest.

– Śliczna – podjęła Gwara – jestem hetero. Kocham Tygrzyka. Tego popaprańca, który prowadzi ten interes, rozumiesz? Ja jestem Kicia, ty jesteś Kicia, ale nic z tego...

Wuwer przerwała jej, wyrzucając głowę do przodu i namiętnie ją całując. Gwara przez chwilę chciała się bronić, ale potem rozluźniła się.

– Ktoś to nagrywa?! – rzucił Tygrzyk przez ramię.

– Ja pierdolę – skomentował Sokół, ale nie przestał patrzeć w wizjer. Strzelił, a huk na chwilę zagłuszył romantyczną scenę.

– Ja nie nagrywam, bo strzelam – oznajmił Flaszka, z rozkoszą zaciągając się dymem z cygar.

– Szef nie mógł tego lepiej wymyślić. Prac orki w dupsko! One nie wiedzą nawet, co się dzieje!

Tymczasem Wuwer wciąż całowała Gwarę, ta zaś... zaczęła całować Wuwer!

– Hej, koleżanko! – krzyknął Tygrzyk, na ułamek sekundy zerkając przez ramię. – Jesteś bi może?

Monika Wuwer oderwała się od Gwary.

– Bywam.

– A podobam ci się?

– E... Oblecisz.

– Ja pierdolę – rozmarzył się Tygrzyk. – Jestem w rajku.

– Major Biały nie żyje – usłyszał Orłowski głos kapitan Miktus na kanale wewnętrznym.

Przełknął ślinę. Miał ochotę zapytać, czy na pewno, bo nie mieściło mu się w głowie, że ten niedźwiedź mógł ulec śmierci, jednak powstrzymał się.

– Cześć jego pamięci – szepnął. – Kubala?

– Stabilny.

– Dobrze. Kontynuujemy akcję. Pomścimy Kulę.

– Tak jest.

Major przetarł oczy i gdy minęli kolejne płonące wraki, wyznaczył nowe cele.

– Szefie? – odezwała się nieregularnie Stawniak.

– Tak?

– Zobaczyłam coś dziwnego...

Przesłała mu fotkę jednej z wielkich ciężarówek jadących za kilkoma innymi wozami. Paka była czerwona, a na niej ktoś wymalował dość prymitywnie ludzką sylwetkę, na prawo od niej strzałkę, a dalej sylwetkę... orka.

- Co to jest? – spytał dowódca.
- Są trzy takie ciężarówki i mają obstawę...
- Mam wrażenie – dołączyła się Scorsese – że to może być transport...
- N-Gen?! – wszedł jej w słowo Orłowski. – Wiozą do Twierdzy N-Gen?
- Chyba mają misję zamiany ludzi w Zielonych – potwierdziła Scorsese.
- Mogliby się dogadać z Zieloną Przyszłością – skomentował Tygrys ze swojej wieżyczki.
- Czekaj, czekaj. – Orłowski potarł skronie.
- Szefie, strzelać? – rozległ się głos Siekierzyńskiego.
- Nie, jeszcze chwila...

Dowódca Orłów kalkulował.

– Jeśli tam jest N-Gen, nie będzie czasu na przepakowanie go, nawet do wozów najemników. Najlepiej by było te ciężarówki...

- Przejąć – wszedł mu w słowo Szczyrbowski.
- Tak jest. – Orłowski uśmiechnął się. – Dobra, zrobimy tak...

Zmasowany ogień Orłów, Pięści i najemników oczyścił kolejną „warstwę” zaopatrzenia orków. Przy okazji wyeliminował też cztery z kilkunastu czerwonych wozów strzegących ciężarówek z Siłami Szybkiego Ukulturalniania – doskonale wyselekcjonowanymi przez Lewandowskiego swierchami, którzy potrafili szybko i bezboleśnie wepchnąć do gęby Bliadego tabletkę i zmusić go do popicia jej kubkiem spirytu. Czasami podczas ćwiczeń SSU-mani urywali żuchwy Małym Iwanom, na których trenowali ową procedurę, często tabletki, chociaż duże, wymykały im się z grubych paluchów, mimo to carski lekarz był spokojny o efekt akcji. Teraz jednak część tej mozolnie gromadzonej i szkolonej siły rozprysła się po niebie w wyniku palby dwóch Swarogów i dziesiątek innych luf, zostawiając po sobie w powietrzu fantazyjne seledynowe serpentyny oraz gniew reszty kolegów, którzy nazbyt dobrze wiedzieli, ile wysiłku i czasu ich szef poświęcił, aby wyszkolić SSU. Zawrócili więc swoje UAZ-y i wymachując łapskami tudzież kałachami, postanowili nauczyć żartownisiów rozumu. Pamiętać tutaj należy, że zarówno pojazdy batalionów, jak i najemników ozdobiono na modłę orkową, więc SSU-mani przekonani byli, że to jacyś niekumaci komilitoni wysłali w niebyt ich towarzyszy. Jakież było ich zdziwienie, gdy napotkali ogień tak gęsty i nieustępliwy, że ledwie paszcze otwierali, już zegnali się ze światem i świętą kulturową misją. Bataliony i najemnicy przejechali między toczącymi się jeszcze płonącymi wozami, nie zwracając uwagi ani na nie, ani na wygrażających im znad wraków nielicznych żywych Zielonych, i zaczęli doganiać trzy jadące obok siebie ciężarówki z N-Genem. Wszystkie zaopatrzone były w stanowiska ogniowe w tylnych częściach pak, a każde z nich mieściło dwóch SSU-manów już zaalarmowanych i kierujących ciężkie karabiny w stronę napastników. Na przód wysunęły się Rujewity, Porewity ze zwiadowcami oraz Leszy najemników, ubezpieczane przez Peruny. Oko Orłów włączyło niewidzialność MiniChorsów, czego od razu pozazdrościli mu jadący na drugim Porewicie zwiadowcy „Krzemiennej Pięści”. Peruny otworzyły ogień i ścięły dachową obsadę dwóch skrajnych ciężarówek, a potem wzięły w krzyżowy ogień strzelców ze środkowej i zanim tamci na dobre się wstrzelali, leżeli już, brocząc zieloną krwią, na karmazynowym dachu. Prowadzony przez Gorzkowskiego Porewit

Orłów zbliżył się, podskakując na nierównościach, do prawej ciężarówki. Fraydey wskoczył na maskę samochodu i ugiął kolana, Gorzkowski dodał gazu i gdy okratowany grill niemal stykał się z przerdzewiałym zderzakiem jadącego przed nim golem, szpieg przeskoczył na wóz orków i sprawnie wspiął się na dach. Ten sam manewr powtórzyli ze swoimi ciężarówkami Szczygło skaczący z wysokiej maski Leszego i sierżant Jakub „Frodo” Chadryś, dowódca Oka Pięści. Cała trójka, osłaniana z boków przez Porewity i Rujewity, a z góry przez Peruny, pobiegła po dachach ku kabinom. W tym czasie przed maskami ciężarówek śmignął dron Zguda i porobił zdjęcia. Orki zdziwiły się, widząc cudaka, ale że szybko zniknął im z oczu, nie kłopotowały się nim. Jak to kierowcy jadący na akcję, cały czas głośno gadały o nadzwyczaj zajmujących sprawach i musiały być one szczególnie interesujące, bo nie zauważyły ani tego, że wyparowała ich obstawa, ani tego, że ktoś powybił im górnych strzelców, ani tego, że są ścigane.

Orłowski zerknął na fotki zrobione przez Zguda, uśmiechnął się, widząc rozgadane orkowe gęby, po czym nadał na ogólnym:

- Po dwóch w każdej kabinie, nie mają hełmów. Gotowi?
- Jestem – nadał Fraydey.
- Gotów – rzucił Frodo.
- Jak nigdy w życiu – chrypnął Szczygło.
- Na trzy. Trzy... Dwa... Ognia.

W tym momencie każdy z dywersantów puścił w dach kabiny długą serię – po kilka kul na głowę kierowcy i pasażera. Zieleni oddali ducha szybko i chętnie, a następnie położyli się grzecznie na siedzeniach i zdjęli nogi z pedałów. Fraydey, Chadryś i Szczygło przetoczyli się na maski, wybili pojedynczymi strzałami szyby i chwyciwszy kierownice, ustabilizowali tor zwalniających wozów. Piatkovsky odepchnął kopniakiem swojego kierowcę i w tym momencie zza niego wyskoczył trzeci, niezauważony przez drona ork, drąc się wniebogłosey i połykując wielkim tasakiem. Świsnęła kula wysłana przez ubezpieczającą z boku Zużę, ale chybiła. Thomas obiema rękami trzymał się górnej krawędzi kabiny, więc niewiele myśląc, sięgnął prawicą za ramię, wyszarpnął z pochwy szablę, wygiął ciało, by uniknąć tasaka, który ze zgrzytem wbił się w maskę, po czym wraził przeciwnikowi sztych prosto w gardło. Orczysko zabulgotało i wybałuszyło ślepią, a Fraydey wyciągnął pióro z gardzieli potwora i dźgnął drugi raz, w serce. To w końcu przekonało Zielonego, by przenieść się na łono Abrahama, pardon, Gotta. Engels dał za wygraną, zwiotczał i położył się na kierowcy, jakby tulił się do niego przed snem.

– Za Jarotę, skurwysynu – warknął Fraydey. – Uwaga – rzucił na ogólnym – w mojej kabinie z tyłu był jeszcze trzeci.

- U mnie czysto – zameldował Frodo.
- U mnie też – zapewnił Szczygło.
- Czyli tylko ja miałem szczęście – skwitował Thomas, wypychając trupy przez drzwi od strony kierowcy i zastanawiając się, jak usiądzie na brudnym, śmierdzącym i zalanym posoką siedzeniu.

Ciężarówki stanęły, a asasyni zaczęli wyrzucać z nich zielone cielska. Piatkovsky rozejrzał się za jakąś szmatą, ale że niczego nie znalazł, zdarł z ramion martwego Engelsa kufajkę i pospiesznie wytarł zarówno siedzisko, jak i kierownicę.

- Co tak zwlekacie? – spytał Orłowski.
 - Brudno tu jak cholera – odparł Fraydey.
- Odpowiedziały mu salwy śmiechu.

– Sprawdźcie pakunki – nadał Orzeł.

Cały konwój dojechał do czerwonych ciężarówek i zatrzymał się. Do wozu Fraydeya zbliżył się Porewit Orłów.

Alicja Pawłowska, operująca przednim ciężkim karabinem Siwa, pociągnęła za spust i przestrzeliła kłódkę oraz łańcuch zamykające pakę. Drzwi nieznacznie się uchyliły.

– Zróbmy to szybko – poprosił Wampir.

– Tajest – odparł sierżant Gorzkowski, wyskakując z kabiny Porewita razem z dowódcą Oka.

Podbiegli i gwałtownie pociągnęli za wierzeje. W środku stały, szczerząc zęby, trzy orki z uniesionymi kałasznikowami. Nie przewidziały jednak bestie siedzące dotąd w mroku, że po otwarciu drzwi oślepi je słońce. Zakryły oczyska, a w tym czasie strzały Zuzy, Jastrzębia, Wampira i Gorzkowskiego zakończyły ich zielone życie.

Cezariusz wskoczył do środka.

– Są tu... – stęknął. – Jest tu N-Gen. Mnóstwo paczek. Po sufit.

– Tylko N-Gen? – spytał Orłowski.

– Eee... Tak. Dobrze zabezpieczony.

– W porządku, zamykajcie pakę. Pięści i najemnicy, widzieliście wszystko?

– Tajest.

– Powtórzyc manewr.

W pozostałych dwóch ciężarówkach także byli strażnicy. Jak się wydawało, powinni być czujniejsi, bo nie dość, że wozy stały już od kilku chwil, a nie powinny, to musieli słyszeć kanonadę, a i usłyszeć mogli polską mowę.

Tak czy owak, rozsiekani przez Kuciapa, Rusałkę i zwiadowców Pięści pożegnali się z życiem, a potem z pokładami ślicznych ciężarówek, które – ku wielkiej uciechu Szczygły – także wiozły N-Gen.

– Od tej pory – odezwał się Orłowski – Rujewity i Porewity osłaniają te ciężarówki. Callsign... Enwozy. Może być?

– Może być!

– My też się o to zatroszczymy – oznajmił Szczygło i rozkazał: – Leszy, Potiomkin i Musashi, pilnujemy swojego Enwozu. Wielka Łapa za kierownicę, Kozubski na pasażera do osłony. Chłopaki i dziewczyny, właśnie wygraliśmy los na loterii!

Jako pasażera Fraydeya wyznaczono Gorzkowskiego, drugi Enwóz zaś miał być prowadzony przez Froda osłanianego przez sierżanta Darka Bartnika, zwiadowcę Pięści.

Konwój ustawił się w szyku, otoczył ciężarówki i ruszył w ślad za wzbijającą kurz rosyjską armią.

Własij Andriejewicz Kiemnitskij pracował przed przemianą w wydawnictwie AST, jednej z największych oficyn kraju czerwonej gwiazdy. Był człowiekiem skrupulatnym, terminowym i elastycznym, czyli redaktorem doskonałym. Pewnego pięknego dnia jednak, oczywiście już po zażyciu N-Genu, wziął kilka ołówków, którymi pracował nad tekstami, i ołówkami tymi wybił połowę redakcji, czym innym zgwałcił połowę drugą, a jeszcze innym narządem wybebeszył, następnie pożarł co młodsze sztuki, aż w końcu wyskoczył z siedziby AST w poszukiwaniu nowych przygód. Wpadł tu, wpadł tam, zawsze jednak z ołówkami w łapkach i bronią tą redaktorską dokonywał czynów epickich, jak twierdzą historycy. A gdy mu się tępiły bądź łamały, wstępował do sklepów papierniczych, nabywał nowe i bał trwał. Pewnego dnia, gdy

zastanawiał się, gdzie by tu się załapać na wek z bliadziną, trafił na coś w rodzaju prywatnego lotniska, a tam, w pobliżu wielkiego samolotu, zobaczył siedzącego na skrzyni Roba Rajszczaka. Ów Irlandczyk polskiego pochodzenia, kiedyś znudzony milioner, przybył do Rosji kupić kilka myśliwców i samolotów szturmowych z drugiej wojny światowej. Rob, podobnie jak Własij, był już po przemianie i, ubrany w podartą na plecach skórzaną kurtkę lotniczą oraz pilotkę, na której połyskiwały gogle, bawił się rewolwerem, patrząc prosto w oczy stojącemu przed nim nadzwyczaj rozentuzjzmowanemu swierchowi.

– Więc powiadasz, że chcesz latać? – odezwał się Rob do Engelsa.

– Yhy!

– Nu, pięknie, pięknie. Jak cię zwa?

– Mikesh!

– Dziwnie.

– Yhy!

– A powiedz, kumatyś?

– Yhy!

– Choroszo – rzekł Rob. Sięgnął do stojącej obok skrzyni i wyciągnął przed siebie łapę, trzymając w palcach nabój do działek Iljuszyna drugiego. Poziomo. – Tak skaży, maładiec: Co to jest?

– Yyy, nabojka.

– Da, nabojka. A nabój ten jest ustawiony poziomo czy pionowo?

Tu rozentuzjzmowany Engels nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Zaczął przestępować z nogi na nogę i pocierać łapą o łapę.

– Yyy...

– Nu, gadaj, maładiec – zachęcił Rob.

– Yyy... że jak? Bo zapomniałem...

– Poziomo czy pionowo? – powtórzył cierpliwie Rajszczak.

– Yyy... Zionowo.

Rob chrząknął, ale zachował cierpliwość.

– Czyli jak, kochanieńki?

– Zionowo.

– Pionowo znaczy?

– Yyy. – Ork popatrzył na pilota, szukając w jego oczach podpowiedzi, ale wzrok Roba był nieodgadniony. – No tak, tak.

– Pionowo? Pewny jesteś?

– Ghm, da, pewny – oświadczył Mikesh.

– Choroszo... – Rob wycelował w orka rewolwer i odciągnął kurek. – Spierdalaj, maładiec, bo nie zdzierzę. Brak ci inteligencji, by latać.

– Yyy...

– Której sylaby nie panimajesz w słowie „Spierdalaj”?

– Yyy...

Rob wypalił w posadzkę tuż przy szerokich stopach orka, odrywając fragmenty betonu. Wtedy adept sztuki latania zrozumiał jego intencje i zaczął się pospiesznie oddalać.

– Następnym! – wrzasnął Rajszczak i w tym momencie spostrzegł Własija, który oprócz tego, że przysłuchiwał się kuriozalnej rozmowie, zdążył się przyjrzeć okolicy.

Stojące w pobliżu hangary i w ogóle całe lotnisko zagracone były stosami amunicji, broni,

narzędzi i innych utensyliów, jak również... martwych Zielonych, których los był dla Kiemnitskiego nieodgadniony.

– Chcesz być lotnikiem? – spytał Rob.

– Eee... – odparł Własij, a Rajszcak pokręcił z rezygnacją łbem, z góry osądzając, że były redaktor jest debilem. – Czemu nie? – dokończył Kiemnitskij.

W oczach Roba pojawiła się isierka nadziei, końcówka zdania bowiem brzmiała w miarę inteligentnie.

– Hm. – Popatrzył na Własija, a ten podszedł bliżej, bawiąc się ołówkami. – Tak skaży...

– Poziomo – odparł Kiemnitskij, widząc nabój w łapie Roba.

– Brawo! – ucieszył się Rajszcak. – A teraz? – Ustawił nabój pionowo.

– Pionowo.

– Cudnie! Maładiec! Sztuczna Inteligencjo! – wrzasnął.

Przezierna dolna gondola dospawana do czegoś, co kiedyś było Iłem-2, obróciła się w ich stronę i Kiemnitskij zobaczył szczerzące w niej kły... coś.

– Jak cię zwą? – spytał tymczasem Rob byłego redaktora.

– Eee... Kiemnitskij. Własij.

– Ślicznie. Jestem Rob, a to jest Sztuczna Inteligencja.

Sztuczna Inteligencja wrzasnęła coś niezrozumiałego i przeładowała sprzężone działko, mierząc prosto we Własija.

– Jak zaśnie, znaczy Inteligencja, szczeka, że nazywa się Razjel Szachor, czy jakoś tak, ale kto by jej tam wierzył. Przedstaw się.

– Eee, komu?

– Sztucznej Inteligencji.

– Aaa. Dzień dobry, Własij jestem.

Sztuczna Inteligencja znowu coś wrzasnęła.

– Nu – skwitował Rob. – To teraz, kochanieńki, skup się, bo ci Sztuczna Inteligencja zrobi kuku. Ona jest świetna w odróżnianiu swoich od wrogów.

Własij otarł pot z czoła, a Rajszcak ustawił nabój ponownie poziomo.

– Jak trzymam nabój w ten sposób, ślicznyj moj, to jest on równoległy do horyzontu – terminy „równoległy” i „horyzont” Rob wymówił bardzo powoli, patrząc uważnie, czy Kiemnitskij je pojmuje – czy *prostopadły*?

Rob odchylił się, siedząc na skrzyni, a Sztuczna Inteligencja charknęła w swojej wieżyczce i pierdnęła z ekscytacji, najwyraźniej mając ochotę poszatковать Własija na drobne kawałki.

– Nabój jest równoległy do horyzontu – odparł były redaktor. – Prostopadły będzie, jak ustawisz go pionowo.

Rajszcak wytrzeszczył oczy, zamrugnął i sapnął:

– Geniusz, kurwa. Geniusz. Kurwa! – Wstał i z uśmiechem podbiegł do Własija, po czym uściskał go dwukrotnie na niedźwiedzia. – Ura! Sztuczna Inteligencjo, mamy górny strzelca!

Sztuczna Inteligencja wrzasnęła na zgodę i obróciła wieżyczkę tak, by nie celować już w Kiemnitskiego. Ten odetchnął i spojrzał na dziób przerobionego Iła. Obok białoczerwonej szachownicy bielila się ubrana w bikini kobieta, z którą od tyłu kopulował ni mniej, ni więcej, tylko sam Rob. Dzieło wyglądało w miarę proporcjonalnie. De facto Własij nie widział dotąd lepiej namalowanego przez orka obrazu.

– Patrzysz na mój landszaft? – spytał Rob.

– Świetne wycucie koloru – odparł Kiemnitskij.

– Liczy się romantyzm. Każdy pilot, Własij, każdy, musi być romantykiem. Jesteś romantykiem?

Były redaktor spojrział Robowi w oczy.

– Jestem.

W tym momencie skrywający się dotąd za skrzyniami adept, którego Rob dopiero co odesłał, rzucił się na niego z wielkim wrzaskiem, a Rajszczak, nie odrywając spojrzenia od Własija, wymierzył z rewolweru i pozbawił atakującego gęby, na drobniejsze kawałki zaś poszatkowało go salwa Sztucznej Inteligencji, która darła się przy tym tak, że drżał cały samolot.

– Mówię ci, romantyzm to podstawa – zapewnił Rob.

I tak odbył się pierwszy wspólny lot Roba i Własija Iljuszynem drugim przerobionym tak, żeby zmieściły się w nim dwa niezbyt duże orki oraz Sztuczna Inteligencja. Własij powiedział wtedy sobie, że latanie to to, co zawsze kochał, tylko dotąd o tym nie wiedział, a najbardziej lubił, gdy maszyna trzęsła się podczas pracy broni pokładowej. Ooo, to lubił najbardziej. Wykonali jeszcze kilka lotów, poznając okolicę i szatkując tego bądź owego Zielonego, jednak ich idylla, jak można się domyślić, nie trwała wiecznie. Pewnego dnia lotnisko zaatakowała potężna wataha niejakiego Matwieja Jackowicza Grodzińskiego zwanego Sobaczysynem. Poderwał wówczas Rob Iljuszyna, oczywiście z Własijem i Inteligencją na pokładzie, rozsmarowali atakujących potężnymi działkami płatowca po całym pasie startowym, a potem polecili nad miasto, z którego Sobaczysyn się wywodził, i zmasakrowali całą dzielnicę. Patrząc na wyjątkowo plastyczne eksplozje, Własij zapytał Roba, czy może zrzucić na wygrające im orki kilka granatów. Rajszczak z entuzjazmem powitał tę inicjatywę, a Kiemnitskij granaty wziął i wyrzucił. Gdy zaś zobaczył ich demoniczny efekt, stwierdził, że nie chce już być lotnikiem.

Chce być lotnikiem bombowym.

Do hełmu przykleił taśmą klejącą dwa skrzyżowane ołówki i od tej pory był to jego znak rozpoznawczy.

Rob, Własij i Razjel zwany (bądź zwana, żaden z lotników bowiem nie odważył się sprawdzić płci Razjela) Sztuczna Inteligencja, chcąc zniechęcić potencjalnych amatorów ich prywatnego lotniska, zaczęli siać spustoszenie w najbliższej okolicy i zyskali sławę Piekielnych Trojaczków, chociaż, jak wiemy, nie byli ani skoligaceni, ani też do siebie podobni.

Na chwilę wszystko się ustabilizowało, ale wkrótce lotnisko najechała orda Łuki-Wiśniewskiego i tym razem Piekielne Trojaczki nie miały szans. Herszt jednak, dostrzegłszy ich niezwykły potencjał, mianował ich głównymi siłami powietrznymi Ordy Północnej. Tak, załogę jednego Iła. Na polecenie Łuki-Wiśniewskiego Rob z Własijem wyszperali pośród debili idących za dwugłowym hersztem najbystrzejszych i najmniejszych, Sztuczna Inteligencja pomogła im przeegzaminować, a następnie ci, którzy testy przeżyli, zaczęli się uczyć latać. W procesie tym zniszczonych zostało siedem maszyn, lecz Łuka-Wiśniewskij obiecał Piekielnym Trojaczkom więcej płatowców i słowa dotrzymał. Rob, Własij i Razjel otrzymali setki lepiej lub gorzej utrzymanych statków powietrznych, które z pomocą co kumatszych Zielonych zaczęli przystosowywać do walki. I stali się oczkiem w głowie herszta, a eskadra została nazwana Dywizjonem Wiśniowej Śmierci. Jak można się domyślić, gdy orde Łuki-Wiśniewskiego wchłonęła Flota Rasputina, Król Słońce wchłonął także dywizjon, zamieniając jego nazwę na Rłojal Eir Fłors. W końcu Sylwester był królem, a Rob Irlandczykiem, czyż nie?

Tego ranka, gdy Wielka Flota Wszechrusi wkraczała do kraju Bliadych, Rob, Własij i Sztuczna Inteligencja byli niezwykle podekscytowani. Ich Iljuszyn – zwany Ognistym Wiatrem z powodów, które wkrótce wyjaśnimy – stał pierwszy na pokładzie lotnikowca *Jelcyn*,

przednimi kołami zahaczony o długą, poczwórną splecioną gumę do skoków bungee, potężny silnik pracował, tylko trochę pokaszując, płatowiec się trząsał, a pilot niecierpliwie czekał na sygnał z *Kultury*, którym miało być wysokie zielone ognisko rozpalone przy użyciu znanych tylko Lewandowskiemu ingrediencji. W tym czasie między *Jelcynem* i *Brezniewem* przejechał w kierunku awangardy Floty UAZ Króla Słońce ścigany przez jakiegoś zielonego olbrzyma, ale Rob miał to w dupie. Najważniejszy był lot. Lot i rozpierdziel. W locie.

Gdy wreszcie rufa *Kultury* zapłonęła zielonym światłem, dowódca *Jelcyna* admirał Magdalena Nienagladnaja, wystrojona w czerwoną suknię i napoleońskiego pieroga, wrzasnęła do żelaznej tuby „Napierdalać!”. Asystenci pokładowi zwolnili hak, który trzymał gumy bungee, Rob dodał gazu, Razjel wrzasnął, przeładowując karabiny, a Iljuszyn zatrzęsł się z rozkoszy i ruszył do przodu jak niecierpliwý żreback, wyrzucając z rur wydechowych ogień i dym. W kabinie zaczęło strasznie trząść, przeciążenie wgniotło Roba i Własija w siedzenia, a następnie ich łby pofrunęły ku górze, gdy Iljuszyn zleciał z nieco przykrótkiego dla ciężkiej maszyny pokładu. „Ale to nic – pomyślał Rob, ścinając kilka orkowych głów i rwąc ostrymi krawędziami natarcia skrzydeł dachy co wyższych pojazdów. – Damy radę, damy radę...” Zadarł nos maszyny i krzyknął:

– Razjel, dopaaaaalaaaacz!!!

Wtedy Sztuczna Inteligencja, niebywale podekscytowana, zasilila odpowiednimi gazami dopalacze przy ogonie maszyny. Buchnął straszliwy ogień, Ognisty Wiatr epicko przyspieszył, paląc te nieszczęsne orki, które znajdowały się za dyszami, i wreszcie wspiał się wyżej, a osiągnąwszy bezpieczny pułap pięciu metrów, pomknął, rycząc tłokami rządowego silnika Napier Sabre, nad pojazdami, Wielkimi Iwanami, wzdłuż wielkich haubic, czołgów i terkoczących śmigłowców w dym i ogień, aż w końcu minął po prawej potężną *Kulturę*, na której szczycie stał Kapitan Rossija, próbując się sfilmować na tle przelatującego Rłojal Eir Fłorsa.

Ledwie Rob minął okręt, zobaczył śmigłowiec i wziął go na cel tuż po tym, jak zaczęła do niego prac Sztuczna Inteligencja.

– Aaaaargh!!! – ryknął pilot, naciskając spust i wyrzuając z działek gromadę lecących byle jak pocisków.

– Jaaa!!! – wrzeszczał Razjel.

Wiele drgających smug przeleciało nad celem, wiele obok, trochę jednak trafiło w korpus maszyny. Helikopter zakołysał się, zaiskrzył, zadymił i obrócił się wokół długiej osi, zostawiając za sobą spiralę czarnego dymu.

– Popraw, Własij! – wrzasnął Rob, mijając cel z dużą prędkością.

Kiemnitskij ścisnął rączki działka ogonowego, przycelował w obwieszony blachami statek i poprawił, rozrywając śmigłowiec na drobne kawałki, które poszybowały w dół ku pojazdom Floty.

– Jak odróżniasz maszynę naszą od wrażej, Rob? – krzyknął.

– To bardzo proste, Własij! Cel określa Sztuczna Inteligencja! Jak ona strzela, znaczy wróg, jak nie strzela, znaczy swój!

– Rewelacyjne rozwiązanie! – oznajmił Własij, patrząc, jak ich Iljuszyn mija wielki wybuch wyglądający niczym rozwijający liście kwiat, a potem wpada w chmurę dymu, by skoczyć między walczące ze sobą śmigłowce.

– A jak Razjelowi zatnie się karabin?! – spytał Kiemnitskij, biorąc na cel statek powietrzny, do którego prula z dolnej gondoli Sztuczna Inteligencja.

– Wtedy wdrażasz procedurę awaryjną!

- Czyli?
- Jak strzelasz i trafiłeś, to był wróg! Jak strzelasz i nie trafiłeś, to był swój!
- Jesteś genialny, Rob! – oświadczył z błogim uśmiechem Własij, wyrzucając z kabiny w stronę walczących pod nimi orków kilka granatów. A Sztuczna Inteligencja obrała kolejny cel.

Sztandar 12

Überwunder Paulus Wäsel zwany Dzedajem od kilku godzin obserwował ze swojej klatki w podziemiach pałacu ożywiony ruch. I strach. Czuł go nawet swym osłabionym węchem, a to wywoływało w nim niezrozumiały niepokój i podniecenie zarazem. Kilka razy poprosił tłumacza o jedzenie i na szczęście przyniesiono mu je, bo inaczej mogłoby się to skończyć niekontrolowanym atakiem wściekłości, a to, po pierwsze, źle by wyglądało, po drugie zaś, Yodzie nie wypadało tracić nad sobą kontroli. Prosił także o widzenie z Justyną „Ma-Rudą” Pawłowską i o wyjaśnienie, o co chodzi, ale nikt nie chciał z nim rozmawiać, nikt nie miał na to czasu.

W końcu jednak, być może dzięki interwencji króla, w podziemiach pojawiła się jego ukochana, ale nie sama. Była z nią Iga „Iru” Zuchmantowicz, ta miła Różowa, która rozumiała język Goethego. Gdy Dzedaj poczuł zapach kobiet, jego serce żywiej zabiło, ale nie z chuci czy żądzy mordy, lecz z radości.

– Ma-Ruda – zagrział basem. – Frau Iga.

I rozciągnął w uśmiechu dobrotliwą szeroką paszczę.

– Tak, Dzedaj, to my. Jak się czujesz, kochany? – spytała Justyna, a Iga przetłumaczyła.

– Dobrze, kochana. Ale tu coś się dzieje. Coś niedobrego, prawda?

– On powiedział do ciebie – Iga zająknęła się – „kochana”. Tak powiedział.

– No pewnie, on też jest kochany – obruszyła się Ma-Ruda. – Powiedz mu to.

Iga powtórzyła, a potwór rozanielił się jeszcze bardziej.

– Powiesz mi, Justyno, co się dzieje? – spytał, a Iga przetłumaczyła.

Ma-Ruda przełknęła ślinę.

– Nasz kraj... Kraj ludzi, Polskę...

– Ja, Polen – potwierdził Dzedaj.

– Zaatakowali Rosjanie. Rosyjskie orki.

Zuchmantowicz przełożyła.

– Russische Grüne!

– Ja, russische Grüne, Dzedaj – potwierdziła Justyna. – Wchodzą coraz głębiej. Jest ich... mnóstwo. – Iru przetłumaczyła. – Nie wiemy, czy damy im radę. Nie wiemy, czy wygramy.

– Ja pomoc – odezwał się Dzedaj po polsku. – Hilfe. Szyjaczek. – Stuknął się w pierś. – Good Jedi. This is our most desperate hour – powiedział po angielsku.

– Yes, Jedi – odparła Ma-Ruda. – Yes. Help me, Obi-Wan Kenobi. Help me defeat the Sith! Russische Grüne!

– Pomogę wam! – krzyknął Dzedaj. – Jestem najsilniejszym Überwunderem Hordy Południowo-Wschodniej! Nie ma lepszego wojownika niż ja! Pomogę!

Ma-Ruda podeszła do klatki, w której siedział wielki ork.

– Ale Dzedaj, to będzie... przemoc. Zabijanie.

Olbrzym się stropił.

– Ich weiss. Wiem – poprawił się po polsku. – Wiem. Dzedaj pomoc. Pomoc Ma-Ruda.

Pomoc Roseland.

– On tak nazywa Polskę? – spytała Iga.

– Tak. Kraj Różowych – odparła Justyna. – Ale ja boję się o ciebie, Dzedaj. – Wyciągnęła rękę i pogładziła łapę potwora.

– Nein... nein... – Olbrzym uśmiechnął się. – Jestem niezniszczalny, kochana.

Iga przetłumaczyła, a Ma-Ruda przełknęła łzę.

– Nie jesteś. Uważaj na siebie.

– Oni – Dzedaj wskazał łapą kierunek, jakby wiedział, skąd przychodzą Rosjanie – są tylko Grünami? Nie ma ludzi?

– Nie, kochany, nie ma.

– To proste. Zabijać russische Grüne. Proste.

W tym momencie do podziemi wszedł Łyzwa z liczną obstawą i kilkoma asystentami pchającymi stół na kółkach, na którym spoczywało coś przykrytego zielonym prześcieradłem.

– I jak, pani Justyno? Co powiedział nasz olbrzym? – spytał król.

Ma-Ruda przez chwilę milczała.

– Chcę być z nim – powiedziała cicho.

– To niemożliwe, pani Justyno.

– Chcę mieć z nim kontakt. Przez radio. Możecie mnie przecież wsadzić do helikoptera. I Ige?

– Wskazała przyjaciółkę. – A jemu słuchawkę włożyć do ucha i jakiś mikrofon dać. Chcę mieć nad nim pieczę.

Justyn powstrzymał uśmiech.

– On beze mnie się rozklei – nie ustępowała Ma-Ruda. – Nie da rady. Albo odwrotnie... zginie.

– Pani Justyno, rozumiem, że się zgodził – rzekł Łyzwa.

Pawłowska milczała. Król spojrział w ślepią Dzedaja.

– Mości Dzedaj – odezwał się po niemiecku – czy uczynisz nam ten zaszczyt i zostaniesz pierwszym w historii Grünem broniącym Twierdzy Polska?

Wąsel przez chwilę siedział, jakby słowa króla powoli torowały sobie drogę w jego głowie, po czym wstał i przyłożył wielką pięść do piersi.

– Ja – zagrzmiał. – Ich schwöre.

– Przysięgam – przetłumaczyła Iga.

– Zrozumiałem, pani Igo – powiedział król, a potem zerknął na towarzyszących mu wojskowych. – Pokażcie mu to.

Wtedy woje zdjęli zielone prześcieradło z wielkiego stołu, który zjechał z nimi windą.

Była na nim stara uprzęż bojowa Paulusa Wąsła.

– Kurwa, kurwa, kurwa – szczękała zębami Justyna w Radogoście. Oprócz niej lecieli nim Iga, Dzedaj i grupa POŁOM-ów. – Zabiją go. Nasi go zabiją.

– Nie zabiją – szepnęła Iga.

Zuchmantowicz od dłuższego czasu malowała na ciele Überwundera wielkie biało-czerwone szachownice. Pokrywały już ramiona olbrzyma, plecy, klatkę piersiową i uda. Dodała też napisy białą farbą: „POLSKI ORK! NIE STRZELAĆ! ROZUMIE TYLKO PO NIEMIECKU! NAZYWA SIĘ DZEDAJ!”. Te były na piersi i na plecach, ale uparła się, że muszą być wszędzie, nawet na łapach i nogach, więc z wyciągniętym językiem pracowała dalej, a Dzedaj,

siedząc po turecku, zdawał się medytować.

Justyna była zbyt roztrzęsiona, by pomagać przyjaciółce.

– Jesteś najedzony? – spytała, a Iru przetłumaczyła.

– Tak, dziękuję – odparł po polsku.

– Nic ci nie trzeba?

– Nein, danke.

– Jeśli źle się poczujesz, rozumiesz, jeśli będziesz ciężko ranny, wróć, dobrze? Będę cię widziała ze śmigłowca. I...

– Czekaj, przetłumaczę – przerwała jej Zuchmantowicz i przełożyła jej słowa.

– I Iga też będzie ze mną – powiedziała Ma-Ruda.

Do Dzedaja podszedł woj z pistoletem do czipowania i niepewnie spojrzął na olbrzyma, zbliżając urządzenie do jego ramienia.

– Nie bój się – powiedziała Justyna. – To jest czip. Będziesz go miał pod skórą. Dzięki niemu będziemy wiedzieli, gdzie jesteś, jeśli stracimy cię z oczu, rozumiesz?

Iga przetłumaczyła.

Dzedaj skinął głową i pozwolił, by POLOM wstrzyknął mu pluskwę. Drugi żołnierz podszedł do Ma-Rudy i podał jej czujnik wykrywający czip.

– Zasięg to pięćdziesiąt kilometrów – wyjaśnił. – Jeśli Gojira się oddali, zniknie.

Silniki Radogosta nasiliły pracę, statek powietrzny zakołysał się i wyraźnie zwolnił. Lądowali.

Wychodząc, Justyna targała worek wypakowany jedzeniem – cylindrami żółtego sera, bochenkami chleba i całymi połciami szynki tudzież baleronu.

– To twoja wałówka, kochany – powiedziała, gdy Dzedaj przewiesił go sobie przez plecy.

O ile w rękach dziewczyny worek był wielki, o tyle w łapach Überwundera zamienił się w nieduży pakunek.

– Danke, kochana – powiedział w połowie po niemiecku, w połowie po polsku.

– Wyglądasz zajebiście. – Iga uśmiechnęła się na siłę.

Rzeczywiście, Dzedaj z dwoma Browningami M32HB na ramionach, ze skrzyniami pełnymi nabojów na łopatkach, poobwieszany mieczami i szablami, blachami chroniącymi pierś, plecy i krocze, wymalowany w polskie szachownice i ostrzeżenia, wyglądał monumentalnie.

– Normalnie rozpiera mnie narodowa duma – szepnęła Iru.

– Do wszystkich oddziałów poszła informacja, że na polu bitwy pojawi się ork z polskimi znakami – wyjaśnił jeden z POLOM-ów, a Iru przetłumaczyła. – Miejmy nadzieję, że nic ci się nie stanie od naszych – dokończył woj.

Dzedaj wziął od Justyny niewielką chustkę i zawiązał ją sobie na twarzy, zasłaniając nos.

– Na wszelki wypadek – powiedział do Ma-Rudy, a Iga przetłumaczyła.

Dziewczyna otarła łzę, wspięła się na palce i wyciągnęła do niego ręce.

– Uważaj na siebie, Dzedaj – powiedziała po polsku, a Zuchmantowicz nie tłumaczyła. Nie musiała.

Ma-Ruda ucałowała olbrzyma w policzek, ten zaś delikatnie ją przytulił. Trwali tak przez chwilę, a potem Engels ostrożnie odstawił ją na ziemię. Podszedł do niego Grunmor, włożył mu do ucha słuchawkę z mikrofonem i przymocował mocną taśmą klejącą. Skinął głową Justynie i Idze, żeby założyły swoje zestawy słuchawkowe.

– Słyszysz mnie, Dzedaj? – spytała Justyna.

Ork podniósł kciuk.

– Ja.

Iga skinęła głową, że usłyszała zarówno Überwundera, jak i Justynę.

– Wy mnie?

Oboje skinęli głowami.

POLOM wskazał ręką wznoszący się na wschodzie wał dymu i ognia. Wyglądał, jakby nadciągała apokalipsa, której nic nie może powstrzymać.

– Wróg jest tam – powiedział po polsku, a Zuchmantowicz przełożyła. – Wiele tysięcy, panie Dżedaj.

Überwunder nie odezwał się. Spojrzał w dal, a w jego małych oczach odbiły się płomienie. Przypomniawszy sobie dni pełne przemocy, krwi i krzyku. I zawyla w nim bestia.

Przybrał baletową pozę, ustawiając stopy jedna za drugą i szeroko je rozpościerając, łapy układając wnętrzem dłoni do góry na wysokości krocza i zadzierając wysoko głowę.

– Co to jest? – spytał szeptem POLOM pilota, kapitana Marcina Roberta zwanego Bigosem.

– Nie wiem, kurwa...

Nagle potwór ugiął kolana, odbił się od gruntu i poszybował, zostawiając po sobie lej i chmurę kurzu oraz zbaraniałych wojowników.

Pierwszy ze stuporu otrząsnął się pilot.

– Zapraszam! – krzyknął do Igi i Ma-Rudy. – Prędziej!

Kobiety wbiegły do przedziału pasażerskiego Peruna, po którego obu stronach zamocowane były działa obrotowe Bazyliszek, a przez burty przewieszali nogi ich operatorzy.

– Proszę się zapiąć! – Woje wskazali siedzenia i pasy bezpieczeństwa.

Ma-Ruda i Iga zapięły pasy i chwilę później poczuły nacisk na lędźwie, gdy Bigos ostro wystartował, ruszając prosto w piekło. Pawłowska zerknęła na ekran czujnika, bo ledwo Dżedaj skoczył, straciła go z oczu.

– O, jest tu... Co to za wsie?

– Rusków i Hruszew – odparła Iga.

– Perunie, jak głęboko się wdarli...

Ledwie Dżedaj wpadł w ogień bitwy, zobaczył wrogie czołgi wyglądające jak żaglowce, transportery i haubice, a wszystko strzelające gęsto, choć niedokładnie. Dookoła rosyjskich sił przesuwały się, wciąż cofając, Swarogi, Jaryła, Dażbogi i Rujewity oraz polatywały Peruny, na polu bitwy leżały już setki wraków, a mimo to Flota Wszechrusi wciąż parła do przodu. Dżedaj wziął na cel pierwszy rosyjski czołg, wybił się, spadł na niego z hukiem giętego pancerza, chwycił lufę i oderwał wieżę od podwozia.

– Nu szto że ty! – krzyknął do niego dowódca czołgu, który nie wiedzieć czemu trzymał obnażone przyrodzenie. – Durak! Swoich atakujesz?

– Ich bin Adolf Hitler – oznajmił Dżedaj. – I am Lord of the Sith. Your destiny – dokończył i zgniótł załogę wielką stopą.

Wybił się i spadając, grzmotnął drugi czołg maczugą, jaką uczynił z wieży. Nie wiedział, że ukryty w niej jest jeszcze jeden ork, ten zaś, wyrwany siłą odśrodkową, poszybował gdzieś w dal, zamieniając się w niekierowanego orka ziemia–powietrze. Tak oto polski ork zniszczył dwa czołgi, a nie dosięgła go żadna kula, bo rosyjscy Zieleni nie mieli pojęcia, że może być jakiś swierch, który mógłby z nimi walczyć. Dżedaj zdawał sobie z tego sprawę i skakał w odległe

obszary pola bitwy, żeby nie zaczęto go za szybko kojarzyć. W ten sposób zniszczył dwadzieścia pojazdów i zabił kilkadziesiąt orków. Gdy wylądował na podobnej do zigguratu haubicy, by wymienić zniszczoną nieco maczugę na nową, zobaczył w oddali piętrzący się za obłokami kurzu i dymu olbrzymi kształt.

„Was ist das?” – spytał się w duchu, wyrwał lufę haubicy, pociągnął Browningami po załodze i wspiął się na znieruchomiałe pojazdy, aby lepiej obejrzeć olbrzymi kształt.

– Dzedaj? – powiedziała Ma-Ruda, a Iga przetłumaczyła. – Oni mają coś w rodzaju okrętu podwodnego na kółkach. To ich najgroźniejszy pojazd, bo ma na sobie pociąg pancerny. Uważaj, kochany! Tam jest jakiś megafon, a z niego idzie takie „Urrraaa!”. Podobno to organizuje ich hordę. Spróbujesz zniszczyć ten megafon?

– Ja, ich verstehe – odparł Dzedaj. – Spróbuję. Życz mi powodzenia, kochanie.

I Dzedaj skoczył.

– Goni nas jeszcze?! – krzyknął Rasputin, oglądając się przez ramię i zahaczając rurami wystającymi ze łba o naramiennik Misiewicza.

Snoł prowadził jak wariat królewskiego UAZ-a, gubiąc po drodze połowę blach i ozdób. Kluczył między pojazdami, bo nie chciał wysforowywać się na przód Floty. Król Słońce wyraźnie sobie tego nie życzył. Jednak Schmidt był nieustępliwy. Raz za razem wyskakiwał w górę, spoglądał z wysokości i wypatrywszy pojazd Rasputina, raził go piorunami, po czym spadał, uderzając potężnymi stopami grunt, czasem niebezpiecznie blisko. Już kilka razy zgniótłby UAZ-a, gdyby nie to, że wisząc wysoko, nie mógł zmieniać trajektorii, zupełnie jak niekierowane orki ziemia–powietrze.

– Donnerwetter, Myszka, nie dogonię go w ten sposób – warknął do Katiuszy. – Na razie wylądowałem pioruny. Potrzebna mi broń palna. Giwera. Kałasznikow co najmniej.

Überwunder rozejrzał się, ale pośród eksplozji, dymów, płomieni i spadających wszędzie flaszek z bimbrem tudzież legalnym polskim towarem trudno było wypatryć drobną broń. Wreszcie wpadł na pomysł. Wylądował obok grupy biegnących karnie orków, chwycił jednego za kostkę i mimo jego protestów wyskoczył z nim w górę. Gdy dzierzony przez niego Zielony siłą bezwładności zawisł na chwilę w powietrzu, Myszka załadowała mu femur Ixiego centralnie w dupę.

– Czuj się namaszczony – oświadczyła zdziwionej ofierze, a Schmidt wysłał tak konsekrowany pocisk powietrze–ziemia prosto w UAZ-a Rasputina.

– *Ty, normalnie czuję się wywyższony* – wyznał Ixi.

– *I słusznie. Uważaj, żebym nie wypalił za wielu pogandogów.*

– *Ani mi się waż!*

Niekierowany ork powietrze–ziemia spisał się znakomicie. Trafił Rasputina prosto w łeb i nadział się na kilka rur wystających z jego głowy.

– *Wiktor! – wrzasnął Schmidt i spadł w tłum orków.*

Znowu chwycił jednego za kostkę, machnął nim chwacko, Myszka go konsekrowała, wyskoczyli w górę i Überwunder cisnął tak namaszczonym pociskiem. Tym razem trafił Snoła, i to tak szczęśliwie, że kierowca zarył mordą w kierownicę, stracił wizję, na chwilę fonię też, a UAZ przez moment jechał prosto.

– Donnerwetter, przecież ja mam przedzę! – ryknął Schmidt, obrócił się w powietrzu, wycelował nadpośladowym gruczołem i strzelił.

Chybił minimalnie. Sobie tylko znanym zwieraczem zerwał pajęczą nić i opadł na grunt. I znowu chwycił orka, ale dopiero gdy znalazł się w powietrzu, zorientował się, że to jeden z tych pokurczy składających się niemal tylko z mordy.

– Nie ma go jak namaścić! – wrzasnęła Myszka i po prostu grzmotnęła Małego Iwana w łeb.

– Tak też dobrze! – zapewnił Robert i cisnął pociskiem w UAZ-a.

Mały Iwan wgryzł się w szyję jednego z bojarów, ten zaś, szamocząc się z gryzoniem, wypadł z pojazdu.

– Dobrze ci idzie, Gitlier! – pochwaliła Myszka.

– Czego on ode mnie chce?! – panikował Rasputin, któremu Misiewicz zdołał już zdjąć z rur podziurawionego orka. – I jakim cudem się tu znalazł?! Jak mnie wyszedł?! Nie podoba mi się ten maaaatriiiiiks!!!

Król Słońce odwrócił się i zobaczył, jak Wałęsa strzela z dupy przędzą i wczepia się w tył UAZ-a.

– Ewakuacja! – wrzasnęła i pierwszy skoczył, by wylądować na transporterze opancerzonym.

Widząc woltę króla, Snoł i Misiewicz wyskoczyli także, a bojarzy rzucili się za nimi, nie wszyscy celnie, więc niektórym przyszło pokwiczeć pod kołami innych pojazdów.

Schmidt wylądował na UAZ-ie, wgniatając go w grunt, ale tym razem nie wybił się wysoko, bo zobaczył, że Król Słońce jest tuż. Skoczył zatem na transporter i wbił jego tylne koła w ziemię, lecz nagle oślepiły go błyskawice i blask.

To Rasputin skierował w jego stronę swój zmysł teleportacyjny, lecz nie wycelował dobrze i zniknął jeden z jego bojarów. Historycy twierdzą, że pojawił się gdzieś w Himalajach i został filozofem. Schmidt chwilę przecierał oczy, starając się utrzymać równowagę na chwiejnym pojeździe, a w tym czasie Król Słońce, Snoł, Misiewicz i bojarzy przeskoczyli na sunącą obok haubicę, która wyglądała jak drakkar, potem zaś na jadący przed nią czołg. Rasputin bez przerwy wrzeszczał „Ratujcie! Ratujcie króla!”, ale jakoś nikt nie zwracał na niego uwagi. Wreszcie w dymach dostrzegł wielki kształt *Kultury*. „To mój ratunek” – pomyślał i zaczął układać marszrutę w tamtym kierunku. Nagle jednak na haubicę wskoczył zielony koń. Był to Anatol, wierzchowiec Walerii, który dowiedziawszy się sobie tylko znanymi kanałami, że jego pani nie żyje, postanowił się zemścić na hegemonie. Otwierał już przerażającą paszczę, gdy coś ryknęło i zrzuciło go z samobieżnego działa. Był to Gagarin, który gdzieś po drodze się zgubił, a teraz odnalazł. Szmaragdowe zwierzęta, szamocząc się ze sobą, potoczyły się w bok i zniknęły za zasłoną kurzu.

Tymczasem Schmidt znowu był przy Rasputinie. Tym razem, widząc, że król jest w niebezpieczeństwie, zasłonił go sam Misiewicz, potrząsając orderami. Robert nawet ucieszył się, ujrawszy jego płaską mordę, i nie bacząc na to, że staje twarzą w twarz z jednym z największych romantyków Floty (nie czas teraz na to, by opowiadać jego jakże piękną historię), zamachnął się workiem z kośćmi Ixiego. Misiewicz jednak nie był głupcem i zakamufłował w garści spory nóż, po czym kucnął, unikając ciosu kośćmi, i pchnął Schmidta pod zebro. Skóra Gojir zaś, chociaż skutecznie broniła przed pociskami, była podatna na ostrza wbijane ze względnie małą prędkością. Stęknął więc Überwunder i spojrzał krwawym wzrokiem na Misiewicza, który właśnie otrzymywał pełen wściekłości cios w ciemię od Myszkii.

– Czuć się namaszczony! – powiedział straszonym basem. Odgryzł mu łeb i przegryzł mózgowiczkę, ale zaraz wypluł. – Kurwa, jeszcze mi się w głowie zalęgnie.

– Nie bój, Gitlier. Trzeba wlać spiryt i dobrze potrząsnąć. Happy meal.

Rasputin już się cieszył, bo znalazł się tuż przy Wielkim Iwanie ciągnącym *Kulturę* i niemal sięgał linowych drabin wiodących na pierwszy pokład platform, gdy nagle z naprzeciwka nadjechał, celując prosto w niego, pojazd wyciosany z pojedynczego pnia sosny. Był to *Orzeł 1* Kapitana Bomby, czyli Martyna Gojnackiego, adiutanta Jołopa, przywódcy Kozaków.

– Za galaktykę Kurvix! – ryknął bohatersko i zaszarżował na Rasputina, strzelając raz za razem z kawałka kija, o którym był przekonany, że jest laserowym karabinem.

Widząc, że nie zrobił Rasputinowi krzywdy, wyskoczył z *Orzeła 1* i wyciągnął szpony, chcąc rozerwać zniechęconego wroga na strzępy, jednak króla zasłonił jeden z bojarów, więc Gojnackij, chciał nie chciał, musiał go strzelić w łeb z bańki, a że używał potężnego hełmu, bojar zwałił się na ziemię.

– Zginiesz, Kurvinoxie! Obiecuję ci to Kapitan Bomba! – wrzasnął Martyn i znowu skoczył.

Nagle otoczyły go błyskawice i blask. Historycy mówią, że Rasputin teleportował go gdzieś w okolice Izraela. Losy nieznane.

– Skurwesyn – skomentowała Alessa Radziejewskaja, usiłując nadzieć od tyłu Rasputina na dietetyczny koreczek, który, przypomnijmy, składał się z samej dzidy.

Jednak Snoł zasłonił go własną pierśią i ze zdziwieniem stwierdził, że ma w niej wykałaczkę, a zatem sam stał się koreczkiem, bynajmniej nie dietetycznym. Wyjął drzewce z ciała, uszczknął kilka drzazg, po czym stwierdził:

– Dieta Dukana to jednak nie dla mnie.

A potem zamachnął się i wymierzył Alessie straszliwy cios żelazną pięścią. Power Girl zatoczyła się i postanowiła wzbić w powietrze, by zaatakować przeklętego wroga z góry. I uniosła się, i runęła z góry. Dlaczego? Wyrzucił ją pod obłoki sam Jołop, który szarżował na Króla Słońce, dosiadając Griszy, który zdawał się mruzczyć pod nosem wyjątkowo paskudne przekleństwa.

– Wreszcie zgiń, najeźdźco! – wrzasnął Matsey Liteon straszliwie i udało mu się stratować kilku bojarów, a i Króla Słońce odepchnąć od *Kultury*, która, ciągnięta przez cierpliwych Wielkich Iwanów, znowu się oddaliła.

Rasputin przetoczył się w tył, rozejrzał i wskoczył na pancierz wyglądającej jak rzymska galera wyrzutni rakiet Buk-M2. Za nim wspięli się nieco osłabiony Snoł oraz bojarzy.

– Lustreczko powiedz przecie! – wrzasnął wtedy Rasputinowi do ucha Jewgienij „Alien” Wietskij i zdzielił go osobistym zwierciadłem w rurowy łeb, a następnie wypalił z kałasznikowa w plecy.

Jak piszą historycy, wkurwił się wtedy Król Słońce okropnie i wysłał Jewgienija samemu diabłu w dupę, czyli na Antarktydę. Nie wiadomo, czy Alien przeżył, oj, nie wiadomo, bo na Antarktydzie nie bywał i nie znał drogi do najbliższego hotelu... Wydawało się tedy, że Rasputin zatryumfuje, bo, przynajmniej, trudno było go pokonać, lecz nagle rakietą, na której siedział, zaczęła drżeć, a następnie wystartowała, unosząc go w przestworza!

– Masz za swoje, kurwi synu – warknął Ozaru Dragon Ball kierujący pojazdem, na którym to wszystko się działo.

Obok niego siedziały Tatiana Prohovnaja i Biurwa Przysiężniatskaja, bardzo z siebie zadowolone, wokół wozu zaś biegli członkowie białoruskiego zespołu tańca ludowego Maoryskie Babuszki. Jakim cudem Rasputin tego nie zauważył, historycy nie wiedzą do dziś.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że Rasputin tak po prostu poleciał na rakiecie, niczym, nie przymierzając, baron Münchhausen na armatniej kuli. Bezwładność bowiem, czyli masa ciała

Króla Słońce, była zbyt wielka, by podążył on za rakieta, która zaczęła przyspieszać, generując przeciążenie kilkunastu g. Spadł więc wódz Wielkiej Floty Wszechrusi kilkadziesiąt metrów dalej, prosto na zestaw Pancyr osadzony na Kamazie. Potoczył się, obłukł kilka rur wystających z głowy, ale podniósł się i przywołał bojarów oraz nieco osłabionego dietą Dukana Snoła. Skupił się Rasputin, wycelował palcem w kabinę jadącego za nim Buka i wysłał ją wraz ze Smoczym Jajem, Tatianą i Biurwą gdzieś do Indii. Historycy twierdzą, że całkiem nieźle się tam urządzili i nauczyli nowych tańców.

Lecz Alessa i Jołop nie rezygnowali, o nie! Power Girl znowu spadła na Rasputina, wyrzucona w powietrze przez herszta Kozaków, i zadała mu straszliwy cios kolejnym dietetycznym koreczkiem.

– Ha! – krzyknęła tryumfalnie.

Wtedy wszakże jej czaszkę przebiła rura wrażona przez Snoła.

– Szejka, sir? – spytał ochroniarz.

– Kiedy indziej – odparł Król Słońce i teleportował Alessę na Hawaje, a gdy Jołop próbował coś z tym zrobić, także został tam wysłany. – Jeszcze ktoś, kurwa? – Rasputin rozejrzał się groźnie w poszukiwaniu nowych asasynów, jednak członkowie Maoryskich Babuszek chwilowo zrezygnowali z napaści, więc zrobiło się ciszej. Wódz Wielkiej Floty Wszechrusi wypatrzył *Kulturę*. – Za mną! – krzyknął do bojarów i Snoła.

Tymczasem Rob Rajszcak, Własij Kiemnitskij i Sztuczna Inteligencja szaleli przerobionym Iljuszynem wśród śmigłowców wrogich i swoich w towarzystwie innych myśliwców, którym udało się wystartować z *Jelcyna* tudzież *Breżniewa*, przy czym wrogimi celami były tylko te, które udawało im się trafić. Zazwyczaj były to maszyny dziwaczne, pełne jakichś blach i dodatków, nierzadko z doczepionymi do nich Zielonymi. „No cóż, collateral damage – myślał Rob. – Po co się czepiają, jak jestem w locie koszącym?!” Ognisty Wiatr ryczał silnikiem Napier Sabre z Tempesta Mk V, bo jak wiadomo, silniki Mikulin AM-38 miały żywotność do stu pięćdziesięciu godzin, a na co komu taka żywotność? Zatem warczał Il-2, zamiatając skrzydłami obłoki dymu i kurzu, zawracał dzielnie wśród eksplozji i ognia i ścinał wszystko, co mu się napatoczyło pod lufy, a jak brakło mu prędkości, Sztuczna Inteligencja zasilala dopalacze i Ognisty Wiatr wyrывał do przodu. W pewnym jednak momencie zarówno działka przednie, jak i te w wieżyczce Własija i gondoli Razjela zamilkły. W dodatku przyczepił się do nich jakiś śmigłowiec, najwyraźniej wroga, bo pruł do Iljuszyna, ilekroć ten zrobił nawrót, a szczególnie dawał się im we znaki boczny strzelec, tak jakby samica w hełmie z symbolem spadającej gwiazdy. „O, to na pewno jest wróg – myślał Kiemnitskij – i to jeszcze strasznie smaczny”. Cisnął kilka granatów w stronę uprzykrzonego śmigłowca, ale dwa razy chybił, a gdy już rzucił wyjątkowo celnie, uprzykrzone babsko wcelowało w ładunek, ten zaś eksplodował w powietrzu, odpychając oba płatowce.

– Wot, maładiec – mlasnął były redaktor i zwrócił się do pilota: – Zabrakło pestek, kamandir!

– Wiem, wiem, drug! – odkrzyknął Rob.

– No to szto diełajem?

Sztuczna Inteligencja wydarła mordę w odpowiedzi.

– Jak to szto? Kamikaaaaazeeee!!! – wrzasnął Rob i skierował samolot na największy cel, jaki mu się napatoczył.

A był to Überwunder Robert Schmidt, były pisarz tudzież tłumacz, mesjasz Gotta, który

współpracował z Własijem Kiemnitskim, kiedy jego książki były tłumaczone na język Gorkiego. Jednak o tym, że starzy współpracownicy spotykają się na polu bitwy, nie wiedział ani jeden, ani drugi. Tymczasem Rob odsunął owiewkę, Kiemnitskij i Sztuczna Inteligencja poszli w jego ślady i wyskoczywszy, rozłożyli spadochrony, maszyna zaś, no cóż, spadała z rykiem silnika Napier Sabre, aż grzmotnęła tuż przy Schmidcie, który akurat rozglądał się za Rasputinem.

Wybuch odrzucił dzielnego Überwundera, który aby chronić Myszkę, zasłonił ją wielkimi łapami, wskutek czego sam przyjął kilkadziesiąt odłamków.

– Donnerwetter, co za idiota! – Olbrzym dźwignął się z ziemi, pomógł wstać Myszcze, podszedł do wraku i ze zdziwieniem uniósł jedną z blach. Akurat tę, na której wymalowana była biało-czerwona szachownica.

– Dzielni są, donnerwetter – przyznał. – Polnische Rose coraz bardziej mnie zadziwiają...

Nagle obok niego wybuchła salwa.

– Uwważaj, Gitlier! – krzyknęła Katia. – Strzelają do ciebie z *Pobiedy*!

– Skąd?!

– Z pociągu pancernego!

Kolejny strzał odrzucił Schmidta i Katię w bok. Niewiele myśląc, olbrzym chwycił ukochaną, wybił się i pofrunął daleko w przód. Przebił się przez dymy i wylądował... tuż przed polskim czołgiem, którego lufa mierzyła prosto w jego pierś.

– Verfluchte! – warknął.

– Staaaaaac! – wrzasnął dowódca siedzący na wieży. – To polski ork! Widzicie szachownicę?!

– Wskazał biało-czerwony emblemat na wyrwanej z Iljuszyna blasze, którą olbrzym wziął jako tarczę.

– To nasz ork?! – spytał strzelec Swaroga.

– Nasz, kurwa! Zajebiecie wygląda z tą tarczą, co? Kapitan Polska!

– A jaką ma laskę na ramionach! – krzyknął kierowca.

– Hurrra! – krzyknęli żołnierze stojący obok czołgu i zaszalutowali orkowi.

Schmidt przez dłuższą chwilę nie wiedział, o co chodzi ani czego od niego chcą polnische Rose. Ale chociaż pięknie pachnieli, wrzucił go ich gest. I powiedział sobie, że już nigdy nie ruszy różowego mięsa.

Zaszalutował wolną łapą, przybrał baletową pozę z *Ognistego ptaka* Igora Strawieńskiego, wybił się i poszybował z rykiem na Rosjan.

– Ty, co to było? – spytał operator działka Siwa.

– No on taki jest. Mówił dowódca, że to taka sztuka walki.

Jak to się stało, mógłby ktoś zapytać, że z *Pobiedy* zaczęli nagle strzelać do Schmidta? Żeby to zrozumieć, trzeba się cofnąć kilkadziesiąt sekund i przenieść kamerę nad zbrojne barki Dzedaja, który usłyszawszy, że *Kultura* jest główną twierdzą nieprzyjaciela, skoczył w jej kierunku i usłyszał „Uuuurrrraaaa” dobywające się z tub przyczepionych do odrutowanej kabiny na burcie okrętu. Siedział w niej nieduży szary ork z bandażem na oczach, do którego to bandaża miał przymocowaną czerwoną gwiazdę. Za nim tkwił olbrzymi Grün o mordzie niezdradzającej inteligencji i trzymał przy karku szarego Engelsa tasak. Wszystko to Dzedaj zobaczył, nim jego wielkie stopy zmiażdżyły pancierz *Kultury* po obu stronach kabiny, odrywając ją od burty. Gdy spadali pospołu, Paulusa ogarnęło współczucie dla ślepcy, któremu ktoś groził. Jak to? O co chodzi?

Upadli wśród lin *Kultury* na pokład pojazdów, na których spoczywał okręt. Pierwszy podniósł się Überwunder, a zaraz po nim olbrzym pilnujący Szarego.

– Ty sztło?! – wrzasnął, a widząc szachownice na skórze giganta, wrzasnął: – Zdrłajca! Zdrłajca! Po trzickróć zdrłajca!

Nie rozumiał bowiem, że mogą istnieć jakiegokolwiek orki poza rosyjskimi. Cóż, Gorim taki prosty miał umysł, panrosyjski.

– Ich verstehe dich nicht – odparł Dzedaj i wypalił do przeciwnika z Browningów.

Oponent uchylił się i skoczył na Überwundera, by ciąć jego nogi tasakiem. Nie wiedział jednak, że trafił na mistrza walk MMA, który zrezygnował z przemocy tylko dlatego, że nie było dla niego godnego przeciwnika. Dzedaj zrobił zwód i ciął polską szablą w poprzek pleców olbrzyma, a potem wbił ją trzykrotnie w serce wroga tak szybko, że tylko gejzery seledynowej krwi świadczyły o tym, iż ostrze spenetrowało jego ciało.

– Zmarnowałem Hertzburgera – mruknął do siebie Wäsel i zwrócił się do ślepego orka, podczas gdy dogorywający Gorim zaczął sobie przypominać cudowne czasy, w których jeszcze jako człowiek biegał za piłką, popularyzując w Kraju Rad futbol amerykański...

Stalingradczyk „patrzył” bez emocji na Dzedaja, czekając na wyrok.

– Wer bist du? – spytał Überwunder. – Kim jesteś?

Usłyszawszy niemiecką mowę, Siemion Jurijewicz Żakiewicz zeszywniał. Przybyła jego Nemezis. Stalingrad. Niemcy. Skulił się i zasłonił łapami głowę, ale potem, drżąc, powoli uniósł łeb i krzyknął śpiewnym głosem:

– Uuuurraaa!!!

Dzedaj natychmiast spostrzegł, że będące w pobliżu orki nabierają animuszu, zaczynają biec szybciej, a wozy strzelać częściej.

„To on” – pomyślał, ale widok ślepca paraliżował go.

– Dzedaj – usłyszał głos Ma-Rudy – znalazłeś źródło tego „Ura”?

Iga przetłumaczyła słowa Justyny.

– Ja – odparł olbrzym.

– Musisz je zniszczyć! To może być nasza szansa! Oni się łatwo dezorganizują od naszej wódki!

– Jawohl, jawohl...

– Dobrze się czujesz, kochany? Nie jesteś ranny?

– Nein, nein...

„Donnerwetter, jak mam to zrobić? – pomyślał dzielny rycerz, patrząc na drżącą sylwetkę Szarego. – Jak mam go zabić?”

– Uuuurraaa!!! – krzyknął znowu ork i Dzedaj musiał docenić hipnotyzujący tembr jego basu.

– Dzedaj! – rozległ się głos Justyny. – Proszę cię!

Gdzieś wysoko, pośród dymów i ognia, polatywał jej śmigłowiec. Musiała go widzieć. Olbrzym spojrział w górę.

Istotnie, Justyna „Ma-Ruda” Pawłowska i Iga „Iru” Zuchmantowicz widziały Dzedaja stojącego na platformie okrętu podwodnego i najwyraźniej wahającego się z niezrozumiałego powodu. Śmigłowiec kapitana Marcina Roberta drżał od wybuchów, silnik kasłał od kurzu, a pilot po chwili zawrócił, by rotory złapały trochę czystsze powietrze.

– Perunie, o co chodzi? – Justyna spojrzała przerażona na Igę. – Chyba nie zwróci się przeciw

nam?

Dżedaj patrzył na Szarego, a ten, czując jego bliady zapach, oblizał pysk.

– Uuurrraaa!!! – krzyknął znowu.

I wtedy Wäsel zrozumiał. Szary nie krzyczał, żeby zachęcić towarzyszy do walki. Krzyczał, by stłumić swój strach. Ten ork nie pragnął bitwy. Pragnął spokoju.

„Ale tu spokoju nie będzie nigdy, przyjacielu. Zawsze będzie wojna” – pomyślał Dżedaj i wyciągnął wielkie łapy do głowy Szarego. Tamten sięgnął do chusty zasłaniającej oczy i objął łapami czerwoną gwiazdę, jakby szykował się do podróży. „Dam ci spokój, przyjacielu” – pomyślał Dżedaj i ścisnął czaszkę Szarego tak mocno, że trzasnęły kości, a mózg trysnął na wszystkie strony.

I Siemion Jurijewicz Żakiewicz zwany Stalingradczykiem wreszcie spotkał się z ojcem, matką, siostrą i braćmi. Przywitali go towarzysze broni. I spirytu dali. Ale jakiego! Niebiańskiego!

Wtedy właśnie operatorzy dział *Pobiedy* zorientowali się, że coś urwało kabinę Szarego. Timur Orzuchskij wyrzwał za barierkę, zobaczył zmiażdżoną klatkę, martwego Gorima, Siemiona ze zmiażdżoną głową i pochylonego nad nimi Überwundera.

– Gitlier! – wrzasnął na całe gardło. – Schmidt zabił Szarego!!!

Dżedaj, widząc zamieszanie na górnych pokładach *Kultury*, odskoczył w najgęstszy dym...

A gdy kilka chwil później pojawił się w pobliżu okrętu Schmidt, otworzono do niego ogień. Były pisarz zobaczył na jednej z wież *Pobiedy* błysk i pioruny, domyślił się więc, że jest tam albo Kościej (nie wiedział wszak, że zostały z niego już tylko steki), albo Rasputin. Wyteńczył mięśnie nóg i jednym susem znalazł się na pokładzie *Kultury*. Tam zaś nieco zbaraniał, ujrzał bowiem kamerzystów, asystentów z małymi tacami, na których płonęły dymiące ogniska, orki trzymające flagi i mruczące pod nosem jakąś pieśń, Kapitana Rossiję z tarczą w kształcie czerwonej gwiazdy i... samego Rasputina, który jakby czekał na jego przybycie.

Tym razem nie było między nimi ani bojara, ani Snoła. Tylko Król Słońce i Schmidt. I zrozumiał dzielny Überwunder, że popełnił błąd. Spojrzał na niego Rasputin strasznymi, gorejącymi oczami, Roberta otoczyły błyskawice, potem blask i nagle... zrobiło się ciemno i strasznie zimno.

I zobaczył syn niemieckich kniei boga Słońca, Heliosa, któren siedząc gołą dupą na rozpalonej gwieździe i nieustannie z tego powodu rozdrażniony, powiedział do przybysza głosem nieznośnym sprzeciwu:

– JEBAKA DRAKA?

Schmidt, znając już charakter bóstw wszelakich, pokłonił się dworsko i przyznał:

– Jebaka ze mnie niezły i przyznam, draka się dzieje nieziemskie.

Wydawało mu się, że nabiera biegłości w sprawach duchowych, bo wypowiedź była nadzwyczaj składna, jednak bóg był najwyraźniej nieusatisfakcjonowany. Poprawił skwierczące dupsko na płonącym Słońcu i wtedy były pisarz zrozumiał, że gdy nadchodzi noc, Helios gwiazdę w nader swoisty sposób pochłania, o świcie natomiast znowu ją rodzi. „O, wielka odpowiedzialność, a i poświęcenie nieliczne” – skonstatował, ciesząc się w duchu, że nie jest Heliosem. Tymczasem bóg powiódł wściekłym wzrokiem po wznoszących się po obu stronach

niebiańskiej sali świecących kolumnach, po czym wrzasnął do Schmidta:

– PUTIN DUPA GWADELUPA!

– O! – Olbrzym uśmiechnął się. – I mamy pełną jasność! Zgadzam się, Putin jest straszna dupa i zamierzam mu dupsko zło...

– RWANA KUBWA PINDALUBWA! – przerwał mu Helios.

Stropił się nadzwyczajnie Überwunder, bo pojął, że w kwestii rozmów z bogami wciąż jednak raczkuje.

– Rwana... tak, to rozumiem. Nawet kubwa, bo gdyby wyrzucić „w”, wyszłoby „kuba”, ale dalej...

– ZABIJ RUSKA W DUPIE KLUSKA!

I w tym momencie gębę Schmidta rozjaśnił niebiański blask zrozumienia. Wreszcie pojął przesłanie! O, nieskończona jesteś, boska mądrości!

– Zabić Ruska! Oczywiście, rozumiem, panie Gotcie! Król Słońce jest uzurpatorem! To ty, o siedzący gołą dupą na gwieździe, jesteś prawdziwym bogiem Słońca! Jasne jak Słońce! Przepraszam... – Rozejrzał się nerwowo. – Gdzie tu jest wyjście?

Uklonił się kilka razy, uśmiechem próbując dać Heliosowi do zrozumienia, że pojął wszystko nadzwyczajnie. Chciał się wycofać, ale nie miał pojęcia, w którym miejscu są drzwi, więc mimowolnie zaczął się pocić. Helios natomiast, co ciekawe, nie wyrzucił Schmidta z niebios jakimś nieobyczajnym gestem, jak czynili to inni bogowie, ale jakby udobruchany, łaskawie się uśmiechnął i skinął ręką.

Wtedy objawienie się skończyło, a Überwunder znowu poczuł morderczy chłód.

Rozejrzał się nieprzytomnie, ale widział tylko gwiazdy! Nagle po lewej zaczęła się wyłaniać jakaś błękitno-zielona krzywizna.

Schmidt chciał krzyknąć, ale nie mógł!

Strasznie zimno!

Próbował nabrać powietrza, lecz zamiast tego powietrze wyprysnęło z jego ust w ciemność i zniknęło jak poranna mgła!

„Co to jest?” – spytał w duchu, patrząc na zielono-niebieską kulę, która wisiała przed nim pośród gwiazd.

– *To jest, kurwa, Ziemia* – odpowiedział Ixi. – *Teleportował nas na orbitę!*

Ja pierdziu, chciał powiedzieć Schmidt, ale nie mógł. Jego skóra, ściśnięta strasznym mrozem, zaczęła szczypać. „Myszka!” – pomyślał i zdjął z barków tancerkę osłoniętą tylko oranżową spódniczką z monetami i staniczkiem!

Katiusza „Myszka” Niedzielnickaja patrzyła na Roberta gasnącym wzrokiem. Jej zeszywniałe szczęki próbowały się poruszyć. Schmidt przytulił ją, chcąc ogrzać, ale orczyca odepchnęła słabnącymi rękami jego pierś, jakby chciała go ostatni raz zobaczyć. Jej usta ułożyły się w słowa:

– Kocham... cię... Gitlier.

A potem zamknęła oczy Myszka, która kochała Schmidta do końca świata i na końcu świata. I krzyknął Überwunder w próżnię, i wykrzyczał cały świat, chociaż nikt nie mógł słyszeć jego głosu.

I chociaż brakowało tlenu, nie umierał, ostre promienie słońca bowiem atakowały chlorofil w jego skórze, dając mu dodatkową energię, promieniowanie jonizujące zaś zmieniało jego fizjologię.

A potem Schmidt zaczął spadać.

I gdy tracił już przytomność z zimna, rozgrzały go tarciem wyższe warstwy atmosfery.

I począł się Schmidt palić, otoczony huraganem plazmy, a skóra Myszki zwęglała się i odrywała od ciała.

I spadali tak w huku zawiei, aż Schmidt trzymał już w poparzonych łapach tylko małe, spalone truchło Katiuszy.

I krzyczał.

Strasznie krzyczał.

Ledwie widział na oczy, ale spostrzegł pośród dymów i ogni okręt podwodny. Wycelował i powiedział:

– Teraz cię rozpierdole, Rasputin!!!

Orki Wielkiej Floty zorientowały się w końcu, że są atakowane od tyłu, lecz stało się to nie po tym, jak salwy Jaryła i Swarogów na tyle przetrzebiły Topole i Wielkich Iwanów ciągnących Latający Kreml, że samolot zatrzymał się i przechylił na skrzydło, ale wtedy, gdy przeciwpancerne pociski Tytana, Kocura i Gejtofhella ubiły czterech Wielkich Iwanów z prawej burty jadącego na lewej flance Floty *Jelcyna*. Wskutek tego lotniskowiec, wciąż napędzany chwackimi rzutami okrętowych kotwic na lewej burcie, skręcił w prawo, trując dwie wyrzutnie rakiet i trzy transportery piechoty, po czym wbił się z chrzęstem w bok *Brezniewa*, a ten w zwolnionym tempie zaczął się przewracać na bok, razem z nim zaś poczęły się obalać Wielkie Iwany oraz wszelki dobytek, który stał na pokładzie, łącznie z małym domem publicznym dla pilotów i jego słynną burdelmama Heleną Jurijewną Pietkun.

Orły, Pięści i najemnicy skręcili ostro w lewo, by ominąć dwa wraki, i napotkali, co prawda rozproszone, ale jednak znaczne, siły przeciwnika.

– Góral, działo spirytusowe – zakomenderował Orłowski.

– Tajest! – krzyknął POLOM i jadąca dotąd z tyłu Lubawa wysforowała się na pierwszą linię, po czym zaczęła skrapiać orki w promieniu dwustu metrów etanolowym deszczem.

Efekt był niemal natychmiastowy. Orki śmiały się i rechotały, a wreszcie chwyciły się za brzuchy, niektóre zaś za coś innego. I tak rozstawały się z życiem z uśmiechem na gębach i radością, wręcz bratając się z Kostuchą i już omawiając, co będą pić w zaświatach. Kto zresztą wie, może połączenie alkoholu i ich genów dawało w efekcie widzenie astralne? Jeśli jest tu ork, niech powie, jak to wygląda. Tak czy owak, falanga najemników, Orłów i Pięści wbiła się w orkowe siły, które wydawały się coraz bardziej rozproszone. O ile bowiem dotąd jakaś siła, jakby pieśń, trzymała je razem, o tyle teraz niektóre sztuki zaczęły leżeć tam, gdzie nie trzeba, inne zaczęły się ze sobą bić, pojawił się czołg, z którego ktoś walnął w inny czołg i rozpirzył go w drobny mak, potem ten sam czołg znowu strzelił i trafił w inny...

Orłowski zaznaczył pojazd na mapie.

– Słuchajcie, tego na razie nie ruszajcie, to jakiś dywersant.

– Tajest! – odparły Orły.

I miał major rację. Dywersantem tym był Aleksander Loński, Polak mieszkający niegdyś w Borsukach, wsi oddalonej o trzy kilometry od granicy z Białorusią. W roku dwudziestym drugim opuścił Polskę po tym, jak zlikwidował kilka person zagrażających rządowi. Osiadł w Indiach, zrywając kontakt z rodziną, chociaż żonę Olę kochał ze wszystkich sił, a za córeczkę

Ulę i synka Eryka dałby się pokroić. Jednak nie mógł wrócić – w kraju był spalony. Aby się utrzymać, został najemnikiem i znowu zabijał, tym razem dla pieniędzy. Kochał odbierać życie i nie zważał na fakt, że ci, których mordował, też byli jakimiś „Erykami” i „Ulami”. No cóż, nie każdy jest w stanie wspiąć się na takie wyżyny refleksji i Loński także tego nie potrafił. Mijały lata, Aleksander był coraz lepszy w swoim fachu, a mrok w jego sercu narastał. W końcu nastąpiła era N-Genu, lecz lek ten był dystrybuowany w Indiach wyjątkowo nierówno, więc setki milionów ludzi wzięły go na wiele miesięcy przed innymi. Doszło w tym miliardowym narodzie do olbrzymich wojen między ludźmi i Zielonymi, starć na biblijną wręcz skalę, których prawie żaden homo sapiens nie przetrwał. Aleksandrowi udało się uciec do Polski, gdy cały świat ogarniała już pożoga, nie odważył się jednak pojawić w domu. Obserwował Olę, Ulę i Eryka z ukrycia, bo on... także wziął N-Gen. I właśnie ukrywając się w lesie sąsiadującym ze wsią, przeżył to, co było nieuniknione. Pierwszy szał zaspokoił dziką zwierzyną i niech Perun zlituje się nad sarnami oraz lisami, które wtedy pożarł. W czasie, gdy typowy Zielony już się jednak wyciszał, on nie mógł zaznać spokoju, bo otaczał go zewsząd cudny zapach ludzi. Tylko Loński oraz stwór wszelaki zamieszkujący podborsuckie lasy wiedział, czym jest agonია homo viride atakowanego z każdej strony wonią ludzkiego biotopu. Jednak Loński nie złamał się, prawdopodobnie dlatego, że jako człowiek odznaczał się charakterem twardym niczym stal. Odciął sobie nos, sosnowym kijem wygrzebał nabłonek wyściełający jamę nosową, a następnie wetknął tam strzępy materiału i nie miało znaczenia, że boli. Gdy ku jego rozpaczy nos odrósł, po prostu zatkał go sobie na stałe, dla pewności zaś obwiązał szmatką. Szczękę miał olbrzymią, mocno wystającą, więc i tak oddychał przez jamę gębową. Kiedy wreszcie odzyskał zmysły i przestał się zmagać z różowym szalem, zaczął czekać na wojnę podobną do tej, którą przeżył w Indiach. Bo przecież musiała przyjść. A on musiał chronić rodzinę. Żywił się dziką zwierzyną, wybudował w ziemi kryjówkę i przysiągł sobie, że nie dopuści wroga do swojej wsi. Wojna jednak nie nadeszła, w każdym razie ta domowa. Polacy okazali się sprytni i nie wzięli przeklętego leku. Z jednej strony Loński się cieszył, z drugiej cierpiał, bo zrozumiał, że tkwi w klatce, niby szmaragd zaklęty w olbrzymim bursztynie. Zaczął z rozpaczy wyć nocami do gwiazd i księżyca, a borsuczanie opowiadali, że w lesie zamieszkał jakowyś czart albo inny wilkołak. Pomoc, paradoksalnie, przyszła z Buga. Borsuki zostały zaatakowane przez Zielonych, a Loński dzięki wyostrzonemu słuchowi i wzrokowi, które to zmysły zrekompensowały brak węchu, usłyszał ich nocny rajd i wybił potwory do nogi. Potem zjawiała się kolejna wataha i jeszcze jedna. Ataki powtarzały się, a mieszkańcy wsi odkryli, że w lesie jest dziwna siła, która ich broni, bo zmasakrowane szczątki Engelsów straszły dzieci chadzające tam na poziomki i jagody. Ola, zastanawiając się nad tajemnicą czarta, myślała czasami o Aleksandrze i zerknęła na knieję z nadzieją, lecz nigdy nie odważyła się do niej wejść, Loński zaś nie zaryzykował wyjścia do niej i pokazania swojej zielonej postaci. Ludzie w końcu przestali chodzić do lasu z „szacunku dla diabła”, a i dzieciom zabronili tam spacerować, wojska zaś nigdy o tym fenomenie nie powiadomili.

I tak Loński pilnował żony, dzieci i innych borsuczanie aż do tego strasznego ranka, kiedy przybyła Flota Rasputina i rozjechała Borsuki żelaznymi gąsienicami, jakby sioło było grudą ziemi, którą można wdeptać w grunt. Ola, Ula i Eryk zginęli, zginęli wszyscy borsuczanie, a z nimi umarła ostatnia ludzka część duszy Lońskiego. Bo gdy oddawali ducha pod wraźnymi kołami, gdy ginęli od kul i tasaków, ork poczuł kilka rzeczy naraz: zabijający duszę żal, potem żądzę mordu, a na końcu... wolność. Uwolnił się oto od wszystkiego: chęci przeżycia, przywiązania do ostatnich istot, na których mu zależało, i... wszelkich hamulców. Rosyjscy

Zieleni nie spostrzegli, że jest Polakiem, gdy mijali go, pokrytego zieloną posoką. Sądzi, że to jego krew. Jeden z czołgistów wziął go na pancierz, a on urwał mu łeb, rozplątał celowniczo, kierowcę zaś sterroryzował. Od tej pory, jadąc T-90, zniszczył dwadzieścia wozów bojowych. Nie miał pojęcia, jak długo potrwa jego zemsta, ale dopóki miał naboje pod łapą, zamierzał walczyć. Co ciekawe, kierującej czołgiem Jolancie Adamownej Persowej, istocie o nieziemsko skołtunionej fryzurze i naciągniętych na oczyska goglach, w końcu zabawa ta zaczęła się podobać.

Gdy Loński zobaczył polskie siły atakujące Flotę od tyłu, wysunął się z wieży, zamachał do nich białą-czerwoną flagą, którą zdjął w Borsukach ze zniszczonego budynku sołectwa, po czym schował się pod pancierzem.

– Ta wojna nie przestanie mnie zadziwiać – mruknął Orłowski, widząc znikającego pod pancierzem Engelsa i oznaczając jego pojazd jako sojusznicy.

– Przepraszam – stęknął Tygrys – czy ja widzę zielonego niedźwiedzia poganianego przez...

– Gdzie? – spytała Stawniak.

– Prawa burta.

Po chwili wszyscy ujrzeli misia pędzącego przez wertepy na monocyklu, a za nim wdzięcznie skaczącego z wykrotu na wykrot olbrzyma o pomalowanych na czerwono szponach u łap i stóp.

Scorsese przełknęła ślinę i strzeliła fotki.

Tymczasem zdjęcie orka chowającego się z polską flagą pod pancierzem obiegło wszystkie pojazdy, nie omijając Obcego Klaudii. Gdy piechociarze zamknięci w pojeździe zobaczyli fotkę, zaczęli się dziwować, a Deckard zbladł i podejrzliwie spojrzął na wojów.

– Co się tak gapisz? – spytała Zdzira.

– Nie, nic...

Mimo wszystko jednak Wielka Flota wciąż parła przed siebie i jej czoło było już na sześćdziesiątym trzecim kilometrze, to jest przed trasą północ-południe łączącą Sokołów Podlaski i Siedlce. Znanca tych historycznych wydarzeń wie, że właśnie tam król Justyn Łyżwa kazał zgromadzić potężne siły ściągnięte dosłownie zewsząd – z granicy południowej, zachodniej, z garnizonów wewnątrz kraju, z północy, no zewsząd. Stały więc karnie haubice, czołgi, armaty, leciały na wroga pociski setkami, lecz morze orków rozlewało się nieprzerwanie, choć po tym, jak zginął Szary, jakby szerzej i wolniej. Latały dziwaczne orkowe samoloty, hałasowały opancerzone orkowe śmigłowce, startowały rakiety, o które dbał wciąż żywy i żwawy Majselbaum, szara eminencja Floty, razem z osłaniającą go Jekateriną Humelt, szarą eminencją numer dwa.

Łyżwa oraz generałowie Woźniak, Lityński i Wypartowicz mieli nadzieję, że potężne siły Armii Zachód i Armii Wschód zatrzymają potop, ale się przeliczyli. Klin rosyjskich wojsk przebił się przez zasieki i masę pojazdów, a polskie oddziały musiały się wycofać i przegrupować.

– Cholera, tylko cud może nas uratować... – warknął Łyżwa. – Dlaczego ich nie doceniliśmy?!

– A może by „Dupą”? – zaproponował Wypartowicz. – To dawało niezłe rezultaty...

– Tylko przy bezpośredniej styczności, a do tego nie dopuszczę. Nadal rozrzucić alkohol na ich drodze. A co do „Dupy”... Jest już Buczkowski?

– Jestem, królu – odezwał się zza jego pleców naczelny propagandzista Piątej Brygady kapitan

Dominik „Domel” Buczkowski, pomysłodawca manewru taktycznego polegającego na pokazaniu nacierającym wrogom wielkich plakatów z półnągą modelką.

- Przywieźliście te płótna?
- Tak jest. Już są rozwożone wzdłuż linii frontu.
- Macie komunikację?
- E, tak.
- Bądźcie gotowi. Na razie nie będziemy tego marnować.

Uwagę Dzedaja zwrócił wielki rozbłysk na pokładzie *Kultury*, a był to blask teleportacji, przez którą Schmidt oraz Mysza znaleźli się na orbicie. Überwunder uznał, że zniszczenie okrętu przyczyni się do złamania rosyjskiego ducha, skoczył więc na haubicę, potem na Topola, a wreszcie na liny *Kultury* i energicznie pracując łapami oraz nogami, znalazł się na pokładzie, do którego ktoś przyspawał pociąg pancerny. I zobaczył śmiejącego się na cały głos dziwaka z krociem rur powbijanych w głowę. A potem ujrzał dzielny nasz wojownik totem na dziobie *Kultury*, wyglądający tak, jak śmiejący się ork, i doszedł do wniosku, że ten śmiejący się to musi być król. Warknął więc, doskoczył do niego i już chciał chwycić za bary, gdy między nim a Rasputinem pojawił się ork odziany w czerwono-biały pancerz, z białą płachtą ze skóry polarnego niedźwiedzia i z tarczą w kształcie czerwonej gwiazdy. A obok niego stanął kamerzysta.

– Ha, nikczemniku! – wrzasnął Kapitan Rossija i zamierzał mówić dalej, ale otoczyły go błyskawice i zniknął.

Rasputin zaklął, a Dzedaj chwycił go za bary, chcąc zgnieść w łapach. Oczy króla zaczęły się jarzyć i już miał przenieść Überwundera w miejsce dowolne, gdy stało się kilka rzeczy. Nagle rozległ się dźwięk odrzutowca, który przelatował tuż nad *Kulturą*. Król Słońce podrzucił łeb, przestraszony tym brzmieniem, a to tylko uprawiał dywersję F-16, który pojawił się nie wiadomo skąd. Widząc to, któryś z bojarów kopnął go tak mocno, że Krwawy Łabędź wystartował z *Kultury*, zamieniając się w niekierowanego orka powietrze–ziemia. I już Rasputin miał się skupić na Dzedaju, gdy ogarnął go niebiański zapach i przez chwilę widział rusałki oraz jednorożce galopujące po tęczowym niebie. Była to sprawka Nawojki Psotnika, który znając swój fach doskonale, tak się ustawił, by owionąć tylko Rasputina i bojarów. Ominął Dzedaja i być może działałby dalej, gdyby nie to, że potknął się na jednym z włazów *Pobiedy* i z niejakim zdziwieniem potoczył w dół burty okrętu. Rasputin, doświadczony po setkach halucynacji, mocną jednak miał głowę i szybko się ocknął, Dzedaj zaś, zdziwiony wszystkim, co się dookoła działo, nie wykorzystał szansy. I znowu rozpalily się ślepie Króla Słońce, a Überwunder zapewne wylądowałby nie wiadomo gdzie, gdyby za plecami Rasputina nie pojawił się Mikołaj Góretskij, na którego ramieniu siedział zielony bóbr i którego osłaniali od tyłu Kingas Glancas oraz Nikołaj Kasprzykowski, były Turok oraz Naczelnny Rozpłodas Wileński. Góretskij palił trzy cygara i z uśmiechem wbijał w plecy Króla Słońce wielki kuchenny nóż marki Victorinox przywieziony prosto ze stolicy Litwy.

– Poznajesz mnie, kochanieńki? – syknął królowi w ucho.

Lecz Rasputin znał ból i szaleństwo i wiedział, że poradzi sobie z raną, dlatego skupił się, by teleportować Dzedaja. Jednak nagle w jego głowie, w której zawsze szalało wiele głosów, odezwał się...

Mikołaj Góretskij.

– *Noż bliat!* – wrzasnął w myślach Rasputin, przyzwyczajony do tego, że zawsze ma przewagę w mentalnych pojedynkach z tymi, których wyszał w mózgoszejkach.

Pamiętajmy jednak, że Mikołaj Góretskij, niegdyś agent i kagebista, był biegły w sztuce utrzymywania mentalnej równowagi i być może w całej Wszechrusi nie było orka równie jak on umysłowo silnego. Gdy więc obudziła się jego jaźń w głowie Rasputina, najpierw zrobiła dokładny zwiad, a potem czekała na odpowiednią chwilę. I taka właśnie nadeszła. Jego gospodarz dostał cios w plecy, a naprzeciwko znajdował się mocarz, który był w stanie zakończyć parszywe życie Króla Słońce.

– *Pójdiesz... do piekła... razem... ze mną* – warknął Mikołaj w głowie Rasputina i zabronił mu teleportowania Dzedaja.

Król Słońce szamotał się, prawdziwy Góretskij dźgał go raz za razem w plecy, drugi blokował teleportację, bóbr szarpał władcę za jądro, Kasprzykowski walił go łapą, nie wiedząc czemu, w gluteusy, a Kingas Glancas trzepała w schaby trzonkiem od tłuczka, tak bowiem była zdenerwowana, że nie zauważyła, jaki trzyma oręż. Widząc okazję, Dzedaj otrząsnął się i z całej mocy ścisnął królowi czaszkę. Świadców usłyszeli potężny trzask, trysnął mózg rurami we wszystkich kierunkach, gęba władcy stała się trudna do rozpoznania, tak się spłaszczyła, strzeliły iskry, pioruny i inne wyładowania, po czym zewłok osunął się, a noszony przez Rasputina matriks wysunął się i wreszcie można było zobaczyć, co król tak skrzętnie skrywa w swojej tajemniczej torbie.

Był to odkurzacz przemysłowy Matriks AS 1200, wersja de luxe, chrom połysk, z trzyletnią gwarancją.

I tak zginął z wielu rąk Król Słońce, wódz Wielkiej Floty Wszechrusi, któremu i tak nie podobał się ten matriks, więc przeniósł się do innego.

Nagle powiał wiatr, zagrział grom i znikąd pojawiła się przerażająca Jewita Białołętskaja. I jak nie zamiecie pancerną miotłą! Aż iskry poszły przez całą długość *Kultury*, a zewłok Rasputina poleciał poza burtę okrętu i rozerwał się na kilka kawałków, które rotując, zniknęły w pyłe i dymach.

– No – sapnęła carska sprzątaczką, otrzepując łapy. – Wreszcie. Będzie czysto. Co się gapią? Szorować mi stąd, bo jak przejadę!

I zamachnęła się pancerną szczotką, a widząc jej furję, królobójcy czym prędzej czmychnęli z pokładu *Pobiedy*.

Obserwujący zgon Rasputina Caryca i Car (w dwojcy jedyny), chowający się za totemem, w którym wciąż smażyło się mięsko, nie reagowali. Król Słońce pozbawił ich ord i był nieprzewidywalny, a teraz władza przechodziła na nich, więc dlaczego nie? Gapiący się na tę samą scenę z dalej położonej wieży *Pobiedy* Orzuchskij, Francuz oraz Namber Tu także nie pomogli władcy. Żopa z nim. I chuj. „Tylko co teraz robić? – pomyślał Timur. – Dalej atakować Polskę pachnącą jak przedsiónek raję? W sumie czemu by nie? Tylko jak to poprowadzić?” Król Słońce był kimś w rodzaju Saurona, który subtelnym telepatycznym sygnałem spajał całą Flotę. Teraz, co było już słyhać, wszystko szło w rozsypkę, a flaszki coraz częściej krążyły z łap do łap. W dodatku ork zaczynał bić się z orkiem, w sumie nie wiadomo dlaczego...

– Czy nie ma już żadnej nadziei? – spytał Łyżwa i wtedy stały się znowu dwie rzeczy.

Wszyscy usłyszeli najpierw wizg i wrzask, a gdy spojrzeli w górę, zobaczyli meteoryt ciągnący kłęby dymu i ognia. Był to duży głaz, który darł się, jakby był żywą istotą. Głaz ten oto

tak grzmotnął w śródkręcie *Kultury*, że nie dość, iż wywalił wielką dziurę w pancerzu za kioskiem, to jeszcze dostał się do reaktora atomowego, rozlewając dookoła jakieś zielone mazie. Jedna z platform, na których opierał swoje masywne cielsko okręt, nie wytrzymała obciążenia i pękła z tubalnym jękiem, w związku z czym cała jednostka stanęła, a Wielkie Iwany, nieco zdziwione zdarzeniem, rozglądały się, stając łatwiejszym celem dla artylerii. Trysnęły salwy, polał się ogień, podniósł się zgiełk i dym i nadzieja wstąpiła w serca wojów broniących Twierdzy.

A potem...

Junior z Wolfem brali właśnie Wilczurem szalony wiraż, unikając staranowania przez Jaka-9, gdy, jak twierdzą świadkowie, Podgrudny poczuł coś, a jeszcze silniej poczuł to Tyszkiewicz. Strzelec Peruna rozejrzał się po polu bitwy. Jak okiem sięgnąć płonęły pojazdy orków i Polaków. Czołgi strzelały, strzelały haubice, latały rakiety i orki ziemia–powietrze tudzież Małe Iwany, watahy Zielonych biegały z lewa na prawo i z prawa na lewo, ale chociaż *Kultura* stanęła, orda wciąż szła ku Warszawie. Lecz nagle pośród dymów i ognia pojawił się spowity błyskawicami eteryczny kształt... Peruna. Śmigłowiec widmo przeleciał tuż obok Wilczura, a pilotujący upiorny pojazd Niania jakby w zwolnionym tempie spojrzął na Wolfa i zamachał ręką. Obok niego siedział Kietzman pełniący funkcję strzelca i wznosił kciuk. Wolf przetarł oczy, ale śmigłowiec, zbudowany jakby z gorącego powietrza unoszącego się w upalne letnie dni nad asfaltem, nie zniknął, tylko pomknął dalej, siejąc postrach wśród latających orków. Wśród walczących na ziemi Orłów przejechało w tym czasie mnóstwo innych widmowych pojazdów: czołgów, Rujewitów, Dażbogów i Jarył. Jastrząb wspominał potem, że przeżył wstrząs, widząc, jak w powietrze wyskakuje przezierny trójkołowiec kierowany przez szczerzącego zęby Jarotę, obok którego siedzi posyłająca mu tajemniczy uśmiech Alka. Wszystkie te widma strzelały ledwie widocznymi pociskami, a jadący nimi woje pozdrawiali Orły i Pięści, wlewając w ich serca otuchę. Orki zaś, także widzący to niezemskie zjawisko, bladły, rzucały broń i brały nogi za pas. Nad całą tą sceną pociemniało niebo, znikąd zebrały się chmury i uformowały wir, po czym ich zasłona rozdarła się w huku gromu i wyłoniła się z niej święta Magdalena Kozak, która spojrzała ognistym wzrokiem na wroga orde, rozpostarła ręce i krzyknęła:

– Prrrrrrecz!!!

A jej głos potoczył się we wszystkie strony.

Tak mówią świadkowie. Wolf wspominał, że dreszcz przeszedł go od stóp do głów, Junior zaś, że... odnowiła mu się rana zadana przez Schmidta. Tak czy owak, było to już jakby za dużo dla pijanych, pozbawionych „Ura” i telepatycznej więzi z Rasputinem Engelsów. Klony zaczęły dyskutować same ze sobą, ktoś zaczął śpiewać, ktoś wysłał raketę wstecz. Flota zatrzymała się, wzbijając spod kół i gąsienic tumany kurzu.

– Kryptonim „Dupa”! – krzyknął wtedy król, a na otaczających rosyjski klin pojazdach rozwinęły się płótna przedstawiające odzianą w bikini Zużę „Zadrę” Poniatowską.

To zaś spowodowało, że orki kompletnie powariowały i porzuciły dyscyplinę, ogłędnie mówiąc.

– *Huurrrraaaa!!!* – krzyknęło wtedy polskie wojsko.

I chociaż widmowe zastępy rozwiały się, niektórzy twierdzili potem, że wciąż słyszeli duchy poległych wojów toczących walkę z coraz bardziej zestrachanymi orkami.

– *Huuurrrraaaa!!!* – powtórzyli polscy woje i ruszyli do kontrataku!

Chociaż było pośród Zielonych mnóstwo zabijaków twardych i zdecydowanych nieść kulturę dalej i zaczęli się oni z zaciętymi pyskami ostrzeliwać, dając do zrozumienia, że łatwo skóry nie

sprzedają, stało się jeszcze coś, co ostatecznie przesądziło losy bitwy. Oto wrak okrętu podwodnego zatrzęsł się od ryku tak niskiego i przerażającego, że ze strachu kucnęli wszyscy: generał Lityński, generał Wypartowicz, król Łyżwa, operatorzy dział i haubic i oczywiście sami Engelsi, bo *Kultura* wygenerowała jakby pole elektromagnetyczne, od którego przez chwilę iskrzyły zamki broni, a silniki pojazdów się krztusiły.

– Co. To. Było? – spytał zachrypniętym głosem Justyn Łyżwa.

– Jakby coś pierdnęło w wulkan – skomentowała stojąca przy nim Joe.

Pancerz *Kultury* rozchylił się w miejscu, w którym uderzył w nią meteoryt, a następnie stojące bliżej orki, Orły, które akurat podjechały do okrętu, oraz Pięści i najemnicy zobaczyli olbrzymią zieloną, zaopatrzoną w gigantyczne pazury łapę. Potem pojawiła się druga łapa i wtedy Orłowski zarządził odwrót, podobnie zresztą jak większość Engelsów. I ruszyła fala Zielonych i ludzi, oddalając się od okrętu jak od kamienia rzuconego w jezioro. Car, Caryca, Timur, Namber Tu i Francuz skakali z pancerza *Kultury*, zjeżdżali po linach i pruli byle dalej od przerażającego zjawiska. Tylko Wielkie Iwany, znaczy te, które przeżyły, stały bezmyślnie, nie rozumiejąc, co się dookoła dzieje. Z rozdartego pancerza okrętu wychynął wielki łeb, a wyładowania elektryczne pełgały po kolcach na jego czubku i na szyi bestii. Ta ryknęła, Łyżwa zaś, oddalony o ładny kilometr, poczuł, jak od fali akustycznej rzezi na nim Chors. Ci, którzy byli bliżej, twierdzili, że latały im nawet plomby w zębach. Zielona bestia dźwignęła się na łapach i wysunęła z dziury jedną nogę, drugą, a po nich... ogon. Ogon masywny, długi, zaopatrzony, podobnie jak grzbiet, w długie wyrostki kolczyste, po których pełgały pioruny. Gigant wzniosł jedną z łap, na którą, niczym pierścień, miał nasuniętą blachę z białą-czerwoną szachownicą.

– To Dzedaj? – spytał Wypartowicz, obserwując zjawisko przez potężną lornetę.

– Niemożliwe – odparł Łyżwa, zerkając na tablet wyświetlający taktyczną mapę zmagania. – Mam go na radarze. Jest teraz na lewym skrzydle...

– To... Schmidzilla – powiedziała martwymi wargami Joe, której raptem odechciało się żartować.

– Skąd wiesz, błaznie? – spytał Justyn.

– Nie słyszeliście? Ryknął „Apokalipsa”.

– Żartujesz.

– No nie, tylko ja to słyszałam? Nagracie to.

Bestia miała ze trzysta metrów i zachowywała się tak, jakby prostowała kości w dopiero co powstałym ciele, to zaś wybrzuszało się, promieniowało, falowało i trzeszczało tak, jakby zakleszczały się w nim stalowe dźwigary, koła zębate i dźwignie. Wreszcie, gdy potwór do końca się wyprostował i gdy okazało się, że ma metrów najmniej piętnaście, ryknął po raz drugi, otworzył paszczę i strzelił piorunami z gęby, rażąc dziesiątki rosyjskich orków i wrywając z ziemi fontanny gruzu. Następnie wykonał łapami ruch, jakby mówił: „Do domu! Do domu!”, i rosyjskie orki zaczęły spierdalać gdzie pieprz rośnie. A żeby podkreślić jeszcze dobitniej swoje intencje, Schmidzilla wziął zamach prawą nogą, po czym kopnął Wielkiego Iwana jak piłkę, a ten poleciał pod niebo i spadł prawdopodobnie już za Bugiem. Następnie moloch chwycił drugiego Wielkiego Iwana, zerwał łańcuch łączący go z *Kulturą* i cisnął nim jak kulą bilardową. Tępy gigant potoczył się, miażdżąc cielskiem dziesiątki pojazdów, i zatrzymał się tak daleko, że nie było widać gdzie, bo kilwater znaczył deszczem lejących wysoko odłamków, orków i ziemi.

Świadkowie twierdzą, że Schmidzilla chwycił jeszcze haubicę i posłał ją za Iwanem, potem tak samo postąpił z kilkoma innymi pojazdami, a następnie pędził tak ordę aż do Bugu, kopiąc pojazdy i Rosjan, rzucając nimi i zamiatając ogonem, wciąż dalej i dalej, i dalej. Podobno kręciła

się też wokół stóp olbrzyma jakaś dzika furia, która z pancerną szczotką pomagała mu sprzątać ten bałagan. Ale kto by tam wierzył w takie bajki. Orczyca z peruką afro na głowie?! W gorsecie?!

Gdy Schmidzilla był już kilka kilometrów za rzeką, odwrócił się w stronę Twierdzy...

I powolnym ruchem...

Zasalutował.

– O kur... – skomentował obserwujący go z powietrza Wolf.

Sztandar 13

Tak właśnie mniej więcej skończyły się zmagania dziewiętnastego lipca 2057 roku. Była to bitwa, której o mało nie przegraliśmy, bo nie doceniliśmy przeciwnika. Schmidzilla, zgodnie z zeznaniami zwiadowców, zaczęła przesuwać się na południe, zerkając na jakiś mały przedmiot przypominający kompas, a w miejscu, gdzie orda wdarła się do Polski, pozostało mnóstwo wraków, ciał pokonanych orków, trochę rozpiezchniętej na różne strony zielonej fauny, radioaktywny okręt podwodny z przyspawanym do niego pociągiem pancernym, dwa lotniskowce i Latający Kreml.

Gdyby ktoś interesował się losem Lońskiego, to uciekał on razem z innymi orkami przed zieloną Godzillą, a gdy potwór przestał już ich gonić, napotkał w jednym z lasów chudego orka prowadzącego, niczym w pijanym widzie, krowę. Gość pomalowany był na niebiesko i przypominał Polakowi mieszkańca Indii.

- Hej, Indus! – krzyknął Loński po rosyjsku z wieży czołgu.
- Skąd wiesz, że jestem Indusem? – odkrzyknął Juddu.
- Zgaduję! Podrzucić się do Delhi?

Juddu uśmiechnął się, skinął łbem, po czym podszedł z krasulą, przywiązał ją do czołgu i wdrapał się na pancierz.

- Krisznamutri – przedstawił się.
- Loński.

– A ja nazywam się Jolanta Persowa! – wrzasnęła z wjazdu pancerniczka całkiem już pogodziona z nową funkcją.

- Bardzo mi miło – odkrzyknął Juddu i spojrzał na Lońskiego. – Jestem weganinem.
- Popierdoliło cię? – odparł Aleksander, a Persowa parsknęła tak, że zapłuła połowę kabiny.

I tak zaczął się skynny epos *Juddubharata*, który został potem spisany na setkach płatów brzozy kory i legł u podstaw filozofii indyjskich orków, przedstawiał bowiem zderzenie ideologii przemocy i łagodności. Ale o *Juddubharacie* opowiemy kiedy indziej, dobrze?

Co do Mikołaja Góreńskiego, Nikołaja Kasprzykowskiego, zakochanej w nim Kingas Glancas i bobra Misiewiczza, odnaleźli dzielnego zielonego łosia, którego Góreński nazwał Waligórą, a potem oddział Krwawych Łabędzi i udali się razem na południe, w kierunku Lwowa, ale później odeszli w stronę Kaukazu, przewidując, że Bliadzi spróbują poszerzyć swoje terytorium. „W pobliżu granicy nigdy nie będzie spokojnie”, ostrzegła Glancas, a inni przyznali jej rację.

Orzuchskij, Francuz i Namber Tu przetrwali pożogę, podobnie jak Caryca i Car, którzy stworzyli pokojową radę Wielkiej Floty i przemianowali ją na Wielką Orde, stwierdziwszy, że wojna psychologiczna owszem, sprawdziła się, ale już dosyć tej maskarady i pora zastąpić ją innymi symbolami, chociażby gołą babą i penisem, następnie zaś rozdzielili ją na pierwotną ordę północną, którą zajął się Łuka-Wiśniewskij, i południową objętą przez Traszkę. Orzuchskij z dwoma kolegami przystał właśnie do niej, Roch Siemianowskij także, ale zrezygnował z pracy tresera po tym, jak napatrzył się na rzeź Borostworów podczas ataku na kraj Bliadych.

Schmidzilla, któremu postanowiła towarzyszyć Białołętskaja, najwyraźniej zniesmaczona

dotychczasowymi poczynaniami krajan, długo jeszcze rozpamiętywał utratę Myszki, czemu dawał wyraz, rycząc tak doniośle, że słyszały go podobno nawet orki z Kamczatki. Niestety, stracił większość swojej inteligencji. Przestał mówić, chociaż wciąż toczył z Ixim w miarę sensowne wewnętrzne dialogi, Ixi bowiem powrócił inteligencją mniej więcej do tego poziomu, który reprezentował podczas niemieckiego rajdu na Warschau. Stracił zdolność kierowania olbrzymim ciałem, stał się więc niejako pasażerem na gapę, który mógł wyglądać przez okna oczu Schmidzilli i słuchać świata przez jego uszy. Były pisarz pamiętał jednak, że chce wrócić do domu, pamiętał, że nie może iść przez Polen i że nigdy już nie skrzywdzi smacznych, ale także szlachetnych polnische Rose. I że niebieska wskazówka na kompasie, który jakimś cudem przetrwał lot w płonącej atmosferze, wskazuje południe. Ci, którzy obserwowali go i nagrywali jego ryki, zwłaszcza profesor Miłosz Kasprowicz, twierdzili, że ryki mają sens i układają się w rozmaite frazy, czasami rymowane, na przykład „Dupa sraka, bura suka”, „Kupa mistrza” lub „Zabij Ruska w dupie kluska”, jednak całe gremium uniwersyteckie kpiło z profesora, a jego tezę o religijnym podłożu owych fraz otwarcie wyśmiano.

Wielką bitwę przeżyli także Rob, Kiemnitskij oraz Sztuczna Inteligencja i we trójkę rozpoczęli marsz ku prywatnemu lotnisku byłego milionera. Jak mówią legendy, pewnego dnia tam dotarli.

Losy Majselbauma i Jekateriny Humelt niestety nie są znane, chociaż niektórzy twierdzą, że od czasu do czasu nad kniejami Białorusi słychać było po bitwie charakterystyczne dla tej drugiej pokrzykiwania. Podobnie rzecz się ma z Dzejmsem Makdonaldem, Matwiejem Harmoszką oraz Gitą i Gatą, ale skoro tu i ówdzie słyszano dźwięk harmonii i jakby cygańskie piski, którym towarzyszył tembr przypominający radiowego spikera, może i oni przeżyli ten Drang nach Westen...

Co do Kapitana Rossii zaś...

W huku błyskawic wyłonił się razem z dzierżącym kamerę Hobartem Pine'em na drewnianej platformie zawieszanej pośród zalanych słońcem wież gotyckiego kościoła. Rozejrzał się i najpierw zobaczył kilkanaście orków leżących na łożach z baldachimami i z debilnymi uśmiechami palących pogandogi, potem rozpościerające się dookoła miasto pełne kościołów, powietrznych mostów, chodników, lin i drabin, a następnie patrzące na niego z niedowierzaniem ponętne zielone niewiasty.

Wilnianki spojrzały na jego tarczę, płachtę i pancerz, potem zaś na potężną płytę chroniącą, jak pamiętamy, olbrzymie przyrodzenie Makneila zwanego Ćwiekiem, zwanego Farfoclem.

– Ach! – krzyknęły zachwycone, zakrywając pyski dłońmi w geście zawstydzenia.

– Hello, ladies! – Kapitan Rossija ukłonił się dworsko, błyskając kłami w szelmowski uśmiechu, nie wiedział bowiem jeszcze, jaki czeka go los...

Hobart zaś wyszczerzył z podniecenia kły i włączył kamerę, bo już się domyślał, jakiego typu filmy będzie od tej pory nagrywać.

Dzedaj przeżył bitwę i wrócił do swojej Ma-Rudy z kilkadziesiątoma ranami, na szczęście niegroźnymi. Król zapewnił, że bohater otrzyma wygodniejsze lokum na świeżym powietrzu, a on sam przedyskutuje z doradcami, czy nie włączyć orka do polskich sił specjalnych, za co Paulus Wäsel serdecznie podziękował, zawiązał mocniej chustę na nosie i poprosił o małą krówkę do przekąszenia, tłumacząc, że zaczyna się denerwować...

Podczas bitwy wyrzucono w stronę orków połowę zasobów Polskiego Monopolu

Spirytusowego, ale potraktowano tę stratę w ten sam sposób, w jaki podchodzi się do strat amunicji. Naukowcy Twierdzy zapowiedzieli, że stworzą nowy typ dział miotających nie tylko butelczyny, ale także pociski spirytusowe rozpryskujące się w powietrzu i zraszające hordy deszczem szczęścia.

Co do losów Martyny, Flystara i Fotofaszysty, uczestniczyli w bitwie do końca, kilkakrotnie lądując i uzupełniając zapasy. Gdy wreszcie wysiedli ze śmigłowca i zobaczyli, w jakim opłakanym jest stanie, zdziwili się, że im się udało, gdy zaś spojrzeli na siebie, umorusanych sadzą i poranionych, rzucili się sobie w ramiona, śmiali się i płakali. A Lasyk pstrykał zdjęcie za zdjęciem, fotki jego zaś wykonane podczas bitwy stały się najsłynniejszą dokumentacją fotograficzną Wielkiej Wschodniej Inwazji, jak potem nazwano napaść Floty.

Jeśli chodzi o Orły, Pięści i najemników, Orłowski poprosił Łyżwę, by pozwolił im najpierw pojechać do Dworczyśka i Uroczyska, a potem dopiero uczestniczyć w odprawie. Król się zgodził, zarządził jednak konfiskatę trzech orkowych ciężarówek z N-Genem, natychmiastowe przewiezienie znaleziska do stolicy i zbadanie preparatu pod kątem przydatności. Gdy Orły, Pięści oraz najemnicy kierujący czerwonymi gigantami przesiadali się do swoich wozów, a Kubala pod troskliwym okiem medyków był przenoszony do karetki, która miała go zawieźć do stołecznego szpitala, król, zobaczywszy Wiechucką idącą przy noszach, zawołał ją do siebie.

– Pani chorąża?

– Na rozkaz. – Runa podbiegła i zasalutowała do brudnego hełmu.

– Pani ojciec... – Łyżwa przełknął ślinę. – Pani ojciec poległ, broniąc garnizonu w Starym Bubl. Wykazał się odwagą i niezłomnością w obliczu wroga. Wziął na siebie pierwszy impet uderzenia i nie złamał się. Cześć jego pamięci.

Runa stała przed królem nieruchoma i blada, a potem zaczęła się chwiać, dotarło bowiem do niej, że właśnie została sierotą. Pojawił się przy niej Zgud, potem Mardok, Deckard, Zdzira i Żmij. I podparli ją, bo najwyraźniej osłabła.

– Trzymaj się, Runka – szepnął jej do ucha Dawid.

– Tak... Tak...

– Poległych będziemy chować za kilka dni. Dam wam znać – odezwał się łagodnie król.

– Tak... Dziękuję.

– Wiem, że nie układało się wam, ale... może być pani dumna z ojca.

Dziewczyna pokiwała głową, odpowiedziała salutem na salut władcy i odeszła z piechociarzami.

Potem była długa jazda. Najpierw przez pola i sioła nadszarpnięte orkową napaścią – widać było wraki czołgów, samochodów, śmigłowców i samolotów, zielone ciała, leje po pociskach, gdzieniegdzie rozbitą chałupę lub powalone drzewo, ślady wozów jadących polami, zwaliska gruzu. A później wjechali w krainę czystą, nietkniętą pożogą i napaścią. Jednak na ulicach nie witali ich cywile machający chusteczkami ani dzieci rzucające kwiaty. Licznymi drogami, głównymi i pobocznymi, wracali z wojny uzbrojeni obywatele Twierdzy, w pojazdach nierzadko osmalonych i pełnych dziur po kulach, a na pakach pick-upów czasami wieziono rannych lub zabitych. Nieodmiennie jednak członkowie pospolitego ruszenia machali do wojów i wykrzykiwali:

- Tośmy im dopierdolili, co?!
- Nie mieli szans!
- Mamy Poldzillę!
- Poldzilla – roześmiał się Mardok jadący z resztą piechociarzy na panczerzu Dażboga. – No nie do końca to tak jest, ale niech im będzie.

Wjechali do Uroczyska–Dworczyska, zaparkowali na starym miejscu i zaczęli wysiadać. Orłowski, który wyskoczył wreszcie z Tura, zdając sobie sprawę, że przez całą wyprawę z niego nie wychodził, zaczął się zastanawiać, czy nie przemianować go na „Mirmiła”, skoro jest w składzie Lubawa, jednak zrezygnował, gdy przyjrzał się panczerzowi wozu. Zarówno jego pojazd, jak i inne należące do batalionu nosiły ślady licznych trafień: panczerze miały większe i mniejsze ubytki, przeważnie od strzałów pod dużym kątem i dlatego pociski nie przebiły się przez stal. „To zasługa prędkości i mobilności” – myślał. Hełmy piechociarzy i zbroje także były pełne trafień. Zuza zginęłaby od strzału w szyję, gdyby nie jej osłona. To samo dotyczyło Gorzkowskiego. Podgórska miała ślady trafień na osłonie twarzy hełmu Krak, trafienia na osłonie szyi, na panczerzu piersiowym i osłaniającym plecy. Wszyscy motocykliści byli potężnie poobijani. Miktus, Pawłowska i Runa kazali się im rozebrać i wtedy okazało się, że pajęcze bluzy zatrzymały sporo pocisków. W miejscach złączeń panczerzy woje byli tak posiniaczeni, że niemal można było zobaczyć, gdzie one przebiegały.

– Nowickiemu należą się podziękowania – mruknął Orłowski.

– I tej Włochaczowej też – mruknął Mardok.

Podszedł do nich Szczygło w towarzystwie Rusałki i Kuciapa. Ona miała przewiązane ramię, on bandaż na oku. Sam Łukasz „Sowa” Szczygło też nie wyglądał najlepiej – miał na twarzy i panczerzu zakrzepłą krew zieloną i czerwoną.

– Straciłem trzydziestu ludzi – chrypnął i splunął na ziemię. – Trzydziestu trzech. Kurwa. I mam dwudziestu jeden ciężko rannych.

– Yamato wrócił?

– Tak, udało im się. Obstawie też. Ale niech mi pan powie, panie majorze, jak u was ze stratami?

– Jeden. Z Pięści. I jeden ciężko ranny, od nas.

Szczygło spojrzął w bok, jakby chciał zakląć, i jeszcze raz splunął.

– Jeden?!

– Major Mieczysław „Kula” Biały. Ranny sierżant Kubala.

– U nas prawie wszyscy są ranni. Ja też. Kurwa, z czego jesteście zrobieni?!

Orłowski przełknął ślinę, zdając sobie sprawę, że gdyby nie pojazdy, profesjonalne panczerze, szkolenie i prototypowe rozwiązania, mieliby podobny procent strat.

– Mieliśmy lepszy sprzęt.

Szczygło pokręcił głową.

– Oby ten... interes... się nam opłacił.

Major spojrzął na swoich medyków opatrujących rannych.

– Kapitan Miktus, był już telefon ze stolicy? N-Gen jeszcze zadziała?

Miktus wykrzywiła się.

– Nie, jeszcze nie wiadomo.

– A pani jak myśli?

– Podejrzewam, że do zagarnięcia przez Engelsów był dobrze przechowywany, znaczy w cieniu i chłodzie. Jak długo N-Gen był w łapach Zielonych, w upale, nie mam pojęcia. Jutro, najdalej pojutrze powinniśmy wiedzieć, czy się nadaje.

Do Orłowskiego podeszli Bartosz Renans, Zofia Murawska i Piotr Rago. Renans położył starczą rękę na ramieniu dowódcy.

– Czyli kiedy możemy się spodziewać odpowiedzi?

Orzeł spojrział na starca zdziwiony, bo przecież Miktus przed chwilą powiedziała, ale odetchnął i cierpliwie odparł:

– Wyniku testów? Za dzień lub dwa.

Renans pokiwał smutno głową.

– Co pan taki smętny? – spytał Szczygło. – Dla pańskiej Zielonej Przyszłości zginęło ponad trzydziestu ludzi. To nam powinno być smętno.

– Właśnie dlatego źle się czuję – rzekł staruszek.

Rusałka trąciła Szczygłę w bok, a ten skrzywił się z bólu.

– Niech pan go nie słucha, panie Bartoszu. Wiedzieliśmy, jakie jest ryzyko, a rajd na Zielonych zrobiliśmy z własnej woli. Dla Twierdzy.

– To wspaniałe z waszej strony. – Renans przełknął ślinę. – Ale co? N-Gen był w Wilnie?

– Nie, panie Bartoszu – odpowiedział Orłowski. – Odkryliśmy go przypadkiem. W ordzie ruskiej.

Starzec wytrzeszczył oczy.

– Niemożliwe!

– Możliwe. Oni mieli jakieś plany związane z tym lekiem.

– Mielibyście Zieloną Przyszłość gratis – odezwał się Mardok.

– Ach...

Rozmowę przerwał dźwięk licznych samochodów zbliżających się od zachodu. Chwilę później usłyszeli radosne krzyki i zobaczyli, że to mieszkańcy Uroczyska i Dworzyska wracają ze zwycięskiej bitwy. Na czele toczył się wóz Dalamberta, a on sam jechał, rozpostarłszy ręce, jak jakiś bohater.

Zatrzymali się w pobliżu wozów najemników, Pięści i Orłów.

I nagle zrobiło się wesoło i gwarno, a każdy gadał przez każdego. Woje dowiedzieli się, jak dzielni cywile ustawili atrapy murów zrobione przez Dalamberta i zza tych osłon pruli w prawe skrzydło napierających na Twierdzę orków, jak zniszczyli z bazooki szarżujący czołg oraz śmigłowiec, jak wreszcie pogonili niewielką watahę, która oddzieliła się od głównych sił, a to przy pomocy innych cywilów i COP-ów, którzy stworzyli z nimi „front północny”. Wszyscy byli rozochoceni i podnieceni, dopóki z wozów najemników nie zaczęto wnosić pokrwawionych, pozbawionych kończyn i głów zmarłych, a potem jeszcze z Mora wyciągnięto w bordowym worku majora Białego.

Po południu wrócili z frontu pułkownik Jarmuła i kapitan Cegielski. Obaj byli umorusani, a pułkownik szczególnie szczęśliwy, bo podczas walk zgubił gdzieś bioprotezę i teraz musiał posługiwać się wyłącznie kikutem. Gdy dowiedział się od sierżanta Jakuba „Szabli” Pokojskiego, że major Biały poległ, zacisnął zęby, po czym oświadczył:

- No to, Szabla, masz swój batalion. Nie rozbij go przy najbliższej okazji.
- Ku chwale Twierdzy, panie pułkowniku. – Szabla zasalutował i odszedł poważny. Dołączył do niego Vista i tak zniknęli w grupie wojów Pięści.

A potem nadszedł wieczór. Zabitych najemników zaopatrzone i wsunięto do worków, by ze złością złożyć razem z majorem Białym w jednym z pancerników. Pogrzeb miał się odbyć za dwa dni, a poległym mieszkańcy Dworcyska i Urocyska obiecali usypać kurhan. Żywi umyli się, rannych opatrzone, pancerze pomyto, wozy wyszorowano, broń wyczyszczono. Zmęczeni i obolali usiedli wszyscy przy wielkim ognisku, Raczkiewicz nalał do kubków Orczej Krwi, a Orłowski, chociaż wyczerpany i senny, zgodnie ze swoim zwyczajem zaczął obchodzić własnych ludzi i pić z nimi po łyku bimbrowa.

Najpierw podszedł do kapitan Małgosi Gwary, której załoga dokonała podczas tej wyprawy czynów bez wątplenia bohaterskich. Ku zdziwieniu majora przy Kici warował nie tylko Tygrzyk, w którego oczach wciąż paliły się ognie starcia, ale także jakaś atrakcyjna najemniczka. „A, to ta Monika Wuwer – pomyślał major. – Też »Kicia«”.

- Jak tam, pani kapitan? – spytał Gwarę, wyciągając kubek i stukając w jej.

Kicia uśmiechnęła się, targając i tak roztrzepane włosy.

– Kocur podrapany, panie majorze. W zasadzie do generalnego remontu. Grubens i Skarpeta już coś tam oglądali i strasznie cmokali.

- Sokół się sprawdził? – Wskazał działonowego.

Gwara pokiwała głową.

- Świetny jest. Oczywiście, duch Dziada... – Kapitan zakrzuszyła się od nagłego wzruszenia.

– Tak, czuwał nad nami. Widziałem.

- Pan też widział? To był taki... taki... Dziki Gon, prawda? Nie zdawało mi się?

– Wszyscy to widzieli, Kicia. – Orłowski westchnął, bo podobnie jak inni, nie potrafił wyjaśnić tajemniczego zjawiska. – Czyli się sprawdził? – Wskazał wzrokiem sierżanta Sokołowskiego.

- Sprawdził.

– Świetnie. Fłaszka, cały?

Raczkiewicz zwrócił na niego przypieczoną z jednej strony twarz pokrytą plastrami przeciwooparzeniowymi.

- Cały, panie majorze.

– Kiedy tak oberwałś?

– Coś pierdolnęło, jak jechaliśmy przez orde. Wybuch. Słabo słyszę na to ucho. – Wskazał obandażowaną małżowinę. – Ale Runka mówi, że, he, he, do wesela się zagoi.

- Nie pij za dużo. Oparzenia nie lubią alkoholu. Rozszerzają się naczynia.

– Panie majorze! – wrzasnął obrażony Raczkiewicz. – Dobry bimber jest lekarstwem.

Lekarstwem!

– No dobrze. – Orłowski uśmiechnął się, skinął ręką na pożegnanie załodze Kocura i ruszył do inżynierów, którzy z wielką uwagą oglądali swojego Mecha.

– Transformerek się przypiekł – oznajmił z troską porucznik Michał Chudoliński zwany Grubensem.

– No. Tego wgniecenia – porucznik Szymon Kosikowski zwany Skarpetą wskazał spory ubytek na prawej burcie – nie da się wyklepać. Do wymiany.

– Yhm.

– Dźwig cały.

– Ani razu go nie użyliśmy. – Grubens pokiwał głową.

– To chyba dobrze? – Major podszedł do nich, klepnął Chudolińskiego w ramię i popatrzył razem z nimi na dzielny pojazd. – Sprawił się, prawda?

– Jest takie przysłowie inżynierów i żeglarzy – odezwał się Skarpeta. – Im troskliwiej zajmiesz się statkiem na lądzie, tym bardziej ci się odwdzięczy podczas rejsu.

– Świetna robota, panowie. Z uzupełnianiem amunicji, asystami, pomocą dla Zbrojowców i całą resztą.

– Z Kulą daliśmy ciała – zasepił się Chudoliński.

– Dajcie spokój, poruczniku. Zrobiliście, co mogliście.

– Gdyby...

– Wystarczy. Widziałem wiele razy, jak różni specje próbowali otworzyć zakleszczonego Trojana, oczywiście nie *tak* zakleszczonego. Pobiliście rekord świata.

– Naprawdę? – Grubens spojrział na Orłowskiego z nadzieją.

– Naprawdę. Cieszę się, że mam was w batalionie.

Skarpeta zarumienił się.

– Bardzo nam miło...

– I wystarczy tych słodkości. – Orłowski uśmiechnął się. – Gdzie wasze kubki? – Pokazał bukłaczek z samogonem.

– A, już, już...

Grubens zakrzętała się przy jednej z metalowych sakw przytwierdzonych do burty Mecha i wyciągnął z niej dwa fantastycznie wygrawerowane stalowe kubki ze wzorem orła i kół zębatach.

Orłowski spojrział ze znanstwem na naczynia.

– Skąd to macie, panowie?

– No zrobiliśmy... – Skarpeta podrapał się w głowę.

– Zamawiam dla całego batalionu – oznajmił major. – To dzieła sztuki.

– E tam – uśmiechnął się zarumieniony Grubens.

– Dzieła sztuki. Dla wszystkich.

– Na rozkaz.

Orłowski wlał do naczyń Orczej Krwi i wznosił kubek.

– Za następne udane misje.

– Zdrowie, panie majorze – odpowiedzieli inżynierowie.

Porozmawiali jeszcze chwilę, po czym dowódca skinął im głową i ruszył do następnej grupy, zgromadzonej przy Obcym. Widząc go, plutonowy Hadder pierwszy przyskoczył z kubkiem i trącił kubek Orłowskiego.

– Szefie – zmarszczył łagodną twarz – nie dali mi postrzelać z Doriana.

– Tej twojej bazooki?

– No.

– Było za gęsto, Lenny. Prawda, Klaudia?

Kapitan Heintze podniosła się z pniaka i podeszła do nich razem z sierżant Joanną Malik.

– Prawda. Wieźliśmy piechociarzy, Lenny. Musieliśmy na nich uważać. Obcy to transporter, nie czołg.

– Chcę mieć czołg – nadął się Hadder.

– Malik cała? – Major spojrział na sierżant z troską.
– Tak. Tym razem się udało – odparła, uśmiechając się ciepło.
– Obcy ma dwie przebite opony. – Heintze zacisnęła zęby. – Najgorsze, że nie wiem, kiedy to się stało.

– Sporo się działo.

– Prawda.

Major stuknął kubkiem o kubki, wypił łyk i poszedł dalej. Kapitanowie Kamil „Wolf” Tyszkiewicz i Mariusz „Junior” Podgrudny starali się poderwać dwie miejscowe ślicznotki, którym towarzyszyły znane mu już Bella i Traut. Syrenami były Monika... jak ona się nazywała... Druga, blondynka, której przedtem nie widział, trzymała na smyczy dwa labradory.

– Panie majorze – powiedział dwornie Wolf – Monikę Ferens już pan zna, a to pani Anna Sukiennik, śliczna miłośniczka psów.

– Bardzo mi miło.

– Nam też. – Sukiennik wyciągnęła smukłą rękę.

Orłowski ucałował ją ze czcią.

– O Perunie, jak dawno mnie nikt w rękę nie całował. – Anna zarumieniła się, a jej psy spojrzwały na majora z wdzięcznością.

– Nie chciałem wprawiać pani w zakłopotanie...

– Ależ skąd.

Orłowski spojrział na Juniora i znacząco się uśmiechnął.

– Rana... w sercu już nie boli?

Junior się zarumienił, bo zrozumiał, że major pyta o Kalinę.

– Dobrze... zioła tu mają. I plastry.

– No to się cieszę.

– Był pan ranny w serce, kapitanie? – przelękła się Sukiennik.

– Nie, tylko...

– Nom.

Orłowski odwrócił się. Stał za nim gość wyglądający jak Ponury Żniwiarz. Z kosą.

– Swarogu, co to jest? – spytał major.

– Kaptur – zachnął się mężczyzna i odsłonił twarz. – To ja, ksiądz Boch. Nie chciałem przestraszyć.

– Zakradając się od tyłu?

– Bo miecz odebrałem. Przyszedł.

– Poczta Polska mnie zadziwia – mruknął Wolf. – Jakim cudem tak szybko?

– No bo się okazało, że ja prekursorem jestem. – Ksiądz się zarumienił.

– Saulski działa – rzekł Orłowski, oglądając wyciągnięty przez Bocha wielki dwuręczny claymore z symbolem Twierdzy na zastawie. – Mogę? – Dotknął rękojeści.

Kapłan uśmiechnął się i ze czcią wręczył miecz majorowi. Ten zważył go w ręce, wykonał kilka zastaw, a potem machnął dwa razy, aż zafurczało powietrze.

– Dobrze wyważony. I wcale nie jest ciężki – skomentował.

– Ależ pan pięknie te cięcia wykonuje – sapnął proboszcz. – A zastawy! Klasyczne!

Stojące z boku Sukiennik, Ferens, Traut i Bella patrzyły zafascynowane, jak klinga błyska co chwila ogniem i groźnie warczy, zamiatając powietrze. A Orłowski wcale się nie męczył, zupełnie jakby był stworzony do ostrza, czym wprawił w osłupienie Juniora, który od tej strony szefa nie znał. Major wykonał jeszcze kilka sekwencji, po czym chwycił ostrze drugą ręką

i ponownie przyjrzał się mieczowi, tym razem z błyskiem w oku.

Kapłan uśmiechnął się.

– To teraz, jak przyjdą Zieleni...

– Oby nie przyszli, panie Boch.

– No ale jeśli...

Major uśmiechnął się i oddał miecz klesze.

– Oby nie przyszli.

Uklonił się i widząc, że Junior i Wolf są cali i zdrowi, poszedł dalej, gdzie biesiadowali zwiadowcy Oka, bardzo z siebie zadowoleni po odbiciu ciężarówka z N-Genem, no może z wyjątkiem Zuzy niemogącej sobie darować, że nie trafiła w łeb Engelsa, który o mało nie rozpołowił Fraydeya.

– Zuzka, nie płacz – pocieszał ją Thomas. – Gdybyś trafiła, nie miałbym okazji użyć szabli Jaroty. A tak jedyny w batalionie mam na koncie Zielonego pokonanego szlachetnym orężem.

– Naprawdę? – Poniatowska spojrzała na niego, robiąc ustami podkówkę.

– Oczywiście. Ucieszyłem się, widząc, że spudłowałaś. Ukradłabyś mi orka.

– A tak ty mi go ukradłeś.

Fraydey spojrzał na Orłowskiego.

– Szefie, puknij się z nami i niech łzy spłyną z Orczą Krwią.

– Dobrze powiedziane, Fraydey – odparł Orzeł i stuknął w kubki zwiadowców, mrugając do Wampira, żeby zatroszczył się o morale. Tamten powoli skinął głową.

– A jak tam Pawłowska i Gorzkowski? Dali radę? – Dowódca wskazał blondyna i mocarną sanitariuszkę grających na pieńku w jakąś grę karcianą i bardzo z czegoś uchachanych.

– Dali – rzekł Wampir. – Cezariusz jeździ jak szatan. Sam nie potrafiłbym podjechać do tej ciężarówy, żeby nie zrzucić Fraydeya z maski.

Dowódca Oka zerknął na szpiega, którego twarz nagle pojaśniała, a to za sprawą wyświetlacza smartfona, na którym widać było, kto do niego dzwoni. Była to „Xella”. Przez moment zastanawiał się, jak to skomentować, ale że nic nie przyszło mu do głowy, dał za wygraną.

– Pawłowska – ciągnął Wampir – sam miód. Może palcami otwierać konserwy.

Usłyszawszy to, Sergiusz uśmiechnął się z ulgą i stuknął w naczynia nowych nabytków.

– Ku chwale Twierdzy – szepnął, a oni wyszczerzyli zęby.

Potem przyszła kolej na obsadę Jaryła, czyli Diabła, Mojżesza, Jacentego i Siekierzyńskiego. Trzej pierwsi byli już nieźle napici, więc przywitali dowódcę jowialnie i głośno. Gdy Orłowski wymienił z nimi uściski, podziękowania i garść bitewnych wspomnień, odkleił się z niejakim trudem i podszedł do Siekierzyńskiego.

– Miałeś rację, Witek. – Objął go za ramię. – Gejtohell był w kilku miejscach niezastąpiony.

– Miałem – przyznał Siekierzyński i wznosił kubek w stronę załogi, a ta, głośno komentując, podniosła swoje. – Wróciliśmy bez strat.

– Dzięki wam?

– No ba! – wrzasnął Jacenty.

Witek machnął ręką i zachęcił Sergiusza, by odeszli kilka kroków.

– Wyobraź sobie – powiedział – że nas nie ma i że musisz rozwalić tę barykadę przed Wilnem. Rozwaliłbyś? Musiałbyś objechać miasto. Kluczyć. Nie wiadomo którą, nie wiadomo jak długo. To samo z niszczeniem ordy od tyłu. Czołgi ładnie przygrzewały, ale widziałeś, co się działo, jak pierdyknęliśmy z Jaryłka.

– Masz rację.

- No.
- Dzięki, Witek.
- Anytime my friend.

Orłowski stuknął kubkiem o kubek i poszedł do załogi Rujewita. Anna Podgórska siedziała na pniaku zmęczona, tylko w sportowym topie i spodniach dresowych, cała posiniaczona i w plastrach. Rozmawiała właśnie przez telefon.

– Tak, Kalinko, jestem cała. Trochę otarć i sińców, nic straszego. Naprawdę. Słucham? Nie, nikt z Orłów nie zginął. Powtórz... A, kapitan Podgrudny też jest cały. – Uśmiechnęła się. – Dobrze, pozdrowię go. Nie, nie unika mnie. Wyjaśniliśmy sobie... Tak, wszystko sobie już dawno wyjaśniliśmy, możesz być spokojna... – Dostrzegła Orłowskiego i rzuciła do telefonu: – Śmierdzielku, muszę kończyć. Zadzwoń jutro. Pa, pa, Kalinutku. Pa.

Major uśmiechnął się. Wojna wojną, a matka z córką muszą pogadać. Zerknął na jej skrzydłowych. Jastrząb z ortopedyczną kryzą na szyi i Młotek z tułowiem usztywnionym kilkoma szynami siedzieli obok niej, jak na gust Orła dziwnie blisko. Zresztą wokół motocyklistki zgromadziło się jakoś dużo mężczyzn oferujących pomoc przy remoncie trójkołowca, który wyglądał fatalnie. Niektórzy, słysząc, że wciąż nie ma nazwy, sugerowali wręcz, że powinien nosić miano „Durszlak”.

– Jak tam, pani porucznik? – spytał Orłowski.

Kobieta spojrzała na niego i podniosła się, prezentując bardzo zgrabną sylwetkę.

– A jak u pana, panie majorze? – spytała prowokacyjnie, a męska brać gwizdnęła z podziwem. Było co podziwiać. Orłowski przełknął ślinę.

– Załoga... cała?

– Motocykliści to szaleńcy, szefie. Cali. Pajęcza przedza uratowała Młotkowi życie.

– Widły w sercu to marny prognostyk – stwierdził Orłowski.

– Właśnie.

– Ja też jestem zdrowy! – zapewnił Jastrząb.

– Świetna robota przy ściganiu Gojiry – rzucił major do niego, starając się ze wszystkich sił nie patrzeć na zgrabny biust i brzuch motocyklistki.

– Dzięki.

– Majorze? – szepnęła Podgórska.

– Tak? – odszepnął.

– Potem... Później... Można na słówko?

Motocyklistka spojrzała w bok, Orłowski zaś podążył za jej wzrokiem i napotkał łapczywe oczy Moniki Ferens.

„Rany Swaroga – pomyślał – trzeba znowu jechać na wojnę, bo tu się jakieś inne bitwy toczą...”

– Dobrze, jak zrobię obchód.

– Dziękuję – odparła porucznik i spojrzała mu w oczy tak głęboko, że poczuł to aż w kręgosłupie.

Otrząsnął się i podszedł do podporucznika Dariusza Samulę, który mimo trwającej biby usiłował coś odklinować w Trojanie.

– Zostaw, Darek. Grubens i Skarpeta się tym zajmą.

– Oni mają dostatecznie dużo innych napraw – powiedział Samul i odwrócił się od dowódcy.

Orłowski dostrzegł jednak, że Zbrojowiec ma na twarzy wielką szramę ciągnącą się od czoła, przez policzek do szczęki, zszytą i pokrytą przeziernym plastrem gojącym.

Orłowski nie widział, jak Zbrojowiec oberwał tasakiem od olbrzymiego Zielonego. Ci, którzy przy tym byli, myśleli, że Samul zginął. Podobno zdążył podciąć olbrzymia, a w serce wraził mu szablę Pokojski. Tak twierdzili Podgórska i Jastrzab, którzy widzieli całą akcję.

– Żyjesz?

Samul uznał, że nie wypada stać plecami do dowódcy, i obrócił się bokiem, wciąż grzebiąc przy Trojanie.

– We łbie mi się kręci, ale jak łyknę Rłokieta, to mi przejdzie.

– łyknij Orczej Krwi, na noc nie będziesz się szprycował energetykiem. – Wyciągnął bukłaczek i nalał sporą porcję do zapasowego kubka, widząc, że Samul wyjątkowo nie ma w ręce żadnego naczynia. – Darek? – Przyjrzał się uważniej Zbrojowcowi.

– Hm?

– Pobrali ci z tej rany wymaz na posiew?

– Tak, Miktus coś tam brała.

– Bo jakiś rozkojarzony jesteś.

Samul westchnął, oparł się o wielki naramiennik zbroi i spojrzał w ziemię.

– Nie zauważyłem, że ten mamut... majorowi Białemu... wbił cios w plery.

– Byłeś zajęty. Vista mówił, że w tym czasie siedziałeś na grzbiecie innego mamuta i usiłowałeś odstrzelić mu łeb.

Po twarzy Samula przebiegł cień uśmiechu.

– Rodeo. Szkoda, że cię tam nie było, szefie.

– Ktoś mnie posadził przed ekranem.

Zbrojowiec wykrzywił twarz.

– Powinienem być zobaczyć, że go przebija...

– Darek.

– Miktus była na mnie zła.

– Miktus jest zła, gdy ma powód i gdy nie ma powodu. Chciała uratować Kulę i jej się nie udało.

– Bo nie widziałem, jak go przebi...

– Zamknij się, Darek.

– Kurwa. – Z oczu Samula popłynęły łzy. – Kurwa, szefie, nie dam rady...

– Ja pierdołę. Heintze! Szabla! Vista! Emergency! – wrzasnął Orłowski. – Miktus, do mnie!

– Tylko nie ta czarownica, szefie – poprosił Zbrojowiec.

– Zamknij się.

Chwilę później przy majorze pojawili się wezwani plus Mardok, bo dla niego oczywiste było, że gdzie szef, tam i on.

– Co się dzieje? – spytała Heintze.

– Samul nie może sobie darować, że nie zauważył, jak mamut przebija Kulę.

– Miał prawo nie zauważyć – stwierdziła rzeczowo Klaudia.

– Moim zdaniem... – zaczęła Miktus, ale Orłowski wyciągnął rękę, nakazując jej, by milczała.

– Szabla, Vista – odezwał się Orzeł – byliście tam?

– W pobliżu – odparł Szabla.

– Jak to wyglądało?

Pokojski pokręcił głową. Miał siniec pod lewym okiem i naderwane ucho.

– Nie wiem, to był szal. Hipopotamy, dzikie słonie, jakieś węże, tygrysy, krew się łała strumieniami...

- Widziałeś majora Białego?
- Chwilami.
- Vista?
- Byłem dalej.

Do grupy podszedł wytatuowany w słowiańskie symbole olbrzym. Orłowski rozpoznał go. Zbigniew Golemienko. Kierowca Potiomkina.

- Słyszę, że mówicie o Kuli i podporuczniku Samulu – odezwał się basem.
- Tak – odparł major.
- Widziałem tę bitwę i to, jak oberwał major Biały. Przejeżdżałem obok.
- No i co?

– Bez urazy, panowie – spojrzął na Szablę i Vistę – ale takiego szaleńca jak podporucznik Samul w życiu nie widziałem. Gość skakał z bestii na bestię, odbijał się od drzew, był przytomny i skupiony. Ocalał sierżanta Vistę, jak szarżował jakiś wilk...

Rawiński skinął głową.

- I sierżanta Szablę, odpychając go, gdy nacierał ten mamut...

Tym razem Pokojski pokiwał głową.

– Walczył za trzech. Major Kula natomiast zachowywał się tak, jakby sądził, że jest niezniszczalny.

- Bo on taki był – szepnął Szabla.

– Potknął się – ciągnął Golemienko – i po prostu przewrócił. Podniósł się, ale był plecami do szarżującego mamuta. Podporucznik Samul nie mógł tego widzieć, bo był odwrócony plecami, a jeśli zobaczył, to po prostu cudem. Jechał na swoim mamucie i Marchołtem próbował przebić mu kark, bo bydlak szarżował na nas, na Potiomkina. Po chwili major Kula się pozbierał i odrąbywał mamutowi trąbę. Wtedy ten przewrócił go i stratował dwa razy, zanim moje działka wgryzły mu się w ślepią. Podporucznik Samul zabił swojego mamuta, zeskoczył, chwycił majora i od razu rzucił się do kręgu, żeby go ratować. Klnę się na Peruna, że szybszego i skuteczniejszego Zbrojowca nie ma w całej Twierdzy.

Słuchający tej relacji na moment umilkli.

- Ale jak go niósł do nas, jego obowiązkiem było obejrze...

– Kapitan Miktus! – warknął Orłowski. – Największą krzywdą, jaką może pani zrobić innemu wojowi, to wmówić mu, że jest winien śmierci towarzysza broni. Każdy z moich ludzi, podkreślam, każdy, zasłoni innego bez wahania. – Ostatnie słowa podkreślił bardzo mocno. – Rozumie pani? Podporucznik Dariusz Samul walczył na pierwszej linii, przed najemnikami. Jego obowiązkiem było odnieść majora Kulę i wrócić na pozycję, co uczynił. To pani obowiązkiem było obejrzeć majora Białego z przodu i z tyłu.

- Raport Darka mówił...

– Sraport! – rzucił Orłowski. – Niech pani będzie tak miła i zauważy, że nikt pani nie obciąża. Według chorążej Runy zauważyła pani ranę na plecach w niecałą minutę po wyjęciu majora z Trojana. Może to było nawet trzydzieści sekund.

- Gdybym wiedziała, tamowałabym krwotok, gdy major był jeszcze w zbroi.

– Trojan jest inteligentnym, samouszczelniającym się pancierzem, pani kapitan – zaoponował Mardok. – Nic by pani nie zrobiła. Zbroja nie pozwoliłaby pani. Z tego, co wiem, uszczelniła się zaraz po tym, jak mamut zranił majora Kulę.

- Nie wiem, nie znam się...

- I dlatego pani pierdoli – skomentował Mardok i natychmiast zanurzył usta w samogonie

Flaszki, zdał sobie bowiem sprawę, że przeholował.

– Dość – warknął Orłowski. – Kula miał pecha. To normalna rzecz na polu bitwy. Nikt nie zobaczył, gdzie został zraniony, Trojan zgłupiał, potrwało wyjmowanie, potem było za późno. Rozumie pani?

– Tak.

– Głupotą natomiast jest oskarżenie jednego z najbardziej zasłużonych Orłów o zaniedbanie. Czy to do pani dociera?

Miktus najwyraźniej miała ochotę zaoponować, ale się nie odważyła.

Major spostrzegł to i znowu się odezwał:

– Pytałem panią przed akcją, czy była pani na froncie.

– Byłam.

– Ale tylko jako medyczka?

– Taką mam funkcję.

– Więc nic pani nie zrozumiała. Rozumie pani sytuację walki pobieżnie i wydaje sądy, co jest niedopuszczalne, bo niszczy morale wojów. Muszę się zastanowić, czy zostawić panią w zespole...

Miktus otworzyła szerzej oczy, a za jej plecami otworzyli oczy Skrzacik i Machaj.

– Majorze Orzele... Orłowski... – szepnęła.

Orzeł zerknął na Ripley.

– Zaliczy pani rekolekcje u kapitan Heintze, a ona zda mi raport. Jeśli zauważy u pani jakiegokolwiek objawy oporu lub sztywności umysłowej, a proszę mi wierzyć, zauważy, doniesie mi o tym, bo rozumie, jak ważne jest morale w zespole, pani zaś się z tym zespołem pożegna. Pani. Bo z Machaja i Skrzacika jestem zadowolony. Rozumie pani?

– Rozumiem, panie majorze.

– Sądzę, że prośba, by odszczekała pani to, co nakładła do głowy podporucznikowi Samulowi, mija się z celem, bo zacznie pani używać typowego dla lekarzy bełkotu i nie przyzna się do winy. Ufam jednak w mądrość kapitan Heintze. Jeśli ona nie wybije pani tego z głowy, to już nikt tego nie zrobi.

Miktus otwierała usta, ale Orłowski zamknął je stanowczym:

– Odmaszerować!

Po chwili spojrzął na Vistę i Szablę.

– Zostaniecie z nim?

– Oczywiście.

– Piechota! – krzyknął Orzeł i wkrótce byli przy nim Zdzira, Deckard, Żmij i Runa. Ta pierwsza dźwigała ważącego na oko dziesięć kilogramów zielonego kota. Na jego puszystej sierści widać było ciemniejsze, charakterystyczne dla tygrysów paski.

– Nie odstępujcie Samula na krok. Porozmawiajcie o bitwie. Niech wam opowiada. A wy opowiecie jemu.

– Gryzie się, że nie zobaczył tego mamuta? – domyślił się Deckard.

– Tak.

Wyborowy westchnął.

– Ja też kiedyś nie zauważyłem, jak jeden ork dekapituje mojego partnera – powiedział drewnianym głosem.

– Ty? – zdziwił się Samul. – I co?

– Nie mogłem sobie z tym dać rady i strzeliłem sobie w łeb – odparł beznamiętnie.

Zdzira aż postawiła kota na ziemi i przysiadła na pieńku. Wszyscy usiedli.

– To... dlaczego żyjesz? – spytała.

– Spudłowałem.

Samul parsknął.

– Byłem pijany. Tylko sobie otarłem skórę na szczęce. – Wskazał bliznę na lewej gałęzi żuchwy. – To między innymi dlatego mój major zgodził się, żebym odszedł do „Kamiennych Golemów”. Wspomnienia...

– Ale ty, Samul, ani się waż nas opuszczać – powiedział Żmij i spojrzał na Zbrojowca tak intensywnie, że Darkowi krew odpłynęła z twarzy.

– Nie odejdzie – powiedziała Zdzira. – Z dwóch powodów. Pierwszy jest straszny i od razu przepraszam, że to powiem. Major Kula nie był Orłem. Więc przebywanie z nami nie będzie napędzało wspomnień.

Inni pokiwali głowami.

– A po drugie mamy teraz kota. – Wskazała zielonego futrzaka, który nie wiedzieć czemu położył się u stóp Samula, wtulił w nie i zaczął lizać sobie futro.

Dariusz najpierw bezgłośnie, a potem coraz głośniej zaczął płakać. Piechociarze oraz Zbrojowcy Pięści podeszli do niego, przytulili go i stali tak długo, aż przestał kwilić. Potem wszyscy się napili i tak, minuta po minucie, wyleczyli poranioną duszę woja.

Tymczasem Orłowski kontynuował obchód. Doszedł do Górala, Kawy i Tyldy. Ta ostatnia miała bandaż na szyi.

Orzeł wskazał ją palcem.

– Jak to się stało?

Góral wzruszył ramionami.

– Już ją opierdoliłem.

– Nie postawiła osłony?

Wojowniczką skrzywiła się.

– Przeszkadza przy łuku.

Kawa pokręciła głową.

– Pierdol ten łuk. Tak napierdalali, że skradanka była zbędna.

– To prawda – potwierdził Orłowski. – Pamiętaj, że odpowiadasz nie tylko za swoje życie, ale i za życie innych. Jeśli zginiesz, zginą twoi towarzysze.

– Prawda – powiedziała Tylda.

Major spojrzał na Górala.

– Nie tłumaczyłeś jej tego?

– Tłumaczyłem. Młoda jest.

Orłowski popatrzył twardo na Tyldę.

– Mieliśmy na zachodzie taki zwyczaj. Nazywał się „czas dyscyplinarny”. Dowódcy mieli prawo trzasnąć podwładnych w pysk za niesubordynację. Myślisz, Tylda, że to dobry pomysł?

– Dobry, panie majorze. Przepraszam, panie majorze.

– To się więcej nie powtórzy, tak?

– Tak jest.

– Wróciliśmy bez strat, Tylda. Kubala został ranny, chociaż nie popełnił błędu. Ty mogłaś zginąć, bo nie przestrzegałaś procedur.

– Tak jest, panie majorze.

Orłowski spojrzał na Górala.

– Świetna robota z tym rozpylaczem wódki. Dziękuję.

POLOM się uśmiechnął.

– Pomysł się sprawdził.

– Jak pancierz Lubawy?

– Wytrzymał, a jazda tym wozem wymaga nerwów. Kawa odwaliła kawał dobrej roboty. Należy jej się...

– Właśnie, panie majorze. – Sierżant Krystyna „Kawa” Bochenek uśmiechnęła się nieśmiało.

– Bo oni... w tym Potiomkinie... mają masę kawy. Może jeszcze nie zwietrzała...

Orłowski również się uśmiechnął.

– Prawda. Pogadam z nimi.

– To przecież skarb. – Krycha zachłysnęła się. – Zabiłabym za taką kawę...

– Zabijaliśmy za nią, pani sierżant.

Orłowski rozejrzał się za załogą Marzanny, ale po chwili zrozumiał, dlaczego nie może jej zlokalizować. Dragon, Tata Malki i Ciocia krążyli pośród osób zgromadzonych przy ognisku, roznosząc bigos i karkówkę z grilla. I piwo. I pączusie, które Ciocia nie wiedzieć kiedy usmażyła. Instynkt podpowiadał Orłowskiemu, że podporucznik Dana „Ciocia” Banecka odegrała kluczową rolę podczas wyprawy, nie mógł sobie tylko uzmysłwić, co to było. Tyle się działo, że nie był w stanie kontrolować całości zdarzeń. I to mu bardzo przeszkadzało...

W końcu dotarł do „swoich ludzi”, czyli Magdy Stawniak, Ursuli Scorsese, Tygrysa i Szczyrbowskiego, którzy siedzieli blisko Samula, a to dlatego, że byli tam Zgud i Runa, do której wszyscy lgnęli.

Orłowski klepnął najpierw żonkosia.

– Dobra robota z dronami, Zgud.

– Dziękuję, panie majorze.

– Gdyby nie ty, nie zauważylibyśmy wielu rzeczy.

– To prawda. – Ktara rozciągnął szeroko usta.

Orłowski czym prędzej stuknął w jego kubek, by nie zobaczyć żabiego uśmiechu.

– Co do pań – spojrzął na królewską bibliotekarkę i Scorsese – będzie mi was brakowało. Podczas akcji dostarczyłyście mnóstwa cennych informacji.

– W istocie – zgodziła się Stawniak.

– Mnie się podobało – wyznała Scorsese. – W pewnym sensie.

– Zebrałyście obserwacje?

– Sporo. Zwłaszcza podczas przejazdu przez Wilno. I potem, podczas podróży do ordy. Ten Gojira prowadził nas specjalnie przez wioski. Mam dużo spostrzeżeń. Na przykład nie spodziewałam się, że Zieleni mają psy.

– Rzeczywiście.

– No i morze innych. Spędzę godziny na oglądaniu nagrań.

– Napijemy się? – Major uśmiechnął się, wskazując swój bukłaczek.

– Oczywiście.

Napełnił kubki kobiet i łyknęli Orczej Krwi. Dowódca spojrzął na porucznika Szczyrbowskiego.

– Dobrze było mieć was u boku, poruczniku.

Programista uśmiechnął się zza brody i wąsów.

– I vice versa, panie majorze.

– Świetnie oznakował pan pojazdy, w tym Vasilija. A właśnie. Gdzie on się teraz podziewa?

Szczyrbowski wyciągnął z kieszeni smartfon i coś na nim wystukał.

– Jego samochód jest teraz... w Hajnówce.

– Czyli mu się udało.

– Samochód nie oznacza jeszcze człowieka, panie majorze, ale tak, dojechali tam. Jego Wars i dwa inne wozy.

Naprzeciwko zjawiskowego soboru Świętej Trójcy w Hajnówce, po drugiej stronie ulicy Dziewiatowskiego znajduje się, położony wśród drzew, tuż obok Hajnowskiego Domu Kultury, zaciszny parking. Tam właśnie w otoczeniu gapiów stali Vasilij Kestab, Piotr „Destro” Mistarz i Radosław „Wiking” Lewandowski razem z obsadą dwóch jeszcze wozów najemników, którzy przedarli się z nimi do Twierdzy. Nie wiadomo było, co wygląda żałośniej – pokiereszowane i podziurawione wehikuły czy osmaleni i wysmarowani krwią najemnicy. Młodzi mieszkańcy Hajnówki co chwila podchodzili do wojowników, prosząc o wspólną fotkę, ale Vasilij odmawiał, klnąc w duchu, że nie może nikomu zabronić robienia zdjęć z daleka. W przeciwieństwie do niego Destro, Wiking i inni pozowali chętnie i świetnie się przy tym bawili.

Kestabowi nie było do śmiechu. Nie zarobił na zleceniach od Marcinkowskiego i Ciecierskiego, nie miał szansy na część tych cholernych kaw i herbat z Wilna, stracił wiarygodność, a teraz pewnie jeszcze go śledzili.

– Destro – zwrócił się do kompana.

– Ta? – Mistarz podszedł do niego, opędzając się od dzierlatek ubranych w tak krótkie mini, że widać im było majteczki.

– Usuń marker, który przyczepił nam do wozu ten wojak, wiesz, programista. I sprawdź samochód, bo boję się, że mamy pluskwy.

– Myślisz?

– Ja bym tak na ich miejscu zrobił.

Do Kestaba podeszli kierowcy dwóch pozostałych wozów. Jeden z nich wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Oderwaliśmy się z tobą, bo nie chcieliśmy narażać życia, walcząc z ordą, ale teraz nasze ścieżki się rozejdą. Nie chcemy być z tobą kojarzeni.

Vasilij popatrzył na wyciągniętą dłoń, a potem zmierzył mężczyznę zimnym wzrokiem, który mówił: „Jeśli nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego, nie wyciągaj do mnie ręki, bo to zakłamanie”.

Mężczyzna cofnął dłoń, a drugi jej nie wyciągnął, tylko machnął na pożegnanie. Załadowali się do samochodów, wymienili z mieszkańcami miasta kilka wesołych zdań, włączyli silniki, trysnęły ogniem z rur wydechowych i odjechali przy wtórze pisków i podskoków dzierlatek.

Młodzież, zrozumiała już, że z Vasilijem i jego kompanią nie da się za bardzo pogadać, niechętnie ruszyła na ulicę Dziewiatowskiego, mając nadzieję, że do Hajnówki zjadą jeszcze inni weterani walk z ordą.

Najemnicy zostali sami. Destro uporał się już z markerem, rzucił go na trawnik i używając ręcznej latarki, omiatał wzrokiem podwozie samochodu. W tym czasie Wiking szarpał się z zamkiem działka, najwyraźniej tak zabrudzonym, że wymagał pilnego czyszczenia.

– Szefie? – odezwał się.

– Hm?

– Lepiej się pozbyć tego wozu. Ten woj od elektroniki nie był głupi. Jeśli schował pluskwę, to

tak, żeby trudno ją było znaleźć. A bryka i tak do wymiany.

Vasilij pokiwał smętnie głową.

– Masz rację. Sprzedamy złom.

– I co dalej?

Mężczyzna spojrział w niebo, na którym błyszczały pierwsze gwiazdy.

– Skontaktujemy się z Ciecierskim i Marcinkowskim oczywiście... To jeszcze nie koniec.

W gwiazdy tego wieczoru patrzyły też Joanna „Opty” Ścibior i Anna Błażniak zwana Krwawą Sarenką. Ta pierwsza spędziła całą inwazję w Czerwonym Borze, gdzie odbywała szkolenie, i chociaż wrywała się do walki razem z innymi stacjonującymi tam rekrutami, nadzorująca szkolenie młodzików sierżant Anna Wasilewska stanowczo się temu sprzeciwiła. „Wy, koty, pompeczki możecie robić i ćwiczyć składanie broni, a nie do orków strzelać”. I tak dziewczyna oraz inni rekruci, chociaż serce im się wrywało do walki, a i niedaleko było do wrogiej ordy, zostali w jednostce, przysięgając sobie w duchu, że gdy ojczyzna wezwie następnym razem, będą gotowi. A Opty powzięła postanowienie, że da z siebie wszystko, by zasłużyć na Trojana, choćby miała duszę diabłu zaprzedać. Teraz zaś patrzyła w gwiazdy, ściskając swojego nowego Roda i zastanawiając się, co się dzieje z Martyną i Orłami. A potem przypomniała sobie o cudownym wynalazku zwanym telefonią komórkową, wyszarpnęła z kieszeni aparat i wybrała numer Plisenko.

Anna w tym czasie stała z kieliszkiem wina w ręce na balkonie swojego warszawskiego mieszkania i patrzyła to na stucalowy telewizor w salonie, wyświetlający wciąż nowe ujęcia z inwazji nakręcone zarówno przez wojennych korespondentów, jak i przez amatorów, którzy byli tam i czynnie bronili Twierdzy, to na tłumy, które wyszły na ulice i głośno świętowały „Cud 63”, bo mniej więcej na wysokości tej drogi zatrzymano ordę. Obdzwoiła już przyjaciółki, zadzwoniła też do Krawczyka i dowiedziała się, że wszyscy przetrwali. Zagryzła wargę. O nich istotnie trzeba się było martwić, natomiast o nią nie martwił się nikt. I dlatego to ona dzwoniła do innych, nie odwrotnie – nawet Młotek się nie pokwapił, chociaż gdy odebrał połączenie, stwierdził, że „właśnie miał wybrać jej numer”. „Perunie – pomyślała – dlaczego czuję się winna? Dlaczego mam poczucie, że powinnam być tam, z bronią w ręku, a nie tu, z winem i posprzętym mieszkaniem za plecami? No przecież nie każdy jest stworzony do wojaczki, chociaż Łyżwa mówi, że w Twierdzy wszyscy są żołnierzami. Ja nie jestem, nie potrafię”.

Odetchnęła głębiej i łyknęła potężny haust wina. „Ech, Wiesiu, ech Mardok, chciałabym teraz poczuć wasz zapach... Gdzie jesteście, chłopaki?”

Stwierdziwszy, że obszedł już wszystkich i ze wszystkimi porozmawiał, Orłowski usiadł ciężko na pniaku i przyjął z rąk Malkiego sążnistą michę bigosu. Dragon podał mu chleb, a Ciocia przyniosła pączka. Zaraz też zjawił się Flaszka z kolejną porcją samogonu, chociaż okoliczni mieszkańcy twierdzili, że nie ma to jak Muchomorówka. Podgórska spojrziała na niego pytająco, ale major pokręcił głową, widząc, że zbliża się do niego Ulf.

– Dobry wieczór, panie... – Chciał powiedzieć „oficerze”, ale się powstrzymał.

– Przejdzie się pan ze mną, majorze? – spytał cichociemny.

Orłowski podał mu pączka.

– Niech pan potrzyma.

Dźwignął się z bigosem, chlebem i kubkiem, po czym ruszyli w stronę drogi.

– Jest problem, majorze – szepnął policjant i opacznie zrozumiawszy swój obowiązek pilnowania słodczy, wgrzył się w pączek.

– Mianowicie? – spytał Orłowski, żegnając się w myślach z deserem.

– Jeden z ochroniarzy Ciecierskiego i Marcinkowskiego, ten Włóka, zwał, że wpadli z handlem bronią, i chciał się pozbyć mocodawców. Zabił go drugi ochroniarz, Ramel, po czym poinformował o tym szefów. Zwłoki zapakowali do Jeepa, a potem odjechali. Najpierw Ramel, a godzinę później Ciecierski i Marcinkowski. Mam nagrane ich rozmowy i wideo z tego, jak odjechali.

Major szedł powoli w stronę światła rzucanego przez latarnię i trawił informacje.

– Rozumiem, że mówi mi pan to, myśląc, że jeśli aresztujecie teraz całą trójkę, Zielona Przyszłość nie znajdzie chętnych najemników?

– Tak jest. Mam problem, panie majorze. Nie zgłaszając morderstwa, z każdą minutą pograżam się jako śledczy.

– Niekoniecznie. Może pan przecież szukać cięższych zarzutów. Za zabójstwo Włóki pójdzie do paki tylko Ramel. Ciecierski i Marcinkowski umyją ręce.

– Nie umyją, bo po pierwsze, pomogli pozbyć się zwłok, po drugie, maczali palce w handlu bronią.

Orłowski westchnął.

– Niech pan im da jeszcze, że tak powiem, czas, poruczniku – poprosił. – Niech się przewali sprawa z Zieloną Przyszłością, najemnicy niech wreszcie dostaną forszę, a potem zajmie się pan policyjnymi sprawami. Zresztą pewnie pan tego nie wie, ale kolegą Ciecierskiego jest niejaki Arnold Sitarczyk. Zajmuje się przemysłem pornograficznym...

– Porno jest w Twierdzy legalne.

– Oczywiście. Mam jednak wrażenie, że dziewczyny, które zatrudnia, nie są szczęśliwe, jeśli wie pan, o czym mówię.

Ulfig zastanowił się, ponownie wgrzając się w pączek.

– To może być już nielegalne.

Major kwaśno się uśmiechnął.

– Rozumie pan, poruczniku, to tak, jakby pan jechał za piratem drogowym. Przekracza prędkość, jeden mandat, wyprzedza na ciągłej, drugi, przejeżdża przez tory bez zatrzymania, trzeci, wymusza pierwszeństwo, czwarty. Śledząc Ciecierskiego, Marcinkowskiego, Sitarczyka i jego pomagiera Malinowskiego, uchwyci pan całą sieć, może jeszcze większą, niż mi się wydaje. Dam panu namiary na tych dwóch. Awans gotowy i tak dalej.

Ulfig zacisnął wargi w wymuszonym uśmiechu.

– Awans miła rzecz, ale to zaczyna śmierdzieć, majorze. Będę musiał to zgłosić.

– Wiem, panie... Może przejdziemy na ty, co?

– To będzie zaszczyt.

Orłowski przełożył chleb i kubek do dłoni, w której trzymał już bigos, i wyciągnął prawicę.

– Sergiusz.

– Darek.

Ręka Ulfiga lepiła się od lukru i Orzeł pomyślał, że musi znaleźć jakiś kran, żeby obmyć dłoni. Nie lubił, gdy lepiły mu się palce.

– Więc jak będzie, Darek?

Dariusz „Bushi” Ulfig spojrział na księżyc i ciężko westchnął.

Godzinę później towarzystwo było już rozluźnione, najemnicy zaś postanowili pokazać część skarbu odkrytego w Wilnie. Podarowali ludziom z Zielonej Przyszłości trochę kawy, herbaty, zagranicznych papierosów i alkoholu. Krystyna zwana Kawą dostała swoją ulubioną Tchibo, a Renans, zgodnie z przewidywaniami Orłowskiego, wrócił do głównego pytania:

– To co? Jeśli okaże się, że ten N-Gen jest wciąż dobry... zawieziecie nas i obronicie?

Szczygło dźwignął się z pnia, wyprostował obolałe kości i odparł:

– Tak, panie Renans. Ale z pewnością nie do Wilna.

– O nie – potwierdził Samul, już rozchmurzony. – Nie tam.

– Nie tam! – zagrzmiała Miktus, także jakby udobruchana.

Orłowski zerknął na Heintze, a ona odpowiedziała spokojnym skinieniem głowy.

Po następnej godzinie nie wiadomo jak i nie wiadomo skąd przy Orłowskim pojawiły się Podgórska, Ferens i Malik.

– Ech, baby to kochają naszego Orła – rozmarzył się Mardok. – Chociaż brzydki jak noc.

– Nie zna się pan, panie chorąży – odparła Mniszka. – Zupełnie się pan nie zna.

Jak Orłowski rozmawiał z trzema ślicznotkami, historycy milczą. Oficjalnie mówią jedynie, że wszyscy czworo zaczęli się przechadzać pod księżycem, który świecił tej nocy bardzo intensywnie, i podobno w ogóle nie podnosili głosu. Naprawdę.

Epilog

Co było dalej, wszyscy wiedzą. Poproszony przez Orłowskiego Łukasz „Sowa” Szczygło udzielił wywiadu Ursuli Scorsese i Magdalenie Stawniak, nie ukrywając żadnych faktów i mówiąc prosto w obiektyw kamery, że przeszkoleni woje biją na głowę nieprzeszkolonych najemników, bo ze stu pięćdziesięciu jego ludzi ponad trzydziestu nie przeżyło, dwudziestu zaś odniosło ciężkie rany, podczas gdy z dwóch batalionów doświadczonych żołnierzy tylko jeden poległ, a drugi był ciężko ranny. „Szkolcie się, ludzie, i uczcie. W armii są profesjonaliści, a my dobrze wyglądamy na fotkach” – zakończył i obiecał sobie oraz innym, że jego grupa także przejdzie solidną naukę. Radosław Kot był bardzo zadowolony i przekonany, że ten materiał pomoże znowu zasilić szeregi armii. Orłowski podziękował Witelonowi za trafną wróżbę, pogratulował Saulskiemu sprytu w dziele ochrony wiary, Stawniak i Scorsese zaś złożyły królowi obszerny raport, przedkładając wszystkie fotki i filmy wykonane podczas wyprawy. Próbkę zielonych zwierząt dostarczono do laboratoriów, a Wysocka zwróciła uwagę, że na teren Twierdzy wdarło się sporo przedstawicieli niebezpiecznej zielonej fauny, w związku z czym wypadałoby na to zareagować, tylko nie wiadomo jeszcze jak.

– Wszystko po kolei – powiedział król. – Mamy też radioaktywny okręt i japońskiego potwora za granicą. – I zarządził naradę, podczas której miały zostać omówione problemy te i inne oraz oczywiście przyszłość nomen omen Zielonej Przyszłości.

Jednak jak wyglądały losy pielgrzymów, opowiemy następnym razem, dobrze?

A gdyby ktoś pytał, jak załoga orłowego Rujewita nazwała swój trójkołowiec – to nijak. Wciąż nie mogą się zdecydować.

* * *

Pamięci Andrzeja „El General Magnifico” Sawickiego

Spis treści

ORZEŁ BIAŁY 2

Dedykacja

Oświadczenie

Dramatis Personae

Sztandar 1

Sztandar 2

Sztandar 3

Sztandar 4

Sztandar 5

Sztandar 6

Sztandar 7

Sztandar 8

Sztandar 9

Sztandar 10

Sztandar 11

Sztandar 12

Sztandar 13

Epilog

Spis treści

Strona redakcyjna

Text copyright © by Marcin Sergiusz Przybyłek 2017
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2017

Informacja o zabezpieczeniach:

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation (<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Redaktor: Błażej Kemnitz

Projekt i opracowanie graficzne okładki oraz opracowanie ilustracji: Tomasz Maroński

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Orzeł Biały 2, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-844-1

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl